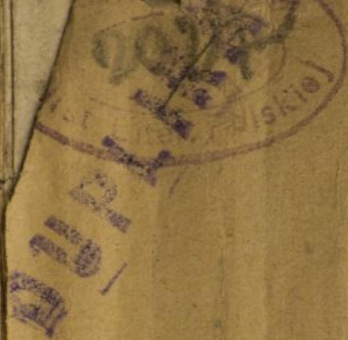


ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE

1882

TOM IV.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XXVIII.

WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO
ulica Królewska, N. 23.

1882.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 20 Ноября 1882 года



SPIS RZECZY.

Str.

I. HISTORYA.

2. RZECZY SPÓŁCZESNE.

3. LITERATURA.

4. BELETRYSTYKA.

5. NAUKI PRZYRODNICZE.

6. ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Na scenie i za kulisami.

HISTORYA PARAFIALNA.

X.

Hrabina po wyjeździe gości oddaliła się zaraz, Wanda poszła za jéj przykładem; w salonie pogaszono światła tylko na fortepianie paliła się jedna świéca—miss Ella porządkowała nuty. Uchyliły się drzwi i wszedł Sulimowski.

— Hrabia nie śpi jeszcze? spytała Angielka.

— Nie—chciałem z panią pomówić.

— O czem?

— O tém, że nieżyczę sobie nadal podobnego ułatwiania sam na sam, jakiego pani dopuściłaś się dzisiaj. Może to bardzo romantyczne, aleby warto zapytać czy to z moją wolą się zgadza.

Po twarzy Elli przebiegł wyraz dziwnéj złośliwości, oczy jéj błysnęły—ale spuściła głowę i rzekła łagodnie.

— Niedomyślałam się że to hrabiego może rozgniewać—przepraszam z całego serca—ale zkądże wiedziéć mogłam.

Pokora Angielki rozbroiła Sulimowskiego, już innym tonem ciągnął.

— Przecież wiesz pani że mam inne zamiary!

Ella spojrzała szeroko otwartemi oczami.

— Jakto—więc to było na seryo? więc hrabia naprawdę myśli o panu Karolu Porajskim?

— Pani myślałaś że na żarty?

— A naturalnie, przyznam się, że znając hrabiego, trudno temu uwierzyć!

Sulimowski zaczerwienił się mocno.

— Ciekawym jak to pani rozumie—rzekł z urazą—przecież to świetna partya!

— Zapewne—ale cóż za tym związkiem przemawia?

— Wszystko! Łącząc się z nim mam wpływ na całą okolicę—jestem tu pierwszym stanowczo. Wspierając się na Porajskim, który ma razem i znaczenie, dojdę do wszystkiego co zechcę—mając jego, całą okolicę będę miał w ręku! Wanda jest tu pierwszą partyą na dziesięć mil w około. Porajski toż samo—złączenie tych dwóch potęg wyjdzie mi na dobre. Przytém, Porajski po ślubie zabierze do siebie hrabinę—dopiero wtedy urządzę sobie życie tak jak chcę.

Ella spojrzała na hrabiego i pokiwała głową—potém wzięła jego rękę w obie swoje, i rzekła głosem wzruszonym.

— Hrabia jesteś człowiekiem tak szlachetnym, że nie przypuszczasz w innych podejścia. Przytem Porajski jest układny i umie grać komedyą...

Sulimowski poczerwieniał mocniéj jeszcze.

— Jakto! zawołał żywo—w czem podejście?

— Łącząc się z domem pana Porajski ma wszelkie korzyści, pan żadnéj. On, zyskuje poparcie wszystkich krewnych Wandy stanowcze prawa obywatelstwa w arystokracyi—wpływ i znaczenie większe coraz. A cóż hrabia dostajesz?

— Ależ—pomoc jego w każdym wypadku!

— Gdzie jest rywalizacya, tam o pomocy nie może być mowy.

Hrabia się zerwał, i przeszedł kilka razy po salonie.

— Więc—czegóż on chce? zawołał gwałtownie.

— On chce się pozbyć rywala—sobą hrabiego zaćmić, zneutralizować—wyzyskać dla siebie wpływ który mu solą jest w oku.

— I aby tego dopiąć żenić się chce z Wandą!

— Doskonały sposób. Raz przyjęty do rodziny, wsparty przez wszystkich jéj członków, dom jego bez żadnéj wątpliwości będzie najpierwszym, nie tylko w okolicy, ale w prowincyi. Tém łatwiéj mu to przyjdzie, że dom hrabiego przemienia się na kawalerski, a on zajmuje miejsce daleko poważniejsze, jako trzymający dom otwarty w całém znaczeniu tego wyrazu.

— Ależ ja—ja, cóż robię w tém wszystkiem!

— Właśnie że hrabia nic nie robi i robić nie będzie, mając prawo jedynie żyć sobie spokojnie za plecami swego wielkiego zięcia...

Sulimowski podskoczył.

— I myślisz pani że ja się na to zgodzę! krzyknął.

— Wątpię żeby pytał o to, a zresztą opinia za nim pójdzie. Będzie miał u siebie hrabinę—wiemy jak łatwo jéj co wmówić—on ją pozyska sobie, i potém zrujnuje opinią hrabiego niemądremi ko-

merażami, choćby o życiu domowem, hrabina go poprze. Przytém majątek głównie do hrabiny należy, mając jéj poparcie, on się nie cofnie przed skandalem—i cóż będzie?

Sulimowski się zerwał z zaklęciem wcale nie salonowém.

— To być nie może! zawołał.

— Przecież łatwo widziéć do jakiego stopnia on hrabiego nienawidzi—jak zazdrości. On, zaraz po ślubie, dopiąwszy celu, zacznie pozować na obrońcę niewinności uciśnionéj, na rycerza hrabiny. Ona go za takiego przyzna, ludzie przyklasną, a hrabia przepadniesz.

Sulimowski biegał po salonie, sapiąc ze złości. Ella miała słuszność—jéj słowa odkrywały mu nowy horyzónt.

— Ha! to tak! mówił sam do siebie—hola! jeszcze interes nie skończony—jeszcze nie czas śpiewać piosnkę zwycięztwa!

Czarne szydercze oczy Angielki śledziły go—widział w nich wyraz drwiący.

— Właśnie téż dla tego z takiém zdziwieniem słuchałam gdy mi hrabia mówił o tym projekcie—ozwała się, gdy Sulimowski usiadł napowrót. Ale to zawsze tak—im kto szlachetniejszy, tém więcéj narażony na podstępy—a ludzie nieuczciwi, gdy im się uda oszukać takiego, śmieją się na całe gardło, wołając że złapali wróbla na plewy!

Strzał był celny—ranił do żywego.

— Śmieje się! śmieje! zawołał hrabia z wściekłością—zobaczymy kto się zaśmieje ostatni!

Ella nie spuszczała go z oczu.

— Coby to za świetna zemsta była—rzekła po chwili—zniweczyć mu te piękne zamiary wydając Wandę za innego!

Hrabia się przeszedł znowu, ale już wolniéj, spokojniéj, z uśmiechem—znać myśl mu się podobała.

— Mówisz o Bogdanie? zapytał.

— Naturalnie. Partya stosowna—mając z niego te same korzyści co ze stryja, niema żadnego niebezpieczeństwa. Ten rywalizować nie zechce, nadto będzie wdzięczny za szczęście—on przeciwnie będzie więcéj niż szanował hrabiego, i będzie go można prowadzić. Jest ogólnie ceniony i lubiony, wyrobi się pod wpływem hrabiego, któremu się w zupełności podda, i wszystko będzie dobrze. Jego dom nie będzie rywalizował—przeciwnie, hrabia tam będziesz miał głos decydujący—on będzie następcą, nie rywalem...

— Ależ projekt żeby hrabina mieszkała z córką—ten upada!

— Słyszałam jak Wanda mówiła mu że nie rozdzieli się z matką.

— Jakto! on śmiał z nią mówić bez mego pozwolenia!

Ella się głośno rozśmiałą.

— A odkiedyż to się w takich razach pyta o pozwolenie? spytała—czyby hrabia w jego położeniu pytał? pocóż zbrodnię robić z tego? Otóż—wracając do rzeczy—hrabina przy nich zamieszka...

— A któż mi ręczy, że Bogdan nie postąpi tak jak stryj jego?

— Najprzód charakter, a późniéj jego własny interes. Czyżby mógł mieć nadzieję przez chwilę, że opinia stanie po jego stronie, że zawaha się między nim a hrabią? Toż byłby zgnieciony!

— Może to i prawda... a zatém...

— Zatém, miałam słuszność mówiąc że hrabia żartował w swoich projektach, hrabia myślał jak ja, tylko chciał mnie zmistyfikować. Mam nadzieję że za rok Wanda będzie żoną Bogdana, hrabina przy córce, a ja żoną plenipotenta hrabiego zarządzającą pałacem Drewińskim i zawsze równie szczerą i oddaną wielbicielką i przyjaciółką hrabiego!

Sulimowski się rozśmiał.

— A czy masz już kogo napiętego? spytał kładąc jéj rękę na ramieniu.

— Ella wzruszyła ramionami.

— Przyjmę tego, którego mi hrabia przedstawisz—odparła.

— A niebędzie ci tęskno za ojczyzną—za twoim krajem mglistym?...

Ella wstrząsnęła głową.

— Niemam tam nikogo—rzekła—nikt na mnie nie czeka i nikt nie tęskni za mną. Wyszłam na tułaczkę w obce kraje za chlebem powszednim, zaszłam aż tutaj, dobrze mi, więc zostanę. My ludzie pracy, ludzie bez jutra, możemy sobie pozwolić tylko tego co do życia nieodzownie potrzebne—wszelkie uczucia abstrakcyjne, to zbytek dostępny jedynie panom świata, dzieciom szczęścia. Nie, nie będę tęsknić za moją mglistą ojczyzną...

— No to dobrze— w takim razie pomyślę o wszystkiém...

Ella powstała żegnając go i odeszła—hrabia długo jeszcze chodził układając plany. Znać były mu one po myśli gdyż uśmiechał się z zadowoleniem i gładził faworyty co chwila.

— Tak—szeptał—myśl wyborna... Ona sama mówiła że gdy uczucie nie dopisze, pocieszyciel ma praw najwięcéj—otóż tutaj, mnie ta rola wypada...

XI.

Nazajutrz około południa, pani Emilia weszła do pokoju siostry. Tola leżała na szezlongu czytając, listy odebrane z poczty—czy to,

że była zmęczona, czy może odblask pąsowego szlafroczka, dość że wydawała się bladą, oczy mocniéj były podkrążone niż zwykle, pani Emilia usiadła i czekała w milczeniu.

— Mam zemstę—ozwała się po chwili Tola krótko, głosem suchym, ostrym.

Pani Emilia poruszyła się żywo.

— Co mówisz! zawołała.

— Czytaj—i podała jéj list.

Pani Emilia rozwinęła go szybko—w miarę czytania, twarz jéj się rozjaśniała.

— Ależ to przepyszne! zawołała skończywszy—tylko czy da się zrobić?

— Wątpisz? spytała Tola szyderczo.

— Nie jestem pewną ciebie—nieumiesz panować nad sobą.

Tola się poruszyła gwałtownie.

— Niemasz się czego obawiać—rzekła, lodowato nad czynnościami swemi zawsze panować potrafię, nawet gdyby mi obudziło się w sercu to co ludzie nazywają uczuciem. Ale tutaj i to nie zachodzi, ja nie kocham. Obrażono moję miłość własną w najdotkliwszy sposób, odrzucono mnie—cóż mamy grać przed sobą komedyą, on chce téj bladéj lalki z hrabiowskiego pałacu, a mnie zostawia sobie na odpoczynek po trudach, na zabawkę po znudzeniu...

— A zatém?

— Zatém, zręczny on, alem ja zręczniejsza—i wkrótce będę miała zemstę w ręku. Dziś, jutro, dzięki moim staraniom, mojéj grze aktorskiéj, ta porcelanowa hrabianka zamięni pierścionki z Bogdanem. Wtedy on zwróci się całą siłą do mnie—bo słuchaj Milo, ten człowiek mnie kocha, o ile pozwala jego natura, jego egoizm szalony. On zwróci się do mnie, powtarzam—ale gdyby u nóg moich leżał nic z tego nie będzie, nawet za cenę jego nazwiska, nie przebaczę mu nigdy téj bezczelnéj komedyi z tamtą, tego panowania nad sobą ze mną, nigdy—nigdy.

Pani Emilia przesunęła rękę pieszczotliwie po włosach siostry.

— Spokojnie dziecko! rzekła łagodnie—nie egzaltuj się. Będzie to zemsta godna mnie i ciebie...

Tola zaśmiała się ostrym śmiechem.

— Będzie to pyszna scena! zawołała—godne zakończenie naszéj komedyi,—Emilia spuściła głowę.

— Coś mi ta komedya na dramat zaczyna zakrawać—szepnęła z niechęcią smutną.

Tola rozśmiała się głośniéj jeszcze.

— Milo droga moja—rzekła szyderczo, ty nadto znasz życie żeby niewiedziéć, że często śmiech płacz pokrywa albo przeciwnie — że niema tak smutnéj rzeczy z któréjby śmiać się do rozpuku nie można, ani tak wesołéj nad którąby nie trzeba płakać aż do spazmów, każda okoliczność jednym daje radość, drugim smutek...

— Mówmy o czem innném. Jedziesz?

— Naturalnie.

— Kiedy?

— Zaraz po zaręczynach Bogdana z Wandą.

— Jesteś ich pewną?

— Najzupełniéj. Hrabia jest zerem, które się ma za geniusz, tacy bywają najlepszemi marjonetkami...

— Trzymasz nitkę dobrze w ręku?

— Trzymam—ale w każdym razie wyjadę dopiero po fakcie spełnionym.

Pani Emilia pochyliła się nad siostrą i przyciągając ją do siebie zaczęła pieścić jak dziecko małe. Oparła jéj głowę na swojém ramieniu przesuwając swoję aksamitną rękę po ślicznéj twarzy i jedwabistych włosach, ale znać piękna pani miała mocno rozdrażnione nerwy gdyż raptem, bez żadnego powodu, wybuchnęła spazmatycznym płaczem. Pani Emilia nie zdziwiła się, nie wyrzekła i słowa, nie próbowała uspokajać siostry, ale bliżéj ją przyciągnęła do siebie, wygodniéj ułożyła jéj głowę na swojém ramieniu i pozostała tak nieruchoma. Niedługo zresztą trwał ten atak gwałtownego żalu czy też rozdrażnienia nerwów, wkrótce Tola uspokoiła się i otarła oczy.

— Zostaw mnie Milo—rzekła do siostry.

Do obiadu pani Tola nie wyszła wymawiając się silnym bólem głowy. Państwo Czarnowscy tylko co wstali od stołu gdy zajechała przed ganek elegancka amerykanka i wysiadł z niéj Sulimowski. Wprowadzony do salonu, nie widząc Toli, zwrócił się do gospodyni.

— Gdzież pani Sawińska? zapytał.

— Tola dziś niezdrowa—ma silną migrenę i nie wychodzi od siebie. Twarz hrabiego przeciągnęła się.

— Więc nie można jéj widziéć? zapytał.

— Zapytam się, w tych nerwowych migrenach rozrywka może pomódz bardzo...

Wyszła i wróciła za chwilę, zapraszajac Sulimowskiego do siostry—ale sama za nim nie poszła.

Piękna Tola leżała na szezlongu, owinięta posąwym szlafrokiem, włosy zupełnie rozpuszczone, śpięte tylko węzłem pąsowym opływały ją całą, rozsypując się po białéj poduszce i spadając aż na

ziemię długiemi jedwabistemi pasmami. Ręce się wysuwały po łokcie z szerokich rękawów szlafroczka—twarz rozpalona była a ten wypieczony rumieniec dodawał blasku oczom, świetności cerze, gorączkowego niemal ożywienia twarzy.

Wyciągnęła do hrabiego swoję śnieżną rączkę, Sulimowski ją pochwycił i mocno do ust przycisnął.

— Co pani jest?—zapytał troskliwie, siadając obok i nie wypuszczając trzymanéj rączki, któréj mu też nie odbierano.—Tak byłem o panią niespokojny i widzę że miałem słuszność...

— Głowa mnie boli—odparła cicho Tola.

— To zwykła wymówka kobieca. Migrena pokrywa wszelkie nieusposobienia, rozdrażnienia, smutki—to doskonały parawan.

Tola wyciągnęła gwałtownie rękę, którą dotąd trzymał Sulimowski i podniosła się na poduszkach.

— A jakiż nam inny zostaje? spytała z goryczą. My—zdawać sprawę musimy z każdego słowa, ruchu, z wesołości i smutku naszego. Świat patrzy na nasze twarze i śledzi każde drgnięcie i zmianę, każdy uśmiech i łzę każdą, wytłómaczenia ścisłego żądając. To téż najczęściéj mamy dla niego maskę, za którą mu trudno dojrzéć twarzy prawdziwéj—a gdy braknie sił na udanie, zasłaniamy się bólem głowy.

— Hrabia pochylił się do niéj.

— Ale przecież dla przyjaciół, można nie udawać—przyjacielom można się przyznać że to nie ból głowy ale wrażenie przykre, przyjaciel zrozumie, a lżéj będzie niż tak męczyć się saméj.

— Tola wpatrzyła się w niego—jéj śliczne oczy szare tak głęboko zajrzały do oczu jego jakby duszę chciały przeniknąć, pod ich magnetyczną siłą Sulimowski aż drgnął gwałtownie.

— A więc czemuż przyjaciel pyta o przyczynę kiedy wie o niéj? spytała. Czemu mię męczy pytaniami, na które ani chcę ani mogę odpowiedziéć? czyż tak powinien postępować jeśli jest przyjacielem? Głos Toli był przyciszony trochę, łagodny i skarżący się tęskno, jak by biednego chorego dziecka, które bardzo, bardzo główka boli, i chce żeby go żałowano. To też Sulimowski z całego serca pożałował téj uroczo powabnéj istoty co leżała cicho na poduszkach opłynięta kruczemi włosami, z wypieczonym rumieńcem na twarzy, ze smutkiem w tych wielkich oczach szarych, ze skargą na purpurowych ustach... Tak jéj pożałował, że na pociechę chciałby jéj ofiarować co miał najdroższego na świecie—samego siebie...

Tylko że tak odrazu nie wypadało spłoszyć rajskiego ptaszka a zatém tylko pochylił się do pięknéj pani i poniósł rękę jéj do ust.

— Prawda—rzekł, jak mógł najsłodziéj, najtkliwiéj, moją jest winą żem się tak do pani odezwał tym komunałem powszednim. Trzeba było po prostu w milczeniu uścisnąć rękę pani—pani zrozumiałaby moję szczerą, prawdziwą, serdeczną przyjaźń—wszak prawda. Po twarzy pięknéj Toli przeleciał błysk złośliwości szyderczéj i dziwnego niesmaku. Sulimowski nie widział tego, pochylony nad jéj ręką. Nie odpowiedziała—za chwilę hrabia przerwał milczenie.

— Przed godziną otrzymałem list od pana Bogdana Porajskiego z proźbą o rękę mojéj córki, dziś wieczór ma sam po odpowiedź przyjechać.

Tola drgnęła jak prądem elektrycznym dotknięta i spuściła głowę tak szybko, że Sulimowski nie dostrzegł wyrazu jéj twarzy.

— I—cóż pan odpowiesz... spytała cicho.

— Ja niewiem. Przyjechałem się pani poradzić.

Tola milczała czas jakiś—nareszcie podniosła głowę i rzekła głosem czystym, dźwięcznym, w którym żadne wahanie nie drgało:

— Bogdan Porajski kocha córkę pana szczerze i prawdziwie, jest człowiekiem zacnym i szlachetnym, zasługuje więc na to, abyś mu pan szczęścia nie bronił. Byłoby to okrucieństwem, a zupełnie bezużyteczném. Jakaż teraz będzie pana odpowiedź?

— Nie będę bronił...

Tola znowu głowę spuściła. Milczenie trwało dłuższą chwilę— nakoniec, wyciągnęła rękę do hrabiego i patrząc mu prosto w oczy, rzekła poważnie.

— Zrozumiałam pana i dziękuję -zrozumiałam zupełnie i z całém przekonaniem powiadam, że pan jesteś człowiekiem o tyle szlachetnym, o ile bezinteresownym...

W jéj głosie poważnym zabrzmiała ostra, twarda nuta jak zgrzyt metalowéj struny, ale to było zapewne rozdrażnienie. Hrabia biorąc jéj rękę skłonił się z powagą wzruszoną trochę, jak każdy człowiek odbierający patent na bohaterstwo...

Za chwilę powstał.

— A teraz, muszę jechać—rzekł z żalem, jutro znowu przyjadę, jeśli pani pozwoli...

— Nie! zawołała żywo Tola—ja jutro wyjeżdżam na tydzień do Kijowa...

Sulimowski się zerwał.

— A toż co? zawołał z przykrém zdziwieniem.

— Tylko na kilka dni—rzekła Tola, interes mi wypadł konieczny.

— I kiedyż pani wróci?

— Za tydzień... dziesięć dni najwyżéj...

— Jakże ten czas długim się wyda!

Tola nie podniosła tego czułego frazesu, bawiła się swemi pięknemi włosami myśląc o czém inném.

— Mam do pana prożbę—rzekła wreszcie, pozwól mi pan nie robić sekretu z zaręczyn panny Wandy i mówić o nich jako o fakcie dokonanym..

Sulimowski się skłonił.

— Zupełnie panią do tego upoważniam—rzekł, za godzinę to rzeczywiście, faktem już będzie... A zatém pani jedzie... pani da mi znać o powrocie?

— Nazajutrz po nim przyjedziemy do Drewini złożyć życzenia córce pana.

— A zatém do widzenia...

— Wyszedł—za chwilę pani Emilia weszła do pokoju siostry.

— I cóż? spytała.

Toli oczy błyszczały, usta się śmiały z szatańską złośliwością, piekielna ironia piękną twarz szpeciła.

— Mam! mam już połowę zemsty, zawołała—ten kretyn dziś wieczór jeszcze zaręczy swoję woskową córkę Bogdanowi—dał mi prawo rozrządzania tą wiadomością. Teraz mi tamtego potrzeba, pobawię się nim tylko, i wyjadę zaraz...

— Jakto! Sulimowski zezwolił?

— Nie nadarmo wmówiłam w niego że Bogdan mu staje na drodze do mego serca, on dla pozbycia się rywala oddałby więcéj niż córkę. Przekonany że sobie, swojéj zręczności i znajomości ludzi winien to wszystko, spoczywa na laurach—nie domyślając się, że teraz kiedy mi już niepotrzebny, odrzucę go jak znoszoną rękawiczkę... Niemyślę bez koniecznéj potrzeby prowadzić téj niesmacznéj komedyi, która mię nielitościwie nudzi, ach Milo, jakiż on bardzo niemądry, jaki niemądry ciężko, a jak pewny że jest co najmniéj geniuszem.

— Najwygodniéj z takimi...

— Ale jak za to nudno straszliwie!

— Wolisz takiego co ci stawi opór niezłomny?

Tola drgnęła.

— Chcę go mieć tutaj! zawołała—w moich rękach, odpłacę mu za swoje...

XII.

Los był posłuszny życzeniom pięknéj Toli, koło szóstéj wieczorem karosze Porajskiego stanęły przed gankiem Milewa, a on sam

wytwornie ubrany jak zawsze, wszedł do pąsowego saloniku. Ból głowy znać przeszedł trochę, gdyż pani Sawińska siedziała przy fortepianie, jéj białe palce błądziły po klawiaturze, dobywając z niéj przyciszone smętne dźwięki, których nie przerwała za wejściem Karola. Gdy się zbliżył podniosła rękę aby ją podać i w tejże chwili znów ją na klawisze spuściła.

Nikogo więcéj w salonie nie było, Porajski zajął miejsce przy Toli ale gdy chciał zbliżyć się więcéj, piękna pani swobodnym, naturalnym ruchem odsunęła swoje krzesło. Porajski zacisnął usta, krew lekko zafarbowała twarz jego bladą, ale nie powiedział ani słowa. Tola przerwała milczenie.

— Odpoczął pan już po wieczorze? spytała tym tonem wytwornie grzecznym, okraszonym stereotypowym uśmiechem, którym zwykle *bawi się* gości.

— Nie czułem się ani na chwilę zmęczonym. Z zasady nie sprawiam sobie najmniejszego przymusu, gdyby mię towarzystwo nie bawiło, byłbym wyjechał.

Tola się uśmiechnęła znowu.

— Ja bynajmniéj nie utrzymuję że pan się nudził, rzekła—właśnie, wybornie się bawiąc, można sił nadużywać aby zabawę przeciągnąć, a to jest powodem zmęczenia...

— Umiem zawsze utrzymać równowagę, żeby ani zanadto się zmęczyć ani też przerywać zabawę...

Tola uderzyła kilka akordów silniejszych.

— Doprawdy? rzekła po chwili. A mnie się zdawało że pan musisz być bardzo zmęczony.

— I czemże? czy tańcem może?

— Nie. Właśnie, właśnie brakiem równowagi..

Karol poruszył się żywo.

— I w czemże ta równowaga zachwianą była? zapytał.

— W panu samym. Zachodziła sprzeczność między wolą a chęcią, tém samém była walka i zmęczenie...

— A nie możnaby wiedzieć z czém walka?

— Ze znudzeniem co widniało na twarzy...

Karol drgnął gwałtownie.

— To być nie może, zawołał—ja niemam potrzeby zadawać sobie przymusu.

— Ah! czasami, gdy się to dobrze opłaca..... Ale mówmy o czem inném. Więc pan wybornie się bawił?

— Byłem w towarzystwie pani... i skłonił się z galanteryą!

Tola wzruszyła ramionami.

— Ah! tak pan z niego niewiele korzystał... rzekła wesoło.

Skorzystałem jednak...

— W czém?

— Poznałem pani chęci—nie śmiem powiedziéć uczucia...

— Czemu pan nie śmie? ja nie mam nic do ukrycia—nie gram podwójnéj gry więc mi wszystko jedno co ludzie pomyślą czy téż odgadną...

Porajski mocno zagryzł usta...

— Więc dla pani zupełnie obojętne zdanie wszystkich bez wyjątku, zapytał—nie ma takiego z kimby się pani rachowała...

— Zrozumiejmy się. Nie wyznaję bynajmniéj pysznéj obojętności dla świata, nadto lubię życie i nadto mam go w sobie, aby mię ludzie obchodzić nie mieli. Ale moje uczucie, wrażenie każde, nie lęka się jawności—niepotrzebuję kryć jego objawów, dlatego że one komuś tam niepodobać się mogą...

— A jednak są tacy, którym one się bardzo niepodobają—rzekł Karol przez zaciśnięte zęby.

— A—to już ich rzecz nie moja—trudno wymagać aby mnie to obchodziło w czemkolwiek.

Porajski się zerwał.

— I pani to mówi mnie... mnie... najspokojniéj... zawołał.

Tola wypatrzyła na niego szeroko otwarte oczy.

— A dlaczegóżbym ja tego panu powiedziéć nie miała? Cóż znaczy to zdziwienie?

— Dlatego że ja niechcę! niechcę słyszéć tego!

— Na to jest sposób nader łatwy—nie wyzywać odpowiedzi.

— A jeśli się zadaje pytanie, bo się chce usłyszéć odpowiedź—tylko że inną!

— Wolno każdemu pragnąć gwiazdki z nieba.

Porajskiego oczy zaświeciły przykrym blaskiem.

— Porównanie niezbyt trafne... rzekł — głosem syczącym.— Gwiazdki nie dostanie się ręką—a tu właśnie potrzeba... tylko ręki... ale...

— Ale cena jest za wysoką—rzekła Tola zupełnie spokojnie, masz pan słuszność, to cena nie na każdą kieszeń...

I odwracając się od niego uderzyła mocniéj w klawisze a z pod jéj palców wypłynęła polka skoczna, taka świeża a dźwięczna, że aż nogi się rwały do tańca. Porajski usunął się gniewnie do okna, ale niewiele miał czasu na przetrawienie złego humoru, gdyż weszła pani Emilia i do niéj zwrócić się musiał. Nie szła mu jednak rozmowa, był tak roztargniony, że aż parę razy odpowiedział całkiem niestosownie. Pani Emilia nie okazała żadnego zdziwienia ani przez chwilę.

Nareszcie Tola grać przestała i zbliżyła się do towarzystwa. Usiadła na kanapie przy siostrze i wcisnęła się w róg opierając głowę o poręcz, ale zaczepiły się długie pasma jéj włosów jedwabistych i szarpnęła je ręką z ramienia zsuwając, z jakiemś zniecierpliwieniem rozgrymaszonego dziecka, z kaprysikiem ślicznym na twarzy. Pani Emilia z uśmiechem popatrzyła na nią, ugładziła delikatnie włosy nad czołem i spytała łagodnie:

— Jakże z twoją migreną, dziecko?

— Pani cierpiąca?—podchwycił Porajski—panią głowa boli?

— O! już lepiéj, niema o czém mówić...

— I owszem, trzeba pożałować koniecznie... i głos mu zmiękł, nabierając pieszczotliwych dźwięków.

— Szkoda główki biednéj, co tak rozbolała szkaradnie, szkoda pani — powtórzył z uśmiechem pół żartobliwym, serdecznym na pół.

Tola się wstrząsnęła gwałtownie.

— Ja niechcę żeby mnie żałowano! — zawołała gwałtownie — jeden tylko na świecie całym miał prawo tak się do mnie odzywać, mój mąż, dziś nikt tego prawa niema, ja nie chcę! nie chcę!

I łzy zaświeciły w jéj ślicznych oczach szarych.

Porajski spojrzał z upodobaniem i uśmiechnął się.

— Jaka pani znerwowana—zauważył.— Ale choć pani tak stanowczo niechce aby ktoś panią żałował, przyjaciele mają prawo czuwać nad panią...

— Przepraszam—wtrąciła pani Emilia – mnie się zdaje że tylko mąż ma prawo nad żoną czuwać bezprzestannie, tylko od niego można to przyjąć, bo u innych to mija prędko, jak każdy kaprys zresztą...

— Jakto! więc tylko mąż może kochać prawdziwie?

— Ja niewiem czy to się nazywa miłością. Dowiedzioną jest rzeczą, że do wszystkiego co jest naszą wyłączną własnością przywiązujemy się bardzo, a czyż mąż i żona nie należą wyłącznie do siebie? Przytém widząc, że całe życie spędzić z sobą muszą, starają się ułożyć swoje charaktery, tak, aby im było jak najwygodniéj. Nie wiem więc czy to można nazwać miłością, ale jestto uczucie złożone na pół z przyzwyczajenia, a na pół z poczucia własności, to wyradza się w przywiązanie, w przyjaźń trwałą...

— Teorya pani jest prześliczną, ale niestety w praktyce zupełnie inaczéj się dzieje. Przyzwyczajenie uwalnia od wszelkiego przymusu, piękne zalety tracą wartość gdy się codzień ociera o nie, świetny dowcip w życiu codziennem to zbytek nieużyteczny, bo niema dla niego miejsca, rozum powszednieje i następuje obojętność. W życiu wspólném niepodobna aby dwa charaktery, dwie miłości

własne w ciągłém z sobą zetknięciu nie starły się z sobą, nie drażniły się ciągle wzajemnie, nie wytworzyły w końcu niechęci. Niech pani uważa w małżeństwie jak skwapliwie jedna strona wyciąga drugą na słówko, z jaką radością konstatuje winę lub krok niestosowny, bo to daje przewagę. W małżeństwie odjętą bywa największa przyprawa życia—*niespodzianka*, my już wiemy zawczasu co nas spotka, a to odejmuje smak wszelki. To zaś co pani najważniejszém nazywa, poczucie własności odbiera resztę upodobania, jeżeli coś już posiadamy na własność, najczęściéj przestajemy dbać o to...

Przykre uczucie przebiegło po twarzy Toli, gdy Porajski skończył, ozwała się z niesmakiem.

— Obraz, który pan kreśli byłby prawdziwym, gdyby nie był jako reguła postawiony. Zgadzam się na to, że są wyjątki o zmęczonéj głowie, stępionych użyciem nerwach, w których tylko próżność została, których przesyt dusi i każe im szukać w chwilowém wrażeniu zajęcia. Ale tacy ludzie to nie ogół, to chore, znerwowane do ostateczności jednostki, które tułają się nie znajdując miejsca nigdzie, bo w niebo nie wierzą, w piekleby ich niezechciano, a na ziemi się nudzą straszliwie...

Porajski się rozśmiał ostro, przeciągle, szyderczo.

— Ogół jest inny? to wyjątki? — powtórzył. — A czy dziś zna pani choćby jednego człowieka nie mającego rozdrażnionych nerwów? przecież to cecha pokolenia dzisiejszego. Myśmy niewinni temu, myśmy wytworem wieków i pokoleń przeszłych. Jak szeroko hula wiatr po stepach Ukrainy, tak szeroko hulać prawo miały chęci i fantazye ojców i dziadów naszych; królewięta nie znały hamulca dla rozhukanéj wyobraźni i samowoli swojéj. Myśmy jeszcze na to patrzyli, nas uczono żałować namiętnie téj możności użycia, kazano dążyć do niéj jako do jedynego szczęścia. A że już nie było swobody dawnéj, że trzeba się było hamować, że przytém cywilizacya wytworzyła potrzeby nowe dla umysłu ludzkiego, zerwała się równowaga między chęciami naszemi a rzeczywistością i to nam rozstroiło nerwy. Pole naszego użycia zmniejszyło się, więc wyczerpaliśmy je prędzéj, więcéj potrzeb a mniéj wrażeń mamy od przeszłego pokolenia, więc wcześniéj przesyt nastąpił...

— Nie! — zawołała Tola gwałtownie—to właśnie wy jeszcze jesteście zabytkiem wieków przeszłych, nie wolno dzisiejszego pokolenia w ten sposób sądzić, w niém jest życie i przyszłość. Wy schodzicie z pola, gdzie niegdzie tylko tuła się przedstawiciel świata waszego, zewsząd wypchnięty, bo niema już miejsca dla niego.

Porajski wzruszył ramionami.

— Pani zapomina — rzekł — że my zostawiając za sobą wiele przesądów, więcéj jeszcze złudzeń, zatrzymaliśmy rzecz najważniejszą — majątek! Otóż, człowiek posiadający tę najważniejszą dźwignię społeczną, nigdy z życia wypchniętym nie bywa.

— Zostaliście jednak wypchnięci z życia publicznego!

— Bo go u nas niema. . .

— I owszem, ale tylko że was nie wezwano do niego, wiedząc żeście zaskorupieli w egoizmie i nie potraficie nic poświęcić—nic, nawet tego czasu z którym niewiecie co robić. . .

— Nie nazywam tego życiem publiczném. Udawano się do nas o poparcie, ale cóż za cel?

— Tak, wam osobiście nic przyjść z tego nie miało. Usunęliście się przeto, a inni was wyścignęli. Zostaliście daleko za niemi z waszą zgnilizną moralną, z waszym jadem niewiary przekazanym dzisiejszemu pokoleniu jedyną spuścizną, którą po was dostało. A co najgorsza, że wy się nazywacie przedstawicielami kasty całéj szlachecko-ziemiańskiéj, że ci co was znają, nienawidziéć muszą, i tą nienawiścią obrzucają klasę całą, do któréj należycie, nie wiedząc i niechcąc widziéć że wyście wyjątkami tylko. Pokolenie dzisiejsze, synowie wasi, to ludzie pracy i czynu, wyście ludzie użycia, ludzie zastoju, próżniactwa. . .

Porajski się rozśmiał z ironią lekceważącą.

— Ludzie pracy! ludzie użycia! — rzekł zimno — być może to dobre określenie. Ale przecież tak nazwani ludzie czynu, rozbijając się w trudnych warunkach walki o byt, dążą do tego aby nam się stać podobnemi. Tylko że oni mniéj jeszcze możności od nas mają a pragnienia więcéj — pragnienia nie takiego jak nasze, co z pełnym kieliszkiem szampana na całe gardło się śmiało, rzucając garściami złoto na stolik zielony w zapłatę wrażeń doznanych, ale pragnienia gniewnego, ponurego, co pod pachą trzyma rachunkową książkę, a ręką drugą brząka w kieszeni drobną monetą i o wszystko targuje się zawzięcie żeby oszukanym nie zostać. To zmora dzisiejszego pokolenia — nie być oszukanym — to im odbiera sen i apetyt, zatruwa każdą przyjemność, nie użyją żadnéj spokojnie, bo nie są pewni czy ona warta tyle, ile dali za nią. . .

— Bo ciągle i ciągle oszukiwanymi bywali. Mieliście im zostawić rozległe majątki, błyszczące nazwiska, kosztowne pamiątki rodzinne, kilka pięknych idei, kilka celów jasnych, tak zaręczaliście przynajmniéj. A gdy oni do lat doszedłszy wzięli to w ręce swoje, pokazało się że majątki obdłużone wyżéj wartości, nazwiska zszarzane, pamiątki rodzinne zfałszowane. Idee i cele nie były waszemi, dostaliście je sami w spuściźnie jako depozyt święty, a zamiast usza-

nować, użyliście go za pokrywkę do waszych niskich, małych celów, zbrudziliście, zużyli, że dziś wielu i wielu stroni od tego świętego sztandaru, bo nie umie już wierzyć w słowa wypisane na nim, z któremi się wręcz sprzeczały czyny wasze. A czyjaż to wina? wasza—dzisiejsze pokolenie za was pokutować musi...

Porajski się rozśmiał ironiczniéj jeszcze.

— Prawda— rzekł— ale i my nie zupełnie winni jesteśmy. Nie dano nam siły do stawienia oporu pokusom, życie było piękne, więc żyliśmy pełną piersią. Był w nas zmysł estetyczny, była wytworność, dziś ludzie brutalami się stali. Myśmy byli wychowani na dworach, ich kluby tylko kształciły.

— Tak, to też wyście mieli służalstwo dworaków, oni zaś mają siłę dzieci własnych czynów, wolność, swobodę....

— I którą poddadzą pierwszemu lepszemu menerowi, który potrafi w ich słabą stronę uderzyć, a za to zostanie panem ich życia i śmierci. Wolę króla z łaski Bożéj jak dyktatora z łaski motłochu; pierwszy nauczył się już panować, nie upije się władzą jak drugi....

— Drugi za to zna potrzeby tych którymi ma rządzić, cierpiał ich bólem, żył ich życiem.

— I zachował nienawiść wściekłą dla tych, co dawniéj więcéj mieli od niego; ślepą chęć zemsty, odwetu —jakże ma być sprawiedliwym?

— Nie ma za to egoizmu, który gorzéj niż nienawiść zaślepia...

Porajski wzruszył ramionami i nieodpowiedział. Po chwili ozwał się głosem drgającym ironią.

— Pani jako kobiéta, niewdzięczną jest dla nas. Czy dzisiejsze pokolenie ma dla kobiéty to uwielbienie, do którego myśmy ją przyzwyczaili? Dla nas ona była pięknéni życia, dla niéj żyliśmy, a celem naszym było zdobycie jéj uznania i serca. Cóż wam daje dzisiejsze pokolenie? brutalnie usuwa was z drogi swojéj, mówiąc, że liczycie się do konsumentów, kiedy dzisiaj producentem winien być każdy. Dla dzisiejszych ludzi wyście nie pięknéni życia, oni téj potrzeby nie czują, ale zawadą, którą omijać potrzeba...

Oczy Toli błyszczały ogniem posępném, głos był przepełniony goryczą, gdy odrzekła:

— Bo to prawda, bo my nie umiemy stanąć na wysokości zadania naszego. Wyście rozpuścili matki nasze, a one tonąc w puchu nie pomyślały, że ich córkom zabraknie opieki, zabraknie siły. Nie nauczono nas żyć samodzielnie, nie nauczono wystarczać sobie, bo matki nasze nie czuły téj potrzeby nigdy, a dobrze im było na świecie. Wyście szukali zabawki, pod waszą galanteryą kryła się pogarda głęboka, a nasze matki, rade że królują w salonach, nie

troszczyły się o to, wyście mieli sprytne, dowcipne lalki, które zręcznie prowadziły intrygi i zgadzaliście się z sobą. Dzisiejsze pokolenie chce kobiétę szanować, szuka w niéj towarzyszki, przyjaciółki, a nie znajdując, odrzuca cacko wytworne, bo na zabawę brak mu czasu. . .

— Więc pani uznając że dla kobiéty niema dziś miejsca, broni jednak czasów dzisiejszych?

— Dla kobiéty miejsce jest zawsze, tylko dla lalki go nie ma. Kobiéta przygotowana do czynu, da sobie radę na świecie, ale my—my wychowane przez rozpieszczone damy salonów, nie potrafimy tego. Nasze delikatne niedołężne ręce tylko wachlarzem władać umieją, nasz umysł nie przygotowany do poważnéj myśli, my musimy płynąć z prądem, który rzuca nami jak kamykami co na dnie jego leżą. . . Myśmy nie zdolne żyć same przez się, bo nie nauczono nas tego, my musimy być prowadzone za rękę, niesione niemal, i dlatego nieraz zabijamy serce w piersi, każemy milczéć duszy i wbrew przekonaniu wychodzimy za takiego co nam da to, czego nie zdobędziemy same: pozycyą pewną, firmę uznaną. . .

— Tak więc uznając złe, nie staracie się mu zapobiedz, nie wierząc same sobie, chcecie żeby wam jednak wierzono? To niepodobna, wam wierzyć trudno, bo za często kłamiecie aby zyskać tę pozycyą szukaną. Wieluż to z nas serce swoje rzuciło pod nogi kobiécie, a w zamian otrzymało uśmiech kłamliwy, przysięgę zdradną; wieluż to wyciągnęło rękę po gwiazdę a dostało kawałek złoconego papieru? i wy się dziwicie że wam wierzyć nie chcą?

— Nie wierzcie, ale nie nam przypisujcie winę tego stanu rzeczy. Od dzieciństwa nam powtarzano żeśmy wyjść za mąż powinne, to téż wychodziłyśmy tak jak matki nasze, aby zyskać swobodę. A jeszcze, jeśli która z nas młodych spotkała na drodze takiego co wstrząsał jéj wiarą i przekonaniami, czy téż tém co nazywano tém mianem, czego uczyć się jéj na pamięć kazano, gangrenował pojęcia, drwił ze wszystkiego co ludzie zwą świętem, to wrażenie zostało na zawsze i ta kobiéta nie mogła już nigdy stać się kobiétą, ona jak owa Zosia z *Dziadów* między niebem i ziemią lata w powietrzu, ziemia ją wabi i niebo wabi, ale lekka jak puszek kwiatowy, nie zatrzyma się nigdzie . . . Tak i my. . . Te co się dziś wychowują, objęte prądem nowych idei, wykształcone inaczéj, potrafią się oprzéć życiu, potrafią zapanować na sobą, nad chęcią użycia bez pracy, zwalczyć ten denerwujący wpływ pokus co ich wabić będą, my — dziś żyjące i działające — możemy uznać winę, boleć ciężko, ale poprawić się nie mamy siły. Jednę tylko zyskamy zasługę, inaczéj niż nas wychowano, my wychowamy córki nasze, one będą umiały wal-

czyć i za miskę soczewicy nie sprzedadzą prawa starszeństwa ducha swojego...

Piękna twarz Toli drgała całą gamą wzruszeń. Porajski spojrzał z upodobaniem, wydała mu się bardzo ponętną w téj chwili. Z jéj słów gorących, które może dawały klucz do charakteru téj kobiéty, on słyszał to tylko co miało związek z jego pragnieniem, chęcią, z planami jego, on to podniósł tylko.

— Jako pociecha w smutnéj chwili zostaje nam piękno życia, poezya i wdzięk—uczucie. Czyż kobiéta bez serca rękę oddawszy nie pokocha już nigdy? tak nie jest i być nie powinno... Odrzućmy na bok przesądy, które zasadami mianują, miejmy odwagę—cynizm—jeśli pani nie razi to słowo — raz głośno wyznać to co wszyscy praktykują w życiu. Dobrze was matki uczyły, że za mąż trzeba wychodzić, że małżeństwo to pozycya pewna, to forma uznana, bo téż tak było, jest i będzie. Ale małżeństwo to proza życia, serce w niém zwykle niema udziału, to tylko konwencya, układ obustronny, złączenie dwóch pozycyi odpowiednich sobie, lub się dopełniających wzajemnie. Po za granicą prozaicznego domowego życia jest inne, życie umysłu i serca... życie miłości, uczucia. Tola chłodła, cierpła rzec można stopniowo na te lodowate słowa co spadały na jéj zapał jak krople wody zimnéj. Gdy Porajski skończył, ona powstała powoli,—poważna, chłodna, surowa.

— Nie profanuj pan tego słowa—rzekła.— Zabija się czas, stara się zająć zleniwiały umysł, ale nie nazywaj pan tego uczuciem. Ani wy—co pod tém uwielbieniem pozorném dla kobiét kryjecie pogardę i lekceważenie, ani my—udające że wierzymy wam, póki nas to bawi lub póki w tém mamy widoki, kochać nie umiemy i umiéć nie chcemy. Jest-to obustronna komedya, gra o zakrytych kartach, w któréj zręczniejszy wygrywa. Wiemy że to komedya, to téż nie bierzemy jéj na seryo, a gramy, bo nic zabawniejszego nie mamy do roboty... Każdy z nas na scenie wygląda prześlicznie, umalowany, ucharakteryzowany, upozowany, a za kulisami dopiero można twarz właściwą zobaczyć: zwiędłą, bladą, zmęczoną, znudzoną. Innemi jesteśmy niż się okazujemy...

— To téż cała sztuka życia zależy na tém, aby podejrzéć karty przeciwnika i tak zręcznie zagrać, aby wyrzucić mu z ręki atuty...

— Tak, sztuka to wasza, wyście jak szulerzy zręczni, jak oni nie macie skrupułów, jak oni gdy karta nie idzie, umiecie odrazu woltę urządzić, albo grać fałszowanemi kartami... To specyalność wasza... Pamiętajcie jednak, że czas wasz minął, że wy i wasi następcy lada chwila ustąpić z pola musicie. Wczoraj było wasze, dzisiaj do innych już należy, a jutro was zmiecie...

Porajski wzruszył ramionami.

— I cóż z tego?— rzekł z szyderstwem palącem. — Toż właśnie w tych słowach pani jest wytłómaczenie nas i życia naszego. O cóż mamy się troszczyć? tego co nam z dnia wczorajszego zostało do jutra wystarczy, a co po nas będzie, to mniejsza—*après nous le déluge*. My wiemy—my, ludzie użycia—że jutro nie nasze, ale że naszym jest świat cały, póki mamy mu czém zapłacić za wrażenia, których żądamy od niego. I po cóż dbać nam o jutro, kiedy ono nie nasze? poco dbać o ludzi, kiedy to nie nasi ludzie, nie naszych pojęć? oni nas nienawidzą, my z nich drwimy... myśmy ludzie innych czasów. Ale czy pokolenie dzisiejsze, ci ludzie, których pani podnosi, przetrwają to co spadło na nich? Obalili wczoraj, mówiąc że ono przestarzałe, choć niejeden filar stał tam mocno, taki, obok którego myśmy przechodzili, nie opierając się o niego, ale stojąc w jego cieniu. Oni na sobie chcą oprzéć fundamenta przyszłości... Do tego pani kochana potrzeba apostołów, bohaterów, a dzisiejsze pokolenie, niestety, niema w sobie ani wiary chrześcian pierwotnych, ani ich siły, ani namaszczenia—zadaniu nie podołają.

Tola głowę spuściła.

— Boście im zostawili niewiarę—rzekła smutno bardzo—bo oni po was dostali przeczenie wieczne, bo już w nic wierzyć nie mogli, odebraliście im wiarę każdą...

— Najwięcéj bo niemieli wiary w siebie, pani droga, bo pigmeje, liliputy nie mieli siły podnieść ciężaru i nim go wzięli jeszcze na barki, już zdjął ich strach paniczny. Cóż my winni, że podczas gdy myśmy spijali wino, wiedząc że jeszcze pełna piwnica, mieliśmy hasło *quand il n'y en a plus, il y en a encre* i było nam dobrze, wesoło, swobodnie, wierzyliśmy w siebie, w uciechy których używaliśmy do woli. A oni schwycili nasze niedopite kieliszki zostawione na stole i wychylili je do dna, do mętów, bo wiedzieli że to już reszta, że nie dostaną więcéj, że to już kropla ostatnia. Ich poeta Hugo, gdzieś tam napisał czy powiedział przecież, że ostatnia kropla najlepsza— najlepsze ostatnie uczucie co przepala okruchy serca, najlepsze ostatnie wrażenie co wstrząsa stępiałemi nerwami, najlepsza kropla ostatnia, bo po niéj już nie ma nic... Cóż my winni że oni tak smakując tę kroplę ostatnią, mętami się struli?

— A pocóż zabraliście wszystkie wino dobre, im zostawiając męty same?

— Ha! cóż robić, pierwsza miłość od siebie, czemu się wcześniéj od nas albo późniéj od moich wnuków nie porodzili.

Tola popatrzyła na niego z gniewem tłumionym, za chwilę rzekla tonem lekkim, swobodnym, szyderczym.

— Ale my od godziny prowadzimy tak poważną dysputę, jakbyśmy mieli zamiar świat odbudować. Zdaje się jednak, że żadne z nas téj pretensyi nie ma. Ludzie dobrze wychowani nie bawią się w utopie—nieprawdaż?

— W saméj rzeczy jestto ogromnie *mauvais genre*.

— A zatém mówmy czemprędzéj o czém inném...

— A mianowicie?

— Choćby o małżeństwie...

Oczy Toli tak złośliwie błysnęły, że Porajski się zaniepokoił.

— A cóż ciekawego można w tak nieciekawéj kwestyi upatrzyć? — zapytał.

— Bardzo wiele. Ja doprawdy z przyjemnością słuchałam pańskiéj teoryi.

Porajskiemu oczy błysnęły—przysunął się.

— Zaręczam pani, że według niéj się rządzę i rządzić będę—rzekł głosem gorącym, stłumionym.

— A zatém, gdyby się pan ożenił...

— Byłoby to dla mnie formą tylko, życie domowe nigdy nie zajmowało dużo miejsca u mnie. Treść mego życia i jego poezya gdzieindziéj się znajduje, nie w małżeństwie z konwenansu.

Tola zbladła lekko, jéj usta zadrżały, gdy spytała:

— Więc pan przyznaje zamiar zawarcia takiego małżeństwa...

Porajski zawahał się na sekundę, zmięszanie zamigotało mu w oczach, ale odparł głosem silnym, spokojnym:

— Tak pani.

Teraz purpurowy rumieniec oblał twarz, czoło i szyję Toli, spuściła szybko głowę. Gdy po chwili spojrzała na Porajskiego, jéj szare źrenice miały zimny połysk gładkiéj stali, w jéj głosie pieszczonym były także ostre, stalowe dźwięki, gdy rzekła:

— Teorya pańska obiecuje, że nie podda się pan rozpaczy, jeśli przyjdzie inny wybór zrobić...

Porajski spojrzał niespokojnie.

— A dlaczegóż miałbym to robić? — nic stosowniejszego nie znajdę...

— Pan się zgadza — rzecz do połowy zrobiona...

— A ponieważ nic na przeszkodzie nie staje.

Oczy Toli ostrzéj, zimniéj błysnęły.

— Czyś pan tego pewny — spytała.

— Najzupełniéj.

— A gdyby się pan mylił?

— Niepodobna. — I cóżby mi na drodze stanąć mogło?

— Naprzykład: zajęcie się pańskiéj wybranéj kim innym...



Porajski się rozśmiał.

— Ależ ja nie będę zazdrosny...—rzekł pochylając się do Toli—ja najzupełniejszą swobodę zostawiam, bo żądam podobnéj dla siebie...

Piękna pani odsunęła się.

— A jeżeli— ciągnęła daléj — ona nie podziela pańskich teoryj i jest o tyle naiwną, że woli wyjść za tego, kim się zajęła?

— Wyperswaduje się jéj te chęci.

— Kto się tego podejmie?

— Ci, których to jest obowiązkiem i prawem naturalném.

— To ma znaczyć rodzice, ale jeżeli ci jéj wybór potwierdzą?

— Ponieważ jestem przekonany o czém inném, akceptuję na teraz przypuszczenie pani.

— Pozwól mi pan bawić się niemi, przecież to nieszkodliwe. Otóż, w razie gdyby one prawdą były, cóżbyś pan zrobił?

— Nie myślałem jeszcze o tém.

— Pomyśl pan.

— Po co?

— Dla zrobienia mi przyjemności.

Porajski poruszył się żywo. Sami tylko we dwoje byli oddawna, Czarnowski wyszedł od godziny, pani Emilia wysunęła się za nim, blask jedynéj lampy padał na stolik i kanapę, resztę pokoju zasłaniając w półcieniu. Przez otwarte okno wchodziło wieczorne ciepłe powietrze, woń róż i rezedy z ogrodu, jakiś daleki odgłos ptaków wodnych co w oczeretach na stawie się odzywały i promienie księżyca co świecił w pełni. Jakieś prądy elektryczne drgały w powietrzu, gorąco było. Tola wpół leżała na kanapie, orzucona swoim pąsowym szlafrokiem co odkrywał jéj idealnie piękną szyję i utoczone ręce, opłynięta pasmami kruczych włosów, z uśmiechem sfinksa na purpurowych ustach, z rumieńcem wypieczonym na twarzy. Drobne potu krople perliły się na jéj marmurowem czole, mała ręka zacisnęła się na poręczy kanapy jakby kurczem ścięta, oczy zapatrzyły się nieruchomo w Porajskiego. On milczał. Jego oczy nie mogły się oderwać od tego ponętnego obrazu.

— Pomyśl pan... — szepnęła Tola—z prośbą w głosie.

Pochylił się do niéj tak blisko, że poczuła gorąco jego oddechu.

— Zrobiłbym teraz to, co zamierzałem zrobić dopiero po ślubie moim — rzekł szeptem namiętnym.

Piękna pani w tył głowę pochyliła, obrzuciła go spojrzeniem przeciągłem, uśmiechnęła się powabnie i spytała z żartobliwą przekorą.

— A mianowicie?

Położył rękę na jéj ręku.

— Przestałbym walczyć z tém co mną coraz bardziéj owłada— szepnął.

Tola zbladła bardzo, oczy jéj strzeliły błyskawicą, zerwała się z kanapy i o krok daléj stanęła.

— A więc—rzekła—w téj chwili hrabianka Wanda jest już narzeczoną Bogdana Porajskiego.

W jéj głosie suchym, ostrym, szyderczym, nie było i śladu tych pieszczotliwych dźwięków co w nim brzmiały przed chwilą. Porajski osłupiał jakby w niego piorun uderzył, ale otrząsnął się szybko.

— To być niemoże! — zawołał.

Tola wybuchnęła śmiechem, który się złamał w jéj gardle.

— Czy mam pozór osoby żartującéj?—spytała.—Zaręczam panu, że dziś odprawiają się w Drewini zrękowiny. . .

Gniew namiętny błysnął w oczach Porajskiego, żyły mu wystąpiły na czole.

— Czyżby śmieli! — zawołał głosem stłumionym.

Z ust Toli wybiegła gamma śmiechu, tym razem perlistego, szczerego, dźwięcznego.

— A dlaczegóżby nie? — zawołała z ironią palącą — czyż pan pozjada ich żywcem? czy jak w dawnych dobrych feudalnych czasach pan zbierze wasalów i zbrojną ręką na ich pałac najedzie?

Porajski się zatrząsł gwałtownie.

— To być nie może! — zawołał. — Cóżby się stało?

Tola położyła mu rękę na ramieniu.

— To się stało—rzekła poważnie, smutna niemal—żeś pan grał niedobrze; podgrywał pan przeciwnika, ale atuty nie w jego ręku zostawały. . . nie widząc kart, ufał pan w swoje szczęście do gry i zręczność w urządzaniu wolty, a tymczasem inne były karty niż pan sądził, i dziś—po raz pierwszy w życiu może— musisz pan uznać przegraną.

I odwracając się cichym, wolnym krokiem wyszła z salonu. Długi ogon jéj pąsowego szlafroka wlókł się za nią z cichym szelestem, jedwabiste włosy opływały ją płaszczem królewskim. Doszedłszy do drzwi, obróciła się raz jeszcze, trzymając już rękę na klamce.

— Żegnam pana. . . —rzekła głosem, w którym łzy drżały.

Zbudzony z odrętwienia poskoczył ku niéj, ale znikła szybko za drzwiami i usłyszał klucz obracający się w zamku.

Wybiegł jak szalony przed ganek, konie stały niewyprzężone, wskoczył do powozu i kazał pędzić do domu, nie żegnając się z gospodarstwem.

Gdy po jego wyjeździe pani Emilia chciała wejść do pokoju siostry, zastała drzwi na klucz zamknięte. Pomimo prośby, nieotworzono jéj.

Nazaj utrz piękna Tola wyjechała do Kijowa.

XIII.

Porajski wrócił do siebie rozszalały gniewem. Gdyby nie było tak późno, zawróciłby do Drewini, ale mógł tam stanąć dopiero koło jedenastéj w nocy, nie chciał być śmiesznym, a rola odrzuconego konkurenta, zazdrosnego o szczęśliwszego rywala, nie uśmiechała mu się bynajmniéj.

Po namyśle uznał, że to nie może być prawdą. Jeszcze na balu w Milewie pewnym był swego, — skądżeby zmiana tak nagła? Ale w tejże chwili stanęła mu przed oczami Tola Sawińska, taka śliczna, tak bardzo ponętna w swojéj różowéj sukni na tym balu pamiętnym. Zgrzytnął zębami wspominając, że ona dla niego tylko zbroiła się w lodowatą ironią, dla niego, który miał przecież sam jeden więcéj praw do niéj jak wszyscy tam zebrani. Dla innych miała uśmiech wabiący, powłóczyste spojrzenie, szczególniéj dla Sulimowskiego. I przypomniał sobie jaki go gniew ogarnął szalony, gdy Sulimowski, kwiatem z Toli bukietu wyjętym udekorowany, wybiegł dla niej po lody, jak się ostro przemówili wtedy. Ale czyż to mogło wystarczyć aby go ominęła ręka hrabianki, aby on, Karol Porajski rekuzę dostał? Krew uderzyła do twarzy ukraińskiego magnata, jakto, on— on miałby zostać odrzucony? nie! to niepodobna, bo wszystko na tém samém miejscu co zawsze, bo ludzie zawsze ludźmi, on ich zna tak samo jak dawniéj i jak dawniéj potrafi kierować nimi. Nie, to był wybieg Toli, chęć popchnięcia go do jakiego stanowczego kroku, przeciągnięcia go do siebie, bo dawno go odpychała na pozór, ona jego kochała, jego jednego...

Tak, to było niepodobieństwem aby jemu się coś niepowiodło. Jedno nieudało się tylko. Bogdan nie zawrócił sobie głowy Tolą, z początku postawił się jako przyjaciel, a gdy piękna pani chciała zostać czém innem, tak widocznie jéj pierwsze kroki odrzucał, że niemożna było wyszukać pozoru nawet sprzeniewierzenia się Wandzie.

Ale ona, ona, ta śliczna Tola, ona się wprost kompromitowała dla Bogdana, a teraz mówiąc o jego zaręczynach, była tak silnie wzruszona, może tego była taka chora, znerwowana, czyżby ona tamtego kochała? Porajski się zerwał jakby ukąszony przez żmiję. Uczuł tak silne wrażenie jakiego pewno nigdy Wanda mu sprawić nie mogła. Jakto, owa śliczna, powabna w najwyższym stopniu kobiéta, mogłaby obojętnie go minąć, innego szukając? przy nim chłodna, szyderska, ożywić się dla Bogdana? czyż te śliczne oczy szare miały patrzéć słodko, namiętnie rękę wyciągać, usteczka szeptać słowa gorące, a to wszystko nie dla niego—nie! raczéj wszystko,

on jéj nie mógł ustąpić nikomu. A jednak, cóż robić było? miał ręce związane, trzeba było kończyć z Wandą, a tém rozwiązywały się ręce Bogdana, który odepchnięty, mógł przez zawód się zwrócić do Toli. Cóż robić? jak się obrócić, żeby nie dać wyrwać sobie ani pewnéj, silnéj podstawy życia, którą widział w małżeństwie z Wandą, ani téż tego co pobudzało napowrót jego stępione nerwy, które już dawno tak poruszone nie były. Och, ten człowiek! ten człowiek co mu stanął na drodze! co nie chciał odegrać roli przeznaczonéj sobie! z jakąż przyjemnością byłby go własnemi rękami udusił, jaką czuł zazdrość szaloną względem niego. Chciałby mu wydrzéć wszystkie słowa, spojrzenia, uśmiechy Toli Sawińskiéj, chciałby go usunąć na zawsze z drogi hrabianki Wandy i zmiażdżyć za to, że mu przeszkadzał...

Bo i czemuż Bogdan nie ukazał się późniéj, po jego ślubie z hrabianką, gdy mając już ręce wolne mógł cały czas poświęcić na zyskanie Toli Sawińskiéj? Niechby wtedy synowiec gruchał sobie z młodą stryjenką, niechby przechadzali się razem po ogrodzie kwiecistym platonicznéj miłości wśród westchnień, łez, uśmiechów i pamiątek, onby im przecie nie przeszkadzał wtedy... A teraz ten człowiek mu bruździł przy jednéj i drugiéj, w dziedzinie prozy i w kraju poezyi, zyskiwał serce pięknéj Toli, dobijał się o rękę bladéj hrabianki...

A może to i prawdą było, że został przyjęty? że plany Karola się niepowiodły, może trzeba było uznać przegraną. I tak się męczył do rana przeżyty sybaryta, już dobrze dniało gdy zasnął wreszcie. Zbudził się późno, zmęczony, rozdrażniony, z silnym bólem głowy. Niesmak czuł dzienny, nie mógł jeść śniadania, miejsca znaleść sobie albo téż zająć się czemkolwiek, przemęczył się do obiadu i zaraz kazał zaprzęgać wybierając się do Drewini. Nie wierzył Toli, był jednak niespokojnym bardzo i zamyślił, dziś, zaraz, ostatecznie się oświadczyć, nie chcąc być narażonym na podobne wrażenia.

Ale w miarę jak się zbliżał do Drewini, wzmagał się jego niepokój, gdy stanął przed gankiem pałacu, jakiś dreszcz niemiły go przebiegł. Lokaj na jego przyjęcie poskoczył otwierając drzwiczki powozu. Porajski o mało co go nie zapytał czy nic nie słychać nowego...

W przedpokoju spotkał Ellę, która mu się ukłoniła niżéj niż zwykle, nie ukrywając uśmiechu jakby drwiącego. Porajski drgnął silnie i blady rumieniec mu na twarz wystąpił. Mis Ella nie mówiąc i słowa posunęła się daléj, machinalnie szedł za nią przez szereg pokoi aż na taras ogrodowy i tam stanął jak skamieniały...

Hrabia czytał gazetę przy stole, a nieco opodal, rozmawiając żywo, pochyleni ku sobie, z wyrazem szczęścia na twarzy, siedzieli Bogdan i Wanda...

Hrabia poruszył się żywo i posunął do gościa; jego blada angielska twarz wykrzywiała się wyrazem złośliwego tryumfu, cienkie zwiędłe wargi uśmiechnięte były szyderczo.

— A cóż za miły i pożądany gość! — zawołał żywo.

Porajski nie mógł głosu z gardła wydobyć.

— Może przeszkadzam — syknął przez zaciśnięte zęby — a oczy jego z bezsilnéj wściekłości wyrazem wpiły się w młodą parę.

— Ale cóż znowu! przeciwnie, brakowało nam pana do uroczystości familijnéj... przywiązany stryjaszek raczy pobłogosławić młodą parę... wczoraj synowiec pana otrzymał słowo nasze i Wandzi... szczerze się cieszę że nasze rodziny będą skoligacone z sobą...

Porajski nie był w stanie słowa wymówić. Bogdan się zbliżył podając mu rękę, on jak automat nie odpowiedział, siadając bezmyślnie na podanem krześle i wprost naprzeciw siebie zobaczył złośliwy uśmiech mis Elli. Wstrząsnął się cały i w jednéj chwili stał się panem siebie, zwracając do młodéj pary z powinszowaniem stosowném. Ale o mało znowu nie stracił panowania nad sobą, gdy na wąskiéj bladéj twarzy hrabiego zobaczył wyraz złośliwego tryumfu i szyderstwa.

— Rzeczywiście — rzekł Sulimowski cedząc wyrazy — można winszować, bo to małżeństwo raz na zawsze tamę położy różnym wyrachowaniom... Zapewne że byłoby wygodnie dostać najlepszą partyą w okolicy i opierając się na moim wpływie, stanąć wysoko, ale widzi pan nie wszystko udać się może, dzięki Bogu ja mam dobre oczy i niedam się użyć nikomu za narzędzie, tém mniéj za podnóżek... Wiem że zaręczyny mojéj córki niepodobają się bardzo tym co mieli zamiar moje wpływy i położenie zużytkować dla siebie... ale—przyznam się panu—że to był właśnie jeden z powodów, które skłoniły mię do przyjęcia pańskiego synowca...

Porajskiego paznogcie wpiły się w ręce, hrabia wyraźnie do niego mówił i napawał się tryumfem, tym tryumfem ludzi miernych nad rozumniejszymi od siebie, na których chcą odwetować tysiące drobnych upokorzeń i przykrości, tych maleńkich dłużków, które z taką rozkoszą oddają przy sposobności. Porajski do krwi usta zagryzł, potrzeba było wybrnąć koniecznie z tego położenia, postawić się na stronie, tak, aby te pociski nie mogły go dotknąć... On nie chciał przyjąć roli odrzuconego konkurenta, trzeba było szybko woltę urządzić, przypomniał sobie słowa Toli i stanąć nie jako odrzucony ale odrzucający...

Jak błyskawica szybko myśl mu przebiegła przez głowę, — zawahał się, bo ofiara wielką była a tém samém walka, ale to trwało niedługo, bo innego wyjścia z honorem nie było i głosem spokojnym, pewnym, stanowczym rzekł, nie spuszczając oczu z hrabiego:

— Cieszę się niezmiernie z pańskiego postanowienia, témbardziéj że i ja w ślady mego synowca wstępuję... Właśnie przyjechałem oznajmić o tém panu hrabiemu, a przyznaję, niewiedziałem jak się wziąć do tego... dziękuję jak najszczerzéj za ułatwienie mi tego kroku...

Sulimowski zzieleniał.

— Panie łaskawy—rzekł z wysoka—a z jakiejże daty ten zaszczyt miał mnie spotkać? przecież opiekunem pana nie jestem, sądzę, że pan już dawno doszedł do pełnoletności...

— Ja też właściwie nie o radę chciałem prosić pana hrabiego, ale niemniéj trudno mi było oznajmić moje postanowienie... przyzwoitość wymagała aby pan hrabia pierwszy o niem wiedział.... z powodu...

— Ależ ja żadnych praw sobie nie roszczę do tego! — przerwał szybko hrabia — żadnych, żadnych...

— Tém lepiéj że wspólnie jesteśmy zadowoleni...

Blade oczy hrabiego niespokojnie błyskały, usta się zaciskały niechętnie. Tryumf mu się z ręki wymykał.

— Czy można wiedziéć nazwisko wybranéj pana? — zapytał cierpko.

— Dlaczegóżby nie. Jestto odnowienie dawnego uczucia, znałem ją dzieckiem prawie, dziś przypomnieliśmy sobie dawne czasy...

— O kim pan mówi? — zapytał niespokojnie hrabia — przecież nie o... i urwał.

— Moją wybraną jest pani Tola Sawińska.

Sulimowski podskoczył.

— To być nie może! — zawołał.

Porajski spojrzał przez ramię.

— Dla czego? — spytał wyniośle.

— Bo... bo... ona pana nie kocha...

Dwie plamy czerwone wystąpiły na twarz Porajskiego.

— Pozwoli pan hrabia mnie o tém sądzić...

Sulimowski przypomniał sobie scenę wczorajszą, zawahał się przez chwilę. Ale nie, Tola nie grała komedyi, on byłby się przecież poznał na tém, to Porajski znalazł wykręt bezczelny. Zaświeciły mu oczy złośliwością i rzekł z szyderczym uśmiechem.

— O uczuciach pani Toli wiem od niéj saméj...

Porajski do krwi usta zagryzł.

— Może pan się ze mną podzieli tą wiadomością — rzekł.

Sulimowski z góry spojrzał.

— Ufności kobiéty się nie zdradza—rzekł zimno.

— O! jeśli coś na wiatr było powiedziane... Zresztą fakta mają wymowę, do któréj słowa nie dojdą nigdy...

— Jakto! czyż to już do faktów zaliczyć można?

Porajski powstał sztywno.

— Daruje pan hrabia—rzekł— ale usłyszawszy przed chwilą że pan hrabia moim opiekunem nie jest i do mego zaufania żadnych pretensyi nie rości, nie mam odwagi nudzić go swemi sprawami...

I zaczął się żegnać ceremonialnie, ale wtém Bogdan usłyszawszy o co idzie, zaczął mu tak żywo winszować wyboru, przypominając rozmowę, w któréj o tych zamiarach mowa była, że hrabia na seryo uwierzył i wpadł w wściekłość niemal, na myśl, że Porajski tak długo grał grę podwójną i oszukiwał go udając zamiary, których w rzeczywistości nie miał. To téż pożegnanie cierpkie i wymuszone z obu stron było, za chwilę Porajski już siedział w powozie.

— Do Milewa! jedź jak najprędzéj!—krzyknął na stangreta.

Konie jak wiatr pomknęły, a Porajskiemu zdawało się, że one ledwo idą. — Prędzéj! prędzéj — wołał co chwila — a stangret ruszał ramionami, mrócząc: ki bies go opętał do licha!

Pędzić kazał jakby bez Toli żyć nie mógł, a jednak w téj chwili nienawidził jéj, nienawidził za to, że uledz jéj musiał, że ona za chwilę dopiąć celu miała, że on jechał ofiarować jéj rękę i majątek, to właśnie do czego ona dążyła, po co przyjechała w te strony. I znikł mu z oczu czar pięknéj pani, znikło uczucie co go ożywiało przy niéj, znikły z pamięci chwile, w których był tak bardzo o nią zazdrosny. I czegóż ta zazdrość trwać miała? ona teraz będzie jego własnością i już nigdy go nie narazi na tego rodzaju uczucie, nikt do niéj się już nie przysunie, nikt nie dostanie ani jednego z tych powłóczystych spojrzeń, czarownych uśmiechów, słówek jedwabnych, którémi piękna pani tak wabić umiała, to wszystko już jego, tylko jego własnością będzie, on się postara aby do zazdrości powodu nie mieć... Ale natomiast na myśli stało mu ciągle, że w tém małżeństwie daje wszystko, majątek, imię, położenie, stosunki—Tola nic, prócz dworu wielbicieli, których naturalnie przepędzić miał zamiar stanowczo.

— Robię wielkie, szalone głupstwo—rzekł sam do siebie zgrzytając zębami — ale mam nóż na gardle...

Takiémi uczuciami ożywiony jechał oświadczać się Toli Sawińskiéj, a gdy zabielał dwór Milewski, siłą przywołał uśmiech na usta,

które mimo jego woli wykrzywiały się brzydkim nerwowym grymasem, i z tym wymuszonym uśmiechem wysiadł, gospodarza witając.

Wszedł do saloniku, gdzie przyjęła go pani Emilia, zawsze jednakowa, z tą samą zagadkową twarzą, z któréj nic wyczytać nie można było. Rozmowa się poczęła leniwie, zamieniwszy kilka frazesów obojętnych, Porajski powstał.

— Potrzebuję się widzieć z panią Sawińską— rzekł— muszę się z nią zaraz rozmówić...

Niedostrzegalny uśmiech przewinął się po ustach pani Emilii.

— Żałuję że to jest niemożebnem — odparł obojętnie.

— Ale ja mam jéj ważną bardzo rzecz do powiedzenia! potrzebuję ją widzieć, natychmiast— nawet gdyby chorą była — musi mnie przyjąć!

— Tola jest zdrową zupełnie i gdyby to było podobném, zarazbym pana do niéj zaprowadziła, ale jéj niema, wyjechała dziś rano.

Porajski się zatrząsł gwałtownie.

— Co! — zawołał — wyjechała! gdzie! jak! kiedy!

— Dziś rano.

— Po co?

— Interesa tego wymagały.

— I gdzie?

— Tego nie umiem napewno panu powiedzieć...

— Jakto! cóż to znowu ma znaczyć! pani nie wié?

— Niewiem. Jéj prawnik wezwał ją do Żytomierza a ztamtąd niewiadomo dokąd pojedzie.

— Po cóż do Żytomierza? gdzież ztamtąd miała jechać?

— Albo do Kijowa albo może aż do Odessy.

— Ależ teraz nie kontrakty i żadnych interesów niema!

— Jednak dla niéj wypadł.

Porajski przeszedł kilka razy przez salon.

— Ale ja muszę ją widzieć— zawołał— albo przynajmniéj napisać do niéj, i to jaknajprędzéj, koniecznie! proszę o adres...

— Niemam go.

Porajski wpatrzył się w nią, jakby powątpiewał o dobrym stanie jéj zmysłów.

— Daruje pani— rzekł zimno— ale ja muszę, muszę mieć adres pani Toli, to mi koniecznie potrzebne, — cóż pani za rodzaj gry wybrała zemną?

— Ależ ja mówię na seryo że niemam adresu Toli. Nie wiem gdzie stanie—w Żytomierzu, dokąd pojedzie ztamtąd i jak długo zabawi, bo to zależy od jéj widzenia się z adwokatem. Ona sama nie wie po co ją wezwano.

— Proszę o adres jéj adwokata.

— Niewiem nawet jego nazwiska.

Porajski się zaczerwienił gwałtownie.

— Pani daruje—rzekł tłumiąc gniew co go dusił— ale nie mogę wierzyć temu co słyszę. Pani Tola rozgniewała się na mnie, biorąc na seryo, co próbą było jedynie — wyjechała, zalecając pani milczenie. Rozumiem, ale zaręczam słowem honoru, że pani Tola będzie serdecznie wdzięczną, jeśli pani przekroczy jéj instrukcye. Ja biorę na siebie przebłaganie jéj, ja muszę ją widziéć albo napisać do niéj.

Pani Emilia wytrzymała spokojnie jego spojrzenie i odparła z uśmiechem:

— Nierozumiem co pan chce przez to wyrazić. Tola ani myślała się gniewać, przeciwnie ma pan w niéj szczerą przyjaciółkę. Nie nakazała mi bynajmniéj milczenia, nie przyszło jéj na myśl nawet, że ktoś może jéj szukać, więc téż nie myślała o ukrywaniu się...

Porajski gniewnie tarł czoło; milczał przez chwilę.

— Przyślę pani list— rzekł wreszcie— niech pani go odda.

Pani Emilia wzruszyła ramionami.

— Ależ powtarzam raz jeszcze, że niemam adresu Toli – rzekła tym samym zawsze głosem. — Mogłabym go oddać za tydzień lub dziesięć dni gdy Tola wróci, a wtedy pisać niewarto. . .

— A! więc wraca!

— Za tydzień może, dziesięć dni najdaléj. . .

— A zatém, nie pozostaje mi jak panią pożegnać, przyślę tu za parę dni dowiedzieć się czy pani nieotrzymała listu z adresem, bo mi bardzo na pośpiechu zależy. Jeżeli pani Tola oznajmi dzień swego powrotu, pani będzie łaskawą bezzwłocznie mię zawiadomić. . .

— Nie omieszkam zadość uczynić żądaniu pana. — Pan ucieka?

— Spieszę się bardzo.

Pani Emilia skłoniła głowę nie zatrzymując gościa, który wyjechał błogosławiąc jednakowo kobiéty wszystkie, Sulimowskiego i Bogdana.

Ani na chwilę nie wierzył słowom pani Emilii i do ostateczności drażniła go myśl, że może Tola zechce teraz odegrać komedyą drożenia się z sobą. Przytém, myśląc że ona znowu jest otoczoną wielbicielami, uczuwał zazdrość gniewną; teraz już przynajmniéj nikt niema do niéj prawa żadnego, on dość wysoką ceną opłaca jéj własność wyłączną. . Pilno mu było złotego motyla zatknąć na szpilkę, żeby nie fruwał z kwiatka na kwiatek, a tu motyl odleciał daleko że i widać nie było co robi, czy czasem nie nadużywa wolności. . . .

Przytém położenie jego nie było miłem. Bądź co bądź oznajmił swój zamiar, a zatém czas go było w dziedzinę faktów wprowadzić. Niemiał zupełnie ochoty spotkania kogokolwiek teraz, gdy zaręczyny Bogdana stały się wiadome, nie mając na obronę nowiny drugiéj swoich zaręczyn. Tym sposobem jedynie mógł odeprzéć zarzut, że jego to odrzucono, ale do tego Toli mu było potrzeba, Toli koniecznie, a tu ona się ulatniała zostawiając za sobą Cerbera co na pytania odpowiadać nie chciał i pewno drwił sobie w duchu z jego niemiłego zawodu. Ale ten dług zaciągnięty będzie oddany z procentem, zapłaci pani Emilia za swoję niewczesną dyskrecyą, zapłaci Tola za wszystkie niespokojne chwile, które on z jéj powodu przechodzi...

Tegoż samego wieczora pani Emilia napisała długi list do Kijowa adresowany, który nazajutrz bardzo rano kazała odwieść na pocztę.

XIV.

Za kilka dni posłaniec z Milewa przywiózł do Zator bilecik, z oznajmieniem dnia powrotu pani Sawińskiéj. Porajski przyjął tę wiadomość z westchnieniem ulgi. Przez te kilka dni nie ruszał się z domu i nie przyjmował nikogo, kazawszy lokajowi oznajmiać, że wyjechał. Gniew jego doszedł do paroksyzmu: jadąc się oświadczać, myślał jakichby słów użyć najbardziéj dotkliwych, jakby najlepiéj zadrasnąć miłość własną kobiéty, którą wkrótce żoną chciał nazwać...

Zajeżdżając przed ganek, zobaczył wyprzężony powóz, z którego służba ostatnie kufry wnosiła. — Więc przyjechała — szepnął — i złośliwość niechętna błysnęła mu w oczach czarnych, a niesmak odmalował się na twarzy jak przed wypiciem lekarstwa.

— Mam nóż na gardle—rzekł cicho— wchodząc do pierwszego pokoju, gdzie zastał panią Emilię.

— Tola przed godziną wróciła—rzekła do niego.

— Więc mogę iść do niéj?

Pani Emilia ręką na drzwi wskazała. Porajski przeszedł salon, w którym nie było nikogo i wszedł do małego pokoiku, na progu którego przystanął. Zniknął niesmak z jego twarzy i mimowoli uśmiechnął się do ślicznego obrazku, który się oczom jego przedstawił.

Tola zdjęła suknie podróżne i włożyła wytworny penioar batystowy, okryty haftami i puszystemi koronkami. Włosy ledwo że przygładzone z drogi, podtrzymane perłowemi szpilkami osuwały się

jéj na czoło i w ciężkich warkoczach opadały na ramiona przysłonięte batystem, na szyi odkrytéj sznurek pereł okręcał się kilkakrotnie. Przed nią stał zastawiony stolik, srebrna maszynka do kawy, owoce, ciasta i zimne mięsiwa na talerzykach a pośrodku ogromny bukiet kwiatów, do których pochylała się czasami. Gniew Porajskiego stopniał pod czarownym wdziękiem Toli i już w zupełnie innéin usposobieniu zbliżył się do niéj.

Piękna pani wyciągnęła rękę do niego nie poruszając się z miejsca—on tę rękę do ust poniósł i zatrzymując w swojéj zajął miejsce na kanapie przy Toli, bardzo blizko, usuwając ręką zwoje batystu, które mu zawadzały. Ale Tola spojrzała na niego tak szeroko otwartemi oczami, takie zdziwienie odmalowało się na pięknéj twarzy, że napowrót gniew go ogarnął. Gniew ten podwoił się, gdy piękna pani nie mówiąc i słowa uwolniła rękę z uścisku i powstając zwolna, zajęła miejsce na fotelu obok.

Porajski się zaczerwienił gwałtownie na ten ruch, którego nie przewidywał, zbił go on z toru zupełnie.

— Czemu pani miejsce zmienia? zawołał z gniewną urazą.

Tola najspokojniéj piła kawę, przerwała to ważne zajęcie, popatrzyła chwilkę na towarzysza i rzekła zimno.

— Bo przedewszystkiém cenię swobodę. Na kanapie było za mało miejsca na nas dwoje, więc usunęłam się, aby mi było wygodniéj.

— Ale jeżeli ja zająłam to miejsce właśnie dlatego ażeby blizko być pani?

— I czegóż to dowodzi?

— Tego że ja niechcę aby je pani zmieniała!

— A zatém, w tym razie jak w wielu innych, chęć pana z moją wolą się nie zgadza.

— A jednak.... prędzéj czy późniéj, pani moją wolę uznać musi...

— Ja ją uznaję najzupełniéj, ale nie domyślam się co ona za związek może mieć ze mną. Zdaje się że świat dość obszerny abyśmy wspólnie na nim nie zawadzali sobie, a nasze drogi tak daleko jedna od drugiéj.

Porajski zgrzytnął zębami.

— Nie tak bardzo—odparł—ja myślę że one wkrótce się złączą w jedną.

I spojrzał na Tolę przenikliwie czekając wrażenia słów wyrzeczonych, ale na jéj twarzy nie drgnął muskuł żaden, spuszczone oczy nie podniosły się.

— Mówi pan zagadkami, których nie umiem rozwiązywać, odparła obojętnie.

— Prawda—rzekł z gorżką ironią Porajski, pani mi powiedziała wyraźnie, że nieuwierzy mi nigdy, aż dopóki się nie zdam na łaskę i niełaskę, ze związanemi rękami...

— Ja to mówiłam? w jakiéj okoliczności?

Porajski szarpał dewizkę od zegarka, piorunując oczami tę kobiétę co śmiała mu się opierać, i nadużywała korzyści położenia swego.

— Pragnąłbym bardzo aby pani przypomniała sobie te słowa. Mówiliśmy wtedy o pani—i usłyszałem, że czyny pani nie zależą od uczuć... czy pani zawsze tak sama nad sobą panować potrafi?

— Nie widzę żadnéj potrzeby, moje uczucia zgadzają się z przekonaniami.

Porajski uśmiechnął się z zadowoleniem, przysunął i znowu ujął rękę Toli.

— Nareszcie jesteś pani rozsądną, rzekł – przyznajesz pani swoje uczucia nareszcie.

Tola wyrwała rękę.

— A cóż to pana może obchodzić? spytała gwałtownie—wczém moje myśli, uczucia, przekonania, pana dotyczéć się mają?

Porajski cofnął się żywo.

— Zawsze to same niedowierzanie! gniewnie zawołał. Ale ostrożnie, pani—ono zrazić może nakoniec. Ja mówię na seryo zupełnie a pani mię odpycha jakiemś udaném niezrozumieniem rzeczy.

— Sądzę po wszystkiém co słyszę, że pan chyba bierze mnie za kogo innego. Ten gniew, te wymówki, do mnie się żadnym sposobem przecież stosować nie mogą. Nawet zażyłéj znajomości między nami niema—ja ztąd za parę tygodni wyjadę i może już nie spotkamy się w życiu, jak nie spotykaliśmy się przez lat tyle... cóż więc wspólnego między nami być może?

Porajski się rzucił jak biczem podcięty.

— Więc ja niczém zupełnie jestem dla pani? zapytał.

Tola zwróciła się do niego z powagą surową.

— Pan jesteś dla mnie tém czém sam się stałeś, odparła – dajmy już raz temu pokój—po co się drażnić wzajemnie...

Płomień tryumfu strzelił na twarz Porajskiego.

— A jeśli właśnie ja chcę mówić o tém, rozbudzić przeszłość—zawołał.

— To nie w ludzkiéj mocy. Co raz minęło, nie wraca.

— Ależ zechciéj mię pani zrozumiéć. Jeśli sam zaczynam, to dowód że mam do tego poważne powody—pomóż mi pani trochę, niech ja usłyszę raz jeszcze że odpowiedź pani zależy odemnie...

— Ja nie mogę tego panu powtórzyć.

— Czemu?!

— Bo okoliczności się zmieniły i dziś już ta odpowiedź nie zależy od nikogo. Bo sposobność raz podaną stracić łatwo i nie przedstawia się ona raz drugi...

W oczach dumnego magnata nienawiść błysnęła.

— Tak? szepnął przez zęby zacięte—tak? więc cóż mi pani radzisz zrobić?

— Poszukać innéj zabawki gdy ta nie udała się panu.

— A jeśli to nie zabawka, jeśli to zamiar poważny, stanowczy cóż pani powie na niego?

— Że dojrzał zapóźno...

Dewizka Porajskiego rozprysła się pod jego palcami, tak że kawałek jéj upadł na ziemię.

— Czy pani zna—zapytał głosem stłumionym, przysłowie: *Za cienka nitka się rwie.*

Słyszałam go razy parę.

— Otóż... nie trzeba nitki wyciągać zanadto... Ja pani nie poznaję — mam ochotę uciec, aż dopóki nie stanie się pani taką jak dawniéj, pożegnam panią...

W głosie jego drżała groźba gniewna, ale znać niedosłyszała jéj Tola, bo rzekła zimno bardzo.

— W istocie, sądzę żeby to było najlepiéj... pan jest w usposobieniu tak dziwném, tak anormalném, że ja pana zrozumiéć nie mogę.

Porajski się zerwał i przebiegł kilka razy pokój. Trupia bladość gniewu twarz mu powlokła gdy skłaniając się przed Tolą, rzekł.

— Mam honor prosić panią o rękę—zapewne nic pani nie ma przeciwko temu, aby ślub odbył się jaknajprędzéj...

Nawet te słowa magiczne nie zdołały poruszyć Toli, zbladła tylko i odetchnęła silniéj trochę. Porajski wziął ją za rękę i wsunął na palec pierścionek bogaty.

Ale ta ręka drobna zimno uwolniła się z dłoni jego, zsuwając włożony pierścionek.

— Pan daruje—rzekła Tola lodowato, to być nie może...

Porajski skamieniał. Pókiż ta komedya trwać miała?

— Ależ czyż mię pani nie rozumie! zawołał—ja proszę o rękę pani!

— A ja panu jéj oddać nie mogę...

— Co to jest? co to znaczy?

— Panie Porajski! to zdziwienie niezupełnie jest na swojém miejscu—pan daruje, że przerwę rozmowę.

I poruszyła się chcąc powstać, ale w tejże chwili zabrzęczał stolik odsunięty gwałtownie i obie jéj ręce schwycone w uścisk namiętny zmusiły ją do pozostania na miejscu.

— Co to jest! powtórzył Porajski—dla czego!

— Puść mnie pan! zawołała usiłując ręce uwolnić.

— Dlaczego, pytam! powtarzał Porajski cisnąć je mocniéj coraz.

— Bo pana nie kocham.

— To nieprawda! pani mnie pokochała przed laty, dla mnie najpierwszy raz zabiło serce pani, i mnie jednego może kochała pani w życiu naprawdę! po skończeniu żałoby po mężu pani dla mnie jedynie tu przyjechała!

Toli krew uderzyła do głowy.

— Za wiele zarozumiałości—rzekła z ironią palącą, zresztą, mniejsza o to, ale puść mnie pan!

— Pani igrasz ze mną jak kot z myszą, strzeż się pani...

— Dajmy już raz temu pokój!

— Pani—szepnął Porajski głosem drżącym z gniewu, dosyć téj próby—ja mówię zupełnie na seryo.

Tola wyrwała nareszcie ręce z uścisku i spojrzała na Porajskiego przeciągle. Szare jéj oczy błyszczały chłodnym stali połyskiem, patrzyły zimno, obojętnie, wyzywająco. Twarz była bardzo bladą, gdy wolno, zaledwo poruszając zbladłemi ustami, rzekła.

— Pan się myli. Ja także na seryo mówię—to nie jest żadna próba, która zresztą nie miałaby celu...

— Pani się chcesz zemścić na mnie, odpłacić mi za chwile niepokoju przebyte, zadraśniętą miłość własną i męczysz mnie pani więcéj niż się pani zdaje. Ale trwało to dosyć długo, radzę pani koniec temu położyć...

Wyraz nieubłaganéj złośliwości mignął w zimnych oczach Toli.

— Widzę że mi trudno przekonać pana—rzekła tym samym głosem powabnym, wyraźnym, dobitnym—potrzeba dowodów. Dobrze więc—otóż, nie mogę ręki pana przyjąć żadnym sposobem, gdyż od kilku dni jéstem narzeczoną hrabiego Grimaldi...

Fala krwi nderzyła Porajskiemu do twarzy, zerwał się jak oparzony...

— To niepodobna! zawołał—pani jego narzeczoną! tego bankiera! to być nie może—to żart!

Tola wyciągnęła rękę na któréj się mienił brylant wielkości szablastego grochu ujęty w czarną emalią.

— Noszę już jego pierścionek—rzekła.

Porajski był ogłuszony.

— Nie, nie, to być nie może, powtarzał—pani, jego narzeczoną!...

— I cóż w tém dziwnego? albož to nie partya nie tylko stosowna ale świetna? Ma lat niespełna czterdzieści, majątek olbrzymi, wykształcenie wszechstronne, tytuł — dla czegóż nie miałam go przyjąć?

— Ależ pani wiesz dobrze że jeśli w towarzystwie go tolerują, nie ma tam jednak prawa obywatelstwa, że tytuł jego jest blagą!

Tola zmarszczyła brwi czarne.

— Nie słyszałam aby mu go kto zaprzeczał—odparła zimno.

— On niema stosunków!

— Moje wystarczą.

— Ależ niech pani porówna położenie pani Grimaldi i mojéj żony, pomijam uczucia, przypuszczam, że obaj jednakowo obojętni dla pani jesteśmy—nawet wtedy, z rozsądku mnie pani wybrać powinna!

Tola odsunęła się lekko i wpatrzyła w Porajskiego.

— Rozważywszy rzecz należycie, nie mogę tego zdania podzielić—odparła obojętnie. Jego majątek jest przynajmniéj pięć razy większy od pańskiego, zapewne, niedawno osiadł w Odesie, nie miał czasu się zaaklimatyzować, bywa wszędzie jednak.

— To co pani z nim będziesz zdobywać dopiero, ze mną się pani ściele pod nogi. Na mojém ramieniu wsparta pani wszędzie jedną z pierwszych będzie, drzwi każdego bez wyjątku salonu, otworzą się przed panią na rościesz...

— Gdy otworzę swój salon, zejdą się do mnie wszyscy, których mieć zechcę, bo znajdą u mnie świetne przyjęcie, doskonałego kucharza, wyborną piwnicę, przyjemne towarzystwo i gospodynię umiejącą gości zabawić. Wprawdzie trzy czwarte przyjdą tylko po to aby mnie obmówić—ale pytam co mi to szkodzi?

— Pani sama czujesz dobrze że z nim byłaby to wspólka w któréj pani daje tyle, ile dostaje sama podczas gdy ja—ja daję pani wszystko, nie potrzebując nic w zamian.

— Właśnie ta okoliczność przeważa szalę na jego stronę. Za niego idąc, zyskuję wspólnika, który potrzebując mnie, zawsze dobrze zachowa się ze mną. Potrzebuje on żony, która potrafi być panią salonu, wyrobić temu salonowi pewną indywidualność, ugrupować w koło siebie koterye, jedném słowem zrobić go potęgą towarzyską, z którą każdy się musi rachować. Potrzebuje on żony któraby uwydatniła jego majątek, umiała sobą inne kobiéty zaćmiewać— za to, daje bogate artystyczne otoczenie, bo to nie dorobkowicz, episier, który siedząc na workach rubli będzie daléj po mieszczuńsku

interesa robił, ale człowiek bardzo ambitny, dla którego pieniądze nigdy nie są celem lecz środkiem tylko. Idąc za pana, stałabym się niewolnicą, poddanką, zyskałabym kapryśnego tyrana, któryby chciał zapanować nietylko nad czynem, słowem każdém, ale nad myślą moją. Moja to natura, chęci, pragnienia, ciągle byłyby przez pana systematycznie łamane, jabym zwiędła, zestarzała się, zgorzkniała, po roku pożycia z panem... A teraz, kiedy już nic sobie do powiedzenia niemamy, pozwól mi pan się oddalić...

I powstała—ale w tejże chwili on zastąpił jéj drogę, blady, posępny, z groźbą w oczach błyszczących ponuro.

— Być to wszystko może—rzekł z szyderstwem piekielném, ale idąc za mnie, pani idziesz za uczuciem—idąc za niego, sprzedajesz się pani... Cena wysoka, ale zawsze to kupno i sprzedaż...

Rumieniec palący upokorzenia zalał twarz Toli Sawińskiéj, spuściła głowę, ale po chwili podniosła ją, mówiąc ze smutną goryczą...

— I cóż my winne? Odebrano nam wiarę we wszystko, kazano z wszystkiego żartować, ukazano użycie jako cel ostateczny, czyż można potém wyrzucać, że my życie za żart bierzemy lub, za farsę smutną, stosownie do usposobienia, że życiem motylem z dnia na dzień żyjemy, że w chwili stanowczéj, ważniejszéj, wyciągamy ręce do tego co za jedynie warte cośkolwiek nam przedstawiano przez życie całe? i jakże być może inaczéj? My niedołężne a używać chcemy; leniwe do życia się rwące, do życia sztucznego, w którém nic prawdziwego znaleźć nie można, my bezsilne a znerwowane, godne towarzyszki was wszystkich co dziś z pola schodzicie—jakieście nas wychowali, tak nas macie...

Skończyła i dwie łzy grube spłynęły po twarzy zbladłéj bardzo. Porajski nie ustępował jéj z drogi, jego usta coraz mocniéj się zaciskały, oczy coraz fosforyczniéj błyszczały.

— Pani zapominasz o jednéj rzeczy, która ma jednak ważność pewną—rzekł głosem stłumionym, że ja panią kocham, i że pani nie oddam innemu...

Tola smutno głową wstrząsnęła.

— Nie—odparła, pan mnie nie kochasz. Zobaczyłam tutaj na balu jakie są pana zamiary. Jestem dla pana pokrywką, aby się módz do porażki nie przyznać. Gdyby hrabianka Wanda nie została narzeczoną innego, nie byłabym usłyszała tych oświadczyn, które panu usta paliły, które tak trudno było panu wykrztusić. Nie dziw się pan, że ja takich oświadczyn przyjąć nie chcę...

Porajski bliżéj przystąpił.

— Wszystko to być może—rzekł gwałtownie, ja nie zaprzeczam niczemu, a jednak ja panią kocham. Nie udawaj pani niewiary, pani wiesz dobrze że prawdę mówię, że kocham—że kochałbym równie, więcéj może, będąc mężem tamtéj, że tamto było wyrachowaniem dla ustalenia pozycyi, a uczucie dla pani jedyną rzeczą żywotną, która we mnie porusza nerw każdy, fibrę każdą!

Z oczu Toli strzeliła nienawiść.

— I jakaż to miłość—zawołała z oburzeniem, jakaż to miłość...

— Taka na jaką stać mnie i panią—rzekł głosem syczącym, na jaką pani zasługujesz, a jaką ja uczuć mogę...

Tola jak trup zbladła i zachwiała się jakby pod uderzeniem. Nie mówiąc i słowa zwróciła się do drzwi, ale Porajski poskoczył za nią i znowu schwycił jéj ręce obie.

— Pani! Tolo! zawołał—ja cię kocham namiętnie! rozumiesz! ja niepozwolę żeby kto inny był mężem twoim, bo ja nie zniosę myśli żebyś ty się do innego uśmiechała twemi purpurowemi ustami, na innego patrzała miłośnie twojemi oczami, innemu zarzucała na szyję twoje ręce śliczne—to moje! słyszysz! to wszystko moje i tylko moje!

— Puść mnie pan—zawołała z gniewem namiętnym co łzy jéj do oczu napędził—puść mnie, bo każde słowo pana jest mi wstrętném! Porajski zamiast odpowiedzi chciał ją przyciągnąć do siebie, ona w tył się gwałtownie rzuciła.

— Jedna sekunda dłużéj, a wezmę to za obelgę—rzekła głosem ostrym lodowatym, przez gniew stłumionym.

Porajskiemu ręce opadły, o krok się cofnął i stanął przed Tolą rozczerwieniony drżący z tłumionéj wściekłości, z fosforycznie błyszczącemi oczami.

— Ja nie pozwolę na powtórzenie dawnéj historyi—rzekł szeptem prawie, bo głos mu w gardle zamierał, ostrzegam że nie pozwolę...

Tola zacisnęła ręce i odparła głosem stanowczym, jak lód zimnym.

— A jednak słowo w słowo powtórzy się ona. Przed dwunastu laty w piękny księżycowy wieczór powiedziałeś pan szesnastoletniéj dziewczynie, dziecku, którego serce starałeś się zdobyć od dawna, że ją kochasz namiętnie, ale że to wcale nie powód aby zaraz o małżeństwie myśléć. Dziewczynie krwią serce zabiegło, bo kochała—ale ją wychowali rozsądnie, gdy zobaczyła że na pana liczyć nie można, nazajutrz była narzeczoną innego. Nauka pana w las nie poszła dziewczyna nauczyła się życia...

— Otóż dzisiaj się to nie powtórzy—nie przyprowadzaj mnie pani do ostateczności...

— I owszem—powtórzy się. Kobiéta którą dziś pan widzisz nie pozwoli żartować z siebie, jak nie pozwoliła dwanaście lat temu. Nie darmo przechodziła całą gamę uczuć począwszy od rozpaczy za złudzeniami, aż do szyderstwa zimnego z siebie saméj, nie darmo nauczyła się żartować z życia, ludzi i duszy własnéj, panować nad słowami czynem, spojrzeniem, aby nie zdradzić się nigdy, aby dobrze grać życia komedyą. Dziś ta kobieta panu powiada na chłodno: zemściłam się, wedle méj woli fakta się ułożyły, nie mamy nic z sobą już do czynienia, spłacony dług dawny i bieżący...

Porajski oparł rękę na poręczy fotelu—drżał tak silnie, że zęby uderzały o zęby.

— A teraz, będziesz moją—rzekł cicho bardzo, głosem który się łamał w gardle kurczem nerwowym.

Tola zaśmiała się ostro, gorzko, szyderczo.

— Nie—rzekła. Jam nie godna pana pod żadnym względem. Bylibyśmy niedobraną parą...

On o krok bliżéj przystąpił, tak że dotykał jéj prawie.

— Nie odejdę póki z palca nie zrzucisz pierścionka tamtego a w zamian mego nie włożysz—rzekł ponuro.

— Nigdy! nigdy—wybuchnęła gwałtownie—nigdy, bo nienawidzę pana, nienawidzę jak złego ducha, bo pan przyłożyłeś się do zabicia we mnie wiary wszelkiéj, do zrobienia ze mnie kobiéty—motyla!

On rzucił się do niéj, znowu schwycił jéj ręce obie i zgniótł je w uścisku kurczowym.

— I właśnie dla tego ty do mnie, do mnie tylko należyć możesz, i będziesz należyć do mnie! tylko do mnie.

— Nigdy! rozumiesz pan! szczęśliwą będę, gdy między nami tysiące mil staną, jeśli nigdy już w życiu nie spotkam się z panem!

I wyrwawszy rękę wbiegła do przyległego pokoju, drzwi na klucz zamykając za sobą.

Wieczorem tegoż samego dnia odebrała bilecik z Zator.

„*Les jours se suivent et ne se ressemblent pas*, pisał Porajski—nie zawsze pani będzie w usposobieniu takiém jak dzisiaj... gdy pani nasyci się zemstą, przyjdą pani na myśl słowa usłyszane przed parą godzinami. Zmieni się pani z czasem, *je ne vous permettrai pas d'avoir le dernier mot*, prędzéj czy późniéj pani uczucie odzyskać muszę i odzyskam. Nie ucieknie pani przedemną; gdziekolwiek pani pojedzie, ja tam będę. Może to i lepiej, że pani wyszła za innego, w każdym razie nadziei nie tracę i utrzymuję zawsze, *que tout est pour le mieux dans le meilleur des mondes*, tylko trzeba znać sztukę życia, a my ją znamy oboje..."

Tola list poszarpała na kawałki i nie wspomniała o nim nikomu.

XV.

Za kilka dni gruchnęła po okolicy wiadomość o zaręczynach Bogdana z Wandą i Toli z hrabią-bankierem. Równocześnie zaczęły rozchodzić się wieści o Karolu Porajskim, ale te nie zgadzały się z sobą. Jedni mówili, że Karol się starał o Wandę, a dostawszy od niéj harbuza zawrócił do Toli, gdzie znalazł miejsce zajęte. Drudzy zaręczali, że Porajski zawsze chował w sercu uczucie dla Toli Sawińskiéj, od czasu gdy ona niemal dzieckiem była, że to uczucie przetrwało lata i oddalenie, zdradę kochanéj i pokusy wszelkie, że ono żyło gorące i prawdziwe a jednak dawniéj i teraz ocenioném nie zostało, bo pięknéj pani zachciało się milionów bankiera z Odesy. Inni jeszcze utrzymywali, że Porajski byłby się z Wandą ożenił, ale Tola zawróciła mu głowę, więc hrabiankę dla niéj porzucił. I tak się zgodzić nie mogli na jedno, zostawały tylko fakta uznane, mianowicie, że Porajski starał się o Wandę, a ta wychodziła za Bogdana, że oświadczał się Toli, a ta mu odmówiła stanowczo.

Ale ani przyjaciele Karola, co pod pozorem pocieszań przygotowali cały arsenał ukłóć szpilkowych, ani szczególnie Sulimowski, który dolewając oliwy do ognia, opowiadał ciągle o nieudanych zamiarach swego niedoszłego zięcia, nie mieli przyjemności tryumfować nad nim. Tego samego wieczora wyjechał zagranicę.

Ślub Toli odbył się w październiku. Państwo młodzi wyjechali do Paryża i dopiero na zimę do Odesy wrócili. Salon pięknéj hrabiny zgromadza całą śmietankę odeskiego towarzystwa, ukraińskiéj i podolskiéj arystokracyi.

Nie pokaże się w mieście żadna znakomitość, żaden artysta ani autor znany, żeby się nie kazał przedstawić hrabinie Grimaldi, nie znajdował się na jej poniedziałkach. Między wielbicielami Toli, których ścisły zastęp otacza ją zawsze, można spotkać i Sulimowskiego.

Bogdan wywiózł młodą żonę do siebie, na wsi spędzają miodowe miesiące. Pod wpływem męża, jego matki i siostry Wanda roztajała i dziś wierzy gorąco, że szczęście istnieje, że je można spotkać na ziemi. Hrabina Sulimowska mieszka przy nich.

Złe języki utrzymują, że hrabina Grimaldi jest kokietką bez serca, że się kompromituje tym zastępem wielbicieli, co ją bezustannie otacza. Jednakże ci nawet, co najgłośniéj krzyczą, nie opuszczają ani jednego balu, wieczoru, rautu czy obiadu wydanego przez nią. Gdy jeden z takich Zoilów zanadto pozwolił sobie krytyki, a doszło to do uszu pięknéj pani, został wykluczony z jéj domu, inni rachują się ze słowami i tylko po cichu robią zarzuty różne.

Przy końcu zimy zjawił się dawno niewidziany w Odesie Karol Porajski. Odrazu stanął w rzędzie wielbicieli pięknéj Toli, ale ona go znosić nie może i stanowczo nie pozwala mu wstępu do swego domu. Za to, gdziekolwiek się obróci, czy to w towarzystwie, czy w teatrze lub na spacerze, zawsze go widzi przy sobie, z tym samym uśmiechem szyderczym co przystygł na jego twarzy wyżytéj, z tym samym sprytem szatańskim, który mu daje taką powagę w salonach, gdzie zawsze gra pierwszorzędną rolę. Dobijają się o niego piękne panie a on obojętny, szyderczy zawsze jednako, nie raczy się schylić do żadnéj.

Porobiły się zakłady, czy dopnie celu, lub czy też piękna hrabina niewzruszoną zostanie na zawsze. Dotychczas nie mogły się rozstrzygnąć i kto wie czy rozstrzygną się kiedykolwiek. Ukraiński magnat i piękna Tola znają życie i tak grać dobrze umieją, że nikt nie odgadnie, patrząc na sztukę przedstawianą, co tam za kulisami się dzieje...

Julian Morosz.

MAŁPA-CZŁOWIEK

NIEZNANA SATYRA Z XVIII W.

II.

Przystępujemy do drugiéj części rękopismu, noszącéj tytuł: *Małpa-człowiek w obyczajach.*

Na pierwszém miejscu kładzie autor: *obyczaj chwały boskiéj i nabożeństwa*, wprowadzając jednocześnie nową formę do swego opowiadania, to jest dyalog. Rozmowa toczy się pomiędzy p. Mikołajem a panem Stanisławem, dwoma szlachcicami, przebywającymi w Warszawie. Pan Stanisław zachęca towarzysza, aby poszli razem „do kościoła panien Wizytek, bo tam jutro solenny odpust, dziś nieszpór, król na nim, wszystkich panów, pań i panien zgromadzenie i ludzi inszych nacisk wielki będzie.“ Inaczéj się króla (1) nie rozpozna w tumulcie. W pałacu go się nie zobaczy, bo warty wstępu bronią, w „karecie jako ptak lata, na koniu nieznacznie (2) biega i wyjeżdża.“ Nieboszczyka (3) króla znał p. Stanisław dobrze— był to pan pobożny, przykładny i paważny, „którego nabożeństwa obyczaj“ obiecuje potém opowiedziéć. Zachęta trafia do przekonania p. Mikołaja: i on chciałby widziéć króla, boć „tego pana wielkie renomie, osobliwie u białych-głów, które lada kogo nie pochwalą,“ wzbudziły w nim „chciwość poznania.“ Idą więc razem przyjaciele i na sam czas zdaje się przychodzą, bo oto już i biskup poznański we drzwiach z kropidłem stoi i baldachim rozbity oczekuje na przybycie monarchy. Gorszy ich jednak, że wszyscy obróceni tyłem do ołtarza, że „na przyjęcie i honor śmiertelnego pana wszystko się wygarnęło duchowieństwo, a nieśmiertelny wszystkich kró-

(1) Augusta II-go. — (2) Rzadko. — (3) Jana III-go.

lów monarcha nie ma i lajdosza (1) przy swoim majestacie." Oczekują długo, aż tu i biskup do zakrystyi wraca, świéce gaszą, bo pewno „pan wielą plejzyrami (2) zabawny zapomniał, a biskup mu też żaden nie przypomni, że to solennitas wielka i na nią się obiecał." Do tego pan Stanisław widział „kartki na komedyę czy operę," toć i król woli się zabawić w miłym osób braku (3) wesołemi scenami, aniżeli na pauzowaniu chórowém niecierpliwie w kościele siedziéć." Na zégarze zamkowym bije ósma, świéce znów zapalają, biskup bieży do drzwi kościelnych, ale po chwili wraca „zalterowany," a księża jego „między sobą ze śmiechem gadają, że król mimo kościół przejechał do ogrodu Kazimierzowskiego na kolacyą, kazawszy ksieni powiedziéć, że za dzisiejszy nieszpór będzie u niéj w miłéj kompanii jutro na obiedzie." Dwaj szlachcice odchodzą do gospody, prawiąc z oburzeniem o tém co widzieli. „Takiż to u naszych polaków pobożności obyczaj. Zrzadka kto idzie do kościoła bez interesu i okazyi. Ten i ów napatrzeć się białych-głów, ogień pożądliwości do serca porwać, z k.... się poznać i rozmówić, gdzie mieszka; z tym i owym widziéć się i rozgadać, wiadomości publicznych zasięgnąć, kapeli się chórowéj nasłuchać i przed gościem, albo importunem z domu uchronić. A cóż o białéj płci rozumieć? któréj wszystka rzecz odpustów, kiermaszów i nabożeństwa na tém stoi, aby się w urodzie, w kształcie, w modzie, w rzeźwości, w aparencyi pokazać i zalecić, tego i owego do siebie pociągnąć i obligować, inszych obmówić, potępić i otaksować." Na drugi dzień rano obudziwszy się, prawią szeroko szlachcie o „spowiedzi królewskiéj," a zebrawszy się, idą do Wizytek. Tam ludzi już ciżba wielka, a nie brak „i z kozikami domieszków." Następuje dość długa dysputa o lekkomyślném przyjmowaniu ciała i krwi Pańskiéj: „widzisz on śmigas (4) z wołoską czupryną, ilem go dobrze uważał, w pół mszy do kościoła przyszedłszy, spowiedź, komunię i wszystkie swoje nabożeństwo odprawił i już się z jakąś krygownisią za ręce prowadzi w takiéj minie efronteryi i dyspozycyi, jakby to było z tańca do łożnice." Wina w tém i księży, co spowiedzi niedbale słuchają. „Ja mam penitenta za pacyenta, a spowiednika za medyka. Medyk należycie kuruje, kiedy chory defekt swój należycie opowie. Często zabija, że się o więcéj nie pyta." — Nareszcie laski marszałkowskie pokazują się we drzwiach: król przybywa. Na ołtarz nie patrzy, nabożeństwem mało się zajmuje! Jemu jeszcze przebaczyć można, bo „młody, żywy i światowy, ale z siwowąsów i półbabek wielkie cuda

(1) byle kogo, lada kogo. — (2) przyjemnościami. — (3) wyborze. — (4) śmigły, smagły, wysmukły.

i zgorszenia: usta sine w umizgach, język jak na kołowrocie, twarz zmarszczona pod farbą, oko w pożądliwym świdrze, książki na pozór rozłożone, pod mizerne kolana puchy i jedwabie, osoby od czci i chwały boskiéj, jak przez morza dalekie." Lepiéj było za nieboszczyka króla: wiedział on zawsze o każdém nabożeństwie i odpuście, dwór swój i panów awizował o niém, sam go solennie ze spowiedzią i komunią św. odprawował i sprawował się w domu bożym pobożnie i przykładnie, zapomniawszy cale o godności swojéj królewskiéj, w obecności Najwyższego Pana swojego." A cóż dopiero mówić o dawnych królach i wiekach. Dziś nie ma nabożeństwa w sercu, a owe „srebrne koniki, pozłociste osóbki, woskowe i insze ofiarki daremnie zaprzątają ołtarze." Wydrze kto, albo „w inszy sposób nabędzie rumaka, zawiesi za to trzechłutowego konika. Krowę jałowicę, wołu sąsiadowi zabije, naleje jedną i drugą lampę. Pasiekę cudzą zrabuje, zaświeci parę świeczek woskowych." Również niewiele warte owe „seraficzne, strzeliste modlitwy," co tylko tytuł taki mają. „Lepiéj nie silić gęby na te tam wymyślne hymny, koronki i modlitwy, ale raczéj przestawać na jednym z uwagą i pobożnością pacierzu zwyczajnym...." Tymczasem król dowiedziawszy się, że jego lekta już się skończyła, rusza z miejsca, spiesząc za klauzurę na obiad. Niedługo po nim wychodzą nasi szlachcice, i tém się kończy rzecz o obyczaju nabożeństwa.

Obyczaj miłości i przyjaźni bliźniego stanowi dalszą część satyry. Przyjaźń istnieje dopóty, dopóki przyjaciel nie jest w potrzebie; poratować go, wspomódz nie leży w zakresie obowiązków przyjaźni. Obłuda najwięcéj krzewi się na niwie téj „rzadkiéj cnoty." Spotka przyjaciel przyjaciela, ściska go, całując, zaprasza do siebie, a kiedy zaproszony przyjedzie, to „zamknij wrota, powiedz że mnie w domu niema, żona na odpust pojechała — czyć go dyabeł nadał!" Przy hulance wznosi się toast „na całą gębę: ej kawaler że z ciebie dorodny, serdeczny i mężny; właśnie cię natura do buławy uformowała; rozum, godność i rozsądek do senatu prowadzi. Wiwat ozdoba narodu naszego, wiwat wódz nasz przyszły, regimentarz, kanclerz i nie wiem jaki monarcha," A pochwili mówca na uboczu żartuje z owego „regimentarza": „owo drwiłem z niego, napiłem się z téj okazyi dowoli, wbiłem mu w głowę hipokondryą; nie spostrzegł się błazen, mam sposób najeść się i napić u niego, a mogę co i wydrwić." Jeżeli z pochwałą jaki mężczyzna wspomni o „z serca, serdecznie, jedynie kochanéj siostrzyczce," to druga przyjaciółka zaraz usłyszy od téj saméj, że owa serdecznie kochana „nadstawia się, płaszczy, umizga, a jest wielkie ladaco, krygownisia, pod farbą udatna i rumiana, bez niéj trup i glina..."

Przechodząc do *obyczaju inklinacyi i gotowości do małżeństwa*, autor poglądy swoje wyprowadza z dyalogu p. Wojciecha z panem Józefem. Pan Wojciech wyraża pojęcia autora, według którego jedyną wyrocznią przy zawarciu małżeństwa winna być wola rodziców,—siedmnastoletni zaś p. Józef pojęcia ówczesnéj młodzieży. Na jedno tylko zgodzić się można, że młody człowiek, przed dojściem do pełnoletności nie powinien myśléć o tworzeniu rodziny. Ale zdaje nam się, że ów 17-letni, a już pałający żądzą wejścia w związki małżeńskie p. Józef, był i jest do dziś dnia rzadkim wyjątkiem. To jest właściwie, ochota może objawiać się wcześnie, ale statystyka świadczy o małéj liczbie małżeństw w tak młodym wieku zawieranych. Ztąd niepotrzebne rzucanie gromów, a całkiem, jak dla nas, fałszywe wyobrażenia o „inklinacyi.“ Autora oburza to, kiedy młodzieniec „czołem bije, po ziemi się tarza, na komplementa wywnętrza, nogi całuje i liże, na węgiel się pali . . . w nocy nie sypia, ustawicznie wzdycha, nudzi, melancholizuje.“ Te czyste uniesienia serc młodych i niezepsutych są mu wstrętne, ztąd zaraz przypuszcza, że zakochany „na upominki ojca kradnie, na fortunę sekretnie zaciąga, muzyków, moczywąsów i darmostojów okrywa, chłopców na kozaki, na błazny i różne cudotwory strzyże.“ Gani młodę dziewczę, kiedy „na odjazd i pożegnanie jego truchleje, blednie i obumiera, bez niego melancholicznie szlocha, żałośnie nuci, jadać i sypiać nie może, przez sen lada co plecie. . . .“ W końcu autor przychodzi do wniosku, że małżeństwa z miłości zawarte są nieszczęśliwe, że zaraz „po pierwszéj miłości małżeńskiéj próbie, czuwają na zaciąg różni sekundanci, adjutanci i koadyutorowie, — ztąd zawsze kłótnie, niechęci,“ i t. d. Całe to małéj wartości rozumowanie kończy się dwoma „lamentami“ żony i męża źle dobranych. Żona narzeka i łaje małżonka, na co odpowiada „nieborak“ jeszcze większém narzekaniem. Oto i wyjątek:

Ja za twą winę nieszczęsny ginę,
Tyś żywa.
Udatna z twarzy, a przecie parzy
Pokrzywa.
O jak frantowska w złość białogłowska
Płeć bywa!
Krzywdy pozorem, grzechy rankorem
Pokrywa.
W sercu ma węża z żalem na męża,
A w gębie
Nucą miłosne treny żałosne
Gołębie.
. . . .

Wszystkie bestyje uznają, czyje
W dozorze
Ręce ich koją i tych się boją,
Jak tchórze.

Jedna kobiéta tak jadowita
W swéj wierze,
Że jéj nie zrówna bestya główna
W cholerze (w złości).

Darmo się miły ze wszystkiéj siły
Sposobisz:
Nie chce natura — toć z małpki tura
Nie zrobisz.

W pomocy nieba stanu potrzeba
Nabywać,
Bo przez womity trudno kobiéty
Pozbywać.

Wiersz, z którego wyjątek podaliśmy, stanowi przejście do *obyczaju wiary i miłości małżeńskiéj*. Przedmiot ten widocznie traktuje autor z upodobaniem, bo wraca doń już poraz trzeci. Może zapomniał o poprzedniém długiem kazaniu na ten temat, a może przypuszczał, że nie wszystko jeszcze i dokładnie wypowiedział. Niewierność małżeńska jest tutaj kanwą, na której wyszywa dość zblakłą włóczką swoje poglądy. Na ich poparcie czerpie z dziejów starożytnych niesmaczne i podejrzanéj wartości przykłady, nawet tłómaczy bardzo nieudolnie z greckiego „żale Kaminy." Wszystko na to tylko, aby dowieść wierności dawnych żon i miłości mężów, co często „dla całości żon swoich cudowne niebezpieczeństwa przebywali, całe królestwa i dostojeństwa, a nawet życie łożyli, czego świadkiem „żałosne dzieje, okropne pobojowiska...." I w Polsce było „wyraźniéj względem wiary i miłości małżeńskiéj," choć się obywało bez strasznych przykładów zemsty i zawziętości. „Było co kochać, ale nie było o co się wadzić, bo każde stadło w parze i używaniu powinności swoich nie miało intervenientem, trzeciego...." Nie brak jednak w tym traktaciku humoru, czego dowodem dowcipny nagrobek swarliwéj parze małżonków:

Tu leży cna para, wspólna życia kara:
Mąż jako trzepaczka, a żona pijaczka.
Gościu! chciéj ostrożnie mieć się tu nabożnie,
Aby czart i w ziemi nie zwichrzył co z niemi,
Było w życiu bowiem, co po śmierci powiem,
Że się z sobą żarli i w gniewie pomarli;
Więc zdaleka, tuszę, lepiéj rzec za dusze:
Panie! po tym boju zostaw ich w spokoju!

Obyczaj rządu i powagi wnika w głębsze zagadnienia społeczne. Miejsce dlań tu nieco niestosowne, treść zaś przywodzi na pamięć pierwsze ustępy satyry, gdzie o królach, monarchach i zwierzchnościach była mowa. Wielki pan, stojąc przed zwierciadłem, marzy o swéj potędze, o „wyniosłości czoła, podającéj się pod koronę,“ o wzroku wyrażającym surowość i zmuszającym do ślepego posłuszeństwa; ręka jego stworzona do berła, laski lub buławy, pierś do orderu, postać i „statura do rządu, do surowości i rozkazywania.“ Tak jest mości panie— dodaje satyryk — „bo czeladź i chłopi, wszyscy powiadają, że nie więcéj pięć katów swoją sztuką sprawi, jako WMPan wejrzeniem i postawą poważną. A gdybyś jeszcze mógł wleść w owe szkiełko, które *tubum opticum* nazywają (gdzie wsza jak baran, a pluskwa jak wielbląd wydają się pozorne i wielkie) tedy byś miary sobie we wszystkiem dobrać nie wystarczył, waliłbyś z nóg przez hypokondryę giganty, przez gardło Goliata piąłbyś się na majestata, ludzi ubogich jak brytan szczenięta deptałbyś, miliony tysiąców na obiad połykał, jeden nad wszystkich razem zdałbyś się najmocniejszym.“ Wszystko to służy za wstęp do małéj rozprawki o rządzie, jakim być powinien. „Nie to jeno, nie to, miły Długoszu, weź przed siebie zwierciadło: wleź całym sobą *in speculum exemplorum* i tam się dopiero przejrzysz do jakiéj miary osoby miał się rząd przed laty. Cnota w małém i wielkiém ciele jednakowo zawsze dokazywała, prawa dawała, narody pod posłuszeństwo skłaniała, w skałach, żelazach i minerałach twardych siłę łamała, łechczywy grzbiet morza ujeździła, wszystkie trudności i niepodobieństwa sfatygowała.“ Cnota jest podstawą rządu, opoką rządzących. „Łaskawość władzy serca niewoli do miłości, miłość wiarę sposobi, wiara jedność klei, jedność potęgę stanowi, na potędze rząd i powaga stoi, tém bezpieczniéj, im bardziéj ufundowana. Ale nie temi nieszczęśliwemi czasami, kędy wszystka rzecz rządu i powagi na tém tylko usiłowaniu i prezumpcyi zawisła, aby wymusić, nie wyperswadować, przyciągnąć a nie przyprowadzić, przyniewolić a nie zniewolić, przycisnąć a nie przytulić, ogolić a nie przystrzydz.“ Daléj wykazuje autor złe skutki zbytniéj surowości i despotyzmu, przytaczając słowa, jakie „jednemu wielkiemu z Łokietków człowiekowi na nagrobku położono.“ O kim tu mowa—niewiadomo, sens zaś taki, że nie ciałem, nie siłą, lecz duchem należy być potężnym, bo nieraz już to się zdarzyło, że „osoba karła olbrzyma zawarła.“

Dyalog powraca znowu w *obyczaju posłuszeństwa i submissyi.* Różnica pojęcia „skłonności“ od pojęcia uniżoności jest przedmiotem rozmowy pana Zygmunta z panem Wacławem. „Skłonność ma się do proporcyi stopniów dającego i odbierającego ukłony, uniżoność

zaś—przechodzi je w proporcyi.“ Ta ostatnia jest zazwyczaj wynikiem obłudy lub interesu. Jeżeli pan wojewoda, choć senator, tak nizko ukłonił się p. Zygmuntowi, że mu tenże, „choć fałdów nałamał,“ ukłonić się niżéj nie mógł,—to dowód oczywisty, że wojewodzie uśmiecha się pożyczka owych kilkunastu tysięcy, „które p. Zygmuntowi położono w grodzie.“ I ledwo p. Zygmunt, jako „wilk nie wpadł w samołówkę;“ szczęściem, że mu p. Wacław jasno wytłómaczył, jaki będzie koniec uniżoności pańskiéj: „granica i pretext submisii, układności, poszanowania, ludzkości i komplementu tych to miłych panów naszych póty, póki nie dasz, daléj żart, zawód... A gdybyś ich uważał, jak cygi, czyli cyganów w obrotach i dziarskości posłuszeństwa królom i zwierzchnościom swoim, tedy byś się jako ucieszną komedyą do woli nasycić nie mógł.“ Serwilizm i zabieganie o fawory czynią ich posłusznymi na wszelkie rozkazy i „nigdy tak powolnie niedźwiedzie cyganom, cygani błazeńskim obrywkom nie nadskakują, jako prywatnemu przez zgubę publiczną zyskowi nasi teraźniejsi niektórzy panowie.“ Sejmy, zjazdy, rady „i inne publiczne i sekretne akty, są to ich niejakie teatra, albo inaczéj targowiska, kędy jak się to oni uwijają, ubiegają, zginają, trudno bez przygany opowiedziéć. Ten za uszy, tamten za usta, ów za nogi, za ręce chcąc co na respekcie oberwać, jako złaja niedźwiedzia, pana łatwego rozbierają. Potrzebie swojéj bez wstydu nadskakują, póty słudzy ochotni, póki skarb nie ubogi. Dodać do tego należy zabiegi o ordery, choć „niewielka z tego klejnotu dystynkcya, a mnie się zda w proporcyi do polskiego kroju, jak figa do nosa. A za tém wszystkiem idą „wymyślne i klarowne tytuły.“ Dawniéj znajomi i przyjaciele mówili do siebie po imieniu: panie Jerzy, panie Stanisławie, chcąc zaś kogo uczcić dodawano: panie łaskawy, panie uczciwy, panie zacny; „tymi czasy wszystko to się zrównało; JMC Dobrodziéj Biskup, JMC. Dobrodziéj Wojewoda, JMC Dobrodziéj Podstarości, JMC Dobrodziéj burmistrz, JM Dobrodziejka w Kiernozi albo w Kusienicach wójtowa, Monsieur swiec (1), monseigneur doktór, albo podły od pęcherza galenus.“

Daléj występują p. Jacek z p. Wincentym i zastanawiają się nad obyczajem służby dworskiéj. Pierwszy syna swego Michałka oddaje do dworu, więc mu kazał głowę jako pudło ulepić, „kunią (2) go jakąś pohaną“ na bakier przykrył, niższą część ciała fałdami obłożył, i „przytaśmował do połowy jako tarcicę,“ w stąpaniu, minie i obrocie „modno ułożył.“ Nie w taki sposób ojcowie przygotowy-

(1) szewc. — (2) czy nie *gunią?* Kuni niema ani w Gołębiowskim (Ubiory) ani w Lindem.

wali młodzież do służby dworskiéj, bo nie o modę wówczas panom chodziło, ale o ćwiczenie młodzieży, o zyskanie wdzięczności rodziców, o przygotowanie dobrych obywateli krajowi. Służba dworska była rodzajem nowicyatu i szkoły. Kto okazywał umysłowe zdolności i chęci do nauki, tego zaraz „do pióra, do potocznych i publicznych expedycyi sposobiono, kierując przez dalsze lata na wielkie w grodach i województwach stopnie;" kto téj chęci i zdolności nie posiadał, „znalazł ćwiczenie według sposobności swojéj w dziełach rycerskich: do oręża, do lancy, do reguły wojennéj sposobiąc się i zaraz brał stopień, na jaki go doskonałość przysposobiła;" kogo wreszcie duch pobożności owionął, „znalazł i z téj miary drogę swoję, pomoc, aplikacyą i wysokie kościoła stopnie." Było to nawet ogólném przekonaniem, że „do rodziców spłodzić, do panów wychować należało." Dziewczęta oddawane do fraucymeru uczyły się zajęć kobiecych, w cnocie i pobożności się ćwiczyły, zostając ciągle pod okiem saméj pani i wyłącznie do tego przeznaczonéj dozorczyni. Dać zaś syna albo córkę „tymi czasy do dworu jest jedność, co i wypchnąć bez wiosła na morze, kędy szumów, wiatrów i bałwanów niebezpiecznych bez miary... Ledwo nie lepiéj zgodzić się na to, żeby dzieci nasze krów i stada w domu pilnowały. Rozmaitość jest dworów, ale wszędzie prawie panuje jeden obyczaj, wszędzie złe przykłady. „Dwór podobno królewski wykształtuje młodego? gdzie panowie sami nadskakują jak chłopcy, albo kędy czczy regestr bezpieczeństwa ustroniów i wygody sekretnéj asystuje prywatnie. Senatorski podobno? kędy jako psia jucha, krew szlachecka obmierzła, a puder lada szewca i knechty cudzoziemskiego nad zamiar pięknie i modno pachnie; kędy sikofancyi (1), pseudo-polityki, zdrady, sekretów na zgubę publiczną pełno... języka polskiego obyczaj ustał, szlacheckie dzieci na kozłach przy oddechu pohanego olędra woźnicy jak maznicę wieszają, kędy nie masz nic cale do pozoru, obyczaju i doskonałości polaków. Hetmański podobno? kędy przez sknerstwo, nad dostojeństwo i powagę większe, wszystkie usługi poprzejmował żołnierz, i w publicznéj poważnéj rezydencyi nadstawia się powinnościom prywatnym i potocznym, szarzając się za niemi w pancerzu, albo w tygrowej suce, jako w barwie hajduczéj. A może u innych panów i górniejszych w urzędach osób? kędy minę w paliwiosków przyjemność, kibić w słomiany mendel, chód i obrót w złodziejski pozór, głowę w *tarum farum* przedziwne, wszystkie obyczaje w konfuzję przyjemna panom w naśladowanie sili, przerabia maniera"... Słowem „pożal się Boże krwi szlacheckiéj, ba, i prostéj poczciwego

(1) intryg, podstępów.

chłopa, którymi oni teraz najwięcéj figurują ozdobę dworów swoich na modelusz cudzoziemskiéj służby.“ Wieśniacy dziwacznie przybrani wyglądają „z pod peruk swoich jak z pod ogonów kobylich.“ Przy stołach pańskich, nie usłyszysz słówka polskiego (lubo czasem krój polski zagęści) dla dyskursu politycznego i nauki młodzieży, tylko kolejny brzęk kieliszków a ulubione parle, parle.“ Wielkie panie dziś nawet nie lubią fraucymeru i nie zajmują się nim wcale, dosyć im „w podróż jednéj baby dla wygody sekretnéj i pohanéj jak bukłada (1) karlicy; temi najdalsze drogi i publiki opędżać zwykły. Fraucymer zaś na ustroniu, bez oka, bez przyzwoitéj roboty, zabawy i wygody zostawiony, tuła się za inklinacyami, amorami, że pani powróciwszy, zastaje nieraz rzecz gotową do chrzcin i do ślubu razem, z czego niebożęta rodzice korzystają mizernie... bo z ludzi służałych, motłochu wszystko ladaco i nicdorzeczy. Browar, tytoń, cudza komora, pańska szkoda, piętna po barwie, ta jest wszystka téj kanalii życia maniera.“

Obyczaj służby wojskowéj bardzo szeroko jest traktowany. Autor, który jak powiada wyżéj, nauczył się wojować „z niemałą imienia swego reputacyą,“ pojmuje seryo obowiązki stanu wojskowego, i jaskrawemi barwami maluje jego upadek. „Kędyż leżysz złamana rządu i wojska potęgo? pod którą najmocniejszy nieprzyjaciel padać i grube karki łamać koniecznie musiał. Pod którą jako stalową tarczą, wiara i kościoły śś. niewzruszone stały. Pod którą wolność i swobody szlacheckie jako pod łagodnemi słońca darami, milusienko kwitnęły. Pod którą ludzie wszystkich prac i pożytków swoich zażywali spokojnie. Pod którą prawa powaga i powinności wszelakie regularnie chodziły. Pod którą trony i majestaty w zupełnych ozdobach i wzajemnéj konfidencyi reverenter stały. Pod którą sławy imienia polskiego cały świat dowoli nasłuchać się i wydziwować nie wystarczył. Pod którą sam Bóg z patronami świętymi za nas i dla nas dokazywał cudownie. Pod którą (słowem rzekę) nic przykrego, nic trudnego, nic niebezpiecznego, nic niedoskonałego nie bywało.“ Urok imienia hetmańskiego upadł, odkąd hetmani nadużywają swéj władzy dla celów osobistych i partyjnych. Waleczność żołnierza przerodziła się w burdy i pijatykę, religijność ustąpiła miejsca bezbożności, żądza wojennéj zdobyczy pokojowemu podbojowi serc niewieścich. Nie ten lepszy, kto waleczny: ale ten, kto piękniéj się przystraja, przechody wojskowe niszczą mienie obywateli; najwięcéj tu cierpią wdowy i sieroty, których dobra, pomimo ochrony hetmań-

---

(1) bukłada, bukład, buklak naczynie skórzane do noszenia wody (tatarskie).

kiéj „z przypisem własnéj ręki: *pod sądem zalecam*,“—są formalnie najeżdżane i grabione. Ledwo znak rotmistrzowski ukaże się we wsi, zaraz w niéj „okrutne zamieszanie: kwik, bek, gdak, hałas, lament, trzask, puk, grzmot i wszelka opresia przebijają obłoki. Już chłopstwo poranione, kobiety pokrwawione i przestraszone, biegają jak szalone, ręce załamując, w knieje i parowy uciekają, mróz i słotę z dziećmi nagiemi cierpią i ledwo się nie zagubią. Już okna w chałupach na wylot przeglądają, piece trupem leżą, naczynia, sprzęty, szkła i fanty potłuczone i porabowane. Już szkapy po uszy z siana wyglądają, owsem i ziarnem przez ochwat mierzą się. Pierza z drobiu jak śnieg po całéj wsi latają, ognie w stodołach palą się, we wszystkiém niekarny żołnierz pod niepoczciwą komendą bryka i exorbituje.“ Dwór koniecznie dostarczyć musi przynajmniéj „dwie beczki miodu, cztery piwa, dwadzieścia garncy gorzałki, tyleż korcy owsa, sześć flasz wina jmci panu namiestnikowi w dyskrecyi za siano, słomę i sieczkę.“ To téż po przejściu wojska cała wieś wygląda jak po bitwie. „Już i jejmość z drobiem dziatek swoich we dworze na zimnie bez drew w zęby jak w cymbały dzwoni, głód cierpi, spiżarkę wyszafowała, piwniczkę wyszynkowała... A mój miły nad babami Herkules, jako bela opity namiestnik zębami zgrzyta, na wąsy dmucha, jako papuć gębę odyma, władzą swoją bryka, ludziom przystępu, krzywdzie ucha, mizeryi serca, zbytkowi wstrętu, skargom sprawiedliwości nie pozwala..... ale hola, hola mój miły bohatyrze! na odwód proszę, nie tu dokazywać pole twoje, nie tu plac ubogich chałupki, w których jak w jazwce (?) (1) mizerne siedzą, wywracać i krwawić, albo z mizeryą ludzką pasować się okrutnie, dla któréj ochrony powołanie wasze krew lać i umierać rozkazuje koniecznie.“ Ale gdzie tam myśléć o tém żołnierzowi. kiedy „bronią władnie trwoga, szablę lekką jak piórko przypasuje moda, drugą niedbalstwo i niedozór do skórki węgorzéj przykleja nieużytecznie; kopia ręki nie ma, kurek panewki nie zna, sajdak z wiatrem igra, szkapa na ogień klęka, na huk wędzidła nie czuje...“ To téż obecnie żołnierz polski stał się pośmiewiskiem obcych, a „inwencya cudzoziemska“ wprowadza na „zabawne sceny, komedyi i opery całą jego pocieszną fantazyę, brawurę, stąpanie, ułożenie, junakieryę... przy nas samych i z pomocą chichotając ze wszystkiego do woli.“

III.

„Jako w cnotach, tak i obyczajach cale się nie mamy proporcyonalnie do oblicza ludzkiego z twarzy boskiéj przeformowanego,

(1) *Jażwce?* borsuki?

co samo pokaże się i w kroju.“ *Małpa człowiek w kroju* jest więc trzecią i ostatnią częścią satyry, „jako bowiem małpa chęcią i naśladowaniem rada się bierze do ubioru ludzkiego i przez zdradliwy stroju sposób wikła się i dostaje połowem w ręce człowieka.... tak i człowiek według inklinacyi nieostrożnéj do mody i krojów przeciwnych naturze, ułożeniu, miejscu i stopniowi swojemu, naśladując małpy, sidla się nieuważnie w kosztowne, długi, w szacowne expensa, w słuszne cenzury i błazeństwa u ludzi, wychodząc z znacznych dziedzictw, fortun, skarbów i własności domu i imienia swojego. Albo bierze na siebie postać i figurę owych komedyonalnych błaznów i trefnisiów, którzy... przerabiają się i układają w różne maniery i kroje obcych, na pocieszną patrzącym zabawę. A jakoż się przez Bóg do woli i rozpuku nie śmiać, kiedy się rzecz sama podaje ogromnie do tego przez ucieszną nieproporcyę kroju do kibici, kibici do stroju, stroju do osób, osób do gatunku, gatunku do intraty, intraty do kosztu, kosztu do stopnia, stopnia do kapitału i substancyi, substancyi do utraty i zażycia, zażycia do niewczesnego żalu i dobrowolnéj mizeryi, zgoła wszystkiego nie do twarzy, sposobności i powołania.“ Wszystko to zaś obaczy się obszerniéj „w następujących podziałach partykularnych, a naprzód—*w podziale kroju białogłowskiego.*

Nie idzie tu autorowi o wytworne i powabne stroje. Kto na nie ma—niech się niemi cieszy i chlubi. Chodzi mu tylko o wydatki na stroje, przechodzące możność ludzi średniéj, szlacheckiéj fortuny. „Żebym zaś przez bezpieczeństwo prawdy nie uraził kogo, biorę się z obserwancyą do nóg delikatnych, a póki granica pozwala, uważam trzewik, dratwy i kroju turobskiego, jako prośniak pohany, pończochę jedwabiu czyli sztamentu koziego, niby tłumok sudanną (1), podwiązkę jéj z ołowiem szlakowym, szlak koszuli w nici pracowitéj, zapracowanéj i ostréj, spodnicy duhat i podszewkę z pod szczotki; róg na szyję złodziejom przyzwoity. Widzę modny na wierzchu parter z kilkadziesiąt szacownych łokci wymierzony, modno, dostatnio i sudanno na szlak teraźniejszy pofałdowany, pokawałcony i urobiony. W nim wojewodzinę albo inszą od krzesła i kondycyi damę uczcić by się godziło, ale że wierzchni zbytek, spodni niedostatek, garnitury znaczą, tedy kogoś inszego od pysznéj emulacyi, a nie od intraty strojnego poznam.“ Gdzież są karety, sługi i cugi do tego stroju odpowiednie? „Facyatę dym wskoś przejął, wewnątrz pluskwy zasmrodziły, czerw na wylot strawił, kiczka (2) zaniedbana odkryła...

(1) Nadobną, udatną.

(2) Pokrycie dachu ze słomy, snop do „strzechy.“

zwierciadło mysz pod ścianę zawlekła, jegomość na pańskie woła jejmość z warzęchą się uwija, a przecie garnitury, stroje i mody aż przez morza Paryż przysyła... Pytam jeszcze zkąd przecie koszt i dochody na to? Maciek zrobi, Maciek zje; wół zagranicę nie pociągnie, skiba do Gdańska nie wyprawi, gęba i potrzeba dosyć nie mają, dzieci z..... połyskują, niedostatek w domu świta, a przecie w nim *Musiu Michel* przy kaganku kraje, deseń układa, do szlaku, jako strunę baranią, defekt materyi wyciąga, jejmość do miary coraz się nadstawia, jegomość jak na ukropie gołym z...... siedzi, niecierpliwy i bojaźliwy, aby znowu po przydatek do szlaku na kliny albo falbany do kramu posyłać nie musiał, zastawiwszy na dwa łokcie ostatniego półchłopa.“ Na to wszystko jest pospolicie odpowiedź: tak moda każe, „tak i pani wojewodzina, kasztelanowa i tam insze od czoła damy modne stroją się i przystojnie udają. A tu serdecznie rozśmiać się muszę. O niepomiarkowana rozumem płci słabiuchnéj emulacyo.... A kędyż róg do ufnala, gdzie są te majętności i intraty wojewodzin i kasztelanowych? Nie jeden klucz przez ręce kredytorów przejdzie, aby do kosztownéj garderoby drzwi otworzyć. Zresztą wielkie damy mają sposobność pokazania swych strojów: „wolne publiki, kompanie, wizyty, akty i ozdobne przytomnościom królewskim asystencye. Mają publiczne o sobie poczty, gazety, wiadomości i relacye...“ Ale co tobie po tym zbytku mościa wojska upicka, albo podczaszyno derpska? Męża krzywdzisz i rujnujesz a sama nic z tego nie masz. Jeżeli to czynisz dla szacunku osoby, to próżny zawód

Bo i dudek pstry bywa, a w ozdobę przecie
I w smak stołów nie wchodzi z bażanty w pasztecie;

jeżeli dla naśladowania i emulacyi, to sama z siebie żartujesz,

Bo i głowacz nie jest główna ryba, choć to bywa,
Że przez siłę pod wodę z jesiotrami pływa;

jeżeli dla podniesienia swych wdzięków poniszczonych latami, to mylna twoja rachuba,

Bowiem wiara powszechna ludzi na tém stoi,
Że orłowi południe, noc sowie przystoi.

A może dla przypodobania się mężowi i odświeżenia jego uczuć miłosnych? Ależ to rzecz zbyteczna,

Kto bowiem żabę kocha, rozumie że pannę
Z bogiń kocha piękniejszą nad insze Dyannę.

Strojnisie takie narażają się na żarty, na ludzkie obmowy. Nawet nazwać strojów nie umieją, zasłyszawszy coś o nich tylko zdaleka i przekręciwszy. Kupiec „przez wstrzemięźliwość śmiechu nieraz krwią plwać musi, kąsając język przy towarze swoim. Będzie tam bowiem i: musiu, mości panie, pokaż mi waszeć *pater* (1) z materyi *paruskiéj* (2); tylko niech będzie na niéj *rexen* (3) modny, a kolor *amorat* (4); potrzebny mi i *pastor* (5) pod kamizelę, *ba i rochatyna* (6) *w pensowym* (7) kolorze i t. d.“ Za paniami idą ich sługi. „Jeżeli pani pokaże się jak beczka, pewnie sługa przyczyni obręczy, wydawając się jako kufa ogromnie i tak szeroko, że się ludziom zdawa, iż ta dama zdobiąc tusz swoję, nie bywa bez czopa.“ Za sługami idą mieszczki, nie wspominając już o pannach „z lupanarów.“ Paryż nadaje prawa modzie, ale tam tylko bogate i wysokiego rodu damy do niéj się stosują. Każdy stan ma własny ubiór, nie naśladuje jeden drugiego. U nas zaś nie poznasz: która matka a która córka, która wojewodzina a biedna szlachcianka, która pani a sługa, która praczka a która senatorka. Dawniéj jedna i ta sama materya przechodziła w spadku z matki na córkę, a nawet wnuczka w tejże koronce i przerabianéj szubce ludziom się pokazywała, w któréj babka szła do ołtarza.

Przystępujemy do ostatniego rozdziału satyry, którego przedmiotem jest *strój męzki światowy*. Autor nie rozumie prawdziwie „żeby ktośkolwiek, poznawszy rzecz dyskursu niniejszego na sobie, rozgniewać się . . . musiał, wprzód albowiem niż ona przed oczy wynijdzie, każdy pójdzie za pochopem mieniących się ustawicznie kroków naszych i przeinaczy się tak usilnie, że od porzuconéj przed kwartałem mody jakoby wiekiem całym zdadząc się być oddalony, wszystko to co tu o sobie samym prawdziwie przeczyta, nie sobie, ale raczéj dziadom, pradziadom i naddziadom swoim należeć przyzna.“ Przedewszystkiém gniewa satyryka, że wielcy panowie nic „do szlaku godności, pańskości i dostojności“ nie noszą. Nie zobaczysz na nich owego „wieczystego półgranacia (8), szkarłatu, fioletu, aksamitu, półpalcowego atłasu i adamaszku. . . . sobola i marmurka“ (9), ale jakieś „wiotkie szypłuchy ladajakie pytle, podłe z nici i nazwiska łyczaki, kitajki (10) . . . . wilki, barany, popieliczki i bielistki.“ Wszystko to zaś tak drogie jak najwspanialsze futra i materye, które przez czas długi wartości nie tracą i są poniekąd majątkiem rodzinnym. Kupcy sprzedając te „błazeństwa,“ zyskują jak „na

(1) Ma być *parter*. — (2) paryskiéj. — (3) deseń. — (4) amarant. — (5) kastor. — (6) ratyna. — (7) ponsowym. — (8) grube sukno granatowe. — (9) lisy czarniawe marmurowéj maści, jedno z najdroższych futer. — (10) jedwabna materya gorszego gatunku.

farynie.“ Mniejsza wreszcie o gatunek materyi, ale gdzie się podział stary krój polski. Oto „suknia opnie raz z.... jakby weń wrosła, tak pociesznie i gładko, że cała jego z podziałem fizyognomja pokaże się jak na afront patrzącym; drugi raz kupa fałdów obłoży, że się zda tonąć jak w bałwanach na morzu; trzeci raz nie dopędzi kupra, jak katanka góralska; owdzie niedostatek a tam zbytek niezmierny.“ Powaga sukni jest konieczna, stosować się zaś winna do znaczenia i stanowiska noszącego. „Niech twój modny dworzanin do mody teraźniejszéj błazeńskiéj z...... przed tobą i za tobą wierci, pozwalam, niechaj plastrami irchowemi biodra sobie okłada, fałdy łamie, grzbiet pytluje, z.... jak tarcicę taśmuje i w inwencyach pociesznego kroju i gatunku zbytkuje: — tobie bławat dyktowny, sukna okazały gatunek, guz w dyamencie, włos futra czarny, krój dostatni, strój otworzysty słusznie i poważnie należy.“ Szlachta naśladując panów, zmienia coraz modę, traci majątki na modne stroje. „Dobrze i nad zamiar pożytecznie bywało przed laty, gdzie każda sztuka ochędóstwa polskiego miała się wieczystym krojem i potém się pod szlak inszy przydała, według owéj do wyrozumienia łaciny: a pamiętasz kontuszu quando feresia fuisti, nunc modo żupan eris, postea curta brevis; z któréj znowu mogła być portka ba i czapka razem Antosiowi pańskiemu.“ Żołnierz po te czasy „w atłasowych portkach do pychy haruje, podjazduje i wojennie pracuje, ubramowawszy je, jak sznurówkę Dorota, galonem, czyli pasamonem..........“ Służba dworska naśladuje w stroju kobiéty, włos pudruje, rękawiczki upiżmowane kładzie. Juryści, instygatorzy wszystkich naśladują po trochu: rodzajem rewerendy przypominają księży, kamizolą wdowy, pętlicą dworzanina ... Profesorzy, studenci „extra limen (za progiem) szkoły i skromności wychodzą pod kroje zbyteczne i pocieszne.“ Tęż samą niewłaściwość stroju napotyka autor u mieszczan i u chłopów.

Po kroju białogłowskim i męzkim światowym przyszła kolej na *krój duchowny*, i taki też tytuł napotykamy w rękopiśmie. Ale zaraz po nim następuje: „koniec A. M. D. G.“ i czterowiersz:

Żyjcie w górnych ozdobach Chrystusowéj wiary
I zbawienia naszego o! święte filary!
Żyjcie w krojów wolności; nieprzeszkadzam póty
Póki za pierwszy dyskurs nie zmówię pokuty.

WPŁYWY GRECKIE

NA WYBRZEŻACH ZATOKI TARENCKIÉJ.

[La Grande-Grèce. Paysages et histoire, par François Lenormant, prof. d'archéologie près la Bibliothèque nationale. Paris 1881. Tome I—II].

Półtora roku temu z małéj górskiéj mieściny nad zatoką Salerno, robiłem wycieczkę do Pestum. Trudno o zupełniejszą sprzeczność z malowniczym, rojącym się ludźmi ogrodem „szczęśliwéj Kampanii“ od jednostajnie smętnéj i pustéj okolicy nadbrzeżnéj, przez którą prowadzi droga do szczątków greckiego miasta. Z tamtéj strony Salerno piętrzą się jedne po nad drugiemi u samego brzegu, góry wysokie, okryte krzakami i lasem, białe wioski czepiają się wesoło po urwiskach inne kąpią się w morzu wraz ze spuszczającemi się ku wodzie zielonemi zwojami mirtów i wina. Nad południowém wybrzeżem zatoki prawie na równi z morza poziomem rozciąga się obszerna płaszczyzna, zamknięta w głębi łańcuchem niewielkich, obnażonych pagórków. Na piaszczystym gruncie z rzadka widać trochę karłowatych drzewek oliwnych, pokrzywionych dziwnie i napół zeschłych. Czasem, rzadziéj jeszcze szarzeje na polu ferma, wielka massa czworoboczna rozsypujących się kamieni bez okien, z zakratowanemi strzelnicami jak forteca. Na szerokim gościńcu ani żywéj duszy oprócz kilku konnych i pieszych karabinierów strzegących okolicy osławionéj rozbójniczemi napadami. Cisza zupełna—tylko zdaleka dochodzi przytłumiony szum fal obijających się o niskie brzegi.

Wśród trzęsawisk i piasków, zdawna wyludnionych przez malaryą, stoją w całéj swéj imponującéj piękności świątynie dawnéj Poseidonii. Morze w ciągu wieków usnęło się od ich stóp. Tylko w oddaleniu oddzielona szerokim pasem ziemi od dawnego przylądka, wije się szmaragdowa wstęga i w powietrzu wilgoć solna miesza

się z ostrym zapachem traw i ziół, bujnie rosnących na około ruin. Wszystko zdaje się umarłem od wieków—ale poważnie i wspaniale jak dawniéj biegną w górę ogromne kolumny świątyni Poseidona i lżejsze kształty Bazyliki zarysowują się na błękicie morza i nieba z dawnym czarem nieporównanéj swéj harmonii.

Szukając wśród zarośli resztek murów i baszt miejskich, amfiteatru i świątyni Pokoju, łatwo przenieść się w tę przeszłość daleką, kiedy trzy doryckie świątynie i inne, dziś zrównane z ziemią, jaśniały młodzieńczą krasą, i na złocistém tle trawertynu gorącym blaskiem odbijały żywe barwy polichromicznych malowań. A od miasta, które się skupiało niegdyś około ołtarza Poseidona na tym opustoszałym przylądku, mimo woli zwraca się myśl do innego przylądka i innéj świątyni, do tego ogniska kultury grecko-italskiéj, jakim był przybytek Hery Lakińskiéj, do strzegącéj go Krotony i Sybaris bogatéj, zagrzebanéj pod falami rzeki Crathis. Cały ten świat grecki, rozwijający się na italskim gruncie z równą siłą i większą niemal świetnością niż wśród ojczystego morza, pociąga ku sobie niewypowiedzianym urokiem, może dla tego że tak dziwnie przeszedł, bez śladu prawie, jak oderwany dźwięk pieśni gubiący się w przestrzeni. Stara legenda grecka o Polikratesie, któremu szczęścia pozazdrościły bogi, zdaje się odbijać w jego losach.

Ani mnie, ani memu ówczesnemu towarzyszowi podróży, wiedeńskiemu profesorowi H., nie pozwoliły okoliczności doprowadzić do skutku naszego zamiaru odwiedzenia wspólnie tych wybrzéży Tarenckiéj zatoki, na które pomimo przechodzącéj tamtędy kolei, odważa się puszczać tak niewielu turystów. Wraz z Selinuntem i całą Sycylią włoski brzeg Jońskiego morza pozostał dla mnie niespełnionem marzeniem. Niewiedziałem o tém że równocześnie całą tę część Włoch przebiegał i studyował uczony francuski, którego wrażenia podróżne, złączone z historycznemi badaniami i odkryciami archeologicznemi, stworzyły jednę z najciekawszych książek, jakie wyszły w ostatnich latach, zdolną jeżeli nie zastąpić osobiste zwiedzenie tych miejsc, to przynajmniéj dać o nich zupełnie jasne i dokładne wyobrażenie.

W świecie naukowym francuskim p. Lenormant znanym jest z poważnych prac nad historyą pierwotną ludów Wschodu, po których z czasem mają podobno nadejść dzieje Grecyi. Kultura pierwotna Greków i rozwój stopniowy ich religijnych pojęć stanowić ma oddawna przedmiot specyalnych studyów autora. Szukając śladów téj kultury na Apennińskim półwyspie i rzucając na nie jasne i wszechstronne światło, p. Lenormant położył tém większą zasługę, że dotąd pole to zaledwo ubocznie i dorywczo dotknięte było przez historyków Rzymu i Grecyi.

O ile sądzić można, uczony francuzki zużytkował cały materyał naukowy, istniejący dotąd, opierając na nim szereg własnych wywodów i rezultatów, prawie zawsze gruntownych, często świetnych, czasem może cokolwiek za śmiałych. Na nieszczęście chęć, bardzo zresztą zrozumiała, uprzystępnienia poważnego dzieła dla szerszych kół czytelników, skłoniła go do obrania popularnéj formy podróży, przeplatanéj tylko epizodami historycznemi i archeologicznemi. Epizody te, zajmują prawda większą część dzieła, nie tworzą jednak organicznéj całości. Jakby ukradkiem, pomiędzy żywe i barwne obrazy miejsc i ludzi, autor wtrąca reminiscencye z przeszłości, oderwane, rozproszone tak, że niemałéj pracy potrzeba dla skupienia i uporządkowania w myśli tego chaosu wiadomości, spostrzeżeń i odkryć. W dodatku dla zmniejszenia naukowego balastu, wstrzymuje się stale od porównania źródeł z których czerpał, co najwięcéj ogólnie tylko wspominając o kilku powszechnie znanych uczonych, badających przed nim dzieje i kulturę wielkiéj Grecyi.

W zwyczajnéj książce popularno-naukowéj, reasumującéj z nowego punktu widzenia rzeczy zbadane wcześniéj, metoda taka może mieć pewne zalety—świadkiem jedyne w swoim rodzaju *Italienische Streifzüge* Gregoroviusa i nawet daleko niższe ich naśladownictwa Kadena. Ale książka p. Lenormant ma założenie szersze i daleko donioślejsze. Jest ona rezultatem długich badań i specyalnéj pracy w przedmiocie, mało zbadanym; chce w nim niejako wypowiedzieć jeżeli nie ostatnie słowo, to przynajmniéj najbardziéj gruntowne i pewne zdanie ze wszystkich jakie wypowiedziano dotąd, łącząc rozerwane spostrzeżenia poprzedników w pierwszą zupełną całość. Świetném piórem wytwornego stylisty kreśli autor, zaczynając od Tarentu, dziwne koleje i charakterystyczne cechy osad greckich na zachodniem wybrzeżu zatoki, nawiązując do téj dalekiéj przeszłości późniejsze wypadki i wycieczki naukowe we wszystkich kierunkach, w jakich się obraca jego różnostronna wiedza. Tém bardziéj żałować trzeba, że odjęta możność poważnéj kontroli nie pozwala czytelnikowi dostatecznie korzystać z niezmiernego bogactwa nowych szczegółów, jakie w książce spotyka—jakkolwiek dotychczasowe gruntowne i źródłowe prace autora byłyby w stanie dać porękę i téj, gdyby w ogóle wolno było w nauce wierzyć na słowo.

W obec zupełnego braku podstawy, na któréj dałaby się oprzéć krytyka źródłowa książki p. Lenormant, ścisłego jéj rozbioru i uzasadnionych zarzutów mógłby się podjąć jedynie ktoś równie oznajmiony z przedmiotem i z odnoszącym się do niego materyałem naukowym, jak sam autor. Natomiast zdało mi się, że podniesienie tych szczegółów książki, które się dadzą sprawdzić przy zestawieniu z in-

nemi źródłami nie będzie może pozbawionėm interesu. Spróbowałem je zużytkować do odmiennéj całości, zatrzymując się na podstawie Lenormanta wraz z Curtiusem i Niebuhrem przy kilku główniejszych momentach rozwoju wpływów greckich na południowéj części półwyspu Apenińskiego. Nie mając pod ręką ani prac nowszych Helbiga, ani dawniejszych ks. de Luynes, głównych i prawie wyłącznych powag co do archeologii grecko-italskiéj na które powołuje się p. Lenormant, zmuszony byłem całą odnośną część jego dzieła pominąć milczeniem, ograniczając się przebiegiem wypadków historycznych i prądów cywilizacyjnych.

I.

U południowych swoich kończyn, począwszy od *Monopoli* i *Polikastro* półwysep Apeniński rozdziela się na dwie odnogi, obejmujace w czworobok zatokę Tarentyńską. Jedna z tych odnóg przedłuża ten sam południowo wschodni kierunek, w jakim od ujścia *Po* równolegle do dalmackich brzegów idzie półwysep—druga wykręca się ku zachodowi i łamie w kapryśnych zagięciach przy Sycylii i Liparyjskich wyspach. Główny łańcuch Apenninów rozdzielający wzdłuż Włochy całe na dwie odmienne połowy, towarzyszy téj ostatniéj odnodze i kończy się aż za morzem wysokiemi szczytami gór Sycylijskich — w przeciwną stronę, ku Otranto, biegną mniejsze tylko odrośle pagórków.

Ten sam dwoisty charakter, jaki Apenniny nadają Włochom całym, stanowi cechę tych południowych kończyn półwyspu. Ku Adryatykowi schodzą ustępami góry rzadko lasem pokryte, częściéj nagie, wypalone od słońca, świecące białemi skałami. W dole idzie linia brzegów równo, regularnie, bez zatok i portów. Kraj cały ma dzikie, melancholiczne piętno, coś, co przypomina skaliste brzegi Morei albo równiny bulgarskie nad morzem Czarnem i ujściami Dunaju. Mało wody; po za *Pescaro* ani jednéj znaczniejszéj rzeki, tylko kilka górskich strumieni, wysychających latem, spływa ku morzu.

Zachodni brzeg półwyspu wije się cały w lekkich zakrętach i zagłębieniach, przedstawiając co chwila przystań bezpieczną i wchodząc w morze ostremi językami ziemi. Nad samym brzegiem, częściéj jeszcze w pewnėm oddaleniu, grupują się malowniczo faliste linie pagórków, między któremi przeglądają dalsze wierzchołki. Na górach rosną mirty i migdały, szarzeją srebrzyste liście gajów oliwnych i głębszemi tonami mieni się zieleń dębów i klonów. Gdzie niegdzie tylko dla odmiany fale morza obijać się będą o mętną, jed-

nostajną równinę rzymskiéj Kampanii, albo o niezdrowe trzęsawiska na południowéj stronie zatoki Salerno.

Pomiędzy temi dwoma typami kraju, z których jeden zdaje się wciąż uśmiechać wśród wieńców z kwiecia i zieleni, a drugi patrzy posępnie i surowo obnażonemi stokami gór swoich na wesołe wyspy Jonii i mgły szarzejące w dali od albańskich wyżyn, — za łącznik i ogniwo służy zatoka Tarentyńska. Główne pasmo Apenninów przechodząc w górze po nad nią ku *Reggio*, oddziela jéj brzegi od zachodniéj połowy półwyspu, okrążając je swemi rozgałęzieniami jakby wyniosłym amfiteatrem między którym tu i owdzie ścielą się nad wodą zielone równiny. Linie brzegów równie urozmaicone, jak w Neapolitańskiéj Kampanii, morze wrzyna się czasem aż w głąb lądu, tworząc słone jeziora — kraj zdumiewa miejscami zwrotnikowém niemal bogactwem roślinności, któréj nie starczy gdzie indziéj na nędzną trawę między skałami. Składowe czynniki jednego i drugiego brzegu zcierały się tu z sobą tworząc mozaikę różnobarwną, pełną jaskrawych przeciwieństw i gwałtownych przeskoków.

Pomimo spotykających się w nim co chwila rozdźwięków i dzikości, kraj jest wszędzie piękny, a oryginalny jego urok przewyższa nieraz najsłynniejsze z malowniczości okolice półwyspu. Liczne źródła i potoki odświeżają równiny nadmorskie, tak żyzne, jak przy Neapolu albo w dolinie *Po*. W niższych miejscowościach z zepsuciem lub zamuleniem kanałów, któremi w starożytności ściągano wody i osuszano grunta, opustoszały znaczne przestrzenie, dawniéj uprawiane jak najpiękniejszy ogród i tylko trzody bydła pasą się na trzęsawiskach zarosłych trawą bujną, między którą gdzie niegdzie przeglądają wielkie płachty stojącéj wody. Febry i zgniłe gorączki panują tu wszechwładnie. Cała ta część kraju jest zupełnie bezludną, w reszcie co lato zatrute wyziewy z bagnisk dziesiątkują mieszkańców. Uprawa roli, zwłaszcza na takich opustoszałych przestrzeniach, jest prawdziwą walką na życie i śmierć i z kilkuset robotników pracujących w polu, co dzień zabójcze promienie słońca lub niezdrowe mgły wieczorne zabierają nowe ofiary.

Nic nie może dać wyobrażenia o nędzy, ucisku, zdziczeniu ludności. Nagi Lazzaron neapolitański, wylęgający się na *Chiaia* i *S. Lucia*, ma codzień bez pracy garść makaronów i fig świeżych—wieśniak kalabryjski pracować musi przez całe życie jak bydlę robocze, żeby zaspokoić nietyle nieobecnego właściciela gruntów ile raczéj całą drabinę dzierżawców, eksploatujących częściami czynsz i pańszczyznę, podobnie jak to się dzieje w Turcyi z podatkami. Niema kraju w którymby prawo mniéj się opiekowało niższemi warstwami społeczeństwa, i nigdzie téż cyniczny egoizm liberalnego mieszczaństwa

nie uwydatnił się jaskrawiéj, jak w ustroju zjednoczonych Włoch. Wierzenia religijne, zupełny brak potrzeb i dobroduszność wrodzona ograniczyły dotychczas wybuchy przewrotnych dążności do kilku sporadycznych objawów mistyczno-socyalistycznego sekciarstwa.

Trzeba widziéć chłopów południa zaprzężonych w pługi, noszących z bagnisk błoto na pole w koszach, z których czarne smugi spływają im nieustannie na głowę i ramiona; trzeba wejść do nór z ziemi i liści albo walących się gołębników kamiennych, do których wracają na noc, żeby ocenić ich nędzę i poniżenie. Pomimo to, lud ten ma wiele wrodzonych zdolności, instynkt piękna niemniéj rozwinięty jak w Rzymie i Toskanii, pewną szlachetność, któréj błaznującemu i zepsutemu Neapolitańczykowi brak zupełnie. Gościnność jego weszła w przysłowie na równi z polską i szkocką; kradzież niewiele częściéj się zdarza jak na muzułmańskim Wschodzie. Prawda, że bandyta królujący do niedawna jeszcze wśród gór w oczach wieśniaka, podziwiającego jego czyny, wyrastał na takiego samego bohatera, jakim był dla chrześcian serbskich i bośniackich hajduk z Czarnéj góry; ale też położenie czynszownika wobec klas wyższych, przeciw którym wyłącznie zwracała się nienawiść rozbójników, nie wiele się różni od stosunków *rai* do tureckich bejów. Dotąd jeszcze codzień się zdarza, że wyrzucony bez powodu z gruntu wieśniak albo syn jego, któremu *fattore* uwiódł gwałtem narzeczonę, uderza idącego wieczorem między żebra sztyletem lub kulą z za krzaka i ucieka w góry, żeby tam zasłynąć jako nowy bohater albo po kilku miesiącach wrócić do swéj wioski.

Ze sztyletem u pasa i strzelbą przewieszoną przez plecy, w kapeluszu spiczastym nasuniętym na czoło, z pod którego wyglądają czarne, ponure oczy i smagła twarz, obrosła cała, wieśniak każdy z okolic Tarentu lub Reggio mógłby pozować jako typ bandyty. W krwi mu pozostały resztki dumy i energii przedsiębierczych greckich plemion, których reminiscencye odbijają dotąd w jego mowie. Jest to jedyny z Włochów, który nietylko o jałmużnę nie prosi, ale jéj zazwyczaj odmawia. To co ma, wydaje z łatwością na zabawę, na festyny i illumacye po odpustach i jarmarkach, na jaskrawe wstążki i stroje. Pieśni jego miłosne są pełne poezyi i wdzięku; tworzą się z nich oktawy z rytmem poprawnym, bo omyłki nie zniósłby śpiewak ani słuchacze, choć żaden z nich nie wie nawet, jak wyglądają nuty.

Wsi, podobnie jak w większéj części Włoch, niema tu wcale. Po wzgórzach i polach porozrzucane pojedyńczo fermy, nędzne i brudne, opustoszałe z pozoru daleko więcéj od sąsiadujących

z niemi kamiennych wieżyc, z których co jesień możniejsi właściciele całemi dniami strzelają na ptaszki po stokach gór i nad morzem; dużo miasteczek, również nędznych i brudnych ale czasem dość ludnych. Od Tarentu począwszy brzegiem zatoki idzie koléj aż do Reggio dotykając znaczniejszych miejscowości. Minąwszy rzekę *Bradano* najznaczniejszą z wpadających do zatoki Tarentyńskiéj spotykamy *Policoro*, koło miejsca na którém się wznosiła Heraklea, *Cassano* na miejscu *Cossa* Pelazgów, a w górach nad niém również starożytne, ożywione mieściny *Murano* i *Castrovillari*. Daléj trochę leży jedno z pierwszych gniazd normandzkich we Włoszech *S. Marco*, a za niém najludniejsze miasta téj części wybrzeża, *Corigliano* i *Rossano*. W środku kolonii Albańskiéj, która odtąd zachowała obyczaje i dyalekt ojczysty, podobnie jak wszystkie inne kolonie rozsypane po południu Włoch, znajduje się *Spezzano albanese*. W pobliżu świątyni Hery Lakinii, *Cotrone* zajmuje zwaliska sławnéj stolicy Pitagorejczyków, a za niém malownicze i bogate *Catanzaro* łączy właściwości kalabryjskich miasteczek z tendencyami do europejskiego miasta.

Kraj cały, nawet w reszcie Włoch nieznany prawie zupełnie po za obrębem Tarentu, nie mający ruchu handlowego, nie zdolny wyzyskać bogactw, jakie się w nim znajdują. Rząd o te „Calabrie lontane“ nie troszczy się wcale, zostawiając je bez szkół i dróg; zamożniejsi właściciele ziemscy na jesień tylko zjawiają się dla polowania; zrzadka gazety neapolitańskie i rzymskie donoszą o jakiéjś większéj *coltellacie* albo nowym „królu gór“ i na tém się kończy stosunek Kalabryi ze światem cywilizowanym.

Taką jest dzisiejsza postać kraju, który przez długie wieki był równolegle z państwem Etrusków ale w większych rozmiarach ogniskiem kultury i ruchu handlowego na półwyspie.

Z potężnych kolonij greckich, przedstawiających nam obraz dojrzałych organizmów państwowych w chwili gdy Rzym był w pierwszym swym zawiązku, nie zostało żadnych prawie śladów. Kilka ruin, trochę monet i naczyń znalezionych w grobowcach, parę napisów—oto cały materyał, z którego czerpać można chcąc odtworzyć sobie ten świat dziwny, pełen blasków i czaru. We mgle wieków gubią się jego zarysy, czasy i ludzie promienieją legendowém światłem— i nie łatwo wśród fantastycznych baśni i heroicznych podań odnaleść ścieżki, któremi szły, rozwijały się i chyliły do upadku cywilizacyjne prądy sąsiedniego Wschodu, odbijające się potężną falą na tém wybrzeżu pomiędzy dwoma morzami.

II.

Niema może ciekawszéj karty w dziejach od losów téj garstki ludzi, skupionéj na kilkunastu obrywkach ziemi i wyrywającéj się wciąż w dal nieznaną, z gorączką dziwną i odwagą, której prawie uwierzyć trudno. W pierwszym tomie swojéj historyi E. Curtius wprowadza nas do wnętrza tego greckiego ula, z którego we wszystkie strony świata rozlatywały się roje pszczół przemyślnych i pracowitych, niosąc za morze dalekim lądom nadmiar swoich sił żywotnych i owoce ojczystéj kultury. Pierwszym ich celem były najbliższe Archipelagu wybrzeża Azyi mniejszéj. Żywioł grecki rozwinął się tam z niezwykłą szybkością i siłą i wkrótce Milet ze swemi czterma portami i niezliczonemi zastępami miejscowych żeglarzy, z których mogła się oddzielna potężna partya „morska“ utworzyć, stał się punktem środkowym handlu greckiego. Ztąd poszły na północ i na południe drogi handlowe, któremi wpływ grecki przedzierał się nad brzegi Nilu i Borystenu. Począwszy od morza rozszerzyły się powoli kolonie Miletu na południowéj stronie Euxynu: między niemi słynna *Synopa* i *Kyzicos*; na pólnocnym brzegu morza *Odessa* nad limanem Teligulskim, *Olbia*, *Tyras* przy Dniestrze, *Tanaïs* w pełnym niebezpieczeństw kraju okrutnego scytyjskiego plemienia *Maïtów*. Przez te kolonie szły mileckiemi statkami na południe kosztowne towary krain północnych, bursztyn z nad Baltyku, złoto z gór Uralskich, futra rzadkie z puszcz scytyjskich.

Z drugiéj strony wyprawy mileckie opierały się o Egipt — chociaż przy panującym tam systemie odosobnienia i surowości dla cudzoziemców, niebezpieczeństwa i trudności wyrównywały tym, z jakiemi walczyć trzeba było w dzikich krainach Scytów. Aż do Psammetycha kupcy greccy mieli sobie wyznaczone przez Faraonów jedno tylko miejsce dla wyładowania towarów; dopiero po upadku etyopskiéj dynastyi i rozdziale kraju pomiędzy kilku tuziemnych książąt, pod wpływem asyryjskim polepszyły się warunki i Grecy mogli się osiedlić na oddanym im lennie przez Psammetycha Peluzyjskim brzegu Nilu, dając początek téj mieszanéj ludności, która późniéj miała zająć miejsce dragomanów całego Wschodu.

W handlu z Zachodem spotykały się z sobą dwa rywalizujące wpływy Jonii i Eubei. Jako najbardziéj wysunięta na północ przednia straż hellenizmu, *Korcyra* miała niepospolite znaczenie. Dwie drogi handlowe ztąd wychodziły a z niemi podwójny prąd emigracyjny: jedna dążyła wschodnim brzegiem Adryatyku do Illiryi i Istryi, drugiéj celem był przeciwległy brzeg włoski, tak bliski, że na nim

łatwo było dostrzedz wśród obłoków wierzchołki Apennin. Ta część półwyspu, ostrym klinem wschodząca w morze Jońskie, oddawna zamieszkana była przez pochodzących z Krety Messapijczyków, których greckie tradycye ułatwiały stosunki i kolonizacyą nowym przybyszom.

Żeglarze dwóch handlowych miast na Eubei, *Eretryi* i *Chalcis*, zwrócili się przedewszystkiém ku południowym i zachodnim brzegom półwyspu, monopolizując w swych rękach stosunki handlowe Grecyi i Azyi mniejszéj z morzem Tyrreńskim. Dalsze części Sycylii i najlepsze punkta handlowe były już pozajmowane przez Fenicyan; po założeniu dwóch pierwszych osad greckich w Sycylyi i Włoszech, *Naxos* i *Kumy* w Kampanii, Chalcydejczycy postarali się przedewszystkiém o zamknięcie wejścia do Tyrreńskiego morza innym żeglarzom greckim i wschodnim, zajmując obydwa brzegi Messyńskiéj cieśniny swemi osadami *Rhegion* i *Zankle* (dzisiejsza Messyna). Wiedzieli przytém dobrze że okrążenie Sycylii południowemi brzegami było również niemożliwém, tutaj bowiem strzegli zazdrośnie morza przeciw cudzoziemskim okrętom Kartagińczycy, osiedleni w *Melicie*, *Gaulos* (*Gozzo*) *i Cossyrze* (dzisiejsza *Pantellazia*). W ten sposób dopiero we dwa wieki późniéj i jak się zdaje nie bez poprzedniego porozumienia i zgody ze strony Chalcydejczyków, już zresztą wtedy bardzo osłabłych, w VI stuleciu puszczają się na Tyrreńskie morze Focejczycy i zakładają na zachodnim brzegu półwyspu włoskiego *Velię* i *Pizę*, wśród Gallijskich Ligurów *Massalię* i aż na południowych krańcaeh Hiszpanii rywalizują zwycięsko z monopolem kartagińskim.

Jeżeli jednak interesa handlowe Chalcydejczyków pociągały ich głównie ku Tyrreńskiemu morzu, dla reszty Greków, niemających dostępu na tamtą stronę półwyspu, nie chcących też rywalizować z kupcami i kolonistami z Korcyry na wschodnim wybrzeżu, zostawała wolną jedna tylko zatoka, Tarentyńska. Okolice jéj słynęły oddawna z urodzajności, fenickie okręty zawijały tu często po produkta miejscowe a zwłaszcza po purpurę, nie zostawiając jednak stałych osadników. Mieszkańcy większéj części tych wybrzeży Enotryjczycy, wedle podań zebranych późniéj przez kolonistów Wielkiéj Grecyi, wywodzili swój początek od głównéj emigracyi Pelazgów na dwa tysiące lat przed naszą erą. Rzeczywiście w religii ich i tradycyach odnaleść można wspólne pierwiastki z Pelazgami greckimi. Jak się zdaje, opanowali ich późniéj przybyli z północy Sykulowie, gałęź aryjskiego szczepu Ligurów, odepchnięta następnie do Sycylii nowonapływającemi falami ludów Auzońskich. W początku VIII w. przed Chr. Enotryjczycy byli znów niezależni i zajmowali zachod-

nią i północną część zatoki granicząc na samém południu z Sykulami, otaczającymi obie strony Messyńskiéj cieśniny, z Chonami rozciągającymi się na Północ i Wschód w równinach bliskich Tarentu, wreszcie z Messapijczykami i Salentynami, którzy zaludniali całą wschodnią końcową odnogę półwyspu.

W tym czasie rozwinął się w Grecyi z niewidzianą przedtém ani późniéj siłą prąd emigracyjny, który się skierował bardzo naturalnie do tych niezajętych jeszcze przez Greków wybrzeży, pełnych wówczas śladów dawnéj greckiéj kultury, pamiątek i wspomnień schronionych tu po upadku ojczystego miasta kolonistów Trojańskich. Emigracya ta nosiła całkiem odmiennny od dotychczasowéj charakter. Wychodziła nie z wielkich ognisk handlu i żeglugi, jak tamte i na celu miała nie opanowanie w danym punkcie handlowych stosunków, ale raczéj stworzenie sobie nowéj ojczyzny z czynników składowych dawnéj. Zwycięstwo Achejczyków w Peloponezie wywołało wśród dawnych jońskich plemion dość ogólne wychodźtwo, przy którém uderza dziwny fakt, niedostatecznie wyjaśniony przez Curtiusa i Lenormanta, że przywództwo całego ruchu dostaje się wkrótce w ręce Achejczyków i wpływ ich urządzeń, obyczajów i pojęć wyciska się znamienną cechą na osadach, zawdzięczających ruchowi temu swe powstanie. Curtius wprawdzie przypuszcza w początkach dwa odrębne prądy, z których jeden joński, skupił się przeważnie około Sybaris, a drugiego wyrazem stała się Krotona. W każdym razie jednak zlanie się tych prądów i przewaga zupełna achejskiego pierwiastku nastąpiła bardzo szybko. Wybitnie za to odróżnia się dorycki pierwiastek w trzeciém wielkiem ognisku kolonizacyi greckiéj VIII w., w założonym przez Lakończyków Tarencie, jakkolwiek i on zostawał pod achejskim wpływem, i sądząc z pozostałych monet, do wielkiéj federacyi republik wielko-greckich należał.

Na około tych trzech głównych punktów powstawać zaczęły wkrótce mniejsze osady, bądź jako ich kolonje, bądź jako punkt oparcia nowych fal napływających z Grecyi. Tak na miejscu dawnéj siedziby Trojan, jońscy koloniści założyli *Siris*, tak Sybaryci dali początek *Metapontowi*, mającemu być przednią strażą Achejskich wpływów na granicy doryjskich mieszkańców Tarentu; tak odnowione rojami greckich przybyszów, zhellenizowały się stare grody, wywodzące swój początek od wracającego z pod Troi Filokteta — *Petelia*, *Crimisa*, *Macalla*, *Chone*; z emigrantów greckich powstały również *Scylletion* i *Locri*. Wbrew Chalcydyjczykom, których kolonje były tylko handlowemi faktoryami, kolonizacya grecka tych wybrzeży nosiła poważną polityczną cechę, dążyła prze-

dewszystkiém do rozszerzania się w głąb kraju, do opanowania tuziemnych żywiołów i stwarzania sobie coraz to nowych centrów działania i wpływu. W innych krajach, takich nawet gdzie Grecy zakładali stałe i potężne osady, polityka podobna trudną byłaby do przeprowadzenia — w Egipcie byli wobec wiele starszéj cywilizacyi i silnie zorganizowanego społeczeństwa, które ich tylko jako kupców i tłómaczy cierpiało w pośrodku siebie; na całém wybrzeżu między Egiptem a Azyą mniejszą działalność ich hamowała potężna rywalizacya; nad Euxynem i w Galii mieli do czynienia z bitnemi plemionami tuziemców, których z trudnością mogli odeprzéć. Tutaj przeciwnie, plemiona enotryjskie, w których kraju skupiła się kolonizacya grecka z téj epoki, poddawały się bez oporu, odżywiały dawne swoje tradycye pochodzenia bądź od greckich Pelazgów, bądź od Trojan, spieszyły przejmować język, obyczaje i religijne wierzenia przybyszów. Do sympatyi rasowéj i wrodzonéj łagodności plemion tych pasterskich i rolnych, dołączało się zapewne długoletne przyzwyczajenie do jarzma Sykulów i innych z północy napływających szczepów.

Bez przeszkody więc mogli się rozszerzać grecy koloniści. Najbardziéj na północ wysunięty i najszczęśliwiéj ze wszystkich położony przy olbrzymim porcie Tarent, rozwijał wpływy swe handlowe i polityczne w górę po brzegach Adryatyku i wschodnich stokach Apenin, pośrednicząc równocześnie w handlu téj części Włoch z Grecyą przed wzrostem *Brundisium*. Panowanie jego obejmowało całą wschodnią kończynę półwyspu, gdzie z dwóch stron Tarentczycy założyli wielkie kolonie *Callipolis* (Gallipolis) i *Hydrantum* (Otranto) żeby strzedz zatoki Tarentyńskiéj i morza Jońskiego; na zachodniéj stronie zatoki naprzeciw Tarentu wzmogła się ich potężna i świetna kolonia *Heraklea*; na północy zaś od napaści plemion wojowniczych ze środka Włoch bronił ich szereg fortów i osad w górach Samnickich. Sybaryci przeszli na tamtą stronę Apenin i zacząwszy od założenia obszernego portu *Laos*, dla stosunków handlowych z Etruryą i całém Tyreńskiém morzem, puścili się w górę, opanowując całe to wybrzeże aż do najbardziéj na północ leżącéj z ich dwudziestu pięciu kolonii — *Poseidonii-Pestum*. Krotończycy wreszcie opanowali całą dolną część zachodniéj odnogi półwyspu, hellenizując na północy owe miasta Filokteta, o których mówiliśmy przed chwilą, a na południu w pobliżu zajętego przez nich *Scylletionu* tworząc nową osadę *Caulonia*. Podobnie jak Sybaryci, i oni także przeszli Apeniny, zajmując silne pozycye nadbrzeżne, dla opanowania téj części Tyreńskiego morza, która obecnie nosi nazwisko zatoki S. Eufemii. Założyli tam własne osady i zawojowali miasta tuziemców.

Zarówno te trzy wielkie republiki jak i mniejsze miasta i kolonie rozwijały się każda w pewnym, sobie tylko właściwym, kierunku; żyły życiem samodzielném, stosownie do odrębnych swych interesów i potrzeb. Jedne zajmowały się handlem lub pośrednictwem handlowem jak Tarent a zwłaszcza Sybaris; w innych kwitnął przemysł i rzemiosła; inne jeszcze, leżące jak *Pandosia* wewnątrz kraju oddane były przeważnie rolnictwu. Ogniwem łączącém wszystkie, była religijna i polityczna tradycya, wyniesiona z Achei. Achejskie prawa służyły za jednostajną podstawę ustroju każdéj z republik; kult *Zeusa Homariosa*, opiekuna Achei panował w równym stopniu we wszystkich. Potężniejszym jeszcze łącznikiem była świątynia *Hery Lakinii* na przylądku bliskim Krotony. Dawniéj plemiona miejscowe czciły tam wielką boginię enotryjską, *Vitulię*, która pod postacią krowy służyła za małżonkę głównemu bogu, odpowiadającemu w byczéj formie *Dionizosowi* u Greków. Koloniści greccy na tę *Vitulię* przenieśli kult *Hery* z rodzinnego *Argos* i świątynię jéj zrobili punktem środkowym swego religijnego i politycznego życia. Tutaj wylądowywali naprzód ich żeglarze, powracający z wypraw dalekich, tu składano przywożone z obczyzny towary, tutaj odbywały się pod kierunkiem krotończyków uroczystości i procesye, na które wszystkie miasta Italiotów przysyłały ofiary i poselstwa umyślnie w tym celu utrzymywanemi gościńcami świętemi. W ten sposób pomiędzy wszystkiemi grekami tworzył się węzeł stały, mający zarówno państwowe jak religijne znaczenie. Zewnętrznym jego wyrazem była jedność monetarna, któréj ślady napotykamy w numizmatach różnych miast z podobnym wizerunkiem Hery Lakinijskiéj, z rozpuszczonemi włosami i metalowym dyademem na czole, przejętym od Hery Argijskiéj, zdobnym w palmy, kwiaty i wystające gryfy.

III.

W historyi każdéj bez wyjątku osady w Wielkiéj Grecyi uderza nas jeden ciekawy szczegół: wszystkie wyprowadzają swój początek bądź od bajecznych greckich półbogów i bohaterów, bądź od kolonistów z różnych stron Grecyi tu przybyłych, o wiele wieków przed emigracyą z VIII stulecia. Jakkolwiek tradycye te mają przeważnie mityczny charakter, nie ulega przecie wątpliwości, że osadnicy greccy starali się wyszukiwać sobie takie siedziby do których się wiązały jakieś rodzinne ich legendy albo też łączyć się z tuziemnemi grodami, założonemi przez Greków. Co więcéj, zarówno oni jak późniejsi osadnicy rzymscy, którzy się osiedlali na miejscu zniszczonych do

szczętu miast greckich, starali się przeważnie zakładać nowe siedziby nie obok dawnych, ale na samych ruinach, tak że obecnie, chcąc poszukiwać zagrzebanych najstarszych zabytków, trzeba przechodzić przez parę piątr okrywających je szczątków osad późniejszych. Źródło tego zjawiska leżało niewątpliwie w religijnych wierzeniach bardziéj jeszcze niż w uczuciu rasowem: budując się na miejscu, które posiadało niegdyś swoich bogów opiekuńczych a zapewne nieraz i ich głośne świątynie, nowi przybysze oddawali się niejako pod ich opiekę i stawali się spadkobiercami szczęśliwych losów swoich poprzedników.

W ten sposób na miejscu Sybaris podania kładły w dalekiéj starożytności osadę rodyjską, inne znów kolonię Lokryjczyków, ubarwiając ich założenie dziwacznemi podaniami, z których jedno o smoku Sybaris, przeznaczonym dla niego na ofiarę młodzieńcu Alcyonie i mężnym zabójcy smoka Eurybatosie, w mało zmienionéj formie powtarza się wiele razy w starożytności a nawet i w wiekach średnich. (Legenda o rycerzu rodyjskim L'Isle-Adam i zabitym przez niego potworze). Znaną była na południu Włoch świątynia narodowego boga Rodyjczyków, Apolina Heliosa, czczonego tutaj i pod jego skrzydłami osiadła nowa kolonia, przybyła z wielkim prądem emigracyjnym VIII w. z Achai.

Żadne z miast założonych w tym czasie nie miało równie szczęśliwego położenia. Na środku drogi, pomiędzy punktem w którym brzeg zatoki zaczyna iść na dół po zachodniéj stronie a przylądkiem *Lakinion*, linia brzegów tworzy zagłębienie w półkole, przedstawiając port ogromny i bezpieczny. Nad morzem rozciąga się szeroka, falująca lekko równina, zamknięta w głębi łańcuchem gór, podnoszących się ustępami coraz wyżéj, aż do najwyższego szczytu *Sila*, który na południu zatoki ostrym klinem wchodzi w morze. Wązkie szczeliny rozdzielają góry, pozwalając przedrzéć się wędrowcowi na ich przeciwną stronę, ku Tyrreńskiemu morzu. Ziemia tak się zwęża w tém miejscu, że tworzy rodzaj międzymorza i pomimo trudnéj drogi wśród gór, ledwie dwóch dni potrzeba dla dostania się z jednego brzegu na drugi. Z wąwozów między skałami spływają na dół dwie rzeki, dodając swą wilgocią urodzajności płaszczyznie, najobfitszéj ze wszystkich na brzegach zatoki.

Pomiędzy temi rzekami, które otrzymały nazwy *Crathis* i *Sybaris*, osiedlili się przybysze z Achai i pośpieszyli skorzystać z niezwykłych warunków swego położenia. Jedynym przykładem w dziejach jaśnieje istnie czarodziejski wzrost Sybaris. W sto lat po założeniu widzimy ją miastem mającém 300.000 ludności, z których 100.000 wolnych obywateli. Mury graniczne same ciągną się 50 stadyów

(9 kilom.). Handel całego południa półwyspu skupia się w jéj rękach. Prawie aż pod Neapol dzisiejszy sięga jéj panowanie, któremu się poddały bez oporu wszystkie ludy tuziemne i ich miasta. Jako przednie straże państwa Sybarytów wznoszą się: na północy Siris i Metapont nad zatoką Tarencką, Poseidonia trezeńska nad Tyrreńskiem morzem. Na południu aż do Krotony docierają ich wpływy i władza.

Rozpatrując się w przyczynach fantastycznego prawie podniesienia się miasta, łatwo się przekonać, że najważniejszym czynnikiem było ukształtowanie w owym czasie stosunków handlowych Grecyi i Wschodu z Włochami i sprowadzenie ich, dzięki założeniu Sybaris, na nowe całkiem tory. Była to chwila największego rozkwitu handlu zagranicznego we Włoszech środkowych. Założone tam w X w. państwo Etrusków wzrosło szybko do rzadkiéj potęgi i bogactwa. Arystokratyczny jego ustrój wytworzył w nim liczną warstwę ludności z wytwornemi instynktami, z przyzwyczajeniem i potrzebami zbytku, którym miejscowy przemysł nie był jeszcze wstanie odpowiedziéć. Z południa więc i ze wschodu poszły drogi handlowe Kartagińczyków, Fenicyan i Greków, którzy przywozili bogatym panom etruskim kosztowne towary swoich krajów, klejnoty złote i srebrne, rzadkie sprzęty domowe, naczynia metalowe i gliniane, malowane ozdobnie, delikatne tkaniny, kość słoniową. W zamian powracające statki ładowano tuziemnemi produktami, zacząwszy od miedzi ze słynnych kopalni etruskich.

Żegluga na tych morzach dalekich połączoną była z licznemi niebezpieczeństwami, raz z powodu niezmiernego mnóstwa rozbójników wodnych, grasujących szczególniéj na Tyrreńskiem morzu, którego imieniem jeszcze w parę wieków późniéj Sofokles nazywał Scyllę w swéj *Medei*, powtóre zaś dla nienawistnéj konkurencyi walczących z sobą o pierwszeństwo narodów kupieckich. Pomimo to zyski były tak znaczne, że na żeglarzy odbywających te wycieczki, patrzano z zazdrością—w Grecyi szczególniéj monopol Eubejczyków na morzu Tyrreńskiem drażnił kupców jońskich, którzy towary swe i polityczne wpływy roznosili z jednéj strony na spiekłe piaski nad Nilem z drugiéj do scytyjskich puszcz i stepów. W VIII w. Milet był największém i najbogatszém z miast greckich. Żeglarze tworzyli najbardziéj wpływową warstwę jego ludności. Założenie Sybaris dało im pożądaną sposobność stworzenia sobie nowéj drogi handlowéj, zyskowniejszéj od wszystkich, jakiemi dotąd chodziły ich statki.

Znaném jest znaczenie i bogactwo, jakie Korynt zawdzięczał swemu położeniu na wązkim przesmyku, między dwoma morzami,

nad któremi panowały jego porty. W najdawniejszych czasach już urządzili tu przemyślni Fenicyanie kantor handlowy, pośredniczący w przeładowywaniu towarów z okrętów przybywających do jednego portu na inne, czekające w porcie przeciwnym. Oszczędzało to im długiéj i niebezpiecznéj podróży na około Peloponezu. Późniéj pośrednictwo to wzięli koryntczycy w swoje ręce i stali się, dzięki jemu, p anami handlu między morzem Jońskiem a Archipelagiem.

Położenie Sybaris niewiele różniło się od tego jakie zajmował, Korynt. Dzięki otwartéj przez góry drodze do *Laos* i opanowaniu przez Sybarytów całéj téj części brzegów morza Tyrreńskiego towary, wylądowane na brzegu Tarentyńskiéj zatoki, dostawały się z łatwością na okręty etruskie, czekające po drugiéj stronie wązkiego lądu. Nie wchodząc w drogę chalcydyjczykom strzegącym zazdrośnie morza Tyrreńskiego za pośrednictwem Regionu i Zankle, handel Miletu mógł w ten sposób przynosić z pierwszéj ręki Włochom środkowym ulubione tam wówczas, jak to widzimy z przedmiotów pozostałych po grobowcach, wyroby asyryjskie i egipskie, niemniéj jak i ich naśladownictwa z wysp Archipelagu; nadewszystko zaś nieznane przedtem zapewne i jemu tylko dostępne produkta krajów leżących nad Euxynem, albo przysyłających zdala swe karawany do tamecznych osad greckich, futra z ziemi Scytów, bursztyn z nad Baltyku, złoto i minerały kosztowne z Uralu. Sybaris stawała się wielkim rynkiem, w którym nie parę bliskich krajów jak w Koryncie, ale Wschód cały i najdalsza Północ spotykały się z Italią i całym Zachodem. W tych warunkach zbyteczném było mieć własny handel przemysł i wywóz, samo stanowisko pośredniczące między spotykającemi się tu żywiołami, wystarcza dla wytłómaczenia wielkich bogactw i niesłychanego rozwoju szczęśliwego miasta.

Zdaje się jednak że przez długi czas Sybaryci nic nie zaniedbywali, żeby ze swojéj strony przyczynić się do zwiększenia czynników swego powodzenia. Dolina Sybaris, obecnie okryta trzęsawiskami i wyludniona śmiertelnemi ich wyziewami, została umiejętnie osuszoną przez przeprowadzenie całego systemu kanałów idących do morza i zmienioną w jeden ogród, w którym zboże dawało plon stokrotny. Wystarczało ono zaledwie na potrzeby ogromnéj ludności, rojącéj się w stolicy i naokoło niéj, ale za to przedmiotem znacznego wywozu były słynne wina, doskonała oliwa, wełna i skóry z ogromnych stad pasących się po górach, srebro z bogatych kopalni w dolinach rzek *Crathis* i *Trionto*. Inżynierowie zdolni, Sybaryci pierwsi z Italiotów połączyli główne punkta swego państwa równemi, szerokiemi drogami, ułatwiając sobie w ten sposób zarówno handel jak i rządy. Pomimo uległości łagodnych plemion enotryjskich,

otoczyli je, po obu brzegach morskich oraz w ważniejszych stanowiskach strategicznych wewnątrz kraju, koloniami swemi i fortecami. Dla wzmocnienia się coraz nowemi siłami, przyjęli za zasadę udzielać praw obywatelskich każdemu, kto do nich przybywał z ich ojczyzny, wbrew zwyczajowi panującemu w innych osadach. Jednocześnie jednak, dla utrzymania jednolitego charakteru stolicy i ochrony panującego w niéj pierwiastku szczepowego, od zatopienia przez inne lub walki z niemi, znaczniejsze oddziały emigrantów, przybywające z innych niż Achaja prowincyi, nie były przypuszczane do saméj Sybaris, ale z jéj pomocą i opieką, na zależnych od niéj terytoryach zakładały odrębne kolonie.

Nie odrazu zatém zasłużyli mieszkańcy największego z miast wielkiéj Grecyi na zarzut zniewieściałości, tak stale spleciony z ich imieniem w naszych czasach. Jak inne miasta, i ich stolica miała swoję epokę bohaterską i pełną czynów—jak u innych także upadek jéj spowodowany został wewnętrznym rozkładem raczéj niż obcą przemocą. Tylko, że jak wzrost i świetność przeszły z szybkością błyskawicy i dosięgły bajecznych rozmiarów, tak i o tym rozkładzie opowiadają rzeczy, nigdzie indziéj nieznane, a wynikła z niego katastrofa przeszła wszystko bodaj, co przedtem znały dzieje greków.

Oczywiście że świadectwa zepsucia Sybarytów, podawane przeważnie przez rzymskie źródła, przyjmować należy z tém samem zastrzeżeniem, co wszystkie zarzuty, zwrócone przeciw Grekom italijskim przez ich uprzedzonych zwycięzców. Nieda się jednak zaprzeczyć, że bogactwo bez pracy rozwinęło szybko u Sybarytów gorączkę używania, zmieniając wytworność obyczajów w zbytek nierozsądny i wyuzdanie. Dzieci małe ubierano już w purpurę i złote dyademy—z dorosłych nikt nie mógł włożyć na siebie innéj odzieży, oprócz słynnych z delikatności i haftów bogatych tkanin Mileckich, które wówczas uważano na całém Pomorzu śródziemném jako ostatni wyraz elegancyi i zbytku. Jednę z takich sukien, sprawioną przez Sybarytę Alcystena w fabrykach Azyi mniejszéj na procesyę doroczną w świątyni Hery Lakinii, sprzedano późniéj za 120 talentów czyli dwa miliony rubli.

Uczty publiczne, towarzyszące u Greków obrzędom ofiarnym, stały się u mieszkańców Sybaris niejako kwestyą stanu, obchodzącą ogół żywiéj niż wojna lub prawodawstwo. Na najgłówniejsze rozsyłano zaproszenia na rok wcześniéj, dla nadania aktowi temu większéj wagi. Najhojniejszym amfitryonom miasto dawało złote wieńce, a co gorzéj, zaszczyt ten dostawał się także w udziele najlepszym kucharzom. Myśliwcy i rybacy, dostarczający przysmaków na stoły miej-

skie, zwolnieni byli od podatków, jako dobrze zasłużeni ojczyznie. Uczty kończyły się zazwyczaj pijatyką i rozpustą. Dla wykształcenia młodych dziewcząt z najlepszych rodzin w umiejętności podobania się mężczyznom, istniały publiczne szkoły, w których, urzędowie zatwierdzone nauczycielki, wykładały tajemnice miłości. O wykładach tych ciekawe szczegóły zachowali starożytni zbieracze anegdot skandalicznych.

Zepsuciu towarzyszyła bezbożność i bezmierna pycha. Sybaryci głośni byli z lekceważenia zarówno starych tradycyj i zwyczajów, jak i wierzeń religijnych. Oni jedni z pomiędzy Greków nie szanowali prawa przytułku w świątyniach, nie wahali się nawet ich rabować. Upadek ich przypisywano zemście Jowisza Olimpijskiego za wyrządzone mu zniewagi. Nie dość, że dla podkopania igrzysk olimpijskich i obrócenia na własną korzyść połączonego z nimi zbiegowiska wszystkich ludów greckich, urządzili u siebie w tym samym czasie inne igrzyska, od tamtych świetniejsze,—ale raz okręty ich wylądowawszy na pobliskim brzegu zabrały skarby olimpijskie.

Potężna reforma Pitagoresa, która nowe siły wlała w zaczynające się chylić do upadku życie osad greckich, wywarła tylko zewnętrzny wpływ na Sybaris. Zbyt zniewieściałém i do gruntu zepsutém było miasto, żeby je mogła przerobić ascetyczna nauka mistrza z Samos. Zwolenników jego było w niéj prawda wielu i nawet do ligi utworzonéj pod jego wpływem Sybaris przystąpiła wraz z innemi miastami, jak to widać z jéj monet, należących do ogólnego związku monetarnego. Ale przystąpienie było tylko chwilowe. Hegemonia, jaką pobyt Pitagoresa w Krotonie nadawał z natury rzeczy temu miastu, była dla przywykłéj do przywództwa Sybaris nieznośną. Wkrótce téż wybuchła demokratyczna reakcya przeciw przywróconéj przez Pitagorejczyków oligarchii pierwotnych czasów istnienia Sybaris, zwolennicy tego ustroju zostali wygnani i uciekli do Krotony, a gdy za wpływem Pitagoresa krotończycy odmówili wydania ich, poselstwo przynoszące odmowę do Sybaris zostało zamordowane przez rozwścieklony motłoch.

Dla pomszczenia niegodnego czynu, który u Greków był nietylko pogwałceniem prawa narodów ale i największą obrazą bogów, Krotończycy zebrali stotysięczne wojsko pod wodzą słynnego atlety Milona, który znając zniewieściałość Sybarytów na czele wojska umieścił muzykę i kazał jéj grać znane motywa przy zetknięciu z trzy razy liczniejszą armią Sybarytów. Konie ich, wytresowane przez jezdców do tańca i skoków sztucznych przy igrzyskach, zaczęły robić zwykłe swe lansady na odgłos znanych dźwięków, i sprawiły w szeregach taki popłoch, że ogromna armia poszła w rozsypkę.

W Sybaris tymczasem panowało przerażenie. Opowiadano o strasznych groźbach bogów, wieszczkowie opuszczali miasto nie chcąc zginąć w jego zagładzie, w świątyni Hery tryskały zdroje krwi, wyrocznia Apolina, zapytana o wynik wojny, przysłała w odpowiedzi same przekleństwa. Chcąc ubłagać nieprzyjaciół Sybaryci zamordowali u stóp ołtarzy wraz z jego rodziną i doradcami trybuna, którego deklamacye wywołały rewolucyę ludową i zabójstwo posłów. Następnie zdali się na łaskę i niełaskę. Straszną była zemsta krotończyków nad odwiecznemi rywalami. Mieszkańców miasta wygnano do Laos i Scidros nad morzem Tyreńskiem. Następnie zniszczono mury i zrównano z ziemią wszystkie znaczniejsze gmachy miejskie, dodając z najuroczystszym rytuałem religijnym przekleństwa straszne na tych, którzyby się poważyli odbudowywać miasto potępione. Wreszcie, dla dokończenia dzieła zniszczenia, zwrócono bieg rzeki Crathis i zalano jej wodami miejsce na którém się wznosiła Sybaris. Działo się to w roku 510, tj. w 210 lat po założeniu miasta.

Dla losów całéj Grecyi italskiéj fakt ten smutne miał następstwa. Z ubyciem czynnika tak potężnego, nawet w jego rozkładzie, jakim była Sybaris, grecy znaleźli się niespodzianie na pochyłości, na któréj każden krok naprzód ujmował im gruntu z pod nóg i do przepaści zbliżał. Ze wszystkich stron żywioły wrogie hellenizmowi podniosły głowę i rozpoczęły walkę, która miała się zakończyć zupełną klęską kolonizacyi greckiéj. Rzym, który za ostatnich królów stał się przednią strażą kultury greckiéj w środkowéj Italii, przejąwszy u Greków z Cumae pisownię wraz z większą częścią ich obyczajów i instytucyi, rewolucya, wywołana przeważnie przez Sabińską arystokracyę, popchnęła na odmienną zupełnie drogę, a niedługo potém zwycięstwo Porsenny obezwładniło go i wplotło w koło polityki etruskiéj. Mając z téj strony wolną rękę, Etruskowie rozpoczęli podbój i kolonizacyę Kampanii, skupiając się głównie około Kapuy. Równocześnie Samnici rozszerzali się szybko na wschód i południe, a w górach, bliskich dzisiejszego Benewentu, z wiosennych emigracyi rycerskich szczepów pokrewnych tworzyły się zawiązki nowego Lukańskiego narodu, który w pół wieku po upadku Sybaris, rozpoczął podbój należącéj do Sybarytów Enotryi. Plemiona tuziemne, z natury miękkie i przywykłe od wieków do obcego jarzma, nie mogły stawić oporu i pod nowemi panami pozbyły się równie szybko swojéj greckiéj kultury, jak niegdyś ją sobie przyswajały. Miasta greckie, dawne kolonie Sybaris, rozsiane wśród obcych terytoryów, pozbawione łączącego je w silną całość ogniwa metropolii wspólnéj, rozdzielone waśniami i egoistyczną odrębnością interesów, nie stanowiły poważnéj przeszkody dla najeźdców, którzy szybko usadowili się w prze-

chodzących środkiem kraju górach. Osadnicy greccy znaleźli się w ten sposób rozdzieleni na dwa nadbrzeżne pasy, które już nigdy nie miały się połączyć w taką jak dawniéj całość. Dzieje ich odtąd, z wyjątkiem Tarentu, który wtedy dopiero dochodził do szczytu świetności i w przejściach innych miast mało brał udziału, przedstawiają smutny obraz walki ciężkiéj o byt, zagrożony z jednéj strony przez Samnitów, Lukanów i mających wkrótce wyjść z ich łona Brutyjczyków, z drugiéj przez tyranów Syrakuzy, zaczynających już bez miłosierdzia gnębić swoich italskich sąsiadów. W początku IV w. tyran Dyonizyusz zdobywał szturmem Krotonę, niszczył do szczętu Caulonię i Hipponion, mścił się okrutnie na Rhegionie za okazany mu opór. Dawna Enotrya zaś cała w tym czasie zmieniła się już na Lukanię.

Na miejscu Sybaris tymczasem, któréj upadek stał się pierwszem ogniwem tego długiego łańcucha klęsk i nieszczęść dla greków italskich, próbowali kilkakrotnie na nowo się osiedlać wygnani jéj mieszkańcy, ale mściwi krotończycy za każdym razem burzyli rozpoczęte budowy i rozpędzali osadników. Wygnańcy posłali upomnieć się o sprawiedliwość u dwóch największych miast ówczesnéj Grecyi, między któremi miała już niedługo wybuchnąć wielka wojna peloponezka. Dla Sparty, choćby z powodu demokratycznych tradycyi Sybaris, sprawa jéj odbudowania nie mogła być bardzo sympatyczną; w Atenach przeciwnie ujrzano w tém sposób utworzenia takiego samego centru upływów politycznych i morskiéj hegemonii w Italii, jakie już stolica demokracyi greckiéj miała w Azyi mniejszéj i na wyspach Archipelagu. Powstał silny prąd emigracyjny, któremu dla rozszerzenia go, nadano ogólno grecki charakter. W połączeniu z potomkami Sybarytów, przybysze osiedlili się w górze niedaleko miejsca dawnéj Sybaris, ustępując w tém wyrokowi bogów, skazującemu miasto na zagładę — i od źródła tryskającego w tém miejscu nazwali nową osadę *Turioi*.

Od samego początku dzieje Turioi są przepełnione walką wewnętrzną składających ją pierwiastków. Naprzód czynnikiem niezgody są Sybaryci, niezmienni w swéj zarozumiałości pomimo nieszczęść. Po krwawem starciu wypędzeni z miasta założyli nową Sybaris, już trzecią z rzędu, która po stuletniem istnieniu jako kolonia Turioi została zniszczona przez Brutyjczyków. W Turioi tymczasem zaczęła się rywalizacya pierwiastku peloponeskiego z ateńskim, podniecana wojną prowadzącą się w Grecyi, oraz długa walka z Tarentem o posiadanie otaczającego *Siris* terytoryum, na którém w końcu Tarentczycy założyli swą kolonię *Herakleę*. Późniéj znowu zwykłe ucieranie się o władzę i przywileje pomiędzy oligarchią

a ludem. Tymczasem nadeszły stanowcze wypadki dla południowéj Italii. W wojnach Rzymian z Tarentem i Kartaginą mieszkańcy Turioi próbowali się ocalić zwykłą polityką słabych — stojąc po stronie mocniejszéj ile razy zmieniła się szala wypadków. Jak zwykle téż bywa, nieustanne lawirowanie i zmienianie obozu skończyło się klęską i upadkiem miasta, które choć dalekie od świetności swéj poprzedniczki, miało jednak dość znaczenia i ludności skoro mogło wystawiać kilkonastotysięczne wojsko. Przedtém już raz zwyciężone przez Brutyjczyków i obrócone w niewolę, z któréj uwolnił je Alexander Epirski, zostało do szczętu zniszczone przez Annibala, następnie zaś Rzymianie powrócili wprawdzie wygnanych mieszkańców do dawnéj siedziby, tworząc z niéj jednak wojskową kolonię na łacińskiem prawie pod nową nazwą *Copia*. Odtąd imię *Turioi* spotyka się tylko przez kilka wieków pierwszych chrześciaństwa w tytule biskupów tego miejsca.

Ruiny znajdujące się obecnie na miejscu obydwóch miast, odnoszą się wyłącznie do czasów rzymskich. Greckich zabytków trzeba byłoby szukać w niższych pokładach ziemi, pod szczątkami Copii. Na cmentarzu starożytnym, w pobliskim lesie, odkopują przy grobach naczynia greckie, ozdobne malowaniami i blaszki złote ze staremi napisami greckiemi, mówiącemi o nieśmiertelności duszy i o szczęściu zagrobowem wśród świętych łąk i gajów Persefony.

Z królowéj Italii greckiéj, z bogatéj, wytwornéj, świetnéj Sybaris, nie zostało żadnego śladu. Po jéj zapomnianych ruinach płyną od dwudziestu kilku wieków mętne fale Crathis, przykrywając je z rokiem każdym nową warstwą mułu i błota.

IV.

Zbliżając się do przylądka *Lacinium*, linia brzegów zagłębia się w obszerną zatokę, nad którą aż do podnóża Apenin rozciąga się równa płaszczyzna, przecinana podłużnie licznemi strumieniami. Na téj płaszczyznie w dziesięć lat po założeniu Sybaris, osiedliła się nowa kolonia achejska, ściągnięta może do tego właśnie miejsca tradycyą o istniejącéj tu dawniéj osadzie Pelazgów, wywodzącéj swój początek od Herkulesa, gdy tędy powracał odprowadzając Geryonowe woły. Niemniéj téż wpłynąć musiały na zatrzymanie tutaj kolonistów port doskonały, żyzność gruntu i klimat najzdrowszy z całego południa Włoch. Kraj otaczający, obecnie nagi, kamienisty, pozbawiony cienia i ludzi, zdradza przecież tu i owdzie pomimo opustoszenia bogactwo wielkie roślinności dziko rosnącéj i pastwisk;

do eksploatacyi rolnych produktów łączyły się w starożytności dochody z bogatych min srebrnych. Nie dziw też że wzrost miasta był szybki, i choć nie doszedł takich rozmiarów jak równoczesne podniesienie się Sybaris, następował jednak bezpośrednio za niem. Widzieliśmy jak szeroko rozpostarło się państwo Krotońskie, poddając swoim wpływom całą część kraju na południu od Sybaris.

Dobry klimat wpływał korzystnie na rozwój fizyczny mieszkańców. Kobiéty uchodziły za najpiękniejsze w Wielkiéj Grecyi, mężczyzni słynęli jako najsilniejsi greccy atleci, tak, że wedle przysłowia, ostatni z krotończyków był jeszcze pierwszy pomiędzy grekami. W istocie oni byli zwycięzcami w większéj części igrzysk olimpijskich. O Milonie dotychczas przechowały się podania w bajecznych rozmiarach przedstawiające siłę tego atlety. Zajęcie ulubione fizycznemi ćwiczeniami, któremu krotończycy zawdzięczali indywidualnie taką siłę, niezawsze przecie bywało dla nich rękojmią zbiorowego powodzenia. Pierwsza wielkich rozmiarów walka, jaką wywołało w połowie VI w. starcie się ich na południowych kresach z osiadłemi tam dawniéj Lokryjczykami, zakończyła się dla Krotończyków haniebną klęską. Równocześnie z dwóch stron żywioł achejski, w którym jeszcze nie uwydatniła się nienawistna rywalizacya głównych dwóch miast, uderzył na graniczących z nim na północy i południu Doryjczyków. Walka połączonych pod przywództwem Sybarys Achejczyków przeciw Tarentowi zakończyła się zwycięskiem opanowaniem terytoryum otaczającego Siris; ale gdy późniéj, wróciwszy z pierwszéj wyprawy, Krotończycy ze stotysięcznem wojskiem poszli ukarać Doryjczyków i Lokrów za pomoc okazaną przez nich północnym współbraciom, kilkanaście tysięcy Lokryjczyków pobiło nieprzyjaciół pod *Sagra*. Zwycięstwo to, tak nieprzewidziane i nienaturalne, wyobraźnia ludowa ubrała mnóstwem podań cudownych i nadprzyrodzonych zjawisk, przypisując je głównie opiece Dioskurów.

Zawstydzeni i zniechęceni porażką, Krotończycy zaniedbali na długo swoje zajęcia wojskowe, które im tak mało się przydały, i wpadliby zapewne w podobną do sybaryckiéj zniewieściałości, gdyby nie nadejście Pitagorasa. Po długiéj wędrówce po Egipcie, Krecie, Fenicyi, Chaldei, gdzie już dawniéj kapłani wprowadzili liczby jako idealny pierwiastek teologiczny, mistrz z Samos przybył do Wielkiéj Grecyi chcąc utrwalony już i dojrzały systemat swój filozoficzny wprowadzić w życie. Każde z miast kolejno usłyszało jego naukę, która szybko ogarnęła szerokie koła zwolenników; wszystkie, z wyjątkiem Lokrów zamkniętych w swych doryjskich instytucyach, udały się do niego z prośbą o reformę praw i radę

w sprawach rządu. Znalazłszy w Krotonie najodpowiedniejszy grunt dla swego działania, Pitagoras z niéj rozciągnął wpływ swój na całą Grecyę italską, gotując w niéj silną reakcyę najzdrowszych pierwiastków przeciw rozszerzającemu się nietylko w jednéj Sybaris zepsuciu.

System Pitagorasa o ile o nim możemy sądzić z późniejszych relacyi, przedstawia się najbardziéj jednolitym, logicznym i wszechstronnym ze wszystkich jakie wydała starożytność przed Platonem Arystotelesem. On pierwszy skupia w jedną całość rozpierzchłe przedtém w odrębnych doktrynach próby systematów filozoficznych, kosmicznych, teologicznych, łącząc je równocześnie z praktycznémi celami życia ludzkiego, opierając na nich zarówno ideał państwowy jak obowiązki jednostki. Wiadomo, że podstawę jego stanowi owe dziesięć par żywiołów głównych świata, będących właściwie tylko rozszerzoną antytezą dwóch pierwiastków walczących od urodzenia człowieka o panowanie nad jego duszą: dobrego ze złem, twierdzenia z negacyą, prawdy z fałszem, nieskończoności Bożéj z ograniczoną skończonością ludzkiéj natury. Między temi przeciwieństwami, wyrażającemi się w parzystych i nieparzystych liczbach, ogniwem, wielkim czynnikiem chroniącym wszechświat od kolizyi i dysonansów, harmonią ogólną i doskonałą jest pojęcie jedności jako źródła i twórczego pierwiastku wszystkich żywiołów składających świat. Bóg jedyny, stwórca wszechrzeczy, jest tą jednością górującą nad wszystkiem. Zarówno wielkie pojęcia moralne, jak bogowie mitologiczni, uosabiający wielkie siły przyrody, z niego wychodzą, podobnie jak liczby z jedności. W nim też źródło nieśmiertelnéj duszy ludzkiéj, która szeregiem przeistoczeń stara się w ziemskich swych wędrówkach wciąż zbliżać ku wiecznéj doskonałości, ku jedynemu, podnosząc się stopniowo przy coraz większéj cnocie do wyżyn półboga i demona.

W ten sposób obok wyrażonéj poraz pierwszy zupełnie jasno idei jedynego Boga, występował również nowy u Greków etyczny pierwiastek, podniesiony prawie do chrześciańskiéj doskonałości, wprowadzający jako nić przewodnią życia ludzkiego wolną wolę w miejscu dotychczasowego fatalizmu, i za ideał stawiający linię spiralną, zakończoną w niebie. Dawne wierzenia pozostawały jako zmysłowa powłoka, z któréj przed oczyma adeptów, stosownie do stopnia ich wtajemniczenia, wyłaniała się coraz czystsza i doskonalsza idea religijna i moralna. A jak kult oczyszczał się i uszlachetniał nawet dla mas, tak i moralność była najpiękniejszą przed pojawianiem się nauki Chrystusa. Całe życie ludzkie, stosunek rodziców z dziećmi, męża z żoną, pana ze sługami ujęty był w szeregi

przepisów, pełnych znajomości natury ludzkiéj i troski o jéj udoskonalenie. Nieliczne grono wybranych, pragnących wyższéj doskonałości nad zwykłą ludzką, tworzyło rodzaj zakonu, rządzącego się odrębnemi przepisami bliskiemi chrześciańskiéj ascezy. Nie dziw że doktryna taka wydała przez kilka wieków najpiękniejsze charaktery świata greckiego. Sławny cnotą Archytas z Tarentu, Eschil dający tak wysoce religijny nastrój swoim dramatom, Epaminondas byli uczniami szkoły Pitagorejskiéj.

Będąc wszechstronną, nauka Pitagorasa określała nietylko obowiązki i cele jednostki, ale także i zadania zbiorowych organizmów społecznych. Z saméj natury systemu, opartego na stopniowaniu zaczynającém się od zwierząt a kończącém na ogólnym Stwórcy, wynikał arystokratyczny kierunek w zastosowaniu tego systemu do urządzeń politycznych. Jak hierarchia wewnętrzna Pitagorejczyków koncentrowała się w nielicznėm gronie najwyżéj inicyowanych i najwyższych cnotą, tak i wodze państwa winny były spoczywać w ręku największych i najlepszych. Republiki grecko-italskie miały w początkach podobnie jak Ateny ustrój *timokratyczny*, oparty na rozgraniczeniu wysokością podatku warstw społecznych, oprócz miast doryjskich, które przyniosły z sobą arystokratyczne tradycye ojczyzny swéj. Te ostatnie utrzymały się dłużéj — ale achejski ustrój pierwotny uległ szybkiéj zmianie pod wpływem coraz silniejszych demokratycznych prądów, dążących do bezwzględnéj równości.... pod jarzmem jednego. Wszędzie téż prawie kwitła tyrania w chwili nadejścia Pitagorasa. Równocześnie, pierwotne połączenie osad między sobą rozpoczęło się już i wszystkie zaczynały chylić się do upadku w zobopólnych waśniach i ogólném zepsuciu obyczajów.

Jakkolwiek nawet w Krotonie, w któréj się osiedlił, Pitagoras nie chciał przyjąć żadnego urzędowego stanowiska, pomimo ciągłych o to nalegań, zadawalniając się tylko godnością prawodawcy świętych obrzędów — reforma jego opanowała całą Grecyę italską, z wyjątkiem Lokrów, które może przez nienawiść do Krotony odmówiły wejścia do ogólnego związku. Wszędzie się potworzyły zakonne gminy pitagorejskie i demagogiczna tyrania ustąpiła miejsca arystokratycznym instytucyom, albo téż takim, na cenzie opartym, jakie panowały dawniéj. W obyczajach na jakiś czas powróciła cnota i skromność, poszanowanie dla prawa, kult bogów, szacunek dla niewiast. Wreszcie udało się Pitagorasowi przyprowadzić do skutku najpiękniejszą z jego myśli politycznych—zjednoczenie Wielkiéj Grecyi. Na krótko, ale w rozmiarach potężnych, których późniejsze ligi na wzór achejskich były tylko słabem odbiciem, połączyły się wszystkie miasta greckie pomimo różnic szczepowych, jakie

oddzielały Chalcydyjczyków z Regionu od Doryjczyków tarenckich lub Achejczyków z Sybaris i Krotony. Świątynia Hery Lakińskiéj stała się punktem środkowym, naokoło którego skupiło się życie i interesa Greków półwyspu, a świetniejsze niż przedtem, dzięki rozporządzeniom Pitagorasa, uroczystości i procesye podczas dorocznych panegyryi przyciągać zaczęły ze wszech stron daleko większe tłumy. Jednolity system monetarny zatwierdził tę unię federacyjną italskich greków. Ale kierunek przeważnie religijny, prawie zakonny, ściśle wykluczający wszystkie odrębne pierwiastki, nie mógł długo się utrzymać u steru rządów. Szczególniéj cecha jego arystokratyczna podbudzała przeciw niemu masy. Widzieliśmy jego losy w Sybaris. Po śmierci Pitagorasa powtórzyło się to samo w innych miastach, w saméj Krotonie. Wygnani zewsząd zwolennicy Pitagorasa czas jakiś jeszcze utrzymali się w Metaponcie, ale i tam dosięgła ich proskrypcya. Późniéj jako sekta religijna bez politycznego znaczenia, wracają znowu i rozkrzewiają się swobodnie, jednostki zdobywają sobie nawet wpływ przeważny mądrością swą i cnotą; ale wraz z upadkiem idei politycznéj ich mistrza, oraz środków, jakiemi ją chciał wprowadzić w życie, świetny rezultat osiągnięty chwilowo rozwiał się bez śladu, rozprzęgła się unia greków italskich.

Krotona tymczasem pomimo wewnętrznych niezgód między stronnictwami rozwijała się szybko i świetnie. Zwycięstwo nad Sybaris zatarło pamięć o klęsce pod Sagra, z upadkiem współzawodniczącego miasta Krotończycy stali się dziedzicami jego bogactw, wpływów, potęgi, rozciągając swą hegemonię nad wszystkiemi miastami z téj strony zatoki. Wzbijając się w pychę, postanowili na wzór Sybaris, zaćmić igrzyska Olimpijskie własnemi. Do tego czasu odnosi się też wewnętrzne przyozdobienie przez Zeuxisa, z rozkazu Krotończyków, świątyni Hery Lakińskiéj, oraz znaczna część niezmiernych bogactw, które ten główny przybytek greków italskich posiadał. W rzeczach sztuki zresztą Krotona górowała nad innemi miastami italskiemi, nie ustępując ani Grecyi ani Sycylii. Najpierwszych rzeźbiarzy znanych ona dała półwyspowi, goszcząc u siebie również znakomitych mistrzów z innych miast. Zeuxis przybywał tu długo i wpływ jego odbił się na monetach, naśladujących główne typy jego malowideł. Do najświetniejszego ze wszystkich, Heleny, w któréj chciał przedstawić ideał piękności kobiecéj, dorównywający bogom, służyły mu za model z rozkazu senatu, obnażone dziewice krotońskie. Z ich pojedyńczych rysów, połączonych w idealną całość, mistrz z Heraklei stworzył owo słynne dzieło, uchodzące za ostatni, najwyższy wyraz starożytnéj sztuki.

Ale świetność Krotony jeszcze krócéj trwała od téj, jaką jaśniały dzieje Sybaris. Wraz z bogactwem przyjęli w spadku po swoich współzawodnikach Krotończycy miękkość i zepsucie obyczajów, nie umiejąc równocześnie naśladować mądréj polityki kolonizacyjnéj, która tak silnie starała się utrwalić żywioł grecki na szerokiéj przestrzeni. Terytorya należące do Sybaris pozostały opuszczone przez nowych władców i jak to widzieliśmy szybko przeszły w ręce Lukańczyków. Z drugiéj strony zagroził Krotonie śmiertelny odtąd wróg italskich Greków Dyonizyusz z Syrakuz, który, uwolniwszy Sycylię od Kartagińczyków, zapragnął pod okrutne swe jarzmo nagiąć wszystkie republiki na południu od Tarentu. Wobec ogólnego niebezpieczeństwa utworzyła się między niemi liga podobna do współczesnéj Achejskiéj, z punktem centralnym w świątyni Zeusa Homariosa w Krotonie.Doryjski Tarent i Region chalcydyjski najbardziéj zagrożony przez Dyonizyusza przystąpiły również do ligi. Ale zaraz prawie po jéj założeniu, wojska sprzymierzeńców zostały na głowę pobite przez Tyrana, który kilka miast następnie zupełnie zniszczył, przesiedliwszy ich mieszkańców do Syrakuz, innym zaś—głównym przebaczył z warunkiem rozwiązania związku. Potęga ich była złamaną. Tylko oddalony zupełnie od tych wypadków i niebezpieczeństw Tarent wchodził w najświetniejszy okres swoich dziejów i Lokryjczykom, z nienawiści do Krotony wiernym sprzymierzeńcom tyrana, łaska jego nadała władzę nad całą południową częścią półwyspu niepodbitą jeszcze przez Lukańczyków. W końcu, łamiąc swe przyrzeczenia, Dyonizyusz zawładnął Krotoną podczas pokoju, niespodzianym szturmem nocnym, i aż do śmierci swéj przez kilkanaście lat okrutnemi wyrokami i strasznym uciskiem mścił się na jéj obywatelach za dawny opór jego podbójczym zamiarom i niezmienne przywiązanie do republikańskiéj swobody. Późniéj, za młodszego Dyonizyusza, Archytas Tarencki dopomógł Krotonie do odzyskania niepodległości, wprowadził ją do odnowionego przez siebie związku grecko-italskiego, ale już tylko jako podrzędny czynnik, poddany hegemonii Tarentu, do którego kolonii Heraklei się przeniosło środkowe ognisko ligi. Odtąd pomimo chwilowych odbłysków swobody i lepszego losu, Krotona przestaje już grać poważną rolę w dziejach południowéj Italii. Nowy nieprzyjaciel strraszniejszy od poprzednich, miał ją wkrótce znów obrócić w niewolę, tém wstrętniejszą że barbarzyńską. Było to Bruttium, wyszłe tak samo z łona Lukanów, jak ci niegdyś powstali ze Samnitów. Rodzaj Szwajcarów południowych, przepędzających życie całe na walkach i wysyłających wszystkim ludom okolicznym zastępy najemników wojennych, przywykli od dziecka mocować się z siłami przyrody i przezwyciężać wszystkie

przeszkody, górale ci prawie dzicy stanowili siłę, któréj zniewieściali Grecy nie byli wstanie się oprzéć. Na chwilę wstrzymał ich i pokonał Agatokles z Syrakus—ale zaraz potém znów podnieśli głowę i niewstrzymaną falą zaleli wszystkie miasta greckie, które dopiero Rzymianie wydobyli z pod upokarzającego jarzma, własne narzucając im w zamian.

W wojnach, towarzyszących podbojowi zatoki Tarentyńskiéj przez Rzym upadła resztka zamożności i znaczenia Krotony. Walczyły w niéj zawzięcie dwa przeciwne prądy, arystokratyczny przychylny rzymianom, demokratyczny, wyciągający ręce do walczącego z niemi Pirrusa. W rezultacie, każda ze stron prowadzących wojnę mściła się na całém mieście za agitacye nieprzyjazne znajdujących się w niem przeciwników swoich. Późniéj w tenże sam sposób zarysowały się stronnictwa podczas drugiéj wojny punickiéj, w któréj lud zwrócił swe sympatye ku Hannibalowi podczas gdy arystokracya wierną pozostała Rzymowi, rozwijającemu na wzór Sparty w podbitych miastach ściśle oligarchiczny ustrój. Podczas poprzednich wojen zniszczona do szczętu przez tuziemców Krotona została teraz opanowana przez sprzymierzonych z Hanibalem Brutyjczyków, po przeniesieniu się greckich mieszkańców do Lokrów. Resztki ich powróciły po skończonéj wojnie, ale nie mogły już utworzyć odrębnego organizmu społecznego. Rzym wzmocnił ich własną swą kolonią, któréj zadaniem stała się obrona téj części kraju od Brutyjczyków. Bez śladów prawie przechodzą odtąd dzieje zniszczonego miasta, w którém jednak jak się zdaje tradycye przeszłości nie wygasły, i żywioł grecki utrzymał się niezmiennie aż do chwili, gdy panowanie Byzancyum we Włoszech nadało mu nową siłę i życie. W VIII w. dyecezya tutejsza, zależna od metropolitów z Reggio, przeszła na wschodni obrządek i poddała się władzy konstantynopolskiego Patryarchy; w ludności, wzmocnionéj nowemi przybyszami ze wschodu, pierwiastek grecki zaczął wyłącznie panować i przez kilka wieków Krotona stała się jedném z głównych ognisk helenizmu we Włoszech. W XII w. jeszcze grecki język przeważnie używanym był w mieście; w okolicy, po wsiach przetrwał znacznie dłużéj. Dotąd w wielu miejscowościach typ grecki zachował się w całéj czystości, a w kilku wioskach jeszcze w XVII w. nie mówiono po włosku. Kiedy od końca XI w. polityka normandzka przychylna Papieżom i walcząca z helenizmem, zaczęła wprowadzać na stolice biskupie łacińskich prałatów i rzymski obrządek, w niektórych dyecezyach wpływy przeciwne były dość silne, żeby jeszcze przez kilka wieków starą hierarchię i rytuał zachować. Nawet gdy już wszyscy biskupi byli łacińskiego obrządku, w Krotonie i innych miejscowościach po-

zwolono znacznéj części mieszkańców swobodnie trwać przy dawnéj liturgii z warunkiem uznania Papieża. Rządził nią odrębny protopop, naznaczany przez biskupa.

Obecnie na tém samém miejscu na którém stała potężna współzawodniczka Sybarytów, znajduje się wesoła, zamożna mieścina, która z przestawką *r* zachowała dawną swoją nazwę. Na ruinach greckich, rzymskich, bizantyjskich zbudowane są domy i wille stawiące nieprzepartą przeszkodę poszukiwaniom archeologicznym. To co zostało na powierzchni, rozebrali w ciągu wieków mieszkańcy i inżynierowie, fortyfikujący port i miasto. Tylko na otaczających płaszczyznach, których lśniące pokłady kredowe odbijają żywo od ciemno-szafirowego tła nieba, w winnicach i gajach, zarosłych bujną trawą, tak wysoką jak drzewa, znajdują się nieraz stare monety i klejnoty z czasów greckich.

Na południe od Cotrony ze szczytu górzystego przylądka Lacynium patrzą jeszcze na morze ruiny staréj świątyni z VII w. p. C. Grecy lubili stawiać na takich wyżynach nadbrzeżnych ołtarze bogom. Za jedyne tło służył im jednostajnie przezroczysty błękit nieba, drugi błękit kąpał ich stopy, rozbijał się srebrnemi snopami fal szumiących zcicha o jasne marmury ich podstaw. Wracającemu z długiéj wędrówki żeglarzowi miło było zbliżając się ku brzegom rodzinnym dostrzedz zdala witające go kolumny białego przybytku, z którym się zrosły od dzieciństwa jego wspomnienia, uczucia, wierzenia. Dziś jeszcze w téj części Jońskiego morza widzi się daleko podstawy potężnego gmachu, wieńczące stromy przylądek, i wyniosłą kolumnę, jedyną, którą tu zostawiły kilkakrotnie powtarzane grabieże. Stoi osamotniona i smętna na swéj wyżynie, najstarszy zabytek architektury greckiéj na półwyspie, szczątek jedyny kultury świetnéj i potężnéj, która niegdyś jaśniała na tych brzegach, rozsyłając swe promienie najdalszym zakątkom Italii.

(*dok. nast.*) *Jan Gnatowski.*

Z pamiętników Leona Dembowskiego.

XI.

Kiedy te ważne wypadki przygotowywały się w Europie, tymczasem p. Stanisław Grabowski oświadczył się o rękę mojéj siostry, został przyjęty, nastąpiły zaręczyny i wzajemna wymiana podarków. Przyszedł list do generałowéj Grabowskiéj oświadczający radość jéj z wyboru syna i rodzice z odpowiedzią umyślili wysłać mnie do Warszawy. Jakkolwiek miałem dopiero lat szesnaście, nie wątpiłem jednak, że z téj dyplomatycznéj misyi dobrze się wywiążę, na dworze bowiem Puławskim przywykły byłem do życia wielkoświatowego.

Wybór w drogę był niedługi i przybywszy do Warszawy prezentowałem się najprzód pani generałowéj. . Chociaż już w wieku, posiadała ona płeć dziwnie świeżą, a na twarzy pozostały wyraźne ślady wielkiéj piękności. Blondynka, oczy miała duże niebieskie, nos mały i kształtny, tylko otyłość przy nizkim wzroście, zgrabność figury zniszczyła. Towarzystwo jéj, oprócz licznéj rodziny, składało się także z niejakiéj pani Lnińskiéj, któréj mąż gdzieś tak się zawieruszył na świecie, że o nim nigdzie języka powziąść nie mogła, z małą więc córeczką, którą generałowa bardzo kochała, przy niéj osiadła. Zaproszony zostałem na dzień następny na obiad, a tegoż dnia jeszcze w towarzystwie Żaboklickiego pooddawałem inne prezentacyjne wizyty familii, w którą siostra moja wchodziła. Stanowili ją bracia rodzeni i siostry, o których już wspomniałem i bracia pani jenerałowéj, Szydłowscy, starosta Mielnicki i ksiądz Opat. Pierwszy elegant niegdyś ogromny i ścisły króla, a więc i Rosyi partyzant, słynął z doskonałego strzelania z pistoletu. Odstrzeliwał żonie korki od trzewików i pieniążki trzymane przez nią w palcach nad głową

Nie wiem czy z tych szczególnych egzercycyj, czy też z innych powodów żona jego popadła w nerwową słabość, która jéj do końca życia nie opuściła. Ksiądz Opat Szydłowski mieszkał na Starém Mieście. Był to bardzo miły i grzeczny staruszek, lubił pasyami Włochów i ciągle po włosku mówił i na czekoladę do kawiarni przy bramie Ś-to-Jańskiéj uczęszczał, żeby tam z nimi się spotykać. Nakoniec do bliskiéj rodziny należał także Ludwik Gutakowski, miły starzec, u którego późniéj byłem prawie domownikiem. W młodości swéj musiał być nadzwyczajnie piękny, bo i teraz oprócz dziwnéj przyjemności oblicza, regularne rysy zachował. Ożeniony był w powtórném małżeństwie z Zabiełłową, wdową po Zabielle, którego w 1794 roku wskutek wyroku sądowego życia pozbawiono. Odwiedzałem także dom ks. Pelagii Sapieżyny, znajoméj mi z Puław i pani Bagration, która jadąc do wód, dłużéj się w Warszawie zatrzymała.

Za powrotem do domu nie zastałem już mojéj matki, która w części dla wyprawy, w części dla kuracyi wyjechała do wód w Lubieniu, gdzie późniéj przybyła także księżna Czartoryska. Książę feldmarszałek wybrał się do Bardyowa.

W początku września przybył niespodzianie do Puław p. Hoppe, komisarz cyrkułu lubelskiego, i wezwawszy p. Nestorowicza, mandataryusza i Belkie marszałka, oznajmił im, że za dni kilka przybędzie tu czterdziestotysięczny korpus rosyjski i że główna kwatera ma się osiedlić w Puławach. Dlatego prosił, żeby dwie oficyny z gości tymczasowych uwolnić. W niebytności księcia zwrócono się do mojego ojca. Ten wysłał zaraz sztafety do Bardyowa i do Lubienia, zawiadamiając zarazem, o czem p. Hoppe pod sekretem powiedział, że rzecz jest prawdopodobna, że cesarz Aleksander Puławy odwiedzi.

Lecz nim gospodarze przybyć zdołali, ściągnęli Rosyanie. Zjechał na ich przyjęcie gubernator Urmeni z konsyliarzem Baumem, zrobił się ścisk nie do opisania i przez kilkanaście dni taki rwetes, jakiego nigdy późniéj w życiu nie widziałem. W miastach łatwiéj pomieścić liczne sztaby, ale na wsi jest to zadanie bardzo trudne. Wprawdzie konieczność zmusza wtedy do ograniczania wymagań i w Puławach po trzech i czterech jenerałów w jednéj izbie kwaterowało, ale niemniéj ambaras był ogromny. Wynoszono na łeb na szyję wszystkich zwykłych Puław mieszkańców z ich rzeczami i tłomokami i lokować się na strychach musieli. Całe dnie i noce zajeżdżały fury, składano rzeczy, a tragarze uwijali się z kuframi, pakami i tłómokami. Każdy o niczém innéra nie myślał, tylko gdzieby się podziać i gdzie ulokować.

Przybyła też i główna kwatera i naczelny dowódzca generał Michelson. Był to starzec już siedmdziesięcioletni, silnéj budowy ciała, łysy, z twarzą ogromną i rysami wydatnemi, pochodził ze sfer dosyć nizkich i wywyższenie swe zawdzięczał téj okoliczności, że udało mu się ująć słynnego Pugaczewa. Nie mówił żadnym innym językiem tylko po rosyjsku i trochę po polsku, że zaś hr. Urmeni, zabity madziar tylko znał język swój rodzinny i kochaną łacinę, przeto porozumiewali się przez pośrednictwo Bauma, konsyliarza, niemca sprytnego, który mówił wybornie po niemiecku, po łacinie, po polsku i po francusku.

Armia Michelsona—o ile wiem—składała się z dwóch korpusów o kilku dywizyach piechoty i jazdy. Gwardyami dowodził — pod zwierzchnictwem W. Księcia Konstantego — ks. Bagration, lecz ten z wojskiem swojém w Lublinie pozostał. Po Michelsonie głównymi dowódcami byli Buxhevden i Langerau. Pierwszy niski, gruby, gwiazdami — jak to u Rosyan we zwyczaju — okryty, małomówny i dla podwładnych wielce surowy. Drugi cienki, chudy, wysoki, francuz z pochodzenia i emigrant, nosił przy szpadzie zbiór wstążek różnokolorowych—dary od rozmaitych pań otrzymane. Dla wszystkich a szczególnie dla dam wyszukanie grzeczny, był trochę gaduła, ale gaduła przyjemny, bo wykształcony i dowcipny. W niższych stopniach znajdowali się generałowie, którzy późniéj do najwyższych doszli godności, jak: Sacken i Wittgenstein, obaj późniéj książęcemi tytułami i stopniem feldmarszałków udarowani, Lambert, Wintzingerode, Gogiel, Czaplic, Giżycki, Miłoradowicz i wielu innych.

Organizacya wojska odmienna była od dzisiejszéj. Pułki liczyły po dwa bataliony i każdy oprócz pułkownika miał właściciela, szefa w stopniu generał-majora. Toż samo miało miejsce i w jeździe. Mundury mało krojem różniły się od tych, jakich używano jeszcze przed 1854 r. i tylko generał-majorowie nosili mundury swych pułków. Piechota miała *szako* u góry szersze jak u dołu z wysokimi na dwanaście cali pióropuszami splecionemi z włosienia, spodnie opięte i kamasze po kolana. Niektóre jednak pułki jak grenadyerski, Fanagorijski ks. Suwarowa zachował dawną organizacyą i mundur. Liczył 4000 ludzi, a ubiór jego był rzeczywiście oryginalny: szerokie szarawary czerwone, buty palone, kaszkiety niskie blaszane okryte szerścią włosianą, nakształt szczotki przystrzyżone. Kilka pułków zachowało także wysokie nakształt głowy cukru piramidalne blaszane czapki, przez cesarza Pawła wprowadzone.

Jazda liczyła najwięcéj półków dragońskich. Kozacy wcale nie mieli przepisanych mundurów i każdy ubierał się jak mu się podo-

bało. Prawie wszyscy nosili ogromne brody, szerokie szarawary i najrozmaitsze czapki. Niektóre pułki miały jeszcze muzyki rogowe i często generał Langèrau dla zrobienia przyjemności, kazał orkiestrom tym grywać. Efekt téj muzyki był szczególny, coś jakby koncert na puzonach o rozmaitéj skali.

Ogólnie mówiąc wojsko rosyjskie przedstawiało się korzystnie. Ludzie wszystko rośli, silnie zbudowani i dobrze odziani. Jeden tylko zarzut możnaby mu zrobić, że prowadziło ono za sobą nieskończoną ilość taborów i powózek. Przez most postawiony na Wiśle, wskutek téj nadzwyczajnéj ilości bagażów zaledwie jeden pułk w krótkim dniu październikowym przez dzień cały mógł się przeprawić. Wadę tę dostrzegł cesarz, i naznaczono ilość podwód, jakie pułk może ciągnąć za sobą i od téj pory adjutant cesarski liczył za każdym pułkiem powózki i zawracał te, które przenosiły oznaczoną liczbę.

Wszyscy generałowie, pułkownicy i urzędnicy przez dni czternaście zbierali się w salach pałacowych na obiady i kolacye. Później zaczęły przybywać kancelarye rozmaitych ministeryów: najliczniejsza dyplomatyczna, 4 października nakoniec przybył i sam cesarz Aleksander. Już wtedy księstwo byli z powrotem, a także i moja matka, któréj na kwaterę przeznaczono jeden pokój na dole, do sali ze słupami przytykający. Zabrała ona do siebie swoję bratowę, Wojciechowę Narbuttową, hr. Tarnowską z Drążkowa, Bentkowską z Ulęża i pannę Laurę Potocką, a wieczorami zbierała się tu masa osób, cesarz bowiem nie jadając kolacyi przychodził na herbatę do pokojów księżnéj w towarzystwie tych tylko osób, które sam przeznaczył. W czasie jego pobytu tutaj śpiewacy nadwornéj kaplicy cesarskiéj w owéj sali ze słupami, wykonywali cudowne chóry.

Ponieważ dwór cesarski, sztaby, biura i ogromna masa gości w Puławach bawiąca podejmowana była kosztem księstwa, dołożono więc wszelkich starań, żeby przyjęcie było uczciwe. Pan Zamojski oddał do pomocy całą swą służbę, brykami zewsząd sprowadzano drób i zwierzynę, sztafetami dostarczano ostrygi i codziennie o mil kilkanaście pocztą wyjeżdżało mnóstwo posłańców dla sprowadzania rozmaitych prowizyj. Fruktów dostarczały ogrody Puławski i Maciejowicki, a w niedostatku Kock i Warszawa. Oprócz tego gruszki, winogrona, arbuzy, melony, figi wytworne przywozili codzień feldjegrzy z cesarskich cieplarni, a także sterlety i inne rosyjskie frykasy, w Polsce nieznane.

Stół podzielono na cztery oddziały. Pierwszy dla osób dwór składających i młodzieży płci obojéj o godzinie 12 pod olbrzymiemi namiotami na ten cel rozbitemi. Drugi o godzinie 2-éj dla części

sztabu, generałów niższego stopnia, gości i osób poważniejszych w Puławach stale mieszkających. Ten dawano na sali górnéj jadalnéj. Trzeci o godzinie pół do czwartéj dla urzędników, dyplomatów i wojskowych wyższego stopnia, którzy nie byli zaproszeni do stołu cesarskiego. Ten obiad podawano w sali złotéj. Czwarty o piątéj wieczorem, obiad cesarski na trzydzieści nakryć, do którego zapraszano osoby z woli Najjaśniejszego Pana wybrane i przez ks. Wołkońskiego wzywane. Ten podawano w sali białéj. Przy pierwszym stole gospodarza zastępował marszałek, przy drugim mój ojciec, przy trzecim książę Konstanty.

Jeśli stół pierwszy obyczajem Puławskiego dworu był dosyć skromny, za to drugi i trzeci, a osobliwie czwarty nic nie pozostawiał do życzenia. Dla cesarza gotowali Francuzi, kucharze Zamojskiego, a puławscy i maciejowiccy cukiernicy wysadzali się na coraz nowe koncepta. Pan major Orłowski marszałkował przy stole cesarskim. Serwisy były srebrne, albo szczerozłote i *en vermeille*, środkiem cudne ornamenta srebrne z rzeźbami z figur starożytnych, dzieło najsłynniejszych paryskich artystów, własność Zamojskiego. Daléj stół ozdabiały bukiety z najcudniejszych kwiatów w kryształowych naczyniach i kosze srebrne do wina, misternie rzeźbione.

Podczas dwudziestodniowego pobytu cesarza Aleksandra, wbrew przyjętym tutaj obyczajom nie było ani fet, ani balów, ani teatrów. Zwiedził tylko cesarz ogród, nieskończony jeszcze Domek gotycki i Sybillę, do któréj darował kopułę szklanną i dwa sfinksy z ingryjskiego marmuru. Mieszkanie cesarskie znajdowało się w pałacu na pierwszém piętrze, obok sali złotéj i jadalnéj. Składało się z jednego obszernego pokoju przepierzonego, drugiego wybitego zielonym adamaszkiem i z małego gabinetu. Codziennie o dziesiątéj rano monarcha udawał się do apartamentów księżnéj Czartoryskiéj, tam bawił pół godziny i wychodził na dziedziniec na paradę i zaciąg warty. Warta ta z jednéj kompanii złożona, między pałacem a oficyną ogrodową, pod gołym niebem straż trzymała. Szyldwachów żadnych ani w pałacu, ani przy komnatach cesarskich nie rozstawiano. Na paradę codzień przybywał coraz nowy batalion piechoty, a przy nim oficerów od 9-éj godziny oczekujących bez liku. Ponieważ lokalność dziedzińca, w którego środku znajdowała się sadzawka wiekuistemi lipami obsadzona, nie dozwala na obroty dowolne, batalion więc szykował się tylko wzdłuż oficyny ogrodowéj i następnie rozmaitemi rodzajami marszów przed cesarzem defilował. Parada kończyła się zwykle o 12 i od téj pory aż do obiadu cesarz zwykle z ministrami u siebie pracował. Czasami jednak dla rozmaitości po ogrodzie spacer od-

bywał. Między szóstą a siódmą obiad się kończył, a o ósméj na herbatę do apartamentów księżnéj przychodził. Ponieważ kolacyi nie dawano, przy herbacie więc roznoszono ciasta i rozmaite zimne specyały. Reszta towarzystwa zbierała się do sal górnych, gdzie także stołów nie zastawiano, ale roznoszono herbatę i przekąski. Te zebrania były niezmiernie ciekawe, oprócz tego bowiem, że dwór i sztab cesarski był bardzo liczny, codziennie oprócz tego przybywały rozmaite nowe osoby z rozmaitych stron Europy, deputacye, poselstwa nawet z głębi Azyi. Ścieranie się zdań rozmaitych, opisy nieznanych miejscowości, projekta na przyszłość rozogniały młodzieńczą moję imaginacyą.

Cesarz Aleksander liczył wówczas lat dwadzieścia ośm i był w całéj sile wieku i piękności. Wysokiego wzrostu, zgrabny, o kształtnéj figurze, oczy miał niebieskie, włosy blond i twarz okrągłą. Podówczas jeszcze nie łysy, płeć miał delikatną, prawie kobiecą. Największego uroku dodawała mu łagodność na twarzy rozlana i dobrotliwy uśmiech prawie nigdy z niéj nie schodzący.

Tymczasem starcie sił francuzkich z austryackiemi stawało się nieuchronném. Według otrzymanych w końcu sierpnia rozkazów poruszyły się wojska Napoleona z Hanoweru i Holandii dążąc ku Menowi, z Boulogne zaś skierowały się na Strasburg i Moguncyą. W końcu września pozycye wskazane zostały już zajęte, a 26 Napoleon przybył do Strasburga i naczelne objął dowództwo.

W Berlinie i Monachium dyplomacya działała czynnie. Oba te państwa znajdowały się mniéj więcéj w podobném położeniu, stanowiąc bowiem przegrodę między Francyą z jednéj, a Rosyą i Austryą z drugiéj strony, mogły przypuszczać, że starcie się tych dwóch potęg neutralności zachować im nie dozwoli. Bawaryą naciskał dyplomata francuski Otto, skłaniając ją do połączenia się z Napoleonem. Elektor po długiem wahaniu przymierze to przyjął, aliści zjawia się poseł austryacki ks. Schwartzenberg i oświadcza, że za przystąpienie do koalicyi Austrya ofiaruje Bawaryi Saltzburg i część północną Tyrolu. Trudno było dla korzyści tych zawartego z Francuzami przed jedenastu dniami przymierza odstąpić, ale może być, że elektor byłby to uczynił, zwłaszcza że i królowa i panowie radni do tego go skłaniali, gdyby nie wiadomość, że Austryacy bez pytania przekroczyli pograniczną rzekę Inn. Ten ich samowolny postępek oburzył kraj cały i elektor potajemnie w nocy stolicę opuścił i do Würtzburga przybywszy, z Francuzami się złączył.

Inaczéj rzeczy miały się w Berlinie. Oddawna już polityka dworu pruskiego polegała na tém, żeby traktaty zawierać i zawartych dotrzymywać tylko o tyle, o ile to korzyści dla państwa przy-

niesie. W ten sposób państwo to sformowało się i wzrosło i nie miało wcale zamiaru tradycyjnych obyczajów odstępować. I teraz więc przybyłego Duroc'a z dnia na dzień przetrzymywano, wyczekując zkąd zawieje wiatr pomyślniejszy. Kiedy wojska francuskie z Hanoweru wyszły i kiedy Bernadotte, przechodząc Anspach, neutralność pruską naruszył, pruskiemu dworowi nastręczyła się inna perspektywa. Myślał on, że opuszczony przez Francuzów Hanower łatwo wojskami swemi zajmie i bez względu na to jaki obrót przyjmie wojna, władzę tam swoję ustali. Odpowiedziano więc Durocowi, że ponieważ Francuzi nietykalność granic pruskich zgwałcili, przeto Prusy nie mogą dziś wzbraniać przejścia wojskom rosyjskim i same, niechcąc się mieszać do wojny, sił swych zbrojnych użyją do zajęcia Hanoweru, gdzie wskutek wyjścia Francuzów wybuchnięcie nieporządków jest nieuniknione.

Żeby dokładnie matactwa te dyplomatyczne zrozumieć, potrzeba jeszcze dodać, że w planie medyacyi zbrojnéj, podług Thiersa przez Piatolego wypracowanym, leżało ustanowienie królestwa Polskiego, mającego się składać z prowincyi zabranych przez Rosyą złączonych z tém, co wzięły Prusy w drugim i trzecim rozbiorze. Liczono, że Prusy do koalicyi nie przystąpią i koalicya Napoleona zwyciężywszy, karząc je za upór, prowincye te odbierze. W sformowaném tém państwie miał panować cesarz Aleksander i podobno projektowi temu był on wielce przychylny. Duszą tego pomysłu był książę Adam Czartoryski, ale w politykach rosyjskich, lękających się że takiego rodzaju postąpienie Rosyą na ciągłe narazi wojny, spotykał licznych przeciwników.

Te zamiary tłómaczą nam postępowanie armii rosyjskiéj. Kiedy Kutuzow wkroczywszy do Galicyi, głęboko już w państwie austryackiém się posunął, Michelson tymczasem nieporuszony stał ciągle nad Wisłą. Napróżno Urmeni o pośpiech naglił, dowódzca rosyjski to zbytniem znużeniem wojska, to oczekiwaniem na gwardyą się wymawiał i poprzestał na wysłaniu kilku oddziałów kozackich nad Pilicę. Współcześnie dwaj oficerowie polscy: Sałacki i Buńczukiewicz, dostawszy po 500 dukatów na drogę, wysłani zostali do Prus południowych, żeby przejrzeć jakie są siły pruskie i czy rzeczywiście Prusacy Łowicz i Łęczycę fortyfikują. Kiedy zaś przybył do Puław cesarz i kiedy Urmeni nanowo o pośpiech naglić począł, odpowiedział Aleksander, że zostawiwszy państwo swe bez osłony, nie może się zbytnio angażować, dopóki dokładnie się nie przekona, co zamyślają Prusy i współcześnie wysłał do Berlina dyplomatów Alopeusa i Dołgorukiego, obudwóch projektowi ks. Czartoryskiego nieprzyjaznych.

W Berlinie toczyły się z Duroc'iem układy i poseł francuski otwarcie oświadczył, że Napoleon za przymierze Prus ofiaruje 80 tysięcy wojska dla obrony Prus od Rosyi. Misya Alopeusa była daleko treściwsza. Rosya kategorycznie od Prus żądała przystąpienia do koalicyi, grożąc w przeciwnym razie wkroczeniem w granice pruskie całéj siły rosyjskiéj. Król pruski zwołał radę i zamiast odpowiadać na żądanie posłów, uchwalono naprzód zwiększenie armii do 80 tysięcy i jak najprędsze ściąganie sił zbrojnych. Ten krok przezorny wydał rezultat. Alopeus doniósł cesarzowi Aleksandrowi, że żadną miarą gwałtownie na Prusy naciskać nie można, bo jeśli one z taką siłą na stronę Napoleona się przerzucą, położenie koalicyi nie będzie bardzo wygodne.

Wśród tego wszystkiego wojska austryackie zalały Bawaryą i doszedłszy do Ulmu, przygotowywały się do dalszego ku Renowi pochodu. Bernadotte 27 a Marmont 29 września stanęli w Würtzburgu, główne zaś siły francuskie 25 i 26 września przez Ren pod Strasburgiem się przeprawiły. 1 października Napoleon objął dowództwo i wysławszy część swych wojsk w góry Czarnego Lasu aby ukryć główny swój pochód, zabawiał Austryaków w Bawaryi i z tyłu od Dunaju ich zachodził. 7 października przeprawił się przez Dunaj pod Donauwerth, a kiedy generał Mak, głównodowodzący austryacki wysłał tam kilka batalionów, rozbił je i opanował Augsburg. Od téj chwili los armii austrackiéj był już prawie rozstrzygnięty. Ściskano ją coraz ciaśniejszą obręczą koło Ulmu, 9 nastąpiła bitwa pod Guntzberg a 12 Bernadotte zajął Monachium.

Jakkolwiek rozwiązanie téj tragedyi jeszcze nie nastąpiło, skutki jednak osaczenia Maka już się dawały przewidywać. Wiadomość o zajęciu Monachium w Wiedniu najsmutniejsze wywarła wrażenie i natychmiast kuryerem do Puław przybiegł poseł austryacki książę Auersperg, błagając cesarza Aleksandra, aby Kutuzow spieszył na ratunek zamkniętego pod Ulmem Maka i żeby wojska z nad Wisły raczyły osłonić Wiedeń, który z sił ogołocony i odkryty, bardzo łatwo mógł być zajęty. Równocześnie jednak z ks. Auersperg przybył od Alopeusa z depeszami z Berlina ks. Dołgoruki. Napróżno wtedy książę Adam Czartoryski używał wszystkich swych wpływów i dowodził, że chwila działania nastąpiła. Napróżno przekonywał, że wojska pruskie rozproszone po leżach oprzéć się nie zdołają, że oficerowie rosyjscy do Prus wysłani przywieźli jak najpomyślniejsze raporty, że uporanie się z Prusami wynagrodzi sowicie straty całéj armii Maka, napróżno żądał, żeby Aleksander nie czekając, zaraz królem polskim się ogłosił. Wszystko zostało bez skutku i cesarz nagle cały zamiar zmienił. Wojska rosyjskie za

Wisłę cofać się zaczęły, a do Berlina poraz drugi wysłano Dołgorukiego nie z groźbą wojny, ale z oświadczeniem, że dla bliższego porozumienia się cesarz Aleksander sam do Berlina przyjedzie. Thiers podaje, że król pruski lękał się téj wizyty i osobistych nalegań cesarza, ale królowa i ministrowie przemogli i zaprosiny na ten ważny w historyi zjazd wysłano. To mogę tylko stanowczo panu Thiers zaprzeczyć, że zjazd ten nie mógł się odbyć—jak on podaje—w pierwszych dniach października, gdyż cesarz Aleksander 22 tego miesiąca Puławy opuścił.

Gwardye z księciem Konstantym na Rachów ruszyły, Michelson dla organizowania rezerw wysłany do Wilna a Buxhewden objął komendę jego korpusu.

Po wyjeździe cesarskim cisza straszna i jakaś pustka zapanowała w Puławach, mimo to że się zwykłe towarzystwo tu zostało, ale była to mała garstka w porównaniu do téj masy różnonarodowéj, jaka się tak długo przewijała. Do rozlania jakiegoś uczucia smutku przyczyniła się zapewne ta okoliczność, że zamiary cesarskie nie mogły się zupełnie utaić, a imaginacya stanowiąca jednę z charakterystycznych cech naszéj natury i tu przeszła miarę robionego projektu. Nie wierzono że Królestwo Polskie ma tylko z prowincyj należących do Rosyi i z tego, co w drugim i w trzecim rozbiorze zabrały Prusy się składać, ale liczono, że będzie do niego włączona i Galicya, a Austrya łatwo kompensaty bądź w Belgii, bądź we Włoszech uzyska. Nadzieje te rozwiewały się z wyjazdem cesarskim i nic dziwnego, że wszystkie głowy pochyliły się pod brzemieniem smutnych myśli.

Nastąpiło też w Bronicach w końcu października wesele mojéj siostry. Cały dwór puławski, sąsiedzi z okolicy i kilku Polaków w służbie rosyjskiéj zostających hulali przez trzy dni i po tém terminie siostra moja wraz z mężem wybrała się do Warszawy dla zaprezentowania się pani generałowéj, która na wesele przyjechać nie mogła. W darze weselnym dostała ona od księżnéj Czartoryskiéj prezent zostawiony jéj przez cesarza Aleksandra, sznurek pereł z fermoarem topazowym.

Dotknąwszy pobieżnie wypadków naszych prywatnych, trzeba nam przenieść się na scenę, gdzie się rozwijały dzieje Napoleona, mające z naszą historyą tak ściśle się połączyć. Zostawiliśmy generała Maka okolonego i ścieśnionego pod Ulmem. Miasto to nad Dunajem położone dopiera do ostatniego krańca Schwartzwaldu, do góry Michelsberg zwanéj, która panuje nad miastem i całą płaszczyzną. Pierwszém staraniem Napoleona było odciąć wojskom austryackim komunikacyą z Tyrolem. W tym celu Bernadotte, spędziwszy

Kinmajera zajął Monachium, Napoleon—Augsburg, gwardye i Ney—Weisenharn, Lannes i Murat—oba brzegi Dunaju koło Güntrburga, Soult—Landsberg, a Davoust stanął między Monachium a Augsburgiem. Generał Mak dopiero w ośm dni po takiem uplacowaniu się Francuzów odebrał wiadomość od pułkownika Colloredo, że Francuzi przeprawili się przez Dunaj. Dopiero bitwy pod Güntzburg i Landsberg przekonały go, że jest otoczony i że z całą armią będzie miał do czynienia. Dla tego postanowił bronić się w Ulmie, wszystkie siły tutaj zgromadzał i w 60.000 ludzi Michelsberg obsadził!

Jedenastego października generał Dupont, dowódzca dywizii z korpusu Neya, posuwając się od Dunaju z oddziałem sześciotysięcznym znalazł się u stóp Michelsbergu, a zobaczywszy tu takę masę żołnierza, nie śmiał iść daléj tylko postanowił pozycyi swéj bronić. Arcyksiążę Ferdynand pod Helsach napadł z 25.000 na tę drobną garstkę, ale Francuzi cudów waleczności dokazawszy z pozycyi spędzić się nie dali i wzięli nawet parę tysięcy niewolnika. To niepowodzenie skłoniło Maka, że postanowił Ulm opuścić i do Tyrolu się przedrzéć. Jako pierwszą pikietę posłał jenerała Spangen w 5.000 ludzi, na Meiningen skierował 10 tysięczny korpus Jelaczicza, a dla wzmocnienia pozycyi pod Helsach jenerał Riesse zajął klasztor Elchingen. Wszakże 14, Ney przeprawiwszy się przez Dunaj klasztor ten zdobył, a Soult jenerała Spangen do kapitulacyi zmusił. Jenerał Jelaczicz także się poddał, a arcyksiążę Ferdynand bojąc się, aby do niewoli nie został wzięty, w kilka tysięcy koni ku Czechom uciekał. Murat nie dawał mu wytchnienia i zanim do granie czeskich dotarł, 1.700 niewolnika mu zabrał.

15 października Napoleon zaatakował Michelsberg i Mak osłabiony poprzedniemi bitwami, tudzież odłączeniem się arcyksięcia nie mógł się bronić i kapitulacyą podpisał, tak w dziewięciu dniach kampania ta skończona została bez walnéj bitwy, niszcząc całą armią austryacką.

Cesarz Aleksander przybył do Berlina 25 października i przyjęty był z serdecznością przez króla, a z uniesieniem przez mieszkańców, kilka dni pobytu wystarczyło mu do zjednania dworu całego na swoję stronę, nie zdołał jednak wymódz na królu pruskim formalnego przystąpienia do koalicyi. Warunkowo tylko w umowie z listopada zobowiązywał się król pruski do związku przystąpić, jeśli Napoleon nie zgodzi się na wynagrodzenie za Piemont, na ustąpienie części Włoch Austryi po rzekę Mincio i na uznanie niepodległości Holandyi, Szwajcaryi i Neapolu.

Obie podpisujące strony obiecywały sobie z tego układu wielkie korzyści. Cesarz Aleksander był pewny, że król pruski już do

koalicyi należy, można bowiem było być pewnym, że Napoleon, szczególniéj po doznaném szczęściu warunków tych nie przyjmie. Król pruski znowu liczył, że Napoleonowi koniecznością przyjęcia umowy, kiedy miał już nóż na gardle, się usprawiedliwi, przekonać go wszelako potrafi, że dotrzymać jéj nie miał zamiaru. Duroc, który dotychczas w Berlinie siedział, starając się napróżno o przedmiocie układów dowiedzieć, opuścił pruską stolicę i do główněj kwatery podążył.

Napoleon w ostatnich dniach października przeprawił się przez Inn i wkroczył do posiadłości austryackich. Generał Kutuzów złączył się w téj okolicy z Kinmajerem i Merfeldem z Czech przybyłym i sformował siłę koło 70,000 wynoszącą. Nie ośmielił się jednak iść na obronę Wiednia, ale prawie pod okiem wojsk francuzkich przez Dunaj pod Krems się przeprawił. Korpus Mortiera pod Dornstein zastąpił mu drogę i tu nastąpiły dwie mordercze bitwy w dniach 11 i 12 listopada. Oba wojska dały dowody cudów męztwa i korpus Mortiera prawie zupełnie został zniszczony. Jednakże wskutek cofnięcia się Kutuzowa do Morawii Wiedeń został odkryty i Murat wraz z Bertrandem pomimo obrony ks. Auersperga, tego samego, który był w Puławach, zajęli mosty na Dunaju. Lannes tymczasem i Oudinot ściskali Kutuzowa koło Berna. 19 listopada Napoleon rozkwaterował się w zamku Dietrichsteina Nikolsburgu i z okien salonu widząc dokładnie gościńce wiedeński i Berneński kazał tu zatoczyć działa. Z trudem, po rozebraniu lawet dało się to uskutecznić, a Napoleon pewny, że z Austryakami sprawa już skończona, spał wygód niepomny pomiędzy kanonierami. Giulay i Stadion, dyplomaci austryaccy przybyli ofiarować mu pokój. Warunki były bardzo trudne. Napoleon żądał zupełnego ustąpienia królestwa włoskiego i weneckiéj prowincyi, a gdy wysłani posłowie rozmaitemi bronili się sposobami, niechcący wymknęła się im pogróżka, że król pruski przystąpił do koalicyi i że wygrana Napoleona nie jest jeszcze kompletna. Cesarz Francuzów posłów do Talleyranda do Wiednia odesłał, a sam nad tą wiadomością rozmyślać począł.

Cesarz Aleksander z Berlina udał się do Olomuńca, gdzie zastał Kutozowa z Buxhewdenem złączonego. 18 listopada zaczęto się ku Bernu posuwać, gdzie Napoleon swoje siły gromadził, spotkano się 2 grudnia pod Austerlitz u stoku gór wśród płaszczyzn poprzecinanych stawami, klucz pozycyi ze strony sprzymierzonych stanowiła wzgórzysta wyniosłość Pratzen; tu zgromadzono wszystkie siły. Że jednak postanowiono odciąć Francuzów od traktu Wiedeńskiego, oddzielono więc w tym celu korpus Buxhewdena z dywizyami Kinmajera, Langerona, Przybyszewskiego i Dochturowa. Było to wła-

śnie w miejscu, gdzie rozciągały się stawy. Napoleon, żeby nieprzyjaciela łatwiéj do zasadzki zwabić, słabo obsadził wioskę, a gdy korpus naprzeciw stawów się znajdował, uderzył na niego całą siłą i napędził go na błoto, gdzie działa i mnóstwo ludzi poginęło. Współcześnie zaatakowano Pratzen i siły sprzymierzonych nie były w stanie się oprzéć.

Na drugi dzień po bitwie nastąpiło osobiste widzenie się cesarzów Franciszka i Napoleona w młynie Paleny. Kiedy pierwszy upraszał o zawieszenie broni i pokój, Napoleon za główny warunek układów położył wycofanie się wojsk rosyjskich z Austryi. Armia więc rosyjska do swych granic wracała, a pertraktacye pokojowe rozpoczęły się naprzód w Bernie a następnie w Presburgu.

Chociaż Napoleon odniósł świetne i zupełne zwycięztwo, armia jego jednak była bardzo osłabiona. Uzyskawszy ogromne powodzenie i zwycięztwo jedynie dzięki niesłychanéj szybkości ruchów, wpadał w drugie niebezpieczeństwo głodowe. Wojsko nie miało magazynów i żywiło się rekwizycyami. Gdzie armia przeszła wszystkie zapasy zostały zjedzone, bydło wyrżnięte, stodoły popalone i zostawała zupełna pustka, nie mogąca drugi raz dostarczyć żadnego pożywienia. Wojna w 150.000 rozpoczęta, po dwóch miesiącach zostawiała armią nie wynoszącą więcéj jak 60.000. Wprawdzie po dołączeniu do tego korpusa Neya w Tyrolu 10.000 i Maseny we Włoszech 40.000 było tu jeszcze dość wiele, ale po odtrąceniu koniecznych załóg, na plac boju nie mogło wyjść więcéj jak 90.000. Przeciwko temu Austrya po bitwie Austerlickiéj posiadała jeszcze: szczątków rozbitéj armii 15.000, armia Włoska i Tyrolska 100.000, siły rosyjskie pozostałe z pod Austerlitz 35.000 i armia Beningsena na Szląsku 40.000 czyli wszystkiego razem 250.000. Napoleon przez uzyskanie odwrotu Rosyan wielką otrzymał przewagę, niespokojny jednak co do tego, co zamierzają Prusy, przeniósł swą kwaterę do Schönbrunu i tutaj p. Haugwitz bawiącego w Wiedniu wezwał. Poseł pruski nie wspomniał o zawartéj z Cesarzem Aleksandrem umowie, a ponieważ Napoleon propozycyi robionych Prusom przed wojną nie cofał, przeto zawarto między Prusami a Francyą zaczepno odporne przymierze. Hannower przyłączono do Prus, księstwo Kliwii i Neufchatel dostały się Francyi, a Anspuch oddano Bawaryi.

Jeżeli orężem w przeciągu dwóch miesięcy Napoleon odniósł wielkie korzyści to w porównanie z niemi iść nie mogą zyski osiągnięte na drodze dyplomatycznéj, uzyskane w dniach trzynastu. Wojska rosyjskie cofały się do siebie, król pruski od koalicyi na francuzką stronę przeciągnięty i Austrya pozostawiona na łasce zwycięzcy.

Musiała się więc zgodzić na następujące upokarzające warunki:

1. Książęta Badeński i elektorowie Wirtemberski i Bawarski do godności królewskiéj wyniesieni i Austrya traciła wszystkie posiadłości w Szwabii, Ortenau i Brisgau.

2. Dla królestwa włoskiego odstąpiła Wenecyą—dla Francyi Istryą i Dalmacyą.

3. Dla Bawaryi odstąpiono Tyrol.

4. Za to wszystko dostawała tylko Saltzburg, którego książę na króla Wirtemberskiego został przeznaczony.

Pokój ten 26 grudnia podpisano w Presburgu. Napoleon powrócił do Paryża, a wojska francuzkie cofnęły się do Bawaryi.

Cesarz Aleksander ujrzał rozbitą koalicyą i dla tego z cesarzem Franciszkiem, który sobie obrał kwaterę na zamku w Haliczu chłodno się rozstawał! Do Petersburga wracał na Lublin, gdzie go w przejeździe witał książę Feldmarszałek, ale o wojnie, ani o polityce w czasie tego widzenia się, ani cesarz, ani otaczający jego nie wspomnieli ni słówka. Wojska wracały także powoli jedne przez Galicyą, drugie przez Prusy.

Mówiono, że między Wadowicami a Krakowem u powozu cesarskiego złamało się koło. Aleksander pieszo udał się do najbliższéj wsi i zaszedł do Proboszcza. Ksiądz staruszek nie wiedząc o godności gościa, zaprosił go na kawę i rozpoczął polityczną rozmowę.

— Oj młody człowiek ten cesarz, mówił—młody, rad wojować a sam nie wie po co, krew słowiańską przelewać za Niemców? A niech ich tam Francuzi tłuką i niech Bóg im dopomaga.

Do pokoju wszedł adjutant, donosząc, że powóz naprawiony proboszcz zmiarkował z kim ma do czynienia, ale nie tracąc fantazyi ekskuzował się:

— Nie wiedziałem, że mnie dziś takie spotkało szczęście mieć w swém domku potężnego władcę północy. Mówiłem śmiało, ale mówiłem co myślałem. Proszęż mi darować.

Cesarz śmiejąc się odpowiedział:

— Mówiłeś do oficera rosyjskiego, ale nie do cesarza, a może i cesarz z tego skorzysta. I zdjąwszy z palca pierścionek ofiarował go, dodając:

— Proszę za doznaną gościnność przyjąć tę pamiątkę.

Myśmy rok ten w Puławach skończyli w tém przekonaniu, że Napoleon został zwyciężony i, że sprzymierzeni zaszczytny pokój zawarli. Dopiero przybycie Konstantego Dembowskiego, który pod Austerlitz wzięty był do niewoli, objaśniło nas o rzeczywistym obrocie wypadków.

XII.

Rok 1806 rozpoczął się dla nas w Puławach jak zwykle zabawami. Żeby dać o nich krótką wzmiankę przytaczam wyjątek z listu Grabowskiego.

„Puławy 18 maja 1806 r. Gorąco tu niesłychane, a rwetes coraz większy nikt dotąd z gości nie wyjechał i prawdopodobnie wyjechać nie myśli. Dziś ma się agitować Marya Ludwika (feta, dwór téj królowéj we współczesnych strojach reprezentująca). Wczoraj było wesele szóstéj już panienki z pensyi p. Januszowskiéj (Kruszyńskiego z panną Barbarą Poświatowską). Zosia (Matuszewiczówna) na czele pozostałych panienek, wszystkie, ubrane w białe sukienki, pannę młodą poprzedzały i wyglądały ślicznie. Kruszyński był bardzo rozczulony tak jak i ja, kiedym sobie Bronice przypomniał. Proboszcz zwyczajem swoim grymasił, nie chciał przyjechać i zgodzinę na sali wszyscyśmy z państwem młodem czekali. Po ślubie nastąpił podwieczorek pod lipami, potém spacer na wodzie, późniéj objechano kępę aż do Włostowic i wrócono na bal suty, wesoły i do białego dnia trwający. Onegdaj był chrzest jednéj panny z rana i Zosia z ks. Radziwiłłem, a p. Zamojska z ks. Jabłonowskim jéj kumowali. Połowa towarzystwa potém pojechała do Celejowa, a połowa, w któréj ja się znajdowałem, udaliśmy się do Parchatki, ale balu nie było. Na św. Zofią naprzód znajdowaliśmy się u księżnéj, późniéj przeszli na śniadanie do sal górnych i tam zatrzymali się aż do obiadu, który był strojny, suty i długi bez końca. Po obiedzie koło godziny szóstéj ruszyliśmy do Sybilli. Muzyka grała śpiew: „nad szumnym Dniestrem"—a skorośmy do świątyni doszli, z wnętrza jéj wyszły procesionalnie panny w białych sukniach i białych welonach, jedna tylko Zosia na czele ich idąca ubrana była w ponsową tunikę. Niosła ona na poduszcze szkarłatnéj, złotem haftowanéj; złote klucze od świątyni i zbliżywszy się do księcia Feldmarszała, jemu je ofiarowała. Ta muzyka, ten widok zebranych polskich pamiątek, myśl o przeszłości, powaga obrządku i uroczyste milczenie, które po ustaniu muzyki nastąpiło, miało w sobie coś świetnego, ale zarazem tkliwego i żałośnego. Łzy się gwałtem cisnęły do oczu i nie jeden myśląc o przeszłości, szczerze zapłakał, książę był mocno wzruszony i wszyscy przejęci a zasmuceni wracali. Bal wieczorem był liczny, ale niesłychane gorąco nie dozwoliło długo tańcować i około 2 godziny po północy rozeszliśmy się.

Jutro mamy jechać do Buńki, gdzie wieczorem będzie maskarada dziecinna. Po jutrze feta w Celejowie, we środę gramy „*Le*

Mariage sécret, a panna Ewa Kicka, pani Wincentowa Tyszkiewicz, mój brat (Michał), Rautenstrauch, ks. Konstanty i ja bierzemy w nim udział. We czwartek mamy przedstawić *les Metamorphoses*, a pani Wincentowa Tyszkiewicz, która do tych zabaw wielkiego nabrała gustu, obszerne na przyszłość robi projekta.

Ponieważ o zabawach już mowa, muszę wspomnieć, że mieliśmy liczne bale rozmaitego rodzaju, zwykłych co nie miara i kostiumowe, ulubione szczególniéj przez damy, które na rozliczne i różnorodne stroje się sadziły. Rzeczywiście przedstawiały garderoby bardzo piękny widok, tak z powodu ich różności, jak i bogactwa. Maskarady znowu dziwactwem swojem śmiech obudzały. Niechodziło tu bowiem jedynie o przywdzianie domina i maski, ale o ukrycie się w jakimś przedmiocie tak, żeby osoby ukrytéj widziéć nie można było. Pamiętam, że na jednéj z takich maskarad książę Puzyna ukryty był w ogromnym bucie, ja w trzewiku, a p. Khitel w wieży. Na maskaradach tych można było odbyć dokładny kurs historyi naturalnéj, tyle się tu bowiem zbierało rozmaitych zwierząt i ptaków. Niewygoda wszakże podobnych przestrojeń sprawiała, żeśmy je po godzinie rzucali i bal w zwykłych odbywał się ubiorach.“

Polityka w tym roku w ważne bardzo wypadki była obfita. Napoleon, powodzeniem zachęcony, w grudniu jeszcze ozwał się z zamiarem, że chce z tronu Neapolitańskiego usunąć dynastyą Burbonów. Zdobywcze jego zamiary, powstające co chwila, trudno nawet bardzo zrozumiéć, boć i tłómaczenie to jakie podał późniéj na wyspie św. Heleny, nie objaśnia ich dokładnie. W pamiętnikach swych przyznał się, że zamiarem jego było utworzenie trzech mocarstw federacyjnych pod zwierzchnictwem Francyi. Hiszpania i Portugalia, złączona w jedno, Włochy i Francya stanowić miały tę trójcę romańską. Zwróciwszy jednak uwagę na to, że nie bardzo granice tych państw szanował i szczególniéj wiele ziem od Włoch do Francyi przyłączał, powątpiewać można, czy to wyznanie jest szczere. Dla téj szczególnéj gorączki podbojów sam na największe narażał się niewygody. Kiedy w młynie pod Austerlitz z cesarzem austryackim się spotykał, przyjął go przy ogniu rozłożonym pod gołym niebem i rzekł jakby z wyrzutem te słowa. „Przyjmuję cię, cesarzu, w kwaterze, którą z twojéj łaski od dwóch miesięcy jedynie posiadam.“ W czasie kampanii na lada chacie poprzestawał i żądał tyle tylko miejsca, żeby plany topograficzne i mapy rozłożyć się dały. Nieodstępny jego towarzysz Baeler d'Albe, nad mapami temi czuwał i z rozkazu Napoleona na nich szpilkami, na których uczepione były etykiety noszące nazwiska dywizyi, wytykał pozycye. Kiedy plan dalszych ruchów był ułożony, przewoływano Berthiera, naczelnika

sztabu i jemu wykonanie powierzano. W czasach w których podburzone przeciw Napoleonowi umysły, rozmaite na niego wymyślały oszczerstwa, kiedy go o brak odwagi, a nawet o tchórzostwo posądzano, utrzymywano także, że wszystkie jego wojenne talenta w głowie p. Baeler d'Albe się mieszczą. Jest to przesada wyraźna, bo choć Baeler był doskonałym malarzem, rysownikiem i topografem, przy Napoleonie pełnił funkcye ślepéj maszyny, wypełniającéj wszystko, co jéj polecą. Posiadam roboty jego widok z kampanii Szwajcarskiéj i Hiszpańskiéj, bitwy pod Arcole i Austerlitz i cenne mapy Włoch.

W czasie kampanii Napoleon ze szczególną także bystrością umiał chwytać wszelkie wskazówki udzielane przez ludzi miejscowych, i nie wahał się zniżyć do wypytywania nawet najnędzniejszego chłopka. Wielkie jego czarne oczy zdawały się tajemnicę zgłębi serca dobywać, a oprócz tego wzrok ten pewne zaufanie budził. Obok szybkości pojęcia posiadał on nie pojęty dar wynajdywania odpowiednich środków i energią, tak że czyny u niego zdawały się biedz z takąż samą szybkością jak i myśli.

Skoro tylko w 37 bulletynie wielkiéj armii ogłoszono, że dynastya Burbonów przestaje w Neapolu panować, zaraz w pierwszych dniach lutego Massena zajął te kraje a 30 marca 1806 r. Józef Bonaparte królem Neapolitańskim został ogłoszony. Podobnież Holandya, wierna aliantka Francyi, dotąd jako rzeczpospolita się rządząca została królestwem i Ludwik Bonaparte 5 czerwca objął jéj berło, 12 lipca na gruzach upadłego cesarstwa Niemieckiego utworzoną konfederacyą Reńską i królowie: Bawarski, Wirtemberski, książęta Badeński, Hessko-Darmsztadzki, Bergski, Nassauski i wielu innych drobnych weszli do niéj i zwierzchnictwo Francyi nad sobą przyznali. W tydzień potém Franciszek II, złożył od czasów Karola W. piastowany tytuł cesarza Niemieckiego, a nazwał się cesarzem austryackim.

Te wszystkie zmiany zaniepokoiły umysły, a i pokój mimo świeżo zawartych traktatów nie zdawał się zbyt trwałym. Austrya ociągała się z oddaniem Dalmacyi, a Napoleon zatrzymał jéj twierdzę pograniczną Braunau. Nadto w czasie, kiedy Napoleon zwyciężał pod Ulmem, Nelson pod Trafalgerem zniszczył prawie doszczętnie flotę francuzką, zwycięztwo to sam przypłacając życiem, a Rosya, z którą wojna urzędowo zakończoną nie została, poleciła admirałowi swojemu Sieniawinowi zająć Cattaro. Napoleon, który do miasta tego, jako graniczącego z Turcyą szczególną przywiązywał wagę zagroził Austryi, że jeśli Rosyi do opuszczenia zajętego miasta nie skłoni, on nanowo kroki wojenne rozpocznie.

Równie trudne było położenie Prus. Haugwitz do Berlina z przymierzem zaczepno odpornem powróciwszy doznał jak najgorszego przyjęcia. Królowa, rodzina królewska, wojska i lud czuli się upokorzonymi, że dozwolili pognębić współbraci swych Niemców, że nie tylko zerwali traktat zawarty co dopiero z Rosyą, ale nadto zawodzili Anglią, z którą Hardenberg w grudniu zawarł o subsydya umowę. W gruncie rzeczy było tam zapewne najwięcéj obawy o los swój własny i żal za utraconemi Anspach, Neufchatel, księstwem Bergu i Kliwii, których Hannower nie wynagradzał w zupełności, tém więcéj, że o niego prawdopodobnie potrzeba było jeszcze z Anglikami prowadzić wojnę. Zwołano wielką radę cywilno-wojskową i na niéj postanowiono umowę ratyfikować dopiero po porozumieniu się powtórném.

Pan Haugwitz pojechał więc do Paryża, ale tu zamiast uzyskać jakich korzyści musiał poczynić nowe ustępstwa. Wkładano na Prusy uznanie nowego królestwa Neapolitańskiego i zamknięcie dla angielskiego handlu ujść Elby i Wezery. Posłowi za powrotem z Paryża wszystkie okna wybito, a Hardenberg podał się do dymisyi. Przyjęto jednak przymierze zaczepno-odporne i współcześnie do Petersburga wysłano ks. Brunswickiego, tłómacząc się że traktat z Francyą nie ma nic więcéj na celu jak zapewnienie neutralności, że Hannower zajęto dla tego, żeby z północnych Niemiec oddalić wpływy francuzkie. Rząd rosyjski otwarcie zaproponował Prusom zawarcie tajnego przymierza, przyrzekając, że jeśli król pruski wojnę Francyi wypowie, Rosya całą swą potęgą podtrzymywać go będzie. Ks. Brunświcki tłómaczył się, że nie ma odpowiednich pełnomocnictw, a i w Berlinie władza pomiędzy różnemi prądami się chwiała.

W tym roku także umarł w styczniu (23) Wiljam Pitt i następca jego Fox okazał się skłonnym do układów. Poufnie wybadywano rząd francuzki i Napoleon oświadczył, że gotówby był zwrócić Anglii oddany dopiero co Prusom Hannower, gdyby Anglia ze swéj strony zwróciła Francyi, lub sprzymierzeńcom jéj, zajęte posiadłości. W tym czasie także ks. Adam Czartoryski, widząc, że wszystkie jego plany co do zbrojnéj medyacyi upadły, podał się do dymisyi, a dowiedziawszy się o tém w Paryżu bawiący Oubril podpisał traktat, w którym warunki pokoju w Presburgu i późniejsze zabory Napoleona w imieniu Rosyi zatwierdził. Aleksander wszakże ratyfikacyi odmówił, nie mógł bowiem zgodzić się na opuszczenie zupełne Burbonów i na myśl, że Rzesza Niemiecka ma pozostać pod wpływami Francyi. Nadziei pokoju jednak nie odepchnął, oświadczył tylko że traktować będzie razem z Anglią.

W Berlinie, depesze posła pruskiego Lucchsiniego donoszące że Napoleon gotów Hannower oddać Anglikom, jak największe wywołały oburzenie, królowa, książę Ludwik Pruski i Haugwitz, który teraz najgwałtowniejszym reakcyonistą się zrobił, krzyczeli na nieposzanowanie traktatów i gwałtem domagali się wojny. Zaczęły się dyplomatyczne objaśnienia i rząd francuzki lojalnie oświadczył, że nic jeszcze w tym względzie nie postanowiono i że gdyby przyszło do oddania Anglikom Hanowera, zrobi się to jedynie za wiedzą Prus i po odpowiednich kompensatach. Mimo to Haugwitz odwołał z Paryża margrabiego Luchesiniego i na jego miejsce posłał Knobelsdorffa, żądając, aby wojsko francuzkie za Ren cofnięto. Napoleon żądaniu temu byłby się prawdopodobnie nie opierał, ale, dowiedziawszy się, że cesarz Aleksander ratyfikacyi podpisanego przez Oubrila traktatu odmówił, przypuścił, że nowa koalicya przeciwko niemu już zawiązana i że układy angielskie są tylko prostem łudzeniem, aby go nieprzygotowanego można było zaskoczyć. Dlatego żądaniom pruskim odmówił i już w początku października wojska swe nad Menem gromadzić począł.Król pruski także wyjechał do obozu, który wzdłuż Saali w okolicy zwanéj Thüringer Wald rozciągał.

Na starcie niedługo potrzeba było czekać. Współcześnie zaszła potyczka pod Schleitz i ośmiotysięczny oddział ks. Ludwika pruskiego 10 października przez jenerała Lannes pod Saalfeld rozbity został. Sam ks. Ludwik, obiecujący wielkie nadzieje, tu poległ. Klęska ta zamiast ostudzić, obudziła raczéj ducha w wojsku pruskim. Król objął naczelne dowództwo i armią do 150.000 żołnierza liczącą na dwie podzielono części, jednéj przywodził ks. Brunswicki, drugiéj ks. Hohenloe. Niżsi jenerałowie: marszałek Mölendorff, Rächel i Kalkreuth, i pomiędzy sobą i z główną komendą niezgodni, nie ułożyli żadnégo innego planu, jak tylko ciągle iść naprzód, w nadziei może, że jeszcze nieprzyjaciela przygotowanego nie zastaną. Niestety nie długo osiągnięto pewność, że armie Napoleona do zaczepnego boju gotowe i marszałkowie Dovoust i Bernadotte skierowali się do Naunburga, Lannes i Augereau ku Jenie, a Soult i Ney pozostali w średniéj między temi masami pozycyi.

Prusacy w pierwszéj chwili byli, zdaje się, zdecydowani bronić wybrzeżów Saali, ale ks. Brunświcki przestraszony zajęciem Naumburga i, obawiając się, żeby go nie odcięto od Berlina, zamierzył cofać się wzdłuż Saali ku Elbie i ks. Hohenlohe polecił powstrzymać Francuzów przy Jenie. Generał Rüchel miał służyć za rezerwę i ściągnąć do siebie ks. Weymarskiego, który poprzednio wysłany był w góry Turingeńskie.

13 października ks. Brunswicki w stronę Naumburgu wyruszył, a Napoleon podstąpił pod Jenę. Miasto to położone jest w głębokim rozdole, w środku którego płynie rzeka Sala, ani zbyt bystra, ani zbyt głęboka, żeby obrotom wojennym mogła przeszkadzać. Dolina rzeki aż po Weisenfeld jest wszędzie wązką, a oba jéj wybrzeża pasmem niezbyt wysokich gór są otoczone. Droga ku Weymarowi zamknięta jest stromą górą Mühlthal i tę Prusacy silnie obsadzili. Nad samém miastem Jeną wznosi się najwyższa góra Landsgrafenberg i u jéj podnóża znajdował się pruski jenerał Tauentzin ze swym oddziałem. Dywizya Suchet'a z drugiéj strony postępując, opanowała wierzchołek téj góry, a Napoleon postanowił wprowadzić na nią gwardye i korpus jenerała Lannes. W nocy przy pochodniach sapery przy osobistym nadzorze Napoleona drogę tu dla dział kuli i przed świtem artylerya była na stanowisku.

Kiedy główne siły francuzkie tak blizko Prusaków obozowały, ks. Hohenlohe przekonany, że armia nieprzyjacielska od Nauenburga ku Lipskowi się skierowała, przypuszczając, że co najwyżéj dwa korpusy z pod Saalfeld mogą się tu znaleść, jenerała Tauentzin zostawił pod Jeną, a sam na trakcie ku Weymarowi się wyciągał. Rankiem zagrzmiała kanonada i kiedy głównodowodzący posiłki Tauentzinowi chciał posłać, odebrał od ks. Brunswickiego rozkaz, aby, unikając walnéj bitwy pod Dornbergiem, o dwie mile niżéj śpieszył.

Tymczasem korpus Lannes'a jak lawa spadając z góry już o 9 rano korpus Tauentzina rozbił, zabrał działa i mnóstwo niewolników. Ks. Hohenlohe na pomoc mu się rzucił, ale napotkał korpus Neya i z nim utarczkę zwieść musiał, kiedy zaś pierwsze tylko zaczynały się szarmycle, nagle Lannes z przodu, Augereau i Soult otoczyli go z boków. Generał Rüchel, który już był pod Weymarem, na głos strzałów przybywa, ale przybywa zapóźno i sam na polu walki ginie. Popłoch zrobił się nie do opisania, na wszystkie strony zaczęto uciekać, a tu tymczasem Murat rozpuścił swoję kawaleryą, która na wszystkie strony zabierała jeńca. Bitwa po Jeną zniszczyła zupełnie całą tak zwaną armią szląską, z Prusaków i Sasów złożoną.

Nie lepszego losu doznała i druga jéj połowa, chociaż tylko z marszałkiem Davoust miała do czynienia, kiedy Davoust zajął Nauenburg i posuwał swe eksploracye na drugą stronę rzeki do Kösen, schwytani jeńcy donieśli mu, że ks. Brunświcki tu dąży. Ponieważ posiadał tylko 26.000 żołnierza i na otwartym miejscu z 70 tysięczną armią mierzyć się nie mógł, w nocy więc obsadził wąwóz Kösen i uszykował się pozaniem na wzgórzach. Ks. Brunświcki wyruszył z Auerstädt i wojska pruskie wązkim gościńcem postępowały gęsiego. Najpierwszy na plac boju przybył Blücher z jazdą i Schmetau ze

swym korpusem. Porwały się te dwa korpusy na przełamanie francuzkiéj linii, ale dokonać tego nie mogły. Przybyła dywizya Wartenslebena nie zdołała jeszcze przeważyć szali, a tu tymczasem generał Schmetau ranny, ks. Brunswicki śmiertelnym strzałem w twarz ugodzony i pod królem konia zabito. Przybywa z kolei ks. Oranii, ks. Wilhelm Pruski na czele 10.000 jazdy, bitwa krwawa, ale Francuzi nie opuszczają pozycyi. Pozostał jeszcze nietknięty korpus Kalkreutha i wszelkie szanse przewagi były po stronie pruskiéj, król jednak nie chciał słuchać Blüchera, domagającego się złamania linii francuzkiéj i postanowił cofnąć się, aby się połączyć z Hohenlohem. Cofanie odbyło się w porządku, ale kierując się ku Erfurtowi i Magdeburgowi najgorszą wybrano drogę. Spotkano się tu z niedobitkami z pod Jeny i nieporządek a zamęt powstał jak największy. Odbiegano dział, wozów amunicyjnych, a Francuzi bez trudu zabierali jeńców.

15 października Napoleon ogłosił, że elektor Hessen—Kasselski przestał panować. Monarcha ten posiadał ogromne bogactwa, zebrane głównie z opłat za pozwolenie Anglikom rekrutowania w swojem państwie. Kiedy marszałek Mortier do Kassel się zbliżał zmuszony był uciekać i nie wiedząc co ze skarbami swemi począć, pozostawił je w depozyt Frankfurckiemu negocyantowi Rotszyldowi. W 1815 r. Rotszyld sumę mu powierzoną elektorowi zwrócił z procentami, ale zyski przy nim pozostały i to było początkiem fortuny Rotszyldów.

Dalsze zwycięztwa były już tylko zabawką i Francuzi bez trudu pozostałe korpusy rozbrajali i zabierali fortece. Najdłużéj trzymał się Blücher, ale i ten zagnany aż za Lubekę i przyparty do błot i morza poddać się musiał, a kiedy Kistrzyn i Magdeburg wzięto, Napoleon stał się panem całych Prus oprócz Szląska.

25 października marszałek Davoust zajął Berlin i Napoleon założył tu główną kwaterę, oczekując póki resztki pruskich niedobitków niezostaną wyłowione. Tu przyszły mu na myśl naturalne szczególnych zwycięztw tych skutki. Starcie z Rosyą stawało się nieuniknione, a kwestya na tém tylko polegała, czy nad Odrą wojsk rosyjskich czekać, czy rzucić się naprzód i spotkać się nad Niemnem i Wisłą. W obu przypadkach nastręczały się nie małe trudności. Przedewszystkiém nie można było dowierzać Austryi, tém więcéj, że wszystkie warunki pokoju Presburskiego nie były jeszcze wypełnione i że Austrya gromadziła wojsko w Czechach. Za zbliżeniem się wojsk rosyjskich i połączeniem ich z niedobitkami pruskiémi można było napewno spodziewać się odżycia koalicyi. Wówczas to powstał w umyśle Napoleona projekt wyzyskania usposobienia i uczuć Pola-

ków. Poraz pierwszy tu, ten, który we własnym kraju republikańskie rządy zdusił i woli swojej nigdy szranków nie zakładał, udał się do środka poruszania mas przez ukazanie widma wolności.

Przywołano z Neapolu generała Dąbrowskiego, z Paryża Wybickiego i jednocześnie zaproponowano Austryi, czyby za odstąpienie obu Galicyi nie zdecydowała się przyjąć Szląska. Austrya odmówiła i był to najlepszy dowód, że z koalicyą myśli się połączyć, a Napoleon nie chcąc rozkiełznywać narodowego zapału, w połowie postanowienia swego się zatrzymał. Niemniéj przeto wezwano Kościuszkę, aby objął dowództwo nad siłami z Polaków mającemi się utworzyć, ale Kościuszko, składając się wiekiem, słabością i daném w Petersburgu słowem się wymówił. Tymczasem Dąbrowski i Wybicki podpisali 3 listopada odezwę do narodu i natychmiast swoim rodakom ją rozesłali. Odezwa ta głosiła:

1. Napoleon wielki i niezwyciężony wkracza do Polski na czele 700.000 wojska bez wnikania w tajniki jego zamiarów starajmy się zasłużyć na jego wspaniałomyślność.

2. Zobaczę, powiedział nam, czy godniście stać się narodem—jadę do Poznania, tam myśli moje o was się ukształcą.

3. Wasz mściciel i wasz twórca znaleziony, teraz od was zależy mieć istnienie i ojczyznę.

4. Działajcie—powiedział,—dajcie mi wasze serca i ramiona i dowiedźcie, że zasługujecie mieć ojczyznę—nie macie broni, dostarczę jéj wam.

5, Polacy, którzy zostajecie w obcéj służbie, łączcie się z nami.

6. Niedługo Kościuszko przywołany do was przybędzie. Pomnijcie, że legiony nie zostały bezowocne, one to bowiem dały poznać zwycięzcy charakter Polaków......

Odezwa ta po polsku i po francuzku została wydrukowana.

Davoust wkroczył w Poznańskie i 9 listopada przybył do Poznania. . Po drodze ludność przyjmowała Francuzów z największym zapałem, znoszono najrozmaitsze zapasy, traktowano oficerów i żołnierzy, a serdeczność była tak ogromna, że nawet marszałek Davoust zwykle surowy, ponury i wcale nieulegający egzaltacyi wpadał w zapał i najpochlebniejsze swemu monarsze zdał raporty o usposobieniu Polaków. Do Poznania przybył także Radzymiński, wojewoda Gnieźnieński, starzec łysy zupełnie, z małym wiankiem siwych włosów, z sumiastym wąsem i w kontuszu, który już tak rzadko wtedy się spotykał. Jemu Dąbrowski i Wybicki powierzyli zarząd cywilny ziemi Wielkopolskiéj. Powstania formowały się wszędzie, ale powstawać było łatwo przy nieobecności wojsk pruskich i ograniczono

się tylko na wypędzeniu władz pruskich i pozrzucaniu herbów i orłów.

Nowy wojewoda ogłosił tak zwane Pospolite Ruszenie i do niego obowiązany był stawać każdy szlachcic osobiście lub przez zastępcę z jednym szeregowcem. W miejsce pruskich magistratur zaprowadzono tak zwane Izby Administracyjne, których obowiązkiem było dostarczać dla wojsk francuzkich żywności i podwód i zbierać pieniądze na rynsztunki i mundury tworzącéj się siły narodowéj. W Kaliskiem, chociaż żaden oddział francuzki się nie ukazał, sformowała się także sama Izba administracyjna, toż i w Bydgoszczy, którą zajął jenerał Lannes. Ten, bądź że złe drogi w zły humor go wprawiły, bądź że był mniéj na serdeczne przyjęcie czuły, zdał Napoleonowi o Polakach bardzo nieprzychylny raport i wszelkie szersze względem nich projekta odradzał.

Rosyjskie wojska gromadziły się dopiero koło Niemna i tylko kozaków dla powzięcia języka za Wisłę wyprawiono, wojsko więc francuzkie od Odry aż do Wisły żadnéj nie spotykało przeszkody.

Do Puław w końcu października zaczęły dochodzić jakieś niepewne i niewyraźne wieści. Ponieważ imieniny księżnéj Czartoryskiéj przypadły 19 listopada, przeto Grabowski i ja, niby dla sprawienia garderoby, a właściwie dla dowiedzenia się czegoś szczegółowiéj wymknęliśmy się do Warszawy. Jednak i tu, mimo kilkudniowego pobytu dowiedzieć się wiele nie było można. Mówiono, że pod Jena Prusacy przegrali, ale utrzymywano, że tam tylko mała część armii była w boju, że reszta jéj nietknięta silną pozycyą nad Elbą zajęła. Prusacy byli wprawdzie jacyś pomieszani ale rozgłaszali wieści, że lada dzień ogromna siła rosyjska wkroczy do Polski.

Nie dowiedziawszy się więc nic, wróciliśmy do Puław 9 listopada, a niebawem téż i goście ściągać się poczęli. Rozpoczęły się jak zwykle bale, fety i teatra i pamiętam 17 listopada w najlepsze tańczono, kiedy na Złotéj Sali, zjawił się ulubiony przez wszystkich ks. Stanisław Jabłonowski. Po pierwszych z gospodarzem powitaniach, dobył zzanadrza jakiś papier i zaczął go czytać, a gromadka ciekawych zabrała się dokoła. Tańczący także tany rzucili i koło przybyłego zaczęli się kupić. Była to odezwa wydana przez Dąbrowskiego i Wybickiego. Nie jestem w stanie odmalować wrażenia, jakie słowa téj odezwy wywołały u wszystkich. Nie była to radość, boć cieszyć się jeszcze nie było z czego, ale jakieś osłupienie, jakieś zdumienie i jakaś gorączka czynów. O tańcach mowy być więcéj nie mogło, bal ustał i każdy udał się do siebie na spoczynek, a właściwie na rozmyślanie nad tą ważną chwilą. Niebawem inne dokładniejsze przychodziły wieści, to, że wojewoda Gnieźnieński pospolite zwołał

ruszenie i *antiquo more* punkt zborny niedaleko od Gopła naznaczył, to, że Francuzi z Poznania wybierają się do Warszawy. Goście tymczasem nie rozjeżdżali się, ale owszem zjeżdżali się coraz nowi. Ścisk był straszny a oczekiwanie wszystkich milczącymi i ponurymi zrobiło, lecz kiedy 2o listopada przyszła wiadomość, że Francuzi do Warszawy przybyli, jak za dotknięciem rószczki czarodziejskiéj wszystko się z Puław rozleciało. Młodzież cała do Warszawy się przeniosła i jedni do wojska się zaciągali, drudzy do służby cywilnéj wstępowali. Wielka świetność Puław tu koniec znalazła i kiedy na Św. Adam, na dzień 24 grudnia zjechali się goście, nie było balów, bo nie było młodzieży do tańca. Panie, które tu bawiły z córkami porozjeżdżały się także, nowych uczenic na edukacyą nie przyjmowano, ks. Wirtemberska i państwo Zamojscy przenieśli się do Warszawy, ks. Konstanty objął dowództwo swego pułku i książę feldmarszałek, widząc coraz większą dezercyą do Sieniawy się przeniósł. Ja przeniosłem się do rodziców do Bronic i tylko już gościem w dawném miejscu swojego pobytu bywałem.

W poznańskiém za impulsem danym przez Radzimińskiego i za staraniami Izby administracyjnéj, w któréj szczególniéj rej wodził Ksawery Działyński, a także wskutek gorliwości Piotra Bielińskiego w Kaliskiéj, a Gliszczyńskiego w Bydgoskiéj Izbie, w kilku dniach zebrało się kilka tysięcy ludzi. 16 listopada cztery pułki piechoty już zapełnione miały kadry. Ks. Antoni Sułkowski swoim kosztem zaczął sztyftować pułk piechoty, a w Kaliszu organizacyą sił zbrojnych zajął się generał Zajączek. Wojska te początkowo na pamiątkę legionów włoskich także legjonami zwano, a Zajączek swój, do którego sformowania dopomógł mu wielce ks. Michał Radziwiłł, nazwał *legionem północnym*. Imię to z czasem wyszło z użycia i korpus ten poprostu nazywano piątym pułkiem.

Z Poznania ks. Murat na czele jazdy do Warszawy dążył, za nim posuwał się korpus Davoust'a. Za zbliżeniem się ich Prusacy tak wojskowi jak i cywilni, tudzież urzędnicy Rejencyi miasto opuścili i ks. Józefowi Poniatowskiemu z wyraźnego polecenia królewskiego władzę powierzyli. Przyjął ją książę Józef z tém wyraźném zastrzeżeniem, że tylko do przyjścia Francuzów ją zatrzyma, że Warszawy nie opuści i za popędem narodowego uczucia pójdzie. Utworzył téż zaraz straż miejską i ta przez trzy dni warty zaciągała i odbywała patrole.

28 listopada po południu od ulicy Elektoralnéj pokazali się strzelcy konni generała Milhaud i dragoni generała Beaumont, przednią straż korpusu Murata tworzący. Przyjęto ich z oznakami największego entuzyazmu. Wszystkie okna mimo zimna przejmują-

cego i spóźnionéj pory dnia otworzono, powywieszano w nich dywany i makaty, tłum na ulicę się cisnął, a krzyki:—Niech żyją Francuzi, niech żyje cesarz! — napełniły powietrze. Rzucano kwiaty, na jakie tylko w téj porze roku można było się zdobyć, a gdy tych zabrakło, obłamywano doniczkowe rośliny, splatano z nich wieńce i pod nogi gościom miotano. Przed bramy wynoszono wino, wódkę, najrozmaitsze jedzenia i tłum zrobił się tak zwarty, iż wojsko zatrzymać się musiało, a i oficerowie i żołnierze do jedzenia i do picia zabierać się poczęli.

W wigilią dnia tego stoczono małą, nic nie znaczącą potyczkę z kozakami pod Utratą, a tłum w swoim zapale uważał ją za olbrzymie zwycięstwo. Następnego dnia z całym korpusem przybył Murat, a zastawszy most na Wiśle przez Prusaków zniszczony, co najprędzéj zabrał się do jego naprawy, nie dozwalając roboty przerywać nawet i w nocy. W dwa dni z piechotą przyszedł Davoust a z równą czułością, z równym zapałem przez lud witany. Thiers opisując zajęcie Warszawy, zarzuca, że wysoka szlachta zapału ludu nie dzieliła i w przyjęciu udziału nie brała. Jest to zarzut niesłuszny. Prawda, wielu tak zwanych magnatów i gasnącéj już arystokracyi nie posiadało w części kraju przez Francuzów zajętéj wiele posiadłości. Czartoryscy, Zamojscy, Sanguszkowie, Tarnowscy, Lubomirscy, Jabłonowscy, Ogińscy, większa część Sapiechów i Potockich, tudzież część Radziwiłłów, musiała się oglądać na swoje rządy i zachować się biernie. Ci wszakże, którzy wtenczas w Warszawie się znaleźli, nie zważali na skutki i dali się pociągnąć ogólnemu zapałowi. Książę Józef Poniatowski, ks. Antoni Sułkowi, ks. Aleksander Sapieha, Stanisław i Aleksander Potoccy, Działyński, Krasiński, Bieliński, Małachowski i tylu innych najlepszym są tego dowodem.

Ks. Murat obrał kwaterę w pałacu pod Blachą, na wzór Wielkopolski ukształcono zaraz Izbę administracyjną, na jéj czele stanął Ludwik Gutakowski, a Michał Kochanowski i Tadeusz Dembowski weszli na jéj członków. Pierwszemu powierzono wydział wojny, drugiemu skarbowy. Książę Józef tak jak Dąbrowski w Poznaniu i Zajączek w Kaliszu, zaczął formować legie, a ochotnicy z pośpiechem do zaciągu stawali i wezwanie do pospolitego ruszenia zastosowano tu także. Towarzystwo warszawskie wyścigało się z dawaniem wieczorów, obiadów i świetnych bali.

Napoleon z gwardyami i innemi wojskami, którym cokolwiek w Berlinie wypocząć pozwolono, przybył do Poznania 25 listopada. Tu go powitały deputacye izb: poznańskiéj, bydgowskiéj i kaliskiéj. Wojewoda gnieźnieński stanął na ich czele, a było to już ostatnie jego publiczne wystąpienie, nowe bowiem izby od działalności go

usunęły. Czy wskutek raportów marszałka Augereau i listów Lannes'a, czy wskutek głębszego rozmysłu, Napoleon już był znacznie oziębiony w zamiarach swych co do Polaków i pragnął jedynie, aby silne ich powstanie poparło jego wojownicze plany.

Prawdopodobnie wskutek poufnych rozmów Murata z księciem Józefem, mógł ten ostatni w umyśle szwagra cesarskiego utwierdzić przekonanie, że tylko jawne ogłoszenie bytu całéj Polski, z panującym nad nią jakiemś książęciem francuskim, wywoła tu zapał, którego Napoleon się domagał. Być może także, że Murat pragnący korony i upodobawszy sobie Polaków, którzy go jak półboga traktowali, sam wpadł na myśl podobną. Faktem atoli jest iż napisał do Napoleona, że Polacy domagają się zupełnéj niezawisłości i naznaczenia im panującego. Pismo to doszło rąk cesarskich w Poznaniu i niezadowolenie rozbudziło tém więcéj, że odmowna Kościuszki odpowiedź przez Fouché'go zakomunikowana, silnie już Napoleona podrażniła.

Kościuszko *est un sot* na wiadomość tę odpowiedział:

— Niema on w Polsce tyle wpływu jak mu się wydaje i potrafię obejść się bez niego.

Do Murata odpisał:

„Powiedz Polakom, że nie przez rachuby i nie przez zastrzeżenia odzyskuje się ojczyznę. Jedynie przez powstanie ogólne, ślepe, bez wyjątków, przez poświęcenie życia i mienia otrzymuje się dopiero nadzieję, ale jeszcze nie pewność jéj bytu."

Deputacyą wielkopolską przyjął łaskawie, ale według swego zwyczaju odpowiedział jéj w wyrazach krótkich i szorstkich.

— *Ce n'est point des paroles* — mówił — *c'est du sang, qu'il me faut. Donner moi 40,000 hommes et je verrai ce que je pourrai faire pour vous.*

Choć słowa te nie zawierały nic, coby rzeczywiste nadzieje obudzić mogło, przyjęto je z zapałem, wszędzie się uzbrajano, spieszono i już 1 grudnia marszałek Davoust pisał z Warszawy: „Dostarczanie ludzi idzie z łatwością, brak tylko instruktorów i broni."

Rzeczywiście brak oficerów w kraju okazał się ogromny. Ci, co pozostali z dawnych wojsk polskich, byli już ludzie w wieku, bo młodzi szukając szczęścia poginęli w legionach, lub w dalekich zostawali okolicach.

W Poznaniu bawił Napoleon dni kilkanaście. Tu 11 grudnia zawarł pokój z elektorem saskim, podniósł go do godności królewskiéj i do związku reńskiego przypuścił. Wzamian zapłacić kazał 25 milionów kontrybucyi i 6,000 Sasów do wojsk swych przyłączył. 18 grudnia przybył do Warszawy i stanął kwaterą w zamku. W hu-

morze był gorzkim i najpierwéj połajał Murata iż się stroi, bawi, baluje, do Polaków się umizga a o wojnie zapomina. Na drugi dzień stawiła się deputacya warszawska i ta gorzéj jeszcze przyjęta została.

— Cóż to jest—rzekł do niéj—francuski garnizon w Warszawie częstujecie, rozpajacie, przyzwyczajacie go do zbytków, a w magazynach po drodze pustki i żołnierze na linii bojowéj mrą z głodu. Tańcujecie tylko i balujecie, a o tém co należy, nie myślicie.

Zaobserwował na to Kochanowski, że wszystkiego, czego dotąd żądano—dostarczono, a co zażądaném będzie—dostarczy się także.

Napoleon wyjął z kieszeni złożony papier, a oddając go Kochanowskiemu rzekł:

— Oto wykaz potrzeb, które jeśli we dwadzieścia cztery godzin nie będą dostawione na miejsca wskazane, będziesz waszmość rozstrzelany.

To mówiąc dobył tabakierkę, otworzył ją i włożył palce po niuch tabaki. Kochanowski lubił także zażywać, a widząc otwartą tabakierkę, sięgnął do niéj machinalnie i z zimną krwią zażył.

Napoleon się rozśmiał.

— *Voila un singulier diable d'homme* — rzekł cesarz— *je lui dis, que je le ferai fusiller en 24 heures et il me prend une prise en guise des rémerciments.*

Kochanowski tymczasem podany wykaz przejrzał i pokręciwszy głową oświadczył, że w 24 godzin tego spełnić nie może, ale że w trzy dni wszystko będzie dostawione.

— *Eh bien soit* — odpowiedział Napoleon krótko i deputacyą pożegnał.

Ostatnich dni listopada i w początku grudnia przeprawili się Francuzi w wielu punktach przez Wisłę. Davoust prawie za przybyciem do Warszawy zajął Pragę i gdy most postawiono, cały korpus jego tu się rozlokował, sięgając aż do Jabłonny. Lannes pozostał w Warszawie, Augéreau posunął się na pół drogi do Błonia, a Ney zajął Toruń. Rozpoczęto zaraz sypać szańce przedmostowe w Pradze i rozbierać domy nietylko na pomieszczenie trzech bastyonów, dwóch półbastyonów i dwóch półksiężyców, ale i na stoki. Marszałek Davoust następnie się ruszył i przebywszy Narew, a raczéj Bug pod Okoninem, wystawił tamże most i szańcem go opatrzył. Napoleon udał się zwiedzić granice Austryi nad Narwią, które wązkim klinem dopierały do Wisły i zadecydowawszy, że pozycya między rzekami Wisłą, Narwią, Bugiem i Wkrą jest nader silna, postanowił działanie zaczepne rozpocząć.

Kiedy Francuzi wkraczali w Poznańskie, rosyjskie siły przeprawiały się przez Niemen, a król pruski z Berlina przeniósł się do kró-

lewca i generał jego Lestok, zostawiwszy małe załogi w Grudziążu i Gdańsku z 15,000 osłaniał Warmią. Połową sił rosyjskich dowodził Beningsen, drugą Buxhewden, a każdy z tych oddziałów liczył po cztery dywizye piechoty, oprócz jazdy. Wojska te zajęły linią między rzekami Wkrą, Narwią i Bugiem, a ponieważ z ogromnemi siłami francuskiemi wierzyć się nie mogły, przeto hr. Tołstoja postawiono w Czarnowie przy ujściu Wkry do Buga, o trzy ćwierci mili daléj zajmował pozycyą generał Siedmioradzki, Sacken trzymał się koło Zegrza między Łopacinem a Nowem Miastem, a w Pułtusku ks. Golicyn założył główną kwaterę. Jenerał Buxhewden dwie dywizye umieścił w okolicach Popowa, między Bugiem a Narwią, a drugie dwie w Makowie i Ostrołęce. Koło 20 grudnia objął naczelne wojsk tych dowództwo generał Kameński, wsławiony w wojnach tureckich i wojska pod nim wszystkiego liczono 100,000, chociaż znacznie mniéj być musiało, bo ciężkie choroby dziesiątkowały szeregi.

23 grudnia Napoleon zostawiwszy w szańcu Pragi polskie pułki ks. Józefa i dywizyą dragonów francuskich i mianowawszy gubernatorem Warszawy generała Gouvion St. Cyr, przeniósł swą główną kwaterę do wsi Okonina, nad Bugiem, pomiędzy Nowym Dworem a Górą położonéj. Tu zamieszkał w prostéj chłopskiéj chacie, w któréj późniéj właściciel wsi Gutakowski, tablicę marmurową przybić kazał. Czy ona dotąd istnieje, powątpiewać można. Tegoż dnia sam osobiście zlustrował brzegi Wkry, po drabinach wdrapywał się na stodoły dla obserwowania pozycyi, wieczorem kolumny korpusa Davousta rozstawiał i myślał w nocy atakować generała Tołstoja.

Znacznie późniéj już bo w 1818 r. — kiedym odbywał drogę do Warszawy—przypadł mi nocleg w karczmie Brzeska, za Górą Kalwaryą leżącéj. W szynkownéj izbie gawędziło kilku ludzi, a stary żandarm i huzar z pułku Grodzieńskiego między nimi rozpowiadali rozmaite wypadki częstującemu ich rybakowi. Chłop słuchał ich cierpliwie, ale potém stawiając nową kwartę, rzekł:

— Moi panowie, wyście wielcy wojacy, ale zawsze bez pomocy naszéj ani rusz i to samo mi powiedział wielki Napolion — i juści.

Oba wojskowi na tę wzmiankę wypytywać poczęli, gdzieby rybak Napoleona widział.

— A no tak—odpowiedział zapytany—sam Napolion, bo i cóżby on poradził i coby Francuzi poczęli w Toruniu, kiedy tu na Wiśle strzyż, Prusacy z lądu strzelają, a oni się pchają przez lody. Berlinkarze Niemcy pobrali drągi, co która łódź dopływa, oni odpychają. My jak to zoczyli — daléj chłopcy! — rzekę do swoich, pomóżmy im i wzięliśmy wiosła. Berlinkarzy jak zaczniemy młócić po plecach,

uciekli kartoflarze. Prusacy strzelać nie przestawali, cóś tam nawet naszych skaleczyli, ale ja cały wyszedłem. Otóż jak berlinkarzy odegnaliśmy, zaczęliśmy łodzie ciągnąć hakami i takieśmy Francuzów sprowadzili do Torunia — a cóżby bez nas zrobili?

— To dobrze—zrobiono uwagę—ale gdzież Napolion?

— Napolion, ba!—rzekł zapytany—toć on na łodzi nie siedział, juści że nie. Ja z Torunia wracałem do domu i szło się wolno, bo choć zimno, ale błoto było przeklęte, a nad Wisłą pełno wojska— to Francuzi, to Ruscy, a każdy myśli że szpieg, więc i markotno człowiekowi. Przed samemi jednak świętami jakoś się zawędrowało do Nowego Dworu, a tu Francuzów jak maku, gdzie stąpisz to i Francuz. Już było po południu, siedziałem se i medytowałem jak się tu do Pragi docisnąć, kiedy na rynek wpada pułkownik Szymanowski. Woła niby o burmistrza, choć wtenczas takich nie było, bo ich inaczéj nazywano. Skoro przyszedł wezwany, krzyczy nań pułkownik:—Daj przewoźników, a żywo.—A co wielmożnemu panu po przewoźnikach? — zapytałem nieśmiało. — A co pytasz durniu?— on mi na to – co ci do tego? — Choć ja i dureń rzekę, z przeproszeniem łaski pańskiéj, ale przewoźnik. — A znasz Narew? — Znam. — A znasz Wkrę?—Znam.—To chodź-że zemną— i dalejże do Okonina on pędzi, ja biegnę, szczęściem że niedaleko. Stanął przed chałupą, zlazł z konia, którego żołnierz odprowadził, kiwnął na mnie i wchodzim do chaty. Siedział tu niski, dosyć gruby człowiek w szarawym surducie i ja myślałem, że to pewnikiem jaki generał, ale postrzegłem, że zwyczajny szlachcic, bo bez munduru. To i dobrze myślę sobie i duch we mnie wstąpił, bo słyszałem zawsze, że ci generałowie to ludzie bardzo gniewliwi, że łatwo od nich po skórze oberwać, a czasem i co gorszego. Poświegotali coś ze sobą po francusku i tyle tylko zrozumiałem, że ten szlachcic powiedział: *bon*. — Ha to i dobrze myślę sobie i czekam. Ale oni nic do mnie nie gadają, tylko ciągle gromada oficerów to wychodzi, to wchodzi do chałupy. Zniecierpliwiło mnie to nakoniec i rzekę do pułkownika:

— Toć w chałupie przewozić się nie będziemy.

Poszwargotał coś znowu ze szlachcicem i kazał mnie być cierpliwym.

Już téż i ściemniać zaczynało i wtedy dopiero szlachcic wstał, wyszedł i wszyscy za nim. Przeszedł piechotą most na Bugu, a wszyscy za nim i dalejże wyłazić na chałupy na stodoły, na kominy i ja za nim, bo mnie tak kazano. Czyniłem to i małom kilka razy nie zleciał, a w duszy sobie myślałem, że to musi być jakiś wielki pan, kiedy za nim tylu oficerów jeździ i kiedy on sam ustawia wojsko.

Dziwiło mnie tylko, że szlifów nie ma i ludzi nie znieważa. Nagle pułkownik Szymanowski na mnie zawołał i pokazując ręką, pyta:

— A co to naprzeciwko?

— Kępa.

— A za kępą?

— Drugie ramię Wkry.

— A szerokie?

— Węższe o połowę.

— A głębokie?

— Można się utopić.

A ponieważ gęsta kra szła na rzece, pyta więc czy można się przeprawić, stanąć na drugiéj stronie kępy i jak prędko da się to zrobić?—A można—rzekę—tylko nie tak prędko jak zwykle. A byli już przewoźnicy inni i kilkunastu żołnierzy z wiosłami, co mnie niepokoiło, bo żołnierz do fuzyi dobry, ale do wiosła partacz. Kra idzie, jak któren się przechyli, a wiosłem szturgnie, to i po łódce. Pomiarkowałem, że ten pan chce, żeby w kilkadziesiąt łódek kępę okrążyć i na drugiéj stronie czekać. Ukłoniłem mu się téż i powiedziałem:

— Wielmożny panie, o przewoźników proszę, ale żołnierzy nie potrzebuję, bo to na dyabła się nie zda, a czółna potopią.

Szlachcic zapytał pułkownika, co ja gadałem i śmiać się począł. Mnie to trochę uraziło, boć jakże można przypuszczać, żebym ja, co się na wodzie wychował, nie znał się lepiéj na tém rzemiośle od żołnierza.

Ale wsiadamy w łódki, a tu tymczasem żołnierze krzyczą: *Amperer*. — Pytam gdzie on? pokazują, patrzę przez Boga, a toć to ów szlachcic. Serce mi się ścisnęło i myślę sobie:—aj dudku, dudku! gadałeś z nim, aniś mu się ukłonił, ani szacunku oddał, a byłby cię pewno uczciwie obdarzył, kiedy tak potrzebował. Płyniemy — aż tu i noc. Co myśmy się téj nocy nabiedowali—Chryste Jezu. — Calusieńką noc i przewóź i przewóź, a tu kra, a tu ciemno, a tu kule świszczą po nad głowami. Kiedy się rozwidniło, patrzę, aż tu o paręset kroków most. — Tfu!—myślę sobie— czy mi się śni, czy mi się marzy, boć tu mostu nigdy nie bywało. Ale taki most, most rzeczywisty, tylko na jakichś skórzanych klocach oparty. Już nas téż i nie potrzebowali, a dali tylko dziesięć dużych dukatów i na drogę kartkę, za pomocą któréj bezpiecznie do domu się dostałem.

Rzeczywiście przeprawienie się przez Wkrę, niezbyt szeroką ale przez lody pokrytą, dokonane w nocy mogło znienacka zaskoczyć Tołstoja, ale on o tym ruchu Francuzów się dowiedział i ku Pułtuskowi się cofnął. 24 Napoleon z Davaustem posunęli się do

Nasielska, tu małą utarczkę z aryergardą rosyjską stoczono i w miasteczku się zatrzymano. Tegoż samego dnia marszałek Augérau pod Sąchocinem a Soult w samym Sąchocinie przez Wkrę się przeprawili i skierowali się do Nowego Miasta. Ku wieczorowi nastąpiła nagła odwilż, zaczął padać deszcz ze śniegiem, a w pierwsze święto Bożego Narodzenia zrobiła się jeszcze większa flaga. Mało skrzepnięta ziemia rozmiękła i zrobiło się straszne błoto, utrudzające marsze, przewóz artyleryi i amunicyi. Ponieważ armia francuska nie posiadała takiéj lekkiéj konnicy jak są kozacy, nie mogła więc pełnić ani służby flankierskiéj ani odbywać rekonesansów. Kiedy Davoust posuwał się do Nasielska, Lannes przeprawiwszy się pod Okoninem głównym traktem ku Pułtuskowi dążył.

W tym czasie korpus Beningsena zebrał się prawie cały w Pułtusku i ściągnął od Buxhaudena parę brygad Bagawuta i Doktorowa. Lannes 26 o świcie przybył pod Pułtusk. Miasto to nad Narwią poprzedzone jest równiną, do lasu dopierającą. Równinę tę zajął Beningsen i jedno skrzydło oparł o rzekę, drugie o las, jazdę między piechotę umieścił i cały front liczną artyleryą okrył. Lannes miał pod sobą 18,000 żołnierza, a na lewym skrzydle pozostało jeszcze 7,000, te jednak z powodu złéj drogi, zaledwie na wieczór ściągnąć na linią bojową mogły. Siły rosyjskie wynosiły około 40,000, a co im szczególną dawało przewagę, to ta okoliczność, że Francuzi w błotach pozostawiali ciężkie swe działa i tylko lekkiemi, małego kalibru rozporządzali. Nastąpiła bitwa nader krwawa, trwająca dzień cały, i choć Rosyanie od strony Pułtuska cokolwiek z zajmowanéj pozycyi ustąpili, nie byli jednak nigdzie złamani. Przed samym zmierzchem przybyła dywizya Gudin i bój z nową zaciętością się odnowił, wypadek wszakże jego nie był szczęśliwy, bo nowa dywizya została odparta, a lewe skrzydło okolone. Noc atoli ciemna i wielka burza bez ustanku trwająca, koniec wszelkim ruchom położyły. Wygraną obie strony przepisywały sobie, a na drugi dzień Rosyanie Pułtusk opuścili, przeszli Narew i most za sobą spalili.

Tegoż dnia Napoleon pod Gołyminem spotkał dywizyą Doktorowa i dwie brygady z korpusu Beningsena pod Pułtusk spieszące. Zastąpił im drogę i bez względu na wygodną dla Rosyan pozycyą Gołymina, położonego wśród bagien, do ustąpienia ich zmusił.

Soult zajął Ciechanów nie spotkawszy Rosyan, a Ney i Bessières spędzili z pozycyi generała pruskiego Lestoka i zdobyli zajmowany przez niego Działdów. Próżno Prusacy aż do północy szturm do tego miasta przypuszczali—już go odzyskać nie mogli.

W czterodniowéj téj kampanii Napoleon wbrew swemu zwyczajowi, po raz pierwszy rozciągnął swe linie przez całą szerokość

Płockiego od Modlina do Działdowa i ztąd wynikło, że jeden korpus nie spotkał wcale nieprzyjaciela, dwa zadały Prusakom klęskę, ale bez rezultatów i wobec najliczniejszych wojsk rosyjskich znalazł się oddział najmniejszy. Z drugiéj strony trudno zrozumieć, co znaglało Francuzów do tych szybkich ruchów w czasie takich wielkich błot i roztopów. Artyleryi swojéj przez to nie mogli rozwinąć, a położenie Rosyan trzymających się odpornie było wygodniejsze. Pomimo więc znacznéj straty ludzi, armaty z popsutemi lawetami były jedynemi trofeami i oprócz rannych, żadnego innego nie wzięto niewolnika.

Jakkolwiek bądź czy wskutek gwałtowności ruchów francuskich, czy stosownie do dawniéj powziętego planu cofnęli się Rosyanie z Płockiego, zamierzając teatr wojny przenieść do Prus wschodnich i zachodnich. Nie ścigał ich nikt i Francuzi ulokowali się między Wisłą a Warmią, rozstawiając jazdę lekką ku Ciechanowowi, a ciężką za Wisłą.

Napoleon 28 przybył do Pułtuska i dni następnych przyjął deputacyą, wysłaną od utworzonéj Izby administracyjnéj płockiéj. Kiedy członkowie jéj z powozów wysiadali, gwardya przy kwaterze straż trzymająca, buty im z nóg pościągała. Deputaci w skarpetach i zabłoconych sukniach myśleli udawać się gdzie po jakiekolwiek obuwie, ale adjutant cesarski zastąpił im drogę i rozkazał, żeby się przed cesarza stawili. Próżno tłómaczyli się swoim przymuszonym negliżem, odpowiedział im, że to wojna i etykieta żadna nie może przeszkadzać do spełnienia obowiązku. Napoleon przyjął ich śmiejąc się i rzekł:

— To są skutki wojny i waszych błot przeklętych. Łatwiéj sobie dacie rady bez butów jak moja gwardya, która w waszych bagnach trzewiki pogubiła.

Rzeczywiście niezwykły u nas w téj porze stan pogody wywarł na armią francuską wpływ bardzo niekorzystny, popadła ona w jakąś rozpacz i przeklinała Polskę.

— Cóż to za kraj? — mówiono. — Trzeba być żabami, żeby tu żyć potrafić. Choroby zaczęły trapić wojsko i mnóstwo żołnierzy szło do lazaretów.

(d. c. n.)

WSPÓŁCZESNA POWIEŚĆ WE FRANCYI.

III.

Emil Zola.

Wysokiego wzrostu, cokolwiek gruby, z małą głową tęgo osadzoną na krótkiéj szyi, szatyn z włosami jeżącemi do góry, cery ciemnéj, o wysokiém prostopadłém czole, pod którém świeci się dwoje aroganckich oczu krótkowidza posługującego się binoklami, i z charakterystycznym nosem, który jak u Balzaca rozdzielony jest przy końcu na dwoje, Zola „przypomina jednego z tych żołnierzy rzymskich którzy zawojowali świat.“

Urodzony w 1840 roku z ojca Włocha a matki Francuzki do osiemnastego roku życia rósł swobodnie na świeżém powietrzu południowéj Francyi, gdzie rozpoczął nauki w prowincyonalném liceum w Aix, które pod zmienioném nazwiskiem *Plassans* stało się następnie rzekomém gniazdem rodziny *Rougon-Macquart'ów.* W Paryżu popadł od razu w nędzę, którą pogorszał jeszcze jakiś fatalny brak szczęścia. Pomimo usilnéj i wytrwałéj pracy wyszedł z liceum bez patentu, którego mu odmówiono z powodu niedostatecznego przygowania w rzeczach historyi Francyi, literatury Francuzkiéj i języków żyjących. Zmuszony od razu do zarabiania na chléb, po kilko miesięczném urzędowaniu w biurze akcyzy, wszedł do księgarni Hachette'a, gdzie, z pensyą początkowo 100 a ostatecznie 200 franków miesięcznie, pracował przez lat cztery od ósméj rano, do ósméj wieczór.

Tam-to rozpoczął swoję karyerę literacką szeregiem artykułów w ówczesnym *Evénemant* Villemessant'a, które mu wyrobiły imię krytyka samodzielnie myślącego, i całą seryą drobnych utworów ze-

branych później w jednym tomie: *Contes à Ninon*, które nie miały żadnego rozgłosu.

Dopiero *Thérèse Raquin*, powieść oparta na fizyologicznych motywach dziedziczności, postawiła go na właściwym gruncie. Ludwik Ulbach poświęciwszy powieści cały artykuł w *Figaro*, nazwał ją płodem zgnilizny: *la littérature putride*. Był to dla niego początek powodzenia: Hachette wprawdzie pozbawił go miejsca w swojéj księgarni, ale publiczność rzuciła się do książki.

Odtąd Zola zaczyna żyć wyłącznie z pióra. Rzucony z potrzeby w wir dziennikarstwa, przyjmuje wszystkie warunki: pisze bibliografią, krytykę sztuki, kronikę codziennych wypadków, sprawozdania z posiedzeń Izby, korespondencye do dzienników prowincyonalnych, powieści na łokcie do felietonów, felietony i literackie studya do czasopism a między innemi do rosyjskiego *Wiestnika Jewropy*, gdzie się dostał za protekcyą Turgieniewa.

Nie otrzymawszy gruntownego wykształcenia w żadnym kierunku, uczy się, jak generałowie wielkiéj rewolucyi, podczas bitwy; studyuje wszelkie kwestye w miarę jak mu się one przy pisaniu już powieści czy też krytyk z konieczności nastręczają, i czyta wszystko co się tylko do umysłowego i artystycznego ruchu naszego wieku odnosi. Odkąd nie potrzebuje walczyć o chleb, walczy za ideje z silném jednak postanowieniem zupełnego usunięcia się wkrótce ze szranek dziennikarskiego zawodu, a mianowicie, kiedy wypowie już ostatnie słowo w rzeczach teoryi i estetycznych zasad.

Zahartowany w walce o chleb wyszedł z niéj zwycięzko jako pisarz i jako człowiek. Przeciwności ani go zepsuły ani osłabiły. Obdarzony od natury usposobieniem przeciwném wszelkiéj awanturniczości, wcześnie przyszedł do równowagi umysłu i nerwów i w niebezpiecznéj dla słabszych temperamentów walce o materyalne i moralne stanowisko wyrobił sobie niezłomny charakter człowieka, który każdéj chwili gotów bić się z każdym za swoje idee i przekonania, choćby tym przeciwnikiem miało być społeczeństwo całe. A przytem w życiu codzienném niezmiernie słaby, ustępujący wszystkim dla miłości pokoju, i z gruntu łagodny. Podobno ze zdziwieniem nawet słucha o swojéj sile woli, któréj nie czuje. „Potrzeba wyżywienia swoich i to potrzeba połączona—jak sam mówi — z wielką emulacyą była początkiem owéj woli literackiéj,“ która może jedynie postawiła go na świeczniku literatury francuzkiéj. I ta emulacyja tak silnie jest w nim zakorzenioną, że manifestuje się nawet w rzeczach zupełnie błahych. Przegrywając z kimś partyą szachów, tak jest tém w danéj chwili przygnębionym, jak gdyby mu odmówiono talentu literackiego. Złapany na jakimś błędzie nigdy na razie nie uznaje się za po-

bitego i używa wszelkich możliwych sposobów na pokazanie, że miał racyą, choćby dowodzenie jego było nawet zupełnie fałszywém. „Pomimo ciągłego wmawiania w siebie że jest pozytywistą, cierpi na nieuleczalną melancholią wypływającą z przeświadczenia o nicości wszystkiego,“ przed którą się broni czynném życiem. Jak tylko maszyna jego mózgu przestaje funkcyonować, natychmiast ogarnia go jakaś wrażliwość nerwowa i chorobliwa. „Jestem sobą wtenczas tylko—mówi do swego przyjaciela, Pawła Alexis'a—kiedy siedzę sam w moim gabinecie przy biurku i pracuję.“

A przytém Zola nie jest ani kobieciarzem ani salonowcem. O inteligencyi kobiet odzywa się z lekceważeniem a w salonach bywa tylko z musu. Naturalna nieśmiałość nie pozwala mu zabierać słowa wobec nieznajomych i dla tego-to pomiędzy ludźmi *dobrze wychowanymi* „uchodzi za niedźwiedzia.“ Publicznie nie mówi nigdy i nie stara się nawet o popularność. Pomimo całéj arogancyi, jaką się odznacza przy pisaniu o swoich dziełach lub o swojém naukowém znaczeniu, w rzeczywistości jest „nieszczęśliwcem pełnym zwątpienia, wątpiącym o sobie więcéj jeszcze niż o innych.“ Dzieło raz napisane nie istnieje już dla niego więcéj: nie odczytuje swych prac wcale z obawy odkrycia na każdéj stronie całych przepaści błędu i słabości. Złoto które mu napływa ze wszystkich stron nie przynosi mu żadnéj rozkoszy, chyba przelotne zadowolenie, że może je wydawać na swoje fantazye. Będąc zupełnie zdrowym uważa się za chorego. Niespokojny, wrażliwy i nerwowy częstokroć sądzi że jest niezdolnym do sklecenia dwu wierszy, co mu się jednak w rzeczywistości rzadko zdarza, ponieważ metodyczność w pracy wytworzyła w nim naturalną potrzebę pisania i produkowania co rano, jak gdyby maszyna, która raz puszczona w ruch nie może zatrzymać się pierwéj nim sprężyna wyjdzie.

Dla tém większego spokoju w pracy przeniósł się do Médan pod Paryżem, gdzie spędza ośm miesięcy z rzędu prawie nie zaglądając do stolicy. Cztery miesiące zimowe wystarczają mu doskonale do zupełnego zapoznania się z artystycznym i naukowym ruchem paryskiego życia.

Pomimo olbrzymiéj korespondencyi jaką prowadzi z całym światem i pomimo uciążliwéj pracy przy zbieraniu notatek lub robieniu wyciągów z książek, nie wyręcza się nikim i pomiędzy znakomitościami Francyi jest może jedynym pracownikiem który nie trzyma sekretarza.

„Zgoła, ani pieniądze, ani powodzenie, ani sława nie zmieniły go wcale. Ja który go znam od dwunastu lat, ja który go widziałem kiedyś biednym, obdłużonym, nieznanym jeszcze, mogę zapewnić, że

pomyślny los go nie zepsuł. Nie jest-to bynajmniéj jeden z tych tryumfatorów nieznośnych, którzy w przyjemny sposób popisują się z rezultatami swego powodzenia lub z zasługami osobistemi. W rozmowie nie tylko że nie przesadza nigdy swego znaczenia, ale przeciwnie daje uczuć, że nic jeszcze nie zrobił, że wszystko idzie mu jak najgorzéj, że jest najbardziéj upośledzonym z ludzi. Zwątpienie i obawa nie dają mu spać. Lecz ten-to właśnie stan umysłu, który mu nie pozwala używać rozkoszy powodzenia, pobudza go dziś do pracy w tym samym stopniu jak ongi, kiedy musiał walczyć o kawałek chleba dla siebie, dla swojéj matki i dla żony."

I. Jego teorya i filozofia.

„Myśl powinna być zawsze niezależną i niekrępowaną czy to przez wierzenia naukowe czy też przez wierzenia filozoficzne lub religijne. Należy być śmiałym i swobodnym w ujawnianiu myśli, należy iść za uczuciem i nie zatrzymywać się zbytecznie nad dziecinnemi obawami o sprzeczności teoretyczne." Oto wyznanie wiary, które za Klaudiuszem Bernardem doprowadziło Zolę, pomimo widocznych sprzeczności w argumentacyi, do stworzenia estetycznego traktatu na tle fizyologii.

Przed niedawnemi jeszcze czasy „sztuka i rzeczpospolita miały być naturalistycznemi lub przestać istnieć." Obecnie forma artystycznego tworzenia i forma rządu w umyśle Zoli zapłodnionym przez nasiona fizyologicznych prawd Klaudiusza Bernarda przemieniły się na „eksperymentalne" ponieważ „dosyć jest tylko wyrazy: lekarz, medycyna i nauka zastąpić przez wyrazy: artysta, sztuka i rząd," aby wnioski znakomitego fizyologa w zupełności mogły być zastosowane do teoryi artystycznego tworzenia lub do kierowania namiętnościami danego społeczeństwa.

Ponieważ autor *wstępu do nauki medycyny doświadczalnéj* powiedział, że „tak dobrze u istot żyjących jak i w ciałach martwych warunki istnienia zjawisk są zdeterminowane w sposób zupełnie absolutny" przeto „każdy powieściopisarz powinien odtąd trzymać się ściśle metody doświadczalnéj i szukać tego samego determinizmu w mózgu ludzkim jaki rządzi kamieniem przydrożnym," gdyż „powieść jest tylko uzupełnieniem (?) fizyologii a nie czém inném."

Nie ulega wątpliwości że z czasem prawa rządzące myśleniem i namiętnościami ludzkiemi zostaną sformułowane w sposób tak ścisły a może nawet i ściślejszy jeszcze niż dotyczasowe prawa rządzące ciałem człowieka, ponieważ—jak słusznie mówi Klaudiusz Bernard— „niepodobna aby zjawiska umysłowe pomimo całéj subtelności swéj

natury nie miały pozwolić się podciągnąć tak samo jak wszystkie zjawiska ciał żyjących pod prawa naukowego determinizmu.“ Pytanie jednak jakim sposobem powieściopisarz dla uzupełnienia naukowéj fizyologii stanie się panem naukowéj psychologii i „przy pomocy metody doświadczalnéj będzie tak samo oddziaływać na charaktery, na namiętności, na życie ludzkie i społeczne jak fizyk i chemik oddziaływają na ciała martwe a fizyolog na ciała żyjące,“—takie pytanie nie postało w głowie Zoli. Mniejsza o pokrewieństwo między nauką doświadczalną a sztuką byle „dzisiejsza powieść kompletowała fizyologią,“ byle artysta stał na tym samym eksperymentalnym gruncie na jakim lekarz kiedyś w przyszłości dopiero stać będzie.

„W praktyce życia—pisze Klaudiusz Bernard—ludzie wciąż robią na sobie doświadczenia. Przy roztrząsaniu naszych własnych czynów mamy niezawodnego przewodnika, mamy świadomość tego co myślimy i co czujemy. Całkiem jednak rzecz się ma inaczéj jeżeli chcemy sądzić czyny innego człowieka i poznać pobudki jakie go do działania zmuszają. Co prawda mamy przed oczami ruchy tego człowieka i objawy zewnętrzne, które z pewnością są sposobami wyrażania się jego wrażliwości i jego woli. Co więcéj! przypuszczamy nadto, że pomiędzy czynami i ich pobudką istnieje związek konieczny. Ale jaka jest ta pobudka? Nie czujemy jéj w nas, ponieważ mamy jéj świadomość wtenczas tylko kiedy chodzi o nas samych; musimy więc ją tłómaczyć sobie odpowiednio do ruchów jakie widzimy i słów jakie słyszymy, i dlatego to powinniśmy ciągle czyny tego człowieka kontrolować jedne drugiemi, rozważać jak się zachowuje w takiéj lub innéj okoliczności, czyli, jedném słowem, bezustannie uciekać się do metody doświadczalnéj.“

Ten ostatni frazes tak ogłuszył Zolę że z przed jego oczu od razu zniknęło całe poprzednie rozumowanie genialnego fizyologa, który w kilku słowach pokazał różnicę pomiędzy obserwacyą a naukowém doświadczaniem. „Nazwę *obserwatora*—mówi autor *Wstępu do Nauki Medycyny*—daje się temu kto sposoby badania prostego lub złożonego stosuje do poznania zjawisk, które, ma się rozumiéć, przyjmuje tak jak mu je natura przedstawiła w niczém ich bynajmniéj nie zmieniając: nazwę tymczasem *eksperymentatora* daje się temu, kto posługuje się prostemi lub złożonemi sposobami badania dla zmieniania lub zmodyfikowania zjawisk w pewnym celu i dla pokazania ich w takich okolicznościach i w takich warunkach w jakich natura mu ich bynajmniéj nie przedstawiła.“ Tym sposobem Zola nie malował by już życia ani ludzi tak jak mu się oni przedstawili, ale „posługując się prostemi lub złożonemi sposobami badania dla pewnych celów pokazałby ich w takich warunkach, w takich okolicznościach

i w takiém otoczeniu..... w jakich natura ich nie przedstawiła," czyli dla chimerycznego celu rzekomego „poszukiwania prawdy przy pomocy metody doświadczalnéj" tak modyfikowałby i przemieniał życie, jak je modyfikowali i przemieniali nasi ojcowie w celu znalezienia ideału przy pomocy wyobraźni bujnéj a nie liczącéj się z warunkami życia rzeczywistego.

Nie przeprowadziwszy ścisłéj paraleli pomiędzy medycyną a powieścią, nie zrobiwszy żadnego nacisku na podobieństwo środków i celów lekarza z środkami i celami powieściopisarza, Zola wyrywa berło nauki z rąk Klaudiusza Bernarda i machając niém nad głowami krytyków, woła: „Jego cel jest moim: i ja także chcę być panem zjawisk indywidualnéj i umysłowéj natury aby niemi kierować," i „ja także chcę kierować zjawiskami pojedyńczego człowieka aby oddziałać na społeczeństwo," tylko ponieważ „cała filozofia naturalna, jak mówi Bernard—redukuje się do poznania praw, a cała zagadka eksperymentalizmu redukuje się do przewidzenia zjawisk i kierowania niemi." Bardzo dobrze; pytanie tylko jakim sposobem powieściopisarz zdoła przewidzieć zjawiska duszy ludzkiéj i jakim sposobem będzie eksperymentować społeczeństwo całe, lub téż kierować namiętnościami pojedyńczego choćby tylko człowieka, jeżeli mu do eksperymentowania duszy ludzkiéj brak najważniejszéj rzeczy, to jest tego instrumentu jakim się fizyolog posługuje przy eksperymentowaniu ciała ludzkiego. A przy tém, co podda eksperymentacyi: zmysły czy namiętności? człowieka fizycznego czy moralnego? Kto się podda jego eksperymentacyi? kto się pozwoli „postawić w takich okolicznościach i w takich warunkach" w jakichby autor „dla naukowéj demonstracyi" chciał go pokazać? Nie; tak „śmiało iść za uczuciem nie zatrzymując się zbytecznie nad dziecinnemi obawami sprzeczności teoretycznych" teoretykowi już nie wypada, zwłaszcza teoretykowi, który nieco daléj w tymże samym Klaudiuszu Bernardzie powinien się był doczytać jako „należy modyfikować teoryą dla zastosowania jéj do natury, nie zaś naturę dla zastosowania jéj do teoryi."

Ale Zola nie dba o drobne niekonsekwencye w dowodzeniu. Chce świat przekonać, że powieść jest wyrazem sztuki XIX-go wieku, tak samo jak metoda doświadczalna jest wyrazem nauki tegoż wieku: ztąd racya do tytułu: *Powieść doświadczalna*, jakkolwiek powieściopisarz nikogo i niczego doświadczać nie może inaczéj niż w swojéj głowie, w swojéj wyobraźni.

„Umysł ludzki—powtarza on za autorem *Wstępu*—w różnych peryodach swego rozwoju przechodził kolejno przez uczucie, rozum i doświadczenie. Najwpierw samo uczucie przygłuszając rozum stwo-

rzyło prawdy wiary czyli teologią. Rozum, czyli filozofia, stając się następnie panem umysłu zrodził scholastykę. Doświadczenie nakoniec, czyli nauka zjawisk naturalnych, pokazała człowiekowi, że prawdy świata zewnętrznego nie są sformułowane ani w uczuciu ani w rozumie, i że dla otrzymania tych prawd potrzeba koniecznie przejść do rzeczywistości objektywnéj, w któréj się one kryją pod swoją zjawiskową formą. Tym sposobem, w myśl naturalnego postępu rzeczy, zjawiła się metoda doświadczalna, która reasumuje wszystko opierając się kolejno na trzech podstawach tego niewzruszonego trójnoga: na uczuciu, rozumie i doświadczeniu. Przy poszukiwaniu prawd za pomocą téj metody, uczucie ma zawsze inicyatywę i rodzi ideę *à priori* czyli intuicyą; rozum czyli rozumowanie ideę tę następnie rozwija i dedukuje z niéj logiczne wnioski. Jeżeli jednak uczucie musi być oświecaném blaskami rozumu, to rozum znowu z kolei powinien być prowadzonym przez doświadczenie.“ Ztąd racya do wniosku, że „powieść doświadczalna jest konsekwencyą naukowego rozwoju XIX-go, wieku ponieważ kompletuje (?) fizyologią podstawiając na miejsce człowieka abstrakcyjnego i metafizycznego studium człowieka naturalnego, poddanego fizyczno-chemicznym prawom i zdeterminowanego przez wpływy otoczenia. Słowem, powieść doświadczalna jest literaturą naszego wieku nauki, jak literatura klasyczna i romantyczna była wyrazem wieku scholastyki i teologii.“ Tu anachronizm jest już nie do przebaczenia, gdyż według Klaudiusza Bernarda romantyzm-to raczéj, jako oparty na uczuciu, powinien był poprzedzić literaturę klasyczną odpowiadającą retoryce scholastycznéj, nie zaś przeciwnie.

Budując traktat o zastosowaniu metody doświadczalnéj do powieści, Zola popełnił błąd wynikający z powodu złego rozumienia wyrazu: *doświadczanie*. „Błędem Augusta Comte'a i Littre'go—mówi Pasteur na przyjęciu do Akademii—było pomieszanie metody eksperymentalnéj z metodą ograniczonéj obserwacyi. Obydwa obcy eksperymentowaniu, wyrazowi *doświadczanie* dawali znaczenie przypisywane mu w towarzyskich rozmowach, nie zaś to jakie on ma w języku naukowym. W pierwszym przypadku *doświadczanie* jest tylko prostą obserwacyą faktów i indukcyą, która mniéj lub więcéj słusznie wnioskuje co by być mogło z tego co było;—w drugim zaś metoda doświadczalna eliminując pewne fakty, wywołując nowe, badając naturę i przez modyfikacyą zjawisk zmuszając ją do odpowiadania, dochodzi do zupełnego dowodu prawdziwości odkryć.“ Słuszne to spostrzeżenie genialnego fizyologa jest najlepszą odpowiedzią na pretensye Zoli, który swoje mniéj lub więcéj szczęśliwe indukcye nie-

opatrznie nazywa prawdami otrzymanemi drogą eksperymentacyi a siebie, powieściopisarza, moralistą-eksperymentatorem.

Wreszcie grunt, na którym działają powieściopisarze w ogólności a Zola w szczególności, bezwarunkowo eksperymentacyi nie dopuszcza. Ich prace odnoszą się całkowicie do badań nad przeszłością, nad faktami spełnionemi, gdzie nic ani dodać ani odjąć nie można. Obyczaje bowiem tak samo jak historya wymagają metody ścisłéj obserwacyi i ktokolwiek chciałby „dla pewnych celów zmodyfikować lub zmienić naturę faktów,“ popełniłby błąd nie do przebaczenia w oczach potomności, ponieważ zamiast prawdy możliwie przedmiotowéj dałby sąd podmiotowy i ułudny. Byłoby nawet rzeczą bardzo pożądaną aby historycy i powieściopisarze badający obyczaje mogli pokazywać nam zawsze prawdę absolutną, wyprowadzoną i dowiedzioną naukowo. Niestety jednak, metoda eksperymentalna, jedyna która prowadzi do rezultatów pewnych, dla historyka jest zamknięta. Jego indukcye choćby najśmielsze i najściślejsze nie mogą i nie będą mogły nigdy rościć sobie prawa do niezbitych prawd, ponieważ tam gdzie w grę wchodzą namiętności ludzkie i gdzie liczba czynników jest niepodobną do obliczenia, wykrycie absolutnéj naukowéj prawdy jest tylko fikcyą szukającego.

Zola zdaje się o tém wcale nie wiedziéć. Olśniony wielkością celu zamiast szukać do niego dróg własnych posiłkuje się cudzemi i na nich błądzi. Jego *Roman Expérimental* jest jedną z tych filozoficznych baniek, wypełnionych nie metafizycznym wprawdzie ale sofistycznym wiatrem bezprzedmiotowego rozumowania, które, wzięte na seryo, nie tylko zaprzeczałoby jego powieściopisarskiéj ale nawet i poprzedniéj czysto estetycznéj działalności, kiedy-to jeszcze nad głowami artystów powiewał chorągwią *naturalizmu*.

W rzeczywistości Zola jest pozbawionym krytycznego i filozoficznego zmysłu, i to tak dobrze w swoich krytykach i próbach filozofii jak i w powieściach. Cała jego siła leży w umiejętności konstatowania faktów a cała słaba strona w nieumiejętności ich uogólniania. Jego naturalizm jest doktryną o tak szczupłych granicach, że w nich nie może się zmieścić ani malarstwo, ani rzeźba ani muzyka ani architektura. Dopóki stał przy pierwotnéj swéj formule wyrażonéj w *Mon Salon*, że „dzieło sztuki jest zakątkiem natury widzianéj po przez temperament artysty,“ czyli dopóki opracowywał bakonowską definicyą: *Homo additus naturae*, dopóty krytyka jego miała pozory sądu racyonalnego i odpowiadającego duchowi wieku, który podporządkowawszy wszystkie wiadomości człowieka pod prawa natury, zapewnił jednak jednostce jego indywidualne swobody i indywidualną niejako autonomią myśli. Odkąd jednak Zola z umysłu

ludzkiego usunął wrodzoną potrzebę szukania pierwotnych i ostatecznych przyczyn, hipotezom wypowiedział wojnę, a wszelkie idee i teorye sprowadził do prostego konstatowania faktów, jego doktryna stanęła w rozbracie z postępem, ponieważ z filozofii wyłącza wszelkie „dążenie rozumu ku poznaniu *nieznanego*, ów święty ogień poszukiwania, który, według Klaudiusza Bernarda, nie powinien u żadnego uczonego ani na chwilę przygasnąć.“

Tym sposobem Zola w całéj swéj literackiéj działalności nie poruszył ani jednéj myśli, którąby na umysł ludzi oddziałała jako filozoficzny bodziec. Nic z tego co nie jest znaném, nic z przyszłości nauki! W naturze są tylko przedmioty i fakty: badajmy więc przedmioty i poddajmy się faktom, jakkolwiekby nas rozum i intuicya pchały ku rozwiązywaniu zagadek, ku opanowaniu faktami.

Jest-to ten sam umysł w literaturze, co Littre'go w filozofii a Gambetty w polityce.

Faktem jest że trzydzieści przeszło milionów Francuzów należy do łona kościoła katolickiego, który walczy przeciwko nauce i władzy państwowéj. Poddajmy się faktowi—woła Littré—i ponieważ tak znaczna większość francuzkiego narodu jest katolicką zostawmy kościół w spokoju.

Faktem jest—mówi Gambetta—że nie cały naród domaga się zmian radykalnych w instytucyach odziedziczonych po cesarstwie i monarchii, jakkolwiek wszystkie te instytucye wyłączają ideę demokracyi i ducha republikańskiego. Poddajmy się więc faktowi i zostańmy przy *status quo*, dopóki cały naród do ostatniego chłopa z Owernii do ostatniéj akuszerki z Paryża, nie zażąda rozdziału kościoła od państwa, rugowalności sędziów lub zniesienia senatu.

Faktem jest—mówi Zola—że moralność jest w upadku: poddajmy się faktowi i zamiast moralizować notujmy niemoralność Francuzów. Kiedy tego będzie potrzeba prawodawca ułoży nowy kodeks poskramiający złe, ponieważ to jest jego zadaniem; my literaci powinniśmy tylko podjąć złe z ziemi i pokazać je czytającemu światu w jego przedmiotowéj pięknéj formie.

Filozofia ta nazywa się pozytywizmem w socyologii, oportunizmem w polityce a naturalizmem w powieści. Kto ją przyjmie?..... Ten tylko kto walczyć nie umié, nie chce, lub niepotrzebuje.

Zola, zadawszy ostateczny cios idealnemu romantyzmowi, zbudował z naturalizmu kościołek po za którym nie ma zbawienia dla sztuki. Jego dramatyczny umysł, nie znoszący ani naukowéj wątpliwości ani téż artystycznéj swobody temperamentów, stworzył całą książkę modlitw do natury, z któréj wszystko, co nie jest prostem konstatowaniem faktów, starannie usuniętem zostało.

Pomimo to jednak w swojéj kilkunasto-letniéj polemicznéj karyerze oddał literaturze francuzkiéj olbrzymie usługi, jako człowiek dobréj wiary, śmiały w wypowiadaniu swych sądów i nienależący do kliki wzajemnéj adoracyi. To co mówił o innych,—mówił szczerze i bez ogródek, czy to się odnosiło do bogów i półbożków sztuki czy też do wszechpotężnych królów dziennikarstwa. „Dziwném nawet jest co prawda—mówi Edmund de Amicis—pojawienie się tego pisarza z zakasanemi rękami, o piersi obrosłéj i chropowatym głosie, wpośród tłumu literatów we frakach, dobrze wychowanych i uśmiechniętych, którzy mówią tysiące obrzydliwości w przyzwoity zawsze sposób, na drobnych kartkach romansów koloru róży a zrobionych dla alkowy i teatru. Człowiek ten kopnął nogą w powietrze wszystkie flakoniki literackiéj tualety i ścierką ze zgrzebnego płótna obmył ublanszowaną twarz Prawdy. To jest też jego największą zasługą."

Co więcéj! po za Zolą w całém dziennikarstwie francuzkiém nie ma ani jednego człowieka, któryby chciał lub śmiał fabrykantom felietonowych romansów, sensacyjnych poematów i ogłupiających melodramatów, powiedziéć słowa prawdy w imię estetycznéj lub etycznéj zasady. Jest-to jedyny publicysta, który, nawet reklamując się lub broniąc przeciwko napaściom, nie zachował się ani razu wobec publiczności jak niańki wobec rozkapryszonych dzieci: w ciągu całéj swojéj działalności krytycznéj nie połechtał jéj nigdy sensacyę wywołującym palcem, aby sobie okupić bez wielkiego wysiłku jéj pobłażliwość i dobry humor.

Jeżeli jako teoretyk nie miał dostatecznéj refleksyi, a jako krytyk przedmiotowéj bezstronności, to w każdym razie nawet w walce *pro domo sua*, gdzie po przez ogólne idee bronił swoich własnych interesów, z pod jego pióra nie wymknęło się ani jedno słowo obwinięte w jedwabne nici zapłaconéj reklamy, ani jedno słowo lekkomyślnego zgorszenia, ani jedno słowo dowcipnego cynizmu.

2. Drzewo genealogiczne rodziny Rougon-Macquart.

Jedna z młodocianych powieści Zoli: *Magdalena Férat*, rozwija się na tle dosyć dziwnego choć autentycznego faktu. Pewna dziewczyna opuszczona przez kochanka wychodzi następnie za mąż i po kilku latach małżeńskiego pożycia, rodzi syna zupełnie podobnego do człowieka, którego kiedyś kochała. Przy opracowywaniu téj fizyologicznéj zagadki, w głowie Zoli powstała myśl wprowadzenia dziedziczności do analizy charakterów i temperamentów. Ztąd zamiar napisania całéj seryi powieści trzymających się konarami ge-

nealogicznego drzewa a opartych na dziedzicznem skażeniu w całéj rodzinie.

Jak mówi Paweł Alexis, Zola zaraz po wyjściu z gimnazyum skomponował trzy poematy pod wpływem mussetowskiéj muzy, które stanowiły jedną organiczną całość. Późniéj, bez pieniędzy, żyjąc na poddaszach o chłodzie i głodzie, stworzył plan poetycznego dzieła, któreby obejmowało stworzenie świata, historyą całą i człowieka przyszłości. Następnie dopiero, po zebraniu notatek w dziełach Flourensa i Zimmermanna zwrócił się ku prozie, napisał tom drobnych powiastek i zarabiając na życie dziennikarską pracą puścił w świat kilka powieści, z których *Teressa Raquin* i *Magdalena Férat* zrobiły mu trochę rozgłosu. Jakkolwiek w dwudziestym ósmym roku miał już za sobą sześć tomów twórczości literackiéj, potrzeba jednak wybicia się po nad tłum i ujawnienia swéj oryginalności spać mu nie dawała. Sądząc, że najlepszym środkiem rozwinięcia się byłaby praca nad seryą dzieł organicznie z sobą związanych, oddał się z zapałem studyowaniu fizyologii a wszczególności *Traktatu o dziedziczności naturalnéj* doktora ..... Lukas'a.

„Wreszcie po za wewnętrznym pociągiem do badań naukowych, po za dawném marzeniem o jakiémś ogólném dziele, po za instynktem oryginalnéj natury i po za pragnieniem wyróżnienia się na polu powieściopisarskiém, kwestya pieniędzy popchnęła go do podjęcia seryi *Rougon-Macquart'ów*, w któréj-by nieprzewidziane perypecye nie grały roli. Doświadczając jeszcze niedostatku powiedział sobie bowiem że renta pięciuset franków miesięcznie zapewniona przez jakiego wydawcę dałaby mu byt bez trosk i niepewności. Lecz aby traktować na tych podstawach, potrzeba się było zaangażować do napisania całego ciągu powieści.

„Zachęcony wspaniałym przykładem *Komedyi ludzkiéj* Balzaca, wziął się raźnie do dzieła. Ponieważ Balzacowi myśl napisania *Komedyi ludzkiéj* przyszła dopiero późniéj, kiedy znaczna część powieści była już wydrukowaną, różne więc jéj części trzymają się tylko ogólnym tytułem i imionami komparsów, którzy występowali w dziełach poprzednich lecz bez organicznego związku. Zola zastosowawszy dziedziczność do analizy charakterów i temperamentów osobistości głównych, powziął myśl napisania seryi powieści, którąby zarazem była: *Naturalną i socyalną historyą rodziny za drugiego cesarstwa.* Przez ośm miesięcy (w 1868 roku) pracował jedynie nad tym planem chodząc codzień do Biblioteki, szukając w dziełach fizyologii i historyi naturalnéj, zbierając notatki i porządkując je według wskazówek poczerpniętych z *Traktatu naturalnéj dziedziczności* Lucas'a. Tak przygotowany ułożył plan i zaniósł go do

wydawcy Lacroix. Autor zobowiązywał się dostawiać dwa tomy na rok, a wydawca płacić mu po pięćset franków miesięcznie.“ Wojna francusko-niemiecka przeszkodziła ścisłemu wykonywaniu umowy. W 1875 roku Zola był jeszcze przyciśnięty długami, z których jedynie wydostał się dzięki zapobiegliwości i uczciwości innego wydawcy pana Charpentier. Lecz odtąd każdy tom sprzedany przynosi mu pięćdziesiąt centymów, co przy osiemdziesięciu lub stu tysiącach egzemplarzy stanowi potężną sumę czterdziestu lub pięćdziesięciu tysięcy franków za powieść. Tak się przedstawia strona handlowa tego wielkiego i po Balzacu jedynego w swoim rodzaju przedsięwzięcia.

Zobaczymy teraz stronę naukową. Rodzina *Rougon Macquartów* wychodzi z łona histeryczki, która przyszła na świat na jakie dwadzieścia lat przed Rewolucyą. Adelajda, owdowiawszy po kilku miesiącach małżeństwa z Rougonem, bierze za kochanka niejakiegoś Macquart'a, bandytę, którego śmierć pogrąża ją w stan melancholii połączonéj z napadami epilepsyi. Adelajda ma troje dzieci: z syna prawego pochodzą Rougony, z naturalnego Macquarty, a z nieprawéj córki Mouret'y.

Rougon, głowa prawéj linii, byłby pozostał do śmierci łotrem ostatniego rzędu, gdyby był nie miał przy sobie kobiéty sprytnéj, która w 1851 roku kierowana przez swego pierworodnego syna przygotowywuje *Fortunę Rougon'ów* powtarzając w Plassans kartaczowanie z 4 grudnia. Jego pierworodny, który łączy w sobie brutalstwo ojca z chytrością matki staje się wkrótce *Jego ekscelencyą Eugeniuszem Rougon*. Drugi syn— z obawy kompromitowania brata— przyjmuje nazwisko Saccard i okazuje się jednym z najzajadlejszych szczwaczy na łatwy giełdowy łup za cesarstwa w *La Curée.* Z pozostałych trojga dzieci starego Rougon'a, doktór Pascal dotąd jest tylko naszkicowany (w La Fortune). Sydonia, handlarka mód i od czasu do czasu agentka dyplomatycznych kombinacyi Jego Ekscelencyi, staje się w *La Curée* zwyczajną i bez wielkiego powodzenia rajfurką rodowéj i pieniężnéj arystokracyi; a Marta w *La Conquête de Plassans*, niezadowolona z miłości swego męża, koło czterdziestego roku życia, spada na głowę księdza zarówno chciwego jak nieskażonych obyczajów i dostawszy lekkiego obłąkania umiera na suchoty.

Antoni Macquart głowa linii nieprawéj, ma córki: Lizę, rzeźniczkę, która w *Le Ventre de Paris* złém okiem patrząc na swego przeciwko cesarstwu konspirującego szwagra, spokojnie jednak do końca życia sprzedaje szynki i kiełbasy — i Gerwezę, która *l'Assomoir* staje się nałogową pijaczką i w tém chyba tylko podobna do

swéj histerycznéj babki, że z nieprawego łoża rodzi dwoje uczciwych dzieci, z prawego zaś nierządnicę, sławną na cały świat *Nanę*. W bracie Nany, łobuzowatym malarzu Klaudyuszu, który na chwilę ukazuje się w *le Ventre*, obłąkanie babki przemienia się na geniusz sztuki.

W Mouret'ach dziedziczność przybiera wyraźniejsze formy. Franciszek Mouret, zięć Rougonów, wyrwawszy się z domu obłąkanych, w *la Conquête de Plassans* pali w jego własnym domu księdza, który mu odebrał żonę, dzieci, majątek, a ostatecznie i rozum. Jego córka Dezyderya urodziła się idyotką, a syn—Sergiusz, z wokacyą na księdza. Życie obojga stanowi oś powieści *La Faute de l'abbé Mouret*. Siostra pana Franciszka, jako piękna i zimna Helena, sylabizuje kartkę miłości w *Une page d'amour* z cudzołożnym doktorem, którego „nie kochała nigdy mniéj jak w chwili oddania mu się zupełnego,“ a mała jéj córeczka przed dojściem do wieku dojrzałości umiera w ataku konwulsyj, które odziedziczyła drogą *atawizmu*.

Inni członkowie genealogicznego drzewa, które „będąc regulatorem twórczości Zoli stanowi jego siłę,“ znajdą miejsce w nastąpić dopiero mających tomach. Powieść żołnierską (*Roman militaire*) opowiadać będzie Sedan i upadek drugiego cesarstwa. Powieść chłopska nastąpi zaraz po téj. Klaudyusz Lautier — „mieszanina; fizyczna i moralna przewaga matki (Gerwazy z *l'Assomoir*); dziedziczność nerwowego usposobienia przemieniająca się w geniusz“— będzie bohaterem powieści o sztuce. Socyalne i polityczne życie robotników stanowić ma dopełnienie *l'Assomoiru*, który jest tylko obrazem obyczajowym, „powieść handlowa“ traktująca o wyzyskiwaniach i nadużyciach wielkich magazynów (*Louvre* i *Bon Marché*) i powieść „o kolejach żelaznych“ poprzedzą ostatnią „ścisłą naukową,“ która „przez usta doktora Pascala (z linii Rougonów) objaśni analizami uczonego i uzupełni wszystkie części téj wielkiéj całości pomyślanéj odrazu i zawczasu.“

Plan-to olbrzymi, zadanie wielkie! Rodzice z taką lekkomyślnością aż do dziś dnia wchodzący w śluby małżeńskie powinni by byli zadrżéć wobec grozy tych słów, które z powodu fizyologicznego nieporządku w jednym z rozpładzających osobników zapowiadają „organiczne skażenie całéj rodziny po przez ciąg kilku pokoleń.“ Dosyć było przedstawić fakty aby one same za siebie mówiły, uczyły i moralizowały,—dosyć było ogólny plan poprzéć szczegółami jednolitéj natury, aby fizyologia i etyka w cyklu powieści Zoli zyskały dzieło jakiego im dotąd brak: dzieło ścisłéj nauki napisane dla użytku mas niejednakowo przygotowanych do czytania.

Gdyby Zola był naturalistą w znaczeniu uczonego badacza natury, praca jego polegałaby na bogactwie i usystematyzowaniu dowodzących prawa dziedziczności spostrzeżeń i doświadczeń: fakty następowałyby po faktach, skutki po przyczynach, wnioski po pierwotnych sądach. Ale Zola jest tylko naturalistą-amatorem, fizyologiem-literatem, który zdaje się co chwila o swym planie zapominać i psuje go niedokładnościami namacalnéj, materyalnéj natury.

Nie robiąc aluzyi do jego pretensyi „uzupełniania fizyologii przez eksperymentalną powieść," spostrzedz się łatwo z kilku pierwszych tomów, że owa „naturalna i socyalna historya rodziny za drugiego cesarstwa" jest zlepkiem luźnych, epizodycznych scen, którym brak oniemal wszelkiéj organicznéj łączności. Chcąc dowieść jak pewne fizyologiczne skażenie pod różnemi formami przenosi się z rodziców na dzieci, z pokolenia na pokolenie, postępuje jak gdyby miał badać wszystko i wszystkich z wyjątkiem prawa dziedziczności w rodzinie *Rougon-Macquart'ów*.

Przedewszystkiém postaci główne t. j. objęte konarami genealogicznego drzewa, z wyjątkiem kilku, giną w masie indywiduów nie mających nic wspólnego z zepsutą krwią rodziny.

W *le Ventre de Paris* bohaterem powieści jest Florent, szwagier dobrze zbudowanéj i tłustéj Lizy z domu Macquart, nie zaś sama Liza, która „ze swoją piękną twarzą namaszczonéj krowy" przez cały ciąg tego polityczno-socyalnego dramatu Hall Paryża, gra tylko podrzędną rolę komparsa podsłuchującego mrzonkowatych knowań Florenta przeciwko rządom cesarstwa, i ani fizyologicznie ani psychologicznie nie zasługuje na najmniejszą uwagę ze strony czytelnika.

La Curée, z całym swoim przepychem opisowości i subtelnością finansowych szacherek i spekulacyj Rady municypalnéj Paryża, spoczywa na toczonych barkach Ireny Saccard, która jest tylko żoną człowieka pochodzącego ze „skażonéj organicznie rodziny" i spontanicznie chyba dotkniętą wyraźnemi objawami nimfomanii, tak pochodzenie jéj ze starożytnego uczciwego domu bogatych mieszczan w niczém nie dowodzi dziedziczności do chorobliwie nerwowego usposobienia. W każdym jednak razie życiem, charakterem i swoją powieściową wydatnością, nieskończenie więcéj interesuje czytelnika niż jéj mąż spekulant o najbrudniejszych środkach, lub pasierb, który przez brak siły odpornéj dał się wciągnąć w sidła kazirodnéj miłości.

L'Assomoir jest epopeją pralni, szynku, *delirium tremens* i moralnego upadku paryskich robotników w osobie Coupeau, męża kulawéj Gerwezy, nie zaś Gerwezy saméj, która pod koniec życia od-

daje się pijaństwu i prostytucyi raczéj wskutek przykładu męża niż wskutek fatalizmu odziedziczonych nerwów. I tu więc bohaterem powieści jest człowiek skoligacony tylko ze „skażoną organicznie rodziną,“ jak gdyby Zoli wcale nie o dziedziczenie pewnych natur i usposobień chodziło.

Trudno przypuścić, aby autor hołdując naukowéj hypotezie psycho-fizyologicznéj dziedziczności, jako wszechpotężnemu biologicznemu prawu, chciał rozciągać je nietylko do dziesiątego pokolenia potomków bezpośrednich i pobocznych ale nawet do ich żon i mężów. A jednak w rzeczywistości tak-by się zdawać mogło. Ponieważ Adelajda Fouque była histeryczka, więc żona jéj wnuka Irena, cierpi na zkądinąd wielce interesującą i możliwą nimfomanią,— Florent, szwagier jéj ani psychologicznie ani fizyologicznie nic nie znaczącéj wnuczki, jest dotknięty manią politycznych spisków— a Coupeau, mąż drugiéj wnuczki, również otyłéj jak pierwsza, pada ofiarą potwornéj dypsomanii. Wprawdzie szaleństwo przeradza się w dypsomanię, a dypsomania w połączeniu z szaleństwem może dać początek epilepsyi, histeryi, hypokondryi, halucynacyi, demonomanii, lipemanii i manii odziedziczonych wprost przez bezpośrednich rodziców; w linii pobocznéj, coby dowodziło wspólności jakiegoś przodka w dalekiéj przeszłości, lub téż przez *atavizm*; dziedziczenie jednak przez mężów i żony jest po prostu niemożliwém i prawdopodobnie nie leżało w zamiarach Zoli, który przypadkiem tylko indywiduom skoligaconym ze „skażoną organicznie rodziną“ pozwolił w swych powieściach odgrywać role nieskończenie ważniejsze i wyraźniejsze niż pierwotny plan napisania „socyalnéj i naturalnéj historyi rodziny za drugiego cesarstwa“ według genealogicznego drzewa *Rougon-Macquart'ów* tego wymagał. Tym sposobem jednak postępując, Zola już w samym zarodku pracę swoją pozbawił jednéj z najważniejszych zalet: jasności przedmiotu, ponieważ charaktery i temperamenty Rougon'ów, Macquart'ów i Mouret'ów zagubił w masie indywiduów w żadném z nimi pokrewieństwie nie stojących.

Ścisły i bezstronny obserwator mając do czynienia z organiczném skażeniem w pewnéj rodzinie, któréj rodowód z góry już mu jest znanym, przedewszystkiém położyłby silny nacisk na wspólność tego skażenia we wszystkich osobnikach pomimo pozornéj czy téż rzeczywistéj rozmaitości form, pod jakiemi się ono w nich przejawia, i doszedłby z łatwością do zamierzonego celu, do uogólnienia oderwanych szczegółów, do przemienienia oderwanego faktu w prawo biologiczne. „Nie można — mówi Claude-Bernard — dojść do uogólnienia życiowych zjawisk istotnie jasnego i bogatego w rezultaty, inaczéj niż samemu eksperymentując i rozgrzebując w szpitalu, la-

boratorium i amfiteatrze zgniły lub drgający jeszcze grunt życia. I gdybym potrzebował dać porównanie mające wyrazić moje uczucie o nauce tego życia, powiedziałbym że to jest wspaniały, światłami jaśniejący salon do którego dostać się można tylko przez długą i okropną kuchnię." Zola częstokroć bezpotrzebnie i za długo siedząc w kuchni nie troszczy się wcale o salon życia, o to uogólnienie zjawisk, które jedynie mogłoby się stać podstawą do zmienienia hypotezy psychologicznéj dziedziczności praw. U niego szczegóły i fakty nie przestają nigdy grać roli izolowanych zjawisk. Chce pokazać całą złą stronę doboru płciowego pomiędzy małżonkami, którzy nie zastanawiają się nad fizyologiczną spuścizną jaką swym dzieciom z własnéj winy choć bezkarnie przekażą; chce pokazać organiczne skażenie rodziny po przez ciąg kilku pokoleń; chce nareszcie dowieść psychologicznéj dziedziczności, która jak dotąd jest tylko naukową hypotezą, pracy swéj jednak nie nadaje pozoru nawet dzieła naukowego.

W całéj rodzinie *Rougon-Macquart'ów* z małym wyjątkiem nie ma ani jednego członka, któryby po swych organicznie skażonych rodzicach odziedziczył jaki taki choćby rys charakteru lub usposobienia, wspólny z charakterem lub usposobieniem swoich życiodawców. Być może że w umyśle Zoli członkowie téj rodziny są do siebie podobni, bo ileż to ojców nie widzi swego obrazu w dzieciach, które zaledwie na świat przyszły! dla czytelnika jednak są oni dziwnie wybranym przykładem dziedziczności, skoro ani sposobami myślenia, ani mówienia, ani działania nie zdradzają najmniejszego fizycznego lub moralnego pomiędzy sobą pokrewieństwa.

Nigdzie, to co fizyologicznie nazywa się temperamentem a psychologicznie charakterem, w członkach objętych konarami genealogicznego drzewa nie jest postawioném jasno i wyraźnie. Ci ludzie chodzą, mówią i działają jak gdyby nad nimi nie ciążył fatalizm ich pochodzenia. Każdy żyje na swoję rękę, na wcale inny a sobie tylko właściwy ład. Jasnowłosa Gerweza, tak rozlazła i zaniedbana, więcéj ma podobieństwa do jakiejś Flamandki niż córki gorącéj Prowancyi. Jakież jest podobieństwo choćby jednym rysem tylko pomiędzy pięciorgiem dzieci Rougon'a: Eugeniuszem—ministrem brutalnym, Pascalem—dobrodusznym doktorem, Saccardem—bezwstydnym giełdowiczem, Martą—hysteryczną dewotką i Dydonią, stręczycielką kochanków? Co oni mają wspólnego ze zdziczałemi Mouret'ami i jak nazwać ich wyborne zdrowie, w połączeniu z trzeźwością umysłu, przy rzucaniu się w męty życia aby z jego haniebnego błota wyciągnąć złoto?

Zola zapomniał widocznie nawiązać znamiennych cech tych ludzi na nitkę bezpośredniéj przyczyny t. j. dziedziczności po waryatce, i tym sposobem dziwaczną psychologią dwudziestu sześciu osób wyliczonych w genealogicznėm drzewie pozostawił bez odpowiedniego wyjaśnienia i wymotywowania. W dziele jego nie ma téj nici, któraby maszyny zwierzęce a nawet i ludzkie dusze ściągała do jednéj fizyologicznie determinującéj przyczyny. Kilkoro z tych ludzi to łotry bez czci i wiary; reszta nie ma żadnego charakteru, tak, że nietylko trudno w nich dopatrzyć pokrewieństwa ze starą Adelajdą ale nawet z przeciętnym Francuzem.

Pomimo całéj psychologicznéj i fizyologicznéj rozmaitości osobników, rodzinne podobieństwo istnieje przecież nie tylko pomiędzy dziećmi z jednego gniazda, nie tylko pomiędzy gniazdami, które się mieszczą w jednéj prowincyi, ale i pomiędzy gniazdami zaściełającemi kraj cały, czyli pomiędzy członkami jednego i tego samego narodu, który jest rodziną na wielką skalę. Rzecz prosta więc, że jeżeli można mówić o wspólności psycho-fizycznych cech jednego narodu, pokuszenie się o demonstracyą psychologii jednéj rodziny za pomocą fizyologicznych, determinujących przyczyn, nie powinnoby nikogo zadziwiać śmiałością pomysłu. Aby jednak ów „determinizm, który tak samo rządzi kamieniem przydrożnym jak i mózgiem człowieka,“ nie był prostą etykietą farmaceutów, reklamujących spirytus kamforowy imponującemi wyciągami z księgi badań lekarskich, potrzebaby artyzm poświęcić nauce, efekty prawdzie a pięknie pisaną powieść systematycznie ułożonemu regestrowi faktów. Inaczéj na rezultat otrzyma się sumę niekompletnych i oderwanych szczegółów, których przenieść na grupę indywiduów a tém mniéj jeszcze na całe społeczeństwo nie można.

Tymczasem członkowie rodziny *Rougon-Macquart* nie mają ani jednéj wspólnéj cechy, ani jednego wspólnego rysu. Zdaje się że nawet w mowie nie zachowali odcienia prowansalskiéj gwary, jakkolwiek wszyscy przyszli z Plassans i poniekąd tam się wychowali. Co więcéj! jest-to rodzina, która się pomiędzy sobą nie komunikuje. Dyskrecyą Saccard'a, który dla łatwiejszego grabienia funduszów narodowych, wypiera się imienia Rougonów aby nie kompromitować swego rodzonego brata, Jego Ekscelencyi, zrozumieć łatwo. Dlaczego jednak inni członkowie nie przyznają się do swego pokrewieństwa i nim się w danym razie nie posługują, Zola nie wyjaśnia wcale. Tymczasem piękna rzeźniczka Liza zdaje się nic a nic nie wiedzieć o tém, że jeden z bliskich jéj kuzynów został ministrem cesarza, i starając się odciągnąć swego męża od niebezpiecznych knowań przeciwko bonapartyzmowi, ani razu nie posługuje się po-

tężnym argumentem ich pokrewieństwa z wice-cesarzem Francyi. Jej siostra Gerweza, jakkolwiek rodzina męża patrzy na nią wciąż z pogardą, ponieważ „nie wiadomo kto ją rodzi,“ nie chce zamknąć gęby całéj dzielnicy jednéin słowem: Jestem siostrzenicą Jego Ekscelencyi Eugeniusza Rougon! A Nana, która się ociera o szambelanów i książąt krwi, czy nie daje wspaniałego przykładu dobrego wychowania i dyskrecyi, ani razu nie wspominając, że w jéj żyłach płynie krew człowieka, który trzęsie Francyą? Na sposobności jéj nie brakło, choćby tylko dla zrobienia na złość Simonie, która znała Bismarcka, lub Łucyi Stewart, która grywała w bezika z jakimś Bonapartem z nieprawego łoża.

Podobnego rodzaju szczegółów, które zdumiewają każdego choć cokolwiek uważniejszego czytelnika, w dziele Zoli nałowić nie trudno. Pra-babka Adelajda, pomimo melancholii połączonej ze strasznemi napadami epilepsyi, żyje dziewięćdziesiąt sześć lat (?), a Zola nie napomyka nawet, że to jest jak na obecne czasy wypadek dość rzadkiéj długowieczności. Nana, gdyby się trzymać chronologii genealogicznego drzewa, umiéra w osiemnastym roku życia, tak, że na wszystkie jéj awantury absolutnie nie ma czasu, licząc na miesiące choćby tylko jéj życie na wiarę z pierwszym vice-hrabią, szastanie się po bulwarach zewnętrznych Paryża, urodzenie dziecka, wstąpienie na deski teatralne, pożycie z kilkoma z kolei aktorami, *całoroczną* separacyą z Żorżem, życie w pałacu hrabiego Muffat i „długi pobyt“ w Rosyi. Właściwie mówiąc jest-to tylko sprzeczność pomiędzy powieścią *Nana* a *l'Assomoirem*. Zola nie trzymał się chronologii zanotowanéj w jednéj powieści: ztąd sprzeczności w drugiéj. Świadczy to jednak, że ów „plan, który stanowi jego siłę i nie pozwala mu zboczyć ani na lewo ani na prawo“ jest tylko — jak mówi złośliwy jego krytyk Colani — „bajką zmyśloną dla ubawienia gapiów.“

A przytém pomimo usiłowań o nagromadzenie wyłącznie faktów pewnych, których autentyczności niktby zaprzeczyć nie był w stanie, Zola w 1815 roku każe żołnierzom francuskim nosić *kepi*, które jest importowanym towarem z czasów zdobycia Algieru; w 1810 przemyca cały ładunek zegarków z Genewy do Francyi, jakkolwiek Genewa należała wówczas do francuskiego terytoryum; przed Wielką Rewolucyą jeszcze ordynuje mieszkańcom Plassans odżywianie się na „niedopieczoném mięsie“ i „chinowém winie;“ a w 1853 roku pozwala Helenie Houret przypatrywać się ze swych okien wązkim pawilonom nowego Louvre'u, masywnéj operze Garnier'a i szklannemu dachowi Pałacu Przemysłu, jakkolwiek wszystkie te gmachy datują od czasu Wystawy z 1867 roku.

I dziwna rzecz! Jakkolwiek „nikt przed nim nie posunął tak daleko namiętności do wiernego malarstwa,“ jakkolwiek „nikt nie posługiwał się mniéj imaginacyą przy pisaniu powieści,“ Zola łowi *czerwone raki*, zbiera konwalie i dojrzałe śliwki w jednym i tym samym miesiącu, słyszy słowika w sierpniu i rozwiązuje cielne krowy w szesnastym tygodniu.

Jest-to winą z jednéj strony upodobania w efektach, którym pomimo całéj „namiętności do realizmu“ realizm poświęca, z drugiéj zaś jego sangwinicznego temperamentu, który mu na chłodno własnéj swéj metody widzieć nie pozwala.

3. Jego metoda.

Zola zamiast z obserwowanych szczegółów układać organiczną całość, obserwowane szczegóły przylepia do skomponowanych zawczasu lub późniéj wypadków i scen, i tym sposobem, zamiast postępować od obserwacyj prostych do idei złożonych, w idee złożone wplata obserwacye proste.

L'Assomoir—mówi do swego przyjaciela Edmunda de Amicis—był moją męczarnią. Miałem w głowie myśl zrobienia powieści na tle alkoholizmu. Nie wiedziałem nic więcéj. Zebrałem stos notatek o nadużyciu trunków i postanowiłem uśmiercić pijaka w sposób w jaki (*delirium tremens*) umiéra Coupeau. Nie wiedząc jeszcze kto będzie ofiarą alkoholizmu, jak lekarz chodziłem studyować chorobę i śmierć w szpitalu św. Anny (dla obłąkanych). Następnie przeznaczyłem Gerwezie stan praczki i natychmiast przyszła mi myśl opisu pralni, którym się powieść zaczyna. Jeszcze przed zrobieniem kanwy pomyślałem już opis uczty w zakładzie Gerwezy i wizyty w galeryach Louvre'u. Niezależnie od tego studyowałem moje szynki, *l'Assomoir* ojca Colombe'a, sklepiki i hotel Boncoeur. Kiedy wszystko było gotowe, zacząłem dopiero myśleć nad tém, coby stać się powinno i pisząc już powieść tak rozumowałem: Gerweza przychodzi ze swoim kochankiem (Lantier) do Paryża. Co się stanie? Lantier, człowiek niedobry, opuści ją z dziećmi. A potém? Gerweza jest młodą więc wyjdzie za mąż. Poślubia robotnika Coupeau, który ma umrzéć w szpitalu św. Anny. Lecz tu wszystko się urwało. Potrzeba mi było faktu, któryby stanowił węzeł powieści i przez wiele, wiele dni napróżno o nim myślałem. Pewnego ranka w głowie zrobiło mi się jasno. Lantier powraca do Gerwezy, zaprzyjaźnia się z Coupeau i w jego domu zamieszkuje. Odkąd pożycie we troje ustaliło się, nadeszła ruina. Odetchnąłem: powieść była zrobiona!“ (1)

---

(1) Souvenirs de Paris et de Londres—Edmund de Amicis.

Trudno byłoby doprawdy wynaleść metodę mniéj zgodną z potrzebami nauki, która, wychodząc z faktów znanych dokładnie, doprowadza do hypotez lub prawd ogólnych, nie zaś, jak u Zoli, z ogólnych — z pojęć o alkoholizmie, do szczególnych — do śmierci Coupeau w szpitalu. I ta metoda postępowania od pojęć do faktów, którą Zola posługuje się we wszystkich powieściach, jak to łatwo zresztą z budowy ich wywnioskować, ciąży na całéj jego artystycznéj twórczości: wszędzie życie zastosowane do idei i wszędzie melodramatyczność stanowiąca węzeł powieści zamiast dramatu wychodzącego z łona zjawisk i rozwiązującego się w myśl warunków życia.

Studyowanie robotniczéj dzielnicy Paryża mogłoby doprowadzić studyującego do nie wiem jakich sądów o moralności i obyczajowém życiu robotników. Zola idzie do niéj ze swojém z góry już urobioném pojęciem o alkoholizmie, o śmierci na *delirium tremens*, i w myśl tego pojęcia szuka szczegółów, któreby jego *apriorycznemu* sądowi nadały pozór prawdy. Przy takiéj metodzie, rzecz prosta, naukowe demonstracye przemieniają się w umyślne naciąganie faktów, determinizm w fatalizm, życie natury pełne i szerokie z zlepek sztucznie zebranych i wybranych zjawisk, a powieść w galeryą oderwanych obrazów zawieszonych sztucznie na goździkach melodramatyczności.

Jak Flaubert lub bracia Goncourt wyłącza on z powieści romantyczną fabułę, aby powieściowemu życiu dać pozór prawdziwego, które się błąka po manowcach bezcelowości, zabarwia tysiącznemi odblaskami interesujących intryg, lecz ostatecznie ginie w masie wielkich i małych zdarzeń; na powieściach jednak jego czuć niezdarny romantyzm Balzaca, który go pcha ku perypetyom melodramatu, gdzie ludzie co rozdział karki kręcą spadając z rusztowań, mężowie łapią żony na cudzołożnych schadzkach, dzieci niewinnym głosem drażnią sumienia matek, a karawaniarze przesuwają się pod oknami rozpustujących biesiadników. Nanę za rozwiązłość Bóg każe ospą, a Helenę Mouret za utratę wdowieńskiéj czystości śmiercią ukochanéj córeczki. Rozrzewniające-to i pouczające może, ale stare, zużyte i banalne, zwłaszcza że Zola posługuje się tém nie jako jednym z „dokumentów ludzkich" ale po prostu jako literackim efektem, który dramat życia rozwiązuje lub mu charakterystyczną cechę nadaje.

Wina to jego temperamentu. Zola zaczyna badaniem sędziego śledczego a kończy halucynacyą. Pewnego dnia dano mu znać że w takiéj-to dzielnicy mieszka nałogowy pijak i nierządnica, w sąsiedniéj kobiéta cudzołożna i kazirodna, w innéj polityczny maniak

tu histeryczka a tam ksiądz niespełna rozumu. Dla tém większego złudzenia i pewności siebie, pożycza karty i ubrania od agenta tajnéj policyi i z ołówkiem w ręku udaje się wprost do dzielnicy gdzie grasuje występek. Ponieważ występek może się tylko zdarzyć w pewném miejscu, więc Zola przedewszystkiém bada miejsce. Ztąd owe nigdy niekończące się wyliczenia ulic, trotuarów, drzew, domów, szynków, sklepów i sklepików, wodociągów, szyldów, warsztatów, domów publicznych i kościołów, jeżeli zbrodnia lub występek miały miejsce w Paryżu; a dróg, kamieni szosowych, mostów, kwiatów, roślin, zbóż, bydła rogatego i nierogatego, drobiu, owadów, chléwów, zakątków, kryjówek, chat i plebanij, jeżeli badanie odnosi się do życia na wsi. Wszystko co wpada w oczy jest godném jego uwagi i refleksyj, wszystko staje się obrazem lub raportem, wszystko jest odczynnikiem psycho-fizyologicznéj eksperymentacyi — począwszy od wymiotów Coupeau, które zdecydowały Gerwezę do cudzołóstwa, a skończywszy na „drzewie zwierzającém się z tém Albinie do ucha co matki pannom młodym szepczą w noc ślubną“ aby się oddała księdzu Sergiuszowi. Tak zapoznany z fizyczném, materyalném centrem życia, następnie dopiero zabiera się do człowieka, o którym z góry już wie czém i kim jest w stosunku do społeczeństwa. I tu ta sama metoda wyliczań. Coupeau—pijak: gdzie się upija, ile razy na dzień i jak? Nana—nierządnica: z kim popełnia nierząd, gdzie go popełnia i jak. Irena Saccard—żona cudzołożąca i kazirodna: ilość pytań się zwiększa, rezultat jednak pozostaje ten sam. Ksiądz Mouret—mistyczny rzezaniec, któremu naiwna Albina na chwilę otworzyła oczy: jak się ksiądz modli, z jakiéj książki, do kogo, ile razy, w jakich porach, w jakich miejscach i w jakim celu, to tak szczegółowo, że *La Faute de l'Abbé Mouret* jest praktycznym podręcznikiem parafialnego nabożeństwa, ze szczególném uwzględnieniem parzenia się natury, która swym pożądliwym wpływem na chwilę przerwała rozmyślania księdza Sergiusza, podsuwając mu przed oczy drzewo wiadomości dobrego i złego w naiwnéj miłości Albiny.

Kiedy potrzebuje dowiedzieć się jak wyglądał park *Paradon*, jak się kuje gwóźdź, jak się przyprawia kiszkę, co się dzieje w duszy młodego księdza lub jakim językiem mówi paryski robotnik, bierze *Katalog ogrodnictwa* Vilmorina — *Dykcyonarz sztuk i przemysłu*—*Podręcznik dla rzeźników* Roret'a—*Naśladowanie Jezusa Chrystusa* (z hiszpańskiego), które kopiuje prawie dosłownie — lub *Le Sublime* Dyonizego Poulot, który jest słownikiem gwary i katechizmem życia paryskich robotników.

Dowodzić plagiatu byłoby tu zupełnie śmiesznem; czego jednak nie można zbyć milczeniem, to sposobów jakiemi Zola się posługuje

dla zrobienia autentycznego krajobrazu lub dla przedstawienia człowieka w jego właściwém otoczeniu. Cokolwiek jest przedmiotem jego starannych i długich opisów, stos jarzyn czy publiczność w teatrze, podwórze na plebanii czy salon hrabiny, flaczarnia z Hall czy tłum na bulwarach, opuszczony sad czy Paryż widziany z wieży Trocadéro, sklep rzeźniczki czy sypialnia nierządnicy, Zola robi prosty wyciąg z katalogów i wylicza przedmioty, jak gdyby miał nie powieść z wrażeń pisać, ale *przewodnik* w guście Muray'a lub Baedeker'a dla zwiedzających Paryż Anglików.

„Nie przebyliśmy połowy jeszcze naszego sadu — mówi z dumą Albina do księdza Mouret — a już spotkaliśmy: jaśminy, glycyny, bluszcz, przewierścień, klematity, nasturcyą, groszek hiszpański, volubilis, gwoździki, pacierzynkę, rezedę, konwalią, fijołki, lobelie, seblaginoidy, nemofile, mydlenicę, lewkonią z Mahon; potém ageratum, asperule, mimulus, phlox, lnianki, złocień, traxynelle, centranthus, ostrzeń, orliki, daufinele, schyzanthuzy, dzwoneczki, aronki, złotogłowy, koperek; następnie akanty, benedykty, rhodanty, clarkie, viskarye, leptosiphony, coliusye, lagurusy, naparstniki, słoneczniki strączyste, kleszczyny, bratki, amaranty, balsaminy, koszyska, liliowce; późniéj kosaćce, lewkonie, bodziaki, sedumy, świerzbnice, maki, zawilce, bieluny, łotocie, jaskry, hyacenty, tuberozy, popielniki; daléj piwonie, fuksye, przetaczniki, bodziszki, mieczyki, słoneczniki, rododendrony, pierwiosnki, barwinki, tulipany, kalceolery, zinnije, petunie, heliotropy i nareszcie lilie i róże. To przypomina przypowieść o pewnym Niemcu, który tak dobrze rozróżniał drzewa, że mu to lasu widzieć nie pozwalało.

Pojmując i uznając całą doniosłość takiego rodzaju dokładności, nie można jednak przytém powstrzymać się od zapytania, czy Zola jest wiernym malarzem natury? „Ów park — mówi jego biograf i przyjaciel Paweł Aleksis — był dlań długim i chwilami bolesnym wysiłkiem. Szerokie opisy roślin i kwiatów jakie się tam znajdują nie zostały poczerpnięte z katalogów, jak to mówiono; powieściopisarz pchany sumiennością chodził na wystawy ogrodnicze aby opisać każdą roślinę na realnym gruncie.“ Tak, ale nie na realnym gruncie zapuszczonego parku, i w tém jest podobny do niektórych francuskich malarzy, takich jak Meissonnier lub Detaille np., którzy wszystkie szczegóły mające wejść do obrazu znoszą do pracowni i malują je wiernie. W obrazach ich jednak jest wszystko oprócz obrazów z natury i życia, ponieważ nie wrażenia swe malowali ale szczegóły sztucznie na modele nałożone.

Każda roślina, każdy kwiat, każde drzewo, każdy ptaszek, każda łączka i każdy strumyczek zanotowany w parku *Paradou* jest

rzeczywistością: park *Paradou* jednak wychodzi daleko po za rzeczywistość, po za realny obraz natury, ponieważ tam wszechwładnie panuje przesada szczegółów, które rzecz przygłuszają niby bujne chwasty ubogą roślinność prowansalskiego ogrodnika. I w téj przesadzie opisowości ogłuszającéj jak mara halucynacyi, w tém nagromadzeniu słów i ciągłém wyszczególnianiu drzew, kwiatów, roślin, krzaków, ziół, traw, łąk, kamieni, strumyków i sam Bóg wié nie czego jeszcze, czytelnik tak dalece zatraca pojęcie rzeczywistości, że co chwila z całym wysiłkiem umysłu przypominać sobie musi jako znajduje się w zapuszczonym parku dziwaka na maleńkiéj francuskiéj ziemi nie zaś w dziewiczych lasach Ameryki.

Nie inaczéj rzecz się ma z opisami Paryża, wnętrza domów, warsztatów lub z wyliczaniem przyrządów jakiemi się u niego dany rzemieślnik posługuje. Wszędzie ten sam *pracowniany realizm* z modela nie zaś z natury, i wszędzie ta sama niepowściągliwość języka, który najdrobniejsze zdarzenia podnosi do znaczenia wypadków ludzkość całą obchodzących.

Wyliczając żyłki na kwiatku nie pokazuje się kwiatka, tak samo jak rozpinając motyla na szpilkach nie pokazuje się jeszcze motyla. Zola tymczasem nie zna innéj metody jak wyliczanie żyłek na kwiatku i rozpinanie motyli, sądząc, że im daléj posunie sumienność w rozbijaniu całości na jéj części składowe, tém obraz jego bliższym będzie rzeczywistości. Jest to błąd. Szczegółowe opisy wtenczas tylko mogą robić wrażenie natury, kiedy są poczęte pod wrażeniem całości lub też zręcznie przetkane na kanwie obrazów ogólnych. Zola widzi tylko szczegóły i z nich układa tak pstre mozajki, że jego powieści więcéj mają podobieństwa do technicznych podręczników aniżeli do dzieł sztuki. Z jego *Ventre de Paris* można doskonale nauczyć się robić kiszek, handlować rybami lub gatunkować séry „symfonią smrodów grające“ pod dachem Hall; z *la Faute de l'Abbé Mouret* modlić, a z *la Curée* wywłaszczać prywatnych posesorów na rzecz regulującego się miasta. Jaką jednak duszę ma rzeźniczka, rybaczka lub mleczarka; jakiém życiem żyje ksiądz lub giełdowy spekulant — książek Zoli o to nie pytać: powieść jego jest analizą rzemiosła ale nie rzemieślnika, faktów namacalnéj natury nie zaś duszy ludzkiéj, któréj palcami dotknąć się nie można.

Jest-to ta sama praca i ta sama metoda, jaką posługuje się Hipolit Taine przy badaniu historyi.

„Taine — jak złośliwie mówi Collani z powodu ostatniego jego dzieła — przy pomocy wskazówek czysto lokalnego interesu, jakie znalazł w siedemnastu pakietach paryskiego Archiwum, pisze historyą Rewolucyi, w któréj przesuwają się (z urzędowych raportów)

setki i tysiące drobnych wypadeczków tragicznéj lub wstrętnéj, komicznéj lub niedorzecznéj natury; Rewolucya jednak ze swojemi wielkiemi zgromadzeniami, ze swoim olbrzymim ruchem narodowym i ze swoją gorącą wiarą w odrodzenie socyalne, jest w niéj najzupełniéj nieobecną, ponieważ tego wszystkiego doczytać się nie można w siedemnastu pakietach Archiwum, a Taine czyta tylko siedemnaście pakietów."

W dziele Zoli, wszystko to, czego nie można zobaczyć, usłyszéć, posmakować, pomacać lub dowąchać się, a zwłaszcza dowąchać, jest również najzupełniéj nieobecném. Z martwéj natury zrobił sobie specyalność w któréj nikt mu dorównać nie jest w stanie. Wszystko co ma kształt, zapach lub barwę z pod jego pióra wychodzi potężnie i barwnie jakby z pod pędzla starych Flamandów. Utkwiwszy raz oko na jakimś drobiazgu nie zapomina go już nigdy i zasiadłszy następnie do pisania nie wstaje dopóty od stolika dopóki ów drobiazg nie zarysuje się na papierze żywo i silnie jak sama rzeczywistość.

To co żyje w naturze, u niego nie ma życia: to jednak co żyć przestało lub nigdy nie żyło, drga pod jego piórem życiem nieznaném innym artystom, tyle tam wypukłości w słowach, tyle galwanicznego prądu płynącego z nerwów i podtrzymywanego wolą człowieka który chce być twórcą. W każdéj jego powieści, w każdéj choćby najmniejszéj pracy czuć te nerwy i mięśnie, któremi go natura obdarzyła dla wynagrodzenia mu talentu twórczego i w parze z nim idącéj imaginacyi.

4. Jego kompozycya.

Plan, jak mówi Paweł Alexis, jest dla Zoli pracą czysto logiczną, niezmiernie drobiazgową i bardzo długą. Dzieli on materyą na pewną ściśle określoną liczbę rozdziałów, w których każda osobistość musi ukazywać się w przestankach obliczonych z góry, a fakty znikać lub zjawiać się niby pewne frazy w symfoniach muzycznych. I kiedy taki plan został już zdecydowany następuje redakcya. Każdy rozdział musi być obmierzony, przeważony i tak rytmicznie napisany jak arya jakiegoś klasycznego oratorium, tu przez „dorzucenie dwudziestu stron opisu takiéj rzeczy," tam przez „wstawienie dwunastu stron opisu takiéj sceny, podzielonéj na trzy części." *W Une page d'Amour* opisy Paryża widzianego z wieży Trocadéro występują pięć razy z rzędu w równych odstępach jedynie dla symetryi rozdziałów, a w *la Fortune des Rougon* ciąg czarującéj idylli bezustannie się rwie dla genealogicznych szczegółów, które w miłosnym duecie Sylwera

z Miettą występują co chwila jak banalne kadencye w finałach włoskich oper.

Zola tak jest rozmiłowany w tém symetrycznćm budowaniu swych powieści że „mając za dużo materyału obcina go do rozmiarów ram, a kiedy mu nie dostaje, to go rozciąga choćby z największym wysiłkiem.“ Naturalnie, taki geometryczny artyzm pociąga za sobą z konieczności pewne spaczenie rzeczy. Nie przedmiot bowiem stwarza tu sobie odpowiednią formę, lecz forma nadaje przedmiotowi mniejszą lub większą wartość, podrzędniejsze lub ważniejsze znaczenie, ponieważ psychologią rządzi u niego sztuka a sztuką prawa jakiejś wymyślnéj powieściowéj mechaniki.

Powieść, jeżeli ma być obrazem życia, powinna się toczyć naturalną koleją jego codziennych wypadków, jak to ma miejsce w *Pani Bovary* a więcéj jeszcze w *Wychowaniu Sentymentalnem* Flauberta; gdzie horyzont tego życia przybliża się lub oddala, zniża lub podnosi, jaśniéj się rysuje lub ciemniéj; gdzie krwawy dramat plącząc się z wypadkami powszedniej natury ostatecznie w nich się gubi, w ich szarości się zaciera.

Zola tymczasem, niepomny na swe własne i we wszystkich swoich polemikach rozkrzyczane zadanie, daje powieściom formę nie mającą nic wspólnego z biegiem indywidualnego lub społecznego życia. Materyał musi wchodzić w ramy rozdziałów niby kramarskie artykuły handlarza w szuflady jakiejś masywnéj komody umyślnie na tén cel zrobionéj. Wszystkiego tam dostać można z wyjątkiem tego czego się szuka, ponieważ handlarz nie naturą przedmiotów się kierował ale miejscem. Każda taka szuflada ugina się pod ciężarem specyalnego materyału. Pierwsza przeładowana jest fizyologią, druga etnografią, trzecia botaniką, czwarta ekstazą religijną, piąta filozofią handlu, szósta analizą prostytucyi, siódma cynizmem szacherek politycznych, ósma kwestyami socyalnéj natury i tak daléj bez końca, dopóki nie złoży się pięćset stronnic tomu, który jest jedyną rzeczywistą miarą tworzenia Zoli. A przytém wszystkie te szuflady otwierają się ciągle jednym i tym samym kluczem, ukutym ze stali melodramatycznego połysku.

Felicya, żona Rougon'a, postanawia sprowadzić bezbronnych republikanów z Plassans pod bramy ratusza aby jéj mąż mógł ich wystrzelać jak kaczki. Potrzeba było tylko namówić tego starego łotra Macquart'a do zbrodni i postawić go na czele tłumu. Ale Macquart, pominąwszy już różnicę przekonań politycznych, jest osobistym wrogiem Rougon'a i jakkolwiek podjąłby się chętnie oddać mu tę usługę judaszową za obiecane 1.000 franków, to jednak wiedząc co warte są obietnice Rougon'a narażałby się na kulę jedynie chyba

z amatorstwa. Zola eskamotuje trudności sceny i stawia Macquart'a na czele republikanów jak gdyby istotnie sam uwierzył, że Macquart w danym razie, kiedy strzały zaczną padać, może „odskoczyć na bok i tym sposobem uniknąć niechybnej śmierci z ręki brata. Bez tego jednak nie ma *Fortuny Rougon'ów*, nie ma końca powieści. Macquart ciągnie więc na ratusz wbrew swojemu usposobieniu, wbrew wszelkiéj logice. Ale o to mniejsza: Zola potrzebował go wprowadzić dla rozwiązania sceny i jakkolwiek to wprowadzenie nie jest naturalném rozwiązaniem sytuacyi, posłużył się niém, ponieważ tego cel powieści koniecznie wymagał.

W *la Conquête de Plassans*, znowu, ksiądz Faujas żyje na koszcie Marty jak zwyczajny pasorzyt, chociaż jego czystość obyczajów i duma powinny mu były niepozwolić pójść poprostu na utrzymanie, tém bardziéj że mieszkańcy prowincyonalnych miast Francyi są nieubłagani w swych sądach dla ludzi, którzy „jedzą cudze mienie." Ale gdyby Faujas nie był pasorzytem Marty, mąż jéj dotknięty pomięszaniem zmysłów nie spaliłby go żywcem. Zola więc naciąga sytuacyą, i dla pokazania wspaniałego obrazu pożaru mieszkańcom Plassans, fałszuje psychologią tego księdza tak twardego, dumnego, ambitnego i nieskażonych obyczajów, a jednak równocześnie tak interesowanego w najbrudniejszy sposób. Bez téj jednak katastrofy powieść nie miałaby końca i rozwiałaby się w powietrzu.

W *le Ventre de Paris* cały dramat polityczny prysnąłby jak bańka mydlana, gdyby Florent nie był przyjął urzędu inspektora Hall. Z początku, bohater niewinnych knowań przeciwko cesarstwu, odmawia urzędu, ponieważ nic nie mogłoby być wstrętniejszém dla niego jak chléb z ręki cesarskiego rządu; że jednak wszyscy sąsiedzi i przyjaciele namawiają go natarczywie, więc przyjmuje, gdyż „to ostatecznie za głupie." I odtąd powieść toczy się bez żadnych szkopułów w budowie.

W *Une page d'amour* Helena Mouret zawiadamia listem bezimiennym doktora Deberta, że jego żona jest w mieszkaniu młodego Malignon. W chwilę potém Helena, przerażona własną swoją podłością wpada co prędzéj do pokoju kochanów i ostrzegłszy ich o niebezpieczeństwie radzi im ucieczkę. Lecz sama nie uchodzi z mieszkania pięknego Malignon. Zostaje tam przy kominku i czeka na doktora, którego oddawna kocha. Jako téż doktór i przychodzi. Dlaczego tu na niego czekała? Co za znaczenie miał list bezimienny i kto go przysłał, jeżeli przed tym kominkiem nie żonę swoję zastaje ale kobietę, którą kochał i pożądał dotąd bez skutku? Eh! ktoby się tam o takie bagatelki w takiéj chwili pytał! Helena tu była aby mu się oddać i tu mu się oddała aby „powróciwszy po trzewiki stoją-

ce przed kominkiem pomyśléć, że nigdy nie kochali się mniéj jak tego dnia właśnie.“ Inaczéj powieść-by się nie zawiązała: dla obrazów nie byłoby goździka, dla opisów Paryża pretekstu.

Intryga, historya, fabuła powieści to głupstwo. Realizm w szczegółach to rzecz; symetrya w posiekaniu materyału na rozdziały to sztuka. Więc też Zola zbiera sobie notatki, co i jak się kiedy zdarzy, byle tylko wiernie i dużo, a kiedy przyjdzie do pisania powieści, to rzecz sama już się złoży byle tylko było dosyć materyału wziętego z natury i jaki taki figiel melodramatycznego interesu, około którego możnaby zgromadzić obrazy i seryą mniéj lub więcéj zajmujących opisów.

Lecz z tego-to powodu właśnie w jego powieściach nie ma nigdy ruchu. Akcya nie rozwija się w myśl wypadków, ponieważ symetrya wstrzymuje postęp psychologii przez „dorzucenie jakichś dwudziestu stronnic opisu takiéj rzeczy lub takiéj sceny,“ a cel, do którego jego osobistości dojść muszą za jakąkolwiek bądź cenę, paczy naturalne rozwiązywanie sytuacyi na rzecz dziwnie melodramatycznych perypecyi. Zola dla zadosyćuczynienia warunkom proporcyi, w ich monotonii zagubia wszystko, co by tylko mogło obudzić żywszy interes. Myśli filozoficzne giną w szumie artystycznych wrażeń, wrażenia w bogactwie ścisłych obserwacyj, a obserwacye w nawale słów, tak że dziełu jego brak ostatecznie tego kulminacyjnego punktu interesów, uczuć lub myśli, z którego możnaby było objąć całą przestrzeń jednem rzutem oka. A ta przestrzeń, to płaszczyzna bez końca, przez którą po piaszczystéj i krętéj drodze idzie się ciągle ze spuszczoną głową, wolno, ostrożnie i ciężko. Żadnych niespodzianek: ani świeżéj zieloności jakiejś trawki w rowie, ani barwnego kwiatka na szczycie pagórka, ani wesołego śmiechu strumyka, ani tajemniczego cienia lasu na niebieskim pasie widnokręgu! Żadne żywsze tchnienie, żaden wzlot myśli, żadna ostrzejsza nuta uczuć, choćby zaprawionych jadem sceptycyzmu, nie przerywają ani na chwilę téj jednostajnéj jego pracy w układaniu mozajki życia z drobnych i dobrze przystosowanych kamyczków prostéj obserwacyi, ponieważ to by mogło zepsuć symetryą a może nawet i rozerwać całość.

5. Jego Psychologia.

Wszyscy ludzie jakich Zola do swych powieści wprowadza mówią mało i posługują się jednym i tym samym nieokrzesanym językiem gminu, jakkolwiek każdy z nich należy do innéj warstwy społecznéj, do innego poziomu wykształcenia, wychowania i otoczenia.

Ciosani z jednego kamienia, bez żadnego rafinowania bez żadnéj dwuznaczności dusz, bez żadnéj rozbieżności charakterów, zachowują się przy akcyi *jak androidy* czyli „maszyny ludzkie poruszające się za pomocą mechanicznych kombinacyj.“ Myśli ich nie błąkają się po bezdrożach pragnień, zmysły nie niszczeją w zabójczéj różnorodności pożądań, czyny nie zaprzeczają woli, wola nie marnieje w walce o drobiazgi a drobiazgi nie przeważają szali założonego celu. Cel został postawiony z góry. Mają wyrażać alkoholizm lub hysteryą, brutalną namiętność lub naiwne uczucia dzieci; mają wyrażać „dziedziczność organicznego skażenia“ lub „moralny upadek Francyi za drugiego cesarstwa;“ mają żyć w myśl „idei ogólnéj“, która powieścią rządzi,—lecz nie żyją wielkiem życiem natury. Idą wprawdzie jak pijani, którzy zataczają się, zbaczają z drogi, zwracają w tył, wloką lub chwilami pędzą, lecz ostatecznie pomimo spóźnienia zachodzą do domu, do tego celu, który jest kluczem ich psychologii. Przy akcyi taką tylko grają rolę jakiéj autorowi potrzeba na poparcie owéj „idei ogólnéj“ owéj „filozoficznéj myśli“, a z „dokumentów ludzkich“ mających charakteryzować „układ ich zmysłowych i umysłowych manifestacyj“ biorą tylko zwierzęcość i głupotę.

Zola w pogoni za szczegółami jednéj i téj saméj natury, któreby dosadnie wyrażały jego „myśl ogólną,“ zagubia charakterystykę swych postaci w monotonii ich manifestacyi psychicznych. Potężną dłonią sięgnąwszy raz do wnętrza jakiejś kopalni, wyrzuca z niéj całe garście wciąż tego samego kruszcu, zapominając, że obok znajdować się może całkiem inna kopalnia, całkiem inny kruszec.

Właściwie mówiąc, Zola jest-to sędzia śledczy, dla którego w życiu krom zbrodni, występków i wad nic nie istnieje. Szuka i zastanawia się tylko nad takimi ludźmi, którzy wykraczają przeciwko prawu, lub co najwyżéj wymykają się z pod jego chłosty, a słucha ich wtedy tylko kiedy mówią cynicznym i wyuzdanym językiem zepsucia.

Wprawdzie po kilkakroć dotknął się dusz czystych, piękna jednak strona życia nie wiele zyskała na jego obserwacyach cnoty. Jeżeli w błocie robotników znajduje ludzi porządnych to tylko na wzór bohaterów opery komicznéj. Goujet w miłości swéj do Gerwezy prowadzi się jak sielankowy pastuszek z XVIII-go wieku, wykarmiony na ekstrakcie z katechizmu. Kiedy kulejąca żona pijaka odwiedza go w kuźni lub wyprowadza na puste pola, Goujet proponuje jéj ucieczkę za granicę jak awanturnik z romansu; a kiedy następnie, zestarzawszy się do reszty, przychodzi w lat kilka do jego mieszkania jako zgłodniała nierządnica, dobrze podeszły już wiekiem kowal pada przed nią na kolana i mówi ze słodyczą: „kocham cię, pa-

ni Gerwezo! Oh! pomimo wszystkiego, przysięgam ci, że cię kocham jeszcze!... pozwól mi się pocałować.“

„I jakkolwiek mógł z nią zrobić wszystko co by mu się podobało, dotknął jéj tylko ustami, szepcząc: „To dla nas wystarczy, pani Gerwezo! to cała nasza przyjaźń, nie prawda?“

I cała ta *przyjaźń* kowala z praczką wygląda w *l'Assomoirze* jak para zakochanych gołąbków z świeżutkiéj cukierniczéj winiety na zapstrzonéj ścianie brudnego szynku.

Cnoty u Zoli tak samo jak i występki grzeszą jakościową i ilościową przesadą rysów. Jeżeli pijak to upija się przynajmniéj trzy razy na dzień, a jeżeli porządny człowiek to już nigdy do ust wódki nie bierze; rozpusta u niego zaczyna się w kolebce i trwa aż do śmierci, a czystość obyczajów wyraża się tylko przez dziecinną naiwnosć.

Ksiądz Mouret kocha się w Najświętszéj Pannie, co się każdemu księdzu zdarzyć-by mogło, ale się kocha niewiernie, ponieważ i zmysłom w tém doczesném życiu należy się także choć jaki taki udział w przyjemnościach rzeczywistych, zwłaszcza jeżeli się jest młodym i mieszka się pod jednym dachem z piękną Albiną. Ksiądz Mouret kocha piękną Albinę, chociaż nie wié na prawdę co to jest miłość i nie może odgadnąć czego natura odeń wymaga. Albina kocha księdza Mouret'a, lecz że wychowana jak polna róża w dali od wszelkiéj cywilizacyi, więc o woli zmysłów nie ma także najmniejszego wyobrażenia. I tak „dwoje tych osób—jakby powiedział Longus—niespokojnych od miesięcy, w pogoni za ostatecznym celem miłości, paliło się i wycieńczało wszystkiém co widziało i słyszało, napróżno szukając czegoś coby było do znalezienia po za uściskami i pocałunkami.“ Zola tak wyciągnął strónę naiwności dwojga tych kochanków, że powieści jego brak tylko Gnathona, któryby się zakochał w księdzu jak w Daphnisie i „dobréj kobieciny Lycenion, która litując się udręczeniem pastuszków i z uwagi, że nastręczała się jéj podwójna sposobność uczynienia dobrze, pokazała Daphnisowi co to takiego jest, z jednéj strony aby ich nauczyć tego co dobre, z drugiéj zaś aby zadowolnić swoję własną chuć“ (1).

Tym ludziom brak zmysłów i refleksyi. Są to bezcielesne, przejrzyste figurki, które zaledwie w wieku scholastyki ujść-by mogły, tak mało mają wspólnego z życiem rzeczywistém, z życiem nerwów i skłonności naturalnych. Zola chciał napisać idyllę, coś w rodzaju zupełnie sprzecznym swojéj naturze, coś „dla odpoczynku.“ Tymczasem ani *la Faute de l'Abbé Mouret*, która jest idyllą na wsi, ani *Une*

---

(1) Daphnis i Chloë—przez Longusa.

page d'Amour, która jest idyllą na bruku paryzkim, nie dorównywają innym jego utworom, ponieważ analiza dusz czystych nie jest jego specyalnością. Miłość wymyka mu się z rąk: nie umié jéj pochwycić, nie umié odgadnąć, nie umié scharakteryzować. Błąkając się po manowcach drobnych faktów, oscyluje pomiędzy najsubtelniejszą eteryczną naiwnością dziecinnych uczuć a fizyologicznym aktem rozpładzania się całéj przyrody. Chciał „aby cały Paryż płakał.“ Lecz Paryż nie uronił ani jednéj łzy, ponieważ ten tylko może rozrzewniać, kto z duszy ludzkiéj wydzierać umié najgłębsze jéj tajemnice i najtajniejsze jej uczucia pokazuje jak na dłoni. Zola tymczasem pisze to tylko co widzi, co jest namacalném lub przynajmniéj powszechnie znaném. Nie z głębi duszy, nie z tego co przeniknąć-by trzeba! Zwracając swe oko krótkowidza na fakty i szczegóły mało skomplikowane, bardzo widoczne i bez delikatnych odcieni, jest mistrzem w analizie dusz takich tylko ludzi, którzy się zarysowywują grubemi liniami ciała i brutalnych natur. Inni są tylko koncepcyami jego wyobraźni, a co jego wyobraźnia warta sam to własnemi słowami powiedział. Zresztą jak może rozrzewniać człowiek, który zna tylko dwa stany duszy: naiwność i zwierzęcość, i to najczęściéj zestawione obok siebie dla niby dramatycznego efektu. Wszakże każda rozmowa choćby najwykwintniejsza, każdy opis choćby najpoetyczniejszy, każda scena choćby najtragiczniejsza, kończą się u niego albo cuchnącém słowem cynizmu albo wstrętniejszym jeszcze od słowa aktem.

Ksiądz Mouret chowa do grobu swą kochankę. „Nagle kiedy trumna podtrzymywana sznurami spuszczała się do dołu, przeraźliwy hałas podniósł się z podwórza plebanii. Dezyderya z rozczochranemi włosami, z rękami obnażonemi aż po łokcie, z twarzą promieniejącą tryumfem ukazała się po nad murem. Musiała widocznie stanąć na kupie śmieci.

— Sergiusz! Sergiusz! wołała na księdza.

W téj chwili trumna Albiny była już na dnie dołu. Wyciągnięto sznury. Jeden z wieśniaków rzucił pierwszą łopatę ziemi.

— Sergiusz! Sergiusz! zawołała na brata głośniéj. Krowa się ocieliła!“

Rzekomy ten efekt naturalizmu nie da się ocalić warunkami otoczenia w jakim się pogrzeb odbywał, ponieważ to cielę przyszło na świat w niespełna cztery miesiące. Widocznie, krowa, świadoma literackich efektów, umyślnie ocieliła się wcześniéj, wbrew prawom fizyologicznym, byle tylko zdążyć na pogrzeb nieszczęśliwéj kochanki księdza.

— „Słuchaj jeszcze—przerwała Lalie po chwili milczenia. Piekarzowi winniśmy cztery franki, siedm soldów: trzeba by to zapłacić... Pani Gaudron ma nasze żelazko. o które się upomnisz... Dziś wieczór nie mogłam ugotować kolacyi, ale zostało się trochę chleba...

— Nasza mateczka, nasza mateczka! bełkotał pijany Bijard padając na krzesło.

Do ostatniego tchnienia mały ten kotek był matką całego domu. Téj się nie zastąpi z pewnością! Umierała ponieważ nad swój wiek miała rozum prawdziwéj matki. a pierś za czułą i za ciasną na pomieszczenie tak szerokiego macierzyństwa. Ale to było winą tego dzikiego zwierzęcia, jej ojca. Zabiwszy matkę jednem kopnięciem nogą, czyż nie zabiczował na śmierć córki?

Gerweza tymczasem wstrzymywała się od łez. Chcąc pocieszyć dziecko wyciągnęła ręce i ponieważ obrywek prześcieradła zsunął się na ziemię, zaczęła prześcielać łóżko. Wtedy-to ukazało się biedne ciało umierającéj. Wielki Boże! co za nędza, co za ulitowanie! Kamienie by zapłakały! Lalie była zupełnie naga, z kawałkiem kaftanika na ramionach zamiast koszuli; tak, była całkiem naga krwawą i bolesną nagością męczennicy. Nie miała już ciałka a kości wychodziły przez skórę. Po żebrach cienkie fijoletowe pręgi spadały aż do ud: były-to żywe jeszcze cięcia ojcowskiego kata. Sina plama opasywała lewe ramię, jak gdyby ten członek nie grubszy od zapałki zdruzgotany został w paszczy kleszczów. Na prawéj nodze widniała źle zasklepiona rana, jakiś raz otwierający się co dnia przy porządkowaniu domu. Była czarna od stóp do głowy. W kościołach oddaje się cześć biczowanym świętym, których nagość jednak mniéj jest czystą. Lalie wstydząc się za ojca starała się ukryć pod prześcieradłem. Bijard ogłupiały, z oczami wlepionemi w tego trupa, który był dziełem jego własnéj ręki, zataczał powoli głową jak bydle. Lalie umierając słabła, nic już nie mówiąc, nie mając nic nad swe dawne czarne spojrzenie dziewczynki zrezygnowanéj i zamyślonéj, które utkwiła w twarzach braciszka i siostrzyczki, tych dwojga jéj dzieci spokojnie wycinających obrazki (1).

I cała ta liryczna wędrówka przez padoły łez i zwierzęcego okrucieństwa, bezgranicznego poświęcenia i otwartych ran jest tylko przedmową do rzeczy. Rzecz?... To „Gerweza schodząca po schodach bez pamięci i tak *gonflé d'emmerdement*, że byłaby się chętnie wyciągnęła pod kołami omnibusa aby skończyć raz już z tém paskudném życiem.“

(1) L'Assomoir.

Lecz nie tylko na „powieściach które czuć ludem" Zola kładzie markę gminnéj natury, niby wyraz niewzruszonego spokoju czy téż filozoficznego indyferentyzmu na wszystko „coby ludzkość obchodzić mogło." Nawet tam bowiem gdzie z urzędu panuje paczulowa wykwintność słów, jego sceptycyzm, owa indywidualna nuta artysty, śmierdzi amoniakiem i koźlim potém.

— Nie,—mówiła Irena do swego pasierba—istotnie nie rozumiem was. Ależ one są głupie i brudne... Kiedy widziałam że idziesz do Sylwii wyobrażałam sobie rzeczy cudowne, starożytne uczty jak je pokazują na obrazach, ludzi w koronach z róż, złote czary, rozkosze niezwykłe!... Eh! gdzież tam! Pokazałeś mi brudny gabinet i kobiéty klnące jak dorożkarze. Nie! to nie warte popełniania złego... Złe, mój drogi, powinnoby być czemś wykwintném... Ja, jako kobiéta uczciwa, kiedy nudząc się popełniam grzech marzenia o czemś niemożliwém, jestem pewną że wynajduję rzeczy o wiele ładniejsze aniżeli wszystkie wasze Sylwie i Blanche-Müllerki, które widziałam przed chwilą.

I z miną poważną zawyrokowała tem głębokiem słowem naiwnego cynizmu: „Kwestya-to *edukacyi*, rozumiesz?"

Albo Irena nie mając najmniejszego wyobrażenia o starożytnych ucztach, powiedziała Maksymowi, że w kwestyi kochania jest wyżéj *wyedukowaną* niż Blanche-Müllerka, albo téż nic nie wspominając mu „że jest inaczéj zabawną w łóżku niż ta pani," przez cały czas rozmawiała z nim o starożytnych ucztach i o ludziach w koronach z róż. Albo to była zwyczajna rozpustnica, która z cynizmu robi paradę, albo téż kobiéta lekkomyślna, któréj staranne wychowanie pozwalało bywać na pokojach cesarskich i ujmować złotą młodzież: nigdy zaś ordynarną nierządnicą i kobietą wyższego świata razem. „Pod wpływem wychowania domowego rogi pragnień, których dotknięcia przyprowadzały ją chwilami do szaleństwa, byłyby się niezawodnie przytępiły w religii lub jakiémś inném zadowelniu nerwów. Głowa jéj była całkiem mieszczańską: miała poczucie uczciwości absolutnéj, zamiłowanie w rzeczach logicznych (?), obawę nieba i piekła, i ogromną dozę przesądów. U sióstr *Nawiedzenia Najświętszej Panny*, swobodna, z umysłem błąkającym się w mistycznych rozkoszach kaplicy i w cielesnych sympatyach z małemi przyjaciółkami, stworzyła sobie fantastyczne wychowanie, ucząc się wad, mieszając do nich otwartą swą naturę i do tego stopnia narowiąc młody mózg, że ku wielkiemu zakłopotaniu swego spowiednika przyznała się: jako pewnego dnia podczas mszy świętéj miała nieprzezwyciężoną chęć wstać z miejsca i pocałować go. Błąd, który sprowadził jéj małżeń-

stwo z Saccardem, owo brutalne zgwałcenie jakiemu się poddała z rodzajem przerażonego oczekiwania, wywołał w niéj następnie pogardę dla siebie saméj i wiele się przyczynił do jéj opuszczenia się w życiu. Sądziła że nie potrzebowała już walczyć ze złem, które w niéj było i że logika upoważniała ją do pójścia na krańce szkodliwych wiadomości. Miała więcéj jeszcze ciekawości niż pragnienia. Rzucona w świat drugiego Cesarstwa, puszczona na wolę swéj imaginacyi, utrzymywana i podniecana w hałaśliwych dziwactwach pieniędzmi, *oddała się*, żałowała późniéj, aż nareszcie, wciąż podcinana biczem, wciąż parta ku nienasyconéj potrzebie wiedzenia i czucia, zdołała zabić już i tak dogorywającą uczciwość.

Nieokreślone pragnienie, które napadało ją w złych godzinach, powiększało jeszcze ten mętny jéj niepokój i to szalone gonienie za rozkoszą jedyną, wykwintną, a któréj by mogła ugryźć sama. Pierwsi kochankowie nie zepsuli jéj wcale; po trzykroć zdawało się jéj że zapałała wielką namiętnością: miłość bowiem wybuchała w jéj głowie jak petarda, któréj iskry jednak nie dosięgały serca. Szalejąc przez miesiąc, afiszowała się po całym Paryżu ze swoim *panem* i następnie, pewnego poranku, wśród całego hałasu swéj miłości, uczuwała przygniatającą ciszę i olbrzymią próżnię. W dwudziestym ósmym roku była już okropnie znużoną. Zamykała drzwi cierpiąc migreny. Lecz potém, kiedy drzwi się otworzyły i przez nie wymknęła się fala jedwabiu i koronek była-to istota zbytku i radości bez troski, bez czerwonéj plamy na czole."

I ta wspaniała charakterystyka, trochę może za zbyt nieostrożnie przekalkowana z charakterystyki *Pani Bovary*, (1) tak jest wyczerpującą, że Zola w dalszym ciągu mógł ją tylko rozwałkować, zagubić w masie „autentycznych dokumentów." Irena z cudzołóztwa wpada w cudzołóztwo bez woli, bez pożądania, bez namiętności, bez chęci. Nerwy jéj nie grają, mózg się nie pali. Jest-to zwyczajna najemnica, któréj wszystko jedno komu się oddaje. Ponieważ nie ma temperamentu więc psychologia jéj nawskroś jest bezbarwną i nie interesującą. W salonie, w buduarze czy w sypialni, w tłumie czy sam-na-sam z kochankiem nie ma nic do powiedzenia. Jéj słowa nie wyrażają ani nudy ani pożądania—„ani pospolitości umysłu ani bezczelności," jakkolwiek przez swe urodzenie, wychowanie i otoczenie powinna by była stać się nierządnicą interesującą. Miała być kobiétą przedstawiającą niewieści świat drugiego Cesarstwa, jego nerwy, jego wychowanie, pragnienia, namiętności i konwenanse. Tak przynaj-

---

(1) Patrz: *Ateneum* 1881 r. Tom II. Zeszyt I. Str. 53 i 54.

mniéj chce powyższa charakterystyka i następne ciąganie téj „niepodobnéj do zanalizowania kobiéty“ po wszystkich ogniskach demoralizacyi za czasów Napoleona III. Jakkolwiek jednak chodzi do ministrów aby ułatwić mężowi spekulacye, afiszuje się z kochankami po całym Paryżu, oddaje się jakiemuś nieznajomemu przechodniowi na ulicy, wciąga pasierba do swego łóżka, pokazuje się prawie nago u siebie na balu i mówi z „naiwnym cynizmem“ o swéj *edukacyi* w kwestyi kochania, życie jéj nie jest wyrazem owéj epoki, która doprowadziła do *l'homme-femme*, ponieważ w nerwach jéj nie czuć samicy a w głowie męzkiéj siły.

Do błędu wnosiła cały żar wykolejonego serca. Kiedy myśl kazirodztwa przyszła jéj do głowy.... chciała zła, ale zła jakiego nikt się dotąd nie dopuścił, zła któreby wypełniło pustą jéj egzystencyą i rzuciło ją ostatecznie w piekło. Nazajutrz jednak już go nie chciała wskutek jakiegoś dziwnego znużenia i poczucia wyrzutów. Lecz następnie oddawszy się marzeniu o przyjemności bez nazwy, wzięła Maksyma w swe ramiona ciekawa jego samego, ciekawa okrutnych rozkoszy téj miłości, którą uważała za zbrodnię. Jéj wola zgodziła się na kazirodztwo, domagała się go, chciała się niém lubować do końca, aż do zgryzot gdyby kiedykolwiek przyszły. Była czynną świadomie. Kochała z uniesieniem kobiéty wielkiego świata, z niepokojącemi przesądami nieszczęść, ze wszystkiemi walkami, uciechami i wstrętami kobiéty, która się nurza w swojéj własnéj pogardzie.“ Więc ta pani miała tu znowu temperament? Kochała z żarem i uniesieniem, kochała ze strachem i radością. Wszystko więc kazało się w niéj domyślać kobiéty niezwykłéj w czynach i słowach, wszystko kazało się spodziewać akcyi silnéj lub dziwnéj, postępowania energicznego lub szalonego. Gdzież tam! Cała jéj akcya, cała energia zużywa się na jedną scenę w cieplarni, „gdzie kochankowie spędzili noc miłości szalonéj. Irena była mężczyzną—namiętną i działającą wolą: Maksym poddawał się.“ Po za tém nic! Kiedy mąż w najhaniebniejszy sposób zabiera jéj pieniądze przygotowane na ucieczkę z Maksymem, a garbata Luisa odbija jéj Maksyma samego, ona nie umie nawet krzyknąć krzykiem rozpaczy, boleścią rozdartego serca, przerażeniem mającéj ogarnąć ją próżni. „Pani go nie poślubisz—zawołała do Luizy.—To niepodobna! Wiesz przecie....“ I ukrywszy twarz w dłoniach uciekła, schroniła się w głębi cieplarni.

Przechodząc przez wszystkie stany duszy, przez zazdrość i upokorzenie, przez cios złapania na gorącym uczynku kazirodztwa i rozpacz stracenia kochanka, przez rózgi wstydu i szyderstwa Irena nie umie wznieść się do wyżyn prawdziwego uczucia, któreby się

wyraziło jakiémś charakterystycznëm słowem lub niezwykłym zwrotem myśli, jakąś niebanalną nutą w głosie lub czynem „kobiéty trudnéj do zanalizowania.“ A jednak była-to kobiéta, która, jak w melodramatach, myślała nawet o utruciu się w cieplarni na widok Maksyma rozmawiającego z garbatą Luizą. „Ukryła się nawpół za przeklętą rośliną Tanghin z Madagaskaru, o białawych łodygach i szerokich liściach, których najdrobniejsze żyłki pędziły zatrute mléko. I w chwili kiedy Luiza i Maksym zaśmieli się głośniéj śmiechem wesołych dzieci, Irena w bezładzie myśli, z suchemi i rozdrażnionemi wargami, wzięła w usta gałązkę Tanghinu, która się wznosiła do wysokości jéj zębów i ugryzła gorzki liść.“

W psychologii wszystko jest możliwém, nawet gryzienie na seryo gorzkiego liścia Tanghinu. Aby jednak psychologia robiła wrażenie prawdy, potrzeba czegoś więcéj niż proste notowanie faktów; potrzeba wniosków autora, tak jak przy oskarżeniu zbrodniarza potrzeba wniosków prokuratora, któreby pojedyncze fakty uogólniły i nadały im ton. Zola zadawalnia się konstatowaniem faktu, mówiąc że „eksperymentator wniosków stawiać nie potrzebuje, ponieważ doświadczanie samo wnioskuje za niego.“ Ani słowa! I w oskarżeniu prokuratora także fakty powinny mówić za niego. Jeżeli jednak fakty są oderwane, sprzecznéj natury i w niczém lub mało tylko popierające jego sąd, oskarżenie chybia celu. Zola wstrzymawszy się od postawienia wniosków, pomimo obfitości faktów tak je przedstawia, że czytelnik z nich duszy ludzkiéj określić nie jest w stanie.

A przytém jak gdyby unikał scen drażliwych i prawdziwie dramatycznych, i kiedy w banalnych jest aż do znudzenia rozwlekłym, w zajmujących milczy. Niech robotnika porwą boleści żołądka lub wymioty, Zola faktu nie puści płazem i roztrząśnie z całém przeświadczeniem doniosłość kwestyi nietylko *pourquoi* ale i *comment de choses*. Jeżeli jednak mąż łapie żonę na gorącym uczynku cudzołóztwa i kazirodztwa nikt ani w chwili ani po fakcie pary z ust nie puszcza.

Namiętności nie mają u niego własnego języka. Miłość nie płonie zapałem, gniew nie parska złośliwą brzydotą, nienawiść nie gryzie, głupota nie oskarża się swą specyalną płaskością. Żaden wypadek nie jest w stanie tak zatargać nerwami jego osób, aby z ich piersi wykrzyk prawdziwego uczucia w jakimś niezwykłym słowie, w jakiémś dostał się barwniejszém wyrażeniu. Brodzą one częstokroć po smrodliwych trzęsawiskach cynizmu, ale nie wydostają się nigdy po za błędne koła powszedniéj szaréj myśli.

— Czy jesteś cierpiący — spytała Irena swego pasierba w zamkniętéj dorożce.

— Nie, ale mi zimno.

— Co?! Ja, przeciwnie, palę się. Okryj sobie kolana końcem moich spódnic.

— Oh! twoje spódnice— odpowiedział Maksym kwaśno — mam ich po same oczy.

I oto wszystko, co kochankowie powiedzieli sobie w drodze do gabinetu *Café-Riche*, wszystko co zdradza niepokój i wyraża ich pragnienie się wzajemne. A jednak musieli się pragnąć istotnie, skoro po kolacyjce nastąpiło to, co „według filozoficznéj uwagi Maksyma prędzéj czy późniéj nastąpić musiało. Irena nic nie mówiła. Po chwili jednak przebudzona, wytrzeźwiona, z twarzą zestarzałą i poważną wyszeptała: „To haniebne cośmy zrobili."

I oto znowu wszystko. Zola odrazu przechodzi do opisu trotuarów, omnibusów, gazowych lamp, szyldów i całego tego materyalnego otoczenia w jakiém występek został popełnionym, porzucając występnych na stronie, jak gdyby stan ich dusz tak dobrze przed jak i po haniebnym czynie był czemś zwykłém, banalném, niegodném uwagi psychologa.

6. Jego znaczenie w literaturze francuskiéj.

Brak wszelkiego rodzaju błędów nie dowodzi jeszcze arcydzieła, tak samo jak większa lub mniejsza ich ilość nie zabija jeszcze piękna w sztuce, zwłaszcza jeżeli niedostatki tkwią w szczegółach podrzędnych i nie ciążą na najwydatniejszéj stronie pomysłu, który był artystycznym lub filozoficznym celem twórcy.

Rodzina *Rougon-Macquart'ów* w szczegółach nie jest dziełem jednolitém a tém mniéj jeszcze arcydziełem naukowego znaczenia; w całości jednak ma artystyczne i etyczne zalety takiéj doniosłości, jakiéj przykładów dzisiejsza literatura we Francyi nie przedstawia wcale albo tylko bardzo mało.

Przedewszystkiém Zola jest pisarzem nawskróś nowożytnym, który się interesuje wszystkim, co do postępu nauki i sztuki XIX w. w jakikolwiek bądź sposób się przyczyniło. Studyuje chemią, fizykę, botanikę, fizyologią, historyą, nauki społeczne i statystykę; walczy za swobodę myśli tak dobrze w badaniach naukowych jak i w artystycznych sądach i nawołuje świat cały do zerwania maski hipokryzyi ze swéj twarzy. Brzydząc się wszelkiego rodzaju dyletantyzmem, który tak mało licuje z poważnym nastrojem umysłu

XIX-go wieku, wypiera z twórczości artystycznéj powierzchowność i stanąwszy raz na twardym gruncie specyalnych nauk, każdą kwestyą życia ludzkiego roztrząsa ze ścisłością i powagą specyalisty. W całém jego dziele nie ma ani jednego miejsca, któreby miało na celu zabawienie czytelnika. Wszystko co mówi, nacechowane jest chęcią doszukania się lub wypowiedzenia prawdy, chęcią moralizowania i uczenia, nie zaś interesowania dowcipem i paradoksem, temi dwoma formami zdawkowéj monety umysłowéj, za którą literatura francuska zbyt łatwo kupuje sobie uwagę publiczności całego świata.

Ponieważ „dziełami wielkiemi i moralnemi są tylko dzieła prawdy,“ a prawdy tajemnicę może wydać artyście jedynie nauka, więc Zola śledzi wciąż za ostatniemi wynikami nauki i odrzuca ze sztuki wszystko to co do niéj należało z konwenansów, z tradycyi, z domysłu, z objawienia. Możnaby go oskarżyć o wszystko z wyjątkiem powierzchowności i zacofania, ponieważ zarówno rozmiłowany w sztuce dobrego pisania jak i w naukowych badaniach zmusił sztukę do podania ręki nauce, pokazując tym sposobem, że nawet przedmioty z natury swojéj suche lub wstrętne mogą i powinny być podawane szerszéj publiczności na pięknie rzeźbionych tacach artyzmu, i w „ich zjawiskowéj formie.“

A przytém w jego powieściach nietylko występują ludzie XIX wieku, ale nadto ludzie wzięci z właściwego otoczenia i postawieni na właściwym realnym gruncie.

Kiedy rozkoszny Daudet pisze *Jack'a*, w umyśle jego rodzi się pytanie: co przecierpiéć musi dziecko, kiedy fatalizm jakiś porwie go ze szkoły, z pysznego salonu, z obficie zastawionéj jadalni i nagle rzuci do kuźni, pomiędzy ludzi nieokrzesanych, do szynku, w takie otoczenie, w jakiém wyjątkowe tylko natury mogą ocaleć, nie zepsuć się, nie zmarnieć? Kiedy Zola pisze *L'Assomoir*, w umyśle jego powstaje pytanie: jakim jest człowiek, który urodził się na barłogu; który dzieckiem jeszcze będąc, zamiast chodzić do szkoły pomagał ojcu pokrywać dachy; dla którego celem życia jest — nie umrzéć z głodu, a jedyną rozkoszą—upić się; który żyje i żyć musi tylko wśród ludzi tego samego pokroju co i on; który widzi całą przepaść pomiędzy nim a tymi, którzy z jego pracy się bogacą, który o własnych siłach do niczego dojść nie może a cudze są mu wrogie; który żyje w moralnym i materyalnym kale, ponieważ urządzenie społeczne w nim go trzyma i z niego mu wyjść nie pozwala; dla którego życie rodzinne jest niemożliwém ponieważ żony nie jest w stanie wyżywić, syna wykształcić, a córki uchronić przed prostytucyą, do jakiéj ją warunki życia popychają; który jest skazany

z góry przez swe urodzenie, otoczenie i wpływy na *delirium tremens* lub inną jaką, nie mniéj jednak interesującą, śmierć w szpitalu.

Kiedy Dumas mówi o swoich „potworach kobiecych z ziemi Nod“ że są bezwstydne, z pewnością niejedna panna czytająca jego dramaty i romanse odpowiada mu po cichu, że chciałaby choć przez chwilę być Małgorzatą i choć w setnéj części zażyć tyle rozkoszy życia co pierwsza lepsza z jego upadłych bohaterek *Pół-światka.* U Zoli ani cudzołóżna miłość Ireny w *La Curée*, ani jawna prostytucya Nany nie mają tyle uroku, tyle czaru zmysłowych rozkoszy, tyle przyjemności w używaniu, aby którakolwiek z jego czytelniczek chciała przejść przez piekło gorączki i niesmaku pierwszéj lub unurzać się w błocie drugiéj.

Po za Balzakiem, Flaubert'em i Wiktorem Hugo, który żyje na innéj planecie, jest-to jedyny pisarz, który wad i występków swojego społeczeństwa nie obwija w jedwabne słowa poezyi. Nie można powiedzieć aby nie miał być wcale poetycznym lub nie posiadał zmysłu piękna. Przeciwnie. Zola poetyzuje aż zanadto, aż do znużenia, ile razy do powieści wchodzi krajobraz na tle którego mają się rysować sylwetki ludzi, lub choćby tylko jakiś drobny szczegół martwéj natury. Tu występuje w nim na jaw prawdziwy temperament południowca, który za jaką bądź cenę potrzebuje wypowiedzieć się, wrażenie swoje uzewnętrznić. Opisy parku w *La Faute de l'Abbé Mouret*, słonecznych blasków w *Une Page d'Amour*, cieplarni w *La Curée*, wiejskiego sadu w *Nanie*, lub jarzyn w *Le Ventre de Paris*, olśniewają czytelnika orgią słów, z po za których doskonale widać kształt i barwę przedmiotów, jeżeli nawet nie czuć smaku i zapachu.

„Pod ostrą jasnością żyrandola, stół otoczony krzesłami, których czarne oparcia ze złotemi oblamkami oprawiały go w jednę czarną linią, był jakoby ołtarz, jak kaplica gorejąca w któréj na olśniewającéj białości obrusie gorzały jasne płomienie kryształów i zastawy srebrnéj. Przepyszny serwis z matowego srebra, o błyszczących nacięciach, zajmował środek; była-to banda faunów porywających nimfy. Na dwu końcach, stały wazony z kwiatami. Dwa kandelabry, zastosowane do grupy na środku, zrobione każdy z satyra biegnącego, unoszącego na jednéj ręce kobiétę wybuchającą śmiechem a trzymającego w drugiéj pochodnią o dziesięciu ramieniach, dorzucały blask świéc do promieniowania żyrandola. Pomiędzy temi głównemi sztukami szykowały się symetrycznie naczynia do ogrzewania potraw, wielkie i małe, zapełnione pierwszemi daniami, obrzucone muszlami zawierającemi *des hors-d'oeuvre*, poprzedzielane koszykami z porcelany, wazami kryształowemi, talerzami płyt-

kiemi i kompotyerkami z deserem, który już był na stole. Wzdłuż łańcucha talerzy, armia kieliszków, karafki z wodą i winem i małe solniczki: kryształ serwisu był cienki i lekki jak muślin, bez żadnych wyrżnięć i tak przezroczysty że nie rzucał najmniejszego cieniu. Wielkie sztuki wydawały się jak fontanny ognia; błyskawice przebiegały po gładkich bokach naczyń do ogrzewania; widelce, łyżki i noże z trzonkami z perłowéj macicy leżały jak sztaby płomienia; tęcze zapalały szklanki; a wpośród tego deszczu iskier, w téj masie gorejącéj, karafki z winem plamiły czerwoną barwą obrus rozpalony do białości.“

Inny przykład: „Olbrzymia miłość, potrzeba rozkoszy unosiła się w téj zamkniętéj nawie (cieplarni), gdzie gotowały się rozpalone soki podzwrotnikowéj strefy. Młoda kobiéta była porwaną potężnemi godami ziemi, które płodziły naokoło niéj tę zieleń czarną, te łodygi kolosalne; a warstwy ostre téj matki ognistéj, tén rozkwit lasu, ten stek roślinności palącéj się we wnętrznościach, obrzucały ją tchnieniami niespokojnemi i przeładowanemi upojeniem. U jéj stóp bassen, ta masa wody ciepłéj, zgęszczonéj sokami korzeni pływających, parowała, kładła na jéj ramionach płaszcz z ciężkich wyziewów, obłok grzejący jéj skórę jak dotknięcie wilgotnéj ręki rozkoszy. I więcéj niż ciepła duszność powietrza, więcéj niż blaski żywe, więcéj niż kwiaty szerokie, krzykliwe, podobne do twarzy śmiejących się lub wykrzywiających pomiędzy liśćmi, gnębiły ją zwłaszcza zapachy, owe podmuchy słodkie i mdłe aż do nudności, a poprzecinane podmuchami zaraźliwemi, cierpkiemi, przejętemi trucizną. Lecz w téj dziwnéj muzyce zapachów frazą melodyjną, która powracała ciągle, panując nad czułą nutą Wanilii i ostrym dźwiękiem Orchidei, był zapach ludzki, przenikający, zmysłowy, ten zapach miłości, który rankiem wymyka się z zamkniętego pokoju młodych małżonków.“

To prawie pędzel Jordaensa z którego na płótno cieknie lubieżność i odurzająca rozkosz używania. Z chwilą jednak kiedy na scenę wychodzi człowiek, w żyłach Zoli jakby krew stygła, w mózgu jakby robiło się czarno. Zmysłowy poeta rozkazuje nagle przestać grać swym nerwom i wdziewa na siebie togę prokuratora. Po jasnych barwach natury „widzianéj po przez temperament artysty“ następują ciemne sylwetki ludzi ulepionych z błota występku, zbrodni, cynizmu, samolubstwa i głupoty. Jeszcze w umyśle czytelnika nie zagasły gorejące płomienie srebra i kryształów na stole, a już po nad światłami jadalni unoszą się ponure duchy moralności ludzkiéj. „I jakże zapowiadają się przyszłe wybory?“ „Ależ bardzo dobrze—

odpowiedział prefekt;—nie ma tylko jeszcze kandydatów wskazanych na mój departament. Minister waha się podobno.“ „Papo! czy to prawda że Sylwia sprzedawała cygara w Marsylii w 1849 roku“... „Wiele mi mówiono o panu na prowincyi. Pańskie wielkie posiadłości przysparzają panu licznych przyjaciół, zwłaszcza że pańskie poświęcenie się dla cesarza znane jest wszystkim. Masz pan wszelkie szanse.“ „Mój ojciec znał ją szczególnie.“ „Poświęcenie się dla cesarza jest jedyną cnotą, jedynym patryotyzmem w tych czasach interesowanéj demokracyi. Ktokolwiek kocha cesarza, kocha Francyą: Pan zwyciężysz. Wielkie fortuny powinny się grupawać około tronu.“ Zaledwie jednak biesiadnicy wstali od stołu, prefekt „bardzo rozweselił tych panów opowiadając im na nowo owę historyą, o któréj mówił przy obiedzie, lecz tym razem uzupełniając ją szczegółami całkiem nagiemi. To była jego specyalność; miał zawsze dwie wersye anekdoty,—jednę dla dam, drugą dla mężczyzn.“

Lecz u Zoli występek cuchnie a nie pachnie; nagość, anatomicznie nie zaś poetycznie piękna, odraża a nie wzbudza zachcianek zmysłowych; słowa obrazują brzydotę rzeczy ale jéj nie upiększają; wady bolą ale nie bawią.

„Saccard często posyłał żonę do ministrów lub wysokich urzędników po odpowiedź, mówiąc jéj przytém *aby była grzeczną*! Kiedy Irena powracała załatwiwszy sprawę, zacierał sobie ręce powtarzając swoje sławne: „A czy byłaś aby grzeczną?“ Zresztą jeźli Irena „nie była grzeczną,“ byłby tylko zły, że istotnie zapłacił za uprzejmość ministra lub urzędnika. Oszukiwać bowiem ludzi, dając im mniéj niż warte były ich pieniądze, było dla niego prawdziwą uciechą. „Gdybym był kobiétą—mawiał często—sprzedawałbym się może, ale nigdybym nie oddał towaru: to za głupie.“

Czasami, choć to nie jest bynajmniéj znamienną cechą jego talentu, Zola bywa nawet złośliwy. „Ah! mój mężulek—wykrzyknęła Luiza do swego niepełnoletniego jeszcze narzeczonego. Proszę tu usiąść i powiedzieć mi, w jakim fotelu mógł zasnąć mój ojciec, sądząc pewnie że już jest w Izbie.“ Czasami, choć to jeszcze rzadziéj się przytrafia, bywa paradoksalny, jak w podziale społeczeństwa na „Tłustych“ i „Chudych“ w *Le Ventre de Paris*; prawdy jednak nie poświęca ani dla dowcipu, ani dla paradoksu, ani nawet dla téj łatwéj iście francuzkiéj werwy w pisaniu, która jedynie pozwoli czytelnikowi gładziéj przełykać jego pigułki z prawdomównéj maści.

Głębokie przekonanie że należy mówić i pisać prawdę za jaką bądź cenę, przy każdéj sposobności, zawsze śmiało i zawsze bezwzględnie, stanowi siłę i zaletę pisarza moralnego, który tylko dla

oczu i uszu jest skandalicznym i tylko o tyle o ile życie samo jest skandaliczném. Nie zapominajmy bowiem, że „dokumenty,“ jakiemi Zola się posługuje, są istotnie autentycznemi, wziętemi z natury, skopiowanemi żywcem. Cała trzecia stronnica p. t. *faite divers* w każdym paryzkim dzienniku jest albo skandalicznym materyałem albo skandaliczném usprawiedliwieniem literackich płodów Zoli; pisze on w formie artystycznéj to tylko, co społeczeństwo francuzkie w formie reporterskiéj kroniki czyta o sobie co dzień. I gdyby jego powieści z powodu traktowanych w nich przedmiotów były istotnie niemoralnemi, jak to prasa francuzka dowodzi, w takim razie należałoby wszystkie dzienniki francuzkie zamknąć i dla moralnego zdrowia społeczeństwa ich komplety za ostatnie dwadzieścia pięć lat na placach publicznych spalić.

Lecz Zola nie jest pisarzem niemoralnym, zwłaszcza jeżeli jego doktryny filozoficznéj ruszać nie będziemy. Jeżeli bowiem gdzie z po za obrazu przedmiotowych obserwacyj pokazuje się jego twarz, to z pewnością czytelnik domyśla się na niéj więcéj bruzd niezadowolenia, goryczy i gniewu aniżeli lekkich fałd śmiechu choćby nawet szyderczego. Stawia on aktorów demoralizacyi francuzkiéj pod pręgierzem opinii publicznéj bez litości, bez współczucia ale téż i bez żadnéj hipokryzyi. Jeżeli „*La Curée* w naturalnéj i socyalnéj historyi rodziny za drugiego Cesarstwa jest ową nutą złota i zmysłowości, w jakiéj autor chciał pokazać przedwczesne wyczerpanie się rasy. która żyła za prędko i doprowadziła do *l'homme-femme* społeczeństw zgniłych;“ jeżeli chciał pokazać „wściekłą spekulacyą epoki wcielającą się w temperamencie bez skrupułów. i w awanturniczych skłonnościach, to nerwowe rozprzężenie kobiéty w której otoczenie zbytku i hańby powiększa jeszcze instynkta wrodzone,“ to mu to za zasługę raczéj niż za błąd lub wadę poczytać należy. Jeżeli „*L'Assomoir* jest dziełem prawdy i pierwszą powieścią o ludzie, która nie kłamie i którą czuć ludem,“ a nie kłamie z pewnością i czuć ją ludem, to Zola ma tę zasługę że pokazał społeczeństwu francuzkiemu, jak głęboko sięga jego demoralizacya i pod jakiemi się ona formami przejawia.

Dawno już przed nim literatura francuzka posiadała całe biblioteki powieści i romansów, komedyj i dramatów poświęconych wyłącznie cudzołóztwu, kazirodztwu, pederastyi, miłości lesbijskiéj nimfomanii, pijaństwu itd. Nikt jednak z błędów, wad, występków i zbrodni podminowywujących gmach społeczeństwa francuzkiego nie zrobił takiego użytku jak on. Kiedy inni czytelnika niemi bawili, on go przeraża i uczy.

Nana jest wspaniałym obrazem Francyi u stóp ordynarnéj nierządnicy, która, jak ta mucha zarażająca zgnilizną padliny zdrowy organizm, bezwiednym pyszczkiem przenosi to z dołu do góry co góra pierwéj już zaszczepiła na dole. W jéj łóżku widzimy koronowane głowy, arystokracyą pieniężną i rodową, kler, armią, przedstawicieli sztuki i literatury. *Nana* panuje wszędzie, *Nana* rządzi, *Nana* żeni i rozwodzi, *Nana* rozdaje zaszczyty i zbezczeszcza, *Nana* sypie złotem i rujnuje. Bez zaprzeczenia Dumas, ten innego rodzaju specyalista w kwestyi rozwiązłości społeczeństwa francuzkiego, z życia *Nany* zrobiłby coś bardziéj czarującego, coś w guście wszystkich. Zola nie zadawalnia się powierzchownością sądu a tem mniéj jeszcze interesującą błyskotliwością formy. Dla niego nierządnica nie jest kobiétą sprzedającą uśmiechy i rozkosz, ale rakiem toczącym przegniłe łono społeczeństwa. Jak prawdziwy specyalista więc zaszedł na same dno kwestyi i ponieważ na dnie znalazł błoto i kał, więc téż społeczeństwu błoto i kał pokazał. Mniejsza o pruderyą czytelników, którzy nie lubią, aby im prawdę nazywano po imieniu! Zola w *Nanie* rozebrał kawałek po kawałku całą maszynę tego błędnego koła demoralizacyi, które nie ma ani początku ani końca: przegniłe społeczeństwo wytwarza *Nanę* a *Nana* wytwarza zgniliznę w społeczeństwie.

I ktokolwiekby pisał na seryo o życiu we Francyi, z konieczności musiałby pójść tą samą drogą co i Zola, gdyż tam istotnie dziś jeszcze nierządnica, pomimo wielkich zmian na lepsze, jeżeli nie wszechwładnie to przynajmniéj bardzo wyraźnie panuje. Gdzież więc jest błąd powieściopisarza jeżeli on takie powieści pisze, jakiem życiem Francya żyje? gdzież jest jego zły wpływ na społeczeństwo, jeżeli społeczeństwu demoralizacyą, jéj przyczyny i skutki, jéj smutną i obrzydliwą stronę pokazuje?

Filozofii Zoli brak sceptycyzmu, który go w rzeczach teoryi prowadzi do dogmatu, a w sztuce do zastępowania Flaubertoskiéj goryczy trywialnością. Psychologii jego brak głębokości, którą ocala obfitością „dokumentów autentycznych“ i sumiennością w notowaniu najdrobniejszych manifestacyi życia człowieka. Artyzmowi jego brak wytwornéj szlachetności, którąby brylantowemi blaskami języka i zręcznem układaniem obrazów zatarła niedostatki filozofa i psychologa. Pomimo to jednak dzieło jego ma taką swoję filozoficzną, psychologiczną i artystyczną wartość jak żadne inne, ponieważ część życia Francyi przedstawia w doskonale przedmiotowéj formie, z takiéj strony z jakiéj go nikt nie brał i w takim celu w jakim nikt jeszcze przed nim się nie odważył.

Rodzina Rougon-Macquartów jest pomnikiem z ciężkiego kamienia postawionym na grobie drugiego Cesarstwa, które zaszczepiwszy zgniliznę w łonie społeczeństwa francuzkiego wydało *La Curée* u góry a *L'Assomoir* i *Nanę* u dołu. Rzecz prosta więc, że tam gdzie nie ma cnót, cnotą już jest samo wskazywanie na występki. Zola nie tylko je wskazał, ale nadto czerwoném żelazem swego twardego języka przypalił, nie przypuszczając jednak aby hipokryzya krytyki zdołała wmówić w świat, że swąd ztąd powstały pochodzi od przypalającego żelaza nie zaś od przypalanéj rany.

Antoni Sygietyński.

POLSKIE OPRACOWANIE DZIEJÓW
LITERATURY POWSZECHNÉJ.

Dzieje literatury powszechnéj z ilustracyami. Tom I: Dzieje literatury starożytnéj, opracowane przez J. A. Święcickiego, T. Krasnosielskiego, I. Radlińskiego, K. Kaszewskiego i F. Łagowskiego. Warszawa, nakład Lewentala, 1880 (właściwie 1882). 8-ka str. XIV i 870.

Gruntowna znajomość dziejów literatury jest u nas zjawiskiem bardzo rzadkiém: żadna bo téż gałęź umiejętności nie jest u nas zaniedbana tak dalece, jak właśnie historya literatury powszechnéj. Prac oryginalnych bez względu na ich wartość posiadamy niewiele, tłómaczonych podobnież naliczyć można zaledwie kilka. Z literaturą starożytną, a właściwiéj klasyczną, stoimy jeszcze stosunkowo najlepiéj: oryginalne prace Siemieńskiego, Węclewskiego i Szujskiego poznać ją dają jako tako. Za to całokształt dziejów literatury powszechnéj dotychczas, właściwie mówiąc, opracowany nie został. Jedyna nowsza praca oryginalna F. H. Lewestama, pomimo czterotomowéj objętości, już oddawna przestała cieszyć się uznaniem, a prace tłómaczone (Scherr) także nie są wolne od licznych i niemałych wad, które znacznie obniżają ich wartość i użyteczność. Zresztą niéma bodaj w żadnym języku historyi literatury powszechnéj, któraby we wszystkich swych częściach czyniła zadość wymaganiom naukowym i wytrzymywała krytykę. Przyczynę tego zjawiska wytłómaczyć łatwo, jeżeli tylko się zważy obszar i różnorodność materyału, z którym historyk literatury powszechnéj ma do czynienia.

To téż dziś, kiedy tylokrotne próby zdobyły tylko połowiczne rezultaty, nawet pomiędzy Niemcami coraz częściéj okazują się prace, traktujące dzieje literatury pojedyńczych tylko okresów lub

też narodów. Podział pracy zaczyna i na tém polu zjednywać sobie uznanie.

Wobec takiego stanu rzeczy, zaradzić krzyczącym potrzebom naszym za pośrednictwem przekładu którejkolwiek historyi literatury powszechnéj *jednego* autora prawie niepodobna, bo nawet niema wielkiego wyboru. Zaradzić przecież potrzeba i pole odłogiem leżeć nie powinno, bo zaniedbanie z dniem każdym coraz dotkliwiéj ujawniać się będzie.

Redakcya „Biblioteki najcelniejszych utworów literatury europejskiéj“ pierwsza bodaj zrozumiała doniosłość potrzeby, a zarazem i swój — że się tak wyrażę — moralny obowiązek wydawniczy. Wziąwszy sobie za zadanie: podawać w przekładach czytelnikom polskim to wszystko, co ludzkość na polu literackiém stworzyła celniejszego, *musiała* — jak mi się zdaje — zauważyć, że zadanie spełni tylko w połowie, jeżeli czytelnikom swoim podawać będzie same tylko przekłady, a nie oświetli ich należycie i nie umieści w organicznym związku na tle dziejowém. Że redakcya dobrze potrzebę tę oceniła, dowodzi tego nietylko to, że przystąpiła do wydania historyi literatury powszechnéj, któréj tom pierwszy pod powyższym tytułem świeżo wyszedł z pod prasy, ale i sama przedmowa zredagowana przez p. Chmielowskiego i umieszczona na czele dzieła. „Dzieła różnorodnych epok historycznych i różnorodnych narodów ukazują się w Bibliotece luźnie, bez żadnego organicznego związku; a jakkolwiek staramy sie téj niedogodności, wynikającéj z saméj natury wydawnictwa, zaradzić, podając krótsze lub dłuższe wiadomości o autorach, których utwory drukujemy; to przecież takie informacye nigdy nie będą mogły zastąpić systematycznego opowiadania o losach piśmiennictwa powszechnego. Do tego przyłącza się jeszcze wzgląd jeden: w Bibliotece umieszczać się musi nie wszystko to, co jest historycznie ważném, ale przedewszystkiém to, co zarówno treścią jak i formą celuje. A przecież chcąc zrozumiéć i należycie ocenić pojawienie się arcydzieł, potrzeba znać to, co było niejako przygotowaniem do nich i jak wszelkie przygotowanie musiało w cień się zasunąć, skoro tylko wśród pewnego narodu i czasu wielki utwór zajaśniał.“

Oceniając w ten sposób potrzebę systematycznéj i gruntownéj historyi literatury powszechnéj, umiała Redakcya ocenić zarazem i trudności, jakie nastręczały się do zwalczenia i przystąpiła do spełnienia zamiaru z wielką starannością. Zamiast przetłómaczyć pierwszy lepszy podręcznik np. niemiecki, obejmujący całokształt dziejów literatury powszechnéj, wolała zdobyć się na pracę oryginalną. Nie miała to być przecież żadna kompilacya. „Łatwoby nam było —

pisze daléj p. Ch. — powierzyć jednemu literatowi ułożenie historyi literatury powszechnéj z licznych tego rodzaju książek w piśmiennictwie zagraniczném. Zyskałaby na tém bezwątpienia jednolitość stylu a może i poglądów, ale straciłaby natomiast zasadność i gruntowność wiadomości, jakieby czytelnikom podane zostały. Jeden człowiek, chociażby najrozumniejszy i najpracowitszy, nie może z jednaką pewnością siebie rozprawiać o wszystkich literaturach świata. My chcieliśmy podać wyniki badań najnowszych, pragnąc uczynić książkę naszę wiernym i pewnym odgłosem tego, co specyaliści europejscy na rozmaitych polach działalności swojéj odkryli; dlatego téż uprosiliśmy grono współpracowników, poświęcających się z zamiłowaniem wybranemu przez się przedmiotowi i obznajmionych ze wszystkiém, co w danym przedmiocie nauka europejska wyrzekła.“

Poświęcając jednak względy *literackie* przedsięwziętego dzieła dla względów *naukowych* i zostawiając współpracownikom swobodę sądów i grupowania materyału, Redakcya nie mogła zapomniéć o jednén zastrzeżeniu, wynikającém zresztą już z natury dzieła naukowego: wskazała współpracownikom te wyżyny, ku którym dążyć powinni, ażeby stanąć na poziomie dzisiejszéj nauki. Odrzucając utarty i pospolicie bezbarwny, a najczęściéj jednostronny sposób omawiania zabytków literackich ze strony biograficzno-bibliograficznéj i estetycznéj, pragnęła Redakcya dać czytelnikom istotną „historyą myśli i uczuć.“

„Każda książka — pisze p. Ch. — świadczy nam przedewszystkiém, że był ktoś, co ją napisał, tak jak muszla świadczy o mięczaku, który w niéj niegdyś mieszkał. Przypatrując się formatowi téj książki, papierowi i pismu lub drukowi; rozczytując się w jéj treści, idzie nam o poznanie i zbadanie tego człowieka, którego ona jest śladem. Po za słowami, które odczytujemy, staramy się domyśléć, jak ten człowiek wyglądał, jak żył, co mówił, co działał, co czuł i co myślał....“ „Takie przeniesienie się w duszę człowieka, odkrycie zatajonych sprężyn jéj działania uzdolnić może do utworzenia historyi najprzód jednostek, a potém narodów, które z tych jednostek się składają, wreszcie ludzkości całéj.“

Określając bliżéj, jak tę historyą myśli i uczuć rozumiéć należy, Redakcya wyraźnie wskazała i historyozoficzne stanowisko, z którego materyał literacki traktowanym mieć pragnie. Jest-to historyozofia Taine'a, jak ją znakomity ten uczony wyłożył we wstępie do swéj *Historyi literatury angielskiéj*. „Wszystkie myśli i uczucia ludzkie—pisze w duchu téj historyozofii p. Ch.— pomimo niezliczonéj cyfry swoich odmian i kombinacyj, mają za podstawę kilka ogólnych

sposobów myślenia i czucia, wynikają z pewnego ustroju umysłowego, mającego odmian bardzo niewiele. Te usposobienia wrodzone, te skłonności do takiego lub innego sposobu pojmowania rzeczy, są to przyczyny powszechne i trwałe, obecne w każdéj chwili i w każdym wypadku, zawsze i wszędzie działające, niezniszczalne i koniec końców niepodzielnie panujące, gdyż wszystkie okoliczności, które im na przekór stają, będąc ograniczone i cząstkowe, muszą wreszcie uledz nieustannemu ich oddziaływaniu. Tym sposobem ogólny ustrój społeczeństw i główne rysy wypadków są ich dziełem; a religia, filozofia, poezya, przemysł, formy rodzinne i polityczne są ostatecznie wynikami ich twórczego wpływu.

Rozwinąwszy następnie główne zasady historyozofii Taine'a i zaznaczywszy doniosłość tych czynników (rasy, otoczenia, chwili dziejowéj), które „działają na cały ustrój społeczny, a zatém i na wszystkie jego czynności,“ Redakcya uznaje to stanowisko za konieczne i jedynie naukowe. „Zarówno rodzina jak państwo, zarówno religia jak filozofia, zarówno gospodarstwo jak przemysł, zarówno literatura jak sztuka ulegają im i przetwarzają się stosownie do tego, jaki czynnik w danéj chwili jest najsilniejszy. Nic tu niema luźnego i przypadkowego, wszystko się łączy z sobą najściśléj; stąd kto chce poznać którykolwiek z oddziałów ustroju społecznego i jego funkcyj, musi zbadać i wskazać rodzaj, wpływ i działanie owych czynników, wówczas wyjaśni się nam życie narodu, wówczas poznamy go naprawdę i przebywać z nim będziemy jak z naszym znajomym, z którym się codziennie stosunkujemy.“

Nie bez rozmysłu zatrzymałem się nieco dłużéj nad uwydatnieniem historyozoficznego stanowiska Redakcyi. Jakkolwiek bowiem historyozofia Taine'a nie pozyskała dotychczas i zapewne nigdy w zupełności nie pozyska powszechnego uznania, sprowadza ona jednak historyą literatury na szersze i głębsze tory, dotykalny wywołuje w niéj przewrót i znacznie posuwa naprzód. Odrzucając wiele niepotrzebnego balastu i bezcelowéj frazeologii, na co wciąż jeszcze, szczególniéj u nas słabują prace nad literaturą, jest ona do pewnego stopnia sumarycznym wyrazem tych usiłowań, które spotykamy i u Sismondiego i u Sainte-Beuve'a i u Rosenkranza i u Gerwinusa, u wszystkich wogóle poważniejszych badaczów literatury, ażeby ciasne szranki powierzchownego traktowania przełamać i przynajmniéj niektóre żywotne tętna życia narodowego uchwycić.

Stanowisko więc Taine'a, przyjęte przez Redakcyą i wskazane przez nią współpracownikom, zasługuje ze wszech miar na uznanie nietylko dlatego, że świadczy o dobrych jéj chęciach i poważném rozumieniu nauki, ale i dla tego, że zobowiązuje poniekąd współpra-

cowników do uwzględnienia w historyi literatury wielu nowych żywiołów, do rozszerzenia ram obrazu dziejowego.

Zobowiązanie to jednak tylko o tyle może wydać konkretne rezultaty, o ile sami współpracownicy stanowisko Redakcyi podzielają i materyał literacki w duchu owego stanowiska wyzyskać potrafią. Jest-to bowiem zadanie wcale niełatwe i wywiązać się z niego w zupełności, we wszystkich częściach mógłby chyba sam Taine, a nie tak łatwo o Taine'ów, to jest o ludzi, którzyby posiadali odpowiednie zdolności. Nie dosyć bo tutaj gruntownego obznajmienia się z materyałem literackim, potrzeba jeszcze posiadać dar rozległéj i bystréj intuicyi, ażeby obecność przeróżnych czynników dostrzedz i doniosłość ich wpływu odważyć, a prócz tego umieć to wszystko czytelnikowi wyraźnie przedstawić. Zadanie, powtarzam, niełatwe, ośmielę się nawet twierdzić, że i sam Taine, który ostatecznie tak wysokie zadanie historyi literatury sformułował w teoryi, w praktyce niezawsze umie się utrzymać na téj wysokości. — Tém trudniéj osiągnąć je u nas. Czy to skutkiem tego, że mało stosunkowo pracujemy nad dziejami literatury i nie wyrabiamy w sobie dostatecznéj samodzielności, czy téż poprostu dla tego, że nałogowo hołdujemy utartym sposobom pisania, a najprędzéj skutkiem obojga, trudno nam zdobyć się na coś takiego, coby nie przypominało rzeczy dawno znanych.

Taka pesymistyczna uwaga nasunie się każdemu po przeczytaniu pierwszego tomu *Dziejów literatury powszechnéj*.

I.

Pomińmy chwilowo różnice indywidualne współpracowników i oceńmy ich prace ogólnie, jako całość. Odrazu dostrzedz można, że pomiędzy tém, co obiecała Redakcya i tém, co napisali współpracownicy, zachodzi mniejsza lub większa różnica. Z wyjątkiem prac p. Radlińskiego, wszędzie naprzykład, widoczna jest większa lub mniejsza przewaga krytyki estetycznéj takiéj, jaka się zwykle praktykuje w historyach literatury. Na tym koniku, wytresowanym jeszcze przez Bouterweka, z przyjemnością lawiruje śród pomników literackich i p. Święcicki i p. Kaszewski i p. Łagowski, dosiada go niekiedy i p. Krasnosielski. Stawiając ten zarzut współpracownikom *Dziejów literatury starożytnéj*, niemam zgoła zamiaru poddawać w wątpliwość trafności ich sądów. To sprawa zupełnie inna. Jak obecnie chodzi mi głównie o to, że krytyka artystyczna w historyi literatury powinna być stosowana zupełnie inaczéj, niż przy ocenie

utworów poetyckich współczesnych. Wprawdzie istnieje zasada, pewnik krytyki literackiéj, że nie należy mierzyć utworów dawniejszych skalą pojęć i wymagań dzisiejszych; lecz w praktyce zastosować się do téj przestrogi w zupełności niełatwo, albowiem w gruncie rzeczy wszystkie braki i zalety, wytknięte utworom literackim, nie wykażą w rezultacie nic innego, jak tylko to, że ten lub ów utwór o tyle lub o tyle zbliża się do ideału, jaki sobie krytyk o pewnym rodzaju poezyi utworzył. Zawsze więc, tak czy owak, krytyk-estetyk oświetli materyał literacki z własnego punktu widzenia i osiągnie najwyżéj ten skutek, że jego historya literatury będzie chronclogicznem uszeregowaniem utworów poetyckich, posiadających to większą, to znów mniejszą wartość artystyczną; będzie termometrem lub wreszcie linią graficzną, któréj załamania i zgięcia wyobrażą nam wiernie wielką ruchliwość i niestałość poziomu uzdolnienia estetycznego. Krytyka artystyczna w historyi literatury powinna—jak mi się zdaje—charakteryzować i tłómaczyć objawy poczucia estetycznego bez względu na ich stosunek do pewnych teoretycznych zasad, które uznaje sam krytyk czy historyk. Każdy utwór literacki w traktowaniu historycznem powinien być uważany za objaw poczucia estetycznego tak dobrze, jak i za objaw wielu innych czynników, które się złożyły na jego powstanie. Przeprowadzona w ten sposób krytyka artystyczna najzupełniéj odpowie zadaniu historyi literatury, bo odsłoni przed nami jednę ze stron tego, co nazywamy życiem narodu, lub —jak chcą inni—ducha narodowego.

Otóż krytyka literacka pp. współpracowników strony téj nie uwzględnia, tak jak nie uwzględniają jéj zwykle historycy literatury, skądinąd nawet bardzo poważni, i to właśnie sprawia, że prace ich wywierają na czytelniku wrażenie rzeczy znanych i otrzaskanych, ilekroć mowa o stronie artystycznéj. Są to bowiem sądy i orzeczenia powszechnie spotykane, jednakie, bez względu na czas i miejsce, a im większą krytyk-estetyk rozwinie tu skrupulatność, tém prędzéj osiągnie ten cel, że czytelnik, idący za jego przewodem, pomimo najlepszych chęci, nie dostrzeże różnic zasadniczych pomiędzy utworem muzy dzisiejszéj i dawniejszéj; wszędzie bowiem spotka się z peryodycznie powtarzanemi zarzutami i pochwałami i wciąż będzie się obracał jak w zaczarowanem kole.

Sądy takie w historyi literatury niewiele nauczą. Jakoż weźmy dla przykładu pierwszą lepszą ocenę i postarajmy się wyrozumieć, jakie ona może mieć znaczenie dla historyi literatury. P. Święcicki, mówiąc o pieśniach Szykingu, wyraża się między innemi, że „styl ich jest prosty, silny i do serca mówiący“ (str. 18). Jakież to orze-

czenie rzuca światło na dzieje literatury chińskiéj? Odpowiem, że żadnego; nie wtajemnicza ona czytelnika wcale we właściwości myśli ani charakteru narodowego, trudno nawet zrozumiéć, dlaczego autor uznał za potrzebne właściwości tego stylu zaznaczyć, skoro w tylu innych razach strony téj nie dotknął, a podniósł natomiast inne zalety lub wady. Jeżeli powiastka rymowana *Arkusz papieru* „grzeszy gadulstwem i przesadą, chociaż nie zbywa jéj „na epizodach istotnie poetycznych“ (str. 44), to sąd ten autora może mieć wielkie nawet znaczenie dla ciekawych, jako wskazówka, co w literaturze chińskiéj warte jest czytania lub nie — ale w historyi literatury wtedy dopiero mógłby coś znaczyć, gdyby autor wykazał, o ile zaznaczone przezeń właściwości znamionują czy pewien stały lub też czasowy nastrój smaku artystycznego chińczyków, czy też wyraz indywidualnego uzdolnienia poety; gdyby następnie wykazał, jakie czynniki złożyły się na ich wytworzenie. Bez tego wszystkiego podobne sądy artystyczne pozostaną tylko ogarnirowaniem tytułów, tak samo jak np. sąd p. Łagowskiego o *Ziemiaństwie* Wirgiliusza: „Doskonałość stylowa, miłość przedmiotu, piękne a tchnące prawdą obrazy natury i imaginacya, umiejąca ożywić przedmioty martwe, uosobić niemal zwierzęta, gorące uczucie patryotyczne słodzą ten zbiór suchych prawideł“ (803). Wszystkie te gołosłowne epitety, zdawałoby się, zostały tu przytoczone tylko dlatego, żeby usprawiedliwić, na zasadzie jakich kwalifikacyj Ziemiaństwo ma prawo polecić się pamięci i uwadze potomnych: znajdą tu oni to i owo, będą się upajali doskonałością stylu (notabene jeżeli umieją po łacinie), zachwycali pięknością obrazów i zbudują się ciepłém uczucia patryotycznego. Lecz czy na tém już koniec? Pomimo téj informacyi artystycznéj, pomimo wiadomości, że epigramaty Marcyalisa „przedstawiają skończoną całość, artystycznie zbudowaną,“ że „tryska z nich nader często bystrość spostrzeżeń, oryginalność pomysłów, prawdziwy dowcip“ (str. 858), czytelnik historyi literatury rzymskiéj nie pozna, i co zatém idzie nie „rozświetli“ sobie, „oświaty i kultury“ narodu rzymskiego. Bo i jakież światło rzucić mogą na dzieje narodu owe zalety i wady Ziemiaństwa lub epigramatów Marcyalisa, skoro p. Ł. natury i kierunku imaginacyi Wirgiliusza nie określił, jéj stosunku do usposobienia narodowego nie oznaczył, ani owych obrazów dla charakterystyki poczucia estetycznego u Rzymian nie wyzyskał? jeżeli ów dowcip Marcyalisa, jego bystrość spostrzeżeń i oryginalność pomysłów figurują w pracy pana Ł. jako sucha notatka artystyczna, kiedy w historyi literatury mogło to wszystko mieć i doniosłe znaczenie, ale przedstawione genetycznie, na tle nietylko ówczesnych stosunków moralnych ale i umysłowych?

I dzieje literatury greckiéj wyszły z pod pióra p. Kaszewskiego nie wolne od tego zarzutu, zwyczajem uświęconéj jednostronności, z tą jednak ważną różnicą, że wszystkie sądy i oceny artystyczne autor przeprowadza konsekwentnie według jednéj skali, odważa je równomiernie i wplata organiczniéj w wątek opowiadania. Osięga w ten sposób przynajmniéj to, że daje rzeczywiście pewien obraz rozwoju kunsztu poetyckiego w Grecyi. Rzecz jednak godna uwagi, że i pan K., chociaż tak konsekwentnie i drobiazgowo stosuje w swéj pracy krytykę artystyczną, rozprasza się na szczegóły, ginie w nich i nigdzie przez to nie zdobywa się na charakterystykę artystyczną ogólniejszéj natury. Wina to, powiem, téj właśnie metody krytyczno-literackiéj, za któréj przewodem idąc p. Ł. zapomniał zupełnie o scharakteryzowaniu np. komedyi rzymskiéj, a p. K. pominął charakterystykę smaku klasycznego, co—jak mi się zdaje—należało już koniecznie uczynić: sformułować wyraźnie i wszechstronnie. Kilka znanych ogólników, tu i owdzie przy zręczności rzuconych, na to nie wystarcza, zwłaszcza bez wyraźnéj demonstracyi. Ani wątpić, ze pan K., tak gruntowny znawca literatury klasycznéj i zarazem wytrawny krytyk, mógł ją nakreślić piękniéj, niż nie jeden pedantyczny filolog—klasyk; a ponieważ literatura rzymska była pod tym względem mniéj lub więcéj naśladownictwem greckiéj, do niego więc przed innemi rzecz ta z urzędu niejako należała.

Natomiast prace p. Radlińskiego grzeszą drugą jednostronnością, to jest prawie zupełném pominięciem strony estetycznéj. Wprawdzie nie zawsze miał autor do czynienia z materyałem pod tym względem wyraźnym: z wyjątkiem literatury hebrajskiéj, która wdzięczniejsze dla krytyki estetycznéj nastręcza pole, wszędzie miał p. R. do czynienia z drobnémi przeważnie fragmentami: Sądzę jednak, że zarówno z ułamkowych zabytków piśmiennictwa egipskiego, jak i asyryjsko-babilońskiego lub staro-perskiego pewne iskierki wykrzesaćby się dały, zwłaszcza przy pomocy zabytków sztuki, o które panu R. często wypada potrącać. A jednak śmiało twierdzić można, że niema ludu, tém bardziéj chyba ludu na pewnym stopniu rozwoju stojącego, któryby nie posiadał pewnego indywidualnego, właściwego sobie poczucia estetycznego. A to poczucie zarówno u Rzymian i Greków, jak u narodów semickich lub Zendów stanowi jeden ze składowych pierwiastków życia duchowego, jako taki powinien być uwzględniony, narówni z innémi, jeżeli obraz dziejowy myśli i uczuć narodowych ma być zupełny; powinien być genetycznie zbadany i wyjaśniony we wszystkich swych kierunkach i przeobrażeniach, jeżeli obraz dziejów literatury ma się zbliżyć do wyżyn historyozofii Tainowskiéj.

Zarzuci kto może, że są to wymagania zbyt wielkie, że chcąc im zadość uczynić, bardzo łatwo zejść można na manowce. Pośpieszam uprzedzić, że zgadzam się na to najzupełniéj i to, com dotychczas o *Dziejach literatury starożytnéj* powiedział, uważam w ogólności nie tyle jako bezwarunkowy zarzut, ile raczéj jako dowód, że pomiędzy tym ideałem, jaki dla historyi literatury nakreśliła Redakcya, i tém, co współpracownicy napisali wielka zachodzi różnica, nie łagodzę tylko zarzutu co do tych komunałów krytyki literackiéj, których kilka dla przykładu przytoczyłem. Powiem nawet, że inaczéj być nie mogło, przynajmniéj w większości. Najprędzéj możnaby czegoś podobnego wymagać od historyi literatury narodów klasycznych: materyał tu bowiem bodaj czy nie wszechstronnie został już zbadany i wyświetlony, i tylko czeka na to, żeby go w duchu nowszéj historyozofii zużytkować. I tu jednak zachodzą okoliczności łagodzące; rozświetlono materyał, lecz nikt go bodaj dotychczas nie przetrawił w duchu téj lub innéj teoryi historyozoficznéj, a zwłaszcza tak subtelnéj jak Taine'a. Z drugiéj znowu strony metoda francuskiego historyozofa zbyt mało się rozpowszechniła, nie wyrobiła się w rutynę i na wprawnych zwolenników nietylko u nas, ale i za granicą liczyć nie może. A metoda ta jeżeli się nie mylę jest nieodłączną od historyozofii Taine'a; wymaga ona przedewszystkiém zupełnie odmiennego grupowania materyału, uwzględniania innych nieraz szczegółów, aniżeli to dotychczas bywało.

Wszystko to są trudności, jak obecnie, może nie do przezwyciężenia nawet dla tych, którzy bezwarunkowo hołdują zasadom Taine'a. To téż i Redakcya, dobrze oceniając te trudności, wyłożywszy zasady, według których *pragnęłaby* mieć opracowane *Dzieje literatury powszechnéj*, pośpiesza uprzedzić czytelników, że wykonanie od tego ideału różnić się *musi*. „Nie łudzimy się bynajmniéj nadzieją—pisze ażebyśmy ten ideał historyografii doścignąć mogli, jest on bardzo wzniosły i nader trudny do urzeczywistnienia; ażeby dojść do niego, potrzeba zawładnąć całym materyałem literackim, potrzeba zżyć się z duchem tych narodów, których piśmiennictwo przedstawiać mamy, ich wyobrażeniami myśléć, ich uczucia odczuwać, ich postępki rozumieć, a do tego wznieść się jeszcze na tę wyżynę, z któréj można ogarnąć ogół ich umysłowego rozwoju i skupić wszystkie rozproszone w pojedyńczych szczegółach rysy, ażeby przedstawić *całość*, nie zaś ułamek ich ducha.“ Lecz dla czegóż Redakcya przekonana, że ideał ten osiągnąć się nie da, postawiła tak wysokie wymagania? Bądź co bądź—odpowiada na to—warto jednak ideał ten mieć przed oczyma, ażeby wszystkiemi siłami starać się o zbliżenie do krain,

do których nas prowadzi. Następcy nasi poprowadzą dzieło daléj, coraz raźniéj ku doskonałości szybując.“

Cel wypowiedziany wyraźnie: chodzi o to, żeby napisać nietylko jakąś historyą literatury, ale historyą literatury lepszą, to jest bardziéj naukową od tych, które posiadamy. A czy kto pisze się na zasady Taine'a, czy téż je odrzuca, nikt chyba nie odmówi im téj zasługi, że sprowadzają one badania historyczno-literackie na grunt poważniejszy i wymagają traktowania głębszego. Nikt również nie zaprzeczy, że gruntownéj, naukowéj historyi literatury powszechnéj nie mamy.

Lecz czy współpracownicy *Dziejów literatury starożytnéj* ideał Redakcyi mieli przed oczyma?

W większym lub mniejszym stopniu uwzględniali go wszyscy lubo nie wszyscy zdali sobie dokładną sprawę z tego, jak należy materyał literacki traktować i jak go zużytkować, ażeby historyi literatury nadać poważniejszy wyraz. W tém właśnie położeniu znalazł się p. Łagowski.

Poznać to łatwo już po téj zmienności skali estetycznéj, którą do zabytków literackich przykłada, po owéj nierównomierności, z jaką materyał estetyczny wyzyskuje. Niekiedy, jak np. przy ocenie Plauta, Horacyusza, wdaje się dość szczegółowo w analizę utworów, lubo nie dochodzi do rezultatów zbyt głębokich; gdzieindziéj, jak np. mówiąc o Salustyuszu, Owidyuszu itd., poprzestaje na przytoczeniu kilku wyjątków z ich utworów, nie objaśniając nawet czytelnika, w jakim celu zwraca jego uwagę na to, że np. Salustyusz „w rozdziale XCV tak opisuje Sullę“ (następuje cytata str. 792), lub że Horacyusz „w odzie *Do Rzymian* tak przemawia“ (cytata, str. 822). Bywa jednak niekiedy i gorzéj, a mianowicie tam, gdzie pan Ł., jakby dla rozmaitości zbywa niektórych pisarzów krótkim ogólnikiem, nie zawsze nawet mającym choćby daleki związek z literaturą. Można jeszcze np. zrozumiéć, dla czego w jego pracy figurują: „*Valerius Flaccus*, autor rozwlekłego, pozbawionego wszelkiéj oryginalności poematu epicznego „Argonautica;“ podobny mu pod względem talentu *Silius Italicus*, autor poematu „Punica,“ treścią którego wypadki drugiéj wojny punickiéj, jak również autor Tebaidy i Achileidy, „*Statius*. Improwizacye drobne tego ostatniego, zebrane pod tytułem „Silvae“ oddychają pewną świeżością i oryginalnością pomysłów“ (str. 858); można, powtarzam, zrozumiéć, bo tego rodzaju gołosłowne ogólniki tułają się oddawna w historyach literatury; nikt jednak nie zrozumie, jakie ma prawo figurować w historyi literatury rzymskiéj Fronto, o którym p. Ł. wyraża się w ten sposób: „Około roku 100—175 po Chr. żył wielbiciel starożytnéj literatury rzymskiéj, nau-

czyciel Marka Aureliusza, odznaczający się wielką zacnością charakteru, *Marcus Cornelius Fronto*. Pozostały po nim listy, pisane do Marka Aureliusza jako następcy tronu, a potém cesarza" (str. 866).

Większa jeszcze uderzy czytelnika nierównomierność w opracowaniu innych stron literatury rzymskiéj. Dziejopisarstwo i filozofia zostały uwzględnione niegorzéj od poezyi, ale za to reszta zaledwie kronikarskiéj doczekała się wzmianki. Stąd liczne i rażące braki.

Do najważniejszych zaliczam pominięcie stanu nauk i oświaty w Rzymie. Wprawdzie p. Ł. w kilku miejscach coś o tém wspomina, ale tak ogólnikowo i tak pobieżnie, iż żadnego stąd wyobrażenia o poziomie umysłowego wykształcenia Rzymian powziąć niepodobna. A wszakże materyału do tego nie braknie, między innémi znajduje się on obficie choćby w pismach Warrona i Pliniusza starszego. O pierwszym mówi pan Ł. dosyć szeroko, lecz poprzestaje na powierzchownym konspekcie prac jego; o *Historyi naturalnéj* Pliniusza owéj encyklopedyi wiedzy starożytnych, jak ją trafnie nazywają niektórzy, pan Ł. nie miał nic więcéj do powiedzenia nadto, że „objęła wszystko to, co świat starożytny zdobył na polu badań przyrody, geografii, medycyny i sztuki. Wobec takiego znaczenia tego dzieła nikną usterki stylu, podziału, powtarzań się lub sprzeczności" (856). Podobnież i nieco daléj, zamykając historyą literatury rzymskiéj, pan Ł. cały dział prac naukowych zbywa ryczałtowym ogólnikiem, że „ostatnia ta epoka liczy znaczny poczet piszących prozą o gramatyce, retoryce, gospodarstwie, wojskowości i medycynie" (str. 869). Zapomina przynajmniéj ostrzedz czytelnika, że ta retoryka zabsorbowała w końcu wszystkie niemal siły umysłowe Rzymian, że stała się główną wyobrazicielką smaku i wyrazem światowego, encyklopedycznego wykształcenia Rzymian. Troskliwy gdzieindziéj o przytaczanie nazwisk i tytułów, pominął milczeniem imiona i prace późniejszych gramatyków i retorów (np. Donata Pryscyana), którzy przez długie wieki byli dla Europy wyroczniami stylu. Szczególniéj ucierpiała na téj nierównomierności literatura prawna, którą, jak wiadomo, Rzymianie z wyjątkowém uprawiali namaszczeniem i która na ich charaktery i na ich kulturę rzuca światło bardzo obfite. Pan Ł. zbywa to wszystko suchemi kronikarskiemi wzmiankami jak np. „prawodawstwo (zapewne prawoznawstwo) ostanich czasów wydało znakomitych przedstawicieli w osobach Papiniana, Ulpiana i Pawła" (str. 869).

A jednak wszystko to leżało w zakresie dziejów literatury rzymskiéj nawet w rozumieniu p. Łagowskiego. „Wielkie znaczenie literatury rzymskiéj—uprzedza autor czytelnika zaraz na początku (str.

729)—polega na tém, że ona rozświetla oświatę i kulturę narodu, który bardzo ważną odegrał rolę w dziejach powszechnych; oraz że głównie przez nią zdobycze umysłowe świata klasycznego wcielone zostały w organizm cywilizacyi narodów nowożytnych.“ Założenie—przyznać trzeba—szerokie i poważne, ale wykonanie pod każdym względem chybione. Już to, co dotychczas o pracy pana Ł. powiedziałem, wystarcza na usprawiedliwienie tego surowego zarzutu.

Nie pomylę się chyba, jeżeli powiem, że główną przyczyną owego braku równowagi i konsekwencyi, owéj powierzchowności w traktowaniu materyału chociażby tylko ze strony estetycznéj, było to, że autor zbyt mało chciał polegać na własném zdaniu. Poznać to łatwo po téj troskliwości, z jaką, gdzie tylko może, wyręcza się wyrokami Mommsenów, Teufflów, Muncków, Nisardów, Szujskich itd.

Z drugiéj jednak strony nie chce się wyrzec zupełnie swego indywidualizmu i oddać się pod przewodnictwo téj lub owéj powagi, i łącząc jedno z drugiem, wpada w dziwny chaos sprzeczności. Pan Ł. ma bowiem własne, zupełnie odrębne zapatrywanie się na literaturę i jéj znaczenie. Jest to zapatrywanie się moralizatora pedagoga; to też autor wymaga od wszystkich, żeby wpływali na umoralnienie społeczeństwa, lub też strofuje tych, którzy nie oddali się temu posłannictwu. Cyceron, według niego, należy do największych pisarzów rzymskich. Dla czego? „Można mu zarzucać—pisze on (str. 780)—że jako mąż stanu nie zdołał objąć założenia społecznego, że nie miał dosyć siły do przeprowadzenia planów; można mu zarzucać, że nie stworzył oryginalnego systematu filozoficznego, ale z lekceważeniem nie wolno o nim wyrażać się nigdy, ani też jego słabostek podnosić do znaczenia któreby ujmę jego charakterowi przynosiło. Jeżeli za przeprowadzenie przez niego sprawy z Katyliną lub za wystąpienie przeciw prawu rolnemu trybuna Serwiusza Rulla, nie zasłużył jeszcze na tytuł „ojca ojczyzny,“ to należy mu się ten tytuł chyba wtedy, gdy do tych czynów dodamy jeszcze jego zasługę jako *pedagoga* swego narodu. Wobec tego wszystkiego, wobec jego miłości do kraju, rodziny, wobec jego *czystości moralnéj* wśród powszechnéj demoralizacyi, jakże błahemi wydają się zarzuty o jego chełpliwości.“ Można zapewne różnić się w sądach o Cyceronie, można nawet polemizować; nie zdaje mi się przecież, aby motywy przez autora przytoczone, popierały w czemkolwiek jego zdanie o ile się to odnosi do literackiego stanowiska Cycerona. Zrozumiemy jednak, dla czego wzgląd moralności w oczach p. Ł. tak stanowczo rozstrzyga o wartości i stanowisku pisarza, jeżeli powyższą cytatę uzupełnię innemi. Tak np. o Katulu powiada autor (str. 768), że li-

ryka jego „nie przyłożyła się chyba wiele do udoskonalenia moralnego współobywateli;“ podobnież Tybul „do udoskonalenia duchowego niewiele chyba przyczynił się swojemi miłośnemi elegiami“ (str. 828), gdy tymczasem nieco daléj (str. 837) pan Ł. przyznaje, że „działalność Wergilego była nader pożyteczną: krzepił patryotyzm, rycerskiego ducha, budził zamiłowanie do pracy, słowem uszlachetniał. Nawoływanie do umiarkowania żądz przez Horacego, oraz jego satyry, jakkolwiek niższym jest jego nastrój niż Wergilego, również do korzystnych wpływów zaliczyć wypada.“ Tak więc p. Ł. jest tego przekonania, że poezya jest w stanie moralność z upadku podźwignąć. Że literatura w ogólności, a więc i poezya może wpływ pewien na społeczeństwo wywierać, temu nikt chyba przeczyć nie będzie; trzeba tylko, żeby warunki były sprzyjające, żeby społeczeństwo do poddania się temu wpływowi było usposobione. Ale też wówczas i poezya, cała nawet literatura nastroi się do usposobienia ogólnego, zastosuje się do otaczającéj atmosfery, stanie się—że tak powiem—zachęcającym akompaniamentem w chórze wielu innych czynników, które wytkną na czas jakiś pewien kierunek życia społeczeństwu. Pogląd pana Ł. jest tedy zupełnie błędny i powierzchowny; wychodząc z takiéj zasady, zamiast szukać w literaturze *objawów* życia, szuka w niéj *przewodników* życia i dziwi się, że moralność w Rzymie, pomimo korzystnych wpływów Wergiliusza i Cycerona wciąż upada, zapomina o tém, że literatura—ogólnie mówiąc—nie wyprzedza społeczeństwa, lecz je odzwierciadla.

Zapatrując się na literaturę w ten sposób, jak autor historyi literatury rzymskiéj, trudno jakiekolwiek osiągnąć rezultaty poważne nawet z Tainowską receptą w ręku.

W mniejszym lub większym stopniu szczęśliwiéj od p. Łagowskiego wyszli z trudności inni współpracownicy *Dziejów literatury starożytnéj*, niewątpliwie dla tego, że nie zapatrywali się błędnie na przedmiot i zadanie swéj pracy, a jeżeli niektórzy, jak np. p. Święcicki, wpadają niekiedy w gołosłowną frazeologią estetyczną, nie stanowi to jednak tła panującego i nie przeszkadza przynajmniéj uzbieraniu pozytywnego materyału, a nawet uwzględnieniu pewnych nowszych wymagań naukowych.

Na uwzględnienie to, zresztą nie u wszystkich współpracowników jednakowe, uważam za potrzebne zwrócić baczniejszą uwagę, gdyż tą drogą da się należycie ocenić, o ile zamiary Redakcyi i dobre chęci współpracowników wydały plon pożyteczny.

II.

Pomimo pewnéj rozmaitości, jaka panuje w pracach współpracowników pod względem układu, metody, traktowania materyału i poglądów, zbliża je do siebie wspólna wszystkim dążność do gruntowności, szczególniéj widoczna w tych punktach, które w dotychczasowych pracach najmniéj zadowolić mogły. Do nich należą: mitologia i religia, język, warunki geograficzne, słowem wszystkie te rubryki, które zapełniano z obowiązku, jedynie dla tego, żeby wszystkie luki zostały zasłonięte, mechanicznie, a więc bez widocznego związku z dziejami saméj literatury, bez wyzyskania ku oświetleniu charakteru narodowego. Wszystko to prawie w pracy najnowszéj zostało organicznie połączone z życiem narodów i losami ich piśmiennictwa. Wpływ warunków geograficznych na człowieka przynajmniéj w głównych rysach został uchwycony; charakter kultury i kierunek życia dziejowego zyskał przez to na zrozumiałości; szczególniéj u Indusów i u Greków. To uwzględnienie warunków geograficznych nie zadowoli zwolenników Taine'a, bo nie posuwa się aż do tłómaczenia za ich pośrednictwem szczegółowych objawów życia; wystarczy jednak dla tych, którzy, wiedząc, jak dalece zawisłość człowieka od warunków geograficznych jest dotychczas kwestyą sporną, przekładać będą skromniejszą pewność nad śmiałe, nawet genialne hipotezy.

Inaczéj rzecz się ma z językiem. Połączyć go organicznie z dziejami literatury rzecz niezmiernie trudna; wszelkie nawet w tym kierunku usiłowania—o ile mi wiadomo, osiągnęły—co najwyżéj rezultat raczéj pozorny, niż istotny. W *dziejach literatury starożytnéj* można zauważyć to samo: organiczne połączenie języka z literaturą polega i tutaj na tém, że przejście od jednéj materyi do drugiéj jest tak zręczne i nieznaczne, iż zdawałoby się, że zlewają się one w jednę nierozerwalną całość. Dalekie to jest wszakże od organiczności istotnéj, wewnętrznéj, to jest takiéj, którąby dotykalnie przekonywała czytelnika o nie możliwości gruntownego rozumienia jednego bez drugiego. Język w historyi powinienby dostarczać materyału do oświetlenia ducha i charakteru narodowego, służyć za zwierciadło właściwości uwysłowych. Jak dotychczas badania lingwistyczne nie stanęły jeszcze na tym stopniu doskonałości, ażeby powyższym wymaganiom uczynić mogły zadosyć, słabe tylko niekiedy rzucić mogą wskazówki. Dopóki atoli ten wewnętrzny, organiczny stosunek nie zostanie należycie wyświetlony, dopóty uwzględnienie języka w dziejach literatury będzie tylko ustępstwem na rzecz oddawna ustalonego zwyczaju: przejdzie albo w jakieś abstrakcyjne rozumo-

wanie, z którego nikt nic nie zrozumie, albo też w zbiór treściwych, pozytywnych wiadomości, które dadzą wprawdzie pojęcie o języku, lecz które z równém prawem mogą figurować np. w historyi albo geografii, albo inniéj jakiéj nauce, to jest posłużą poprostu do zaspokojenia ciekawości. Wobec tego, kto wie czy nie lepiéj robią ci, którzy jak np. Gerwinus, téj materyi nie dotykają wcale, skoro z niéj niewiele umieją wykrzesać. To téż i współpracownikom *Dziejów literatury starożytnéj* trudno mieć za złe, że nie wyzyskali języka na rzecz przedmiotu więcéj od innych, bardzo nawet poważnych, badaczów. Zrobili jednak co mogli, nie zapuszczając się na omylne manowce hipotez, ani też nie rozpływając się w mglistych, abstrakcyjnych komunałach. Ciekawy czytelnik znajdzie tu zaznaczone główne rysy języków wschodnich, ich stanowisko lingwistyczne, niekiedy nawet więcéj. Tak np. p. Krasnosielski, opierając się na wynikach gramatyki porównawczéj, naszkicował stan kultury pierwotnych Aryów, a właściwiéj Indo-Europejczyków; pan Radliński znowu zużytkował historyą języków semickich ku wyświetleniu faktów historycznych i związanéj z nimi kultury.

Wreszcie z kwestyą języka łączy się naturalnie i kwestya pisma. I pod tym względem ciekawość czytelnika w zupełności zaspokojoną być może; wszystkie systematy grafiki u narodów starożytnego wschodu, mających prawo do historyi literatury, zostały wyłożone przystępnie. Szczególniéj mistrzem w przezwyciężaniu trudności przystępnego przedstawienia rzeczy okazał się p. Radliński.

Uwzględnili daléj wszyscy współpracownicy i sztuki piękne, uwzględnienie to nie wszędzie jest jednakowe i nie w jednakim celu. P. Święcicki usiłuje je wyzyskać ku scharakteryzowaniu smaku estetycznego Chińczyków; szkoda tylko, że autor z całym tym materyałem załatwił się w kilku ogólnikach, podobnych do tych, jakiemi się posługuje przy ocenie utworów poetyckich. P. Krasnosielski mówiąc o sztukach pięknych u Indusów, posuwa się nieco daléj i sądy estetyka łączy z treściwą opowieścią historyka. Pan Radliński uwzględnia je bardzo często, lecz traktuje jako źródło historyczne, ku oświetleniu kultury. Najwdzięczniejsze pole, nietylko z natury rzeczy, ale i z uprawy, mieli autorowie dziejów literatury klasycznéj. Pan Ł. wyręczył się paru treściwemi cytatami, natomiast p. Kaszewski traktuje ten materyał szeroko stosunkowo najlepiéj. Powiadam *stosunkowo* dlatego, że mam i tutaj na myśli to samo, co i przy poezyi, to jest przewagę estetyka nad historykiem. Konstatując ten fakt, winienem jednak zastrzedz się raz jeszcze, że sądów pana K. nie stawiam narówni z sądami p. Święcickiego lub Łagowskiego: mówią bowiem one i uczą wiele, chociaż nie tyle i nie zupełnie tak,

jakby tego ze stanowiska, przez Redakcyą wytkniętego, wymagać można.

Podobnież pierwszeństwo przyznać należy panu K. i ze względu na opracowanie innego jeszcze działu, przez współpracowników *Dziejów literatury starożytnéj* uwzględnionego; mam tu na myśli rozwój oświaty, a raczéj nauk. Pierwszeństwo to jednak względne, gdyż i p. Radliński stronę tę wyzyskuje; ubóstwo jednak pisanego materyału nie pozwoliło mu nakreślić żadnego skoncentrowanego obrazu (chociaż może należało wyzyskać wskazówki uboczne) gdy tymczasem pan K. mógł i istotnie opracował dział ten bardzo szczegółowo. Nie obyło się tu jednak bez niektórych i to nawet dość ważnych niedokładności. Kreśląc obraz ruchu naukowego w okresie Aleksandryjskim, autor uwydatnił dostatecznie znaczenie, jakie dla umysłowości greckiéj miała wyprawa Aleksandra Macedońskiego na wschód; stąd niedokładność, bo brak dla niektórych objawów, (np. dla przyrostu pierwiastków oryentalnych) dostatecznéj podstawy. Z drugiéj znowu strony p. K. popełnia wielkie przeoczenie: zatopiony całkiem w kreśleniu tego ruchu naukowego, którego główném ogniskiem była Aleksandrya, zapomina o tém, że istniało i inne, chociaż mniéj świetne—Pergam.

Postęp nauk u Indusów naszkicował p. Krasnosielski dość pobieżnie, obszerniéj jednak daleko, aniżeli p. Święcicki u Chińczyków; obaj zresztą popełnili ten sam błąd, umieszczając literaturę naukową na samym końcu swych prac. Ściśle rzeczy biorąc, tak być nie powinno, gdyż zdobycze naukowe nie pozostają bez wpływu na działalność umysłową późniejszych pokoleń; w tym jednak razie to błędne ugrupowanie materyału nie zaszkodziło całości, już dla tego samego, że szkic p. Krasnosielskiego dotyka nauk ze strony zewnętrznéj, a p. Święcicki zbywa je, niestety, w kilku wierszach ryczałtowym ogólnikiem; nic tedy dziwnego, że pomimo przytoczenia tytułów aż trzech encyklopedyj chińskich, w niczém właściwie czytelnika nie oświecił.

Z poczynionych tu uwag nad usiłowaniami współpracowników *Dziejów literatury starożytnéj* okazuje się, że osiągnęły one zadanie tylko w połowie, jeżeli zechcemy je mierzyć skalą wymagań Redakcyi; to jest skończyły się po większéj części na samém zwiększeniu materyału... ale materyału pozytywnego. Jużto samo jest zaletą niemałą: poraz pierwszy dostanie polski czytelnik do ręki książkę, opartą prawie wszędzie bezpośrednio na źródłach, co szczególniéj w dziejach literatury wschodniéj ma wielkie dla nas znaczenie. Dotychczasowe bowiem opracowania miały między innemi tę wadę, że jako kompilacye, nie były wolne od błędów lub też prze-

pełnione frazeologią. Tu mamy w najgorszym razie fakty autentyczne. Niektóre zaś działy, a mianowicie, opracowane przez p. Radlińskiego, są, można powiedziéć, zupełną nowością. Wprawdzie w każdéj pracy, traktującéj o literaturze starożytnéj, potrącano o Egipt, Babilonią i t. d., ale niejako z obowiązku, żeby czémkolwiek lukę zapełnić; kilka więc dorywczych faktów, owiniętych w sporą wiązkę ogólników, na to wystarczało. Pan Radliński, jedyny bodaj u nas w kraju egiptolog i semitolog, nietylko że dział ten opracował ze źródeł, ale opracował starannie i wyczerpująco, chociaż miał do zwalczenia więcéj trudności niż inni współpracownicy. Z wyjątkiem literatury hebrajskiéj, całe piśmiennictwo Egipcyan, Asyro-Babilończyków i Zendów przechowało się w drobnych zaledwie strzępach, tak iż nie przedstawia nigdzie organicznéj łączności, a wszystko to, podobnież jak całą literaturę starożytnego Wschodu, osłania zazwyczaj mgła tajemnicza, któréj najskrzętniejsze badania nie zdołały jeszcze w zupełności rozproszyć. Pomimo to, p. R. potrafił szczęśliwie wszelkie trudności przezwyciężyć i cały odszukany materyał w pracach swoich zawrzéć. Przypisać to należy dobrze obmyślanéj metodzie, którą do niego zastosował: pod owe fragmenty podłożył tło historyczne. Przeprowadzenie téj metody nie pozostało bez wpływu i na sam charakter prac jego: przeważa w nich żywioł historyczny nad literackim, co już zauważyłem poprzednio, zarzucając im zupełne pominięcie strony estetycznéj. Brak ten jednak sowicie się okupuje innemi zaletami, wynikającemi z konsekwentnego wytrwania na obraném stanowisku. Pan R. najdrobniejsze zabytki piśmiennictwa wyzyskuje na wyświetlenie kultury, a głównie rozwoju idej religijnych i cel ten w zupełności osiąga. A układa materyał tak zręcznie i analizuje go tak przystępnie i swobodnie, iż (pomimo zawiłego niekiedy stylu) czyta się z wielkiém zajęciem.

Nie można tego powiedziéć o pracy p. Kaszewskiego. Miałem już zręczność kilkakrotnie potrącić wielkie zalety w jego historyi literatury greckiéj, mógłbym ich wskazać jeszcze więcéj, zaznaczając lepiéj i wszechstronniéj opracowane ustępy (np. o Pindarze, o komedyi nowo-atyckiéj); lecz wszystkie te zalety osłabiają znacznie dwie kardynalne wady, które sprawiają, że praca pana K. czyta się z przymusem i powiem z mniejszym pożytkiem niżby to być mogło.

Jedna z tych wad jest technicznéj natury — to układ. W drobniejszych pracach jest to rzecz mniejszéj wagi, ale w pracy pana K., obejmującéj dwadzieścia dwa arkusze bitego druku (str. 389—728) wzgląd ten nabiera znaczenia. Od tego bowiem zależy nietylko większa lub mniejsza poczytność dzieła, ale nawet jego zrozumia-

łość. Pan K. starał się być przystępnym, ale nie uczynił wszystkiego, co mógł uczynić i dlatego praca jego jest monotonna i nużąca. Podzieliwszy całość na sześć rozdziałów, przechodzi je kolejno jednym tchem. Oko i umysł czytelnika przebiegają ogromne przestrzenie, podążając za autorem, i napróżno wyglądają wskazówki, gdzieby się zatrzymać bez obawy zagubienia wątku. Nużąca ta jednostajność zwiększa się jeszcze przez to, że pan K. wykładu swojego nieurozmaica i nie ożywia ani przytoczeniem treści, ani cytatami z rozbieranych utworów: tu i owdzie wtrącone pojedyńcze zdania zarzutu tego nie osłabiają zgoła. I to zaniedbanie nazwę wadą niemałą już nie ze względu na wygodę, ale ze względu na korzyść czytelników, między którymi niewątpliwie znajdą się tacy, co utworów literatury greckiéj nie znają, a usunąć ten brak nie było trudno!

Od tego zarzutu monotonii wolne są mniéj lub więcéj inne prace, a głównie traktujące o literaturze wschodniéj. Jakiekolwiek względy kierowały piórem autorów: czy to, że literatura ta jest u nas prawie zupełnie nieznana, czy téż to przekonanie, że wywodom i sądom powinna towarzyszyć demonstracya, czy wreszcie jedno i drugie razem, dość, że rzadko który utwór głośniejszy nie został podany bodaj w krótkiém streszczeniu. Szczególniéj szeroko uwzględniał tę stronę przedmiotu p. Radliński, co mu téż czytelnik za wielką poczyta przysługę, bo znajdzie w pracach jego streszczenia i cytaty nietylko z utworów poetyckich ale i z ksiąg religijnych, skomentowane wiersz za wierszem tak, iż ma do czynienia jakby bezpośrednio z samemi źródłami. A jednak nie jest to materyał surowy; lecz opracowany i oświetlony tak, jak tego dzisiejszy stan badań wymaga. Bo téż stanowisko pana R. jest czysto naukowe, wolne od wszelkich ubocznych tendencyj, które niejednemu z naszych historyków literatury starożytnéj (np. Szujskiemu, a szczególniéj Siemieńskiemu) stawały na zawadzie w trzeźwości poglądów i zniewalały do pomijania niewątpliwych wyników badań. Szczególniéj jest to widoczne w historyi literatury hebrajskiéj, którą u nas traktowano zawsze ze stanowiska tradycyi kościelnéj i całą nawet literaturę wschodnią oceniano głównie w stosunku do niéj, a raczéj do opartych na niéj tradycyj. Pan R. podobnemi ubocznemi tendencyami nie krępuje się wcale, traktuje przedmiot poważnie i spokojnie i dla tego podaje nam pierwszą naukową historyą literatury hebrajskiéj.

Mniéj troskliwym o przytoczenia i streszczenia był p. Krasnosielski. Dwie wielkie epopeje indyjskie streścił autor tak, iż zaledwie można się domyślać, co ich osnowę stanowi; w dobie znów późniejszéj jeden tylko dramat, a mianowicie Sakuntalę, rozbiera p. K. szczegółowo; lirykę natomiast i poezyą dydaktyczną przedstawił

czysto teoretycznie. Przyznaję, że pierwsza nastręczała wiele trudności, już choćby dlatego, że przekładów nie posiadamy prawie zupełnie; z dydaktyką, zwłaszcza z epopeją zwierzęcą, sprawa była daleko łatwiejsza, nie nastręczała ona w najgorszym razie autorowi trudności większych jak Nal i Damajanti lub Sakuntala, z któremi p. K. musiał sobie poradzić. Ta głównie okoliczność sprawia, że pracy p. K. nie można przyznać równomierności opracowania. Pierwsza w ogóle połowa, opracowana daleko staranniéj, zadowoli wymagania nawet bardzo poważne; druga—znacznie słabsza. Gdyby nie to, praca p. Krasnosielskiego należałaby bezwarunkowo do najlepszych.

Przytoczenia i rozbiory w pracy p. Święcickiego są dosyć liczne i nie miałbym jéj nic do zarzucenia w tym względzie, gdyby pomiędzy owemi przytoczeniami i sądami, jakiemi autor zwykł rozbiory zamykać, była jakaś łączność i gdyby owe sądy miały bardziéj historyczny charakter. Z tego to głównie powodu, dla owéj dorywczości sądów estetycznych, a poniekąd dla owych doraźnych ogólników, które już poprzednio zaznaczyłem, dla samych nawet właściwości stylowych, praca pana Ś. sprawia takie wrażenie, jak gdyby to był jakiś artykuł dziennikarski, z tą głównie intencyą skreślony, żeby się czytał z łatwością, informował ciekawych, lecz wielkiego natężenia myśli nie wymagał. Z drugiéj jednak strony przyznać należy, że autor literatury chińskiéj zbierał materyał bardzo sumiennie, o ile on z przekładów i opracowań europejskich był dla niego dostępny, jak również i to, że nie znając literatury chińskiéj wprost ze źródeł, ważył każde zdanie, każdy sąd słynniejszych synologów. Tu bodaj tkwi główne źródło zarówno wad, jak i zalet pracy pana Święcickiego. Z jednéj bowiem strony czytelnik znajdzie w niéj istotne zestawienie tego, co nauka europejska o literaturze chińskiéj wyrzekła; z drugiéj znowu—wszystko to, co w niniejszém sprawozdaniu za wady mu poczytałem. Autor czuł się skrępowanym i rzadko kiedy nie zasłania się powagą Remusat'ów, Davis'ów i innych synologów; gdzie jednak może być samoistnym, tam miewa bardzo szczęśliwe pomysły, jak np. w charakterystyce Chińczyków, którą samemi ich przysłowiami prawie zupełnie wyczerpuje.

Reasumując wszystkie poczynione tu uwagi i zarzuty, czytelnik mógłby o *Dziejach literatury starożytnéj* powziąć wyobrażenie mniéj korzystne, niż ich wartość na to zasługuje. Pochodzi to stąd, że jakkolwiek przy sposobności zaznaczałem ich zalety, uwzględniałem w nich nietyle to, co już osiągnięto, ile to, co jeszcze do osiągnięcia pozostaje. Dzieło jednak przedstawi się z daleko po-

chlebniejszéj strony, jeżeli zmieniwszy stanowisko, zechcemy nowe to dzieło porównać z posiadanémi dotychczas. Porównanie takie okaże dostatecznie, że z wyjątkiem pracy p. Łagowskiego, o któréj nie umiałbym powiedziéć, czy przynosi nam co nowego, wszystkie inne w większym lub mniejszym stopniu i obszernością i gruntownością prześcigają prace dawniejsze, a niektóre odkrywają przed czytelnikiem światy prawie całkowicie dotychczas piórem polskiém nie tykane — i to w całém świetle, jakie na przedmiot ten dzisiejsza nauka rzucić zdołała.

Edward Grabowski.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Pamiętnik fizyograficzny wydany staraniem E. Dziewulskiego i Br. Znatowicza T. II. Warszawa. 1882.

Akademia Umiejętności w Krakowie oraz Paryzkie Towarzystwo nauk ścisłych, umożliwiające i nieraz budzące do życia objawy naszéj pracy umysłowéj, zyskały w roku zeszłym towarzysza broni, który pomimo niedostateczności swych środków, zajął w ich gronie zaszczytne stanowisko. Mówimy o Pamiętniku fizyograficznym, owocu pracy i dobréj woli niewielkiego grona przyrodników warszawskich, którzy uczuwszy potrzebę wydawnictwa mogącego koncentrować w sobie prace uczonych naszego kraju, wezwali doń kolegów w różnych miejscach kraju i gubernij zachodnich rozproszonych i zyskawszy ich poparcie, zebrali, nawet dla siebie niespodzianie, znaczną wiązkę prac poważnych, która pokaźną księgę I tomu Pamiętnika złożyła. Mówiąc nawiasem, okoliczność ta okazała, iż mamy specyalistów, którzy w cichości pracują nad poznaniem ziemi ojczystéj. Widocznie prace były już gotowe, lecz leżały w rękopismach, lub też jeszcze się w szatę słowa nie oblekły. Redakcya umożliwiła lub przyśpieszyła ich pojawienie się. Wiadomo jak został pierwszy tom przyjęty. Wzbudził on dla siebie podziw akademii krakowskiéj i przez zjazd przyrodników zaszczycony został najwyższą nagrodą, dyplomem uznania. Wielu jednak sądziło, iż jest to pierwszy, ale zarazem ostatni owoc nadzwyczajnego wysiłku. Tymczasem ukazał się tom drugi, a możność zebrania nań materyału dowiodła jeszcze raz iż Pamiętnik fizyograficzny jest doskonale odgadniętym wyrazem potrzeby naszych specyalistów, że jest pożytecznem ogniskiem, skupiającém i powołującém do życia prace, któreby się może tylko w obcych językach pojawiły, lub zmarniały w rękopismach.

Tom II ukazał się niemal jednocześnie ze smutnym zgonem „Pamiętnika“ Towarzystwa nauk ścisłych w Paryżu, które upadło z tego powodu, że sukcesor hr. Działyńskiego fundatora Towarzystwa i Pamiętnika odmówił nakładu łożonego przez zapisodawcę. W tém więc sympatyczniejszém świetle przedstawia nam się Pamiętnik fizyograficzny, że powstawszy i istniejąc z ofiar osób wcale przez fortunę niewyposażonych, zastępuje upadłe wydawnictwo, o tyle jeszcze pożyteczniéj, że specyalnie poznaniu przyrody własnego kraju jest poświęcony. Czytelnikom, pojmującym ważność spełnienia tego zadania pragnęlibyśmy udzielić część téj sympatyi jaką w nas wzbudza Pamiętnik fizyograficzny; a jeśli nasze życzenie zostanie spełnioném, Redakcya zyska ulgę w pracy i byt wydawnictwa zostanie na długi czas zapewnionym.

Treść tomu II podzielona jest na cztery działy. Pierwszy zajmuje meteorologia wraz z hidrologią, drugi geologia z chemią, trzeci botanika z zoologią, a czwarty antropologia.

W dziale meteorologicznym napotykamy wykaz średnich wysokości barometru każdego dnia i miesiąca za lat 54 tj. od r. 1826 do 1880, a daléj wysokość normalną barometru każdego dnia oraz każdego miesiąca w roku, wyprowadzoną ze spostrzeżeń w poprzednim wykazie podanych. Cenny ten materyał opracowany przez p. Kowalczyka, jest dopełnieniem wykazu w pierwszym tomie Pamiętnika zamieszczonego, a przeważnie tylko temperatury dotyczącego.

Praca ta zająć może głównie tylko specyalistów, natomiast dwie pozostałe rozprawy meteorologiczne mogą być czytane i przez przeciętnego czytelnika wykształconego. Pierwsza z nich p. Apolinarego Pietkiewicza ma za przedmiot „Zmienność temperatury rocznéj w Warszawie,“ druga dra. Jędrzejewicza zawiera „Spostrzeżenia stacyi meteorologicznéj w Płońsku za rok 1881“ a w „uwagach“ ogólny pogląd na cyklony i antycyklony oraz ich stosunek do naszego klimatu. Resztę działu wypełniają prace niemeteorologiczne a mianowicie p. Dziewulskiego „Nachylenie magnetyczne w Warszawie“ tegoż: „Czarny staw gąsiennicowy pod Kościelcem“ oraz artykuł p. Jana Rostworowskiego o „jeziorach łęczyńsko-włodawskich.“

W dziale drugim znajdujemy najprzód rezultaty badań p. Józefa Siemiradzkiego asystenta geologii przy uniwersytecie dorpackim, nad „Naszémi głazami narzutowemi“ (kamieniami polnemi). Rzecz ta, o ile nam wiadomo, pierwszy raz w literaturze traktowana. Opracowanie wielce umiejętne i sumienne. Napotykamy tutaj, również jak się zdaje po raz pierwszy w literaturze polskiéj, zastosowanie badania mikroskopowego do skał.

Artykuł p. Wincentego Kosińskiego, zarządzającego kopalniami rządowemi galmanu, p. t. „Kopalnie Olkuskie ich przeszłość i przyszłość," zawiera rzecz zarówno ciekawą dla górnika i geologa, jak dla przemysłowca i historyka.

Tłómaczone z rękopismów pozostałych po Pusch'u „Nowe przyczynki do geognozyi Polski" prostują i dopełniają materyał i poglądy znakomitego tego geologa, zawarte w „Geognostische Beschreibung von Polen," które to dzieło dotychczas służyć musi za podstawę wszelkiemu geologicznemu badaniu naszego kraju. Wreszcie „Sprawozdanie z badań geologicznych dokonanych w r. 1880 w południowéj części guberni Kieleckiéj." przez Stanisława Kontkiewicza, stanowią wielce pożądane sprostowanie i dopełnienie wiadomości, przez wszystkich dawniejszych geologów podanych. P. Kontkiewicz był delegowany przez ministeryum do poszukiwania soli; choć doszedł do przekonania „że na całém zbadaném przez niego terytoryum nie ma pewnych wskazówek znajdowania się pod ziemią pokładów soli kamiennéj, a przeciwnie jest wiele danych, które wprost takiéj możliwości zaprzeczają," to jednak dał nam opis i mapę geologiczną zbadanéj części kraju, które i dla nauki i celów praktycznych wielkiego są znaczenia.

Część chemiczno-geologiczną tego działu reprezentują „rozbiór soli buskiéj" przez Pawlewskiego i „rozbiory pięciu skał tatrzańskich" przez Bron. Znatowicza.

Znaczną część działu botaniczno-zoologicznego, zajmuje monografia pewnéj rodziny mchów tatrzańskich, napisana przez d-ra T. Chałubińskiego. Nosi ona tytuł „Grimmieae Tatrenses, ex autopsia descripsit et adumbravit dr. T. Chałubiński etc." Napisana ona jest po łacinie dla uprzystępnienia jéj treści uczonym zagranicznym, którzy przeważnie czytać ją będą, albowiem specyalistów polskich zajmujących się mchami, (którzy zresztą także mogą czytać po łacinie), albo nie ma wcale, albo téż możnaby ich zliczyć na palcach jednéj ręki. Wreszcie, co prawda, nie posiadamy tak wyrobionéj terminologii polskiéj, aby podobnie specyalne rozprawy mogły się obejść bez łaciny Nawet zagraniczni uczeni uciekają się w analogicznych przypadkach do tego powszechnego języka nauki. Jednakże dla zachowania cechy pochodzenia téj monografii, autor podał miejscowości po polsku. „Grimmieae Tatrenses" są owocem kilkoletniéj pracy szan. profesora, oraz wycieczek po wielu niezwiedzanych lub mało zwiedzanych zakątkach tatrzańskich. Dodać wypada, iż tablice objaśniające zostały świetnie odrysowane przez autora przy pomocy profesora A. Wrześniowskiego, który obok swéj specyalnéj nauki, jest jeszcze z nakomitym rysownikiem.

Bardzo ciekawą jest rozprawa p. K. Łapczyńskiego „o roślinności jawnokwiatowéj okolic Warszawy.“ Jest to niejako „statyka i dynamika“ flory naszéj okolicy, czyli „ruch roślin“, analogiczny z tak zwanym w statystyce „ruchem ludności“. Wykazuje ona rośliny pospolite, nowe nabytki i stratę roślin dawniéj napotykanych. Tenże sam autor pomieścił tu jeszcze dwa artykuły botaniczne: „Babka górska“ i „ze Strzemieszyc do Solca.“

Ważnym przyczynkiem do zoografii polskiéj, jest wykład o „Skrzekach (Amphibia)“ p. A. Wałeckiego oraz „o chrząszczach krajowych“ przez Osterloffa. Ostatni artykuł zasługuje nadto na uwagę naszych amatorów-entomologów, gdyż zawiera wiele wskazówek praktycznych. Entomologowie powitają również z wielką radością, projekt „terminologii owadniczéj polskiéj“ podany przez d-ra Sznabla.

Z rozpraw mających za przedmiot kwestye bardziéj szczegółowe znajdujemy tu pracę stud. n. prz. Kowalewskiego p. t. „Przyczynek do historyi naturalnéj Oxytrichów“ oraz d-ra Jana Sznabla opis nowego gatunku owadziego, nazwanego na cześć pierwszego odkrywcy „Stichopogon Dziedzickii.“

Kończy ten dział praca p. A. Slósarskiego „o zwierzętach zaginionych (diluwialnych).“

Dział ostatni, antropologiczny, zajmuje najmniejsze stosunkowo miejsce w „Pamiętniku.“ Nic dziwnego, jest to nauka nowa i dotychczas nie wielu uczonych i materyału pozyskać sobie u nas zdołała. Pomimo to, artykuły tu znajdujące się są ważnemi dla nauki przyczynkami. P. Tymoteusz Łuniewski podał tutaj dalszy ciąg swych poszukiwań w „Mogile w Żarnówce“, p. Zyg. Gloger „Notatki archeologiczne Michała Fedorowskiego. Kurhany pod Wiszowem.“ Czaszkę z tego kurhanu zbadał i opisał dr. Leon Dudrewicz.

Bardzo piękne i staranne rysunki do dwóch ostatnich artykułów wykonał dr. med. antropolog Peszke.

Pan Jan Karłowicz podał w porządku abecadłowym „imiona niektórych plemion i ziem dawnéj Polski“, załączając przy każdém etnograficzne i lingwistyczne uwagi, wyjaśniające jego pochodzenie i znaczenie. Z górą sto nazw rozmaitych znalazło miejsce w tym zbiorze, pracowicie i umiejętnie dokonanym, który dla każdego ukształconego czytelnika wielce interesującym będzie. W dopisku na końcu podajemy kilka uzupełnień tego zbioru, tusząc, że uczony autor przyjmie je z życzliwością.

Wreszcie tom zakończony jest dwoma dodatkami: do artykułu p. Łapczyńskiego w I t. P. Fiz. „Wiadomość o trzech roślinach itd.“

i do pracy p. W. Choroszewskiego „Poszukiwanie geologiczne itd.“ również w I t. zawartéj.

Kończąc niniejsze pobieżne sprawozdanie, uważamy za stosowne jeszcze raz zwrócić uwagę czytelników na ważność tego wydawnictwa dla naszéj nauki, dla jéj specyalnéj części mającéj za przedmiot poznanie własnego kraju, oraz na zasługi wydawców, którzy w braku odpowiedniéj instytucyi, gdzieindziéj takiemi sprawami się zajmującéj, prywatnemi siłami starają się o ile możności brak ten skompensować, przez wydobywanie na jaw prac już gotowych i przez zachętę do przedsiębrania nowych.

Dopisek. Oto uzupełnienia, o których przy pracy p. Jana Karłowicza wspomniano powyżéj w tekście.—1. *Borowcy*, *Lisowiaki* czyli *Grębowanie*, jak ich nazywa W. Pol (Histor. obszar, str. 35), właściwiéj *Lasowcy*, mieszkańcy puszczy Sandomierskiéj, po prawym brzegu Wisły (Matusiak w Rozpr. Wydz. fil. VIII).—2. *Kaszubi*, według Papłońskiego, używają trojakiéj nazwy, stosownie do noszonego przez nich ubioru: a) od granic Prus Zachodnich do rzeki i jeziora Łeba, nazywają się właściwie *Kaszubami*; b) między Łebą a błotami, ciągnącemi się wzdłuż rzeki Pustynika, nadają sobie imię *Kabatków*; c) po obu stronach rzeki Pustynika, od Łeby do samych brzegów morza i naokoło jeziora Gardneńskiego, nazywają siebie *Słowińcami*. Ci, którzy mieszkają w Prusach Zachodnich zowią się *Kaszebami* i zajmują okręgi: Wejherowski (Neustadt), Kartuski (Carthaus) i część okręgu Gdańskiego; zaś w Kościerzyńskim (Behrendt) mowa już zlewa się z polską. Okręgi Stargardzki i Świecki są czysto polskie. (J. Papłoński o Kaszubach, w Kalendarzu Jaworskiego na rok 1868, str. CXLII).—3. *Kraina*. Oprócz ziemi na prawym brzegu Noteci leżącéj, używała niegdyś tejże nazwy okolica wyciągnięta wązkim pasem po lewym brzegu dolnéj Drwęcy, o czem pisał G. Zieliński w Bibl. Warsz. 1861 r. Kronika Wołyńska w jedném miejscu daje polskiéj ludności w Lubelskiém, stykającéj się z Rusią, nazwę *ukrainian*, to jest mieszkańców pogranicznych.—4. Jest to bezwątpienia prostym błędem druku na stronie 507, gdzie czytamy, że „Mazurami nazywają dziś część Prus Zachodnich,“ gdyż Mazury w Prusach Wschodnich mieszkają.—5. Żeby nazwa wyspy, leżącéj przy ujściu Wisły, *Mierzeja*, *Nerzeja*, pochodziła od niemieckiego Nehrung—wydaje się wątpliwem, albowiem tę nazwę spotykamy już w dyplomatach z pierwszéj połowy XIII wieku, kiedy tam osadników niemieckich jeszcze nie było (Perlbach, Pommersches Urkundebuch). Pan Karłowicz zbliża z tém nazwisko *Mierzejewski*, które przecież nie z Pomorza do nas przyszło

ale jest naszém rodzimém, od wsi Mierzejewo pochodzącém. Czyby się nie dało zbliżyć nazwy gdańskiéj Nerzei z nazwami rzek Neru, Nuru, a mianowicie z litewskiém imieniem rzeki Wilii, *Neris*, *Nia-ris*,—niechaj lingwiści rozstrzygną. To pewna, że północno-zachodnia granica siedziby litewskiego plemienia dawnych Prusaków sięgała ku Mierzei.—6. *Niemcy*. Wincenty Pol mówi, że całą „okolicę, którą obszar Wisłoki, Ropy, Jasły, Jasełki i średniego Wisłoka zajmuje, osiedli tak zwani *Głuchoniemcy*, od dołów Sanockich począwszy, to jest od okolicy Komborni, Chaczowa, Trześniowa aż po Grybowski dział: Gorlice, Szembark i Ropę od wschodu na zachód, ku północy aż po ziemię Pilzniańską. Cała ta okolica Głuchoniemców jest nowo-osiedlinami Sasów; jakoż strój przechowali ten sam co węgierscy i siedmiogrodzcy Sasi..... ale lud ten mówi dzisiaj najczystszą mową polską“ (Historyczny obszar Polski, str. 32).—7. *Pałuki*. Zbytecznem chyba będzie zbliżać tę nazwę z czeskiém palouk, skoro mamy polskie wyrazy padół, pagórek, pasieka, parobek, pachołek, patyk w Przasnyskiém jest wieś Pałuki, a w Szydłowieckiém wieś Pałęgi.—8. Do nazwy *Podhalanie* możnaby zbliżyć nazwę grodu Halicz i wsi Przegaliny w Radzyńskiém.—9. *Polesie*. W ziemi Czerskiéj powiat Garwoliński, leżącym na prawym brzegu Wisły nazywano niegdyś Polesiem (Święcicki, Święcki, Gawarecki); w księdze sądowéj czerskiéj z początku XV wieku okolica ta zowie się poprostu *Puszczą* (Liber terr. Cern. wyd. ks. Lubomirskiego N. 1368).—10. *Porzecze*. „Po lewéj stronie Warty, w południowéj części Wielkopolski, zacząwszy od brzegów Prosny, Lutyni i daléj ku zachodowi mieszkają *Porzecza-nie*“ (Staszic, w Tyg. ilustr. 1860, str. 326).—11. *Sepenicka* ziemia obejmowała niegdyś Pokucie i od niego ku wschodowi pas kraju między Dniestrem a Prutem aż po Chocim. Nazwa jéj, według Morgenbessera, ma być w związku z wsią Szypińcami, która się ukazuje dawno jako punkt znacznie w téj okolicy zaludniony (Przewodn. nauk. i liter. 1870, str. 225—229).—12. Przy *Tucholcach* możnaby wspomnieć o mieście Tucholi i wielkiéj puszczy Tucholskiéj na Pomorzu gdańskiém; natomiast przytoczone tam nazwy Smardzew, Smardzów nie mają chyba związku ze złą wonią, gdyż to są przymiotniki dzierżawcze, utworzone od imienia ludzkiego Smardz, które się w starych dyplomatach napotyka; smardzem zowie się pewien rodzaj grzyba.—13. Pod *Zabrzeżem* niepotrzebnie przytoczono *Pobereże*, gdyż nazwa Zabrzeża odnosi się do części Polesia, a zamięszanie powstało wskutek tego, że w Encyklopedyi wielk. Orgelbr. opuszczona jest kropka po wyrazie „Prypeci“ (XXI 16).—14. *Zapilcze*. Tak się nazywała część Mazowsza na prawym brzegu dolnéj Pilicy, czyli jak akt z r. 1359 wyraża się „między rzeką Radomirzą a Pilicą“ (kodeks Mazow. str. 75).

Lira Polska II. Poezye Wiktora Gomulickiego. Warszawa. Nakład Lesmana i Swiszczowskiego, 1882, str. 160 i III.

Pod bardzo sympatycznèm dla czasów naszych hasłem puszcza p. Gomulicki w świat zbiorek swoich poezyj. Na pytanie: *gdzie piękno?* odpowiada, że nic piękniejszego nie ma nad prawdę i zaleca poetom, ażeby na fundamencie rozumu bóstwom poezyi stawiali ołtarze, ażeby mieli duszę własną a nie pożyczoną, ażeby tém byli w pieśniach, czem są w życiu, ażeby łez nie zmyślali nigdy—„bo to zbrodnia!“ W poczuciu wielkiéj potęgi, jaką na umysły wywiera prawdziwa poezya, nie chce zezwolić na praktyczne zastosowanie znanego wykrzyknika: taki wieszcz, jaki słuchacz, i zześrodkowaną siłą przekonania i obrażonéj dumy poetyckiéj upomina poetów: „niech tłum do was się stroi, a nie wy do tłumu,“ zarzucając im równocześnie, że z ich lutni „rzadko płyną te dźwięki, co są życia echem.“

„Czyż nie umiecie—powiada do nich—śmiać się naturalnym śmiechem i naprawdę być gniewni, pragnący lub smutni. Czemu maską aktora lica swe kryjecie? Czemu więzicie w piersiach uczuć zapał szczery?“ A dla wskazania im drogi i pokrzepienia w nich wiary w czarodziejską siłę natchnienia, odwołuje się do świetnéj poetyckiéj przeszłości:

Czemże Homer potężny? czemże Szekspir wielki!
Lud ich czci, bo mu własne odgadują życie;
Kocha ich, bo w ich *strofach* (?) słyszy serca bicie;
Ich muzy—to kapłanki, a nie wichrzycielki!

A czyż w teraźniejszości nie ma już sposobu przeniknięcia do dusz ludzkich?

Wobec zobojętnienia i apatyi, akcentuje p. Gomulicki wpływ poezyi na rozbudzenie ducha, na wywołanie zapału, na ukojenie i uświęcenie wielkiéj boleści:

Lubię krzyk namiętności, kiedy się wyrywa
Z ust poety, namysłem niespętanych jeszcze;
Lubię słowa, co w piersiach obudzają dreszcze,
Dla tego, że je miłość zrodziła prawdziwa;
Lubię gniew tytanowy, co nie drży przed niczém
I Helikon rozburza, jak lichą garść ziemi;
Lubię boleść, gdy łzami przemawia krwawemi;
Lubię zapał ze złotém od gromów obliczem.

Poeta potrafi „wstrząsać“ ludzi pieśniami natchnionemi, potrafi ich za sobą pociągnąć, jeżeli sam „uczuciem jak wulkan wybucha,“ bo jak „świat z lawy wulkanicznéj poznaje głąb' ziemi,“ tak „z krzyków namiętnych“ poety „pozna głębie ducha.“

Wpatruj się w objawy życia i bądź sobą!—oto w streszczeniu rady i wskazówki dane przez Gomulickiego poetom w odpowiedzi na pytanie: gdzie piękno. Rady—to zdrowe, a jakkolwiek ich nowość dosyć jest stara, nic to wszakże nie ujmuje ich trafności, tém bardziéj, iż tak są sformułowane, że ze strony rozumu analitycznego nie napotykają opozycyi. Czy autor miał je na pamięci wówczas, gdy sam tworzył w różnorodnych i różnoczesnych usposobieniach ducha? Na to pytanie odpowiedziéćby można w sposób określony wtedy, gdyby się znało dokładnie psychiczny rozwój poety. Obecnie, mając przed sobą zbiorek poezyj wybranych zapewne przez samego autora, który naturalnie chciał się publiczności przedstawić jak najlepiéj i dlatego pominął prawie wszystkie dawniejsze utwory, a pomieścił głównie te, co powstały w dobie dojrzalszéj, musimy się ograniczyć do zaznaczenia faktu, iż w tym zbiorku widnieje staranie o urzeczywistnienie tego ideału, jaki poeta swoim spółtowarzyszom postawił.

Nie znaczy to oczywiście bynajmniéj, iżby ton i nastrój w tych 43 utworach, jakie w zbiorku wydrukowano, był jednostajny; owszem pod tym względem panuje tu rozmaitość dość znaczna: są rzeczy smutne i wesołe, poważne i lekkie, sarkastyczne i pogodne, rozumne i trzpiotowate. I nic naturalniejszego; liryk śpiewa, gdy ma ku temu jakąś pobudkę; od rodzaju pobudki i od chwilowego usposobienia zależy rodzaj utworzonéj pieśni; jak się nie tworzą ryczałtowo, tak też nie mogą być ocenione należycie, gdy się je odczytuje jednę po drugiéj wśród tegoż samego usposobienia i otoczenia. Ale mimo to wszystko, jest coś, co pieśni te z sobą łączy, co je cechuje znamieniem wskazującém, że one wyszły z takiéj a nie innéj duszy. I to coś spólnego nie polega jedynie na frazeologii poetyckiéj i toku wiersza, tkwi ono głębiéj, bo w umyśle i sercu poety; nie potrzebuje być ono czemś ściśle i dokładnie określoném, jakimś stałym poglądem na stosunek poety do świata i ludzi, sama już bowiem nieokreśloność może się stać cechą znamienną twórczości poetyckiéj.

Jakąż jest ta cecha w utworach p. Gomulickiego? Nie jest nią optymizm, bo poeta jasno i wyraźnie oświadcza („Z listu"), że pragnął wprawdzie gorąco wejść na ten wygodny gościniec, wiodący ku przybytkowi, gdzie „bóstwo harmonii króluje widomie, niebo jest stropem, listki róż podnóżem, a cichy pielgrzym, który po nim kroczy i depce kwiatów stufarbne kobierce, ma błękitami napojone oczy i w świetny kryształ zakrzepnięte serce;"—lecz niestety! napróżno, gdyż dotąd po ostrych musi brnąć kamieniach, dotąd bolą go niespłacone winy i życie ofiarnicze, a nie widząc szczytu ludzkiéj doli, nie wie, czy w mroku ginie czy w błękicie:

I już przed śmiercią nie zakończę boju,
I już przed grobem nie znajdę spokoju;
Zawsze mi twardą będzie ziemska gleba,
I fałszywemi ziemskiéj pieśni tony;
Bo wiem, że aby w zgodzie niezmąconéj
Żyć z przeznaczeniem bliskiém i dalekiém
I aby nie drżéć... na to być potrzeba
Czémś mniéj, czémś więcéj, lecz już—nie człowiekiem!

Mimo jednak tego przejęcia się nędzą ludzką i dysharmonią zjawisk społecznych, poeta nie popada w drugą ostateczność, nie staje się pesymistą. Czy kotwicą ocalenia jest dla niego wiara w opatrzne rządy Boga, jakby wnosić można z „Modlitwy“ i z kornéj rezygnacyi wyrażonéj w wierszu „Bóg tak chce!“; czy téż silne przywiązanie do życia i chęć korzystania z jego uciech, których istnienie poeta uznaje, jakby to wynikało z paru anakreontycznie podkasanych wierszyków, a mianowicie z tego, co ma napis „Piosenka,“— dość, że autor, choć cierpi i boleje nad nieszczęściami ludzkiemi, choć niekiedy od rozpaczy ledwie obronić się może, nie bajronizuje ani hartmanizuje, poczytując dobro i zło, zło i dobro za jednakowo i równomiernie rozwinięte w świecie pierwiastki. Nie może atoli przyjść do jakiegoś filozoficznego ukojenia, chociaż wie, że szukać go można w rozważaniu wiecznotrwałych a zawsze jednostajnych zjawisk przyrody („Fragment“ str. 108, 9); gdyż wyobraźnia jego jest zbyt niespokojną a uczucie zbyt żywe; woli więc poddawać się wrażeniom, aniżeli panować nad niemi, woli na przemian śmiać się i płakać, aniżeli patrzéć na wszystko apatycznie, lubo spokojnie. Zyskuje na tém jako poeta; odczuwa sympatycznie boleści i radości cudze i barwny, bezpośrednio z życia wzięty wyraz nadać im umie.

Nie wszystkim, co prawda, w jednakowym stopniu. Najchętniéj, bo najczęściéj maluje p. Gomulicki uczucie miłości, z jego strony marzycielskiéj wśród pięknego, spokojnego, ale zwykłego otoczenia natury. Piękno przyrody i czar uczucia zlewają się w jednę całość jakiegoś cichego marzenia, w którém wszystko nabiera niewysłowionego uroku i wszystko inném, lepszém, milszém się wydaje aniżeli zazwyczaj. Miękkiemi, łagodnemi barwami odtwarza poeta takie objawy; a ta zgodność formy z treścią nadaje tym utworom cechę artystycznego wykończenia, które każe zapomnieć, że temat i motywa są już wielce stare. Do takich uroczych liryków należą przedewszystkiem „Czary,“ a potém „Chloe,“ „Nie odchodź,“ „Zbudź się i słuchaj,“ „Anielskiéj,“ „Marmurowéj,“ „Co mówi poranek,“ a po części także dłuższy poemacik „We dwoje.“ Namiętnego upojenia i szału rozkoszy nie lubi przedstawiać autor, chociaż tam gdzie tego przedmiot z konieczności wymagał, jak np. w wierszu poświę-

conym Henrykowi Siemiradzkiemu, poeta nasz potrafi odtworzyć plastycznie scenę wyuzdanéj rozpusty.

Dowodzi to, że obok miękkości i łagodności pędzel p. Gomulickiego posiada téż siłę, tylko że autor używa jéj oszczędnie. Dowód téj siły najznakomitszy w kierunku patetycznym złożył w wierszu p. n. „El mole rachmim.“ Poeta przypatruje się weselu żydowskiemu na śmieciach; przed nim brudna miejscowość, brudni i pospolici ludzie; według tego pierwszego wrażenia maluje obrazek realistycznie wierny, wszyscy wydali mu się istotami zwykłemi, „co strzegą z równą pilnością bród swych, jak wiary i mienia.“ Wtém zabrzmiał śpiew na nutę pogrzebową, gdyż oblubienica była sierotą. Z początku pieśń płynęła spokojnie niosąc do stóp Pana ból serdeczny, powstrzymywany siłą rozwagi, potém przesiąkłszy smutkiem, który z grobów wieje, rosła w moc i już nie jednéj mogiły, lecz grobów miliona stała się głośną płaczką, która zawodziła nad kośćmi Izraela, po całéj ziemi rozsianemi i nad tém, że na grobach chwast porasta głuchy, i nad tém, że skarlały słabe synów duchy, i że tu noc niewoli tak długa, tak długa! .. A gdy śpiewak wspomniał świętą Jeruzalem i bezlitośne losów okrucieństwo, nędzę, prześladowanie, tułactwo i szczęście utracone nazawsze; to całe zebranie zawrzało ogromnym, beznadziejnym krzykiem. I wtedy nastąpiło téż przemienienie w oczach poety: nie widział już szpetnych plam na baldachimie, nie raził go Icek, nie raziło otoczenie. Podwórko zamieniło się w kwietną dolinę kędyś u stóp Libanu, pustynia powiewała tchnieniem rozpaloném, a palmy ochładzały wachlarzami z liści. Wszystko wyszlachetniało pod tchnieniem prawdziwéj boleści i jéj prawdziwego wyrazu w śpiewie. Poemacik ten jest doskonałym nawet pod względem szczegółów; jeden tylko wiersz ostatni mąci ogólne wrażenie. P. Gomulicki z rozmysłem widać powtórzył tu z małą zmianą ten sam wiersz, który w części pierwszéj, przed śpiewem, umieścił. Tam malując z dobroduszną ironią obrazek podwórka żydowskiego, powiedział, że „niebo od gwiazd błyszczało jak szabaśnik złoty“ i porównanie to zupełnie odpowiadało nastrojowi, ale gdy po owém poetyczném przemienieniu, znowu czytamy, że „gwiazdy tak błyszczały jak szabaśnik złoty,“ czujemy fałsz psychiczny; wśród podniosłego nastroju porównanie to staje się trywialném; gdy się wszystko uidealizowało, niepodobna, ażeby ten jeden szczegół pozostał niezmienionym.

Dobrym jest także wiersz z okoliczności grudniowych gwałtów r. z. napisany p. n. „Głos zelżonego,“ tylko że w nim przemaga swada retoryczna nad poetyczném obrazowaniem.

Niekiedy autor przerachowuje się w użyciu środków patetycznych. Za przykład posłużyć może „Pustkowie.“ Prawda, że w tym wierszu znajdujemy wiele pięknych obrazów, lecz ich obfitość szkodzi jednolitości wrażenia; osobno wzięte są ładne, razem połączone gmatwają się. Błąd-to znaczny; większy jednak jeszcze tkwi w téj przesadzie, z jaką autor myśl swą główną, grozę pustego serca, przeprowadzić usiłuje. Stara się poeta dobrać barw jak najczarniejszych, jak najbardziéj ponurych; a w tém staraniu nie widzi sprzeczności powstających pod jego piórem. Odmalowawszy okropności wojny, téj „konwulsyi ludzkości,“ sili się na wykazanie, że straszniejszą jest cisza, bo tą ciszą jest rozpacz, jest grób; nie spostrzegając, że takich rozpaczy i takich grobów dostarcza właśnie w wielkiéj ilości wojna. Po takim kontraście obraz opuszczonego domu, który niegdyś ożywiały gwary ludzkich głosów i śmiechy szczęścia rodzinnego, już nie może zrobić wrażenia, już jest za słaby, nie dlatego żeby słabo był malowany, bo owszem sam w sobie jest wielce udatny, lecz dlatego, że następuje po daleko jaskrawszym. A w zestawieniu z innym wierszem noszącym napis „Pod toporem,“ gdzie „obraz pustki po lesie wyciętym“ poczytuje autor za smutniejszy od obrazu „ławeczki małéj, co pomni zmarłéj kochanki pieszczoty,“ prawdziwość uczucia, które natchnęło „Pustkowie,“ podlega pewnemu zakwestyonowaniu, tém bardziéj, że ów wycięty las sprawia na poecie smutne wrażenie nie ze względu na dobro ogólne kraju, lecz ze względu na „bóle drzew“ zawodzących pod toporami płacz wielki... To już chyba romantyczny sentymentalizm.

Podobne zalety i podobne wady mają u p. Gomulickiego objawy siły w kierunku satyrycznym. W zbiorku obecnym jest jeden wyborny obrazek „Syna obywatelskiego,“ odwzorowany widocznie z natury, bez przesady, poprostu, a z werwą, i jest drugi obrazek „Czarnéj damy“ t. j. dewotki i hipokrytki, skreślony z pewną afektacyą żółciową, która odbiera donioslość pociskom satyrycznym, gdyż osobę ludzką w karykaturę przemienia, chociaż poeta zamiaru tego zapewne nie miał.

Gdy odszczególnimy jeszcze dwa utwory. „Z niskich lotów,“ będący wymownym wizerunkiem nędzy, i „Na kanonii,“ gdzie znów biéda z wesołéj przedstawiona strony, i opromieniona uśmiechem ironii z saméj z siebie, to załatwimy się ze wszystkiém, co w zbiorku pod względem psychicznym na bliższe zastanowienie zasługuje.

Pod względem kompozycyi p. Gomulicki jest panem siebie w drobnych utworach, które obrabia jak cacka; w większych natomiast nie obmyśla dokładnie następstwa okresów i daje się unosić

swobodnemu kojarzeniu się wyobrażeń, ale i tu łatwo mu przyjdzie zawładnąć trudnościami, jak to już zrobił w „El mole rachmim.“ Co do dykcyi, to ta, wykształcona na poezyach Słowackiego, zawsze jest wykwintna, czasami tylko zbyt wymuszona; obrazowość polega nie tyle na plastycznym rysunku, ile na doborowych przenośniach, któremi osłania nawet retoryczny nastrój, będący u dzisiejszych poetów tak częstém zjawiskiem. Wiersz wszędzie poprawny, a rymy bez zarzutu; język czysty i prawdziwie polski.

Wogóle mówiąc, zbiorek poezyj p. Gomulickiego sprawia bardzo dobre wrażenie i dobrze go rekomenduje wobec krytyki i czytelników, którzy poprzednio z rozproszonych po różnych czasopismach wierszy nie mogli sobie wyrobić dokładnego pojęcia o tym poecie, niezbyt wysokiego wprawdzie polotu, ale bądź-co-bądź prawdziwym poecie.

P. Chmielowski.

= **O nauczaniu historyi z powodu zamierzonéj reformy szkół średnich w Galicyi.** *Napisał Tadeusz Korzon.* (Warszawa, wydawnictwo redakcyi Rocznika Pedagogicznego, 1882, str. II i 26). Sejm galicyjski, uchwałą z 14 lipca 1880 zawezwał Wydział Krajowy, Radę Szkolną i Akademią Umiejętności do wygotowania referatów, któreby posłużyć mogły za materyał przy dyskusyi nad naglącą reformą szkół średnich.* Uchwała ta spowodowała następnie utworzenie komisyj, mających na celu załatwianie sprawy przez sejm wskazanéj. Komisye te znowu, z których jedna zorganizowana była przez zarząd Akademii Umiejętności, a druga przez zarząd Towarzystwa Pedagogicznego, rezultat narad swoich ogłosiły w odpowiednich „Sprawozdaniach.“ Sprawozdanie komisyi akademickiéj, do któréj wchodzili profesorowie uniwersytetu i nauczyciele gimnazyalni, jest obszerne i szczegółowe; sprawozdanie zaś komisyi, przez Towarzystwo Pedagogiczne utworzonéj, jest krótkie i zwięzłe; w poglądach znaczna między niemi zachodzi różnica. P. Korzon rozpatrzył krytycznie jeden z działów obu tych sprawozdań, t. j. referaty odnoszące się do nauczania historyi; głównie jednak zajął się krytyką sprawozdania komisyi akademickiéj, gdyż w niém widział najwięcéj błędów zarówno pod względem samego pojęcia dziejów jako też sposobu traktowania nauki téj w szkole. W szczegółowym rozbiorze wykazuje autor wiele niejasności i sprzeczności w zasadniczych pojęciach, wytyka skrzywione tendencyą czasową wskazanie celu, któremu nauka dziejów w szkole służyć winna. Zapowiedziawszy w sposób zresztą wielce zawiły, że „zadaniem nauki historyi winno być przyswojenie zrozumienia głębszego bez ryczałtowego

sądzenia *z punktu pewnéj doktryny* wielkich religijnych, politycznych i społecznych zagadnień, wstrząsających ludzkością, przejęcia młodzieży uszanowaniem dla tych spraw wielkich;" komisya akademicka sama niebawem daje dowód zapatrywania się na dzieje z punktu pewnéj wyłącznéj doktryny, gdy oskarża „zdawkową teoryą postępu historycznego," jakoby okadzała „z czołobitnością każdy sukces od reformacyi do Ludwika XIV, od Ludwika XIV do Fryderyka W-go, rewolucyi francuskiéj i Napoleona, pozostawiając *państwo austryackie* w obozie zacofanych i zwyciężonych." P. Korzon wymienia pisarzy trzymających się owéj „zdawkowéj teoryi postępu," którzy sukcesu jako sukcesu bynajmniéj z czołobitnością nie okadzali... W dalszym ciągu swego wywodu komisya akademicka daje znakomitą próbkę swéj bezstronności, domagając się, aby podręcznik do dziejów był wyniesiony „po nad zdawkowe teorye dzisiejsze..." lecz za to „państwu austryackiemu szczerze przychylny," z „interesem państwa austryackiego" zgodny. To jedna strona tendencyjnego wykrzywiania pojęć, strona polityczna, ale jest druga—dogmatyczna. Komisya pragnie, ażeby w wykładzie dziejów konsekwentnie przestrzegano „średniowiecznéj tradycyi katolickiéj," a przewidując — jak mówi p. Korzon — częste kolizye z materyą naukową, chce ubezwładniać porywy krytyczne umysłów rozpaczliwym środkiem, bo „wpajaniem przekonania o zmienności i niedokładności teoryj ludzkich." Zapomniała widać komisya w swéj gorliwości, że doradzanie dzisiaj takiego środka może pociągnąć za sobą najszkodliwszy wpływ na młode umysły i to właśnie w zakresie idej, które ugruntować-by w nich pragnęła; bo tak samo teorye teologiczne jak teorye „zdawkowego postępu" są dziełem tegoż umysłu ludzkiego, którego omylność i zawodność ma być wykazywana... Dopełnieniem obu wskazanych tu tendencyj jest postulat komisyi, następnemi wyrażony słowy: „Stałe książki i teksty stanowić powinny drogoskaz obowiązku nauczyciela; pod surową odpowiedzialnością i *utratą posady* niéma mu być wolno odbiegać od miary, treści i metody nauki *z góry zarządzonéj;* ci, którzy tego z swojém sumieniem lub przekonaniami pogodzić nie mogą, nauczycielami być nie powinni." Przepis taki zupełnie jest zrozumiały, jeżeli za cel wychowania i nauczania postawimy wytresowanie zwolennika dla pewnego stronnictwa, ale wyda się dziwnie despotycznym, jeśli celem edukacyi będzie wykształcenie człowieka-obywatela. Jednostajności myśli i przekonań nie wywołuje się postrachem, który natomiast jest doskonałym środkiem do wytworzenia obłudników. Błogie, zaiste, owoce dla przyszłości przyniosłaby szkoła, gdyby jéj rządy w ręce hipokryzyi się dostały!... *Caveant consules!..*

= *Dr. A. Schaeffle.* **Kwintesencya Socjalizmu.** *Przełożył z ósmego wydania niemieckiego Henryk Konitz kand. prawa.* Warszawa u Lesmana i Świszczowskiego 1882 str. 67. Dr. Schaeffle, o którego wielkiém dziele socyologicznén zdawało już sprawę pismo nasze (1) chcąc dać poznać szerszej publiczności wyniki swych badań nad teoryami socyalistów, jeszcze w r. 1874 streścił je i wyłożył popularnie w artykule dziennikarskim ogłoszonym wtedy w piśmie „Deutsche Blätter;“ artykuł ten wydany potém w oddzielnéj broszurze, czytany był chciwie przez Niemców i doczekał się już wielu wydań; spolszczony obecnie, niewątpliwie pobudzi ciekawość naszéj publiczności. Autor stara się jasno przedstawić teoretyczne zasady socyalizmu wedle dzieł najpoważniejszego ich przedstawiciela K. Marxa, odrzucając zaś a raczéj lekceważąc wszystko co do propagandy socyalizmu domięszały namiętności zbyt gorących apostołów, uniesienia walki stronnictw, lub fantazya nie wytrawnych umysłów, usiłuje wyjaśnić ekonomiczne i prawne zasady czystéj teoryi socyalizmu, bada o ile one z naturą ludzką i życiem społecznéм pogodzić się mogą, wyprowadza z nich jedynie tylko ściśle logiczne konsekwencye i dochodzi do wniosku: że większa część pojęć socyalistycznych dałaby się zastosować do życia wśród dzisiejszych społeczeństw, o ileby pojęcia te mogły zmodyfikować się w sposób dający dostateczne gwarancye nienaruszania wolności ludzkiéj, tego najcenniejszego dorobku cywilizacyi nowożytnéj. Broszura ta, zatytułowana „Kwintesencya socyalizmu,“ jest nie tylko bardzo ciekawą, ale w wysokim stopniu pouczającą; kogóż bowiem dzisiaj nie zajmie i nie zaciekawi socyalizm, a gdzież lepiéj poznać go można jeśli nie w wykładzie uczonego, który obok jawnéj sympatyi dla nowo głoszonych zasad ekonomicznych i prawnych, ze stanowiska swego społecznego i dla saméj już powagi naukowéj musi się trzymać podstaw życia realnego i zbyt wysoko w obłoki fantazyi nie ulatuje. Tylko że w kwintesencyi takiéj, każda kropla ma swoję wartość, każdą więc cenić i szanować należało, czego jednak tłómacz nie zrobił. Nie umielibyśmy powiedzieć czy zbyt lekkie traktowanie przedmiotu, czy może zbyteczne usiłowanie oddania każdego niemal słowa autora stały się powodem wielu wyrażeń niedokładnych a nawet niejasnych, do zrozumienia trudnych. Pojmujemy wszystkie trudności takiego tłómaczenia, bo ani terminologii ekonomicznéj ustalonéj nie mamy, ani łatwém być może przez cztery arkusze druku utrzymać się w sferach abstrakcyi, zachowując plastyczność stylu; samo zresztą konieczne powtarzanie niemal w każdym ustępie wyrazów: *społeczny*, *socyalny*, *publiczny* w znaczeniu, z którém publiczność nasza mniéj jest oswojoną, już jasność wykładu gmatwać musi. Jednakże wszystkie te trudności przy usilném

(1) r. 1877 T. I. str. 214 i 1882 T. III str. 564.

staraniu tłómacza dałyby się przezwyciężyć i nie usprawiedliwią wyrażeń, które niekiedy zrozumiéć trudno, ani dają prawa do zmodyfikowania myśli autora. Nie można pisać że: „*krytyka kapitału* jest głównym duchowym wstępem ruchu w obecnym stadyum“ (str. 11), kiedy autor mówi „geistliche Vorarbeit der Bewegung.“ Niewypada Marxa nazywać „najumiarkowańszym teoretykiem socyalizmu“ (str. 12), bo „der massgebendste“ nieznaczy tyle co najumiarkowańszy. Nie należy wyrazów „öffentlich-rechtliche Gliederung“— tłómaczyć przez „ogólnie prawny podział“ (str. 23). Dlaczego w przyszłém urządzeniu socyalistów „mieszkania prywatne łącznie z zamkniętém życiem rodzinném byłyby najzupełniéj wyłączone“ (str. 58), kiedy Schäffle właśnie przeciwnie twierdzi, że zgoła nie byłyby wyłączone, „wäre mit nichten ausgeschlossen“ (ed. 2 str. 60). Te i tym podobne usterki jeżeli utrudnią trochę czytanie przekładu—nie powstrzymają zapewne publiczności od chęci wyrozumienia saméj treści teoryi socyalizmu współczesnego.

= **Sprawozdanie z konkursu na najlepsze dziełka ludowe**, ogłoszonego przez komitet Wydawnictwa dziełek ludowych we Lwowie, dnia 27 marca 1882 r. z terminem 1-go lipca b. r.

Nadesłano do konkursu 42 rękopisy. Pierwszą nagrodę w kwocie 150 złr. w. a. przyznał Komitet na posiedzeniu dnia 10 lipca b. r. za dziełko pod tytułem: „Stary Grzegorz“ napisane przez Józ. Hopcas z Krakowa. Drugiéj nagrody nikomu nie przyznano. Natomiast uchwalił Komitet nabyć 5 dziełek polskich (1. Powrót z wojaczki. — 2. Jak ochraniać zwierzęta gospodarskie od chorób. — 3. Rozmowy. — 4. Dobry syn.— 5. W miasteczku) i 2 ruskie: (1. Wandrówki życia. 2. Pijanstwo zahybel naroda (*) — po porozumieniu się z autorami. Nabyte prace będą drukowane nakładem Komitetu.

= Dnia 1 sierpnia wyszedł z pod prasy zeszyt XXXII-gi (8-my tomu III-go) **Słownika geograficznego polskiego**, i obejmuje opisy miejscowości od **Jelonek** do **Justynów**. Z pomiędzy artykułów obszerniéj opracowanych zasługują na uwagę: **Jezierzany**, **Jezierzyszcze**, **Jeziorki**, **Jeżewo**, **Jeżów**, **Jędrzejów**, **Jodłówka**, **Jordanów**, **Józefów**, **Judrany**, **Julianów**, **Junkrowy**, **Jurbork**, **i w. i.** Na literę **K.** redakcya posiada do 20,000 artykułów, spisanych blisko na 100,000 kartek. Uporządkowanie tego materyału zajmie pewien czas i dlatego zeszyt XXXIII-ci Słownika zamiast 1 września wyjdzie około 10 września. Tymczasem dla wiadomości współpracowników, opóźniających się dotąd z nadsyłaniem artykułów, donosimy, że druk litery **K.** rozpocznie się najpóźniéj 10—15 sierpnia r. b.

(*) Wzywamy niniejszem autora manuskryptu „Pijanstwo zahybel naroda,“ ażeby raczył podać swój adres do wiadomości Komitetu.

ODEZWA

Wydziału Towarzystwa archeologicznego

we Lwowie.

Towarzystwo archeologiczne we Lwowie założone już przed laty pracowało przez czas jakiś sprężyście, ale od lat kilku z rozmaitych powodów przestało dawać znaki życia; dziś zdaje się, że okoliczności zmienią się znowu na korzyść tegoż towarzystwa; jest uzasadniona nadzieja, że będzie miało środki materyalne niezbędnie potrzebne, za pomocą których będzie mogło podjąć pracę naukową, będzie mogło rozpoznać i opisać zabytki sztuki rozrzucone po naszym kraju, i będzie mogło grono członków swych i w ogóle miłośników sztuki lub starożytności zaznajomić z postępami, które archeologia poczyniła w innych krajach i u innych narodów. . . . .

Kiedyś może, będziemy mogli marzyć o tém, że wybudujemy tu we Lwowie przybytek dla pamiątek narodowych. Teraz stoi przed nami bezpośrednio inne zadanie. Za pomocą pisma peryodycznego spiszemy wszystkie pomniki, które posiadamy w kraju, rozpowszechnimy podobizny ciekawszych, zbadamy ich charakter, ich epokę, ich znaczenie, i dodamy przeto kilka nowych kart do historyi sztuki i do archeologii. A wiedząc co posiadamy, będziemy się starać wspólnemi siłami o to, by to nie przepadało, by umiejętna ręka tego nie psuła, i by rodzime tradycye odżyły w budownictwie, w snycerstwie i w przemyśle domowym, w których je teraz zastępują tuzinkowym, bezmyślnym, modnym wyborem. . . . .

Wzywamy tedy niniejszém wszystkich ludzi dobréj woli aby nam donosili o tém:

a) Czy niema w ich okolicy jakich okopów, mogił, albo innych dawnych robót ziemnych?

b) Czy niema jaskiń, w których by znachodzono narzędzia kamienne, kości skamieniałe, albo jakie ślady dawnego mieszkania ludzkiego?

c) Czy niema wałów, które lud nazywa horodyszczami, albo uroczyska (cmętarza starożytnego)?

d) Czy niema czy-to domu Bożego, czy-to innego budynku (resztek, ruin), którego początki sięgają przeszłego wieku, albo wieków dawniejszych?

e) Czy niema budowy drewnianéj nieco misterniejszéj, o któréj niewiadomo dokładnie kiedy została zbudowaną?

f) Czy niema ikonostasów, malowideł świętych, nagrobków, portretów, albo w ogóle sprzętów starożytnych?

g) Czy niema mszałów, starych ksiąg, dokumentów lub metryk, a mianowicie takich aktów, w którychby się można dowiedzieć o fundatorach i dobrodziejach miejsc świętych?

h) Czy niema starożytnych medalów, pieniędzy (na wotach).

i) Czy nieznane są w okolicy jakieś podania odnoszące się do robót ziemnych, albo do gmachów starożytnych? Jaka bywa ludowa nazwa tych zabytków?

k) Czy wreszcie niema jakich pamiątek po ludziach znakomitych, choćby byli żyli w naszém już stuleciu?

Z notycyi tak otrzymanych będzie towarzystwo archeologiczne układać w organie swym urzędowym spis pomników historycznych znachodzących się w kraju naszym. Nato by spis ten mógł posiąść zupełną naukową i urzędową wartość będzie rzeczą pożądaną i niemal konieczną by korespondenci zechcieli dawać dokładniejsze opisy, a gdzie to tylko będzie możliwém—i rysunki albo fotografie ciekawych zabytków. Pomniki opisane w urzędowéj publikacyi towarzystwa otrzymają tém samém prawo do opieki publicznéj i wyłączne prawo do restauracyi z funduszów krajowych, których niewolno według istniejących przepisów obracać na przedmioty nie objęte katalogiem dzieł sztuki i pomników historycznych, tam gdzie tylko wydawnictwo takiego katalogu rozpoczęto.

We Lwowie dnia 1 Czerwca 1882.

Wojciech Dzieduszycki
c. k. Konserwator pomników i Prezes Kraj. Towarzystwa Archeologicznego.

Karol Widmann
sekretarz Kraj. Tow. Archeologicznego.

Wydawca, **W. Spasowicz**.—Redaktor **Piotr Chmielowski**.

Z pamiętników Leona Dembowskiego.

XIII.

Na sam początek 1807 roku, bo na 1 stycznia powrócił Napoleon do Warszawy i zabawił tu teraz stale blisko przez cztery tygodnie. Urządzono mu wówczas coś w rodzaju dworu, a książę Aleksander Sapieha, ten sam który późniéj podróżował po Bośnii i Albanii i podróż swoję drukiem ogłosił, został naczelnym szambelanem. Darowano mu dobra Preny i jedyna to dotacya z liczby tych, które nadane przez Napoleona, odebrane następnie nie zostały.

Jeszcze kiedy Napoleon w Poznaniu bawił, brat jego, książę Hieronim, na czele kontyngensów związku reńskiego, z których utworzono 9 korpus, rozpoczął zdobywanie twierdz szląskich. Te choć dość liczne posiadały garnizony, brakło w nich wszakże żołnierza starszego, a szczególniéj kanonierów. Amunicyi téż niewielkie były zapasy, nie spodziewano się bowiem w Prusiech, aby teatr wojny tak prędko mógł się przenieść nad Odrę. Jeszcze więc 2 grudnia roku poprzedniego poddała się Głogowa, a Wrocławia w styczniu także dobyto, choć ks. Anhalt Plees, zebrawszy masy chłopstwa, usiłował mu przyjść na pomoc. Równie w styczniu Brzeg otworzył swe bramy, a w ciągu dalszych miesięcy poddały się Koźle, Świdnica, Nissa i Kladzko (Glatz). W lutym Bawarczyków, jako już do działania tutaj zbytecznych, odesłano do Warszawy. Mortier tymczasem oblegał Stralsund i zajmował Berlin. W styczniu utworzono nowy 10-ty korpus marszałka Lefebvre. Oprócz kilku pułków francuzkich z kraju przybyłych, złożyli go Badeńczycy i dwie polskie legie, to jest ośm batalionów Dąbrowskiego, sformowanych w Poznaniu i tyleż Zajączka, wystawionych w Kaliszu. Siły te skierowano ku ujściu Wisły, w Gdańsku bowiem generał pruski Kalkreuth stał z dosyć znacznem wojskiem.

Generała tego pamiętam dobrze, nabył on bowiem dobra w Lubelskiém—Łęczną i ile razy ją odwiedzał, zawsze do Puław na kilka dni wstępował. Urodzony 1737 r., należał on do szkoły Fryderyka II-go i w czasie wojny siedmioletniéj pierwszą swą praktykę wojskową odbywał. Późniéj pełnił obowiązki adjutanta przy bracie królewskim, ks. Henryku i posuwając się po stopniach, został generałem i grafem. Głównie zasłynął w kampanii francuskiéj — zdobył Moguncyą i pod Kaiserslautern odparł Francuzów. Po pokoju Bazylejskim wojskami w Pomeranii dowodził.

Wysokiego wzrostu, chudy, kościsty, z żoną bardzo do siebie podobną, tworzył on wraz z nią prawdziwą parę koczkodanów. Generał kawaleryi Kalkreuth nie stosował się do przyjętego w armii munduru, ale *antiquo more* nosił krój sukien z czasów Fryderyka II. Frak tedy błękitny z szerokiemi połami, do surduta się zbliżający, niziutki przy nim czerwony kołnierz i takież wązkie rabaty, sięgające do bioder. Guzy przy fraku olbrzymie, kamizelka kanarkowa niepospolitéj długości, spodnie łosiowe i buty palone z ogromnemi ostrogami. U boku szabla prosta na pasie rzemiennym czarnym, który spięty klamrą szmelcowaną, kamizelkę przecinał. Łysy zupełnie, z bocznych włosów splatał cieniutki harcap, który mu się aż do pasa zwieszał. Pani generałowa w kornetach łokciowych i w sukniach krojem z pierwszych lat panowania Ludwika XVI, ani na krok nie opuszczała staruszka i zawsze przy jego boku dreptała. Syn ich—poeta niemiecki.

Warszawa tymczasem wskutek pobytu tutaj Napoleona ożywiła się znacznie. Przybywały do niéj rozmaite znakomitości: książę Talleyrand ze swém biurem, ks. Bassano i z nim cały sekretaryat stanu, główna intendentura armii, sztaby i liczny garnizon. Ciągłe bale i wieczory nie ustawały prawie, a i Napoleon także w Zamku przyjmował. W tym to czasie zapoznał się on i zaprzyjaźnił z panią Walewską, z domu Łączyńską, świeżą i piękną blondynką. Znajomość ta jednak w téj epoce nie przekraczała po za granice towarzyskiéj zalotności.

Współcześnie pomyślano o ześrodkowaniu i uporządkowaniu władzy, pięć bowiem miejscowości: Poznań, Bydgoszcz, Kalisz, Warszawa i Płock, gdzie potworzono izby administracyjne, żadnéj w postępowaniu nie zachowywały łączności i rządziły się dotychczas podług własnéj chęci. Ustanowiony więc został główny zarząd na zasadzie instrukcyi, dnia 26 stycznia 1807 r. przez Napoleona podpisanéj. Był to rodzaj dosyć ciekawéj kolegialnéj dyktatury. Wszystkie postanowienia wydawano w imieniu Napoleona Wielkiego, cesarza i króla a władza téj magistratury była zarazem i prawodawcza

i wykonawcza, z tą różnicą, że prawa według paragrafu 8 nazywano *wyrokami*, a przepisy wykonawcze *uchwalami*.

Komisya ta rządząca składała się z siedmiu osób. Prezesem mianowany został były marszałek Stanisław Małachowski, a członkami: Ludwik Gutakowski prezes warszawskiéj izby administracyjnéj, Stanisław Potocki, Wybicki emigrant, Piotr Bieliński, Działyński— prezesi izb kaliskiéj i poznańskiéj i Walenty Sobolewski były starosta warszawski. Sekretarzem naznaczono Jana Łuszczewskiego, a za herb i pieczęć przyjęto Orła białego, nadając takież same znaki i innym dykasteryom.

Ministeryów ustanowiono pięć i na naczelników ich, zwanych dyrektorami, zamianowano: Feliksa Łubieńskiego dyrektorem sprawiedliwości, ks. Józefa Poniatowskiego dyrektorem wojny, Tadeusza Dembowskiego dyrektorem skarbu, Brezę — spraw wewnętrznych i Aleksandra Potockiego z Koniecpola — policyi. Wszyscy oni razem w pięciu składali gabinet *direktorium* zwany.

Izby administracyjne zatrzymano i nadal, za warunek tylko położono, żeby działały kolegialnie w komplecie dwunastu członków. Prowincye, któremi Izby te zarządzały, nazwano departamentami. Landratów skasowano, a na ich miejsce ustanowiono Izby powiatowe, z czterech członków złożone i także kolegialnie działające. Miastom przywileje ich zatwierdzono i zachowano prawo mianowania prezydentów i magistratów. W miastach prywatnych nominanacyą burmistrzów w ręce właścicieli oddano.

Zaprowadzono sądy pokoju patrymonialne do sądzenia spraw włościan z dziedzicami, miejskie, graniczne, ziemiańskie, sąd apelacyjny i trybunał najwyższy. Oddzielnych sądów kryminalnych nie ustanawiano.

Wychowanie powierzono Izbie edukacyjnéj. Co do duchowieństwa, zwierzchność nad nim oddano Dyrekcyi spraw wewnętrznych i nakazano modlić się za Napoleona. Bulle papiezkie bez pozwolenia rządu ogłaszane być nie mogly, a nominacya biskupów i kanoników także od rządu zawisły.

Chociaż Warszawa balami i zabawami świetniała, obraz tego, co się działo w kraju, rozdzierał serce każdego. Napoleon uwalniając prowincye polskie od kontrybucyi, jakie z Prus ściągano, w zamian bezpłatne żywienie swojéj armii zastrzegł. System rekwizycyjny zastosowano w całéj rozciągłości, a armia cała, za wyjątkiem 8, 9 i 10 korpusów, tudzież Bernadotta, skoncentrowana na Kujawach i w Płockiém, wymagała nietylko nadzwyczajnych ilości furażu, ale jeszcze rzeczy zagranicznych takich, jak: ryż, wino i t. p. Nadto niezliczona ilość podwód, do ciągłych transportów konieczna,

niszczyła i zabijała sprzężaj. Tworzenie siły zbrojnéj miejscowéj całą gotowiznę pochłonęło, wojska i system kontynentalny handel przyprawiły o ruinę, a ponieważ za produkta nie płacono gotówką, tylko do późniejszéj koekwacyi bony dawano, pieniądz więc stał się prawdziwą rzadkością. Tam gdzie wojsko przechodziło, bez litości zabierano wszystko, szukano nawet po lasach zakopanego zboża, administryacya zaś ze swéj strony nakładała coraz nowe podatki i rekwizycye. Komisarze mianowani wypłat pilnowali, a podług rozkazu z 5 marca 1807 r. polecono: „Cokolwiek wykaże się po folwarkach i chałupach wiejskich zbywającego od istotnych potrzeb gospodarskich, ma być zajęte na rzecz publiczną."

Pospolite ruszenie, nakazane przez wojewodę Radzimińskiego na 1 stycznia 1807 roku, dla którego punkt zborny pod Łowiczem wyznaczono, następnie zmienione trochę zostało. Z masy, którą zbierać mieli ustanowieni generałowie wojewódzcy, zaczęto formować regularne pułki jazdy, dodając je do piechoty, która umundurowana, w ewolucyach wojskowych trochę wyćwiczona i karabinami z Berlina uzbrojona, składała się z 12 pułków, wstępujących na linię bojową. Z pospolitego ruszenia dodano do niéj trzy pułki ułanów, broni we francuskiem wojsku nieznanéj i trzy pułki strzelców konnych.

Uregulowanie powinności dostawy ludzi oznaczyła Komisya Rządząca postanowieniami swojemi z dnia 20 stycznia, 12 i 24 lutego 1807 r. i na mocy ich siły te oddano pod rozporządzenie dyrektora wojny. Jeszcze zaś w miesiącu poprzednim zaczęto za zezwoleniem Napoleona formować pułk ułanów. Ten wzięto odrazu na żołd francuzki i późniéj do gwardyi cesarskiéj wcielono. Dowódcą jego naznaczono Wincentego Krasińskiego; o pomieszczenie tutaj najpierwsza młodzież polska się ubiegała.

Te wszystkie wysilenia kraj zubożyły okropnie i szczególniéj po wsiach nastąpiła tak straszna nędza, że wyobrażenia o niéj nawet zrobić sobie trudno.

Przy Komisyi Rządzącéj komisarzem czyli rezydentem francuskim zamianowany został p. Vincent, a szczególnym zbiegiem okoliczności tak samo się nazywał austryacki rezydent do Warszawy przysłany. Austrya nadto oprócz swojego p. Vincent poleciła hr. Neupergowi, dowódcy tak zwanych *Kaiser-Husaren*, w Okuniewie konsystujących, stale w Warszawie przemieszkiwać.

Po bitwach Pułtuskiéj i Gołymińskiéj dowództwo nad wojskami rosyjskiemi Kameńskiemu odjęto i naczelnym wodzem zamianowany został Beningsen. Ten ściągnął do siebie dwie dywizye, które bezczynnie nad Bugiem w Popowie stały i idąc ku Tykocinowi, w koń-

cu stycznia wkroczył w głąb Prus Wschodnich. Nad rzeką Omulewem zostawił dwie dywizye świeżo z Litwy przybyłe pod Essenem, a Francuzi, których czaty koło Ostrołęki były wyciągnięte ani przypuszczali, widząc kręcących się kozaków, że strony te przez główne siły rosyjskie są już opuszczone. Marszałek Ney, który za furażowaniem głęboko do Warmii się zapuszczał, pierwszy dowiedział się o tych ruchach i o wielkiéj sile Rosyan 26 stycznia do Warszawy doniósł. Cesarz przypuszczając, że nowe walki bliskie, 30 stolicę opuścił i wszystkie korpusy z zimowych leż poruszył. Warszawę zajęli Bawarowie, komendantem zamianowany został adjutant cesarski Lemazois, a Pragę obsadzono polskimi zaciągami.

5 korpus marszałka Lannes, który chorobą złożony od miesiąca w Warszawie przebywał, oddano generałowi Savary, późniejszemu księciu Rovigo i nad Omulewem go zostawiono, inne ku Allensteinowi w Warmii zbierać się miały, Bernadotte zaś nad dolną Wisłą obozujący, miał się cofać aż ku Toruniowi. Tak w dniach kilku front wojska całkiem zmieniono i z kierunku wschodniego zwrócono ku północy, wkraczając w kraj żyzny, w miasta obfity i klęskami wojny dotąd nie wyczerpany. Zima ustaliła się także, lekki śnieżek utarty zrobił drogi wyborne i dawnych błot ani śladu nie było.

Napoleon 30-go nocował w Przasnyszu, a 31 z Wielbarka wysłał rozkaz do Bernadotta, zalecając mu ruch już wspomniany. Nieszczęściem, oficera, wiozącego depeszę, kozacy ujęli i Beningsen dowiedział się nietylko o przeznaczeniu Bernadotta, ale i o położeniu innych korpusów i całym planie Napoleona. Przypuszczać by było słusznie, że po wypadkowém odkryciu zamiarów rzuci się naprzód na Bernadotta i korpus jego rozbije. Beningsen jednak postanowił zatrzymać się na miejscu, aby pojedyncze nadchodzące korpusy chwytać. Tymczasem wojska francuskie 2 i 3 lutego w Allensteinie spoczywały, a wieczorem tegoż dnia Soult most pod Bergfried zdobył. 4-go zajęto Gutstadt, 5-go Ney, przerzuciwszy się pod Deppen przez Pasargę, spotkał się z generałem Lestok, ten jednak bitwy nie przyjął, ale uratował się, dając na zniszczenie cały oddział do zasłaniania jego przeznaczony. 6-go Rosyanie opuściwszy Heilsberg, stanęli w Landsberg i zajęli Hoff z mocnym zamiarem nie oddania téj pozycyi. Spędzeni ztąd atoli cofnęli się do Preussich-Eylau. Beningsen tu stanął 7-go, przednie czaty zostawiwszy w Ziegelhoff pod wodzą Bagowuta i Barclaya de Tolly. Wieczorem kawalerya Murata i korpus Soulta zaatakowały tę wioskę, a spędziwszy awangardę, zajęły miasto Eylau. Rosyanie uporczywie go bronili, tak, że prawie każdy dom i ulicę zdobywać było trzeba, a nie mogąc gwałtownemu atakowi Francuzów się oprzéć, ustąpili za miasto i zaraz

za nim obóz rozłożyli. Widząc to, Napoleon wysłał do marszałków Neya i Davousta rozkazy, ażeby co prędzéj tu dążyli. Davoust znajdował się o mil trzy pod Bartensteinem i odpowiedział, że z pewnością zrana się stawi, co do Neya, ten stoczywszy bitwę z Lestokiem, był w owéj chwili pod Kreuzburgiem i nie mógł wcześniéj jak na wieczór przybyć. Tym sposobem Napoleon rozporządzał swemi gwardyami, kawaleryą Murata, korpusami Soulta i Augereau. Wszystko to razem stanowiło jedynie 54, a z Neyem 68 tysięcy wojska, które zmniejszoném zostało znacznie, gdyż z powodu forsownych marszów wiele zostało maruderów. Rosyanie z Prusakami liczyć się mogli razem na 85,000, ale po kilku wspomnionych bitwach zredukowani byli do 75,000. W artyleryi wszakże mieli wielką nad Francuzami przewagę.

Rano 3 lutego uszykowały się wojska wśród równiny na któréj jedyną wyniosłość zajmowało miasto, z większym wzgórkiem, gdzie znajdował się kościół i cmentarz obmurowany. Rosyanie uszykowali się w dwie linie niezbyt od siebie odległe, na czele ustawiono trzysta dział, w tyle po skrzydłach stanęły dwie ścieśnione kolumny piechoty, a w środku za liniami znajdowała się rezerwa artyleryi i część jazdy, któréj reszta rozdzieliła się między dwa skrzydła. Napoleon sam ze sztabem stanął na cmentarzu, Soult zajął miasto, dotykając jedną stroną młynów, drugą cmentarza, a jedna jego dywizya rozlokowała się po za cmentarzem wiosce Rothenen. Za nim marszałek Augereau, a daléj jeszcze w tyle gwardya i kawalerya. Działa także na froncie były uszykowane. Rozpoczęła się bitwa straszliwa. Dział 500 na nierozległéj stosunkowo przestrzeni ustawionych sprawiało huk taki, iż wszystko trzęść się zdawało, a miasto Eylau i wioska Rothenen ogniem się zajęły. Obydwa wojska stały nieporuszone, choć straszne spustoszenia w szeregach ich działa sprawiły. Pierwsi Rosyanie w ściśniętéj kolumnie uderzyli na koniec prawego skrzydła, ale odparci zostali. Koło 9 dały się słyszeć strzały karabinowe, to Davoust przybywał, atakując prawe skrzydło pozycyi rosyjskich. Napoleon wysunął korpus Augéreau i kazał mu także na toż prawe skrzydło uderzyć. Nieszczęśliwy ten korpus w wykonaniu tego ruchu przez zamieć śnieżną otumaniony, podsunął się pod rosyjskie bateryе, a skorzystał z tego Beningsen i sypnął kartaczami z 72 armat. Większa połowa jego od razu poległa, a w tejże chwili kolumna jazdy silnie nań natarła. Cofał się marszałek Augéreau na cmentarz, a sam ranny, surowo wyrzucał cesarzowi, że stał się powodem tak dotkliwéj straty. Chwila była krytyczna, wszyscy otaczający cesarza zadrżeli, bo przez usunięcie tego korpusu z placu boju siły Francuzów stawały się pokilkakroć mniejsze

i całéj armii groziła zupełna porażka. Napoleon jednak krwi zimnéj nie stracił i kazał kawaleryi Murata wstrzymać atak rosyjski. 84 szwadrony zaledwie zdołało odeprzéć tłoczącą się kolumnę. Tak gdy ciągle zwycięstwo się waży, przybywa Rosyanom w pomoc Lestok. Zguba Francuzów zdawała się nieunikniona, kiedy nagle zjawia się marszałek Ney i świeżemi swemi siłami, oraz przytomnością umysłu wszystko ratuje. Rosyanie nie ośmielają się więcéj atakować, ale owszem, cofają się i za Preglem ustawiają się na nowo. W strasznéj téj bitwie obie strony przypisywały sobie zwycięstwo, ale właściwie żadna nie zwyciężyła. Na placu legło około 40,000 trupa i kilkanaście dział rosyjskich zdemontowanych zostało. Książę Rovigo w pamiętnikach swych twierdzi, że rzeczywiście żadna strona nie zwyciężyła, ale jeżeliby oceniać skutki bitwy, to Francuzi przegrali, gdyż nie byli w stanie uskutecznić żadnego ruchu i gdyby Rosyanie odnowili atak, znieśliby ich zupełnie. Nie skorzystał z tego Beningsen i czekał dwa dni póki Bernadotte nowemi siłami osłabionéj armii nie wspomógł.

W każdym razie bitwa Eylauska miała te dla Napoleona zyski, że mógł się on rozłożyć wzdłuż Pasargi w kraju żyznym i był pewny, że osłabieni Rosyanie długo go atakować nie będą. Kwaterę swą główną założył w Ostrudzie, a późniéj w wiosce Finkelstein. Korpus Augéreau z powodu poniesionych strat rozwiązać musiano.

My tymczasem w Puławach, nie rozrywając się jak dawniéj zabawami, całą uwagę zwróciliśmy na polityczne wypadki i chciwie łowili wszelkie nowiny. Dawniéj wiele osób z naszego kółka na przejazdy do Warszawy posiadało pasporta roczne lub na komorze w Mniszewie było pewném, że przy ustalonych z urzędnikami za pomocą datków stosunkach, można zawsze uzyskać kilkodniowe pozwolenie przejazdu. Teraz wszakże, skoro teatr wojny zbliżył się do granic Galicyi, roczne pasporta skasowano a za przepuszczenie na komorach jak najsurowszą zagrożono odpowiedzialnością. Ci więc co do wojska mieli zamiar wstąpić przekradali się potajemnie, a o paszport starania trzeba było czynić w Wiedniu.

Mój ojciec z Grabowskim po długich trudach w drugiéj połowie stycznia pozwolenie uzyskał i w końcu tego miesiąca ruszyliśmy do Warszawy. Najważniejszy interes zobaczenia choćby zdaleka Napoleona, musiał spełznąć na niczém, bośmy go już w stolicy nie zastali. Kiedy jednak słońca na horyzoncie już nie było, trzeba się było kontentować obserwowaniem mniejszych gwiazdek, które niemniéj były ciekawe.

Pierwszą znakomitą osobą, którą poznać miałem sposobność, był książę Ludwik Bawarski, następca tronu, który późniéj otoczyw-

szy się artystami, założył najznakomitszą szkołę malarstwa i rzeźbiarstwa niemieckiego i stołeczne swoje Monachium cudnie pięknemi gmachami ozdobił. Wtenczas jednak, kiedym go poznał, nie można było się domyślić tych utajonych artystycznych zdolności, nawet skłonność do wierszopisarstwa, którą późniéj objawił, nie była w tym czasie widoczna. Dowodził on dywizyą Bawarczyków, ale tylko nominalnie, bo właściwie obowiązki te pełnił generał Wrede. Książę hołdował wtedy wdziękom panny Teresy Kickiéj i ustawicznie usiłował się tam znajdować, gdzie się ją zastać spodziewał. W domu téż Kickich go poznałem i kilka razy byłem z nim i z generałem Wrede na obiedzie. Średnio wysoki, szczupły, przystojny, blondyn, mowę miał utrudnioną, bo się dosyć jąkał, niemniéj przeto z powodu wykształcenia interlokutorem był przyjemnym. Wrede, późniejszy książę i feldmarszałek, rodem z Badeńskiego, był średniego wzrostu, dosyć otyły i bardzo małomówny.

Zaproszeni także zostaliśmy na wielki bal dawany przez Stanisława Małachowskiego, prezesa komisyi rządzącéj. Mieszkał on w swym pałacu na Krakowskiem Przedmieściu, który dziś do Krasińskich należy. Apartamenta jego górne i dolne zaledwie pomieścić zdołały wielką masę gości, a wszystkie znakomitości wojskowe i cywilne można tu było spotkać. Wrażenia moje były tak silne, że choć od tego czasu upłynęło już pół wieku, jednak wszystko jakby wczorajsze dokładnie mi się zarysowuje w pamięci.

Sam gospodarz niski, chudy, łysy, z twarzą zmarszczkami pokrytą, wśród któréj tylko ogromny nos orli — rodowa cecha Małachowskich—się wyróżniał, był już bardzo przyciśnięty wiekiem. Łysina opudrowana i z rzadkich resztek włosów opleciony cieniutki harcap. W stroju francuskim *en habit habillé*, z jednym rzędem kameryzowanych guzików, mało mówił i mało się ruszał. Liczył już wtedy siedmdziesiąt dwa lata.

Na krótką chwilę przybył na bal marszałek Massena, słynny wojownik i po Napoleonie do kierowania wielkiemi masami wojsk za najzdolniejszego powszechnie poczytywany. Od podoficera zaczął on swoję karyerę wojskową, a wieleż w tém pełném rozmaitości życiu prawdziwie bohaterskich czynów? Pomiędzy innemi dosyć wspomniéć słynne w roku 1800 w Genui oblężenie, które wytrzymał i Napoleonowi niém tryumf pod Marengo przygotował. Garnizon po wyjedzeniu wszystkich koni, psów, kotów i szczurów przez trzy dni rozgotowanemi trzewikami się żywił. Obecnie wracał z Neapolu, gdzie oblężeniem Gaëty kierował. Opowiadano, że Napoleon zazdrościł jego talentom, wierzyć jednak temu trudno i prawdopodobniejsze jest, że Massena zwykle w zdaniu uparty, narażał się

często, nie chcąc cesarzowi w wielu razach ustąpić. Obecnie miał lat pięćdziesiąt. Twarz śniada, podłużna, znakami ospy trochę poznaczona, włosy długo zapuszczone. Oczy małe, ale bystre, wzrost średni, figura szczupła, ale kształtna. Mundur marszałkowski, jaki miał na sobie, różnił się trochę od późniéj zaprowadzonego. Był to rodzaj fraka granatowego, na kołnierzu, klapach i kieszeniach bogato zahaftowanego złotem. W pasie przepasany był szarfą. Nie zdołałem go mówiącego słyszéć, raz dla tego, że go tłum wielki otaczał, a powtóre, że bardzo krótko bawił na balu.

Podobnież i marszałka Lannes zaledwiem zauważyć zdołał. Ten bowiem tylko co powstał z choroby, wysoki był blady, zmęczony i zaledwie się na salonach pokazał, zaraz odjechał do siebie. Za to książę Telleyrand, książę Bassano, p. Vincent, hr. Neuperg, poseł perski, towarzysze poselstwa tureckiego: p. Serpos i książę Maurocordato, zapełniali salony. Bal rozpoczęto polonezem a późniéj tańczono same tylko kadryle francuzkie, za przybyciem dopiero Francuzów wprowadzone. Dawniejsze bowiem zbliżały się więcéj do dzisiaj tak nazywanych *les lanciers* i nowy taniec dla odróżnienia od dawniejszego nazwano *contre-danse*. Na wzór Francuzów skakano w nich, wyprawiano piruety i *entrechats* i nie każdy miał odwagę w ten taniec się puszczać. Grecy z poselstwa tureckiego, w białe zawoje i bogate kaftany przybrani i wybornie po francuzku mówiący, najlepszymi byli tancerzami. Na tym balu także poznałem pułkownika Legrand, który miał więcéj jak lat sześćdziesiąt, a żadnego tańca nie pominął. Ożeniony jeszcze przed rewolucyą, szesnaście lat nie był w kraju i w Warszawie się dowiedział, że córka jego, któréj prawie nie znał, wydana za mąż powiła mu wnuka.

W kilka dni potém dawał bal Stanisław Potocki. Towarzystwo było mniéj liczne i w górnych apartamentach przyjmowano. Marszałkowie francuzcy na zaproszenie się nie stawili, ale za to był sam poseł turecki, który się różnił wiele od członków swéj ambasady, o których wyżéj wspomniałem. Mężczyzna średniego wieku, rysów regularnych, z długą czarną brodą i potężnymi wąsami, ubrany w orzechowy żupan i takąż szatę, wszedł do salonu wsparty na ramionach dwóch olbrzymich janczarów, nikomu się nie ukłonił, nikogo nie powitał, tylko skierował się prosto do przygotowanéj dla niego kanapy, gdzie usiadł, skrzyżowawszy pod sobą nogi. Janczarowie stanęli z dwóch stron jakby na straży, a obok dragoman. Podano mu fajkę i tytoń i ten przez cały czas milcząc palił, nie odpowiadając nawet na zwrócone do niego zapytania. Przeciwnie poseł perski nie miał tak licznéj ambasady, tylko jednego tłómacza Francuza. Prze-

chadzał się po salonie, fajki nie palił i chętnie rozmowę za pośrednictwem tłómacza prowadził.

Książę Stanisław Jabłonowski zaprzyjaźnił się z p. Joubert, radcą stanu, który do misyi francuzkiéj w Teheranie należał i razem z posłem perskim do Warszawy przybył, on więc mnie i mego szwagra posłowi zaprezentował. Mieszkał poseł perski na Podwalu w pałacu, który od ulicy Miodowéj, czyli jak ją wówczas zwano ulicy Napoleona, w filary jest ubrany. Stawiliśmy się o godzinie jedenastéj. Poseł siedział na taborecie ze skrzyżowanemi nogami, paląc nargilę, a przy nim stał tłómacz. Oprócz tego taboretu innych żadnych sprzętów w komnacie nie było. Sam wysoki, cienki, brunet z brodą śpiczasto ostrzyżoną, w śpiczastéj czapce, ubrany był w rodzaj szlafroka z szafirowéj materyi, złotem przetykanéj. P. Joubert przedstawił nas i dragoman każdemu powiedział parę komplementów. Następnie podano nam taborety i na srebrnéj tacy przyniesiono wodę różaną, miednicę i flaszki z pachnidłami. Powiedziano nam, że trzeba wodą się umyć i pachnidłami oblać. Kiedyśmy téj czynności dokonywali, poseł zacytował jakieś wiersze, których treścią było życzenie, jak nam dragoman wytłómaczył, żeby życie nasze było tak czyste jak woda, a przyjemne jak wonności. Poczém podano fajki z tytoniem i aloesowém drzewem i w filiżankach z pięknéj porcelany w srebro oprawnych kawę ugotowaną razem z fusami i bez cukru, Szczęściem, że specyału tego było nie wiele i że na załagodzenie jego smaku podano sorbety i konfitury wyborne. Pokazywano nam następnie prezenta, jakie poseł wiózł dla cesarzowéj Józefiny a które składały się z portretu panującego szacha, z przepysznych szalów i z mapy krajów europejskich, znakomicie sztychowanéj. Najzabawniejszém ze wszystkiego był portret Perskiego monarchy. Widać tylko było, że szach nosił śpiczastą brodę, niezmiernie długą i musiał mieć duże oczy, bo je artysta zrobił długiemi przez całą szerokość twarzy. Poseł utrzymywał, że portret jest nadzwyczajnie podobny. Służba cała poselska ubrana była w białe kontusze z niebieskiemi żupanami i w śpiczaste czapki.

Po mieście całém wszędzie widziéć można było francuzkich żołnierzy, a najwięcéj konwalescentów, którzy ze szpitali wychodzili. Oryginalnie wyglądały ich płaszcze najrozmaitszych kolorów. Z sukna zebranego w magazynach i u kupców pruskich porobiono im zimowe ubranie, nie zważając wcale na barwę i ztąd po ulicach można było spotykać żołnierzy w płaszczach kanarkowych, pomarańczowych, czerwonych, fioletowych i czarnych. Niezmiernie ciekawy byłem widziéć w szeregu i w wojskowych ćwiczeniach tego żołnierza, przed którym drżał świat cały. Zdarzyła się do tego sposobność,

bo świeżo do Warszawy przybyły pułkownik Coustard, odbywał na Saskim placu rewią swojego 65 pułku. Wydziwić się i uwierzyć nie mogłem, żeby sławnymi bohaterami mogli być ludzie mali, chudzi, wynędzniali, ubrani nie jednostajnie w niskich, przyklepanych kapeluszach stosowanych, trzewikach i kamaszach.

Mimo ucisku, jakiego kraj cały, a więc i Warszawa doznawały, duch publiczny, wróżbą lepszéj przyszłości podniesiony, utrzymywał się na swéj wyżynie i oddawano z chęcią ostatnie ziarno, płacono potrójne podatki, a drobna nawet Francuzów uprzejmość była dostateczną nagrodą. Wesołość panowała, choć właściwie nikt nie był pewny tego co posiada, bo go co chwila rekwizycya wszystkiego pozbawić mogla. Z pomiędzy licznych tego rodzaju wypadków nadmieniam o jednym. Mieszkał wówczas w Warszawie w narożnéj kamienicy Ryksa obok karmelitów na Krakowskiem Przedmieściu niejaki p. Husarzewski, staruszek zamożny i dosyć oryginalny, choć oryginalność jego nikomu nie szkodziła. Owszem za uprzejmość swą był wszędzie wraz z małżonką mile witany i przyjmowany, a delikatność posuwał tak daleko, że kiedy szedł do teatru rękawy płaszcza wewnątrz wciągał, żeby nikogo niemi nie zawadzić. Lubił grywać na skrzypcach i w karecie jego znajdował się zawsze ten istrument i pulpit z nutami, a wierzch karety był podnoszony. Skoro mu więc ochota przyszła, otwierano na wszystkie strony karetę i Hussarzewski spacerując po mieście, dawał koncert bezpłatny. Posiadał on także konia, niekształtnego wprawdzie, ale maści oryginalnéj, bo na białém tle pocentkowany był łatami gliniasto-czerwonemi. Ponieważ życie uregulowane miał podług zegarka, na tym więc koniu codziennie o jednéj i téj saméj godzinie wyjeżdżał w Ujazdowskie Aleje. Otóż przyszła nieszczęsna chwila rekwizycyi i staruszka zawiadomiono, że jego wierzchowiec ma być do armii zabrany. Napróżno udawał się do magistratu, napróżno składał znaczną sumę pieniędzy i obowiązywał się kupić innego konia, urzędnicy zbyli go sucho i odprawili z kwitkiem. W tém trudném położeniu postanowił p. Hasarzewski wyrzec się swoich stałych przejażdżek i dla ocalenia ulubionéj szkapy, w jakikolwiek sposób ją ukryć. Po schodach z wielką biedą wprowadził ją w nocy na strych, tam uwiązał i sam nosił jéj wodę, owies i siano, bo bał się, żeby go kto ze służby nie wydał. Rano masztalerz doniósł panu, że konia w stajni nie masz. Rozeszła się pogłoska, że konia Francuzi ukradli i kiedy za rekwizycyą przyszła policya, wszyscy mieszkańcy domu kradzież tę poświadczyli, a ponieważ posądzenie na Francuzów padało, wszystkiemu więc dano pokój. W kilka jednak dni potém koło południa koń z więzi się urwał, przyszedł do dymnika, szturchnął głową w znajdujące się tu okno

i, wybiwszy je zaczął na ulicę wyglądać. Pierwsi spostrzegli go przechodzący żołnierze francuzcy. *Voilà camarade*, rzekł jeden do drugiego, *voyez donc le coucou*? Zebrał się tłum, przybył i policyant, o ukryciu konia się dowiedziano i natychmiast go zabrano. P. Husarzewski ze zmartwienia ciężko się rozchorował, a żona jego widząc, że wszystkie leki nie skutkują, udała się z płaczem i prożbą o ratunek do pani de Vauban. Dopiéro ks. Józef po złożeniu wartości, konia kazał oddać i p. Hussarzewski od razu uzdrowiony, zwykłe swoje przejażdżki nanowo rozpoczął.

Po kilkutygodniowym w Warszawie pobycie, udaliśmy się z powrotem do Puław, żegnając ze łzami dawnych swoich towarzyszów, których większość w wojskowych już mundurach po ulicach się uwijała. Największy nacisk był do pułku ułanów i najrozmaitszych używano protekcyj, żeby choć na prostego żołnierza do wojska tego się dostać. Nadzieja walczenia pod okiem Napoleona i strojny mundur, były zapewne głównym tego powodem. Ułani nosili kurtki białe, z wypustkami i rabatami karmazynowemi. Na ułańskiéj karmazynowéj czapce złota blacha z literą N. w środku słońca, rajtuzy karmazynowe.

Marszałek Massena, objąwszy dowództwo, ruszył nad Narew i Omulew. Wojsko bawarskie i część legii polskiéj mu towarzyszyły, a dowództwo nad nią objął Zajączek. Książę Józef bowiem, jako Dyrektor wojny, zajęty organizacyą sił nowych, w Warszawie pozostać musiał. Pałac pod-Blachą stał się głównèm dyplomatow i wojskowych siedliskiem, a ks. Talleyrand, pieszczony już przez p. Wincentowę Tyszkiewicz, królował tutaj, rozsypując iskry żywego dowcipu i utrzymując w Polakach ducha gotowości do ofiar. W tym czasie na jego żądanie Komisya Rządząca mianowała przy jego boku swoim dyplomatycznym agentem p. Aleksandra Batowskiego. Czynność jego ograniczała się do protekcyi w udzielaniu posad i na rozpuszczaniu pod sekretem różnorodnych wieści od Talleyranda pochodzących, które miały na celu rozbudzanie nadziei i przyśpieszanie uzbrojeń i pieniężnych datków. Batowski, od kilkunastu lat we Francyi zamieszkały i z Francuzką ożeniony, tym okolicznościom zawdzięczał względy Talleyranda.

Broń dla formującego się wojska dostarczyły magazyny pruskie. Karabinki były małe i lekkie z niepospolicie długim bagnetem, połowę długości broni wynoszącym. Bagnety te cienko i delikatnie wykute w użyciu okazały się niepraktyczne, gięły się bowiem i łamały i powoli zaczęto je zastępować innemi. Komisya Rządząca podatki przeznaczyła na formowanie wojsk nowych, a rekwizycye oddawano Francuzom. Fundusz wszakże jaki w gotowiznie się zbierał, na umun-

durowanie nie wystarczał; przyjmowano więc ochotników, wkładając na nich obowiązek mundurowania się własnym kosztem i za dostawianie gotowych szeregowców, kompanij, a nawet i pułków, udzielano oficerskie stopnie.

Z legii księcia Józefa oddziały nad Omulewem rozłożone świetny chrzest pod Mewe (Gniew) i Dirschau (Tczew) odbyły i dowiodły, że nie ustępują starym żołnierzom. Ruchy jednakże początkowe i bitwa pod Ostrołęką, jaką zwiódł z Rosyanami Savary, nie wydały ważniejszych rezultatów. Główną czynnością było zdobycie Gdańska. Miasto to, przed dwunastu laty do Polski należące, położone jest od północy, wschodu i południa na płaszczyźnie; od zachodu dopiera do pasma wzgórz aż do klasztoru Oliwskiego się ciągnących. Fortyfikacye posiada trojakie. Miasto samo otoczone jest małemi głębokiemi fosami, ktore woda z Motławy napełnia. Szczyt góry Bischofsberg uzbrojony w cytadelę, osłoniętą przez fort Hagelsberg, a nakoniec nad morzem przy ujściu Motławy znajduje się mała forteczka Weichselmünde zwana. W Gdańsku dowodził Kalkreuth załogą 18 tysięcy liczącą. Po bitwach pod Gniewem i Tczewem, 10 korpus marszałka Lefebvre rozpoczął w marcu przykopy do Hagelsberga. Odznaczył się tu zaszczytnie ziomek nasz kapitan Sokolnicki, a także legion północny przez ks. Michała Radziwiłła dowodzony. Kiedy już równoległe były gotowe i kiedy wyspę Helen zajęto 18 maja kilka tysięcy Rosyan w Weichselmünde wylądowało i uderzyli oni wraz z Prusakami na francuzkie baterye. Współcześnie korweta angielska usiłowała kanałem od Weichselmünde do Gdańska się dostać. Rosyanie jednak zostali odparci, a korweta rudel złamawszy na piasku osiadła i musiała się poddać. 26 maja Francuzi zajęli Gdańsk a Kalkreuth uzyskał pozwolenie wyprowadzenia swego garnizonu, który do 7.000 się zmniejszył.

Kiedy oblężenie Gdańska przez trzy miesiące armią zajmowało, tak Rosyanie jak i Anglicy tymczasem starali się nakłonić Austryą do czynnego wystąpienia przeciw Napoleonowi. Przedstawiano w Wiedniu, że po Eylauskiéj bitwie armia francuzka jest zupełnie zniszczona, że cesarz może teraz Napoleona od Francyi odciąć i wszystkie swe straty terytoryalne powetować. Jednak hr. Neuperg, który stale w Warszawie przemieszkiwał i wkradłszy się w łaski pani de Vauban, przez nią dokładnie zawsze o wszystkiém był objaśniony, od zaangażowania się podobnego rząd swój wstrzymywał. Talleyrand nadto o pokojowem usposobieniu Austryi przez p. Vincent zapewniony, uspokajał Napoleona, że z téj strony żadne niebezpieczeństwo nie grozi. Napoleon odpowiedział mu szorstko w tych słowach: „Jesteś łatwowierny i tyle skłonny do obałamucenia, ile

zręczny do łudzenia innych. Pochlebiając ci zawsze oszukać, cię można. P. Vincent karesując cię, w pole wyprowadza. Austrya może mnie się bać, ale mnie nie cierpi. Uzbraja się, aby napaść, skoro mnie tylko szczęście opuści. Ofiaruj p. Vincent Szląsk, a niech zawrze alians.“ Na uczynioną propozycyą p. Vincent odpowiedział, że upoważnienia nie posiada i do hr. Stadiona, ówczesnego austryackiego kanclerza się odniósł. Stadion odpowiedział, że Szląska nie przyjmie, w układ nie wejdzie, gdyżby to Austryą na wojnę z Rosyą i Anglią naraziło, lecz że ofiaruje medyacyą.—Napoleon odpowiedź tę wziął za objawioną chęć przystąpienia do koalicyi przeciwko niemu i postanowił z większą energią prowadzić wojnę, żeby sobie odpowiedni pokój wywalczyć.

Do głównéj kwatery Beningsena w Bartenstein, gdzie się znajdował król pruski, przybył cesarz Aleksander i nowe pozawierano konwencye. Postanowiono nie składać oręża, dopóki Niemcy, Holandya i Włochy z pod jarzma francuzkiego wyswobodzone nie będą, i z 15.000 Szwedów, 20.000 Anglików i 10.000 Prusaków sformować nową armią, którąby tyły Napoleonowi zajęła. Austrya o połączenie się wzywana nie chciała dać stanowczéj odpowiedzi.

Te odświeżone układy dodały ruchom więcéj energii i podobnie jak Napoleon chciał działać pośpiesznie, postanowił także Beningsen zaczepne rozpocząć ruchy. Siły jednak teraz były nie równe. Rosyanie wraz z Prusakami na całéj linii bojowéj od Narwi do morza Baltyckiego mieli 140.000 wojska. Siły franczkie wraz z garnizonem Gdańska wynosiły około 250.000, z których rozporządzalnych i pod ręką Napoleon miał 155.000.

Mimo to wódz rosyjski postanowił uderzyć na prawe skrzydło marszałka Neya, rozłożone w okolicy Gutstadt. W tym celu na całéj linii miały nastąpić fałszywe ataki, żeby posiłkowaniu przeszkodzić. Jakoż 5 czerwca Bagration rozpoczął zaczepne działania pod Altkirchen, a w innych miejscach współcześnie niepokojono francuzkie komendy. Podstęp ten jednak się nie udał, bo Ney sił swych nie rozrywając, cofnął się w porządku do Heilsberga. Tu zaszła krwawa bitwa i obie strony, nie osiągnąwszy stanowczego rezultatu, koło 5.000 poległych na placu zostawiły. 11 czerwca Rosyanie zaczęli cofać się wzdłuż Alli ku Bartenstein, Napoleon 13 zajął Eylau, część swéj armii wysłał do Królewca, a marszałkowi Lannes poleciwszy obserwować obroty rosyjskie, sam posuwał się w środkowéj pozycyi. Beningsen pod Friedland przez Allę się przeprawiszy, zdawał się mieć zamiar posuwać się do Niemna, kiedy nagle, dowiedziawszy się o ruchu Francuzów na Królewiec, nazad zawrócił i znowu pod

Friedland rozpoczął przeprawę. Napoleon przeszkadzać mu nie kazał i wpuszczał wojska rosyjskie na ciasną płaszczyznę, ograniczoną z jednéj strony łukiem zakreślonym przez Allę, z innéj lasami. Kiedy przeprawieni w czworoboki szykować się zaczęli, o trzeciéj rano wypuścił na nich marszałka Lannes i jazdę Grouchy'ego, sam ukrywając się w okolicznych lasach i tylko od czasu do czasu wysyłając posiłki. Beningsen lekceważył ten atak, ale kiedy o siódméj pojawił się Napoleon z gwardyami i korpusy Bernadotta i Neya, poznali Rosyanie, że prawie z całą armią francuzką będą mieć do czynienia. Ustawili się więc w szachownicę i potężną artyleryą umieścili na froncie. Ney z narażeniem się na największe niebezpieczeństwo, przy pomocy dywizyi Dupont zdobył miasto Friedland i choć go ztamtąd wyparował Gorczaków, stanął jednak tak, że działa przystępu do mosta nie dozwalały. Tymczasem na prawem skrzydle artylerya francuzka straszne w szeregach rosyjskich czyniła spustoszenie i po wytrzymaniu kilku ataków, bitwę za stanowczo przegraną uważając, postanowił Beningsen się cofnąć. Tu nowa nastręczyła się trudność. Ney do mostów nie puścił, a do przeprawiania się wpław nie prędko bród znaleziono. W bitwie téj stracili Rosyanie mnóstwo dział, a oprócz poległych i rannych, oddali 5.000 niewolnika.

Polacy pod Dąbrowskim w asekuracyi dział w czasie bitwy téj się znajdowali. Zarzucono Francuzom i słusznie, że 44 szwadrony kawaleryi swéj w nieczynności trzymali i gdyby ją wypuścili w porę, dalekoby większą jeszcze klęskę przy przeprawie zadali. Niemniéj przeto zwycięztwo było zupełne i Francuzi zajęli zaraz Królewiec, a 19 czerwca do Niemna pod Tylżą przybyli.

Tu poraz pierwszy okazały się w przednich czatach pułki Baszkirów i Kałmuków, w strojach narodowych, ze swemi oryginalnemi czapkami, i za jedynę broń pałasze i łuki mających. Wypuszczono strzał kilka, które raniły kilku żołnierzy i Francuzi z podziwienia wyjść nie mogli.

Tegoż dnia do księcia Murata przywiózł list Beningsena Bagration, w którym dowódzca rosyjski prosi o zawieszenie broni. Propozycyą przyjął Napoleon i ks. Łobanów, który świeżych posiłków przyprowadził około 20.000, a między nimi owe narody wschodnie, został upoważniony do zawarcia umowy. Podpisano ją 22 czerwca, a obowiązywała ona armię francuzką tylko względnie do rosyjskiéj; w parę dni wszakże i Prusacy armistycyum przez jenerała Kalkreuth uzyskali. Za linią demarkacyjną przyjęto bieg Niemna aż do Grodna, ztąd Biebrzą do Narwi i Narwią do Wisły. Tym sposobem do księstwa Warszawskiego przybywał szósty departament, Łomżyński, ale do zajęcia jego z powodu braku czasu za trwania zawiesze-

nia broni nie przystępiono. Massena posunął się nad rzekę Biebrzę, a Dąbrowski zajął pośrednie między nim a Gumbinem stanowisko.

24 czerwca do kwatery Napoleona przybył znowu Łobanow, proponując osobiste panujących spotkanie i porozumienie się co do warunków pokoju. Napoleon się zgodził i nazajutrz na tratwie, w środku Niemna sznurami umocowanéj rozpięto dwa namioty, mające służyć za miejsce schadzki monarchów. O pierwszéj po południu przypłynął do tratwy cesarz Francuzów, w towarzystwie książąt Murata, Berthier, marszałków Bessières i Duroc i koniuszego Caulaincourt. Współcześnie z drugiéj strony zbliżał się Aleksander, mając obok siebie w. księcia Konstantego, jenerałów Beningsena, Łobanowa, Uwarowa i Lievena. Ponieważ Napoleon pierwszy na tratwie stanął, oczekiwał więc przybijającego Aleksandra i skoro ten ze statku wysiadł, obaj monarchowie uściskali się serdecznie. Potém weszli do jednego z namiotów i tam przeszło godzinę rozmawiali. Rezultatem najpierwszym téj rozmowy było, że kwatera cesarza Aleksandra przyniesioną została do Tylży i miasto to za neutralny punkt uznane, miało być obsadzone wspólnemi garnizonami.

Następnego dnia cesarz Aleksander zajął mieszkanie w Tylży, a Napoleon na téj saméj tratwie niemeńskiéj przyjmował króla pruskiego. Tym razem rozmowa była krótsza i nie trwała dłużej nad dwadzieścia minut. O piątéj złożył Napoleon wizytę Aleksandrowi w mieście, zaprosił go na obiad i wymógł przyrzeczenie, że przez cały czas swego tutaj pobytu stale u niego obiadować będzie.

W kilka dni późniéj przybył król pruski i książę Talleyrand i układy się rozpoczęły. Mniéj zważając na króla Pruskiego najczęściéj Napoleon lubił rozmawiać i przesiadywać z Aleksandrem, ale rozmowy te odbywały się zawsze sam na sam i jedno tylko słówko podchwycił p. Meneval, kiedy mu kazano przynieść mapę Turcyi. Napoleon wskazał wtedy na Stambuł i wyrzekł: „Tego nigdy." Te układy trwały do 6 lipca i powszechnie tylko się uskarżano, że Napoleon bardzo twardym się okazywał. Tego dnia przyjechała królowa pruska i zdaje się że rachunek na wdzięki, jakiemi silnie na cesarza Francuzów działała, był jednym z głównych przybycia jéj powodów. Napoleon zaraz wizytę jéj złożył, na obiad zaprosił i u podwojów domu, w którym mieszkał, przyjął. Powiadają, że za bukiet róż, który mu na pamiątkę darowała, domagała się także pamiątki, a tą były Prusy królewskie.

7 lipca podpisano traktaty Tylżyckie przez ks. Talleyranda z jednéj, a książąt Łobanowa i Kurakina z drugiéj strony. Zawierały one:

1. Zwrot Prusom zajętéj prowincyi Brandeburskiéj po Elbę, Pomeranii, Szląska, Prus Wschodnich i Prus Królewskich, za wyjątkiem Gdańska z paro-milowym obwodem.

2. Utworzenie dla księcia Hieronima Bonapartego królestwa Westfalskiego.

3. Oddanie utworzonego księstwa Warszawskiego królowi Saskiemu.

4. Uznanie Ludwika i Józefa Bonapartych za królów Holandyi i Neapolu.

5. Uznanie związku reńskiego i zwrot krajów zabranych książętom Meklemburskiemu i Oldenburskiemu.

Oprócz tego zawrzéć miano dwie umowy sekretne. Pierwsza z nich obejmowała:

1. Oddanie Francuzom Cattaro i wysp Jońskich.

2. Obietnicę zwrócenia Prusakom kraju ku Magdeburgowi, zawierającego do 400.000 ludności w razie, jeśli w zawartym z Anglią pokoju Hanower przy królestwie Westfalskiem się utrzyma.

3. Wynagrodzenie pieniężne książąt Heskiego, Nassauskiego Brunswickiego za kraje do Westfalii wcielone.

Co do drugiéj umowy, choć mnóstwo dzieł do tego się odnoszących posiadamy, nie można nic stanowczego powiedziéć. Z pamiętników ks. Rovigo i z korespondencyi Napoleona przypuszczać można, że Francya zezwalała Rosyi na zajęcie Finlandyi, Multan Wołoszczyzny i Rumelii po Bałkany, a Aleksander zgadzał się na zamienienie hiszpańskich Burbonów przez Napoleonidów i na zajęcie przez Francuzów Bośnii i Albanii.

Jakkolwiek pokój ten dla Rosyi był korzystny, bo dawał jéj Białostocki obwód i otwierał widoki na Finlandyą i tureckie prowincye, cesarz Aleksander wszakże nie mile przyjął stworzenie księstwa Warszawskiego, które się sprzeciwiało jego co do Polski zamiarom. Z drugiéj strony w tych poufnych a niby przyjacielskich czternastodniowych rozmowach utwierdził się cesarz rosyjski w przekonaniu o niepohamowanéj ambicyi Napoleona i rosnącéj z każdym dniem chęci zagarniania coraz nowych krajów. Zwierzając się, rzucił podobno nawet Napoleon projekt podziału całéj Europy na Wschodnią i Zachodnią. Pierwsza miała należeć do Rosyi, druga do Francyi. Ale i tu już przy projekcie samym spory o ujście Bosforu się rozpoczęły.

Artykuł 5 Tylżyckiego pokoju nadawał księstwu Warszawskiemu byt polityczny. Wszakże nadzieje Polaków sięgały o wiele daléj. Szczególniéj odłączenie prowincyi Białostockiéj niemiłe wywarło wrażenie. Opowiadano sobie, że cesarz Aleksander nie rad z upadku swego alianta, wielkiéj chęci na kraj ten nie miał: a kie-

dy zabrano go Prusakom, czemuż odłączono od księstwa? Podobnież wieść o zamianie bukietu róż na Prusy Królewskie goryczą napełniała serca.

Co do wprowadzonego na tron domu Saskiego, dziwném się to także Polakom wydało, spodziewano się bowiem powszechnie; że ks. Murat księciem Warszawskim będzie. Że jednak osoby wówczas najwpływowsze należały do stronnictwa, które za sejmu czteroletniego koronę Polskę domowi Saskiemu ofiarowało, przeto wiadomość tę przyjęto z radością.

Sprawa polska przez osoby otaczające Napoleona bardzo rozmaicie była uważana. Ks. Murat, Davoust, Savary i z cywilnych ks. Bassano radzili, aby Napoleon przez silną organizacyą tego kraju zapewnił sobie bezpieczną w téj stronie podstawę. Nie tylko więc chcieli dołączenia doń Białegostoku, ale Prus Królewskich z Warmią Gdańska i Szląska. Żądali także aby nabytą Dalmacyą i Istryą z Austryą na Galicye wymieniać, te do państwa nowego dołączyć i rządy jakiemu księciu francuzkiemu powierzyć. Ks. Talleyrand, oraz Berthier i Lannes byli zupełnie innego zdania. Twierdzili oni, że państwo takie, zaledwie tylko Prusy zrównoważy, a nie będzie dość silne, żeby się Rosyi i Austryi o nie kuszącym oprzéć. Że Francya dla utrzymania jego narazi się na ciągłe wojny i że ustalenie jego zamiast pokoju ciągłą niezgodę spowoduje.

Nasz reprezentant p. Aleksander Batowski, skoro tylko ks. Talleyrand opuścił Warszawę, doradzał Komisyi Rządzącéj, a nawet naglił na nią, żeby francuzkiemu dyplomacie ofiarowała upominek od 7 do 10 milionów wynoszący, zapewniając, że podarek ten będzie mile przyjęty i jak najlepsze z niego wypłyną skutki. Czy do propozycyi podobnéj miał upoważnienie, nigdy to na jaw nie wyszło, zdaje się jednak, że bez ośmielających go do tego insynuacyj, nigdy by rzeczy podobnéj nie proponował. Komisya Rządząca atoli, złożona z ludzi prawych, nieugiętych i możności przekupstwa nie pojmujących, żądanie to puściła mimo uszu. Zresztą skarb zostawał w niedostatku i zebranie sumy takiéj było prawie niemożliwe. Poniéj kiedy stosunki moje ze Stanisławem Potockim bliskiemi się stały, pokilkakroć słyszałem od niego opowiadaną tę okoliczność, a utyskając, że nie posłuchano rady Batowskiego, zwykle tak kończył:

— Tak, tak, panie (było to jego przysłowie): mielibyśmy i Prusy Królewskie i Warmią, panie, i Gdańsk i Białystok i Szląsk, panie, a późniéj i obie Galicye. A z takim krajem, panie, mając, panie 200.000 wojska i fortece, bylibyśmy, panie, przez całą Europę poważani.

To także pewna, że książę Talleyrand, zaledwie opuścił Warszawę, wystąpił z całą do nas nienawiścią. Kiedy przejeżdżając przez Królewiec, dowiedział się od Savary'ego, że ten pontony na Niemen posyła, powiedział mu:

— Daj pokój, nie śpiesz się. A cóż my za Niemnem poczniemy? Czegóż tam będziemy szukać? Potrzeba, żeby cesarz zaniechał myśli o Polsce. Naród to do niczego nie zdatny, z nim nieład tylko wieczny i żadnego porządku.

9 lipca wymieniono ratyfikacye. Napoleon dostał order św. Andrzeja, a Aleksander Legii Honorowéj i tegoż dnia cesarze do swych stolic się wybrali; Davoust z 3 korpusem zajął księstwo Warszawskie, Ney i Mortier Szląsk, a Napoleon w przejeździe zatrzymał się w Dreznie, tu przywołał członków Komisyi Rządzącéj i oddał im podpisaną przez siebie konstytucyą, składającą się z 89 artykułów.

Podług niéj religia katolicka uznaną została za panującą, a inne wyznania miały zapewnioną wolność. Ustanowiono jedno arcybiskupstwo i pięć biskupstw, wszyscy w obliczu prawa uznani zostawali za równych i wszelka niewola zniesiona (l'ésclavage est aboli). Rząd sprawuje król i przy nim pozostaje władza wykonawcza i porządkowanie praw. Ma on moc zlać władzę swą na wice-króla, lub prezesa rady ministrów. Zwołuje sejmy, sejmiki i prezyduje w senacie. Uposażenie króla wynosi 7 milionów złotych polskich rocznego dochodu w połowie w dobrach, w połowie w gotowiźnie. Zamek i pałac Saski są jego własnością. Ministeryów ustanawia się sześć: Sprawiedliwości, Spraw wewnętrznych, Wojny, Skarbu, Policyi i Sekretaryatu stanu. Rada stanu składa się z ministrów, radców stanu i referendarzy. Układa ona projekta do praw, sądzi spory jurysdykcyjne, zaszłe między władzami i stanowi sąd kasacyjny.

Sejmy odbywają się co dwa lata w Warszawie i trwają dni piętnaście, składając się z Izby senatorskiéj i poselskiéj. Uchwalają one prawa skarbowe, cywilne i kryminalne. Projekta do praw wnosi Rada stanu do Izby poselskiéj. Tu sekretnemi kreskami odrzucone lub przyjęte, idą pod zatwierdzenie Senatu. Senat składa się z sześciu biskupów, tyluż wojewodów i kasztelanów, mianowanych dożywotnio przez króla. Senat nie może odmówić zatwierdzenia prawa przez Izbę przyjętego, chyba w takim razie, jeśli się okaże, że kreskowanie było nierzetelne, lub że uchwalone prawo sprzeciwia się konstytucyi. W podobnym przypadku król prawo odsyła do powtórnego w Izbie poselskiéj rozważenia i jeśli poprawka wprowadzoną nie jest, Izbę rozwiązuje. Izba składa się z sześćdziesięciu posłów i czterdziestu deputowanych. Jak jedni tak drudzy na lat dziewięć wybrani, co lat trzy w jednéj trzeciéj się odnawiają. W Izbie prezyduje

marszałek przez króla mianowany. Izba wybiera piętnastu komisarzy do praw skarbowych, cywilnych i kryminalnych i ustanowione z nich komisye naradzają się z Radą stanu, nad samemi projektami praw. Rada stanu z prawem głosu zasiada w Izbie, a tylko radcy stanu i komisarze mają prawo głos zabierać. Sejmiki składają się ze szlachty, zgromadzenia gminne z właścicieli ziemskich nie-szlachty, z rękodzielników, kupców, artystów, profesorów, proboszczów, wikarych, oficerów, podoficerów i żołnierzy, którzy zaszczytnie się odznaczyli. Aby być wyborcą, dosyć być pełnoletnim.

Pod względem administracyjnym księstwo podzielono na sześć departamentów, którymi zarządzają prefekci. Obok nich jest Rada prefekturalna, stanowiąca władzę administracyjną z sądem administr. Składa się ona z dwudziestu czterech członków i ci wybierają się na sejmikach. Rozkłady ciężarów i opinia o administracyi do niéj należą. W miastach powiatowych na czele administracyi stoją podprefekci, z Radą powiatową, takież jak departamentowa mającą obowiązki. Miasta rządzone są przez prezydentów i Rady municypalne, które układają etaty i słuchają rachunków. Kodeks Napoleona będzie prawem cywilném dla księstwa, a postępowanie ma być publiczne.

W każdym powiecie ustanowiony jeden Sąd Pokoju, a w każdym departamencie jeden Trybunał. Na dwa departamenty jeden Sąd karny, a dla całego księstwa jeden Sąd apelacyjny. Rada stanu ma pełnić obowiązki Sądu kasacyjnego. Wojsko składać się będzie z 36.000 ludzi.

Konstytucya ta zupełnie nowe zaprowadzała przepisy, dotąd w żadnym monarchicznym kraju nie istniejące, sankcya bowiem praw nie panującemu, ale senatowi została powierzona. Wprawdzie do króla należało początkowanie, ale ponieważ nie miał on prawa nawet rozwiązać Izby, przeto w praktyce i ten przywiléj mógł mu być wydarty. Zresztą administracya kraju oparta wyłącznie na wyborach dawała silne podstawy prawdziwie autonomicznemu rządowi; konstytucya ta wszakże za krótko istniała, żeby mogące z niéj wyjść następstwa mogły wartość swą okazać w praktyce.

Pod względem finansowym księstwo doznało także pewnego ucisku. Prawda, że Napoleon nie nałożył nań kontrybucyi i w rachunku opłat przez Prusy wnoszonych przyjął tak zwane *sumy bajońskie*, to jest długi jakie zaciągnięto na hypoteki z banków berlińskich; ale do 17 września 1807 r. kazał utrzymywać kosztem kraju całą armią, intendenturę i szpitale i nadto na sumę 30 milionów złp. zabrał dóbr narodowych do swego rozporządzenia. Koszta żywienia rmii były olbrzymie, a i od naznaczonego terminu płacono albo bo-

nami, albo likwidowano jakieś odwieczne pretensye. Co do dóbr narodowych, przy ówczesnéj deprecyacyi ziemi, wzięto ich na sumę daleko większą, a choć za podstawę przyjęto kontrakty dzierżawne, nie bardzo jednak téj zasady przestrzegano. Nadto zaszła jeszcze druga trudność. Rząd Pruski ze względów administracyjnych zamykał dobra narodowe w tak zwane *amty* i często nomenklatary prywatne wchodziły do takich amtów. Ztąd wyrodziły się długie spory. Tak naprzykład marszałek Davoust, któremu nadano Łowicz, wykreślił sobie granice o wiele przechodzące własność narodową. Z Polaków obdarowano Dąbrowskiego, Zajączka, Krasińskiego, Sapiehę i kilku innych.

Od nowego pana bardzo długo czekano znaku życia, i dopiero 23 września król Saski ogłosił proklamacyą do narodu; snać posyłał ją do zatwierdzenia do Paryża. 5 października rozwiązano Komisyą Rządzącą a zaprowadzono Radę ministrów, 20 zaś listopada nowy monarcha przybył do Warszawy. Przy okopach oczekiwał nań magistrat, cechy z chorągwiami, rabin z kahałem i wiceprezydent wręczył mu klucze. Przy kościołach duchowni w szatach uroczystych występowali, a Rada stanu, świeżo uorganizowana, czekała w Zamku przy bramie Marszałkowską zwanéj. Wojska francuzkie i polskie po ulicach tworzyły szpalery, a wystrzały działowe i dzwony dawały znać ludowi o przybyciu panującego.

Zajęto się zaraz czynnie wprowadzeniem w życie nowéj konstytucyi. Utworzono Senat, w którym prezesem mianowany Stanisław Małachowski, senatorami: Wybicki, Bieliński, Działyński, Stanisław Potocki, Radzimiński, Sobolewski, ks. Stanisław Jabłonowski, Onufry Kicki i inni. Następnie mianowano Radę ministrów: prezesem został Ludwik Gutakowski, ministrem Sprawiedliwości Feliks Łubieński, Spraw wewnętrznych Łuszczewski, Skarbu Tadeusz Dembowski, Wojny książę Józef Poniatowski, Policyi Aleksander Potocki, sekretarzem stanu—Breza. Naznaczono także kilku radców stanu i referendarzy. Między pierwszymi mianowani byli: Michał Kochanowski, Linowski, ksiądz Woronicz, Łuba, Rządkowski; referendarzami: ksiądz Staszic, Wojda, Horodyński i Szaniawski.

Prawie wszyscy, współpracownicy sejmu czteroletniego, byli wielbicielami Napoleona, przywiązani doń, wierzący i całą nadzieję w nim pokładający. Rząd ten wszakże w szczególném znajdował się położeniu. Zgromadziwszy się około króla, zdawał się wodze władzy brać w ręce, a tymczasem Davoust i rezydent francuzki p. Serra, na miejsce p. Vincent przybyły, rządzili wszystkiém i nic nie mogło stać się bez ich woli. Księstwo Warszawskie wydawało się jakby prowincyą francuzką. Nadto konstytucya nowa obalała z gruntu dawne

zwyczaje, przywileje, prerogatywy i prawodawstwo. Rządy pruskie, po których procedura karna została, przyczyniły się jeszcze do większego zamieszania, a jeśli zważymy, że bardzo mała liczba znajdowała się ludzi, którzyby gruntowne odbyli nauki, lub w służbie cywilnéj odbyli praktykę, to doprawdy dziwić się trzeba, że wśród tego nie powstał okropny chaos i tém więcéj oceniać trzeba niezmordowaną gorliwość osób, które stały na czele. Oni to z epoki sejmu czteroletniego lub insurekcyi Kościuszkowskiéj siaką taką praktykę wyniosły, dla pomocników swoich stali się formalnymi profesorami. Bieglejsi z nich i do pióra sposobni poczęli drukiem ogłaszać *listy* w materyach ekonomicznych, skarbowych, prawnych i administracyjnych. Kalasanty Szaniawski, Horodyński, Rembieliński, Gliszczyński, Rembowski, Mioduski i Dominik Kuczyński główny w nich przyjęli udział, a obok twierdzeń ze zbyt bujnéj wynikających imaginacyi, listy te wiele dobrego zrobiły. Rozdawano je darmo, a młodzież ciekawie je czytała. Drugą powagą, która ówczesne sfery rządzące kierowała, był przez p. *Fleurigeou* spisany zbiór urządzeń administracyjnych, skarbowych i etykietalnych, obowiązujących we Francyi. Bez względu, że kodeks ten zaraz na wstępie zawierał bardzo fałszywą definicyą: *Administrer c'est agir*, był on powagą w kraju, który świeżo z zamętu rewolucyi wyszedł, i u nas więc musiał się stać ostateczną wyrocznią.

Dla wojska dozwolił Napoleon użyć oficerów francuskich i jeżeli we wszystkich broniach było ich wielu, to w inżynieryi, artyleryi i sztabach niemi tylko wyłącznie się posługiwano. Takimi między innymi byli: Pelletier, Malet, Bontemps, Daret, d'Hauterive, d'Alfonce i inni.

Zaraz po przybyciu legionów w granice księstwa, między wodzami rozpoczęły się rozmaite nieporozumienia. Książę Józef nie miał właściwie nad niemi zwierzchnictwa, tylko Davoust książę d'Auerstädt i jego sztab rozkazy wydawał. Poniatowski mianowany ministrem wojny nie mógł takiego stosunku uznawać i we wszystkie szczegóły organizacyi z urzędu mięszać się musiał. Że zaś i Dąbrowski i Zajączek do impozycyi generałów francuskich nawykli, we wszystkiém do kwatery ks. Auerstädt się odnosili, powstały więc ztąd waśnie, a kwasy, ciągnące się aż do r. 1809, kiedy wspólne niebezpieczeństwo o nieporozumieniach zapomniéć kazało.

Do wybuchu nieporozumień pierwszy dał powód generał Zajączek. Ten niechcąc ani munduru, ani kokardy francuskiéj porzucać, korzystał także z przywilejów francuskiego wojska i koszta kwatery i żywności wkładał na tych, u których się znajdował. W Kaliszu koszta te ponosiło miasto i po ogłoszeniu konstytucyi zgłosiło się

z prośbą do ministra wojny, aby przynajmniéj przez czas pokoju od tych ciężkich ekspensów je uwolnił a żądanie to minister spraw wewnętrznych całym swym wpływem popierał. Rada ministrów przychyliła się do prośby i poleciła Zajączkowi, żeby do jéj decyzyi się zastosował. Ten w sposób szorstki odpowiedział, że gdyby go o to proszono, możeby dla ulżenia ziomkom poświęcenie to zrobił, ale ponieważ mu rozkazują, oświadcza więc wyraźnie, że jako francuski generał dywizyi nie przyjmuje rozkazów od nikogo, tylko od cesarza, księcia Neufchetel, lub księcia Auerstädt.

Generał Dąbrowski, który nie we francuskiéj ale neapolitańskiéj zostawał służbie, odrazu mundur polski przywdział i białą kokardę przypiął. Szanowany i prawie ubóstwiany przez naród, który w czasie ucisku giermańskiego jedynego reprezenta lepszéj przyszłości w nim widział, znany osobiście i ceniony od lat jedenastu przez cesarza, uczuł się niemile dotkniętym, skoro formowanym w Warszawie pułkom dano numera pierwsze, aniżeli jego, który ze swoimi wystąpił już, kiedy w Warszawie o rekrutowaniu ani myślano. To go odrazu zniechęciło, a nadto do księcia Józefa miał żal, datujący się jeszcze właściwie z czasów dawniejszych.

Król Saski zabawił w Warszawie przez cały grudzień. Przepisał organizacyą Rady stanu i Rady ministrów, podzielił kraj na powiaty i zgromadzenia gminne, naznaczył stolicę każdego, wydał przepisy o obywatelstwie i zasadnicze punkta usamowolnienia włościan. Rozdał dla generałów dywizyj krzyże komandorskie, dla niższych oraz dla pułkowników i majorów kawalerskie i wyznaczył ich pewną ilość dla zasłużeńszych żołnierzy.

Myśmy po powrocie z Warszawy częścią w Puławach, a częścią w Bronicach przesiadywali. Książę feldmarszałek nie rad w tym roku zbytnio od domu się oddalać, nie pojechał jak zwykle do Bardyowa, ale kuracyi używał w Nałęczowie, dobrach podówczas do Małachowskich należących i graniczących z Bronicami. Wody Nałęczowskie byłyby bardzo skuteczne, dużo bowiem posiadają żelaza, ale znaczna ilość części wapiennych, czyni je do picia mniéj zdatne i do kąpieli stosowniejsze. Ponieważ w Nałęczowie o pomieszczenie trudno, pałac bowiem zajmował także na kuracyi będący Cieciszowski, biskup łucki, przeto książę Czartoryski u nas zamieszkał i codziennie do kąpieli jeździł. W tym roku także z wielkim żalem wszystkich umarła na suchoty w drodze do Włoch Aniela Czartoryska; a siostra moja powiła pierwszego syna—Leona Grabowskiego, dzisiejszego kamerjunkra dworu rosyjskiego.

Naprzód we wrześniu a późniéj w grudniu na parę dni z ojcem Warszawę odwiedziłem, ale z krótkiego tego pobytu nie mam nic

ważniejszego do zanotowania. Mój ojciec dowiedział się, że król Saski postanowił wysłać do Paryża deputacyą złożoną ze Stanisława Potockiego, Bielińskiego i Działyńskiego, aby ona wyjednała u Napoleona, żeby przejęte przezeń sumy bajońskie nie były odrazu egzekwowane, ale podzielone na raty. Po odbytéj z księciem feldmarszałkiem i panem Ignacym Potockim naradzie, stanęło na tém, abym swoim kosztem przy boku Stanisława Potockiego tę podróż dla rozejrzenia się po świecie odbył. Udzielono mi potrzebne fundusze, a ks. feldmarszałek zaopatrzył mnie w listy rekomendacyjne i przez kilka godzin codziennie objaśniał, co i gdzie mam oglądać. Jednéj rzeczy tylko brakowało—paszportu. Okoliczność ta jednak mnie nie przestraszała i postanowiłem, jak wszyscy do legionów się wybierający, drogę odbyć na Ryki, Żelechów, Parysów, Siennicę, Rudę, do wsi Cisia, w okolicy Okuniewa wśród lasów położonéj. W wiosce téj mieszkał Zaleski, człowiek niezmiernéj poczciwości, Nemrod niezmordowany i wielki Napoleona wielbiciel. On to, byle tylko armii żołnierza przysporzyć, całą młodzież przez kordon austryacki przemycał.

Wioska Cisie wśród sapów, piasków, błot i lasów położona, miała domek szczupły, tak jak wszystkie prawie u ówczesnéj szlachty uboższéj stawiano. Po jednéj stronie sieni wielka izba i alkierz: to mieszkanie dziedzica; po drugiéj izba czeladna i kuchnia. W pańskiéj połowie przy drzwiach krzyż, a pod nim przybite naczynie ze święconą wodą. Z jednéj strony drzwi ogromny kanciasty komin, a obok piec olbrzymi z ławami dokoła, z drugiéj szafa kredensowa. Na środku stół okrągły dywanem przykryty, pod oknem stolik z regestrami gospodarskiemi i kalendarzami, daléj kanapa i przy ścianach porozstawiane krzesła. Alkierz służył za sypialnią i schronienie dla żony i dzieci. W domach takich żadnego przepychu, stołki twarde i ciasnota ogromna, ale gościa otaczano takiém wylaniem serca, służbę jego i konie tak karmiono obficie, że lepiéj tu było, aniżeli w złoconych pańskich komnatach.

Pan Zaleski nigdy innego nie przywdziewał stroju jak kurtę zieloną, spiętą rzemiennym pasem, szaraczkowe szarawary i buty juchtowe. Za pasem tkwił nieodstępny batożek, za pomocą którego utrzymywał porządek w licznych swoich sforach. Stada psów całe, zalegały wązki, gospodarskiemi budynkami obstawiony dziedziniec, a ogary, charty, gończe, wyżły, pijawki, wszystkie słowem rasy miały tu swoich przedstawicieli. Na ścianach domu rozmaite myśliwskie trofea porozpinane: sępy, orły, jastrzębie, rarogi, jelenie rogi, kły dzicze i łby wilcze. Na kominie ciągły ogień i to nie z drobnych polanek, ale kłód całych, szczęściem że mokrych.

Szlachcica tego zupełnie nie znałem, ale miałem do niego polecające listy i szczęśliwym trafem zastałem go w domu. Listy przeczytał i zaraz mnie jak starego przyjaciela serdecznie uściskał.

— Dobrze— rzekł — będziemy w Warszawie, ale mi trzeba jutrzejszy dzień przeczekać, żeby się dowiedziéć kto na komorze, kto na straży wojskowéj? — Ale—dodał — więc waść nie do wojska, jak widzę, cóż więc poczniesz, skoro ci wrócić wypadnie?

Nad trudnością tą nie myślałem dotąd, co prawda, i zresztą zapewniłem go, że mam pewność, iż do Paryża pojadę.

— Co tam pewność?—przerwał mi — jak będziesz w Paryżu, to dopiero będzie pewność. Słyszałem i ja, że król jest w Warszawie i deputacyą wysłać zamierza, ale hr. Neuperg mówił mi wczoraj, że Napoleon jakoby w hiszpańskie sprawy mięszać się zaczyna, może więc ci panowie nie do Paryża, ale do Madrytu pojadą.

Na uwagi te straciłem trochę fantazyą i p. Zaleski tak sprawę zadecydował:

— Pojutrze pojedziesz zemną do Warszawy. Konie, rzeczy, służących tutaj zostawisz i jeśli na pewno się dowiesz, że JW. Potocki wyjeżdża, to ci rzeczy odeślę. Jeżeli nie, wrócisz ze mną nazad.

Stosownie do tego programu stanęliśmy w dniu oznaczonym w Warszawie około jedenastéj rano. Nie tracąc ani chwili czasu, przebrałem się i do Potockiego pobiegłem. Ten listy przeczytał i zaraz zapytał:

— A paszport masz?

Opowiedziałem mu w jaki sposób do Warszawy się dostałem.

— Hm — rzekł —możebym wreszcie paszport wyjednał od ministra policyi, mego krewnego, ale wydać się to może i Austryacy gotowi ojcu twojemu skonfiskować Bronice. Zresztą my sami nie wiemy kiedy i gdzie jedziemy. Być może, że w Paryżu wcale nie będziem. Napoleon jest podobno teraz w Medyolanie i czekać będziemy na wiadomość, kiedy i gdzie widziéć go będzie można. Dlatego radzę ci, wracaj nazad tym samym sposobem, jakieś tu przybył.

Victus rationibus, wróciłem do domu i tak się ten mój projekt pierwszéj wycieczki w świat ulotnił.

Tymczasem pokój Tylżycki, wciągając Rosyą do przymierza z Napoleonem, wywołał na dworze petersburskim liczne zmiany. Stronnictwo przychylne Anglikom upaść musiało i Nowosilcow, hr. Lieven, Strogonow, Tołstoj i Wołkoński ministeryum opuścili, a wraz z nimi usunął się także ks. Adam Czartoryski. Ponieważ od téj chwili często o nim wspominać będę, notatka więc, odnosząca się do jego przeszłości nie zawadzi. Urodzony w 1770 r. otrzyma staranną edukacyą pod zwierzchnim nadzorem pułkownika Ciesiel-

skiego. Koło roku 1787 z matką udał się za granicę i najdłużéj w Anglii, bo półtora roku, przebywał. Po powrocie do kraju krótko jako ochotnik służył w kampanii Targowickiéj. Kiedy w 1795 r. dobra należące do ks. generała skonfiskowane zostały, Repnin dał do zrozumienia, że odzyskać się one dadzą, jeśli Czartoryscy obudwóch swych synów na dwór petersburski odeślą. Księcia Adama, skoro tam bracia przybyli, dodano do towarzystwa w. ks. Aleksandrowi i tu pomiędzy młodzieńcami zawiązała się serdeczna przyjaźń. Po śmierci Katarzyny cesarz Paweł przeznaczył ks. Adama na posła przy dworze Sardyńskim, bawiącym podówczas w Cagliari. Tu przebywał on aż do wstąpienia na tron Aleksandra, który go zaraz do siebie przywołał i we wszystkich swoich projektach i planach rady u niego szukał. Kiedy projekta przez ks. Adama podawane upadły i Aleksander w Tylży traktat z Napoleonem zawarł, książę Czartoryski wystąpił ze służby dyplomatycznéj, pozostał wszakże radcą tajnym, członkiem Rady państwa i wziął na siebie pełnienie obowiązków kuratora okręgu naukowego wileńskiego.

Uczucia, jakie ożywiały Księstwo Warszawskie, nie miały prawie żadnego odgłosu na Litwie. Wiedziano tu powszechnie o zamiarach z jakimi się nosił cesarz Aleksander i więcéj w nim jak w Napoleonie pokładano nadziei, gotowość do ofiar i przywiązanie do Francuzów szałem nazywając. Warunki zresztą miejscowe nie były zbyt uciążliwe. W języku polskim wykładano nauki w Wilnie i Krzemieńcu, zachowano statut litewski i urzędy sądowe zostawiono dla krajowców, pozwalając nawet przez wybory je obsadzać. Część urzędów administracyjnych także w polskich była rękach, a na najwyższe godności cesarz zwykle zaszczytnie znanych obywateli powoływał. Szlachta od podatków uwolniona z litością wzruszała ramionami, słysząc o ciężarach, jakie Napoleon w księstwie ponakładał. Tym sposobem jakby na dwa stronnictwa kraj zostawał rozbity.

Przy samym schyłku roku, Napoleon coraz wyraźniéj zaczął stwierdzać przekonanie, że pokój pod panowaniem jego niemożliwy. W lipcu jeszcze a nawet cokolwiek przedtém dwory hiszpański i portugalski ściągnęły na siebie niezadowolenie cesarza Francuzów. Pierwszy — ponieważ się wahał z wysłaniem posiłkowego, trzydziestotysięcznego korpusu, drugi — ponieważ nie zamknął portów swych dla angielskiego handlu. Niebawem téż trzydziestotysięczny korpus, pod dowództwem generała Junot wybrał się do Portugalii. Mimo trudów, niewygód i braku żywności, armia zbliżała się do Lizbony, a przestraszona familia królewska i znakomite rodziny ratowały się ucieczką. To ułatwiło opanowanie

i zajęcie kraju, a kiedy Junot w Portugalii gospodarował, Napoleon u stóp Pireneów sztyftował drugą i trzecią armią. 27 października podpisano w Fontainebleau traktat, mocą którego Portugalia ulegała podziałowi. Część jéj w zamian za Toskanią miał dostać król Etruryi, część przeznaczona była księciu Pokoju, pierwszemu ministrowi i faworytowi króla i królowéj hiszpańskiéj. Królewski dom Bragancyi został ogłoszony za pozbawiony tronu, a kraj musiał wypłacić Francyi sto milionów franków.

Kiedy podpisywano w Fontainebleau traktat co do Portugalii, w Hiszpanii tymczasem w rodzinie królewskiéj wybuchły familijne niesnaski, które wmięszanie się Napoleona w sprawy tego królestwa wielce ułatwiły. Król Karol V kazał aresztować następcę tronu Ferdynanda, księcia Austryi, zabrać jego papiery i przed Napoleonem skarżył się, jakoby syn wyrodny myślał o zabójstwie matki i zrzuceniu z tronu ojca. Współcześnie do dworu francuskiego udawał się także Ferdynand, zarzutom zaprzeczał, prosił o protekcyą i o rękę jakiéj księżniczki francuskiéj. Zdaje się, że ks. Pokoju, wszechwładny minister hiszpański i osobisty wróg księcia Austuryi intrygę tę uknuł. Bądź co bądź wszakże, Napoleon odebrawszy te listy nakazał, żeby armia do Hiszpanii wkroczyła. Nim jednak ruchy wojskowe się rozpoczęły, doniesiono, że zgoda na dworze hiszpańskim się ustaliła.

Wspominaliśmy już, że w pertraktacyach Tylżyckich myśl Napoleona podzielenia Europy na wschodnią i zachodnią rzuconą była, a choć — jak to się z dalszego toku wypadków okaże — nie chciał on Rosyi zupełnéj swobody na Wschodzie dozwolić, dla swoich wszakże widoków podburzał ciągle dwór Petersburski do przedsiębrania wojen. Tak wysłany generał Savary skłaniał Rosyą do odjęcia Szwedom Finlandyi, tak samo też zawikłano ją w wojnę z Turcyą. Z drugiéj strony generał Sebastiani, poseł francuski przy sułtanie Selimie III, nakłonił go do odebrania władzy hospodarskiéj książętom Ypsilanti i Moruzzi w Mołdawii i Wołoszczyźnie dlatego tylko, że byli Rosyi stronnikami. Destytucya ta sromotna, wbrew traktatowi zawartemu w Jassach, była powodem, że generał Michelson na czele 40,000 wojska wkroczył do Turcyi i zajął Chocim i Bender. Współcześnie zaś admirał angielski Dukwart, wraz z Sieniawinem, zniszczył flotę turecką i Selima III z tronu zrzucono. Po pokoju Tylżyckim Rosya na swoję rękę musiała kampanią prowadzić i nie długo też zawarto zawieszenie broni. Do pokoju jednak nie przychodziło, bo Napoleon słuchając podszeptów generała Sebastiani i podając ucha radom, aby upadającą Turcyą dla Francyi zhołdować, rozmaite stawił przeszkody.

Jeszcze w roku poprzednim, zaraz po wygranéj pod Jena, wydał Napoleon dnia 21 listopada 1806 roku dekret w Berlinie, stanowiący, że:

1. Wyspy Wielkiéj Brytanii są uznane w stanie blokady. Zabronione z niemi wszelkie stosunki handlowe a nawet listowne.

2. Każdy Anglik za jeńca ma być uważany.

3. Wszelka własność do Anglika należąca, tak ruchoma jak nieruchoma, poczytuje się jako zdobycz wojenna.

4. Również za zdobycz uważane będą wszelkie wyroby z fabryk angielskich pochodzące.

Ustawy te weszły w wykonanie we Francyi, Holandyi, Północnych Niemczech, krajach Związku Reńskiego, Szwajcaryi i całych Włoszech. W listopadzie zaś na mocy traktatu Tylżyckiego przystąpiły do nich Rosya i Prusy, po traktacie w Fontainebleau Portugalia i Hiszpania, a po doznaném bombardowaniu Dania. Tak więc handel dla Anglii otwarty był tylko w Szwecyi, Turcyi i Austryi. Z dwoma pierwszemi jednak Anglia prowadziła wojnę aż do traktatu w Tylży, a w Austryi i tak towary angielskie były zabronione. Podczas pobytu swojego w Medyolanie Napoleon jeszcze więcéj surowość blokady téj obostrzył. Nakazano mianowicie konfiskatę każdego okrętu, bez względu na jego flagę, jeśli do brzegów angielskich przybijał i tego któryby się rewizyi odbywanéj przez flotę angielską poddał. Pochodziło to ztąd, że Anglia porty francuskie w stanie blokady ogłosiwszy, wszelkiego do nich dowozu bez rewizyi i opłacania podatku nie dozwalała. Jako odpowiedź na postanowienia Napoleona w Medyolanie ogłoszone, zabroniła Anglia dowozić do portów, dla jéj handlu zamkniętych, towarów kolonialnych. Trudno sobie wyobrazić dzisiaj jakie skutki wynikły z takiego gnębienia stosunków handlowych. Jeszcze wówczas nie znano w Europie innego cukru, jak z Antyllów w melasie dostarczany i na rafineryach europejskich oczyszczany. Herbaty nie dowożono także przez Rosyą, oprócz tego farby do fabryk, specyfiki aptekarskie, bawełnę przędzoną, watę, wszystko to dostarczała Anglia i kiedy z początku nastąpiło tylko tych przedmiotów podrożenie, późniéj, kiedy wyczerpano zapasy, okazał się brak dokuczliwy. Jeszcze bez przedmiotów zbytku można się było obejść, ale najgorsza sprawa okazała się z lekarstwami. Starano się je zastępować rozmaitemi surogatami, jak: chinę—korą wierzbową, opium—ekstraktem z maku i liści szaleju i t. d. ale w skutkach okazało się to zgubném, a właściwe rezultaty wyszły na jaw właściwie dopiero w latach 1812 i 1813.

W lecie tegoż roku, przed pokojem jeszcze Tylżyckim, przybył do Bronic Jan hr. Krukowiecki, lwowianin i chociaż już nie pierw-

széj młodości, bo około czterdziestu lat wtedy liczył, wyszukany elegant. Służył on poprzednio w wojsku austryackiém i dymisyą, zdaje się w stopniu porucznika otrzymał. Charakteru popędliwego, miał wiele pojedynków i to prawdopodobnie jego wystąpienia ze służby było powodem. Z ojcem mym, który corocznie na kontraktach lwowskich bywał i zwykle po sześć tygodni tam bawił, dawną miał znajomość, prosił więc jak jego, tak i mego szwagra o listy rekomendacyjne do ks. Józefa i generała Michała Grabowskiego, żeby go do wojsk Księstwa Warszawskiego przyjęto. Bez żadnéj trudności je uzyskał, a że oficerów brak był wielki i że książę Józef wskutek dawnéj służby swojéj w wojsku austryackiém, wielką miał dla oficerów ztamtąd sympatyą, został więc zamianowany szefem batalionu w pułku Michała Grabowskiego.

I ojciec mój i szwagier żałowali późniéj, że się tego umieszczenia jego stali powodem, bo chociaż to był odważny, waleczny i dobry oficer, jednak z powodu jego charakteru kłótliwego miał Grabowski mnóstwo nieprzyjemności. Krukowiecki nawet właściwie był powodem śmierci Grabowskiego pod Smoleńskiem. Kiedy bowiem Grabowski szykował swe kolumny do szturmu i objeżdżał szeregi, Krukowiecki podówczas już pułkownik ozwał się:

— Generale, pokaż nam, stanąwszy na czele, jak się bez drabin i wyłomu na te mury wydostać. Nie, Garnizon to w Gdańsku, nie czekają nas jak tam ostrygi i wygodne bety niemieckie.

— Rozumie się, że na waszém czele — odpowiedział generał — daléj za mną! — i od pierwszego poległ strzału.

W kilka godzin zginął tu także powinowaty jego generał Kozen.

(*Dokończ. nastąpi*).

WPŁYWY GRECKIE

NA WYBRZEŻACH ZATOKI TARENCKIÉJ.

V.

Na północy zatoki Tarenckiéj morze ciasném przejściem wchodzi w głąb lądu, tworząc obszerne wewnętrzne jezioro, oddzielone od ogólnéj massy wodnéj długim i wązkim paskiem ziemi. Na téj ograniczonéj przestrzeni wznosi się dzisiejszy Tarent, ścieśniony w trzech ulicach, przy których wysoko jedne po nad drugiemi piętrzą się domy o rzadkich oknach i balkonach zakratowanych, złączone między sobą kamiennemi łukami. Na ulicach roi się ludność krzykliwa i brudna jak wszędzie w południowych Włoszech, ale bardziéj niż gdzieindziéj wynędzniała i schorowana dla zupełnego braku powietrza i wyłącznie rybnych pokarmów. W „mare piccolo" jak nazywają część morza wgłębioną w ziemię od dawna już prowadzi się na wielką skalę hodowla ostryg i mięczaków, równocześnie zaś rybacy poławiają tam niezliczone mnóstwo owych „frutti di mare," które tak prześladują cudzoziemca na wszystkich włoskich wybrzeżach. Na przeciwnych końcach przesmyku dwa silne bastyony strzegą miasta, które aż do wzięcia Algieru przez Francuzów żyło w ciągłéj obawie piratów—z czasem zapewne fortyfikacye te przybierą nieskończenie szersze rozmiary, jeśli rząd włoski uskuteczni swój wspaniały choć bardzo kosztowny zamiar zrobienia z Tarentu pierwszorzędnego portu wojennego, podobnie jak nim jest Spezzia. W istocie *mare piccolo*, zdolne pomieścić całą flotę, stanowi naturalny port największy i najbezpieczniejszy na morzu Śródziemném.

We Włoszech całych niewiele jest krajobrazów, od tego piękniejszych. Z dwóch stron morze go ujmuje w szafirowe ramy, w głębi za tło mu służy płaszczyzna podnosząca się ustępami coraz

wyżéj, w części opustoszała i tylko chwastem i wrzosami zarosła, w części, w mniejszéj połowie urozmaicona wesołemi wioskami, naokoło których zielenieją zbite gęstwiny mirtów, gaje pomarańcz i migdałów—winograd pnie się po urwiskach i murach, a czasem ponad otaczającą zieleń wzbija się lekko wachlarz palmowy. Ostatni plan widnokręgu zamknięty jest łańcuchem gór, które się tu rozdzielają na dwie gałęzie opasujące zatokę. Pomiędzy nagiemi szczytami i urwiskami dzikiemi toczą się z łoskotem po skałach te „fiumare“ kalabryjskie, suche latem, w porze deszczów roznoszące szeroko do koła zniszczenie nawałem wód, i dotychczas jeszcze wzbudzające w mieszkańcach taki sam przestrach zabobonny, jak wtenczas, gdy pod postacią byków wściekłych, ryjących ziemię rogami, oddawano im cześć boską i łagodzono gniew ich ofiarami.

Początki osady greckiéj w Tarencie, jak wszystkich innych w Italii, podanie odnosi do przybyłych tu w bardzo odległéj epoce Greków z Krety, splatając z niemi bogów i mitycznych bohaterów, z których główny, po rozbiciu swego okrętu, miał tu przypłynąć na grzbiecie delfina. Godłem miasta w związku z tym mitem, była postać młodzieńca, niosącego przez morze na delfinie trójnóg Apolina dalekim lądom. Jak zwykle, w podaniu tém może tkwić cząstka prawdy;—istnienie osady dawniejszéj i może w istocie greckiéj, w tak ważnym i wygodnym punkcie, zdaje się więcéj niż prawdopodobnem; historycznie stwierdzoną jednak jest dopiero emigracya doryjska, która tu siedzibę obrała w kilka lat po założeniu Sybaris i Krotony (707). Emigracya ta składała się z nieprawych synów niewiast lakońskich, którzy się urodzili podczas długoletniéj nieobecności ich mężów na wojnach Messeńskich. Rząd wprawdzie uprawnił ich położenie zarówno w rodzinach jak i w państwie, oczywiście jednak nie widziano ich chętném okiem, a gdy jeszcze nie udała się im próba pochwycenia gwałtem władzy w swoje ręce, zmuszono ich szukać sobie nowéj ojczyzny. Przynieśli do niéj rodzinne swe tradycye, arystokratyczny ustrój państwowy, wytrwałe męstwo i energię—zalety niezbędne wśród warunków, w jakich się znaleźli.

Warunki były trudne. Messapijskim i Salentyńskim plemionom, zajmującym równinę i góry w okolicy Tarentu, daleko było do miękkiéj dobroduszności Enotryjczyków, których Sybaryci i Krotończycy opanowali tak łatwo. Trzeba było z niemi krwawo walczyć o każdą piędź ziemi, a kiedy wreszcie po dwu wiekach walki rozegrał się jéj akt ostatni i wahające się aż do końca zwycięztwo stało się udziałem Tarentczyków, forma rządu zwycięsców musiała się zmienić na demokratyczną, bo wszystkie wielkie rody wyginęły na placu boju. Na pamiątkę dwóch ostatnich kampanii, które w ich

ręce oddały władzę nad całą południowo-wschodnią stroną półwyspu, Tarentczycy ofiarowali świątyni Delfickiéj najprzód konie i statuy niewolnic z bronzu, późniéj wielką grupę hoplitów messapijskich, walczących nad ciałem swego poległego króla z Tarentczykami, na których czele stali ich dwaj założyciele, mityczny Tazas i przywódca Lakończyków Falantos. W ogóle nabożeństwem do boga delfickiego odznaczał się Tarent, może dlatego, że wedle podania synowie Apolina pierwsi z Greków przybyli na te wybrzeża.

Ze zwycięženiem Messapijczyków, Tarent doszedł do kulminacyjnego punktu szczęścia i potęgi. Siły żywotne Greków italskich, wyczerpujące się już na południu, skupiły się w tym zakątku najbardziéj oddalonym od wrogich wpływów. Półwysep Japigijski, owładnięty przez Tarentczyków, dostarczał w obfitości produktów rolnych i dobrego żołnierza armiom, wojenne okręty Tarenckie napełniały całe morze Jońskie i Adryatyckie, utrzymując na nich ścisłą policyę; przemysł był czynny, handel rozszerzył się po dalekich morzach, monopolizując zupełnie Adryatyk. Z upadkiem Sybaris i osłabieniem Krotony nieszczęśliwemi walkami z Bruttium i tyranami Syrakuzy, wpływ Tarentu rozciągnął się na całą wielką Grecyę i hegemonia jego uznaną została przez wszystkie miasta południowo-italskie. Równocześnie poddawały się jéj tuziemne ludy Apulii, wiążąc się w federacyę pod przywództwem Tarentu i opieki jego potężnéj używały osady greckie na środkowych i północnych wybrzeżach Adryatyku, *Ankona* doryjska i *Hadrya* przy ujściu *Po*. Rząd prowadził rozumną i oględną politykę, jednając sobie podbitych tuziemców łagodnością i powolném przypuszczeniem do praw i interesów stolicy. Utrzymując stosunki przyjazne z tyranami Syrakuzy, którzy coraz bardziéj naciskali bliższe Sycylii osady greckie, wpływami swemi starał się nieraz uzyskać dla tychże zwolnienia i ustępstwa. Wtedy to (w początkach IV w.) równocześnie z młodszym Dyonizyuszem w Syrakuzie, wpływ przeważny na rządy Tarentu zaczął wywierać pitagorejczyk *Archytas*, przyjaciel Platona, twórca mechaniki i najznakomitszy swojego czasu astronom i matematyk. Podobnie jak Perykles w Atenach, bez urzędowego stanowiska, jedynie siłą wymowy, patryotyzmem, cnotą i wyższemi zdolnościami potrafił stanąć na czele zewnętrznych i wewnętrznych spraw swego kraju, ulepszając prawa i zwyciężając nieprzyjaciół. „Zdawać się wówczas mogło, że Włochy znalazły pana i że panem tym nie będzie Rzym, który się zaledwie podnosił z klęski, doznanéj od Gallów i którego potęga nie mogła jeszcze była przejść ciasnego koła, w którém rozwijała się z trudnością“ (1).

(1) Lenormant, la Grande Grèce, I, 36.

Ale podobnie jak w Sybaris i Krotonie, to szczęście tak wielkie niosło w sobie czynniki upadku. Bogactwa niepomierne, jakie Tarentczykom przynosił handel, zwłaszcza po upadku Sybaris, wywołały szalony zbytek i zniewieściałość. Ze śmiercią Archytasa, miejsce dawnych doryckich cnót obywatelskich zajęło zamiłowanie w teatrze i wyścigach, w biesiadach wytwornych, w elegancyach złotem i srebrem litéj odzieży, w rozpuście, któréj pomagał słynny rynek niewolników. Długo jeszcze na zewnątrz świetność i przewaga Tarentu pozostają niezmienne, nie zmniejsza się handel, bogactwo, teorytoryalna potęga—ale już jedne za drugiemi psują się wewnętrzne czynniki organiczne, już usuwają się podstawy, na których dotąd opierał się byt miasta, już obywatele jego zapominają o sławie wojennéj ojców i wolą opłacać najemników, żeby ich bronili; już bliską chwila, gdy dla ocalenia bytu, Tarent będzie musiał używać fatalnéj pomocy książęcych kondotierów z Lacedemonii i Epiru i wybierać między ich tyranią a obcem jarzmem.

Don-Kiszot unieśmiertelnił tę epokę na schyłku wieków średnich, gdy duch rycerski i awanturniczy, niespodzianie rozbudzony na nowo, stwarzał całe zastępy błędnych rycerzy i książąt bez ziemi, szukających po świecie państw i sławy, a znajdujących zazwyczaj tylko guzy. Nic ciekawszego od takich postaci np. jak ów Władysław Biały, przez tyle lat wikłający dzieje polskie, albo owe wyprawy „krzyżowe“ z Anglii i Francyi na pomoc Teutońskim rycerzom, walczącym z ochrzczonemi Litwinami i Polską. Wskrzeszanie gorączkowe epoki dawno umarłéj,—zapalanie się na zimno do ideałów, unoszących za sobą niegdyś tłumy, wyzyskiwanie tych ideałów na własną korzyść z przewrotną rachubą—świadkiem „wzór paladynów“ „najpierwszy z europejskich rycerzy“ Zygmunt Luksemburski—to charakterystyczne cechy czasów tych i ludzi.

Jakkolwiek zakrojona na nieskończenie szerszą skalę, epoka Aleksandra Macedońskiego ma z XIV i XV w. wiele podobieństwa. Jak tam przygody Normandów i wyprawy krzyżowe, tak tu walki bohaterów Iliady są wzorem, a czasem pretekstem dla mnóstwa ludzi niespokojnych i ambitnych, dla małych królików górskich, którym się przykrzyło stada paść na rodzinnych urwiskach, albo tych biednych książąt spartańskich, wiecznie spiskujących bezowocnie i wypędzanych z ojczyzny. Dla wszystkich ostrogą było bajeczne opanowanie państwa Achemenidów aż do najdalszych krańców Wschodu przez szczupłą garstkę wojska pod przywództwem spragnionego przygód młodzieńca. To co się jemu udało, dla czegóż nie miałoby się stać i ich udziałem? Wschód był zamknięty, wszystkie oczy i żądzę zwróciły się ku Zachodowi, ku téj Italii południowéj, którą łą-

czyły stałe interesa i stosunki z całą Grecyą, a wewnętrzne niepokoje i zawikłania dawały ciągłą sposobność mieszania się do jéj spraw.

Była to chwila, gdy walczące z hellenizmem żywioły tak się wzmogły, że pokonawszy bliższe sobie osady były już w stanie się zwrócić przeciw Tarentowi. Mieszkańcy Bruttium zalewali Krotonę i Caulonię, Lukańczycy opanowali z jednéj strony całe greckie wybrzeże morza Tyrreńskiego i rzucili się na Tarentczyków, wywołując równocześnie powstanie plemion Messapijskich zależnych od Tarentu i odrywając sprzymierzoną z nim Apulię. Za chwilę miał na północy zjawić się wróg jeszcze straszniejszy. Opanowawszy Samnitów, przez Apulię zbliżał się Rzym.

Czasy, w których cała arystokracya tarencka dawała się zabijać w obronie ojczyzny, dawno już minęły. Naciśnięci ze wszystkich stron, Tarentczycy szczęśliwemi się czuli, znajdując płatnych obrońców, którzy korzystali z pretekstu, żeby pracować dla własnych celów i ambicyi, i poskramiając wrogów Tarentu, równocześnie ujarzmiać jego mieszkańców. Cały téż stosunek owych zamorskich wodzów z Tarentem, polega na grze w zręczniejszego i oszukiwaniu wzajemném, pod pozorami serdecznéj przyjaźni. Król epirski, Aleksander Moloss, wuj swego macedońskiego imiennika, wezwany przez Tarentczyków dla ocalenia ich i wszystkich Greków italskich od brutyjskiéj i lukańskiéj powodzi, zaczął od próby zdobycia i obsadzenia swą załogą sprzymierzonego z Tarentem Brentesionu, a następnie opanował tarencką mennicę i jak prawdziwy monarcha wybijał w niéj złote i srebrne monety ze swém popiersiem. Gdy zaś wskutek podobnych przedsięwzięć, gotujących tyranię, Tarentczycy stali się bardziéj jeszcze ostrożnemi i niechętnemi, zerwał z niemi, kolonię ich Herakleę ogłosił niepodległą i punkt środkowéj ligi grecko-italskiéj z Tarentu przeniósł do Turyów. Walki jego z wrogami Greków miały świetne powodzenie—nietylko odebrał im greckie podboje, ale wdarłszy się na pierwotne ich terytorym, pomiędzy góry, opanował najważniejsze miasta i fortece i tylko śmierć w bitwie pod Pandosią przeszkodziła mu urzeczywistnić śmiały zamiar utworzenia wielkiego królestwa grecko-italskiego.

Gorszym był inny awanturnik, książę lacedemoński Kleonim, który z 5.000 hoplitów przybył bronić Tarentu od Lukańczyków, na nowo zaczynających walkę nie bez tajnego udziału Rzymu. Dowódca zręczny i śmiały, zwyciężył szybko nieprzyjaciół, ale zaraz potém, zruciwszy maskę cnoty spartańskiéj, opanował swemi żołnierzami fortecę Tarencką, rozpędził rząd i rozpoczął tyranię. Późniéj korzystając z jednéj z jego wypraw, Tarentczykom udało się wyswobodzić, ale

ich sprzymierzeniec dawny długo jeszcze pozostał postrachem wszystkich italskich Greków. Łącząc się w razie potrzeby z Lukańczykami dla wspólnéj grabieży, napadał niespodzianie na miasta greckie i łupił je w straszny sposób, zabierając nieraz oprócz okupu pieniężnego po kilkaset młodych dziewcząt dla własnego haremu i dla żołdactwa. Wpadały mu tak w ręce kolejno Metapont, Tropaia, Korcyra i Turye, gdzie zrobił sobie punkt środkowy rozbójniczych operacyj, póki Rzymianie, dotychczas spokojni świadkowie, nie uznali, że dojrzała już chwila interwencyi i nie wypędzili go z tego ostatniego miasta, występując w ulubionéj swéj roli protektorów miast greckich.

Postawionym był w ten sposób pierwszy krok na drodze, na któréj niebawem musiała nastąpić kolizya rzymskich interesów z tarenckiemi. Rzymianie dążyli do opanowania zatoki, którą Tarent przywykł od czasu swéj hegemonii uważać za wyłączną własność. Łamiąc traktat handlowy, wzbraniający ich okrętom przechodzić po za przylądek Lacyński, Rzymianie pomimo protestacyi tarenckich wysłali całą flotyllę do Turyów i w końcu przywłaszczyli sobie policyę i straż zatoki. Wtedy w Tarencie obudziło się na chwilę dawne patryotyczne uczucie. Kiedy raz w dniu świątecznym lud był zebrany w otwartym amfiteatrze podczas przedstawienia jednéj z ulubionych sztuk komicznych, z wyższych stopni ujrzano na morzu dziesięć okrętów rzymskich, podpływających w wojennym rynsztunku pod same mury miasta, jakby z umyślném wyzwaniem. Wielki krzyk oburzenia rozległ się w teatrze. Jedną olbrzymią falą rzuciła się cała masa ludzi ku morzu i na kilku triremach pod rozkazami na prędce znalezionych dowódców rozbiła niezwłocznie rzymską flotę, zatapiając lub opanowując połowę statków, podczas gdy druga spiesznie musiała ratować się ucieczką. Zaraz potém, pod wpływem pierwszego powodzenia, posłano wojsko do Turyów dla wypędzenia ztamtąd rzymskiéj załogi. Oczywiście odpowiedź Rzymian nie kazała na siebie czekać. Na dumne żądanie zadośćuczynienia i kar surowych dla winowajców, senat tarencki odpowiedział spokojnie i z powagą posłom rzymskim, że walki nie pragnie, ale od traktatów i praw swoich nie odstąpi, na zebraniu zaś ogólném w amfiteatrze, gdzie lud miał niejako w ostatniéj instancyi wydać wyrok, namiętności rozbudzone wyraziły się obelgami, zapewne powiększonemi przez historyków rzymskich. „Śmiejcie się teraz: wasza krew zmyje tę obrazę!“ miał zawołać wychodząc przywódca poselstwa—L. Postumiusz, którego licha greczyzna nie znalazła powodzenia u słuchaczów.

Zapominając o długoletnich walkach, dla obrony przeciw Rzymianom połączyły się z Tarentem i innemi italsko-greckiemi miastami wszystkie owe straszne niegdyś plemiona brutyjskie, lukańskie, samnickie, dziś już pod północnym naciskiem osłabłe znacznie. Z obydwu stron rozumiano dobrze cel i przewidywano skutki tego starcia, oczekiwanego oddawna z potęgą, która, według wyrażenia zastosowanego do wiele mniejszych czasów i ludzi, pochłaniała po jednym listku włoskiego karczocha. W samym początku starcia fortuna Rzymu odniosła zwycięstwo i za rozbitemi wojskami sprzymierzeńców żołnierze rzymscy weszli do Lukanii.

Na wieść o porażce, w Tarencie nastąpiło równie szybkie zniechęcenie i upadek wiary w możebność obrony, jak gwałtownym był przedtem wybuch patryotycznéj odwagi. Pomimo świeżych jeszcze doświadczeń tłumy wołały głośno o przyzwanie na pomoc obcego wodza, dawnego sojusznika Tarentu, Pirrusa z Epiru. Darmo rozsądniejsi przypominali smutną pamięć Kleonima i Aleksandra, a jeden z wpływowych mieszkańców miasta zjawił się w teatrze uwieńczony kwiatami w towarzystwie lutnistki, wołając: „bawmy się, bo gdy Pirrus nadejdzie, nie będzie już to możliwém“—ogólnego prądu nie można było wstrzymać. Królowi Epirskiemu przyobiecano wystawić blisko czterykroćstotysięczną armię i już w następnym roku ujrzano go w murach Tarentu. Pierwszą jego czynnością było zaprowadzenie tyranii. Rząd został usunięty, teatr, pod pozorem wyrwania Tarentczyków z ich z niewieściałości, zamknięto, kładąc w ten sposób tamę równocześnie i ludowym zebraniom. Pod tym samym pozorem zniesiono *syssytie*, uczty publiczne, na których codziennie mówiono o sprawach państwa. Równocześnie żołdactwo epirskie bezkarnie plądrowało w mieście, popełniając wszelkie gwałty, a tych wszystkich, którzy probowali skarżyć się lub opierać, zmuszano do ucieczki z miasta. W końcu, straciwszy lekkomyślnie całą prawie armię, ukoronowany awanturnik poszedł szukać nowych przygód w Epirze, na łasce zwycięzców zostawiając Tarentczyków pomimo świetnych obietnic i zrzucając na nich winę własnego niepowodzenia. Rzymianie popierają to świadectwo, w jaskrawych barwach malując tchórzostwo i miękkość swoich przeciwników. Zdaje się jednak, że z obudwu stron źródło i bezstronność zarzutów dość są podejrzane. Odpowiedzią na nie jest odwaga Tarentczyków w bitwie pod Ausculum, w któréj ich białe tarcze przodowały armii całéj, a po usunięciu się Pirrusa z placu boju, zacięty i mężny opór stawiany Rzymianom aż do końca, dopóki zdrada epirskiego komendanta miasta nie wydała Tarentu w ręce Rzymian. Zdaje się jakby w ostatnich chwilach istnienia politycznego obudziły się w Tarencie jego dawne

doryckie cnoty obywatelskie, nadając mu w chwili zgonu tragiczny majestat, jakiego nie mają upadające miasta achejskie.

„Zwyciężywszy Tarent, na cóż nie można było się ważyć?!“ Frazes ten historyków rzymskich jest wymownem świadectwem stanowiska, jakie zajmowało zwyciężone miasto, znaczenia, jakie do jego opanowania przywiązywali zwycięzcy. Odbiło się ono silnie na Rzymie i na całych Włoszech. Bogactwo zdobyczy było tak niezmierne, że kurs złota i srebra nagle spadł na całym półwyspie. Senat rzymski wtedy dopiero zdecydował się na wybicie po raz pierwszy monet srebrnych, odbierając natomiast to prawo wszystkim miastom zależnym od siebie. Tarent odtąd musiał zaprzestać wybijania słynnych *didrachmów* srebrnych rozpowszechnionych po całych Włoszech i Adryatyku, ograniczając się wyłącznie do zdawkowéj monety miedzianéj.

Panowaniu Greków na południu Włoch zajęcie Tarentu położyło kres na całych dziesięć stuleci. Jak w ostatniéj fortecy skupiły się tam wszystkie siły żywotne hellenizmu italskiego, zwyciężonego kolejno przez wrogie im żywioły na wszystkich innych stanowiskach: — ze zgaśnięciem tego ogniska, rozproszone pierwiastki nie miały już się nigdy skupić na nowo. Długo jeszcze żywioł grecki przedłuża swe istnienie w pojedyńczych punktach — ale istnienie to bezsilne, przytłumione, dające tylko sporadycznie znaki życia.

Polityka Rzymian, bardzo zręczna i konsekwentna, od początku już zagrodzila drogę wszelkiemu połączeniu i jednomyślności, starając się wewnątrz każdego miasta i pomiędzy miastami wywołać nieustanne ścieranie się wzajemnych interesów. Z nieporównanym sprytem umieli Rzymianie wyzyskiwać walkę stronnictw, rywalizacyę szczepową, nienawiść wspólną Greków do Kartaginy. Każde miasto dostawało inne prawa, kolonie ostentacyjnie uprzywilejowano wyżéj od ich metropolii — rachuba jak się pokazało niemylna, arystokratyczny żywioł obdarzany szczególnemi względami stawał się wszędzie czynnikiem służącym wiernie Rzymowi wbrew interesom ojczystym. Wreszcie zastosowanie zręczne szali łask i swobód do stopnia uległości dla Rzymu stało się najczęściéj potężnym motorem popychającym Greków do stóp zwycięzcy.

Ciekawem jest widzieć, jak niedługo po jednomyślnem połączeniu do wspólnéj walki przeciw Rzymowi, miasta greckie rozchodzą się w swoich drogach, rządząc się wyłącznie egoistycznym interesem i chwilową korzyścią zarówno w stosunku do Rzymian jak i między sobą. Niektóre z nich jak Metapont stają otwarcie po stronie Kartagińczyków podczas wojny punickiéj, podczas gdy inne bronią sprawy rzymskiéj wtedy nawet, gdy ich Rzymianie sami zwalniają

z przysiąg. Z bohaterstwem godném bardziéj patryotycznego celu mieszkańcy Petelii, opuszczeni od zgnębionego Rzymu, patrzą niewzruszenie na mord swoich żon i dzieci pod murami miasta, giną powolną śmiercią z głodu i oddają wreszcie nieprzyjacielowi nie miasto ale wielki grobowiec. Z mniejszém poświęceniem i większą dbałością o własne bezpieczeństwo idą za ich wzorem z Rzymianami liczne inne miasta italo-greckie.

Tarentowi nowi jego panowie pozostawili dawne prawa i cień samorządu, odebrawszy mu wraz z ogromną kontrybucyą broń i okręty. Mury obronne zrównano z ziemią a na akropolu stanęła rzymska załoga. W pierwszéj wojnie punickiéj Rzymianie pozwolili znów Tarentczykom odbudować sławne ich galery, i jako sprzymierzeńcy morscy, doskonali marynarze greccy stali się wielką pomocą przeciw znienawidzonemu wspólnie od Greków i Rzymian wrogowi. Była to niejako wojna narodowa wszystkich mieszkańców półwyspu. Inaczéj się stało w drugiéj wojnie. Coraz cięższéj gnębiące jarzmo Rzymu spróbowały odrazu zrzucić niektóre miasta, łącząc się z Hannibalem. Tarent, pomimo świeżych wspomnień swobody i czynionych przez Hannibala obietnic jéj powrotu, nie mógł w początkach odważyć się na przymierze, po tylu wiekach zajadłéj rywalizacyi na morzu i lądach wydające się Grekom czémś potworném. Dopiero okrutne morderstwo zakładników tarenckich w Rzymie rzuciło Tarent na stronę Kartagińczyów. Hannibal dopełnił obietnicy, a korzystając z odzyskanéj na krótko niezależności, miasto pospieszyło bić na nowo złote i srebrne monety, które musiały rozejść się szeroko po świecie, skoro około 200 r. przed Chr. mieszkańcy dzisiejszego Amiens w Galii, zaczynając bicie złotych monet, za wzór sobie wzięli pieniądze Tarentu, zaniesione tam zapewne przez wracających z wojny najemników Hannibala.

Przez trzy lata Tarent służył za miejsce zaopatrywania się w żywność dla wojsk kartagińskich, podczas gdy w fortecy utrzymywał się rzymski oddział. Nareszcie zdradą Brutyjczyków, należących do załogi miejskiéj, otwarto jednéj nocy bramę Rzymianom, w chwili gdy wojsko tarenckie odpierało wycieczkę załogi fortecznéj. W ciasnych ulicach miasta rozpoczął się bój długi na życie i śmierć. Wojsko Fabiusza, dowodzącego Rzymianami, zdobywać musiało oddzielnie każdy dom, każdą piędź ziemi. Na wysokości Saguntu i Kartaginy stanął Tarent w téj ostatniéj walce, bez nadziei. Dopiero gdy wybito ostatnich żołnierzy i zdatnych do obrony mieszczan, mogło żołdactwo rozpocząć rabunek. Chroniąc się od zniewagi, dziewice strzegące świątyni Ateny rzucały się z jéj dachu na ziemię. Senatorów smagali rózgami i ścinali liktorowie; trzydzieści tysięcy obywa-

teli sprzedano jako niewolników, resztę wygnano lub przesiedlono do Etruryi. Wraz z częścią zdobyczy, zatrzymaną, przez skarb i wynoszącą 3,000 talentów srebrnych (rzeczywistéj wartości około 30 milionów rs.), przeniesiono do Rzymu skarby sztuki, jak słynnego Herkulesa rzeźbionego przez Lizyppa i Wiktorię, z czasem najpiękniejszą ozdobę Curia Julia. Tylko kolosalny Zeus Lizyppa, na 40 łokci wysoki, musiał dla braku środków przeniesienia go pozostać na miejscu i powodowany zabobonem, Fabiusz wzbronił zabierać wszystkie posągi bogów, wystawionych w zagniewanéj postaci.

Po kilku miesiącach gwałtów i prześladowań, Fabiusz uznał wreszcie karę za wystarczającą i na jego wstawienie się wrócono Tarentowi stanowisko sprzymierzonego miasta, zachowując w niém jednak pretora i silną załogę. Oprócz tego przez długie lata całą młodzież miejską pod pretekstem służby wojskowéj trzymano zdala od ojczyzny—ostrożność zbyteczna, bo miasto wyludnione do szczętu prawie, nie było już zdolne zamarzyć nawet o wolności. Dzieje jego odtąd przestają miéć jakikolwiek interes. Jedno tylko zasługuje na uwagę. Pomimo zgnębienia żywiołu greckiego przez Fabiusza, pomimo przysyłanych tu kolejno kolonii rzymskich—*Colonii Neptunii* za Kajusa Gracha i kolonii weteranów za Nerona, miasto pozostało greckiém przez czas długi, tak, że za Augusta jeszcze Strabon zalicza je wraz z Neapolis i Rhegion do jedynych miejsc na półwyspie, w których hellenizm utrzymał się w całéj swéj czystości.

Za następnych cesarzy, sądząc z epigrafiki ówczesnéj, latynizacya Tarentu szybko poszła naprzód. Późniéj w wirze ścierających się z sobą żywiołów, wraz z innemi prowincyonalnemi miastami mienia panów i Otranto, przechodząc kolejno od Gotów do Greków, od Greków do Lombardów i napowrót do Greków, aż póki wielka nawałnica muzułmańska wstrzymana na czas jakiś przez byzantyńskich cesarzów i wodzów, nie zalała w początku X w. całego Japygijskiego półwyspu i nie zrównała z ziemią dawnego Tarentu, którego mieszkańców wyrznięto lub uprowadzono do Afryki w niewolę. Dopiero w czterdzieści lat późniéj cesarz Nicefor Fokas postanowił odbudować miasto, nie chcąc zostawić tak ważnego strategicznego i handlowego punktu opuszczonym. Na skale, na któréj niegdyś wznosił się akropol, stanęło nowe miasto w całości zbudowane ze starożytnych ruin, których zniszczenie zupełnie w ten sposób się tłumaczy. Odtąd na nowo greckie wyłącznie Otranto pozostało wiernem swoim byzantyńskim panom i mężnie odpierało przez długi czas nacisk Normandów, póki go wreszcie niezdobył Robert Guiscard w drugiéj połowie XI w. wprowadzając za sobą łaciński rytuał i nieprzyjazny hellenizmowi żywioł polityczny i cywilizacyjny.

VI.

Ten sam fatalizm dziwny, który tak zupełnie zatarł ślady miast greckich na półwyspie Italskim, zdaje się ciężyć i nad szczątkami ich umysłowéj i artystycznéj kultury. Z podania tylko wiemy o mędrcach i uczonych, któremi przez parę stuleci jaśniała szkoła pitagorejska w Wielkiéj Grecyi. Szkoła lekarzy krotońskich słynęła szeroko w najdalszych zakątach świata greckiego: — jednym z jéj głównych przepisów było wyrabianie sił za pomocą ćwiczeń gimnastycznych. Jéj założyciel Alkmajon pierwszy w starożytności zaczął za pomocą sekcyi anatomicznych na zwierzętach badać tajemnice organizmów żyjących i w *Traktacie o naturze rzeczy* próbował oprzeć swój system leczniczy na ogólnych prawach fizyki i kosmografii. Ziemie Tarentu obfitowały w poetów. Jeden z nich—Leonidas, zmuszony szukać schronienia „w Grecyi po upadku ojczyzny, kazał pisać na swym grobowcu: „Leżę bardzo daleko od ziemi italskiéj i od Tarentu, mojéj ojczyzny, i to mi cięższe od śmierci!“ Pomiędzy jeńcami, uprowadzonemi z Tarentu przez Rzymian, znajdowało się dziecię, które w niewoli wyrosło i przejęło mowę łacińską, zachowując wrodzony geniusz swojego szczepu. Był to Livius Andronicus, twórca poezyi dramatycznéj, nieznanéj przedtém w surowym i lekceważącym sztuki wyzwolone Rzymie. Niedługo potém w okolicach Tarentu przychodził na świat Ennius, który miał pierwszy obdarzyć Rzym epopeją. W ten sposób zwyciężeni cywilizowali zwycięzców.

Widzieliśmy już jak niewiele zabytków architektury grecko-italskiéj doszło naszych czasów. Trzy świątynie z Poseidonii-Pestum, jedna kolumna i fundamenta gmachu na przylądku Lacyńskim, trochę głazów niekształtnych w Cumae. To samo da się powiedzieć o rzeźbie. Wiemy że zdawna kwitła w Krotonie, że późniéj słynną była w Heraklei i Tarencie — podczas jednak gdy imiona licznych filozofów, poetów dramatycznych i muzyków tego miasta przeszły do potomności, imiona rzeźbiarzy zaginęły. U wielkich mistrzów doryckich Tarentczycy zwykli byli zamawiać kolosalne grupy marmurowe i pojedyńcze posągi, których sława doszła do nas w podaniu. Opierając się na tém p. Lenormant przypuszcza, że szkoła plastyczna w Tarencie miała charakter dorycki i przypisuje jéj wpływ na inne części Wielkiéj Grecyi. Z trzech najwybitniejszych okazów jakie do nas doszły, wysnuwa istnienienie trzech odrębnych epok w rozwoju plastyki. Bronzowa noga rycerza, z początku V w. delikatném modelowaniem i. wyrobieniem nosi podług niego też same

cechy, jakie odznaczają statuy z Eginy. W oddziale bronzów neapolitańskiego *Museo Nazionale* znajduje się pod nazwą Platona głowa z zatraconego posągu, wbrew zdaniu większości archeologów, którzy w niéj widzą Bachusa, przypisywana Poseidonowi przez p. Lenormant. W głowie téj, jednym niewątpliwie z najpiękniejszych utworów plastyki na półwyspie, z wybitnie greckim charakterem, widzi uczony francuski punkt kulminacyjny rozwoju i wielkości sztuki italsko-greckiéj w połowie V w., dowodząc za pomocą złotego numizmatu tarenckiego pochodzenia jéj z miasta, które Poseidona, jako ojca mitycznego swego założyciela Tarasa, wybijało na swych monetach (1). Do końca IV w. wreszcie odnosi p. Lenormant znalezioną między Metapontem a Tarentem statuetkę rycerza w zbroi, pełną podług niego szlachetnego wdzięku i zapewne poprzedzającą bezpośrednio upadek sztuki plastycznéj w Tarencie.

W poszukiwaniach archeologicznych, prowadzonych przez rząd na miejscu gdzie się znajdowała tarencka *agora*, oraz na cmentarzu starożytnym w Murivetere pod Tarentem, znajdują znaczną ilość zabytków, które na nieszczęście rozpraszają się po prywatnych zbiorach i antykwarniach. Wobec małego dziś interesowania się kulturą Wielkiéj Grecyi, handel neapolitański starożytnościami podaje zazwyczaj za greckie piękne dzieła helleńskiéj sztuki z Włoch południowych i nawet antykwaryusze greccy, jadąc na wielki artystyczny rynek w Paryżu, mają zwyczaj uzupełniać w Neapolu i Rzymie swoje zapasy. Terracotty italsko-greckie a specyalnie tarenckie odznaczają się rozwojem motywów ornamentacyjnych, zwłaszcza w ubiorze włosów na głowach w teatralny sposób wielkiemi dyademami z kwiatów i liści. Upodobanie wykwintu greków italskich odbija w tém wyraźnie.

Malarstwo ceramiczne rozwinięte było na południu Włoch zarówno jak w całéj Grecyi. Ma ono kilka typów odrębnych, odróżniających naczynia pochodzące z *Lokrów*, z *Kum*, z miast achejskich z głównem ogniskiem w Krotonie, i z Tarentu, z którym p. Lenormant łączy urny znalezione w Apulii i w Bazylikacie. Te ostatnie odznaczają się od innych zarówno wielkiem bogactwem ornamentacyi jak obfitością przesadną haftów i klejnotów na przedstawianych postaciach. Zamieszczone na nich sceny komiczne, odróżniające się od obrazów, zaczerpniętych z komedyi ateńskiéj i sycylijskiéj na

---

(1) Burchard jednak wraz z innemi archeologami odnosi tę głowę do połowy IV wieku. I rzeczywiście obok niepospolitéj majestatyczności, siły i powagi jest w ekspresyi pewna tkliwość prawie miękka, która nie zdaje mi się licować z nastrojem wcześniejszéj epoki.

innych zabytkach, rzucają ciekawe światło na charakter i ulubione temata teatru tarenckiego. Są to najczęściéj trawestacye historyi bogów i bohaterów, przedstawionych w podobny sposób jak w Offenbachowskim Orfeuszu i Pięknéj Helenie. Tak rodzaj poliszynela cwałującego w grubéj czapce futrzanéj na wielkiéj rybie, gra rolę bajecznego Icadiosa, przypływającego ku italskim brzegom na grzbiecie delfina. W równie komiczném świetle przedstawione są miłosne przygody Zeusa i Dyonizosa. Apolloń pytyjski wyobrażony jest jako szarlatan, otwierający budę swą w Delfach i próbujący leczyć ze ślepoty Cheirona. Niewiele lepiéj wygląda wracający z wyprawy Herakles. Oczywiście wszystkie te karykatury odnosić się muszą do trywialnych i wesołych fars teatralnych, w których się kochali tarentczycy. Nie przeszkadzało zresztą teatrowi ich owo lekkie traktowanie mieszkańców Olimpu stanowić część religijnego kultu.

Z pomiędzy licznych monet, jakie z różnych miast italsko-greckich i z różnych epok ich rozwoju dochowały się naszych czasów, tarenckie stoją na czele swą pięknością i doskonałością wyrobu. Wedle słusznéj uwagi p. Lenormant, nie dochodzi się do tak wysokiego rozwoju w rytownictwie monetarném, nie mając równocześnie znakomitego wykształcenia w rzeźbie. Pyszne klejnoty i wieńce złote, znajdowane w Tarencie i pobliskich mu terytoryach, świadczą o niepospolitem wyrobieniu i wytworności złotnictwa. Niektóre z tych wieńców, znalezione w grobowcach, składają się z listków złotych, naśladujących liść bobu. Była w tém myśl symboliczna pośmiertnego odradzania się, ile że w mysteryach Wielkiéj Grecyi bób uchodził za symbol płodności. Uważano go z tego powodu za nieczysty i naśladując Egipcyan Pitagoras wzbronił swoim uczniom używać go do pokarmu lub mieszać z *panspermią*, wywarem wszystkich ziarn, które w każdym domu w odrębnym poświęconym tyglu gotowano na posiłek dla zmarłych.

Myśl o nieśmiertelności duszy owiewa również napisy liturgiczne na cienkich blaszkach złotych, pochodzących z grobów w Petelii i Turyach. Są to albo inwokacye do głównych bóstw orfizmu, sekty mistycznéj powstałéj na wzór i z odłamków pitagorejczyków, albo też pożegnania umarłych, noszące na sobie charakter ułamków starego rytuału. „Z pomiędzy ludzi czystych, złamany przez Paskę, uleciałem z kraju żałoby i cierpienia — woła jeden z nich — szybkim krokiem dosięgłem upragnionego wieńca i spłynąłem na łono królowéj Piekeł. Szczęśliwy, ze śmiertelnika bogiem się stanę!“ „Gdy dusza opuszcza światło słońca — woła inny — idzie do tego, którego myśl prosta i sprawiedliwa, który wszystko widzi i ze wszystkiego robi rachunek. Żegnaj! Cierpiąc śmierć, nic na prawdę nie cierpia-

łeś! Z nędznego człowieka stałeś się bogiem. Żegnaj, ty który dobrą drogę obrałeś ku świętym łąkom i gajom Persefony!" Gdzie indziéj dusza wychodząca z ciała, spotyka u wrót piekielnych źródło wody żywéj i woła do strzegących jéj duchów: „Przychodzę z pragnieniem, z którego umieram. Dajcież mi co prędzéj wody świeżéj płynącéj z jeziora Mnemozyny, abym nią ukoiła płomień bożego pragnienia!" Zdaje się, że się słyszy Jacopone z Todi lub S. Teressę.

Zwyczaj ten składania przy głowie zmarłego w bogatych grobowcach, jakby na znak inicyacyi, wyrytego na liściu złotym urywka z mistycznego hymnu o życiu przyszłem i wiecznéj szczęśliwości wybranych, odnosi się niewątpliwie do rozpowszechnionych w Wielkiéj Grecyi mysteryów dyonizyjskich i praktyk orfizmu. We wszystkich mysteryach greckich wiara w życie przyszłe zajmuje poważne a często główne miejsce. Cały rytuał tajemniczy i uroczystości niedostępne dla profanów, oczyszczenia, ekspiacye, ofiary, rewelacye— wszystko miało zawsze za cel pomimo niedoskonałości człowieka podnosić go do bogów, oczyszczać z ziemskich pierwiastków, czynić go uczestnikiem łask specyalnych, nadprzyrodzonych, skutecznych w tém i w tamtém życiu, wreszcie za pomocą takiego nadprzyrodzonego łącznika między człowiekiem, poznającym część boskich tajemnic, a bogami zapewnić wtajemniczonemu po przelotnéj wędrówce śmiertelnego życia, nieskończoną błogość w krainie umarłych. Pojęcia religijne Wielkiéj Grecyi nosić musiały w początkach wybitniéj niż gdzieindziéj kosmiczny i panteistyczny charakter — dla tego głównym bogiem religijnych tajemnic zjawia się tu bóg wina, produktów ziemi, a na około niego, grupują się uosobienia głównych sił przyrody. Identyfikuje się téż on zupełnie z królem piekieł—Hadesem, i wraz z małżonką swą Kore-Persefoną, stanowi mistyczną parę, zamykającą w sobie tajemnicze zespolenie życia ze śmiercią. Na łonie złotowłoséj bogini idą spoczywać ci, którzy odchodzą z państwa żyjących.

To mistyczne połączenie rodzajem pośmiertnego hymenu z królową piekieł stanowi punkt kulminacyjny religijnych tajemnic dyonizyjskich, składających się z całego szeregu obrzędów, scen symbolicznych i olśniewających uroczystości, w których brali udział inicyowani wraz z kapłanami we wspaniałych szatach kościelnych. Obietnica życia przyszłego, jako najwyższéj i wyłącznie dla inicyowanych zachowanéj nagrody, stanowiła ścisłą linię demarkacyjną pomiędzy niemi a resztą ludzi niewtajemniczonych, leżących według Platona—w błocie piekielném. Darmo próbują ci ostatni dosięgnąć poznania bogów, prawdy i dobra. Dusza ich, spragniona ideału nadziemskiego, podobną jest do niedającéj się nigdy napełnić beczki

Danaid, których mit, w ideach mistycznych, nabierał wyższego, symbolicznego znaczenia. Ale za to trzykroć szczęśliwemi nazywa Sofokles tych, którzy schodzą do piekieł poznawszy tajemnice. „Oni jedni mają życie, dla innych pozostają same cierpienia!“ Śmierć dopiero stanowi ostatni szczebel wtajemniczenia do wielkich misteryów. „Życie jest szeregiem zboczeń i błędów — mówi Platon — dopiéro w chwili gdy wyjdziemy z drżeń i obaw ostatniéj jego chwili, witają nas wizye niebieskie na cudownych łąkach. Człowiek, który przez ostatnie to wtajemniczenie stał się doskonałym, swobodnym zupełnie i panem siebie, odprawia w wieńcu mirtowym najwyższe misterya i spogląda z pogardą na nieczyste grono niewtajemniczonych.“

Na pewnéj liczbie urn znalezionych w Wielkiéj Grecyi zachowały się ciekawe ślady wierzeń religijnych, służących za podstawę misteryom dyonizyjskim. Urny te musiały być używane do obrzędów religijnych a przed oczyma profanów ukrywano je zapewne starannie. Podobnie jak listki złote z rytualnemi napisami i wieńce z liści bobu, symbolizującego nieśmiertelność, składano je w grobowcach, jako oznakę inicyacyi zmarłego. Stąd charakter rysunków i całéj kompozycyi zupełnie jednolity, powtarzający się niezmiennie, z wyjątkiem kilku dodatkowych szczegółów. W środku widać zawsze pałac podziemny Hadesa z berłem w ręku i Persefonę, żegnającą małżonka przed swojém peryodycznem podniesieniem się na powierzchnię ziemi, stanowiącém dla inicyowanych symbol i obietnicę wiekuistego powstawania nowego życia ze śmierci. Na około grupują się najsławniejsi bohaterowie mitów greckich, między któremi wybitne miejsce zajmuje Herakles wiążący Cerbera, jakby na pokazanie zwycięstwa potęg niebieskich nad strachami piekieł. Niżéj idą wyobrażenia mąk Tartaru. Wpływ orfizmu, rozszerzonego wślad za pitagoreizmem na italskich brzegach, odbija w Orfeuszu, który uosabia ideę łaski, łagodzącéj surowość boskiéj sprawiedliwości. W stroju hierofanta, czasem otoczony gromadką inicyowanych, stoi w progu Hadesowego pałacu, łagodząc magicznym dźwiękiem liry podziemne potęgi. Po lewéj stronie są dwa źródła: w jedném z nich— w wodach Mnemozyny — cień zmarłego gasi swoje pragnienia nadziemskiego ideału i wtedy dopiero wchodzi do rozkosznych łąk i gajów Persefony. Tam należy do niéj bez podziału. Na niektórych urnach przedstawiono alegorycznie ten związek zmarłego z boginią, pod przewodem Erosa. Myśl podobna odbija w epitafiach i epigramach żałobnych. „Zanim poznałem łoże małżeńskie zszedłem do nieodmiennego łoża jasnowłoséj Persefony“ — mówi przypisywany Simonidowi napis. „Zyskawszy pochwały mężnym należne, zajmujesz teraz łoże Persefony, które konieczność czyni wspól-

ném dla wszystkich," czytamy gdzieindziéj. „Należę do córki Demetry" mówi krótko napis na blaszce złotéj, znalezionéj w grobowcu greckim w Pestum.

Z czasem misterye dyonizyjskie z wielkiéj Grecyi rozszerzyły się po Etruryi, aż do Rzymu, zmieniając się z podniosłéj doktryny nieśmiertelności duszy i wewnętrznego doskonalenia się człowieka w dzikie orgie wyuzdanéj rozpusty. Jakkolwiek wykroczenia i zbrodnie, które spowodowały niedługo po wzięciu Tarentu proces przeciw uczestnikom bachanalii w Rzymie, nie powtarzały się na południu półwyspu, senat rzymski rozciągnął surowy zakaz odprawiania mysteryów na Wielką Grecyę tém chętniéj, że w nich widział gotowe ramy dla tajnych stowarzyszeń, inne cele zupełnie mogących mieć na oku. Nie bez walki i oporu przeszło jednak wykorzenienie wierzeń i obrzędów, z któremi wybitniejsze żywioły greckiego społeczeństwa złączyły się tém ściśléj, że w nich religijny pierwiastek opierał się na podstawie narodowych mitów i tradycyi. Za cesarstwa, wraz ze zwolnieniem zakazów, wracają na jakiś czas ślady wznowionych misteryów dyonizyjskich.

VII.

Po ostatecznym ciosie, zadanym przez drugą wojnę punicką, żywioł Grecki we Włoszech, ubezwładniony politycznie, nie przestaje być przecie potężnym czynnikiem cywilizacyjnym przez całe wieki. Korzystając z niego w Rzymie dla rozwoju i uszlachetnienia własnéj swéj kultury, nowi panowie Włoch a wkrótce świata całego dążyli równocześnie do latynizacyi Wielkiéj Grecyi, nasyłając tam liczne kolonie obywateli i weteranów, starając się z niemi zmieszać miejscową ludność i zagładzić powoli jéj odrębne cechy. Za cesarstwa napisy świadczą o zupełnym upadku albo przynajmniéj o bierności wpływów greckich w główném ich ognisku. Tém nie mniéj wspomnienia greckiéj kultury musiały być bardzo silne i żywotne skoro po dziesięciu wiekach obcego panowania widzimy helenizm ogarniający znów z nieporównaną szybkością całe południe półwyspu pod panowaniem byzantyńskiem.

Na innym gruncie byłoby niewytłumaczonym problematem takie pomyślne rozszerzenie się kultury, co już oddawna straciła swoje ekspansywne dążności i soki żywotne, i naciskana, zwyciężona ze wszech stron przez nowe żywioły, zaskorupiała się w sztywnéj martwocie. Szeregiem zręcznych wywodów próbuje ją p. Lenormant rehabilitować, wykazać w niéj zdrowe i silne pierwiastki i dowieść

że z tych pierwiastków, z mądréj polityki cesarzy Byzancyum i wywołanego przez nich prądu emigracyjnego powstał ten powtórny blask helenizmu we Włoszech, którego resztki przetrwały aż do naszych czasów. Uczony francuzki zapomina przytém, że pojedyńcze dodatnie objawy nie wystarczają dla nadania charakteru całemu społeczeństwu w pewnéj epoce jego istnienia i dla odmiany sądu, jaki o niém wydała historya. Wymownóm świadectwem przeciw argumentacyi, wiążącéj odrodzenie helenizmu we Włoszech z samym tylko byzantyjskim wpływem, jest ograniczenie się greckiego żywiołu do miejsc, jakie zajmował niegdyś nad zatoką tarencką, i Messyńskiem międzymorzem. W środkowych i północnych Włoszech panowanie Greków bizantyńskich przeszło zupełnie bez wpływu. W Rawennie kultura Bizancyum odbiła się na bazylikach pobożnéj Gallii Placydii i mozaikach z V w.—egzarchat nie pozostawił żadnych śladów. Niezaprzeczenie panowanie i zręczna polityka cesarzy Wschodu dała italsko-greckiemu żywiołowi nowy impuls, przebudziła go z uśpienia; było to jednak tylko otwarcie drogi dla starego strumienia, który czas jakiś ukrył się pod ziemią. Odnośną teoryę Niebuhra, lekceważoną przez uczonego francuzkiego, można zmodyfikować w rozmiarach jéj:—trudno ją obalić i czem innem zastąpić.

W chwili opanowania Włoch przez wojska Justyniana, żywioł łaciński był tam pełen sił i życia. Zwyciężony bez nadziei odwetu przez barbarzyńców, którzy z półwyspu zrobili jedno pole bitwy, z natury rzeczy stanął wobec zwycięzców na podobnym gruncie, jaki niegdyś wobec niego samego zajęli Grecy italscy. Kilku wybitnych mężów, w których wśród ogólnego zdziczenia żyły jeszcze tradycye dawnéj kultury i rzymskiego patryotyzmu, rozumiało dobrze, że wkrótce siła fizyczna znajdzie się w konieczności szukania poważnych, rozumnych podstaw dla swojéj władzy i będzie musiała zwrócić się o to ku wyższym umysłowo żywiołom, które niedawno uległy jéj przemocy. Na stanowisku podrzędném, jako czynnik państwowy, kultura łacińska mogła się przecież rozwijać zupełnie swobodnie, nie wchodząc w kolizię z barbarzyńcami, którzy przeciwnie śpieszyli poddawać się jéj wpływom. Daleko większe niebezpieczeństwo groziło ze strony występującéj oficyalnie w obronie zagrożonych interesów łacińskich. Cesarze byzantyńscy, sięgając po spadek upadłego cesarstwa Zachodu, głosili się obrońcami i odnowicielami rzymskiéj tradycyi, rzymskiego ducha. Nie trudno jednak było dostrzedz poważniejszym umysłom, że absorbująca potęga żywiołu greckiego musiała by dążyć do powolnego opanowania i zniszczenia kultury łacińskiéj, podobnie jak to się działo w Konstantynopolu, gdzie

łaciński język i obyczaj z dniem każdym ustępował miejsca hellenizmowi. Ztąd, zamiast pośpieszyć na wezwania i obietnice Belizaryusza, ludzie tacy jak Cassiodorus woleli skupiać się około powstających tronów Odoakra i Teodoryka. Potężne państwo Ostrogotów rozpadło się wprawdzie niedługo i zwycięskie wojska Justyniana opanowały większą część Włoch,—ale zaraz potém podniosły się dwa czynniki silniejsze przeciw bizantyńskiéj władzy: materyalny—monarchii Lombardów, duchowy—Papiestwa. Około tego ostatniego miały odtąd skupić się wszystkie nieprzyjazne Grekom żywioły i dzięki jego niezwyciężonéj przewadze powrócić choć w odmiennych formach samodzielność i część uszlachetnionego, czystszego niż dawniéj blasku swéj ojczyznie.

Zwycięstwo greckie za Justyniana pozostawiło Włochom z początku autonomiczne swobody i gwarancye szczepowéj odrębności. Tylko, zamiast jednolitego organizmu politycznego, o jakim marzyli Rzymianie otaczający Teodoryka, postarano się rozdrobić kraj na mnóstwo maleńkich republik rządzących się samodzielnie i państewek z dożywotniemi książętami miejscowemi pod naczelną władzą greckiego egzarchy. Na wzajemnych zawiściach i rywalizacyi tych małych ciałek politycznych opierała się władza centralna kraju. Pomimo nieustannéj walki bizantyńskich cesarzy przeciw papieżom, juryzdykcya tych ostatnich przez dwa wieki jeszcze nie przestała ogarniać całego półwyspu a w sądach panowało prawo lombardzkie zamiast bizantyńskiego lub rzymskiego Justyniana. Dopiero walka ikonoklastów i wejście na tron Leona Izauryjczyka zmieniły stanowczo stosunek Greków bizantyńskich do Włoch i Rzymu.

Ten rodzaj protestantyzmu z VIII w., dążący pod pozorem zniesienia czci obrazów do zreorganizowania społeczeństwa na świeckich podstawach, do ujarzmienia kościoła i podkopania jego wpływu—natrafił jak wiadomo na heroiczny opór. Kościół wschodni stanął w całym swym dawnym blasku i potędze duchowéj raz jeszcze przed chwilą oderwania się od całości kościoła i od cywilizacyi zachodniéj. Zakony, zagrożone w istnieniu swém, dosięgły podobnych wyżyn i poświęcenia i ofiary, jakie na Zachodzie uwieczniło pióro Montalamberta. Głównie też przeciw mnichom zwróciło się prześladowanie i wielkie ich mnóstwo zmuszone było szukać schronienia za morzem, we Włoszech. Tłumy wiernych poszły za niemi i niedługo do 50.000 wygnańców greckich zapełniło południową część Włoch, nie licząc Rzymu, który zrzucił jarzmo bizantyńskie i oddał się pod świecką władzę papieża. Była to prawdziwa kolonizacya grecka, która musiała potężnie wpłynąć na rozbudzenie i rozwój wszystkich pierwiastków zachowanego jeszcze hellenizmu. Roz-

mnożyły się klasztory bazyliańskie, świetne ogniska italsko-greckiéj kultury—w Kalabryi saméj sto ich liczono. W wielu miastach włoskich zachowały się jeszcze cudowne obrazy bizantyńskich Madonn, przyniesionych tu podczas dzikich szałów obrazoburczych.

Czy cesarze zrozumieli korzyść polityczną, jaką im przynosił ten wielki egzodus prawowiernych, uciekających od ich prześladowań? Zdaje się, że tak; zostawiono bowiem i mnichom i świeckim wolność wyznania i rozkrzewiania się, równocześnie zaś Leon Izauryjczyk słynną swą *Nowellą* odrywał od rzymskiego zwierzchnictwa Illiryę i Sycylię, a na południu Włoch kościoły zależne od metropolitów Reggio, S. Severina i Otranto. Był to potężny krok naprzód ku helenizacyi kraju, a mnisi bazyliańscy, choć prawowierni, musieli w tym razie wspierać przedsięwzięcie, rozszerzające ich rytuał i dające im przewagę na szkodę niemiłego wszystkim Grekom latynizmu. Z upadkiem egzarchatu w Rawennie, posiadłości włoskie wschodnich cesarzy, ograniczone do Wielkiéj Grecyi, przestały stanowić odrębną całość i złączone z centralnym rządem państwa, zhelenizowały się ostatecznie. Dokumenta wszystkie w X w. pisane są wyłącznie po grecku a zakaz zupełny łacińskiego rytuału nie zdaje się napotykać oporu.

Było więc na nowo zupełnie greckiem całe południe Włoch. Greckim i—co za tém idzie—fanatycznie wyłącznym został kościół; greckiem stawalo się prawodawstwo, greckiemi wszystkie pomniki literatury. W malarstwie i w architekturze bizantynizm panował niepodzielnie—motywa jego długo jeszcze za Normandów i po nich nawet powracają w ornamentacyi, w szczegółach, podobnie jak w Wenecyi. Klasztory św. Bazylego rywalizowały w braterskiéj zgodzie z benedyktynami. Na wzorach wielkich ojców kościoła i klasyków pogańskich kształciły się całe pokolenia uczonych mnichów a ich rękopisy, licznie rozproszone po Europie całéj, słyną dotąd ze swéj piękności.

Wpływ grecki odbił się i na Normandach zaraz po ich zwycięstwie, w stroju wschodnim, w monetach naśladujących cesarskie, w budownictwie, przez stulecie całe bizantyńskiem jeszcze. Rozumna polityka nowych panów Sycylii i tarenckiéj zatoki zostawiła kulturze greckiéj zupełną swobodę. Zwłaszcza dwaj Rogerowie szczególną swą opieką otaczali poezyę i literaturę, heleńsko-bizantyńską. Dwór ich rywalizował pod tym względem z Bizancyum. Poezyę przedstawiali na nim Eugeniusz z Palermo, Konstantyn Sycylijski, Rogier z Otranto i kalabryjczyk Jan Grasos. Literaturę kościelną uświetniał Neilos Doxopatrios, Prosper, biskup z Reggio, teolog i hi-

storyk, arcybiskup z Taorminy Teofan, kaznodzieja,—hagiografowie Jan z Bari i diakon Amandos z Atrani.

Znaczna część miast greckich zachowała swój autonomiczny zarząd, *gerontów* i *archontów* starych. W reszcie kraju za to, system feodalny, zaprowadzony przez Normandów, oddawał miejską ludność w zupełną zależność od panów i ułatwiał zaprowadzenie nowych porządków. Żywioł grecki, na dworze doznający przyjaznego przyjęcia, zostawał tu w upokorzeniu i duchowieństwo parafialne na równi z innémi wieśniakami uważane było za ludzi niewolnych i sprzedawane z rodzinami.

Pod względem religijnym nie poszli Normandowie w ślady fanatyzmu byzantyjskiego. Rytuał grecki zostawiony został przy dawnych swobodach—książęta normandzcy, obok klasztorów benedyktyńskich i cysterskich, punktów głównych kultury łacińskiéj, zakładali i obdarzali hojnie nowe osady synów ś. Bazylego. Ale polityka normandzka, od początku ściśle związana z Papieżami przeciw wspólnym wrogom—zachodnim i wschodnim cesarzom, nie mogła dopuścić wpływu tych ostatnich na kościół południowo-włoski. Równocześnie też z bullą Urbana II, która mu w jego państwach dawała duchowne przywileje legata *a latere*, hrabia Rogier oderwał swoje dyecezye od patryarchów konstantynopolskich, zamieniając powoli ze śmiercią greckich biskupów ich miejsca łacińskiemi. Grecki rytuał jednak zachował się niezmiennie pod osobnémi protopopami, zależnemi od biskupów. Żywioł grecki pozostał tak mało dotknięty latynizacyą, że jeszcze w XIII w. nie znajdywano w miastach niektórych ani jednego notaryusza, któryby potrafił napisać łaciński dokument. W kancelaryi książąt normandzkich greczyzna zajmowała równe miejsce z łaciną.

Ze śmiercią króla Rogiera i z ostatecznem oddzieleniem kościoła greckiego od rzymskiego, nastały gorsze dnie dla włoskiego helenizmu. Powstanie apulijskich greków, podtrzymywane przez cesarzy byzantyjskich i flotę, zmusiło Normandów do krwawéj represyi, *desolatio Apuliae*, wedle dziejopisów ówczesnych. Bazylianie, którzy brali udział w rozruchach i na równi z sympatyami do Byzancyum podejrzywani byli o skłonność do odszczepieństwa, ulegli prześladowaniom ciężkim—wielu z nich mordowano lub zaprzedawano w niewolę, klasztory liczne zniszczono lub oddano zakonom łacińskim. Zabroniono im związków ze wschodem, rozciągnięto ścisły nadzór, nad zasadami, nauką, rytuałem, bibliotekami. Równocześnie latynizacyę starano się silnie popierać.

Fryderyk II i Manfred, skupiając w koło siebie wszystkie żywioły niechętne Rzymowi, nie mogli pominąć Greków. Język grecki

przybrał znów na równi z łacińskim urzędową cechę. Obok rozkwitającéj poezyi włoskiéj na dworze Fryderyka i jego syna, w tém zupełnie już renesansowém ognisku wytwornéj rozpusty i wykształconego artyzmu, zjawiały się raz jeszcze błyski poezyi greckiéj, którą sam cesarz lubił i uprawiał. *Jan z Otranto* i *Jerzy z Gallipoli* próbują pod jego opieką odżywiać literackie tradycye swoich przodków obok pień miłośnych w nowém narzeczu jeszcze nie wyrobioném przez Danta i Boccacia, obok *Ciullo d'Alcamo*, Fryderykowego poety laureata, *Guido delle Colonne*, wyrafinowanego *Jacopo da Lentino*, kanclerza *Pier delle Vigne* i samychże koronowanych poetów Fryderyka, Manfreda i nieszczęśliwego Enzio. Ale opieka cesarska na złe wyszła Grekom. Zdwojonym uciskiem ukarał ich za to Karol Anjou, wstrzymując rozwój ich literatury, otaczając żelazną kontrolą wschodni rytuał i bazyliańskie klasztory. Rozsadniki helenizmu wpadły szybko w zupełną ciemnotę, zachowując jednak wedle świadectw niechętnych nawet pisarzy, czystość obyczajów i doktryny. Kardynał Bessarion pisał z boleścią nazajutrz po soborze florenckim o braciach swoich włoskich reguły S. Bazylego, że nie umieją alfabetu greckiego nawet, a nieliczna garstka, rozumiejąca słowa rytuału, nie jest w stanie innych książek greckich czytać i porównać swoje mszały z textami kanonów założyciela.

W czasach soboru florenckiego, z rozbudzonémi stosunkami z Grecyą, emigracyą uczonych uciekających z zabranego Konstantynopola, ogólnym interesem dla greckiéj literatury i sztuki, a równocześnie silną nadzieją zakończenia odszczepieństwa wschodniego— Papieże zaczęli się opiekować niedobitkami mnichów i wiernych unickich we Włoszech, próbując dźwignąć ich z intelektualnego upadku. Około Tropei i Nicotery, na pochyłości Aspromonte ku morzu Tyrreńskiemu, pozostał cały jeden powiat z nietkniętą ludnością grecką, z kwitnącémi klasztorami, w których pielęgnowano nauki i czystość mowy greckiéj, tradycyi i obrządków. Ztamtąd wyszedł Leontios Pilatos, pierwszy tłómacz łaciński Homera i założyciel studiów greckich we Florencyi, z których i Boccacio korzystał; ztamtąd mistrz Petrarki Barlaam, wsławiony swemi teologicznemi kłótniami i pamfletami,—jedna z najbardziéj charakterystycznych postaci XIV w.—kolejny obrońca wiary greckiéj przeciw „łacińskiéj herezyi“ na Bizantyjskim dworze, i oskarżyciel greckich błędów u Papieża w Awinionie, w końcu bibliotekarz króla Roberta Neapolitańskiego i biskup w Gerace. Dyecezya ta aż do końca XV w. zachowała rytuał wschodni.

Na ten zakątek zwróciła się opieka papieży, rozciągając się równocześnie na tamtą stronę międzymorza. Za wspólną zgodą Pa-

pieża Kalixta III i króla neapolitańskiego Alfonsa założono w Messynie szkoły i Akademię, dla wykształcenia unickiego duchowieństwa i świeckich greków, oraz dla nadania nowego impulsu helenizmowi. Miała w ten sposób podnieść się pod skrzydłami Rzymu przerwana tradycya pełna chwały kościoła greckiego, odżywiając upadły helenizm pod muzułmańskiem jarzmem. Bessarion osiadłszy w Messynie jako opat bazyliańskiego monasteru Zbawiciela, zajął sam katedrę profesorską w założonéj przez siebie szkole. Następcą jego został słynny Konstantyn Laskarys, który po ucieczce z Konstantynopola i po kilkuletnich wykładach w Medyolanie i Rzymie z wielkim rozgłosem przez trzydzieści lat ściągał do Messyny miłośników literatury greckiéj. Ale usiłowania papieży i uczonych patryotów greckich pozostały bezowocne. Hellenizm włoski nie podniósł się z upadku. Szkoły mesyńskie nie wydały uczonych pokoleń nowych i żywioł grecki coraz bardziéj topniéć począł we Włoszech. Jeszcze w XVII w. tu i owdzie zachował się grecki język po wsiach nietknięty—nawet bywały miejscowości, w których nie mówiono po włosku. Później jednak zlały się te dawne kolonie greckie w ogólném morzu włoskiem—a jeżeli dziś pozostały jeszcze wsie, używające mowy greckiéj, należą one do potomków emigrantów, którzy się schronili do Kalabryi przed Turkami w XVI w.

Obrządek unicki pozostał jednak dotąd w wielu innych miejscowościach nad brzegami zatoki tarenckiéj i messyńskiéj cieśniny. Jeśli się nie mylę liczy on do 70.000 wyznawców, którzy zazwyczaj nierozumieją ani słowa liturgii swojéj, nie mają jednak prawa przechodzić na obrządek łaciński. Choć od tylu wieków zmieszani z ludnością włoską odznaczają się jednak od niéj wybitnym typem greckim, dającym się dostrzedz od pierwszego rzutu oka. W Rzymie przy Babuino jest ich kościół, obok którego mieści się arcybiskup, duchowieństwo i seminaryum. Uczniowie jego, których część większa idzie pełnić posługę duchowną około swych pobratymców na Archipelagu, w Azyi mniejszéj i Syryi, zaczynają się uczyć po grecku dopiéro wstąpiwszy do zakładu, chyba że nie pochodzą z Włoch.

Z licznych klasztorów bazyliańskich większa część opustoszała po ogólnéj kasacie włoskich zgromadzeń zakonnych. W Messynie pozostało jeszcze słynne opactwo Zbawiciela którego archimandryta ma godność równą biskupiéj i dawniéj zazwyczaj bywał nim jeden z kardynałów. O kilka mil na zachód od Rzymu, pomiędzy Frascati, Rocca di Papa a jeziorem Albano, leży Grotta-Ferrata, klasztor bazyliański założony przez uczniów S. Nila, zaraz po śmierci tego Benedykta bazylianów włoskich w pobliskiem Tuskulum.Przez całą wiosnę i jesień nadciągają tu tłumy anglików do fresków Domenichina,

przedstawiających cuda świętego i tryumf wschodniego zakonu. Ale od gwałtownéj brawury Domenichina i sentymentalnéj maniery Guido-Reniego i Caraccich większy ma interes i urok kilku mnichów starych, którzy tu zostali na straży swoich świętości, swoich wspomnień, ośmiowiekowéj tradycyi klasztornéj. Straż to ostatnia już może—z ustąpieniem tych kilku rozsypanych jeszcze po Włoszech placówek helenizmu, znikną ślady wpływów greckich, zapomniane szczątki kultury, która trwała może dwadzieścia kilka, może wiele więcéj stuleci. Niedługo już w muzeum archeologiczném trzeba będzie złożyć te kilka cegieł, pozostałych z wielkiego gmachu, który na chwilę piękniejszym był i wspanialszym od wszystkich innych współczesnego świata, póki go nie obaliły do szczętu burze dziejowe, nie zostawiając nawet jego ruin.

Jan Gnatowski.

Rodzina Łaskich w XVI wieku.

II. (*)

SYNOWCOWIE PRYMASA:

reformator Jan Łaski i jego bracia Hieronim i Stanisław.

L. Hubert, Hieronim z Łaska Łaski (w Bibliotece Warsz. 1861, tom 3).—*M. Malinowski*, Stanisława Łaskiego prace naukowe i dyplomatyczne. Wilno 1864. — *Schweckendieck*, Johann a Lasco (w IX tomie Allgemeine Zeitschrift für Geschichtswissenschaft. Berlin 1848).—*Bartels*, Johannes a Lasco. Elberfeld 1860.— *Kuyper*, Joannis a Lasco opera. Amsterdam i Haga 1866.—*Cypr. Walewski*, Jan Łaski reformator kościoła. Warszawa 1872 (z Bibliot. Warsz. odbicie).—*Dalton*, Johannes a Lasco. Gotha 1881.—*X. Korytkowski*, Łaski Jan, proboszcz gnieznieński (Prałaci i kanonicy kapituły metropolitalnéj gnieźnieńskiéj. Tom II, 499—515). Gniezno 1882.

Wielka ambicya i rozległe chociaż niezawsze jasne plany cechują prymasa Jana Łaskiego. Wynieść siebie i swą rodzinę, reformować stosunki wewnętrzne państwa, wskazywać kierunek polityce jego zewnętrznéj, rządzić przez króla lub chociażby wbrew królewskiemu rządowi—tego pragnął przez całe życie założyciel świetności rodu Łaskich, temu poświęcał swoje niepospolite zdolności i niestrudzoną ruchliwość. Ambicyę i zdolności niezwykłe dziedziczą po nim synowcy, ale nie u wszystkich ambicya ta w jednaki sposób się objawia. W najstarszym, Hieronimie-Jarosławie, dominuje po nad wszystko żądza działania, rozgłosu, wyniesienia się: z obozu do obozu wiodą go względy osobiste; a ten rodzaj ambicyi przechodzi spadkiem na jego syna Olbrachta. Drugi prymasa synowiec—jego imiennik — Jan młodszy, żywi w swém sercu szlachetniejszą ambicyą, pragnie się oświecić, wydoskonalić, innych zachęcić własnym przykładem. Stryj dążył do reformy stosunków politycznych; synowiec

(*) Zob. *Ateneum* z Maja i Czerwa b. r.

za cel życia swojego obiera reformę religijno-kościelną, gotów dla téj sprawy ponosić znaczne ofiary osobiste. Pośrednie poniekąd między braćmi stanowisko zajmuje trzeci prymasa synowiec, najmłodszy— Stanisław, który żadnemu z braci starszych nie dorównywa zdolnościami. Ci trzéj stanowią drugie rodziny Łaskich pokolenie.

Znamy z żywota prymasa początki karyery dyplomatycznéj Jarosława Łaskiego. Zrazu wykonawca tylko planów stryjowskich, niebawem go prześcignął zuchwałością pomysłów i przedsięwzięć, kiedy na własną rozpoczął działać rękę; a gdy prymas umierał, imię Jarosława Łaskiego już się liczyło do najgłośniejszych w całéj współczesnéj dyplomacyi europejskiéj. Rozgłos ten wzmagał się lub przynajmniéj nie zmniejszał przez cały lat dziesiątek, o który przeżył stryja prymasa, a jednak nie doczekał się dotąd Hieronim Łaski biografa (1), choć ich miewali inni mniéj słynni jego rodziny członkowie, niektórzy nawet już po kilku, choć sam zostawił obszerne ze swoich poselstw sprawozdania i listy. Niewątpliwie zużytkuje te wszystkie źródła Dr. Hirschberg, który już od dłuższego czasu pracuje nad biografią Jarosława Łaskiego, niewątpliwie zbierze i wyzyska należycie i to, co już z tych źródeł ogłoszono (Bel, Gevay, Horwath i inni), i to co się dotychczas przechowuje w ukryciu. Dopóki taka obszerna, źródłowa, dokładna i szczegółowa biografia nie da nam poznać wszystkich spraw i całéj działalności Jarosława, niepodobna w krótkim zarysie naszkicować wyraźnego obrazu tego niespokojnego dyplomaty. W paru tylko słowach przypomnieć tu należy, co już wogóle o nim wiadomo.

Prawdziwie zdumiewającą jest ta jego ruchliwość, jaką przez 6 lat, odkąd wszedł w służbę króla Jana Zapolyi, nieustannie rozwija, z jaką potém, gdy mu już opiekę sułtana Solimana pozyskał, całą niemal Europę przebiega, to żeby nowych mu na Zachodzie zjednać przyjaciół, to znów żeby utrwalić owo przymierze tureckie albo pojednać Zapolyę z jego austryackim rywalem. Szczególniéj poselstwa do Stambułu stanowią jakby specyalność Łaskiego: czterokrotnie (jeśli nie więcéj jeszcze razy) jeździł tam w imieniu Zapolyi i nawiązywał osobiste tak rozgałęzione stosunki, że — kto wie — czy to właśnie nie wzbudziło w końcu podejrzliwości króla Jana i niesprowadziło Łaskiego w Węgrzech katastrofy. Jak wiadomo Jan Zapolya kazał uwięzić Jarosława Łaskiego nagle i niespodzianie w lecie 1534 r. (w sierpniu czy początkach września), i dopiero po usilnych

(1) Nie może wchodzić wcale w rachubę artykuł L. Huberta w Bibl. Warsz. 1861 r., dający wprawdzie parę dat, ale pełen grubych błędów i wykazujący zupełną nieznajomość czasu i ludzi.

staraniach rodziny, po zabiegach tych panów polskich, względem których się król Jan do wdzięczności za dawniejszą pomoc musiał poczuwać, po wstawieniu się całego senatu polskiego, po przedstawieniach nawet króla Zygmunta, wrócił mu wolność w styczniu 1535 r. Co to uwięzienie znaczyło, nie wyjaśniono dotychczas dostatecznie; tyle tylko zdaje się być pewnem, że nietylko zawiść panów węgierskich przeciw obcemu, nietylko niewdzięczność króla Jana w grę tu wchodziły. Zdawałoby się prawie, że Łaski miał istotnie jakieś dla Zapolyi nie zbyt przyjazne zamiary, że widząc jego słabość, jak nie jest w stanie utrzymać go w tém województwie siedmiogrodzkiem, które mu przyrzekł, a które jednak nadał niebawem i innemu, Węgrowi, wolał się obejrzeć za potężniejszym opiekunem. Bodaj czy nie naprawdę zamyślał Jarosław Łaski o tém, jakby mógł dojść do władania Siedmiogrodem pod zwierzchnością bezpośrednią sultana, i czy nie spodziewał się tego osiągnąć przez swoje związki z Grittim, dawnym ze Stambułu znajomym i przyjacielem, który obecnie przysłany przez Sułtana dla nadzoru nad sprawami węgierskiemi podobno o koronie węgierskiéj dla siebie marzył. O to podejrzywano ich obu; to się i śmierci gwałtownéj Grittego niebawem stało przyczyną. Czy podejrzenia te miały jakąś rzeczywistą podstawę, może nam to Dr. Hirschberg zczasem wyświeci.

Uwolniony z więzienia Łaski rozstał się naturalnie z Zapolyą na zawsze, cofnął się do tych dóbr swoich na Spiżu, które (zamki Kezmark i Dunajec-Niedzicę z otaczającemi włościami) już dawniéj od Zapolyi był otrzymał. Czas jakiś nic prawie o nim nie słychać: podobno pragnął odzyskać utracone względy króla Zygmunta, lecz król się niedał przebłagać, pomny dawniejszych uraz. Po paru latach znów Jarosław Łaski staje się głośnym; teraz występuje w usługach domu Habsburskiego, z którym dotąd za wzorem stryja tak zawziętą prowadził walkę polityczną. To już dowód niezbity, że mu przedewszystkiem o osobiste tylko cele chodziło. Wierny swéj specyalności, przedsiębierze wkrótce Jarosław tę samą drogę do Turek, którą tylekroć dotąd w interesach Zapolyi przebywał, stara się odrobić to wszystko, co sam sprawił przed kilku laty, rozerwać to przymierze Sułtana z królem Janem, które sam zawarł, sprowadzić traktat Ferdynanda z Turkami, któremu przedtem jak tylko mógł przeszkadzał. Ale teraz całkiem innego doznaje w Stambule przyjęcia, w największe się podaje niebezpieczeństwo osobiste, podobno nawet śmierć przedwczesną sobie sprowadza. Turcy nie mogąc pojąć takiéj zmienności, widzieli w Łaskim prostego awanturnika, który gotów służyć jakiéjbądź sprawie, byleby mu to niosło korzyści; widzieli w nim jednak awanturnika pełnego zdolności i ta-

lentów z którychby należało skorzystać: proponowali mu, aby wszedł w ich usługi, obiecując wielkie za to nagrody. A gdy Łaski czynione mu ofiary odrzucił, mieli mu podać powolną truciznę dwukrotnie, w śmietance i w winie (1). Tak przynajmniéj sam Łaski opowiadał, kiedy wróciwszy z ostatniego poselstwa już chorym do Polski, tu niebawem kończył swój burzliwy choć krótki żywot, umierając, dopiero 45-letni, w samym początku r. 1542 (przed 22 stycznia, daty dnia nie znamy). W parę tygodni po mężu umarła i Anna z Kurozwęk, która mu niegdyś wielkie dostatki wniosła w posagu. Z pozostałych trojga sierot, dwoje—syn jedynak Olbracht i jedna córka—było jeszcze nieletnich; drugiéj córki małżonek Andrzéj Ciołek z Żelechowa, musiał niebawem wzywać opieki sądów w obronie macierzystego sierot majątku. Bo zamek Rytwiany, gdzie on z żoną przebywał, obległ i zdobył, jako prawny nieletnich, opiekun, stryj ich Stanisław Łaski i o to go Ciołek pozywał.

W tym najmłodszym z trzech prymasa synowców dostrzega się także wyraźnie całéj rodzinie wspólne cechy charakterystyczne, ale w niższym stopniu niźli u innych braci. W młodości równie jak Hieronim niespokojny i żądny czynów, najwcześniéj się jednak ustatkował i otrzeźwiał; dalsza też jego karyera nie różni się od zwykłéj panom polskim kolei życia.

I Stanisław Łaski, jak brat Jarosław, odbył pielgrzymkę do Ziemi świętéj; i on przywiózł z niéj tytuł rycerza jerozolimskiego i znalazł wtedy sposobność ucierać się z „Murzyny i Araby." Potém z bratem Jarosławem, gdy ten jechał posłem Zygmunta do Francyi, pośpieszył na dwór Franciszka; tam pozostawszy w jego służbie jako zakład przymierza rodziny Łaskich z królem francuskim, walczył przy jego boku pod Pawią, dzielił jego niewolę, potém okupiwszy się dopomagał do tego, aby osłodzić mu więzienie hiszpańskie, aby przyspieszyć uwolnienie. Wrócił z oswobodzonym przez pokój Madrycki Franciszkiem do Francyi, w jego interesach i z jego podobno polecenia spieszył po Mohaczu na Węgry, ztąd niebawem znów z bratem Jarosławem, teraz już posłem Zapolyi, do Francyi się udał i do Anglii. Jesienią 1527 r. jest znów w Krakowie przy boku posła francuskiego Rincona (2); ale w 1528 r. bierze udział w wyprawie francuskiéj Lautrec'a na Neapol. Nie mógł więc towarzyszyć

---

(1) Hausto bis in flore lactis et in vino veneno in Turcia — powiada Gamrat w swoim sprawozdaniu dla Bony o tém, co mu Łaski przed śmiercią o stosunku Turków do Polski zakomunikował, w Acta Tom. rękopiśmiennych.

(2) Do niego to bowiem odnosi się wzmianka w A. Tom. IX, 298, którą Dalton fałszywie do Jana Ł. odnosi.

w tym samym czasie bratu Jarosławowi do Stambułu, choć to poeta Sabinus w elegii swojéj na cześć naszego Stanisława powiada; prawdopodobnie towarzyszył mu jednak bądź w drugiem, bądź w którém późniejszém do Turcyi poselstwie, skoro sam o tém wspomina, że był u Sułtana i z w. wezyrem Ibrahimem rozmawiał.

Główném jednak Stanisława Łaskiego zadaniem było walczyć, o stanie wojskowym mówi jako o własnym, rzemiosło rycerskie zawsze jako swoje uważa. Mniéj uzdolniony, mniéj zwłaszcza wykształcony od braci starszych, nie w dyplomacyi ani kościele, lecz w żołnierce szukał rozgłosu, którego i on jak cała rodzina był żądny. Więc jak najprzód w służbie francuskiéj, tak potém staczał boje w obronie sprawy Zapolyi przeciwko wojskom Ferdynanda, brał udział w obronie Budy obleganéj przez Roggendorfa w r. 1530,— aż go śmierć stryja, potrzeba działów między braćmi, uporządkowania stosunków majątkowych, odwołała w następnym roku do Polski. Odtąd stale już — jak się zdaje — w Polsce pozostał, z Jarosławem na Węgry nie powrócił, raz tylko się późniéj tam udał, gdy chodziło o uwolnienie uwięzionego przez Zapolyę brata. Niebawem się ożenił korzystnie, choć nie tak świetnie, jak o tém przed paru laty stryj dla niego marzył; swatana mu przez prymasa księżniczka Anna Mazowiecka wyszła tymczasem za mąż za Stanisława Odrowąża ze Sprowy, ostatniego potomka téj starożytnéj i możnéj rodziny: właśnie siostrę tegoż Odrowąża, Beatę ze Sprowy zaślubił, a przez ten związek zyskał dla rodziny Łaskich nową dostojną koligacyę. Osiadłszy w dobrach ojczystych pracuje odtąd spokojnie, aby podźwignąć fortunę, mocno nadszarpaną poprzedniemi wędrówkami w dalekie strony; wstępuje do senatu zrazu w dosyć podrzędnéj godności; a chociaż go długo wyższe dostojeństwa mijają, choć przez lat kilka na kasztelanii przemęckiéj musi poprzestawać, nie goni już za życiem awanturniczém, nie szuka dalekich bojów, śledzi tylko pilnie zdaleka sprawy wojenne u postronnych. Obecną bezczynność, rzadko przerywaną wysłaniem go z jakiemś poselstwem mniejszéj wagi, osładza sobie albo takim jak zajazd Rytwian walk dawnych przypomnieniem, albo pracami literackiemi.

Wydawca pism Stanisława Łaskiego Malinowski przypisuje mu udział w autorstwie znanéj satyry Krzyckiego o sejmie Azyańskim. Rzecz to co najmniéj bardzo niepewna. Był wprawdzie Stanisław Łaski w stosunkach bliskich z poetami i uczonymi: z Janickim, Fryczem Modrzewskim, z innymi; żeby jednak sam się miał literaturą łacińską czynnie zajmować, nie bardzo mi się to prawdopodobném wydaje. Ale Malinowski wykazał w sposób oczywisty, że Stanisław to Łaski jest autorem mylnie przypisywanych hetma-

nowi Tarnowskiemu ksiąg „o gotowości wojennéj“ i że prawdopodobnie spisał także wspomnienia swéj młodości, swoich wędrówek i bojów, które wnet najęty w tym celu niemiec Holtorp miał w łacińskich heksametrach opiewać. I w tém więc Łaski Stanisław pokazuje właściwą swéj rodzinie ambicyą. Opisywał Jarosław swe poselstwa i sprawy dyplomatyczne w relacyach, które mu rozgłos dawały; Jan młodszy niedługo potém z pismami religijnemi wystąpił: Stanisław, żołnierz, lecz który w wojnie nie zasłynął, bo nigdy nie stał na czele armii, nie tak jak bracia biegły w poprawnéj łacinie, przynajmniéj stara się usilnie, aby go sławili inni i dostarcza im do tego materyału; sam zaś po polsku przekazuje dla nauki potomnych, ale pewno i dla własnéj sławy, owoce swoich doświadczeń wojskowych, praktyczne rady i wskazówki dla hetmana i dla żołnierza. Pismo to dość bezładne, urywkowe, dorywcze, ale nader ciekawe; język piękny i jędrny. Zaleca nasz Stanisław — i w tém prawdziwy Łaski — walkę zaczepną, zachęca do wstępnego boju, gdzie tylko probować go można; szczególniéj zaczepnéj walki z Turkami jest zwolennikiem. Na każdym kroku pełno tu wspomnień z własnéj praktyki, pełno przykładów z bitw i oblężeń spółczesnych; czy i o ile Stanisław Łaski korzystał z pism spółczesnych teoretyków wojskowych, czy i o ile ma jego praca prócz historycznéj także i rzeczową wartość w ogólnéj literaturze wojskowéj: tylko fachowy znawca mógłby ocenić.

Nie wiadomo, czy ta praca dała mu rozgłos pożądany, czy go w kraju jako wojownika ceniono. Zdawałoby się, że celu upragnionego tém pismem nie osiągnął, skoro nie ogłoszone w jednym tylko rękopiśmie i to pod cudzem imieniem się przechowało. Nie miał téż—jak się zdaje—żadnéj sposobności, żeby się w wojnie odznaczyć, odkąd do kraju powrócił: przynajmniéj nie słychać nic zgoła o polskich Łaskiego bojach, nie wspominają nic o zasługach jego wojennych te nadania, jakiemi w ostatnich latach swego panowania Zygmunt Stary go obdarzył. W rok po śmierci starszego brata został po nim Stanisław Łaski, jak niegdy brat po ojcu, wojewodą sieradzkim (w maju lub czerwcu 1543 r.); w trzy lata późniéj otrzymuje ekspektatywę na starostwo łęczyckie. Nie brakło także łask i nadań drobniejszych. Tylko do posług dyplomatycznych długo nieużywano go prawie wcale (1); raz tylko posłował (1539) do zięcia królewskiego elektora Joachima II Brandeburskiego. Wtedy niepotrzeba było wielkiéj zręczności, żeby grzeczną ale odmowną odpowiedź

(1) Istnieje wprawdzie wiadomość o poselstwie do Danii i do książąt Meklemburskich, ale bardzo niejasna i niepewna.

powieść elektorowi, który pragnął przyznania ewentualnéj sukcesyi w Prusach książęcych dla swego syna a wnuka Zygmuntowego (przypuszczenie linii elektorsko-brandeburskiéj do sukcesyi w Prusiech, jak wiadomo nastąpiło dopiero przez Zygmunta Augusta). Zdawałoby się, iż dlatego nie posługiwano nim się w poselstwach, że nie ufano jego dyplomatycznym zdolnościom. Jakoż istotnie gdy przyszło mu wreszcie sprawować urząd poselski w sprawie ważnéj i wielkiéj doniosłości, okazał właściwe Łaskim cechy, ambicyą i samowolność, ale nieokazał podobnéj jak brat starszy zręczności.

Prawda, że o tém poselstwie mamy wiadomość tylko od niechętnych Łaskiemu, przeważnie od Hozyusza, który jechał poprawiać co Łaski miał źle zrobić, który był może nazbyt skłonny przypisywać mu winę i w tém także, o co niezależne od posła okoliczności winić by należało.

Chodziło to znowu o sprawę pruską. Jak wiadomo, po sekularyzacyi Prus pozwał był Zakon ks. Albrechta; a że Zakon był członkiem Rzeszy i Albrecht, póki był W. Mistrzem, także za członka Rzeszy uchodził i na sejmach Rzeszy zasiadał, pozwał go więc przed najwyższy sąd Rzeszy (Reichskammergericht), dla rozstrzygania procesów między członkami Rzeszy ustanowiony. Ks. Albrecht się przed sądem nie stawił, zaocznie wyrzeczono na niego banicyę. Uciekł się książę pruski oczywiście pod opiekę swego zwierzchnika lennego; król Zygmunt słał odtąd wielokrotnie do Rzeszy i cesarza i dopominał się zniesienia banicyi jako bezprawnéj. Przeczono ze strony polskiéj, żeby Prusy kiedy bądź do Rzeszy prawnie należały, odmawiano sądowi Rzeszy wszelkiéj w sprawach pruskich kompetencyi, żądano, aby każdy, ktokolwiek ma do Prus lub do księcia jakie pretensye, przed króla polskiego jako jedynego Prus pana skargę swoją wytoczył. Ofiarowywano się wreszcie, żeby komisarzom, których obie strony, Rzesza i Polska, naznaczą, rozpatrzenie téj sprawy powierzyć i zdać się na ich wyrok polubowny. Sprawa się wlokła: banicyi nie usunięto, nie zniesiono, tylko raz poraz zawieszano jéj moc, powstrzymywano jéj egzekucyą do czasu. Rozstrzygnąć sprawę było rzeczą istotnie trudną, bo pod tą formą procesu sądowego pomiędzy Zakonem a księciem pruskim ukrywał się spór polityczny, do kogo Prusy z prawa należą: do Polski czy do Rzeszy.

Nierozstrzygnięty spór mógł łatwo groźną przybrać postać, kiedy cesarz Karol V zwyciężył związek szmalkaldzki książąt protestanckich i gotował się 1547 r. do uporządkowania na sejmie Rzeszy wszystkich jéj spraw według swéj woli i swego interesu. Ks. Albrecht ze związkiem szmalkaldzkim utrzymywał stosunki; teraz pe-

łen był trwogi, że może egzekucya banicyi nastąpić, o co się administrator W. Mistrzowstwa usilnie starał u cesarza. I w Polsce budziły się obawy przed cesarza potęgą w obecnéj chwili; dla zażegnania możliwego niebezpieczeństwa umyślono nowych posłów na przyszły sejm do Augsburga wyprawić. Dla czego naczelnikiem poselstwa miał być Stanisław Łaski—nie wiemy; dosyć, że go wysłano najprzód do ks. Albrechta po informacye, jak go ma bronić, a gdy powrócił, w senacie podczas sejmu roztrząsano pilnie instrukcyą, któréj się w swém poselstwie miał trzymać.

Nie chciał Łaski miéć żadnego kolegi (pospolicie w ważnych sprawach dwóch posłów razem wyprawiano). Zgodzono się na to i sam pojechał, oczywiście z sekretarzami (w tych liczbie był i Frycz) i z orszakiem. Z drogi pisał, że nie będzie się trzymał niewolniczo swojéj instrukcyi; przyzwolono i na to, byle jéj treści nie zmieniał. Ale za to, gdy po długiem milczeniu posła nadeszły od niego z Augsburga wcale niewesołe wiadomości, z kancelaryi królewskiéj podniosły się skargi, że on winien wszystkiemu. Donosił poseł, że na jego przemowę do cesarza i stanów Rzeszy odpowiedział Zakon długim wywodem swoich praw do ziem Pruskich; wywód ten przysyłał z upomnieniem, że wojna o Prusy prawie pewna, jeśli cesarza spory z papieżem lub zatargi z Francyą nie zaprzątną gdzieś w innéj stronie. Z kancelaryi odpowiadano, że wywody prawne Zakonu sam Łaski tém spowodował, że wdał się na początku przemowy swojéj także w długi wywód historyczny praw polskich do Prus posiadania, chociaż instrukcya ledwo w końcu i krótko o tém nadmienić mu zalecała, a natomiast przepisywała cały nacisk na bezprawność banicyi położyć. Po długich zwłokach i oczekiwaniu, cesarz ze stanami Rzeszy zatwierdził prawność wyroku banicyi, a tych, którzyby chcieli bezprawności jego dowodzić, na drogę sądową odesłał, a więc właśnie przed ten sąd Rzeszy, któremu ze strony polskiéj kompetencyi w sprawie pruskiéj odmawiano; dla rozpoznania zaś sporu między Polską a Rzeszą naznaczył brata swego, króla rzymskiego Ferdynanda, komisarzem. Taką odpowiedź przyjął poseł króla Zygmunta: być bardzo może, iż żaden inny poseł nie byłby od cesarza w téj chwili lepszéj otrzymał odpowiedzi, bo jak wiadomo, Karol V był wtedy, podczas sejmu w Augsburgu, na szczycie swéj potęgi. Ale naturalną było téż rzeczą, że nieomieszkano z różnych stron w Polsce zarzucać Łaskiemu tak niepomyślny téj legacyi jego rezultat. Upoważniała go wprawdzie instrukcya do tego, żeby się starał o wyznaczenie znów komisarzy dla rozpoznania sprawy, jeśli ani zniesienia banicyi nie da się uzyskać, ani nakłonić cesarza do obietnicy, iż przeszkodzi każdemu, ktoby chciał tę banicyę egzekwować.

W tém jednak, że cesarz bannicyę wyraźnie potwierdził, a szczególniéj w tém, że naznaczył komisarzą jedynego, zamiast zostawić obok niego miejsce na drugiego, którego król polski wskaże, upatrywano nie bez słuszności ujmę godności króla, poddanie go poniekąd pod zwierzchność cesarską.

Może być, że tak niekorzystne wywiązanie się z téj misyi byłoby w innych warunkach sprowadziło jakie znaki niełaski królewskiéj. Ale kiedy nasz Stanisław do Polski wracał, już Zygmunt Stary nie żył, a Zygmunt August musiał sobie na wszystkie strony ujmować senatorów przy powszechnem wzburzeniu z powodu małżeństwa z Barbarą. I wojewoda sieradzki, któremu do Augsburga jeszcze za życia ojca doniósł młody król o swém małżeństwie, zamiast nagany spotkał nowe dowody przechylności królewskiéj; otrzymał teraz w dożywocie wolne od wszelkich opłat do skarbu to starostwo łęczyckie, na które już miał ekspektatywę od zmarłego króla. Czy go tém Zygmunt August zjednał? czy Łaski powiększył szczupłą garstkę tych panów, którzy nie opierali się małżeństwu z Barbarą?—nie wiemy; parę słów jego przemówienia na burzliwym sejmie piotrkowskim w końcu 1548 r., które nam dyaryusz sejmowy przechował, (1) nie pozwala rozpoznać, po któréj stał stronie w tym zatargu pomiędzy królem a większością stanów. Po sejmie zaś niedługo, 13 kwietnia 1549 r., zakończył życie, nie stary jeszcze, ledwo 50 letni. Mniemano, nie wiedziéć zjakiéj przyczyny ani z jaką słusznością, że i on umarł, jak brat starszy śmiercią nienaturalną. „W tém zamieszaniu—mówi współczesna zapiska—był otrut, różno powiadają, przecz i od kogo: to sam Bóg ukaże czasu swego, gdyż był takiéj stateczności, iż wiedząc to sam dobrze, okrom małżonki swéj nikomu tego niepowiedział.“

Z trzech prymasa synowców żył już tylko jeden, średni, Jan Łaski młodszy, a i ten żył zdala od Polski już od lat dziesięciu. Ale właśnie teraz, właśnie z powodu niepomyślnego skutku legacyi Stanisława Łaskiego i z powodu zmiany na tronie polskim, zdawały się ukazywać widoki, że będzie mógł Jan Łaski do kraju powrócić.

Jan Łaski młodszy—to niewątpliwie najczystsza w całéj rodzinie Łaskich osobistość, największéj wartości moralnéj. Z różnych stron i w różnych czasach ludzie różnych stanowisk odzywają się o nim z jednakiem uwielbieniem. Czy to skromny domownik prymasa, Jan Branicki, mówi o kilkunastoletnim studencie bolońskim, którego stryj opiece jego powierzył, czy chluba uczonéj Europy Erazm

---

(1) Nie ma ich w wydanym przez Szujskiego dyaryuszu, który w tém miejscu ma lukę, ale się znajdują w rękopiśmiennym fragmencie dyaryusza w Tekach Naruszewicza; słowa poniżéj przytoczone zob. w Szujskiego Script. rer Polon. I, 275.

z Rotterdamu wspomina dwudziestokilkoletniego gościa swego i ucznia, czy zawzięty późniéj przeciwnik Stanisław Hozyusz pisze o dojrzałym już blisko 40 letnim człowieku:—wszyscy zarówno nie mogą się dość nachwalić cnoty, zacności, prawości, czystości obyczajów Jana Łaskiego. Cały też jego żywot pokazuje rzadką podówczas w Polsce, obcą zgoła innym członkom rodziny Łaskich, bezinteresowność i poświęcenie, które uznać i uszanować należy, choćby nawet kto potępiał tę sprawę, na której usługi Jan Łaski oddał się w późniejszych latach swego życia.

Sprawą tą, jak wiadomo, celem całéj działalności Jana Łaskiego, całego jego żywota, było zreformowanie kościoła. Nie odrazu jednak ku celowi się temu zwrócił. Wogóle Jan Łaski rozwijał się dużo powolniéj niźli starszy Hieronim; nie tak łatwo jak ten brat przez niego ukochany przyswajał sobie wiedzę, korzystał z nauk w Bolonii (1). Za to brał wszystko gruntowniéj, bardziéj do serca. Wytrwałość i powagę imponującą najbliższemu otoczeniu wychwala w nim już wtedy brat starszy, kochający go nawzajem serdecznie. Ta to gruntowność zapewne, ku żalowi wielkiemu brata, ku niezadowolnieniu stryja prymasa, powiodła go z Bolonii do Niemiec, niewiedzieć dokąd ani na jak długo, zkąd dopiero po jakimś czasie znów powrócił, niemałą zdaniem brata odniósłszy korzyść. Z niechęcią tylko daje się oderwać od ukochanych nauk, od świata klasycznego; z niechęcią lecz ulegając potężnéj woli stryja powraca do kraju objąć te godności duchowne, które mu wedle stryja zamiarów miały utorować drogę do najwyższych dostojeństw kościelnych. A kiedy Jarosław ledwo że z Włoch i wędrówki jerozolimskiéj powrócił, rzuca się w wir życia publicznego, żeby już odtąd ani na chwilę nie spocząć; Jan tymczasem marzy tylko o tém, jakby mógł do Włoch, do przerwanych studyów powrócić, jakby się mógł daléj kształcić i doskonalić, chociaż stryj prymas i jego chciałby już ujrzeć czynnym w życiu praktycznem, chociaż go do kancelaryi królewskiéj jako sekretarza wprowadza, chociaż się usilnie o to krząta, żeby mu biskupstwo pozyskać.

Do Włoch jednak dla studyów nie pojechał, stryj przemógł i nakłonił go do pierwszych kroków na drodze dyplomatycznéj. W inną podróż wybrał się Jan Łaski jako towarzysz brata posła do Francyi. Prawdopodobnie Jarosław nakłonił go do tego obietnicą, że po drodze wstąpią do Bazylei, do mistrza nauk humanistycz-

---

(1) To co Dalton o jego pierwiastkowych studyach pod okiem prymasa w Krakowie powiada, już dla tego nie ma żadnéj podstawy, że prymas jak wiadomo, nie w Krakowie miał swoję rezydencyę; księgi też uniwersyteckie o Janie Ł. milczą.

nych, Erazma z Rotterdamu, którego on sam, Jarosław, poznał w czasie swojéj pierwszéj legacyi na koronacyą cesarza Karola V. Dla Jarosława Łaskiego była znajomość z Erazmem nęcącą, bo utrzymywać stosunki z tak znakomitym mężem dawało rozgłos i sławę; ale zetknięcie się z nim kilkodniowe, parę rozmów, zwiedzenie jego biblioteki, zaspokoiły pewno i ciekawość i próżność młodego dyplomaty, wykształconego bardzo, lecz niesklonnego do naukowych dociekań. Dla Jana Łaskiego całkiem inny miała urok osobistość wielkiego humanisty, jemu nie wystarczało krótkie spotkanie. Więc choć się teraz niebawem rozstać z nim musiał śpiesząc z bratem do celu poselstwa, po paru miesiącach (w końcu 1524 r.) znów do Bazylei powraca, osiada w domu Erazma, codziennie z nim obcuje, poznaje się z całém jego uczoném otoczeniem, radby najdłużéj tu pozostać, gdzie mu się nowe całkiem otwierają horyzonty. Pozostać jednak długo nie może; listy od księżnéj Alençon Małgorzaty siostry Franciska I, przypominają mu, że to tylko chwilowe wytchnienie, że i on ma obok brata czy po bracie jakieś sprawy polityczne do załatwienia, że go czekają jakieś nowe dyplomatyczne posługi, może znowu do Francyi, może aż do Hiszpanii. Po kilku następnych miesiącach trzeba się wyrwać z uczonego schronienia; cała pociecha, że dalszych zleceń swego króla ma oczekiwać w północnych Włoszech, dokąd mu Erazm daje listy, dokąd śle z nim razem swojego sekretarza. Pewno podówczas poznał w Padwie i w Wenecyi co znakomitszych humanistów tamecznych; prawdopodobnie zetknął się także i z tym rówieśnikiem swoim rodu królewskiego, Reginaldem Pole, późniejszym kardynałem prymasem Anglii i nieomal papieżem, z którym go zestawiają dla podobieństwa przymiotów, cnót i nauki wspólni obu przyjaciele humanistyczni, Erazm i Hozyusz.

Zamiast dalekich wędrówek wypadło wracać do Polski. Jan Łaski i teraz czynił to nie nazbyt chętnie, bo towarzyszy nauki nie spodziewał się zastać tam wielu. I w Polsce była już spora garstka humanistów pokrewnych mu studyami, dzielących jego upodobania literackie i naukowe, ale nie było ich koło stryja prymasa, garnęli ich ku sobie prymasa przeciwnicy. Więc przynajmniéj z obczyzny wiezie z sobą młodego humanistę o poetycznych zdolnościach, Francuza Aniana; z bazylejskimi towarzyszami utrzymuje korespondencyą, interesuje się ich zajęciami naukowémi. I oni przechowują po nim miłe wspomnienie, donoszą mu o swoich pracach, nawet mu z nich niektóre poświęcają. Beatus Rhenanus dedykuje mu (1526 r.) cenne uwagi krytyczne do historyi naturalnéj Pliniusza, Henryk Glareanus przypisuje mu swoją geografią (1529 r.). Ku nim z tęsknotą zwraca Łaski swe oko; przejęty pokojowemi mistrza Erazma dążnościami

żali się z westchnieniem: „tu wojny, straszliwe wojny, nic prócz tego.“ Radby którego z tych towarzyszy bazylejskich sprowadzić do Polski; czyni im tak korzystne propozycye, że jeden przynajmniéj, uczony prawnik Bonifacy Amerbach, przez chwilę się nad tém zastanawia, czyby nie podjąć wędrówki w dalekie na wschód strony. Samego Erazma pragnąłby Łaski ujrzéć w Polsce; gdy wielki uczony ogląda się za bezpieczném na starość schronieniem, skoro pierwsze ruchy reformacyjne w Bazylei zaczynają ukochany mu spokój tam zakłócać, Łaski nalega na niego nieustannie, aby do króla Zygmunta się odezwał; nagli naczelnika polskich humanistów, biskupa płockiego Krzyckiego, aby się zakrzątał około powołania do Polski Erazma. Erazm napisał istotnie długi list do Zygmunta, w odpowiedzi otrzymał istotnie powołanie pochlebne, aby do Polski przybył; w końcu wolał jednak przenieść się do bliskiego Freiburga.

Z pewnością nie tylko dla tego celu zbliżał się Łaski do Krzyckiego, zapominał o antagonizmie dzielącym stryja prymasa z wujem Krzyckiego Tomickim, o Krzyckiego na prymasa napaściach. Spłacał swój dług w téj literackiéj walce i nasz Łaski, jego Anian odpowiedział na epigramaty Krzyckiego; ale wspólne upodobanie w literaturze klasycznéj pociągało go ku Krzyckiemu. Przecież już w Bazylei rad opowiadał Erazmowi o Krzyckim, zachwalał jego talent poetycki, okazywał jego utwory. Teraz zapominał chętnie o waśniach i sporach politycznych obu rodzin, chętnie się z Krzyckim stykał, nawet dłuższy czas przy nim przebywał. I z młodszymi humanistami polskimi wchodził w stosunki, choć w przeciwnym stali obozie; Hozyusza, choć w usługach Tomickiego zostawał, polecał względom Erazma (1).

Pobyt w Bazylei u Erazma wywarł na Jana Łaskiego wpływ wielki. Dotąd jednę miał tylko ambicyą: poznać i zgłębić literaturę klasyczną, stać się humanistą doskonałym na sposób włoski, takim jakich widział w Bolonii. Erazm w nim wzbudził ambicyą nową; on to wlał w duszę młodego prałata chęć gorącą, żeby się do reformy kościoła mógł przyczynić. Sam Łaski powiada, że Erazm pierwszy zwrócił jego uwagę na kościół, na potrzebę jego reformy. Dlatego, chcąc nie tylko autorów klasycznych, ale i pismo święte głębiéj studyować, zaczął się uczyć w Bazylei od Konrada Pelikana hebrajszczyzny, w któréj nie wiele jednak jeszcze postąpił, gdy mu wyjeżdżać już przyszło. Nie podało to bynajmniéj wracającego do kraju

---

(1) Hosio lubens bene faxim, si quid queam, nunc tamen non erat scribendi ocium, pisze Erazm do Jana Ł. 1527 r. Erasmi Opp. III, 1057 (ed. Leyd).

w podejrzenie, jakoby miał sprzyjać nowatorstwu religijnemu, naukom Lutra; nikt w Polsce go o to nie posądzał, przed nikim się przy swym powrocie niepotrzebował związków z herezyą wyprzysięgać. Myli się najnowszy Jana Łaskiego biograf dr. Dalton, który to utrzymuje, jak pomylił się wydawca dzieł Łaskiego Kuyper, który znalazłszy przysięgę taką Łaskiego bez daty, dodał jéj datę r. 1526 (1).

Że się dr. Dalton pomylił, to podobno skutek nie tylko błędnéj daty, ale i fałszywego wyobrażenia o Erazmie i o jego stosunku do reformacyi Lutrowéj. Prawda, że to wyobrażenie fałszywe przeważało i dziś jeszcze przeważa wśród historyków owéj epoki. Chociaż już bardzo wiele pisano o Erazmie, choć kilka o nim książek w ostatnich latach powstało, niedoczekał się jednak dotąd wielki ten uczony biografii wyczerpującéj, jasnego przedstawienia nie tylko jego działalności, ale i wszystkich jego dążeń, ostatecznego jego celu. Pierwszy to raz podobno Maurenbrecher naszkicował niedawno wierny Erazma wizerunek w téj książce (Geschichte der Katholischen Reformation Tom I, Nördlingen 1880), którą bezprzecznie do najznakomitszych utworów współczesnéj historyografii niemieckiéj zaliczyć należy.

Maurenbrecher nam pokazuje, że Erazm raz sobie cel wytknąwszy, przez całe życie do niego zmierzał wytrwale i konsekwentnie. Przedewszystkiem wielki uczony, ale zarazem człowiek prawdziwie pobożny, pragnął reformy w kościele i przez kościół, lecz nie zburzenia kościoła historycznego. Szydził ze scholastyki i scholastyków, bo scholastyka była w zupełnym upadku i rozkładzie; bo ją pragnął zastąpić studyowaniem prawdziwie naukowém pisma św. i dzieł ojców kościoła: dla tego je wydawał, komentował, greckich ojców kościoła przekładał. Przeciwko mnichom, ich ciemnocie i ich zepsuciu walczył ostrą bronią gryzącéj satyry, bo chiał odrodzenia się uczucia religijnego, lekceważąc praktyki niepowstrzymujące bynajmniej upadku moralności. Dlatego wskazywał na osobę i na żywot Chrystusa, dla tego kładł nacisk główny na moralną chrześciaństwa stronę w swych budujących podręcznikach, które w klasycznéj for-

(1) Świeżo powtórzył jeszcze raz *tę* pomyłkę X. Korytkowski, chociaż znając nowe wydanie korespondencyi Hozyusza wiedział, do którego czasu należy odnieść przysięgę Jana Ł. Bez najmniejszéj do tego podstawy X. K. każe Łaskiemu dwukrotnie taką przysięgę składać; prawda, że krótka jego biografia, którą X. K. podaje w swém dziele: „Prałaci i kanonicy kapituły Gnieznień.“ zawiera obok paru nieznanych szczegółów mnóstwo błędów faktycznych i świadczy o zupełnéj nieznajomości stosunków i ludzi owego czasu. Naturalnie, sama postać Jana Ł. wychodzi tu na zupełną karykaturę.

mie ogłaszał. O dogmatyczną stronę nauki kościelnej nie troszczył się Erazm zbyt wiele, ale jéj nigdzie nie zaczepiał; a reformę, którą za zbawienną uważał chciał widziéć przeprowadzoną powoli, stopniowo, bez wstrząśnień i zaburzenia, przez powołane do tego czynniki, przez biskupów i papieża, z pomocą i za sprawą monarchów i książąt.

Takiéj reformy pragnęli wszyscy co świattlejsi i zacniejsi wśród duchowieństwa, pragnęli królowie i książęta. Z téj strony cieszył się Erazm najzupełniejszém uznaniem, nawet i wtedy, gdy Luter wystąpił, gdy się zaczęły szerzyć niepokoje religijne, gdy Erazma wielu oskarżało, że on to Lutrowi drogę utorował i grunt przygotował dla niego. Bo istotnie zrazu Erazm widział w Lutrze pożyteczne narzędzie reformy, dopóki Luter reformy tylko żądał; odwodził od użycia przeciwko niemu środków gwałtownych, bo lękał się zwycięstwa reakcyi; ale odkąd Luter zaczął wywracać naukę kościelną i na jéj miejsce swoje stawiać dogmaty, odkąd się poczęły nieporządki i reformowanie przemocą, Erazm był tylko konsekwentnym z sobą samym że się od tego odwrócił, że ze wstrętem na to spoglądał i w końcu do literackiéj z Lutrem walki o wolną wolę wystąpił. Nie przestał jednak nigdy do reformy zachęcać, w niéj najskuteczniejszy środek do przywrócenia jedności w rozerwanym kościele upatrywał; kwestye sporne dogmatyczne chciał zachować do decyzyi soboru powszechnego, reformy praktycznéj w obyczajach, w urządzeniach kościelnych dopominał się zaraz i po niéj się najlepszych spodziewał skutków.

Można powątpiewać, czy środki wskazywane przez Erazma byłyby skutek osiągnęły, czy teraz nie przyszły by już za późno; Erazm, prawdziwy uczony, może się łudził, za mało brał w rachubę namiętności ludzkie, które w grę także tu wchodziły. Ale podobnemu złudzeniu ulegali współcześni najwyżéj nawet stojący i nieprzestali Erazma swą przychylnością obdarzać. Papież Hadrian VI powoływał go do Rzymu, aby z jego świattéj rady dla zażegnania rozdziału kościoła korzystać; do jego rady odwoływali się legaci zjeżdżający do Niemiec, w Hiszpanii całe zgromadzenie znakomitych teologów zabroniło wszelkich na pisma Erazmowe napaści. Więc Łaski przyjeżdżający od Erazma, nie popadł w podejrzenie co do prawowierności, zwłaszcza że Erazm i w Polsce liczył już wśród duchowieństwa sporo wielbicieli gorących, a liczba ich się wzmagała, odkąd przeciw Lutrowi wystąpił. Łaski właśnie podówczas bawił u Erazma, kiedy ten pisał o wolnéj woli; pragnął téż reformy kościelnéj w myśl Erazma, nie zaś na sposób Lutra. Jeszcze w lat parę potém z przekąsem odzywa się o protestantach, że chcą od Ferdynanda, aby im ubezpieczył ich wiarę „ewangielicką, jak ją zwą sami.“

Takiéj reformy jak Erazm pragnęli i światlejsi między biskupami polskimi. Już 1525 r. słano do Rzymu z usilną prożbą, aby papież zwołał sobór dla usunięcia rozdziału kościelnego; a synod prowincyonalny w Łęczycy 1527 r. powziął uchwały, którym Erazm przyklasnąłby z całego serca, jeżeli o nich posłyszał. Postanowiono tam bowiem, że każdy biskup ma się postarać o biegłych teologów i dobrych kaznodziejów dla pouczania wiernych, że kaznodzieje mają wykładać ludowi w swych naukach ewangelią w zdrowy i prawowierny sposób, że powinni unikać przytém kwestyi scholastycznych i bajecznych przykładów; zalecano kaznodziejom posiadać w tym celu pismo św. ojców kościoła i inne podobne księgi, a więc te właśnie, których znajomość rozpowszechnić Erazm się zawsze starał.

Podobno nasz Jan Łaski brał w tym synodzie udział; niepodlega najmniejszéj wątpliwości, że pochwalał, co tu postanowiono, bardzo być może nawet, że on to wpłynął na synód, aby się takich środków a nie gołéj represyi chwycono. Przecież przed rokiem skarżył się gorzko przyjacielowi bazylejskiemu, że w Polsce nic się nie dzieje dla poprawy kościoła. Łaski w tym czasie otrzymał wyższe dostojeństwa kościelne: dotąd dziekan gnieznieński i kanonik krakowski, teraz został proboszczem gnieznieńskim i łęczyckim tudzież kustoszem płockim. Żeby jednak samemu módz do reformy kościoła przyłożyć czynnie ręki, potrzeba było samoistnego zakresu działania, a więc katedry biskupiéj. Starał się o to dla niego już dawniéj stryj prymas: teraz i synowiec dawniéj obcy takiéj ambicyi, czynny w zabiegach stryja bierze udział, to z Krzyckim to z Latalskim się chce układać o następstwo po nich (prymas im za to ofiarowywał następstwo po sobie: o koadjutoryą tymczasem chodziło), konferuje potajemnie z królem Zygmuntem, posyła zaufanego krewnego do królowéj Bony, która już zagarnęła szafunek dostojeństwami.

Nietylko o reformie kościoła i potrzebném mu w tym celu biskupstwie myślał i starał się o nie nasz Jan Łaski podówczas; równocześnie, może mniéj chętnie, bierze jednak czynny udział w politycznych zabiegach i usiłowaniach swojéj rodziny, w jéj stosunkach z Janem Zapolyą. Utrzymuje więc korespondencyą z posłem francuskim do Zapolyi, z Rinconem; z radością mu donosi o przymierzu tureckiem, o tureckich posiłkach, o powrocie Zapolyi z Polski na Węgry; śpieszącego tam Rincona podejmuje w Łowiczu i podróżnych mu przyborów dostarcza, może nawet (choć to wątpliwe) sam się za nim do Zapolyi udaje. Bo niebawem, w lutym 1530 r., jako poseł Zapolyi stawał przed królem Zygmuntem i przed senatem na sejmie piotrkowskim, na którym dokonano elekcyi Zygmunta Augusta. Składał więc imieniem króla węgierskiego powinszowania téj elekcyi a prze-

dewszystkiém upraszał o pomoc polską przeciw Ferdynandowi i usprawiedliwiał króla Jana, że wszedł w związki z Turkami, i swego brata Jarosława, że z nimi rozejm imieniem Polski zawarł. Za życzenia podziękowano od króla, usprawiedliwienia uznano za zbyteczne, ale pomocy odmówiono; a Jarosław Łaski tak bardzo gniewu królewskiego się lękał, że nie inaczéj jak za glejtem chciał przybyć do Polski, gdy na zjeździe w Poznaniu miał się układać o pokój w imieniu Zapolyi z wysłańcami Ferdynandowymi. Na tym zjeździe (we wrześniu i październiku 1530 r.) i nasz Jan obok brata figuruje znowu jako jeden z posłów węgierskich, a występuje wtedy jako biskup elekt Weszprimski, oczywiście przez Zapolyę nominowany. Nie postał jednak nigdy, jak się zdaje, w tém węgierskiem biskupstwie swojem, może dla tego, że leżało w téj Węgier części, którą wojska Ferdynanda miały w swéj mocy. Nie przestał też się starać o biskupstwo polskie, tém bardziéj, że spadku ojczystego zrzekł się już dawniéj na rzecz braci i zrzeczenie to teraz właśnie ponowił kiedy po śmierci stryja prymasa bracia Łascy ostateczne działy pomiędzy sobą robili. Ale właśnie Łaskich polityczne stosunki utrudniały Janowi dojście do pożądanego biskupstwa. Śmierć prymasa nie wzmocniła oczywiście ich stanowiska w Polsce. Przyrzekał wprawdzie podkanclerzy Tomicki Jarosławowi Łaskiemu, który mu brata polecał, że jego sprawę u króla będzie popierać; wątpić trzeba, żeby ta obietnica była szczera; skutku też nie było widać (1).

Wybrany administratorem opróżnionego Arcybiskupstwa, zarazem egzekutor testamentu zmarłego stryja, miał czas jakiś nasz Jan Łaski niezmiernie wiele pracy, bo rozwikłać zagmatwane bardzo interesa pieniężne nieboszczyka prymasa było rzeczą kłopotliwą w najwyższym stopniu. Zapraszał imieniem kapituły nowego prymasa do objęcia godności, zawarł z nim niezbędne układy co do spadku po stryju; ostatni raz widzimy go w Krakowie, jesienią 1531 r., gdzie przebywał chory, zapewne ze znużenia—w ogóle był bardzo słabowity od młodości i często chorobom podlegał;—odtąd jednak znika nam zupełnie z oczu, dosyć długo o nim nic prawie nie słychać. Odtąd raz tylko występuje czynnie, gdy o uwolnienie uwięzionego przez Zapolyę brata chodziło. Wtedy i u senatu polskiego i u króla

---

(1) Według rękopiśmiennych Acta Tom., z których znaczne wypisy podaje X Korytkowski; ale myli się X. K. przypisując prymasowi zamiar ustąpienia Arcybiskupstwa synowcowi, bo prymas chciał tylko w ten sposób swojem ustąpieniem do wyniesienia synowca się przyczynić, żeby ten z biskupów (Drzewiecki, Latalski lub Krzycki), którego sobie za koadjutora przybierze, natomiast Jana Ł. sobie wziął za koadjutora i następcę w biskupstwie.

Zygmunta (a więcéj jeszcze u Bony) robił gorące starania, sam nawet podobno udał się na Węgry, choć go i wtedy ciężka choroba trapiła. Niebawem znowu o Janie Łaskim głucho zupełnie. Dowiadujemy się, że „tak bardzo sobie spoczynek i ciszę upodobał, że się usunął od zgiełku dworskiego, zawarł w jednym ze swoich zamków" (bodaj czy to nie w Kiezmarku u starszego brata), „od rozmowy nawet z domownikami prawie się powstrzymuje, aby przy umyśle spokojnym i wolnym od trosk wszelkich mógł pochłaniać te nauki, ku którym od najwcześniejszéj młodości zawsze uczuwał niezmierne zamiłowanie."

Widocznie więc Jan Łaski nie mogąc się doczekać upragnionego biskupstwa, nie mogąc pracować nad reformą kościoła samoistnie, w życiu praktycznem odegrać roli znacznéj, któréj jak każdy Łaski pożądał, a wreszcie widząc, że dla reformy kościelnéj nic się w Polsce nie robi (owe chwalebne uchwały synodalne z 1527 r. nie weszły w wykonanie)—zniechęcony usunął się od życia praktycznego i wrócił do dawnych upodobań, żeby przynajmniéj nad sobą samym pracować, oświecać się i wewnętrznie doskonalić.

Chciał jednak mieć w téj pracy towarzyszy usposobieniem pokrewnych, wzywał Hozyusza, żeby w jego studyach wziął udział. Przyszły kardynał i pogromca protestantyzmu w Polsce niczego więcéj nie pożądał, jak połączyć się z przyszłym naczelnikiem kalwinów polskich. Osierocony świeżo po stracie ojca, a więcéj jeszcze po śmierci Tomickiego, swojego opiekuna i dobroczyńcy, znużony mozolną pracą w kancelaryi królewskiéj, do któréj go, gdy z Włoch powrócił, zaprzągł ksiądz biskup podkanclerzy, prawdziwe upatrywał w tém dla siebie szczęście, żeby się mógł „na wolność" w taki sposób wydostać, do ukochanych studyów powrócić, do których go Łaski i przez wysłańców i sam osobiście zapraszał i przyzywał. Już przed włoską Hozyusza podróżą znali się ci dwaj ludzie i nieraz o potrzebie reformy w kościele rozprawiali, a jeszcze i teraz nie mógł się Hozyusz dosyć nachwalić Łaskiego, „w którym zacność z nauką tak ściśle się łączą, że trudno powiedzieć, czy jest uczeńszym czyli téż lepszym". Krewni jednak Hozyusza przeszkodzili mu, że powziętego już stanowczo zamiaru nie mógł wykonać. Na dworze, żądano od niego, świetniejszéj niechaj karyery powoli się dosługuje; na dworze i krewnym swoim i sobie może być bardziéj pożytecznym. Z westchnieniem, ze słowami poety: „widzę co lepsze i pochwalam, a jednak czynię co gorsze", Hozyusz wyrzekał się ulubionéj myśli (1).

(1) Hozyusz do Bonamica 12 lutego 1536, Hosii Epp. I, 16 (ed. 1879); z tego listu pochodzą przytoczone powyżéj słowa o Ł.

Rozstali się obadwaj przyjaciele, żeby dopiero po latach wielu stanąć znów naprzeciw siebie jako wrogi.

Nie należy bynajmniéj z tego wnosić, jakoby Hozyusz podówczas żywił jaki bądź ku reformacyi pociąg. Obadwaj z Łaskim stali na wspólnym gruncie reformy kościelnéj wedle myśli Erazma. I Łaski jeszcze podówczas gruntu tego nie był porzucił: kiedy się dla dalszych studyów zamykał przed światem, jeszcze nieprzewidywał, dokąd go te studya poprowadzą. Zetknął się był wprawdzie już w Szwajcaryi z reformatorami protestanckimi, z Zwinglim, Farelem, Ekolampadiusem; były to jednak przemijające chwilowe tylko stosunki; ci zaś wszyscy z przyjaciół bazylejskich, z którymi dłużéj utrzymywał związki, Beatus Rhenanus, Glareanus, Amerbach, wszyscy jak Erazm pragnęli reformy w kościele, ale jak Erazm potępiali protestantyzm jako rewolucyą kościelną. Zostawał Łaski już wtedy, kiedy Hozyusza do siebie przyzywał, w stosunkach korespondencyi z Melanchtonem, ale zapewne jeszcze cenił w nim raczéj uczonego humanistę, z którym i Erazm korespondował do końca, niż reformatora i współpracownika Lutrowego. Pisząc już po raz drugi do Łaskiego zapewniał go Melanchton (1), że go kocha dla jego cnót i nauki; że nie mówił nic o jego pobożności ani jéj nie wychwalał, to podobno dowód najlepszy, że jeszcze Łaski żadnych nie okazywał wyraźnych sympatyi dla przekonań religijnych Melanchtona. A przecież bawił już od dłuższego czasu w Wittemberdze przy Melanchtonie ów Anianus, niedawny towarzysz Łaskiego; z jego to powodu korespondencya ta między nimi się zawiązała, o jego to śmierci przedwczesnéj donosił Łaskiemu Melanchton z wielkiem strapieniem, pobożność i gorliwość religijną zmarłego wychwalał i w tym liście i publicznie. Przez Aniana niewątpliwie był Melanchton dokładnie poinformowany o stanie przekonań religijnych Łaskiego.

Sam fakt jednak, że Łaski nieprzeszkodził udać się do Wittembergi Anianowi, którego do końca opieką i miłością otaczał, że może go nawet tam wysłał, jest sam przez się wymowny; pokazuje, że chociaż jeszcze nie protestant, Łaski przecież mniejszą niż przedtem żywi niechęć ku protestantyzmowi, że mu się już nieco uczuwał bliższym i przynajmniéj pośrednio wchodził z nim w zetknięcie przez Aniana, może i przez Andrzeja Frycza. W tych właśnie latach zamknięcia się przed światem odbywał się w Janie Łaskim proces duchowego przeobrażenia, który go miał do obozu protestantów poprowadzić. W jaki odbywał się sposób, jakie przechodził on stadya roz-

---

(1) List ten z 2 lutego 1535, przeoczony przez Daltona, w Corpus Reform. II, 838.

woju—nie mamy ku temu dostatecznych wskazówek; ale że sam proces dokonywał się bardzo powoli, że i teraz Łaski powoli bardzo się rozwijał, to najmniejszéj niepodlega wątpliwości. Nie był też jeszcze ów proces dokonanym zupełnie, kiedy Łaski Polskę znowu opuszczał (1538 czy 1539 r.), choć znacznie przedtem rozchodziły się tu i owdzie pogłoski, że już do Wittembergi, do Lutra i Melanchtona, pojechał.

W przeszło 20 lat potém nad trumną Jana Łaskiego wielbił minister kalwiński Statorius jego stałość religijną; opowiadał ku zbudowaniu swych protestanckich słuchaczów, że Zygmunt Stary już nominował Łaskiego biskupem kujawskim, ale on udał się do króla, i wyłożył mu otwarcie powody, dla czego biskupstwa przyjąć nie może; król łaskawy nie tylko się tém nie uraził, ale nawet dał mu listy polecające od siebie do różnych obcych monarchów. Że tak było w istocie, to przyjmuje jako fakt bez żadnych zastrzeżeń najnowszy Łaskiego biograf Dr. Dalton (1) i powiada, że Łaski wyjeżdża zdecydowany zerwać ostatecznie z kościołem; natomiast ze strony katolickiéj po dziś dzień bywa powtarzano, że Łaski wyjechał z Polski i został protestantem dla tego, że mu biskupstwa kujawskiego odmówiono. Nie myślę przeczyć stałości religijnéj Łaskiego, dał jéj potém dosyć dowodów; ale w tém co nad grobem dla pochwały zmarłego bywa mówione, nie należy, jak wiadomo, szukać bezwzględnéj prawdy. W tym wypadku mamy świadectwa nie dające się z ową wiadomością pogodzić. Czy istotnie myślał król lub kto inny o mianowaniu Łaskiego biskupem kujawskim, zkąd inąd nie wiemy wcale ale wiemy, że w r. 1539 wyliczano go pomiędzy kandydatami na biskupstwo poznańskie (zawakowało ono przez śmierć Oleśnickiego w maju 1539, biskup zaś kujawski Karnkowski umarł parę miesięcy wcześniéj, w grudniu 1538 r.), że więc wtedy czy on sam, czy też jego krewni musieli się starać u króla, aby to biskupstwo otrzymał. Mojem zdaniem jest coś prawdy w mniemaniu, jakoby odmowa biskupstwa popchnęła Łaskiego do podróży za granicę, a tém samém do rzucenia się w objęcia protestantyzmu.

Nie ma to znaczyć wcale, że Łaski stał się odstępcą od kościoła katolickiego jedynie z obrażonéj ambicyi. Bynajmniéj. Ale Łaski jeszcze dotąd nie był zdecydowany wewnętrznie rozstać się z kościo-

---

(1) Argument Daltona, że nie śmiał by tego mówić Statorius, gdyby niebyło prawdą, bo niejeden ze słuchaczów jego mógłby temu zaprzeczyć, nie przekonywa mnie wcale; przy pogrzebie Ł. byli tylko sami protestanci, niesklonni powątpiewać o tém, co na jego pochwałę mówiono, a nie było nikogo, coby mógł znać dokladnie stosunek Zygmunta Starego do Ł.

łem katolickim, chociaż już miał wiele wątpliwości, chociaż już był na drodze do porzucenia go wiodącéj. Gdyby choć teraz był znalazł pole działania, sposobność do reformy praktycznéj—o tę mu zawsze przedewszystkiém chodziło—to jąwszy się pracy i teraz jeszcze zaprzestałby jak mniemam, zagłębiać się w dalsze studya kwestyi religijnych, byłby—może nieprzekroczył ostatnich zapór, które dzieliły go od protestantów. Że i teraz biskupstwo go ominęło, to go popchnęło do dalszéj nad sobą samym tylko pracy, do tego że postanowił przypatrzéć się z bliska, co się téż w innych dzieje krajach; tak samo jak przed kilku laty zawiedzione nadzieje biskupstwa go spowodowały, że się od zgiełku dworskiego był usunął.

Wyjeżdżał Jan Łaski z Polski, bo nie było dla niego tu miejsca do samoistnéj pracy, a na podrzędném stanowisku,—prawdziwy w tém Łaski—pracować on nie umiał. Wyjeżdżał opowiedziawszy się królowi—nikt ze znaczniejszych ludzi nie wyjeżdżał podówczas na czas dłuższy bez pozwolenia królewskiego, a Łaski był nadto i sekretarzem królewskim;—opatrzony w listy polecające królewskie do różnych książąt—tych król nie odmawiał na żądanie nikomu ze swych dostojników: był to jakby rodzaj paszportu. Że jeszcze nie był zdecydowanym protestantem, najlepiéj pokazuje jego droga. Nie zwracał się ku żadnéj z głównych siedzib protestantyzmu, ani do Wittembergi ani do Szwajcaryi ani gdzie indziéj. Jechał najprzód do Frankfurtu nad Menem, gdzie na jarmarku można było się zaopatrzéć w księgi wszelakie, potém do Moguncyi, gdzie rządził nie nazbyt gorliwy, ale przecież katolik i kardynał, Arcybiskup elektor Albrecht Brandeburski, wreszcie się udał do Belgii, do Lowanium, słynnego uniwersytetem będącym zawsze jedną z głównych warowni prawowierności katolickiéj. Nie przewidywał pewno z góry, że tu właśnie przyjdzie mu uczynić krok ostatni w dotychczasowym wewnętrznym rozwoju, krok pierwszy wyprowadzający go po za obręb kościoła i jego urządzeń.

Tu bowiem żyjąc zupełnie na ustroniu, poznał się niebawem, niewiedziéć w jaki sposób, z pobożném kółkiem skromnych mieszczan, drobnych kupców i rzemieślników, którzy w cichości się gromadząc (w Lowanium jak wszędzie w krajach cesarza prześladowano każdy cień reformacyi) rozczytywali się w piśmie św. wykładali je po kolei, budowali się tym wykładem i lekturą różnych książek pobożnych. Uczestnicy tych tajemnych zgromadzeń wspierali się nawzajem w życiu praktyczném, codziennèm, okazując i w czynach wszystkich miłość chrześciańską, współczucie, miłosierdzie.

W tém kółku Łaski sobie wkrótce upodobał, w tém kółku ujrzał idealną jakoby gminę chrześciańską. Ztąd gdzie się zgroma-

dzały obok matron poważnych i młode także a pobożne dziewice, wybrać sobie postanowił towarzyszkę życia; bo uważał teraz i głosił, że „słowem Bożem dozwolone jest małżeństwo wszystkim, którzy się powstrzymać nie mogą,“ że przestrzegać bezżeństwa duchownych znaczy to „wyraźnie sprzeciwiać się rozkazowi Bożemu i chcieć, aby podlegał wyroczni ustaw ludzkich.“ Ożenił się więc z jakąś córą mieszczan lowańskich: kto ona była, jakie było jéj imię i stanowisko — najskrzętniejszym poszukiwaniom Dr. Daltona nie udało się tego wykryć.

Niedługo jednak pozostał Łaski w Lowanium. Wzmogła się czujność duchowieństwa miejscowego, poszukiwano za podejrzanymi o sprzyjanie herezyi. Obcy prałat, który tu pojął żonę, mógł łatwo uledz prześladowaniu: w sąsiedniéj niderlandzkim krajom cesarskim Fryzyi Wschodniéj poszukał wkrótce chwilowego, jak się zdawało, schronienia. Do Polski nie miał po co powracać. Późniéj nieraz, jak wiadomo, księża się w Polsce żenili, a chociaż ich o to pozywali biskupi, choć zapadały wyroki potępiające, niejeden umiał ujść kary, gdy władza świecka duchowieństwu niechętna nie kwapiła się z udzieleniem pomocy swego ramienia. Teraz jednak jeszcze król Zygmunt Stary ściśle juryzdykcyi duchownéj przestrzegał, teraz stał na czele kościoła w Polsce Piotr Gamrat, nie zbyt wzorowych, jak wiadomo, obyczajów, ale tém surowiéj pilnujący prawowierności i wypełniania wszystkich przepisów kościelnych. Niedawna śmierć na stosie staréj Waiglowéj pokazała odstępcom, czego się od niego spodziewać im należy. A Gamrat był w nieprzyjaźni z Łaskimi, miał zaś za sobą bezwględne poparcie Bony.

Łaski wiedział téż o tém doskonale, że nie minęłaby go w Polsce surowa kara. „Ciężko mi było zaprawdę, przyznaję szczerze— pisze w rok potém w liście do biskupa poznańskiego Łukasza z Górki (28 września 1541) (1) — porzucić ojczyznę najdroższą, przyjaciół najukochańszych, wreszcie wszystko co mam; ciężko téż było samemu się wprost narazić na niebezpieczeństwa nędzy i znoszenie krzyża. Ale Bogu niech będą dzięki, który mi dał męstwo, żem to uczynił i który niedozwolił, aby mdłą była we mnie jego łaska. . . . I tém się przedewszystkiem szczycę, że jestem pierwszym wśród naszych, na którym Bóg raczył okazać niewysłowione miłosierdzie swoje, że uznał mnie godnym, abym był wzgardzony, wyśmiany, zniewagami przez wszystkich ścigany, a nakoniec abym był odarty ze wszyst-

---

(1) List ten niewydany dotychczas znajduje się w Tekach Naruszewicza; z niego pochodzą i przywiedzione już przedtem słowa.

kiego co miałem, a to dla świętego imienia Tego, który i sam gdy tu żył, był wzgardzony, wyśmiany, potępiony, nakoniec do krzyża przybity, teraz zaś niezwyciężony króluje w chwale po prawicy ojca swojego na niebiesiech.“

Kiedy Łaski pisał te słowa, już istotnie był ze wszystkiego odarty. Wiadomość o jego małżeństwie dobiegła rychło do kraju i tu wywołała wielką wrzawę i straszne oburzenie, zwłaszcza że Łascy mieli wielu nieprzyjaciół. Już też przed końcem r. 1540, w listopadzie, kapituła krakowska oddała komu innemu kanonią „wakującą wskutek małżeństwa Jana Łaskiego,“ a w kilka dni późniéj stało się to samo z probostwem gnieźnieńskiém; zapewne i gdzieindziéj podobnie postąpiono z innemi jego beneficyami (1). Dla rodziny Łaskich, dla wszystkich krewnych, był to i wstyd i klęska. Nie tracono jednak jeszcze nadziei, że się zbłąkanego uda krajowi i kościołowi przywrócić. Starszy brat, Jarosław, wracając chory z ostatniéj swéj do Stambułu legacyi, wzywał go do siebie do Kezmarku. Jan pośpieszył niezwłocznie, tajemnie przejechał przez Kraków. I oto w parę tygodni po śmierci Jarosława, 6 lutego 1542 r. stawił się Jan Łaski przed Arcybiskupem gnieźnieńskim i zarazem biskupem krakowskim Gamratem i w jego ręce, w obecności, prócz innych świadków, biskupa chełmskiego (późniejszego prymasa także) Dzierzgowskiego, złożył uroczyste wyznanie wiary. Zeznawał w niém, że czytał wiele pism takich ludzi, którzy od kościoła rzymskiego odpadli, ale oświadczał zarazem, że nigdy nie przyjął żadnego dogmatu, o którymby wiedział, iż się kościołowi rzymsko-katolickiemu sprzeciwia. „A jeśli—brzmią daléj słowa własnoręcznie przez Jana Łaskiego napisanéj i podpisanéj formuły — bezwiednie przypadkiem gdziekolwiek popadłem w jaki błąd, to teraz takowego zupełnie i wyraźnie się wyrzekam i wyznaję szczerze, iż nie chcę się trzymać żadnych sekt ani doktryn... owszem to tylko chcę wyznawać, co przyjmuje i aprobuje święty kościół rzymski katolicki i apostolski, a jego stolicy świętéj tudzież przełożonym moim i biskupom dopóki życia będę posłuszny we wszystkiém co dozwolone i uczciwe. To przysięgam, tak mi Panie Boże dopomóż i święta jego ewangelia.“

---

(1) Wyraźnego jednak odsądzenia przez Gamrata od beneficyów nie było, jak to X. Korytkowski p. 507 powiada. Sam przecież zaraz potém (p. 508) mówi, że w Aktach Kapit. Gnieźnień. znajduje się tylko krótka wzmianka o zawakowaniu probostwa propter contractum matrimonium Łaskiego, a w tych samych słowach zapisano i w aktach krakow. Widocznie przez wzgląd na rodzinę wybrano najdelikatniejszą formę pozbawienia Ł. jego prebend.

Natychmiast, tegoż samego dnia, uznał go Gamrat zdolnym do posiadania wszelkich beneficyów duchownych, a do tych wszystkich, które dawniéj posiadał, go przywrócił; w cztery tygodnie zaś późniéj, 3 marca, kapituła krakowska wyraźnie go napowrót jako kanonika do swego grona przyjęła. Wtedy też stawał Jan Łaski w pośrodku zgromadzonéj na sesyą kapituły; najprzód wspomniał o pogłoskach, które się zaczęły rozchodzić, kiedy tymczasem do Kezmarku się udał (zapewne pojechał tam na pogrzeb bratowéj zmarłéj — jak już wiemy—wnet po mężu) jakoby oddalił się z kraju z zamiarem niewrócenia i jakoby wszystko tu porzucał; zaprzeczając pogłoskom owym, uroczyście oświadczał, że przy wyznaniu wiary złożoném prymasowi chce „wieczyście stać i wytrwać, ani na włos od niego nie odstąpić." A czynił to dlatego, żeby nie podać się w nowe podejrzenia, gdy do Niemiec pojedzie; dlatego tłómaczył, jakie to powody go do téj podróży zmuszają: interesa sierot po bracie (Jarosław umarł będąc w służbie króla Rzymskiego), potrzeba sprowadzenia swoich rzeczy, które na obczyźnie zostawił. Ale oznajmiał, że zaraz gdy się z tém wszystkiém załatwi, powróci niezwłocznie i odtąd stale będzie w ojczyznie przebywał, „chyba gdyby znowu nowemi krzywdami, nowemi gwałtami, nowemi zniesławieniami przez ten czas, zanim wróci, był uciskany." Upraszał kapitułę, żeby go krzywdzić nie dozwoliła (1).

Gdy czytamy to wszystko, najprzód list do Górki a potém przysięgę Jana Łaskiego, ze zdziwieniem zapytać się musimy, cóż to się tak zmieniło w ciągu 4-ch miesięcy? Tenże to sam człowiek w końcu września zaznaczał z takim naciskiém, że pierwszy wśród Polaków znosi podobne jak Chrystus prześladowanie dla słowa Bożego, a w początku lutego już się tegoż „słowa Bożego" wyrzekał i pod wszystkie potępiane „ustawy ludzkie" poddawał? Więc zaparł się swoich przekonań religijnych dla odzyskania beneficyów, dla ich dochodów? on, który list do Górki podpisał pokornie niby ale z wyraźną chlubą: „Jan Łaski, niegdy wieloma tytułami znakomity, teraz nagi nagiego Jezusa Chrystusa ukrzyżowanego sługa."

---

(1) Hosii Epp. I, App. 9; przysięgę podał już Kuyper II, 547, z ową błędną datą 1526; że ją Łaski złożył 6 lutego 1542 i tegoż dnia został restytuowany, okazuje się z plenipotencyi wtedy wystawionéj przez Ł. w obecności prymasa 4 przyjaciołom, mającym odzyskać jego beneficya (w Aktach Kapit. Krak., Libri archivi IV, 252). Pomiędzy pełnomocnikami wymieniony tu *Andrzéj Frycz*, *proboszcz brzeziński*; ta wiadomość o probostwie Frycza jest nieznanym podobno przyczynkiem do wiadomości naszych o życiu sławnego publicysty.

Byłoby niesprawiedliwością, zdaje mi się, względem Łaskiego, gdybyśmy w taki sposób chcieli postępek jego pojmować. Nie ma w jego wyznaniu wiary żadnego objawu skruchy czy żalu, nie przyznaje się nawet do żadnéj winy, wyrzeka się tylko sekt i dogmatów nauce kościoła rzymskiego przeciwnych, których — jak twierdzi — nigdy świadomie nie przyjmował. O małżeństwie jego nie ma tu żadnéj wzmianki (bezżeństwo księży, jak wiadomo, nigdy nie było i nie jest rzeczą dogmatu ani nauki kościelnéj), zkąd inąd wiemy, że go się nie zapierał (1); w słowach zaś jego przysięgi, że będzie posłuszny biskupom „we wszystkiem co dozwolone i uczciwe“ (in omnibus licitis et honestis), kryje się—mojém zdaniem—niejakie na korzyść jego małżeństwa zastrzeżenie.

Nie było w tém więc żadnego fałszu ani żadnego odstępstwa; taką przysięgę mógł wykonać Jan Łaski, którego prócz małżeństwa nic jeszcze wyraźnie i otwarcie od kościoła rzymskiego nie dzieliło; tylko składał ją nie Jan Łaski apostoł, choćby wyznawca protestantyzmu, ale Jan Łaski dyplomata politykujący, wdający się na czas w kompromisy, układy, przemilczenia, żeby dla swéj ambicyi reformatora kościoła zyskać w przyszłości tém rozleglejsze pole działania.

Dziwniejsza, że na takiéj przysiędze poprzestano. Ale w téj chwili politykowanie z protestantami było na porządku dziennym w sąsiednich Niemczech. Świeżo właśnie 1541 r. odbywały się tam owe „rozmowy religijne“ w Wormacyi, w Ratyzbonie. Za cenę uznania przez protestantów zwierzchności papieskiéj, juryzdykcyi duchownéj, ofiarowywano im znaczne ustępstwa. Artykuły, na których podstawie odbywała się rozmowa ratyzbońska, które jako taką podstawę przyjął wyraźnie legat papieski kardynał Contareni, dopuszczały wyraźnie, prócz innych, małżeństwo księży. Układy jak wiadomo nie sprowadziły porozumienia, ale jeszcze wierzono w jego możebność. Cokolwiekby zaś uznano za dopuszczalne w Niemczech, to byłoby niezwłocznie i w Polsce znalazło zastosowanie. Ztąd poszło, że Gamrat nie stawiał Janowi Łaskiemu warunków nazbyt ciężkich, nie żądał od niego nic takiego, czegoby nie mógł przyjąć i zaprzysiądz. Byli przecież i wśród biskupów polskich ludzie do reform w kościelnych urządzeniach skłonni; przynajmniéj Łaski pisząc swój list do Górki, biskupa poznańskiego, nie przypuszcza, aby on, Górka, miał odmianę „rodzaju życia“ Łaskiego (t. j. jego małżeństwo) potępiać.

---

(1) Hosii Epp. I, 100.

Nie ma téż najmniejszéj wątpliwości, kto przywiódł do skutku kompromis między biskupami polskimi a Janem Łaskim. „Miałem brata starszego — pisze on w lat parę potém (Kuyper II, 587—8) — człowieka pobożnego, który mnie kochał najmocniéj. Ten gdy się dowiedział, żem zawarł małżeństwo, nie chciał, dopóki żył, żebym przystał do kogokolwiek, bo się spodziewał, że mnie jeszcze moi powołają i że moim będę mógł służyć. Po jego śmierci ofiarowałem moim pracę swoję.“ Możemy się łatwo domyślić, w jaki sposób Jarosław Łaski wpływał na brata. Wskazywał na niemieckie rozmowy religijne, na możliwe pojednanie protestantów z kościołem katolickim za cenę reform w całym kościele. Wtedy, gdy do reformy przyjdzie powszechnéj, tém wyżéj będzie ceniony, im kto dawniéj wołał reformy, im wcześniéj sam dał jéj przykład. A choćby nie przyszło teraz do pojednania i reformy, to długoż na nią potrzeba w Polsce czekać? długoż pożyje zgrzybiały starzec na tronie? nie zasiędzież po nim ten syn młodociany, który tak wielce pragnie reformy w kościele, że to aż w Rzymie niepokój już wywołało? W jednym jak w drugim razie rola naczelna Jana Łaskiego nie może minąć; jako dostojny biskup, zapewne jako stryja następca, będzie mógł wtedy wszędzie w Polsce reformę przeprowadzić. Do osiągnięcia celu nie potrzeba przecież niczego, coby sumienie jego potępiało; nie potrzebuje się wypierać małżeństwa, tylko z ogłoszeniem jego publiczném czekać do czasu, tylko zatwierdzić swą łączność z kościołem katolickim, tylko się wyrzec sekt, z których do żadnéj przecież jeszcze nie przystąpił. Pokazywał téż pewno na swój przykład, jak niestałą i niepewną bywa najświetniejsza na pozór karyera, kiedy się zerwie z własnym krajem, z przyrodzoném w nim stanowiskiem, kiedy się szuka losu na obczyznie; straszył brata tą nędzą po wygnaniu go z beneficyów duchownych, któréj obawa już przedtem Jana Łaskiego niepokoiła, któréj uniknąć po jego, Jarosława, śmierci niedalekiéj jeszcze mniéj będzie miał sposobu.

Tak niewątpliwie Jarosław Łaski budząc i drażniąc ambicyę brata w tém, na co była najbardziéj czułą, z drugiéj znów strony zwalczając jego wątpliwości i skrupuły nagiął go do swoich i całéj rodziny zamiarów. Żeby mu pojednanie z kościołem ułatwić, udał się chociaż chory do Krakowa, pogodził się sam z Gamratem, odkrył mu ważne tajemnice i tém go przyjaźnie i dla Jana Łaskiego usposobił. A Jan, pod świeżem wrażeniem zgonu ukochanego brata, spełnił jego wolę ostatnią i — mówiąc własnemi Jana Łaskiego słowami — ofiarował swoim swą pracę t. j. złożył przed Gamratem swoje wyznanie wiary.

Nie czynił tego lekkiém sercem, czuł owszem w duszy niepokój, pojmował, że w téj chwili nie jest bohaterem ani męczennikiem swoich przekonań. Ztąd owo zastrzeżenie, że nie powróci do Polski, jeśli go znów jak przedtém będą zniesławiać podczas nieobecności. Ztąd też i rychłe jego otrzeźwienie.

Ledwo wyjechał z Polski, prysnął czar, pod którego władzą dotąd zostawał. W cichém schronieniu w Emden we Fryzyi, dokąd wracał, przy téj żonie, któréj się nie zaparł, lecz któréj się miał wyrzec przynajmniéj do czasu — w Polsce nieścierpianoby wtedy żonatego prałata—zrozumiał że to co uczynił, było—nie zdradą, nie odstępstwem, ale chwilą słabości, może złudzenia. Zaniepokojony w sumieniu, wyraźnie starał się nadrabiać fantazyą i wytłómaczyć sobie i innym, że to tylko było komiczne. „Będziesz się śmiał, jeśli usłyszysz, com robił w ojczyźnie z naszymi biskupami" — pisze już w 2 miesiące po przysiędze krakowskiéj do przyjaciela, który jeszcze jako zakonnik przebywał w klasztorze, a którego on odtąd nieustannie i coraz mocniéj nagli, żeby zrzucił habit i sam się żenił. Bo teraz skończyły się dla Jana Łaskiego wszystkie wahania i wątpliwości, skończył się w nim ów długi, mozolny i powolny proces wewnętrznego rozwoju. Pod wpływem przejść ostatnich, przez naturalną po nich reakcyą, skrystalizowały się wreszcie jego przekonania religijne. Teraz czuje się już zupełnym protestantem, pewnym swéj drogi, przeciwnym wszelkim ustępstwom i ociąganiom się, chcącym pracować dla chwały „słowa Bożego," gdzie mu dane będzie do tego pole. Teraz poczyna się czas działania Jana Łaskiego.

Pragnął Łaski działać w pierwszym rzędzie we własnym kraju, ale tylko jako apostoł protestantyzmu ofiarował usługi swoje królowi Zygmuntowi. Zrzekał się dobrowolnie swoich godności kościelnych, na które go niedawno Gamrat restytuował; donosząc krewnym i przyjaciołom w Polsce, że przybędzie tam, jeśli go król „dla służby ewangelii" powoła, równocześnie obejmował we Fryzyi wschodniéj jako superintendent kierunek organizującego się dopiero tam po protestancku kościoła, do czego podobno już poprzednio go zapraszano. Krewni Łaskiego, pamiętni jego wyznania wiary w Krakowie przed Gamratem, nie mogli odrazu go teraz zrozumieć; obiecywali mu, że wrychle może się dostatniego w Polsce biskupstwa doczekać, byleby tylko powracał; wyjednali nawet u króla, że go wezwał umyślnym listem, aby przyjeżdżał objąć swoje dotychczasowe beneficya. Musiał więc Łaski w odpowiedzi wytłómaczyć się wyraźniéj i zrozumieléj, niedwuznacznie; ale też wskutek tego nastąpiło zerwanie z nim rodziny. „Moi w ojczyznie — pisze niebawem—

już mi wypowiedzieli wszelką przyjaźń i obcowanie, tak, iż niczego już się ztamtąd spodziewać nie mogę.“ Biskupi zaś polscy zgromadzeni na synod, uznali go formalnie kacerzem (1). To mu stanowczo powrót do kraju zamykało, przynajmniéj na tak długo, dopókiby panował Zygmunt Stary, prawowierny i biskupom uległy.

---

(1) Kuyper II, 588, 575. Gdy późniéj za Zygmunta Augusta Łaski do Polski powracał, biskupi polscy starali się go niedopuścić do króla, ponieważ jest maximus hereticus ac talis hic olim pronuntiatus esset, na co król im odrzekł: verum quidem est, ipsum olim a vobis in vestris synodis hereticum fuisse pronuntiatum i t. d. Wobec tych słów listu Utenhova (towarzysza Łaskiego) do Kalwina (Calvini Opp. XVI, 2599 w Corp. Reform.) nie można wątpić o samym fakcie; stało się to zapewne na synodzie r. 1544. Z beneficyów zaś swoich rezygnował J. Łaski w marcu 1543 r. (Hosii Epp. I App. 9, nota.

Wincenty Zakrzewski.

OKRUSZYNY ROMANTYZMU.

Souvenirs littéraires par Maxime Du Camp, de l'Academie Française. T. I. 1882.

Wspomnienia czy pamiętniki o tyle tylko przedstawiają szerszy interes o ile piszący je miał na celu prawdę nie zaś artystyczno-literacki efekt swojego dzieła. Maksym Du Camp jest literatem i to literatem, któremu zawsze zbywało na szczerości. Nic dziwnego zatém, że jego *Wspomnienia literackie*—pomimo że odnoszą się do najciekawszéj epoki politycznych, socyalnych i literackich walk — nie zawierają w sobie tego, co zawierać-by powinny i mogły. Autor ani na chwilę nie zapomina, że jest członkiem Akademii, któréj podwoje otworzyło mu dzieło sumiennéj kompilacyi: *Paris, ses organes, ses fonctions et sa vie*, że przemawia do publiczności, która lubuje się w formach pięknych, i nareszcie, że bądź co bądź sądzi ludzi, którzy nauką, talentem i sławą o całe niebo go przewyższają. Ztąd ciągłe miarkowanie się w sądach, ciągła wstrzemięźliwość w przytaczaniu szczegółów, któreby mogły obrazić żyjących a narazić piszącego. Jest-to zresztą zwyczajny niedostatek wszystkich wspomnień, wszystkich pamiętników i dzienników wydanych za życia autorów, którym tysiące względów i okoliczności zamyka usta na prawdę, na treść, a otwiera na łatwe efekty. Maksym Du Camp, jako literat, starał się przytém zarówno o nagromadzenie materyału jak i o obrobienie go artystyczne. To zatém, co mogłoby w jakikolwiek bądź sposób zniszczyć literacką piękność jego dzieła, ostrą nutą nagiéj prawdy zakłócić spokój i przyjemną potoczystość jego stylu, ze *Wspomnień* starannie zostało usuniętém, tembardziéj i tém chętniéj, że autor należy do tego właśnie rzędu umysłów i talentów, które podobają sobie tylko w *juste milieu* sądów i wyrażeń. Pod jego piórem krajobrazy Bretanii równie są piękne i dla oka przyjemne jak i krajobrazy Afryki lub Azyi mniejszéj, a uwagi nad politycznym, socyalnym i umysłowym stanem Francyi przy zmianie

imion własnych francuskich na arabskie lub greckie z łatwością zastosować-by się dały do Arabii lub Grecyi.

Pomimo to, dzieło jego ma swoje znaczenie, ponieważ obejmuje najciekawszą i najpłodniejszą w wypadki epokę otwierającą się około 1830 roku a zamykającą dopiero z dniem dzisiejszym. Autor „od zapału dla średnich wieków aż do pojawienia się naturalizmu, widział wiele form sztuki i literatury; żadna nie była mu obojętną i może o wszystkich mówić bez uprzedzenia, ponieważ nigdy nie przystawał na przewagę jednéj nad drugą. W walce literackiéj, jakiéj był obecnym, brał tylko udział jako partyzant *à l'aventure*, stosownie do temperamentu. Nie rozumiejąc wyłączności w rzeczach sztuki, uwielbia zarówno Rafaela jak i Tycyana, oklaskuje, nie analizując wrażenia, tak dobrze Rossiniego jak i Meyerbera." Rzecz prosta, że przy takim temperamencie, przy takiém wycofaniu się z szeregów walki za jakąkolwiekbądź ideę, jedną, niepodzielną, a tryumfującą nad innemi, autorowi „nietrudno być sprawiedliwym w swych sądach," ponieważ, właściwie mówiąc, nie sądzi ani usprawiedliwia, ale tylko nagromadza wrażenia, jeżeli je kiedykolwiek odebrał i notuje w takiéj formie, któraby go nie skompromitowała tak w jednym jak i w drugim obozie. Że jednak autor „mówi tylko o umarłych i to o umarłych których znał osobiście," że przed jego oczami odgrywały się dramaty polityczne i społeczne, które na losy ludzkości wpłynęły bezsprzecznie, i że nareszcie tych ludzi i te dramaty wywołuje z grobu z prawdziwie artystycznym wdziękiem, a „bez pretensyi do stawiania gmachu, kiedy może przynieść tylko kamień, kamień skromny i osobistego tylko znaczenia, do pomnika jaki potomność późniéj dopiero im zbuduje"— przeto dzieło jego, tak ubogie nawet w jakieś szersze i śmielsze sądy, tak ograniczone do ram szczegółów drobnych, powszednich i umyślnie pozbawionych wszelkiéj krzykliwszéj barwy, wszelkiego drażliwego elementu z życia, czyta się z zajęciem i albo to co wielkie przywodzi jeszcze raz na pamięć albo je téż wystawia w nowém oświetleniu. Jakkolwiek autor starał się nie wychodzić po za *Wspomnienia* czysto literackie to jest takie, w których przeważną rolę grają literaci i literatura, artyści i sztuka, i jakkolwiek nie starał się nawet o usprawiedliwienie charakteru sztuki i literatury przez polityczno-społeczny charakter epoki, to jednak książka jego, jak zresztą inaczéj być nie mogło, daje nam w zarysie, w formie epizodycznéj wprawdzie ale niezmiernie żywéj, całkowity niemal obraz tych krwawych wypadków walki, które wydały literaturę i sztukę francuską pomimowolnie i jak gdyby naprzekór opatrznościowym kierownikom społeczeństwa.

I.

Opowiadanie rozpoczyna się od wspomnienia o *łańcuchu.*

„Ludzie bez krawata, w wełnianych szlafmycach, odziani w kurtki i spodnie szarego koloru, szli po dwu liniach równoległych, przywiązani łańcuchem wychodzącym od ich szyj do długiego łańcucha, który ich wiązał razem, jak pacierzowa ość ryby wiąże pomiędzy sobą ości poboczne i z nich tworzy całość. Łańcuch w istocie był całością. Z istot jakie łączył robił istotę zbiorową, wieloraką lecz jedną, która mogła mieć tylko inicyatywę *ensemble'u*, a któréj inicyatywa indywidualna była materyalnie, mechanicznie wzbronioną. Straszny to był widok. Zewnątrz linii galerników, którzy wlokąc nogi kroczyli zwolna, szło kilku ludzi swobodnie. Ubrani byli w mundur jasno-niebieski z żółtemi wypustkami, i w czapki policyantów z żółtemi gałkami, trzymając w ręku pałki, które zdawały się być ich bronią ulubioną. Za kilkoma z tych ludzi szły wielkie psy buldogi. Galernicy, przechodząc koło naszego powozu, śmieli się głośno; jeden z nich zwrócił się do mojéj matki z jakimś niewczesnym żartem. Strażnik podniósłszy pałkę, przybiegł i bił po plecach tego nieszczęśliwca, który krzyczał z bólu, zdawało się, że łańcuch się zrywa; ludzie przyspieszyli kroku, a żelazo odezwało się ze szczękiem. Nasze matki, zdjęte litością, rzuciły na drogę po garści drobnych pieniędzy. Galernicy porwali się do zbierania ich, ciągnąc jedni drugich, upadając, oplątując się łańcuchami. Strażnicy więzienni wpadli na nich z pałkami, krzycząc: „Do szeregu! Do szeregu!“ Jeden z żandarmów podszedł i zawołał: „Nie bijcie tak mocno!“ Potém grzecznie, z ręką u kapelusza rzekł do pani Cormenin: „Nie wolno nic dawać.“ Galernicy uszykowali się w szeregi i orszak oddalił się wśród tumanów kurzu. Kiedy *łańcuch* dostał się do pierwszych domów *Villeneuve-Saint-Georges*, możnaby powiedzieć że trwoga weszła do wioski. Podpierano okiennice i zamykano sklepy; kobiéty uciekały z dziećmi, mężczyzni opierali się plecami o mury z pięściami zamkniętemi, jak gdyby gotując się do obrony. Kiedyśmy przyjechali do domu służba była na nogach: za kratami, w przedsionku u wszystkich wejść, stali ludzie z bronią myśliwską. Przez całą tę noc w *Villeneuve-Saint-Georges* czuwano.

Tak-to w 1827 roku za panowania arcy-chrześciańskiego króla, więźniowie szli na galery. Trzeba było czekać dopiero rozporządzenia królewskiego z 9 grudnia 1839 roku, aby ustała ta podróż demoralizująca, która trwała od trzydziestu do czterdziestu dni. *Łańcuch* zastąpiony został przez wozy celkowe. Dziś na każdéj linii kolei żelaznéj zarząd więzień posiada wagony urządzone do przewo-

żenia zbrodniarzy. Lecz ile to czasu potrzeba było aby uznać, że społeczeństwo się broni nie zaś mści! Że jeżeli ma prawo karania, to ma także obowiązek poprawiania i że wszelkie bezużyteczne zwiększenie kary staje się okrucieństwem, które osłabia uszanowanie należne prawu. Nie doszliśmy jeszcze do tego abyśmy mogli ogłaszać, że więzienie nie może i nie powinno być czémś innem, jak tylko szpitalem moralnym; lecz to przyjdzie może, gdyż w naszym kraju (francuskim) nie należy w nic tracić nadziei!“

Od więzienia do szkoły droga niedaleka. Szkoda tylko że autor, tak jasno widząc wadliwy system nauczania we Francyi, ograniczył się na charakterystyce życia w szkole z zupełnem pominięciem programu i tym sposobem w rozdziale *Le Collège* nie doszedł do tego świetnego uogólnienia kwestyi, jakiém już przedtém oświecił ponurą instytucyą więzień.

Nie będąc marzycielem, Maksym Du Camp wbrew poetom, wbrew westchnieniom Alfreda Musset'a „za owemi szczęśliwemi czasy w kolegium,“ z téj epoki swojego życia „ma tylko wspomnienia obmierzłe.

Czyż to może praca była mi wstrętną do tego stopnia? — Bynajmniéj; miałem ochotę do nauki i uczenie się było zawsze dla mnie przyjemnością najżywszą; nie byłem nygusem, jak to mówią nasi nauczyciele. Byłem buntownikiem. Nie mogłem znosić karności i nie mogłem do niéj nagiąć mojéj natury. Reguła brutalna i jednakowa dla pięciuset charakterów różnych, smutek podwórz otoczonych wysokiemi murami, grubiaństwo, jeżeli nie co gorszego jeszcze, lokai, którzy nas obsługiwali, brud oddziałów i klas, obrzydliwy widok miejsc gdzie nie można było nie chodzić, smród w refektarzach, surowość drobiazgowa, jeżeli nie zawistna guwernerów, szyderstwo dzieci, które starają się kpić z wszelkich uczuć, brak swobody, przygnębienie indywidualności, które powstają przeciwko systematycznemu panowaniu, zamieniły dla mnie kolegium w rodzaj piekła, w którém ciągle walczyłem i w którém ciągle byłem zwyciężany. Mówią, że kolegium kształci charaktery; nie spostrzegłem tego, ale za to widziałem, że się tam zostaje swarliwym, kłamcą i ukrytym. W tym małym świecie wady rozwijają się drogą zarazy lub sympatyi z szybkością nadzwyczajną.... Zdaje mi się nawet że zmysł buntu, jaki podzielałem z wieloma kolegami, w niczém nie szkodzi przymiotom. A mówię to do rodziców, którzy się martwią kiedy ich dzieci są karane, pokazując im w przyszłości szafot. Mogę tu zacytować trzech uczniów z kolegium *Louis-le-Grand*, którzy zostali wydaleni za niekarność i złe prowadzenie się. Pierwszy, którego nazywano sybarytą, był jednym z bohaterów, jednym z naj-

lepiéj zasłużonych w szarży kirasyerów pod Reichshoffen, a dziś jednym z najlepszych generałów jazdy. To Cezar Corot „mój stary wspólnik.“ Drugi jest uczonym, który zaszczyt przynosi Francyi. Kiedy mówi, Akademija nauk milczy; przywodzi pracom w Obserwatoryum: to kontradmirał Mouchez. Trzeci miał skromniejsze przeznaczenie, lecz zdziwiłbym bardzo moich dawnych nauczycieli, gdybym im powiedział, że jest on (Maksym Du Camp) w Akademii francuskiéj.

Czyżby to miało znaczyć, że dochodzi się do czegoś tylko wtenczas, kiedy się było złym uczniem? Broń Boże, abym miał głosić podobną herezyą! lecz można utrzymywać, że wszelka indywidualność ruchliwa, hałaśliwa, instynktownie powstająca przeciwko nadużyciom władzy i otrząsająca się z pod jarzma śmiesznéj karności, daje dowód siły oporu, która późniéj znajdzie swoje zastosowanie w walkach życia i w wytrwałości. I dodam, że ktokolwiekby nie umiał lub nie mógł sam uzupełnić swojego wykształcenia, będzie zawsze człowiekiem niższym, przeznaczonym do egzystencyi miernéj....

Koza w kolegium jest prawdziwém więzieniem. Celki w *Mazas*, w więzieniu *de la Santé* i *de la Conciergerie*, które są widne i ciepłe, w porównaniu z kozą w kolegium *Louis-le-Grand* możnaby nazwać buduarami. Rewolucye otwierające bramy więzień nie otwierają jednak kozy. I ja tam byłem, samotny, zamknięty jak złoczyńca, zmuszony do skopiowania tysiąca pięciuset lub tysiąca ośmiuset wierszy łacińskich. Nauczyciele, którzy wymierzają tak ogłupiające kary, ani przypuszczają nawet, że w dzieciach budzą wstręt do poematów zamiast uwielbienia. Gustaw Flaubert w 1846 roku pisał, że „wczoraj po południu przeczytał całą pieśń z *Enejdy*. I powiedziéć, że kopiował ją sto razy za karę. Cóż to za hańba! co za zniewaga! co za nędza! Pluł na to kiedyś ze wstrętu, a to piękne, piękne!“ Koza miała okno na północ; w zimie więc było tam tak zimno, że nie można było pisać. Wszystko to, mógłby ktoś powiedziéć, należy już do historyi starożytnéj; jakiegoż bo to postępu nie zrobiono od lat pięćdziesięciu! Złagodzenie obyczajów, ulepszenia codzień wprowadzane do szkoły, z pewnością oświeciły nauczycieli; potępili oni, porzucili na zawsze te zamknięcia barbarzyńskie w miejscu smrodliwém, szkodliwém, zgubném dla inteligencyi i dla zdrowia dzieci. Trzeba temu jednak zaprzeczyć! Opatrzony listem ministeryalnym, udałem się do kolegium *Louis-de-Grand* 8-go lutego 1873 r., i to udałem się się prosto do kóz. Znalazłem je takiemi jakiemi je znałem kiedyś. Nic się tam nie zmieniło i zmienić nie mogło, gdyż głupota ludzka jest niewzruszoną. Nawet dziś, jak o tém mogłem

się przekonać 16 maja 1881 roku, areszty w *Louis-le-Grand* pozostały tém czém były za moich czasów," tak samo jak i program nauk, o którym jednak autor w swojém dziele nie wspomina.

Zanim przejdziemy do wrażeń z literatury i sztuki, czyli do prawdziwych *wspomnień literackich*, przypatrzmy się choć pobieżnie epoce, która zrodziła romantyzm. „W téj epoce pewien człowiek poruszał tłumy we Francyi i stał się rodzajem popularnego bóstwa, którego nie uwielbiać uważało się za zbrodnię. Był-to Béranger. Ponieważ wtedy serca roznamiętniały się do oswobodzenia Grecyi nazywano go nowoczesnym Tyrteuszem. Żaden poeta prawdopodobnie nie przyszedł bardziéj w porę, żaden nie umiał zręczniéj wyzyskać faktu lub wypadku, który na chwilę poruszał umysły, żaden nie umiał go lepiéj uogólnić, ująć w formę łatwą do zapamiętania, wrazić go w pamięć rytmem przejętym z jakiejś znanéj aryi. Gdyby zamiast pisania piosnek, Béranger był pisał poemata, imię jego byłoby zostało nieznaném. Można powiedziéć, że pomiędzy jego kupletami znajdują się często wiersze wybornie opracowane (haute facture); lecz ich jest mało i nie są wstanie wywołać zachwytu dla jego dzieła wśród *fond bourgeois*, który mu zapewnił powodzenie. Był on człowiekiem swojego i tylko swojego czasu; spostrzeżono to po jego śmierci: mierność jego śpiewek pośmiertnych zadziwiła najzapaleńszych nawet wielbicieli. Lecz w owym czasie nie wolno było krytykować Bérangera; widziano i głoszono w nim geniusza wyjątkowego, a o jego piosnkach mówiono, że *To są ody!* Przedstawiał on dobrze zresztą usposobienie przyganiające paryżanina, który sobie drwi ze wszystkiego. A przytém cześć oddawał sławie i ożywiał żale i nadzieje, jakie drżały w sercach młodych jeszcze oficerów, służalców i wielbicieli Cesarstwa, których Restauracya wyłączyła ze służby wojskowéj. Po za tém chętnie podkpiwał sobie z religii i Bogu nieco zazdrosnemu, jakiego chciano ożywić, przeciwstawiał Boga ludzi dobrodusznych, który był najmierniejszą koncepcyę filozoficzną jaką sobie tylko wyobrazić można. Béranger celował w ucieleśnianiu przelotnych wrażeń tłumu; każdą aluzyą jego kupletów podchwytywano z pośpiechem. Czy to sławił cesarstwo czy też wywoływał wolność, był zawsze rozumiany, zawsze chwalonym przez młodych ludzi swojéj epoki, a nawet przez tych, którzy szczerze przywiązani do rodziny Burbonów, spodziewali się jednak, że rząd parlamentarny sprowadzi ulepszenia do jakich ludy mają prawo.

„Było to pod koniec 1829 roku. Moi stryjowie sprowadzili na obiad jednego ze swoich przyjaciół France'a de Caen, syna generała de Caen, któremu Napoleon I kazał sekretnie przygotować zbrojne wylądowanie w Indyach angielskich. W czasie obiadu rozmawiano

o Bérangerze, właśnie niedawno skazanym na kilka miesięcy więzienia i 10,000 franków kary za napaść „na tron i ołtarz.“ France de Caen wyjął tajemniczo papier z kieszeni i rzekł: „Mam coś nowego.“ Wskazując na służących, dano mu znak mrugnięciem oka aby milczał. Po obiedzie „kiedy ludzie jedli i nie było żadnéj obawy,“ zamknięto drzwi na klucz. France de Caen powiedział wtedy że posiada dwie piosnki Bérangera w rękopisie, nieznane jeszcze przez nikogo. Było to szczęściem je mieć, tak samo jak było niebezpieczném je nosić. France śpiewał; moi wujowie w końcowéj zwrotce wtórowali mu chórem. Jedna piosnka nazywała się: *Stary kapral*, a druga: *14 Lipca*. Przy ostatnim kuplecie popchnięto mnie gwałtownie. „Na kolana! mały; to pieśń święta!“ Głos France'a drżał; wznoszono ręce do nieba, jak gdyby ta biédna poezya dzwoniła godzinę oswobodzenia. Upijano się rytmem. „Tak nie może trwać dłużéj — wołał France — trzeba sprowadzić króla rzymskiego (Roi de Rome).“ Każdy krzyknął z oburzeniem, gdyż z wyjątkiem France'a de Caen, który był partyzantem rządu cesarskiego, moja matka, babka i obaj wujowie z tradycyi rodzinnéj i przekonania byli legitymistami. „To dziecko—zawołała moja babka—będzie miało białe włosy i umrze pierwéj stuletnim starcem, zanim zobaczy nową rewolucyą! Niestety! to dziecko nie ma jeszcze stu lat, a jednak nie może już doliczyć się tych rewolucyj, których było świadkiem.“

Mówiono o Rewolucyi lipcowéj, że nie było nigdy bardziéj prawéj jak ta; przystaję na to, lecz trzeba przyznać, że nie było nigdy bardziéj niepolitycznéj. Rzuciła ona Francyą na drogę awantur, na któréj można, co prawda, znaleść zbawienie, ale jeszcze łatwiéj zgubę. Z upadkiem ministeryum Polignac'a i przy upokorzeniu się starego króla, Francya mogłaby była spokojnie kontynuować przyuczanie się do swobód, tak trudne, tak niebezpieczne w naszym kraju i bylibyśmy bezwątpienia doszli już dziś do regularnego działania w systemie konstytucyjnym. Zamiast tego jednak wahaliśmy się pomiędzy despotyzmem i swawolą, przenosząc się po kilka razy gwałtownie z jednego bieguna polityki na drugi... Rewolucya lipcowa miała przyczynę determinującą bardzo dziwną a dziś nie wiele jeszcze znaną. Zamach stanu, który się nie udał w lipcu 1830 roku, był przyjęty w zasadzie przez króla, księcia Polignac i marszałka Bourmont przed wyprawą do Algieru; postanowiono, że „ordonanse“ nie będą wydane wpierwéj, zanim Barbareskowie nie zostaną pobici. W tym dopiéro wypadku marszałek Bourmont, przywołany do Paryża z częścią zwycięskiéj armii, miał wykonać operacye militarne, jakich prawdopodobny bunt ludu mógł wymagać. Nie mniej jednak przeto, pomimo wzajemnych zobowiązań nie cze-

kano powrotu marszałka i przyśpieszono rozwiązanie, którego rezultat jest wiadomym. Jedynym człowiekiem seryo w ministerium był d'Haussez, minister marynarki; nie odrzucał on „ordonansów“, które jedynie według niego mogły ocalić prerogatywy królewskie zaatakowane przez parlamentarną opozycyą; lecz pytał tylko, czy była możność narzucenia ich ludowi paryzkiemu, w razie gdyby ten odmówił posłuszeństwa. Książe Polignac odpowiedział, że jest pewnym powodzenia. Minister D'Haussez zażądał zakomunikowania mu stanu armii. Liczba garnizonu, według téj listy, wynosiła jedenaście tysięcy ludzi, od których wypadało odjąć trzy tysiące pięćset ludzi nieobecnych z powodu urlopów, choroby lub użytych przez administracyą. Pozostawało 7.500, z których trzy tysiące wzbudzało zaledwie ograniczone zaufanie. Minister d'Haussez oznajmił z krzykiem, że rzucać się na awanturę z siłami tak niewystarczającemi byłoby szaleństwem. Książę Polignac odpowiedział, że dla motywów, których nie mógł wyjawić, a które król znał, nie było mu wolno mieć wątpliwości o rezultacie przedsięwzięcia, i że postanowił działać, choćby nie było nawet jednego żołnierza w Paryżu, dodając, że jego postanowienie jest niewzruszone i ugruntowane na wypadku wyższym nad wszelkie ludzkie rozumowania. Karol X-ty potwierdzil głową, mówiąc: „To prawda!“ Słowo to było rozkazem.

Lecz cóż to był za wypadek tak nadzwyczajny, że niszczył obliczenia rozumu?

W pierwszych dniach lipca Najświętsza Panna objawiła się we śnie księciu Polignac i powiedziała mu: „Idź! twoja sprawa jest dobrą!“ Minister podzielił się z Karolem X-ym tą nadnaturalną interwencyą, i obydwa dopatrzyli się w niéj pewności powodzenia. Ten zadziwiający fakt, który możnaby uważać za fantazyą wymyśloną po zamachu przez jakiegoś przeciwnika domu Burbonów, był mi zakomunikowanym przez wielkiego mówcę, legitymistę Berryer'a. W 1846 roku sam Polignac zresztą mówił jeszcze przed śmiercią: „Wobec tego przenajświętszego objawienia wszelkie wahanie się byłoby było zbrodnią!“ Zwycięstwo za to paryzkiego ludu było zupełném i włożyło koronę na głowę Ludwika-Filipa.“

Zastąpienie jednak białéj chorągwi przez trójkolorową obudziło dawne wspomnienia i ożywiło nadzieje. Cesarz w postaci pół-boga ukazywał się w oddalonéj aureoli. Zapomniano o surowości rządu i błędach politycznych, i widziano tylko chwałę, ową chwałę olśniewającą. W salonach kobiéty ze łzami w oczach słuchały walca księcia Reichstadtzkiego. „Rodzaj spisku na rzecz Napoleona II-go był ukartowany w téj epoce. Trochę pieniędzy dostarczyła królowa Hortensya, zapewniwszy sobie współudział kilku pułkowni-

ków z armii czynnéj. Głównym agentem w Paryżu był Polak nazwiskiem Żaba. Następstwem spisku, nieostrożnie prowadzonego, było śledztwo sądowe w listopadzie 1831 r.“ Rząd patrzył na to przez szpary, rozumiejąc dobrze że wyidealizowane wspomnienia cesarstwa były dlań dogodne, ponieważ sprzeciwiały się monarchii ze starszą linią Burbonów. Rodzajem sekretnéj umowy i jak gdyby wszyscy chcieli objawiać swoje tendencye polityczne nazewnątrz, każdy człowiek wówczas strzygł sobie brodę odpowiednio do opinii do jakiéj należał. Zwolennicy rządu wprowadzonego po Rewolucyi lipcowéj, a takich było najwięcéj, nosili tylko faworyty; bonapartyści mieli wąsy i hiszpankę (l'impériale); republikanie zapuszczali całą brodę, mięszając się tym sposobem z artystami i literatami, których nazywano ogólnie *Młodą Francyą*. Legitymiści, rozpadający się na karlistów i henrykwinkwistów, mieli zarost na około twarzy. Przedmieście *Saint-Germain* dąsało się; tam nazywano króla po prostu Filipem albo najczęściéj „Panem z Palais-Royal;“ wielkie pałace były zamknięte, a arystokracya żyła na wsi. Błędem jednak byłoby mniemanie jakoby Paryż miał się nudzić: nigdy, przeciwnie, *dzwoneczki szału* nie brzmiały głośniéj. Nawet cholera z 1832 roku nie była w stanie powstrzymać wybuchów młodości. Jeżeli przedmieście *Saint-Germain* zamknęło okiennice, to za to *Chaussée-d'Antin* (bankierzy, kupcy i przemysłowcy) otworzyło podwoje, w które wpadano w takt galopki podówczas w modzie. Jak za czasów Dyrektoryatu tańczono wszędzie i urządzano koncerty publiczne pod gołem niebem. Odtąd datują koncerty: Musard, Valentino i Ogród Turecki, gdzie Jullien grał *Marsyliankę* przy strzałach z moździerzy. Była to wielka chwila balów maskowych. Na balu *des Vendanges de Bourgogne* pozwalano sobie ekscentryczności, jeżeli nie czegoś więcéj, o których matki rodzin mówiły zasłaniając sobie oczy; bal *des Variétés*, gdzie wesołość przeradzała się w orgią, przyciągał synów znakomitych rodzin—lwów Paryża. Łobuzy zarogatkowi chodzili pod rękę z paniczami. Na ostatki, w Niedzielę i Wtorek, wesołość wychodziła z zamkniętych miejsc na ulicę gdzie z frenezyą przyjemności i hałasu oddawała się szałowi. Zdawało się, że taniec ś-go Wita zawładnął ludem! Lord Seymour i La Battu zdołali nawet pozyskać sławę w tym kierunku. „Coś nadzwyczajnego, ile siły, młodości i zapału zmarnowano w pierwszych latach (1831—1835) panowania Ludwika-Filipa, kilku z tych waryatów przyszło do rozsądku i oddało nawet usługi Francyi, udając się do Algieru. W téj epoce Paryż wyglądał złowrogo. Była to godzina cholery. Wszyscy wierzyli w otrucia. Bez przyczyny widocznéj rzucano się na ludzi całkiem niewinnych, rozrywano ich i rzucano do rzeki. Wskutek niepojętéj

jakiéjś aberracyi umysłowéj Gisquet, prefekt policyi, rozesłał poufny cyrkularz do komisarzów nakazując im pilnowanie republikanów, którzy jakoby mieli zamiar rozrzucania materyi zatrutych po jatkach rzeźniczych celem szkodzenia rządowi orleańskiemu. Równocześnie z Gisquet'em, Cadet Gassicourt, mer czwartéj dzielnicy, za pomocą plakat głosił, że „trucicielami są legitymiści.“ Wierzono we wszelkie głupstwa i chwytano się wszelkich środków zaradczych. Były to dobre czasy na handlarzy flanelą i *orviétan'em*.

Kiedy jednak cholera ustała, unosząc z sobą postrach, miasto zaczęło napowrót żyć życiem gorączkowém. Młodzież była wówczas romantyczną i „średniowiekową,“ jak ją nazywał Teofil Gautier. Zabronienie przedstawień dramatu Wiktora Hugo *Le roi s'amuse* przewróciło wszystkim w głowach. Kiedy jednak „peruki“ radowały się z tego kroku, wywołanego jedynie przez zgiełk na pierwszém przedstawieniu, *Młoda Francya* protestowała zapuszczając coraz dłuższe włosy. Bunt przeciwko zwyczajom i ubiorom przyjętym był tak powszechny, że młodzież nie wiedziała już co wymyśléć byle tylko nie być podobną do *gładkiego bourgeois*. Teodozyusz Burette, profesor historyi w kolegium *Stanislas*, przychodził na lekcye w kostiumie dziwacznym: sztylpy u butów miał czerwone, spodnie skórzane, obcisłe,—kamizelkę *à la Robespiere*, frak zielony ze złotemi guzikami, podszyty atłasem, a na wierzchu togę uniwersytecką otwartą i długą. Z powodu swoich zwyczajów i stosunków Burette należał do grupy artystów dziś już sławnych, którzy żyli wówczas jakimś rodzajem nieustającego szału· Często trzydziestu lub czterdziestu młodzieńców dziwacznie ubranych, z Burette'm na czele przebiegało gęsiego przez Paryż. Burette wywijał laską a młodzież głośno i rytmicznie śpiewała: „Une, deux! Une, deux! le coléra! le coléra!“ Przybywszy na koniec mostu zatrzymywali się nagle i pytali: „Czy znacie termometr inżyniera Chevalier?“ Poczém ustawiwszy się w rząd odchodzili, rachując: „Une, deux! Une, deux! le coléra! le coléra!“

Było to hałaśliwe, niewinne i głupie, lecz bawiło próżniaków, którzy nie wiedzieli jak i czém się odznaczyć. Grupy artystów, literatów, giełdowiczów drobniejszych i urzędników z ministerium wyprawiały sobie składowe obiady i pijatyki, wyróżniając się nazwami istotnie szynkownianemi. „Jeżeli na obrazach z téj epoki znajduje się w dalszym ciągu nazwiska malarza liczba 45, znaczy to, że artysta należał do *Towarzystwa czterdziestu pięciu małych świnek*, którego prezydentem był jeden z wielkich artystów romantyzmu.“ Jaki? Maksym du Camp, nie chcąc się narazić nikomu, milczy w tym względzie. Za to wspomina o Henryku Monnier, jednocześnie znakomitym rysowniku, karykaturzyście, aktorze i literacie, który należał

do tych wycieczek, podbudzając swoich towarzyszów do głupstw kompromitujących; kiedy jednak żarty przybierały zły obrót Monnier uciekał z placu boju.

Przy placu *Saint-Germain-des-Prés* stał niezmiernie stary, żółty dom, o niezmiernéj ilości okien, który się nazywał *Childeberta*. Od czterdziestu lat mieszkali tam artyści: wpuszczano takich tylko, którzy obmyślili jakąś nową farsę. Mieszkańcy dzielnicy żegnali się przechodząc koło domu, a policya z trwogą się od niego oddalała. Wszyscy malarze rewolucyjni tam żyli: Géricault, Paweł Delaroche i Johannet zapisali swoje nazwiska na jego murach. Pewnego razu, za pomocą kotleta zwabiono do pracowni wielkiego psa żółtego od rzeźnika z przeciwka. Postanowiono przebrać go za tygrysa; wymalowano mu pręgi po bokach a pysk w centki. Przywiązano mu następnie rondel do ogona, wypuszczono go na plac *Saint-Garmain-des-Prés* w chwili właśnie, kiedy wierni wychodzili po nabożeństwie z kościoła. W każdym oknie *Childeberty* siedział artysta to udrapowany w kołdrę, to ustrojony w pióropusz, to znowu palący cygaro w wielkim trzonku od miotły, co miało przedstawiać Beduina. Na placu zgiełk był przerażający: uwierzono w prawdziwość tygrysa i każdy uciekał jeden przed drugim. Kilku *mieszczuchów* poniosło skargę. Tym razem siła została przy prawie, gdyż rzeźnik, właściciel psa, skazany został na grzywny. Jak wieść niesie, niebyło wypadku aby którykolwiek z lokatorów *Childeberty* zapłacił kiedy swoje kwartalne.

W 1840 roku Francya została zaniepokojoną. Podmuch wojny przeleciał nad Europą. Pan Thiers palił karty dyplomatyczne, Mehemet-Ali groził tronowi sułtana Mahmuda; francuski szowinizm się budził; dorzucano frazesy wojownicze do sztuk granych w teatrze, ponieważ wszelka aluzya była oklaskiwaną; w salach koncertowych orkiestry grywały arye patryotyczne; Lamartine śpiewał *Marsyliankę Pokoju*. Alfred de Musset odpowiadał Becker'owi strofami *Renu Niemieckiego*, a Wiktor Hugo wołał wielkim głosem „czy pomiędzy naszemi książkami, blizko Homera, nie ma gdzie staréj, ojcowskiéj szabli?“ Rozum Ludwika-Filipa zagasił ten ogień słomiany pierwéj, nim powstał wielki pożar. Krzyczano na zdradę, na upadek kraju, którego „chorągiew powiewała nad wszystkiemi stolicami Europy;“ lecz wkrótce przestano o tém myśléć, ponieważ cała uwaga publiczności była zwróconą na proces pani Lafarge, którego jednak autor „wspomnień“ nie rozbiera wcale.

W tymże samym czasie, kiedy książę Ludwik-Napoleon Bonaparte słuchał z cynizmem wyroku skazującego go na wieczne więzienie, nad brzegi Sekwany sprowadzono zwłoki jego stryja. Poeci wiel-

cy i mali sławili ten wypadek. Lud Paryski wychowany na retoryce, wynalazł od razu wyraz pompatyczny: „popioły“ cesarza, i wyległ na ulicę. Kiedy lud krzyczał: „Niech żyje cesarz!“ wojsko liniowe: „Niech żyje król!“ gwardya narodowa: „Precz z Guizot'em!“ w deputacyi polskiéj, generał Dembiński, niecierpliwiąc się, krzyczał: „Ale krzyczcie przecież: Niech żyje Francya!“ I tak wśród téj ogólnéj namiętności do agitacyj politycznych, potrzeba było głosu cudzoziemca aby przypomniał Francuzom, że po za Bonaparte'm, po za Orleanami, po za Guizot'em, jest Francya, z któréj oni robili i robią sobie tylko arenę dla swoich ambicyj.

II.

Tu miejsce do zacytowania pewnego szczegółu z życia znakomitego orientalisty, Amadeusza Jaubert. Nie mając jeszcze dwudziestu lat młody Jaubert pojechał z Bonaparte'm do Egiptu jako tłómacz języków wschodnich. W ciągu wyprawy nie opuszczał generała, który marzył wtedy o zawojowaniu Wschodu i ustanowieniu środka swoich cesarstw w Konstantynopolu. Dżezzar-Pasza i sir Sidney Smith zniszczyli to marzenie. Kawaler Jaubert był z nim pod Piramidami, w buncie w Kairze, w Jaffie, na górze Tabor, i nareszcie przy jego zamachu stanu w Paryżu. Pewnego dnia Maksym Du Camp spytał go: „Czem też to był Bonaparte w téj epoce?“ Kawaler Jaubert odpowiedział: „Był-to Iskender Doulkernein, był to Aleksander o dwu rogach; Aleksander legendowy taki, jakiego śpiewają poeci perscy. Był-to bóg wojny; jego pomysły przechodziły granice świata; dusił się w Egipcie, dusił się we Francyi, dusił się w Europie i byłby się dusił we wszechświecie. Pomimo zwycięztw, pomimo zaborów, patrzył ciągle w stronę Wschodu, jak gdyby tam było coś tajemniczego i niezgłębionego co go pociągało. Miał agentów, którzy mówili o nim plemionom barbarzyńskim; Druzowie uważali go za wcielenie Alego i chcieli mu się oddać; górale z kaukazu wzywali go, a cztery miliony Beduinów żyjących swobodnie, bez pana, z tamtej strony Dżebel-Hauran'u pomiędzy Jordanem i Eufratem, było gotowych do posłuszeństwa mu, gdyż oddawna już porozumiewał się z nimi niejaki Lascaris, który był jego narzędziem, jego posłem sekretnym. Byłby chciał, zgromadzając pod swoją ręką wszystkie te plemiona rozbite stanąć na ich czele, przejść przez Persyą i rzucić się na Indostan. Eh! Dlaczego by nie? Wszakże Aleksander to zrobił! Ja sam miałem poleconą sobię poufną misyą u Feth-Ali-Szacha, który był królem Persyi.“ Celem misyi był alians z „królem królów“

któryby zapewnił Francyi współdziałanie wojsk perskich w razie wojny z Rosyą.

Taka polityka i takie wojny, jakie prowadziło cesarstwo znużyły i wyczerpały siły narodów. Dzieci odziedziczyły słabowitość i pewną chorobliwą kompleksyą po ojcach: ztąd, ubóztwo krwi, przewaga nerwów; popadnięcie człowieka w smutek i melancholią. To spleen, *taedium vitae*, niechęć do życia, a teatralność w postawie, pragnienie śmierci; częstokroć coś więcéj jeszcze, bo częściowe delirium." Wyborna przegrywka do opery która się nazywa: Romantyzm.

Wiktor Hugo, podówczas (1837 r.) z punktu widzenia literatury był nieprzyjacielem publicznym. Młodzież kochała go i uwielbiała: ludzie zaś dojrzali, wychowani w dawniejszych tradycyach, uśmiechali się z politowaniem, kiedy im mówiono o nim. Była to walka bez wytchnienia. Kler nie wyklinał go dla tego tylko, że autor w *Notre-Dame de Paris* dał dowód znajomości archeologii i pokazał piękność kościołów gotyckich. Tym sposobem tylko nie kazano o nim z ambon, jak późniéj o Renan'ie i Flaubert'cie. Lecz Uniwersytet powstał cały i pokazywał go palcami, mówiąc: Co stanie się z literaturą francuzką jeżeli ten człowiek narzuci się publiczności. Nazywano go barbarzyńcem cytując przy każdéj sposobności zdanie Hipolita Rolle, krytyka z *National*: „Nie, panie Hugo, pan jesteś tylko poetą z czasów upadku jak Silius Italicus." Jakiś profesor jego *Feuilles d'Automne* nazwał „książką obrzydliwą." Potępiano w nim sztuczność wiersza, która doprowadziła do takich figlów, jak poniższy jednosylabowy wiersz Juliusza Rességuier:

Blonde
Nuit!
L'onde
Fuit!
Une
Brune
Lune,
Luit.
Elle et son page étaient sur la tour à minuit!

Do świątyni w któréj błyszczeli: Lamartine, Wiktor Hugo, Aleksander Dumas, Alfred de Vigny, Teofil Gautier i Alfred de Musset, wcisnęły się talenta pośledniejszego gatunku, zarzucając publiczność taką masą utworów, że wkrótce literatura romantyczna się przejadła. Podniosłość często wpradzie napuszoną Wiktora Hugo i ruchliwość żywotną aż do zbytku Dumas'a, zastąpiono inwencyami dziwacznemi i pomysłami nie podobnemi do przyjęcia. W powieściach nagroma-

dzono niepodobieństwo na niepodobieństwo i tak przeskakiwano z wzruszenia do wzruszenia, że czytelnik tracił ostatecznie wiarę w zdrowy rozum piszącego. „Manią i celem wszystkich René'ów i wszystkich Chattertonów naszego czasu—jak mówi Sainte-Beuve—było zostać wielkim poetą i umrzeć.“ Nigdy śmierć nie była bardziéj ulubioną. Ulrych Guttinguer opowiada że zaprowadziwszy Musset'a, wówczas dwudziestoletniego młodzieńca, do swojego majątku położonego w lesie w Trouville, zkąd rozciągał się widok na ujście Sekwany i morze aż po skały *de la Hève*, pieśniarz *Powiastek z Hiszpanii i Włoch* zawołał przedewszystkiém: „Ach! cóż za piękne miejsce do zabicia się!“

„Nie było to modą—mówi Maksym Du Camp—lecz rodzajem niemocy ogólnéj, która napełniała serca smutkiem, okrywała myśli ciemną pomroką i kazała się domyślać oswobodzenia w śmierci. Zdawałoby się że życie skuwało łańcuchami dusze, które przewidywały coś wyższego nad istność ziemską. Nie wzdychano bynajmniéj do szczęśliwości rajskich: lecz marzono o wzięciu w posiadanie nieskończoności i dręczono się jakimś nieokreślonym panteizmem, którego jednak formuła nie została nigdy znalezioną. Spirytualizm miał taką przewagę, że chciano się pozbyć wszelkiéj materyi. Artystyczne i literackie pokolenie, które mnie poprzedziło, i to do którego należałem, miało młodość pełną żałośnego smutku, smutku bez przyczyny i bez przedmiotu, smutku abstrakcyjnego a nierozłącznego od istoty lub epoki. Nie było wolno mieć duszy zrozumiałéj. Było się nieszczęsnym i przeklętym. Dzieci osiemnastoletnie powtarzały frazes z jakiejś powieści: „Mam serce zużyte jak schody w domu dziewczyny wesołości,“ a jeden z bohaterów Petrusa Borel szedł do kata oznajmiając mu, że: „Pragnąłby być zgilotynowanym!“ To nie przeszkadzało jednak śmiać się, śpiewać, robić głupstw niewinnych, ponieważ było-to także rodzajem rozpaczy; każdy wyobrażał sobie że ma uśmiech szatański. Śmieszne-to, co prawda! lecz wtenczas były uwielbienia, które unosiły od ziemi; nikt nie zazdrościł nikomu, ani cierpiał z powodu szczęścia drugiego, ani marzył o wytępieniu ogólném dla tém pewniejszego dostania się na jakieś stanowisko polityczne.“ Co najwyżéj każdy chciał być wielkim poetą i umrzeć pięknie na swoję rękę. Komu natura nie pozwoliła wylewać na papier oceanu, ten zadawalniał się kilkoma kroplami, byle pohańbić powszedniość istnienia, byle wołać o swobodę dla duszy. W albumie każdéj panny znajdował się czterowiersz sławny na cały świat:

On entre, on crie
Et c'est la vie!

On baille, on sort,
Et c'est la mort!

Lecz i wtenczas już nie brakło ludzi, którzy ostrzegali przed niebezpieczeństwami i dziecińśtwem téj manii zarówno zgubnéj jak i śmiesznéj. „Ci mistrze—mówił de Chancel do Maksyma Du Camp— nauczą cię jak się rozpuszcza myśl w słowach bezużytecznych, kiedy rzeczowniki tańcują wpośród farandoli epitetów; czytaj *Candide'a* i *Zadig'a*, czytaj La Bruyéra, czytaj Monteskiusza, i jeżeli rozumiesz po łacinie, czytaj Tacyta. Dowiedz się, mój chłopcze, że jeżeli się nie rozróżnia diamentów od kamyczków reńskich, nie jest się dobrym jubilerem.“ „Wszystkie jeremijady, gwałty i nieprawdopodobieństwa romantyzmu—mówił Jaubert nie są warte prostego dwuwiersza Sadi'ego, zatytułowanego prozaicznie *wielbłąd.*

„Tak blizko ciebie, a jednak tak daleko
„Jak wielbłąd, który niesie łagwie i mrze z pragnienia.“

„To prawdziwa poezya Wschodu, nie zaś *Orientales* Wiktora Hugo! przy czém dodał złośliwie: „Pisać poezye wschodnie nie znając Wschodu, to robić potrawkę z królika bez królika.“

Romantyzm był tak wszechwładnym że ludzie entuzyazmowali się dźwiękiem wyrazów i harmonią słów. Flaubert, dwudziestokilkoletni naówczas młodzieniec, dostawał bicia serca na widok litery *g* w nazwisku Wiktora Hugo i za nic w świecie nie chciał słyszéć o jakimś realizmie, którego późniéj stał się głową. Według jego teoryi „wyraz harmonijny jest zawsze właściwy; harmonii frazesów można poświęcić wszystko, nawet gramatykę. To co się mówi jest niczém: sposób tylko w jaki się mówi jest wszystkiém; dzieło sztuki, które stara się czegoś dowieść, już przez to samo jest żadném; piękny wiersz, który nic nie znaczy, jest wyższy nad wiersz mniéj piękny, który znaczy coś; po za formą nie ma zbawienia; cokolwiekbądź byłoby przedmiotem książki jest ona już dobrą, jeżeli można w niéj mówić pięknym językiem.“ Był-to wpływ Chateaubriand'a i Edgara Quinet, a zwłaszcza dwu ich dzieł: *René* i *Aashvérus*, które umiał na pamięć. W pierwszéj jego powieści pod tytułem *Listopad*, która jednak została się w koszu, co chwila napotykają się frazesy najkomiczniejszego liryzmu: „Powiedz mi, dziecię, o czem myślała twoja matka poczynając cię? Marzyła o lwach dzikich, które chodzą po pustyni? czy też marzyła o palmach, które swe wiotkie łodygi kąpią w wielkich rzekach Afryki?“ Bohater znużony cywilizacyą, wzdycha do podróży: „W łodzi wydłużonéj, w łodzi z drzewa cedrowego, pod żaglem z bambusów plecionych, przy dźwięku fletów i tambury-

nów, pójdę do kraju żółtego, który nazywają Chinami.“ Nie zrealizowawszy jednak marzenia, umiera czy też się zabija. „Z obawy, aby go nie pochowano żywcem, kazał się dyssekować, zabraniając jednak się zabalsamować.“ Po *Listopadzie* poszły *Pokusy św. Antoniego*. Były to najstraszniejsze chwile w życiu Flaubert'a. Ataki nerwowe, które miały kiedyś zwalić tego olbrzyma do grobu w jedném mgnieniu oka, wówczas (1843 r.) targały jego jestestwem całemi dniami. Niestety! ojciec Flaubert'a, należący do sławnéj szkoły Broussais'go, wierzył w jeden tylko środek: puszczanie krwi do ostatka,—środek, który powiększał jeszcze przewagę nerwów. Ta choroba, to „trzęsienie ziemi czlowieka“—jak ją nazywał Paracels miała niezmiernie zgubny wpływ na działalność literacką Flaubert'a. Przedewszystkiém musiał on pędzić życie w zamknięciu i bezczynności. W dwudziestym roku miał zadziwiającą pamięć i wyjątkową inteligencyą; pracował z łatwością i przyswajał sobie wiedzę z szybkością nadzwyczajną. Z chwilą jednak stracenia równowagi w systemie nerwowym, nagle wszystko się w nim zatrzymało. Pamięć jego, dawniéj tak dokładna i wierna, podpadała osłabieniom, które sam przyznawał, przypisując je nadużyciu chininy; stał się obojętnym na te nawet osobliwości, które go pociągały za dni młodzieńczych; częstokroć, przez całe miesiące nie zaglądał do dzienników, i tak mało się interesował światem zewnętrznym, że nie znosił ludzi, którzy mu mówili o tém co go nie obchodziło bezpośrednio. Przy najmniejszym wypadku, który zakłócał mu zewnętrzny spokój jego życia, tracił głowę. „Widziałem, jak z krzykiem biegał po całym apartamencie, ponieważ scyzoryk nie znajdował się na zwykłym miejscu. Od téj-to chwili datuje się ta niepojęta trudność jakiéj doznawał w pracy, trudność, z któréj ostatecznie nauczył się nawet chełpić. Lubił pokazywać kartki pokryte przekreśleniami, w których często sam nie umiał się zorientować. Pochodziło-to ztąd, że same pomysły jego były zagmatwane i że do rozjaśnienia ich dochodził tylko wykonaniem. Napisanie dwudziestu stronnic było dlań ogromem, i nic dziwnego gdyż te dwadzieścia stronnic reprezentowało sto pięćdziesiąt przerobionych. Pracując jęczał, rzucał się i sapał. Nierzadko po napisaniu jednego frazesu był tak zmęczony i złamany, że rzuciwszy się na kanapę zasypiał. W dwudziestym roku miał już wszystkie pomysły, potrzeba mu jednak było całego życia do nadania im ciała. A przy tém marzenie zadawalniało go więcéj niż rzeczywistość. Pożądał rzeczy z zapałem, który dochodził aż do cierpień, rozpaczał jeżeli nie mógł ich posiąść, przeklinał losy i wzywał wszystkich na świadków swojego nieszczęścia; z chwilą jednak kiedy przedmiot miał w ręku nie zajmował się nim wcale i czuł się zawiedzionym.

W umyśle miał jakąś siłę soczewkowatą, która powiększała przedmioty widziane z daleka. Często powtarzał za Micheletem: „Tylko niepodobieństwo jest tentującém.“ Śnił na jawie jak palacz opium uniesiony widzeniami, żyjąc po za obłokami i w złotych marzeniach, co było jedną z przyczyn także, dla których pracował z takim trudem, gdyż musiał ciągle umysł swój przyprowadzać do stanu trzeźwości. Zdawało się że jest nienasyconym, lecz osiągnąwszy coś, miał zawsze apetyt na to czego osiągnąć nie mógł. Od chwili kiedy matka pozwoliła mu nareszcie na podróż do Afryki i Azyi Mniejszéj, uczuł się napowrót nieszczęśliwym. Przed wyjazdem odczytał przyjaciołom swoje *Pokusy Ś-go Antoniego*. Powieść ta w pierwotnéj redakcyi była rodzajem misteryi, dyalogiem w dwu tomach, przypominającym a raczéj egzagerującym *Aswerusa* Quinet'a. „Jeżeli nie będziecie wyć z entuzyazmu — mówił Flaubert przed zaczęciem czytania—to widoczna, że nic was nie jest w stanie wzruszyć.“ Na nic jednak nie zdał się zapał w czytaniu, gdyż słuchacze przez całe cztery dni nie przestali być lodowato zimnymi. „Frazesy, frazesy piękne i zręcznie zbudowane, harmonijne, często napuszone, zrobione z obrazów wspaniałych i metafor niespodzianych, lecz nic po za frazesami, które można było mięszać i przestawiać bez uszkodzenia całości. Rozliczne osobistości grały wciąż jedną i tę samę scenę bez końca. Liryzm który był gruntem jego natury tak go uniósł, że mu usunął ziemię z pod nóg. Nie podobna było odgadnąć dokąd chce dojść, gdyż w rzeczywistości nigdzie nie doszedł. Trzy lata pracy zwalały się bez rezultatu: dzieło rozwiewało się z dymem.

Pod pretekstem posunięcia romantyzmu do ostatnich granic, Flaubert popadł w rozległość patosu. Należało go powstrzymać na téj drodze, na zapytanie: „co o tém myślicie?“ Bouillhet odpowiedział: „Myślimy że trzeba całą robotę rzucić w ogień i nigdy o niéj nie mówić.“ Po długiéj dyskusyi o zaletach stylu, Flaubert przyznał, że „może macie racyą; zabsorbowany przedmiotem rozszalałem się i przestałem widzieć jasno.“ Nie przeszkodziło mu to jednak oburzać się na ich obserwacye i cierpiéć. Cios był silny, ale uzdrawiający, gdyż po kilku latach autor *Pani Bovary* przypominając Maksymowi Du Camp owo czytanie i ową krytykę koleżeńską powiedział: „Byłem owładnięty rakiem liryzmu; wyście zrobili na mnie operacyą. Był już czas po temu, ale jakże krzyczałem z bólu!“ Póżniéj, po wielkiém powodzeniu *Pani Bovary* i *Salammbo*, wziął się napowrót do *Pokus*, zmełł je, jeżeli tak można powiedzieć, lecz nie będąc jeszcze zadowolonym, schował do szuflady. Za trzecim razem dopiero udało mu się przyprowadzić do porządku to ukochane dzieło młodości, które przekładał nad wszystkie. Tym sposobem

romantyzm stracił podporę w jednym z najartystyczniejszych talentów, który nietylko porzucił „świat wewnętrzny,“ nietylko wziął się do studyów świata rzeczywistego, ale nadto jednocześnie stworzył „literaturę absolutnie przedmiotową, każde dzieło, w któremby autor pozwolił się odgadnąć, byłoby godnem nagany. Pierwszą zasadą sztuki powinna być nieosobowość,“ i téj-to ostatecznie zasadzie Flaubert pozostał najzupełniéj wiernym aż do końca życia.

Ze wszystkich zresztą ludzi z owéj wojowniczéj epoki, on może jeden tylko był prawdziwym i szczerym rzecznikiem „sztuki dla sztuki.“ Po za literaturą, po za namiętnością do tworzenia rzeczy pięknych, po za „koncepcyą estetyczną sztuki nieosobowéj,“ nic go nie obchodziło: ani własne interesa, ani interesa kraju. Ojciec Flaubert'a, nie chętnie zgadzając się na jego karyerę literacką, powiedział: „Pisanie jest rozrywką, która nie ma w sobie nic złego: lepsze to aniżeli chodzenie po kawiarniach lub tracenie pieniędzy na grę; ale czegóż potrzeba do pisania? Pióra, atramentu i papieru: nic więcéj! i ktokolwiekbądź, kto tylko ma czas, może robić romanse jak pan Hugo lub jak pan Balzac. Literatura, poezya, do czego to służy? Nikt nic o tém nigdy nie wiedział.“ Na to Flaubert odparł: „Słuchaj-no, doktorze! czy możesz mi wytłómaczyć do czego służy śledziona? Ani ja ani ty nie wiemy nic o tém, a jednak nieodzowne to dla ciała ludzkiego, jak poezya dla duszy.“ Był-to zarazem początek jego zwątpienia w namiętność ludzi do sztuk pięknych, i odtąd słyszano go ciągle jak powtarzał, że „wszyscy mają nienawiść do literatury.“ Nienawiści—nie: ale to pewna jednak, że takiéj namiętności, czystéj i bezinteresownéj, jak Flaubert—mało kto, tembardziéj, że wówczas (1847—1851) wszystkie umysły odwróciły się w stronę polityki.

„Rewolucya lutowa była niespodzianką, ponieważ prowadząc Francyą do Cesarstwa, chybiła celu i stała się śmieszną. Paryż był w takiém zamięszaniu, jakiego nigdy nie widziałem; wyraz: rzeczpospolita był postrachem; wierzono w konfiskacye, gilotynę, wojnę powszechną i bredzono wobec rządu tymczasowego, złożonego z ludzi, których dobrotliwość powinna była uspokoić najbardziéj nawet bojaźliwych. Było-to zarazem smutne i komiczne. Często ja i Ludwik Cormenin, śmieliśmy się z tego przerażenia, które miotało tyloma biednémi mózgami. Wszystkie ambicye były poruszone: miano przystąpić do wyborów do Zgromadzenia narodowego; wszyscy wpisywali się na listę kandydatów, gdyż każdy chciał być reprezentantem ludu. Doznałem w tym względzie zawodu i poznałem, że nie należy wierzyć bez żadnych zastrzeżeń w owe oświadczenia miłości wyłącznéj dla literatury, których moi przyjaciele nie skąpili

Każdy czuł krew Tymona w swoich żyłach. Bouillhet, ten poeta pogardzający prozą ponieważ brakuje jéj formy dość podniosłéj, Bouillhet który pragnął mówić tylko wierszami i mieć za sobą flecistę rytmizującego spadki jego ód, ów Bouillhet wcisnął się do nie wiem jakiego już komitetu elekcyjnego i został wybrany na zasadzie swoich kwalifikacyj nauczycielskich. „A muza?“ spytałem go. „Będziemy sporządzać— odpowiedział — dekrety wierszami i to będzie bardzo piękne!“ Nawet Flaubert nie uszedł epidemii. „Zdaje mi się — pisał mi — że powinniśmy być nominowani sekretarzami ambasady i wysłani do Rzymu, Konstantynopola lub Aten.“ Między innémi dałem mu taką odpowiedź: „Nie ma większego szczęścia dla literata, uczciwego człowieka, który zgodził się na dźwiganie ciężaru urzędów publicznych, jak odnaleść się z temi samemi środkami egzystencyi przez pracę, straconemi w urzędowaniu, jakie miał przedtém.“ — „Masz racyą—odpowiedział Flaubert—jestem nikczemnikiem; bądź wspaniałomyślnym i przebacz mi ten paroksyzm szału.“

Przykład zresztą dany był z góry; Lamartine trzymał władzę w swych rękach, a Wiktor Hugo, wielki kapłan poezyi i nasze bożyszcze, kazał się zanominować merem swojego uczątku i przedstawił się na wyborach do Ciała Prawodawczego. Czas potwierdził moje przekonanie, że poeci maleją przy zetknięciu się z polityką. „W naszych ciężkich rasach tegoczesnych — jak mówi Renan — dla wytworzenia wielkiego poety, geniusza pierwszego rzędu, potrzeba co najmniéj *wydrenować* trzydzieści albo czterdzieści milionów ludzi.“ I to prawda. Ci, których natura obdarzyła przymiotami wyjątkowemi dla poezyi, nauki lub sztuki, nie powinni nigdy schodzić na pole ambicyi, gdzie spierają się miernoty. Porzucając wyżyny, na których geniusz ich postawił, mięszając się z tłumem poruszanym tylko przez interesa pospolite, dają dowód większéj próżności niż dumy. Największe umysły nie są pozbawione tego dziwactwa, które im nie przynosi żadnéj korzyści wobec potomności. Kto pamięta, że Chateaubriand był ambasadorem i ministrem spraw zagranicznych? Ktoby pomyślał dziś, że Shakespeare był członkiem Izby Niższéj?... Piękny wiersz daje pewniejszą nieśmiertelność niż sprawowanie władzy. Lecz ażeby się zadowolnić tytułem człowieka genialnego, potrzeba wysokiéj skromności i rozumienia, że najprzedniejsze dary więdną przy spełnianiu pewnych funkcyj.

Kiedy armaty grzmiały w Paryżu, kiedy Zgromadzenie chciało skończyć z klubami a kluby ze Zgromadzeniem, Chateaubriand konał. Przygnieciony ciężarem osiemdziesięciu lat, prawie sam jeden z całego swego pokolenia, dawny żołnierz armii Kondeusza, ojciec romantyzmu, patryarcha—jak go nazywano — literatury francuskiéj,

opuszczał nas wśród wrzawy powstania, znienawidzony przez orleanistów, którémi pogardzał i zapoznany przez legitymistów, którym dawał przykład stałości przekonań politycznych i religijnych. Przez całe swoje życie raz tylko złożył przysięgę: fakt rzadki i godzien zaznaczenia w człowieku współczesnym księciu Tallyerand. Ludzie „dobrze wychowani“ z epoki pomiędzy 1830 rokiem, w którym się wycofał z życia publicznego a 1848, w którym umarł, tę jego „wierność wierze zaprzysiężonéj“ nazywali „pozowaniem.“

Lamartine, który po wypadkach lutowych mógł wziąść Francyą w swoje ręce, gdyby, zamiast poetą, był mężem stanu, Lamartine, którego rok przedtém dziesięć departamentów wybrało na swego przedstawiciela, Lamartine, któremu Paryż dał 259,800 głosów, w 1849 roku przepadł wszędzie. Nie było zgromadzenia wyborców, które by chciało go przyjąć. Lamartine stracił popularność dzięki Ledru-Rollin'owi. „Był-to wnuk sławnego w swoim czasie Comus'a, prestidigitatora, którego prawdziwe nazwisko było Ledru. Z oddalenia i po przez wspomnienie niepodobna zrozumiéć wpływu jaki wywierał Ledru Rollin. Był-to rodzaj pięknisia, uczesanego w rozwiane włosy, który trzymał głowę bokiem (en trois-quarts). Był pusty i głośny; jego mowy napuszone czuć było retoryką: nic delikatnego, nic zręcznego, nic wielkiego. Nie starał się o poprawność frazesów, a jego mowy o tyle były wymową o ile hałas wielkiego bębna jest muzyką. Żadnéj w nim dystynkcyi rasy, żadnéj dystynkcyi nabytéj. Po 1848 roku o mało nie został dyktatorem; dreszcz przejmuje na myśl co by się było stało z Francyą pod tym biednym człowiekiem. Ażeby być silnym nie dosyć jest być grubym; Ledru-Rollin był słaby pod każdym względem, jako umysł, jako talent, jako charakter.“ I Maksym Du Camp, skonstatowawszy raz jeszcze, że wszystkie talenta w polityce, w zetknięciu się z powszedniémi interesami narodu na polu nizkich ambicyj, maleją i ulegają w walce z ludźmi pospolitych zdolności, na Ledru-Rollin'ie sprawdza gorzkie dla demokracyi słowa Stuarta Mill'a, że „Tendencya rządu reprezentacyjnego skłania się ku mierności.

Z NAD BRZEGÓW NEWY.

27 (15) września 1882.

Z pewną licencyą użyje dziś petersburgski korespondent „Ateneum „wypisanego powyżéj tytułu, bo chociaż pisze z Petersburga, ale o rzeczach wcale niepetersburgskich i z północną stolicą równie jak i z Warszawą w pośrednim tylko związku zostających. Znęciły mię ku sobie ciemne szafiry „Jadrańskiego morza“ czyli Adryatyku, zatęskniłem do jaskrawych kolorów i gorących promieni słońca na południu, a ponieważ wolę drogi mniéj utarte i rzeczy a widoki mniéj znane, za cel podróży obrałem austryackie „hinterlandy“ Dalmacyą, Hercegowinę i Bośnią. W ciągu pięciu tygodni przypatrywałem się austryackiéj wystawie w Tryeście, turbowanéj przez włoskie bomby nadziane dynamitem, zwiedziłem odbudowany po trzęsieniu ziemi Zagrzeb, byłem w Zarze, splądrowałem wszystkie zakątki „Duklanowa dvora“ czyli po naszém pałacu Dioklecyana w Spalato, wszystkie uliczki owdowiałéj po kniaziu-dożu przed niespełna 80 laty Raguzy - Dubrownika, podziwiałem najcudniejsze cacko architektury ówczesnéj renesansowéj, całe z marmuru i drogich kamieni, o wzniosłéj kopule i sklepionym stropie—katedrę w Szybeniku, niewysiadając z wygodnego powozu po krętach zygzakowych niedawno zbudowanéj pysznéj drogi z Kotoru wjeżdżałem do Cetynii; przez perspektywę w Prylipie o parę wiorst od Cetynii dopatrywałem się murów tureckiego Skodru czyli Skutari po za jeziorem; byłem na jarmarku w Trebinii, z Adryatyku na statku przez niesłychanie płodne i bujną, prawie tropikową, roślinnością pokryte żuławy rzeki Narenty trafiłem do pogranicznéj austryacko-dalmackiéj osady Metkowicz, zaczynającéj się przerabiać na wielkie miasto. Tu ustawały sposoby podróżowania używane w najbardziéj ucywilizowanych krajach: parostatek i koléj żelazna; na pocztę rządową trudno było rachować, bo poczta jeździ na lekkich wózkach pod mocną wojskową eskortą

i odmawia przyjęcia podróżnych mających chociażby najlżejszy drewniany kuferek. Trzeba było najmować konie, wstawać rano, przed wschodem słońca, na nocleg stawać przed zmrokiem i w ten sposób posuwać się przez Mostar, do Serajewa i z Serajewa do Zernicy skąd już gotowa żelazna droga przewozi podróżnych do Bosańskiego Brodu nad Sawą w nędznych wagonikach podobnych do omnibusów tramwayowych. Po drugiéj stronie Sawy inny Brod słowiański już jest połączony z całą siecią kolei węgro-austryackich. W ciągu podróży mało słyszałem o tém co się dzieje w Serbii, a z Bulgaryi to już jak z zaściany żaden głos niedochodził, natomiast co chwila rodziły się kombinacye opierające się rzadko o Carogród ale często gęsto o Wiedeń i Petersburg. Kiedyś podobno Kolar porównywał słowiańszczyznę do arfy, na któréj każda strona wyobraża pewną narodowość. W rzeczywistości związek i oddziaływanie jednych plemion wielkiego szczepu na drugie są o wiele znaczniejsze aniżeli w najśmielszych przypuszczeniach poetów. Wszystkie języki, narzecza i gwary stanowią, jeden spojny organizm, co w jednéj jego cząstce zajdzie—to da się odczuwać i sprawia odruchy w najodleglejszych; wypadki, w jakimkolwiek Trawniku, Dulcigno albo Risano, mogą wpływać na działalność i politykę rządów austryackiego i rosyjskiego, na usposobienia ludów słowiańskich, a przez to pośrednio i na politykę europejską.

Kraje, które zwiedzałem tak mało są znane a jednak tak ciekawe, ludność tak oryginalna i stosunki tak dziwne, że nie od rzeczy byłby dzienniczek podróży notujący dzień po dniu każden krok i każde spostrzeżenie. Na nieszczęście korespondent „Ateneum" przyznaje się do braku uzdolnienia, w notowaniu wszystkich wrażeń na razie i do braku pilności. Po dniach kilku już się zacierają drobne szczegóły w pamięci, wspomnienia zlewają się w masy i tworzą tylko ogólne wrażenia, niby rezultaty z całéj podróży skończonéj przed dwoma tygodniami. Każden podaje tylko to co podać może i wybiera po temu najwłaściwszą wedle swoich usposobień formę. Niech mi więc wolno będzie, nie trzymając się ściśle ani chronologii ani marszruty, oznaczyć najpobieżniéj jak mi się przedstawił we wrześniu i sierpniu spory kawałek ziemi, na którym Austro-Węgierska monarchia rozwija w obecnéj chwili najgłówniejszą swoję akcyą polityczną, kolonizacyjną i asymilującą, swoję wielką próbę sprowadzania różnych ziem południowo słowiańskich, na federacyjnym niby podmurowaniu, do jednego mianownika.

Przedewszystkiém uderza, czaruje i pociąga nadzwyczajna niewypowiedziana piękność obrazów natury. Już brzegi Sawy są bardzo ładne od Steinbrücku aż do Zagrzebia i malowniczo wygląda kraj

oglądany z zamiejskiego Tuszkanacu, z widokiem na rozległe tak zwane Kroackie Zagórze (Zagorije). Widoki stają się jeszcze rozleglejsze i wspanialsze w kierunku z Zagrzebia w górę po Sawie ku Lublanie, i wielkie było wrażenie gdy, wskazując na zarysowujące się przez mgłę w oddali poważne ostroszczyty, jeden z towarzyszów podróży oznajmił że to Trygław skąd bierze w Karyntii swoje źródło Sawa, Trygław tak rozsławiony przez chorwackich poetów. Właśnie przed chwilą czytałem liriki Stanka Vraza, w których Trygław rozmawia z piorunami i nosi trzy korony, jedną złotą od słońca, drugą srebrną od śniegów, a trzecią poetycką splataną przez czarodziejki Wile:

Slavan si, Triglave
care groma i trjeska!
Na glavi ti krune
tri od divna bljeska:
Kruna sunčnog zlata,
Kruna srebra snejžnog,
I dar Vilâ—kruna
od nevena nježnog.

Objechawszy szerokim zakołem lejkowatą kotłowinę, śród któréj wznosi się Lublana, kolej żelazna przecina potém ponury, dziki, nagi bezludny Karst, okropną pustynię z białawych wapiennych kamieni, śród których porastają tylko drobne krzaki i srebrny, pachnący szałwiéj, kraj grot podziemnych, zwisających z ich sklepień sopli stalaktytowych, rzek dość znacznych, które w biegu swoim giną, wsiąkając w zwir piaszczystego łożyska, jak naprzykład Trebisznica pod miastem Trebinie o kilka mil od Raguzy i innych rzek, które bez źródła niewiedzieć skąd się biorą i zdążają do morza krótkim biegiem—ale szerokiém i przepelnioném wodami korytem, jako naprzykład sławiona w dubrownickiéj literaturze Ombla o kilka wiorst od Raguzy i Grawozy, stanowiąca prawdopodobnie dojście do morza niknącéj w piaskach Trebisznicy. U podnóża bardzo wysokich skał prawie prostopadłych stoją młyny; przestrzeń między skałami i groblą od młynów stanowi niby olbrzymią studnię pełną wody tak przejrzystéj, że widać w najdrobniejszych szczegółach wodorosty, na kilkanaście sążni głęboko. Powierzchnia wody gładka jak szkło, ale rzucony kamień spotyka tak silny opór od pędu wody z dna ku powierzchni, że spada na dół kręcąc się, wirując i potrzebuje dwudziestu sekund zanim w oczach patrzącego osiędzie. Na trzy wiorsty poniżéj już rzeka płynąca spokojnie, leniwo gubi się w wodach Grawozkiéj zatoki. Ów nagi, białawy, wypłukiwany deszczem i wydrążony wapiennik, na którym nawet gdy wietrzeje i rozsypuje się nic

prawie nie porasta, stanowi główne tło dalmackiego pejzażu od Udiny i Triestu aż do Czarnogórza. Zciemniałe te od słońca i wpływów atmosfery wapienne kolosy przybierają kolor brudno szary, tak że właściwszém byłoby dla staréj, sławnéj i niepodległéj Zety miano Szarogórza a nie Czarnogórza. Dziwna jest gra kolorów na tych nagich masach, zrzadka trądem chudéj roślinności centkowanych. Z pamięci mi nieschodzi Spalato. Nad wodami najpiękniejszéj w świecie zatoki ulepiło się miasto z ruin Dioklecyanowego pałacu; którego czworobok oprawiony w łańcuch z grubych baszt weneckiéj struktury. Po za miastem daleko, za Saloną w ruinach i za Klissą—uskoczém gniazdem, na wysokiéj skale zbudowaném, rozwieszone szare góry jak wielkie prześcieradła, które o zachodzie czerwienieją, a w końcu stroją się w najaskrawsze fiolety. Z niezmierną pracą na téj kamienistéj puszczy człowiek zdobywa dla uprawy każdą piędź ziemi, oczyszcza ją od kamieni, otacza murami bez cementu, osłaniając te drobne ogródki od ostrych *bory* podmuchów. Warunki uprawy zmieniają się na lepsze u samych brzegów morza, jest tu więcéj strumieni, zdarza się i piaskowiec, który się prędzéj rozkłada i tworzy humus rdzawego mocno bistrowego koloru. Jeśliby oczyścić grunt od kamieni zruszyć go rydlami i łomem, a dodać wodorostów, które morze wyrzuca i pomiotu od bydła, które tu skrzętnie zbierają dzieci do koszyków, ziemia ta rodziłaby śliczny, słodki, czarny winograd nie potrzebujący polewania i kapustę, która się polewa. Pracują koło tych ogrodów ludzie i osiołki. Zboża nie produkują—przywożą je z Odesy albo Rumunii, rośnie tylko trochę dość nędznéj kukurydzy. Wino najwięcéj popłaca zwłaszcza, że z racyi grasującéj we Francyi filoksery, ogromne dostawy czarnego wina zakontraktowane są do portów francuzkich. Rozcieńczone i przerobione będziemy potém spijali pod nazwą win stołowych francuzkich burgundzkich albo bordoskich (tak mię przynajmniéj zapewniali handlarze win w okolicach Spalato). Proszę sobie wystawić taki ciągły pas najzieleńszych ogrodów, winnic, sadków fruktowych, pomiędzy morską falą z jednéj, a nagiemi bokami podnoszących się skał, z drugiéj strony. Takiemi nieprzerywającemi się ogrodami jechałem od Spalato drogą wynoszącą 25 kilometrów do Trau czyli dawniejszego Troghiru, droga tak cudna, że nosi miano *raju*—paradiso dei cinque castelli. Tak się téż przedstawiają brzegi głębokiéj Bokki Kotorskiéj i nieustępująca w piękności słynnéj genueńskiéj riviera di ponente część drogi z Raguzy do hercegowińskiego pogranicza. Najwięcéj czaru i oryginalności dalmackiemu krajobrazowi daje sam Adryatyk, o wiele tu piękniejszy niż nietylko u płaskich wschodnich ale i u tyle sławionych zachodnich brzegów Italii. Brzeg dalmacki to najfantastyczniejsza w świecie

frenzelka z wysp i półwyspów rozrzuconych w najszczególniejszym bezładzie. Z pokładu okrętowego wygląda to najczęściéj jak jedno z wielkich jezior włoskich Maggiore albo Como, ale z wyżyn nadbrzeżnych dokładnie uwydatniają się zatoki i niezliczona moc ustawionych w szeregi błękitnawych ostrokręgów, sterczących niby widma i pogrążających się w jeszcze błękitniejszéj topieli. Dwa z tych nadmorskich krajobrazów przezemnie widziane należą niezaprzeczenie do najpiękniejszych w świecie: jeden w okolicach Raguzy, a drugi w drodze z Kotoru do Czarnogórza. Miasto Dubrownik czyli Raguza tyłami swemi opiera się ze wschodu o stromą wysoką górę, na któréj zbudowana strażnicza warownia *fort Imperial*. Na górę tę prowadzi dostępna tylko dla pieszych kuta w skale zygzakami ścieszka; (jazda kołowa wymaga kilka mil drogi od strony Hercegowiny). Z góry téj widz ma przed sobą niezmierzone obszary morza, o parę wiorst od murów Raguzy szmaragdową, całkowicie sosniną włoską (pinie) odzianą, wysepkę *Lacromę*. Ta wyspa o miękich okrągłych formach, jak najpiękniejsza poduszka z aksamitu, należała do arcyksięcia Maksa niefortunnego cesarza Meksyku. Po jego śmierci sprzedano ją na licytacyi za 22 tysięcy reńskich z całą ruchomością, podobno nawet z papierami i korespondencyą nieboszczyka. Odkupił ją rząd austryacki za 79.000 reńskich. Dla następcy tronu Rudolfa. Ta wyspa pamięta króla Ryszarda Lwie Serce, który tu wylądował wracając z krucyaty (1192) ku niéj wysuwa się na cyplu Dubrownik—miasto-rzeczpospolita, w mury i baszty tak misternie ujęty, jak ciało rycerza odzianego w pancerz, bezwodnemi dzisiaj fosami od lądu opasany, a taki mikroskopijny; że z całą misterną robotą swych bram, baszt i murów wygląda jak łupina od orzecha, jak słowiańska kontrefakcya w drobnéj miniaturce większego oryginału, to jest Mletu (Wenecyi). W dziesięć minut można przejść całe miasto od Porta Pille do Porta Pioce po pięknym corso zwanym tu Stradore, brukowanym płytami marmuru, po których nikt nie jeździ. Komora celna—dogana jak w Wenecyi; pałac książęcy—kopia pałacu dożów, jak sam knez (kniaź) rektor rzeczypospolitéj był tylko kopią doży weneckiego; rady miejskie podobne do rad weneckich, nawet patron święty Włach (Błażej) biskup, na każdéj baszcie i placu w posągu przytomny, wygląda jako zdwojony św. Marek wenecki. A cóż dopiero scena, sztuka, poezya—to takież naśladowanie literatury włoskiéj, jakiém nasza klasyczna literatura wieku Stanisława Augusta była odnośnie do francuzkiéj, o tyle jednak słabsza i pośledniejsza dubrownicka od polskiéj z końca XVIII w., że stanowiła tylko piękną rozrywkę, szlachetną zabawę, a nie miała wcale znaczenia wewnętrznéj walki i pracy nad sobą i nie służyła za potężną dźwignię do naprawy

i reformy. Bawiły się w słowiańską, swojską literaturę patrycyat i kupiectwo bardzo małego, porządnie zagospodarowanego miasteczka. Dramatyzowano całą historyą Bośnii i Serbii, sławiono Obylicza i wszystkich junaków z Kosowego pola, ale tylko wierszami, i opiewano (*Osman* Gundulicza) przewagi krzyża w sławnéj naszéj potrzebie Chocimskiéj, co nie przeszkadzało rządowi sprzymierzać się z Turkami i za pomocą cudów dyplomatycznéj ekwilibrystyki przedłużyć o lat 9 swój żywot po upadku Wenecyi (aż do 1806). Skon nastąpił w jednym momencie, odbył się bez tragizmu i nie pociągnął za sobą nawet téj wielkiéj i dojmującéj żałoby, która tchnęła na przechodnia z weneckich pałaców i kanałów pod panowaniem austryackiém.

— Czy uwierzysz pan — mówił do mnie sędziwy Jan August Kaznaczycz, sam literat chorwacki i syn jednego z ostatnich poetów wyłącznie dubrownickich — że my nie mamy tradycyi, że mało przechowało się wspomnień z czasów tak niedawnych, patryotyzm raguzański wsiąkł i odrodził się w illiryzmie, zaledwie to lub owo wydobywamy z archiwów. Zatoż ów zmarły Dubrownik, gdzie się wypielęgnowała chorwacka mowa w dostatku i zbytku, świeci dziś w literaturze chorwacko-serbskiéj jako „slowinski raj,“ jako perełka, jako świecąca góra Sinai, albo gwiazda poranna.

Ta Dubrovnik! taj biser sineg mora,
Gde sokolovi saviše si gnjezda;
Sred mrke noci sjajna Sinaj-gora,
Sred mutrog neba predhodnica zviezda.... (*Szenoa*).

Jużciż został tu jeszcze mocny zapach zanikłéj a wiekowéj cywilizacyi, jeżeli nie w tradycyach to w bycie, sposobie życia i obyczajach mieszkańców, jest to perełka Adryatyku, ale perełka strasznie mała. W tym porcie ciasno byłoby czterem wielkim parostatkom; sam port ten opuszczony. O dwie wiorsty od porta Pille po za wązkim przesmykiem rozsiadła się Gravosa-Gruż, nad inną obszerniejszą zatoką; łączący ją z Raguzą gościniec to dziś ulica z will, ogrodów i pałacyków. Cała przyszłość Raguzy w tém, żeby się zlać z Grawozą, żeby się przenieść do Grawozy. Z wyżyn fortu Imperial cała zatoka Grawozy jak na dłoni i nietylko zatoka ale w oddali za nią całe szeregi, nieprzejrzane zastępy sterczących z fal morskich wysp archipelagu.

Z Raguzy przenieśmy się do Boki Kotorskiéj; jest to wąska a kręta i długa wrzynająca się w góry morska zatoka, w kształcie ogromnego *M*, wejście do zatoki w Punto d'Ostro, po brzegach Castelnuovo, Perasto, Risano, po nad którym wyludnione dzisiaj ze szczętem krwawéj pamięci Kriwoszije, nakoniec Catarro. Już zaraz

po wejściu do zatoki po za pomniejszemi górami stojącemi na pierwszym planie zarysowują się ciemne ponure ściany Czarnogórza, a na nich bieleje wąziutkiemi, jaśniejszemi, podłużnemi w ostre ząbki liniami droga wykuta w skale z Catarro przez Niegorz i Cetynje aż do Rieki (60 kilometrów, a z nich z Cataro do Cetinje 42 kilo.).

U spodu, nad najdalszym od otwartego morza punktem zatoki, przyczaił się Kotor i wysunął wysoko w górę po stoku swoję fortecę. Jest-to najniezdrowsza i najniedogodniejsza osada, na dnie ciemnéj szczeliny, brudna, cuchnąca, bez najmniejszego przeciągu wiatru, ze wszystkich stron obwarowana i zaciśnięta; słońce tu o godzinę późniéj niż gdzieindziéj wschodzi i o godzinę wcześniéj zachodzi. Miasto handlowe i wojskowe, na poły czarnogórskie. Tu znoszą górale produkta swojéj chudéj ziemi: warzywo i owoce, tu zbywają kokosze i bydełko. A odbywają dotąd tę podróż po stromych starych ścieżkach, nawet pocztarz codzienny kniazia z Czarnéj Góry wędruje na przełaj a nie po łamanych zygzakach wykutych dla bezpiecznéj jazdy w wygodnych powozach. Droga ta świeżo zbudowana na zasadzie układu i wspólnym kosztem Czarnéj góry i Austryi, któréj granica sięga prawie aż do ostatniéj najwyższéj linii, dochodzącéj do saméj przełęczy. Po za przełęczą droga spuszcza się do ogromnego wygasłego krateru, w którym siedzi wieś Niegorz, potém znów się podnosi i przez straszliwe puszcze kamienne dobiega do ładnéj płaszczyzny, na któréj pobudowano Cetinje. Żadne wyrazy nie są zdolne oddać olbrzymiéj wielkości widoku jaki się otwiera przy zjeździe z przełęczy ku Kotorowi. W górę pną się kolosy skał poprzedzielane wężowémi skrętami zatoki, droga z Kotoru łączy się na podgórzu z drogą od Budui, przecinającéj śliczne i najwyborniéj uprawne płaszczyzny nad skrajem morza, tło obrazu stanowią dwa błękity: morza i nieba. Linia horyzontu od morza sięga tak daleko, że pod nią płyną pasma chmur białych, niby stada kąpiących się w morzu łabędzi.

Żegnając Czarnogórze jużem się nie spodziewał oglądać rzeczy piękniejszych, owszem oczekiwałem nużącéj jednostajności zwłaszcza przy jeździe powolnéj kołowéj. Jednak dzień drogi z Metkowicz do Mostara, dwa dni do Serajewa z noclegiem w Konicy były dniami rozkoszy, lubowania się w coraz zmieniających się widokach, podziwiania natury górskiéj w okazach jéj najwspanialszych, które iść mogą o lepsze z Alpami szwajcarskiemi i tyrolskiemi i z Tatrami. Często szumią wodospady, aż do końca droga idzie brzegami Narenty, przerzucając się z jednego brzegu na drugi; w Mostarze z pędem rwie się ta rzeka bardzo szara po szarym łożysku z nagich kamieni, a po obu stronach wyciągnęło się miasto o licznych minare-

tach ścieśnione przez góry. Od Konicy znacznie bogatsza roślinność. Ogromne lasy czyli po serbsku *szumy*, gęstém płaszczem odziewają barki gór, lasy z dębów, kasztanów, platanów, aż do samego wierzcholka Iwan Planiny (4,000 stóp). Od tego punktu zaczyna się spad z kraju gór do kraju mniejszych już pagórków, kończy się Hercegowina, zaczyna się Bośnia, daje się we znaki wilgoć, czuć wielką odmianę w temperaturze dnia i nocy, roślinność zbliża się do północnéj, zewnętrzna postać kraju jest téż do naszéj ziemi bardziéj zbliżona, miasta tylko najeżone minaretami, przecięte smętarzami, tonące w zieleni mają bardzo muzułmański charakter, ale i ten się ścierać będzie szybko, całe Serajewo przebudowuje się ze wschodniego na pospolite europejskie. Po latach dziesięciu będzie tu sporo kolei żelaznych, zasłyną wody mineralne, w które obfituje już dzisiaj Bośnia (Ilidże koło Serajewa, Kiselak po drodze z Serajewa do Zenicy), staną jakie takie gospody i we wszystkich kierunkach popłyną tłumy turystów.

Niemniéj niż te skały, wody i ziemie, ciekawym przedmiotem jest lud tutejszy, z pozoru i przy pierwszém tylko zetknięciu się niby turecki albo włoski, ale przy poznaniu się z nim tak nam pokrewny, tak serdecznie słowiański, że dziwić się należy jak mało wpłynęły zęwnętrzne wypadki, ucisk, wynarodowianie, niewola na zmodyfikowanie pierwotnego materyału, na starcie cech etnograficznych, i jak szybko ten pierwotny podkład etnografii występuje przy cokolwiek pomyślniejszych dlań okolicznościach i warunkach i przebija się przez wszelkie nawarstwienia zwierzchnie i przykrycia. Najbardziéj w obecnéj chwili uderzającym wypadkiem jest postępujące wywłoszenie się i kroacenie się Dalmackiego wybrzeża. Dotychczas po większéj części to pobrzeże uważano za całkiem włoskie, ogniskami włoskiéj kultury były miasta, znaczna ich część dotąd na bramach i kolumnach znaczona jest weneckim lwem św. Marka, pobudowano tu wspaniałe włoskie marmurowe kościoły, potężnym czynnikiem kultury było duchowieństwo katolickie i język włoski był urzędowym językiem sejmu dalmackiego.

Odkąd jednak ruch narodowy włoski po 1859 r. zerwał stanowczo z kościołem, zmieniły się stosunki i zachwiał się włoski pierwiastek na pobrzeżu. Dziś szamotania się stronnictwa „Italia irredente“ po prostu straszą bogatsze mieszczaństwo ludzi porządku i duchowieństwo i zniewalają wielu, którzy się od dziada i pradziada wychowali we włoskim obyczaju i dotąd najchętniéj-by używali włoskiego języka, do przechodzenia ze wszystkiemi bagażami do chorwackiego obozu. Skoro dopuszczono na sejmie dalmackim w Zarze przemawiać po chorwacku, język ten odrazu zawładnął

sejmem, tak, że włoskim się posługują bardzo nieliczni członkowie sejmu italianissimi. Dokonywa się ze strony rewolucyonistów włoskich rodzaj politycznego samobójstwa nad rodakami tego stronnictwa w Dalmacyi. Odwłoszeni dalmaci trzymają z chorwatami w Zagrzebie, nie lubią Madyarów, dlatego niechcą przyłączenia się do korony węgierskiéj i obstają przy wiedeńskim reichsracie.

Walka drobna, gazetowa, pełna jadu i złości prowadzi się pomiędzy organami włoskiemi i chorwackiemi, walka, w któréj serbskie kirylicą drukowane czasopisma nieprzyjazne chorwatom, zajmują pośrednie stanowisko. Avvenire w Spalato, Dalmata w Zarze i Srbski List w Zarze, ujadają się z „Narodnim Listem“ w Zarze, redagowanym przez Bianchiniego. Wieś bierze górę nad miastem. Przy wyborach w Spalato wybrano deputata Chorwata. Czytałem wydrukowany z téj racyi w „Narodnym Liście“ zadorskim napuszony wierszowany dytyramb, w którym poeta winszuje białemu Spletowi-łabędziowi, że się pozbył „italskiego kału“ i że się spłukał w fali chorwackiego morza, poczém autor zapowiada wypędzenie włoskiego języka ze szkoły, sądu i urzędu, w końcu biały Splet i Duklanow dwór, powiązane są z rzeczą o koronowaniu w Splecie króla Zvonimira (wspomnijmy nawiasem, że ten ostatni szczegół jest błędem historycznym, bo król Zwonimir koronował się w 1076 r. w Salonie a nie w Splecie).

Najmniéj możnaby się spodziewać zakorzenienia słowiańskiego żywiołu w Tryeście. Od 1382 jest to miasto austryackie, a od ogłoszenia go w 1719 porto franco i od rozwielmożnienia się kupców tryesteńskich na szkodę podupadłéj Wenecyi, arcyprzywiązane do rządu; niemiec z włochem mogą tu chyba walczyć o to, kto mocniejszy. W miasteczkach pobliskich istryjskich pierwiastek włoski do takiego stopnia przemaga, że za mojéj w Tryeście bytności odbyła się w Pirano uroczystość publiczna municypalna i ciągnienie loteryi-tomboli. Ciągnęły ją dzieci, ogłaszał numera podesta z balkonu municipio, a woźni wnet po całym mieście ogłaszali i otrąbywali wypadek losowania dla wiadomości szczęśliwych właścicieli wygrywających biletów. W tym samym Tryeście w każdym sklepie mówią po chorwacku, pierwszy lepszy wioślarz który zachwala swoję barkę z iście włoską natarczywością i wielomównością, po kilku słowach rozmowy przyznaje, że jest bratem słowianinem, największy z kościołów w mieście nad canal grande jest serbski, greckiego wyznania, jest druga wielka cerkiew S. Spiridjona unicka, są szkoły serbskie i jedna z gór okolicznych nosi słowiańską nazwę *Obszczyna*.

Im daléj od Triestu, tym wybitniéj występuje typ słowiański w swéj sprzeczności z włoskim nawet w budowie ciała i cechach

czysto fizycznych. Szczególniéj wyróżniają się mężczyzni. Są to zwyczajnie ludzie kolosalnéj statury, o szerokich piersiach i kościach, szczupli w pasie, muszkularni, jakby z bronzu odlani, zachudli, rodzaj wielkoludów, o których pisze Szenoa:

Tu velikane rodi zemlja mala,
I veličini divio se sviet.

Kobiéty tylko małe, szczupłe i od wczesnéj ciężkiéj pracy zawiędłe, tak, że aż dziwno, że rodzą takich olbrzymów. Do piękności atletycznéj budowy trzeba jeszcze dodać zręczność, sprężystość i zwinność właściwe góralom, a wreszcie sam ubiór stosunkowo nawet u najuboższych drogi, jaskrawy, strojny i bogaty. Z kształtów czapeczki, spodni, kurtki, z rękawów koszuli, haftów, wprawne oko odróżni każdą miejscowość, mieszkańca okolic Zadaru to jest Zary, albo Szybeniku, Troghiru czy Raguzy. Na nogach opanki— chodaki z jednéj sztuki skóry sznurami ściągniętéj— obcisłe spodnie, na które spada koszula zwisająca z pod pasa. Pasów co niemiara z drogich pstrych tkanin, u ludzi bogatszych bywa ich od 5 do 7, na tych tkaninach jeszcze jeden pas skórzany, a w nim pieniądze i broń wszelaka wetknięta, handzary, pistolety; rękawy od koszuli wiszące, z nich wyglądają ręce nagie, na grzbiecie spenser haftowany, na głowie czerwona czapeczka u Dalmatów, fez u Hercegowińców, najczęściéj turban czerwony z kręconéj mocno wełny u Bośniaków. Nawet u chrześcian Bośniaków kobiéty noszą się po turecku, wprawdzie z odsłoniętą twarzą, ale w niezmiernie szerokich szarawarach. Ten strój przyniesiony ze wschodu, a w Bośni i Hercegowinie wymuszony na mieszkańcach, u tych ostatnich jest on skutkiem i piętném wiekowéj niewoli. Kiedy w 1877 r. powstała Bulgarya podczas ostatniéj wojny wschodniéj, umówioném i wszędzie przyjętém godłem powstania było zrzucenie czerwonych fezów tureckich i wdziwanie czarnego na głowę okrycia. Dziś jeszcze w Hercegowinie zdarza się widziéć coś podobnego. Wielu Hercegowińczyków ubiera się w czarne na otoku, czapki czarnogórskie z czerwonym wierzchem haftowanym złotem, a na zapytanie czemu to czynią odpowiadają, że byli *ustaszami* to jest powstańcami, że się tułali, że znaleźli schronienie w Czarnogórzu więc na pamiątkę, przez wdzięczność, przejęli ubiór sławnych i niepodległych junaków. Ogółem jednak biorąc są to wyjątki, i wyznawcę islamu nie odróżnisz od chrześcianina ani z feza albo turbanu, ani nawet z golenia całéj czaszki, oprócz jednego kosmyka na tyle głowy.

Chrześcianie w Bośni wybiwszy się na wolność po 1876 roku, w inny sposób zaznaczają swoje wyznanie, stawią dzwonice, na

dachach domostw osadzają drewniane krzyżyki, albo malują wielkie krzyże na ścianach domów zewnętrznych. Ani oryentalna powierzchowność ani nawet wyznanie muzułkańskie nie zmieniły cech zasadniczych rasowego typu. Widziałem na parostatku wysiedlające się całe rodziny bośniackich begów, część pokładu od brzegu statku przykryta płótnem stanowiła harem, z pod płótna wyłaziły często do starszych chłopięta-momaki. O pewnych godzinach mężczyzni po kolei wstawali i po obrzędowych obmyciach się rozścielali dywaniki, modlili się i bili czołem o podłogę. Po modlitwach rozkładali się na pokładzie i starsi i dziatwa. Śpiewano pieśni chórem „o górze zielonéj“ i o „sinym morzu“ i o „dąbrowie.“ Gdybym na chwilę zapomniał gdzie jestem, wahałbym się powiedziéć czy to śpiewka litewska, ruska, czy z Donu i Wołgi, tak są zbliżone do znanych nam i nuta pieśni i jéj słowa. W całéj Bośni nie znaleść prawdziwych Osmanlisów; bośniacki wieśniak albo nawet beg nie rozumie mowy Koranu, jak jego rodak rzymski katolik nie rozumie łacińskich słów ewangelii i rytuału, a umie może tylko kilka sakramentalnych frazesów. Zetknięcia się moje z poturczonymi tubylcami były zbyt pobieżne i krótkie, ale z chrześcianami znajomości i stosunki zabierały się prosto, serdecznie, odrazu.

Przyjęcie tu uprzejme, patryarchalne, gościnność wielka, przy najmniejszéj znajomości konieczne ugaszczanie jadłem, napojem, wszystkiém co chata ma—kawą i rakiją. Rody żyją liczne, skupione, niedzielące się; między członkami panuje wielkie wzajemne przywiązanie, serdeczne bez granic oddanie się każdego swojéj *kuczy* czyli domowi, swojéj *domowinie* czyli ojczyznie, usposobienie tak religijne, że cię każdy i wita i żegna nieinaczéj jak imieniem Boga (*fala Bogu*, z *Bogom*); nic świętszego nad prastary „*zawiczaj*“ to jest obyczaj, a już za wiarę, to każdy żywot odda. Żaden z narodów europejskich nie był w piekielniejszéj niewoli, żaden nie nosi tak świeżych, tak niezabliźnionych stygmatów krwawego ucisku, żaden nie przebył takiéj próby męczeństwa, żaden tak bardzo się nie sprzeniewierzył i nie uszczuplił w téj próbie przez apostazyą swoich moralnych wodzów szlachty i części ludu, która wyparła się krzyża. Takiego wstydu, takiéj hańby odszczepienia się z musu więcéj niż trzeciéj części narodu od wiary chrześciańskiéj, żaden jeszcze naród europejski na siebie nie ściągnął. Wszakże są to rzeczy zrobione, a zrobionych rzeczy historya nie odrabia, zwłaszcza że państwo nowożytne europejskie zatraciło tradycye krwawego apostolstwa i nawracania musem. Z tych muzułmanów, którzy nigdy nie przestaną być muzułmanami, bo i Koran ma sekret fanatycznie przywiązywać do siebie wyznawców, z tych rzymskich katolików i tych

greckich katolików, którzy niewyszli jeszcze z pojęć średnich wieków, trzeba kleić jedno cywilne społeczeństwo, trzeba stawić ojczyznę jeżeli nie w miejsce to przynajmniéj obok wiary, i tworzyć jedność narodową tam, gdzie istniały tylko religijne całostki, odpychające się wzajem i powinowacące się chętniéj z cudzoziemcami byle jednowiercami, niż z rodakami ale różnowiercami.

Takie jest niesłychanie trudne zadanie, które spadło na organizatorkę kraju — Austryą, wraz z okupacyą Bośni-Hercegowiny z mocy art. 25 berlińskiego traktatu. Okupacya austryacka była logicznym wynikiem upadku Turcyi i całkowitéj niemożności utrzymania w kraju wyniszczonym przez wojnę domową jakiegokolwiek bądź znośnego porządku materyalnego. Okupacya miała prowadzić do anneksyi consensu tacito państw uczestniczących w berlińskim traktacie. Tak rzecz tę pojęły i ludy austryackie oświadczając się bardzo zgodnie za okupacyą i dając na nią sporo i ludzi i pieniędzy. Było prawie uznanie, że poczyna się próba stosowania nowéj teoryi wszechsłowiańsko-austryackiéj. Austrya miała po swojéj stronie najkorzystniejsze warunki: wielkie środki materyalne mimo niedoprowadzone dotąd do porządku finanse, czas do działania długi bez komplikacyi odrywających od roboty, wpływ na otoczenie, na Serbią, Czarnogórę, nawet na Bulgaryą bardzo wielki i bezpośredni, nie równoważony innym wpływem ze wschodu wskutek zajęcia się Rosyi prawie wyłącznie interesami polityki wewnętrznéj. Cóż zrobiono w cztery lata? czy przyszło do wyrobienia chociażby zarysów organizacyi? kiedy może nastąpić albo czy kiedykolwiek nastąpi anneksya? Czytelnik nie może wymagać od turysty, ażeby wyczerpująco i głęboko tę rzecz traktował na mocy dokumentów. Turysta może podzielić się tylko bezpośredniém ogólném wrażeniem, jakie w nim zrodziła całość oglądanych pobieżnie stosunków, nie motywując szeroko i ściśle jak doszedł do swojéj dedukcyi. Otóż waszemu korespondentowi zdało się, że anneksya jest jeszcze rzeczą daleką i dość nieprawdopodobną, że nawet gdyby ją wyrzeczono, przyłączony kęsek bodaj nie jest do przyswojenia i strawienia; wina w tém wielkiéj trudności zadania, więc i środków niewłaściwie użytych, wina i braku innych środków, któremiby asymilujące państwo mogło dokonać twardego przedsięwzięcia. Jak mogę tak postaram się wytłómaczyć dla czego w obecnéj chwili całe przedsięwzięcie możnaby mojém zdaniem uważać za chybione.

Do bośniackiéj ludności okupacya austryacka, prócz wojskowego pierwiastku, wprowadziła dwa prądy osiedleńców i kolonistów: przemysłowców u spodu, urzędników u góry. Wpływają masami koloniści niemcy czyli jak tu ich nazywają *szwabi*. Pracują na

żeleźnicach czyli drogach żelaznych, osiadają po wsiach i miastach, szynkują; w ich ręku kram i gospoda, w nędznych dziurach śród rumowisk w Serajewie, są do kupienia najdroższe i najrozmaitsze wiedeńskie i peszteńskie towary. Kiedyś w drugim i trzecim pokoleniu ten żywioł się zbośniaczy, dziś wygląda niemile, pełno tu szwindlu i zdzierstwa, w lichych chałupach za jeszcze lichsze posłanie płaciłem niemcom drożéj aniżeli w pierwszych hotelach stolic austro-węgierskich. Zjeżdżają urzędnicy, niemców, madyarów pomiędzy niemi mało, najwięcéj zaś w składzie osób liczy się słowian: czechów, chorwatów, polaków galicyjskich. Przypuśćmy, że pod względem przymiotów osobistych i uczciwości, są to wszystko ludzie wzorowi i bez zarzutu, wszakże są to cywilizatorowie wprowadzający do obcego kraju obce tubylcom porządki, do których sami się nałożyli z profesyi, skłonni do przeprowadzenia rządowych zamiarów z bezwzględną energią i z przełamaniem wielkiego oporu. Rząd któren myśli o tém jakby się opierać nie na zbrojnéj tylko sile, musi szukać punktów oparcia się w miejscowéj ludności. Tu przedewszystkiém mają pierwszorzędne znaczenie wyznaniowe różnice i ściśle z niemi powiązane: podział stanów i organizacya własności ziemskiéj. Wedle urzędowych sprawozdań w 1881 r. ministra Szlawy w delegacyach austro-węgierskich, w liczbie całego zaludnienia Bośnio-Hercegowiny 1,158,000 mieści się 43% chrześcian wschodniego obrządku, 39% mahometan, 17% rzymskich katolików i 1% innych wyznań. Z trzech głównych wyznań Austrya może liczyć na poparcie tylko najmniéj licznego to jest rzymskich katolików. Jeżeliby po anneksyi do Bośnii i Hercegowiny wcieloną została Dalmacya, ten wązki pasek dzielący Bośnio-Hercegowinę od morza ze swoją przeszło półmilową przeważnie rzymsko-katolicką ludnością, zwiększyłyby się nieco odsetki przypadające na to wyznanie, ale zwiększenie byłoby drobne, małoznaczące.

Rzymscy katolicy mniéj byli uciskani za tureckich rządów od greków, ich kościelna hierarchia była więcéj poważana aniżeli grecka, którą wyzyskiwał pieniężnie Carogrodzki patryarcha; braciszkowie franciszkanie, których tu sporo, są nadzwyczaj lubieni i popularni, rząd austryacki buduje po wszystkich większych miastach kościoły, równie piękne jak te cerkwie, które dla greckiego wyznania pobudowane zostały środkami rządu rosyjskiego, za panowania Aleksandra II naprzykład cerkwie w Mostarze i Serajewie. W 1881 r. w czasie pielgrzymki do Rzymu na uroczystość ŚS. Cyrylla i Metodego była nawet podjęta przez katolików myśl unii kościelnéj z Rzymem, która jednak upadła dla braku spółczucia nie dochodząc do początku wykonania. Nasza dzisiejsza polityka nie posiada zagi-

nionego stanowczo sekretu osiągania znacznych zmian w narodzie za pomocą propagandy religijnéj; wyznanie rzymskie stanowi zbyt wązką podstawę dla działań rządu austryackiego w Bośni, konieczność zmusza oprzéć się na innych wyznaniach i szukać zawiązków austryackiéj partyi albo śród mahometan, albo śród wyznawców greckiego chrześciańrstwa, to jest albo śród krajowéj zapostazyowanéj inteligencyi albo śród pospólstwa.

Zrenegacenie się téj arystokracyi stanowi czarną plamę na dziejach Bośni w przeszłości i ciąży jak kamień na teraźniejszości. Wszystkie współczesne narodowości polityczne Europy były niegdyś poczęte w jedności religijnéj, która każdą z nich wychowała; z kolei każden wychowaniec się usamowolniał, gruntem społecznéj budowy stało się pojęcie nie wspólnego religijnego wyznania lecz współobywatelstwa, między wyznaniami pośredniczy rząd niby Themis bezwyznaniowa z szalkami w ręku dozierająca, aby się ludzie za wiarę nie prześladowali. W Bośni było inaczéj; różnice wiar nie dały się sformować jedności narodowéj i przygotowały panowanie islamu. Odwieczny, nierozwiązalny spór dwóch wyznań, rzymskiego i greckiego, skomplikowany został wczesném pojawieniem się protestantyzmu w sekcie patarenów. Rozkład moralny był okropny, królowie i szlachta zmieniali pokilkakrotnie wyznanie wedle rachub polityki, frymarczyli wiarą bezczelnie i otwarcie, tylko lud prosty był szczerze religii oddany. Nadeszli Turcy i przycisnęli naród, wtedy ta zepsuta szlachta, by zostać w posiadaniu majątków i ziemi, pod pierwszym naciskiem przeszła na islamizm, tym razem zaprzedała nietylko wiarę ale i duszę, bo islamizm miał straszną potęgę nad umysłami, poturczeniec był zwykle gorszym fanatykiem i ciemięzcą niż ze krwi Turek. Ta butna szlachta przechowała całą ruchawość i niesforność swoich przodków, buntowała się i dawała się nieraz we znaki Stambułowi, ostatnie krwawe poskromienie jéj miało miejsce w 1850 r. przez Omera paszę. Pobita bawiła się w opozycyą i niby liberalizm, chociaż główną pobudką do buntu były reformy Reszyd paszy i ogłoszenie, biorącego rajasów chrześcian w opiekę, hatti szerifu z Gülhane. Dziś mała część téj arystokracyi niepoprawionéj i drapieżnéj wysiedla się na Wschód, dla tych co pozostaną, interes islamu będzie zawsze droższym nad interes własnego kraju, a teraźniejszość zdawać się będzie o wiele gorszą od utraconego raju, to jest od przeszłości, od ich panowania niedzielonego z nikim nad podeptanemi niewolnikami rajasami.

Po kilku wiekach wpływ wychowania i zmienionych instytucyj społecznych może odmienić bośniaków mahometan i przerobić ich na pożytecznych obywateli kraju, dziś jednak jeszcze zda się spraw-

dzać na nich to przysłowie, że natura wilka ciągnie do lasu. Należy się im tylko ścisła sprawiedliwość, słusznem jest aby ich mierzono tąż miarą co chrześcian. Wszelkie jednak do nich zaloty byłyby w chwili obecnéj z krzywdą dla chrześcian, zwłaszcza że na samym wstępie do jakiejkolwiek bądź organizacyi stoi niezbędna, nie cierpiąca zwłoki wielka kwestya agrarna, bo kraj ten przez tyle wieków muzułmański nie może przestać być takowym, dopóki nie zostanie zmieniona, na Koranie oparta, całkiem muzułmańska organizacya własności ziemskiéj.

Wedle idei właściwéj muzułmańskiemu, prawodawstwu ziemia cała jest przedewszystkiém sułtańską, część jéj zostaje w sułtańskiém posiadaniu, część jéj znaczna oddana meczetom, szkołom, instytutom publicznym (tak zwane wakufy), reszta nadana rodzajem prawa lennego begom i innym uprzywilejowanym posiadaczom gruntów. Kmieć, z własności wyzuty, opodatkowany i obłożony na rzecz swego bega byłego spahi albo janczara i dziesięciną i opłatami i robotą pańszczyznową stracił stopniowo wolność przenoszenia się od jednego bega do drugiego i stał się po prostu niewolnikiem. Całe powstanie bośniacko-hercegowińskie z 1875 r. wywołane było przez ucisk tak religijny jako i ekonomiczny. Z wielu miejsc begowie wynieśli się, daniny i roboty ustały. Rząd austryacki po okupacyi raz obiecywał reformę agrarną i dekretował niezwłoczne ulgi w ciężarach, to znów przystępował do środków egzekucyi na korzyść właścicieli ziemskich, albo zaprzęgał przymusowo lud do naprawy dróg i do robót publicznych. W Jabłonicy, między Mostarem i Konicą tłómaczył mi przedsiębierca robót na drogach szosowych sekret prędkiego budowania tych dróg, któremi dziś kraj po okupacyi przecięty; oto mówił: żandarmi poszli spędzać kmieci do roboty, bez nich i bez pracujących żołnierzy dróg by tych nie było; płacimy robotnikom co łaska, po 30 centów za dzień. Niepodobna ani restaurować władz i praw begów, zwiększając je przez przywrócenie im tytułu prywatnéj własności ziemskiéj, którego nie mieli za panowania tureckiego, władali bowiem ziemią tylko na prawie lenném, ani pozostawić nadal lud w niewoli ekonomicznéj pod ciężarem podwójnym: należności państwu i należności begom i bez pewności wyjścia z nieistniejącego już nigdzie na ziemiach austryackich stosunku. Bośniacki raja nigdy nie godził się z następstwami podboju: wywłaszczeniem i niewolą, nigdy nie uznawał praw zdobywców, jest-to niezałatwiony proces przychodzący obecnie przed trybunał historyi.

Przeciąwszy ten węzeł stanowczo i doraźnie, rząd austryacki stanąłby mocną nogą na zajętym gruncie, bo miałby za sobą na długie czasy całą chrześciańską ludność tak greckiego jako i rzymskie-

go wyznania to jest większość ludności absolutną. Czemu ta paląca kwestya nie przychodzi na stół? czemu zapowiedziana prawodawcza robota odkłada się na czas nieograniczony? czemu plączą się rozporządzenia wręcz jedne drugim przeciwne? — Na te pytania otrzymywałem od urzędników austryackich następującą, bardzo otwartą, ale zarazem naiwną odpowiedź: o begów nam nie chodzi, ale na cóżbyśmy robili cudzą robotę, nacóżbyśmy pracowali dla Serbii, Czarnogórza albo Rosyi? Toć przecie cała ta ludność patrzy w inną stronę i marzy tylko jakby od Austryi odpadła. Przy takich poglądach możebném jest tylko kręcenie się na jedném miejscu. Wszystkie, przez gazety przedrukowane, plany organizacyi Kallaya są takiém kręceniem się na miejscu bez zrobienia kroku naprzód.

Uproszczenie mechanizmu administracyi, przez wzgląd na stan społeczeństwa jeszcze bardzo pierwotny, znaczy tyleż co zmniejszenie do minimum rękojmi, jakiemi w normalném społeczeństwie cieszyć się powinna osobistość. Współudział *miejscowéj ludności* w administracyi znaczy toż samo co słuchanie rad zrenegaconéj inteligencyi kraju, to jest tych właśnie klas, które najbardziéj są niezadowolnione z obecnego stanu rzeczy i które muszą być w przyszłości i zredukowane i obcięte, klas, które za zachowawcze żywioły w obecnym stanie rzeczy żadną miarą uchodzić nie mogą. Czyby w późniejszym czasie, w znacznie dalszéj przyszłości, sprawdziły się obawy względem wyznania greckiego, o tém nikt w świecie zawyrokować nie może, niepodobna jednak zaprzeczyć, żeby na razie nie zostały dla rządu pozyskane niższe warstwy społeczeństwa, cała klasa rolników. Ich przychylenie się rozwiązałoby ręce rządowi i zapewniłoby lat kilkadziesiąt wolnego działania siły na materyą. W polityce czas znaczy wszystko, materyalne straty dadzą się powetować, zmarnotrawienie czasu nigdy. Jeżelibyśmy nadanie gruntów chłopom w Bośni i Hercegowinie uważali nawet za środek ryzykowny, z powodu niepewności jego następstw w czasach późniejszych, to natomiast nienadawanie i odkładanie rozwiązania kwestyi agrarnéj prowadzi niezawodnie do następstw bardzo pewnych, ale też najsmutniejszych, do niezawodnéj i przytém nie tak odległéj przegranéj.

Współudział kraju w samorządzie jest do obecnéj chwili najjałowszą mrzonką, wcisnęłyby się do administracyi żywioły, albo muzułmańskie albo chrześciańskie, na porządkach tureckich wyrosłe i na nich wytuczone, które można neutralizować ale niepodobna do rządów wprowadzać, bo ich obecność byłaby przyczyną zepsucia i plagą. Jeżeli spełznąć muszą na niczém wszelkie czcze zamiary rządzenia krajem przy pomocy krajowców, sposób administrowania

pozostanie czém dziś jest— to jest prostym biórokratyzmem opartym na ostrzu bagneta, mechaniką czerpiącą tradycye z przedkonstytucyjnéj epoki, stanem rzeczy, w którym samowola rządzących idzie w parze z rutyną, a do pół barbarzyńskiego dzikiego jeszcze kraju wprowadzają się nowe skarbowe pobory i drobiazgowe policyjne formy, do których się nałożyły jako tako i nie bez trudności, po całych wiekach tresowania, ludy na znacznie wyższém stopniu umysłowego i moralnego wykształcenia zostające, ale któren jest nie do zniesienia dla wpół dzikich. Jak niebezpieczne są próby takiego cywilizowania, dowiodła niespodzianka — powstanie w Hercegowinie i południowéj Dalmacyi, zaledwo przed kilku miesiącami uśmierzone. Godném zastanowienia faktem jest, że w powstaniu nie brali udziału tylko rzymscy katolicy, ale uczestniczyli i muzułmanie i prawosławni. Niemcy w Konicy opowiadali mi, w jakim okropnym byli strachu, gdy na górach nad miastem zjawili się ustasze, którzy gdyby się do miasta dostali, rznęliby obcych bez miłosierdzia. Od żołnierzy austryackich słyszałem jak nad rannemi i umarłemi ich kolegami pastwili się Krywoszyjanie, jak obrzynali zabitym uszy, nosy, wargi i członki. Kilka tysięcy ustaszów wprawia w ruch przeszło sto tysięcy wojska austryackiego i zmusza do czuwania i przedsiębrania niesłychanych ostrożności. Już dziś niby niema powstańców, a tylko gdzie niegdzie i to w odludnych miejscowościach błąkają się włóczęgi, którzy zeszli na rozbójników—*hajduków*; ale z tą góralską ludnością nigdy nie można być pewnym swego. — Wkrótce zbiorą kukurudzę—mówił do mnie mój gospodarz w Konicy — a zobaczylibyście potém jak wielu z tych bośniaków wezmą *puszki* (rusznice) i pójdą w góry, a będą *pukać* (strzelać). Wié o tém rząd, dla tego poczta jeździ pod mocną eskortą, dla tego roi się żołnierzy co niemiara w każdém miasteczku, dlatego pozakładane w większych miastach ogromne niby przedmieścia, stałe obozy z murowanych koszar, dlatego chodzą gęste patrole i koczują z miejsca na miejsce oddziały żandarmeryi. W tych oddziałach zwykle na jeden mundur wojskowy przypadało zawsze trzy albo cztery razy tyleż ubiorów bośniackich z brązowemi tylko blachami o orłach dwugłowych austryackich na turbanach albo fezach; byli to po większéj części zawerbowani do służby dawniejsi zaptyowie albo pandurowie.

Wskutek téj bezwzględnéj konieczności obwarowywania tak pobrzeża i wysp Dalmacyi od morza, jako i całego wnętrza Hercegowiny, oraz pogranicza tego kraju i Bośni i trzymania na stopie wojennéj ogromu siły zbrojnéj całkiem nieodpowiedniego do przestrzeni zajmowanego kraju, kwestya polityczna wikła się w najdrażliwszy dla Austryi sposób z inną daleko trudniejszą finansową. Zajęte

kraje są jako przepaść pochłaniająca bez widocznego śladu wszystkie kredyty uchwalane przez delegacye austro-węgierskie. Z dwóch połów państwa, Węgrom najbardziéj cięży niepewność: co to wszystko może nadal kosztować? prawdopodobnie opozycya to Wegrów postawi prędzéj czy późniéj ostrzem wniosek: czy nie lepiéj wyrzec się całkiem anneksyi i ustąpić z tego rodzaju Kaukazu, zwłaszcza że zadanie tu jest trudniejsze aniżeli zadanie Rosyi na Kaukazie, bo kaukazkich górali można było całkiem izolować, a Bośnia i Hercegowina oparte są tyłami o drgających przy każdém poruszeniu się ich pobratymców, o Czarnogórze, o Serbią, skąd ruch sięga daléj, odczuwa się w Rosyi i może wcale niespodzianie nabyć znaczenia komplikacyi europejskiéj. Przed okupacyą, na kongresie berlińskim, Austrya już miała gotowy rachuneczek kosztów za utrzymanie na swojéj ziemi zbiegłych Bośniaków i Hercegowińców (3,200,000 reńskich). Dziś rachunek o wiele większy od setki milionów, z racyi okupacyi i z racyi kosztów poskromienia powstania. W razie dobrowolnego ustąpienia Austryi z zajętych krajów ktośby musiał ten rachunek zapłacić. Bardzo być może, iż Austrya zdobędzie się na stanowczość i z zamrużonemi oczyma przejdzie przez Rubikon dekretując anneksyą, poczém ustąpienie stanie się niepodobieństwem. Bardzo być może, że Austrya będzie się przez czas długi wahała pomiędzy ustąpieniem i anneksyą. Najszczęśliwszym sposobem rozwiązania trudnego zadania byłoby przechowanie Bośni dla Bośniaków, wychowanie nowéj jednostki narodowéj, którą możnaby i należałoby z czasem powołać do samorządu spółrzędnie ze wszystkiemi ludami austryackiemi. Na nieszczęście jest to dziś lud bez głowy, kilkuset lat by potrzeba aby wyrobić w nim literaturę, świadomość i poczucie jedności narodowéj, łącząc nienawidzące się i odpychające się religijne wyznania.

W obecnym stanie rzeczy część zajętego kraju — Hercegowińska, skoro się wzmoże ruch odśrodkowy od Austryi ciążyć będzie ku Czarnéj górze, a tembardziéj, że Hercegowina głównie jest zaludniona wychodźcami z Czarnéj gory, zaś część bośniacka będzie ciążyć ku królestwu Serbskiemu. Nie ulega najmniejszéj wątpliwości, że ten ruch odśrodkowy anti-austryacki się wzmaga, i że spotęgowanie się jego pociąga za sobą niesłychanie ważne następstwa i sprawia wielkie zmiany, tak w stosunkach wewnętrznych pomiędzy narodowościami słowiańskiemi w Austryi, jako i w stosunkach między państwowych na dorzeczu Dunaju i na półwyspie Bałkańskim.

Odrodzenie się w XIX wieku chorwacko-serbskiéj narodowości datuje od 1833 r., to jest od pierwszego wystąpienia Ludwika Gaja (1809 †1872). Wzięto za podstawę jednoczenia się—język; okazało

się, że na półwyspie bałkańskim są tylko dwie mowy: jedna bułgarska, druga serbsko-chorwacka, że w Serbii, Bośnii, Czarnogórzu, Dalmacyi, Slawonii nawet Karyntii, Styryi i Krainie używany jest jeden tylko język, dla którego odgrzebano stare imie chrzestne *ilirskiego*; nie utrzymało się ono jednak, zamieniono je na mało znaczące *jugo-sławiańsiwo*. Ta narodowość powstająca szybko, raźnym ruchem od razu zajęła względem Węgrów takież stanowisko jakie zajmuje śpiżowy posąg Iellaczyca odlany przez Fernkorna, postawiony na rynku w Zagrzebie, wielki ban kroacki jedzie na północ na Węgry i ku nim ostrze krzywéj szabli wymierzył. Odrodzenie się było początkowo objawem literackim, nosiło wszystkie cechy romantyzmu i było arcyeklektyczne, to jest garnęło do siebie i bratało wszystkie wspomnienia wschodu i zachodu, Rzymu, Wenecyi i Bizancyum, króla Zvonimira i Cara Stefana Duszana. Jeszcze dożywa ostatka dni swoich jeden z przywódzców tego ruchu Jan Kukuliewicz Sachciński. W marcu roku bieżącego pochowano w Dubrowniku drugiego z ludzi tegoż pokolenia, poetę dubrowczanina hrabiego Orsato Pozza Zagórskiego, który na swoich książkach pisał się Med Pucicz, był natchnionym lirykiem i w wierszach pisanych kirylicą unosił się jako słowianin arcyekletycznie nad tém co oglądal w Piotrogrodzie w 1852 i składał dań uwielbień Adamowi Mickiewiczowi (1848) i opiewał dwa czarne kamienie w Szwajcaryi i czarny pamiątkowy słup na jeziorze Zurich około Rapersswylu i czarny ciężki głaz około Konstancyi na miejscu spalenia Husa. Wspomnę jeszcze przelotem, że przed samym moim przyjazdem do Raguzy, odbył się wspaniały pogrzeb sprawiony 80 letniemu Wukowi Wrezeticzowi któren wraz z Wukiem Karadziczem zbierał pieśni ludowe i pisał ludowe serbskie powieści.

Aczkolwiek za podwalinę zjednoczenia przy odrodzeniu się służył język; a pobratanie się zaczynało się od literatury z jednakiém poszanowaniem dla odsuwanych w głąb' historyi różnic religijnych i podziałów politycznych; jednak, ponieważ ruch ten poczynał się w Austryi aześrodkowywał się głównie w Zagrzebiu, ponieważ wszyscy jego inicyatorowie otrzymali zachodnio-europejskie wykształcenie, przez ich zbiorową działalność szerzył się duch kultury zachodnio europejskiéj, nam zachodnim słowianom pokrewnéj, już nie ściśle rzymskiéj lecz przez łacinę wyrobionéj i wychowanéj. Do dziś dnia Zagrzeb świeci promiennym blaskiem jako ognisko cywilizacyi, tu powstały oświatę narodową zasilające instytucye, patryotycznemi składkami Chorwatów, wspaniałą ofiarnością Diakowarskiego biskupa Józefa Strosmayera, którego jak sam słyszałem nazywano w 1873 r. na posiedzeniu sejmu Zagrzebskiego „prvi syn Serbii“

(tj. narodu serbo-chorwackiego). Tu już we własnym domu na placu Zrinyego pomieszczona południowo-słowiańska akademia czeka na galeryą ze 150 obrazów podarowanych jéj przez Strosmayera. Na promenadzie przed akademią w klombach z kwiatów stoją dwa marmurowe popiersia dwóch sławnych we włoskiéj sztuce renesansu kroatów artystów: Jerzego Glowicza miniaturzysty (1498—1578) który pod imieniem Clovio zasłynął jako „Rafael miniatury“ i kunszt swój aż do najwyższego stopnia doskonałości doprowadził i malarza szkoły weneckiéj Andrzeja Medulicza zwanego Schiavone.

Tu od 1874 istnieje uniwersytet chorwacki imienia Franciszka Józefa, jest teatr narodowy i opera, któréj orkiestrą dyryguje słynny kompozytor Zaic. Kiedym porównał jednak Zagrzeb, jakim go pamiętam w 1873 r., gdy niektóre instytucye dziś rozwinięte były tylko w zawiązku albo w projektach, a dochodził do skutku na sejmie prezydowanym przez poetę Mazuranicza kompromis chorwacko-węgierski, z Zagrzebem teraźniejszym, porównanie to wypadło stanowczo na niekorzyść chwili dzisiejszéj. Tomaszem niewiernym na owym sejmie 1873 był tylko jeden mówca, adwokat doktór Makaniec, który nie dał się przekonać o szczerości intencyj pojednawczych ze strony Madyarów. Zbijali go zwycięzko młodzi i początkujący jeszcze szermierze w liczbie ich Żywkowicz i Derenczyn. Za doprowadzenie do skutku kompromisu, mocą którego sejm kroacki wysyła na sejm węgierski 36 posłów, Kroacya ma w Zagrzebie 3 samodzielne ministerstwa: sprawiedliwości, spraw wewnętrznych i oświecenia a wyznań, Mazuranicz został Banem, ale na tém stanowisku się nie utrzymał. Żywkowicz i Derenczyn cieszą się największém powodzeniem, jeden jest ministrem spraw wewnętrznych, drugi sprawiedliwości, Makaniec całkiem się usunął z zawodu politycznego i zajmuje się praktyką sądową—nic więcéj. Z dawniejszych jednak nadziei na dobre skutki i szczere wykonanie kompromisu nie pozostało nic a nic, a nad całą sytuacyą zawisła ciężka chmura niezadowolenia z Madyarów za konstytucyjną hipokryzyą, za używanie w walce z narodowemi aspiracyami Chorwatów, wcale nie konstytucyjnych środków, za gwałcenie względem Chorwatów na każdym kroku wolności mowy i druku. Należéć do opozycyi sejmowéj nie jest bezpieczném, teraźniejszy ban Peiačewicz, ze krwi Chorwata ale całkiem zmadyaryzowany, wydali z administracyi każdego urzędnika, któryby śmiał przeciwko wnioskom rządu głosować. Przed rokiem ban zawiesił w pełnieniu obowiązków profesora uniwersytetu hrabiego Konstantego Wojnowicza, li tylko za mowę na posiedzeniu sejmowém i to za mowę umiarkowaną i co do formy bez żadnego zarzutu. Tylko wskutek wstawienia się całego uniwersytetu i starań w Wiedniu udało się to zawieszenie

usunąć. Arcybiskupem Zagrzebskim jest dzisiaj z rodu Madyar Michałowicz, a ponieważ i Zeng czyli Seni stolica biskupia zajęta przez madyara, po zejściu Strossmayera cała wyższa hierarchia kościelna może być osadzoną przez madyarów. Ponieważ całe duchowieństwo rzymsko-katolickie na sejmie krom biskupów jest zwykle w opozycyi z rządem, arcybiskup zaś prześladuje duchownych za ich zachowanie się na sejmie, stąd skargi na arcybiskupa, które nieraz do samego Rzymu dochodziły. Kodeksy postępowania sądowego działają tu jeszcze odwieczne, stare; kiedym chciał wejść na posiedzenie sądu cywilnego, niepuszczono mię, ponieważ zasady jawności proces niedopuszcza i wprowadzenie spraw odbywa się przy drzwiach zamkniętych. Ustawa procedury karnéj z d. 23 maja 1873 nie została wprowadzona, więc z przysięgłymi odbywaćby się mogły tylko sprawy o przestępstwa druku, jakoż gazety pomieszczają spisy takich specyalnych, dla pomienionych przestępstw *porotitelów* czyli przysięgłych, ale mieszczą bez skutku, władza mało ufa takiemu sądowi i woli załatwiać się z czasopismami drogą postępowania tak zwanego *objektywnego*, to jest poprostu woli przyaresztować numera pisma nietykając i nie sądząc autora. Cotydzień kilka gazet pojawia się z niezadrukowanémi z tego powodu całkiem białémi łamami. Zaiste nie wszystko idzie jak najlepiéj w tym nienajlepszym świecie, zaiste Austrya nie jest jeszcze wzorową krainą konstytucyonalizmu i w niektórych jéj częściach istnieje więcéj dekoracyi niżeli prawdziwych form konstytucyjnych. Rozjątrzenie przeciwko madyarom jest wielkie, i coraz bardziéj zaogniające się. Słyszałem z ust jednego bardzo poważnego kanonika i członka akademii, takie określenie: „madyarowie są to ciż sami Turcy, ale tylko ochrzczeni, lubią wolność ale tylko dla siebie nie zaś i dla innych narodów.“

Stosunek z madyarami, aczkolwiek przykry, dał by się na korzyść chorwato-serbów odmienić i wyprostować, za pomocą cierpliwości, wytrwałości i zaprowadzenia większéj spójności i dyscypliny w szeregach narodowych, gdyby ich usiłowania nie natrafiały na opór jeszcze z innéj strony, gdyby w samym łonie narodu nie istniała scysya, gdyby nie zarysowała się szczelina, wskutek tego że jedność na podstawie rasowéj i językowéj zaczyna się rozpadać na dwa składowe pierwiastki: na specyalnie chorwacki i specyalnie serbski. Pierwiastek serbski w koronie węgierskiéj S. Szczepana jest stosunkowo do Chorwatów przybyszem świeżéj daty, powiększéj części uskoczego pochodzenia, podobnego do kozaków. Największy téj ludności kontyngens przywiódł z sobą wedle układu z cesarzem 1690 r. serbski patryarcha Arseni Czernojewicz, któren z 37.000 rodzin serbskich przeniósł się do Syrmii i Banatu, poczém opuszczona stolica

patryarchatu Pecz, klasztor Deczany i najhistoryczniejsze miejsca starej Serbii dostały się Albańczykom. Serbowie zawsze stali przy swojej odrębności, przy tradycyach patryarchatu i serbskim wojewodzie. Po odrodzeniu się i po rozkwicie samoistnej literatury swojskiej,ześrodkowującej się z Zagrzebie, nigdy nie poddały się i nieuległy temu prądowi dwa ogniska umysłowe separatystyczne: Belgrad w księstwie Serbskiém i Nowy Sad na gruncie austryackiém. Nie przestano mimo spólność językową i rasową obstawać przy dwoistości odrębnych literatur i narodowości. W życiu sejmowém i publiczném, serbowie odznaczali się trzymaniem stale przy rządzie to jest z madyarskiém stronnictwem, nawet w kwestyach najbardziej obchodzących chorwato-serbów jako naród, mniejszą dbałością o konstytucyjne rękojmie dla narodowości i osoby. „To są nasi Rusini,“ mówili do mnie charakteryzując ich moi zagrzebscy znajomi, odnośnie do stosunków polsko rusińskich galicyjskich i do ostatniego politycznego procesu (Olga Hrabar, Naumowicz, Dobriański). Jest nieco prawdy w tém powiedzeniu. Dla pojednania się i zgody potrzebne są dwa warunki: szczera chęć pojednania się z obu stron i uznawana też z obu stron pewna polityczna norma jako podstawa godziwego kompromisu, pewien krajowy ustrój, uważany jako grunt z którego już schodzić nie wolno. Pierwszy z tych warunków nie da się sprawdzić ale drugi bardzo podaje się sprawdzeniu. Jeżeli jeden z kontrahentów zamiast politycznéj, wysuwa naprzód religijną podstawę porozumienia, się to jest przenosi interes z realnego gruntu na chimeryczny, bo w obecnym czasie marzyć o masowych przejściach z jednéj religii na drugą niepodobna, albo jeżeli lekceważąc dobrodziejstwa pewnego ustroju konstytucyjnego, nie dba o nie i znosi je tylko do czasu jako zło konieczne, a przekłada absolutyzm zaś ma swój ideał gdzieś pozagranicami normy politycznéj, i ku niemu wyciąga ręce przy pierwszéj lepszéj sposobności, na ten czas żadne próby kompromisu nie doprowadzą do skutku, a wiernokonstytucyjnemu stronnictwu, od którego żądają tylko ustępstw bez określenia jak daleko mogą sięgać te ustępstwa pozostaje tylko wdzięczna rola, starać się być bezstronném, sprawiedliwém, nienadużywać przewagi, zgoła w każdéj chwili pamiętać: nie rób innemu, co tobie nie miło. Nieporozumienia domowe z Serbami zaostrzają się i rosną w miarę niepowodzeń polityki Austryackiéj w Bośnio-Hercegowinie; okupacya jest praktyczném zastosowaniem téj samej zachodnio europejskiéj idei, która stanowi treść całéj chorwacko-serbskiéj kultury, mającéj ognisko w Zagrzebie; błędy polityki każą wnioskować o fałszach i wadach saméj idei. Idea ta nigdy nie panowała niepodzielnie, dziś więcéj niż kiedy zachwiana. Dziś jeszcze

wprawdzie tylko w wyobraźni a nie w czynie, podnosi się i zaczyna wywierać coraz czynniejszy wpływ na umysły, widmo zamierzchłych czasów, idea wielkoserbska, w postaci cara Stefana Duszana z połowy XIV wieku, ideał mocno bizantyjski na bardzo jaskrawym podkładzie religijnym, wschodniego wyznania kupiącego się, by dać odpór pochodowi na wschód łacińskiéj kultury przedstawianéj przez państwo austryacko-węgierskie. Sędziwi dziś rycerze odrodzenia w pierwszéj jego dobie to jest tak zwanego *iliryzmu* (naprz. Kaznaczycz) wyznawali ze smutkiem, że widzą jak schodzi na nic cała ich robota, jak się rozłamuje i kruszy od samego tego punktu skąd wyszli i budować zaczęli. Godnem jest zastanowienia, że na dalekim północno wschodzie, z całkiem odmiennych przyczyn, objawia się takiż zwrót ku archaizmowi, takież szukanie podwalin w czasach przed Piotrem W., takaż predylekcya do rzeczy bizantyjskich i religijnych.

Dotychczas nie bywało przykładów powodzenia w zastosowaniach archeologii do polityki, nie ma też możności w naszym wieku budować państwo na ściśle kościelnéj podstawie. Skoro jednak myśli kierują się w tę stronę, istnieje już niebezpieczeństwo, któremu jeżeli się w czas nie zapobieży, i to nie za pomocą zastraszania własnych teraźniejszych albo przyszłych poddanych, albo słabszych sąsiadów, lecz przez naprawienie własnych omyłek, mogą stąd wyniknąć tysiączne kłopoty, a nawet komplikacye nietylko miejscowe, lecz i europejskie; bo Bałkański półwysep podobny do wielkiego składu najrozmaitszych materyj palnych, do którego gdy wpadnie malutka iskierka może straszliwy pożar rozniecić. Niespodzianki możebne są całkiem niezależnie od polityki rządów w państewkach półwyspu. W sierpniu 1882 puściły peszteńskie gazety w obieg wiadomość, powtórzoną potém przez wiedeńskie, o ważnych papierach jakoby znalezionych przypadkowo w Kalinowiku w Bośnii i konstatujących popieranie powstańców w Bośnii i Hercegowinie przez tajne towarzystwa wielkoserbskie rozgałęzione w Serbii i Czarnogórzu i przez komitety słowiańskie w Rosyi. Wiadomość ta nie stwierdziła się potém, bardzo być może że była zmyśloną, wszakże możebność istnienia czegoś podobnego nie ulega wątpliwości, współczucie dla rodaków i współwyznawców jednéj wiary nie może nie istniéć w Serbii i Czarnogórzu. Wbrew wszelkim usiłowaniom obecnego serbskiego, mocno oddanego Austryi, ministerstwa, mogą zajść okoliczności, w których ujęcie się za rodakami powszechnie w Serbii będzie tak wielkie, że zwali ministrów i sforsuje rękę panującemu.

Co się tycze Czarnogórza jest ono dotąd najwyższą na półwyspie, a wyborną obserwacyjną placówką, skąd bitna i karna załoga

dogląda pilnie co się naokoło dzieje, gotowa w każdą stronę wedle potrzeby się obrócić; wygląda zaś niecierpliwie, bo jéj tu za ciasno, bo ziemia macierz skąpi pożywienia dla swoich dzieci. Dwa dni spędzonych w Cetinii były najprzyjemniejszémi w całéj mojéj podróży; nie mogłem dość się nasycić tém zdrowém górskiem powietrzem i tą swobodą większą niż gdzieindziéj, a taką że równéj chybaby w Szwajcaryi poszukać. Żegnając tych chrobrych rycerzy, którzy tak butnie i przez tyle wieków wytrzymali pod krzyżem na swoich nagich kamieniach nie ugiąwszy ni razu czoła i urągając księżycowi podczas gdy wszyscy pobratymce ich byli pod jarzmem, pomyślałem: Boże szczęść i pomagaj, mnóżcie się i rozrastajcie, ze wszystkich południowych słowian wyście może najwyżéj wyrobieni politycznie, powodzenie wasze niech będzie jak największe wedle waszych zasług. Kilku faktami zanotowanemi w Czarnogórzu, kilku wspomnieniami o niém zakończę zadługą może relacyą z mojéj wędrówki.

W połowie tego wieku liczono w nieprzytykającém wcale do morza Czarnogórzu zaledwo 150.000 mieszkańców, dzisiaj w granicach berlińskiego traktatu, gdy przybyły do państewka z północy Nikszycz i Piwa z górą Dormitorem, a z południa Gusinie, Podhorica, pół jeziora Skutari z portem Antivari i z wolną nawigacyą po rzece Bojanie, od jeziora przez samo Skutari do morza,—liczba mieszkańców podwoiła się. Część południowa granicy nie jest dotąd wedle traktatu uregulowana, a sąsiedzi tu najgorsi Albańczycy czy jak ich Czarnogórcy nazywają Arbaneszti. Co chwila słychać o najściach, o zajętych gruntach, o zagrabionych stadach. Czarnogórcy nie znoszą, aby ich krzywdzono i gdy im dyplomacya europejska nie pomaga, biorą się do broni, nic więc nie będzie dziwnego, gdy około Antivari i nad Bojaną zagrzmią topy (działa) i puszki (rusznice). Z całém zwiększeniem się ludności i przez przyrost i przez nabycie ziem nowych, Czarnogórze nie liczy dziś więcéj nad 300.000 ludności to jest tyleż co średniéj wielkości miasto w zachodniéj Europie. Regularnego wojska kraj ten dotąd nieposiada żadnego, wszyscy mężczyzni muszą służyć wojskowo. Zwyczajna siła zbrojna zciągana z nachii, na które kraj podzielony, składa się z 5 brygad; w brygadzie od 5 do 7 batalionów, czyli *czet*, w batalionie od 600 do 800 ludzi, ogółem przeszło 3.000 zbrojnych; pospolite ruszenie całej ludności, dałoby nie więcéj nad 30 do 40 tysięcy ludzi pod bronią. W Cetynii obok książęcego konaku jest wielki budynek zwany *biliarda*, któren służył za pomieszkanie księciu Władyce czyli biskupowi Piotrowi II; w tym budynku mieszczą się wszystkie ministerya, nieliczne co do składu, bo minister i sekretarz oto i całe ministerstwo. Tu kwaterują *pereniki* stanowiący straż przyboczną księcia, w ministeryum wojny

na ścianach rozwieszone wszystkie od dawnych czasów narodowe trofea, i w osobnym magazynie na kozłach spoczywa, 20.000 wybornych rusznic odtylcówek, bijących jak mi powiadano na 3 kilometry. Broń ta rozdaje się przed pochodem i zwraca się po potrzebie, a wystarcza na tyle, że można się obejść bez artyleryi. Jest nieco działek polowych ale bardzo niewiele. Zdziwisz się Pan, powiadał sekretarz ministra wojny oprowadzając mię po trofealnym muzeum, dla czego prócz okrwawionych szmat i zdjętych z nieprzyjaciół orderów, broni zdobytéj tak mało. To się u nas nigdy nie zależy na składzie, zaraz idzie na podział i każden Czarnogórzec posiada uzbrojenie własne nie uciekając się do skarbu. Uzbrojeni są wszyscy nawet i duchowieństwo. W monasterze w Czetinie, gdzie w cerkwi spoczywają zwłoki zamordowanego w 1857 r. kięcia Daniły i Mirka ojca teraźniejszego księcia Mikołaja, przyjmował nas archimandryta Mitrofan słynny junak, któren w pewnéj potrzebie rozstrzygnął los bitwy z Albańczykami, rzucając się na nich z szablą i krzyżem, i pociągając za sobą Czarnogórców. Nietylko brakiem regularnego wojska uderza kraj, odznacza się on jeszcze brakiem wszystkiego, czém rząd w Europie, zwykle ujawnia swoję wszechobecność. Kupa kamieni przy drodze oznacza państwową granicę, żadnego strażnika na granicy, żadnéj komory celnéj, co więcéj—żadnéj nigdzie policyi, chociaż przez nikogo o pasport niepytany, może podróżny pieszo czy konno zwiedzić najbezpieczniéj cały kraj od końca do końca. Kniaź skąpi kosztów na własną mennicę i kursują tu wszędzie papierki austryackie. Porządek materyalny i bezpieczeństwo panują pełne, w każdéj nachii przedstawicielem rządu jest kapitan, przez księcia mianowany. Jest on administratorem i sędzią w drobniejszych sprawach cywilnych i karnych; sprawy ważniejsze należą do kompetencyi najwyższego (verchowni) sądu w Cetinii. Bardzo często prawujące się strony udają się do samego księcia jako do arbitra. Granica pomiędzy prawem cywilném i kryminalném nie bardzo wyraźna i ścisła. W prawie karném stopniowo i prawie niepostrzeżenie zaszła ta wielka odmiana, że straszna krwawa zemsta czarnogórska, która sprawiała, że się wyrzynały wzajem całe rody, i że wojnę wydawały wzajem nachie, a równała się vendecie korsykańskiéj, dziś jako zwyczaj już nie istnieje; ustała ze swojemi satelitami nawiązką i główszczyzną. Zamiast krwawego odwetu wprowadzone są kary publiczne, śmierć przez rozstrzelanie, więzienie. Projekt kodeksu karnego redagował profesor Bogiszycz; przejrzany przez sąd najwyższy i radę derżawną i poprawiony projekt ten jeszcze nie otrzymał sankcyi. Jednocześnie z wyjściem z użycia odwetu odbywała się szybko metamorfoza społeczna jeszcze większéj doniosłości: przejście z bytu wojennego do

bytu przemysłowo rolniczego. Wojna przestała być stanem normalnym, praca około roli i gospodarstwa już nie cięży wyłącznie na płci niewieściéj.

Ziemia z niesłychanym trudem, rękami ludzi rydlem poruszona, daje ogrodowiny, kukurudzę nawet winograd w niektórych częściach naprzykład w Czernicy; chów bydła a szczególniéj owiec robi postępy. Czarnogórzec jest zawziętym i stanowczym stronnikiem własności ziemskiéj li tylko prywatnéj, i najdziksze puszcze i skały mają swoich właścicieli chociażby nie dopuszczały żadnéj uprawy. Godne zastanowienia, że to państewko przed czterdziestu laty, całkiem teokratyczne bo przez Władyków biskupów rządzone, tak bardzo jest dziś świeckie, że metropolita nawet do Rady księcia nie należy. Do duchowieństwa należą tylko sprawy rozwodowe. Rząd z zasady jest samodzierżczy, co mu nadaje wielką szybkość działania i sprężystość. W istocie zaś niema może żadnego innego rządu, któryby się tak jak czarnogórski rachował z wolą i usposobieniem ludności. O każdéj ważniejszéj rzeczy radzi księciu jego *derżawny sowiet*, czyli rada państwowa z ministrów i wojewodów, każdą zawilszą sprawę, potrącającą kwestye prawne, książę wzbrania się sądzić i odsyła strony do najwyższego sądu. Oprócz starszyzny książę jest w ciągłém obcowaniu z całym swoim ludem, w najpatryarchalniejszy w świecie sposób.

Wyobraźmy w myśli otoczenie jego dworca czyli konaku w stołecznym grodzie czyli varošu Cetinji, mającéj nie więcéj nad 1.300 mieszkańców. Dość obszerna polanka, na któréj pobudowane miasto, okolona wysokiemi górami, pomiędzy któremi góruje Łowczyn (Na szczycie téj góry kazał się pochować ostatni duchowny władzca Czarnogórza Piotr II, ksiądz, wojak i poeta). Same miasto niema ani opasujących je murów, ani bram ani warowni, jest to po prostu długa ulica przecięta kilku mniejszemi poprzecznemi i kilku placami nie całkiem zabudowanémi. Na jednym z takich placów widne stare rumowiska, szczątki smętarza i szczątki kościoła. Cerkiew tu pobudował w 1484 Jan Cernoevich którego Wenecyanie tytułowali swoim wojewodą i panem na górnéj Ksencie czyli Zecie. Uchodząc w góry przed Turkami tu osiadł ten władzca, a osiadając założył w 1496 roku i drukarnię. Nie zliczyć prawie ile razy ta stolica przechodziła z rąk do rąk od Czarnogórców do Turków. Dzisiejszy konak, którego sad przytyka do zwalisk staréj cerkwi Czernojewicza, niezmiernie prosty dwupiętrowy. Nieco w głębi po za zwaliskami u stóp gór widać kształtny monaster o włoskich arkadach, a nad nim na podniesieniu wieżę o ostrołupowym dachu. Na téj wieży sterczały zwykle za czasów Władyków ścięte głowy tureckie. Dopiéro po wstąpieniu

na księstwo Daniły w 1850, żona jego kiężna Darinka wymogła, aby te straszne łupy uprzątnięto i w ziemi pochowano. Tuż obok książęcego konaku jest i *biliarda*, o któréj wspominałem, a z drugiéj strony konaku na placyku niewielkim szeroko rozpostarł gęstym liściem okryte gałęzie piękny wiąz okopany u spodu i ocembrowany. Ten mały placyk jest niby czarnogórskie *forum* czy *agora*, tu cały dzień ludno, schodzą się i rozmawiają urzędnicy o nowinach politycznych, zatrzymują się ludzie mający interesa w sądach albo ministerstwach, albo poprostu udający się na targ. Tu czekają na rozkazy siedząc na ławkach, albo bawiąc się ciskaniem ciężkich kul kamiennych, książęcy *perenicy*. Książę trzyma ich dwiestu, poznać ich można po świetniejszych strojach, i po blaszce na czapce, blaszka ta srebrna u prostych szeregowych i pozłacana u kapitanów. Tu bywa często sam książę, siada on pod tym wiązem na kamieniach i z podchodzącémi do niego rozmawia, albo sądzi sprawy, jedném słowem sprawuje się tak jak S. Ludwik pod historycznym dębem w Vincennes, albo jak któren z najlepszych dawnych królów Piastów. Nie było przykładu, aby książę jadąc za granicę, albo powracając, albo zdecydowawszy się na jaką akcyą polityczną, zamiarów swoich, albo rezultatów działań, w ten prosty sposób nie objawił ludowi otaczającemu go w takich razach tłumami. Pomiędzy perenikami widziałem jednego w czerwonym fezie. Okazało się że to pewien beg z nowonabytego Nikszycza, któren się wprosił na służbę do księcia, aczkolwiek muzułmanin. Zdziwiłem się potrosze ale mi odpowiedziano: nasz książę ma pod tym względem swoje pojęcia żadnéj pomiędzy wyznaniami nie czyni różnicy.

Niepodlega najmniejszéj wątpliwości, że największa część świetnych stosunkowo rezultatów i pięknych cech teraźniejszego Czarnogórza zawdzięcza ono uzdolnieniom, wytrwałéj energii i mądrości swojego teraźniejszego władzcy księcia Mikołaja. I książę i naród przebyli nieraz ogniową próbę doświadczenia, najcięższa z nich była gdy w 1862 w saméj Cetynii Omer Pasza dyktował upokorzonym góralom, warunki pokoju, prawie znoszące niepodległość Czarnogórza. Odtąd wszystkie stracone pozycye, nietylko zostały napowrót odzyskane, ale kraj się rozszerzył i zaokrąglił, a o morze się oparł. Trzeba zrujnowane do szczętu Antivari podźwignąć, w nowych nabytkach się zagospodarować, Albańczyków poskromić, a co trudniejsza—za pomocą zręcznéj dyplomacyi, utrzymać się w równowadze pomiędzy wpływami obcych mocarstw, niby na linie napiętéj, pomiędzy Wiedniem i Petersburgiem. Środki księcia są bardzo ograniczone, dotąd część znaczną skarbowych dochodów stanowią: zasiłki pieniężne z dawnych czasów płacone przez oba wielkie mocarstwa za

doświadczoną gotowość Czarnogórza do wojny z wrogiem chrześciańśtwa. Ustanie tych zasiłków wprawiłoby kraj cały w bardzo wielki kłopot. Książę wychowuje córki w Petersburgu, a wychowywać synów będzie albo w Petersburgu albo w Wiedniu. Księcia niebyło w Cetynii podczas mego przejazdu, ale następcę tronu widziałem— piękne marzące delikatne dziecko o wyrazistych oczach. Od przemocy ze strony Austryi trudniéj się dziś obronić aniżeli dawniéj od Turcyi. Ciągłém źródłem nieporozumień jest przytomność wychodźców z Bośnii, Dalmacyi i Hercegowiny i to wspaniałe prawo schronienia, które dawało i daje Czarnogórze wszystkim takim wychodźcom, wedle odwiecznych swoich narodowych tradycyj, a które stawia je co chwila w drażliwe położenie względem Austryi. Czarnych chmur pełno na horyzoncie, a jednakże ten malutki mikroskopijny ludek patrzy śmiało i odważnie w przyszłość, ufając że jéj podoła.

W-z. S-z.

SERCE PROSTACZE

przez

GUSTAWA FLAUBERT'A.

I.

Przez pół wieku mieszczki z Pont-l'Evêque zazdrościły pani Aubain, że ma taką jak Felicya służącą.

Za sto franków rocznie gotowała ona i sprzątała, szyła, prała, prasowała, kiełznała konia, tuczyła drób', robiła masło i była wierną pani, która jednak wcale osobą przyjemną nazwać się nie mogła.

Pani ta poślubiła pięknego chłopca bez majątku, który zanim umarł na początku 1809 roku, zostawił jéj dwoje dzieci bardzo młodych i pokaźną ilość długów. Wskutek tego sprzedała wszystkie nieruchomości z wyjątkiem Toncques i fermy Geffosses, przynoszącéj dochodu około 5,000 franków co najwyżéj, opuściła dom w Saint-Melaine i zamieszkała w innym, mniéj kosztownym, należącym do jéj przodków, a położonym po za halami.

Dom ten, pokryty łupkiem, stał pomiędzy przesmykiem a uliczką wychodzącą nad rzekę, na gruncie o tak różnym poziomie, że wewnątrz trzeba było się potykać. Ciasny przedsionek oddzielał kuchnię od *sali*, w któréj pani Aubain siedząc przy oknie w fotelu wyplatanym słomą, zostawała przez cały dzień. Po pod futrowaniem, umalowaném na biało, stało osiem krzeseł mahoniowych. Stary fortepian, pod barometrem, podtrzymywał piramidalny stos pudełek drewnianych i tekturowych. Dwie berżerki z robótkami kanwowemi stały po bokach kominka z żółtego marmuru w stylu Ludwika XV. Zégar ścienny po środku przedstawiał świątynię Westy. Całe mieszkanie czuć było cokolwiek stęchlizną, ponieważ podłoga była niżéj jak ogród.

Na pierwszém piętrze znajdował się przedewszystkiém pokój „pani," bardzo duży, wyklejony papiérem w blade kwiaty i zawie-

rający portret „pana“ w kostiumie elegancika. Ztąd wychodziło się do pokoju mniejszego, w którym stały dwa łóżeczka dziecinne bez materaców. Potém znajdował się salon, zawsze zamknięty i zapełniony meblami pokrytémi suknem. Następnie korytarz prowadził do kancelaryi: książki i szpargały zalegały na półkach biblioteki, która trzema bokami otaczała szerokie biurko z czarnego drzewa. Dwie ściany przeciwległe ginęły pod rysunkami piórkiem, krajobrazami gwaszowemi i sztychami: były-to wspomnienia lepszych czasów i zagasłego zbytku. Przez okno w dachu na drugiém piętrze wpadało światło do pokoju Felicyi z widokiem na łąki.

Felicya wstawała o świcie, ażeby nie opuścić mszy i pracowała aż do wieczora bez przerwy; następnie po ukończeniu obiadu, kiedy naczynia stołowe były w porządku a drzwi dobrze zamknięte, przysypywała głownię popiołem i zasypiała przed ogniskiem z różańcem w ręku. Nikt przy targowaniu się nie okazywał więcéj uporu. Co do czystości, to połysk jéj rądli przyprowadzał do rozpaczy inne służące. Oszczędna, jadła powoli i zbierała palcem ze stołu okruchy chleba — chleba dwunasto-funtowego, pieczonego osobno dla niéj, który jéj starczył na dwadzieścia dni.

W każdéj porze roku nosiła chustkę bawełnianą, przypinaną do pleców szpilką, czépek zakrywający jéj włosy, pończochy szare, spódnicę czerwoną i na półkoszulku fartuch ze śliniakiem jak zakonnice ze szpitala.

Miała twarz chudą a głos cienki. W dwudziestym piątym roku można jéj było dać czterdzieści. Od pięćdziesięciu straciła wszelkie ślady wieku—i, zawsze milcząca, wyprostowana i w miarowych ruchach, zdawała się być kobiétą z drzewa działającą automatycznie.

II.

Miała ona także, jak każda inna, swoję historyą miłośną.

Ojciec jéj, mularz, zabił się spadając z rusztowania. Następnie, kiedy matka umarła a siostry się rozbiegły, zabrał ją jakiś *fermier* i jako małe dziecko użył do pilnowania krów w polu. Drżała w łachmanach, piła leżąc na brzuchu wodę z kałuż, za lada co była bitą, i ostatecznie za kradzież trzydziestu soldów, któréj nie popełniła, została wypędzoną. Dostała się do innéj fermy: tam została dziewczyną przy podwórzu, lecz ponieważ podobała się swoim gospodarzom, towarzyszki zazdrościły jéj.

Pewnego wieczoru w miesiącu sierpniu (a miała wtedy osiemnaście lat) gospodarz wziął ją z sobą na zabawę w Colleville. Hałas

skrzypków, światła pomiędzy drzewami, pstrocizna ubiorów, koronki, krzyże ze złota i ta masa ludzi skaczących naraz, odurzyły ją i wprawiły w osłupienie. Trzymała się skromnie na boku, kiedy pewien młody człowiek, zamożny z powierzchowności i który oparłszy się obydwoma łokciami na pałąku od koszyka aż dotąd palił fajkę, przyszedł zaprosić ją do tańca. Kupił jéj cydru, kawy, placek, chustkę fularową, i nadto przypuszczając, że odgadła jego myśli, zaofiarował się z odprowadzeniem jéj do domu. Na skraju pola zasianego owsem przewrócił ją po grubijańsku. Ona ze strachu zaczęła krzyczeć. On oddalił się.

Innym razem, wieczorem, na drodze do Beaumont, chciała minąć wielki wóz z sianem, który posuwał się zwolna; zrównawszy się z kołami, poznała Teodora.

On zaczepił ją z miną spokojną, mówiąc że trzebaby wszystko przebaczyć, ponieważ było-to „winą napitku.“

Ona nie wiedząc co odpowiedzieć, miała ochotę uciec.

Tymczasem Teodor zaczął mówić o plonach i matadorach gminy, gdyż jego ojciec porzucił Colleville dla fermy Ecots: tym sposobem więc są teraz sąsiadami. — „Ach!“ odpowiedziała. On dodał przytém, że rodzice chcieli go ożenić. Nie było mu pilno zresztą, ponieważ czekał na kobiétę według swego gustu. Spuściła głowę. Wtedy-to zapytał jéj czy myślała o małżeństwie. Z uśmiechem na ustach odparła, że to nie ładnie żartować sobie z drugich.

— „Ależ nie; klnę się na sumienie!“ i lewą ręką objął ją wpół; podtrzymywana tym uściskiem szła obok niego: oboje zwolnili kroku. Wiatr był cichy, gwiazdy błyszczały, a olbrzymi wóz z sianem kołysał się przed nimi; cztery konie, powlekając za sobą kopytami, podnosiły kurz z ziemi. Potém, bez zawołania, zwróciły się same na prawo. On pocałował ją jeszcze raz. Ona znikła w nocnéj pomroce.

W następnym tygodniu Teodor zdołał wyjednać sobie schadzki.

Spotykali się w głębi podwórza, za murem, pod drzewem stojącém osobno. Felicya nie była niewinną na podobieństwo panien, nauczyły ją zwierzęta; rozum jednak i instynkt nie pozwoliły jéj upaść. Ten opór doprowadzał miłość Teodora do rozpaczy tak dalece, że dla zaspokojenia jéj (a nawet być może naiwnie) sam zaprojektował małżeństwo. Przysięgał uroczyście.

Wkrótce przyznał się do czegoś bardzo niemiłego: rodzice w przeszłym roku dali za niego zastępcę; każdego jednak dnia mógł być wziętym; myśl służenia w wojsku przerażała go. To tchórzostwo dla Felicyi było dowodem czułości: podwoiła swoję. Wymykała się z domu nocą i przychodziła na schadzki, gdzie Teodor dręczył ją swojemi niepokojami i żądaniami.

Nakoniec oznajmił jéj, że sam pójdzie do Prefektury dla zasięgnięcia informacyi i w następną niedzielę przyniesie je pomiędzy jedenastą a dwunastą w nocy.

Z nadejściem chwili pobiegła do kochanka.

Zamiast niego zastała tam jednego z jego przyjaciół.

Ten powiedział jéj, że tamtego nie zobaczy już nigdy.

Dla zabezpieczenia się przed konskrypcyą, Teodor ożenił się ze starą kobiétą bardzo bogatą, panią Lehoussais z Toucques.

Ztąd smutek bez miary. Rzucała się o ziemię, wydawała krzyki, wzywała Boga i jęczała na polu sama aż do wschodu słońca. Następnie powróciła do fermy, objawiła swój zamiar odejścia i z końcem miesiąca, otrzymawszy zapłatę, związała wszystkie swoje manatki w chustkę i udała się do Pont-l'Evêque.

Przed oberżą zaczepiła jakąś mieszczkę w kapeluszu wdowieńskim, która właśnie szukała kucharki. Młoda dziewczyna nie umiała wielkich rzeczy; że jednak pokazywała tyle dobrych chęci a tak mało wymagań, pani Aubain powiedziała ostatecznie:

„— Niech i tak będzie, przyjmuję cię!"

W kwadrans potém Felicya była już u niéj zainstalowaną.

Z początku żyła tam w rodzaju trwogi, jaką w niéj wywoływał „tryb domu" i wspomnienie „Pana" unoszące się po nad wszystkiém. Paweł i Wirginia, jedno w wieku lat siedmiu a drugie czterech zaledwie, zdawali się jéj być z jakiejś kosztownéj materyi; nosiła je na plecach jak koń, lecz że pani Aubain zabraniała całować je co chwila, to ją gryzło. Czuła się jednak szczęśliwą. Smutek jéj roztopił się w łagodności otoczenia.

Co czwartek zwykli goście przychodzili na partyą bostona. Felicya przygotowywała zawczasu karty i fajerki z ogniem dla ogrzewania nóg. Przychodzili oni punkt o ósméj, a wychodzili zanim wybiła jedenasta.

W każdą niedzielę rano, tandeciarz, który mieszkał w alei, rozkładał na ziemi żelastwo. Potém miasto napełniało się głuchym dźwiękiem głosów, w którym się mięszały: beczenie owiec, rżenie koni i kwiczenie świń z suchym turkotem wozów w ulicy. Koło południa, w czasie najsilniejszego wrzenia targu, na progu zjawiał się stary chłop wysokiego wzrostu, w czapce zasuniętéj na tył głowy i z nosem zakrzywionym; był-to Robelin, fermier z Geffosses. Cokolwiek późniéj przychodził Liébard, fermier z Toucques, mały, czerwony, otyły, ubrany w szarą kurtkę i w butach z ostrogami.

Obydwa przynosili właścicielce kury i sér. Felicya zawsze odkrywała ich chytrość, co wzbudzało w nich wielkie dla niéj uszanowanie.

W epokach ściśle nieoznaczonych, pani Aubain przyjmowała wizyty jednego ze swych stryjów, markiza de Gremanville, zrujnowanego przez pijaństwo, który żył w Falaise na ostatnim okrawku swoich dawnych włości. Przychodził zawsze w czasie śniadania w towarzystwie okropnego pudla, który łapami walał wszystkie meble. Pomimo wysiłków ażeby się pokazać człowiekiem dobrze wychowanym; co to za każdym razem podnosi kapelusz, kiedy mówi: „Nieboszczyk mój ojciec“ nie mógł się oprzéć nałogowi i nalewał sobie kieliszek raz po raz, rzucając tłuste słówka. Felicya wypychała go za drzwi grzecznie: „Już pan ma dosyć panie de Gremanville! Na inny raz!“ I zamykała za nim drzwi.

Z przyjemnością jednak otwierała je przed panem Bourais, byłym adwokatem. Jego biały krawat i łysina, jego żaboty u koszuli, szeroki brunatny surdut, jego sposób zażywania tabaki z zaokrąglaniem ręki, cała zresztą jego istota wywoływała w niéj ów niepokój, w jaki nas rzuca widok ludzi nadzwyczajnych.

Ponieważ zawiadywał majątkami „Pani,“ zamykał się więc z nią całemi godzinami w pokoju „Pana,“ i obawiał się ciągle skompromitowania się, szanował niezmiernie sądownictwo, miał pretensye do łaciny.

Dla uczenia dzieci w sposób przyjemny, podarował im geografią z rycinami. Przedstawiała ona rozmaite sceny świata, ludożerców ustrojonych w pióra, małpę porywającą pannę, beduinów w pustyni, wieloryba zaczepionego na hak i t. d.

Paweł objaśniał ryciny Felicyi. Było-to nawet całe jéj wychowanie literackie.

Wychowaniem dzieci zajmował się Guyot, chudy pachołek z merostwa, sławny z pięknych rąk, czyszczący scyzoryk o cholewy.

Kiedy była pogoda, wszyscy szli wcześnie do fermy Geffosses.

Dziedziniec tam znajduje się na stoku góry, dom zaś pośrodku; morze zdala widnieje jak szara plama.

Felicya wyjmowała plasterki zimnego mięsa z koszyka i jedzono śniadanie w mieszkaniu przytykającém do mleczarni. Była-to jedyna resztka z dawnego wesołego domku, który dziś już zniknął. Porozrywany papier na murach drżał za każdym przeciągiem powietrza. Pani Aubain przygnieciona wspomnieniami, pochylała czoło; dzieci nie śmiały rozmawiać. „Bawcie się przecie!“ mówiła do nich; lecz one zmykały.

Paweł chodził na strych, łapał ptaki, zbijał „kaczki“ na sadzawce, lub uderzał kijem o wielkie beczki, które wydawały odgłos bębnów.

Wirginia dawała jeść królikom, biegała zbierać bławatki, pokazując haftowane majteczki wskutek zbyt szybkiego przebierania nogami.

Pewnego wieczora, jesienią, wracano do domu przez pastwiska. Księżyc w pierwszéj kwadrze oświecał część nieba, a mgła jak wstęga pływała nad pochyłościami Toucqes. Woły, leżąc pośrodku trawnika, patrzyły spokojnie na te cztery przechodzące osoby. W trzecim pastewniku, kilka z nich podniosło się i otoczyło je. „Nie bójcie się niczego“—mówiła Felicya — i mrucząc coś w rodzaju wymówek głaskała po grzbiecie tego, który się znajdował najbliżéj; wół się odwrócił a inne poszły za nim. Kiedy jednak minięto pastwisko następne, podniósł się przerażający ryk. Był-to byk, skryty aż dotąd we mgle, a posuwający się w kierunku dwu kobiét. Pani Aubain chciała biedz. — „Nie nie! nie tak prędko!“ Przyśpieszyły jednak kroku i usłyszały tuż za sobą oddech wyraźny. Racice, jak młoty, tłoczyły trawę łąki; teraz już galopował. Felicya odwróciła się i porywając obiema rękami bryły ziemi rzucała mu je w oczy. Byk spuściwszy pysk, trząsł rogami i drżał z wściekłości rycząc przeraźliwie. Pani Aubain na skraju pastwiska z obojgiem dzieci, straciwszy głowę nie wiedziała jak przedrzéć się przez wysoki wał. Felicya wciąż się cofała przed bykiem i bezustanku rzucała nań bryłami, które go oślepiały i krzyczała: „Śpieszcie się! śpieszcie się!

Pani Aubain zeszła do rowu, popchnęła Pawła a następnie Wirginię, upadła kilka razy przy wspinaniu się na pochyłość, lecz ostatecznie wdrapała się odważnie na wał.

Byk przyparł Felicyą do płotu; jego ślina rozpryskiwała się na jéj twarzy, chwilę jeszcze a byłby ją przeszył rogiem. Szczęściem że miała czas przemknąć się pomiędzy dwoma kołkami i wielkie zwierzę, niezmiernie zdumione, zatrzymało się.

Wypadek ten przez wiele lat był przedmiotem rozmów w Pont-l'Evêque. Felicya ani przypuszczając nawet żeby miała coś dokonać bohatérskiego, nie była z tego dumną.

Zajmowała ją wyłącznie Wirginia, która wskutek przestrachu dostała ataków nerwowych; doktór Poupart zalecił kąpiele morskie w Trouville.

W owym czasie kąpiele te nie były uczęszczane. Pani Aubain zasięgnęła wiadomości, radziła się Bourais'go i robiła przygotowania jak gdyby do wielkiéj podróży.

Tłomoki odeszły w wilią na wozie Liébard'a. Nazajutrz Liébard przyprowadził dwa konie, z których jeden był pod siodłem damskiém z oparciem aksamitném; na grzbiecie drugiego płaszcz zwinięty w trąbkę stanowił rodzaj siedzenia. Pani Aubain wsiadła

na konia, a z tyłu za nią Felicya z Wirginią; Paweł okraczył osła pana Lechaptois, który pożyczył go pod warunkiem, że nie będzie mu zbywać na wielkiéj pieczołowitości.

Droga była tak zła, że te osiem kilometrów zabrały dwie godziny czasu. Konie grzęzły w błocie po pęciny i dla wydostania nóg szarpały biodrami; czasem trafiały na tór, innym razem musiały przeskakiwać. Klacz Liebarda w pewnych miejscach zatrzymywała się nagle. Liebard czekał cierpliwie aż ona sama ruszy w drogę; mówił o osobach, których majątki leżały przy drodze, dodając do ich historyi uwagi moralne. Tak na śroku Toucques, kiedy przebywano po pod oknami przyozdobionemi w nasturcye, rzekł wzruszając ramionami: „I oto pewna pani Lehoussais, która zamiast wziąść młodego człowieka. . . .“ Felicya nie słuchała reszty; konie kłusowały a osioł galopował; wszyscy puścili się ścieżką — i wkrótce zatrzymano się przed chatą, prawie na samym progu.

Matka Liébard spostrzegłszy swoję panią, nie skąpiła oznak radości. Przygotowała śniadanie, na którém była polędwica, flaki, kiszka, potrawka z kurczęcia, cydr musujący, komput w cieście i śliwki na wódce — i uprzyjemniała to wszystko grzecznościami dla Pani, która zdawała się być w najlepszém zdrowiu, dla panny, która wyrosła „wspaniale“ i dla pana Pawła szczególnie „zmężniałego,“ nie zapominając przytém nieboszczyków przodków, których Liébardowie znali, ponieważ byli na służbie u téj rodziny od wielu pokoleń. Ferma jak i oni, miała charakter starożytny. Belki w pułapie były spróchniałe, mury zczerniałe od dymu, szyby szare od kurzu. W kredensie dębowym mieściły się wszelkiego rodzaju sprzęty, konwie, talérze, miski cynowe, samotrzaski na wilki, nożyce do strzyżenia owiec; ogromna serenga pobudziła dzieci do śmiechu. Ani jednego nie było drzewa na podwórzu, któreby nie miało grzybów u podstawy lub pęków jemioły pomiędzy gałęziami. Kilka z nich wiatr przewrócił na ziemię. Dachy słomiane, podobne do zielonego aksamitu a nierównéj grubości, stawiały opór najsilniejszym wichurom. Wozownia jednak waliła się ze starości. Pani Aubain powiedziawszy że temu zaradzi, kazała osiodłać napowrót konie.

Było jeszcze pół godziny drogi do Trouville. Mała karawana minęła *les Ecores* na piechotę; była-to skała urwista, wisząca po nad statkami; w trzy minuty później, na końcu ulicy, zajechano na podwórze pod *Złotym Barankiem* do pani David.

Wirginia od pierwszego dnia uczuła się mniéj słabą, tak zmiana powietrza i działanie kąpieli poskutkowały. W braku kostiumu kąpała się w koszuli, a służąca ubierała ją w bódce celnika, która służyła dla kąpiących się.

Po południu wychodzono z osłem po za *Czarne skały* od strony Hennequeville. Ścieżka wspinała się najpierw pomiędzy gruntami płaskiemi jak trawniki w parku, a następnie doprowadzała do płaskowzgórza, na którém pola uprawne mięszały się z pastwiskami. Po brzegu drogi z kęp jerzyn wznosiły się ostrokrzewy; tu i owdzie uschnięte drzewo swojemi konarami rysowało się w zygzaki na lazurze nieba.

Prawie zawsze odpoczywano na łące, mając Deauville na lewo, Havre na prawo a pełne morze z przodu. Morze było błyszczące od słońca, gładkie jak zwierciadło, i tak łagodne, że jego szmer słyszéć zaledwie było można; wróble w ukryciu świergotały, a olbrzymie sklepienie niebios pokrywało to wszystko. Pani Aubain, siedząc, pracowała nad robótką: Wirginia przy niéj splatała sitowie. Felicya zrywała kwiaty lawendy; Paweł, który się nudził, chciał koniecznie odjechać.

Innym razem, minąwszy Toucques na łodzi, szukali muszli. Odchodzące morze zostawiało za sobą ślimaki i meduzy; dzieci biegały chwytając bańki piany, które wiatr unosił. Fale uśpione, spadając na piasek rozlewały się po całym wybrzeżu; morze rozciągało się jak okiem sięgnąć, ale od strony lądu miało granicę w piaszczystych wzgórzach, które je oddzielało od *Marais*, szerokiéj łąki w formie hipodromu. Kiedy powracali tamtędy, Trouville, w głębi na pochyłości wzgórza, powiększało się z każdym krokiem, i ze wszystkiémi swojemi domami zdawało się weselić w jakimś wesołym nieporządku.

W dnie, kiedy było gorąco, nie wychodzili wcale z pokoju. Oślepiająca jasność z zewnątrz wykładała listwy żaluzyi smugami światła. Żadnego hałasu we wsi. Na dole, na chodniku nikogo. To milczenie rozprzestrzenione powiększało spokój rzeczy. W dali, młoty robotników szpuntowały szpary w dnach okrętów, a ciężki powiew morza przynosił woń smoły.

Główną rozrywką był powrót łodzi rybackich, które zaczynały lawirować z chwilą minięcia znaków ostrzegających: Żagle spuszczały się do dwu-trzecich masztów; i, z żaglem przednim wydętym jak balon, łodzie postępowały, prześlizgiwały w plusku fal aż do środka portu, gdzie kotwice upadały nagle. Następnie statek podsuwał się pod bulwar. Majtkowie po przez burty rzucali ryby drgające życiem; rzęd wozów czekał na nie, a kobiéty w bawełnianych czepkach pędziły po koszyki i dla uściśnienia mężów.

Jedna z nich zaczepiła Felicyą, która nieco późniéj weszła do pokoju z uradowaniem. Odnalazła siostrę; i Anastazya Barette, z męża Leroux, ukazała się, trzymając niemowlę u piersi, prawą ręką in-

ne dziecko, a z lewéj mając małego chłopca okrętowego z pięściami opartemi na biodrach i czapką na ucho.

Po upływie kwadransa pani Aubain pożegnała ją.

Spotykano ją zawsze przy wejściu do kuchni, albo na przechadzkach. Mąż nie pokazywał się nigdy.

Felicya poczuła dla nich takie przywiązanie, że kupiła im kołdrę, koszule i piecyk; widocznie ją wyzyskiwali. Ta słabość drażniła panią Aubain, która zresztą nie lubiła poufałości jéj siostrzeńca—gdyż tykał jéj synowi;—i ponieważ Wirginia kaszlała a sezon się pogorszył, powróciła do Pont—l'Evêque.

Pan Bourais oświecił ją co do wyboru kolegium. Kolegium w Caen uchodziło za najlepsze. Odesłano tam Pawła, który pożegnał się zuchowato, zadowolony, że będzie żyć w domu, w którym będzie miał towarzyszów.

Pani Aubain zdecydowała się na rozłączenie z synem, ponieważ było-to nieodzowném. Wirginia co raz to mniéj o tém myślała. Felicya tęskniła za jego hałaśliwością. Lecz za to inne zajęcie miało ją rozerwać; począwszy od Bożego Narodzenia prowadziła co dzień małą na katechizm.

III.

Po uklęknięciu u drzwi kościoła, postępowała daléj pod wysokiém sklepieniem pomiędzy dwoma rzędami krzeseł, otwierała ławkę pani Aubain, siadała i wodziła oczyma naokoło siebie.

Chłopcy z prawéj, dziewczyny z lewéj napełniały stalle chóru, proboszcz stał przy pulpicie; na szybie okna Duch Ś-ty unosił się nad Najśw. Panną; na innéj ukazywała się ona na kolanach przed Dzieciątkiem Jezus, a z tyłu cymboryum w grupie z drzewa, św. Michał powalał na ziemię smoka.

Ksiądz najpierw opowiedział w skróceniu Pismo Święte. Felicyi zdawało się że widzi raj, potop, wieżę Babel, miasta w płomieniach, narody które umierały, bałwany wywrócone; i z tego olśnienia zostało jéj się tylko uszanowanie dla Najwyższego i obawa przed jego gniewem. Następnie płakała słuchając o Pasyi. Dlaczego oni go ukrzyżowali, jego który miłował dzieci, żywił tłumy, leczył ślepych, i raczył, w swéj łaskawości, urodzić się wpośród biednych, na gnoju w stajni? Siewy, żniwa, tłokarnie, wszystkie te rzeczy zwyczajne, o których mówi Ewangelia, znajdowały się w jéj życiu; przejście Boga uświęciło je; i ona czuléj polubiła baranki przez miłość Baranka, a gołąbki z powodu Ducha Ś-go.

Trudno jéj było wyobrazić sobie jego osobę; gdyż nie tylko był on ptakiem, ale jeszcze i ogniem, a tu znowu tchnieniem. Być może że jego-to światło unosi się w nocy po brzegach bagien, jego-to oddech pędzi obłoki, jego głos tak harmonijnie dźwięczy w dzwonkach; i pozostawała w uwielbieniu rozkoszując się w świeżości murów i w spokoju kościoła.

Co do dogmatów, to nic nie rozumiała i nie starała się nawet zrozumiéć. Ksiądz prawił, dzieci powtarzały, a ona ostatecznie zasypiała, i budziła się nagle, kiedy dzieci odchodząc klapały sabotami o tafle podłogi.

Tym-to sposobem, słuchając, nauczyła się katechizmu, ponieważ wychowanie religijne było w niéj zaniedbane za młodu; i odtąd naśladowała wszystkie praktyki Wirginii, pościła jak ona i chodziła z nią do spowiedzi. Na Boże Ciało urządziły razem ołtarz.

Pierwsza komunia Wirginii dręczyła ją zawczasu. Troszczyła się o trzewiki, o różańce, o książkę, o rękawiczki z jakiém-że to drżeniem pomagała matce ją ubierać!

Przez cały czas mszy doznawała trwogi. Pan Bourais zakrywał jéj jeden bok chóru; lecz akurat na przeciwko, gromada dziewic w białych wieńcach po nad woalami spuszczonemi, formowała jakby pole śnieżne; i ona poznawała zdaleka tę kochaną dziewczynkę po jéj szyi drobniejszéj, po jéj postawie pokornéj. Dzwonek zabrzmiał. Głowy się pochyliły; było milczenie. Przy odgłosie organów śpiewacy i tłum zaintonowali *Agnus Dei*; potém rozpoczął się pochód chłopców; następnie dopiéro dziewczynki się podniosły. Krok za krokiem, z rękami złożonemi, szły do ołtarza całkowicie oświetlonego, klękały na pierwszym stopniu, przyjmowały hostyą jedna po drugiéj i w tym samym porządku powracały do swoich klęczników. Kiedy kolej przyszła na Wirginią, Felicya dla zobaczenia jéj wychyliła się; i przez imaginacyą, jaką wytwarzają prawdziwe uczucia, zdawało się jéj że ona sama była tém dzieckiem; twarz tamtéj stawała się jéj twarzą, tamtéj suknia ją ubierała, tamtéj serce biło w jéj piersi; w chwili otwierania ust, przymykając powieki o mało że nie zemdlała.

Nazajutrz zrana przedstawiła się w zakrystyi prosząc proboszcza żeby jéj dał komunią. Przyjęła ją z nabożeństwem, nie kosztując już jednak tych samych rozkoszy.

Pani Aubain pragnęła zrobić ze swéj córki osobę skończoną; i, ponieważ Guyot nie umiał jéj nauczyć ani angielskiego ani muzyki, postanowiła oddać ją na pensyą do Urszulinek w Honfleur.

Dziecko nie sprzeciwiało się wcale. Felicya wzdychała, uważając panią za nieczułą. Potém pomyślała, że pani może ma i racyą. Te rzeczy przechodziły jéj kompetencyą.

Nakoniec, pewnego dnia wóz kryty zatrzymał się przededrzwiami i z niego wysiadła zakonnica, która przyjechała zabrać Pannę.

Felicya włożyła tłomoki na górę, wydała polecenia furmanowi, i wstawiła do kufra sześć garnuszków z konfiturami, tuzin gruszek i bukiet fiołków.

Wirginia w ostatniéj chwili wybuchła wielkim płaczem; ściskała matkę, która ją całowała w czoło powtarzając: „Daléj! odważnie, odważnie!“ Stopień się podniósł i wóz odjechał.

Wtedy-to pani Aubain opadła z sił; wieczorem, wszyscy jéj przyjaciele, państwo Lormeau, pani Lechaptois, *te* panny Rochefeuille, pan do Houppeville i Bourais przyszli ją pocieszyć.

Nieobecność córki była dla niéj z początku wielką boleścią. Lecz trzy razy na tydzień odbierała od niéj listy, przez trzy inne odpisywała, przechadzała się po ogrodzie, czytała trochę, i tym sposobem wypełniała próżnię godzin.

Rano, z przyzwyczajenia, Felicya wchodziła do pokoju Wirginii i opatrywała mury. Nudziło ją, że nie miała kogo czesać, komu trzewików zasznurowywać, otulić w łóżku,—i że nie mogła ustawicznie widziéć jéj ślicznéj twarzyczki, ni trzymać ją za rękę kiedy wychodziły razem. Z bezczynności sprobowała robić koronki. Za ciężkie jéj palce rwały nici; nie rozumiała się na niczém, straciła sen i mówiąc jéj słowy była „podkopaną.“

Dla „rozerwania się“ wyprosiła sobie pozwolenie przyjmowania swego siostrzeńca, Wiktora.

Przychodził w niedzielę po mszy, z policzkami różowémi, piersią otwartą i zapachem pól, jakie musiał przebywać. Felicya natychmiast nakrywała mu do stołu.

Spożywali śniadanie jedno naprzeciwko drugiego; ona, jedząc jak można najmniéj dla oszczędności, opychała go do tego stopnia, że ostatecznie zasypiał. Z pierwszém uderzeniem dzwonka na nieszpory budziła go, czyściła mu spodnie, zawiązywała krawat, i oparta na jego ramieniu z dumą macierzyńską, szła do kościoła.

Rodzice namawiali go zawsze, żeby coś wyciągnął ztamtąd, choćby paczkę cukru, mydła, wódki, a nawet pieniędzy. Przynosił swoje manatki do reperacyi; ona zgadzała się na tę robotę, szczęśliwa, że ta sposobność zmusi go do przyjścia znów do niéj.

W miesiącu sierpniu ojciec wziął go z sobą na morze.

Był to czas wakacyjny. Przybycie dzieci sprawiło jéj pociechę. Ale Paweł stawał się kapryśnym, a Wirginia, wyszła już z wieku, w którym można mówić sobie ty, co tworzyło pewien przymus, pewną zaporę między niemi.

Wiktor wyjeżdżał do Morlaix, do Dunkierki, do Brightan; za powrotem z każdéj podróży, przywoził jéj podarek. Pierwszym razem—pudełeczko z muszli, za drugim—filiżankę do kawy; za trzecim—chłopiec z piernika. Stawał się pięknym; miał zgrabną figurę, małe wąsiki, piękne i wyraziste oczy. Kapelusik skórzany, umieszczony z tyłu głowy jak u sternika. Zabawiał ją opowiadaniem historyjek naszpikowanych wyrażeniami marynarskiemi.

Pewnego poniedziałku, dnia 14 lipca 1819 r. (nie zapomniała ona téj daty). Wiktor zawiadomił, że się zaciągnął do dalekiéj wyprawy, i że trzeciéj nocy, na pakebocie z Honfleur, uda się na galiotkę, która wkrótce ma podnieść kotwicę i wypłynąć z Hawru. Nieobecność jego może potrwać ze dwa lata.

Przewidywanie tak długiéj nieobecności zmartwiło Felicyą: i chcąc go jeszcze raz pożegnać, we środę wieczorem, po obiedzie, włożyła kalosze, i przebiegła cztery mile rozdzielające Pont-l'Evêque od Honfleur.

Doszedłszy do krzyża, zamiast zwrócić się na lewo, poszła na prawo; zabłądziła pomiędzy stosami drzewa i powróciła w to samo miejsce: ludzie których się pytała radzili jéj pośpiech. Okrążyła basen zawalony statkami, potykała się o kołki, do których były przywiązane; potém grunt się obniżył, światła się krzyżowały, i zdawało się jéj, że oszalała, skoro spostrzegła konie na niebie.

Inne rżały przy końcu wybrzeża, przestraszone widokiem morza. Winda je podnosiła i spuszczała na statek w którym podróżni popychali się pomiędzy beczkami jabłeczniku, koszami séra, workami zboża: Kury gdakały, kapitan klął: jakiś chłopiec okrętowy stał oparty o beczkę utrzymującą kotwicę, obojętnie patrząc na to wszystko. Felicya, która go nie poznała krzyczała: „Wiktor!“ On podniósł głowę; rzuciła się ku niemu kiedy usuwano pomost.

Pakbot, holowany przez kobiety, które śpiewały, wypłynął z portu. Wiązania jego trzeszczały; ciężkie bałwany rozbijały się o jego przód. Żagiel się zwrócił; już niebyło widać nikogo;—i na morzu usrebrzoném promieniami księżyca pakebot, stanowił czarną plamę, która bledniała bezustannie, zagłębiała się, niknęła.

Felicya, przechodząc koło krzyża chciała polecić Bogu to, co najwięcéj kochała, modliła się długo, stojąc z twarzą zroszoną łzami, z oczami wzniesionemi ku niebu. Miasto było w uśpieniu, celnicy się przechadzali: woda spadała bezustannie otworami szluzy z odgłosem potoku. Wybiła druga godzina.

Nie mogłaby pomówić z siostrzeńcem przededniem. Spóźnienie się z pewnością niepodobałoby się pani; więc pomimo wielkiéj chęci

uściśnienia dziecka, powróciła do domu. Służące z oberży budziły się, kiedy wchodziła do Pont-l'Evêque.

A więc biedny chłopiec przez miesiące przesuwać się będzie po bałwanach morskich! Poprzednio odbyte podróże nie przestraszały jéj. Z Anglii i z Bretanii ludzie powracali; ale Ameryka, kolonie, wyspy, wszystko to ginęło w mglistych przestrzeniach, na drugim końcu świata.

Od téj chwili Felicya wyłącznie myślała o swoim siostrzeńcu. W dni skwarne dręczyła się myślą, że mu dokucza pragnienie. Podczas srożącéj się burzy obawiała się piorunu. Słuchając wiatru który jęczał w kominie i zrywał dachówki, widziała, jak nim miota ta sama burza, na wierzchołku masztu zdruzgotanego, przechylonego w tył, okrytego pianą: albo téż—co było wspomnieniem geografii z obrazkami—jak zjadali go dzicy, chwytały go małpy w lesie,—lub umierał na wybrzeżu bezludném. Ale nigdy nie mówiła o swoich niepokojach.

Pani Aubain również niepokoiła się o córkę. Zakonnice przyznawały, że była serdeczną ale delikatną. Najmniejsze wzruszenie ją drażniło. Trzeba było wyrzec się nauki fortepianu.

Matka wymagała regularnéj korespondencyi z klasztoru, Pewnego rana kiedy listonosz nie przyszedł, niecierpliwiła się; chodziła po pokoju od krzesła do okna. W istocie była to rzecz nadzwyczajna, od czterech dni ani jednéj litery!

Felicya chcąc ją pocieszyć swoim przykładem, mówiła do niéj:

— A ja już od sześciu miesięcy nie odebrałam ani jednego listu!...

— Od kogóż-to?

Służąca odpowiedziała łagodnie:

— ...Ależ od mojego siostrzeńca!

— Ah! od twojego siostrzeńca! I wzruszając ramionami, pani Aubain przechadzała się daléj, co miało znaczyć: „Nie myślałam o tém... A co więcéj, żartuję sobie z tego! chłopiec okrętowy, obszarpaniec, piękna mi sprawa... gdy tym czasem moja córka... Pomyśl tylko..."

Felicya, chociaż nawykła do cierpkości zrazu oburzyła się na panią; lecz potém zapomniała.

Zdawało się dla niéj rzeczą zupełnie prostą, że ktoś traci głowę dla małéj.

Dwoje tych dzieci miało równe znaczenie; łączyły się one w jéj sercu, a losy ich musiały być jednakie.

Od aptekarza dowiedziała się, że okręt na którym Wiktor się znajdował przybył do Hawany. Wiadomość o tém wyczytał w dzien-

niku. Z powodu cygar wyobrażała sobie, że w Hawanie nie robią nic innego a tylko palą i Wiktor krążył pomiędzy murzynami w tytoniowych obłokach. Czy można też „w razie potrzeby „powrócić lądem? Jak to daleko od Pont-l'Evêque? Chcąc się dowiedzieć zapytała p. Bourais:

Rozłożył atlas, zaczął od wykładu o długości geograficznéj; i uśmiechał się grubiańsko z powodu osłupienia Felicyi. Nakoniec obsadką od ołówka wskazał na karcie owalnéj, punkcik czarny, z trudnością dostrzedz się dający, i dodał: „Oto tu." Felicya pochyliła się nad mapą: ta plątanina linij różnobarwnych męczyła jéj wzrok, niczego nie ucząc; a ponieważ Bourais zachęcał ją do powiedzenia co ją w kłopot wprowadza, prosiła go, żeby jéj wskazał dom, w którym Wiktor zamieszkuje. Bourais podniósł rękę, kichnął, rozśmiał się ogromnie. Naiwność ta pobudziła go do wesołości: Felicya nie rozumiała przyczyny: toż ona spodziewała się, że może zobaczy portret twojego siostrzeńca, tak jéj umysł był ograniczony.

We dwa tygodnie potém Liébard, w godzinie targowéj wszedł według zwyczaju do kuchni i doręczył jéj list przysłany przez jéj szwagra. Ponieważ oboje czytać nie umieli, uciekła się do swojéj pani.

Pani Aubain, która liczyła oczko jakiejś roboty na drutach, położyła ją przy sobie, odpieczętowała list; zadrżała i głosem cichym, z głębokiem spojrzeniem, rzekła:

— O nieszczęściu ci donoszą... Twój siostrzeniec!.. Umarł!..

Więcéj nic w liście niepowiedziano.

Felicya padła na krzesło, opierając głowę o ścianę i zamknęła powieki, które nagle się zaczerwieniły. Potém ze spuszczoną głową, z obwisłemi rękami, ze wzrokiem osłupiałym, powtarzała od czasu do czasu.

— Biedny chłopak! biedny chłopak!

Liébard spoglądał na nią wydając westchnienia, pani Aubain drżała cokolwiek.

Doradziła jéj żeby poszła odwiedzić siostrę w Trouville.

Felicya ruchem ręki odpowiedziała, że tego niepotrzebuje.

Nastąpiła chwila milczenia. Poczciwy Liébard uznał za właściwe oddalić się.

Wtedy Felicya rzekła.

— To ich nic nie obchodzi!

Głowę opuściła na piersi, bezwiednie podnosiła od czasu do czasu długie druty ze stolika do roboty.

Kobiéty przechodziły przez podwórze z noszami, na których ociekała bielizna.

Spostrzegłszy je przez okno, przypomniała sobie o praniu; bieliznę zaparzoną w dniu poprzednim, należało wyżąć wyszła więc z pokoju.

Deska i beczka znajdowały się na brzegu rzeczki Toucques. Rzuciła na brzeg kupę koszul, zawinęła rękawy i wzięła kijankę, odgłos silnych uderzeń dawał się słyszéć w innych ogrodach. Na łąkach nie było nikogo, wiatr poruszał rzekę: w głębi wysokie trawy kołysały się, jakby włosy trupów płynących w wodzie. Powstrzymywała wybuchy boleści i aż do wieczora była bardzo odważną, ale w swoim pokoju, oddała się jéj zupełnie, rzuciwszy się na materac, z twarzą zatopioną w poduszkę i ściskając pięściami skronie.

Znacznie późniéj dowiedziała się od kapitana o okolicznościach towarzyszących śmierci Wiktora. Zanadto krwi upuszczono mu w szpitalu kiedy zapadł na żółtą febrę. Czterech lekarzy go przytrzymywało. Umarł na ich rękach, a lekarz naczelny zawołał:

— Masz tobie! jeszcze jeden!

Rodzice zawsze okrutnie się z nim obchodzili. Wolała ich nie widziéć; oni też nie zrobili żadnego kroku, bądź to przez zapomnienie, bądź też przez zatwardziałość właściwą nędzarzom.

Wirginia traciła siły.

Ściskanie w piersiach, kaszel, gorączka bezustanna, wypieki na policzkach zapowiadały jakąś ważną chorobę. P. Poupart doradzil pobyt w Prowancyi. Pani Aubain na to przystała i byłaby natychmiast zabrała córkę do domu, gdyby nie klimat w Pont-l'Evêque.

Ułożyła się z wynajmującym powozy, który ją zawozil co wtorek do klasztoru. W ogrodzie znajduje się taras z którego widać Sekwanę. Wirginia przechadzała się z nią pod rękę po opadłych liściach winorośli. Niekiedy słońce przedzierające się przez chmury zmuszało ją do zmrużania powiek, kiedy przypatrywała się żaglom w dali i całemu widnokręgowi od zamku Tancarville aż do latarni morskich Hawru. Potém obie odpoczywały w altance. Pani Aubain postarała się o baryłkę wybornéj Malagi; i Wirginia śmiejąc się na myśl podchmielenia sobie wypiła zaledwie dwa naparstki, nie więcéj.

To powróciło jéj siły. Jesień przeszła spokojnie. Felicya uspokajala panią Aubain. Ale pewnego wieczoru, po powrocie z przechadzki na wieś, zastała kabryolet p. Poupart przededrzwiami; on zaś sam znajdował się już w przedsionku. Pani Aubain zawiązywała kapelusz.

— Podaj mi okrycie, woreczek, rękawiczki; prędzéj-że.

Wirginia dostala kataru płuc; może nawet była w stanie rozpaczliwym.

— Jeszcze nie! rzekł lekarz: i oboje wsiedli do powozu, wśród padających płatków śniegu. Noc nadchodziła. Było bardzo zimno.

Felicya wpadła do kościoła żeby zapalić świecę. Potém pobiegła za kabryoletem, który dopędziła w godzinę; wskoczyła lekko z tyłu i trzymała się frendzli, gdy w tém przyszła jéj myśl: „Dwór nie jest zamknięty; a gdyby się téż tam wdarli złodzieje?..“ Zeskoczyła...

Nazajutrz o świcie poszła do lekarza. Powrócił on wprawdzie— ale znów wyjechał na wieś. Potém udała się do oberży, spodziewając się że ktoś może przynieść list. Nakoniec o zmroku, dyliżansem udała się ku Lisieux.

Klasztor znajdował się w głębi uliczki spadzistéj. Kiedy znajdowała się w jéj połowie, usłyszała dziwne dźwięki, jakby dzwon pogrzebowy. „To dzwonią dla kogoś innego“ pomyślała: i gwałtownie zakołatała do bramy.

Po upływie kilku minut, trepki zastukały; otworzono furtę, i zakonnica się ukazała.

Zacna siostra z wyrazem namaszczenia, powiedziała, że „ona już przeniosła się do lepszego świata.“ W tymże samym czasie, dzwony św. Leonarda odezwały się z podwojoną siłą.

Felicya pobiegła na drugie piętro.

Zaraz z progu pokoju spostrzegła Wirginią rozciągniętą na grzbiecie z rękami złożonemi, z ustami otwartemi, i z głową rzuconą w tył, a nad nią pochylony krzyż, pomiędzy firankami, mniéj białemi aniżeli jéj twarz. Pani Aubain u stóp łóżka, które obejmowała rękami, łkała nawpół umarła. Przełożona stała na prawo. Trzy świeczniki stojące na komodzie rzucały plamy czerwone, a mgła białością pokrywała okna. Zakonnice wyniosły panią Aubain.

Przez dwie noce Felicya nieodstępowała umarłéj. Powtarzała ciągle téż same modlitwy, kropiła święconą wodą prześcieradła, siadała i przypatrywała się zmarłéj. Przy końcu pierwszego czuwania zauważyła, że twarz jéj pożółkła, wargi zsiniały, nos się wyciągnął oczy zapadły. Ucałowała je kilkakrotnie, i nie byłaby doznała wielkiego zdziwienia gdyby Wirginia je otworzyła; dla takich umysłów rzeczy nadprzyrodzone są zupełnie proste. Ubrała ją: okryła całunem ułożyła w trumnie, ustroiła w wieniec i rozpuściła włosy. Były one jasne i nadzwyczajnie na jéj wiek długie. Felicya ucięła duży kosmyk, którego połowę wsunęła w w zanadrze, postanawiając zatrzymać go na zawsze.

Ciało przeprowadzono do Pont-l'Evêque, stosownie do żądania pani Aubain, która jechała za karawanem w powozie zamkniętym.

Po mszy potrzeba jeszcze było trzech kwadransy żeby dotrzéć do cmentarza. Paweł szedł na czele łkając, za nim p. Bourais a następnie starsi mieszkańcy, kobiéty w czarnych okryciach i Felicya. Myślała ona o swoim siostrzeńcu, i ponieważ mu nie oddała ostatniéj posługi była nad wyraz smutną, tak jakby ją pogrzebiono razem z nim.

Rozpacz pani Aubain nie miała granic.

W początku sarkała przeciw Bogu, nazywając go niesprawiedliwym ponieważ jéj zabrał córkę,—jéj która nigdy nic złego nie uczyniła, i któréj sumienie było tak czystém. Ale nie! powinna była wywieźć ją na południe. Inni lekarze byliby ją ocalili. Oskarżała sama siebie, chciała pójść z nią się połączyć, wydawała krzyki w czasie sennych marzeń. Jedno zwłaszcza z nich powtarzało się uporczywie. Mąż jéj ubrany jak majtek powracał z odległéj podróży i mówił do niéj ze łzami, że otrzymał rozkaz zabrania Wirginii. Wtenczas umawiali się żeby wynaleźć gdzie jaką bezpieczną kryjówkę.

Pewnego razu powróciła z ogrodu wzburzona. Przed chwilą (wskazywała miejsce) ojciec i córka ukazali się jéj jedno po drugiem; nie robili nic, a tylko patrzyli na nią.

Bezwładna przez kilka miesięcy nie wychodziła z pokoju. Felicya łagodnie ją napominała; należało szanować się przez wzgląd na syna, i na coś innego, przez pamięć dla niéj.

— Dla niéj? zapytywała pani Aubain, jakby ze snu przebudzona. Ach! tak!.. tak!.. Ty o tém nie zapomnisz! Była to aluzya do cmentarza, na który zabroniono jéj uczęszczać.

Felicya chodziła tam codziennie.

O czwartéj punktualnie, przechodziła po pod domami, wchodziła na wzgórze, otwierała bramę i zatrzymywała się przy grobie Wirginii. Była to niewielka kolumna z marmuru różowego, z jednym stopniem przy podstawie: łańcuchy stanowiły ogrodzenie ziemi pokrytéj kobiercem z kwiatów. Polewała liście, odświeżała piasek i klękała dla dokładniejszego wzruszenia ziemi. Pani Aubain, jeżeli mogła przyjść na cmentarz doznawała tam ulgi i pewnego rodzaju pociechy.

Potém lata upłynęły, wszystko jednakie, bez innych epizodów oprócz Wielkiéj nocy, Wniebowzięcia, Wszystkich świętych. Wypadki miejscowe stanowiły epoki, do których odwoływano się późniéj. I tak, w r. 1825 mularze na nowo wytynkowali przedsionek; w r. 1827, część dachu zawaliła się na podwórzu i tylko co nie zabiła jakiegoś człowieka. W lecie 1828 pani przyjmowała na święcone: Bourais jakoś w tym czasie zniknął tajemniczo: a dawni znajomi

zwolna się powynosili: Guyot, Liébard, pani Lechaptais, Robelin, stryj Gremanville, sparaliżowany od dawna.

Pewnéj nocy, konduktor poczty wozowéj przywiózł do Pont-l'Evêque wieść o rewolucyi lipcowéj. Wkrótce mianowano nowego podprefekta, barona de Lorsonière byłego konsula w Ameryce, który, oprócz żony, miał przy sobie bratowę z trzema pannami, dość już dorosłemi. Widzieć je było można na trawniku, ubrane w rozpuszczone bluzy; miały murzyna i papugę. Pani Aubain, zadowolona z ich wizyty, bezwłocznie im ją oddała. Jak się tylko ukazywały, Felicya przybiegała z doniesieniem o ich przybyciu. Ale jedna tylko rzecz zdolną była ją poruszyć: to listy od syna.

Nie mógł on obrać sobie żadnego zawodu, gdyż kawiarnie pochłaniały mu wszystek czas. Matka płaciła za niego długi; zaciągał nowe: westchnienia, wydawane przez panią Aubain, dochodziły do Felicyi, która przędła na kołowrotku w kuchni.

Przechadzały się razem po szpalerze, i zawsze rozmawiały o Wirginii, zapytując się czyby to lub owo jéj się podobało, a w téj okoliczności coby prawdopodobnie powiedziała.

Wszystkie drobiazgi do niéj należące mieściły się w szafie wmurowanéj w ścianę pokoju o dwóch łóżkach. Pani Aubain przeglądała je jak można najrzadziéj. Pewnego dnia w lecie odważyła się na to; motylki wyleciały z szafy.

Jéj suknie, złożone jak bielizna, przyciśnięte były półką, na któréj leżały trzy lalki, koło do przeskakiwania, gospodarstwo dziecinne i miednica w któréj się myła. Wydobyły również spódniczki, pończochy, chustki i rozpostarły je na dwu łóżkach przed złożeniem. Słońce oświecało te smutne przedmioty, pozwalając dojrzéć plam, i zagięć utworzonych przez ruchy ciała. Powietrze było ciepłe i jasne; kos szczebiotał i wszystko zdawało się żyć w głębokiéj słodyczy. Odnalazły one kapelusik pluszowy, z długim włosem, koloru kasztanowatego; był jednak zupełnie zjedzony przez mole. Felicya przymówiła się oń dla siebie. Obydwie kobiéty utkwiły w siebie wzrok na wzajem; oczy ich napełniły się łzami; nakoniec, pani rozwarła ramiona, służąca w nie się rzuciła, i uścisnęły się, ulgi szukając w pocałowaniu, które je zrównało.

Było-to po raz pierwszy w ich życiu, ponieważ pani Aubain nie miała charakteru udzielającego się, Felicya była jéj za to wdzięczna jak za dobrodziejstwo; i od téj chwili kochała ją z poświęceniem zwierzęcem i z czcią religijną.

Dobroć jéj serca rozwinęła się.

Kiedy słyszała na ulicy bębny pułku przechodzącego, stawała przededrzwiami z dzbankiem jabłeczniku i dawała pić żołnierzom.

Pielęgnowała cholerycznych. Opiekowała się Polakami, a jeden z nich wymówił się nawet z chęcią zaślubienia jéj. Ale się pogniewali: gdyż pewnego poranka, powróciwszy z jutrzni, zastała go w kuchni, do któréj się wsunął i spokojnie zajadał przyrządzoną sałatę.

Po Polaku przyszła kolej na ojca Colmiche'a, starca, o którym mówiono, że straszne rzeczy wyrabiał w r. 1793. Mieszkał on nad brzegiem rzeki w starym rozwalonym chlewie. Ulicznicy przypatrywali mu się przez szczeliny w ścianach i rzucali nań kamieniami, które padały na jego tapczan, na którym leżał bezustannie, dręczony kaszlem, z włosami bardzo długiemi, z oczami zaczerwienionemi i z wrzodem na ramieniu większym od głowy. Felicya wystarała się dla niego o bieliznę, wyczyściła mu legowisko, i marzyła o tém, ażeby go umieścić w piekarni, nie narażając się jednak pani. Kiedy wrzód pękł, opatrywała go codziennie, niekiedy przynosiła mu ciastka, sadzała go w słońcu na pęku słomy; i biedny starzec śliniąc się i drżąc, dziękował jéj gasnącym głosem, obawiał się ją utracić, wyciągał ręce skoro tylko widział, że się oddalała. Kiedy umarł, zakupiła mszę za spokój jego duszy.

W tym dniu spotkało ją wielkie szczęście: przed samym obiadem murzyn pani de Lorsonnière przyszedł, trzymając w ręku klatkę z papugą, kij, łańcuch i kłódkę. Liścik pani baronowéj zawiadamiał panią Aubain, że ponieważ jéj mąż został wyniesiony do godności prefekta, wyjeżdżają więc tego jeszcze wieczoru; i prosiła ją przytém, ażeby przyjęła papugę, jako pamiątkę i dowód jéj szacunku.

Papuga oddawna zaprzątała wyobraźnię Felicyi, ponieważ pochodziła z Ameryki, a ta nazwa przypominała jéj Wiktora do tego stopnia, że wypytywała się o nią murzyna. Raz nawet powiedziała: „Jakże pani byłaby szczęśliwą, gdyby ją posiadała!“

Murzyn powtórzył to baronowéj, która nie mogąc zabrać z sobą papugi, pozbyła się jéj w ten sposób.

IV.

Papuga nazywała się Lulu. Była koloru zielonego, końce skrzydeł miała różowe, czoło niebieskie a szyję złocistą.

Ale miała nieprzyjemny nałóg gryzienia kija, wyrywania sobie pierzy, rozrzucania śmieci, rozlewania wody z wanienki. Pani Aubain, znudzona tém, oddala ją na własność Felicyi.

Felicya postanowiła ją uczyć: papuga wkrótce powtarzała: „Piękny chłopiec! Sługa pański!.. Dzień dobry, Marysiu!“ Klatka jéj

umieszczoną była przy drzwiach i wielu ludzi dziwiło się, że papuga nie nazywa się Kubuś skoro wszystkie papugi mają na imię Kubuś. Porównywano ją z indyczką, nazywano głupią: były to pchnięcia sztyletu dla Felicyi! Lulu była tak upartą, że nie chciała mówić kiedy na nią patrzano!

A jednak pragnęła towarzystwa, gdyż w niedzielę, kiedy *te* panny Rochefeuille, pan Houppeville i nowo zamieszkali: Onfroy aptekarz, pan Varin i kapitan Mathieu, grali w karty, tłukła szyby skrzydłami i wrzeszczała tak szalenie, że nie można było zrozumieć słowa z rozmowy.

Twarz pana Bourais wydawała się jéj bezwątpienia bardzo dziwną. Skoro tylko spostrzegła go, zaczynała się śmiać, ale to śmiać ze wszystkich sił. Dźwięki jéj głosu rozlegały się po podwórzu, echo je powtarzało, sąsiedzi ukazywali się w oknach śmiejąc się także i pan Bourais chroniąc się przed wzrokiem papugi, przesuwał się pod ścianą, zakrywając jednę stronę twarzy kapeluszem, szedł aż do rzeki i potém dopiero wchodził drzwiami od ogrodu: spojrzenia, jakie zasyłał ptakowi, nie były czułe.

Chłopiec od rzeźnika dał papudze szczutka, ponieważ pozwoliła sobie wsadzić głowę w jego koszyki; od téj pory starała się zawsze uszczypnąć go przez koszulę. Fabu zagroził, że jéj łeb ukręci, chociaż nie był okrutnym pomimo tatuowanych rąk i wielkich faworytów. Przeciwnie! miał raczéj pewien pociąg do papugi i to do tego stopnia, że z żartów chciał nauczyć ją kląć. Felicya, którą to postępowanie przerażało, umieściła ją w kuchni. Odjęto jéj łańcuszek od nogi i odtąd swobodnie chodziła sobie po domu.

Kiedy zstępowała ze schodów, opierała swój dziób zakrzywiony o stopnie, podnosiła prawą nogę, a potém lewą; Felicya obawiała się, żeby ta gimnastyka nie spowodowała jéj zawrotów głowy. Papuga tymczasem zachorowała; nie mogła ani mówić, ani jeść. Pod językiem zrobiło się jéj nabrzmienie, jak się to zdarza niekiedy u kur. Felicya ją wyleczyła, wyrwawszy skórkę paznokciami. P. Paweł był raz tak nierozważny, że jéj dmuchnął w nos dymem z cygara; innym razem, kiedy pani Lormeau podrażniła ją parasolką, pochwyciła dziobem kółko; nakoniec pewnego dnia przepadła.

Felicya posadziła ją na trawie, żeby się ochłodziła, lecz sama odeszła na chwilkę; kiedy powróciła, papugi już nie było! Z początku szukała jéj w krzakach, nad brzegiem rzeki i na dachach, nie słuchając pani, która za nią wołała: — „Ostrożnie! oszalałaś.“ Następnie przetrząsła wszystkie ogrody w Pont-l'Evêque, zatrzymywała przechodzących:— „Czy nie widzieliście przypadkiem mojéj papugi?“ Opisywała papugę tym, którzy jéj nie znali. Nagle zdało się jéj, że

za młynami ujrzała coś zielonego, co latało, ale skoro weszła na wzgórze, nie zobaczyła nic. Jakiś kramarz zapewniał ją, że spotkał papugę przed chwilą w Saint-Melaine, w sklepie matki Simon. Pobiegła tam. Nie wiedziano czego chce. Ostatecznie powróciła strudzona w trzewikach rozpadniętych, ze śmiercią w duszy, lecz kiedy siedząc na ławce obok pani, opowiadała jéj o swoich poszukiwaniach, nagle lekki ciężar spadł jéj na ramię: była to papuga! Co u dyabła robiła? czy może się przechadzała po okolicy?

Felicyi trudno było przyjść do siebie, a raczéj nigdy już nie przyszła.

Wskutek zaziębienia się dostała zapalenia gardła; wkrótce potém zachorowała na uszy. W trzy lata ogłuchła i mówiła bardzo głośno, nawet w kościele. Chociaż jéj grzechy mogły bez ujmy dla niéj i bez zgorszenia dla świata, być rozgłaszanemi po całéj dyecezyi, proboszcz uznał za właściwe słuchać jéj spowiedzi tylko w zakrystyi.

Ułudny szum w uszach dopełnił zamętu. Często pani mówiła do niéj: — „Mój Boże! jakże jesteś głupia!“ ona odpowiadała:—„Tak pani“ i szukała czegoś około siebie.

Mały i tak już zakres jéj myśli jeszcze się zmniejszył; odgłos dzwonów, ryczenie wołów, już przestały dla niéj istniéć. Wszystkie istoty działały w milczeniu jak widma. Jeden tylko dźwięk dochodził jéj uszu, a tym był głos papugi.

Jakby dla rozerwania jéj, papuga naśladowała odgłos obracającego się rożna, krzykliwe wołanie przekupnia ryb, rzężenie piły stolarza mieszkającego na przeciwko; i na odgłos dzwonka powtarzała za panią Aubain: — „Felicyo! do drzwi! do drzwi!“

Prowadziły z sobą rozmowy; papuga powtarzała aż do znudzenia trzy frazesy ze swojego repertuaru, a Felicya odpowiadała jéj słowami bez związku wprawdzie, ale w których całe jéj serce się wylewało. Lulu w jéj odosobnieniu, była dla niéj prawie synem, kochankiém. Skakała jéj po plecach, szczypała w usta, wdrapywała się na chustkę na głowie; a kiedy pochylała czoło kiwając głową jak piastunki, wielkie skrzydła jéj czépka drżały razem ze skrzydłami ptaka.

Kiedy chmury się gromadziły a grzmoty huczały, Lulu wydawała przeraźliwe krzyki, przypominając sobie może ulewy w swoich lasach rodzinnych. Szmer deszczu doprowadzał ją do szaleństwa latała bez pamięci, wspinała się na sufit, przewracała wszystko i uciekała przez okno brzechtać się w ogrodzie; powracała jednak prędko przez komin i, skacząc dla wysuszenia sobie piór, pokazywała wciąż to ogon to dziób.

W czasie okrutnéj zimy w 1837 roku, chociaż umieściła ją przed kominem z powodu zimna, pewnego jednak rana znalazła ją nieżywą w klatce, z głową na dół, a pazurami uczepionemi do drutów. Z pewnością zabiło ją uderzenie krwi do głowy! Felicya przypuszczala, że to może otrucie za pomocą pietruszki — i pomimo braku wszelkich dowodów podejrzywała chłopca od rzeźnika Fabu.

Płakała tak bardzo, że pani powiedziała jéj raz: „No, to każ ją wypchać!“

Poszła poradzić się aptekarza, który zawsze był łaskaw na papugę.

Napisał do Havre'u. Niejaki Fellacher podjął się roboty. Ponieważ tłómoczki zatracały się często w dyliżansie, postanowiła zanieść ją sama aż do Honfleur.

Jabłonie bez liści stały jedne za drugiemi po brzegu drogi. Lód leżał w rowach. Psy szczekały naokoło ferm. Z rękami pod pelerynką, w małych sabotach, ze swoją kobiałką, szła szybko środkiem drogi.

Przeszła las, minęła *Wysoki Dąb* i dostała się do Saint-Gatien.

Za nią w obłoku z kurzu, pocztowa kuryerka, spadając z góry, jak uragan pędziła w wielkim galopie.

Widząc kobietę, która nie ustępowała z drogi, konduktor podniósłszy się po nad budę i pocztylion z kozła, krzyczeli z całych sił; tymczasem cztery konie, których wstrzymać nie było podobna, przyspieszały biegu; dwa pierwsze otarły się o nią; jednem szarpnięciem lejc pocztylion rzucił je w bok, lecz z wściekłości podniósł rękę i w pewnym zamachu ciął ją batem od brzuchu do głowy tak silnie, że padła na wznak.

Kiedy przyszła do zmysłów, pierwszym jéj ruchem było otworzenie koszyka. Lulowi nic się nie stało. Prawy policzek palił ją jak w ogniu; dotknąwszy się miała ręce czerwone. Krew ciekła.

Usiadła na kamieniu, przewiązała sobie twarz chustką zjadła skórkę chleba, którą włożyła do koszyka na wszelki przypadek i pocieszała się po swojéj ranie widokiem ptaka.

Dostawszy się na szczyt Ecquemanville, dostrzegła światła w Honfleur, które drżały w pośród nocy jak gwiazdy; morze, daléj, rozciągało się niewyraźnie. Wtedy osłabiona zatrzymała się; i nędza młodości, zawód pierwszéj miłości, odjazd siostrzeńca, śmierć Wirginii, jak bałwany przypływu, zbiegły się na raz i podnosząc się aż do gardła, dusiły ją.

Potém chciała mówić z kapitanem statku, i nie powiedziawszy co takiego odsyła, dała mu tylko zlecenie.

Fellacher długo trzymał papugę. Przyrzekał ją zawsze na następny tydzień; przy końcu szóstego miesiąca zaanonsował odejście paki i więcéj już o tém mowy nie było. Możnaby było myśléć, że Lulu już nie powróci. „Pewnie mi ją ukradli!“ pomyślała.

Nareszcie papuga nadeszła—i wspaniała, stojąc na gałęzi drzewa wszrubowanego w podstawkę z mahoniu, z jedną łapką w powietrzu, a głową na ukos, gryzła orzech, który Fellacher przez zamiłowanie do okazałości pozłocił.

Felicya zamknęła ją w swoim pokoju.

Miejsce to, do którego przystęp miało nie wiele tylko ludzi, przedstawiało pozór kaplicy i bazaru, tyle tam było przedmiotów religijnych i rzeczy różnorodnych.

Wielka szafa nie pozwala swobodnie otwierać drzwi. Naprzeciwko okna wystającego nad ogrodem, okrągły otwór wychodził na podwórze; na stołku, przy łóżku na pasach, znajdowały się dwa grzebienie, dzbanek z wodą i kawałek niebieskiego mydła w stłuczonym talerzu. Na ścianach widać było: różańce, szkaplerze, kilka obrazków Matki Bozkiéj, kropielnicę z orzecha kokosowego; na komodzie przykrytéj suknem jak ołtarz, pudełko z muszli, które dostała od Wiktora; następnie konewka do polewania i balon, kajety zapisane, geografia obrazkowa, para trzewików; na goździku od zwierciadła mały kapelusz pluszowy przyczepiony wstążkami! Felicya ten rodzaj uszanowania posuwała tak daleko, że chowała nawet tużurek pana. Wszelką starzyznę, któréj pani Aubain już nie potrzebowała. Felicya przenosiła do swojego pokoju. Tym to sposobem znalazły się tu kwiaty sztuczne na krawędzi komody i portret hrabiego d'Artois w zagłębieniu dymnika.

Z pomocą deszczułki, Lulu była umieszczoną na wystającym gzymsie kominka. Co rano budząc się, Felicya spostrzegała ją przy blasku świtania, i wtedy przychodziły jéj na pamięć bez smutku, w całym spokoju, dnie minione i wypadki nic nie znaczące z najdrobniejszemi ich szczegółami.

Nie mając stosunków z nikim, żyła w odrętwiałości lunatyków. Procesye Bożego Ciała ożywiały ją. Chodziła wtedy po sąsiadkach kwestować lichtarze i dywaniki na upiększenie ołtarzów, które stawiano na ulicy.

W kościele rozmyślała zawsze nad Duchem Świętym i zauważyła, że miał w sobie coś z papugi. To podobieństwo wydało się jéj jeszcze wyraźniejszém na obrazie z Epinal, przedstawiającym chrzest Pana Jezusa. Ze skrzydłami purpurowemi i z ciałem szmaragdowém, był-to doprawdy istny portret Lula.

Kupiwszy obraz, zawiesiła go na miejscu hrabiego d'Artois, i tym sposobem od jednego rzutu oka widziała obydwóch razem. Zjednoczyli się w jéj umyśle: Lulu zyskał na świętości przez stosunek z Duchem Świętym, a Duch Święty stał się dla niéj bardziéj żyjącym i zrozumiałym. Bóg dła wysławienia się nie mógł wybrać gołębicy, ponieważ te stworzenia nie mają głosu, ale chyba raczéj którego z przodków Lula. I Felicya modliła się patrząc na obraz, lecz od czasu do czasu odwracała się w stronę ptaka.

Miała nawet ochotę zapisać się do bractwa panien Najświętszéj Dziewicy. Pani Aubain odradziła jéj.

Tymczasem zaszedł ważny wypadek: małżeństwo Pawła.

Był on najpierw dependentem u regenta, potém w handlu, w urzędzie celnym, przy poborze podatków .a nawet rozpoczął kroki celem dostania się do administracyi dóbr rządowych; w trzydziestym szóstym roku życia, nagle, przez natchnienie z nieba wszedł na swoją drogę: archiwum! i okazywał w tym kierunku zdolności tak wysokie, że kontroler, przyrzekając protekcyą, oddał mu swoją córkę.

Paweł spoważniawszy odrazu, przywiózł żonę do matki.

Młoda synowa znicowała zwyczaje w Pont-l'Evêque, udawała księżniczkę i obraziła Felicyą. Pani Aubain, po jéj odjeździe, uczuła ulgę.

Następnego tygodnia dowiedziano się o śmierci pana Bourais w jakiejś oberży w niższéj Bretanii. Wieść o samobójstwie potwierdziła się: powstała wątpliwość co do jego rzetelności. Pani Aubain przejrzała rachunki i zapoznała się wkrótce z litanią jego grzechów: krętaniny w zaległościach, sprzedaże lasów ukryte, pokwitowania fałszywe i t. d. Po za tém miał dziecko naturalne i „stosunki z pewną osobą z Dozulé."

Te bezeceństwa zasmuciły ją bardzo. W marcu 1853 roku uczuła ból w piersiach; język jéj był jakby pokryty dymem, pijawki nie pomogły na duszność, i dziewiątego wieczora, mając właśnie lat sześćdziesiąt dwa; wyzionęła ducha.

Wydawała się mniéj starą z powodu włosów ciemnych, których warkocze otaczały jéj twarz bladą i naznaczoną piętnami ospy. Mało przyjaciół ją żałowało: wyniosły sposób jéj postępowania oddalał wszystkich.

Felicya opłakiwała ją, ale nie tak jak się opłakuje swych panów. Że pani umarła przed nią, to mięszało jéj myśli, wydawało się przeciwném porządkowi rzeczy, nie do przypuszczenia, potworném.

W dziesięć dni późniéj (czas na przejazd z Besançon), spadkobiercy zjechali. Synowa przetrzęsła szuflady, wybrała meble i sprzedała pozostałe.

Fotel pani, gerydon, fajerka do grzania nóg, osiem krzeseł, już poszły! Miejsca po sztychach rysowały się żółtemi kwadratami na ścianach. Zabrali z sobą dwa łóżeczka z materacami, w szafach nie było już nic widać z dawnych rzeczy Wirginii! Felicya weszła na piętro pijana smutkiem.

Nazajutrz na drzwiach ukazała się karta; aptekarz krzyczał jéj w ucho, że dom był do sprzedania.

Zachwiała się i musiała usiąść.

Dręczyło ją głównie to, że trzeba będzie opuścić pokój, tak dogodny dla Lula. Obejmując go trwożném spojrzeniem, błagała Ducha Świętego, jakkolwiek z bałwochwalczego nałogu mówiła modlitwę na klęczkach przed papugą. Częstokroć słońce wchodzące przez okrągłe okno padało na szklane oko papugi; wtedy wytryskiwał zeń wielki promień świetlny, co wprowadzało Felicyą w ekstazę.

Posiadała resztę trzystu osiemdziesięciu franków, zapisaną jéj przez panią. Ogród dostarczał jéj warzywa. Co zaś do sukien, to miała w co się ubrać aż do końca życia; dla zaoszczędzenia świéc kładła się spać równo ze zmierzchem.

Nie chcąc widziéć sklepu kramarza, w którym wystawione były niektóre z dawnych mebli, nie wychodziła wcale. Od czasu ogłuchnięcia powlekała za sobą nogę, a ponieważ siły ją opuszczały, matka Simon, zrujnowana na sklepie korzennym, przychodziła do niéj co rano urąbać jéj drzewa i napompować wody.

Wzrok jéj osłabł. Okiennic nie otwierano nigdy. Tak przeszło kilka lat. I dom stał nie wynajęty i nie sprzedany.

Z obawy ażeby jéj nie wypędzono, Felicya nic nie wspominała o reparacyach. Krokwie pod dachem gniły: przez całą zimę wałek w jéj łóżku był mokry. Po Wielkiéj Nocy zaczęła pluć krwią.

Wtedy-to matka Simon uciekła się do doktora. Felicya chciała wiedziéć co jéj jest. Do jéj uszu nie mogących słyszéć, doszło jedno słowo: „Zapalenie.“ Słowo to było jéj znaném i odparła łagodnie: „Ah! to tak jak pani,“ uważając za rzecz naturalną iść za panią.

Uroczystość Bożego Ciała nadchodziła.

Pierwszy ołtarz był zawsze u podnóża pagórka, drugi przed pocztą, a trzeci na środku ulicy. O ten ostatni rywalizowano; parafianki wybrały ostatecznie podwórze pani Aubain.

Duszność i gorączka powiększały się ciągle. Felicya martwiła się, że nic nie zrobiła dla ołtarza. Żeby choć przynajmniéj mogła coś na nim położyć! Wtedy-to pomyślała o papudze. Toby nie było właściwém, odpowiedziały sąsiadki. Lecz proboszcz zgodził się; była tém tak uszczęśliwioną, że prosiła go o przyjęcie Lula, jedynego swego skarbu po jéj śmierci.

Od wtorku do soboty, w wigilią Bożego Ciała, kaszlała coraz częściéj. Wieczorem twarz jéj się skurczyła, wargi przylgnęły do dziąseł i pokazały się wymioty; nazajutrz, o brzasku, ponieważ czuła się już źle, kazała wezwać księdza.

Trzy babiny otaczały ją podczas ostatniego namaszczenia. Potém oświadczyła, że chciałaby mówić z Fabu chłopcem od rzeźnika.

Fabu przyszedł w świąteczném ubraniu, nieco zakłopotany tą atmosferą ponurą.

— „Przebacz mi"—zawołała, starając się z wysiłkiem wyciągnąć do niego ręce—„ale myślałam, że to ty ją zabiłeś!"

Co miały znaczyć głupstwa podobne? Podejrzywać go o zabójstwo, takiego człowieka jak on! i oburzał się, hałasując.

— Widzisz przecie, że ona straciła już głowę.

Felicya od czasu do czasu rozmawiała z cieniami. Kobieciny oddaliły się. Matka Simon wzięła się do śniadania.

Nieco późniéj zdjęła Lulu z nad kominka i przyniosła ją do Felicyi.

— „No, pożegnaj go już!"

Jakkolwiek nie był to trup, robaki go jadły; jedno skrzydło miał złamane, a pakuły wychodziły mu z brzucha. Lecz, ślepa już obecnie, pocałowała ją w czoło i przytuliła do policzka. Matka Simon odebrała ptaka z jéj rąk, ażeby go zanieść na ołtarz.

V.

Łąki przesyłały zapach lata, muchy brzęczały, słońce lśniło się na rzece i grzało dachówki. Matka Simon powróciwszy do pokoju, zasypiała spokojnie.

Głos dzwonu ją obudził; ludzie wychodzili z nieszporów. Szał Felicyi opadł. Myśląc o procesyi, widziała ją jak gdyby szła za nią.

Wszystkie dzieci ze szkoły, śpiewacy kościelni i strażacy szli po trotuarach; po środku zaś ulicy postępowali na czele: szwajcar uzbrojony w halabardę, zakrystyan z wielkim krzyżem, nauczyciel trzymający w porządku chłopców, zakonnica niespokojna o dziewczynki; trzy najmniejsze z nich, ufryzowane jak aniołki, rzucały w powietrze listki róży; dyakon z rozpostartemi rękami trzymał w ryzach muzykę; dwu chłopców z trybularzami odwracało się co krok ku Przenajświętszemu Sakramentowi, który pod baldachimem z pąsowego aksamitu podtrzymywanym przez czterech skarbników parafii niósł proboszcz w pięknym ornacie.

Potok ludzi cisnął się z tyłu pomiędzy białemi obrusami okrywającemi mury domów: dochodzono już do podnóża pagórka.

Zimny pot wystąpił na skronie Felicyi. Simonowa obcierała ją kawałkiem płótna, myśląc sobie, że i jéj także pewnego dnia trzeba będzie przejść przez to samo.

Wrzawa tłumu rosła, przez chwilę była bardzo silna, a potém się oddaliła.

Strzały wstrząsły szybami. Pocztylioni-to witali monstrancyę. Felicya zawróciła oczami i jak tylko było można najciszéj, spytała:

— „Czy jéj dobrze?“ dręczona myślą o papudze.

Konanie rozpoczęło się. Chrapanie coraz szybsze podnosiło jéj żebra. Bulki piany występowały jéj w kątach ust, a na całém ciele drżała.

Wkróce można było rozróżnić ryczący dźwięk ofiklejd, cienkie głosy chłopców a głębokie mężczyzn. Chwilami wszystko milkło, i stuk kroków tylko przygłuszających się na kwiatach, wyrywał się jak tętent stada idącego przez pastwisko.

Duchowni ukazali się na podwórzu. Simonowa weszła na krzesło i tym sposobem, dostawszy się do okrągłego okna, panowała nad ołtarzem.

Zielone girlandy wisiały na ołtarzu opiętym falbanami. W środku stały ramy zawierające relikwie, dwa drzewa pomarańczowe po bokach, a wzdłuż lichtarze srebrne i wazony porcelanowe, z których się wychylały słoneczniki, lilie, piwonie, naparstniki i pęki hortensyi. Ten stos kolorów oślepiających spuszczał się ukośnie, od pierwszego piętra aż na dywan, który się ciągnął jeszcze na kamieniach; rzeczy rzadkie pociągały oko. W cukierniczce z pozłacanego srebra był wieniec z fijołków; kolczyki z kamienia szlifowanego błyszczały na mchu; na dwu ekranach chińskich widać było krajobrazy. Z całéj Lulu, skrytéj w różach, można było dojrzeć tylko czoło niebieskie, podobne do odłamu kamienia lazurowego.

Skarbnicy, śpiewacy i dzieci ustawili się wzdłuż trzech boków podwórza. Ksiądz wstąpił powoli na stopnie i swoje wielkie słońce, które promieniowało, postawił na koronkach. Wszyscy uklękli. Nastąpiła chwila wielkiego milczenia. I trybularze, poruszając się w szerokich wzlotach, oślizgiwały się na łańcuszkach.

Obłok lazurowy wszedł do pokoju Felicyi. Wysunęła naprzód nozdrza, wdychając go z rozkoszą mistyczną; potém zamknęła powieki. Wargi miała złożone do uśmiechu. Ruchy jéj serca wolniały jeden za drugim, coraz bardziéj niepewne, coraz cichsze, jak kiedy fontanna się wyczerpuje, jak echo kiedy ginie, i wydając z siebie ostatnie tchnienie, zdawało się jéj, że w niebiesiech na wpół otwartych widzi olbrzymią papugę unoszącą się po nad jéj głową.

CZWARTY

MIĘDZYNARODOWY KONGRES HYGIENICZNY

w Genewie.

Ostatni kongres hygieniczny, czwarty z kolei, trwający od 4-go do 9-go września b. r. różnił się od poprzedniego Turyńskiego obszerniejszym programem i większą ilością członków. Podług pierwszéj listy drukowanéj w d. 4 września wszystkich członków było 493, przedstawiających 23 narodowości. Najliczniéj reprezentowaną była Szwajcarya—215 członków, następnie Francya 132, Włochy 42, Niemcy 24, Anglia 16, Hiszpania 12, Rosya 9. Belgia 8, Stany Zjednoczone 6, Holandya 4; Grecya, Rumunia, Portugalia i Węgry po 3 członków, Austrya, Bulgarya, Szwecya i Dania po 2, inne zaś jak Turcya, Serbia, Meksyk i Brazylia po 1. Delegatem Warszawskiego Towarzystwa Lekarskiego był dr. *Lubelski*.

Ogólne posiedzenia kongresu odbywały się w auli uniwersyteckiéj po południu, od godziny 2 do $4^1/_2$. W pierwszym dniu oprócz przemówień prezydującego dr. *Lombard'a* z Genewy i delegatów od Rady federalnéj, Rady państwowéj i Rady municypalnéj, następnie profesora *Corradi'ego* z Padwy o związkach przyjaźni pomiędzy Włochami i Szwajcaryą, datujących się oddawna, i kilku innych jeszcze, tyczących się otwarcia kongresu, żadnych innych kwestyj nie rozbierano. Dnia następnego dopiéro rozpoczęły się właściwe posiedzenia.

Sekcye specyalne odbywały swe posiedzenia rano. Wszystkich sekcyj było pięć: pierwsza sekcya hygieny ogólnéj, druga—hygieny publicznéj, trzecia—hygieny w zastosowaniu do nauk, czwarta—hygieny szkolnéj i weterynarnéj i piąta—demografii.

Na posiedzeniach ogólnych następne rozbierano kwestye: *Pasteur* o osłabieniu zarazków, *Corradi*—kontagium suchót płucnych,

Varrentrapp z Frankfurtu nad Menem—kolonie wakacyjne dla dzieci, *Lombard* i *Paweł Bert*—o wpływie wysokich miejscowości i *Dally* z Paryża—zboczenia organizmu w szkolnym wieku. Treść tych odczytów podaję tutaj w krótkości.

Liczne doświadczenia *Pasteur'a*, jakie czynił nad rozmaitemi zwierzętami i z rozmaitemi zarazkami, przyprowadziły go do tego ostatecznego wniosku, iż szczepienie pewnych zarazków zabezpiecza dany organizm od pewnych chorób zakaźnych. W tym celu używa on zarazków, tak zwanych, kultywowanych. Postępuje on w ten sposób, iż dane mikroby, wzięte z zakaźnego organizmu, umieszcza w warunkach sprzyjających ich rozwojowi, tj. w rosole cielęcym. Po pewnym czasie szczepi je, wywołując przez to odpowiednią chorobę, lecz już z mniéj uwydatniającemi się symptomatami. Nowy zarazek wzięty w przeddzień śmierci umieszcza znowu w takimże rosole i znowu go szczepi. Takie hodowanie danych mikrobów, zmniejsza ich energią i czyni je mniéj szkodliwemi, a więc zdatnemi do ochronnego szczepienia. Podobne doświadczenia powtarzał z tak odmiennemi mikrobami, jak mikroby cholery, wścieklizny, gorączki tyfoidalnéj i karbunkułu i zwykle do jednakowych dochodził rezultatów. W taki sposób zabezpieczone zwierzęta już się nie zarażają. W drugiéj części mowy swojéj wystąpił Pasteur z namiętną polemiką przeciwko tym, co wniosków jego nie podzielają w całości.

Prof. *Koch* z Berlina, znany ze swych prac w kwestyi mikrobów czyli bakteryj i głośny z odkrycia zarazka gruźlicy, wystąpił energicznie przeciw *Pasteur'owi*, zarzucając mu, iż tenże zachwycony swemi pracami zbyt ogólną stawia hypotezę i zbyt śmiałe wyprowadza z niéj wnioski. Daléj mówił, iż dla Pasteura jedynie przyjechał na kongres, chcąc coś nowego od niego usłyszéć, tymczasem *Pasteur* rzeczy już znane powtórzył.

Dr. *Sormani*, prof. hygieny w Padwie, potwierdza wnioski Pasteura. Toż samo czyni *Bolestrari* z Genui i *Layet* prof. hygieny w Bordeaux.

Pasteur żałuje, iż nie może objaśnić w danéj chwili *Koch'owi* tego, co dla niego jest niezrozumiałem w jego teoryi. Kończy zdaniem, że potrzeba i na drobne fakty zwracać uwagę, w taki tylko bowiem sposób dochodzi się do pewnych rezultatów.

Na następném posiedzeniu prof. *Corradi* mówił o zarazku suchot płucnych. W zaraźliwość suchot wierzono jeszcze w starożytności. W drugiéj połowie zeszłego stulecia wiara ta doszła do najwyższego punktu, prawdopodobnie wskutek częstszego przejawienia się téj choroby, niż poprzednio. W rozmaitych okolicach państwo

zmuszone było w interesie zdrowia publicznego wszelkie przedsiebrać środki przeciw szerzeniu się suchot.

W pierwszéj połowie bieżącego stulecia wiara w zaraźliwość utraciła wielu zwolenników. Etyologiczne kwestye musiały ustąpić miejsca anatomo-patologicznym badaniom. W ostatnich latach dopiéro patologia doświadczalna poszukiwać zaczęła zdolności zarażania, szczepiąc produkta gruźlicy, przypisując tę zaraźliwość mikroorganizmowi—bacillus'owi. Zadaniem patologii jest rozwiązać kwestye, jakie podnosi doktryna uznająca pasorzytną naturę gruźlicy, i wykazać zgodność téj doktryny z teoryą usposobienia i dziedziczności.

Wspólne mieszkanie, pokarmy, jak mięso i mleko zwierząt gruźlicznych, mogą być przyczyną zarazy. Przy szczepieniu ospy wielką pod tym względem potrzeba zachować ostrożność. Urządzenie szpitali wyłącznych, lub przynajmniéj oddzielnych pawilonów dla suchotników jest bardzo zalecaném. Wreszcie potrzeba się wystrzegać tego wszystkiego, co może sprzyjać rozwojowi suchot.

Następnie zabrał głos dr. *Varrentrapp*, dowodząc użyteczności kolonij wakacyjnych dla dzieci. Takie kolonie, oprócz Frankfurtu urządził Hamburg i inne większe miasta niemieckie, w Szwajcaryi kolonie takie spotykamy najprzód w okolicach Zurychu dzięki pewnemu pastorowi, który w 1876 r. powziął myśl założenia podobnych kolonij, a w 1877 i 78 r. myśl tę urzeczywistnił. Takież kolonie zaprowadziła następnie Bazylea w 1878 r., Bern i Genewa w 79 r. Neufchatel w 1880 r. itd. W Danii zaczynają się one także już rozprzestrzeniać z powodzeniem. Wszystkich dzieci z kolonij tych korzystających jest razem około 6.000—mianowicie w Niemczech 4.145. w Szwajcaryi 1760 i w Medyolanie—60. Zadaniem kolonii jest postawić dzieci w warunkach sprzyjających ich fizycznemu rozwojowi, jako to: zdrowe pokarmy, przechadzki, gimnastyka itd. Okazuje się, iż po czterech tygodniach pobytu dzieci zyskiwały po 2 funty na wadze i do 2 centimetrów na miarze.

Na czwartém posiedzeniu dr. *Lombard*, mówił o wpływie wysokich miejscowości na organizm. Podczas długiego pobytu na znacznéj wysokości (2.000 metrów) wskutek braku dostatecznéj ilości tlenu rozwija się niedokrewność (anemia). Z braku dostatecznéj ilości tlenu powstaje ból mięśni, kwas węglowy w mniejszéj wydziela się ilości. Na niższych wysokościach funkcye organiczne są przyśpieszone, stąd i wydzielenie kwasu węglowego jest znacznie większe. Takie tylko wysokości dobrze działają na zdrowie suchotników.

Po nim zabrał głos *Paweł Bert*, prof. fizyologii w Paryżu. Mówił on o zachowaniu się organizmu w rozrzedzoném powietrzu. Do-

świadczenia podobne robił on na sobie i na innych. Wrażliwość ogólna i specyalna, czyli zmysły, słabnie stopniowo, a następnie może nastąpić uduszenie. Wypadki podobne mogą mieć miejsce w balonach. Dwóch aeronautów wzniosło się do wysokości przeszło 7.000 m., poczuli oni już wtedy znaczne osłabienie, a na wysokości 10,840 m. jeden z nich umarł wskutek zaduszenia. Gimnastyka, jaką człowiek wykonywa wchodząc na góry i spotęgowane oddychanie zwiększające klatkę piersiową, przyczyniają się do tego, iż organizm więcéj zużywa tlenu niż w dolinach. Przy zmniejszoném ciśnieniu zwiększa się ilość hemoglobuliny we krwi, a wskutek tego organizm pochłania więcéj tlenu. Organizmy więc zaaklimatyzowane do znacznych wysokości więcéj pochłaniają tlenu a stąd szybciéj funkcyonują.

Na ostatniem posiedzeniu dr. *Dally*, prof. w szkole antropologicznéj w Paryżu, opowiedział o zboczeniach w rozwoju organizmu w szkolnym wieku. Wykazał on jak smutne następstwa pociąga za sobą zbyt ciasna odzież i modne obuwie. Pochyłe i nienormalne trzymanie się bywa przyczyną zboczeń w rozwoju słupa kręgowego, wywołujących z kolei nienormalny rozwój miednicy itd.

Z odczytów mianych w oddzielnych sekcyach specyalnych przytaczam w streszczeniu te tylko, które żywotniejszych dotyczą kwestyi.

Dr. *Juliusz Arnould* z Lille i dr. *Cerenville* z Lozanny rozbierali przyczyny gorączki tyfoidalnéj, jako choroby specyficznéj. Okoliczności naturalne, sprzyjające jéj powstawaniu, są następne: grunt, woda, powietrze, ludzie, przedmioty przez nich używane i pokarmy. Skłonność czyli łatwość przyjmowania od następnych zależy warunków: nieuleganie jeszcze téj chorobie, wiek od 16 do 40 lat, a głównie od 20 do 25 lat, nienawyknienie do warunków sprzyjających krzewieniu się téj choroby; wpływ nieczystego powietrza, wody itd.; pokarmy zgniłe, wreszcie rozmaite ekscesa i rozdrażnienia. Gorączka tyfoidalna rozprzestrzenia się epidemicznie wszędzie, we wszelkich rasach i klasach społecznych. Ażeby uniknąć téj choroby potrzeba wystrzegać się tego wszystkiego, co zwiększa skłonność ku niéj, i szerzeniu się jéj zapobiegać przez dezinfekcye i odosabnianie chorych.

Dr. *Proust* z Paryża, członek komitetu hygienicznego we Francyi i dr. *Ovilo*, wice-inspektor zdrowia w armii hiszpańskiéj i ex-lekarz rady sanitarnéj w Maroko wykazali jak znacznym jest wpływ pielgrzymek marokańskich do Mekki na krzewienie się cholery. Pierwszy z nich radzi, aby urządzono komitet sanitarny w Aleksandryi, któryby czuwał nad tém, aby nie przewożono zarazy; drugi żą-

da, ażeby wszystkie państwa zainteresowane w téj kwestyi zniewoliły cesarstwo Marokańskie do wprowadzenia ustaw sanitarnych zgodnych z wymaganiami nowoczesnéj hygieny.

Dr. A. L. *Roulet* z Neufchatel, rozpatrywał kwestyą alkoholizmu. Byłoby pożądaném, ażeby w każdém państwie oddzielnie następne punkta mogły być wyjaśnione: 1. ilość zużytkowanego alkoholu rocznie, 2. rodzaj rozmaitych napojów, 3. statystyka chorób wywoływanych przez alkohol, 4. statystyka przestępstw pod wpływem alkoholu dokonywanych, 5. statystyka zwolnionych od wojska wskutek alkoholizmu.

Najmniéj szkodliwym ze wszystkich alkoholów jest etyl-alkohol. Dobrzeby więc było wykluczyć wszystkie inne gatunki alkoholu ze sprzedaży, do tego jednak potrzebne są odpowiednie chemiczne reagencye, służące do prędkiego oznaczenia gatunku alkoholu. Wtedy i walka z alkoholizmem byłaby pomyślniejszą i poważne wydałaby rezultaty.

W tym celu każde państwo przedsięwziąć powinno następne środki: 1. podatki od produkcyi i sprzedaży alkoholu i tém większe im alkohol jest mniéj czysty; 2. podatki od cząstkowéj sprzedaży; 3. kary za sprzedaż fałszowanych napojów; 4. surowe ustawy dla zakładów konsumacyjnych i 5. karanie publicznego pijaństwa.

Wielką pomoc okazać mogą pod tym względem stowarzyszenia, zadaniem których być powinno: 1. propagowanie wstrzemięźliwości, 2. zakładanie stowarzyszeń oszczędności, 3. stowarzyszenia w celu dostarczania zdrowych pokarmów, urządzenia mieszkań odpowiednich wymaganiom hygieny itd. 4. popieranie fabrykacyi zdrowych i dobrych napojów, 5. rozprzestrzenienie broszur wykazujących szkodliwość alkoholu, wreszcie 6, zakładanie instytucyj, które by zastąpiły dzisiejsze szynki, mianowicie dla robotników.

Pierwsze stowarzyszenie wstrzemięźliwości było założone w Anglii w 1829 r. Wkrótce zaczęły zawiązywać się inne stowarzyszenia, których ilość wciąż wzrasta, w początkach nieliczne, dziś jednak liczące trzy miliony zwolenników. W Szwajcaryi rozmaite towarzystwa w rozmaitych zakładane epokach, na zasadach umiarkowania, żadnych prawie nie wydały rezultatów. Zupełna wstrzemięźliwość jest jedynym środkiem dla wyleczenia się z nałogu pijaństwa i dlatego powinna być zasadą wszystkich tego rodzaju stowarzyszeń. We wrześniu 1877 r. w rozmaitych częściach Szwajcaryi romańskiéj utworzyły się oddzielne sekcye stanowiące razem szwajcarskie stowarzyszenie wstrzemięźliwości. Stowarzyszenie urządza, tak zwane kawiarnie wstrzemięźliwości, których jest obecnie w Szwajcaryi 12, w téj liczbie 5 w kantonie Genewskim; ilość ich wkrótce znacz-

nie się ma powiększyć. Stowarzyszenie szwajcarskie wydaje czasopismo miesięczne w celu propagandy p. t. „La croix bleue“ (1).

Dr. *Ladame* z Neufchatel mówił o dzieciach nieprawych w Szwajcaryi. Wykazał, iż ilość takich dzieci w Szwajcaryi do znacznéj dochodzi cyfry. Statystyka wykazała, iż śmiertelność nieprawych dzieci większą jest, w pierwszym np. roku życia o połowę niż prawych, co się tém objaśnia, że pierwsze w mniéj przyjaznych niż drugie wychowywać się muszą w warunkach. Statystyka samobójstw ciekawe nam pod tym względem podaje cyfry. Z 309 kobiet-samobójczyń w wieku od 15 do 49 lat— 135 przypada na mające od 15 do 20 lat życia, wśród nich liczy się 25 mężatek, 106 niezamężnych i 3 wdowy. Tak znaczny procent niezamężnych samobójczyń jest następstwem rozdraźnienia psychicznego, pod wpływem którego znajdują się owe nieszczęśliwe tak w stanie brzemiennym jak i po porodzie. Statystyka dzieciobójstw także podobne przedstawia nam dane. Dwa razy więcéj dzieci nieprawych w stosunku do prawych taką ginie śmiercią.

Mówca zakończył swój odczyt następną konkluzyą: 1) państwo powinno ułatwić zawieranie małżeństw; 2) powinno wprowadzić prawo poszukiwania ojca i 3) ojca uczynić odpowiedzialnym wobec prawa za następstwa z jego przyczyny pochodzące.

Dr. *Ziegler* z Berna rozbierał następstwa złego obuwia. 5—6% rekrutów traci corocznie armia jedynie z powodu wadliwego rozwoju nóg, wywołanego przez używanie złego obuwia. Na wystawie hygienicznéj genewskiéj, jednocześnie z kongresem trwającéj, umieścił on okazy obuwia używanego w rozmaitych armiach Europy.

Dr. *H. Kuborn*, profesor i prezes Towarzystwa medycyny publicznéj w Seraing-Liège, dowodził szkodliwości wpływu dzisiejszego programu szkolnego na dzieci. Dla dzieci od 7 do 14 lat ogranicza on czas nauki od 4 do 6 godzin dziennie. Dziecko w tym wieku potrzebuje 9 godzin dziennie dla odpoczynku, prócz tego dwóch rekreacyj tygodniowo dla przechadzek i ćwiczeń gimnastycznych. Zadaniem szkoły winno być: uczyć dziecko myśleć, wzmacniać umysł i ćwiczyć rozsądek, a nie obciążać go zbyt wielką pracą umysłową, co ujemnie wpływa na rozwój jego organizmu.

Dr. *Gosse*, prof. medycyny sądowéj w Genewie, radzi następne wskazówki przy wyborze miejscowości na cmentarz:

---

(1) Dziwna rzecz, że polscy uczestnicy kongresu nie wspomnieli w Genewie o wstrzemięźliwości, utrzymującéj się dotąd między ludnością wiejską niektórych okolic kraju naszego, ani o gospodach chrześciańskich. (*Przyp. Red.*)

1. Cmentarze urządzone być winny na gruntach wapiennych lub też krzemiennych, w tym ostatnim jednak razie — pochyłych.

2. Grunt gliniany, posiadający pewną przesiąkliwość wskutek zmięszania się z piaskiem i kamieniami, wtedy tylko może być użytym, jeżeli nie ma innego odpowiedniego gruntu.

3. Grunt z grubym pokładem gliny nie powinien być w żadnym razie przeznaczany na cmentarz, jeżeli kilkakrotnie z kolei ma być używanym.

4. Szczątki trupów odgrzebanych jakotéż i resztki trumien spalone być winny.

Do bardzo ciekawych odczytów zaliczyć należy jeszcze odczyt D-ra G. *Pini*, członka rady sanitarnéj z Medyolanu, o paleniu ciał zmarłych. Najwięcéj zwolenników palenia ciał liczą Włochy i tu najpierw rozpoczęła się żywa agitacya. W Medyolanie istnieje pośród cmentarza zakład kremacyjny, w którym spalono dotąd 266 zwłok. W Niemczech agitacya celem palenia ciał datuje się od 1855 r. Hamburg, Bremen, Szczecin i kilka innych miast utworzyły związek w celu wydawnictwa czasopisma międzynarodowego dla propagandy. Od grudnia 1878 r. palenie ciał w Niemczech nie jest wzbronionném, a w Gotha istnieje nawet zakład kremacyjny. W Austryi od roku 1872 poczyna się agitacya, lecz mało znalazła zwolenników. W Szwajcaryi, w Zurychu, Rada kantonalna w 1877 r. zezwoliła na palenie ciał. W Anglii pierwszą kremacyą wykonano w Londynie w 1871 r. Obecnie istnieje tam t. zw. Towarzystwo Londyńskie. We Francyi ruch ten w 1849 r. znajdował już krzewicieli. Wcześniéj jeszcze bo w 5-tym roku Rzeczypospolitéj znajdujemy już przykłady palenia ciał. Ruch ten chwilowo przycichł, w 1856 r. jednak propaganda niemiecka znajduje odgłos i we Francyi. W 1870 roku liczne głosy przemawiały na korzyść kremacyi, głównym agitatorem był i jest *Koechlin-Schwartz* mer 8-go cyrkułu w Paryżu. W Holandyi Amsterdam, Utrecht, Rotterdam i inne miasta zawiązały stowarzyszenie celem krzewienia kremacyi, posiadające obecnie kapitał w ilości 16 milionów franków. Towarzystwo Brukselskie liczy 6,000 członków; w Hiszpanii, Portugalii, Rosyi i Rumunii poczyna się także rozwijać propaganda palenia ciał. Północna Ameryka liczy 7 stowarzyszeń zajętych propagandą. W roku 1879 w Waszyngtonie pierwsza odbyła się kremacya. W Japonii silna opozycya stoi na przeszkodzie jéj rozwojowi.

Z powyższego wynika, iż propaganda rozszerza się szybko. Palenie ciał nie sprzeciwia się bynajmniéj zasadom religii, ceremonie pogrzebowe i tutaj mogą miéć miejsce. Zmiany, jakim ulega trup gnijący, zacierają ślady mogące doprowadzić anatomo-patologa do

pewnych wniosków, kremacya zatém wcale nie utrudnia prowadzenia śledztwa sądowego w razach wątpliwości co do rodzaju śmierci. Za paleniem ciał przemawia jeszcze i to, że zakłady kremacyjne hygienicznie urządzone usuwają możliwość krzewienia zarazy.

Z innych odczytów wspomnę tylko: D-ra *Sikorskiego*, docenta psychiatryi w Petersburgu — o chorobach nerwowych w wieku szkolnym i o przyczynach utrudniających kształcenie dzieci — spostrzeżenia jakie czynił w zakładzie specyalnym dla słabo-rozwiniętych umysłowo dzieci w Wolsku, w guberni Saratowskiéj. Dr. *Lubelski* przedstawił plan kanalizacyi Warszawy.

Na ostatniem posiedzeniu Dr. *Haltenhoff*, prywat-docent okulistyki w Genewie mówił o ślepocie — nieszczęściu dotykającém 311,000 ludzi w saméj Europie. Następnie Dr. *Roth* z Londynu przedstawił jako temat dla przyszłego konkursu napisanie dzieła o ślepocie. Najlepsza praca w tym kierunku nagrodzona zostanie 2,000 franków na przyszłym kongresie hygienicznym, mającym się odbyć w Hadze w 1884 r. we wrześniu.

Nagrodę konkursową w ilości 2,500 fr. wyznaczoną na poprzednim kongresie w Turynie udzielono Dr. *Layet*, prof. hygieny w Bordeaux za jego dzieło: „Hygiène et maladies des paysans.“

Kilka słów jeszcze o wystawie hygienicznéj. Z przedmiotów zasługujących na uwagę można wymienić rozmaite aparaty D-ra *V. Burq'a* mające zastosowanie w medycynie, jakoto dynamometr, pulmometr, metalo-terapeutyczne armatury i t. d. Następnie maszyny hydrauliczne *Fr. Pasiniego* z Brescia: maszyna dla pulweryzowania płynów, garnek hygieniczno-ekonomiczny, nowa maszyna do kawy i t. d. Daléj przyrząd kremacyjny z Medyolanu, rury kanalizacyjne z Paryża, plany szpitali systemu *Tollet*, plany zakładów kąpielowych, mapy i tablice statystyczne z Włoch, Francyi i t. d. Przyrządy do ogrzewania wagonów, tramwajów, omnibusów i powozów *A. Morel'a* z Paryża. Opał kosztuje 5 centymów w ciągu 15 godzin; przyrząd ten umieszcza się pod wagonem lub powozem, nie dokucza zatém żadną wonią. Ogrzewanie następuje za pomocą wody.

Dr. A. Złotnicki.

Kilka słów o „Satyrze“ Kochanowskiego.

„Satyr,“ najwcześniejsze dzieło polskie większych rozmiarów Jana Kochanowskiego, o tyle pod względem czasu bliżéj da się określić, że treść jego w wielkiéj części odnosi się do spraw traktowanych na

walnych sejmach piotrkowskim i warszawskim. Pierwszy z nich zaczął się w listopadzie 1562 r. i trwał do marca 1563. Drugi otwarty w listopadzie 1563 r. obradował znowu do marca 1564 roku. Na egzemplarzu „Satyra“ pierwszego wydania w Bibliotece Ossolińskich daty żadnéj niema. Aby tedy chwilę wydrukowania utworu tego ściśléj oznaczyć, należy się nam obejrzéć za innemi wskazówkami.

Ostateczny termin *ante quem* wypływa z samegoż dziełka Kochanowskiego. Nie chcąc się bowiem spierać o sprawy religijne wysyła on nowinkarza na sobór powszechny. „Jedź do Trydentu, a tam ukażesz co umiesz.“ Wiadomo zaś, że oficyalne zamknięcie Trydenckiego Konsylium nastąpiło 12 grudnia 1563 r. Ale dyaryusz sejmu warszawskiego, oddrukowany u Działyńskiego w Źródłopismach Unii, pozwala nam jeszcze głębiéj wniknąć w dzieje twórczości literackiéj Kochanowskiego. Na sejmie tym po raz pierwszy występował w roli podkanclerzego Piotr Myszkowski, przyjaciel i serdeczny opiekun naszego poety. 22 listopada 1563 r. po powitaniu króla przez posłów ziemskich zabrał on głos, aby w propozycyi sejmowéj wyłuszczyć życzenia i przedłożenia królewskie. Mowa ta znakomita, którą Myszkowski otwiérał swe urzędowanie, zawiera ciekawe poglądy na przeszłość i charakter Polaków; dotyka spraw bieżących, unii z Litwą, zamierzonéj reformy sądownictwa; wskazuje na licznych nieprzyjaciół, aby tém zagrzać posłów do powzięcia energicznych środków obrony. Jest to wspaniały pomnik naszego odrodzenia.

Jakież było moje zdziwienie, gdy się przekonałem, że „Satyr“ Kochanowskiego jest w wielu ustępach wierném jej odbiciem, niemal parafrazą, odzianą w szatę poetyczną i przybraną w poetyczne akcesorya.

Co się tyczy praktycznéj strony mowy Myszkowskiego, wtóruje Kochanowski jego myśli, mającéj na celu reformę sądownictwa. Do sądu sejmowego, który król sprawował „zbiegło się tak wiele spraw ludzkich, iż podobieństwo nie niosło aby J. K. M. odprawić je mógł“ (zob. Dyaryusz Sejmu Piotrk. str. 49). Na sejmie piotrkowskim starano się temu zaradzić połowicznemi środkami, a mianowicie ustanowiono na jeden raz osobny sąd najwyższy celem załatwienia spraw zaległych (l. c. str. 138 i Bielski ks. V, str. 146 wyd. warsz.). Ale to nie mogło złemu zaradzić. Dla tego w początkach sejmu warszawskiego przemyśliwali Myszkowski i inni, jakby „prędszą sprawiedliwość“ zarządzić, a pierwszy wystąpił z wnioskiem, aby „akcye drobne a rzeczy równiejsze“ usunąć z przed form sądu Sejmowego. Kochanowski w myśl swego opiekuna potępia to zupełnie, że „każdy o najmniejszą rzecz zaraz na sejm ruszy“ i woła do posłów: „Uczyńcież już i Statut czasom przystojniejszy.“

Ale to tylko szczegół. Król i jego podkanclerzy przemyśliwali o powszechniejszéj, radykalniejszéj naprawie i reformie. Król — jak się Myszkowski wyraża — zamierzał „nie jeden członek ale wszystko to ciało R. P. leczyć, które i dawnym nałogiem swym i ciężkiemi a rozmaitemi chorobami jest... zemdlone.“ Myszkowski upatrywał przyczynę złego w upadku rycerskiego ducha i rzemiosła a zmateralizowaniu społeczeństwa. Ustęp odnośny jego mowy w głównych zarysach a niekiedy nawet tych samych słowach powtórzonym jest u Kochanowskiego, jak następne porównanie wykaże.

Myszkowski:

Przodkowie WM. którzy nam tę Rzeczposp. tak dobrze postanowioną zostawili, nigdy ani bogactwem ani czém innémjedno czujnością, dzielnością, męztwem a gotowością przeciw każdemu nieprzyjacielowi u postronnych ludzi słynęli, gospodarstwem się nie bawili, bo je włodarzom a kmieciom swym zlecali; prawa nieumieli, bo się każdy z nich nie statutem ale swą cnotą sprawował.... innemi rzeczami mało się bawili ale prawemu szlachcicowi żadnéj przystojniejszéj zabawy nienajdowali nad rycerskie rzemiesło. I dla tego abo ustawicznie walczyli, abo jeźli kiedy pokój był, tedy go nie na swéj woli, nie na biesiadach, nie na zbytkach, ani na czém innémtrawili, jeno na gotowaniu ku drugiéj wojnie. Teraz kiedyśmy z pola zjechali, a miasto drewa i tarcze pługóweśmy się i czego innego jęli, wprawdzie więcéj złota, więcéj półmisków, więcéj majętności ma każdy z nas na swą stronę, ale R. P. mało nie do gruntu zginęła. Granice otworem stoją, ku potrzebie nietylko o Hetmana, nietylko o rotmistrza, albo o towarzysza, ale i statecznego pacholika trudno.

Kochanowski:

....Pomnię ja przed laty
Że w Polsce żaden nie był w pieniądze [bogaty,
Kmieca to rzecz naonczas patrzać roléj [była
A szlachta się rycerskiém rzemieslem ba- [wiła.
. . . .
A jeśli ku pokoju kiedy myśl skłonili,
Nie już swoich żołnierskich zabaw od- [stąpili,
Ale jakoby jutro znowu wsiadać mieli.
. . . .
Dalekoście się od swych przodków od- [strzelili
A prawieście na nice Polskę wywrócili,
Skowaliście ojcowskie granaty na pługi,
A z drugiego już dawno w kuchni rożen [długi.
. . . .
Więc i łakomstwa nie niósł on wiek sta- [rodawny,
Ni był żaden prokurat między nimi sławny,
Bo nie statutem ale cnotą się rządzili.

Wady, tu wytknięte, musiały być głęboko zakorzenione naówczas w narodzie, skoro podobne skargi co chwila powracają w spółczesnéj literaturze. Gnuśny kwietyzm i chęć używania, tak wybitne w XVII wieku, już wtedy zaczęły się wkradać w dusze i łamać energią narodu. Chciwość tę w myśl Kochanowskiego piętnuje podobnie Górnicki w Dworzaninie (wydanie Tur. str. 56), a widok tego co się dzieje wyrwał z duszy Orzelskiego straszne słowa: „Nic dziw-

nego, że rycerstwo przy takiéj zgnuśniałości i wyłącznem zajęciu się gospodarstwem, jakich nie znano w Polsce za żadnego wieku jéj istnienia, stało się wielce tchórzliwém“ (u Spasowicza, II, 164).

Następują u Myszkowskiego w dalszym ciągu wyrzekania na sromotę nowego pokolenia, którym wiernie wtóruje Kochanowski. „Te niesprawę naszę widząc nieprzyjaciel serce na nas bierze—dodaje pierwszy — lekce nas sobie waży, a za nikczemne ludzi ma,“ i wylicza następnie wszelkie najazdy i klęski, których Polska ostatniemi czasy doznała. Historyczny ten ustęp w zupełnie podobnych słowach, z zachowaniem prawie równego porządku odnajdujemy w „Satyrze.“ Szczegółów tu nie rozprowadzam, bo powyżéj przytoczona paralela wystarczy a podobieństwa są wszędzie w oczy bijące.

„Satyr“ był więc rodzajem broszury politycznéj, którą Kochanowski między szlachtę puścił, aby propagować idee Myszkowskiego. A z tego, co się powiedziało, wypada, że autor go napisał w końcu listopada lub początku grudnia r. 1563. Zrozumimy teraz dla czego Kochanowski nazywa dziełko to w przedmowie rymowanéj do Zygmunta Augusta „kwapioną pracą.“

Że zaś w druku, o czém dotychczas niekiedy wątpiono, zaraz się ukazał, tego dowód, znalazłem w rękopisach Biblioteki Czartoryskich w Krakowie, f. 1605. Najserdeczniejszy Kochanowskiego przyjaciel, wielki filolog, Andrzéj Patrycy Ndecki pisze 6-go lipca 1564 r. z Bielska do Hozyusza: Quoniam Ill. Dom. V. materna lingua conscriptos libros legere intellexi, mitto Ill. Dom. V. Satyrum, munus Polonicum Cochanovii mei. Quem ne forte Ill. Dom. V. in latinis nihil esse versatum existimet, scito velim, in latinis quoque pangendis versibus omnes illum ante se poëtas nostros longo intervallo, ut ego quidem iudico, superasse. Quid Janicium? inquiet Ill. Dom. V. Etiam Janicium mea quidem sententia. Dodaję tu wreszcie, że drugi poemat Kochanowskiego p. t. „Zgoda,“ zapewne czasem powstania bardzo do „Satyra“ zbliżony, również na myślach wspomnianéj mowy Myszkowskiego w części jest osnuty i namacalne reminiscencye zawiera (por. np. ustęp o Grecyi z mową Myszkow. str. 198). I tu wzmianka o biskupach, którzy w Trydencie „zasiedli“ zmusza nas do mniemania, że „Zgoda“ w samym schyłku 1563 spisaną została.

Kochanowski był wtedy — jak wiadomo— sekretarzem królewskim. Szczegół tu podniesiony posłuży za dowód, że na tém stanowisku nie odgrywał roli politycznie tak biernéj, jaką mu pospolicie przypisują. Każdy służy krajowi jak umie. Inni sekretarze pisali listy i akta dyplomatyczne, Jan Kochanowski wyzyskiwał swą muzę dla dobra i pożytku Rzeczypospolitéj. *Kazimierz Morawski.*

Nowa hipoteza początku i siedliska burz.

Zjawiska atmosferyczne, pomimo swéj pospolitości i silnego wrażenia jakie nieraz na człowieka wywierają, należą dotąd do szeregu zjawisk pełnych tajemniczości. Od najdawniejszych czasów ludzie tworzyli sobie hipotezy co do ich natury i przyczyny, ale wnioski te, nie oparte na faktycznym materyale, nie wiele się przyczyniały do poznania zjawiska. Można powiedzieć, że dopiero od lat stu, od okrycia natury błyskawicy przez Franklina, datuje się początek głębszego w rzecz wnikania, i że dopiero badania czasów ostatnich weszły na drogę prowadzącą do celu. Stosunkowo do komplikacyi zjawiska i do ogromu przestrzeni, w której się odbywa i w której go badać należy, rezultaty badań ostatnich są bezwątpienia bardzo wielkie, ze względu jednak na ilość czynników i stosunków niepoznanych, ze względu na całość zjawiska, jesteśmy dopiero na progu badania. W szczególności stosuje się to do burz, o których podręczniki ciągle jedną i tę samę, z małemi zmianami, teoryą powtarzają, teoryą, która uderza już to niedostatecznością pozytywnych podstaw, już téż nieuwzględnieniem wielu faktów fizycznych a nawet czysto meteorologicznych, któreby znaleść można w dziełach rozmaitych podróżników.

Widząc te braki powszechnie odczuwane, p. W. Spring, profesor uniwersytetu w Liège, uczynił próbę wyjścia z dotychczasowego położenia i wziąwszy pod uwagę kilka faktów dotąd wcale albo mało uwzględnianych, a nadto opierając się na własnych doświadczeniach, poddaje pod sąd uczonych następującą hipotezę.

Pomijając milczeniem wszystkie dawniejsze tłómaczenia natury burz, mające tylko wartość historyczną, Spring przytacza hipotezę przyjętą dzisiaj powszechnie dla wykazania, że nie tłómaczy nam ona wcale faktów obserwowanych. Oto ta hipoteza.

Czy niebo jest pogodne czy pochmurne, atmosfera jest zawsze obciążona elektrycznością. Można to sprawdzić za pomocą jakiegokolwiek byle tylko czułego elektroskopu. Elektryczność ta pochodząca zapewne od zjawisk przemiany siły w cieczy jest źródłem burz. W chwili gdy tworzy się chmura, to jest w chwili gdy para wodna rozproszona w atmosferze przechodzi w stan kroplisty, powietrze naelektryzowane oddaje swą elektryczność kroplom wody i chmura pochłania całą ilość elektryczności zawartéj pierwotnie w téj objętości powietrza, którą chmura zajmuje, a prócz tego tę jéj ilość, która powstaje wskutek zgęszczenia się pary. Choć krople wody nie są doskonałemi przewodnikami elektryczności, jednakże przewodnictwo ich jest dość silne, aby umożliwić spłynięcie elektryczności z całéj masy chmury na jéj powierzchnię. Napięcie więc elektryczne chmury będzie o tyle znaczniejszém, o ile większym jest stosunek sumy powierzchni wszystkich kropel składających chmurę do powierzchni téj chmury. Gdy taka chmura obładowana elektrycznością przepływa obok drugiéj chmury różnoimienną elektrycznością naładowanéj, albo gdy taka chmura zbliży się do ziemi, wtedy następuje wyładowanie elektryczności, błyskawica i grom.

Hipoteza ta, ciągle w podręcznikach meteorologii powtarzana, nietylko że nie tłómaczy wszystkich zjawisk meteorologicznych, ale nadto sprzeczna jest z faktami fizycznemi powszechnie znanemi.

Jeźli każda kropla wody, składająca chmurę, otrzymała swą elektryczność od pewnéj objętości powietrza, to rzecz jasna, iż wszystkie krople chmury będą obciążane jedną i tą samą elektrycznością. Ponieważ zaś ciała, naelektryzowane jednoimiennie, odpychają się nawzajem, więc krople te powinny oddalać się od siebie coraz bardziéj, chmura powinna rzednieć i nareszcie rozproszyć się zupełnie. Tymczasem w czasie burzy widzimy rzecz zupełnie przeciwną: chmury bywają bardzo gęste a potoki deszczu spływające z nich doskonale wrażenie naszego wzroku stwierdzają.

Dla obrony powyższéj hipotezy możnaby postawić drugą, mianowicie, że elektryczność spływa na powierzchnię chmury zanim zdoła rozproszyć krople. Ale według Springa i to przypuszczenie nie wytrzymuje krytyki. Bo i cóż to jest powierzchnia chmury? Aby sobie o niéj wyrobić pojęcie, weźmy pod uwagę mgłę wobec nas się tworzącą, albowiem mgła nie jest niczem inném, jak chmurą leżącą na ziemi. Łatwiéj się jeszcze o tém przekonać można, patrząc wśród gór wysokich na tworzenie się chmury. W obu razach przekonamy się natychmiast, że ścisłych granic mgły lub chmury oznaczyć nie podobna, że to co nazywamy jéj powierzchnią jest

tylko stopniowém zmniejszaniem się jéj gęstości. I nie może być inaczéj. Miejsce zajęte przez chmurę, jest miejscem chłodniejszém od powietrza otaczającego, a w atmosferze temperatura nie może mieć nagłych przeskoków od jednego punktu do drugiego: przejście z saméj natury rzeczy musi być stopniowém. Zbliżając się więc do chmury, napotykamy coraz wilgotniejsze powietrze: najprzód wchodzimy w sferę małéj ilości rozproszonych kropel wody, stanowiących mgłę rzadką i przejrzystą na wielką odległość, następnie kropelki coraz bardziéj się skupiają i coraz większą staje się nieprzejrzystość mgły. Nie ma więc granicy, na któréj-by zaraz za warstwą powietrza suchego następowała „powierzchnia" chmury. I dla tego téż—według Springa — niestosowném jest przypisywanie „powierzchni chmury" takich własności fizycznych, jakie obserwujemy na metalicznych przewodnikach machin elektrycznych. Gdyby nawet chciano uważać za tę powierzchnię zewnętrzne warstwy chmury, to pogląd taki rzeczy nie zmieni, gdyż widocznie, na zasadzie tego, co wiemy o elektryczności, warstwy zewnętrzne chmury musiałyby się nagle rozproszyć.

Jest jeszcze drugi fakt okazujący, że dotychczasowa teorya burz nie ma żadnéj podstawy. Każdy fizyk, każdy człowiek, który się uczył w szkole fizyki, wié o tém, że machina elektryczna nie działa w powietrzu wilgotném. Od prostego elektroforu aż do machiny Holtza, niezbędnym warunkiem wytwarzania elektryczności o wysokiém napięciu, a szczególniéj jéj zatrzymania na powierzchni przewodnika metalicznego, jest możliwie największy stopień suchości powietrza. Niektórzy błędnie się na ten fakt elementarny zapatrują. Wiadomo, że rozpraszanie się elektryczności wytwarzanéj przez machinę w powietrzu wilgotném, przypisywaném raczéj bywa przewodnictwu zwilgotniałych wskutek tego szklannych podstaw machiny, aniżeli przewodnictwu otaczającego powietrza wilgotnego, czyli mówiąc inaczéj, fizycy przypuszczają, że ciało naelektryzowane i trzymane w powietrzu bez pomocy podstawek powinno zachować swą elektryczność tak długo jak i w powietrzu suchem. Jednakże liczne a dokładne doświadczenia wykazały, że powietrze wilgotne jest daleko gorszym izolatorem od suchego: dość jest dmuchnąć na laskę laku naelektryzowanego, aby w tém miejscu, gdzie wilgotny oddech dotknął powierzchni, laska utraciła elektryczność, zachowując ją jednak na reszcie powierzchni. Znając ten punkt, przypuszczano jednak, że w wilgotnéj atmosferze, w punkcie gdzie skrapla się para wodna, elektryczność nie rozpraszając się, może dosięgnąć napięcia dostatecznego do wyładowania się iskrą długą nieraz na kilka kilometrów! Kto tylko musiał walki staczać z wilgocią przy

doświadczeniach z elektrycznością, nie uzna podobnego przypuszczenia za możliwe.

Wiadomo też, że wielu fizyków i meteorologów uważa za możliwe wyprowadzenie początku burz z nagłego zgęszczania się pary wodnéj atmosfery—i rzeczywiście błyskawice nie zdarzają się nigdy podczas pogody, a przeciwnie dają się widziéć wtedy, gdy zimny prąd powietrza zgęszcza parę znajdującą się w atmosferze. Przypuszczenie to popierała jeszcze druga przyczyna. Szczególniéj w krajach gorących można być świadkiem burz nadzwyczaj gwałtownych: błyskawice następują po sobie ze zdumiewającą szybkością, a zapas elektryczności, zamiast wyczerpać się wskutek tych silnych a ponawianych wyładowań, zdaje się przeciwnie coraz bardziéj powiększać, przez cały czas trwania burzy. Chociaż prawdą jest, że przy obecnym stanie naszéj wiedzy nie możemy dokładnie ocenić liczby i wielkości błyskawic potrzebnych do zobojętnienia elektryczności, nagromadzonéj w chmurze, jednakże czujemy tu zupełny brak proporcyonalności pomiędzy przyczyną a skutkiem. Często bywamy świadkami burz, które bezwątpienia bezustanku odnawiają straty elektryczności, spowodowane przez ciągłe wyładowania. Otóż jeśli przyjmiemy, że sama atmosfera zawiera źródło elektryczności, to trudność tego tłómaczenia zniknie. Lecz gdzież szukać tego źródła jeśli nie w zgęszczaniu się wody towarzyszącém zawsze burzy? Na nieszczęście jednak, teorya ta, tak ponętna, nie została stwierdzoną przez doświadczenie. Pomimo wszelkich usiłowań, pomimo wszelkich ostrożności, nie zdołano stwierdzić choćby najmniejszego rozwoju elektryczności wskutek zgęszczania się pary wodnéj w mgłę lub krople: więc—powiada Spring—gdzieindziéj należy szukać źródła elektryczności burz, i przystępuje do obserwacyj dokonanych przez siebie roku zeszłego w Szwajcaryi. Sądzi on, że spostrzeżenia te wykazują siedlisko elektryczności podczas burz i że usuwają trudności wyżéj przytoczone. Wnioski swoje stwierdził Spring doświadczeniami.

19 sierpnia r. z. w towarzystwie swego przyjaciela Deliège'a i dwóch przewodników, wybrał się Spring na górę Ewigschneehorn, wyniesioną na 3331 metrów nad poziom morza. Pierwszego dnia doszli, według zwyczaju do Urnenalp, gdzie dla noclegu zaszli do chaty pasterza. Niebo było pogodne, jednakże dzień gorący a wilgotny kazał się spodziewać nocą burzy. Wybuchła ona około pierwszéj po północy a przynajmniéj obudziła o téj godzinie śpiących w szałasie. Wrzała z całą wściekłością i autor skonstatował fakt niespodziewany, że ani jedna kropla deszczu nie spadła na chatę, lecz, że uderzał w nią zupełnie suchy grad. Padał on na deski, dach stanowiące i odbijał się od nich z suchym dźwiękiem a raczéj ogłu-

szającym łoskotem na ziemię przyległą. Od czasu do czasu grad się nagle wzmagał, i w tejże chwili przelatywała błyskawica, po któréj grzmot następował. Łoskot gradu nie pozwalał zauważyć, czy grzmotowi towarzyszy turkot (roulement), czy też nie. Wydawał się on za każdym razem jakby straszny wystrzał działowy. Trwało to około półgodziny, ciągle z temi samemi cechami. Następnie uderzenia gradu stały się mniéj głośne, burza się oddalała. Zaczęły padać nieliczne krople deszczu, a w miarę, jak się ich liczba zwiększała, błyskawice i grzmoty stawały się rzadszemi, wreszcie ustały zupełnie, gdy grad deszczowi miejsca ustąpił.

Widocznie hałas znajdował się w samém sercu burzy. Ponieważ zaś grzmoty dawały się słyszéć zaraz po błyskawicach, więc obserwacya czyniona była jak można najbliżéj miejsca zobojętniania się elektryczności. Lecz w atmosferze ponad tą miejscowością nie było żadnéj kondensacyi pary na deszcz,—i burza ustąpiła natychmiast, skoro deszcz zaczął padać. Nie podobna więc przypuścić, iż siedlisko elektryczności znajdowało się na powierzchni chmury, ale wnieść należy, że się może znajdowało na suchéj powierzchni gradu, który utworzył się w temperaturze daleko niższéj od zera. Co się zaś tyczy pochodzenia téj elektryczności, to powstać ona mogła w większéj części wskutek zniszczenia powierzchni wolnéj (l'anéantissement de surfaces) towarzyszącego powstawaniu gradu, oraz wskutek tarcia się gradu o powietrze. Grad przyjmuje jednę elektryczność, powietrze, o które się on trze,—drugą. Jeśli szybkość tworzenia się gradu oraz szybkość spadku są dość znaczne, to może powstać rozkład elektryczności ciała tartego i trącego, tak samo jak w szkle i poduszce machiny Ramsdena. Fakta te stwierdził Spring doświadczalnie, o czém poniżéj będzie mowa. Tymczasem powróćmy jeszcze do burzy.

Ponieważ burza powstaje w części atmosfery o tyle zimnéj, że woda nie może pozostać w niéj w stanie płynnym, ani też w stanie mgły wilgotnéj, więc łatwo zrozumiéć, że napięcie elektryczności może tam dosięgnąć wysokiego stopnia. Poniżéj, gdzie temperatura jest wyższą, wilgotność znaczniejszą, pojawiają się chmury znanéj nam postaci. Podległe są one wpływowi elektryczności z zewnątrz i stanowią rodzaj nieprzejrzystéj zasłony, rozciągniętéj pomiędzy okiem obserwatora a miejscem, gdzie się rodzi elektryczność.

Grad spadając, spotyka warstwy coraz cieplejszego powietrza, i wskutek tego przy odpowiednich warunkach może się stopić, nie dosięgłszy ziemi. Być może, iż wielkie krople deszczu, które zrzadka padają na początku burzy, nie są niczém inném jak właśnie stopionemi ziarnami grubego gradu, które spadły wcześniéj z powodu

swéj wielkości. Po pewnym czasie spadek gradu i krupy może oziębić powietrze do tego stopnia, że lód może je przebyć bez stopienia: wtedy pada grad. Zresztą jest to faktem stałym, że czy w zimie czy w lecie wielkie grady spadają tylko podczas burzy. Ztąd Spring wnosi naodwrót, że grad jest przyczyną burzy.

Zastanówmy się nad jeszcze jednym ważnym faktem. Jeśli obserwujemy burzę z dołu, tak jak się to najczęściéj dzieje, spostrzegamy, że po błyskawicy,—przelatującéj w okolicy zenitalnéj nie zaś nad poziomem,—następuje nagle powiększenie się deszczu, który wyprzedza grzmoty albo następuje po nich po pewnéj liczbie sekund. Tłómaczenie tego faktu znajduje Spring w obserwacyach dokonanych na Urnenalp. Na téj wysokości wyładowania elektryczne towarzyszą zwiększonemu spadkowi gradu. Spotęgowanie gradu, błyskawica i grzmot są tu jednoczesnemi zjawiskami, lecz poniżéj, obserwator dostrzeże każde z tych zjawisk z osobna, według porządku czasu jakiego im potrzeba do dosięgnięcia ziemi.

W kilka dni po wejściu na Ewigschneehorn, Spring dokonał innéj obserwacyi potwierdzającéj pierwszą. 24 sierpnia udał się z Tosa do Airolo przez przełęcz San Giacomo. Dnia tego srożyła się nad Szwajcaryą straszna burza, któréj wynikiem były wylewy rzek i wielkie straty materyalne. Padał już silny deszcz wtedy, gdy opuszczał oberżę Tosa. Wznosząc się w górę, doświadczał coraz silniejszego działania deszczu, bardzo zimnego, zmieszanego z gradem. Z trudnością udało mu się schronić do szałasu pasterza. Ogromna burza srożyła się nad schroniskiem, czas upływający pomiędzy błyskawicą a grzmotem nigdy nie był mniejszy od dwóch sekund. Gdy już możliwém stało się wyjście z szałasu, przedstawił się widok wielce ciekawy. Chmury, prawie rozproszone, dozwalały widzieć wszystkie góry okoliczne, pokryte od wierzchołka warstwą gradu, dającą im pozór gór śnieżnych. Granica dolna téj warstwy wydawała się zupełnie poziomą, a pod nią widać było skałę nagą. I tu również burza miała siedlisko tylko w sferach suchego gradu. Tam, gdzie grad topniał, napięcie elektryczne nie było już dostateczném do spowodowania nagłéj neutralizacyi elektryczności.

Wreszcie w dziesięć dni późniéj w powrocie z Włoch przez Monte Moro, Springowi udało się zbliska być świadkiem tworzenia się gradu, a to, co widział, zgadza się zupełnie z doświadczeniami Osborne Reynolda nad powstawaniem gradu. Jak wiadomo fizyk ten tworzył grad sztucznie, puszczając strumień powietrza, obciążonego rospyloną wodą i eterem, przez rurkę szklanną; eter ulatniając się, oziębiał wodę a wskutek tego powstawała mgła lodowa; kawałek

drzewa, trzymany w téj mgle, pokrywał się warstwą lodu, zupełnie podobną do lodu gradowego.

Opuszczając wieś Macugnaga pod Monte Rosa, Spring zauważył, że deszcz, który padał w dolinie, mógł pochodzić tylko z topniejącego lodu. Wkrótce doszedł do chmury, będącéj granicą pomiędzy cieplejszą a zimniejszą warstwą atmosfery. Gęstość chmury była bardzo znaczna i ciągle padała mieszanina deszczu śniegu i gradu. Wreszcie o kilkaset metrów wyżéj, opuściwszy mgłę wilgotną, Spring znalazł się w pradziwéj mgle lodowéj albo raczéj w kaskadzie kryształków szronowych, których ścianki błyszczały, gdy spadając, odpowiednie do osi widzenia przybierały położenie. Ziemia pokryła się grubą skorupą lodu, coraz bardziéj wzrastającą i chód utrudniającą, oddzielne bryły skał, bezwątpienia więcéj na deszcz lodowy wystawione, pokryte były znaczną warstwą lodu. Jedném słowem, cała ziemia była niejako lepem, do którego przylegała każda cząstka, która się z nim zetknęła. Był to uderzający przykład t. z. przymarzania. Lód ten i wędrowców nie oszczędził i nadzwyczaj prędko pokrył ich włosy oraz odzież grubą skorupą. Po dwóch godzinach brody ich obciążone były bryłami lodu, których niepodobna było oderwać a które ważyły, każda około kilograma. Odzież, a szczególniéj kapelusze, pokryte były grubą nieprzezroczystą warstwą, mającą wszelkie cechy lodu gradowego.

Nawskroś téj mgły lodowéj, któréj temperatura była niższa zapewne od— 10^0 do — 15^0, padały daleko grubsze cząstki lodu, które widocznie powiększały się kosztem wszystkich mniejszych spotkanych na drodze.

Każde więc ziarno gradu, czy to małe, czy duże, nie jest widocznie niczém innem, jak tylko zbiorem wielkiéj liczby kryształów lodu, zjednoczonych wskutek przymarzania. Możnaby o niém powiedzieć, że jest lawiną lodową, która spada przez mgłę lodową. Lecz wskutek przymarzania tych mikroskopijnych kryształów lodu, których miliardy składają się na jedno ziarno gradu, niszczy się ogromna powierzchnia tych pierwotnych części składowych i znika w ciele nieprzewodzącém elektryczności, *w lodzie*, wobec drugiego ciała nieprzewodzącego, *powietrza suchego*. Takiemu zaś nadzwyczajnemu pochłanianiu wolnéj powierzchni towarzyszy, jak to Spring i van der Mensbrugghe wykazali, znaczny rozwój elektryczności. Tarcie gradu o powietrze może jeszcze wzmódz tę elektryczność, jeśli wskutek niego rozwija się elektryczność jednoimienna. Czyż nie jest widocznem, pyta się Spring, że prawdziwe siedlisko elektryczności burz, prawdziwe ognisko jéj tworzenia się pod wysokiem napięciem, mieści się w częściach suchych i zimnych atmosfery, gdzie pa-

ra wodna zgęszcza się nie na kulki płynne, lecz na stałe kryształy?

Wniosek ten potwierdzają rozmaite fakta fizyczne. I tak Melsens zauważył, iż grad, padając na suche jeszcze podwórko, wybrukowane płaskiemi kamieniami, odskakiwał od nich w téj chwili, kiedy siła spadku zupełnie znikała, i grad powinien był już leżeć spokojnie. Obserwować to można na wielu ziarnach i trudno przypisać czemu innemu jak elektryczności.

Hirn wystawiając rękę na grad, słabo uderzający, uczuwał za każdym zetknięciem się gradu ze skórą niejakie podwyższenie temperatury, które według Springa także elektryczności przypisać można. Colladon spostrzegł podczas pewnéj burzy, iż ziarna gradu podskakiwały w sposób osobliwy, przypominający podskoki ziarek rdzenia bzowego przy zbliżeniu na elektryzowanéj pałeczki szklannéj. Jestto zresztą fakt powszechnie znany. Wreszcie Peltier obserwował na Faulhornie, że gdy obłok otaczający górę był białym, elektryczność jego była silnie dodatnią i padał śnieg, gdy zaś chmura miała barwę szarą, padał grad, a elektryczność ujemna tak silne miała natężenie, że niepodobna jéj było zmierzyć żadnym instrumentem.

Co się tyczy kwestyi czy temperatura miejsca, gdzie się grad tworzy, jest tyle nizką, że wyłącza możliwość istnienia wody w stanie cieczy, to Boussingault zanurzył raz termometr w warstwie gradu już po przejściu burzy i znalazł temperaturę —13°, choć w powietrzu termometr wskazywał 26° nad zerem.

Wypada się tu zastanowić nad jeszcze jedną kwestyą. Jeśli siedlisko burzy znajduje się rzeczywiście w sferze gradu, tj. w sferze wyniosłéj, gdzie możliwą jest bardzo nizka stosunkowo temperatura, to rzadko powinna się zdarzać sposobność widzenia burzy z góry, jeżeli obserwator nie znajduje się na Mont Blanc lub Monte Rosa. Tymczasem wielu obserwatorów utrzymuje, iż widzieli burzę góry, na wysokości dość nieznacznéj, jak u wierzchołka Righi lub na Pilacie blisko Lucerny. Lecz prawdopodobnie obserwatorowie ci byli ofiarą złudzenia lub mirażu.

Nie można jednak utrzymywać, aby niebyło wierzchołków gór wynurzających się ze sfery burzy. Przemawia za tém obserwacya Boussingault'a, który podczas swéj podróży w Andy, schodząc z pewnéj góry zanurzył się w chmurę w któréj grzmiało, i w któréj padał grad tém większy, im niżéj uczony się znajdował; tak że nakoniec grad ten dosięgał, wielkości kuli karabinowéj. Grubość sfery gradowéj, mierzona barometrem, wynosiła 2.100 metrów. Poniżéj padał deszcz i słychać było burzę wrzącą w sferach wyższych.

Teorya wyżéj podana opiera się na dwóch zjawiskach, które wymagają poparcia doświadczalnego. Pierwszém z nich jest powstawanie elektryczności wskutek niszczenia wielkiéj powierzchni pojedynczych kryształów lodu, drugiem, tworzenie się jéj wskutek tarcia się gradu o suche powietrze.

Jakeśmy powiedzieli grad tworzy się przez przymarzanie wzajemne kryształków lodu. Według zaś specyalnych prac Springa i van der Mensbruggha których tu przytaczać niepodobna, zmiana wywołana w powierzchni zetknięcia ciałek z powietrzem, czyli pochłonięcie powierzchni, powinna wytworzyć elektryczność. Oprócz tego przymarzanie pozbawia spojone powierzchnie przylegającéj do nich jak w ogóle do każdego ciała stałego warstwy powietrza, czyli następuje tu prawdziwe wypędzenie powietrza z pomiędzy dwóch powierzchni przymarzających. Odbywa się więc tutaj jeszcze tarcie powietrza o ciało stałe, co także powinno być źródłem elektryczności. Jeśli więc pewna wielka objętość suchego powietrza jest siedliskiem powstawania ogromnéj ilości gradu, to według Springa powinna się w niéj utworzyć ilość elektryczności, dostateczna do wytłómaczenia zjawisk, jakie podczas burzy widzimy.

Zachodzi teraz pytanie: w jaki sposób rozdzieli się w podobnych okolicznościach elektryczność? Oba ciała, grad i powietrze, są suchemi, a więc złemi przewodnikami elektryczności. Następujące doświadczenie Faraday'a pozwoli nam wyprowadzić odpowiedni wniosek. Faraday połączywszy drutem koszyk metaliczny z elektroskopem, wpuszczał do koszyka na nitce jedwabnéj kulkę metalową naładowaną elektrycznością. Gdy kulka wchodziła do koszyka niedotykając się go wcale, elektroskop wykazywał obecność elektryczności w koszyku. Im głębiéj kula się pogrążała, tém bardziéj odchylały się listki elektroskopu. Doświadczenie to okazało, iż zewnętrzna powierzchnia koszyka otrzymuje przez wpływ elektryczność taką samą, jaką kulka jest obciążona. Włożywszy kilka koszyków podobnych jeden w drugi i oddzieliwszy je od siebie złym przewodnikiem np. siarką, Faraday otrzymał podobne rezultaty: powierzchnia zewnętrzna, zewnętrznego koszyka otrzymywała elektryczność tego samego co kulka imienia.

Ztąd wnieść możemy, że jeśli wielka liczba kulek naelektryzowanych znajduje się w sąsiedztwie, i jeśli jedna od drugiéj oddzielona jest środkiem izolującym, to, wskutek wpływu elektryczności jednéj kulki na drugą, ta warstwa kulek, która stanowi niejako powierzchnię przestrzeni zajętéj przez kulki, musi przyjąć ładunek elektryczności równy sumie naładowań kulek środkowych. Aby ułatwić sobie zrozumienie tego pojęcia, trzeba sobie wystawić, że chmu-

ra gradowa jest złożona z odrębnych warstw koncentrycznych, rozdzielonych powietrzem. W takim razie warstwy koncentryczne złożone z ziarn gradu, będą odpowiadały koszykom w poprzednim przykładzie, powietrze zaś siarce lub żywicy. Choć pojedyncze ziarna warstwy nie są połączone jak koszyk w jedną całość, nic to jednak nie wpływa na ostateczny rezultat. A więc okolice zewnętrzne chmury gradowéj, powinny przyjąć nadzwyczaj silne napięcie elektryczne. Najczęściéj pojedyncze kulki gradu z tych okolic zewnętrznych jako naelektryzowane jednoimiennie powinny się nawzajem odpychać, a ztąd bezwątpienia pochodzą owe ruchy nieuporządkowane, jakie nieraz obserwowano w chwili, gdy grad zdawał się opuszczać chmury.

Jeśli miejsce powstawania elektryczności jest dość oddalone od ziemi, nadewszystko zaś, jeśli różnica natężenia pomiędzy elektrycznością ziemi i gradu jest nieznaczną, wyładowania elektryczne odbywają się w atmosferze, pomiędzy gradem i powietrzem. Tak bywa najczęściéj. W przeciwnym zaś razie, daleko rzadszym, wyładowanie odbywa się pomiędzy chmurą gradową z jednéj, a wynioślejszemi miejscami ziemi z drugiéj strony.

Teorya ta tłómaczy jeszcze zygzakowatą postać błyskawic. Ponieważ napięcie elektryczne gradu zależy od prędkości jego spadku, a więc zmienia się na każdém miejscu, więc wyładowanie nie może się dokonywać według linii prostéj, lecz musi przebiegać linię dowolną, naprzyklad zygzak.

Zestawiając to wszystko, powiada Spring, jeśli wnioski wyprowadzone z faktów przytoczonych są dokładne, przyjąć możemy, iż burze są skutkiem zgęszczania się pary wodnéj w atmosferze nie na mgłę, ale na suche kryształki lodowe. Według tego powstawanie elektryczności polegałoby na niszczeniu przylegania powietrza do cząstek lodu, a wpływ elektryczny przenosiłby elektryczność od środka na cząstki, stanowiące granicę chmury gradowéj. W lecie więc burze powinny mieć siedlisko w bardzo wyniosłych okolicach atmosfery, w zimie zaś bliżéj ziemi, a fakt ten tłómaczyłby dla czego w zimie burze są niebezpieczniejsze aniżeli podczas lata.

Oto jest hipoteza Springa, według jego własnego przedstawienia. Przyznać musimy, iż jakkolwiek zawiera wiele punktów niewytłómaczonych lub wątpliwych, jednakże nie podobna nie przyznać jéj cechy wysokiego prawdopodobieństwa, większego w każdym razie od tego, którym się szczycić moze hipoteza dotychczasowa.

FANTAZYE GEOGRAFICZNE

NA TEMAT ZIEMI LUBELSKIÉJ I PODLASKIÉJ.

(„Karta Russkawo Zabużja, sostawlena .... 1880 goda," z tekstem objaśniającym).

„Chociaż to życie idzie po grudzie, jak mi Bóg miły, nieźli są ludzie." Wolno pesymistom innego być pod tym względem zdania: my się w ich szeregi nie zapiszemy. Dość spojrzéć dokoła, aby się przekonać, że nie brak jest mężów, którzy zapominają o swoich bliższych kłopotach, o tém np. coby ich ziomkom rozwój moralny i materyalny ułatwić i zapewnić mogło, a natomiast poświęcają wiele czasu, trochę gotówki i cały zapas wiedzy, na jaką ich stać tylko,— a to wszystko dla naszego oświecenia i zabawienia, jeśli nie zbawienia. Przed półtorarokiem zapoznaliśmy czytelników naszych z pewnym profesorem pewnego uniwersytetu, ukrywającym się skromnie pod głoską *P.* oraz z panem Rittichem, autorem atlasu, z którego profesor P. czerpał swą mądrość, niby wodę ze studni (Ateneum, 1881 r. maj, 375—383); dzisiaj, mapa, któréj tytuł przywiedliśmy na czele, daje nam sposobność do pomnożenia liczby naszych dobrodziejów o jedną osobę i wkłada na nas obowiązek wdzięczności względem uczonego geografa. Niemało, bezwątpienia, podjąć musiał on trudów, zanim w r. 1880 ułożył swą mapę, a chociaż „dzieło dobre było," nie odpoczął po tym akcie stworzenia, lecz wziąwszy się na nowo do pracy, sporządził w ciągu dwóch lat następnych tekst objaśniający, zawarty w 58, wyraźnie w pięćdziesięciu ośmiu wierszach, licząc w to już tytuł i odsyłacze. I patrzał teraz na „wszystkie rzeczy, które był uczynił: i były bardzo dobre. I stał się wieczór," a zarankiem nowa mapa pojawiła się za szybą księgarską.

Już w samém nazwaniu mapy dostrzegamy oryginalną ideę, któraby Erazmowi z Roterdamu za temat do nowéj „Pochwały" po-

służyć mogła. Jakiś tam zapleśniały konserwatysta gotów może upierać się przytém, że przyimki *przed* i *za* powinny zachować stare swoje znaczenie; ten i ów pedant, patrząc na mapę ułożoną w Królestwie a litografowaną i wystawioną na sprzedaż w Warszawie, mógłby powiedzieć, że nazwa Zabuża właściwszą byłaby dla Wołynia i że gubernie Lubelską i Siedlecką chyba Przedbużem zwać by wypadało; tak bowiem zapatrywali się na te rzeczy starzy ludzie, którzy nazwali Zabużem wieś na *prawéj* stronie Buga (na południe Włodawy) leżącą. Ale zdaniami tego rodzaju niema potrzeby się krępować, i skoro prąd reformatorski w naszych czasach zapuszcza się w najrozmaitsze sfery i wszędzie swój pochód zwycięzki zaznacza podbojami, dlaczegóżby liche przyimki stanowić miały dla niego tamę? W téj mierze stajemy po stronie uczonego geografa i dokonaną reformę przyimkową aprobujemy w zupełności.

Mniéj atoli jest dla nas jasném, jakich się trzymał zasad autor, gdy do Zabuża wcielał ową wązką szyję augustowską, która południowy koniec gubernii Suwalskiéj stanowi. Wprawdzie kraina ta wcale do Buga nie dotyka i z tego właśnie względu rzeczywiście zasługiwała na tę anneksią; ale rozszerzywszy jéj granice na południe do Narwi pod Łomżą, a na północ do Niemna pod Kownem, miałoby się spory kawał ziemi, który w nowéj geografii mógłby figurować jako *Niebuże*, albo *niebożę*, w miarę tego czy uwzględnialibyśmy jego położenie z geograficznego, czy też z innego stanowiska. „Jak się zwał, tak się zwał, byle się dobrze miał"— powiada nasz praktyczny wieśniak; w myśl téj wskazówki przejdźmy od zagłówka do samego przedmiotu.

Jest-to duży arkusz ładnego bardzo papieru, przedstawiający krainę pomiędzy Wisłą, Bugiem i granicą galicyjską, krainę, nad którą w górze, trochę w prawo, unosi się w powietrzu, wisi, czy też spada owa wyżéj wspomniana szyja augustowska. Cała ta kraina oprowadzona jest pięknemi barwami, wskazującemi zapewne jéj granice, nie tyle teraźniejsze, ile spodziewane w przyszłości, bo według mapy, cała część zachodnia, przylegająca do Wisły, jest jedną wielką pustką, na któréj stoi tylko dziewięć miast i kilka zaledwie osad wiejskich. Tę pustkę obrał sobie oczywiście autor za widownię zamierzonéj przez niego kolonizacyi. Wschodnia strona kraju, przylegająca do Bugu, inaczéj się przedstawia, zapisana jest bowiem gęsto licznemi nazwami miasteczek i wiosek. Tu reformy geograficzne dokonane zostały na wielką skalę, i warto im się przypatrzyć.

Ponieważ urzędników tranzlokują niekiedy „dla dobra służby" z jednego miejsca na drugie, czemużby téj metody niemożna było spróbować w zastosowaniu do całych wiosek? Finansów to nie

obciąży, bo kosztów podróży nie potrzeba im wypłacać. Więc daléj w drogę! Wieś Bartatycze przenosi się z północy na południe, na miejsce wsi Siedlisk, gdzie przybiera nazwę *Bartatyczi*: na nowém miejscu łatwiéj będzie mogła o starem imieniu zapomnieć. Biedne Siedliska chronią się przed tym zajazdem na północ, na opróżnioną przez napastnika posadę. Radecznicę, znaną całemu ludowi lubelskiemu z pielgrzymek pobożnych, która dotąd leżała nad rzeką Porem, wpadającą do Wieprza, przetranzlokował autor daléj na zachód, nad rzekę Ładę, która wraz z Tanwią toczy swoje wody do Sanu. Wisła nie założy pewnie z tego powodu „opozycyi trzeciego,“ bo czy korytem Sanu, czy korytem Wieprza, zawsze woda z pod Radecznicy trafi na pewno do Wisły.

Wieś Pańków, siedząca przedtém u źródeł Wieprza, naraz poczuła, że jéj za ciasno między Tarnowatką a Szarowolą, przeniosła się więc przeszło o milę na zachód, ku Krasnobrodowi, na grunta wioski Szur, która znikła gdzieś bez wieści. Wieś Wożuczyn, leżąca na południo-wschód miasteczka Komarowa, bez względu na złe drogi, przejechała przez wzgórza i bagna na północ wspomnianego miasteczka i zasiadła na miejscu Wólki Sniatyckiéj, a Wólka musiała się puścić na włóczęgę, gdyż miejsca jéj pobytu wyśledzić się nie dało. Bliskość granicy austryackiéj stanowiła widać dla Poturzyna zbyt silną pokusę do kontrabandy; dla ocalenia więc swéj cnoty, odsunął się od granicy o całą milę na zachód. Przy téj sposobności wsie Radostów, Łykoszyn i Wiszniew także usiedzieć na swojém miescu nie mogły. Gródkowi-Nadbużnemu dano lokal na południe Czumowa, w zamian za dotychczasowe siedlisko z północnéj strony téj wsi będące. Kumów pojechał w sąsiedzkie odwiedziny do Sielca, ze wschodu na zachód, nie zastał jednak gospodarza w domu, bo Sielec właśnie rewizytował go wtedy nawzajem. Białopolu, leżącemu na północo zachód Strzelców, pozycya ta wobec wojowniczego sąsiada wydawała się nie zupełnie bezpieczną, zajęło więc stanowisko od południo-zachodu. Przeciwnie, Kułakowice przeniósł autor mapy z południo-zachodu Stepankowic na północ téj wsi. W okolicy Jarosławic, które mapa przezwała *Jarosławcem*, rumacya wsi dokonana została tak energicznie, że i dobrze obznajmiony z tamtą stroną wędrowiec łatwo dzisiaj zabłądzić może.

Oprócz reformy w rozsadzeniu wiosek, autor mapy nie mniéj się zasłużył przekształceniem nomenklatury geograficznéj. Pomysł to wprawdzie nie nowy, a nawet nie słowiański, gdyż zapożyczony ze „zgniłego zachodu.“ Istotnemi wynalazcami są, jak wiadomo,

Niemcy, którzy np. O s t r z e s z ó w przezwali *Schildbergiem* a zamiast G n i e w k o w a piszą *Argenau*. Nie należy jednak z tego powodu zmniejszać zasługi autora mapy. „Pająk szuka jadu, ale pszczoła miodu“ — jak mówi Fredro. I na zachodzie zdarzają się czasem dobre rzeczy i niegłupie pomysły: trzeba tylko umieć zrobić wybór. Skoro ztamtąd wzięto grę giełdową, skoro przeflancowane z zachodu szansonecistki wybornie się przyjęły na wschodzie; więc gdy minister Putkammer reformuje ortografię dla Niemiec, gdy jego podwładni fabrykują nową nomenklaturę geograficzną dla nas tak skutecznie, że dzisiaj ani Zulusy ani Maorysi nie wątpią już o niemieckim charakterze księstwa Poznańskiego,—czemuż-by na świeżo stworzoném „Zabużu“ nie chwycić się tak zbawiennego środka. Wielka biegłość autora w lingwistyce będzie przy téj robocie niezrównanym przewodnikiem. Oto mamy wieś R u s z k ó w : w gwarze mazurzącéj powinno to brzmieć Rusków, podwójmy jeszcze spółgłoskę *s*, a będzie *Russkow*, nazwa już nie polska, lecz rdzennie rosyjska, bo o ile język polski unika, jak wiadomo, takiéj duplikacyi spółgłoskowéj, o tyle język rosyjski bardzo ją lubi. W tym przypadku autor stanął w obronie wymowy mazurzącéj, z obawy jednak, aby go kto nie wziął przypadkiem za mazura, wnet się oświadcza przeciw mazurzeniu i nazwę wsi Ż a b c e przerabia na *Żabcze*. Niektóre zmiany podyktowała etymologia na zupełnie nowych zasadach oparta. Dotąd np. można się było spotkać z mniemaniem, że jak wieś M i ł o d r o ż nazwaną została od imienia ludzkiego Miłodrog, tak wieś W i t o r o ż poszła od Witoroga; prosty przesąd: nasz etymolog każe mówić W i t o r ż, zapewne dla stwierdzenia téj prawdy, że kto się targuje, to zawsze coś „*witarguje*.“ Ł o p i e n n i k powinien się zwać *Łapiennikiem*, bo nazwany został nie od łopianu (lappa communis), lecz od łapania, prawdopodobnie wróbli na dachu. Nazwa Ł u k o w c e zanadto przypomina polski Ł u k ó w, a przytém mógłby kto przypuszczać, że ona pochodzi od łuków, łąk; dla uchronienia go od błędu, nazwijmy wieś *Łukowicami*: wszakże tam muszą sadzić cébulę. O s t r o m ę c z y n pod Łosicami także cierpianym być dłużéj nie powinien, bowiem przypomina wieś O s t r o m ę c k o nad Wisłą (w ziemi Chełmińskiéj), stał się więc *Ostromieczynem*, na pamiątkę ostrego miecza, który częściéj niszczy wioski, aniżeli je zakłada. Ł e p k i przemianowano na *Liepki* ze względów filantropijno-chirurgicznych, bo, mówiąc zprosta, choć komu we łbie trzaśnie, nie potrzebuje rozpaczać: pęknięcie da się zalepić, a i taką głowę można nakrywać kapeluszem.

Czasami chrzciny odbywają się jednocześnie z tranzlokacyą. Oto, przy miasteczku Jarczowie była zdawien-dawna wieś, którą

„Tabella miast i wsi“ zowie W i e r z e ż y c ą, mapa sztabu W i e r s z c z y c ą, a „Catalogus universi cleri an. dni 1873“ W i e s z c z y c ą; autor mapy kazał jéj zamienić się na miejsca ze wsią N e d e ż o w e m i dał jéj przy téj sposobności czwarte imię *Wereszczin*; ponieważ jest już jeden W e r e s z c z y n na północo-wschód Łęczny, a drugi na wschód Tyszowiec, uzupełni się więc trójka, liczba święta, bo wedle dogmatu ludzi mnożących dochody akcyzne, „Bóg lubi trójcę.“

Częściéj jednak się zdarza, że wieś nie zmienia swéj posady, i tylko nową uzyskuje nazwę. Oto przykłady godniejsze uwagi: M s z a n n a będzie się odtąd zwała *Wisznice*, S t a r a w i e ś—*Staroje Sielo*, O k n i n k a—*Okuńki*, P u c z y c e—*Puczickoje*, Z d z a n n e—*Żdannoje*, G ę ś—*Guś*, M i ę d z y r z e c—*Mieżirjeczje*, K l ą t w y—*Kliatwy*, M i ą c z y n—*Mionczin*, a jeszcze lepiéj *Miaczin*, Ż m u d ź—*Żmud*, M a j d a n K s i ę ż o p o l s k i—*Majdan Kniaże-polskij*, Z w i a r ł ó w—*Zwierlow* (1).

Każdy bezstronny człowiek przyznać musi, że zmiany takie, jak powyższe, były pomyślane rozumnie, a wykonać je mógł tylko mąż prawdziwie i głęboko uczony. Trudno wszelako stłumić niejakie zdziwienie nad tém, że szanowny geograf przy wymiataniu z nad Buga nazw polskich, nie okazał większéj względności dla nazw miejscowych rusińskich. Żałujemy tedy, że W i e r z c h l i s przekształcony został na *Wiercholiesje*, D u b i c a na *Dubiszcze*, M o r a t y n na *Mariatin* Ł u b c z e na *Lubicze*, W a s y l ó w na *Wasilew*, B o h u t y c z e na *Bogatycze*, H u s y n n e na *Gusinoje*, W e r b k o w i c e na *Wierbżkowice*, B i ł g o r a j na *Bielgoraj*, S ł a w a t y c z e na *Słowatycze*, C z e r n i c z y n na *Czernieczin*, P r e h o r y t o na *Prigorieloje*.

W ten sposób udało się szczęśliwie dokonać nowéj akwizycyi etnograficznéj... na papierze, i to bez żadnego rozlewu krwi, co dla cywilizacyi XIX wieku jest zaiste pochlebném nader świadectwem. Niestety, w dzisiejszym kapitalistycznym ustroju Europy, gdy najpotężniejsi ministrowie szczycą się mianem „uczciwego meklera,“ prawie nic darmo nie przychodzi. Historya ostatnich stu lat przekony-

---

(1) Jeszcze kilka przykładów: Zaczopki nazwano *Zaczepkami*, Kijowiec—*Kijewcem*, Przegaliny—*Progaliny*, Ortel Książęcy—*Ortiel Kniażskij*, Dąbrowica—*Dubrawica*, Mutwica—*Moltwica*, Krzywowierzba—*Kriwowierby*, Dębowa Kłoda—*Dubowaja Koloda*, Wola Wereszczyńska — *Wolia Weriszczanskaja*, Stołpno—*Stolpino*, Święcica—*Swiecice*, Księżopól—*Kniażpol*, Łaziska—*Łazuska*, wieś Wieprzowe Jezioro—*Wieprewoje Oziero*, Krzeszów—*Krieszow*, Konopno—*Konopki*, Wygnańce—*Wygnanje*, Klesztów—*Kleszczew*, Chyżowice—*Chyżowcy*, Kulemczyce—*Kolemczice*, Ubrodowice—*Ubrodowiec*, Luta—*Liutaja*, Międzyleś—*Mieżiliesje*, Zabłoć—*Zabolotje*, Gródek—*Gorodok* i t. d. i t. d.

wa, że trudno było robić w tych stronach nabytki, nie dzieląc się po bratersku z sąsiadami. I nasz przeto geograf musiał się poddać obowiązkom z téj tradycyi płynącym: wydzielił wprawdzie lwią część dla siebie (czego mu nikt rozsądny za złe brać nie będzie), ale i sąsiadom trzeba było dać odczepnego. Z jednéj więc strony, dla zadowolnienia domu Brandeburskiego, wieś Roztokę nazwał *Rostok* na cześć miasta *Rostock*, znajdującego się w zależnéj od Prusaków Meklemburgii; z drugiéj zaś strony nazwę wsi Czartowiec zmienił na *Czartowic*, idąc za przykładem Austryaków, którzy bukowińskie Czerniowce przekręcili na *Czernowitz*. Tylko takie wysoce dyplomatyczne pobudki mogły skłonić szanownego geografa do rzucenia kości szwabskiemu Molochowi.

Mapa nowego „Zabuża" wykazuje nadto zapomocą delikatnie narysowanéj linii granicę, mającą rozdzielać terytoryalne obszary języków polskiego i rusińskiego (1). Wiele w tém znajdujemy uderzającego podobieństwa ze znanemi wymysłami p. Ritticha; zachodzą jednak i wyraźne różnice. W roku 1880 nie dało się już odszukać Rusinów pod Żelechowem, których szczęśliwe niegdyś odkrycie postawiło imię p. Ritticha obok Kolumbów, Maghellanów, Cooków.

Noblesse oblige! Naszém zdaniém, powodzenie obowiązuje niemal tyle co gieniusz, a bez porównania więcéj aniżeli szlachectwo. Jakież dopiéro muszą być obowiązki naraz z tych trojga źródeł płynące! Tuszemy więc mocno, że autor mapy „Zabuża" nie spocznie na zasłużonych już laurach, ale po nowe sięgnie. W téj nadziei poważamy się rekomendować mu do dalszych anneksyj: odnogę Niemna zwaną *Russe*, daléj okolicę Grudziądza, gdzie mapy z początku bieżącego stulecia zaznaczają „der *Russen* Weg"; następnie księstwa *Reuss*-Greitz-Schleitz, obojga starszéj i młodszéj linii; wyspę Rugię, któréj mieszkańców autorowie średniowieczni zwali po łacinie *Ruthenami*; hrabstwo Rovergue nad rzeką Tarn, gdzie za czasów Juliusza Cezara mieszkali także *Ruteni*, a za jednym zachodem—Venetów w Armoryce, których nazwa przekonywa, że byli Wenedami, Antami, Słowianami; wreszcie pirenejskie *Roussillon* (starożytne *Ruscino*) znaczące oczywiście tyle co Ruś mała, Małoruś. Ziemi *Rutulów*, leżącéj między Tybrem a bagnami Pontyjskiemi, nie należałoby, jak

(1) Autor mapy, identyfikując stosunki wyznaniowe z etnograficznemi przytacza, że w guberniach Lubelskiéj i Siedleckiéj znajduje się 320.751 wyznawców obrządku Wschodniego; zapomniał jednak dodać, iż w owym wąskim pasie nadbrzeżnym, w którym oni zamieszkują, jest oprócz nich: 273.171 katolików (Catalogus universi cleri dioec. Lubl. an. 1873), znaczna ilość wyznawców Mojżeszowych oraz mniejsze liczby protestantów i mahometanów.

się nam zdaje, zostawiać pod jarzmem włoskiem: bagna spokrewniają ich ziemię z Polesiem, ową kolebką starych Dregowiczów; wszakże przez tamtą krainę szła niegdyś *Via Severiana*, co się tłomaczy po słowiańsku „siewiernaja doroga.“ Co do południowo-italskiego *Bruttium*, wprawdzie trudność niejaką sprawia pierwsza litera, skoro jednak zważymy, że ztamtąd pochodzili słynni Mamertyni, że tu była ojczyzna pięknéj Scylli, to i na zawadzającą z pozoru głoskę *B* zgodzić się można, zwłaszcza gdy skutkiem jéj dodania nazwa staje się niejako bardziéj charakterystyczną. Prędzéj czy późniéj, anektować wymienione tu terytorya stanie się koniecznością historyczną, pocóż więc odkładać?

Kiedy patrzymy na niepospolity budynek, kiedy podziwiamy jego konstrukcyę, tak śmiałą, że ją raczéj prawami gimnastyki aniżeli mechaniki objaśniać trzeba,—mimowolnie rodzi się w umyśle pytanie: z jakiego on wzniesiony materyału, jakiemi środkami związano części składowe w jedną całość, na jakim budynek spoczywa gruncie? Przewidział te wszystkie pytania stwórca „Zabuża“ i dla tego wygotował ów 58-wierszowy komentarz, który go, jak już wiemy, dwa lata życia kosztował. Ale też owoc przewyższył wszelkie oczekiwania.

„*Na zasadzie* badań specyalnych, znaczna część teraźniejszych gubernij Lubelskiéj i Siedleckiéj należała niegdyś do księstwa Włodzimiersko-Wołyńskiego.“ Temi słowy poczyna autor swój wykład (1). Że literatura i pseudo-naukowe badania oddają się niekiedy na usługi praktycznym celom polityki w pewnych chwilach, o tém wiemy aż nadto dobrze. Pomijając spółczesne tego przykłady, dość przytoczyć uczonych prusaków, którzy na żądanie Fryderyka II ogłosili wywód praw brandeburskich do Pomorza polskiego, usprawiedliwiony niby autentycznemi i podrobionemi dokumentami. Zabór jednak pruski nie na nich się oparł, ale na tém, co Fryderyk zwał *ultima ratio regum*—na sile. Analogicznie sądząc, trudno przypuszczać, iżby panowanie dawnych książąt Włodzimierskich na lewym brzegu Buga „*zasadzało* się na badaniach specyalnych,“ zwłaszcza wydanych w r. 1873; byli to, o ile wiadomo, wojownicy, ale nie prorocy. W r. 981 Włodzimierz zabrał Polakom „grody ich Przemysl, Czerwień i inne“ i to dało początek panowaniu książąt Włodzimierskich na lewym brzegu Buga, panowaniu, o które w XI, XIII i XIV wieku wielokrotnie toczono boje.

---

(1) „Na osnowanji specjalnych izsliedowanij, znaczytielnaja czast' nynieszních liublinskoj i siedlieckoj gubernij prinadlieżała niekohda Władimirsko-Wołynskomu kniażestwu.“

Tak więc, gdy chronologia sprzeciwia się dosłownemu rozumieniu przytoczonych wyżéj słów autora mapy, nie pozostaje nam nic innego, jak podziwiać oryginalną budowę frazesu pod względem gramatycznym, oraz troskliwie unikać takich i tym podobnych oryginalności, jeśli pragną otrzymać promocyę. Tylko uczonym fachowym są one do twarzy.

Komentator mapy czerpie swe materyały z wielokrotnie powoływanéj już pracy p. Ritticha, z badań prof. Barsowa i z własnego natchnienia. Wiadomość, że Polacy zbudowali Łuków w wieku XI, ma właśnie takie źródło; natchnieniu téż przypisać należy opowieści o tém, iż rzeka Krzna zwie się *Tržena* i że stanowiła zachodnią granicę Rusi; genialnemu natchnieniu zawdzięczamy zastosowanie Newtonowego prawa grawitacyi do nieznanych nikomu dotąd faktów z historyi „Zabuża." Z fantazyj p. Ritticha zaczerpnął autor komentarza szczegóły o sympatyczném przyjęciu Chmielnickiego przez mieszkańców téj krainy, o co spierać się nie będziemy, ponieważ urzędowy ceremoniał tego przyjęcia nie dochował się do naszych czasów. Wreszcie od prof. Barsowa zapożyczył kilka wiadomości, które wszelako przerobił do tego stopnia, że słusznie je za swoje własne uważać ma prawo.

Z rozmaitych kombinacyj prof. Barsow doszedł do wniosku, „że pierwotne siedliska Jadźwingów aż do pierwszéj połowy XI wieku" bardzo daleko na wschód sięgały, mianowicie „że zajmowali oni przestrzeń nad Niemnem (górnym) i południowemi jego dopływami Mołczadzią, Szczarą, Zelwianką, Rosią i Swisłoczą;" dopiero w XI wieku plemię Dregowiczów odepchnęło Jadźwingów bardziéj na zachód ku rzece Narwi i pruskiéj Galindyi (1), gdzie ich jeszcze w XIII wieku widzimy. Dawniéj mniemano, że kto zasiada do czytania jakiéj książki, zamierzając zrobić z tego użytek, trzy prawidła winien mieć na pamięci: 1) czytać uważnie, 2) starać się rzecz zrozumieć, o ile na to siły jego umysłowe pozwalają, i 3) cytować czytanego autora wiernie. Lekceważenie tych starych prawideł uszłoby może jeszcze jakiemu pseudo-liberałowi, który gimnazyum klasycznego nie kończył. Ale ze strony poważnego konserwatysty, który z klasycyzmem sympatyzować musi, nie spodziewaliśmy się wcale niczego podobnego. Autor mapy „Zabuża" i komentarza do niéj wyprawił nam tę niespodziankę, gdy powołując się na dzieło prof. Barsowa, twierdzi, że Dregowicze już w epoce starożytnéj,

(1) Oczerki russkoj istoriczeskoj geografii, N. P. Barsowa. Warszawa, 1873 r., str. 34 i 107.

przy pierwszém rozsiedleniu plemion, słowiańskich „siedli między Bugiem a Niemnem i ztąd kolonizowali jak lewy brzeg Buga tak i przestrzeń między Niemnem a Narwią.“ Gdzież więc wtedy mieszkali Jadźwingowie? Drzémał wprawdzie czasami „dobry Homer,“ ależ opowiadał on muzykalnym heksametrem, a muzyka, jak wiadomo, działa na niektóre organizmy usypiająco. Widoczna jednak, że i zabierając się do prozy, nie zawadzi od czasu do czasu przecierać oczy.

Prof. Barsow wyraża domysł (świadectw bowiem pozytywnych brakuje mu), że przed wiekiem XII granica polsko-wołyńska szła „*albo* korytem Wieprza, *albo* działem wodnym między Wieprzem a Bystrzycą“ a ztąd ku północo wschodowi wzdłuż rzeki Włodawki do Bugu (str. 103). Komentator mapy „Zabuża“ twierdzi na téj podstawie stanowczo, że granicą były rzeki Bystrzyca i Włodawka. Nie bez pewnéj słuszności przeto rosyjski krytyk literacki, piszący pod pseudonimem „Don Miguela,“ przyrównywa autora mapy do Edgara Poe słynnego z bujności wyobraźni („Strana“ Nr. 109 z roku bież.). Mamy téż wielką wątpliwość, czy prof. Barsow pochwali taką stanowczość co do Włodawki; o Bystrzycy zaś, jako rzece granicznéj, daremnie mówić póty, póki nie wyjdzie rozporządzenie nadające podobną nazwę jakiemu strumieniowi na wschód Wieprza. W zeszłym wieku rzeka J a i k otrzymała słowiańską nazwę *Urał*: w wieku bieżącym może się autor postarać o analogiczną zmianę dla Bystrzycy.

Jest-to smutną stroną zawodu sprawozdawczego, że zmusza niekiedy do wytykania błędów w takich nawet pracach, które budzą w recenzencie najżywsze dla autora sympatye. Wtém właśnie znaleźliśmy się położeniu, pisząc o mapie „Zabuża“ i jéj szanownym autorze. Uczony geograf, występując sam czasami na arenę krytyczną, musiał z własnéj praktyki o tém się przekonać i nieraz podobnéj przykrości doświadczyć. Ta myśl dodaje nam otuchy i podsyca nadzieję, że gdyby niniejsza nieudolna ramota doznała tego zaszczytu, iżby na niéj przypadkiem oczy autora mapy spoczęły, będzie przez niego osądzona pobłażliwie. Usterki jéj niech będą przypisane nie innéj przyczynie, jéno trudności zadania i ubóstwu umysłowemu recenzenta, który, rzec można, z motyką porwał się na słońce. Ośmielił się on wytknąć, że i na słońcu są plany, wié przecież, że jest ono dla naszego padołu jedyném źródłem ciepła i światła; dla tego woła: *Pater, peccavi!*

Ten akt publicznéj skruchy, tak rzadko w dzisiejszych zepsutych czasach spotykany, mógłby nie jednego z czytelników „Ateneum“ zadziwić; musimy więc dodać jeszcze kilka słów wyjaśnienia.

Stwórca „Zabuża“ jest zarazem pisarzem historycznym, krytykiem literackim i publicystą, cenionym w pewnych kołach wysoko — czego najlepszym dowodem, że pismo „Russkij Wiestnik“ na oścież otwarło dla niego swe karty, — a w całéj Rosyi używającym zasłużonego rozgłosu. Świadkiem tego Nr. 109 „Strany,“ świadkiem drugim Nr. 251 „Gołosa“ z roku bieżącego, gdzie poświęcono znaczne miejsce ocenie zasług obywatelskich słynnego geografa-publicysty. Tam czytelników naszych po obszerniejsze informacye odsyłamy.

M. U. R.

Poznań, 10 października 1882 r.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

1) Wypisy polskie. Ułożył Adolf Dygasiński. Część średnia (dla klasy II-éj i III-éj). Warszawa. Nakł. księgarni Lesmana i Świszczowskiego 1882 (str. V, 290).—2) Wypisy polskie ułożył Antoni Bądzkiewicz. Część wyższa. Połowa pierwsza, zawierająca: opisy, listy, opowiadania i dyjalogi. Warszawa. Nakł. Gebethnera i Wolffa 1882 (str. 302 i IV).

Rok temu zastanawialiśmy się dosyć szczegółowo nad pracami pedagogów naszych odnoszącemi się do nader ważnéj a niezbyt szczęśliwie opracowywanéj części dydaktyki tj. do wyboru i układu wyjątków z pisarzy wzorowych dla młodzieży. Do liczby pedagogów tam wspomnianych należeli także pp. Bądzkiewicz i Dygasiński, którzy obecnie podali ogółowi dalsze ciągi swéj pracy. Ta właśnie okoliczność, że są-to autorowie znani już czytelnikom „Ateneum“ na tém polu działania, uwalnia nas obecnie od uwag ogólnych, któreby charakteryzowały nastrój i metodę ich pracy, gdyż te nie zmieniły się w ciągu roku; ale nakazuje natomiast zwrócić baczność na niektóre szczegóły, a przedewszystkiém na dobór wyjątków.

P. Dygasiński w „części średniéj“ swych Wypisów widocznie rachując na dojrzalszy umysł czytelników (uczniów II i III-éj klasy) więcéj dbał o artykuły nauczające aniżeli bawiące; okazuje to sama ilość jednych i drugich. W dziale zatytułowanym: „Nauki przyrodnicze i ziemioznawstwo“ znajdujemy ustępów 35, w dziale p. n. „Historya i Biblia „ustępów 27; czyli razem 62, podczas gdy dział „Moralności i Obyczajów“ obejmuje wyjątków zazwyczaj bardzo krótkich zaledwie 14. Wprawdzie i w owych działach naukowych niejeden artykuł zawiera także bardzo obfitą karm dla wyobraźni („Puszcza litewska,“ „Wspomnienie z łowów na dziki,“ „Polowanie na lwa,“ „Walki zwierząt w Indyach wschodnich,“ „Zorza północna,“ „Opis wioski,“ „Podróż morzem“—a daléj: „Wesele w pogańskiéj Polsce,“

„Kopia husarska“ „Pawlik,“ i inne); ale też z drugiéj strony i w dziale belletrystycznym są ustępy wprost dydaktyczne; albo przynajmniéj refleksyą grubo nabrzmiałe („O godności człowieka,“ „Przysłowia i maksymy,“ „Gra w piłkę“). Pewną równowagę zaprowadzają poezye, któremi tak samo jak w „części niższéj“ przetykane są ustępy prozaiczne.

Wybór artykułów nazwać można wogólności trafnym. Mianowicie dział poezyi z rzeczy doborowych się składa. Zużytkował tu p. D. bajki Mickiewicza („Zając i żaba,“ „Lis i kozieł,“ „Pies i wilk“) a i z „Pana Tadeusza“ dał kilka przepysznych wyjątków. Obok Mickiewicza najczęściéj występuje naturalnie Krasicki, którego bajki tradycyjnie już od wieku blisko pedagogowie dla celów dydaktycznych wyzyskują. Po nich Lenartowicz i Franciszek Morawski najwięcéj stosunkowo dali materyału. Kochanowski, Niemcewicz, Witwicki, Górecki, Goszczyński, Garczyński, Gaszyński, Jaskowski Zaleski, Słowacki, Pol, Syrokomla i paru innych dostarczyli po trzy, dwa lub jednym utworze. Za mało wzięto z Brodzińskiego, bo jeden tylko wiersz p. n. „Dziadek,“ któremu trudno przyznać zaletę wielkiéj poetyczności.

Z prozą, jak zwykle, trudniejsza była sprawa, gdyż wielcy pisarze dość rzadko tworzą takie rzeczy, wszystkim wymaganiom pedagogicznym odpowiadające. Widocznėm wszakże jest usiłowanie p. D., ażeby wprowadzić do Wypisów nazwiska pierwszorzędne zarówno dawniejszéj jak i najnowszéj daty. Mamy tedy wyjątki z pism Kraszewskiego i Rzewuskiego, a obok całą nowellę Sienkiewicza („Latarnik“). Dziwnym tylko wydaje się brak nazwiska Korzeniowskiego i Kaczkowskiego; a przecież utwory tych pisarzów zawierają niejeden ustęp i piękny i pedagogicznie odpowiedni dla młodzieży. Z historyków oprócz Szajnochy poznają młodzi czytelnicy pp. Kubalę, Korzona i Bobrzyńskiego. Najsłabsze są tak zwane powiastki moralne, które prawie wszystkie możnaby była do „części niższéj“ przenieść.

Nie wiemy, jakie szczególne przymioty upatrzył p. D. w „Klasztorze Surlańskim“ Rzewuskiego, że ten artykulik bezbarwnie, anegdotycznie opowiedziany przyjął do Wypisów. Niemniéj dziwi nas choć z innych względów, obecność życiorysiku Mickiewicza (str. 134—187). Że go napisał Julian Bartoszewicz, to jeszcze nie dostateczny powód, bo najprzód pod względem stylu artykuł ten wcale za wzór służyć nie może, powtóre mieści błędne wiadomości (np. urodzenie się Mickiewicza w Ossowcu albo zaliczenie *Czatów* i *Trzech Budrysów* do pierwocin jego twórczości, albo twierdzenie, że w Rzymie poeta nasz ani jednego wierszyka nie napisał), potrzecie zawiera

takie wyrażenia, które wymagają długich objaśnień (jak np. *prorokowanie* o narodowéj *przeszłości*), lub też wcale objaśnić się nie dają, jak np. owo zdanie o *Konradzie Wallenrodzie*: „Nie poeta opowiada tam dzieje Konrada i Aldony, lecz w poemacie *widzimy grzmot* potęgi i siły...“ Zdaje się, że tych trzech powodów dosyć, ażeby artykułowi zagrodzić przejście do Wypisów. Wreszcie ze zdziwieniem wyczytaliśmy w Wypisach p. D. opowiadanie o Głonce. Motywa naszego zdziwienia znajdzie czytelnik w przeszłorocznym artykule naszym, w którym pomieszczenie tego opowiadania wytknęliśmy p. Gargulskiemu (Ateneum 1881, tom IV, str. 163).

Wreszcie co do zewnętrznéj strony „część średnia“ ma wyższość nad niższą pod względem papieru. Korekta, jak zwykle, wiele pozostawia do życzenia.

Części średniéj Wypisów p. Bądzkiewicza zarzucaliśmy głównie surowy nastrój, uwydatniający się w wyborze artykułów, mogących dużo nauczyć ale nie zająć. W „części wyższéj,“ któréj pierwszą połowę mamy właśnie przed sobą, wada ta w znacznie zmniejszonym przedstawia się stopniu. Stało się to po części wskutek umieszczania dłuższych ustępów, w których obrazy mogły być dostatecznie rozwinięte, chociaż niezupełnie wykończone, a po części wskutek wprowadzenia rzeczywiście interesujących lub poetycznych opisów, i opowiadań. Takie np. listy Słowackiego z Neapolu, Bajrutu i Florencyi mogą w wysokim stopniu rozbudzić i zająć wyobraźnią. W dziale życiorysów znowu tak interesująco napisane artykuły jak p. Kaszewskiego o Salomonie Majmonie, a Lenartowicza o Ewaryście Estkowskim przykuwają uwagę młodego czytelnika i szlachetnémi uczuciami, pełnémi zapału postanowieniami przyjąć go zdolne. W obrazach historycznych piękne malowidła Sznajnochy i Kubali okupują surową zwięzłość Morawskiego.

P. Bądzkiewicz wprowadza do téj części nowelle, powieści i szkice humorystyczne. Mamy tu malutkie arcydzieło rzewności: „Janko muzykant“ Sienkiewicza, mamy jowialne opowiadanie Siemieńskiego p. n. „Posłowie siewierscy;“ mamy utwory humorystyczne Wilkońskiego, Lama i Prusa. Z pomiędzy tych ostatnich niewłaściwym wydaje mi się wybór kronik lwowskich Lama, gdyż te jako z natury swojéj jednodniówki miejscowe nie przedstawiają szerszego i trwalszego interesu, a nadto w wielu punktach zrozumiałe były tylko dla tych czytelników, dla których były pisane. Co np. pocznie nauczyciel, gdy uczeń zainteresowany talentem humorystycznym Lama, poprosi o pewne objaśnienia; co znaczy traktat zaczepno-odporny księcia Bismarka, kto to jest p. Brestel, kto Stadtmüller, kto dr. Henryk Jasiński i dlaczego przeznaczono mu rolę archanioła, mającego

strzedz bram raju federalistycznego w Austryi. Zapewne p. Bądzkiewicz dokładnie rozumie wszystkie drobniutkie aluzye w kronikach Lama zawarte, zapewne zna wybornie stosunki lwowskie i potrafiłby w razie potrzeby wyjaśnić ich znaczenie ciekawemu uczniowi; ale powinien był pamiętać, że nie każdy nauczyciel znajduje się w tém szczęśliwém położeniu i choćby przez względność koleżeńską powinien był w przypiskach podać stosowne objaśnienia. Naszém zaś zdaniem lepiéj było tych stosuneczków nie tykać a wziąć z dzieł Lama np. z *Wielkiego świata Capowic* ustępy zrozumiałe same przez się a pod względem werwy satyrycznéj w niczém od kronik nie niższe. Kroniki Prusa nie ulegają powyższemu zarzutowi, gdyż są ogólniéj wykonane i dają się zrozumiéć, przynajmniéj na teraz, bez komentarzy; ale i tu wolelibyśmy jego nowellę.

W dziale prozy opisowéj dostrzegać się daje brak jeden dość ważny. P. Bądzkiewicz uwzględnił głównie dzieła rąk ludzkich, oraz przyrodę martwą i poczęści roślinną; o świecie zwierzęcym zapomniał całkowicie, zdaje się wszakże, że przedmiotu tego pomijać niepodobna. Wypisy nie są wprawdzie przeznaczone do nauczania historyi naturalnéj, ale również nie mają na celu nauczać geografii, lub dziejów; jeżeli zaś artykuły z tych dziedzin wiedzy znajdują miejsce i to bardzo obszerne w Wypisach, nie można zrozumiéć, dlaczegoby wiadomości zoologiczne, stylowo poprawne lub nawet piękne nie były dla tychże Wypisów odpowiedniemi.

W podziale prozy zaprowadził p. B. bardzo korzystną reformę utrzymał zasadę jednolitości. Pod rubryką: „Proza opisowa i podróżopisarstwo“ znajdujemy także „Listy,“ ale to dlatego zapewne; że listy tu pomieszczone mają cechy opisowe, co bynajmniéj nie może przeszkadzać umieszczeniu innych listów w dziale prozy dydaktycznéj lub retorycznéj. Zaliczenie dyalogów do „Prozy opowiadającéj“ nie jest, zdaje mi się, uzasadnioném; rozmowy przez p. Bądzkiewicza pomieszczone mają charakter prozy dydaktycznéj.

Zewnętrzna strona Wypisów przedstawia się korzystnie: papier dobry, druk wyraźny i czysty. Korekta, niestety, pomimo staranności, nie jest zadawalniająca, zwłaszcza że omyłki trafiają się najczęściéj w imionach własnych, które nie każdy nauczyciel zna, jak np. Tirab*u*schi, S*o*nnazar (str. 233,234) albo w skróceniach np. p*o*w. A*r*. Um. (ma to znaczyć Pamiętnik Akad. Umiejętność) (str. 236) itp.

P. Ch.

Nowy Karakter Polski z Drukárnie Lázárzowéy: Y Orthographia Polska. Jana Kochanowskiego. Je[o] M. P. Lukasza Gorniskie[o], etc. etc. Jana Januszowskiego. Roku Pańskiego 1594 — Tractatus de orthographia polonica auctoribus Joan. Cochanovio, Luc. Gornicio, Joan. Janussovio qui inscribitur Nowy Karakter etc. Cracoviae Anno Domini MDLXXXXIV editus. Posnaniae. Apud J. K. Żupański.

Studyującym kwestyą grafiki i ortografii polskiéj niemałą zrobił p. Rafał Löwenfeld przysługę, podając w wiernem litograficznem odbiciu bardzo rzadką już dzisiaj broszurę światłego drukarza z XVI wieku, Jana Januszowskiego, który powziąwszy zamiar wprowadzenia zmian w grafice, radził się różnych znakomitości literackich swego stulecia, a otrzymawszy piśmiennie ich opinie ogłosił je drukiem wraz za swojemi uwagami.

Wiedział Januszowski, że porywa się na rzecz trudną; „wydawać bowiem rzeczy nowe i niezwyczajne niebezpieczno; wstępować téż jednému z wielą ich w szranki, co i lepsze broni i więtsze siły mają, i lepsze niż ja rozumieją, nie grzeczy; zwłaszcza że u nas w Polszcze już tak proclamatum, że jeśliż nie obcy, swój nic nie uczyni, chociaśmy się i sami nie w Paryżu, ale w Polszcze rodzili“ (1). Ale ponieważ „nie przystoi doma zalegać pola, szczęścia téż skusić nie wadzi; Bóg bowiem a natura, jako filozofowie mówią,—a do tych eksperyensyą przyłożyć może,—wiele mogą;“—więc wystąpił z propozycyą zmian, zwracając się do ogółu temi słowy: „ci co ojczyznę więcéj niż prywatę miłują, a mogą, niech daléj postąpią, zdali się wedle wzoru tego, albo niech uczynią co podobnego temu.“

Niewiadomo dokładnie, jaki wpływ wywarła ta odezwa Januszowskiego, to tylko jest faktem, że zmiany w przyjętéj już wtedy grafice nie wywołała; a myśl reformy przezeń poruszoną, podjął nanowo dopiéro wiek XIX, także, jak się zdaje, napróżno. A szkoda. W XVI wieku, kiedy książek niewiele jeszcze było; łatwiéj przeprowadzić-by się dała reforma, do któréj wiele trafnych pomysłów podał i sam Januszowski i Kochanowski.

Januszowski w obszernym i, prawdę powiedziawszy, trochę za rozwlekłym „wstępku“ rozprawia o utworzeniu się abecadła greckiego i łacińskiego, a następnie przykładowo wskazuje, że każdy język wziąwszy za podstawę litery łacińskie, na oznaczenie sobie tylko właściwych dźwięków posiada odpowiednie kształty. Uwagi te torują autorowi drogę do zrobienia zapytania, dlaczego język polski na wyrażenie właściwych sobie dźwięków nie ma właściwych kształ-

(1) W cytatach nie zachowuję pisowni Januszowskiego; ale zastrzedz winienem, że w nowém wydaniu skopiowano ją wiernie aż do najdrobniejszych szczegółów.

tów. Ażeby pobudzić miłość własną Polaków przytacza między innemi argumentami i tém, iż „on Hiszpan Petrus Roysius Maureus jako z nieporządków naszych, tak i z tego często żarty stroił, żeśmy żadnych pewnych opisanych granic w swym języku nie mieli.“ „Doczego i to muszę przyłożyć na większą sromotę naszę, że nam gramatyki polskie cudzoziemcy opisują.“

Po tym „wstępku“ idzie „orthographia polska rzędem obiecadła.“ Punktem wyjścia jest zawsze zdanie Jana Kochanowskiego, które Januszowski albo przyjmuje, albo prostuje, albo odrzuca, swoje własne natomiast stawiając; tu i owdzie powołuje się na opinią Górnickiego, raz na list Orzechowskiego. Co do wartości tych uwag, to można wogóle powiedzieć, że kreskowanie samogłosek opacznie zastosowano, każąc kreskować te, które wybornie bez tych znaczków obejść się mogły; ale zato reformy proponowane co do spółgłosek zmiękczonych wyrażanych dwiema literami (cz, dz, rz, sz itp.) zasługiwały na dokładną rozwagę. Zarówno Kochanowskiemu jak Januszowskiemu chodziło o to, ażeby dwie te litery oznaczające dźwięk jeden mogły być pisane i drukowane spójnie tak izby jeden znak tworzyły. W tym celu Januszowski proponował i, kazawszy odlać stosowne czcionki, wydrukował w swoim „Nowym karakterze“ wzory nowéj grafiki i to podwójne. W króciutkiéj przemowie „do łaskawego czytelnika“ wprowadził system ogonków pod literami c, d, r, a w „Orthographii,“ tak powiązano dwie litery, że jeden znak tworzyły. Ponieważ zaś Górnicki zupełnie innego systemu się trzymał a mianowicie podwajanie liter na wyrażenie odmienego ich niż w łacinie brzmienia (ll = ł, cc = cz ss — sz itp.) jako też daszków nad literami; więc znajduje się jeszcze w końcu broszury i to trzecie pismo, które Górnicki zachwalał jako uniwersalne a na dowód przytoczył 3 psalmy w języku cerkiewnym jego systemem ortograficznym wyrażone. Kochanowski podaje liter 49, Górnicki 50, a Januszowski 52. U Kochanowskiego i Januszowskiego znajduje się *j*, którą ten drugi nieśmiało zaleca zamiast *i* gdy po i następuje np. bije, pije.

Kończymy ten krótki przegląd „Nowego Karakteru“ zwróceniem uwagi na ten ustęp, któremu Januszowski dał napis „Deriwacie.“ Tu między innemi zasługuje na wzmiankę ta okoliczność, że już Januszowski chciał odróżniać szóste przypadki przymiotników odnoszących się do rzeczowników rodzaju męzkiego lub żeńskiego. Powiada on: „Pewny, widomy, prawdziwy świadek: stądże pew*ny*mi, widom*y*mi, prawdziw*y*mi świadkami. Ale gdy rzekę: pewnè, widomè, prawdziwè rzeczy etc. tedy téż będzie: pewn*è*mi, widom*è*mi, prawdziw*è*mi rzeczami etc.“ Widocznie w stanowieniu téj reguły kierował się Januszowski okiem, chcąc widzieć jednostajność pomię-

dzy pierwszym a szóstym przypadkiem, przyczém nie zauważył, że drugi, trzeci i siódmy jednostajność tę burzą.

Przedmowa łacińska na początku broszury przez p. Löwenfelda dodana, objaśnia pokrótce uczonych cudzoziemców o autorach, którzy grafiką i pisownią polską się zajmowali, i o zawartości saméj broszury. *P. Ch.*

Niedole Dziecięce wydane staraniem miłośników dziecięcego wieku. Warszawa u Noskowskiego 1882 8⁰ (str. 273).

Pod tym tytułem ogłoszono w tym miesiącu pracę zbiorową pewnéj grupy ludzi dobréj woli, projektujących zawiązanie Towarzystwa Przyjaciół dzieci, w celu niesienia pomocy, a nadewszystko opieki ubogim matkom, niemowlętom, dzieciom i podrostkom—tj. całym pokoleniom przyszłych obywateli kraju. Cel to wysoce filantropijny, a obok tego iście obywatelski, trafne dążenie do jego spełnienia, przynieść może ogromne korzyści społeczeństwu zarówno na polu materyalnego rozwoju jak w dziedzinie moralności.

W książce obecnie wydanéj, znani już po większéj części autorowie, zamierzyli sobie zaznajomić szersze koła publiczności z całą ważnością sprawy opiekowania się matkami i dziećmi, z usiłowaniami podjętémi w tym celu w Europie i ze stanem obecnym istniejących w Warszawie zakładów dobroczynnych, dających przytułek dzieciom opuszczonym, pozbawionym kierunku moralnego wśród rodzin niedbających o nie, lub nie mogących otoczyć je stałą i czynną opieką. Przesuwają się więc tu przed czytelnikiem obrazy: domów położniczych, domu podrzutków, kantorów mamek, żłobków, ochronek, szkółek i instytutów dobroczynnych, kolonii letnich i osad poprawczych, losu terminatorów i nakoniec więzień w których zamykają dzieci.

Obok zebranych bardzo nawet niewielu cyfr z zakładów tego rodzaju we Francyi, a po trochu w Anglii i Niemczech, smutno dość wygląda statystyka instytucyj Warszawskich—gdzie w 22 ochronkach przyjmują codziennie przecięciowo zaledwie do 2200 dzieci, gdzie jeden żłobek zbiera dziennie około 12 malców, gdzie w domu podrzutków hodują około 180 niemowląt. Lepiéj trochę wyglądają: dość bogato uposażony instytut św. Kazimierza ze 100 dziewczynkami, Zakład sierot i ochronka gminy ewangelickiéj i osada studzieniecka.

A jednak szczycimy się z tego że Warszawa dobroczynnością słynie, że żyjemy więcéj sercem niż rachubą, że egoizm u nas nie

zapanował dotąd, i że cywilizowany zachód w ofiarności i miłości chrześciańskiéj prześcigamy jakoby. Książka o któréj tu mówimy, ułożona przez ludzi dobréj wiary, obywateli bez zaprzeczenia zacnych, napisana z ciepłem serdeczném, znamionującém ludzi czynnie zajmujących się sprawami nędzy i ubóstwa, zdaje się świadczyć przeciwko tym naszym optymistycznym poglądom. Autorowie nie sadzili się na efekt, zaledwie na paru stronicach, w opisie losu terminatorów, czuć trochę deklamatorskiego zacięcia, reszta opisana prosto, spokojnie, a jednak robi to wrażenie przygnębiające. Warsz. Tow. Dobroczynności posiada znaczne kapitały, lecz tyle ono musi podejmować różnorodnych prac, takiemu ogromowi nędzy musi nieść pomoc, że nie ma środów nakarmienia dzieci w ochronkach. Trudno téż żeby jedno towarzystwo było w stanie wystarczyć na umiejętne prowadzenie wszelkich dzieł miłosierdzia.

Od przesiąkłego egoizmem zachodu moglibyśmy nauczyć się paru rzeczy, śmielszego podejmowania pracy około spraw interesujących całe społeczeństwo, rozsądniejszego szafowania środków oddawanych na cele wspomożenia ubogich, a nadewszystko tego poczuwania się do obowiązków względem społeczeństwa, które sprawuję, że tam nie ma prawie zamożniejszego obywatela w kraju, któryby za życia, lub testamentowym rozporządzeniem po śmierci swéj, nie przyczynił się do podtrzymania czy zasilenia jakiego zakładu użyteczności publicznéj.

W książce téj zamieszczony jest projekt ustawy tow. przyjaciół dzieci, i wyrażono nadzieję, że ustawa będzie przez władze rządowe zatwierdzoną. W ustawie może trochę za wiele formalistyki, mianowicie w artykułach (13, 14) o ogólnych zebraniach członków, które to zebrania wątpimy aby do prowadzenia rzeczy wiele dopomogły; ale postawiony cel wspaniały, i jeżeli założyciele potrafią pracą czynną wlać ducha żywego w paragrafy ustawy, niewątpimy że obudzą współczucie dla swych usiłowań, a zbierając dostateczne środki od publiczności będą ratowali życie niemowląt, rozwijali w dzieciach poczucie obowiązku i nauczali ich jak mogą pracować, ażeby sobie środki utrzymania zapewnić i zarazem stać się użytecznymi obywatelami kraju. Wydana obecnie książka jest pierwszym tomem dalszych roczników, które towarzystwo, w razie zatwierdzenia ustawy i dojścia do żywota czynnego, obiecuje wydawać. W rocznikach tych pragnęlibyśmy spotykać jak najdokładniejsze opisy wzorowych zakładów opieki nad dziećmi w innych krajach, bo zdaje nam się, że nic tak silnie nie pobudza do czynnego zajmowania się niesieniem pomocy niedoli bliźnich, jak przykład tego co inni na tém polu zrobili.

Józef Trojanowski. Pogląd na wewnętrzną budowę materyi ciał stałych i płynnych, wysnuty z rozważania zjawisk ciepła i sił przyciągania. Kraków, 1882, str. 26, z tablicą.

Powyższą rozprawkę naukową, którą mamy przed sobą w osobnéj odbitce, znajdzie czytelnik w tomie IX-tym „Rozpraw wydziału matem.-przyrod. Akademii Umiejętności“ z r. b. Autor, warszawianin, wychowaniec naszego uniwersytetu, pragnie tu w formie przystępnéj, bez matematycznych wywodów, rzucić pewne światło na kwestyą najgłębszą, jaka kiedykolwiek zajmowała badaczów przyrody. Czyni to z uwzględnieniem zasadniczych prawd nauki ściśléj, nie schodzi z pola doświadczalnego i dlatego wywody jego mają charakter naukowy a nawet przekonywający; szkoda tylko, że w swéj pracy nie wspomina o zarzutach, jakie temu pojmowaniu materyi robiono i zgoła nie przeprowadza krytyki innych na tę sprawę poglądów.

Wychodzi pan T. z zasady, że ciepło parowania wszystkich w ogóle ciał jest większe aniżeli ciepło topnienia, tudzież że prawo Newtona o atrakcyi stosuje się do cząsteczek ciał tak samo jak do ciał większych i niebieskich. Opierając się na tém, stosuje prawo Newtona do owych zjawisk parowania i topnienia, przyczém posiłkuje się prawdą, że zmniejszenie odległości w pewnym stosunku wywiera daleko większy wpływ na wzmocnienie przyciągania, aniżeli powiększenie masy w takim samym stosunku, co jest zresztą prostém opowiedzeniem prawa Newtona.

Wewnętrzną tedy budowę materyi, jakoby niezbędnie wynikającą z powyższych założeń, autor przedstawia sobie szematycznie w taki sposób.

Kawałek jakiejkolwiek jednorodnéj chemicznie materyi składa się przedewszystkiem z wielkich względnie cząsteczkowych agregatów, które są oddzielone od siebie bardzo wielkiemi przestrzeniami. Agregaty te zupełnie się z sobą nie stykają, lecz pływają w eterze wszechświatowym, są nim otoczone ze wszystkich stron i nawskróś przeniknione. Nazwiemy je agregatami pierwszego stopnia. Badając następnie szczegółową budowę agregatu pierwszego stopnia, widzimy, że tenże składa się z mniejszych agregatów drugiego stopnia, suma wag których równa się wadze agregatu stopnia pierwszego, a przytém odległości pomiędzy temi agregatami drugiego stopnia muszą być znacznie mniejsze aniżeli pomiędzy pierwszemi. Każdy agregat drugiego stopnia składa się z daleko mniejszych agregatów trzeciego stopnia i t. d. W końcu dochodzimy do agregatów, które są tylko zbiorem pewnéj liczby cząsteczek chemicznych. Cząsteczki te ostatecznie składają się z atomów.

Na zakończenie autor zebrał pewną ilość przykładów stwierdzających wypowiedziane przezeń poglądy teoretyczne. Gdyby przypuścić, że cząsteczki materyi są rozmieszczone w przestrzeni jednostajnie, żadną miarą nie możnaby objaśnić dlaczego woda, chociaż gęstsza od lodu, jest cieczą ruchliwą; dla czego ciepło właściwe ciała w stanie ciekłym jest większe aniżeli w stanie stałym i t. p.

W drugiéj połowie swojéj rozprawy p. Trojanowski stara się teoretycznie dowieść, że agregaty ulegają stałym prawom, że wielkości ich, odległości i ruchy są uwarunkowane zasadniczemi prawami natury. Dotąd jednak rozwiązanie tych kwestyj jest bardzo odległe. Dla żadnego ciała stałego lub ciekłego nie znamy ścisłéj wielkości cząsteczki, i próby jéj oznaczenia za pomocą roztworów są błędne. Tém bardziéj więc dalecy jesteśmy od oznaczenia wielkości agregatów różnych stopni. To tylko na pewno twierdzić możemy, że wielkości i odległości tych agregatów dla ciał stałych i ciekłych w jednakowych warunkach są jednakowe.

= **Mikołaj Rej z Nagłowic.** *Wizerunk własny żywotá człowyeka poczćiwego, w ktorym iáko we źwierciedle, snádnie każdy swe sprawy oględáć, może: zebrány y s Filozophow, y z roznych obyczáiów swidta tego. Cokolwiek czynisz, rozstropnie czyń, á pátrz końcá.* (Warszawa, 1881—1882, zeszyt 3, str. 1—122). Pan Stanisław Ptaszycki jeszcze za czasu studyów uniwersyteckich gorliwie pismami Reja się zajmował, a najważniejszy i największy tegoż utwór poetyczny „Wizerunek" krytycznemu poddał badaniu. Rezultatu badań tych nie ogłosił, o ile nam wiadomo, dotychczas w całości; niektóre tylko szczegóły jak stosunek Wereszczyńskiego do Reja, jak kwestyą źródeł, z których wiadomości swe czerpał nasz Rej, podał w formie luźnych artykułów. Natomiast zajął się zmudną i wśród naszych stosunków nader niewdzięczną pracą wydania samego tekstu „Wizerunku" według drugiéj z kolei edycyi r. 1560, gdyż egzemplarz tego właśnie wydania miał w swém rozporządzeniu. Jak dalece praca taka, obowiązana liczyć się ze wszystkiemi drobiazgami nietylko językowemi, ale i ortograficznemi, jest mozolną, to ten chyba tylko ocenić potrafi, kto sam ją kiedykolwiek podejmował; a jak niepopłatną, tego dowodzi powolne wychodzenie zeszytów. P. Ptaszycki przedmowę podpisał w listopadzie 1880 r.; upłynęło już lat dwa, a mamy dotychczas wydrukowanych stron 122, obejmujących sześć rozdziałów poematu, to jest liczebną połowę, gdyż wszystkich rozdziałów jest

dwanaście. W krajach, w których miłość narodowości, miłość języka i literatury ojczystéj objawiają się nietylko pięknémi frazesami, ale i czynem, przedsięwzięcie takie, jak wydanie zabytku poezyi z połowy XVI wieku, byłoby powitane z zapałem; dziennikarstwo zwracałoby na nie uwagę ogółu a wykształcony kupowałby dzieło choćby tylko przez punkt honoru. My z długu wdzięczności dla przodków wywiązujemy się w sposób nierównie łatwiejszy; kadzidło zwłaszcza słowne jest tanim hołdem; to téż go nie skąpimy; do czytania za to autorów dawnych zachęcić trudno, do kupowania jeszcze trudniéj. Naprożno p. Ptaszycki woła, że „poznanie gruntowne“ *Wizerunku* „jest obowiązkiem niemal każdego miłującego literaturę ojczystą, już choćby dla tego samego, że to jest pierwszy utwór polski napisany na tak wielką skalę,“ kiedy znajdują się podobno jeszcze do dziś dnia nauczyciele literatury, nieodróżniający „Wizerunku“ od „Zwierciadła.“ Wydawca wiele się spodziewa od dokładniejszego niż dotychczas zbadania „Wizerunku.“ „Kto wie — powiada — może zaznajomienie się bliższe z Wizerunkiem otworzyłoby nam widnokrąg nowy, możebyśmy inaczéj pojęli naszą literaturę porejowską, możebyśmy, nareszcie, ocenili inaczéj i tego Reja, którego dzięki ks. Wereszczyńskiemu, znamy przeważnie jako żarłoka; inaczéj ponoś przedstawiłby się nam wtedy i sam wiek XVI, en wiek złoty rozkwitu i blasku literatury polskiéj.“ Nie podzielamy wprawdzie zbyt daleko idących nadziei wydawcy; ogłoszenie jednak ponowne „Wizerunku“ uważamy za rzecz pierwszorzędnéj wagi dla naszych badań krytyczno-literackich, których zapowiedzią są już do pewnego stopnia te króciutkie uwagi wydawcy dotyczące podobieństwa „Wizerunku“ do „Zodyaku życia“ Polingeniusza, podobieństwa przypomnianego w naszym wieku przez Aleksandra Tyszyńskiego. Zdaniem wydawcy podział „Wizerunku“ na dwanaście rozdziałów podobnie jak i „Zodyaku“ nie jest rzeczą przypadku. Palingen daje wprawdzie rozdziałom swym nazwy zwierzyńca niebieskiego, a Rej oznacza je imionami filozofów, ale w niektórych rozdziałach „Zodyaku“ występują te osobistości, których imionami są nazwane odpowiednie rozdziały „Wizerunku.“ Porządek rozdziałów i treść odpowiada zupełnie układowi ich w „Zodyaku.“ W części pierwszéj Rej trzyma się ściśléj przewodnika swego, w drugiéj jest samodzielniejszym; podczas gdy w rozdziałach pierwszych część większa jest zapożyczoną, w ostatnim niewiele znajdziemy cudzego.— Życzymy wydawcy „Wizerunku“ wytrwałości w podjętéj pracy a ogółowi—więcéj poczucia obowiązku w sprawie popierania literatury ojczystéj.

= **Archiwum do dziejów oświaty i literatury w Polsce**. *Tom II. Kraków. Nakład Akademii Umiejętności 1882* (str. 611). Długo bo od r. 1878 oczekiwany tom 2-i *Archiwum* tego przyniósł istotnie cenne przyczynki do dziejów literatury i wychowania naszego. I tak piśmiennictwo wieku XV wzbogaca się dyalogiem łacińskim o Zbigniewie Oleśnickim. Trzy osoby wchodzą do rozmowy: Tomasz, Jan i Goryasz; przedmiotem rozmowy jest obrona Oleśnickiego od zarzutów robionych mu przez spółczesnych, a zarazem pochwała jego cnót i działalności. Ks. Ludwik Piotrowicz, który rękopism dyalogu tego w księgozbiorze seminaryum sandomirskiego wynalazł, przypuszcza, że autorem jego był znany historyk XV wieku Jan Długosz. P. Szujski pozostawiając dochodzenia autorstwa dalszéj dyskusyi naukowéj, zdaje się osobiście skłaniać do powyższego przypuszczenia. Drugi rękopism tego dyalogu znajduje się w bibliotece kapituły krakowskiéj. Cały utwór, składający z 375 wierszy pisany jest heksametrem. Po nim w rękopiśmie następują 3 nagrobki również heksametrem napisane, liczące ogółem wierszy 83. Jeżeli utwór ten jest istotnie dziełem krajowca a nie cudzoziemca, to dowodziłby, że studya humanistyczne, uwidocznione w użyciu sześciomiaru, były pielęgnowane pilnie i wytrwale w ciągu wieku XV. Do literatury wieku XVII przybywają nieznane dotychczas w takiéj obfitości pisma Jana z Wielomowic Gawińskiego, które obejmują 252 stronice wielkiéj ósemki. Wydrukowane one zostały z odpisu sporządzonego według autografu, znajdującego się w bibliotece uniwersyteckiéj w Warszawie. W zbiorze tym mieszczą się: Liryka polskie na dwie księgi podzielone; poemat obszerniejszy p. n. „Herkules na dwoistéj drodze,“ daléj „Tarcz Chrześciaństwa“ wierszem i prozą, po łacinie i po polsku; „Sielanki,“ „Gaj zielony,“ „Dworzanki,“ parę pieśni łacińskich, przekład 41 psalmów, „Miesięcy dwunastu opisanie“ i parę innych wierszy. Nie tu miejsce oceniać wartość tych utworów, gdyż zasługują one na dokładniejsze rozpatrzenie. Tu nadmienię tylko, że myli się wydawca twierdząc, iż od roku 1820 kiedy Juszyński o rękopiśmie poezyi Gawińskiego wspomniał, aż do Żegoty Paulego, który w 1843 niektóre utwory poety tego ogłosił, nikt się nim nie zajmował. I owszem rękopism powyżéj wzmiankowany znał bardzo dobrze Brodziński i na nim głównie oparł nader pochlebny sąd swój o Gawińskim, stawiając go wraz z Twardowskim na czele poetów wieku XVII. Na odczytach w uniwersytecie liczne przytaczał wyjątki z owego właśnie rękopismu, a między innemi wyróżnił „Lecha wzbudzonego,“ „Vaticinium“, „Do pszczół“ i 18 „dworzanek“ (Zob. Pisma K. B. wydanie poznańskie r. 1872, t. IV, str. 165—177). Do literatury wieku XVII otrzymujemy często wprawdzie wspominaną, ale mało komu znaną

tragedyą ks. Konarskiego Epaminondas, wierszem polskim rymowanym w pięciu aktach napisaną. — Do dziejów oświaty dwa ważne przyczynki tu znajdujemy, mianowicie Statuta uniwersytetu krakowskiego z r. 1724, porównane z odpowiedniemi statutami r. 1604, ogłoszone przez prof. Szujskiego; oraz zapiski z rękopismów Uniwersytetu lipskiego przez p. Tomkowicza zebrane o polakach, którzy w tym zakładzie wykształcenie wyższe pobierali od r. 1409 do 1600. W końcu tomu mieści się bardzo szczegółowo i sumiennie przez d-ra Władysława Wisłockiego ułożona „Bibliografia z zakresu historyi literatury i oświaty w Polsce od czerwca r. 1878 do września r. 1881.“

= **Nowe opowiadania i studya historyczne** *przez Kazimierza Jarochowskiego.* (Warszawa, 1882, Gebethner i Wolff).— Lat temu dwadzieścia dwa, jak wyszedł w Poznaniu pierwszy tom „Opowiadań historycznych“ autora zaszczytnie już wówczas znanego badaczom i z wydanéj „Teki Podoskiego“ i z rozpoczętych na wielką skalę „Dziejów panowania Augusta II.“ Opowiadania te zalecające się zarówno krytycznością w badaniu jak i wielką umiejętnością w żywém odtwarzaniu postaci i wypadków z wieku XVIII głównie, zaznajomiły szersze koło czytelników z talentem świeżo na widownię działalności przybywającego historyka-artysty. W trzy lata potém (1863) wyszedł tom drugi tego zbioru, a w nim tytuł miał już dopełnienie: „Opowiadania *i studya* historyczne.“ Odtąd p. Jarochowski nie ustawał w pracy i wiele tak opowiadań jak studyów pomieszczał w różnych czasopismach, ale do zbiorowego ich ogłoszenia długo nie przychodziło. Dopiero w roku 1877 pojawiła się w Warszawie druga serya „Opowiadań i studyów“ a w roku bieżącym—trzecia pod napisem wyżéj przywiedzionym. W tym ostatnim zbiorze (str. 443) czytelnicy „Ateneum“ znajdą wiele rzeczy dobrze sobie znanych, jako poprzednio w naszém czasopiśmie pomieszczonych, ale oprócz nich znajdą i kilka innych, przedrukowanych z „Przewodnika naukowego i literackiego“ wychodzącego we Lwowie lub z „Roczników“ Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu. Nie potrzebujemy się rozpisywać nad wartością naukową i literacką prac tych p. Jarochowskiego, opartych na źródłach najczęściéj rękopiśmiennych, których spis podaje autor przy końcu książki. Dość będzie powiedzieć, że prace te godne są rozgłosu pierwszych „Opowiadań,“ a dowodzą nieustającéj staranności niestrudzonego badacza pod względem wszechstronności w rozpatrywaniu szczegółów dziejowych i ich umiejętnego oświetlania. Dla informacyi czytelników podajemy spis artykułów zawartych w téj trzeciéj seryi opowiadań: 1) Zamachy Augusta II na Leszczyńskiego; 2) Katastrofa Pat-

kula; 3) Koniec Radziejowskiego; 4) Brandeburgia i Polska w pierwszych latach po traktacie oliwskim; 5) Polityka brandeburska w pierwszych latach wojny Karola XII i misya Przebendowskiego do Berlina w 1704 roku; 6) Próba emancypacyjna polityki Augustowéj i intryga Posadowskiego, rezydenta Pruskiego w Warszawie 1720 roku; 7) Oblężenie miasta Poznania przez Patkula, epizod z kampanii roku 1704.

= **Spis bibliograficzny Pamiętników mających związek z historyą lub literaturą polską.** *Ułożył Edward Minkowiecki.* Kraków, 1882, str. 12, w 8-ce większ. — Jest-to dodatek do „Wiadomości bibliograficznych“ wydawanych w Warszawie przez p. Teodora Paprockiego. Pracujący nad dziejami ma przez ten, alfabetycznie według nazwisk autorów ułożony, katalog ułatwioną pracę o tyle, że łatwo wyszukać może potrzebnych dla siebie rzeczy. Zupełnym on nie jest, to prawda; ale bądź-co-bądź ułatwia oryentowanie się w znacznéj liczbie pamiętników. Znajdują się tu również wzmianki o pamiętnikach, pozostających dotychczas w rękopiśmie; ale nie ma wskazówek, gdzie ich szukać!

= **Don Żuan w haremie.** *Ustęp z pieśni VI Don Żuana Lorda Byrona (strofy 26—86). Przełożył Edward Porębowicz.* (Kraków. Nakład K. Bartoszewicza, 1882, str. 19). Dotychczas nie posiadamy jeszcze całkowitego przekładu na nasz język jednego z utworów Byrona najbardziéj charakterystycznych, najlepiéj przedstawiających jego usposobienie i uwydatniających jego potężny talent. W dobie panowania byronizmu w literaturze zdobyto się u nas zaledwie na urywkowe tłómaczenia, których dokonał Ignacy Barankiewicz, pomieściwszy je w „Bibliotece Warszawskiéj.“ Późniéj, kiedy już ochłodło wśród ogółu gorączkowe dla Byrona uwielbienie, p. Wiktor Baworowski podjął niewątpliwie bardzo trudne zadanie przyswojenia Don Żuana piśmiennictwu naszemu i w ciągu lat dwudziestu, poczynając od r. 1863, ogłosił przekład dziesięciu pieśni. Tłomaczenie jego ma zalety niemałe; jest dosyć wierne, często prawdziwie poetyczne, ale ma też jednę ważną wadę, że nie odtwarza budowy strof oryginału, pisanego oktawami. Ta okoliczność jak nie mniéj chęć sprobowania sił własnych w walce z trudnościami językowemi, stylowemi i wierszowemi pobudziła zapewne p. Edwarda Porębowicza do podjęcia i ogłoszenia próby nowego przekładu, z którego 60 strof mamy właśnie przed sobą w odbitce z „Przeglądu literackiego i artystycznego“ wychodzącego w Krakowie. Próbę tę nazwać można wcale udatną; nastrój oryginału lekki, w wysokim stopniu

kapryśny pochwycony został przez tłómacza szczęśliwie, a co jeszcze ważniejsza, oddany trafnie zarówno pod względem wyboru wyrazów i wyrażeń jako téż pod względem dykcyi poetycznéj i igrania rymami. Naturalnie, usterk znajdzie się tu i owdzie niejeden, że przytoczymy dla przykładu ze strofy 33 wyrażenie: „lecz *nie stańmy* w toku opowiadania,“ albo ze str. 58 rymowanie *ogień z bogiń* i t. p.,— całość atoli sprawia dobre wrażenie, dowodząc, że tłómacz z miłością pracy się podjął i starał się usilnie zawładnąć treścią i formą. Do zarekomendowania przekładu z dobréj strony każda niemal strofa się nadaje; poprzestaniemy na przytoczeniu 43-éj:

Dudu usiadła przy Joasi boku;
Milcząc muskała sploty jéj warkoczy
I spoglądała jéj w twarz; smutek w oku
W łezkę się zmienił, że tułacz uroczy
Bez opiekuna—sierota— w tym tłoku
Przed natrętnemi spojrzeniami oczy
Musi zakrywać, słuchać komentarzy
O każdym ruchu swym, postaci, twarzy.

Gdyby cały Don Żuan w ten sposób został przełożony, literatura nasza wzbogaciłaby się jedném więcéj, dobrze tłómaczoném, arcydziełem. Nie wahamy się téż zachęcać p. Porębowicza do nieustawania w téj mozolnéj, co prawda, ale przynoszącéj zaszczyt pracy.

Wydawca, **W. Spasowicz**.—Redaktor **Piotr Chmielowski**.

ZAŁATWIONA SPRAWA.

Mądry król w starym Rzymie niechciał płacić zbyt wysokiéj ceny, żądanéj za księgi Sybilińskie; lecz kiedy mu coraz mniéj tych ksiąg ofiarowano, a ceny wymagano zawsze jednakiéj, musiał przystać na nią, z obawy, że księgi zaginą do szczętu i ludzie z mądrości w nich zawartéj już korzystać nie będą mogli. Starożytne podanie zdaje się w ten sposób tłómaczyć wypada, że mądrości nigdy zbyt drogo opłacić nie można, bo ona cenniejszą jest nad wszelkie skarby. Za naszych czasów nikt już mądrym królom ksiąg sybilińskich nie przynosi; coraz to nowe trudności, które się rodzą w życiu narodów, bez pomocy wyroczni załatwiać trzeba, ale jak w bajce rzymskiéj, tém drożéj to kosztuje, im dłużéj z załatwieniem sprawy ludzie się ociągają.

Każde ze społeczeństw nowożytnych zaprzątnięte jest ciągłym rozwiązywaniem rozmaitych kwestyj, usuwaniem najrozliczniejszych przeszkód i zapór tamujących prawidłowy bieg życia, tu — w sferach polityki, ówdzie — na polu ekonomicznéj, czysto gospodarskiéj pracy. Kwestye te nazywamy dzisiaj społecznemi. Czy to anarchiści burzą się we Francyi, czy demokracya socyalna w Niemczech wygłasza wygórowane pretensye, czy u nas sprawy o służebności niepokoją właścicieli, czy w guberniach „zachodnich“ Cesarstwa czynszownicy i dzierżawcy roszczą pretensye do ziemi, na któréj osiedli, — wszystko to, chociaż może nie w jednakim stopniu, ale zawsze tego samego gatunku niepokój rodzi w społeczeństwie, staje się kwestyą obchodzącą wszystkich, bo wszystkim zarówno utrudnia stosunki gospodarskie, przemysłowe, handlowe, wymagające koniecznie coraz jaśniejszego określenia praw każdéj osoby do rzeczy i do czynności. Kwestyj tego rodzaju, dzisiaj przynajmniéj, inaczéj załatwić nie można, jak aktem prawodawczym, który sto-

sunki, powikłane biegiem historycznego życia, na nowo reguluje i usiłuje wprowadzić je na drogę prawidłowego kształcenia się, na której by się swobodnie rozwijać nadal mogły, zapewniając przez to ludziom obok siebie żyjącym — spokój, owo bodaj najgoręcéj przez każdego pożądane dobro, w naszych niespokojnych czasach. I my też mogliśmy przekonać się niejednokrotnie, że skoro przedstawia się możność ku temu i sprzyjające okoliczności, nawet wysoką ceną warto spokój opłacić, bo po latach kilku zażądają od nas za ten cenny towar nierównie więcéj, albo dadzą go nam znacznie mniejszą dozę za tę samę cenę.

Jedną z kwestyj tego rodzaju, dość długo trapiącą społeczeństwo nasze, szczególnie w guberniach, które dawniéj składały W. Ks. Litewskie, był stosunek między właścicielami majątków a ludźmi tak zwanemi *wolnémi*. Publicyści nasi i rosyjscy w najrozmaitszy sposób prawili i prawią o pochodzeniu téj szczególnéj kategoryi włościan wolnych, jednakże wszystkie ich opowieści nie noszą cechy prawdopodobieństwa. Dotychczas nikt z historyków nie zajął się studyowaniem téj materyi i nie posiadamy żadnego jéj opracowania na mocy dokumentów; podawane zaś wyjaśnienia opierają się na sprawozdaniach władz administracyjnych z ostatnich czasów i noszą na sobie cechę urzędowéj improwizacyi. Wogóle powiadają, że ludzie wolni są potomkami jakichś obcych kolonistów, kiedyś, dawniéj do kraju sprowadzonych. Tymczasem ci ludzie rysami twarzy ani budową ciała, wyznaniem wiary ani obyczajami, nazwiskami ani językiem, w niczém się nie różnią od ludności miejscowéj, nie ma więc żadnego powodu przypisywać im pochodzenie z cudzych, a chociażby i z dalekich stron własnego kraju, zresztą o żadnéj znaczniejszéj kolonizacyi na Żmudzi nie wiadomo z historyi, a tam właśnie najwięcéj znajduje się ludzi wolnych. Jeżeli więc dozwolonem jest objaśniać ich pochodzenie prostémi przypuszczeniami, to wolelibyśmy przypuszczenie najprostsze, i chcielibyśmy w nich widzieć potomków owych, dobrze znanych wszystkim trzem statutom litewskim, *ludzi wolnych* (*zachożych*), o których, jak twierdzi Jaroszewicz, wspominają jeszcze konstytucye z połowy XVII wieku (1). I nie zdawałoby się nam dziwném, gdyby na Żmudzi pewna cząstka ludności wiejskiéj, pomimo wszelkie usiłowania prawodawstwa, potrafiła uniknąć sieci poddaństwa. Wszakże w tamtych okolicach w XVI wieku jeszcze wedle tegoż Jaroszewicza (2) nie było prawie wiosek, a ludzie żyli po większéj części w odosobnionych

---

(1) Obraz Litwy, od 1844 r. T. II, str. 157, 158, 159.
(2) l. c. T. I, str. 87.

osadach po lasach, i dopiero za panowania Zygmunta Augusta zaczęto ich gromadzić w jedno miejsce. Wielka przestrzeń dóbr koronnych i duchownych, korzystne położenie ekonomiczne w bliskości Prus i Kurlandii, utrudniały zapewne ścisłe przeprowadzenie poddaństwa i przechodzenie rolników z miejsca na miejsce praktykowało się tam częściéj niż gdzieindziéj aż do ostatnich czasów.

Po r. 1795, gdy administracya rosyjska wprowadzała w kraju nowe porządki i przeprowadzała spis ludności, zapisywano takich ludzi przy majątkach, a tych, którzy upominali się o swe prawo wolności, odznaczano osobném mianem wolnego człowieka, skąd w spisach (rewizskaja skazka) powstała osobna kategorya *wolno-skazkowych*, jak ich w ostatnich czasach przed zniesieniem poddaństwa nazywano. Ponieważ zaś znalazła się uprawniona, szczególna rubryka, oznaczająca pewne prawne stanowisko, być bardzo może, że przy nowych spisach ludności zamieszczano tam czasami i potomków szlachty miejscowéj, którzy przez heroldią nie byli do stanu szlacheckiego zaliczeni, i ludzi pojedyńczo z poddaństwa uwolnionych wskutek rozmaitych okoliczności, i mieszczan, którzy się uprawą roli zajmowali a chcieli uniknąć opłacania podatków w miastach. Nie twierdząc bynajmniéj, że takiém a nie inném jest pochodzenie ludzi wolnych, powiadamy tylko, że ten ich rodowodów zdaje się nam prawdopodobniejszy.

Kiedy w r. 1857 zaczęto pracować nad zniesieniem poddaństwa i urządzeniem stosunków agrarnych, obejrzano się, że jest w kraju, a szczególnie w gub. Kowieńskiéj, dość spora liczba ludzi wolnych, dzierżawiących ziemię na warunkach prawie jednostajnych z poddanymi; ale administracya i publiczność zajętą była wówczas tylko palącą kwestyą zniesienia poddaństwa, więc w prawie z r. 1862 ludzi wolnych jako niepoddanych pominięto zupełnie.

Publicyści rosyjscy, którzy lubią wszędzie doszukiwać się złéj woli szlachty polskiéj, gdzie tylko idzie o sprawę polityczną lub społeczną, powtarzają chętnie jeden za drugim, że liczba ludzi wolnych wzrosła niepomiernie w latach od 1857 do 1862, że umyślnie zapisywano poddanych jako wolnych, żeby nie mieć obowiązku wydzielania im gruntów. Być może że tu i ówdzie były obrabiane cząstkowo tego rodzaju interesa; byłyby one tylko słabém naśladownictwem przykładu podanego przez jednego z wielko-rosyjskich koryfeuszów sprawy uwłaszczenia ludu księcia Czerkaskiego, który potrafił wszystkich swoich poddanych zwolnić i to za pieniądze, pierwiéj nim przystąpiono do wydania pierwszego reskryptu Cesarskiego, zapowiadającego zniesienie poddaństwa, a tłómaczył takie postępowanie swoje tém, że chciał mieć ręce rozwiązane i być w sta-

nie przystąpić do pracy prawodawczéj na tym polu, jako człowiek bezstronny, zgoła interesem własnym nie krępowany. Szczęśliwy, komu niebiosa odkrywając przyszłość, pozwoliły nietylko w porę przewidziéć nadchodzącą reformę, do czego nie potrzeba było być prorokiem, ale nadto, co daleko trudniéj, odgadnąć wysokie stanowisko urzędowe, na którém swe humanitarne pomysły *bezstronnie* i bez straty własnéj przeprowadzać będzie.

Dar proroczy wszelako dosyć jest rzadki i nie wszędzie umieją z niego korzystać, bo oto nad Niemnem nie naśladowano widać zbyt skwapliwie dobrego przykładu ks. Czerkaskiego, jeżeli w r. 1866 świadek, o stronne dla szlachty usposobienie nie podejrzany, generał Kaufman donosił ministrowi spraw wewnętrznych, że liczba ludzi wolnych, zaliczonych do téj kategoryi po r. 1857 stanowi nic nieznaczącą mniejszość w ogólnéj ilości ludzi wolnych. Zresztą, cokolwiekbądź można o tém powiedziéć, rzecz ta na obecny stan sprawy w niczém nie wpływa, bo ludzie, za wolnych uznani po roku 1857, już ukazem z r. 1864 zrównani zostali w prawach z włościanami i zostali uwłaszczeni na równi z nimi.

Wtedy jednak w r. 1864, kiedy w dziewięciu guberniach „zachodnich“ Cesarstwa przeprowadzano uwłaszczenie z urzędu, nie rozciągnięto tego prawa do ludzi wolnych, tak zwanych drugiéj kategoryi, t. j. tych, którzy zapisani byli w spisach ludności jako „wolni“ przed r. 1857, przyznano im tylko prawo nierugowalności na lat 12, zniżając opłacane przez nich czynsze czyli cenę dzierżawną ziemi o 10%, i zalecając aby w ciągu tych lat 12 do r. 1876 zawierali umowy z właścicielami co do dalszych warunków dzierżawy. Rzecz godna uwagi, lubo dla nas wcale nie zadziwiająca, że pewnego rodzaju zalecenia i zachęty, z góry idące, mało okazują się skuteczne, jakby fatalność jaka skazywała je na płonność wiekuistą. I w tym téż razie, cel zamierzony, czy tylko podany za taki, chybiony został prawie całkiem. Pierwsze przystosowanie reglamentacyi administracyjnéj do tych stosunków, bynajmniéj nie budziło ochoty do zawierania nakazanych umów dobrowolnych; wolni dzierżawcy owszem przejęli się nadzieją, że prędzéj czy późniéj uwłaszczenie i ich nie minie, do żadnych więc umów na ogół przystępować nie chcieli. Siedzieli sobie na swych gospodarstwach, wyczekując terminu lat 12 i opłacali czynsze zapisane w książeczkach rachunkowych. Kiedy się zbliżał rok 1876, władze administracyjne widząc, że kontraktów zawarto bardzo niewiele, zaleciły „pośrednikom“ przejrzéć książeczki rachunkowe, stwierdzić je swemi podpisami i zapisać w aktach swoich o tém rezolucyą, legalizowano więc w ten sposób fakt istniejący, ale nie umowy dobrowolne.

Po roku 1876 właściciele zaczęli dochodzić praw swoich; ponieważ skończył się termin nierugowalności, proponowali nowe warunki dzierżawy, a jeżeli takowych nieprzyjmowano, przystępowali do eksmisyi z początku—na drodze sądowéj, a kiedy w r. 1879 sprawy podobnego rodzaju wyjęte zostały z pod kompetencyi sądów i poruczone urzędom do spraw włościańskich, domagali się eksmisyi u władz administracyjnych. Próbowano rozmaitych środków, wszystkie jednak bardzo mało miały powodzenia: niewielka tylko liczba wolnych ludzi,—czy to z powodu wyjątkowych okoliczności, czy ufając dawanym obietnicom, że nowozawarty kontrakt nie przeszkodzi zastosowaniu do nich prawnych rozporządzeń których oczekiwano, czy zresztą w skutek miększego charakteru ulegając namowom właścicieli,—przystała na podpisanie nowych umów; w ogóle zaś trafiono na opór: dzierżawcy nietylko kontraktów podpisywać nie chcieli, ale nie ustępowali ze swych osad, a nawet niekiedy nie dawali się władzom rugować. Powstało wskutek tego dużo procesów różnorodnych; o zaległości w wypłacie, o poniszczone ruchomości, o zasiewy, o opór władzy i stosunek zajątrzył się do tego stopnia, że właściciele sami zapragnęli prędszego jego rozwiązania na drodze prawodawczéj. Rozpoczęto o to starania, które w tym roku uwieńczone zostały pomyślnym skutkiem: prawo Najwyżéj zatwierdzone d. 3 czerwca b. r. a ogłoszone niedawno, rozstrzyga tę kwestyą nowym aktem uwłaszczenia.

Do nabywania ziemi na własność z pomocą rządu mają prawo byli wolni ludzie drugiéj kategoryi (z przed r. 1857), którzy dotąd przesiadują na tych samych gruntach na mocy kontraktów obowiązujących, w myśl prawa z r. 1864, lub na mocy rezolucyi „pośredników, zastępujących kontrakty, chociaż termina takowych już upłynęły, ale którzy z jakichkolwiekbądź przyczyn nowych umów nie zawarli; a także i ci, którzy przed r. 1864 osiedli na dzierżawach bez żadnych pisanych umów i dotychczas na nich pozostają. Otóż wszyscy ci ludzie mają prawo do dnia 23 kw. r. 1885 albo: nabyć dzierżawioną ziemię na własność za oznaczoną w ukazie cenę (w gub. Kowieńskiéj od 975 do 1430 r. za włókę, w Wileńskiéj 785 r., w Grodzińskiéj 650 r.), sami mają spłacić 15% ceny, resztę płaci rząd obligacyami wykupnemi, spłacalnemi 6-o procentowym czynszem w ciągu lat 49; jeżeli zaś nie chcą nabywać własności, mogą pozostać na swych dzierżawach jeszcze lat 6, licząc od r. 1885, za opłatą czynszów także w ukazie oznaczonych, od r. zaś 1891 przechodzą już na stosunek prawem pospolitém określony. Kto zaś ani kupować ziemi, ani dzierżawić jéj przez lat 6 nie zechce, obowiązany w terminie rocznym tj. 23 kwietnia 1886 r. zwrócić grunta właści-

cielowi i ulega eksmisyi przymusowéj. Przestrzeń gruntów podlegających prawu wykupu oznacza się wedle uprzednich obowiązujących dwunastoletnich kontraktów lub rezolucyj „pośredników,“ a gdzie takowych nie było—wedle dzisiejszéj używalności. Zamiany szachownic dopuszczone; w razie jeżeli dzierżawca miał prawo do służebności pastwiskowych czy leśnych, znoszą się one przy wykupie wedle umowy stron, jeżeliby zaś umowa nie nastała, za służebności strąca się 10% z ceny wykupu.

Tak więc jedna z kwestyj trapiących nasze społeczeństwo doczekała się rozwiązania w drodze prawodawczéj; oby i na krętych ścieżkach życia praktycznego, równie gładko rozwiązaną być mogła! Życzenie to zapisujemy tutaj dla tego, że sprawy drażniące stosunki społeczne, szczególniéj takie, które się lat kilkanaście ciągną, nigdy nie mogą się załatwiać ostatecznie, bez szczeréj chęci i rozumnego współdziałania samego społeczeństwa. I tu zostaje po za nowoogłoszoném prawem pewna liczba ludzi, do których się ono nie stosuje, a którzy obecnie żyją w zupełnie jednostajnych z nowo uwłaszczonymi warunkach. Są to ci z pomiędzy ludzi wolnych, którzy ulegając namowom właścicieli lub „pośredników,“ po r. 1876 lub po wyjściu terminu dwunastoletniéj dzierżawy prawnéj, zawarli urzędownie nowe umowy. Takich gospodarzy nie znajdzie się wielu. Słyszeliśmy od ludzi znających dokładnie stosunki miejscowe, że w gub. kowieńskiéj liczą około 4.000 chat ludzi wolnych, przypuszczać nie można, żeby nawet dziesiąta część z pomiędzy nich dotąd przystała na zawarcie nowych kontraktów dzierżawnych; podejdzie więc pod tę kategoryą, nowém prawem nie objętą, może około 300 gospodarstw. Na całą gub. kowieńską bardzo to niewiele; bezwątpienia jednakże ci ludzie, zapewne dobrzy gospodarze, widocznie charakteru spokojnego, dla właścicieli większych usposobieni przyjaźnie, dzisiaj poczują się pokrzywdzonymi wobec swych sąsiadów, którzy wygrali na tém, że nikogo słuchać nie chcieli, nie wierzyli ani w prawo im ogłoszone, ani w namowy właścicieli lub urzędników. Przy ogólném regulowaniu stosunków owych kilku tysięcy gospodarstw (dokumenta urzędowe z r. 1878 podają liczbę ludzi wolnych w generał-gubernatorstwie Wileńskim na 34.000 dusz) tych kilkuset gospodarzy, w nagrodę swéj dobréj wiary i niechęci do oporu, nie otrzymają własności niezależnéj. Narzekania téj nielicznéj grupy, niewątpliwie znajdą sobie posłuch, chociażby u takiego rodzaju ludzi, którzy uznają za zgodne ze swym interesem niedopuszczać do uspokojenia ludności a drażliwe kwestye jątrzyć i gmatwać. Wedle litery prawa tym łagodniéj usposobionym gospodarzem nie należy się uwłaszczenie. ale wedle słuszności, wedle głosu sumienia społecznego powinni oni

znaleść u właścicieli gotowość do wynagrodzenia za, bądź co bądź dobre i sumienne swe postępowanie. Nie wątpimy też, że taką gotowość znajdą, że obywatele gub. kowieńskiéj o których tu głównie chodzi, a za których początkowaniem obecna ustawa przeszła całą drogę prawodawczą, nie zechcą sobie ani swym dzieciom pozostawiać nowego zarodka niepokojów, i otwartéj furtki do nowéj administracyjnéj reglamentacyi i nowego z czasem uwłaszczania.

Słyszeliśmy, że w kole marszałków gub. kowieńskiéj ks. Ogiński pierwszy podał myśl wezwania obywateli, aby nie robili różnicy pomiędzy kategoryami ludzi wolnych i wszystkim im zarówno ziemię dzierżawioną na wykup oddali, bez względu na zawarte lub nie dobrowolne o dzierżawę umowy. Zdaje się nam, że właściciele ziemscy powinniby usluchać głosu człowieka przezornego, i nie cofać się przed pewną, nieznaczną zresztą stratą w chwili obecnéj, dla zapewnienia sobie spokojności na przyszłość i zabezpieczenia się od strat, które z czasem mogą być znacznie większe.

Publicysta rosyjski zdając sprawę w N. 268 „Gołosu“ z całego przebiegu téj kwestyi i chwaląc w jéj przeprowadzeniu rozum praktyczny obywateli gubernii litewskich, wyraża przy téj sposobności zadowolnienie z tego, że do prawodawstwa wprowadzoną została nowa zasada—przyznanie dzierżawcom długoterminowym prawa wykupu dzierżawionych gruntów za cenę prawnie normowaną i znacznie niższą od bieżącéj ceny rynkowéj. My ze swojéj strony wątpimy, aby ukaz wydany w okolicznościach wyjątkowych, dla załatwienia kwestyi specyalnéj, mógł wejść jako zasada do prawa pospolitego, i stać się artykułem kodeksu cywilnego; jeżeliby zaś to stać się miało, nie widzielibyśmy powodu do cieszenia się z takiéj nowouznanéj zasady prawnéj, któraby stała się z konieczności źródłem tylko utrudnienia stosunków dzierżawnych, kiedy one właśnie dla swego utrwalenia, dla kształcenia się normalnego i sprawiedliwego, wymagają jasności i nienaruszalności; przy tych tylko bowiem warunkach mogą ustalić się obyczaje dzierżawne, dla obu stron kontraktujących korzystne. Zresztą, czy nas to cieszyć czy smucić może, o to prawdopodobnie władza prawodawcza kłopotać się nie będzie, i jeżeli potrąciliśmy o ten przedmiot, to z innego całkiem względu. Z podobnych odezw publicystów rosyjskich rozpoznać możemy, że samo pojęcie o prawie własności inne jest w Petersburgu niż w Warszawie, Wilnie lub Kownie; dla tego powinniśmy się uczyć przystosowywać do okoliczności i nie polegać na prawie absolutném, które w oczach prawodawcy, a bardziéj jeszcze w pojęciach wykonawców prawa, może ulegać z łatwością wielu ograniczeniom, lub elastycznéj interpretacyi.

Kwestya ludzi wolnych w północno-zachodnich guberniach cesarstwa, nie jest wcale ostatnią z nierozwiązanych jeszcze u nas spraw społecznych. Kwestya czynszowników w guberniach południowych i służebności w całym kraju, a szczególnie tutaj w królestwie, doniosłością swą o wiele ją przenoszą. Spodziewać się można że skoro rząd przystąpił do rozwiązania pierwszéj, zapewne nie okaże wstrętu do uregulowania innych. Ukaz z d. 3 czerwca r. b. wydany został z powodu: „objawionéj przez obywateli północno-zachodniego kraju, gotowości współdziałania z rządem do trwałego urządzenia zamieszkujących w ich majątkach ludzi wolnych;"—wnosić ztąd wypada, że inicyatywa ze strony właścicieli, że początkowanie we wzięciu się do rzeczy, jest dla rządu pożądane. Zatém ci wszyscy, którym dobro publiczne i spokój społeczny leży na sercu, powinniby szukać i wynaleść drogę, po którejby głos ich doszedł do sfer rządzących, i tam wykazać naglącą potrzebę zakończenia spraw drażniących, projektowane zaś warunki załatwienia ułożyć ze sprawiedliwém uwzględnieniem interesu stron obu, wskazać drogi i sposoby dla dojścia do celu najwłaściwsze, a w takim razie mogliby mieć nadzieję, że głos ich wysłuchanym, projekt przyjętym będzie. Ofiarowaniem warunków takich, któreby może dzisiaj niejednemu jeszcze niekorzystnémi się wydały, mogliby okupić dla całego kraju spokój gospodarski i społeczny, swobodę rozporządzania swoją własnością, a przy tém odzyskaliby choć trochę głosu w sprawach publicznych, który już tak dawno im nie służy, i zabezpieczyćby się mogli w ten sposób od ustawicznego na ich niekorzyść tłómaczenia wszelkich wątpliwości jurydycznych przy wykonywaniu prawa napotykanych. W ten sposób za cenę dzisiaj żądaną zakupią księgi sybilińskie, z mądrości w nich zawartéj już zaraz korzystać będą mogli, bez obawy, że jutro od nich za ten sam nabytek dwa razy tyle wymaganém będzie. Kto ma uszy ku słuchaniu, niechaj słucha!

POLITYKA FRYDERYKA II PRUSKIEGO.

(Geschichte der Preussischen Politik von Johann Gustav Droysen. Fünfter Theil.—Friedrich der Grosse.—Dritter Band.—Leipzig, Verlag von Veit et Comp.—1881).

Nie można powiedzieć, aby *obecna* właśnie historyografia pruska nie umiała być wdzięczną pamięci twórcy pruskiego państwa: „*Fryderyk Wielki*" wszedł znów na porządek dzienny historyografii pruskiéj i rywalizuje na nim zwycięzko z przodkiem swym z ciała i ducha, z tak zwanym „wielkiem elektorem," Fryderykiem Wilhelmem, którego sobie wzięło również grono uczonych za szczególny przedmiot historycznych studyów, za inicyatywą i pod protektoratem dzisiejszego następcy tronu prusko-niemieckiego. Historyografia, *Fryderykowa*, jeżeli tak wolno powiedzieć, przedstawia istotnie pośród ogólnéj historycznéj literatury w Prusach i Niemczech wyjątkowo urozmaiconą i obfitą dziedzinę. Co za mnóstwo pragmatycznych opracowań całéj téj epoki, co za obfitość monografij, dokumentowych wydawnictw. Maksymilian Duncker zamieszcza w *Preussische Jahrbücher* Treitschkego obszerne studyum o genezie wojny siedmioletniéj, studyum niezaprzeczonéj wartości naukowéj, ale zarazem i tendencyjności, usiłujące przeprowadzić tezę, że Fryderyk rozpoczynając pierwszy wojnę, znajdował się tylko w stanie koniecznéj obrony. Najgorzéj wychodzą na relacyi p. Denckera Brühl i niańczony przezeń nasz August III. Znakomity badacz dziejów Szląska, historyk przedewszystkiém średniowieczności niemieckiéj, profesor wrocławskiego uniwersytetu Grünhagen, zarzucił również chwilowo swoją specyalność, by uczynić wycieczkę w czasy późniejsze i napisał obszerne a źródłowe dzieło *O pierwszéj wojnie szląskiéj* Fryderyka z lat 1741 i 42. Archiwista berliński Max Posner wydał część korespondencyi Fryderykowéj z cennemi przypiskami. Teraz ogłasza w *Hi-*

storische Zeitschrift Sybla zajmujące i obszerne studyum nad uwagami marginesowemi Fryderyka do dzieł Montesqieu'go. Najważniejszym na polu historyografii Fryderykowéj pojawem pozostanie przecież podjęta kosztem i staraniem królewskiéj Akademii umiejętności w Berlinie, powierzona uczoności i krytycznemu zmysłowi Reinholda Kosera, publikacya „*Politycznéj korespondencyi Fryderyka Wielkiego*," wielkie przedsięwzięcie naukowe, które liczy już dotąd cztery grube tomy a sięga do końca roku 1745. Tę właśnie publikacyą z pośród wszystkich wydawnictw i opracowań dotyczących epoki Fryderykowéj mamy powód uważać za najciekawszą, równie jak za najważniejszą, ponieważ po prostu jest najprawdziwszą.

Cokolwiekbądź kto o uczoności i gruntowności niemieckiéj powie, nie umie ona w dotknięciu się osoby i polityki Fryderyka II stanąć na gruncie spokoju i prawdy. Jestto wieczna oscylacya między bezwzględną dewocyą a bezwzględną nienawiścią. Droysen i Ranke między innymi stoją na stanowisku pierwszéj; hr. Vitzthum von Eckstädt i Onno Klopp, partykularysta saski i partykularysta hanowerski na stanowisku drugiéj;—pierwsi idealizują, drudzy poniżają Fryderyka; nie ma nikogo, coby powiedział prostą i jasną jak biały dzień prawdy, że Fryderyk najzręczniejszy i wolny od wszelkich skrupułów, od wszelkich względów religii i moralności mąż stanu i wojownik, nie myślał o Niemcach i Niemczech, że niemi do pewnego stopnia gardził, że idealistą nie był, że myślał jedynie tylko o powiększeniu obszaru i siły swéj brandenburskiéj posiadłości, bez względu na jéj narodowe żywioły, że w dążeniu do podobnego celu nie znał żadnych moralnych przeszkód, a że ludność swego państwa uważał tylko za narzędzia zdolne dźwigać karabin i za warsztat dostarczający pieniędzy jego skarbowi. Ztąd téż jego mądre cokolwiekbądź i przezorne usiłowania około podniesienia dobrobytu państwowego, usiłowania, którym przecież przypisywać jakieś humanitarno-filozoficzne i filantropijne pobudki byłoby podobnym błędem, jakimby było chcieć posądzać o jakieś czułości i sentymentalizmy rolnika starającego się utrzymać żywy inwentarz w dobrym stanie paszy.

Otóż tedy ma dla nas wydana przez p. Kosera *Polityczna korespondencya Fryderyka Wielkiego* przedewszystkiém z tego niespożytą wartość, że z saméj natury rzeczy, ponieważ jest wydawnictwem dokumentów i dokumentowego materyału, nie może się ani w jedną, ani w drugą stronę zapuszczać w sofistyczne argumentacye a dzięki swéj treści pozostawia czytelnika nieobałamuconym i swobodnym sędzią tego, co mu dostarcza. Wyznać zaś należy, iż sumienność wydawcy góruje w téj publikacyi nad wszelkiemi innemi względami, i materyał jakiego dostarcza p. Koser, przemawia donośniéj za prawdą teoryi panów

Kloppa i Vitzthuma, aniżeli za bezwzględną dewocyą Fryderykowych bałwochwalców. Ileż to anegdot cieszących się prawem historycznego obywatelstwa, ileż legend Fryderykowych niknie i ulatnia się w dziedzinę mgły po rozpatrzeniu się w wydanych przez p. Kosera dokumentach! Utrwaloną np. nietylko już po kalendarzach, elementarzach i szkolnych chrestomatiach pruskich, ale stwierdzoną nawet przez powagę tak słynnego i rozgłośnego historyka, jakim był Anglik Carlyle, legendą jest, że Fryderyk za wstąpieniem na tron marzył o „wolności druku,“ że był za swobodnym objawem jakiegobądź zdania, że był obojętnym na paszkwile i satyry, które nawet niżéj na rogach ulic przylepiać kazał, aby im się publiczność lepiéj przypatrywać i wygodniéj czytać je mogła. Legenda to, w któréj historycznéj prawdy tyle prawie, ile we wszystkich legendach. Zacny Koser stwierdza wręcz przeciwnie a stanowczo, „że Fryderyk umiał z prawdziwym artyzmem posługiwać wszelkiemi sposobikami ówczesnéj dyplomacyi, choć najwątpliwszego charakteru.“ Na berlińskiéj poczcie otwierano obce listy, tak mianowicie korespondencyą posła rosyjskiego przy dworze drezdeńskim. Na dziennikarzy miał król również bardzo czujne oko. Zasadę, aby gazetom nie przeszkadzać a paszkwile niżéj rozwieszać, zasadę, któréj się trzymał w sprawach czysto osobistych, lekceważył w interesie państwa. Mianowicie były mu solą w oku gazety hagskie, jak tego dowódcą dwa reskrypta do tamtejszego reprezentanta Podewilsa.

Istnie ziębiące i przerażające wrażenie, sprawia według ogłoszonych przez p. Kosera dokumentów stosunek jego do ówczesnego dworu petersburskiego. Wpływ jego jest tu wiele znaczący, reprezentantem baron Mardefeld. Fryderyk odgrywa, jak ztąd widzimy, pierwszorzędną rolę w połączeniu następcy tronu po Elżbiecie, księcia holsztyńskiego Piotra z księżniczką Anhalt-Zerbst. Równocześnie przekonywają nas ogłoszone przez p. Kosera dokumenta, że Fryderyk budząc w usposobieniu cesarzowéj Elżbiety sztucznie obawy, obawy naturalnie we własnym interesie, doradzał jéj w sposób natarczywy, aby internowanych w Rydze swych krewnych, księcia Antoniego i małżonkę jego, rodziców małoletniego Iwana, rozłączyła „a małemu Iwanowi pozwoliła zniknąć w Syberyi.“ Ze szczegółów tego rodzaju, podanych uczciwie a bez osłony zgroźliwéj prawdy w korespondencyi politycznéj Fryderyka ogłoszonéj przez p. Kosera, wynosi choćby najentuzyastyczniejszy dla króla pruskiego, niemiecki czytelnik, przykre wrażenie, które się nie obraca wcale na korzystny sąd o charakterze i moralności „pustelnika i filozofa ze Sanssouci.“

Takiż sam tylko sąd można z téjże saméj publikacyi wynieść o wielkiéj polityce Fryderyka na wielkiéj widowni niemieckiéj i eu-

ropejskiéj. Gra nieporównanéj, podziwienia godnéj zręczności, ale bez idei i bez ideałów, z pogardą niemieckiego narodu, prawa i interesu zarówno, jak ze wzgardą wszelkich skrupułów i względów, moralnych czy traktatowych, między Austryą a Francyą, gra podjęta jedynie tylko w imię i dla interesu domu brandeburskiego. Walka rozpoczęta w przymierzu „z dziedzicznym wrogiem Niemiec" przeciw narodowéj od wieków, habsburskiéj cesarskiéj dynastyi niemieckiéj. Przymierze podobne wiąże Fryderyka z Francyą nierozerwalnie aż do końca trwającéj wojny, zabrania mu zawierać partykularnego pokoju.

Cóż mu się wiązać przecież podobnémi skrupułami! Celem wojny jest nabytek Szląska na podstawie urojonego, dawno zbytego przez „wielkiego elektora" i jego następcę, prawa. Przyciśniona dwustronną nawałnością wojenną, od Francyi i Prus, Austrya pragnie się pozbyć z karku choćby jednego nieprzyjaciela; ofiaruje po cichu, pod koniec roku 1742 Prusom Szląsk. Fryderyk przyjmuje skwapliwie tę ofiarę, zawiera co prędzéj z Austryakami zawieszenie broni w Klein-Schnellendorf, zawiera następnie z nimi pokój we Wrocławiu, rzucając cynicznie i pogardliwie przymierze z wywiedzionymi przez się w pole nie po raz pierwszy i ostatni Francuzami. Austrya, dzięki podobnéj uldze, przychodzi do siebie, gromi efemeryczną cesarskość elektora bawarskiego Karola VII, rozpościera się po Niemczech, staje się przedewszystkiem groźną Francyi. W razie wzrostu przewagi austryackiéj w Niemczech, w razie odniesienia zwycięstwa nad Francyą, rzeczą łatwą do przewidzenia, że Austrya zabierze się do uregulowania rachunku z Prusami, że szląski nabytek może dla Fryderyka przepaść. Cóż się, zapytać by należało, staje dla monarchy, którego patriotyzm *niemiecki* sławi bezmyślnie jako swego bohatera, którego historycy w rodzaju profesora Droysena czczą i wynoszą „szczerze patryotyczny, niemiecki sposób wyślenia,"—punktem i argumentem kulminacyjnym ponownego wystąpienia z pokojowego zacisza na wojenną arenę? Otóż książę Karol lotaryński, brat cesarza Franciszka I, małżonka Maryi Teresy, przeprawił się z wojskami austryackiemi i Rzeszy przez Ren, zabierał się w najlepsze oderwać od Francyi Alzacyą i Lotaryngią, te same „*kraje Rzeszy*," które dzisiejsze Prusy uważają za naturalną przynależność Niemiec, a z których odzyskania *dla* Niemiec robią sobie niespożytą zasługę.

Utrata Alzacyi i Lotaryngii w miesiącu maju 1744 roku osłabiała przecież Francyą, nadawała przewagę Austryi i jéj cesarskiéj dynastyi w Niemczech, zagrażała posiadaniu Szląska przez Prusy. Ultrapatriotyczny historyk niemiecki Droysen znajduje tedy w swych

dziejach Fryderyka II rzeczą najzupełniéj usprawiedliwioną, może nawet i ze stanowiska *interesu* niemieckiego najsłuszniejszą, że „król pruski nie mógł żadną miarą dopuścić, aby *Austrya* odzyskała dla Niemiec Alzacyą i Lotaryngią i że obowiązkiem jego było oba kraje dla Francyi ocalić.“ Uważajmy tedy. Wzgląd na konieczność zabezpieczenia sobie zdobyczy szląskiéj, wzgląd czysto natury *pruskiéj* staje się Fryderykowi powodem do wystąpienia przeciw narodowéj dynastyi Niemiec, przeciw ich tryumfowi na polu wojny z dziedzicznym ich wrogiem. Prawdę tego rodzaju oczywistości wykazuje z całą nieosłonioną niczem jaskrawością ogłoszona przez pana Kosera polityczna korespondencya Fryderyka pozostawiając nieuprzedzonemu, niepowodującemu się żadnemi dążnościami i fałszywemi entuzyazmami czytelnikowi ocenienie, ile to sensu i prawdy w owéj zakorzenionéj dzisiaj szczególnie tendencyi „*przefarbowywania*“ Fryderyka na jakiegoś opatrznościowego męża *Niemiec*.

Uwagi te o historyografii Fryderykowéj, mianowicie o drogocennéj publikacyi były tu koniecznie potrzebne. Bez nich nie stanąłby *Droysenowy* Fryderyk, z którym nam się zapoznać przychodzi, w należytém i zrozumiałém świetle.

Profesor Droysen, autor rozpoczętéj już od lat przeszło dwudziestu, liczącéj już dzisiaj mnogie tomy, historyi polityki pruskiéj, zrobił sobie może zyskowniejsze, aniżeli wdzięczne i prawdziwe zadanie idealizowania Fryderyka wbrew wszystkiemu, co o nim np. dokumentowe wydawnictwo p. Kosera powie, wbrew wszelkim faktom, jakie przeciw jego bądźto patryotyzmowi niemieckiemu, bądź przeciw jego rzekomo idealistycznym popędom przytoczy. Profesor Droysen pisze swą historyą polityki pruskiéj, pisze mianowicie swą historyą Fryderyka z najwyraźniejszą stronniczością *ad usum Delphini* wszelkich dzisiejszych prądów i aspiracyj pruskich. Zręczny gracz i spekulant polityczno-wojenny wychodzi na męża idei niemieckiéj, na bohatera opatrzności, która go namaszcza z góry na odegranie wielkiéj i dziejowéj roli, mającéj dopiero znaleść swe ostateczne rozwiązanie, zrozumiały dla wszystkich sens moralny za dni naszych. Wszystko to zaś, dodajmy, wypowiedziane w stylu najgorszym i najzawikłańszym, na jaki się język niemiecki zdobyć może, umyślnie może apokaliptycznym i ciemnym, aby tam, gdzie trzeba nieprzyjemną prawdę wypowiedzieć, takową za pomocą enigmatycznego wysłowienia stłumić i pozostawić w rozmyślnéj wątpliwości. Pod tym względem moglibyśmy z dzieła profesora Droysena, zaciemniającego wszędzie, gdzie trzeba, prawdę Fryderykowych dziejów, liczne poprzytaczać przykłady. Ograniczamy się na następnym, ku przekonaniu czytelnika o prawdzie naszego spostrzeżenia. Autor mówiąc o to-

czących się w miesiącu maju r. 1748 w Akwizgranie negocyacyach pokojowych, odzywa się, jak następuje. „Jeżeli Podewils (minister Fryderyka) pod dniem 15 czerwca donosił o wieści, że *chciano* skorzystać z bliskości Rosyan (*kto?*), aby przeprowadzić w Rzeszy pewne bardzo ważne wnioski (Anträge), jak sądził, wybór Rzymskiego króla, nie przypuszczał, że właśnie wybór tenże został wprowadzony na porządek dzienny w sposób pełen uprzejmości przez Francyą. W Berlinie zaś nie domyślano się, że St. Severin (poseł francuzki) zakomunikował przy téj sposobności hrabiemu Kaunitzowi, iż Fryderyk II objawił w Rzymie życzenie, aby mu przysłano dwóch misyonarzy, którzyby pouczali w wierze katolickiéj. Wieść ta została następnie przez lorda Hyndforda z Petersburga zakomunikowana do Londynu, że król pruski z wiedzą Francyi dał papieżowi zapewnienie, iżby pod pewnemi warunkami miał chęć przejść do katolickiego kościoła a w razie potrzeby zmusić i swój naród gwałtem do podobnego nawrócenia się. Cesarzowa-królowa dowiedziała się o tém, jak donosił, z przejętych listów i nie może sobie postanowienia tego ze strony króla wytłómaczyć inaczéj, jak tylko zamiarem jego, zostania królem polskim po śmierci Augusta III. Jest tém bardzo zaniepokojoną, jakotéż, jeżeli to jest na prawdę zamiarem królewskim, wszystkie europejskie mocarstwa mają interes, aby temu zapobiedz.“

Na tém koniec w opowiadaniu profesora Dreysena o tym ciekawym przedmiocie i ani jednego słowa więcéj. Rzecz sama nieznana dotąd i najwyższéj wagi. Chęć zostania katolikiem ze strony Fryderyka, w interesie naturalnie potrzeby politycznéj, rzucałaby nowe, jaskrawe, osobne całkiem jeszcze światło na charakter twórcy monarchii pruskiéj. Silemy się jednakże, bez własnego obeznania się ze źródłami archiwalnemi, nadaremno, dowiedziéć się nietylko już istotnéj prawdy tego faktu, ale choćby zdania autora o nim z własnéj jego relacyi. Przedstawia on, jak widzi nasz czytelnik z powyższego *dosłownego* przytoczenia, rzecz w sposób tak enigmatyczny, ogranicza się na cudzosłowie St. Severina i lorda Hyndforda, pozostawiając rzecz samą bez ilustracyi własnego zdania i bez wypowiedzenia, czy według *jego* własnych, dokumentowych badań Francuz i Anglik puszczali w obieg fałsz czy prawdę o królu pruskim. Otóż to próbka sposobu pisania Droysenowego, jego historycznego stylu, którybyśmy pozwolili sobie nazwać dość niezręcznie przeprowadzoną sztuką zaciemniania i zasłaniania prawdy tam, gdzieby dzisiejszym prądom i potrzebom politycznym mogła się stać nieprzyjemną...

Po dostarczeniu czytelnikowi tak charakterystycznego dowodu traktowania rzeczy drażliwych przez Droysena, przystąpmy do tre-

ściwego, o ile możności sprawozdania z ostatniego jego tomu Fryderykowych dziejów...

Uprzytomnijmy sobie przedewszystkiém ogólną sytuacyą. *Druga* wojna szląska Fryderyka skończyła się wielce podobnie jak pierwsza. Widząc swą szląską zdobycz zabezpieczoną osłabieniem Austryi i Saksonii, widząc nadto Rzeszę Niemiecką i Austryą absorbowane wojną z Francyą, wycofał się Fryderyk poraz drugi z wojny, odstąpił przymierza francuskiego i zawarł z Austryą partykularny pokój w Dreznie, pod koniec roku 1745, przyznający mu ponownie posiadanie Szląska ze strony saméj Austryi, bez gwarancyi, naturalnie europejskiéj. Wyniósł w ten sposób Fryderyk tobołki swe na suchy i bezpieczny brzeg, kiedy cała zachodnia Europa tętniała wrzawą wojenną, kiedy Francya zwycięska pod wodzą marszałka Saskiego przeciw Anglii i Holandyi na lądzie, ponosiła klęski na morzu, kiedy równocześnie Austrya nieszczęśliwa nad Renem i we Flandryi, wetowała swe niepowodzenia we Włoszech w przymierzu z Piemontem przeciw Francuzom i Hiszpanom. Że wśród trwającéj wojny, że pośród jéj różnych i zmiennych kolei, obie wojujące strony będą poszukiwały pruskiego przymierza, pruskiego pośrednictwa, pruskiéj interwencyi, że daléj Prusy same będą zmuszone podawać ucha jednym i drugim propozycyom, przedewszystkiém zaś w stanie tyle niepewnym, wobec zagrażających niebezpieczeństw pozostać z bronią w ręku, a ostatecznie kierować swe kroki względami własnego interesu, jest rzeczą bardzo naturalną. Pozostając na stanowisku zbrojnéj neutralności, mając oczy i uszy otwarte na wszystkie strony, charakteryzuje Fryderyk sam ową epokę po pokoju drezdeńskim aż do wojny siedmioletniéj, epokę — nawiasowo powiedziawszy — opuszczoną w swych pamiętnikach, w sposób następny: „Od czasu pokoju z roku 1746 wyrzekłem się pisać historyi, ponieważ polityczne intrygi, skoro pozostają bez rezultatu, nie więcéj zasługują na uwagę od drażliwości towarzyskich, a szczegóły administracyi wewnętrznéj nie dostarczają historyi dostatecznego materyału." Tymczasem właśnie owa „*administracya wewnętrzna*" stanowi przez owo dziesięciolecie pokojowe treść i istotę Fryderykowych rządów. Król pruski utrwala i ubezpiecza swą zdobycz, utrwala ją i ubezpiecza przez utrzymywanie armii na dotychczasowéj stopie (35,000 ludzi), reguluje bieg i szczegóły machiny państwowéj, podnosi i ulepsza stan uzbrojenia fortec, nie szczędzi mianowicie kieszeni swych poddanych, mimo wszystkiego, co o nim jego panegiryczny historyograf mówi. Dziwnie nieco w porównaniu z tém, co nam prawda historyczna zkądinąd o Fryderyku powiada, brzmią nam entuzyastyczne pochwały Droysena o „swobodzie"

żołnierza pruskiego z jego epoki. Naturalnie, nie znajdujemy tu nic ani o *spiessrutach*, jakim żołnierz pruski wówczas podlegał, ani o środkach, za pomocą których się rekrutował; również nie ma tam nic o stanie poddaństwa, w jakie żołnierz pruski po odbyciu wojskowéj służby popadał, ani o stanie nędzy, w jakim się jego żona i dzieci znajdowały. Wszystkie te prawdy stwierdzone i nietajone wcale przez choćby najentuzyastyczniejszych wielbicieli Fryderyka i borusyzmu, jak np. ostatniemi czasy przez znanego w annalach parlamentaryzmu prusko-niemieckiego adwokata Karola Brauna z Wiesbaden, nie istnieją dla oficyalnego historyografa polityki pruskiéj, jakim jest Droysen. „Niezmordowanie—mówi—walczył Fryderyk II przeciw zakradającym się ciągle nadużyciom, mianowicie przeciw dowolnościom pułkowników i kapitanów, którzy władzę swą nad żołnierzami w pułkach i w kantonie wyzyskiwali jako prawo pana nad sługą i w celu wydobywania pieniędzy. Pod karą kasacyi zakazano im „znęcać się nad ludźmi," zamieniać do innych pułków, darowywać, sprzedawać. Nie mają sobie pozwalać postępować z żołnierzami jak z niewolnikami, z którymi-by mogli według upodobania robić co chcą i używać ich do wszystkiego według własnego widzimisię. Nie mniéj ostro jest zagrożony najsurowszemi karami każdy rodzaj brania lub żądania pieniędzy przy wyborze popisowych, przy udzielaniu rocznego urlopu, przy dawaniu pozwoleń na ożenienie. Żadnemu żołnierzowi, skoro skończył lat 20, nie ma być wzbronione pozwolenie do ożenienia. Mianowicie ma być dawany podobny konsens bez wszelkiego pozwolenia i trudności poddanym kraju należącym do pułku, tak tym, którzy się znajdują w szeregach, jak tym, co są jeszcze w domu...... Pomorskie stany krajowe żaliły się z zupełną słusznością, że synowie poddanych chłopów nie znajdują się już pod władzą dominialną, lecz pod rozkazami władzy poborczéj, że od niéj a nie od zwierzchności dominialnéj syn chłopski ma odbierać pozwolenie do ożenienia. Miało to znaczyć, że przez należenie do wojskowego popisu wiejska ludność przestawała należéć do dominialnego inwentarza, przestała nadto, w pańszczyznie dla właściciela wielkiéj posiadłości i w posłuszeństwie dla niego, upatrywać przeznaczenie swego istnienia. Z chwilą ubrania się w czerwony halsztuk i pióropusz na kapeluszu stają się popisowi, jeszcze przed swém ściągnieniem do szeregów „własnością państwa." Prócz tego uczą się w szkole pułkowéj czytać, pisać, rachować; przyzwyczajają się do czystości, porządku, dyscypliny, uwagi; słyszą o Fehrbellinie, Hochstädt, Stralsundzie i o innych miejscach, gdzie pułk ich znajdował się w ogniu; stają się z nadużywanych i prześladowanych poddanych członkami

społeczności, która sięga aż do króla; przy każdéj rewii patrzą na twarz jego. Prawda, że służba jest twarda a dyscyplina nieubłagana, ale nie jest swawolną jak baty i katowanie pańszczyznianie. Na chléb i wodę skazują w wojsku tylko za karę, tylko w drodze wyroku wojskowego; tylko kto łamiąc przysięgę na chorągiew, dezerteruje, wystawia się na przejście przez rózgi. Kto postępuje honorowo i obowiązek swój pełni, nie potrzebuje się niczego obawiać. Taki przynajmniéj jest sens i cel regulaminu służbowego."

Otóż świadectwo, jakie —twierdzimy stanowczo— wbrew prawdzie historycznéj, oficyalny historiograf pruski Droysen, wystawia „wojskowéj swobodzie" Fryderykowéj. Dość źle i dość smutno było, „że pułkownik" i „kapitan" mógł żołnierza traktować mniéj więcéj jak farmer amerykański czarnego niewolnika przed zniesieniem niewoli i aż dopiero rozkazów i rozporządzeń królewskich było trzeba, aby podobnym nadużyciom do pewnego stopnia przynajmniéj przeszkodzić. Zakazy te i rozporządzenia nie były skuteczne, a co oficyalny historyograf z wyraźną krzywdą prawdy historycznéj tutaj przemilcza, to że ani żołnierza po wysłużeniu wojskowo, ani nawet jego dzieci, przebyta służba wojskowa od powrotu w stosunek poddańczy i pańszczyzniany nie chroniła.

Postępując w charakterystyce owéj pokojowéj pracy daléj, w opisie administracyjnych zasług Fryderyka II, wspomina autor z niemniejszą dozą bezwzględnego uwielbienia o organizacyi sprawiedliwości, organizacyi, która się ze stanowiska prozaicznéj prawdy również nieco inaczéj przedstawia, aniżeli powiada oficyalny panegiryk profesora Droysena. Nadto odgrywa już wtenczas rolę w dziejach Fryderyka II, coś, co przypomina rozdzierający dzisiaj wnętrze państwa pruskiego *Kulturkampf*. Mianowicie znamionuje on swoją obecność na widowni nowo-nabytego Szląska. Odzywa się mianowicie owo przeczucie późniejszéj *walki kultury* w zatargu z Rzymem w sprawie obsadzenia wakującego księstwa-biskupstwa wrocławskiego. „W pokoju wrocławskim — mówi Droysen — przeprowadził Fryderyk II wbrew austryackiemu żądaniu w sprawie uregulowania stosunków kościelnych formułę, która mu, o ile tego potrzebował, pozostawiała swobodę działania. Gdy się zobowiązywał, kościół katolicki Szląska utrzymać *in statu quo*, istniejącém w chwili wkroczenia do Szląska, z zupełném zastrzeżeniem przecież swobody sumienia kościoła protestanckiego i praw monarszych, nie miały ani dwór wiedeński, ani rzymska kurya traktatowego prawa protestu przeciw temu, co na podstawie swéj władzy zmienić lub załatwić uważał za rzecz stosowną; téj saméj władzy, któréj prawa dom austryacki przeciw protestantom szląskim, wśród uznania i zatwier-

dzenia kuryi Rzymskiéj, tak często i tak gwałtownie nadużywał. Było już wielkiém ustępstwem dla kuryi, że nowy monarcha zrzekł się w Szląsku tak zwanego *juris reformandi*.

„O dwa teraz punkta główunie chodziło. Pierwszy — przemijającéj natury — dotyczył osobistego przywiązania sfer klerykalnych do dworu wiedeńskiego, przywiązanie, które zapowiadało wziąć koniec z wymarciem obecnéj generacyi. I obecnie nie groziło żadném wielkiém niebezpieczeństwem, jeśli tylko książę-biskup znajdował się po stronie króla. Ówczesny chorował jednakże ustawicznie. Czyż można było kapitule, pośród któréj tylko najmłodszy kanonik nie był Austryakiem, pozostawić wybór następcy? Sincendorff sam (dotychczasowy biskup wrocławski) zalecał zamianowanie koadyutora z prawem następstwa; król zamianował na mocy owego prawa monarszego, jak się to i za czasów austryackich działo, w r. 1743 właśnie tego najmłodszego kanonika — hr. Schaffgotscha, opata klasztoru *na Piasku*, a kapituła uległa po niejakim oporze.

„O wiele większą wagę miał drugi punkt. Chodziło o odpowiednie pogodzenie supremacyi państwa ze słusznémi wymaganiami kościoła rzymskiego a raczéj religii katolickiéj. Fryderyk II uważał za rzecz konieczną i możliwą, na podstawie dobrze zrozumianego charakteru państwa i kościoła, ustanowić między obydwoma stosunek, któryby ich dawny zatarg raz na zawsze usunął. Droga, jaką obrał, nie była drogą gallikańskiego kościoła, a tém mniéj jeszcze drogą, którą zalecał Febronius a punktacye emskie rozwijały. Jemu zależało na tém, aby jego katoliccy poddani mieli zupełną swobodę, aby żyli w swéj wierze, ale zarazem aby byli zabezpieczeni od samowoli i wszechwładzy swego naczelnika. Zamierzał poddanych swoich wyznania rzymskiego wyswobodzić z pod współpanowania duchownych książąt, którzy nie znajdowali się pod prawami jego państwa i z pod najwyższego panowania włoskiego potentata i jego otoczenia. Chciał stworzyć dla swoich krajów katolicki rząd kościelny, który miał być czysto pruskim, aby mu nadać zupełną, wolną swobodę (!) władzy krajowéj. Sincendorff wchodził zupełnie w myśli króla, pracował z nim nad niemi. Miał być ustanowiony generalny wikaryusz; miały mu być powierzone wszystkie kompetencye najwyższéj juryzdykcyi kościelnéj, administracya, dyscyplina, krótko powiedziawszy wszystko, z wyjątkiem nauki kościoła, co biskupowi rzymskiemu w najwyższéj instancyi służy. Tenże sam miał również zastąpić miejsce zagranicznych generałów zakonnych i zagranicznych biskupów, o ile klasztory ich zakonu, o ile części ich dyecezyi znajdowały się w Prusach. Państwo żądało tylko nadzoru nad zarządem majątku kościelnego, potwierdzania wyborów,

doniesienia o exkomunikacyach; wystarczało mu, aby generalny wikaryusz był poddanym pruskim i aby wszystkie duchowne urzędy i prebendy były poobsadzane poddanymi pruskimi. W księciu-biskupie wrocławskim był król pewnym znaleźć odpowiedniego na podobne stanowisko człowieka. (Zauważmy tutaj nawiasowo, że kiedy w roku 1757 — podczas wojny siedmioletniéj — Austryakom udało się wejść przemijająco w posiadanie Wrocławia, książę-biskup wrocławski Fryderykowego autoramentu właśnie — hr. Schaffgotsch, przeszedł demonstracyjnie na ich stronę a następnie schronił się w kraje austryackie, by uniknąć zemsty króla pruskiego).

„Był to czas kiedy stolica apostolska była przez katolickich monarchów prześladowana, w prawach swych ograniczana, niekiedy zagrożona wypowiedzeniem posłuszeństwa. A siedział na niéj wtedy światły, łagodny Benedykt XIV, stary przyjaciel księcia-biskupa wrocławskiego; podziwiał Fryderyka, zaliczał mu wysoko wybudowanie kościoła katolickiego w Berlinie. Oświadczył gotowość utworzenia podobnego wikaryatu. Miał go jednakże mianować nie król, lecz on sam, takiego—oświadczał w swém piśmie z dnia 27 kwietnia 1743 r. — który się nie będzie obawiał uznawać nasz prymat i nas, jako najwyższą kościoła głowę, a który będzie głęboko przekonanym, iż on sam i jego urząd nie są niczem i nie znaczą nic bez zależności od nas i naszego zatwierdzenia.

„Było to prawie wyraźném przeciwieństwem tego, czego chciał Fryderyk.

„Sprawa ta nie spoczywała i w latach następnych. Przy wszelkiéj ustępczości w pojedyńczych przypadkach, pozostał jednakże papież przy swéj zasadzie; przypominał *statum quo*, zaręczony pokojem wrocławskim. Stosunek zaś Fryderyka II do wiedeńskiego dworu nie był tego rodzaju, aby, bez przyzwolenia stolicy Apostolskiéj, był mógł zmieniać cośkolwiekbądź *in statu quo*, który się zobowiązał szanować. Radził sobie nadal według możności, a rząd jego był dość silny i energiczny, aby w kierunku, którego mu upadająca władza papieska w zasadzie przyznać nie chciała, faktycznie postępować naprzód.“

Jak ztąd widzimy, stawały w pierwszych latach panowania Fryderyka w obliczu kuryi Rzymskiéj i dworu berlińskiego te same kwestye, te same trudności, które zakłócają pogodę ich stosunków w obecnéj chwili; argumentacya Fryderyka wobec Benedykta XIV przypomina nieźle „motywa“ uzasadniające dzisiejsze prawa majowe, a rozumowanie samegoż historyografa różni się bardzo nie wiele od wywodów sejmowych teraźniejszych ministrów pruskich Puttkamera i Gosslera. Pod tym więc względem nie przedstawia dzie-

sięciolecie rządów Fryderyka między drugą wojną szląską a wojną siedmioletnią nic nowego i niespodziewanego dla wrażeń dzisiejszéj epoki. Dość powiedzieć jeszcze tylko ze stanowiska naszego sprawozdawczego obowiązku, że Droysen idealizuje nieprzerwanie Fryderyka jako wielkiego organizatora i administratora pokojowego, jako dobroczyńcę wojska, chłopów i szlachty pruskiéj razem, jako niezrównanego artystę w urządzeniu machiny państwowéj we wszystkich jéj szczegółach i kierunkach. Mianowicie powiadamy jeszcze, że poświęca długie swego dzieła stronice charakterystyce Fryderyka jako organizatora sprawiedliwości, handlu i przemysłu pruskiego, i że działalność ową pokojowéj natury, uważa z jednéj strony jako najważniejszą część dziejów Fryderykowych w pauzie między drugą wojną szląską a siedmioletnią, z drugiéj za fakt rozwiązujący zagadkę jego ostatecznego powodzenia wśród ciężkich opałów wojny siedmioletniéj. Nikt naturalnie nie będzie zaprzeczał Fryderykowi niezrównanego talentu administracyjnego i wojennego, niezrównanéj nadto wytrwałości na każdém polu. Dla *historyi* i krytyki historycznéj nie znajdującéj się na stanowisku bezwzględnego uwielbienia dla swego bohatera, na jakiém widzimy profesora Droysena, jest—jak Niemcy mówią—podziw *jego* właśnie rodzaju „zwyciężoném stanowiskiem,“ *ein überwundener Standpunkt*. *Prawdziwa* historya i to w samych już Prusach nawet, mówi iż Fryderyk II-gi zrobił w gruncie rzeczy dla stanu włościańskiego mniéj daleko od swego surowego, spotwarzonego ojca; że dla „sprawiedliwości“ wcale sprawiedliwym nie był, że szlachcic miał dla niego wartość jako materyał na oficera armii, że cała wreszcie pieczołowitość około podniesienia handlu, rolnictwa i przemysłu narodowego, nie zawsze racyonalna i szczęśliwa, miała na celu fiskalność. Tak odzywa się o nim prawda historyczna, przemawiająca niezwyciężonym sensem moralnym z dokumentów niepodejrzanéj wiarogodności. Droysen robi zeń Trajana i Marka Aureliusza o wojowniczych przymiotach Cezara.

Czas teraz przypatrzéć się — postępując tropem autora — zewnętrznéj sytuacyi otaczającéj pokojową działalność króla pruskiego w owéj chwili. Rzeczą bardzo naturalną, że *Austryi* przedewszystkiem było trudno przeboléć stratę Szląska, że zaś, co się tyczy innych mocarstw, każde z nich z osobna starało się wyrwać Prusy ze stanu obecnéj neutralności na swą korzyść. Dwóch wojen naraz, z Prusami i Francyą, nie mogła Austrya brać na swe barki; z jedném lub z drugiém mocarstwem była Marya Teresa zmuszona zawrzéć pokój. Dlaczego go pod koniec roku 1745 zawarła z Prusami, tłómaczy Droysen, na ten raz dość zrozumiale, w sposób na-

stępny: „Zawierając (Marya Teresa) pokój z Prusami, brała na siebie dalsze prowadzenie wojny z Francyą; dodawała odwagi stronnictwu wojennemu w Anglii i w Holandyi, miała prawo żądać, aby jéj ułatwiono alians z Rosyą, któraby jéj zasłaniała plecy od Porty Ottomańskiéj. Mogła rościć w takim razie pretensyą, aby jéj odzyskano to, co straciła w Niderlandach, we Włoszech, aby jéj za ofiarę Szląska zdobyto kompensaty w Alzacyi, Lotaryngii, Neapolu. Skoroby się zaś Francyą doprowadziło tak daleko, aby taką ceną pokój opłaciła, mogła się łatwo znaleść sposobność, powrócić do Szląska, którego Fryderyk II nie wspierany już od strony Renu, przeciw Austryi, Rosyi, Hanowerowi i komubądź jeszcze, nie mógł skutecznie bronić. Najbliższém zadaniem polityki austryackiéj było zabezpieczyć sobie Rosyą, drugiem — nie mniéj ważném — nie dopuścić ratyfikacyi zawartego pokoju, aby kwestya szląska na jakiéj bądź drodze odżyć mogła. Można było opierać się na fakcie, iż się przez przyjęcie medyacyi zadosyć uczyniło życzeniu mocarstw morskich, lecz że się téż w zamian żąda tém większych subsydiów, energicznych wysileń, energiczniejszego prowadzenia wojny, aniżeli się to dotąd w interesie austryackim działo.“

Odpowiednio do tego zasadniczego programu, odbywają się téż przez cały przeciąg czasu, będący przedmiotem opowiadania Droysena w obecnym tomie jego dzieła, ewolucye polityki austryackiéj. Polityka to konsekwentna, wierna swemu naczelnemu zadaniu, szukająca aliansów w ostatecznym, choć nie zdradzającym się otwarcie nigdy, celu odzyskania na Prusach zdobyczy ich szląskiéj. Naturalnie nie wszystkich mocarstw europejskich, nawet mocarstw sprzymierzonych z Austryą, postawa odpowiada życzeniom owym i aspiracyom Austryi. Pod tym względem wypada nam zwrócić uwagę na Rosyą, Anglią i Holandyą. Co się tyczy *Rosyi*, uważała ją Austrya za naturalą swą aliantkę przeciw pożądliwości pruskiéj, a nie można téż powiedzieć, aby nadzieje jéj w tym względzie były się w Petersburgu spotykały z opoczystym gruntem. Cesarzowa Elżbieta i jéj otoczenie, przedewszystkiem oddany niebezinteresownie Anglii kanclerz Bestużew, objawiali usposobienie, które w całéj swéj nieprzyjaznéj dla Prus pełni miało się objawić w wojnie siedmioletniéj. Wysłany na dwór petersburski w nadzwyczajnéj misyi ze strony Maryi Teresy generał Pretlack znalazł tamże grunt dobrze przygotowany; poseł pruski Mardefeld przeniknął jego intencye, odgadł zawczasu tajemnicę jego powodzeń i dał o nich wiadomość Fryderykowi, któremu podobna skazówka w początku pierwszego pokojowego roku 1746 starczyła, by zbroić swe twierdze, mianowicie szczecińską i nie uszczuplać liczby armii wobec prawdopodobieństwa aliansu rosyjsko-austryackiego.

Wspomnieliśmy dopiero co o postawie innych mocarstw europejskich. Co się tyczy Anglii i Holandyi, przyjęły oba morskie państwa pokój drezdeński z wielkiém zadowoleniem, z większém może dla Fryderyka, aniżeli dla Austryi współczuciem. Mimo to miały powód być zadowolnionemi, że Austryi spada z karku niebezpieczny nieprzyjaciel, a że odtąd dwór wiedeński wszelkie swe siły przeciw Francyi będzie mógł zwrócić. Akcya ich przeciw Francyi nie cieszyła się szczególnémi powodzeniami. Maurycy Saski znaczył kampanią swą flandryjską przeciw Holendrom i Anglikom szeregiem ciągłych zwycięstw i kolejném zdobywaniem flandryjskich i holenderskich fortec. Nie dość na tém, wylądował w Szkocyi pretendent Karol Edward, podniósł sztandar sztuartowskiéj monarchii i sprawił dywersyą, któréj echo nie mogło nie oddziałać na kontynentalną akcyą Anglii.

Wśród podobnego zakłopotania udawali się kolejno: król angielski Jerzy II, naczelnik angielskiego gabinetu lord Granville do Fryderyka o pomoc i zerwanie neutralności. Przebiegły gracz miał jednakże tém mniéj powodu, wystawiać na szwank zaledwie co zyskaną zdobycz szląską wzamian nieokreślonych i niepewnych korzyści, jakie mu ofiarowały mocarstwa morskie, że nie był pewnym Austryi, że wręcz przeciwnie zaczęła stawać w coraz wyraźniejszéj, w coraz dotykalniejszéj postaci rzeczywistość przymierza rosyjsko-austryackiego.

Wobec podobnéj, najgroźniejszéj dla bezpieczeństwa Prus kombinacyi, milknęły wszelkie inne względy, ustawała możność podawania ucha nagabywaniom czy to francuskim, czy angielskim, przedstawiała się konieczność należytego przygotowania na przypadek inwazyi rosyjskiéj. Oddany — jak dopiero co powiedziano — interesowi angielskiemu kanclerz Bestużew, nakazał częścią w Inflantach, częścią pod Smoleńskiem miéć na pogotowiu korpus 40-tysięczny, któryby można w porozumieniu z Rzecząpospolitą Polską przerzucić na pomoc Austryi do Niemiec. Zamach taki był dla Prus tém niebezpieczniejszy, iż się schodził z intrygami Jerzego II i Granville'a w Petersburgu, że usposobienie dworu drezdeńskiego i Brühla dla Prus było wręcz wrogie, że wreszcie — według doniesień pruskiego posła w Petersburgu Mardefelda — Bestużew nie zaniedbywał żadnych starań, aby i Polskę wciągnąć do zasnuwającego się z Austryą przymierza. Co przecież wśród tego wszystkiego, wśród podobnych usiłowań kanclerza rosyjskiego około pozyskania Polski dla przymierza austryacko-rosyjskiego, pozostanie rzeczą najciekawszą to, że równocześnie zaczęły się pojawiać projekty *podziału* Polski między Rosyą a Prusy.

„Jeszcze dziwaczniejsze — mówi Droysen— poczęły się pod koniec marca (1746) rozchodzić na dworze drezdeńskim: że między Rosyą a Prusami jest na pogotowiu porozumienie co do podziału Polski. Nasamprzód miały Elbląg i Toruń być obsadzonemi przez Prusaków, a w Polsce mówiono nawet, że generał Gessler w tym celu już wyruszył. Chodziła także pogłoska, że jest zamiarem Fryderyka II kazać tam obrać królem brata jego Henryka. W Gdańsku odbierano alarmujące doniesienia z nad granicy rosyjskiéj, mianowicie, że takowa jest zamknięta przez silny kordon wojskowy, który nikogo bez osobnego pozwolenia nie przepuszcza; że w Smoleńsku gromadzą się wielkie wojska i wielkie magazyny; że w Polsce jest ogólném zakłopotanie, iż tu chodzi o kwestyą sukcesyi, że dlatego król August powołał senatorów na miesiąc maj do Wschowy, aby się z nimi porozumieć co do sejmu mającego się odbyć w jesieni. Ważniejszą było rzeczą, gdy Mardefeld donosił, że przybył do Petersburga z Drezna objeżdżając przez Morawią, aby uniknąć terytoryum pruskiego. Donosił dalej Mardefeld, że między Petersburgiem a Dreznem toczą się układy o następstwo tronu w Polsce, że król August chce złożyć koronę, aby umożliwić wybór drugiego syna swego Ksawerego, że jako powód téj roboty podają, iż trzeba uprzedzić pruską intrygę w przedmiocie wyboru księcia Henryka.— Wielki kanclerz (Bestużew)—ciągnął Mardefeld daléj—porusza do współki z dworem drezdeńskim niebo i ziemię, aby skłonić Rzeczpospolitą Polską do wstąpienia w przymierze, do jakiego się zabiera między Wiedniem a Dreznem, a w którém-by się wszyscy zobowiązywali J. K. Mość (Fryderyka) ze wszech stron zaczepić, skoroby tylko królowa węgierska miała swobodę działania; ten przypadek zaś nastąpi, skoro wiedeński dwór zawrze pokój z Francyą.“

Tak to zaczęła na ówczesną widownią wypadków występować i Polska, któréj na dwa lata przedtém Stanisław Poniatowski, wojewoda mazowiecki, wypracowywał memoryały w przedmiocie politycznéj i strategicznéj obrony, którą z jednéj strony burzył w swym interesie Fryderyk, w któréj równocześnie z drugiéj strony, jak nas poucza książę Broglie w swém rozgłośném dziele *Le secret du Roi*, bruździła przez swych agentów Francya ku przeprowadzeniu sukcesyi tronowéj księcia Conti. Sprawa polska, *die polnische Frage*, jak ją sam autor w dziele swém nazywa, narzuca się tu uparcie codziennie uwadze Fryderyka i jego dyplomacyi jako najważniejszy, dzięki swemu geograficznemu położeniu oraz pomysłom dworu, Brühla i Czartoryskich, wynik prawdopodobnéj akcyi rosyjskiéj. Jak widzimy z opowiadania autora, spogląga Fryderyk z zakłopotaniem i obawą na postawę dworu petersburskiego, na gromadzącego się

w Inflantach i pod Smoleńskiem żołnierza rosyjskiego, którego w. hetman litewski jakby za rękę ma przeprowadzić przez kraje Rzeczypospolitéj na Prusy. Ku odwróceniu niebezpieczeństwa odbierają instrukcye posłowie pruscy, Mardefeld w Petersburgu, Klinggräffen w Dreznie starać się przemówić do Bestużewa i Brühla znanym argumentem króla Filipa macedońskiego. Ofiary podobne, jakkolwiek wręcz nie odrzucone przez kuszonych dygnitarzy, nie odnoszą przecież zamierzonego skutku a *sprawa polska* zaczynała z wielu względów przybierać dla Fryderyka równie zagadkowe, jak niebezpieczne pozory. Nasamprzód odkryto w październiku 1746 r. w Berlinie niebezpieczną intrygę, któréj główną sprężyną był przebywający w Berlinie, syn patrycyusza gdańskiego, a więc poddanego Rzeczypospolitéj, niejaki Ferber. Przejmowana jego przez policyą Fryderyka korespondencya dostarczyła dowodu, że Ferber utrzymywał związki z posłem rosyjskim w Berlinie Woroncowem, że nadto udzielał ważnych skazówek dotyczących twierdz pruskich i organizacyi wojskowéj pruskiéj dworowi petersburskiemu. Odkryto tę intrygę, stawiono Ferbera przed sąd wojenny, następnie ścięto go w Szpandawie. Fakt ten ubocznéj doniosłości zwracał uwagę Fryderyka na Polskę, jako na warsztat knowającéj się przeciw niemu tajnéj akcyi.

Ważniejsze znaczenie miał fakt następny. Zgodni naówczas jeszcze August III, Brühl, dwór petersburski i Czartoryscy mieli zamiar wciągnąć w zasnuwające się między Austryą a Rosyą przymierze i Polskę; dążąc zaś do podobnego celu nie mogli nie chcieć naturalnie przywieść Rzeczypospolitéj do należytego stanu obrony. Zamierzali tedy w myśl memoryału Stanisława Poniatowskiego z roku 1744 mnożyć siłę zbrojną Polski, wprawić ją w lepszy ład i skład, a nadchodzący sejm w roku 1746 miał być widownią, na któréj się pożądany fakt stanowiącéj „augmentacyą wojska" uchwały miał spełnić. Dziwną fatalnością ówczesnéj Polski pozostanie, że *dwa* znalazły się wpływowe czynniki, by plan ten wraz z sejmem zwichnąć i udaremnić. Czynnikami temi byli Francya przez swych reprezentantów w Polsce Des Issarts'a i Casterę z jednéj, Fryderyk z drugiéj strony. Rozpoczął się sejm pod laską Lubomirskiego, starosty kazimirskiego. Zwichnęli go Bieliński, w. marszałek koronny i wojewoda bełzki, w interesie i za podnietą Prus i Francyi. „Prędzéj— mówi autor—(aniżeli w Sztokholmie, gdzie także poszukiwano aliansu) zdawało się Bestużewowi módz przyjść do celu w Warszawie. Jeżeli się *familii* nie udało wybrać marszałkiem kogoś z pośród swojéj klienteli, nie potrzebowali się gniewać o wybór powołanego na to stanowisko Lubomirskiego, starosty kazimirskiego. Ich i dwo-

ru wpływ w połączeniu ze wpływem hrabiego Esterhasego, hrabiego Bestużewa, angielskich pieniędzy, pokazał się tak skutecznym, jak sobie tego tylko można było życzyć. Z wielką zręcznością rozpowszechniano wieści obliczone na zwiększenie rozdraźnienia, na zwrócenie go ostrzéj i zacięciéj przeciw Prusom, których armia, będąca ciągłem niebezpieczeństwem dla Rzeczypospolitéj, jest najwięcéj przekonywającym argumentem potrzeby zwiększenia wojska koronnego, jako i daléj konieczności postarania się o odpowiednie środki pieniężne, reformy podatkowości i jéj administracyi. Równocześnie tłómaczyło się nagromadzenie wojsk rosyjskich u granic Rzeczypospolitéj jako środek wspaniałomyślnéj troskliwości, który przedstawiał przystąpienie Rzeczypospolitéj do przymierza obu dworów cesarskich jako najlepszą rękojmią jéj przyszłości. Każdy wiedział teraz na pewno, że Fryderyk II jeszcze jako następca tronu, podczas elekcyi Augusta III powiedział, że swego czasu, prędzéj czy późniéj, wystąpi ze swemi pretensyami przeciw Rzeczypospolitéj i swoją część Polski zabierze; że zaś teraz myśli podobnie, niema wątpliwości. Prócz tego mówiono, że odjazd Villiersa z Berlina (angielskiego posła) nastąpił na własne życzenie Fryderyka II-go, aby dwór angielski skłonić do dalszego prowadzenia wojny, któréj sam pieniędzy i ludzi dostarczyć gotów. Tak miał powiedzieć Villiers sardyńskiemu posłowi, powierzając mu przeznaczone na sejm polski pieniądze angielskie, ponieważ sam był zmuszony pospieszyć do Moguncyi, aby się postarać o wystawienie armii Rzeszy. Z każdym dniem mnożyły się nowe wieści o groźnych krokach Prus. Łatwo pojąć, że im wierzą — mówił książę Adam (?) Czartoryski do Klinggräffena (posła pruskiego w Dreznie i Warszawie) — ponieważ oficerowie pruscy w swych garnizonach rozprawiają całkiem otwarcie o nastąpić mającym pochodzie do Polski, a w zaufaniu dodał, że sam myśli, iż króla (Fryderyka) powstrzymuje tylko od tego bliskość armii rosyjskiéj.

„Sprawiło pewne wrażenie, gdy rozpowszechniono oświadczenie Fryderyka II, które dowodziło, iż Prusy były po wszystkie czasy przyjaciołmi Rzeczypospolitéj, rzecznikami jéj wolności i ustawy, że rozpowszechnione przeciw Prusom wieści są wymysłem, aby wzajemny dobry stosunek obu państw zachwiać, że każdy patryota takie wymysły wyrodnych synów Rzeczypospolitéj ze wzgardą odrzuci. Nawet hrabia Brühl oświadczył swe zadowolnienie z tego manifestu, jak wogóle chętnie i często korzystał ze sposobności poufnego porozumienia się z Klinggräffenem. Nie wyznał jeszcze (Brühl) dworowi petersburskiemu, że zawarł z Francyą alians pod dniem 21 kwietnia. Że zaś des Issarts (poseł francuski) jako amba-

sador dostał u dworu wyższe odznaczenie od Esterhazego i Bestużewa, którzy tylko posłami byli, dało to między posłami (sejmu polskiego) powód do wieści, które „*familii*“ bardzo przeszkadzać mogły. Pod dniem 10 października wyszedł manifest Brühla i obu cesarskich (austryackiego i rosyjskiego) ministrów, który poświadczał trwałe i zupełne porozumienie trzech dworów i fakt·ich wierności dla podjętych zobowiązań. Ani ambasador (francuski, des Issarts) nie miał, jak się przyznał Klinggräffenowi znacznych sum do swéj dyspozycyi, ani też nie dowodził Castera, działający tylko jako człowiek prywatny, dostatecznéj znajomości polskich stosunków. Obaj pozostawili inicyatywę Klinggräffenowi. Jak mówili, wypada im dwór saski oszczędzać, któryby mógł łatwo wywołać wojnę Rzeszy przeciw Francyi, a który nawet, gdyby był *już*, lub *miał* być związany przymierzem, byłby przecież zmuszony wystawić swój kontyngens dla Rzeszy. Tém ostrożniejszą postawę zachowywał Klinggräffen; obawy *patryotów* wzrastały; widzieli, że tylko w Prusach (!) mogą znaleść bezpieczny punkt oparcia.

„Około połowy października przybrały zamiary stronnictwa rosyjsko-saskiego zupełnie wyraźną postać. Jakkolwiek żywą była w Wiedniu i Petersburgu nieufność do hr. Brühla, dowodziła przecież deklaracya z 10 października, że się poddał woli obu cesarskich dworów. Gdyby „sejm doszedł,“ czego było wszelkie prawdopodobieństwo, miało być uchwalone przymierze rosyjskie, przystąpienie Rzeczypospolitéj do aliansu petersburskiego; jeżeliby był zerwanym, miała być natychmiast utworzona konfederacya, która w interesie ogólnego dobra miała zadekretować powiększenie wojska koronnego i alians z Rosyą. Aby przez czas konfederacyi miéć zupełną władzę w ręku, chciano marszałkiem trybunału piotrkowskiego, najwyższego sądu, obrać największego zapaleńca swego— Skrzetuskiego, poczém się wszystko znajdzie. Równocześnie starali się Czartoryscy zbliżyć do ambasadora (des Issarts'a), aby zwrócić jego uwagę na dwuznaczności Prus, ponieważ król (pruski) skoro będzie miał Szląsk zagwarantowany, Francyą opuści.

„Potoccy i przyjaciele ich czuli wzrastającą przewagę swych przeciwników; zależało na przeszkodzeniu wyborowi Skrzetuskiego i na zwichnieniu wniosku co do przymierza rosyjskiego. Wojewoda bełski ofiarował się w imieniu swych przyjaciół do jednego i do drugiego, ale przedstawiał, że ich środki pieniężne wyczerpane; prosili ambasadora natarczywie o 4,000 dukatów, aby zyskać więcéj jeszcze głosów. Zaręczali, że dwory wiedeński i petersburski nie chcą niczego innego, jak Rzeczpospolitę z sobą pociągnąć, aby Szląsk znowu odzyskać i zemścić się za wojnę w Saksonii; że hrabia

Brühl dla konfederacyi pozyskany, a że jeżeli inaczéj mówi, czyni to tylko z obawy, aby kraje dziedziczne jego króla nie były wystawione na nową inwazyą. Co się tyczy dalszych kroków, zalecał w. marszałek Bieliński, aby Francya wystąpiła jako poręczycielka pokoju Oliwskiego i oświadczyła, że nie dopuści, by zagwarantowana przez ten pokój swoboda Rzeczypospolitéj miała być nadwerężona przez jakiebądź mocarstwo. Alians między Francyą, Prusami i Polską na podstawie tego traktatu powstrzyma najpewniéj przeciwników. Fryderyk II nie zgadzał się na ten plan, mówił: ze względu na położenie rzeczy winienem zachowywać względy dla Rosyi; względy te zabraniają mi wystąpić otwarcie z projektem takiego potrójnego przymierza.“

Wśród tego, w miesiącu listopadzie roku 1746 przybył kuryer z Paryża do markiza des Issarts'a, polecający mu starać się dla delfina, syna Ludwika XV i Maryi Leszczyńskiéj o rękę księżniczki Maryi Józefy trzeciéj córki Augusta III. Naturalnie przyjęli król polski i Brühl tyle zaszczytną dla księżniczki saskiéj ofiarę, ale w następstwie tego niespodziewanego wypadku zwyciężył téż prąd przeciwny aliansowi Rzeczypospolitéj z Rosyą i Austryą. Czartoryskich plan został zwichniony; połączona na chwilę intryga francusko-pruska odniosła zwycięstwo, sejm „nie doszedł,“ dnia 14 listopada, „ponieważ patryoci przy świécach radzić nie chcieli,“ Rzeczpospolita nie wyszła ze stanu bierności, Fryderyk odniósł na tém drażliwém polu dyplomatyczne zwycięstwo. Otóż, nawiasowo powiedziawszy, maleńki zdobytek dla dziejów naszych z opowiadania Droysenowego, smutny rzut światła za nasze współczesne stosunki, jakich prawdę potwierdzają w upokarzający dla godności narodowéj sposób między innemi choćby tylko *Pamiętniki Matuszewicza.* Rzut ten światła na stan wewnętrznych naszych stosunków, rzut światła, któreby bliższe i obszerniejsze poszukiwania w archiwum berlińskiém zdołały rozprzestrzenić do jasności dnia białego, nie obraca się na niekorzyść choćby nawet niedołężnika, jakim był August III, choćby nawet przekupnego intryganta, jakim był Brühl. Wzmocnienie stanu obronnego Polski, wyrwania jéj z ospałości i kału, wprowadzenie jéj w system jakich bądź aliansów europejskich, było wśród ówczesnych okoliczności prawdziwą dla niéj kotwicą zbawienia. Intryga pruska z nieopatrznością francuską doprowadziła do pożądanego sobie rezultatu udaremnienia wszelkiéj próby obudzenia Polski; Fryderyk mógł być z *téj* strony bezpiecznym.

Odtąd polega jego sztuka na akrobatycznéj istnie a szczęśliwie przeprowadzonéj sztuce utrzymywania równowagi neutralności między wojującemi stronami. Gra, w któréj podziwiać należy jego

zręczność wolną naturalnie od wszelkich skrupułów i wątpliwości. Wojna trwa ciągle jeszcze między Austryą a zachodniemi mocarstwami; Anglia szczęśliwa na morzu, nie zapisuje przez rok 1747 podobnychże powodzeń własnych i swych sprzymierzeńców na lądzie stałym; gwarancya posiadłości szląskiéj nie zapisana jeszcze w traktaty europejskie; Austrya w połączeniu z Piemontczykami zajmuje silną pozycyą we Włoszech i powstrzymuje tutaj przynajmniéj postępy Francuzów, Rosya gromadzi w Inflantach czterdziestotysięczny korpus, by go w danéj chwili, korzystając bądź to z niemocy, bądź z usłużności magnatów Rzeczypospolitéj, choćby bez chybionego z nią przymierza, rzucić na szalę wahających się wypadków wojennych w sercu Europy. Słowem, położenie, które nową, nieopartą na żadném prawie, ani na żadnych dziejowych tradycyach, podejrzaną wszystkim, jaką była monarchia Fryderyka, wystawiało na tysiączne, nieprzewidziane niebezpieczeństwa, upominało do zachowania najwyższéj ostrożności i przezorności. Zbrojąc fortece swego kraju, pracując nad podniesieniem jego dobrobytu w sposób wskazany przez nas wyżéj, zawiązuje Fryderyk równocześnie na wszystkie strony stosunki, mające na celu zabezpieczenie jego ciągle jeszcze niepewnego stanowiska, jakie mu stworzyła w gronie państw europejskich zdobycz Szląska. Wiąże się nasamprzód w przymierze odporne ze Szwecyą, ze starym królem Adolfem Fryderykiem, który w aliansie pruskim szuka zabezpieczenia przeciw bardzo prawdopodobnemu zagrożeniu ze strony Rosyi. Nie przeszkadza to jednakże Fryderykowi wchodzić z tąż samą Rosyą w porozumienia, słuchać przedstawień przybyłego do Berlina posła rosyjskiego Kayserlinga, odbierać odeń z niewiarą przyjmowane zaręczenia, że korpus rosyjski, nawet w razie pojawienia się na widowni niemieckiéj, nie będzie zagrażał posiadłościom pruskim, ukazywać mu nawzajem ze swéj strony widoki wspólnego działania przeciw Francyi. Równocześnie także żywi poseł pruski w Paryżu — Chambrier, ministrów Ludwika XV-go nadziejami współdziałania Fryderykowego, kiedy w tejże saméj niemal chwili z ramienia króla pruskiego, jedzie stary jego i wypróbowany dyplomata Podewils do Wiednia, by na posłuchaniu udzieloném sobie przez Maryą Teresą zaręczać jéj, iż król pruski żywi dla niéj uczucia najszczerszéj przyjaźni. Marya Teresa przyjmuje z najzupełniejszém zadowolnieniem podobne oświadczenia pruskiéj przyjaźni, wylewa nawet łzy w obecności posła pruskiego, iż ją można było posądzać o podstępne przeciw Fryderykowi zamiary, co jednakże — jak zaraz zobaczymy niżéj — nie przeszkadza znów polityce austryackiéj przepatrywać po cichu kątów pruskich i badać stan uzbrojeń pruskich.

Holandya wycieńczona finansowo, osłabiona ubytkiem żołnierza, tracąca z kolei, dzięki postępom marszałka Saskiego Maurycego, Bergen op Zoom, Maestricht, wyciąga ręce do Fryderyka, błaga go o czynną pomoc, a co najmniéj dyplomatyczną interwencyą. Anglia, ponosząca na stałym lądzie same klęski, znajduje się w temże samém położeniu i zwraca się do Berlina z równemi żądaniami. Fryderyk jednakże odpiera podobne nagabywanie, co więcéj podnosi do wysokości dyplomatycznego zatargu spór, jaki powstał między jego a angielskim rządem o chwytanie wieśniaków pomorskich na brzegach morza baltyckiego na majtków floty angielskiéj. Miała wprawdzie Anglia przeciw Prusom na wytłumaczenie swego postępowania gotowy argument, iż postępowanie królów pruskich, tak Fryderyka Wilhelma I, jak samegoż Fryderyka nie było lepsze i inne, że mianowicie Hanower, posiadłość króla angielskiego, był widownią gwałtownéj i podstępnéj na przemian roboty werbowników pruskich. Wobec zakłopotanego położenia, w jakiém się Anglia znajdowała na stałym lądzie Europy i wobec możliwéj potrzeby przymierza pruskiego, wolała Anglia w sporze tym ustąpić i dać Prusom należną satysfakcyą. Fryderyk znów ze swéj strony, w interesie zachowania równowagi między wojującemi mocarstwami, pospieszył wywzajemnić się Anglii podobną, tanią w gruncie rzeczy usługą.

Zwyciężony po początkowych powodzeniach w Szkocyi pretendent Karol Edward Sztuart, opuszczony przez Francyą, nie znajdujący nigdzie punktu oparcia, przybył w ciągu roku 1747 do Berlina, pod przybraném nazwiskiem, by poszukać Fryderykowéj opieki. Szanując przecież podejrzliwości angielskie i schodząc skwapliwie z drogi wszelkim możliwym zawikłaniom z Anglią, — uznał przecież Fryderyk za rzecz konieczną z pewną dostrzegalną na zewnątrz szorstkością odmówić Sztuartowskiemu pretendentowi żądanéj przezeń audiencyi i kazać mu nawet wyjechać z Berlina. Anglia doznała tedy zupełnéj satysfakcyi, Fryderyk dopełnił, przez usunięcie pretendenta, w akrobatyce równowagi politycznéj ewolucyi, zabezpieczającéj stanowisko neutralności. Że zaś gra taka była w jego położeniu koniecznością, że trzeba było mieć oczy otwarte na wszystkie strony, że sprzymierzona z Anglią Austrya, że zabierająca się z niemi prędzéj czy późniéj do przymierza Rosya, zachowywały względem niego groźną i niepewną na przemian postawę,— wskazywały najrozmaitsze okoliczności. Rosya ze swym korpusem czterdziestotysięcznym w Inflantach i pod Smoleńskiem, z korpusem stanowiącym gotową rezerwę Anglii i Austryi na teatrze wojny z Francyą, wisiała istnie jak miecz Damoklesowy nad głową

Fryderyka. Mimo grzeczności Mardefelda, pruskiego posła w Petersburgu i mimo niezupełnie bezskutecznych prób jego pozyskania kanclerza Bestużewa; mimo podobnychże uprzejmości Kayserlingka posła rosyjskiego w Berlinie, nie był stosunek Rosyi do Prus szczególnie pogodnym.

Przypomną sobie czytelnicy z powyższego naszego opowiadania, jak gabinet petersburski używał w Berlinie do wybadywania dyplomatycznych i wojennych dyskrecyj rządu pruskiego, jako agenta Gdańszczanina Ferbera i jak tenże usługi swe, oddawane Rosyi, w Szpandawie głową przypłacił. Podobną nieco rolę odegrał równocześnie niemal w Rosyi z ramienia Prus emigrant angielski w służbie rosyjskiéj, generał Keith. Niezadowolony ze służby rosyjskiéj, uważając się za pokrzywdzonego, opuścił Rosyę i przeszedł w służbę Fryderyka, nie bez zbogacenia naturalnie stanu jego wiadomości szczegółami stosunków rosyjskich. Austrya, owa Austrya zaręczająca Fryderykowemu posłowi Podewilsowi przez usta swéj władczyni ze łzami w oczach o niezachwianym zamiarze dochowania neutralności, podjęła również ciekawą intrygę, która się wykryła i na głowę naczelnego jéj bohatera mściwy odwet sprowadziła. Mówimy tutaj o słynnéj swego czasu, zapomnianéj już obecnie pod wrażeniem późniejszych a ważniejszych wypadków, sprawie generała inżynieryi pruskiéj Walrawe. Generał Warlawe był, jako najzdolniejszy swojéj specyalności oficer, używany przez Fryderyka do budowy fortec pruskich, mianowicie Magdeburga. Nadto zamianował go król naczelnikiem całego budownictwa fortecznego i powierzył jego zarządowi bardzo znaczne sumy pieniężne. Jaki przebieg rzeczy miały, kto tu dał inicyatywę, czy Walrawe sam, czy Austryacy, pozostaje rzeczą niewiadomą. Za to nie ulega wątpliwości, że poseł austryacki na dworze berlińskim, hr. Bernes, że sekretarz poselstwa austryackiego w Berlinie, hr. Neipperg, weszli w stosunki z Walrawem, który nie był czy dość szczęśliwym, czy dość zręcznym, aby ich ślad ukryć przed argusowém okiem tajnego nadzoru, jaki Fryderyk rozciągał nad wszystkiemi szczegółami machiny organizmu państwowego. Nasamprzód powychodziły, podczas wycieczki Walrawe'a z Berlina do Szczecina, na jaw różne przeniewierstwa natury pieniężnéj.

Odkrycie to spowodowało uwięzienie generała i wytoczenie mu śledztwa, które idąc po nici do kłębka, weszło na ślad o wiele groźniejszéj i niebezpieczniejszéj od prostego przeniewierstwa, intrygi politycznéj. Wykazało się, że Walrawe zagłębił się w niebezpieczne knowania z ambasadą austryacką, że jéj komunikował ważne tajemnice wojskowéj organizacyi pruskiéj, że oświadczył gotowość służenia czynnie Austryi, skoroby się jéj odwetowa wojna przeciw Fry-

derykowi rozpoczęła. Rzecz stała się głośną, wyszła na przedmiot dyplomatycznéj korespondencyi, zaniepokoiła do najwyższego stopnia Maryą Teresę, wzbudziła obawę, czy może Fryderyk pod wrażeniem podobnéj intrygi, nie da ucha podszeptom francuzkim i nie zerwie stanu neutralności ze szkodą Austryi. „Tylko wiedeńska strona tych wypadków," mówi Droysen, „zasługuje na wzmiankę. Młodszy Weingarten (dwóch Weingartenów wchodziło w skład ambasady austryackiéj w Berlinie) pisze w liście bez daty, że brat jego po powrocie z Wiednia jemu i hrabiemu Bernes'owi oświadczył w najgłębszéj tajemnicy, co następuje. Na pierwszém posłuchaniu pytała go oparta ręką o stół cesarzowa co do generała Walrawe'a, na czem właściwie jego projekt i żądania zależały? Odpowiedział, że Walrawe zobowiązał się za znaczną sumę pieniędzy, pułk piechoty i stopień feldmarszałka—lejtnanta, nie tylko wydać zaraz plany pruskich fortec, ale także, skoro tylko pokój będzie zerwany, a Austryacy znaczny korpus w pobliżu Nissy zgromadzą, twierdzę tę w ręce ich wydać. Pytała następnie cesarzowa, czy Walrawe przez hr. Bernesa lub niego (Weingartena) był namówiony, czy się też sam dobrowolnie ofiarował. Po zapewnieniu, że się sam ofiarował, okazała cesarzowa zadowolnienie, że się obaj nie wdali, w tak niebezpieczną czynność, któraby tylko była mogła dostarczyć powodu do nowéj niepotrzebnéj, zgubnéj dla niéj wojny, dodając zarazem, że z podanéj co dopiero przyczyny nigdyby się na podobny projekt nie była zgodziła. Nareszcie zapytywała cesarzowa, czy król jeszcze się nie wyrzeka francuzkiéj spółki, a gdy Weingarten odpowiedział, że *nie*, i jeszcze dodał, że stronniczość króla pruskiego kłuje wszystkich w oczy i że tak długo, póki żyje, nie ma nadziei, aby się rzecz zmieniła, płakała z taką gwałtownością, nie mówiąc słowa, iż jedna łza płynęła za drugą i że nakoniec jeszcze rzekła: służ nam wiernie, jak dotychczas a o resztę Bóg się postara. „Marya Teresa," mówi tedy Droysen daléj—obawiała się wojny z Prusami i upatrywała w zasnutéj z Walrawem intrydze, jeżeli była dziełem jéj poselstwa, wypadek, który takową mógł spowodować. Jak Walrawe w śledztwie zeznał, hrabia Bernes sam powiedział, do niego z pewną strachliwą gestykulacyą: Daj Boże, aby mi się powiodło i abyśmy króla (pruskiego) zachowali jako przyjaciela, gdyż inaczéj jesteśmy zgubieni. Nie mamy na pogotowiu wojska, aby mu stawić opór, a bitwy przeciw niemu nie wygramy. Nim ludzie nasi z Włoch i Niderlandów przyjdą, jesteśmy powaleni o ziemię. Nie mogę na króla (pruskiego) patrzéć bez podziwienia; jest nieodgadniony i robi z nami, co mu się podoba"...

Sprawa Walrawe'a skończyła się skazaniem na dożywotnie więzienie głównego winowajcy i spowodowała usunięcie z zajmowanego w Berlinie stanowiska hrabiego Bernesa. Najważniejszą przecież jéj stroną pozostanie fakt nie dający się zaprzeczyć, iż zdobycz Szląska, mimo dwóch wojen i dwóch traktatów pokoju wymuszonych na kłopotliwém położeniu dworu wiedeńskiego, nie była wcale pewną i że złupieni czekali tylko sposobności, aby łupiezcę pozbawić nieprawego nabytku. Głównym przedmiotem obawy wśród tak ostrzegających znaków była ciągle postawa kanclerza Bestużewa i Rosyi. Z roku 1747 na 1748, wobec postępów Francyi przeciw Holendrom, wobec wołań o pomoc Austryi, wobec nagabywań Anglii, widzimy znów rosyjskiego kanclerza gotowszego, niż kiedy bądź indziéj, do wystąpienia *czynnego* nareszcie na widowni wypadków, do zamiany roli groźnego i zagadkowego stróża wszelkich ruchów i kroków pruskich, dzięki poważnéj sile zgromadzonéj w Kurlandyi i Inflantach, na zaszczytniejszą rolę wojennéj akcyi nad Renem i we Flandryi. O ile wobec podobnych usposobień gabinetu petersburskiego, obracających się naturalnie na korzyść koalicyi przeciw Francyi a więc na korzyść Austryi, stanowisko Prus stawało się drażliwém i niebezpieczném, o ile wymagało więcéj ostrożności, umiejętności utrzymania równowagi, przedewszystkiém zaś utrzymania się w dotychczasowym stanie obrony, nie potrzeba dowodzić. W ówczesném położeniu, w chwilach owego przesilenia się roku 1747 na 48, zarysowują się już embryonicznie kombinacye koalicyjne, jakie miały znaleść wyraz w przebiegu wojny siedmioletniéj. Fryderyk rozumie podobną sytuacyą i czeka wśród otaczających go niebezpieczeństw i niepewności z bronią w ręku, oglądając się przezornie na wszystkie strony.

Przypatrzmy się teraz pokrótce dalszemu rozwojowi wypadków, jak powoli zdążają do przystani pokoju, który w gruncie rzeczy jest tylko dłuższém nieco zawieszeniem broni, a dla Prus ma jedynie to znaczenie, iż im gwarantuje posiadanie Szląska drogą europejskiego kongresu.

Charakterystycznem znamieniem politycznéj sytuacyi w owéj chwili jest coraz widoczniejsze, jak dopiéro co powiedziano, zagłębianie się Bestużewa w interes Anglii. Przedewszystkiém objawia się to na zewnątrz przez zimne, jeśli nie wręcz złe traktowanie posła francuzkiego na dworze petersburskim, daléj w podjętych na nowo z Brühlem i Czartoryskimi rokowaniach około przeprawienia, na ten raz już nieodwołalnie i stanowczo, korpusu 37-tysięcznego z Inflant i Kurlandyi w kraje Rzeszy Niemieckiéj. Zwrot ten począł być równie dla Francyi, jak dla Prus niebezpiecznym i poseł francuzki w Pe-

tersburgu d'Aillion, nie omieszkał zawiadomić o nim swego dworu, który znów uważał za rzecz potrzeby i obowiązku czuwać własném okiem nad tém, co się na północy europejskiéj przeciw niemu knowało. Krok, jaki gabinet wersalski w tym celu podjął, pozwalamy sobie, jako rzecz obchodzącą bezpośrednio Polskę, własnemi słowy autora rozbieranego przy nas dzieła opowiedziéć. „Uważano w Paryżu za rzecz potrzebną, wyprawić oficera do Polski w celu obserwowania pochodu Rosyan. Przeznaczono na ten cel pułkownika hrabiego de la Salle z odpowiedniemi listami uwierzytelniającemi do Gdańska. Przybył dnia 17 lutego (1748) z Berlina do Drezna, aby się tamże postarać o rekomendacye. Udał się przez Warszawę do Gdańska, gdzie nasamprzód wystąpił pod nazwiskiem pułkownika Lewardi. Potrawą z Brühlowéj kuchni nazwał Fryderyk II, gdy rosyjski rezydent w Gdańsku, który jeszcze z Petersburga rozkazów odebrać w tym względzie nie mógł, dnia następnego po przybyciu pułkownika wezwał gdańskie władze, aby pana Lewardiego jako dezertera rosyjskiego, pułkownika de la Salle przytrzymały. Prawda, że bez wzięcia regularnego dymisyi w Rosyi, przed czterema laty podczas urlopowéj podróży do Paryża tamże znów w służbę wstąpił; prawda daléj, że jeszcze nie doręczył miastu Gdańskowi swojéj kredytywy i występował pod przybraném nazwiskiem. Afront wyrządzony koronie francuzkiéj był dokuczliwym nad wszelki wyraz. Albo miasto Gdańsk zajmowało tak niezależne stanowisko, że mogło prowadzić samodzielną politykę na rzecz Rosyi, wśród dotkliwych obelg dla Francyi, w takim razie nie zasłaniała go téż neutralność Polski, a Francya byłaby w licznych okrętach gdańskich, które do jéj portów zawijały, znalazła przedmiot dać uczuć szanownemu miastu, iż popełniło głupstwo. Albo téż dał mu po cichu dwór drezdeński do zrozumienia, że się ma okazać powolnym cesarzowéj; a wtedy miał des Issarts obowiązek udać się natychmiast na zamek do króla i żądać należnéj satysfakcyi. Rozmówił się wprawdzie z hrabią Brühlem, który wyraził swe serdeczne ubolewanie nad tém nieprzyjemném zajściem a równocześnie poczytał sobie za zasługę, iż zapobiegł bezzwłocznemu odprowadzeniu więźnia do Rosyi i że mu nadal zapobiegać będzie. Równocześnie ogłoszono cyrkularz drezdeńskiego dworu do różnych jego poselstw co do zachowania się względem pułkownika de la Salle w *Gazecie Kolońskiéj*, cyrkularz, w którym zarazem poddawano ostréj krytyce postępowanie francuzkiego rezydenta Castera w Warszawie. W Paryżu jednakże nie kłopotano się do zbytku o te rzeczy i uspokojono się po objawach udanéj troskliwości Brühla dla de la Salle'a. Popełniono nawet słabość napisania do des Issarts'a, że należy sobie uczynić wyrzut, iż do podo-

bnéj misyi wybrano hrabiego de la Salle, który rzeczywiście jest dezerterem; wyrażenia nadto żalu, iż pismo odwołujące go, które wyprawiono natychmiast, skoro się tylko spostrzeżono na błędzie, doszło za późno, już po doznaniu przykrości w Gdańsku."

Epizod ten nie pozostał bez wpływu na bieg rzeczy europejskich. Francya była wprawdzie zwycięzką na lądzie stałym, przeciw Holandyi mianowicie; w roku 1747 zajęła Bergen op Zoom, w roku szczęśliwie rozpoczętym zdobyła Maestricht, ale, cokolwiebądź nie mogła nie wpłynąć na jéj postanowienia oczywistość pomocy rosyjskiéj, jaka przybywała koalicyi. Odpowiednio naturalnie do powolności i niedołężności ówczesnych środków komunikacyjnych, toczyła się leniwo i długo, ale zdążając przecież ku niemieckiéj widowni wojny, wskróś krajów Rzeczypospoliéj, owa rosyjska pomoc, wzbudzając przedewszystkiém nadzieje Austryi, obawy Prus, skłaniając Francyą do pewnych praktycznych namysłów, nie mniéj w tym samym kierunku i Anglią. Uprzedzając nieco chronologiczny porządek naszego opowiadania, zapiszmy, że korpus rosyjski dźwignąwszy się z wiosną 1748 ze swych leż kurlandzko-inflanckich, postępował wolnym pochodem przez kraje Rzeczypospolitéj w miesiącach kwietniu i maju, że w połowie czerwca znalazł się w Pradze czeskiéj, w następnym miesiącu we Frankonii. Żółwi ten, ale nie dający się przecież zaprzeczyć i przeoczyć pochód rosyjskiéj interwencyi nie omieszkał, jak powiedziano, wywrzeć właściwego wpływu. Anglia, widząc swą przednią straż lądową w Holandyi złamaną a nie mając środków zastąpienia jéj czémś innέm, zatęskniła do pokoju, objawiła niedwuznacznie ową tęsknotę w oświadczeniach przewodniczącego w gabinecie Saint-James lorda Bentincka, wysłanego na ląd stały lorda Sandwich, w komunikacyach wyprawionego na dwór berliński posła swego Leggego. Francya była również znużona choć zwycięzką i zaszczytną dla swego oręża wojną; nadto straszyła ją perspektywa sprowadzenia sobie na kark nowego nieprzyjaciela w Rosyi. Jedyny interes w przedłużeniu wojny miała Marya Teresa, co niechaj będzie równoczesną miarą, jak bardzo interesowanémi w zawarciu co najprędszego pokoju były Prusy. Wobec pokojowych usposobień Anglii, Francyi i Holandyi, wystąpił tedy teraz dopiero Fryderyk jako gorliwy rzecznik ogólnego pokoju, naturalnie z nieodłącznym postulatem zagwarantowania sobie nabytku szląskiego. Marya Teresa, jak nie po raz pierwszy od wstąpienia swego na tron ojcowski, miała i teraz paść ofiarą interesu, potrzeb, ale i bezwzględnéj a niekoniecznie zaszczytnéj dla nich obojętności swych sprzymierzeńców. Lord Sandwich jako reprezentant Anglii, kawaler Saint-Severin jako reprezentant Francyi, hr. Kaunitz

jako reprezentant Austryi stawili się w miesiącu kwietniu (1748) w Akwizgranie ku rozpoczęciu pokojowych negocyacyj. Odbyła się w ciągu tych negocyacyj komedya zdolna i dziś jeszcze dostarczyć materyi historycznym dramaturgom francuzkim. Kaunitz sterował powoli do zawarcia partykularnego pokoju z Francyą. W razie powodzenia tego planu, przedstawiała się tém pewniejsza perspektywa skutecznego odwetu przeciw Fryderykowi, że pomoc rosyjska nadciągała. Na nieszczęście jednakże Austryi, obróciła się ta polityka przeciw niéj saméj. Reprezentanci Anglii, Holandyi i Francyi, pomijając interes Austryi, podpisali poza plecami Kaunitza, ku niezrównanéj uciesze Fryderyka, pod koniec kwietnia 1748 preliminarye partykularnego traktatu pokoju między mocarstwami morskiemi a Francyą, Austrya znalazła się odosobnioną na widowni wojny przeciw Francyi; bez udziału Holandyi i Anglii nie starczyła choćby nawet ówczesna pomoc rosyjska, aby ciężar podobnéj wojny nadal utrzymać. Łatwo pojąć wrażenie, jakie wiadomość podobna wywołała w Wiedniu. „W trzy dni późniéj, dnia 26 kwietnia, odebrał Robinson w Wiedniu przez kuryera wiadomości i polecenia, które wywołały najwyższe rozdrażnienie. Była to przesłana lordowi Sandwich instrukcya z dnia 12 kwietnia i zawezwanie Maryi Teresy, aby przystąpiła do zamierzonych przez Anglią wniosków, reprezentować je wspólnie jako przedwstępne artykuły pokoju z mocarstwami morskiemi. Na posłuchaniu, które cesarzowa jeszcze tego samego dnia posłowi angielskiemu udzieliła, wybuchnęła w najgniewniejszych wyrazach przeciw postępowaniu Anglii, która ją dawniéj już spowodowała do ustąpienia Szląska, do wielkich ofiar na rzecz Sardynii, a która teraz nowych poświęceń się domaga. Otóż macie Waszego króla sardyńskiego, który wszystko osiągnąć pragnie! Otóż macie waszego króla pruskiego! Dobry Boże, jak się rząd wasz ze mną obchodzi! Czemuż bywam zawsze usuwaną od rokowań, które się własnych spraw moich dotyczą? Nieprzyjaciele moi przyznają mi lepsze warunki od mych przyjaciół.—W ten sam dzień lub w następny po owéj audiencyi spowodował St. Severin wahającego się ciągle jeszcze lorda Sandwich oświadczeniem, że Kaunitz wszystko już ma na pogotowiu i każdéj chwili traktaty podpisać może, do zakończenia sprawy. Jakkolwiek (to było nieprawdą) Kaunitz przeciw owym artykułom premilinaryjnym zakładał protest, były one już przecież dokonanym czynem. Pisze Kaunitz pod dniem 3 maja: Chociaż mnie fałszywe i nieprzyzwoite postępowanie hrabiego Saint-Severin w głębi duszy boli, przezwyciężyłem przecież moją drażliwość i chciałem się do niego udać. I w Wiedniu nastało dość prędko upamiętanie, aby spróbować, co jeszcze ocalić można i jak się na wierzch wydobyć.“

Głównym zyskiem dla Prus, wypływającym z owych preliminariów, głównym powodem daléj, który powściągliwego dotąd, utrzymującego zręcznie na wszystkie strony równowagę Fryderyka spowodował do wystąpienia w roli zabiegłego pośrednika pokoju, była zapisana w artykuły ich gwarancya Prusom Szląska. Wobec podobnie spełnionego faktu nie pozostawało naturalnie Austryi nic lepszego i nic innego do roboty, jak zgodzić się na nieuniknioną fatalność. Kaunitz podpisał pod dniem 25 maja 1748 prelimarye ułożone za jego plecami, choć, dodajmy zaraz z góry, że akt preliminaryów od faktu zupełnego zawarcia pokoju dzieli jeszcze pewna przestrzeń tak czasu, jak żmudnych i zawiłych negocyacyj, a że jeżeli sytuacya ogólna nie groziła może odnowieniem akcyi wojennéj, to nie była bez trudności a niewątpliwie zawierała sobie, istnie jak puszka Pandory, zaród nowych, nieprzewidzianego końca zawikłań. Późniejsze negocyacye stały się źródłem oziębienia stosunków między Austryą a Anglią, spowodowały przeciwnie pewne zbliżenie się między Austryą a Francyą. Równocześnie stają się też same rokowania powodem pewnego niesmaku we wzajemnych stosunkach dwóch dotychczasowych sprzymierzeńców, Prus i Francyi. Francya, jakoby instynktowo przeczuwając, co przyszłość przyniesie, nie stawała w roli *tak* gorliwéj orędowniczki pruskich pretensyi, jakby tego sobie Fryderyk był życzył. Taż sama też chwila zapisuje dziwaczny, nieznany dotąd fakt skłonności Fryderyka II przejścia na katolicką wiarę i komunikacyi z papieżem w celu bądź to zyskania sobie silnego stanowiska pomiędzy katolikami Rzeszy Niemieckiéj, bądź to stworzenia sobie możności starania się o sukcesyą tronu polskiego po zgonie Augusta III. Tymczasem zaś, nie zapominajmy, pokój nie był jeszcze ostatecznie i stanowczo zawarty a posiłki rosyjskie posuwały się raz nabytym prądem, powoli, ale niepowstrzymanie ku Pradze czeskiéj, ku Frankonii, gdzie, jak nam z powyższego opowiadania wiadomo, znalazły się w miesiącu lipcu. Gabinet wiedeński i petersburski razem, opierając się na fakcie podobnéj obecności gotowego i nienaruszonego żołnierza na widowni niemieckiéj, chwyciły się, mianowicie pierwszy, téj okoliczności jako ostatniéj deski ocalenia. Prusy nie spoglądały na ową obecność podobnéj rezerwy austryackiéj w Niemczech bez uczucia obawy. Austrya podniosła w skutek tego na kongresie akwizgrańskim głos i głowę, starała się Rosyą wprowadzić w grono państw obradujących nad losami Europy na tymże kongresie. Domagał się tegoż sam gabinet petersburski, żądając miejsca w kongresowéj radzie dla reprezentanta swego Gołowkina. Postawa podobna Austryi i żądania gabinetu petersburskiego nie zdołały już przecież zmienić pokojowego biegu rzeczy, wpłynęły tyl-

ko na jego przyspieszenie. Anglia, Holandya i Francya zgodziły się na postanowienie nie dopuszczania Gołowkina do udziału w kongresie; późniejsza uchwała, z dnia 2 sierpnia 1748, do któréj Austrya znalazła się w smutnéj konieczności przystąpić, usuwała, ku wielkiemu zadowoleniu gabinetu pruskiego mianowicie, wojska rosyjskie z obszaru Rzeszy Niemieckiéj. Odtąd, aż do dnia 7 listopada 1748, w którym ostatecznie traktat akwizgrański i ogólna pacyfikacya Europy zostały podpisane, nie napotkały już rokowania reprezentantów państw zgromadzonych na kongresie jakichbądź poważniejszych trudności. Najważniejszą dla naszego właśnie przedmiotu stypulacyą kongresu było, iż postanowiono zapisać gwarancyą Szląska dla Prus w publiczne prawo europejskie pod warunkiem wszakże, że król pruski uzna ze swéj strony jako obowiązującą *siebie* gwarancyą *sankcyi pragmatycznéj*, czyli prawo Maryi Teresy do posiadania dziedzicznych krajów Austryi, jako i godności niemieckiéj cesarskiéj jéj małżonka. Prusy nie mając powodu opierać się dopełnieniu żądanego warunku, pospieszyły z uznaniem praw Maryi Teresy a tak znalazła się nareszcie, tymczasowo przynajmniéj i formalnie zabezpieczona Fryderykowi zdobycz Szląska...

Na tém kończy opowiadanie w obecnym tomie swego olbrzymiego dzieła *O polityce pruskiéj* profesor Droysen, zapowiadając następnym objąć ośmiolecie między traktatem akwizgrańskim a wybuchem wojny siedmioletniéj. Pozwólmy sobie kilku słów ogólnéj rekapitulacyi i sensu moralnego, jaki się z treści opowiadanéj przezeń epoki przedstawia. Rywalizacya morska i lądowa między Anglią i Francyą, rywalizacya, w któréj Niderlandy występują jako przymuszony wrogą postawą Francyi sprzymierzeniec Anglii; rywalizacya daléj Francyi z domem habsburskim w panowaniu nad Włochami i Niemcami—przedstawiają się tu jako rzeczy stare, jako tradycyjne zabytki przeszłości, mające jeszcze anachronicznie, wobec zmienionych doszczętnie stosunków i interesów politycznych, figurować w kronice naszego bieżącego stulecia. Byłaż koniecznością owa rywalizacya między Anglią a Francyą przeciągająca się jeszcze w dni dzisiajsze niemal; byłaż koniecznością, więcéj jeszcze, rywalizacya między Francyą a Austryą, znajdująca ostatni swój objaw na polach bitew pod Magentą i pod Solferino? Najlepszą odpowiedzią na to zapytanie oczywistość faktyczna, że podobny antagonizm wyszedł jednéj i drugiéj na szkodę, obrócił się na korzyść trzeciego. Prawda ta, przyprowadzona do niezaprzeczalnéj oczywistości za dni naszych, jest nie mniejszą, choć nie tyle wyraźną prawdą w wieku przeszłym. Francya i Austrya wiodą z sobą swój anachroniczny zatarg, Fryderyk tymczasem śmieje się z nich w duszy, wznosi na ich antagoniz-

mie budowę swojéj potęgi, utrwala ją za pomocą sztucznego utrzymywania równowagi wśród trudnego położenia.

W sztuce *téj* właśnie, nie w przypisywanéj mu aposteryorystycznie przez dzisiejszą historyografią pruską dziejowéj i opatrznościowéj misyi pracowania dla jakiéjś idei niemieckiéj, o któréj mu się nie śniło, leży jego prawdziwa wielkość. Wielkość ta niestety,—a w tém, pozwólmy sobie, znajdujemy główny i najwymowniejszy sens moralny obecnego tomu Droysenowego dzieła, — jest równoczesną miarą *małości* współczesnego otoczenia, mianowicie Francyi, następnie o wiele więcéj jeszcze Polski. Co się tyczy Francyi *ówczesnéj*, jakże ją dziwnie podobną znajdujemy do współczesnéj z epoki Napoleona III-go i jak nam się dziwić przychodzi, iż Napoleon III, Eugenia, Olliviery i Gramonty nie umieli korzystać z doświadczeń Ludwika XV-go, Pompadury, Argensonów i Soubise'ów! Uderza nas nieco, że paralela podobna z wszystkiemi swemi następstwami nie nasunęła się pod pióro tyle utalentowanego skądinąd i znającego na wskróś tę epokę pisarza, jakim jest książę de Broglie. Obszerna jego, zamieszczona w *Revue des deux mondes*, opierająca się głównie na publikacyach pp. Kosera i Posnera z archiwum berlińskiego, praca nie znajduje, obok tyle przezroczystego i jasnego przedstawienia *faktycznéj* strony, słowa nagany i uwagi dla ówczesnéj polityki francuskiéj, która, dzięki swemu krótkowidztwu i lekkomyślności wprowadziła Fryderyka w posiadanie Szląska, zrobiła Prusy pierwszorzędną potęgą, przygotowała z dziwną fatalnością w ciągu XVIII wieku wszystko, co jéj się w drugiéj połowie XIX w. tak skutecznie odwdzięczyć miało. Niemiec autoramentu dzisiejszego pruskiego może tylko z dzieła Droysenowego, kończącego się przypieczętowaniem tryumfu Fryderykowego przez traktat pokoju akwizgrański, wyczytać chyba tylko obowiązek wdzięczności dla Francyi, jeżeli usługa wyświadczona bezwiednie i bezintencyjnie przez bezmyśl ma wogóle do wdzięczności prawo.

Smutniéj, o ile możności jeszcze, przedstawia nam się współczesna *Polska*, prawda niestety, że Polska epoki drugiego Sasa, że Polska epoki Brühla, że Polska, któréj, pominąwszy wszystko inne, ohydny i przerażający obraz stanął nam ostatniemi czasy w *Pamiętnikach Matuszewicza*. Cokolwiekbądź, stanowi dzieło Droysena dla epoki *polskiéj*, z którą ma styczność, drogocenny rzut światła a nabytek, jaki z przeczytania jego dla własnych wynosimy dziejów, nie jest obojętnego znaczenia. Przyzwyczailiśmy się widzieć w Auguście III *tylko* niedołężnika, w Brühlu *tylko* próżniaka zakochanego we własnéj osobie, łupieżcę i tyrana Saksonii, wyzyskiwacza i demoralizatora Polski. Wszystko to pozostanie niewątpliwie prawdą,

sąd historyczny o królu i jego ministrze wszechładnym nie wiele się zmieni. Brühl jest niedołężnym i przekupnym, August III jest lalką w jego ręku, a mimo to wszystko jednakże, co widzimy? Że ten niedołężny król, że ten przekupny niemiecki minister, że sprzymierzona z nimi naówczas jeszcze *familia*, mają przecież jakąbądź *myśl polityczną polską*, że radziby wprowadzić Rzeczpospolitą w system aliansów europejskich, że chcieliby ją sprzymierzyć z Austryą i Rosyą, że zamierzali w interesie urzeczywistnienia podobnéj myśli zaprowadzić jakiś ład w Polsce, pomnożyć jéj siłę zbrojną. Wobec bezmyśli, *gorzéj*, wobec zepsucia, jakie ówczesny ogół szlachecki polski przedstawia, wobec zgroźliwéj prawdy, że jego postanowieniami nie kierują ani choćby nawet wybujała, ale samorodna przynajmniéj swawola, ani choćby rozpustna, ale nie sfałszowana przynajmniéj miłość swobody, lecz prosta spekulacya, wyzyskiwana ze szkodą kraju przez posłów zagranicznych mocarstw i możnowładzców własnego domu, jakże dodatnio przedstawiają się postacie Augusta III, Brühla, Czartoryskich chcących wznieść jakibądź przecież organizm z przewodnią myślą i o wyraźnym celu! Wyobraźmy sobie, iż plan ich zyskał powodzenie, że wojsko polskie byłoby pomnożone: Rzeczpospolita związana przymierzem z Austryą i Rosyą, Fryderyk jeżeli nie zgnieciony, to poskromiony i upokorzony, a wątpić w takim razie należy, czy to, co się stało w roku 1772, byłoby mogło nastąpić, czy władzca Prus byłby mógł i śmiał dać inicyatywę do spełnienia czynu, jaki owa data upamiętnia.

Tak-to wychodzi opowiadanie Droysena w ostatnim jego tomie, dość niespodzianie a oryginalnie na rehabilitacyą najniedołężniejszego króla, jakiego Polska posiadała, najzepsutszego męża stanu, jakiego jéj zagranica w ciągu jéj niepodległości nasłała.

Zresztą, spoglądając na rzeczy ze stanowiska kreacyi Fryderyka II, nie stanowi kongres akwizgrański, na którym Droysen opowiadanie swe kończy, żadnéj, zaokrąglonéj w sobie epoki. Jest-to w dziejach Fryderykowych tylko przystanek, jeżeli tak wolno powiedzieć, znaczący tymczasowość sytuacyi. Fryderyk rozumie to sam bardzo dobrze, czego najlepszym dowodem rozpoczęcie przezeń wojny siedmioletniéj. Austrya nie myślała mimo wszelkich gwarancyj własnych i europejskich zrzekać się posiadania Szląska i czekała tylko chwili sposobnéj odwetu. Francya wyniosła z wojen szląskich niesmak do aliansu pruskiego i była skłonną wejść w danym razie w przymierze z Austryą, na nieszczęście tylko w sprzeczności ze swą opinią publiczną, która przez usta prostego żołnierza i ulicznika natrząsała się ze związku „*avec ces maudits Kaiserlicks*,“ entuzyazmowała się dla króla pruskiego i układała na

cześć jego zwycięstw swe *„chansonetki,“* która przez usta Voltaire'a tryumfowała nad własnemi klęskami, nad Rossbachowym pogromem *„des Welches.“* Anglia naturalnie miała się jako rywalizująca z Francyą potęga, znaleść prędzéj czy późniéj aliantką jéj nieprzyjaciół. Rosya dowiodła swą postawą dotychczasową czego chce, do czego dąży i jaką rolę odegrać ma zamiar na przyszłość. Zależało jéj na tém, aby wejść w grono mocarstw mających głos w radzie europejskiéj, dała niedwuznacznie do poznania, po jakiéj stronie stanie, skoro fatalność nieunikniona wojny zawiśnie nad kontynentem europejskim.

Polski wewnętrzny polityczny ustrój, a więcéj niestety jeszcze Polski moralne usposobienie ówczesne, nie wzbudzało niestety nadziei, aby w burzy już zdala dostrzegalnéj nad widnokrągiem europejskim, w wojnie, któréj zaród tkwił wyraźnie w zawikłaniach obecnéj sytuacyi, w rywalizacyi między Anglią a Francyą, w odwetowych intencyach Austryi, w ambicyi Prus i Rosyi, była mogła odegrać ważniejszą i czynniejszą rolę od obecnéj.

Pozostałoby teraz nam jeszcze tylko słowo o wartości Droysenowego dzieła, jako płodu naukowo-literackiego. Tenże sam książę Broglie w tejże saméj pracy, którą wspomnieliśmy wyżéj, oddaje profesorowi Droysenowi cześć jako „pisarzowi sumiennemu.“ Nie będziemy się, choćby i *to* niekiedy można, spierali z historykiem francuskim o trafność i słuszność *tego* rodzaju właśnie pochwały. Co natomiast powiemy, że p. Droysen jest niesłychanie jednostronnym, że zasada *audiatur et altera pars* wcale dlań nie istnieje, że jedyném jego źródłem, bez zaglądania do innych, jest archiwum berlińskie, że Fryderyk II nie jest w jego opowiadaniu tém, czém był rzeczywiście, szczęśliwym i zręcznym graczem w interesie wielkości własnego domu, ale człowiekiem „predestynacyjnym“ idei niemieckiéj. Dodajmy do tego jeszcze, że Fryderyk jest w opowiadaniu historyka polityki pruskiéj bohaterem humanitarnym, czego prawda historyczna, dzisiejszych mianowicie czasów, stanowczo mu odmawia, przyznając jego administracyi charakter niezawsze szczęśliwéj i zręcznéj fiskalności, a przyjdziemy do przekonania, że p. Droysen pokazuje nam Fryderyka w świetle panegirycznego entuzyazmu, którego za rzeczywistość dziejową brać nie można.

Co się tyczy *sposobu* opowiadania i stylu historycznego autora, pozostanie jego książka istną monstrualnością. Nie ma może w żadnéj literaturze pisarza, którzy rzecz samo przez się pełną zawikłań i trudności umiał jeszcze więcéj gmatwać ciężkim stylem, ciemném umyślnie może i mętném przedstawieniem rzeczy.

Kazimierz Jarochowski.

ZYGMUNT KRASIŃSKI

pomiędzy r. 1829 a 1848.

(Listy Zygmunta Krasińskiego. Tom I. Do Konstantego Gaszyńskiego z przedmową J. I. Kraszewskiego, z portretem autora. Lwów 1882 str. VIII, 343).

Charakter listu zależy nie tylko od tego, kto go pisze, ale także i od tego, kto go ma czytać. Inaczéj pisują do siebie ludzie ledwie znajomi, inaczéj poufali, inaczéj kochankowie, inaczéj przyjaciele. A i pomiędzy tymi ostatnimi są jeszcze rozmaite stopnie i odcienie; są przyjaciele, którym się całą, inni, którym tylko pół duszy się otwiera, i jeszcze inni, którym się donosi o zewnętrznéj jedynie stronie swego istnienia, przemilczając o tajnikach serca.

Przyjaźń pomiędzy Krasińskim a Gaszyńskim, na ławach szkolnych zawiązana, wzmocniona potém czynném wystąpieniem Gaszyńskiego w obronie młodziutkiego Zygmunta, opierała się przeważnie na przeciwieństwie usposobień i uzdolnień, a podsycała się trwale oddaleniem, które sprawiało, że przyjaciele rzadko i nakrótko tylko widywali się z sobą. Gdyby stykali się z sobą częściéj, kto wie, czyby wzajemne przywiązanie nie ochłodło, czyby nawet węzeł się nie zerwał.

Krasiński znał bardzo dobrze tę różnicę charakterów i nieraz dosadnie ją określał. Wiedział, że Gaszyński to natura miękka lecz elastyczna, łatwo umiejąca sobie radzić, niezbyt do głębokich smutków skłonna, prędzéj do żartów, mogąca łatwo się pocieszyć, nie mająca pragnień nieokreślonych. „Ty—pisze raz do niego—miewasz błogie dni pełne dziękczynień ku Bogu i ku ludziom, którzy cię kochają; ty nieraz wieczorem przestajesz na zmierzchu, ty pośród czarownéj okolicy przestajesz na jéj pięknościach. Przynajmniéj przez chwilę jesteś cały, dopełniony w sobie samym; nie czujesz, jakoby

część jakaś twoja nie była przy tobie, ale wyprzedziła ciebie i goniła dalej i żądała więcej i rozdzierała swojemi wołaniami resztę twéj spokojnéj duszy! Ty dlatego niezawodnie lepszy, cnotliwszy będziesz odemnie. W tobie namiętność nigdy w rozhuzdanie nie przejdzie. Jéj najwyższym szczeblem będą łzy rozczulenia;—a we mnie zdarzyć się mogą wściekłe uniesienia, rozpacze nieopisane; bo im więcéj żądam, tém częściéj się zawodzę. Ty także ciągle będziesz czynny, a ja zapadnę w lenistwo, w odrętwiałość i lata przeleżę, by powstać raz jeden, by pięście pogryźć własnemi zębami lub pieśni odśpiewać w natchnieniu serca mego—i znów zasnąć potém" (str. 57). Inną razą szczerze się cieszy z téj łatwości i w życiu i w pisaniu, jaką się Gaszyński odznaczał: „A jak widzę, nie tylko żyjesz ciałem, ale i całą duszą, bo tak piszesz po polsku i po francusku, prozą i wierszem. Oby nigdy cię nie opuściła ta łatwość, ten dar boży, który tyle chwil słodko odpędza, maskuje tyle chwil gorzkich, kiedy nie można ni czuć ni pisać w nich. Obyś nie przyszedł do stanu przeklętego, w którym poeta zapytuje samego siebie: jest-że poezya, niema-li jéj na świecie?" (str. 72). Przeciwieństwo charakterów streszcza wybornie Krasiński, mówiąc: „to w naszych naturach rozmaitém jest, że mnie zawsze tragiczność, ciebie komiczność rzeczy uderza" (str. 212).

Krasiński nie chciał powiedzieć, a może nawet w dobroci swego serca nigdy nie pomyślał, że przyjaciel jego to natura powierzchowna i dosyć płytka, niemogąca wyrobić sobie głębokich przekonań, nie ogarniająca szerszych widnokręgów. Demokrata z początku, bez wielkich trudności staje się zwolennikiem poglądów zachowawczych, a nawet wielbicielem owych akademij szlacheckich na dworach magnatów, gdzie-to, jak z żalem wspomina, za żart jakiś szlachetka mógł dostać dziedzictwem wioskę intratną. Obojętny w sprawach wiary, zostaje potém religiantem przynajmniéj zewnętrznie, dla *decorum*. Od Krasińskiego nie waha się przyjmować zapomóg pieniężnych, prawie stałych, chociaż jest zdrów i mógłby na utrzymanie własne zapracować.

Jako pisarz był to talent bardzo średniéj miary. Pięknie utoczone wiersze w poezyi a poprawne okresy w prozie stanowią największą zaletę jego utworów. Kilka wierszy, a mianowicie „Sielanka młodości," zyskało sobie popularność, bo wypowiadały zręcznie uczucia podzielane przez masy. W prozie miewał czasami dobre pomysły (np. „Pan Dezydery Boczko i sługa jego Pafnucy"), ale słabém wykonaniem psuł je tylko. Nie mając sam ani namiętności ani istotnych przekonań, zlekka drwił ze wszystkiego, lecz sił na satyryka społecznego nie posiadał.

Krasiński znał słabe strony swego przyjaciela i starał się wyższą ambicyą w nim obudzić. „Myśl głębiéj! myśl głębiéj!“—oto wyrazy powtarzające się w listach do Gaszyńskiego jak wrotka w pieśni. Doradza mu, co ma czytać, zachęca do głębszego wnikania w dusze ludzi i w ustrój społeczeństw; martwi się, że jego kochany Konstanty przetrawia czas na fatałaszkach. „Nie francuzij mi tak— pisze do niego z uczuciem ojcowskiéj troskliwości, choć był młodszy o lat cztery—ni téż zgrywaj się w wista po klubach. Weź się do jakiéj poważnéj i nielekkomyślnéj pracy. Dbaj o ducha swego, dbaj, prosi cię o to ten, który zawsze cię kochał... Przecież w mieście... mnóstwo umysłowych potęg i dążeń i ruchów, przecież nie sam jeden klub i wist! Wcześniéj czy późniéj zda się zawsze człowiekowi, że duchowi swemu ścieśnić się lub upaść nie dał. Długo czekać, ale będzie nagroda!“ (str. 229, 230).

Przestrzega go, żeby lekkomyślnych miłostek nie zawiązywał, bo „już i tak o gościach polskich nienajlepsze wieści chodzić zaczęły pomiędzy narodami, osobliwie skarżą się mężowie i ojcowie na nich“ (str. 86). Wierzy on wszakże, iż Gaszyński „niezdolny coś nieszlachetnego uczynić lub pomyśléć“ i dlatego, upominając go, żeby był „roztropny i uważny,“ przesyła mu sto franków „choćby na papier do bilecików lub na kilka bukiecików,“ gdyż lęka się, czy przyjaciel może „koniecznościom wymaganym przez miłość zadosyć uczynić.“

O talencie jego poetyckim ma Zygmunt wyobrażenie jak najlepsze, a przynajmniéj stara się je takiém wystawić wobec niego samego, ażeby w nim szlachetną ambicyą podbudzić. Sposób, w jaki myśli swe pod tym względem wyraża, wydaje się nam dzisiaj troszkę niewłaściwym, bo samo zestawienie dwu nazwisk: Mickiewicza i Gaszyńskiego ma w sobie coś rażącego, a cóż dopiéro forma tego zestawienia! „Elegia i sonet do matki—pisze Zygmunt z powodu ogłoszonych świeżo poezyj przyjaciela—bardzo ładne, ale w innych sonetach znać ojca Mickiewicza—i to mi się nie podoba. Zresztą sonetyzm stał się chorobą już u nas, trzeba z niéj się wyleczyć. Są sonety Kassianowicza, Kamińskiego, doboszy, trębaczów etc. etc. Ojciec Mickiewicz napłodził potworów rozmaitego gatunku. Twój wykrzyknik: *I nasz wielki Mickiewicz*! brzmi mnie kwaśno w uszach. Co tobie do tego, kiedyś sam poetą, w chwili, w któréj sam jesteś natchniony. Kiedy recenzyą pisać będziesz, wtedy tak się odezwij, słusznie; *ale kiedyś sam Mickiewiczem*, kiedyś sam w akcie rodzenia, tworzenia, skąd ci tyle rozwagi zostało, by ocenić prace autorskie drugiego. W takiéj chwili ty powinieneś być przed sobą samym, jedynie sobą zajętym; winieneś być sam w sobie, tym który jest, dla

tego, że jest w téj chwili. Może się niejasno tłomaczę, ale świat twój powinien być w takim stosunku do ciebie, w jakim świat boski jest do Boga, to jest, świata być nie powinno, tylko ty jesteś—ty jeden, ty zawsze i zawsze ty! a z ciebie wszystko wypływa: Mickiewicz i Dante i księżyc i historya i dom w Nimes; to są dzieci, płody twoje, tyś je stworzył; bo jakże, gdybyś ich nie stworzył, mógłbyś je pojmować i opisywać i w kształt sztuki oblekać. Zresztą czas już zaprzestać pochlebstw literackich między sobą, czas, by się rekomendacye dzieci do ojca skończyły. Niech każdy wali drogą swoją: jeśli nie ma sił, niech ustanie; jeśli potężny, niechaj będzie sobą samym, niechaj żyje przez się, niechaj ma imię swoje własne—i tém tylko się szczyci imieniem" (str. 72, 73 list z 29 marca 1835).

Naturalnie, myśl zasadniczą całego tego ustępu, wypowiedzianą jasno i wyraźnie w końcowych zdaniach, za całkowicie słuszną uznać musimy, a więc i radę, Gaszyńskiemu daną, za trafną i zdrową; ale stylizacya niektórych szczegółów, ale ta niechęć do wspominania Mickiewicza w poezyi dla oddania mu słusznego hołdu, ale to stawianie na równi, chociaż pozornéj bo formalnéj tylko, wielkiego twórcy „Pana Tadeusza" z autorem kilku udatnych wierszyków; to wszystko wytłómaczyć sobie można najprzód jakiémś chwilowém zobojętnieniem względem Mickiewicza (Krasiński pisał albo obmyślał wtedy „Irydyona") a powtóre przyjacielskiém przecenianiem talentu Gaszyńskiego.

Przecenianie to jednak nie przemieniało się w zupełną bezkrytyczność; owszem Krasiński wytykał przyjacielowi spostrzegane przez siebie wady zarówno w kompozycyi jak i w języku nawet; ale w krytyce téj zawsze widoczną była nadzieja, że przyjaciel, jeśli tylko zechce, to napisze coś znakomitego. Po przeczytaniu „Dezyderego Boczki" pisze: „Szkoda, żeś nie ukoloryzował, tylko narysował, i to bez cieniów, rzecz całą. To rys dzieła tylko, a wykonane dzieło to mogłoby być Don Kiszotem polskim... Pomyśl o tém, niech to służy za tkankę pierwszą, a na niéj teraz wyhaftuj żywe barwy. Przekonany-m, że ci się uda i że właśnie odpowiada taki pomysł talentowi twemu, zarazem komicznemu i tkliwemu" (str. 274). Po przeczytaniu „Reszt Pamiętników Rogowskiego" podobnąż przestrogę daje przyjacielowi: „Doskonały pomysł Rogowskiego. Tylko na miłość Boga obrób go, wykończ, wyrób; cierpliwości i pracy i wytrwałości trochę, a będzie doskonałe. Paska czytaj i odczytuj! To typ wiekuisty na takie sztukmistrzostwa. Zmiłuj się tylko nie rób, jak z Pafnucym (sługą Boczki), szkic a nic więcéj. Ty do tego właśnie rodzaju masz arcy-talent. Zmiłuj się; nie zakop go, lub wykopanego nie zostawiaj na rdzę lenistwa, ale obmyj, oczyść, a błyśnie i będzie zło-

tem!“ (str. 330, 331). O francuskich zaś artykułach Gaszyńskiego, przyznając im „błogość dowcipną,“ takie wielce znamienne zdanie wyraził: „Wszędzie rozsypane oznaki szerokich wiadomości, ale co chwila jakbyś żartował z czytelnika, obiecywał mu długą przechadzkę to wśród kwiatów, to nad brzegiem strumieni, lub widok pola bitwy, lub opis namiętności i uczuć głębokich; a wtém jedną razą, kazał mu usiąść na ławce przed kawiarnią, krzyknął na garsona, by mu przyniósł filiżankę kawy a sam go odstąpił i zniknął“ (str. 147).

Ale, jeżeli Krasiński nie znajdował w Gaszyńskim umysłu sobie odpowiedniego, to znalazł w nim serce kochające, któremu zaufać mógł zupełnie. Wprawdzie dowodów faktycznych przyjaźni ze strony Gaszyńskiego posiadamy niewiele; najważniejszym jest bezwątpienia obrona, jaką okazał Zygmuntowi przeciwko spółkolegom w uniwersytecie; mniéj znaczenia posiada późniejsze zajmowanie się ogłaszaniem utworów Krasińskiego i użyczanie mu nazwiska jako pseudonimu literackiego. Wiadomo wszakże, że w sprawach serca najwymowniejszym i najbardziéj przekonywającym argumentem dla przyjaciela jest własne jego o przyjacielu mniemanie. A pod tym względem listy Zygmunta nie pozostawiają wątpliwości najmniejszéj; wszędzie z nich widnieje niczém nie zamącona wiara w szczerą, serdeczną, do poświęceń każdéj chwili zdolną przyjaźń Gaszyńskiego, w jego serce „prawe, tkliwe, niezatrute samolubstwem ni próżnością. niegoniące za blichtrami i fałszem“ (str. 126). To też listy te noszą na sobie cechę zwierzeń poufnych i poufałych. Nie odznaczają się one ową artystyczną wykwintnością i doborem samych dźwięcznych a zarazem głębokich frazesów, przy traktowaniu podniosłych jedynie tematów, jak-to widzimy w korespondencyi Zygmunta ze Słowackim; nie zawierają szerokich a szczegółowo przeprowadzonych poglądów politycznych lub filozoficznych, jak w kilku znanych dotąd listach, do innych osób; ale natomiast znajdziemy tu wszystkiego po trosze. Najczęściéj donosi poeta przyjacielowi o swojém zdrowiu; niéma prawie listu, w którymby wzmianki o niém nie było; a że zdrowie to zawsze niemal przedstawiało się tylko ujemnie, więc listy Zygmunta do Gaszyńskiego są najdokładniejszém może odźwierciedleniem patologicznego stanu ciała i ducha Krasińskiego. Ale ta szpitalna trochę atmosfera, działająca na przyjaciela w pewnych odstępach czasu, a na czytelnika dzisiejszego odrazu jednym ciągiem, odświeża się prądami uczucia i myśli, które nigdy właściwie w stanie spokoju nie zostają, pracując ustawicznie, częstokroć gorączkowo, chociaż poeta nieraz na omdlenie, na „noc ducha“ się uskarża. Krasiński potrąca mimochodem wszystkie stosunki jednostkowe i ogólne, dotyka wszelkich kwestyj: estetycznych, religijnych, politycz-

nych, społecznych— pod wpływem i działaniem chwilowego wrażenia. Pisze dosyć niedbale, dorywczo, lubo znana patetyczność stylu autora *Nieboskiéj Komedyi* i *Irydyona*, będąc już właściwością genialnego talentu, uwydatnia się tu bez szczególniejszego z jego strony starania.

Jedna okoliczność może zadziwić. Krasiński rozpisujący się dość szczegółowo o swoich stosunkach miłosnych w listach do Sołtana, Gaszyńskiemu albo nic a nic nie donosi jak np. o miłości do mężatki, albo też natrąca o nich ogólnikowo jak np. o Beatryczy. Czy dlatego, że nieraz ostrzegał przyjaciela, ażeby się w miłostki nie wdawał, czy dlatego, że instynktowo odczuwając powierzchowną neturę przyjaciela, nie chciał, ażeby tenże nie obniżał wysokiego jego nastroju swemi przypuszczeniami na miarę własnéj duszy zrobionemi — trudno wiedzieć; w każdym jednak razie fakt ten zastanawia.

Wydrukowanych obecnie listów do Gaszyńskiego mamy 146. Powstały one głównie pomiędzy r. 1832 a 1848, gdyż z r. 1829 mamy tylko urywek z listu zawierający opis Lemanu; a z lat 1852—1859 zachowały się tylko cztery króciutkie bileciki. W listach wszakże z r. 1832 znajdują się bardzo częste wzmianki odnoszące się do lat poprzednich, tak że na podstawie tych wzmianek możemy odtworzyć stan duszy poety po wyjeździe za granicę w r. 1829. Tym sposobem do szczegółowego rozpatrzenia otrzymujemy lat dwadzieścia, najważniejszych w życiu naszego poety, gdyż wypełnionych jego twórczością poetycką. W tych dwudziestu latach można upatrzyć trzy fazy rozwojowe, mające właściwe sobie cechy: najprzód lata 1829—1832, daléj 1833—1839, wreszcie 1839-1848. Postaramy się je scharakteryzować, o ile się to da zrobić z materyału świeżo ogłoszonego.

I.

W jakim stanie ducha opuszczał Krasiński Warszawę i kraj, aby się udać za granicę, do Szwajcaryi, pod przewodnictwem Jakubowskiego o „twarzy centkowanéj“?

Ci, co go znali natenczas zbliska, widzieli w nim tylko „bystrego, sprytnego i przenikliwego studencika,“ który mając zaledwie lat 14 skończył już liceum warszawskie i wstąpił do uniwersytetu. Zygmunt sam nie zaprzecza pisząc do Gaszyńskiego, że „był wesoły, lekkomyślny, że mu dni schodziły gdyby motyle.“ Ale składając takie wyznanie w 24 roku życia, spostrzega się natychmiast, że może powiedział za wiele, może ta wesołość była tylko powierz-

chowną, zewnętrzną, gdy tymczasem w głębi serca taiły się smutki i bóle wielkie. Bezpośrednio bowiem po owych słowach, bez żadnego stylowego przejścia, czytamy następne: „Och, nie! podobno ja nigdy takim nie byłem; już w dzieciństwie mojém były namiętności, które mnie kaziły, które mi czystość duszy odebrały przed czasem; starością jakąś zawsze cechowały mnie Bogi; nigdym nie był tak niewinny, tak dobry, tak ufny jak ty, i dlategom nigdy nie był jako ty szczęśliwy“ (str. 75). Wprawdzie młodzież gienialna lubiła i lubi wystawiać sobie, że nie tylko jest, ale była zawsze, od samego dzieciństwa, całkiem różną od innych; wprawdzie lubiła i lubi wpajać to przekonanie w słuchaczów i czytelników; lecz okoliczność ta nie może jeszcze stanowić przekonywającego dowodu przeciwko wyznaniu Krasińskiego; bo naprzód, dzieci gienialne istotnie bywają odmiennemi od rówieśników, a powtóre, słowa charakterystyki swéj pierwszéj młodości wypowiada Krasiński przygodnie, bez żadnego zgóry powziętego celu, nie potrzebując pozować wobec oddalonego przyjaciela i towarzysza lat owych, wypowiada je raz tylko w ciągu całéj korespondencyi, a ta jednorazowość nadaje im cechę mimowolnego wylewu serca. Co najwyżéj, to moglibyśmy na karb szczególnie smutnego usposobienia, w którém wyrazy te pisał, policzyć owe ciemne barwy, w jakich pierwszą swą młodość przedstawił. Rzeczywiście, kiedy w latach późniejszych niejednokrotnie jeszcze potrącał o te wspomnienia, już tylko wesołość i swobodę młodzieńczą w nich widział. Nie może to jednak i nie powinno osłabiać doniosłości owego jednorazowego, mimowolnego wyznania: może ono być przesadném, ale musi téż zawierać w sobie wiele prawdy.

I prawda ta nie miałaby w sobie nic psychologicznie nieprawdopodobnego. Urodzony z matki suchotnicy, odziedziczył po niéj wątły organizm, który szybko rozwijającemu się umysłowi nie mógł nadążyć i rozstrajał się. Mając lat 10 grzebie matkę, mając lat 15 widzi, jak ojciec jego zaczyna tracić dobrą wśród społeczeństwa opinią, mając lat 17 doznaje dotkliwéj, rozdzierającéj serce zniewagi od swoich rówieśników, od spółkolegów uniwersyteckich, a nie mogąc nawet ująć się po rycersku za swój honor, musi z tą krwawiącą się w sercu raną kraj opuszczać. Nawet na niezbyt wrażliwy temperament szereg tak bolesnych wypadków musiałby podziałać w wysokim stopniu drażniąco, musiałby zamącić pogodę duszy młodzieńczéj, a cóż dopiero na tak nerwowe usposobienie jak Zygmunta Krasińskiego!

Do tych wpływów rodzinnych, domowych i osobistych, dodajmy wpływ poezyi romantycznéj, która za czasów jego młodości była wychowawczynią dusz ognistych, porywając za sobą także i chłod-

ne. Poezya ta nie lubiła harmonii ducha z ciałem, przeciwstawiając je sobie jako żywioły pogodzić się nie dające, nie cierpiała twarzy rumianych, charakterów pogodnych i zadowolonych z siebie; z rozkoszą natomiast wystawiała namiętności bezgraniczne łamiące serca i istnienia, wybuchy gwałtowne, rozdwojenie ducha, rozbrat z prozą życia, marzenia nadobłoczne, natury tytaniczne, wikłające się w katastrofy tragiczne i wśród nich ginące. Na organizmy zdrowe i silne poezya taka nie wpływała szkodliwie, owszem zbawiennie nawet oddziaływać mogła, budząc w nich ducha naprawdę; ale na organizmy wątłe i chorowite wywierała skutki haszyszu: czarowała je i upajała chwilowo majakami niewypowiedzianéj rozkoszy, lecz osłabiała je i rozstrajała coraz bardziéj. Młodzieniec chcący być poetycznym nie mógł być szczerze i po prostu wesołym: śmiech musiał zamienić na uśmiech, żart na humor, spostrzeżenie na paradoks, charakterystykę ludzi na ironią lub sarkazm.

Na Krasińskiego silnie wtedy oddziaływał Byron. W pierwszym większych rozmiarów utworze t. j. we „Władysławie Hermanie" można zauważyć wpływ jego pesymizmu i w poglądach na życie i w postaciach ponurych, demonicznych. „Szczęście — mówi tu jedna z osób—jest-to marzenie... szczęście! nierozsądny, szalony był, kto pierwszy to słowo wymówił na świecie; szczęście na tym padole zgryzot... o nie! to kłamstwo, to słodka trucizna, któréj szumne nadano imię."

Wprawdzie, opierając się na liście o literaturze polskiéj, napisanym przez Krasińskiego w 1829 do „Biblioteki powszechnéj" genewskiéj w języku francuskim, możnaby utrzymywać, że wówczas jeszcze autor „Władysława Hermana" nie był romantykiem duszą i ciałem, gdyż nie tylko oddaje sprawiedliwość klasykom sobie spółczesnym, ale nadto, w sądach i ocenach zwraca głównie uwagę na stronę formalną poezyi, na język, styl i wiersz. Ale najprzód, pamiętać należy, że artykuł pisamy był dla informacyi cudzoziemców, autor zatém musiał w nim jaknajwiększą liczbę nazwisk wymienić— i to z określeniami pochlebnemi; powtóre, co innego są wywody krytyczne, rozumowe, a co innego popędy i skłonności serca; autor mógł jeszcze w zdaniu o literatach polegać na sądach, których się nasłuchał w domu, a swoją drogą lgnąć do całkiem innych dążności w tworzeniu poetyckiém. Być może nawet, że w zdaniu tém trwał i dłużéj, lat jeszcze kilka, poprostu z przyzwyczajenia tylko, dopóki umysł jego nie przetworzył się do gruntu. Temu przetworzeniu się dał wyraz i w zmienionym sądzie o poetach, spotykanych niegdyś w domu ojca na obiadach literackich. Roku 1834 pisze do Gaszyńskiego: „Co téż to za głupia była poezya, co nas otaczała w dzieciń-

stwie naszém; co też to za głupi ludzie dawali nam pierwsze wyobrażenia o filozofii i literaturze. Mój Boże!“ (str. 58).

Zamiłowaniami poetyckiemi wyprzedzał on ten sąd krytyczny; myślał, czuł i tworzył w duchu romantycznym.

Tak więc, zarówno ze względu na stosunki osobiste jak i ze względu na kierunek ogólny umysłu, musimy sobie wyobrazić Krasińskiego w chwili wyjazdu za granicę jako młodzieńca, który i sercem i wyobraźnią wiele przecierpiał. Pierwszy rok pobytu po za krajem, przepędzony w Szwajcaryi, wśród pięknych widoków górskich, po części w towarzystwie Mickiewicza, przyniósł mu niejakie ukojenie, ale zaraz następny otworzył zabliźniające się rany, nowemi je rażąc ciosami. Wprawdzie już i wśród jezior i gór szwajcarskich tęsknił do Wisły, Narwi i Gopła i mówił, że kuropatwy opinogórskie warte wszystkich gór przezeń oglądanych; ale bądź-co-bądź miewał często chwile spokoju, niekiedy wesołości; a umysł jego mianowicie pod wpływem obcowania z Mickiewiczem rozwijał się i dojrzewał: od niego nauczył się „zimniéj, piękniéj, bezstronniéj rzeczy świata tego uważać;“ pozbył się „wielu przesądów, uprzedzeń i fałszywych wyobrażeń;“ przekonał się, „że szumność jest głupstwem tak w działaniu, jak w mowach, jak w pisaniu; że prawda i prawda tylko może być piękną i ponętną w naszym wieku; że wszystkie ozdóbki, kwiatki stylu są niczém, kiedy myśli niéma; że wszystko na téj myśli polega i że chcąc być czémś teraz, trzeba uczyć się i uczyć i uczyć, i prawdy wszędzie szukać, nie dając się ułudzić przez błyskotki, które świecą przez czas jakiś, jak robaczki na trawie w maju, a potém gasną na wieki.“

Ze Szwajcaryi udaje się Krasiński do Włoch. Tu go dochodzą wieści o wypadkach krajowych z r. 1831. Radby był znajdować się wśród swoich, a nie mógł; prawdopodobnie powracać zabronił mu ojciec. Co wtedy czuł, jaka boleść duszę jego ogarnęła, to wyraził w urywku p. n. „Wygnaniec,“ napisanym we Florencyi, ale do druku nieprzeznaczonym wcale. W ramy fikcyi „oprawił własne uczucia,“ z których nikomu może zwierzyć się nie mógł lub nie śmiał.

Pochop do napisania fragmentu tego dał jakoby obraz Galeara Pesquieri znanego ze swych nieszczęść i wielkiego przywiązania do rzeczypospolitéj florenckiéj. „Żarliwy obrońca przywilejów ludu, choć sam był ze znakomitéj rodziny, często miewał zatargi z arystokracyą i nieraz pokazał się nieubłaganym w zemście.“ Częstokroć musiał kryć się i uciekać, „uległ wreszcie zwykłemu losowi tych, którzy w publicznych zamieszaniach stają na czele stronnictw, *bo są w sile wieku*: zginął od trucizny.“ Pod obrazem wewnątrz „ta-

bliczek z perłowéj macicy“ znajdował się długi napis, który Zygmunt wiernie przetłomaczyć się starał.

W całym tym ustępie (str. 29—32) widać szlachetną, gorącą, namiętną, a wielkiemi prądami cierpień miotaną duszę, która przedstawiając sobie w wyobraźni różne rodzaje nieszczęść, ścigających jednostki, nie zdolna straszniejszego wymyśleć nad niemożność spełnienia tego, co się za obowiązek uważa. Niczém jest w porównaniu z tą katuszą, rozbicie się na morzu i samotne pozostanie się na wyspie bezludnéj, niczém wygnanie spowodowane przemożném zwycięstwem przeciwnego stronnictwa... Z głębokiém przejęciem maluje stan duszy takiego rozbitka obowiązku: „Wtedy ci już godziny, w których obcy mówić będą o wieściach ojczyzny, dłuższemi od dni się wydadzą, nocy twoje przeniosą cię na pola, gdzie uczujesz ostatnie uściśnienie konających braci, a kiedy się obudzisz, jak się zemścisz? przecież już pomstę w snach obiecałeś? U łoża odtąd krew i jęki, na jawię wstyd i cierpienia zgotowane tak, że przed kościołem nie będziesz śmiał się przeżegnać, ani przed równym oczu podnieść; a jeśli wychodzisz, zakrywaj twarz dobrze, bierz się na tylne schody, na boczne ulice, kryj w sieniach, przemykaj przez rynki, by dzieci poznanego nie wytknęły: on tutaj, czyż to tu jego miejsce?... Wygnańcze, żyj bez wzmianki; grób bez napisu jest twoim udziałem i bodajby on jeszcze był takim, wolny od pogardy i przekleństw bliźnich, dosyć już twoich nad nim było. Nie do was, przyjaciele — dodaje Pesquieri— z któremi dziecko biegałem w Apenińskie lasy, po nad brzegami Arno, teraz przemawiam; ani do was, którzyście umarli przede mną i w dziejach swojego kraju żyjecie, ani do tych, co po mnie zawód swój zaczną, ażeby mi dać naukę; do nikogo na tym szerokim świecie się nie odzywam, tylko do siebie, do siebie, do siebie, bo taki był mój los a nie czyj więcéj.“

Takie lub podobne myśli dręczyły Krasińskiego przez rok 1831 i bardzo silném echem odbijają się jeszcze w r. 1832 w korespondencyi z Gaszyńskim. Ta myśl: jam tam nie był, jam się nie bił! jak zmora dusząca osiada mu na piersi i nie dozwala mu myśleć o czém inném. Każda wiadomość z kraju, każde spotkanie z rodakiem nawiewa głęboki smutek do jego duszy. „Wszystkich sposobów używałem — powiada — by dostać się do was, ale silniejsze nad moje ramiona zapory drogę mi zajęły... Zaprawdę ci powiadam, że mi dnie i nocy na gorączce z początku, późniéj na szaleństwie zeszły. Wycierpiałem za winy wszystkich przodków moich.“— „Miałem kochankę—pisze kiedyindziéj—a dusza jéj była z ognia; dziś mną ona pogardza, bom się nie bił... nie wie, jakie zawady mi ramiona do piersi przykuły...“

Ponieważ miał „duszę za ognistą“ na swe „nędzne ciało,“ więc cierpienia moralne „rozstroiły zupełnie“ jego organizm. Od samego niemal początku roku 1832 t. j. od czasu, w którym się rozpoczynają listy do Gaszyńskiego, już we Francyi wówczas będącego, czytamy nieustannie takie bolesne wyznania: „napół ślepy jestem, ledwo widzę litery; oczy piekielnie mię bolą, mózg mój spiekły oddawna; męczę się złożony niemocą oczów i gorączką; życie mi jest festynem, do którego zasiadłem z cierniową koroną miasto kwiecia na głowie, z puharem goryczy przed sobą miasto czary nektaru; codzień gorzéj i głębiéj brnę w gorączkę i rozpacz; słaby-m na ciele i na umyśle; wieczna nuda i wieczny ogień mnie pożerają; krew puszczałem, bo mi tak biła do mózgu, że kazała lękać się apopleksyi...“

A wśród tych cierpień okropnych, przygnębiająco działało wspomnienie, że nie był w kraju razem z Gaszyńskim i innemi. „Gdybym z wami był kampanię odbył — powiada — byłbym zdrów jak ryba, albo może byłbym już gdzieindziéj, wśród błękitnych fal, kędy dusza z gwiazdy do gwiazdy się przerzuca, jak z łódki do łódki“ (str. 23). A teraz „może niedługo pójdę tam, gdzie tylu poszło, bez sławy, bez miłości i żalu ludzi, bom nic nie zrobił, bom żył na świecie jak kawał deski, co płynie po morzu, aż wreszcie zgnije i pójdzie na dno. Nikt o mnie wiedzieć nie będzie; moje prace zaginą ze mną razem, moje natchnienia do trumny pójdą.... A przecież— dodaje, nie mogąc nie sarknąć na los— nie tak nędzne serce biło pod temi piersiami; mógłbym był i śpiewać i walczyć; przeznaczenie inaczéj chciało i chce“ (str. 25).

Ale czyż ma się biernie poddać wyrokom tego przeznaczenia? Bynajmniéj; bo najprzód podtrzymuje go ożywiona w jego duszy religia, a powtóre, poczucie obowiązku.

Jaki był stosunek Krasińskiego do religii przed r. 1831, nie wiemy; doświadczenia, a zwłaszcza cierpienia tego roku dużą sprowadziwszy odmianę w jego głowie, wyobrażeniach, sądach, w religii wskazywały najsilniejszy punkt oparcia i największą w smutku pociechę. „Nauczyłem się—powiada—daleko częściéj o niebie myśleć niż o ziemi, zwątpiłem o szczęściu, bo widziałem, iż to istna mara, a za nią gonić nawet nie warto.“ Katolicyzm doznający ucisku zwraca jego myśl ku wiernemu przy nim wytrwaniu. „Patrz— pisze do przyjaciela—od religii, od krzyża Chrystusowego odstępuje ziemia; ale powiedzcie mi wszyscy, kędyż nowy ołtarz się zjawił, kędyż klęknąć mam przed nowém bóstwem?... Uwierz głosowi przyjaciela twéj młodości: nad religią naszę nic wznioślejszego i poetyczniejszego. Ta krew, co ze wzgórza Golgoty rozlała się wszędy,

by ziemię zbawić, była krwią boską... Zdaje się, iż to jest odwieczném prawem i że zbawienia być nie może bez cierpienia, bez boleści, bez krwi. A kiedy cię tęsknota napadnie; kiedy cię smutek obarczy, kiedy na obcéj ziemi przyjdzie ci przeklinać los twój.... pomyśl: i Bóg cierpiał za nas! A ta myśl cię połączy ze światem, nie z owym znikomym, małym, który przesuwa się przed oczyma naszemi i w każdéj chwili może z pod nóg naszych się usunąć, ale z owym wielkim, jedynym, obejmującym cały porządek stworzenia duchów, ludzi. A wtedy uczujesz, że ku nieśmiertelności dążysz, że celem twoim jest *cierpienie* i *wielkość* na téj ziemi, zaś na tamtéj stronie grobu *wielkość* i *szczęście*" (str. 9, 18, 19). Co jest cierpienie i szczęście, to mniéj więcéj wiadomo, ale co nazywa Krasiński *wielkością*? „Wielkość u mnie — powiada — zależy na tém, by cierpiéć i nie żalić się, by ziemią pogardzać i zawsze być gotowym do odepchnienia jéj od siebie, jak łódkę od brzegu."

Poczucie obowiązku nakazywało mu zrobić coś dla kraju. Nie mógł tego dopełnić w jednéj formie; wypadało to zrobić w jakiejkolwiek innéj. W ciągu 1831 i 1832 pisał „dużo rzeczy," a wszystkie były „gorączką i rozpaczą" napiętnowane. Sam wymienia *Ułamki o Szwajcaryi i Włoszech*, *Zawiszę*, *Adama Szaleńca*, *Przeora*, *Marynę Carową*, ale oprócz ostatniego utworu, nie mógł innych drukować, gdyż były zanadto przesiąknięte uczuciem nienawiści, wywołaném spółczesnemi wypadkami. Zresztą Zygmunt pragnął „wziąć się do poezyi czynów," poezya pióra miała mu tylko służyć „za piosnkę nuconą przez mamkę."

Ojciec powoływał Zygmunta do kraju. Już w marcu 1832 napomyka Krasiński, że za dwa miesiące musi wrócić, a myśl ta przejmuje go grozą. Nie myślał wcale sprzeciwiać się woli ojca, ale zdawało mu się zrazu, że będąc już na miejscu nie dotrzyma „oburzeniu swéj duszy" i że go srogie czekają katusze. „Niechaj wola Boga się dzieje—mówi z rezygnacyą— jeślim nie walczył z bracią, niechaj przynajmniéj wycierpię to, co oni." Potém inna uwaga, rzeczywiście godna zastanowienia, przyszła mu na myśl; położenie kraju zajęło go mocno. „Czy sądzisz, Konstanty, że należy wszystkim ziemię ojczystą opuszczać? Nie! kto może, ten winien pójść oglądać te mogiły i krzyże, te pobojowiska, te gruzy, i starać się, by w dniach odrętwienia... nie upadł duch narodowy, nie zapomniał sam o sobie polski wieśniak, że jest Polakiem." Decyduje się więc jechać do kraju niechętnie wprawdzie, ale decyduje się „bo to jest obowiązkiem;" musi „pojechać do ojca i długie, długie mieć z nim rozmowy" (str. 12). Jeśli będzie można pisać co w kraju, to pisać nie zaniedba.

Cierpienia nie pozwoliły mu wyjechać w terminie pierwotnie naznaczonym; musiał z Genewy przez Wiedeń udać się do Wenecyi, gdzie przebył maj; następnie w czerwcu i lipcu leczył się w Wiedniu; w sierpniu dopiero (str. 33 i 28) udał się do kraju, z zamiarem spełnienia obowiązku. „Ja idę popracować około wspólnego dzieła—mówił—nie na otworzystych polach, gdzie chwała czeka, ale pośród ciemności... Bądź-co-bądź świętéj dokonam powinności; bądź-co-bądź czy się uda lub nie, umierając tę będę miał otuchę, że Bóg mi nagrodzi za męki téj ziemi, że ty i ci kilku, co mnie znali prawdziwie, wyleją łzę jednę po moim zgonie i pamięć o mnie zachowają, jako się zachowywa pamięć snu mianego w dzieciństwie... Ja przepadnę bez chwały, bez znaczenia, ale ty pamiętaj, żem był dobrym Polakiem...." (str. 22).

II.

Przybywszy jednak do kraju, pracować nie mógł. Wyprawiony do Petersburga, „przeleżał cztery miesiące i pół w łóżku, coraz słabszy na oczy i na duszy;" a to było przyczyną, że musiał znowuż w r. 1833 wyjechać za granicę wraz z drugim przyjacielem młodości Konstantym Danielewiczem. Osiadł w Wiedniu, odbywając „kuracyą długą, nudną, niewiele polepszenia przynoszącą."

Atoli, jeżeli w kraju nic robić nie mógł, to miał czas do samotnych rozmyślań, a i z ojcem zapewne prowadził „długie, długie rozmowy." Byłoby rzeczą nadzwyczaj ciekawą wiedzieć, jakiego rodzaju, jakiéj treści były te rozmowy; ale niestety, dotychczas nie mamy najmniejszéj nawet pod tym względem wskazówki; co większa, wątpić wypada, czy kiedykolwiek je poznamy. Obecnie zanotować jedynie możemy wynik ostateczny wrażeń doznanych w kraju i w Petersburgu, rozmyślań bolesnych i rozmów z ojcem. Rezultat ten dostrzegamy i w listach do Gaszyńskiego i w twórczości poetyckiéj Zygmunta. W pierwszych zaraz chwilach po powrocie z kraju bardzo jaskrawo zarysowuje się zmiana w jego duszy. Poprzednio był młodzieńcem nadzwyczaj wrażliwym i uczuciowym, który wrażliwość tę i uczuciowość bezpośrednio wypowiadał przed przyjacielem. Teraz jest już mężczyzną, który, nie tracąc wrażliwości i uczuciowości, w wyrażeniu ich poddaje je filtrowi refleksyi. Poprzednio, pomimo cierpień, pomimo chwilowych objawów rozpaczy, wierzył on jeszcze w życie i w ideały i wielbił je w tych, wśród których z wielkim żalem swoim nie był. Teraz, cierpiąc jeszcze bardziéj może, pozbywa się wiary w istnienie ideałów na ziemi i umieszcza

je tam, gdzie mogą trwać nietknięte, „w sercu ludzkiém jako przeczucia, i w niebie jako rzeczywistość,“ gdy tymczasem życie ludzkie oddane jest „analizie potu i krwi.“ „Wiek, który nas otacza, ciąży na mnie. Tytan starożytności jednéj góry złożonéj z warstw gliny, z popiołu bez myśli, z lawy i ognia bez duszy, zrzucić nie potrafił; gdzież się człowiekowi jednemu spodziewać, że zepchnie z ponad siebie nawał tylu myśli cisnących go na dół, ogrom pełny życia i przekleństwa. Piszę jeszcze czasem, ale nie z taką wiarą, jak dawniéj; gdzież się podziały wszystkie wiary moje!“ (str. 35).

Żalu zatém, że nie był wraz z Gaszyńskim, nie ma już teraz i śladu; dawna szczera, młodzieńcza, entuzyastyczna wiara w świętość sprawy i konieczność spółudziału, ustąpiła miejsce chłodnemu zastanowieniu i dotkliwéj krytyce. „Co ty nazywasz duchem rewolucyjnym u nas—pisze do przyjaciela w końcu r. 1833—co ty mienisz przez przytłumienie jego? Czyś się dotąd nie przekonał, że *wszystko było niedojrzałe*; że ideę wielką wcielono w *krzyk i hałas i mierność*? Jéj (tj. idei) nie dobrze było w tych łachmanach; więc usunęła się. Ale powiedz mi, cóż nie było miernością, co nie wyszło u nas na ostatnią nędzę: i zapał i olbrzymi teroryzm, co miał być nowym 93 rokiem, i poezya pisana i elokwencya mówiona; czy to nie małe dzieci wszystko? Czemu ty, drogi mój Konstanty, ufasz słowom jakoby przyjaciołom doświadczonym; słowa, wierz mi, są niczém, ale możem się przyzwyczaić do uważania ich za wszystko... Potém naucz się ważyć ludzi na wartość ich, przekonaj się, co to są imiona głośne, sławy, czyny trąbione po świecie. Mój drogi, mój przyjacielu! wierzaj słowom kochającego cię szczerze, zamknij się w sobie nieco, myśl udzielnie, rozważaj sam, *odłóż entuzyazmy, które zwykle kończą się na niczém*, bo w słowach siłę duszy wyrzucają na wsze strony świata, a kiedy do czynu przyjdzie, idź te siły zbierać tam, gdzie wiatry je poniosły...“ (str. 41).

Wnioskując z tych rad udzielanych Gaszyńskiemu, rozczarowanie co do wypadków i ludzi r. 1831 ogarnęło duszę Krasińskiego dosyć wcześnie i zakorzeniło się w niéj silnie. Doznał strasznéj goryczy, kiedy obejrzawszy się naokoło, „nie znalazł nic podobnego do snów swoich.“ Skutkiem doznania téj goryczy wzmianki o kraju przez czas jakiś w listach jego nie spotkać, a jeżeli jest, to już bez tego zapału, z jakim mówił o nim poprzednio. Zagłębiał się natomiast w rozważanie dziejów ludzkości całéj, w rozpatrywanie cywilizacyi i jéj składników, w refleksye nad zakresem i zadaniem poezyi.

Z tych rozmyślań warto szczególniejszéj uwagi jedno, które może się przyczynić do wyjaśnienia, dlaczego Krasiński w nowéj fazie twórczości swojéj obierał temata ogólno-ludzkie. W jednym z li-

stów wyraził Gaszyński zdanie, że poezya stosować się winna do *ducha czasu*. „Albož poezya jest nałożnicą marnych okoliczności— odpowiada Krasiński. Poezya tyczy się rodu człowieczego całego, a *nie jednego kraju, jednego łachmana czasu i przestrzeni*. Ona wieczność i nieskończoność garnie pod skrzydła swoje.“ Tak więc kraj zostaje już tylko jednym łachmanem czasu i przestrzeni; nie wart on, ażeby natchnienie poety weń się obwijało, kiedy może rozpostrzeć skrzydła do lotu okiem nieścignionego.

Tym sposobem od rzeczy konkretnych przechodził poeta w sfery oderwane, w świat pojęć i uczuć ogólnych, w którym przez dość długi czas przebywał, lekceważąc łachmany czasu i przestrzeni. Według ówczesnego poglądu jego, poezya mówić powinna „o zagadce wielkiéj, którą Bóg zadał ludzkości; o przeczuciach innego życia, o wspomnieniach tego, co poprzedziło nasze przybycie na ziemię, o nadziejach i bojaźniach, o tém wszystkiém, co się zowie uczuciem istoty żyjącéj w granicach, a przeznaczonéj kiedyś do życia bez granic... Zapewnie, że poezya zmienia formy swoje podług czasów i okoliczności; ale jéj wszystko jedno, czy z piramid Egiptu, czy z świątyń Turcyi, czy z katedr niemieckich, wyciskać tajemnicę stworzenia, upadku, śmierci i dalszego życia... Nie lękaj się o nią; ona potrafi żyć wśród statków parowych i machin do młócenia, wśród morderstw i zawiłych rachub. Ona ludziom zostawi wszystkie dżdże ich burzy, a sobie weźmie błyskawice—i, z chmury na chmurę, z odmian w odmiany, ze zwalisk na zwaliska przelatując, będzie mówiła o Bogu, o potępieniu wieczném i o wybranych, kiedy pod spodem toczyć się będą walki o budżet, o wolność lub ucisk, o kolonie lub interwencyę“ (str. 46).

Czy owę „zagadkę wielką, którą Bóg zadał ludzkości,“ ma odgadywać poeta za pośrednictwem wysiłków własnego rozumu i samoistnego badania? Na to pytanie znajdujemy w listach Krasińskiego kategoryczną odpowiedź, iż poezya religijną być powinna, „a że religia chrześcijańska jest ostatnią, dopełnieniem wszystkich innych, poezya chrześcijańską być nie przestanie.“ A w innem miejscu wprost do Gaszyńskiego przemawiając, powiada: „Poeto, wstydź się nie być katolikiem!“ (str. 37).

Ażeby poglądy te zrozumiéć, a jednak nie posądzić Krasińskiego o ciasne pojmowanie poezyi jako ilustracyi katechizmu, potrzeba przypuścić, że poeta nasz akcentował wówczas w religii chrześcijańsko-katolickiéj nie tyle treść dogmatyczną, ile wrażenie poetyczne. Przypuszczenie to znajduje poparcie w kilku ustępach korespondencyi. Oto opisując wrażenia, jakich doznawał w Rzymie w Wielki czwartek, uwydatnia raczéj uczucia widza wysoce zainteresowanego

spektaklem, aniżeli katolika przejętego do głębi unaocznianą przed nim tajemnicą odkupienia. „Siedziałem w kościele św. Piotra do godziny dziewiątéj w wieczór, słuchałem Miserere. Nic wznioślejszego nad te głosy ludzkie rozpaczające, konające z bólu i żalu, rozchodzące się zwolna po tém ogromném sklepieniu, między masy cieniów, masy złota, marmurów i drogich kamieni zanurzonych w ciemnościach. Nad grobem Piotra pali się gromnic kilka; a reszta kościoła—to nicość cieniów, to nieskończoność cieniów, chaos jakiś z marmuru i cieniów, świat, jakiegoś nie widział nigdy. Bóg wszędy—Bóg, co skonał na krzyżu; i dziś on o téj czarnéj godzinie kona, w każdym zakącie tego olbrzymiego gmachu. Szumy burzy, zda mi się że słyszę, bo wiesz, On dech wyzionął wśród burzy. Ogrom wieczności zda mi się widomy, *zaczyna się za tym ołtarzem*. Patrz! ołtarz wysoki, wysoki, jak olbrzym niknący w górze; u stóp jego gromnic kilka, a za ołtarzem ciemność, wieczność, i reszta kościoła, i te pieśni wszystkie płaczące nad Bogiem umarłym, nad mękami Boga!“ (1).

Wszak-to fantazya poety, nie uczucia żarliwego religianta!

Podobnież, co się tyczy strony dogmatycznéj, to, jak wiadomo, w *Legendzie* przedstawiony został kościół ś. Piotra jako walący się, a na jego gruzach powstający kościół ś. Jana. Że taka była istotnie myśl poety, dowodem list, w którym Krasiński mówi o krytyce na „Trzy myśli“ pomieszczonéj w *Dzienniku Narodowym*: „Gdzie z duchem dziennika nie zgadza się duch pisarza, tam potępiony bez uwagi na artystyczność rzeczy. Twierdzi np. krytyk, że *Sen* wyższy nad *Legendę*. Czemu? Bo w *Legendzie* zadraśniony mur, który według nich stoi na opoce“ (str. 180). *Według nich* nic innego oznaczać nie może jak katolików ścisłych.

Zresztą było-to rzeczą bardzo naturalną, że prawdziwy poetyczny temperament Krasińskiego nie mógł się ograniczyć do roli biernego naczynia, w któreby natchnienie z zewnątrz spływać miało. Duch jego ruchliwy i czynny, choćby nawet na chwilę postawił sobie jakąś przegrodę, toby ją przewrócił, ażeby swobodnie rozwinąć lot swój i siły. Zarówno ze względów patryotycznych jak i ze względu wrażenia poetycznego Krasiński poczytywał religią katolicką za regulatora myśli i uczuć; lecz mimowoli może pozwalał sobie tłómaczyć ją po swojemu, brać z niéj to, co jego poczuciu poetycznemu odpowiadało, co mogło służyć za czynnik dodatni w budowie

(1) Por. opis przygotowań do błogosławieństwa udzielanego przez papieża *urbi et orbi* str. 155.

pomysłów. A w skutek właściwego usposobieniom wrażliwym podstawiania własnych pojęć i uczuć za pojęcia i uczucia ogólnie obowiązujące, łatwo mógł przyjść do przekonania, że jego poglądy religijne są katolickiemi, i śmiało mógł twierdzić, że poezya katolicką, chrześcijańską tylko być winna.

Podobny objaw złudzenia temperamentu poetyckiego widzimy w pojęciu, jakie wyrobił sobie Krasiński o *istocie* poezyi. Wielokrotnie w listach jego czytać można, że prawda i tylko prawda jest poetyczną. Ale z tego orzeczenia bynajmniéj wnosić nie należy, że poeta mówi o takiéj prawdzie, jaką my dzisiaj uznajemy, widząc ją w dobrze zaobserwowanych i dobrze sprawdzonych faktach, jako też w należycie, metodycznie dokonanych uogólnieniach faktów takich. Tego rodzaju prawdy były dla Krasińskiego ulotnemi, przemijającemi kształtami, które prawdy w sobie nie zawierają.

Chąc zrozumiéć, co było dla poety prawdą, należy sobie przypomniéć, że czas, o którym tu mówimy (1830—1840), to chwila najbujniejszego rozwoju i rozpowszechnienia filozofii niemieckiéj, to chwila absolutnego w teoryach idealizmu. Krasiński filozofią niemiecką zajmował się dosyć pilnie i przejął z niéj wiele pojęć, a przedewszystkiém i pojęcie prawdy. Prawda dla idealizmu tkwiła jedynie i wyłącznie w absolucie, w idei bezwzględnéj; wszelkie zaś czasowe i miejscowe przejawy tego absolutu, to tylko złudzenie, to nieprawda. W ten-to sposób pojmować potrzeba wyrażenie Krasińskiego, że dla niego rzeczywistością jest to, co jest w myślach Boga i dziełach natury, że im kto bliżéj Boga, tém jest prawdziwszym, rzeczywistszym. W tym duchu rozumiéć należy orzeczenie, iż „*marzenie* tylko tém różne od *realności*, że w jednéj chwili całość chwyta, i stawia przed oczy, kiedy realność tę samę całość snuje dniem po dniu, nitka po nitce i zwolna ją przeprowadza, bez skoku, do najwyższego szczebla“ (str. 155). Z tego też punktu wyjaśnić sobie można to, co poeta, z powodu zwiedzenia Pompejów, mówi o duchu sztuki starożytnéj i nowożytnéj. Starożytni—powiada Krasiński— „byli synami ziemi i ziemię w głąb' kopali; my, jak elektryczność rozlegamy się w przestrzeń i dążym w górę, bośmy synami nieba. Weź Pompeję i weź katedrę w Kolonii. W Pompei równoległobok i elipsa—to są zasady, jedyne kształty, miara doskonała, filary cudownie piękne; ale wszystko ciasne, skończone, ograniczone; nic niéma za kapitelem kolumny; na kapitelu kończy się kolumna. W Kolonii ty idziesz za strzałą gotycką, a kiedy się przerwie, ty daléj wzrokiem sięgasz tam, gdzie ci ona wskazuje—w niebo! W Kolonii piękność formy nie jest rytmiczną, jak w Pompei, ale pod formą żyje duch or

ganiczny, wielki. W Pompei ducha nie ma, tylko jest ciało i ciało najpiękniejsze w rzeczy saméj, ale zawżdy określone i nieżywe. Fidyasz nic-by nie pojął w liściach kapuścianych, w żabach, karłach i potworach dłutowanych w podnożu każdéj katedry gotyckiéj; Wirgiliusz plunąłby na Fausta Goethego; bo im trzeba było symetryi, jedności, regularności, co pochodziło stąd, że oni tylko jednę część człowieka znali, to jest ciało, i z téj części jedność zupełną wyidealizowali. My zaś pstrocizny musimy używać, bo śpiewamy o stworzeniu złożoném z duszy i ciała, między któremi zachodzi walka, sprzeczność i ból i ruch. To odbite w naszéj architekturze, w naszéj poezyi, stanowi pstrociznę. Stąd my *bardziéj rzeczywistymi* jesteśmy, *prawdziwszymi*, a zatém *poetyczniejszymi* niż oni" (str. 68) (1).

Takie pojęcie o pięknie wybornie harmonizowało i z usposobieniem i z możnością twórczą Krasińskiego. Ciągle chory, ciągle unikający szerszych stosunków z ludźmi, niezadowolony z biegu dziejów i ze stanu cywilizacyi; z powodu okropnego bólu oczów, który chwilami tylko ustępował, nie mogąc po prostu obserwować zewnętrznych kształtów i objawów, Krasiński musiał cofnąć się w siebie, musiał wytężać siły na pochwycenie duchowéj, idealnéj, ogólnéj, abstrakcyjnéj treści w świecie ludzkim, musiał poprzestać na obserwacyi wewnętrznéj, a wyniki téj obserwacyi, ustalone i spotęgowane czytaniem, ponieważ były najściśléj z jego osobistością związane, musiał poczytywać za prawdę, mniéj lub więcéj do absolutu, do Boga zbliżoną. Zawarunkowana powyżéj wymienionemi okolicznościami potęga twórcza poety, któréj brakło żywéj siły plastycznéj, oczywiście lubować się musiała w nadawaniu eterycznych przynajmniéj kształtów tym prawdom oderwanym, tym ideom przez poetę wypieszczonym.

Że przyczyny patologiczne miały znaczny udział w wytworzeniu takiego nastroju i takiego poglądu, możemy na dowód przytoczyć fakt wielce charakterystyczny, tém ciekawszy, że w całéj korespon-

---

(1) Podobneż myśli wypowiadał Krasiński jeszcze w 12 lat potém, rozwijając swój pogląd przykładowo na hizopie i duchu ludzkim. Kwiat, według poety, jest klasycznością, zwierzę przejściem jéj do poezyi średniowiecznéj, duch ludzki jest nakształt Dantejskiéj, Szekspirowskiéj potęgi. Doskonałemi są tylko dwa bieguny: martwe ciało w kształcie swym lub duch najwznioślejszy w życiu swém. Co jest między temi biegunami „między niedopełnią a spełnią," to wszystko wciąż tęskni, żąda, domaga się, rusza, pracuje, burzy się, wre, kipi, stara, słowem *żyje*; nie może więc nosić na rysach swych owego bożego spokoju greckich bogów, owego znamienia *absolutum est*. Duch jest romantykiem dotąd, więc nie szukać w nim klasycznego zaokrąglenia. Klasycyzm z romantycznością pogodzi się kiedyś, ale aż „po rozwiązaniu losów człowieczeństwa;" wtedy forma klasyczna przypadnie do olbrzymiéj treści ducha; „ta chwila będzie początkiem żywota wiecznego w naturze" (str. 323).

dencyi z Gaszyńskim znajdujemy go raz jeden tylko. 10 lipca 1834 roku z Kissingen takie podawał wieści o swém zdrowiu: „*Ja lepiéj mieć się zaczynam*; już mnie nie męczy tak pisanie. Teraz najpiękniejszą podróż zrobiłem przez Florencyą, Wenecyą, Münich. Wenecya to kochanka moja, wśród miast wszystkich; *w niéj przez osiem dni prawdziwie byłem szczęśliwy*.“ I w tymże liście, niebawem po zaznaczeniu i zdrowia i zadowolnienia, następują zdania, których ani przedtém ani potém Zygmunt nie wygłaszał. „By dobrze pisać—powiada—*trzeba żyć wprzódy*. Ja zarzucam na pewny czas pisanie, *biorę się do życia*; wychylę kilka puharów wesela, kilka puharów boleści, po ludzku kochać będę, po ludzku cierpieć, a potém siądę i napiszę—i to będzie dobrém.“ Z tém postanowieniem łączy się bezpośrednio i przemiana przekonań; poeta bowiem mówi daléj: „Materya nie jest tak podłą rzeczą, jak sądziłem dotąd; my przez wieczność całą będziemy w materyalnych ciałach; niéma ducha bez materyi jak niéma myśli bez słowa, jak niéma ciała bez formy. Są rozkosze i *jest poezya materyalna*. Tę należy harmonijnie pomieszać z poezyą ducha, a wtedy stanie na nogi człowiek upoetyzowany, wtedy każdy go pozna i pokłon mu odda. Inaczéj niktby nie uczuł sympatyi do niego, inaczéj byłoby to stworzenie nieorganiczne na ziemi, może organiczne na księżycu lub Jowiszu, ale tutaj marne, niezrozumiałe“ Poeta najzupełniej był świadomy zaszłej w sobie odmiany, którą wtedy uważał za dobrą, za wyraz postępu na drodze udoskonalenia. „Tak więc — powiada — zmodyfikowałem się i z *chmur zstąpiłem* i chmury mam odtąd za baldachim nad głową, *nie za pobyt* i mieszkanie“. I zastanawia się, jaka jest różnica w utworach sztuki między człowiekiem prawdziwie i poetycznie pojętym, a człowiekiem czysto idealnym. „W pierwszym — mówi — jest ciągłe życie tj. przemiana i walka uczuć, a w drugim *tylko myśl jedna*, *tor jeden*, *metoda zawżdy ta sama*“. Wystawiać takiego idealnego człowieka jest błędem, bo nikt „nie może ciągle być wielkim, rozumnym, natchnionym, dramatycznym.“ Trzeba śledzić i poznać zycie, a poznawszy unikać jaknajstaranniéj tego, żeby bohater na aktora nie wyglądał“. Porównanie to daje sposobność Krasińskiemu do krytyki literatury jemu spółczesnéj, jako polegającéj na naśladownictwie: „Stąd pochodzi przesada literatury dzisiejszéj, że autorowie *miasto doznawania sami uczuć i faktów*, przestają na chodzeniu regularném na teatr i tam uczą się jakby z natury, kiedy już teatr jest nauką wyciągniętą z natury. Przez drugie ręce więc odbywa się poezya epoki naszéj i stąd jest śmieszną i przesadzoną“ (str. 51, 52).

Owocem tego przychylnego oceniania materyi i zwrotu do rzeczywistości, do faktów była, jak się domyślać można, powieść wzięta

z życia, która zaginęła wprawdzie, ale o któréj mamy następną wiadomość od samego autora: „Napisałem w tych dniach *powieść à la Balzac*; wchodzi do niéj romans mężatki z oficerem polskim w Londynie, po wzięciu Warszawy; wchodzi i Grzymała monstrum i Lelewel etc. Zda mi się, że udala mi się“ (str. 55, list z 23 sierpnia 1834 r.).

To jednak przychylne dla materyi usposobienie i ten zwrot do rzeczywistości nie trwał długo. Zdrowie pogorszyło się znowu; a wraz z cierpieniami ciała szły równolegle cierpienia ducha. „Noce rozumu“ coraz częściéj napastowały poetę, codzień bardziéj odstrychał się od życia, bo świat zewnętrzny nieznośnie mu ciężył (str. 61). „Nędzne-to życie—powiada—które potrzebuje ciągłych podbechtań, by nie zgasło, które prócz gorączki, nic nie miłuje, które wciąż z nieba w piekło zapada, a z pierwszego dość wspomnień boskich zatrzymać nie umie, by zwyciężyć drugie.“ Pojawia się więc pragnienie śmierci, ale śmierci oczywiście poetycznéj: „Konstanty, jabym już chciał zakończyć tę marną grę kilku myśli i kilku żywych popędów i kilku chorób, która zowie się życiem mojém; jabym rad gdzie zasnął na wieki, czy u progu jakiego kościoła, czy na jakiéj ruinie, *byleby nie w łóżku*. Tybyś kiedy zaszedł w te strony i usiadł na moim grobie! Przypomniałbyś sobie dzieciństwo, młodociane lata i żarty i szumne nadzieje; przypomniałbyś sobie, że ktoś kochał cię szczerze kiedyś gdzieś, i wstałbyś i rzekłbyś: *Pokój jemu*!“ (list z Rzymu 8 lutego 1835). W rok potém, kiedy go przyjaciel zapytywał o szczegóły życia, uśmiechnął się smutnie i te słowa w odpowiedzi przesłał: „Błądzić po ulicach, nie sypiać po nocach, ledwo słyszéć co do mnie mówią; cierpiéć wiecznie w głębi ducha, książkę do ócz zbolałych przyłożyć i odrzucić ją ze wstrętem; położyć się na sofie i słuchać muzyki Konstantego (Danielewicza), by zaraz wstać w jakiejś rozpaczy, obudzonéj pięknością dźwięków i prosić go, by przestał grać; w karty kilka minut pasować się z szyderskim niewidomym losem i karty rzucić na stół w nudzie; tysiącom myśli powtarzać jak Kartuzy: *memento mori*; drżéć na pewne wspomnienia, czasem puścić im serce, a potém odsuwać je od nich; sypać żarciki jakieś gorzkie, płonąć gorączką od nagłego gwałtownego śmiechu i zapaść w próżnię bezdenną, w milczenie kilkogodzinne: — oto masz szczegóły życia“ (str. 79).

Przy takim stanie ciała i duszy niepodobna było patrzéć na rzeczywistość nie już z miłością, ale choćby jedynie bez wstrętu. Krasiński też odsuwał się od świata, a w pojęciach swoich o poezyi wracał do dawniejszego stanowiska, śledził i przedstawiał prawdę

idealną, nie zaś prawdę faktyczną, pisał o ideach wszechświatowych, a nie o „łachmanie czasu i przestrzeni," chociaż naturalnie ów zwrot chwilowy do rzeczywistości oddziałał częściowo na sposób tworzenia. Nie są-to jedynie przypuszczenia, wyciągnięte z analizy utworów poety; mamy w listach dowody bezpośrednie, że Krasiński do dawnych poglądów na piękno powrócił. W obronie „Nieboskiéj komedyi" przeciw krytyce pisał między innemi: „Jeśli kto stosuje dzieło sztuki *do jednego tylko położenia*, *do jednego tylko kraju*, ten pisze paszkwil, polityczno-satyryczną analizę, a nie poema. Jeśli kto w poezyi pojmuje tylko *objawienie się cząstkowe czegoś*, dziś, na tém miejscu i przy owych ludziach, *a nie przyrodę wiekuistą czegoś;* ten głęboki nie jest, ten nie może zwać się poetą" (str. 104).

O ile zaś Krasiński lekceważył prawdę faktyczną, wymownym dowodem jest rada udzielona Gaszyńskiemu dotycząca traktowania historyi w powieści. Gaszyński miał zamiar napisać o Kazimierzu Puławskim w Ameryce. Krasiński pochwala ten zamiar i wskazuje, coby z postacią tą „homeryczną" zrobić wypadało. „Koniecznie — powiada tu — trzebaby naszéj epoki myśli i przeświadczenia *wetknąć mu w serce* na to, by żywotną był figurą, nietylko historyczno-rzetelną, ale i *duchowo - prawdziwą!*" Po téj radzie, którą tylko ze stanowiska czysto-idealistycznego zrozumiéć można, następuje teoretyczne niejako jéj uzasadnienie. „Przeszłość— mówi poeta—tém żyje, rośnie, nie umiera, że od każdéj teraźniejszości nowéj krwi do żył zastygłych dostaje. To jest, co stanowi następne wskrzeszenie umarłych przez żywych, na tém zależy umysłowe zmartwychwstanie tych, którzy przeminęli; a potęgą, co im w oczach ludzkich życie wraca, jest *poezya*, zanim rzeczywiście przez Boga powołani do życia powrócą w obliczu Boga samego!" (str. 217). Według naszych dzisiejszych pojęć takie odtwarzanie postaci dziejowych jest podmiotowem ich przetwarzaniem i fałszowaniem; dla Zygmunta ono dopiero stanowiło prawdę idealną, duchową.

Była atoli jedna wielka dziedzina, w odtwarzaniu któréj Krasiński nawet cienia fałszu dopuścić nie chciał i nie mógł,— była to dziedzina uczucia. Cenił on uczucie bardzo wysoko zarówno w sobie jak w innych i przekładał nad wszelkie choćby najgienialniejsze pomysły. Sferę jego wpływów może nawet zbytecznie rozciągał, ale w każdym razie chciał ją mieć świetlaną, szczytną a prawdziwą. Raz przyjaciel jego zwątpił o swych zdolnościach i zwątpienie to wyraził w słowach, iż nic nie zrobi nigdy ani myślą, ani czynem, *chyba sercem...* W odpowiedzi Zygmunta odróżnić oczywiście potrzeba chęć pocieszenia i utwierdzenia Gaszyńskiego w do-

brém mniemaniu o swym poetyckim talencie, któremu, zdaniem samego Krasińskiego, zbywało na myśli głębszéj, — od istotnych poety naszego przekonań o doniosłości uczucia w sztuce. Ale dokonawszy nawet téj, niewątpliwie trudnéj i w przybliżeniu tylko wykonać się dającéj analizy, zawsze otrzymamy bardzo obfity osad myśli, w którego składzie zasada: miéj serce i patrzaj w serce (choćby tylko własne) najprzedniejszym ilościowo i jakościowo wykaże się pierwiastkiem. „Mój drogi — odpisuje Krasiński przyjacielowi — czyż-to taka mała i nędzna rzecz szerokie, szlachetne, żyjące serce? Wśród ludzi wieku twojego, wierz mi, tyś najpiękniejszy dział otrzymał. Oni myślami jak robakami toczą duszę swoję, ty ją świeżą i gorącą zachowaj w sercu, w tym kwiecie ducha, po którego zwiędnieniu i łodyga cała pochylić się i uschnąć musi. . . Największe utwory poetyczne: Iliada, Nibelungi, Ossyanowe pieśni i zgoła wszystkie pieśni ludu tém żyją nieśmiertelnie, że są pełne uczucia. Szekspir nie ma serca, Goethe również; za to też ich dzieła tylko są piękne, oni sami niczém! Chwały im nie zazdroszczę, bo u mnie poeta, który jest tylko artystą, a nie ma nic człowieczego, jest istotą wątpliwą, zawieszoną między niebem a ziemią, wątpliwą jak małpa, wszystkich kształtów sługa doskonała a żadnego pani; istotą, któréj brak życia pod pewnym względem, przebywającą w filozoficznych raczéj niż poetycznych krainach,—słowem, abstrakcyą, ideą, wszystkiém, co chcesz, tylko nie organizmem mieszczącym w sobie pełne odbicie Boga. Jego wielkość podobną jest do tych sił ślepych natury, które pozbawione sumienia i czucia, mogą jednak światłem widnokrąg cały ubrać na pociechę ludom, albo téż wstrząść nim i strumieniami elektryczności wtłoczyć w ziemię tysiące ludzi żyjących.“ Potém, uczyniwszy wzmiankę o kilku utworach Gaszyńskiego, których piękno chwali, dopatrując jego źródła w tém, że wprost z serca wypłynęły, dodaje: „Czytaj Nibelungi, Ossyana, jak najwięcéj pieśni gminnych, nie na to, byś je naśladował lub epopeje pisał, ale na to, by te siostry przemówiły mile i domowo do brata swego—serca twego; na to, by go obwiały mgłą czułości i wspomnień jakichciś dziecinnych, by go wprowadziły w krainę, w któréj obejrzawszy się, pozna, że to jego własna, kochana. . . A kiedy wieczorem jakim lubym uczujesz, że ci potrzeba czegoś, że nie dosyć ci wzroku kochanki, siądź i pisz to, co z serca ci wypłynie, to, coby musiało łzami wypaść ci z oczu, gdyby słowami nie wyszło z pod pióra; a to będzie pięknem, serdecznem, własném twojém i to ludzi do łez poruszy. A kto zapłacze czytając ciebie, ten już na całe życie wdzięczny ci będzie“ (str. 100—102).

Rzecz naturalna, że poezya z takich natchnień powstała zależy głównie od rodzaju serca poety; jeżeli ono będzie nikłe i słabe, to i natchnienia przez nie wywołane na wielkie koła działać nie zdołają; jeżeli będzie wielkie i potężne, to może do całego narodu przemówić.

Sam Krasiński w twórczości swojéj rzadko wyrażał jednostkowe natchnienia serca, a i to przeważnie w utworach, których św[ia]domie do druku nie przeznaczał, dzieląc się niemi z przyjaciołmi lu[b] kochanką; gdyż oprócz teoryi uczucia tkwiło w nim niewątpliwie ciągle zdanie, w zaraniu młodości wypowiedziane, iż poezya o głębokich myślach jest jedyną, któréj wieki czołem biją (str. 16), i drugie o parę lat późniejsze, że „moc nad sobą samym jest poezyą dojrzałości, jak rozpasanie wszystkich uczuć jest poezyą młodości“ (str. 51).

III.

Taż sama skłonność do uogólnień szerokich, ten sam wstręt do szczegółów, do odróżnień, do faktów pojedyńczych widzimy także w społeczno-politycznych poglądach Krasińskiego. Wypływało to, jak ze wspólnego źródła, z jego temperamentu. Zepchnięty okolicznościami z widowni działalności politycznéj, na któréj w wieku młodzieńczym mógł miéć nadzieję rozwinięcia swych talentów, tęsknił przez życie całe, jak skrępowany Tytan, do czynów i zarówno w listach jak i w utworach poetycznych zarzucał pieśń, aby do czynu się zabrać, ale nigdy uskutecznić zamiaru tego nie mógł, zawsze zmuszony pozostać w zakresie myśli tylko, uczuć i pragnień. Interesował się wielce spółczesnemi w Europie wypadkami, pilnie czytywał dzienniki i broszury polityczne, i tu jednak okazywał szczególniejsze zamiłowanie do takich dzieł, które z najogólniejszego punktu rozbierając zdarzenia dziejowe, albo podawały pewne formuły pojmowania świata historycznego, albo prorokowały o zmianach, jakie na ziemi zajść koniecznie muszą (1). To téż dusza jego ciągle przeczuć była pełna, ciągle oczekiwała czegoś, co miało przetworzyć świat, a przedewszystkiém Europę. W stosunku do istniejącego porządku rzeczy zajął wcześnie Krasiński stanowisko nieprzyjazne, lubo doskonale pojmował, że on sam w piersi nosi pierwiastki, które mu w świecie spółczesnym wstrętnemi były. „Wieku mojego nie cierpię—pisał raz do Gaszyńskiego—a jednak wszyst-

(1) Książki takie nazywał Krasiński żartobliwie: rodzajem filozoficzno-polityczno-historyczno-Lapradowo-uniwersalnym (str. 243).

ko we mnie zgodne z wiekiem, w którym żyję: te same rozhuzdane żądze i niemożność ta sama, te same pół-wiary i pół-błyski rozumu i ta sama nuda ogromna, straszna, piekielna, zimna jak lód, pożerająca jak ogień" (str. 75).

Trudno z zupełną ścisłością oznaczyć datę, kiedy Krasiński wyrobił sobie to nader o wieku XIX niepochlebne pojęcie; tyle wszakże można zauważyć, że przed rokiem 1833 oprócz pewnego odcienia bajronizmu, jaki rzucił na duszę poety wieszcz angielski, oprócz smutków i bólów wynikłych z indywidualnych stosunków, nie widzimy ani w poezyach ani w listach Zygmunta tego pesymistycznego poglądu na cywilizacyą spółczesną. Dopiero po powrocie z kraju w roku 1833 powstaje *Nieboska Komedya*, będąca skupionym obrazem przekonań polityczno-społecznych Krasińskiego, a równocześnie w listach pojawiają się bardzo wyraźne wskazówki tychże samych pojęć.

Widzieliśmy poprzednio, jak zmieniła się w umyśle Krasińskiego ocena wypadków krajowych z r. 1831, jak mianowicie dążności i osobistości stronnictwa demokratyczno-rewolucyjnego znalazły w nim surowego krytyka. Ocena ta wynikać oczywiście musiała, w takim jak Krasińskiego umyśle, z ogólnych poglądów. Wtedyto powstała w nim właściwa mu, chociaż nie oryginalna, teorya zachowawczości i rewolucyjności, arystokracyi i demokracyi. Punktem wyjścia dla teoryi téj były objawy jakobinizmu we Francyi z r. 1793; widać to i z obrazów w *Nieboskiéj komedyi* zawartych i z bezpośrednich wzmianek w listach (1). Lecz naturalnie w umyśle Krasińskiego nastąpiło natychmiast uogólnienie, obejmujące sobą wszystkie czasy i ludy ucywilizowane, przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, czyli innemi słowy, uogólnienie absolutne. W *Nieboskiéj Komedyi*, zdaniem samego poety, nie przejawia się zasada arystokratyczna lub demokratyczna w swoim kształcie doczesnym, ale „tak jak jest wiekuiście w duchu ludzkości" (str. 104),

Wedle tak uogólnionego pojęcia dwu zasad, arystokracya pomimo wszelkie błędy, wady i występki jest przedstawicielką dodatniéj pracy, wznoszącéj gmachy wytrwale, z zaparciem się siebie; demokracya zaś pierwiastkiem niszczącym i burzącym, podnietą egoistycznego używania dóbr materyalnych. Według poety *Nie-*

---

(1) Por. cytatę wyżéj przywiedzioną, do wypadków krajowych odnoszącą się, a prócz tego odpowiedź na zarzut Leona Ulrycha, iż rok 1793 skonał. „Skonał — mówi poeta — jako zjawisko, żyje jako systema. Wierzę, iż Leon jego powrotu nie pragnie, iż Leon zna się z takiemi, którzy rzecz tę uidealizowali; tém bardziéj się pomylił, bo masa nie idealizuje, ale idzie naprzód i żelaźnie stąpa" (str. 105).

boska Komedya „jest-to obrona tego, na co się targa wielu *hołyszów*: religii i chwały przeszłości“ (str. 37). Z dziejów rzymskich ma wynikać nauka, iż „patrycyat choć srogi, nieubłagany, egoista, miał cnoty wielkie, znał, co to poświęcenie dla swojéj idei, co to walka długa, uporczywa i śmierć bez trwogi,“ że „lud i Cezar, (który był niegdyś reprezentantem ludu) nie znali nic, nie umieli nic, byli zwierzętami zataczającemi się wśród krwi i złota“ (str. 37). Z historyi rewolucyi francuskiéj ma być rzeczą jasną, „że żaden z aktorów tego strasznego dramatu nie odegrał zamierzonéj roli,“ że usłyszéć w nim można „burzę słów, wrzasków,“ ale nie ujrzy się „żadnéj ostatecznéj budowy“ (str. 44). Reformatorowie rewolucyjni łudzą się tylko, że coś tworzą. „Wielką pomyłką niszczycieli i zwykłą im w czasach cywilizowanych, to, że się mają za ludzi poczciwych i za restauratorów, za wskrzesicieli, za budowników. Oni są tymczasem tylko narzędziami do tortur rodu ludzkiego — i sam ród ludzki kiedyś niemi wzgardzi, jak my dzisiaj gardzim kratami i łańcuchami gotyckich więzień.“

Republikańska forma rządu wydaje mu się niemożliwą; nie istniała ona naprawdę w czasach dawnych, nie istnieje i istniéć nie może obecnie. „W starożytności— pisze do przyjaciela—nigdy rzeczypospolitéj nie było takiéj, jak ty ją pojmujesz, to jest wolnéj: Rzym był wieczną walką patrycyatu i plebis; Sparta — wieczną patrycyatu przewagą; późniéj Wenecya się zdarzyła, była-to tyrania kupiecka; Stany Zjednoczone Ameryki *dziś* (r. 1834) *już się chwieją*... Z jakich ty ludzi złożysz rzeczpospolitą we Francyi? Czy z *kupców*, którzy panują; czy z *robotników*, którzy w warsztatach pracują dzisiaj? Bo nikogo więcéj już nie widzę na téj ziemi, a przyznasz mi, że ni jedni, ni drudzy nie zdali się do porządku rzeczy, wymagającego największych poświęceń. Pierwsi są chciwi i srodzy, bo władną; drudzy są chciwi i namiętni i okrutni, bo cierpią. Przy takim stanie świata, dwa systemata być mogą tylko: despotyzm i anarchia, ale rzeczypospolitéj być nie może, osobliwie w kraju tak rozległym, tak ludnym, tak żyjącym interesem. Marne-to marzenia i gorzéj niż marzenia, bo słowa tylko.“

Z arystokratyczno-poetycką wyniosłością traktuje Krasiński stan trzeci. „Proszę ciebie— pisze do Gaszyńskiego— napisz mi poemat o episierze! Chyba komedyą, chyba farsę zdołasz. Cały wiek nasz jest episierski, kupiecki, materyalny w najwyższym stopniu; cała literatura francuska krawcem cuchnie, stąd téż idzie, iż w niéj doboru i gładkości (?) żadnéj niema, szczytności żadnéj, ale są talenta na równą wykształcone stopę, są umysły fabrycznie wyrobione i mnóstwo ich takie jak towarów w sklepie. Nic śmieszniejszego

nie znam od téj namiętności, o któréj wspominasz, z którą kramarze kwapią się naśladować ubiór, poruszenia, słowem układ cały szlachty przeszłego wieku."

Jeżeli zaś stan trzeci we Francyi nie podoba się poecie, to surrogat stanu trzeciego w Polsce obrzydzeniem go przejmuje; bo stan średni francuski „ma swoje dzieje ogromne i straszne i odważne za sobą," bo „episier we Francyi może ci czterdzieści lat zwycięstw przytoczyć i nazwać je swojemi;" w Polsce nic podobnego znaleść nie można. Przedstawicielem tego stanu w Polsce jest, według poety, głównie przechrzta lub rzemieślnik pochodzenia niemieckiego. „W Polsce tiers-état jest nienarodowy, przybył albowiem z Niemiec lub z Palestyny; własnegośmy nigdy nie mieli. Wdarł się on do Polski z prawami cudzoziemskiemi, odwoływał się do Magdeburga, zarzucił Polskę cudzoziemszczyzną, zdobył Polskę i zgnębił ją moralnie i ducha słowiańskiego, rodzimego w niéj zatarł. Dziś jeśli znaczne czyni postępy i drze się do potęgi, nie sobie to samemu winien, ale obcym, którzy polegają na jego *podłości*, na jego *nienarodowości*." W szczególności zaś o przechrztach wyraża się w sposób jak tylko można najpogardliwszy: „Wierz, co do komiczności, co do napuszenia się, niema w żadnym kraju równych ludzi przechrztom naszym. Jest-to osobny i ze wszystkich bezczelnych najbezczelniejszy ród, który krajem wreszcie owładnie..." Opisawszy jednego z takich, wytknąwszy popisywanie się herbem na wszystkich przedmiotach, wystawianie na pokaz całego swego bogactwa, odgrywanie wszędzie roli wielkiego pana, w końcu dodaje: „Lecz z tém wszystkiém żyd nie zdoła zataić pewnych przycisków w mowie, pewnych poruszeń w grzbiecie, pewnych usterków w chodzie, które go biegłemu oku wydadzą za kuzyna Rotszylda." To są rzeczy tyczące się powierzchowności. Na wyśmianiu ich poeta nie poprzestaje; stopniowo przechodzi do cech towarzyskich, społecznych i narodowych: „Zanadto niegrzeczny i dumny na prawdziwego szlachcica; godności żadnéj w postawie, wciąż gada o pieniądzach i sypie stami dukatów, nie z worka ale z gęby. Ta dziwna mieszanina złota zewnątrz a błota wewnątrz dziś (r. 1837) panuje w Warszawie.... Usługa największa, którą oddać można krajowi, zależy na tém, by przechrztom i przemyślnikom nie dozwolić monopolu wszelkich bogactw i wpływów moralnych w Polsce, a trudniejsza to i cierpsza walka niż oręžne boje" (str. 120, 121).

Pierwiastkami zdrowemi w narodzie są jedynie szlachta i lud. „W szlachcie—powiada Krasiński— jest zwykle potęga, hart, to, co składa pierwiastek bohaterski narodu. Nie w prawnikach, nie w kupcach, nie w izbach, sądach, nie w sejmach, ale w szlachcie jest bo-

haterskość, w szlachcie albo w prostym ludzie. Ale też z prostego ludu po wszystkie czasy, z lemiesza i roli, nie zaś z bruku i rzemienia, wywijała się szlachta. W prostém, wieśniaczém plemieniu — zaród wszystkich wielkości narodu. Ten zaród gdy się z błota otrząśnie, a zachowa twardość i połysk żelaza, szlachtą mianowany bywa.... U nas chłopem w ostatnich czasach i szlachtą, w dawniejszych samą szlachtą wszystko się stało.“ Poetę w tym fakcie uderza i zajmuje jego strona malownicza: „coś w tym składzie rzeczy jest starożytnego, rzymskiego, greckiego, coś, że tak powiem, wielkiego.“ Ten skład rzeczy jak dawniéj wydał doskonałe owoce, tak i obecnie zbawienie przynieść może; poeta nie przypuszcza, żeby formy stare mogły się przeżyć w życiu społeczno-polityczném, chociaż pod innemi względami ideję rozwoju, ideję przetwarzania się i treści i kształtu z biegiem czasu i wypadków najzupełniéj uznaje, a nawet w przeczuciu zmian powszechnych na ziemi abstrakcyjnie i zmiany polityczno-społeczne widzi, tylko ich bliżéj określić nie umie. Co do kraju własnego Krasiński twierdzi stanowczo, że „jeśli stare rody wygasną i znikczemnieją, zostaną piaski polskie, ale Polska już nie powstanie.“ W szlachcie tylko widzi ocalenie kraju; w pogodzeniu się jéj i w pojednaniu z ludem wiejskim dostrzega „jedynego zarodu siły;“ w przewodniczeniu jéj nad tłumami upatruje „jedyny zakład przyszłéj, lepszéj doli.“ — W utworzeniu tych poglądów, które późniéj w Psalmie Miłości znalazły swój zwięzły wyraz (Z szlachtą polską polski lud!) brało udział zarówno szlachetne serce poety pragnące polepszenia doli ludu, jak i umysłowy wyrozumowany nałóg do tradycyjnego pojmowania stosunków społecznych na sposób średniowieczny; ideja równouprawnienia wszystkich nie znalazła w nich ani wyznawcy ani zwolennika. Rozumiał on dobrze, iż przywiléj obowiązuje, ale w każdym razie potrzebę przywileju uznawał.

Z tego względu działalność stronnictwa demokratycznego wydawała się mu zgubną dla kraju. Apostołów idei demokratycznéj poczytywał za wartogłowów. Według niego małpowali oni tylko zagranicę, nie znając istotnych potrzeb kraju. „*Jurare in verba magistri*—powiada—oto dewiza naszych republikanów. Przyznaję im, że łatwiéj baranów torem iść na oślep za czemsiś lub kimsiś, niż własną, prawdziwą sobie obrać drogę. Ale łatwość nie jest narzędziem dobrém w ręku człowieka, palce od niéj mięknieją i woskiem się stają; praca myśli i rąk to jest przeznaczenie ludzi. U nas wielkie panuje lenistwo, wiara nasza często bywa lenistwem, a nie uniesieniem.... To tylko prawdą dla narodu być może, co wypływa z jego historyi, co wyrosło na jego polu, jak zboże lub sośniny. Ktoby

cukrową trzciną chciał Mazowsze zasadzić, byłby szalonym; nie mniéj szalonym, kto cudzemi politycznemi sposoby chce w Polsce działać, cukru z tego nie będzie. Wzrośliśmy szlachtą i upadliśmy szlachtą; przez nią się podźwigniem, przez to, co jest nami samemi“ (str. 118—121, list z 6 lipca 1837).

IV.

Korespondencya Krasińskiego z Gaszyńskim od r. 1839 do 1848 jest bardzo obfita, lecz nie przedstawia tyle interesu co części poprzednie pod względem pojęć i poglądów ogólnych; zajmuje natomiast wielce szczegółami odnoszącemi się do twórczości poetyckiéj Krasińskiego, do oceny talentu innych przez niego, do faktów życiowych większéj i mniejszéj wagi.

W tym przeciągu czasu umysł naszego poety nie uległ już zmianie; poglądy na religią, politykę i poezyą pozostają też same; a wypadki, czy to na wielkiéj europejskiéj czy na malutkiéj naszéj widowni zaszłe, umacniały go jedynie w téj sferze pojęć, jakie sobie poprzednio wyrobił. Rok 1846 w Galicyi, który przeczuwając chciał „Psalmami“ zażegnać, podziałał nań przygnębiająco, lecz zarazem dał mu w ręce silną broń przeciwko stronnictwu demokratycznemu. List z 1 marca 1846 z Nicei pisany wyraża tylko straszny stan niepewności: „Ja jak waryat chodzę, od kiedym przeczytał we wszystkich gazetach, co się stało; myślę jednak, że nie koniec na tém, zobaczysz, że nie; i ja czuję, jakobym konał, ale nie tak jak ty bez nadziei w przyszłe życie. O sobie wiem, że skonam i to może w mękach, ale wiem też, *że idea zwycięży*. Przegranemi zwycięża ona! To, co ma na wieki zwyciężyć, musi przed dniem tryumfu cierpiéć, w bólu się kształcić, męczeństwem się wyrabiać. Prawda, że u nas nie tylko czysty ból i czyste męczeństwo, głupstw rozmaitych domieszanie wielkie; ale *któż w świecie kiedy oglądał masy rozumne i subtelne*? kto widział naród nieszczęśliwy, któryby potrafił być jednym człowiekiem stanu... Przyznasz, że jest opatrzność nad *psalmistą*, kiedy dotąd nie powiesili harfy na wierzbie płaczącéj; harfą zaś jest sam człowiek“ (str. 256) W drugim liście jest już sarknięcie na lud, który Pola straszliwie poranił: „tak mu się odwdzięczył ten lud, o którym z taką czystą miłością śpiewał biedny Janusz;“ poeta w téj chwili rozżalenia ani mógł pamiętać o tém, iż ten lud o owych wylewach czystéj miłości nic a nic nie wiedział. Następnie jest i ciche sarknięcie na rząd austryacki: „pięć reńskich kosztuje głowa szlachcica polskiego, i lud ruski zakończył sprawę,

na targ ten zgadzając się.“ Najdotkliwiéj zaś przymawia emigracyi, iż gorzéj swarliwa niż kiedykolwiek. „Czyż wstydu nie mają? czyż hańby się nie lękają. Kto kiedy rozdzielony czego dokazał? i czyż najżarliwsi nawet przyjaciele nasi nie zdumieją się nad niewyleczoną anarchią naszą? czyż nie poznają po tym znaku, że *u nas organizmu żywota niémasz*? Nas zabijają, a my się dobijamy!“ W jednym z późniejszych listów (25 marca) już zię z żalem przeciwko demokratom nie powstrzymuje, ciesząc się, iż wypadki owe okropne oddziałają zbawienie na emigracyą: „Demagogi pójdą w psy — powiada — pokaże się, jaki skutek ich przesadzonéj złéj wiary, nie-Chrystusowych pojęć, małpiarstwa 93 r. i hajdamaczyzny; nachylą się umysły, wziąwszy przeważnym i krwią zlanym czynem stu osiemdziesiąt trupami szlacheckiemi w pysk, ku przekonaniu, że jedność ześrodkowana w władzy jakiejś potrzebna, i że duch szlachty polskiéj bohaterski, poświęcony, bezprzesądny, wyższy milionkroć od wścieklizny zwierząt rozpasanych z jednéj strony, a od wścieklizny zwierząt ukonstytuowanych z drugiéj. I Europa i Francya i emigracya uwierzą w to; ale w kraju straszny rozszczep, straszny rozstęp, straszna nienawiść, rozstrój, bodajby nie otchłań między szlachtą a chłopstwem!“ (str. 264). Następnie 14 kwietnia przychodzi kolej na posądzenie „demagogów“ o przedajność i zdradę: „Powiem ci szczerze, żem przekonany, iż śród owych demagogów gęsty deszcz jak na Danae sypany z rubli działa i że kiedyś wyświeci się, że tam istniała zbiorowa zdrada, Judasz z kilkunastu złożon, apostazya, o jakiéj dotąd świat nie słyszał.“ (str. 270). Wreszcie 30 maja rzuca potępienie na emigracyą: „Co to za małości, głupstwa i ohydy dzieją się w emigracyi! Takiemi sposoby umrzéć można najżywotniejszym, cóż dopiero w grobie pochowanym chcieć odżywać... Lepiéj-by rzędem długim stanęli i w łeb sobie jeden po drugim palili! prędzéj-by się zbiorowe samobójstwo odbyło; rozpacz-by usprawiedliwiała szał chwilowy... U nich najświętsze i najmędrsze zasady powinny się były wyrobić... I cóż? Jak przekupki pod straganami krzyczą i lżą siebie nawzajem, lub gdy ruszą czynem, czyn tęn drobny, a pełen zawiści i brudu... Smutno, smutno mi—dodaje—powiedz na pociechę co, *okpij mnie*, a pociesz...“ (str. 286).

Od r. 1839 do 1842 trwa stosunek miłosny Krasińskiego z Delfiną Potocką, rozpoczynający się od humorystycznego listu, w którym jest wzmianka o grobie, a kończący się prawdziwym nekrologiem. 10 stycznia 1839 donosił poeta Gaszyńskiemu, że wspólny ich przyjaciel Konstanty Danielewicz za dwa miesiące niezawodnie się żeni. „Każ tam mszę zmówić za niego—dodaje—bo wiesz: kiedy za którą zawołają; żono!.. A ja mówię:

Kiedy na kogo świśnie piekła wąż,
Stracił wolność:—Ty mąż, ty mąż, ty mąż!“

Potém następuje półroczna z górą przerwa w korespondencyi z Gaszyńskim. Przerwę tę zapełniają listy do Sołtana, w których poeta opowiedział dość szczegółowo początki zapoznania się z Delfiną aż do téj chwili, kiedy mimo omówień przyznał się, że ją kocha „na zawsze.“ Potém znajdujemy przerwę w listach do Sołtana, uzupełnioną obecnie w listach do Gaszyńskiego przynajmniéj w najogólniejszych zarysach. Pierwszy list 19 września z usprawiedliwieniem się rozpoczął Krasiński od wierszy:

Nie kłuj mnie w serce wyrzuty cierpkiemi...
Ten tylko pisze, kto żyje na ziemi:
Ja nie na ziemi żyłem ale w niebie,
Dlategom, drogi, nie pisał do ciebie!
Znów wąż mię oplótł, wąż jak świat nasz stary,
Znów piłem szczęście z złotéj trucizn czary!
Gdy księżyc wschodził, szedłem na gór szczyty;
Czoło me kładłem na śpiące błękity,
Gwiazdy-m brał w piersi i tysiąc serc miałem,
Wszystkiemi czułem, wszystkiemi śpiewałem.
I nad mórz włoskich złoconą otchłanią
Witałem inną, duszy mojéj panią.

Prozą zaś dodaje króciutkie, ogólnikowe objaśnienie: „Życie jest ciągłém rozwijaniem się dalszych scen i uczuć. Długo-by tłómaczyć trzeba, jak to słowo *kocham* spadło jak piorun na mnie, jak późniéj z pod tego piorunu najpiękniejsze kwiaty południa wydobyły się z ziemi etc.“ (str. 145). W dalszych listach zwierzenia miłosne ustają, miejsce ich zajmują zdania o różnych dziełach: o artykułach Gaszyńskiego, poezyach Słowackiego itp., potém znów kilkomiesięczna przerwa; a na wielkanoc r. 1840 nowe usprawiedliwienie się tém, że przez całą zimę wciąż był w ruchu, ciągle na drodze między Romą a Partenopą, tam i stamtąd, że nieraz był smutny, często chory i bardzo chory, choć nie na oczy, choć nie w łóżku, że się w końcu przekonał, iż ma solitera w sobie. W dalszym ciągu zwraca się z tęsknotą wielką do wspomnień młodości, któréj nic zatrzéć nie zdołało, nawet oczekiwane błogosławieństwo papieża *urbi et orbi*, bo oto między jego oczyma a kościołem ś. Piotra staje „obraz łąki zielonéj, rowu pełnego niezabudek rosnących wśród pokrzyw, olszyny rozsypanéj po bagnie za rowem i drewnianego kościołka, w którym przed laty wyśniła się wielkanoc“ jemu, dziecku. I te wspomnienia stron rodzinnych i śpiewu skowronka w Opinogórze i słońca wiosennego

nad równiną wielką melancholicznie nastrajają poetę, któremu z pod pióra wypływa skarga:

Mnie smutek zabił, mnie gorzkie koleje,
Mnie gwałt namiętnych, nieskończonych marzeń,
Mnie krok leniwy ognuśniałych zdarzeń,
Co wyrwał z serca nadziei nadzieję!
Jam pił zanadto z krynic mętnych łzami,
Za dużo trumien przeszło mi przed wzrokiem..,

Dopiéro w samym końcu listu, prawie w dopisku kryje się niewyraźna wzmianka o wzruszeniach miłosnych: „Co do mnie, Konstanty, o ile podobna na ziemi, o tylem szczęśliwy nieraz, a nieraz nieszczęśliwy! Nie inaczéj płynie tajemnica życia!“

I znowu czteromiesięczna przerwa. W tym czasie pomiędzy wyjazdem z Włoch a powrotem do nich tak ciągle „ruszał się żwawo i wielolicznie,“ że nie miał „chwili żadnéj próżnéj tj. zdolnéj do wzięcia pióra do ręki.“ W Karlsbadzie dostał „ataku cholerycznego,“ który go na 15 godzin czucia pozbawił; jedynie zażywszy ogromne dozy opium wrócił do zmysłów. W następnych listach z r. 1840 raz tylko mówi o swéj ukochanéj i to głównie z powodu, iż w ich rozmowie Gaszyński ważne zajął miejsce. „Wczoraj wieczór (list z 23 grudnia) byłem sam na sam z istotą niezmiernie w duchu potężną i w piękność, która przyjacielem mi jest, lub jeśli wolisz, przyjaciółką; i ta istota wypytywała mnie się o uniwersytet warszawski z r. 1829. Oddawna, oddawna już te obrazy nie snuły się w wyobraźni mojéj; wskrzesiłem je na zapytanie dobrze życzącéj mi duszy i ciąg ten cały opowiadałem i ciebiem musiał postawić na nogi, opisać, opowiedzieć tę scenę, w któréjś mnie wyrwał z pośród zawziętych, Bóg święty raczy wiedzieć za co, na mnie... Otóż kiedym opowiadał, naglem uczuł się dzieckiem, naglem uczuł się w tych salach uniwersyteckich i twoja postać żywa, ruchoma, szczera, młodociana stanęła przedemną; a ponieważ mam czasem dar przelewania własnych wrażeń w cudze serca, zapewnie stanęła także przed wzrokiem słuchającéj i słowo takie z ust jéj wypadło: jaki dobry i szlachetny! Posyłam ci to słowo, zarazem jako wspomnienie i jako życzenie, bo dobrą jest wróżbą, gdy przy końcu roku piękne usta imię czyje wymówią z zapałem. Mnie zaś stały łzy w oczach, łzy wdzięczności dla ciebie“ (str. 172).

Oprócz téj wzmianki niéma zresztą w listach do Gaszyńskiego żadnych zwierzeń miłosnych przez czas bardzo długi, natomiast często słyszymy skargi, że „życie gorzkiem jest, bo trzeba zapominać

o przeszłości, bo trzeba oddzierać ją od ciała, jak koszulę Dejaniry, za którą mięsa kawały idą,“ że wiele nieznanych cierpień wytrzymał, że czasem w ciągu życia chciało mu się śmierci, że wiecznym faktem istnienia jego jest ból i ból i ból jeszcze. „Im daléj mogę się od siebie samego odstrychnąć—powiada—im bardziéj zapomniéć o wszystkich dziejach moich, tém mi lżéj, lepiéj.“ Dopiéro w listopadzie 1841 r. powraca z miłością do tych dziejów własnych i opowiada, jak każdą chwilę starał się wyzyskać, by nie upłynęła marnie: „Ja przebyłem półtora miesiąca na szczytach gór, nad zwierciadłami jezior, kąpiąc się w słońcu i księżycu, rosnąc w otuchę, że świat stworzony, świat skał i wód pięknym jest, pocieszając się jego widokiem; przeszłość, za którą tęsknię, i przyszłość, któréj się lękam, odsuwając z przed ócz ducha, *moment starając się uwiecznić*, stawiając go sobie przed duszą, jak posąg greckiego Boga, doskonale pięknie, choć ściśle skończony, i *modląc się przed tą znikomą teraźniejszością*, i czując że jeszcze mogę być szczęsnym, natchnionym, żem jeszcze nie umarł wieczną śmiercią ducha“ (str. 190). Przez cały styczeń 1842 „ogarniony nadzwykłém natchnieniem“ (1) żył tak, że „mu jedną godziną, snem jednym był ten miesiąc cały.“ Drogo atoli musiał „losom zapłacić za tę rozkosz ducha.“ Zachorował Danielewicz. W lutym i Krasińskiemu „krew strasznie zaczęła tłuc w głowę“ 19 lutego w sam dzień i godzinę urodzin poety, dostał „apoplektycznym buchem krwi w głowę“ i padł; krew mu puszczają; wieczorem poraz drugi pada na posadzkę i znowu upust krwi. Danielewiczowi było co raz gorzéj, nastąpiło chwilowe polepszenie, poczem 27 marca „w sam dzień Zmartwychwstania pańskiego, otworzył oczy zamknięte oddawna, spojrzał w górę, w niebo, w Boga, i westchnął lekko, bardzo lekko! Tém westchnieniem, wśród nas śmiertelnych przemienił się na nieśmiertelnego“ (str. 194).

Po chwilach uniesienia w życiu, po napisaniu *Przedświtu* nastąpiło osłabienie straszne, a co zatém zwykle idzie u natur nerwowych, zwątpienie o sobie. W mózgu ciągle „rozdrażnienie nerwowe“, ledwie kilka liter nakreśli, a już mu „głowa się kręci i mózg pęka;“ poeta nazywa siebie „ruiną.“ Po stracie jednego przyjaciela zatęsknił za widokiem drugiego; spotkanie z Gaszyńskim w Nicei nastąpiło w końcu października 1842, ale trwało krótko; po odjeździe druha, poetę „porwała melancholia i niemoc do wszelkiéj pracy.“ Ile chmur na niebie, tyle w mózgu jego myśli ponurych. Gdy przybył do Rzymu pod koniec tego roku, znowuż krew uderzyła do mózgu. „Od

---

(1) Właśnie tworzył „Przedświt.“

dwóch tygodni—pisze 28 grudnia—rozpaczam, gryzę się, głowę wciąż ręcznikami mokremi obwitą trzymam... Przytém wpadłem w głęboką melancholią, bo widzę, że miasto iść naprzód, cofam się... Nieznośném mi życie! Życie bez celu i bez sił a z żądzą wrzącą w piersiach jest piekłem już z téj strony grobu."

Tymczasem ojciec Zygmunta robi projekta ożenienia i wzywa syna do kraju. 24 marca 1843 pisze poeta do przyjaciela: „Ojciec mnie listami oblega, codzień jeden, a coraz-to bliższy odbieram; jak głos przeznaczenia porywającego mnie te listy!" Pod wpływem złych przeczuć, poeta staje się zabobonnym. Ukazała się wtedy kometa, zupełnie nowa, nieznana dawniéj, jak utrzymywano; Zygmunt sądzi, że ona w jego życiu indywidualném pokazała się „jako przegroda między przeszłości szczęściem a trudami przyszłości, światu zaś jako znak dzielący przeszłe trudy od szczęścia." W kwietniu 1843 miał zjechać się poeta w Rzymie z ojcem; dążąc do wiecznego grodu, z Livurna pisał do Gaszyńskiego: „Nie uwierzysz, jak się rozkochałem w naturze nicejskiéj, w konnych przejażdżkach po tym gór kolizejskim okręgu; chciałbym tam willę kupić i skrytą i cichą, tam zapomniéć, że świat pełen ruchu i trosk i łez i walk:—ale to są sny marne, próżne westchnienia; dola mnie moja porywa na ocean łez gorzkich, między skały rozbicia." Z Rzymu zaś te znaczące przesyła słowa: „Czasu mało mam; cały dzień na służbie-m u ojca i u innych... Atmosfera, co mię owiała, zarazą morową na stróny (1); lecz ja nie dam się zabić, raczéj ta atmosfera cała pęknie."

Na chwilę wprawdzie, na chwilę błyskawiczną, z niewiadomych wpływów wydał się poecie „nieco piękniejszym świat zewnętrzny, nieco przyszłość mniéj czarną," bo o niéj nie myślał; ale niebawem, bo w pięć dni po zapisaniu tych słów kilku, znowu czytamy, że serce jego cierpi i znękaném jest, że mu nieznośnie, coraz nieznośniéj i okrutniéj w miarę jak dłużéj żyje na świecie, przyczém spotykamy objaśniający dodatek, że poeta każdéj chwili może *być zmuszonym* do wyjazdu (str. 221). Na początku drugiéj połowy roku 1843 udał się Krasiński do Drezna, gdzie, jak wiadomo, zawarł śluby małżeńskie z panną Elżbietą Branicką; poczém razem pojechali do kraju.

W korespondencyi z Gaszyńskim następuje całoroczna przerwa. Poeta siedział czas jakiś w kraju, lecz konieczność ratowania zdrowia, jak nie mniéj potrzeba swobodniejszego oddechu pchnęły go znowu za granicę. Cierpienia trwały ciągle i zmuszały do ustawicznéj zmiany miejsca. Oprócz bólów fizycznych dolegały mu i bóle mo-

---

(1) Krasiński przesyłał wtedy Gaszyńskiemu, zajmującemu się wydaniem *Przedświtu*, różne poprawki i dopełnienia do tego poematu.

ralne, wywołane już-to jego uczuciami indywidualnemi już-to wyjątkowém położeniem.

Zdaje się, że miłość do Delfiny Potockiéj wywołała teraz, po ożenieniu się poety, przykre dla niego komentarze. „Ruszyć się nie mogę—pisze poeta—żeby chmura plotek mnie nie ścigała, a mniejsza o to, że mnie, ale patrz, zaraz dotyka i inne osoby, nawet Elizę, i takim sposobem szkodzę rad-nie-rad tym, których najwięcéj miłuję.“ Plotki te wymusiły na Krasińskim gorzką skargę: „Nie można na téj ziemi kochać szczerze, miéć przyjaciół, sercem odpłacać kilku sercom za przywiązanie, żeby natychmiast syczące gniazdo żmij, zwane światem, nie upatrywało w tém czegoś dziwnego, spaczonego, nadnaturalnego. Miłość, przyjaźń, przywiązanie szczere i stałe znać to cuda u ludzi. Niechże i tak będzie—u mnie to naturalne uczucia. Oni zawsze miłość mieszają z miłostkami, bo tylko drugie pojmują sami, a pierwszéj nie znają“ (str. 231).

Wyjątkowe położenie Krasińskiego utrudniało mu swobodę ruchów. Wymownym tego przykładem jest jego wyjazd do Paryża w r. 1845. Zanim przyszło do uskutecznienia tego tak napozór prostego zamiaru, ileż-to upłynęło czasu, ile wymieniono listów między poetą a Gaszyńskim, ile zastrzeżono ostrożności, ile przetrawiło się przestróg i napomnień. Krasiński przybrał pseudonim Sigismond Crasne i dla tego pseudonimu stara się przez Gaszyńskiego wyjednać paszport, a gdy się to okazało niemożliwém, inną drogą dostaje go; w listach, o Crasnem mówi jako o trzeciéj osobie; na wszystko błaga i zaklina przyjaciela, ażeby się nie wygadał. „Pomnij—pisze—na zgubny żywioł paplarstwa rozlany po naszych piersiach! pomnij, żeśmy z ludów najgadatliwszym, a że mamy do czynienia z ludem z ludów, najskrytszym, najmilczniejszym. Zatém pojmiesz, Konstanty drogi, że Crasne nie może inaczéj, jak za pomocą absolutnéj twéj dyskrecyi i absolutnego *alibi* przybyć uściskać cię.“ O stronnictwach zaś polskich w Paryżu powiada: „W takim usposobieniu ducha, bez chęci zaszkodzenia, ale przez samę ślepotę i wyłączność i namiętliwość gotowe zgubić człowieka, wydać go, rozkrzyczéć, czy chwaląc czy ganiąc, czy uwielbieniem czy potępieniem nadto głośném z nóg go ściąć i ścieżkę zamknąć przed nim przyszłości.“ Więc raz jeszcze prosi Gaszyńskiego, bardziéj niż kiedykolwiek „o zęby zaciśnięte nad językiem.“ „Pamiętaj—dodaje—możesz w nieskończoność złego wepchnąć tego, który zawsze cię kochał“ (str. 238).

Cierpienia trwały nieprzerwanie, zwiększając się i zmuszając poetę do używania środków ukojenia coraz silniejszych. Mianowicie ten nieszczęsny pod tylu względami rok 1846 bardzo dotkliwie i w kronice bolesnéj Krasińskiego się zapisał. W maju pisze: „Zdro-

wie moje nędzne, a myśl jeszcze nędzniejsza. Upadam pod ciężarem życia, ze wszystkiém podobnego do śmierci, z tą jedną różnicą, że spokoju śmierci niémasz w niém... Dostałem choroby podobnéj do téj, która cię często nęka; czuję się niebytem i próżnią i trupem, gniję i kwaszę się i chudnę; z nadziei moich wygnany, błąkam się i tułam! Grobu kamień czuję na piersiach! zamknął mi piersi, zadławił duszę, zadusił myśli, roztarł w proch słowa—i leży i cięży i wpycha gdzieś pod ziemię (str. 27). Nic mnie nigdzie nie nęci, świat mi pustynią, pustynią, w któréj tu i owdzie rozrzucone leżą trupy galicyjskiéj szlachty. Nie od dzisiaj z wieloliczných powodów się już męczę, ale dzisiaj zdaje mi się, że się domęczę, i tém lepiéj. Całe życie byłem nieszczęśliwą Kassandrą, a nie zdołałem nigdy pomódz; czas mi odejść i szukać pod ziemią spokoju, nigdy nieznalezionego na ziemi!" (str. 271—3). W lipcu znów donosi: „W niesłychanéj jestem chorobliwéj bezmocy umysłowéj, która mnie powoli przemienia na trupa; czasem wstać z krzesła oporem mi idzie, czasem pióro wziąć męką mi..." (str. 295). Jakież lekarstwo na te ciągłe bóle nerwowe? Oto jedno z nich: „Lepiéj mi na zdrowiu i duchu od dwóch tygodni, od kiedym zażył nosem i w płuca wpakował *dwie uncye eteru*. Myślałem, że umieram i znieśmiertelnion wniebowstępuję przez wszechświat do Boga! Zupełnie uczucie duszy uwolnionéj od cielska; ptasiałem, wyanielałem się, ręce-m do lotu wyciągał—i od téj chwli nerwy mi się poprawiły" (str. 306). Czy na długo? Bezpośrednio po poprzednim idący list daje odpowiedź: „Mnie życie dyabelnie już nęka, boli, nudzi, zabija, gorzéj zabija, niżby śmierć sama zdołała! Znowu-m chory i w melancholii" (str. 307).

A jednakże w tém schorzałém, sztucznie utrzymywaném przy życiu ciele żyła tak hartowna dusza, iż w pismach dla ogółu przeznaczonych nie wystawiała cierpień swych na pokaz, nie szukała z nich chluby męczennika, którego poświęcenie dla wszystkich widoczne. A jednakże to serce zbiedzone, tak potrzebujące pociechy, samo znajdowało jeszcze w sobie źródło ukojenia i wskazywało je narodowi w *Psalmach żalu* i *dobréj woli*, przyjaciołom zaś i znajomym niosło radę w listach i pomoc w formie realnéj. Ten ostatni szczegół uwydatniający nam serdeczną stronę poety widnieje z całego stosunku do Gaszyńskiego jak również z zachowania się względem znanego filozofa Trentowskiego. Filozof ten miał zapewniony ze strony obywateli W. ks. Poznańskiego fundusz tysiąca talarów rocznie w tym celu, ażeby mógł swobodnie pisać dzieła filozoficzne w języku polskim. Dopóki żył zacny filantrop Karol Marcinkowski, pieniądze dochodziły Trentowskiego regularnie. Ale po śmierci tegoż magnaci wielopolscy, obciążeni kosztami procesu politycznego r. 1847 i zobojętnieli

dla filozofii, nie myśleli o spełnianiu dalszém obietnicy. Gdy Trentowski zgłosił się listownie do poety przekładając rozpaczliwe swoje położenie, Krasiński bezzwłocznie posłał trzy tysiące sześćset franków i zajął się myślą zapewnienia filozofowi losu na przyszłość. O zachowaniu się zaś panów wielkopolskich tak się wyraził: „Cała prowincya opuszcza człowieka, któremu kazała pisać po polsku i który znamienicie swego dopełnił. Lekkomyślność polska. Lepiéj było nie wybuchać dziewiętnastego lutego, a dotrzymać słowa choćby Trentowskiemu.“ Krasiński rządził się w tym wypadku zacném sercem. Jako gorliwy natenczas katolik nie mógł sympatyzować z kalwinem; w pojęciach filozoficznych i politycznych różnił się z autorem *Myślini*, *Chowanny*, *Cybernetyki* ogromnie; ale tam gdzie chodziło o interesa nauki, o zachowanie dla niéj człowieka utalentowanego, tam na kwestyą religijnych i filozoficznych poglądów nie zważał i nie wmawiał w siebie sofistycznie, iż grzechem jest przyczyniać się do rozszerzenia zgubnych (z punktu widzenia pewnego stronnictwa) teoryj.

Niepodobna było w tym szkicu wyczerpnąć cały zasób wiadomości zawartych w korespondencyi; pomijając rzeczy drobniejsze, dość wspomniéć, że nie zaznaczono tu wcale dość licznych zdań Krasińskiego o różnych znakomitościach literackich: o Szekspirze i Byronie, o Goethem, Schillerze, Jean Paulu i Heinem, o Mickiewiczu i Słowackim. Zdania te wypowiadane przygodnie, pod wpływem chwili nie mogą naturalnie uchodzić za ostatecznie w umyśle poety sformułowane sądy o tych ludziach, ale jako odbicie wrażeń są niewątpliwie bardzo ciekawe. Jak w tych, tak i w innych zdaniach często czytelnik dzisiejszy nie może przyznać słuszności gienialnemu autorowi, ale zawsze odbierze przez nie impuls do rozpatrzenia rzeczy z nowéj, może dotąd nieoglądanéj strony.

W każdym razie odczytując te listy, trzeba miéć na pamięci słowa przez Krasińskiego w 1841 napisane: „Powierzchnia duszy, jéj pojęcia, sądy, mniemania muszą w ciągłym ruchu, to raz postępowym, to znów cofliwym kręcić się około jéj treści wiecznéj, nieprzepartéj, nietkniętéj, jak wszystkie punkta kuli ziemskiéj wirują około osi i biegunów niewzruszonych, niewirujących. Człowiek któryby się w niczém nie odmieniał, byłby mumią; taki, któryby we wszystkiém się przeobrażał, byłby tylko kombinacyą chemiczną. Natura duszy zależy na ciągłéj przemianie zewnętrznych kształtów jednéj i tejże saméj idei, stanowiącéj rdzeń jéj wnętrzny, istotę jéj niedotkliwą, a jednak twardszą niż granit... Taka idea nie martwa, nie logiczna

tylko, ale pełna niewidoméj krwi i niedosłyszalnych tętn, rzeczywista, wiecznotrwała, z świata duchów rodem, winna być iścizną duszy“ (str. 184).

Taką ideą żywą, stanowiącą „iściznę duszy“ Krasińskiego,—jeżeli usuniemy zboczenia konieczne a wywołane po części wychowaniem i otoczeniem, po części patologicznym stanem ciała i umysłu, dręczonych i torturowanych ciągle, — była niewątpliwie wielka i wiecznotrwała idea miłości. Znaliśmy ją z jego utworów, znajdujemy ją i w listach.

P. Chmielowski.

Z pamiętników Leona Dembowskiego.

XIV.

Z początkiem roku 1808 siostra moja z mężem wyjechała do Warszawy trochę dla zabawy, o którą już w Puławach było trudno, więcéj dla tego iż Grabowski, widząc byt Księstwa ustalony, postanowił umieścić się w służbie rządowéj. Żeby dać wyobrażenie o ówczesnych zabawach w stolicy, oraz o toaletach, jakie najwięcéj były w modzie, przytaczam niektóre wypisy z jéj listów:

11 Stycznia.

„Wczoraj u pani Stanisławowéj Potockiéj *nous avons arrangé des tableaux.* Ja i panna Laura (Potocka) wszystkośmy ustawiały, przygotowywały i dyrygowały i wszystko się wybornie udało. Składała się ta żywa galerya z sześciu obrazów. Najpierwszy: *une femme de Rubens*—wyobrażała ją p. Antoniowa Potocka (późniejsza Branicka). Daléj leżąca bachantka z winném gronem w ręku, którą z pomiędzy kwiatów śledzi Satyrek. Bachantką była p. Aleksandrowa Potocka, a Satyrem Ludwik Kicki. Trzecim obrazem była Sybilla Dominichina, przedstawiona przez p. Sobolewską. Nieszczęściem ubrała się ona niestosownie i zbytnia mieszanina kolorów zanadto czyniła strój jéj krzyczącym. Następnie p. Antoni Potocki przedstawiał portret Van Dycka i prześlicznie wyglądał. Daléj *une discussion de Carace* przedstawiony przez Ewusię (panna Kicka) i pana Michała (Grabowski) ze wszystkich najpiękniejszy. Sala tak była urządzona, że każdy obraz przegrodzony był posągami ustawionemi z żywych osób: Lorcia *en danseuse d'Herculanum*, pani Gabryela (z Gutakowskich Zabiełłowa) *en Psyché*, ja *en Vestale*, a panna Teresa (Kicka) *répresentait une femme faisant danser le Cupidon.* Resztę sali upiększono staremi wazonami, kandelabrami i rozmaitemi artystycznemi drobiazgami. Fetę tę dawano dla Fran-

cuzów. *Ils paraissaient enchantés*, a zapewne przez grzeczność mówili, że i w Paryżu nic podobnie pięknego spotkaćby nie można. Po obrazach nastąpiła kolacya, a towarzystwo raz w dobry humor wprawione przepędziło resztę czasu wesoło na przebieraniu się w rozmaite stroje. Jutro bal u pani Antoniowéj, a pojutrze u pana Stanisława Małachowskiego. O umieszczeniu mojego męża nic jeszcze nie masz pewnego, — dziś jadę do p. ministra Dembowskiego, który go łaskawie proteguje i może czego się dowiem. Tymczasem awantury tu się dzieją między Tarnowskimi, Rożnieckimi i p. Stanisławowstwem Potockim. Pan Władysław (Tarnowski) ożenił się. Matka jak się dowiedziała, zemdlała i wpadła w spazmy. Najwięcéj na tém ucierpi Lorka, bo ciotka bezustannie na nią się krzywi.......“

15 Stycznia.

„Wczoraj w wieczór odbywał się u Ś-go Krzyża ślub Ewuni (Kickiéj z ks. Antonim Sułkowskim) z wielkiemi ceremoniami. Grenadyerzy otaczali ołtarz, ludu masa i ścisk tak wielki, że panna młoda zaledwie się mogła przecisnąć. Kolacya u pani Kickiéj była bardzo wesoła. Panna Naglé, staruszka, dawna panien Kickich guwernantka, uszczęśliwiona, z radości sobie trochę podpiła i przednie nam prawiła historye. Lecz najzabawniéj wydawali się p. Żabo-klicki i ks. Stanisław Jabłonowski, *le combat de l'amour et de la vertue sur leurs visages*. Ewusia miała białą, atłasową suknię, garnirowaną u dołu krepą, a trochę wyżéj bukietami z róż białych. Na głowie wieniec z mirtu i długi bukiet świeżych kwiatów, spadający na bok. Bardzo jéj w tym stroju było do twarzy i przy ślubie była rezolutna—nic nie płakała; za to matka jéj i Teresa od płaczu się zanosiły. Opisuję ci także moję toaletę. Miałam suknię żółtą *avec collier monté*, na głowie do łańcuszka mojego złotego przyczepiłam wszystkie dyamentowe gruszki i pióro czaple. Mówiono mi że w tym stroju bardzo mi było do twarzy, a pani Gutakowska ci zaświadczy, że się dobrze ubieram, jak Staś, że zdrowie szanuję. Poznałam panią Morand (z domu Parysównę), żonę generała dywizyi Morand, *qui est une beauté parfaite*. Już ma tak piękny nos, że w życiu mojém podobnego nie widziałam. Cała figura zręczna, a zgrabna, a rysy niezmiernie regularne. Spodziewam się, że w albumie swego brata zaliczoną będzie do najpierwszych piękności. *Les affaires de Staś vont se débrouiller, à ce que me dit M. Gutakowski.* Pani Aleksandrowa Potocka namawia mnie, żebym z nią grała pantominę — *je dois figurer une esclave grecque*......“

Dopisek Grabowskiego: „*Nous avons plein de noces et de bals. Tarnowski s'est marié, ce qui est un gibier pour les commères de Var-*

sovie, qui ne parlent d'autre chose. Morand est ivre de sa femme, ne la quitte pas, danse evec elle et s'en occupe exclusivement. La noce d'hier a été très belle et fértile en evénements. Żaboklicki et prince Jabłonowski faisaient des mines épouvantables i pili z desperacyi — mój brat i guwernantka także sobie podochocili dobrze. Jutro Pac dla generałowéj Morand daje bal wielki, a Witt bukietowy we czwartek. *Nous courrons de fête en fête*, bo i dla p. Ludwika Małachowskiego, który ślub bierze w poniedziałek, różne szykują festyny.“

18 Stycznia.

„Pan Stanisław Potocki wczoraj wyjechał. Żona i syn odprowadzali go do Nieborowa. Głośno tu mówią o rozwodzie Napoleona i dodają, że ma się żenić z siostrą imperatora — *ce qu'il-y-a de plus sur*, że Savary *ne tarit pas en fait d'éloges*. Pisały pewne osoby, że Napoleon jak najlepiéj dla nas jest usposobiony i że deputacya uzyska wszystko, czego tylko żądać będzie. Księżna Wirtemberska przyjechała onegdaj w wieczór i dziś się do niéj wybieramy. Onegdaj mieliśmy bal u Paca arcy wspaniały, a dziś u pana Witta, gdzie Staś *in gratiam* dawnych petersburskich znajomości będzie gospodarzem u jednego stołu.......“

26 Stycznia.

„P. Gutakowski mówił mi, że tymczasowo Stasia umieszczają jako radcę nadetatowego przy p. Łuszczewskim i to niedługo. Jakkolwiekbądź bowiem potrzebuje wprawy, a dopiero po odbytéj aplikacyi zostanie prawdopodobnie audytorem przy Radzie Stanu. P. Stanisław Potocki pisał z Poznania, donosi, że zdrów jest zupełnie i drogę odbywa dobrze. Wczoraj udano się szlichtadą do Bażantarni, tam śniadanie, jak powiadają, zastawione było przedziwne, a na obiad składkowy wrócono do Gąsiorowskiego. Pani Aleksandrowa zabawę tę odłożyła, ale na niéj nie byłam, bo ks. Wirtemberska zabrała mnie do siebie na obiad. Extra dla mnie grzeczna i dobra, tak jak i dawniéj bywało. Mówią tu, że p. Matuszewicz oświadczył się (o rękę p. Cecylii Beydale) i że mu odmówiono. Nie śmiem o to księżnéj zapytywać i proszę cię donieś mi, czy to prawda? Generał Morand wyjeżdża z żoną do dziadka mieszkającego w Pacanowie, który ma być wielkim dziwakiem. Co do generałowéj Morand, kiedy ją księżnie prezentowano, pierwsze słówko, jakie do niéj wyrzekła, było: *Comment trouvez-vous mon mari? Mais très bien.—En effet quand on le voie* —dodała— *il faut en devenir folle.* I ona także jest rzadką pięknością, jednak Weronisia (Rautenstrauchowa) ma daleko większą partyą i większy tłum wielbicieli. *Elle fait ici grand bruit et son mari en devient de plus en plus jaloux.* Mówią tu, że generał Andreossi, poseł francuski w Wiedniu,

stara się o rękę panny Karoliny Jelskiéj. *Cela met de mauvaise humeur Madame Severin qui lui en veut à cause de cela.* Może to jednak wszystko plotki, o które tutaj bardzo łatwo......“

29 Stycznia.

„Wczoraj był bal bukietowy u p. Bronikowskiéj. Pośród balu weszły naprzód pani Łubieńska, Bronikowska, Aleksandrowa i Antoniowa Potockie ubrane *en Arabes*. Spódnice białe, ponsową materyą i złotem obszyte, tuniki półokrągłe, naszywane także ponsowem i złotem i otoczone w pasy frendzlą z korali i pereł. Na tém katanki tureckie ponsowe, a na głowie rodzaj turbanów z welonami, podpiętemi pod brodę. Dyjamentów moc wielka, a rękawy spinane szerokiemi bransoletami. Drugi orszak składał się z pani Anastazowéj i Adamowéj Walewskich z pani Cichockiéj i Maryi Dzierżanowskiéj *en femmes de Bagdad*. Miały na głowie turbany seledynowe, dyamentami ozdobne, białe spódnice i seledynowe tuniki srebrem obszyte. Trzeci: pani Wincentowa Krasińska, panna Sobańska, Stasiowa Potocka i panna Komarówna *en Morlaques*. Miały na głowie dyademy bogate, na tém zarzucone białe woalki, spódnice białe, katanki długie ponsowe, oblamowane złotem, fartuszki okrągłe, haftowane złotem wpoprzek. Ten szereg najpiękniéj się wydawał. Pani Aleksandrowa, Ignacowa Sobolewska, Zabiełłowa i panna Teresa Kicka były także *en costume*, ale przyznam się, nie można bylo wiedzieć co to za ubiór. Szczególniéj p. Aleksandrowa jakiś turban potężny wsadziwszy na głowę, zdawała się upadać pod tym ciężarem. Pani Ignacowa miala strój turecki, panna Teresa hiszpański, a pani Zabiełło *un costume de fantaisie*. Bawiono się doskonale i ja wyjeżdżając o czwartéj bal w najlepszém ożywieniu jeszcze zostawiłam......“

30 Stycznia.

„W tych dniach ze sztabu Napoleona przyjechał tu Falkowski, z poleceniem do Rożnieckiego, aby podał plan w jakiby sposób można zabrać część Galicyi, żeby mieć z jednéj strony Karpaty, a z drugiéj dobrą linią obronną. Po co te plany i co to są za zamiary, tajemnica to, a domysłów rozmaitych krąży mnóstwo. Już to wojsko jest u nas zawsze do boju gotowe i tu sprawa idzie jak najlepiéj, ale cywilność w prawdziwym odmęcie. Pełno partyi, nikt nie wie co ma robić i powszechném jest życzenie, żeby p. marszałek (Ignacy Potocki) objął naczelną władzę. Na pana Stanisława krzyki ogromne, choć prawdziwie nie wiem o co. Marszałka Davoust, o którego wszystkie te komeraże się opierają, niezmiernie to nudzi i męczy. Z księcia Józefa wszyscy generalnie niekontenci i może nawet odejmą mu ministerstwo. *Mais que cela reste entre*

nous. Przejeżdżał tędy generał Savary i piorunował na księcia Adama (Czartoryskiego), że wyprawił wielki obiad dla posła angielskiego. Natychmiast w gazetach wydrukowano rozmaite artykuły i nazywają go w nich służalcem Anglii. Szpiegostwo, do któregośmy nie nawykli, rozwinięto tu okropnie. P. Sobolewski ostrzegł mnie, żeby się mieć na baczności, każde bowiem słówko wyrzeczone, dochodzi do wiadomości władzy.

Rożniecki ze Stasiem, na żądanie Davousta opisali stosunki krajowe przed bitwą Austerlicką i wymienili powody, dla których ks. Adam zostawał na dworze petersburskim. Marszałek przeczytawszy, niezmiernie tém zdziwiony został, że Polacy mogli na Rosyą rachować i pismo to przesłał Napoleonowi. P. Mostowski z Paryża donosi, że dla nas najlepsze są nadzieje.......“

2 Lutego.

„Bale trochę ustały, ale natomiast następują *Assemblées*. W niedzielę byłam pod Blachą z p. Stanisławową Potocką, która nieskończenie dla mnie jest łaskawą i grzecznościami mnie obsypuje. Widziałam także paradę na dziedzińcu saskim, które tu codzień się odbywają. Około 200 żołnierzy defiluje, a w środku gra muzyka. Ewusia wyjechała. *On dit que l'affaire de l'échange de Galicie est en train.* Napoleon pogodził się z Lucyanem......“

6 Lutego.

„Czy mego Leonka wakcynować? Lafontaine arcy téj innowacyi jest przeciwny i mówił mi, że gadał długo z doktorem, który umyślnie jeździł do Londynu, aby ten wynalazek zbadać. *Il lui a dit que c'est une lubie des médicins anglais.*

Onegdaj mieliśmy wielką paradę. Rozdawano krzyże żołnierzom. Pierwszy raz widziałam nasze orły. Pana Michała regiment ustawiono pod koszarami litewskiemi, a Stasia Potockiego na dziedzińcu Saskim. Orły ich salutowały, a książę Józef przypiąwszy krzyże, każdego żołnierza całował. P. Michał miał mowę, poczem krzyczano: Niech żyje cesarz!—Bale ustały i miejsce ich zajęły herbaty tańcujące. Na ostatniéj z nich u p. Małachowskiego powtórzono kadryle kostiumowe, ale jakoś się nie szykowało tym razem. Jutro pan Michał daje wielki obiad dla ks. Józefa, generałów i dekorowanych żołnierzy, którzy u tegoż samego stołu siedzieć będą. Znaczna część litewskiéj naszéj familii także się tu zjechała, p. Stefan Grabowski, pani Biszpingowa i p. Siecheń, ten co był w Puławach.......“

9 Lutego.

„Wszyscy nas tu zapewniają, że Staś wkrótce dostanie miejsce. Dobrze jest widziany przez marszałka i przez Rożnieckiego, a ta

droga prędzéj do celu dowiedzie, aniżeli protekcya krewnych, którzy chociaż dobrze mu życzą, dosyć są marudni i boją się, żeby ich nie posądzono o nepotyzm. Pani Aleksandrowa pojechała do Białegostoku, bo pani Krakowska jest bardzo chora, a nawet niektórzy mówią, że już umarła. My wyjeżdżamy także za dni parę, a towarzyszyć nam będzie p. Michał dla widzenia panny Laury, do któréj szczerze jest przywiązany.......“

Puławy téj zimy były zupełnie puste, gdyż książę feldmarszałek bawił w Sieniawie, książę Konstanty we Włoszech, a księżna Wirtemberska w Warszawie. Pan Stanisław Potocki przed wyjazdem swoim z deputacyą, zawiadomił brata, że w Paryżu nie będzie, gdyż Napoleon wezwał ich do Bajonny. Tak więc nadzieja mojéj podróży rozwiała się i do późniejszego odłożyła czasu.

Rosya widząc, że zawarte z Turcyą zawieszenie broni pokoju nie wyda, rozpoczęła dalszą wojnę i wojna ta trwała cztery lata aż do 28 maja 1812 roku, to jest do pokoju zawartego w Bukareszcie, a spowodowanego głównie najściem Napoleona na Rosyą, bez téj bowiem przeszkody Rosya-by niezawodnie Konstantynopol zabrała. Na mocy traktatu do Rosyi odpadała cała Bessarabia z Chocimiem, Brailowem i Izmailowem.

W końcu roku poprzedniego na mocy traktatu Tylżyckiego zawezwano Szwecyą, aby dla okrętów angielskich zamknęła morze Baltyckie. Ponieważ Szwecya odpowiedziała, że wtedy to uczyni, kiedy Francuzi wybrzeże Baltyku opuszczą, wysłano więc w marcu 1808 r. korpus Buxhewdena do zajęcia Finlandyi. 23 marca poddało się Abo, a wkrótce potém i Sweaborg, ów Gibraltar północny. Cała kampania trwała dziewięć miesięcy i wojska rosyjskie doszły aż do Torneo i następca Gustawa IV, który koronę złożył, odstąpił Rosyi Finlandyą.

Napoleon korzystając ze sporów w hiszpańskiéj rodzinie królewskiéj jeszcze w listopadzie 1807 r. wysłał do tego kraju korpus generała Dupont, liczący 27,000 ludzi. Miały to być niby rezerwy dla generała Junot i wojsko to rozłożyło się w Valadolid i Salamance. 9 stycznia 70,000 wojska wprowadził marszałek Moncey do Biskai, a 9 lutego takaż sama siła pod wodzą Duhesme zajęła Katalonią. Książę Pokoju, który na to przejście wojsk francuskich zezwolił, zaczął rozumiéć, że dla Portugalii sił tych za wiele, a lud przyszedł do tego przekonania, że niecny ten intrygant Hiszpanią Napoleonowi za obiecany mu tron Algarvyi zaprzedaje. Wzburzone więc tłumy napadły na Aranjuez, księcia Pokoju pokaleczonego do więzienia zamknęły, a wymógłszy na Karolu IV abdykacyą, Ferdy-

nanda królem ogłosiły. Murat, który podówczas znajdował się w Burgos, zajął Aranjuez i Madryt i więźniów wziął pod swą obronę.

Abdykacya Karola nie przypadła do gustu Napoleonowi. Znał on słabość jego charakteru i liczył, że z nim łatwo plany swe przeprowadzi. W Ferdynandzie nie wiedział jeszcze, jakiego będzie miał przeciwnika. Dla wybadania gruntu wysłał do Madrytu generała Savary'ego. Rozmowa jaką miał z nim na odjezdném jest z tego względu dla nas ważną, iż dowiadujemy się z niéj, że byt Polski, o jakim Napoleon wprzódy szczerze myślał, został przez niego zaniedbany zupełnie, skoro nabrał nadziei, że cesarza Aleksandra będzie mógł użyć przeciwko Anglii. Ważniejszemi mu się teraz wydawały jego widoki w Hiszpanii, a ks. Taleyrand, idąc za jego chęciami, pisał:

„Tyle ganiona polityka Ludwika XIV, iż dla osadzenia swojéj dynastyi w Hiszpanii wplątał się w długie wojny, była jednak pożyteczną i dla dobra Francyi i wynikała z położenia Hiszpanii. Kraj ten morzami oblany, czyni go zawisłym od Anglii i potrzebuje tylko króla wojownika, żeby zagrozić Francyi, jak to było za Karola V i Filipa II. Panowanie nadto Bonapartych we Francyi zawsze wątłe, dopóki Hiszpanią rządzą Burboni. Nie o północy więc Francyi myśleć należy, nie o Polsce, ale o Hiszpanii. Jeśli dla nieujętéj jakiejś utopii zapuścilibyśmy się w głąb Litwy, Hiszpanie tymczasem i Austryacy stanęliby prędzéj w Paryżu, aniżeli byśmy my zdołali wrócić do Renu."

Savary, zręcznie łudząc Ferdynanda, nakłonił go do widzenia się z Napoleonem w Bajonnie, ale, kiedy nowy król hiszpański przybył do Vittoryi, doradcy jego daléj go puścić nie chcieli. Napoleon wtedy zagroził, że nie jego, ale jego ojca za króla uważa. Pod grozą tego warunku przybył Ferdynand do Bajonny, a sprowadzono tu także i jego ojca. Natychmiast zaproponowano Ferdynandowi zrzeczenie się korony hiszpańskiéj, ofiarując w zamian królestwo Etruryi, a gdy ten się oparł, Karol ogłosił się królem na nowo, wydał proklamacyą, w któréj ks. Murata naznacza swoim namiestnikiem i zażądał, żeby wnuków jego, infantów: Don Antonia i Don Francisca przysłano do Bajonny. Lud przeczytawszy tę proklamacyą infantów wydać nie chciał i załogi francuskie z Madrytu chciał wypędzić. Wojsko jednak się oparło i infantów pod eskortą wojskową wysłano. Napoleon odebrawszy o tém wiadomość, rozgniewany przywołał Ferdynanda i zapowiedział, że jeśli korony nie złoży, każe go natychmiast oddać pod sąd wojenny. Nie mając środka oparcia się abdykował na następujących warunkach. Przyznano mu dobra Nowarrę, milion franków rocznéj pensyi i po 400,000 fr.

rocznie dla każdego infanta. Tegoż dnia Karol odstąpił Hiszpanią Napoleonowi, zastrzegając, że żadna prowincya od Hiszpanii oderwaną nie będzie, że religia katolicka pozostanie w niéj panującą, że dobra Chambord i Compiégne będą mu przyznane, że on 7,500,000 frank. rocznéj pensyi, a inni członkowie rodziny królewskiéj wystarczające utrzymanie otrzymywać będą. Zanim zamek Compiègne mógł być wyrestaurowany miał król zamieszkiwać w Valencyi u żony Taleyranda. W ten nikczemny dość sposób wyrzucił Napoleonów z Hiszpanii Burbonów, opuścił Polskę i naraził się na wojnę z ludem broniącym swojéj niepodległości, która upadek jego przyspieszyła.

Deputacya Polska, złożona ze Stanisława Potockiego, Bielińskiego i Ksawerego Działyńskiego, przybyła, stosownie do polecenia Napoleona, do Bajonny dość wcześnie, ale ponieważ sprawy hiszpańskie się agitowały, musiała więc czekać kilka miesięcy i dopiero 6 maja uzyskawszy posłuchanie, pod datą 10 maja otrzymała następujące ulgi:

1. Cesarz Francuzów, z mocy traktatu Tylżyckiego, właściciel sum pozaciąganych przez obywateli księstwa Warszawskiego z banków pruskich, kas rządowych, kompanii morskiéj i kasy wdów i inwalidów, odstępuje też sumy ryczałtowo na własność królowi Saskiemu za umówioną kwotę, na którą obligacye król Saski wyda i ratami spłacać ją będzie.

2. Trzy pułki piechoty polskiéj, wezwane do armii hiszpańskiéj, przechodzą na żołd francuski, równie jak i pułk Ułanów gwardyi Napoleona.

3. Dwa polskie pułki piechoty, stanowiące garnizon Gdański, pobierać będą żołd i żywność z kas francuskich.

Przy tém nieomieszkano posłów nakarmić jak najpiękniejszemi nadziejami, któremi przejęci, powrócili do Warszawy we wrześniu po ośmiomiesięcznéj nieobecności.

Do Hiszpanii poszedł pułk 4-ty Feliksa Potockiego, starościca szczerzeckiego, 7-my Sobolewskiego i 9-ty ks. Antoniego Sułkowskiego. Oprócz tego pułk gwardyi Ułanów pod Wincentym Krasińskim, cztery pułki piechoty na żołdzie francuskim, zwane legionem Nadwiślańskim i dwa pułki jazdy ułanów. Wszystko to razem tworzyło blisko dwie dywizye samych polaków, które w mnogich bitwach, jak to na swojém miejscu przywiodę, sławą się okryły.

W garnizonie gdańskim zostały: pułk 10 Mielżyńskiego i 11-ty zdaje mi się Niemojewskiego, 4-ty pułk ułanów Kwaśniewskiego zabrany został jako garnizon do Drezna. Ten Kwaśniewski, żołnierz starego autoramentu i języków obcych wcale nieposiadający,

miał szczególniejszą nienawiść do Niemców. Że zaś wojska nasze na wzór francuskich własność rolnika za swoją uważały, przeto kiedy stanęły nad Elbą w okolicy Pilnitz, żołnierze wycinali kapustę, kopali kartofle, zrywali zielone jabłka i gruszki i zbierali poziomki, które Sasi tak starannie w winnicach hodują. Mieszkańcy na nadużycia te skarżyli się ciągle pułkownikowi, ale ten śmiał się i odpowiadał:

— Cóż tam za wielka szkoda! — przyjdź Niemcze do nas, całą ćwierć poziomek dam ci darmo a nawet i więcéj, bo możesz je w lecie zbierać wiele ci się podoba.

Sasi widząc że u pułkownika żadnéj satysfakcyi nie znajdą, udali się do króla. Ten Kwaśniewskiego wezwać kazał, a wiedząc, że po niemiecku nie umie, po polsku polecił, żeby szkody były wynagrodzone.

— Najjaśniejszy panie—zareplikował pułkownik— co Niemców żałować? Tyle lat nas dusili, toć im trochę dokuczyć nie zawadzi.

Temi licznemi wysyłkami legia druga zredukowana została do jednego pułku piechoty i dwóch jazdy, co znowu generała Dąbrowskiego ubodło i nieukontentowanie jego zwiększyło.

W maju zaprowadzono system poboru czyli konskrypcyi. W zasadzie różnił się on od obecnego, a był bardzo prosty i działał szybko. Do popisu należeli mężczyzni od 20 do 28 roku życia i dzielili się na cztery klasy, każda obejmująca po dwa lata wieku. Urzędnicy zostający w służbie, duchowni, profesorowie i nauczyciele od powinności wojskowéj byli zwolnieni, o zdolnościach zaś popisowych wyrokowała Rada popisowa, z prefekta, dwóch radców, jednego oficera i chirurga złożona. Ci wydawali świadectwo osobom z powodu zdrowia w wojsku służyć nie mogącym i wykreślano ich z listy popisowych, a przenoszono do rezerw. Rada urzędowała ciągle i każdy do wojska niezdatny zgłaszał się sam do niéj, aby świadectwo uzyskać, reszta bez świadectw uchodziła za zdrowych i skoro czas poboru nadszedł zwoływano ich do miasta, wkładano w naczynie tyle gałek białych, ile rekrutów wziąść należało, ci zaś co wyciągnęli gałki czarne, dostawali uwolnienie na całe życie. Przed odbyciem powinności wojskowéj żenić się nie było wolno.

Ustanowiono współcześnie komisye egzaminacyjne dla urzędników i likwidacyjne dla koekwacyi ciężarów wojennych, nakoniec we Wrześniu zapadł ważny dekret, regulujący prawa wyborców i wybieralnych, tudzież urządzający postępowanie na sejmikach i zgromadzeniach gminnych.

Włościan porównano z resztą mieszkańców w obliczu prawa, przypuszczono ich w wyjątkowych razach do listy wyborców, otwar-

to możność kształcenia się i awansowania tak w wojskowéj jak i w cywilnéj służbie. Lud przyjął to z radością, wstrząśnienia żadnego wszakże nigdzie nie było i odrabianie powinności inwertarskich nigdzie nie zostało przerwane. W Płockiém tylko prefekt Rembieliński skłaniał tak dziedziców jako i włościan, żeby porzuciwszy przestarzałe inwentarze, zawierali notaryalne umowy, w kształcie kontraktów dzierżawnych, a wielu znalazło się takich, którzy poszli za jego radą. To wszystko dowodzi dokładnie, że stan poprzedni nie był tak straszny, jak go sobie wyobrażano i, że *ésclavage* w konstytucyi wspomniane u nas nie istniało. Stosunek był wogóle patryarchalny i w wyjątkowych a bardzo rzadkich wypadkach uciskiem nacechowany.

Stosunki szlachty z mieszczaństwem były dosyć dalekie i aż do przyjścia Francuzów mieszczan do szlacheckich towarzystw nie przypuszczono. Od téj chwili i to się zmieniło i niektórzy mieszczanie, jak naprzykład Wojda do wysokich godności powołani zostali. We Francyi w tym czasie nowa szlachta cesarstwa nie ugruntowała się jeszcze, i ślady wyobrażeń z 1793 r. się nie zatarły. Obalenie przywilejów i tytułów tak silnie w umysłach tkwiło, że tytułami obdarzeni, niechętnie się do nich przyznawali. Marszałek Davoust nie podpisywał się nigdy książę d'Auerstädt i przykrość mu robił, kto go w towarzystwie księciem tytułował. Żołnierze i podoficerowie, jeśli ich stopień wykształcenia był wyższy, do towarzystw byli zapraszani i nierzadko zdarzyło się widzieć żołnierza prostego, siedzącego obok generała. Mundurów używano zwykle tylko do parad i służby, na balach zaś, wieczorach, obiadach i zebraniach występowano we frakach, a książę Józef przykład do tego dawał.

Język francuski, tańce francuskie zapanowały wszechwładnie. Obiady zaczęto jadać o piątéj i zaprowadzono nieznane u nas *Dejeuners à la fourchette.* Kuchnia nawet francuska rugowała polską i barszcze, kapuśniaki i bigosy w kąt się pochowały. W umeblowaniach greczyzna i rzymskość więcéj aniżeli kiedy wzięły górę. Kanapy, stoły, fotele, kantorki bez orłów, lwich łap i tym podobnych oznak obejść się nie mogły, a stoły na trójnogach koniecznie wspierano. Herkulanum i Pompeja do wszystkiego dawały wzory i modele. Stroju polskiego ostatnie ślady zupełnie znikły i w Warszawie zaledwie kilka osób kontuszom wiernych pozostało. Między nimi zawsze po polsku się nosił notaryusz Skorochód-Majewski, znakomity języków wschodnich badacz.

Książę Józef otoczył się świetnym sztabem. Biurom ministeryum przewodniczył generał Hebdowski, a Rautenstrauch i Fergis, tudzież kilku starych wojskowych, do oręża niezdatnych, jak na-

przykład pułkownik Żeleński spełniali tu obowiązki stosownie do swoich zdolności. Sztab generalny składał się z generała Fiszera, inspektora piechoty, generała Rożnieckiego, inspektora jazdy, Kamienieckiego, Szumlańskiego, kwatermistrzów i innych władz wojskowych. Adjutantów miał książę kilkunastu. Z tych Marceli Potocki, brat pani Czosnowskiéj, Antoni Potocki, Miączyński, Błeszyński, Ludwik Kicki, Kamieniecki i Teodor Szydłowski nosili mundur karmazynowy huzarski ze srebrem, inni granatowy z niebieskiemi kołnierzami.

Król także urządził dwór swój warszawski. Wielkim marszałkiem czyli podkomorzym zamianowany został Jan Nepomucen Małachowski, łowczym Aleksander Batowski, Żaboklicki szambelanem, Adam Broniec marszałkiem dworu. Jeden tylko Broniec pobierał pensyi 20,000 złp. i miał w Zamku mieszkanie, innych obowiązki były honorowe, to téż Batowski do Francyi się przeniósł i rzadko do Warszawy zaglądał. Miał także król swoich adjutantów, z których jedni tytuł tylko posiadali i jako jego oznakę mieli prawo nosić na ręku białą przepaskę, otoczoną złotą frędzlą. Inni pełnili służbę adjutantów rzeczywistych i takimi byli pułkownicy Paszkowski i Błeszyński.

Przepisano mundury obywatelskie dwojakiego rodzaju: jedne granatowe z karmazynowemi kołnierzami i mankietami, zahaftowanemi srebrnym haftem liście i owoce drzewa oliwnego wyobrażającym, drugie dla pozostałych stanów takiegoż koloru i kroju, ale bez haftu. Urzędnicy szczególnych mundurów nie mieli i tylko siedmiu członków pierwotnéj Rady rządzącéj miało prawo nosić mundur koloru *pius* z haftami złotemi.

Ponieważ Napoleon w tym czasie rozpoczął swe kłótnie ze Stolicą Apostolską, Ankonę arbitralnie do królestwa Włoskiego włączył i Rzym zajął garnizonem francuskim; przeto papież uważał się za więźnia, a nieprzyjazny tu stosunek odbił się na stanie duchownym wszędzie. Już przez kodeks Napoleona duchowieństwo znalazło się w niemożności pogodzenia obowiązującego prawa z przepisami kościelnemi. Akta cywilne, małżeństwa cywilne, rozwody nie zgadzały się z postanowieniami Soboru Trydenckiego, a choć małżeństwo pozostało sakramentem, rozwiązanem być mogło bez wdania władzy kościelnéj. Oprócz zasad samych przybyły i inne grawamina z nieznanych u nas naprzód zwyczajów wypływające. Tak naprzykład Francuzi wprowadzili obyczaj, że wojsko znajdujące się w miejscu gdzie się odbywało nabożeństwo, winno było podnosić ważność jego paradą. Wszędzie gdzie stał garnizon szykowali się w czasie mszy żołnierze w dwa szeregi z bronią, muzyką,

bębnami i tambour-majorem. Broń swą nieustannie to prezentowali, to brali na ramię, to do nóg spuszczali, to bębnili; a wszystko za głośną komendą oficera. Bębniono przy ewangielii, a przy podniesieniu zamiast przyklęknienia broń prezentowano. To wszystko, podług twierdzenia biskupów, tak miało mięszać księży, że żaden z nich nie mógł mszy poczciwie odprawić. Ja co prawda tego nie dostrzegałem i zdaje mi się, że duchowieństwo obyczaj ten chwytało tylko jako jeden więcéj do żalów pretekst.

Arcybiskup Raczyński ciągle szturmował do króla, do ministrów, żale rozpościerał, ostro pisał, zwierzchnictwa Dyrekcyi Spraw Wewnętrznych nie uznawał i przeciw zajmowania klasztorów protestował. Najwięcéj go jednak bolało ciągłe mieszanie się niższych władz administracyjnych do czynności duchownych—jak regulowanie opłat za pogrzeby, obwieszczenia itp. Szczególny zaś gniew wywierał na ministra sprawiedliwości i spraw wewnętrznych, kiedy ci proboszczów, jakby zwyczajnych urzędniczków karami okładać się poważyli. Niesnaski te ciągnęły się przez czas całéj egzystencyi Księstwa i większéj nabierały cierpkości w miarę pogorszającego się stosunku Napoleona z Papieżem. Król Saski, gorliwy katolik i duchowieństwu przychylny, chętnie stronę arcybiskupa i kleru trzymał, ale wiele poradzić nie mógł. Ślad tych kłótni może znaleźć czytelnik w dziełku wydrukowaném przez Arcybiskupa Raczyńskiego, a noszącym tytuł „Sześcioletnia korespondencya itd.“

Z porady lekarzy księżnę Czartoryską wysłano na kuracyą do Töplitz, a choć to podróż nie daleka, nie chciała jéj sama odbywać, a do towarzystwa i ja, mający już wówczas lat ośmnaście zaliczony zostałem. Ruszyliśmy z Puław d. 18 czerwca we cztery powozy W koczu czterokonnym jechała księżna, moja matka i Zosia Matuszewicz, w drugim parokonnym doktór Khittel i ja, w karecie poczwórnéj garderobiane, na bryce czterokonnéj kuchnia i kredens. Mieliśmy z sobą pięciu służących, oprócz należących do obsługi kuchni. Dodawać nie potrzebuję, że o projekcie tym wcześnie zawiadomiony, niecierpliwością i szczęściem pałałem, a bujna wyobraźnia młodzieńcza nasuwała mi tysiące nowych widoków i przyjemności.

Do Gruszczyna, rezydencyi księżny Wirtemberskiéj, odprowadzali nas panowie Wojna, Zwierzchowski i Julian Niemcewicz, ten ostatni, świeżo z Ameryki przybywszy, bawił nas zajmującém opowiadaniem obyczajów życia w Stanach Zjednoczonych. Osobistość poety Ursyna i jego pełne rozmaitości losy zanadto są znane, żebym tu je miał powtarzać. Powiem więc tylko, że razem z Kościuszką, po uwolnieniu ich przez cesarza Pawła do Ameryki wyjechawszy, tam

pomiędzy obcymi bez funduszów, bez opieki zapadł na ciężką tyfoidalną gorączkę. Prawdopodobnie w warunkach takich śmierć byłaby go zabrała, gdyby zacna pani Elżbieta Jew nie wzięła go w opiekę. Dzięki jéj staraniom po ciężkiéj i długiéj chorobie do zdrowia powrócił, a przywiązawszy się do swéj opiekunki o rękę jéj prosił. Pani Jew miała już wówczas przeszło lat 30, co u kobiét tamtych krajów jest prawie początkiem starości, ceniąc jednak wielkie moralne przymioty wygnańca, związkiém małżeńskim z nim się połączyła. Ponieważ niedaleko od miasta posiadała małą własność wiejską, tam się więc oboje przenieśli i wtenczas dla naszego poety rozwinął się nowy wcale zawód. Z murzynką, która razem obowiązki kucharki pełniła i z murzynem za parobka służącym, uprawiał Niemcewicz swój ogród, a raz w tydzień do miasta na sprzedaż jarzyny woził, i utargowane pieniądze, podług zwyczajów tamtejszych do bankiera składał, asygnując późniéj na niego wszystkie zakupy, jakie w mieście uczynić było trzeba. W sielankach wiejskość podobna pięknie wygląda, ale w rzeczywistości dobrze może się dać we znaki, zwłaszcza, że tęsknota za krajem srodze go trapiła. Ten żal tak był wielki, że kiedy raz na targu w Nowym Jorku spotkał żyda polskiego w zabrudzonym chałacie, on, który żydów tak nie lubił, jak dał tego liczne dowody i w Lejbe i Siora i listach litewskich i w Przebiegach i w Moszkopolis, rzucił mu się na szyję, po kilkakroć uściskał i dla rozmowy z sobą na wieś zabrał. Dowiedziawszy się o powstaniu księstwa Warszawskiego, żonę na czas jakiś opuścił i w r. 1808 do kraju przyjechał. Zajmował się wydawnictwem pism swoich, a głównie poezyi i to mu większy dochód jak jego majątek w Ameryce przynosiło. Najwięcéj starania przykładał do wydania śpiewów historycznych, do których muzykę dorabiały damy znajome, a rysunki z Tyszkiewiczów Potocka, późniejsza Wąsowiczowa, Laura Potocka, Tarnowska, Sułkowska i moja siostra przygotowywały. Poemat Puławy i Moszkopolis, o ile wiem pozostały niedrukowane i tylko w rękopisie je znałem. Pierwszy opisowy, trochę formą do Sybilli Woronicza zbliżony, choć może nie ma w sobie tyle gorącego uczucia— Drugi humorystyczny i trochę polityczny, przedstawia, jaką będzie Warszawa w następnym wieku. Rzeczywiście, ja co pół już wieku następnego przeżyłem, widzę, że w przywidywaniach swoich wieszcz nie był bardzo daleki od prawdy. O innych pismach nie mówię, te wszystkim powszechnie są znane.

Niemcewicz był wzrostu niskiego, twarz miał okrągłą, włosy *chatain*, oczy małe, ale pełne ognia. Humor posiadał zawsze jednaki i nigdy go innym jak wesołym nie widziałem. Głos miał piskliwy i śmiech szczególnego rodzaju. Lubił drwinki i żarty i w nich często

w zbytnią wolność popadał, dozwoloną miarę swobody towarzyskiéj przekraczając.

Gruszczyn należał do dóbr Maciejowickich i od ordynata Zamojskiego wzięła go w dzierżawę księżna Wirtemberska. Był tu piękny murowany, piętrowy pałacyk, wśród lasu wierzb i sokorów położony. Wał nad Wisłą się ciągnący cały był zasadzony różami i nazywał się *Cap des roses*, sąsiedztwa najbliższe oprócz panów Heryngów z Mniszewa, stanowił staruszek Gordon, o którym już wspominałem i pan Eugieniusz Czaczkowski, krewny Różnieckich, dziedzic Różniszewa. Całe to towarzystwo, a szczególniéj ten ostatni wchodzą do romansu ks. Wirtemberskiéj—Malwina, gdzie także Stanisław i Artur Potocki łatwo rozpoznać się dadzą.

Towarzysze nasi w Gruszczynie nas opuścili, my więc przebywszy komorę austryacką w Mniszewie, a księztwa w Konarach, stanęliśmy w Warszawie, zatrzymując się jak zwykle w pałacu Błękitnym.

Stanisław Grabowski 23 czerwca prezentował mnie dwom ministrom: sprawiedliwości i policyi. Pierwszy Feliks Łubieński był już w bardzo podeszłym wieku, cerę miał jakby schorzałą i na twarzy wyraźnego znękania ślady. Mimo tych pozorów położył on ogromne zasługi w swojém ministeryum i niesłychaną rozwinął energią. Zorganizował sądownictwo, spopularyzował i uprzystępnił prawo francuzkie u nas nieznane i obce i z ludzi nie mających fachowego i specyalnego wykształcenia wytworzył dzielnych urzędników. Pomiędzy innémi przymiotami, oprócz szczególnie zimnéj krwi, głębokiego rozsądku i obszernych wiadomości, odznaczał się on wielkiém poszanowaniem wiary katolickiéj, któréj wszystkie formy gorliwie i z surowością przestrzegał. To z jednéj strony zyskało mu łaski i zaufanie króla Saskiego z drugiéj wszakże naraziło na zarzuty zbytniéj, a udanéj bigoteryi. Przez krótki też czas trwania księstwa on najwięcéj narażony był na pociski i izby i publiczności, o czém jeszcze nie raz mówić mi wypadnie. W 1813 roku porzucił stanowczo zawód polityczny i osiadł w Guzowie gdzie wśród licznéj swojéj rodziny, synów, wnuków i prawnuków prawdziwie patryarchalny pędził żywot. W czasie uroczystości rodzinnych zbierało się téj familii z górą ośmdziesiąt osób. Żonaty był, jeżeli się nie mylę, z Bielińską.

Drugi minister Aleksander Potocki, z Potockich Prymasowskich z Koniecpola, przez stosunki tylko stanowisko to otrzymał, bo wcale odpowiednich zdolności nie posiadał. Niski, niepozorny, w mowie ostrożny, niepewny i jakby wahający się, nie stosownie był wybrany do ministeryum, do którego szczególniéj Napoleon wielką przywiązywał wagę. Oddać mu wszakże należy tę sprawiedliwość, że choć

za niego policya spała, ale też także i do narzekania nie dawała powodu.

Na dzień następny byliśmy zaproszeni na obiad pod Blachą. Honory domu robiła pani de Vauban i Wincentowa Tyszkiewiczowa, książę Józef przybył dopiero w końcu obiadu. Przyjęcie było niezmiernie serdeczne i książę Józef wiele zemną rozmawiał, namawiając mnie do prędkiego zaciągnienia się w szeregi walczące. Pokazywano nam bogate pistolety przez Bontela wyrobione, a przysłane w darze przez Murata. Były one o dwu lufach z miniaturowemi, bagnetami, które za pociśnięciem sprężyny wyskakiwały. Cenniejszym może darem był przepyszny kaszkiet karmazynowy ułański podobno ręką saméj księżnéj Bergu, bogato złotem wyszywany. Cennością wszakże nie odpowiadały dary te upominkowi, jaki ks. Muratowi uczynił Poniatowski, darował mu bowiem bogatą karabelę, po Sobieskim w spadku do Poniatowskich przeszłą.

Po obiedzie zaprosił nas ks. Józef na małą rewią. Była to grzeczność wyświadczona dla księżnéj Czartoryskiéj, która jeszcze wojsk narodowych nie widziała. 2-i pułk piechoty Stanisława Potockiego i 3-i Żołtowskiego odbywały bardzo zręcznie obroty na placu Ujazdowskim. Mundury zupełnie krojem francuzkim składały się z fraków z szerokiemi wyłogami od końca pół przez piersi aż do ramiono idącémi. Na głowach szako, a u grenadyerów wysokie niedźwiedzie bermyce. Sztandary zastępowały białe orły dęte ze srebra i na krótkiéj osadzie zatknięte.

Wojsko księstwa Warszawskiego składało się z dwunastu pułków piechoty, sześciu jazdy i artyleryi, któréj była tylko jedna bateryа, kosztem Włodzimierza Potockiego, syna Szczęsnego wystawiona. Dzieliło się na trzy dywizye: Pierwsza dywizya księcia Józefa Poniatowskiego składała się z następujących pułków: piechoty pułk 1-y Michała Grabowskiego, 2-i Stasia Potockiego, 3-i Żółtowskiego, 4-y Feliksa Potockiego i z jazdy: 1-y strzelców konnych Przebendowskiego, 2-i Ułanów Tyszkiewicza, mieli ci ułani rabaty ciemno-żółte. Druga dywizya dowodzona przez Zajączka składała się: piechoty 5-y pułk ks. Michała Radziwiłła, 6-y Sierawskiego, 7-my Sobolewskiego, 8 Godebskiego—jazdy: pułk 3-i strzelców Łęczyńskiego i 4-y ułanów Kwaśniewskiego z rabatami karmazynowemi. Trzecia dywizya Dąbrowskiego miała z piechoty: pułk 9-y ks. Sułkowskiego, 10-y Mielżyńskiego, 11-y zdaje mi się Niemojewskiego, 12-y Weisenhofa—w jeździe zaś, 5-y strzelców Turny i 6-y ułanów Dziewanowskiego z wyłogami białemi. Piechota i ułani mieli mundury granatowe, strzelcy i artylerya zielone. W spodniém ubraniu

wielkiéj jednostajności ani u oficerów, ani u żołnierzy nie przestrzegano.

Otrzymawszy za staraniem Grabowskiego paszport, bom austryackiego nie posiadał, 26 czerwca puściliśmy się w dalszą drogę i na noc stanęliśmy w Nieborowie, gdzie zatrzymać się należało koniecznie, bo nie tylko księżnę łączyła silna przyjaźń z Radziwiłłową, ale nadto córka tego domu była za ks. Konstantym Czartoryskim. Pałac Nieborowski uderzał nie tylko ogromem ale i przepychem wewnętrznego urządzenia. O galeryi tutejszéj, o słynnéj oranżeryi, a także i Arkadyi już wyżéj wspomniałem. Podczas trzydniowego naszego tutaj pobytu zwiedziliśmy to wszystko na nowo i zrobiliśmy wycieczkę do Łowicza, dla obejrzenia katedry i grobów prymasów. Pamiętam, choć pod względem historycznym nagrobki ich ważne, żaden mnie jednak tyle nie uderzył, co nagrobek kanonika Oczko, którego artysta wyobraził z czterema oczami, dwoma nosami i dwoma gębami, a znajdujący się obok napis łaciński twierdzi, że nieboszczyk takim był rzeczywiście.

W czasie bytności naszéj przybył także do Nieborowa marszałek Davoust ks. d'Auerstädt z żoną i dwoma adjutantami pp. de Montmorency i Montesqiou. Sam książę średniego wzrostu, dobréj tuszy, z oczyma dużemi i wyrazistemi o rysach regularnych. Łysy zupełnie i choć zwykle ze zmarszczoném czołem, nie miał w postaci swojéj wyrazu surowości, a choć po Massenie do kierowania wielkiemi masami za najzdolniejszego uchodził, na pierwszy rzut oka nie znać jednak było tych talentów. Dowodził 3-im korpusem złożonym z dywizyi jenerałów: Morand, Gudin i Friand i od 1807 r. w księstwie zostawał. Ona, wysmukła brunetka z dużemi czarnemi oczyma, śmiało uchodzić mogła za południową piękność. Marszałek wogóle był małomówny, a podobno wyjątkową przyczyną teraźniejszego jego złego humoru, były wymówki, jakich nie szczędzono w Petersburgu Savary'emu z powodu śmierci księcia d'Enghien. Z upodobaniem tylko opowiadał, że żołnierz z jego korpusu nie chciał stosownie do odebranego rozkazu przepuścić przez placówki generała. Generał zniecierpliwiony zawołał: *Ne voyez vous pas que j'ai deux etoiles sur mes epaulettes*? Żołnierz na to z zimną krwią miał odpowiedzieć: *Mon général, vous auriez beau porter tout le firmament sur vos épaulettes, et vous ne passerez pas.*"

Z Nieborowa, przez Łęczycę, Uniejów, przejechaliśmy tylko przez Kalisz, księżna bowiem mając jakąś niechęć czy do Zajączka, czy do jego żony, lękała się, żeby się z nim nie spotkać, i wolała popasać w karczmie za Kaliszem. Ztąd zaraz wjechaliśmy do Szląska i w Mittelwalde stanęli.

Od owéj pory upłynęło pół wieku i nie można zaprzeczyć, że postać kraju tak naszego, jak i sąsiedzkich licznym uległa zmianom. U nas, za wyjątkiem staréj Galicyi nie było żadnéj bitéj drogi, a i za granicą nie były one bardzo obfite. Gościniec z Wrocławia do Drezna był piaszczystym szlakiem, którego brzegi oznaczały się kolejami przez powozy powyrzynanemi, droga kręciła się wężykowato, a mosty stały zwykle na miejscach suchych i tylko przed niemi i za niemi głębokie kałuże, gdzie często grzęznąć było trzeba. Jeśli mil parę szosy się trafiło, to była ona tak niegodziwa, że ją omijać było potrzeba. Karczmy wiejskie oprócz izby szynkownéj i alkierza innego nie posiadały schronienia, a w austeryach wielkich choć były gościnne pokoje, to wszakże szyby w nich powybijane, piece porozwalane, kominy dymiące, a łóżka, stołki i stoły znoszono z miasta kiedy się gość trafił. O pościeli myśléć nie było można i trzeba było sianem ją zastępować, a jedyne pożywienie, jakiego dostarczano, składało się z mleka, jaj i piwa, kartofle bowiem należały jeszcze wówczas do roślin, które tylko w pańskich hodowały się ogrodach. Każdy więc z podróżnych musiał wozić tłumoki z pościelą i spiżarnią podręczną. O zapasach, jakie szły za księżną nie mówię, boć to już była potrzeba dogodzenia zachceniom pańskim, ale i szlachcic zwyczajny nie wyruszał w drogę, niemając z sobą bigosu, kaszy, garnka masła i chleba pytlowego.

Poczty nasze bywały rozmaite. Na jednych konie choć chude, ale rosłe i silne, do biegu były skore, na innych znowu nigdy koni nie było i dopiéro po długiém czekaniu przychodziły od brony, lub pługa, zmęczone, i najczęściéj w drodze ustawały. U nas wszakże, mimo te przeszkody jeżdżono dosyć szybko, ale w Prusiech i Saksonii niezmiernie wolno. Żadne środki nie mogły znaglić do pośpiechu flegmatycznego pocztyliona, który nic sobie z pasażerów nie robiąc nie odmiennie w połowie stacyi odbywał popas *Halbeweg* zwany. Ztąd przez dzień przy trzech popasach ujeżdżało się trzy stacye.

W Niemczech każdy podróżujący szlachcic polski jeszcze i dotąd za hrabiego jest poczytywany. Wówczas było to wszystko w daleko wyższym stopniu i honory te słonemi rachunkami opłacać zawsze należało. Jeżeli zaś dowiedziano się, że rzeczywiście jakaś znakomita przejeżdża osoba, owacyom nie było końca i w Szląsku w każdém miasteczku witała nas deputacya miejska, asystowała przy naszéj wieczerzy, wyprawiała serenady, śpiewała chóry, a i panom rajcom i chórom płacić było potrzeba.

W Hundsfeld zatrzymaliśmy się dłużéj, księżna bowiem myślała, że do jéj zbiorów jakaś pamiątka ze słynnego pola zwycięztwa

odniesionego przez Krzywoustego, da się odszukać, ale wszystkie starania nasze były próżne, a przekonaliśmy się, że między mieszkańcami żadna legenda nawet o téj bitwie się nie przechowała.

Wrocław wyglądał wtedy bardzo smutno. Przed rokiem przez księcia Hieronima oblężony i bombardowany, ruinami świecił. Przedmieścia popalone, a w miejscu, gdzie dziś piękne ciągną się ogrody, wznosiły się okopy, mury bastyony i kurtyny. Samo miasto w późniejszych czasach także licznym uległo zmianom, część tylko koło akademii, ratusz i katedra zostały też same. Stanęliśmy *pod Złotą Gęsią*, bo już i wówczas ta gospoda uchodziła za najlepszy hotel i natychmiast z uszanowaniem zjawił się p. Korn, księgarz, który z księciem feldmarszałkiem ciągle korespondował i z dostarczanych do jego biblioteki książek ciągnął wielkie zyski. I teraz przynosił rozmaite bibliograficzne rzadkości, składające się głównie z książek do nabożeństwa pisanych na pargaminie i zdobnych pięknemi miniaturami, księżna kilka ich nabyła po ogromnie wysokich cenach. We Wrocławiu była podówczas menażerya jakiegoś p. Leonardi, o któréj wzmiankuję dla tego, żem w niéj jedynego w życiu widział orangutanga. Księżna opowiadała mi, że w czasie pobytu swojego w Anglii znała jednego kapitana okrętowego, który do obsługi, czyszczenia sukien i podawania jadła małpy tego rodzaju używał i że z powierzonych obowiązków wywiązywała się ona wcale zadawalniająco.

Z Wrocławia przez Lignicę, Hainau i Buntzlau wjechaliśmy w granice Saskie. Cały Szląsk podówczas przedstawiał smutny obraz skutków wojny. Głogowa, Wrocław, Brzeg, Neissa, Kozel, Swidnica, Glatz nawpół przez bombardowanie popalone, miały poniszczone fabryki, a cały kraj kontrybucyami i zbytkownem żywieniem wojsk francuzkich, których część dotąd pozostawała, był wyniszczony. Ślady nędzy były widoczne, a nie tylkó u ludu ale i u mieszkańców miast oznaki sympatyi dla Polaków były bardzo wyraźne.

Waldau i Görlitz należały wówczas do Saksonii, a w ostatniém tém mieście istniały słynne fabryki i blichy płócien. Zauważyłem maszynę do polewania płótna, podobno od Chińczyków przyjętą, a składającą się z koła, które obracając się, kubełki wody wylewało. Cywilizacya europejska nie ulepszyła tego wschodniego wymysłu i nie zadała sobie nawet trudu, żeby pracę rąk ludzkich siłą koni zastąpić. Od Görlitz przez Bautzen ciągnęła się szosa aż do oberży *pod białym orłem* o pół mili od Drezna odległéj, ale tak niewygodna i z bruku nie przykrytego szabrem pobudowana, że prawdziwe tortury przejeżdżającym zadawała. Pod Dreznem nie było licznych willi i letnich mieszkań, jakie się tam teraz znajdują, ale ciągnął się ponu-

ry las sosnowy, pokrzywiony i karłowaty. Za to dolina Elby, Drezno, Pillnitz, Meisen i góry Czeskie tém piękniéj się wydawały, skoro gęstwina lasu się otwarła.

W Dreznie stanęliśmy się na ulicy Zamkowéj w Hotelu Polskim, a zaraz odwiedzili nas mieszkający tu Polacy, Zabiełło Łowczy litewski i państwo Olędzcy. Ci ostatni zaprosili nas na wieczerzę i u nich poznałem p. Bourgoing rezydenta francuzkiego przy dworze saskim. Ponieważ pasport wydany mi był przez p. Serra, rezydenta francuzkiego w Warszawie, na drugi więc dzień uważałem za obowiązek stawić się u p. Bourgoing. Przyjęto mnie jak brata, a francuz, którego późniéj losy do nas więcéj zbliżyły wysoki był, chudy, dosyć już w wieku, ale nadzwyczaj uprzejmy. Dom jak na Drezno utrzymywał świetny, mieszkańcy bowiem tego miasta żyją nadzwyczaj skromnie i nawet ekwipażów nie używają; ale zastępują je lektykami, których portyery nie wiem dla czego szwajcarami nazwani, w liberyi kanarkowéj z błękitnemi bortami, punkt zborny mają przy zamku. Bawili przy panu Bourgoing dwaj jego synowie: starszy Armand, podówczas kapitan w pułku dragonów i młodszy, rówiennik mój Paweł, ochotnik w marynarce. W późniejszym wieku przeniósł się on na pole dyplomatyczne i w 1831 r. zastępując posła w Petersburgu przyczynił się wielce do utrzymania przyjaznych stosunków Rosyi z Ludwikiem Filipem i odwrócił grożącą Francyi wojnę. Jedyna córka posła szesnastoletnia Ernestyna, późniéj za marszałka Macdonalda wydana, robiła honory domu. Wychowany wśród galanteryi dworu Puławskiego, nie mogłem się powstrzymać od otoczenia panny Bourgoing, temi drobnostkowemi grzecznościami, które do niczego nie obowiązując niemniéj są miłe. To mi jeszcze więcéj jak zaproszenie ojca łask zjednało i przez czas mojego pobytu w Dreznie stałem się w rodzinie téj prawie domownikiem. Paweł towarzyszył mi ciągle, a Armand, wziąwszy na się rolę *Cicerona*, oprowadzał nas po wszystkich zbiorach i miejscach godnych widzenia. Ponieważ ks. Czartoryska, po dwudniowym w Dreznie pobycie wyjechała wraz z matką moją do Töplitz, ja więc w towarzystwie tém nowém sam zostałem, a na niedostatek skarżyć się nie mogłem, bo mi matka udzielając urlopu na dni czternaście, zostawiła sto dukatów w złocie. Opiekę zwierzchnią powierzono nademną p. Zabielle, ten jednak wcale się mną nie troszczył i ciągle u pp. Bourgoing przebywałem. Kilku polaków jak Olędzki i Rychłowski towarzystwo nasze powiększyło. Prezentowałem się p. Brezie ministrowi sekretarzowi Stanu. Był to już podówczas mężczyzna w wieku podeszły, siwizną okryty, chudy, wysoki z orlim nosem i ściągłą twarzą. Niezmiernie ruchliwy i nadzwyczaj ugrzeczniony przedstawiał

typ prawdziwego dworaka. Mimo wieku pisał niezmiernie wyraźnie i kształtnie.

W pierwszą niedzielę mojego w Dreznie pobytu z Pilnitz przyjechał król Saski i znajdował się na nabożeństwie w kościele katolickim w loży. Aktorowie włoscy śpiewali pięknie na chórze, a Armand znajdujący się zemną w kościele, ponieważ nie przestrzegał zwyczajów, gadał głośno, i zaglądał pod kapelusze damom, został przez szwajcara wyprowadzony zadrzwi. Drugi raz całą rodzinę królewską widziałem 14 lipca, odwiedzając Pilnitz. Zaszedłem tu do dawnego znajomego p. Żaboklickiego, który przy dworze pełnił funkcye szambelańskie, grywał na gitarze, recytował wiersze swojego układu i pochlebiając sowicie, cieszył się wielkiemi łaskami. Ten mnie zapoznał z p. Jurkowskim, mistrzem ceremonii u księcia Maksymiliana. Obadwaj oprowadzali mnie po téj części zamku, która w rannéj godzinie była widzialna. W sali jadalnéj zauważyłem kilka portretów dam polskich z czasów Augusta II i III, które zgorzały w czasie pożaru, jaki nawiedził zamek Pilnicki. O dziesiątéj, umieściwszy się w korytarzu, oczekiwaliśmy na przejście rodziny królewskiéj do kaplicy. O królu, królowéj i infantce wspomnę niżéj, opowiadając o pobycie monarchy w Warszawie. Tu oprócz nich widziałem jeszcze brata królewskiego, ks. Antoniego, następcę tronu i drugiego brata ks. Maksymiliana. Pierwszy niski, gruby, czerwony, drugi przeciwnie wysoki i chudy. W ogóle cała rodzina królewska miała rysy pospolite, bez wyrazu, a oczy jakieś zamglone i jakby porcelanowe. Mały ten dwór, etykietą drobiazgową skrępowany, nudził się fatalnie w Pilnitz i najdrobniejszy wypadek, jak na przykład moja bytność w kaplicy, był powodem całodziennych rozmów.

U państwa Bourgoing poznałem także p. Kanikow, posła rosyjskiego i p. d'Ulwa, hiszpańskiego, który szczególniéj z tego względu śmieszył mnie ogromnie, że niemiłosiernie kaleczył francuzczyznę i mówił na przykład: *je suis le réprésentant d'une grande potence.* Tu także spotykałem p. La-Haussaye, komendanta 4-o pułku dragonów w Saksonii rozłożonych. Posiadał on eleganckie ułożenie salonowe, co wogóle w wojskowych francuzkich było rzeczą dość rzadką.

Po upływie urlopu, zwiedziwszy Pilnitz, Königstein i Saską Szwajcaryą, przybyłem do Töplitz. Tu przedstawiony zostałem zaraz dziedzicom téj miejscowości, księstwu Clary, z których towarzystwa często korzystałem i gdzie spotykałem rozmaite znakomitości. Towarzystwo polskie zebrało się także licznie i oprócz marszałka Ignacego Potockiego, który się u ks. Czartoryskiéj stołował, byli tu ks. Dominikowa Radziwiłłowa, żona brata ks. Michała z dwiema córka-

mi, Garzeński, kasztelan poznański, Kicki August, starosta krasnystawski, Brochocki z familią, pani Broniec z dwiema córkami, panną Joanną, późniejszą księżną Łowicką i Józefą, późniejszą Gutakowską. Daléj Wyczechowski, podówczas radca ministra sprawiedliwości, Czekierski, słynny doktór Warszawski, Czerwiński, Makowiecki, Rastawiecki i t. d.

Z cudzoziemców nie podobna mi nie wspomniéć słów parę o słynnym ks. de Ligne. Miał on już wtenczas około lat 73, dosyć wysoki, chudy na twarzy, choć na ciele otyły, nos miał orli i oczy przymknięte, tak iż zdawało się, że zawsze drzémie. Wstąpił on do wojska austryackiego w dwudziestym roku życia i choć odbył zaszczytnie siedmioletnią kampanią, dopiéro przy jéj końcu zamianowany został generał-majorem. W r. 1766 przybył na dwór Wersalski i tu dowcipem i świetnemi wiadomościami zachwycił wszystkich. Życie wszakże dworskie i stosunki z Trianon nadwerężyły znacznie majątek, opuścił więc Francyą, podróżował po Anglii i Włoszech, odwiedził w Ferney Woltera i dłuższy czas zabawił na dworze w Sans-Souci, a w 1770 towarzyszył zjazdowi Józefa II z Fryderykiem Wielkim i zamianowany został jenerałem *en chef*. Że syn jego ożenił się z ks. Massalską, przeto w Petersburgu długi czas bawił, popierając odebranie dla Massalskich 3-ch milionów od rosyjskiego dworu, a choć od cesarzowéj Katarzyny wielce lubiony i orderami obsypany, bez milionów wszakże do Austryi powrócił. Późniéj towarzyszył cesarzowi Józefowi w podróży jego do Chersonu i w czasie wojny tureckiéj przeznaczony był do obserwowania obrotów wojska rosyjskiego i z Laudonem oblężenie Belgradu popierał. Wpadłszy potém w niełaskę u swego dworu, zamieszkał w Nassdorf, pod Wiedniem i tu umarł 1818 r. Pisał wiele bardzo i w najrozmaitszym rodzaju. Dzieła jego wyszły w 1807 r. w Paryżu p. t. Oeuvres du Prince de Ligne, a po jego zgonie u Cotty „Oeuvres posthumes“. Kiedym go poznał dowcip jego rzadko bardzo już błyszczał i przeważnie był małomówny. Dzieła jego kupiłem także, ale przyznam się, że nic nadzwyczajnego w nich nie znalazłem.

W Töplitz jak w kalejdoskopie towarzystwo mieniało się ciągle i coraz nowe osoby przybywały. Rodzina Löwenstein, księżna d'Aremberg, księżna Solms, księżna Meklemburg-Strelitz, księstwo Turn i Taxis, książę Albert Cieszyński i t. d. Wszystkich ich spotykałem u księstwa Clary, a często i u ks. Czartoryskiéj, a żem dobrze mówił po francuzku i dobrze tańcował, przeto mnie ciągnięto wszędzie.

Najszczerszą ochotę miałem zbliżyć się więcéj do ks. Weimarskiego—raz, że jako dla opiekuna sztuk i nauk czułem dlań wielki

szacunek, a powtóre że bywając częściéj na jego dworze, mogłem mieć nadzieję i sposobność słyszyć kiedy mówiącego Göthego. Ks. Wejmarskiemu prezentowaliśmy się razem z p. Ignacym Potockim, ale téż się na téj prezentacyi ceremonialnéj skończyło, Göthego zaś widziałem tylko zdaleka, tak tu jak i w Karlsbadzie.

Raz księżna Clary zażądała odemnie, żebym jéj dostawił Zairę Woltera. W księgarni miejscowéj dostać jéj nie można było, ale że na usługach ks. Czartoryskiéj był szybkobiegacz, który co dwa dni za sprawunkami do Drezna i na austryacką komorę biegał, przeto przez niego żądaną książkę sprowadziłem, nie wiedząc na co ona tak pilnie była potrzebna. Wieczorem tajemnica się wyjaśniła. Na wieczorze u księżnéj ukazał nam się ks. de Ligne w czerwonym płaszczu z przyprawną brodą i udając czarnoksiężnika zawiadomił, że przybyli z Chin śpiewacy, chcą się popisać ze swoją sztuką. Wprowadzono wychowanicę księżnéj Clary, pannę Tetine i ta odśpiewała kilka strof okolicznościowych przez ks. de Ligne ułożonych, dwoje dzieci w malowanych papierowych chińskich szlafrokach towarzyszyło śpiewaczce. Późniéj wystąpił pan Szak, przebrany za Zairę i oddeklamował parę ustępów z tragedyi. Przyznam się, że po wspaniałych fetach i reprezentacyach, jakie widziałem w Puławach, ta dziecinna igraszka wydała mi się niesmaczną arlekinadą.

Oprócz uroczystości cudzoziemskich i mięszanych były także i czysto polskie. Tak ks. Radziwiłłowa na św. Annę wyprawiła suty podwieczorek polski *ex re* imienin jéj córki, a na św. Ignacego, ks Czartoryska z racyi imienin marszałka sprosiła wszystkich polaków. Akurat na dzień ten przybył Stanisław Potocki, z Działyńskim i Bielińskim, wracający z Bajonny, po zawarciu umowy bajońskiéj i opowiadali nam wszystkie przejścia z rodziną Burbonów hiszpańskich, o któréj nie zbyt korzystnie się wyrażali.

Pierwszych dni sierpnia opuściliśmy Töplitz i przenieśliśmy się do Karlsbad. Stanęliśmy w hotelu *l'enesseigne d'or* należącym do hrabiego Poltza. Ten straciwszy olbrzymi majątek, sam filozoficznie dyrygował oberżą, rachunki utrzymywał, dozorował kuchni i tylko w chwilach wolniejszych czytaniem książek się zabawiał. Na obiad zaprosił nas Moszyński marszałek, żywy starzec blizko siedmdziesięcioletni i pokazywał nam bogaty swój zbiór drogich kamieni. Prócz mnóstwa pereł, soliterów i dyamentów pojedyńczo oprawnych, cztery kamienie szczególniéj swą wielkością i pięknością uderzały: dyament 120 gran ważący, topaz, szafir i szmaragd ogromny. Znajdował się tu także olbrzymi granat, ale ten nie tyle już cenny. Razem z nami na obiedzie znajdowali się p. Loos z żoną, dyrektor ogrodów króla Saskiego i Moszyński z żoną, prefekt departamentu Płockiego. Wie-

czorem więcéj przybyło towarzystwa i tańcować zaczęto. Udało mi się po długim szukaniu odnaleźć cenną bransoletę jednéj damie, która ją—wysiadając z powozu—zgubiła, za co pozyskałem odrazu jéj względy. Dla tego o wypadku tym wspominam, że damą tą była tyle słynna późniéj p. de Lieven, przyjaciółka Guizot'a, wywierająca tak wielkie wpływy na dyplomacyą europejską. Podówczas polityką jeszcze się nie zajmowała, młoda, średniego wzrostu, ze zgrabną figurą, włosami ciemno-blond i niebieskiemi oczyma uchodziła nie za piękność skończoną, ale bardzo miłą osobę. Na drugi dzień zaprosiła mnie na bal do siebie, gdzie pośród innych znakomitych osób poznałem księcia Koburskiego z bratem Ferdynandem i siostrą, księżną Aleksandrą Wirtemberską, tudzież elektora Hesko-Kasselskiego, podówczas wygnańca, z państwa bowiem jego Napoleon utworzył królestwo Westfalskie.

Zawarłszy tak prędko przyjemne te stosunki, z żalem opuszczałem Karlsbad, gdzieśmy byli tylko w przejeździe i towarzysząc księżnéj Czartoryskiéj przeniosłem się wraz z nią do Franzensbrunn, gdzieśmy mieli dłużej zabawić. Tu nowe mnóstwo znakomitych osób, towarzystwo liczne, a zebrania w kąpielowym salonie wolne od etykiety. Polskich rodzin było bardzo wiele, a i te, któreśmy w Töplitz poznali, tu także przybyły. Bale, podwieczorki, zabawy szły jedne za drugiemi, a choć potworzyły się rozmaite koterye i kółka stosownie do narodowości się grupując, ja jednak względami temi się nie krępowałem i lubiąc namiętnie tańczyć, prawie wszędzie bywałem. Wyliczać naturalnie porobione tutaj znajomości byłoby zbyteczne, wspomniéć tylko muszę o panującym księciu Emilu Gotajskim, który jako oryginał oczy wszystkich na siebie zwracał. Dwór jego składali: nieodstępna przyjaciółka Sidonia, kanoniczka, pan Wogenstein, szambelan, baron Herda i hrabia Hardenberg. Sam książę wysoki, blady, chudy i zezowaty, pełen dowcipu i rozlicznych wiadomości, opanowany był prawdziwą manią wskrzeszenia wieków średnich. Marzył ciągle o Hermanie (Arminius), który teraz powinien się zjawić i Niemcy z pod jarzma francuzkiego wyswobodzić. Pazie i cała służba w niemiecko-hiszpańskich strojach, a sam nosił włosy blond w ogromnych, długich puklach na ramiona spadające, tok z ogromnym pióropuszem okrywał jego głowę, tunika haftowana, długim pasem spięta i przy boku olbrzymi rapir. Spodnie z bufami opięte, na nogach zamiast zwyczajnego obuwia *brodequins* i na tém wszystkiem płaszcz aksamitny. Mimo swéj powagi i napuszystości, stał się wielbicielem panny Joanny Grudzińskiéj i za nią jak cień się włóczył. Późniejsza jednak księżna Łowicka okazywała pewną sympatyą p. Brewer, który w wojnach nogę stra-

cił i książę Gotajski tą ujawnioną nad nim preferencyą był niezmiernie dotknięty.

Po miesięcznym we Franzensbrunn pobycie, wróciliśmy na czas krótki do Karlsbadu, a później do Dorotenau. O ile pomiarkowałem później, cała ta podróż nie tyle miała na widoku zdrowie księżnéj Czartoryskiéj, ile doprowadzenie do skutku małżeństwa między księciem Adamem, a córką księżnéj Kurlandzkiéj—Dorotą. Pierwszą myśl podała ks. Kurlandzka, a negocyacye prowadził pan marszałek Potocki za pośrednictwem Włocha—Piatoli. Księżna kurlandzka Bironowa, z domu Medem, utraciła hołdownicze swe księstwo po trzecim rozbiorze Polski i księstwo do cesarstwa rosyjskiego wcielono. Wyznaczono jednak téj familii, jako wynagrodzenie sto tysięcy rubli rocznéj pensyi i zachowano posiadanie dóbr alodyalnych familii Bironów i posagowych Medemów. Oprócz tego rodzina miała widać znaczne kapitały, bo zakupiono w Czechach dobra Nachód, w Szląsku księstwo Sagan i w Altenburskim dobra Löbichen. Tu księżna, osoba światła, dobroczynna i powszechnie kochana mieszkała stale, otaczając się uczonymi. Słynny Jan Paweł Richter i Fiedge stanowili zwykłe jéj towarzystwo. Na mężu księżnéj wygasła w linii męzkiéj familia Bironów, przedstawiająca w krótkiem istnieniu swojém obraz dziwnéj fortuny igrzyska i pozostały tylko cztery córki: jedna—Katarzyna, wydana za hr. Szulenburg, druga—Paulina, za ks. Hohenzollern-Hüchingen, trzecia —Joanna, za ks. Accerenza Piquatelli, czwarta—Dorota, po spełznięciu zamiarów co do ks. Czartoryskiego za synowca Talleyranda ks. Talleyrand de Perigord Dino.

Książę Adam mieszkał podówczas w Petersburgu i kiedy mu o projekcie tym znać dano, zażądał czasu do namysłu. Długo się wahał, ale zostając pod wpływem dość silnych a przyjemnych związków stanowczo wykonania przedsięwziętego projektu odmówił.

Co do pana Piatoli, włoch ten pochodził z Florencyi i pierwiastkowo obrał sobie zawód duchowny, wstępując do zakonu kapucynów. Ztąd wzięty został na kapelana hrabiego Marchisio, pierwszego ministra księcia Modeny i zajął się uporządkowaniem jego bogatego księgozbioru. Tu poznała go podróżująca po Włoszech ks. Lubomirska i wziąwszy go za nauczyciela do swoich dzieci, do Polski przywiozła. Zalecony następnie królowi Stanisławowi, został jego lektorem, a układnością swą, dowcipem i obszernemi wiadomościami tak podbił serce królewskie, że stał się niezbędnym i nie tylko dni całe trawił w Zamku, ale obok sypialni królewskiéj miał mieszkanie przeznaczone. Tu urosły stosunki Piatolego z polskimi panami i ztąd to z Kołłątajem i Potockim użyty był do układania

konstytucyi 3-go maja. Kiedy król przystąpił do Targowicy, Piatoli z obawy prześladowań, usunął się razem ze Stanisławem Potockim do Drezna, a kiedy w 1794 r. przybyli do Karlsbadu, aresztowano ich i uwięziono w Teresienstadt. Stanisław Potocki prędko uwolniony został, a Piatolego przeniesiono do Pragi, gdzie pod dozorem policyi zostawał. Dopiero w r. 1800 za wdaniem się ks. Kurlandzkiéj i za złożeniem deklaracyi, że nigdy w sprawy polskie mieszać się nie będzie, odzyskał wolność i odtąd interesami księżnéj kurlandzkiéj się zajął. Należał stale do towarzystwa w Löbichen i prowadził układy z dworem petersburskim o wynagrodzenie za księstwo kurlandzkie. W Petersburgu poznał ks. Adama Czartoryskiego, został przez niego polubiony i za jego protekcyą otrzymał rangę Radcy Stanu. W 1806 r. zawarł śluby małżeńskie z panną Wittinghoff, a widząc, że z popieranego małżeństwa księcia Czartoryskiego z ks. Dorotą nic nie będzie, wyswatał ją za ks. Dino. W następnym roku po naszéj podróży umarł, a bibliotekę jego od żony kupiła księżna kurlandzka, karty zaś geograficzne książę Adam. Rękopisy jego, których miało być bardzo wiele, zaginęły.

Wracając nazad, dłuższy czas zabawiliśmy w Dreznie, a ja z przyjemnością witałem państwa Bourgoing i zawarte tutaj poprzednio znajomości. Familie polskie także się tu powoli ściągały, a pomiędzy świeżemi przybył pan Tadeusz Morski, dobrze mi znajomy z wycieczek do Sieniawy i Bardyowa. Był on przeznaczony na posła do Hiszpanii, a choć poselstwa tego nigdy nie objął, nie mniéj przeto zachowywał zawsze zagadkową minę dyplomaty. Tu także bawił teraz generał Karnicki, ożeniony z panną Małachowską. Rodzice jéj małżeństwo to uważając za mezalians, chcieli córkę wydziedziczyć i żadnéj jéj pensyi nie płacili. Generał Karnicki, aż do upadku Kościuszki dowodząc brygadą kawaleryi, na dobrą zasłużył sławę i posiadając piękny na Wołyniu majątek—Lubar mało zważał na gniewy swego teścia. Z brygadyerem Walewskim zaprzyjaźniony był jak Orest z Pyladem, a późniéj kiedy w Warszawie zamieszkał, żona jego stale się przyjaźniła z moją siostrą.

Podczas pobytu naszego w Dreznie przybył także pan Piatoli, i tu projekta małżeństwa ks. Adama stanowczo się rozwiały. Do księżnéj zgłosiła się francuzka, niejaka pani de Vaughan, polecona przez p. Morską. Prosiła, żeby ją zawieść do Polski i gdzie na guwernantkę umieścić. Księżna nic nigdy nikomu nie odmawiająca, zabrała ją z sobą i do Puław przywiozła, ale p. de Vaughan, tłómacząc sobie inaczéj zwykłe ks. feldmarszałka dla dam ugrzecznienie, umyśliła podbić staruszka. I kiedy zręczna francuzica od kapitulacyi odstąpić nie chciała, zapłacono jéj 10,000 złp. i z Puław odprawiono.

W Dreznie, idąc za radą p. Zabiełły, złożyłem wizytę niejakiemu księciu Putiatyn, który straciwszy w Rosyi jedyną córkę od lat kilku już na stałe pod Pilnitz osiadł. Pobudował sobie wśród ogrodu domek w kształcie chłopskiéj chałupy, otoczył ją naokoło galeryą i gankami i przy każdych drzwiach wieszać kazał pierścionek i laseczkę, a przechodząc z pokoju do pokoju i pierścionek i laskę zmieniał. W ogrodzie spacerując nosił ogromną pałkę, a buty miał ze sztylpami blaszanemi, jak mówił z obawy psów wściekłych. W ogrodzie sposobem dekoracyjnym pomalowanych na płótnie znajdowało się mnóstwo domów rosyjskich i rozmaite chłopskie typy w kostiumach narodowych. Wśród tych ekscentryczności jedna tylko rzecz wydała mi się praktyczną, że mur ogród otaczający był dubeltowo stawiany, a opatrzony dachem i oknami, pozwalał spacer odbywać w czasie deszczu i w zimie.

W końcu września wróciliśmy do domu. Rodzice moi po naradzie odbytéj z ks. feldmarszałkiem postanowili, abym na mieszkanie do Warszawy się przeniósł i tam odbył kurs prawny. Zamiar ten tém praktyczniejszym się wydawał, że siostra moja stale w Warszawie zamieszkała, mąż jéj bowiem urząd otrzymał i rodzice mieli pewność, że wszelkiéj wygody i opieki dom jéj mnie dostarczy. Jeśli jednak o pomieszczenie kłopotu nie było, inaczéj działo się z nauką. Akademii w Warszawie nie było i zaledwie utworzono lyceum, którego rektorem został p. Linde, słynny leksykograf. Łubieński, minister sprawiedliwości założył wprawdzie szkołę prawa, lecz ta dopiero w marcu zatwierdzoną została. Zresztą organizujący ją Rzędkowski nie myślał o wykładzie kompletnego kursu prawnego, ale zamierzał jedynie zapoznać młodzież z procedurą francuzką.

Ks. feldmarszałek zawsze na mnie łaskaw polecił, aby mieszkanie dano mi w pałacu błękitnym i w obszernym liście do p. Lindego wystosowanym, wyłożył w jaki sposób ma być mi udzielana nauka prawa. Z siostrą więc w końcu listopada opuściliśmy Bronice i Puławy i matce — jako pamiątkę po sobie— siostra moja zostawiła swego jedynaka Leona z całą gromadą mamek, bon i nianiek.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

Karol Robert Darwin.

(ZARYS BIOGRAFICZNY).

W ostatnich dwu latach poniósł świat anglosaski nadmierne straty w ludziach zasłużonych nauce i literaturze, którzy nie pozostawili godnych siebie następców. Wymienimy tylko najsławniejszych—Carlyle'a, Drapera, Longfellowa, Jerzego Elliot'a, Rossetti'ego, Pusey'a i (była to największa strata tego rodzaju) Karola Darwina, zmarłego w swéj majętności ziemskiéj Down House, koło Down, w hrabstwie Kent, d. 19 kwietnia r. b. około 4 po południu. Wieść o jego zgonie spadła na świat oświecony jak grom z czystego nieba. Zachwycając się niestrudzoną działalnością wielkiego przyrodnika na polu wiedzy, wdziękiem, jasnością i żywością jego wykładu, żelazną wytrwałością w badaniu, a śmiałością w ogłaszaniu faktów odkrytych i wniosków z nich pochodzących, nie mogliśmy oswoić się z myślą, że ten szermierz wiedzy bojował od pół wieku, że duch jego niezestarzały przebywał w ciele zgrzybiałém i trapioném nadto chorobą chroniczną, która mu do tego stopnia w pracy przeszkadzała, że trudno pojąć, kiedy znalazł czas na zbudowanie sobie owego pomnika z 15 monumentalnych tomów, zadziwiających jeszcze bardziéj oryginalnością i rozmaitością treści, niż objętością. Rozgłos jego nazwiska, wrzawa wywołana jego teoryą, namiętność, z jaką jeden obóz go przedstawiał jako obrazoburczego rewolucyonistę, drugi zaś przyrównywał go do Arystotelesów, Koperników i Newtonów;—wszystkie te okoliczności dały początek mimowolnemu złudzeniu, że największy ze współczesnych przyrodników musi być jakimś niezmordowanym tytanem, bujającym po nowych i burzliwych prądach myśli, któremu żyć i walczyć, a nie umierać. Tymczasem był on sobie tylko zgrzybiałym, delikatnym staruszkiem, przykładnym mężem, ojcem, obywatelem ziemskim, wzorem przyzwoitego szlachcica an-

gielskiego, osobą tak skromną i potulną, że gdyby go kto z naszych czytelników był spotkał, byłby go wziął zapewne za emeryta o skromniutkiém utrzymaniu. Nie mogliśmy znaleść, po długiém szperaniu, żadnéj o nim charakterystycznéj anegdoty, a w całym życiorysie to chyba uderzać może, że nie był profesorem. Dla nas i dla czytelników kontynentalnych, jest to bowiem faktem zastanawiającym, iż człowiek, który taki przewrót w nauce sprawił, nie posiadał ani tytułu ani urzędowego stanowiska naukowego, ale był sobie ziemianinem. Przypatrzywszy się jednak bliżéj stosunkom angielskim, przestaniemy się i temu dziwować. Ruch naukowy i literacki Albionu otrzymuje swoje główne popędy właśnie od *dyletantów*, jakby ich nazwali niemieccy *Kathederphilosophen*. Ztąd pochodzi siła i zdrowotność umysłowego życia w Anglii. Jéj uczeni są misyonarzami swoich idei, nie zaś uposażonym w prebendy klerem erudycyi. Największym zaś tego rodzaju misyonarzem był Karol Robert Darwin.

Człowiek ten fenomenalny urodził się d. 12 lutego 1809 r. w Shrewsbury. Na chrzcie odebrał dwa imiona, z których drugiego nigdy nie używał. Jeżeli teorya dziedziczności przymiotów zawiera w sobie choć kropelkę prawdy, był on przeznaczony do wielkich rzeczy. Po mieczu i po kądzieli pochodził z ludzi znakomitych. Jeden z jego dziadów, dr. Erazm Darwin, należał do najoryginalniejszych myślicieli angielskich w drugiéj połowie 18 stulecia. Wpół przyrodnik ten, wpół marzyciel napisał między innemi rzeczami rymowany „Ogród Botaniczny,“ w którym wyraźnie przepowiedział, że nie długo, a para będzie pędziła okręty i ciągnęła wozy. Na teoryą powstania jestestw ustrojowych, którą Lamarck późniéj zarysował, a Karol Darwin indukcyjnie udowodnił, wpadł on apryorystycznie. Drugim dziadem Karola Darwina był drogiéj pamięci miłośnikom ceramiki Jozyasz Wedgwood, wynalazca artystycznego garncarstwa angielskiego, który umiał przekuć swe zdolności artystyczne i ducha wynalazczego na złote gwineje. Z jedną z jego córek ożenił się syn Erazma Darwina, dr. Robert Waring Darwin, wzięty lekarz w Shrewsbury, który przez to małżeństwo z dziedziczką bogatego fabrykanta ubezpieczył majątkową niezawisłość swego potomstwa. I on także, jak i wszyscy znani Darwinowie, był skłonny do eksperymentowania, poświęcając ten swój talent medycynie. Lubił studyować naturę ludzką, bawić się jéj słabostkami, posuwać dobroczynność dla cierpiących do samarytanizmu. Przytém był humorystą i psychologiem praktycznym—zupełnie jak jego syn wielki. Dowód posiadania tych rozmaitych przymiotów złożył w następującym wypadku. Każdego dnia rano zwykł był ordynować ubogim chorym bezpłatnie, rozdając im także lekarstwa z własnéj apteki. Ku niema-

łemu zadziwieniu zacnego eskulapa ubodzy chorzy zgłaszali się coraz rzadziéj do niego. Domyślił się, że przyczyną tego może być tylko duma angielskiego gminu—najbiedniejsi wstydzili się iść drugi raz do doktora, co nie brał nic a nic. Dr. Darwin kazał więc ogłosić, że w przyszłości będzie zawsze udzielał rady i leków za darmo, ale każe sobie płacić za pudełka na pigułki i flaszeczki do mikstur. Odtąd miewał mnóstwo pacyentów groszowych. Jednocześnie pamiętał także o zdobyciu sobie praktyki w rodzinach wszystkich okolicznych krezusów, więc mógł żyć przyzwoicie i dać synom dobre wychowanie. W domu jego panował spokój i duch łagodnéj karności, obok maszynowego porządku, właściwego wielu zamożnym, mieszczańskim gospodarstwom wyspiarskim. To wszystko wpłynęło korzystnie na młodego Karola.

O jego dziecinnych latach nie przechowała się żadna anegdota. Znać, że jak sprawiedliwy gentleman angielski przestrzegał od młodości reguły, żeby się starać nie zwracać na siebie uwagi. Początkowe wychowanie odebrał w gimnazyum (*grammar school*) w Shrewsbury, ucząc się nieźle pod znanym pedagogiem, dr. Butlerem. W szesnastym roku życia wysłał go ojciec do Edynburga, gdzie istniał najlepszy fakultet medyczny w Wielkiéj Brytanii, miły Darwinom, bo i dziad i ojciec Karola na nim się doktoryzowali. Karol miał także słuchać medycyny, ale podobno nie uczęszczał bardzo pilnie na wykłady, okazując więcéj zamiłowania w amatorskiém przykładaniu się do nauk przyrodzonych. W stolicy Szkocyi istniało wtedy między młodzieżą t. zw. Towarzystwo Pliniusza, rodzaj klubu studenckiego, zbierającego się kiedyniekiedy na rozprawy nad przedmiotami z historyi naturalnéj. Darwin był jednym z jego najgorliwszych członków i odczytał na jego zebraniach kilka oryginalnych, krótkich prac, z których się najlepiéj podobały zarysy dotyczące fauny morskiéj. Po dwuletnim pobycie w Edynburgu zaszła zmiana w jego położeniu. Odziedziczył znaczne kapitały, a nie będąc jeszcze pełnoletnim, ujrzał się zupełnie niezawisłym majątkowo i mógł porzucić dla chleba przedsięwzięte, niezbyt mu przyjemne studya medyczne. Teraz był jednym z owych młodzieńców angielskich, z jakich się po należytém wykształceniu klasa ten kraj rządząca rekrutuje, a według zwyczajów wyspiarskich powinien był, na jednéj z dwóch arystokratycznych wszechnic krajowych nabyć ogólnéj ogłady i pozawierać stosunki towarzyskie, potrzebne ludziom ambitnym do zrobienia karyery. Darwin wybrał na ten cel Cambridge. Ojciec jego, pomnąc, jak łatwo mógłby Karol przy swym majątku i stosunkach rodzinnych zająć wyższe miejsce w anglikańskiéj hierarchii kościelnéj, zachęcał go do poświęcenia się teologii. Nie wiele brakowało,

żeby syn posłuszny, co właśnie uszedł szczęśliwie z Charybdy medycznéj, nie wpadł w Scyllę teologiczną. Na szczęście dla ludzkości uczuł wkrótce wstręt niezwyciężony do tego rodzaju nauki i zamatrykulował się do t. w. „Kolegium Chrystusa,“ gdzie ćwiczono młodzież w klasycyzmie i w czystéj matematyce. Jego wrodzone skłonności nie pozwoliły mu jednak celować w tych przedmiotach. Prowadził tam życie odmienne od większéj części kolegów, polując namiętnie na lisy i na kuropatwy, i czytając dzieła przyrodnicze. Ostatnia okoliczność zaleciła go profesorowi botaniki, pastorowi Henslow, człowiekowi z rozległémi stosunkami między uczonymi, a ubóstwianemu przez młodzież, w którą umiał wlewać zamiłowanie dla swego przedmiotu. Darwin stał się nieodłącznym towarzyszem jego botanicznych wycieczek w okolice podmiejskie i najgorliwszym słuchaczem wykładów, odbywających się na łąkach i w gajach, a dających jego bystréj myśli popęd w jednym kierunku, którego nic już późniéj zmienić nie mogło. Nikt téż lepiéj od niego nie wiedział, ile zawdzięczał Henslowowi; nikt za to głośniéj nie dziękował, jak ten wielki i szlachetny uczeń. Tak z podróży swéj naokoło świata jak i późniéj zwykł był pisywać do nauczyciela częste, długie listy, w których wyrazy wdzięczności mieszają się z uwagami naukowemi w sposób nieopisanie wdzięczny. Henslow ze swojéj strony ułatwiał ulubieńcowi zawieranie znajomości z uczonymi i pierwsze kroki w zawodzie autorskim.

Młodzieniec nasz opuścił Cambridge w r. 1831 ze zwykłym stopniem „bakałarza nauk wyzwolonych,“ udzielanym tym wszystkim, co się nie odznaczyli przy egzaminach w tworzeniu heksametrów łacińskich i w naśladowaniu ód Pindara—które to sztuczki bywały kwintesencyą zdobyczy naukowych, unoszonych z ówczesnych wszechnic angielskich przez celujących elewów. Stare Cambridge nie przewidywało przyszłéj sławy zamiłowanego w sporcie myśliwskim i we włóczęgach z puszką botaniczną ucznia, a dużo wody upłynęło w jego Camie, nim się zaczęło tym uczniem chlubić. Pochodziło to z obawy przed potęgami klerykalnemi, wywierającemi wtedy wpływ przeważny. Dopiero gdy świat cały przyznał Darwinowi tytuł pierwszego przyrodnika swéj epoki—dopiero, gdy zagraniczna wszechnica w Leidzie przysłała mu *honoris causa* dyplom doktora medycyny, zdobyło się i Cambridge na akt cywilnéj odwagi, równie późny, jak zabawny—mianowało staruszka doktorem—prawa! Skromny mędrzec, któremu nigdy w życiu na myśl nie przyszło ubiegać się o jakiekolwiek zaszczyty, przyjął równie obojętnie ten dowód uznania, jak przedtém znosił zaniedbanie.

Przez kilka miesięcy po skończeniu kursów nie wiedział dobrze Darwin, co począć z sobą. Zamiłowany w życiu wiejskiém stronił od miast i polował prawie ciągle. Jego łowiectwo różniło się wszakże od zwykłego sportu angielskiego. W kołach koleżeńskich nazywano go za to dziwakiem. Kto bowiem słyszał poprzednio, aby myśliwy wstrzymywał nagle bieguna u płotu lub u rowu, jak gdyby się bał przeskoczyć zaporę, choć jeździł jak centaur, a gdy towarzysze w pąsowych rajtrokach pędzili daléj przez rżyska i łąki za grającemi ogarami i lisem-mykitą, stał długo jak wryty, bawiąc się widokiem zwyczajów istot czworonogich i pierzastych w żywopłotach, lub się schylał po jakiś okaz botaniczny, który miał posłać ukochanemu Henslowowi, zostającemu z nim w ciągłéj korespondencyi?

Że ten ze swojéj strony o ulubionym uczniu nie zapomniał, dowiodła następująca okoliczność. Admiralicya angielska przygotowywała właśnie wtedy wyprawę morską, wpół geograficzną, a wpół przyrodniczą, w celu zbadania wybrzeży po stronach cieśniny Magellańskiéj. Przeznaczała do niéj dwa żaglowce wojenne—*Adventure i Beagle*—pod słynnym późniéj meteorologiem i admirałem, kapitanem Fitzroy, który oświadczył się z gotowością podzielnia się własną kajutą z młodym przyrodnikiem, coby przyjął udział w wyprawie. Henslow polecił mu Darwina, młodzieńca zaś namawiał do podróży, która, mówiąc nawiasem, nic tak bardzo ponętnego nie przedstawiała dla młodego i majętnego człowieka, z delikatném zdrowiem, z ojcem sędziwym, chcącym mieć syna księdzem, a koleżkami, którzy mu doradzali zostać *squire'm* ziemskim i kandydować do parlamentu. Podróż naokoło świata, okrętem wojennym, na którym panująca karność nawet dla arystokratycznych uczonych pobłażliwą być nie mogła, żaglowcem wlokącym się miesiącami od przystani do przystani, w dusznéj kajucie, w któréj oficerowie musieli tak dobrze jak majtkowie spożywać suchary i solone mięso—wszystko to nie przemawiało do wyobraźni jego przyjaciół. Żadne przestrogi nie mogły jednak powstrzymać młodzieńca od wyjazdu, a zaparcie się wygód dla nauki było tém godniejsze podziwienia w tym wypadku, że Darwin był z natury bardzo skłonnym do gwałtownych napadów morskiéj choroby. Przyjął przecież bezpłatną posadę naturalisty na Beagle'u i to pod dwoma warunkami, świadczącemi o téj bezinteresowności, co była gwiazdą przewodnią jego życia:—że będzie mu wolno płacić za swoje utrzymanie na okręcie, oraz, że zbiory, jakie mu się uda zgromadzić, będą jego własnością. Te ostatnie, nieocenione skutkiem obfitości w nowe okazy, porozdzielał późniéj pomiędzy rozmaite instytucye naukowe.

Dzień 27 grudnia 1831, w którym bryg wojenny Beagle odbił z przystani, ośmielamy się nazwać hegirą nowéj ery naukowéj. Był to początek wyprawy, któréj korzyści, gdybyśmy je tylko mierzyli bezpośredniemi skutkami dla handlu i geografii morskiéj, w postaci pomiarów wybrzeży, sondowań głębin, odkryć mielizn i skał, poznania panujących prądów morskich i wiatrów w pewnych strefach i t. d., usprawiedliwiłyby zaliczenie jéj do rzędu najszczęśliwszych i najważniejszych w nautycznéj historyi podróży; choćbyśmy nie rozważyli jéj wpływu pośredniego na naukę, przez zapoznanie biorącego w niéj udział przyrodnika z tysiącem nowych zjawisk i faktów. Jeżeli zaś i ten skutek wciągniemy w rachubę, jak powinniśmy, wtedy zaprawdę będziemy jéj musieli przyznać prym między wszystkiemi morskiemi wyprawami naukowemi od czasu, gdy flota Aleksandra opłynęła półwysep arabski, do dnia dzisiejszego.

Beagle powrócił do Anglii dnia 28 października 1838 r. czyli prawie w pięć lat po wyjeździe, który to czas Darwin spędził, albo na morzu, albo na dzikich wyspach i lądach, wśród niewygód szkodliwych dla jego zdrowia. Posty w podróżach lądowych i choroba morska na okręcie, nadwyrężyły za częstém powtarzaniem się delikatny jego organizm do tego stopnia, że już się nigdy potém nie pozbył napadów mdłości i nudności, przypominających na stałym lądzie słabość zwykle tylko na okrętach doznawaną.

Pomimo tylu cierpień wypełnił Darwin przecież swoje zadanie całkowicie, poznawszy dokładnie gatunki roślinne i zwierzęce na obu wybrzeżach cieśniny Magellana i w Chili, przebywszy konno, wśrod przygód i trudów niezliczonych, kontynent południowo-amerykański między Buenos Ayres i Valparaiso, zebrawszy w téj przejażdżce mnóstwo dowodów stopniowego podnoszenia się téj części stałego lądu, tudzież wiadomości o jego mało znanéj, żyjącéj i całkiem nieznanéj faunie z wcześniejszych epok geologicznych, któréj szczątkami pampasy są zasiane. W dalszéj żegludze zawinął do archipelagu Galapagos, grupy wysepek oddalonych od południowéj Ameryki na 500—600 mil morskich, a posiadających właściwe sobie gatunki istot organicznych, tylko w tym osobliwym mikrokosmie znajdowane, ale pokrewne z gatunkami zamieszkującemi najbliższą część lądu amerykańskiego. Wyspy te nie miały mieszkańców ludzkich, a właściwe im gatunki ustrojowe nie zjawiły się na nich—szeptał rozum—skutkiem jednego, wyłącznie dla korzyści tych nędznych skał wykonanego aktu stworzenia, lecz zostały z innych stron przyniesione, a po upływie licznych pokoleń, skutkiem dyferencyacyi, wyniklej z konieczności zastosowania się do otaczających warunków klimatycznych, geograficznych i innych, rozróżniczko-

wały się do tego stopnia, że nietylko przybrały wiele znamion nieposiadanych przez swoich protoplastów na stałym lądzie, ale nadto gatunki każdéj osobnéj wysepki różniły się w ważnych cechach pomiędzy sobą. Był tu więc jaskrawy przykład powstania nowych rodzajów skutkiem przypadkowych warunków doboru naturalnego i tego, co obecnie walką o byt nazywamy. Spotkanie takiego przykładu przeniosło siéw, jeszcze przez dziada Erazma w wyobraźni Karola Darwina zostawiony, na plenniejsze pole jego rozwagi. Dumania nad objawionëm mu na wyspach Galapagos widzeniem towarzyszyły mu w dalszéj podróży do wyspy Ascension i do północnéj Australii i daléj w powrocie do ojczyzny....

Gdziekolwiek podczas żeglugi Beagle'a naokoło świata dotknął się Darwin lądu, tam zbogacił swoje zbiory mnóstwem nowych i cennych okazów, a swe książeczki jeszcze cenniejszemi zapiskami, dotyczącemi wszystkich działów historyi naturalnéj. Podróż ta była najważniejszym, a raczéj jedynym ważnym wypadkiem w życiu Darwina, którego dalsze lata zeszły na usystematyzowaniu faktów i uogólnieniu wniosków w czasie téj pięcioletniéj podróży zebranych i sformułowanych. Rozkosz, jaką czuje w takiéj wycieczce umysł, cały jak u Darwina ciekawością i czcią dla przyrody przejęty, opisuje on sam we wspomnieniach z podróży, z których widzimy, jak wszędzie próbował wejrzéć zadumaném okiem w laboratoryum natury, by zedrzéć zasłonę z jéj ważnych tajemnic, a jednak nie lekceważył także i drobniejszych przedmiotów, przesuwających się w kalejdoskopie podróży. Zastanawiając się nad przyczyną powstawania i rozmaitością rodzajów bawi się także zwyczajami sepij i ślimaków morskich, podpatruje życie pająków i żab i owadów świetlanych fosforescencyą i wymoczków. Motyle i ptaki, konie i bydło rogate, króliki i muszle— wszystko naraz zajmuje przyszłego odkrywcę wielkiego prawa życia. Nie zapomina o botanice, choć narzeka, że nie jest botanikiem. Opisuje stylem poety przepych roślinności podzwrotnikowéj i fantastyczność skał, odzianych wspaniałą szatą tamtejszéj zieleni. Geologia korzysta najwięcéj z jego obserwacyi. Przychodzi do nader ważnych wniosków ze skazówek, jakich dostarcza skorupa ziemska. Przekonywa się, że wygląd każdéj strefy zależy w wysokiéj mierze od charakteru zamieszkującéj ją flory i fauny. Rozmaite gałęzie fizyki także się zbogacają w nowe wiadomości skutkiem jego zapisków. Notuje sobie szczegóły o oglądanych zjawiskach elektrycznych, o ruchach obłoków, prądach morskich i wiatrach. Wszystko zaś to, co widzi i co bada, łączy w umyśle z wielkiém zagadnieniem historyi naturalnéj, którego rozwiązanie miało stać się celem jego życia.

Że cierpiał podczas téj podróży, domyślamy się z półsłówek, mimowolnie wypływających z pod jego pióra. Rzewny ton niektórych poetyczniejszych ustępów zdradza nam, jak drogo opłacał opisane powyżéj przyjemności. Tak np. pisze: „Widzenie wielu krajów i wielu szczepów ludzkich sprawia niezawodnie niemałą przyjemność, jednak rozkosze owych chwil nie są w stanie zrównoważyć doznanych jednocześnie goryczy. Trzeba wtedy spoglądać po za nie do owego żniwa, jakkolwiek bardzo dalekiego, do owego czasu, w którym uda się coś dobrego zebrać i wykonać.“ Takiemi to nadziejami pocieszał się przyrodnik, obdarzony niezwykłém czuciem dla uroków i grozy natury, jak świadczy np. zwrot następujący z jego wspomnień: „Czémże są przechwalane przepychy niezmierzonego oceanu? Nudną przestrzenią, pustynią wód, jak je nazywają Arabowie. Prawda i to, że się na nich spotykamy z zachwycającemi scenami. Tam noce miesięczne, z czystém niebem, z morzem wyiskrzonėm; tam białe żagle, napełnione słodkiém tchnieniem łagodnie wiejącego wiatru zwrotnikowego; tam cisza, wydymająca wód powierzchnię, wypolerowaną nakształt zwierciadła; tam powszechne milczenie, tylko rzadkim łopotem żagli przerywane! Dobrze też jest burzę raz zobaczyć, z jéj podrzucającemi się grzywami, z jéj potęgującą się wściekłością, ciężkiemi ciosami wiatru i bałwanami jak góry.... Albatros i malutka mewa latają sobie, jak gdyby burza była ich przyrodzonym żywiołem; woda się wzdyma i opada, jak gdyby swe zwykłe zadanie spełniała, a tylko jeden okręt z mieszkańcami swoimi zdaje się być ofiarą jéj złości....“ Takie to obrazy przesuwały się przed nim, pełne zarazem jednostajności i rozmaitości, podżegające do studyowania ich szczegółów i dociekania ich przyczyn z taką pilnością, że komendant wyprawy nie umiał dobrać wyrazów w swoim raporcie, w celu pochwalenia pracowitości jéj przyrodnika. Koledzy zaś podróży tak go polubili za słodycz charakteru i uczynność, że nazwali od jego nazwiska jednę cieśninę i jednę górę w Ziemi Ognistéj, a w północnéj Australii najpiękniejszą z odkrytych tamże przez Beagle'a przystani— Port Darwin.

Powróciwszy do Anglii, dowiedział się Darwin, że go poprzedziła reputacya, którą mu zjednał Henslow, dzieląc się jego listami z innymi uczonymi. W rok po powrocie otrzymał stopień „magistra nauk wyzwolonych“ w Cambridge. Co zresztą robił przez trzy lata od powrotu do końca 1839 r., nie wspomina żaden z jego dotychczasowych, dorywczych biografów. Ubóstwo w szczegóły dotyczące jego osoby, a przeważnie zajmowanie się jego pracami naukowemi, milczenie o jego życiu rodzinném i obywatelskiém,

właściwe ich wspomnieniom, wskazują nam, jak-eśmy już nadmienili, że odtąd żył Darwin całkiem spokojnie i jednostajnie, w nieprzeniknionych oku ciekawemu czterech ścianach własnego domu, pracując wytrwale i nieprzerwanie. Wszystkie fakta godne zapisania o jego osiedleniu się po skończonych podróżach ograniczają się na tych kilku wzmiankach, że ojciec jego przekonał się w końcu, iż namiętnie zakochany w historyi naturalnéj syn nie pasował na pastora, któréj to myśli nie był się jeszcze wyrzekł, gdy Karol do wyprawy Beagle'a się przyłączał, sprzeciwiając się temu zamiarowi, albowiem tego rodzaju podróż mogłaby — jego zdaniem — zrobić go nieużytecznym dla kościoła! Otrzymawszy rodzicielskie pozwolenie kierowania się według upodobania, ożenił się Darwin w r. 1839 ze swoją kuzynką miss Wedgwood, któréj wiano podwoiło jego majątek. Nabywszy w r. 1842 piękną willę Down House, zamieszkał w niéj, żeby się oddać rodzinie i nauce. Dochody odziedziczone po sławnym garncarzu dostarczały środków na oryginalne gospodarstwo, jakie prowadził w parku i na łanach, otaczających dwór jego. I tak zmienił pierwszy w eksperymentalny ogród botaniczny, a część łąki puścił w dzierżawę glistom ziemnym, kazawszy pozakopywać w rozmaitych jéj punktach skrzynki szklane, które wyjmował kiedy-niekiedy, żeby się przypatrywać, jak robaki oblekały głazy warstwami próchnicy, a glinę przetrawiały na glebę, wyższe istoty żywiącą. Dla ubogich był dobroczyńcą, dla czynszowników doskonałym doradcą. Skutkiem wątłego zdrowia nie odwiedzał nikogo w sąsiedztwie i rzadko się po za własne żywopłoty wychylał, z wyjątkiem dni, w których się sędziowie pokoju we wsi Down zbierali. Wtedy, jak przystało przykładnemu obywatelowi, stawiał się do spełnienia obowiązków honorowego urzędu (był także takim sędzią) w ubiorze cokolwiek staroświeckiéj mody. Do polityki się nie mieszał, ale nie taił się z tém, że żywił skrajno-liberalne zapatrywania. Lubił gości, zwłaszcza młodych i pochopnych do nauki. Dla takich był dom jego zawsze otwarty. Oprowadzał ich chętnie po swém dziwném gospodarstwie, opisywał im swoje odkrycia, słuchał ich uwag, najczęściéj cokolwiek dzikich, bez oznak lekceważenia. Ta powolność mędrca dla intruzów i dyletantów naukowych zadziwiała jego poważnych przyjaciół, a wypływała z nadziei znalezienia niekiedy zdrowego ziarna nowéj prawdy między plewą spostrzeżeń, jakie ludzie tego rodzaju sobie tworzą, oraz podchwycenia w ich komunałach — głosu opinii publicznéj o swych dziełach. Jego zwyczaje i obyczaje odznaczały się przyjemną prostotą. Z naiwnością prawie dziecięcą w sprawach światowych łączył gospodarność i oszczędność, więc nie uszczuplał majątku. Skromność po-

suwał do przesady. Żaden początkujący poeta nie przedkłada pierwszego utworu swéj Muzy z większą nieśmiałością redaktorowi, jak to czynił ten sławny i wyćwiczony autor z każdém swém dziełem. Choć tak mozolnie je opracowywał, zawsze się bał, że im brak doskonałości; upatrywał w nich błędy, których najsurowszy krytyk nie umiał znaleźć. Ta sama skromność pozwalała mu znosić bez urazy owo zaniedbanie, jakiego doznawał od możnych swéj ojczyzny—od własnéj wszechnicy, co tak późno i z trwogą, azali nie popełniła czegoś nieprzyzwoitego, odznaczyła go honorowym stopniem; od swego rządu, który nigdy mu nie ofiarował tytułu lub orderu, choć tak hojnie temi rzeczami dla uczonych niższego rzędu szafuje. Jedyny dowód oficyalnego uznania otrzymany przez Darwina pochodził z zagranicy. Rząd pruski przysłał mu order *Pour le Mérite*, którego kawalerowie, ograniczeni do liczby 30, wybierają jak akademicy francuzcy, na miejsca śmiercią kolegów opróżnione, następców z pomiędzy najznakomitszych ludzi wieku. Raz padł ich wybór na Darwina. Nadto przyznały mu wielkie medale: angielskie Tow. przyjaciół nauk (*Royal Society*) i Tow. geologiczne. Był także honorowym członkiem wszystkich prawie znakomitszych akademij naukowych na świecie....

Historya 40 lat jego życia w Down House daje się więc streścić w zdaniu, iż ono było wzorem owego *home-life*, do którego tak czyste i piękne znaczenie wyspiarze przywiązują, pasmem prac naukowych i cierpień fizycznych, spowodowanych katarem żołądkowym i sercową chorobą, wynikłych z podróży na Beagle'u. Stratę czasu z tych cierpień wynikającą wynagradzał mrówczą pilnością w godzinach zdrowia, a że żył długo, więc wiele zdziałał. Najtrudniéj przychodzi nam rozwiązanie zagadki, jakim sposobem mógł pracować w swoim zawodzie mieszkając daleko od przyrządów pomocniczych, zgromadzonych dla adeptów nauki w wielkich grodach—od muzeów, księgozbiorów, laboratoryów, codziennego ścierania się ze współpracownikami na temże polu. Pamiętajmy bowiem, że oprócz Voltaire'a Darwin jest może jedynym przykładem mędrca pierwszorzędnéj wielkości, zamykającego się zdala od miast w dworze wiejskim. Że pomimo pustelniczego sposobu życia mógł przodować postępowi nauki, tłómaczy się w części jego zamożnością, która mu pozwalała nabywać księgi, aparaty i okazy potrzebne, bez pomocy publicznéj. Pomagała mu także własna i synów zręczność w sporządzaniu narzędzi, odpowiednich przedsiębranym eksperymentom. Down House było kolonią, któréj wszyscy mieszkańcy, przejęci zapałem dla wiedzy, charakteryzującym głowę domu, oddawali się wyłącznie obserwowaniu przyrody i eksperymentowaniu.

Do autorstwa zachęciły najpierwéj Darwina rady Henslowa i pochlebne zdanie tak wytrawnych i szczerych krytyków, jakimi byli członkowie Tow. filozoficznego w Cambridge, o jego listach z podróży do nauczyciela. Wzmianki zawarte w tych listach uzupełniał młody uczony mnóstwem innych wspomnień, a z tego wszystkiego ułożyło się dzieło, czytywane po dziś dzień przez mnóstwo ludzi nieuczonych z taką przyjemnością, jak gdyby było tylko lekkim zbiorem przygód podróżniczych, opisów pięknych widoków, dziwnych zwyczajów i obyczajów. Znamy je p. t. „Dziennik Przyrodnika," jako wzór pracy ściśle naukowéj, napisanéj tak jasno i swobodnie, że każdy w niéj omówiony przedmiot jest zrozumiałym i zajmującym dla oświeconego ogółu. Czy malując chwytanie i ujeżdżanie tabunowych rumaków nad La Platą, czy skamieliny olbrzymich ssaków na pampasach, czy budowę raf koralowych w Oceanie, mistrz ponętnego stylu umie zająć całą naszę uwagę. Złożony w tym pierwiosnku autorskim dowód talentu literackiego i erudycyi zjednał mu zaszczytne stanowisko redaktora urzędowego opisu odkryć, dokonanych przez wyprawę Beagle'a, którego całość na kilka części się rozpada. Pierwszą z nich ułożyły pod kierunkiem Darwina, który sam zwierzęta w południowéj Ameryce poznane opisał, „rozmaite znakomite ręce" (jak się wyraża program), jako to: Owen, Waterhouse, Jenyns, Bell. Praca ta zbiorowa wyszła od r. 1839—42 p. t. „Zoologia z podróży okrętu Beagle j. kr. m." Po niéj przystąpił Darwin do zadania w swéj opinii jeszcze ważniejszego — geologii z podróży Beagle'a. Według krytyków żadne szczegółowe dzieło geologiczne nie wywarło równie potężnego wpływu na rozwój téj młodéj nauki, jak ta praca, wnosząca do jéj literatury mnóstwo oryginalnych i doniosłych uwag, oraz nawiązująca między nią a innemi gałęziami historyi naturalnéj węzeł łączności. Pierwsza jéj część, wydana w r. 1842, nosi tytuł: „Budowa i rozkład raf koralowych." Zaliczają ją do utworów klasycznych w geologii, nazywają najlepszém dziełem Darwina na tém polu. W niém popisał się on pierwszy raz charakteryzującą jego geniusz zdolnością do zestawienia niezliczonych, na pozór małoznaczących faktów i fakcików w taki sposób, aby tryskające z nich promyki światła wpadły w jedno ognisko i oświetliły jasnością dziwną ciemny zakąt labiryntu przyrody. Indukcya z sylogizmem połączona prowadzi tam czytelnika do rozwiązania napróżno długo i wielostronnie poruszanego zagadnienia o przyczynie powstawania pierścieni raf koralowych wśród oceanu, a gdy mu w końcu zręczny autor pokazuje, że powodem tego zjawiska nic innego być nie może, jak powolne, ogromne przestrzenie ogarniające, zapadanie

się dna morskiego, on cieszy się tém odkryciem, jak gdyby sam je był zrobił i dziwi się, że na rzecz tak prostą i łatwą do rozwiązania dawno ktoś już nie wpadł.... Sam Darwin skromnie określa swój sposób pracowania. „Zdawało mi się—powiada—że możnaby przyjść do pożądanego celu (znalezienia szukanéj prawdy) przez zbieranie wszelkiego rodzaju danych, zdających się zostawać w związku z moją ideą, tudzież wzięcie ich pod rozwagę.“ Na to potrzeba oczywiście niewyczerpanéj cierpliwości, któréj przykładny dowód widzimy w dziele wspomnionem powyżéj, a pełny rozkwit w drugiém, którém Darwin zajmował się głównie i w sekrecie przez lat wiele, chwyciwszy jego przewodnią ideę na archipelagu Galapagos, gromadząc potrzebne mu do sprawdzenia téj idei fakta z niezliczonych źródeł, poddając zebrane bogactwo danych kiedy niekiedy pod rozwagę i znów zbierając to wszystko, co do wypełnienia luk było potrzebne. Porównywany tylokrotnie do Kopernika i Newtona posiadał ich żelazną cierpliwość, żeby chować swoję pracę przed krytyką tak długo, jak długo nie mógł sobie powiedzieć, że jest skończoną i uzbrojoną na wszelkie pociski. Póki bystry jego, dla własnych utworów surowy wzrok, znajdował w niéj słabizny, póty się zadawalał, jak sam powiada, „zbieraniem faktów, rzucających promyki światła na powstanie rodzajów, tajemnicę nad tajemnicami, jak ją nazwał największy z filozofów.“ Przez pierwsze 5 lat po powrocie do ojczyzny nikt nawet nie podejrzywał, czém umysł Darwina głównie się zajmował. Późniéj wtajemniczył Lyella, Hookera i kilku innych w przewodnią myśl teoryi, nad któréj udowodnieniem pracował.

Tymczasem kończył geologią z podróży Beagle'a, powodując się radami Lyell'a, z którym go ścisła przyjaźń wiązała, jak dowodzi dedykacya w „Dzienniku Przyrodnika.“ W r. 1844 wyszła druga jéj część—„Geologiczne uwagi nad wyspami wulkanicznemi,“ a w r. 1846 trzecia — „Geologiczne spostrzeżenia w południowéj Ameryce.“ Na tém skończył się szereg prac, dotyczących pamiętnéj wyprawy, wydanych nakładem admiralicyi angielskiéj. Podczas tychże lat ogłosił Darwin w „Pamiętniku (*Transanctions*) Tow. geologicznego“ kilka pomniejszych zarysów, jak np. rozprawę „O tworzeniu się próchnicy,“ z któréj bierzemy dowód rzadkiéj ciągłości jego myśli z jaką powracał po wielu latach do ważnych przedmiotów. I tak jego ostatnie dzieło o robakach ziemnych jest tylko doskonałém opracowaniem przedmiotu, zarysowanego w roku 1840 pobieżnie we wspomnionym dopiero zarysie. Rękopism drugiego podobnego zarysu, posiew jego monumentalnego „powstawania i różniczkowania się gatunków ustrojowych,“ był już także skończony w roku

1845, lecz go chował przed okiem profanów, jak wspomnieliśmy, zastanawiając się nad niebezpieczeństwem ogłoszenia w stanie niedojrzałym poglądów tak bardzo z pojęciami popularnemi niezgodnych. Lyell i Hooker, z których ostatni był zięciem Henslowa, zachęcali go, ale napróżno, do wydania téj pracy. Do téj saméj epoki jego twórczości należą jeszcze zarysy: „O łączności zjawisk wulkanicznych" (1840), „O głazach narzutowych w południowéj Ameryce" (1842), „Geologia wysp Falkland" (rzecz ogłoszona w kilka lat dopiero po napisaniu), a w końcu „O lodowym okresie w Wielkiéj Brytanii," rozprawa wydana w r. 1843, po umyślnéj wycieczce do Walii, spowodowanéj przeczytaniem artykułu Bucklanda o istniejących niegdyś w Anglii lodnikach, w celu zbadania i stwierdzenia dodatkowemi spostrzeżeniami twierdzenia, że w pewnym okresie geologicznym Anglia (i część Europy) przedstawiała widok podobny do teraźniejszéj Grenlandyi.

Po r. 1846 wziął się do monografii, któréj część pierwsza wyszła w r. 1851 p. t. „Skamieniałe Lepadidae," druga w r. 1854 p. t. „Monografia skamieniałych Balanidae i Verucidae Wielkiéj Brytanii," a tegoż roku trzecia, wydana nakładem t. z. *Roy Society*, poświęcona żyjącym gatunkom rodziny, któréj wygasłe rodzaje opisał w dwóch pierwszych. Dzieło to, zbyt specyalne dla szerszego ogółu, wywołało różne zdania o swojéj wartości. Jedni krytycy widzą w niém zdumiewający dowód cierpliwości i przenikliwości w trudnych i delikatnych badaniach anatomiczno-fizyologicznych, zapewniających Darwinowi poczesne miejsce między morfologami, inni zaś utrzymują, że nie posiadał przymiotów do powodzenia w téj gałęzi nauki potrzebnych.

Nadszedł rok 1858, świadek wypadku, który zmusił Darwina stłumić swoję trwogę, pokonać skromność i wystąpić z teoryą, tak długo udoskonalaną i w biurku chowaną. Słynny Alfred Russel Wallace, podróżujący wtedy po Malajskim Archipelagu, przysłał redaktorowi „Dziennika Tow. Linneusza" Hookerowi, rękopism do druku, w którym tenże znalazł ze zdumieniem tę samę teoryą przyczyny powstania i dyfferencacyi rodzajów organicznych, jaką Darwin lepiéj i wcześniéj rozwinął w manuskrypcie. Przyjaciele zaczęli dowodzić przyrodnikowi z Down, że musi teraz, dla zastrzeżenia sobie prawa do tytułu pierwszego odkrywcy, wystąpić jawnie z hipotezą, z któréj już raz wychylił publicznie rąbek osłony, odczytując w roku 1848 przed Tow. Linneusza artykuł o zapładnianiu się pewnych roślin strączkowatych za pośrednictwem owadów. Znaglony przez nich Darwin pozwolił, aby na temże posiedzeniu wspomnionego towarzystwa, na którém praca Wallace'a została odczytaną, przed-

stawiono także kilka rozdziałów z jego wiekopomnego „*Origin of Species*“ zdumionym świadkom rzadkiego w dziejach nauki zdarzenia, iż dwóch uczonych, podążając własnemi drogami do prawdy i nie porozumiewając się, spotkało się niespodzianie u jednéj mety. Takie spotkanie było ubocznym, a wymownym dowodem prawdziwości hipotezy. Miało ono i swoję piękną stronę. Uczeni przyjaciele i rywale zgoła sobie nie zazdrościli sławy, któréj, skutkiem ich odkrycia, spadła część na każdego. Wallace przyznał Darwinowi tytuł odkrywcy i mistrza teoryi ewolucyi, ten zaś wyrażał się z jak najwyższém uznaniem o geniuszu Wallace'a, co mu było tém łatwiéj, że zawsze stawiał siebie niżéj, niż należało, innym zaś przyznawał wielkość po nad ich zasługi, jak to np. uczynił w przedmowie do „Pochodzenia Człowieka,“ chwaląc uczoność Haeckla.

Wspomniane posiedzenie, na którém po raz pierwszy teorya Darwina publicznie wygłoszoną została, odbyło się d. 1 lipca 1858, ale ogół poznał ją o wiele późniéj, gdy wyszło w listopadzie r. 1859 dzieło p. t. „Powstawanie rodzajów.“ Starsi czytelnicy pamiętają, młodzi nie zdołaliby sobie wyobrazić, jakie osłupienie i wzruszenie ogarnęło świat oświecony po ukazaniu się téj książki — jak, zawzięciéj od Greków i Trojan wydzierających sobie zwłoki Patrokla, walczyły dwa wrogie obozy nad pomysłem angielskiego ziemianina, na którego głowę, zdumioną tą całą wrzawą, sypały się z jednéj strony niezliczone anatemy, z drugiéj grad wieńców laurowych. Ci wróżyli zgubę wszelkiéj wiary i moralności, jeśliby ta teorya znalazła licznych zwolenników, a najwięksi zeloci między nimi widzieli już w Darwinie Antychrysta; tamci znów, z niemniéj fanatyczną przesadą, wynosili jéj twórcę i wartość po pod niebiosa. Był to bój równie gorący, jak krótki, w porównaniu z innemi walkami tego rodzaju, a teraz można go wspominać z uśmiechem. Przy kim zostało zwycięstwo — nie potrzebujemy dodawać. Teorya, bardzo źle przyjęta na razie, zjednała sobie uznanie powszechne w tak krótkim czasie, że jeden z jéj apostołów, Huxley, życzył dla jéj dobra, żeby się spotkała z dłuższą opozycyą. Ci, co ją najgłośniéj wyklinali, albo umilkli, albo dokonali sztuki cudownéj, przypasowując ją do swoich wierzeń. Ludzkości został się z niéj zysk bezpośredni w biologii, pośredni i większy w postaci olbrzymiéj rewolucyi w metodzie badania, które jeden z najznakomitszych darwinistów — Huxley, w ten sposób na obchodzie 21 rocznicy (pełnoletności téj teoryi) przedstawił:

„Jest to faktem pewnym, który stwierdzą wszyscy ci, co postęp wiedzy w ostatniém dziesięcioleciu śledzili, że nie ma dziedziny biologicznego badania, na któréj-by wpływ *Powstawania rodzajów*

śladów swoich nie zostawił. Najpierwsi uczeni wszystkich krajów albo do otwartych obrońców doktryn jego przewodnich należą, albo się od ich zbijania wstrzymują. Mnóstwo młodych i gorliwych badaczy szuka natchnienia w wielkim utworze Darwina. *Ogólna doktryna ewolucyi, któréj jednę stronę to dzieło przedstawia, znajduje w zjawiskach biologicznych stałą podstawę operacyjną, z któréj będzie mogła rozszerzyć swój podbój na wszystkie królestwa przyrody.*"

Nie myślimy wdawać się w ocenę dzieła, które było już w *Ateneum* przedmiotem specyalnego rozbioru; jednéj tylko strony pozwalamy sobie dotknąć, bo to uczynić musimy. Nie może być bowiem dla prawdy historycznéj i dla czytelników rzeczą obojętną, jak się zapatrywał Darwin na najważniejsze zagadnienia, niepokojące zwykle ludzi, i w jakim stosunku stoi jego nauka do wiary. Prawem biografa zabieramy więc głos w téj materyi, z nieśmiałą stanowczością, żałując mocno, że takie wystąpienie wprowadzi nas w kolizyą z autorem, który to samo pytanie na tychże stronicach niedawno traktował, rozwijając taką erudycyą i wdzięk stylu bogatego w trafne porównania, jakich zgoła nie posiadamy.

Zgodném zdaniem najlepszych sędziów zastosowanie teoryi Darwina, t. j. teoryi ewolucyi do biologii jest tylko *jedną stroną* (jak rzekł Huxley) jéj pożytku, bo ona jest nadto podstawą operacyjną do zawojowania wszystkich królestw przyrody, lub (jak inny darwinista w *Times* powiedział) „stanowiskiem, z którego mamy się zapatrywać na wszystkie objawy działalności myśli i umysłu ludzkości, *jéj religię*, *moralność*, *urządzenia społeczne*, *filozofię*, *historyą.*" Podobnież twierdzi p. Rejchman, że Darwin dał nam „nowy bodziec naukowy, nową metodę badania, nową szkołę, nowy punkt widoku na przyrodę, którego znaczenie pośrednie, chociażby jego znaczenie treściowe istotne miało tylko wartość przemijającą, wykraczałoby donioslością po za zwyczajne granice" — co znaczy, że chociażby ta teorya, będąca obecnie najwyższą formułą biologiczną, a posiadająca z tego powodu wartość niepospolitą, taką formułą skutkiem nowych odkryć być przestała; gdyby przedstawiała się za ciasną, okazała szczegółowym wypadkiem zasady ogólniejszéj, musiała być w przyszłości zmodyfikowaną: — przecieżby darwinizm swéj pierwszorzędnéj wartości nie stracił, jak nie odebrał wartości teoryi Kopernika fakt, że w niéj był fałsz geometryczny, albo teoryi Marriotte'a i Boyle'go, co się okazała matematycznie fałszywą. Albowiem pewném jest, że nie w tém tkwi wielkie znaczenie téj teoryi, iż wskazała prawdopodobne powstanie gatunków ustrojowych z kilku typów, a może z jednéj protoplazmy, a człowieka z wygasłych małp wązkonosych, ale na tém, że we właściwy sobie sposób i z nieprak-

tykowaną dokładnością zastosowała i rozwinęła to, co Huxley nazwał kwintesencyą naukowego ducha—*krytyczność*, czyli przyzwyczajenie nieprzyjmowania żadnego apryorycznego twierdzenia, tém mniéj zaś intuicyjnego wierzenia, bez surowéj krytyki. Może ktoś (jak kreślący te słowa) trzymać swój sąd w zawieszeniu co do przyjęcia teoryi powstania rodzajów drogą ewolucyi z form niższych; może z Huxleyem życzyć sobie, aby teoryą tę, dla jéj własnego dobra, spotkała dłuższa opozycya i aby młode pokolenie nie wpadło w błąd przyjmowania jéj bez krytyki jako aksyomatu; może z samym Darwinem uznawać i ostrzegać, że łańcuch geologicznych rodzajów, od którego uzupełnienia niezbite udowodnienie ewolucyi wyższych ssaków z niższych form ustrojowych zawisło, ma jeszcze mnóstwo luk, że mu brak więcéj ogniw, niż ich posiada, że więc przeto nie należy gasić w sobie ducha krytycznego nawet w zastosowywaniu teoryi ewolucyi do biologii;— można tak wątpić i sąd zawieszać, a przecież być lepszym darwinistą, od ślepych wyznawców pochodzenia człowieka z małpy, téj zaś z „żabiéj ikry." Bo istotną, treściową kwintesencyą darwinizmu jest zastosowanie metody indukcyjnéj do wszystkich zagadnień bytu, oraz wspomniany duch krytyczny, straszny dla wszelkiéj metafizyki, którego pogodzenie z jakąkolwiek wiarą wydaje się nam trudniejszém zadaniem, niż pomieszanie wody z oliwą.

A jednakże zaszło od niejakiego czasu zawieszenie broni między starą gwardyą teologii, a rewolucyjnemi legionami darwinistów. Na jednėm skrzydle bojowiska widzimy katolicyzm w postawie wprawdzie nieprzyjaznéj, lecz niezaczepnéj. W środku stoją sekty ponure, milczące, udające obojętność. Na drugiém skrzydle widzimy różnorodne próby fraternizowania między niedawnymi zapaśnikami. Anglikanizm chlubi się, że złożył zwłoki ongi wyklinanego mistrza do panteonu westminsterskiego. Świętoszek *Times* a za nim cała prasa filisterska, podnosząc w nekrologach zasługę Darwina dla wiedzy, łagodzą takich, których-by przesądy mogły się czuć draśnięte temi pochwałami, twierdzeniem apodyktycznėm, że mędrzec z Down nie był takim czarnym, jak go malowali. ale celująco (*eminently*) religijnym, do uwielbiania skłonnym (*reverent*) gentlemanem. Z drugiéj strony darwiniści udowadniają, że teorya Darwina i religia mogą żyć spokojnie obok siebie, że można być najlepszym chrześcijaninem i darwinistą, że krytyka metafizycznéj treści systematów religijnych nie wchodzi bynajmniéj w zakres teoryi Darwina, że zelotyzm błądzi, gdy powodowany mądrością instynktu zachowawczego, działającego z nieomylną celowością w wyborze środków, wyklucza teoryą Darwina ze szkół.

Postępowanie obozu religijnego zgoła nas nie zadziwia. To wysoki rozum dyplomatyczny, taktyka doskonała. Tak wódz biegły obchodzi wąwóz niezdobyty, oskrzydla, gdzie środka przełamać nie może. Tak misyonarze między poganami asymilują nie dające się wykorzenić przesądy i zabobony, zmieniając Dyanę z księżycem w Madonnę, dziady cmentarne w zaduszki. Tak rozumni ludzie, wiedząc, że ich stanowisko byłoby bardzo zagrożone, gdyby ogół dostrzegał, iż wszystkie powagi i teorye, co świat przebojem zdobyły, świadczą przeciwko ich dogmatom, pozwalają Kopernikowi zatrzymać słońce w biegu, rumienią się za inkwizytorów Galileusza, utrzymują z ks. Lecomte, że komentarze św. Augustyna godzą się jak najlepiéj z hipotezą ewolucyi gatunków.

Do czego jednak zmierza taktyka obozu przeciwnego, usiłująca budować złoty most ugody z przeciwnikiem? Czyż wypada starać się tym sposobem zyskiwać stronników? Czy można oddawać się złudzeniu, że zelotyzm przestanie prześladować i wykluczać niemiłą teoryą zewsząd, gdzie władza jego sięga? A może doprawdy ustępy w dziełach mistrza zawarte upoważniają do podobnych twierdzeń i dążności? Ażeby w błąd nie popaść, trzeba znać sposób pisania pewnéj szkoły myślicieli angielskich. Szkoła ta dosięgła szczytu doskonałości w podkopywaniu pozycyi przeciwników, bez draźnienia zagrożonych. I tak, gdyby jakiemu naiwnemu czytelnikowi wpadła do rąk jedna z rozpraw Fryderyka Harrisona, okrzyczanego wrogiem religijności, toby się zapewne zadziwił, dlaczego taki przydomek dostał się autorowi, używającemu tak często, z namaszczeniem wyrazów dusza i nieśmiertelność. Naiwny! one tam stoją w odmienném od pospolitego znaczeniu. Gorliwy apostoł pozytywizmu, George Elliot, umiejący wnosić swe śmiertelne wątpienia i krytykę potężną w miliony domów w ponętnéj szacie powieściowéj, wydałby się temuż czytelnikowi autorem pełnym tak bardzo u nas chwalonych „poczciwych tendencyj.“ Czemuż-by i Darwin nie mógł być równie ostrożnym? Czyż mu nie wolno posiadać umiarkowania Kartezyusza, z którego *Discours sur la Methode* przypominamy sobie zdanie, że chociaż robi teoretycznie *tabula rasa* podstawą, z któréj dedukcyjnie zamierza, żadnemi względami i tradycyami niekrępowaną siłą myśli, wysnuć swoje pojęcie wszechświata (coby przecie było aktem najwyższego sceptycyzmu), jednakże (czy tylko nie dodał tego dla ugłaskania inkwizycyi?) zważywszy, iż taki proces wysnuwania musi trwać długo, a do kierowania życia praktycznego potrzeba mieć tymczasem coś już sformułowanego—zważywszy to, przyjmuje prawdy religijne, powszechnym zwyczajem uznane. Tak i darwinizm, ufając jak najzupełniéj w to, że go indukcya przyprowadzi do

rozwiązania zagadnienia wszelkiego bytu, ale także świadom, ile niezliczonych pokoleń przeminie, zanim choć cząstka tego zadania będzie wypełnioną, może powtarzać za Kartezyuszem, że tymczasem, dla ustrzeżenia się od błądzenia po labiryncie praktycznego życia, zatrzymuje sobie cenną nić Aryadny, w kształcie metafizycznéj idei religii. Szkoła ta nie ma zresztą prawa występować bardzo zaczepnie przeciw żadnéj takiéj doktrynie, któréj mylność nie została udowodnioną faktami obserwowanémi, co jednak, zdaniem naszém, nie zbija twierdzenia, że ona podkopuje każdą doktrynę, któréj prawdy obserwacya swém *approbatur* nie przypieczętowała—każdą, powtarzamy, tak intuicyjno-teologiczną, jak apryorycznie-filozoficzną.

Zastosowując istotną, treściową doniosłość darwinizmu do religii wypada oczywiście miéć na oku definicyą jednego i drugiego systemu—pomniéć, czém się każda objawiona religia sama nazywa i nazywać musi, oraz jakie źródło i pochodzenie nadprzyrodzone przypisuje swoim dwom pojawom, dogmatycznemu i etycznemu, a z czego wywodzi i jéj dogmaty i jéj naukę moralności teorya ewolucyjna. Żeby nam zaś nie zarzucano, że biorąc darwinizm jako stanowisko, z którego się „wolno zapatrywać na całą działalność myśli i umysłu ludzkości, a więc i na religie i na moralność,“ przyjęliśmy definicyą daną mu przez uczniów nieupoważnionych, nie zaś przez samego jego twórcę i mistrza, przytaczamy dosłownie znaną, kilkakrotnie ogłoszoną odpowiedź filozofa z Down (bierzemy ją teraz z „*New York Sun*“ z d. 5 października 1882) do pewnego studenta z Jeny, który, czując budzące się w sobie wątpliwości przy czytaniu dzieł Darwina, zgłosił się do ich autora o wyznanie wiary i odebrał co następuje:

„Panie! Jestem obciążonym pracą starcem z delikatném zdrowiem. Brak mi czasu odpowiadać szczegółowo na Pańskie zapytania, przypuściwszy nawet, żeby taka odpowiedź dała się ułożyć. Wiedza i Chrystus nie mają z sobą nic wspólnego, chyba tyle, że zwyczaj naukowego badania czyni człowieka ostrożnym w przyjmowaniu wszelkiego rodzaju dowodów. Co do mnie, nie wierzę, aby kiedykolwiek było dane jakiekolwiek objawienie. Co się tyczy życia pozagrobowego, każdy musi sobie własne wnioski wyciągać z niepewnych i sprzecznych prawdopodobieństw. Życząc panu powodzenia, kreśli się jego sługą powolnym

Down d. 5 czerwca 1879. *Karol Darwin*“

Te słowa jędrne, jasne, napisane 3 lata przed śmiercią autora, nigdy nie zostały odwołane. Filozof nie wierzy w objawienie, każe

przyjmować wszystkie dowody ostrożnie, a nieśmiertelność poczytuje za kwestyą wątpliwości pełną. Opierając się na Przyrodzoności przykłada badawczy skalpel do wszystkich produktów ludzkiéj ewolucyi, więc i do teologii, opartéj na Nadprzyrodzoności i wymagającéj, aby ją wyjęto z pod powszechnéj krytyki. Nieomylne, z ust samego Bóstwa według niéj zaczerpnięte prawdy, od których ufnego przyjęcia zawisło szczęście ludzkości, śmie brać pod rozwagę na swój sposób, łącząc wszystkie do nich się odnoszące fakta i rozważając bezstronnie, do jakiego wniosku te fakta prowadzą. Jakiż otrzymuje rezultat o przyczynie powstania pojęcia religijnego (1)? Że nie mamy dowodów, aby człowiek pierwotny wierzył w Boga; że rozwinięcie w człowieku władzy wyobraźni, zdziwienia i ciekawości dało mu pochop do spekulowania nad tém wszystkiém, co się działo naokoło niego; że tedy stworzył hipotezę duchów, dla wynalezienia sobie jakiegokolwiek objaśnienia zjawisk żywotnych, którą-to hipotezę zawdzięczał marzeniom sennym; że wiara w czynniki duchowe prowadziła go zwolna i stopniowo do wiary w istnienie jednego lub wielu bogów;—zgoła, że nawet najwyższa z religij powołujących się na objawienie jest wynikiem ewolucyjnego rozwoju człowieka, utworem ziemskim, przyrodzonym. Pytanie, czy przy całém uszanowaniu, z jakim Darwin traktuje teologią, zechce się ona zgodzić na przyjęcie przyznawanego jéj pochodzenia? Nam się zdaje, że nie. Nam się zdaje, że między nią i teoryą ewolucyi zachodzi spór o ważniejszą kwestyą, od prawdziwości lub mylności hebrajskiéj kosmogonii—że ona i darwinizm nawzajem się wykluczają.

Przejdźmy do różnicy w ich zapatrywaniu na powstanie etyki. Według niéj uczucia moralne, sumienie, pojęcie różnicy złego i dobrego, są zaszczepione w naszéj duszy nieśmiertelnéj celem oznaczenia nieprzebytéj granicy między człowiekiem i niższemi formami ustrojowemi. One, ze źródła nadprzyrodzonego, boskiego zaczerpnięte, zbawią ludzkość. Darwin przeciwnie, polemizując w „Pochodzeniu Człowieka“ z Utylitaryanizmem (2), z jednéj strony przeczy Millowi i Bainowi, jakoby uczucia moralne nie były wrodzone, ale się zdobywały w życiu, więc były wynikiem procesu intelektualnego; z drugiéj zaś strony na chwilę nie przypuszcza ich początku nadprzyrodzonego i zjawienia się w pierwotnym człowieku w formie doskonałéj. Zapatrując się na rodowód poczucia obowiązku ze stanowiska przyrodniczego, znajduje źródło moralności w instynktowych popędach towarzyskich, właściwych nietylko gromadom ludz-

(1) Patrz „O Pochodzeniu Człowieka,“ przekład L. Masłowskiego str. 60 i dalsze.

(2) Patrz przekład p. Ludwika Masłowskiego str. 65 i dalsze.

kim, ale i niektórym zwierzętom, które też kiedyniekiedy okazują coś, cobyśmy u ludzi sumieniem nazywali. Jeżeli uczucie to nie rozwinęło się u nich tak, jak u człowieka, to tylko z braku równie wysoko rozwiniętych władz umysłowych. Zwierzętom żyjącym gromadnie nie brak pewnéj miarki poczucia przywiązania i sympatyi. Co się tyczy sumienia, przymiotu tworzącego najważniejszą różnicę między człowiekiem i zwierzęciem, ludzie pierwotni, jak teraz dzicy, posiadali je w nierównéj mierze z ucywilozowanymi. Ich klasyfikacya czynów na złe i dobre była inna od naszéj. Ich moralność stosowała się zrazu tylko wyłącznie do gminy, lub do pokolenia, bo źródłem moralności są popędy towarzyskie, rozwijające się na korzyść ogólną całéj gminy. Jest ona jednym więcéj rezultatem ewolucyi, poczętym w popędach wrodzonych i odziedziczonych, udoskonalonym w człowieku przez rozwój władz duchowych, mowy, nadewszystko opinii publicznéj, która daje wskazówki każdemu osobnikowi, w jaki sposób ma brać udział we wspólném staraniu o dobro powszechne. Jest ono jedném więcéj, piękném i użyteczném narzędziem w walce o byt między pokoleniami ościennemi, znajdującemi się w równych warunkach geograficznych i ekonomicznych, z których, w każdym wypadku, przechowa się i na zdobytych obszarach sąsiadów rozmnoży się to, które będzie miało więcéj jednostek patryotycznych, wiernych, posłusznych, odważnych, pełnych sympatyi—zgoła, moralnych. I jeszcze raz zapytujemy, czy jakakolwiek religia mogłaby, bez abdykacyi z przypisywanego sobie posłannictwa, żyć spokojnie obok teoryi, wynajdującéj takie poziome źródło moralności?

Gdybyśmy należeli do zagorzałych darwinistów, musielibyśmy uznać fakt powyższy, a skutek tego uznania na życie praktyczne zgołaby nas nie obchodził. Przyznając konieczność i potrzebę religii na teraźniejszym poziomie umysłowym ludzkości, nie utrzymywalibyśmy, że krytyka metafizycznéj treści systematów religijnych nie wchodzi bynajmniéj w zakres zadania teoryi Darwina, że zastosowanie teoryi ewolucyi do wszystkich objawów myśli ludzkiéj nie pozbawia religii jéj niezbędnego charakteru nadprzyrodzonego, że Darwin był celująco religijnym, do uwielbiania skłonnym gentlemanem.

Nie czując się na siłach przeprowadzenia powyżéj zarysowanéj polemiki do jéj krańcowych wniosków, któreby z pewnością wiarę w możność wspomnionego pojednania jak bańkę mydlaną przekłuły i rozwiały, zadawalamy się odkryciem, zdaniem naszém udowodnioném, istotnych poglądów Darwina na pytania najważniejsze bytu i powracamy do wyliczenia jego prac naukowych.

W kilka lat po ogłoszeniu „*Origin of Species*" wyszło wielkie jego dzieło „Zapładnianie Orchidów" (1862). Niém wstąpił na nowe pole badania i dał popęd tak sobie jak innym do zadziwiających odkryć. Do tejże kategoryi należą jego: „Samozapładnianie się Orchidów" (1876), „Kształty kwiatów" (1878), rozmaite zarysy o wpływie owadów na zapładnianie roślin: „O ruchach i zwyczajach wijących się roślin," „O roślinach owadożerczych." „O ruchach roślin" (1881). Innego rodzaju temat opracował w dwutomowém „Przeobrażaniu się roślin i zwierząt pod wpływem oswojenia" (1868). Mamy tu zbiór mnóstwa nowych faktów, zabawnych często i dziwnych, zgromadzonych według metody Darwina w taki sposób, aby przyprowadziły do kilku wniosków. Wszystkie dzieła Darwina posiadają ten wspólny przymiot, że w nich mnóstwo przykładów, a mało wniosków. W ostatnio wymienioném widać go najwyraźniéj.

W r. 1871 wyszło w dwóch częściach „Pochodzenie człowieka" i „Dobór płciowy," które wywołało nowy paroksyzm burzy, przycichającéj już po wyszaleniu się nad „Powstawaniem rodzajów." Autor ubódł tym razem miłość własną płytkich milionów. Był to jednak krótki paroksyzm. I teraz potrafili ludzie rozmaitych przekonań zgodzić się dość prędko z nowym czynnikiem, zakłócającym ich naukowe i filozoficzne spekulacye, a dla świętego spokoju oglądają się nawet zeloci za *modus vivendi* z kolczastą teoryą, z którą walka wymagałaby niepospolitéj erudycyi. Ci i owi pocieszają się, rezygnując z pychy i nakłaniając się do przykréj zrazu hipotezy, odczytywaniem wzniosłego zakończenia rozprawy o pochodzeniu człowieka: „Mamy prawo być dumni, że stoimy na szczycie organicznéj przyrody i możemy być nawet pełni nadziei, bo fakt ten, że dosięgliśmy stopniowo tego szczytu, a nie odrazu zostaliśmy na nim stworzeni, daje do myślenia, że jeszcze wyżéj pójdziemy. Mniejsza jednak o tę nadzieję, bo więcéj niż ona, obchodzić nas powinna prawda. Owóż co się tyczy téj ostatniéj, zrobiliśmy wszystko, co tylko było w naszéj mocy, ażeby ją wykryć—i przyznać w końcu musimy, że człowiek, pomimo szlachetnych przymiotów swojéj duszy, pomimo sympatyi, którą odczuwa nietylko dla swych bliźnich, ale i dla najniższych żyjących istot, pomimo swego potężnego umysłu, który zdołał wykryć prawa ruchu gwiazd, słowem pomimo tych wszystkich przymiotów, które go tak dalece odróżniają od innych zwierząt—z tém wszystkiém nosi jeszcze dotąd niezatarte ślady swego nizkiego pochodzenia" (1).

---

(1) Przekład p. Ludwika Masłowskiego.

Pośpiech zaś gorączkowy, z jakim teraz przyjmowano słowa mistrza bez dłuższéj dyskusyi, i namiętność, z jaką obrońcy nowéj teoryi zaczepnie zaczęli występować, podyktowały Huxleyowi następujące, pamiętne ostrzeżenie: „Historya nas napomina, że zwykłym losem nowych prawd bywa, aby się zaczynały jako herezye, a kończyły jako zabobony. Zapatrując się na tę sprawę w jéj dzisiejszym kształcie, nie dopuścilibyśmy się nieoględności, gdybyśmy przypuścili, że za dalsze lat 20 nowe pokolenie, pod wpływem teraźniejszych prądów wychowane, wpadnie w niebezpieczeństwo przyjmowania głównych doktryn „Powstawania rodzajów“ z tak małém zastanowieniem, a być może, że z tak małém usprawiedliwieniem, z jakiemi nasi współcześni przed 20 latami je odrzucali. Módlmy się gorąco, abyśmy nie wpadli w takie zakończenie, bo duch naukowy wart więcéj od swoich produktów, a prawdy zatrzymywane nieracyonalnie mogą więcéj szkody wyrządzić, od błędów z wyrozumowaniem przyjętych. Esencyą ducha naukowego jest krytycyzm...“

„Wyraz wzruszeń u ludzi i zwierząt“ (1872) był uzupełnieniem poprzedniego dzieła. W końcu w r. 1881 wyszła przyjęta z rozkoszą przez wszystkich wielbicieli prawdziwego talentu dostrzegawczego rozprawa o robakach ziemnych, świeża w pamięci ogółu oświeconego. Darwin stał w téj chwili na szczycie swéj sławy. Żaden zgrzyt niezadowolenia nie śmiał się odezwać. Ze świeżości przedmiotu i żywości stylu wróżono sobie, że sędziwy autor puści w świat jeszcze kilka takich książeczek, w znanych, zielonkowatych okładkach—śmierć zniszczyła tę nadzieję.

Jak wspomnieliśmy, przyszła niespodziewanie dla ogółu, w rok mniéj więcéj po zejściu ukochanego starszego brata, wiernego przyjaciela pani Carlyle. Ugodzony dotkliwie tą stratą Karol Darwin posmutniał, ale zachowywał swą czerstwość umysłową i nie zmieniał swych zwyczajów. Wstawał zawsze o piątéj, kładł się spać o dziesiątéj. Pracował dziesięć godzin dziennie. Główną jego rozrywką był ogród; wieczorem czytywała mu żona powieści, który to rodzaj literatury lubił namiętnie. Był dumny ze swych dwóch córek i pięciu synów; z tych ostatnich odznaczyło się kilku w zawodach naukowych. Jeden jest zdolnym oficerem inżenieryi, drugi otrzymał w Cambridge pierwszą nagrodę za matematykę (*high wrangler*), trzeci, doktór medycyny, był głównym współpracownikiem ojca przy badaniu prac robaków. Mnóstwo młodych wielbicieli z licznéj, we wszystkich krajach rozgałęzionéj, szkoły darwinistów pielgrzymowało do gościnnego Down House, a jeżeli jaki wątpiący tam zaszedł, to najczęściéj wychodził przekonany. Ze wszystkich stron przysyłano panu tego domu wyrazy hołdu. Wydawca niemiecki Darwina pi-

sał, że literatura o teoryi ewolucyi tworzy już sporą bibliotekę. Gazety donosiły, że prezydent austryackiéj rady państwa wspomniał o niéj, jako o jednym z najważniejszych przedmiotów rozmyślania dla oświeconego świata. Nawet jéj przeciwnicy nie próbowali już przeczyć, żeby nie dawała nowego popędu myślom i badaniom żyjącego pokolenia. Sławni niemłodzi już ludzie, jak Jan Lubbock i tylu innych, przystępowali do mistrza z objawami czci, jakiemi uczniowie filozofów starogreckich okazywali szacunek dla nauczycieli. Na swe siedmdziesiąte urodziny odebrał niezliczone powinszowania z najdalszych krańców świata.

Pierwsze niebezpieczne symptomy trapiącéj go dłuższy czas sercowéj choroby zjawiły się dwa miesiące przed śmiercią. Zakazano mu chodzić po schodach. Noszono go do sypialni na górze w fotelu, ale po swéj pracowni i po ulubionym ogrodzie przechadzał się bez pomocy, pracując wedle możności. Jeszcze o ósméj wieczór przede dniem zgonu oglądał roślinę, którą sobie kazał przynieść. O północy uczuł ból w piersi, dostał wymiotów, zemdlał. Przywieziony śpiesznie lekarz ocucił go, ale starzec leżał już bez sił do czwartéj po południu, cierpiąc, lecz zachowując przytomność do ostatniéj chwili. Żona, syn i córki podpierali go. Umarł w postawie siedzącéj. Złożono go na łożu z czcią religijną, skoro wyzionął ducha. Wieść o tym wypadku wywołała objawy żalu w całym świecie ucywilizowanym. Brak uznania za życia, jakim grzeszyły przeciw niemu rządzące koła w Anglii, starały się one teraz wynagrodzić w sposób wspaniały. Duchowieństwo wszystkich sekt protestanckich wplotło do swych kazań ubolewanie nad stratą, jaką poniósł naród w osobie wyklinanego niegdyś przyrodnika. Dziekan tumu westminsterskiego ofiarował mu z własnéj inicyatywy grób między rówiennikami, dobroczyńcami Anglii, jéj wodzami, mężami stanu, poetami, mędrcami. Za zgodą rodziny pochowano go tam okazale.

Tak ustąpił z widowni światowéj przyrodnik i filozof, o którym powiedziano, że łatwiejby policzyć i zmierzyć ogromne fale powietrzne rozpływające się po świecie w kręgach, gdy grzmi park artyleryi, niż popędy, jakie jego praca udzieliła najrozmaitszym kierunkom nowoczesnéj myśli i nowoczesnego życia—obywatel, którego piękność charakteru i czystość domowego życia miały przedstawiać widok jeszcze piękniejszy, od jego geniuszu — przedmiot czci i miłości bez granic dla wszystkich, co go bliżéj znali—on, nad którego otwartą trumną wyrzekł znający go najlepiéj Huxley, że zbliżającemu się do niego przypominał się zawsze mimowolnie szlachetny obraz Sokratesa. *Sygurd Wiśniowski.*

Rodzina Łaskich w XVI wieku.

II.

SYNOWCOWIE PRYMASA:

reformator Jan Łaski i jego bracia: Hieronim i Stanisław.

(Dokończenie).

Poczęła się kilkonastoletnia tułaczka Jana Łaskiego po obczyźnie i ta jego działalność reformatorska, z której jako jedyny Polak po za granicami swojego kraju zasłynął, działalność, która dziś jeszcze protestanckim pisarzom każe go liczyć między „założycieli kościoła reformowanego“ i sprowadza raz poraz nowe z pod ich pióra Łaskiego biografie. Ta też część jego żywota najdokładniéj ze wszystkich jest już dotychczas znana; téj jego działalności obraz krótki a treściwy znajdzie ciekawy czytelnik u *Bartelsa*, dokładny i szczegółowy w nowéj książce *Daltona*. Tutaj niewiele jéj słów poświęcę, nie mając nowych szczegółów do dorzucenia.

Była ta działalność Łaskiego przedewszystkiém praktyczną. Nie w teologii kształcił się w młodości na zagranicznych uniwersytetach; późniéj dopiero jako samouk przyswoił sobie własną pracą ten zasób wiedzy teologicznéj, który mu był niezbędny. Czuł też tę swoję słabość, nie spieszył się z ogłaszaniem teologicznych wywodów. Dopiero nowożytny dzieł Łaskiego wydawca, Kuyper, wynalazł i wydobył dwie pierwsze jego prace z archiwalnego zacisza, gdzie je ukrył nasz reformator, skoro się spotkał z zarzutami ze strony przyjaciół, którym ich udzielił poufnie. Długo Łaski unikał polemiki, starał się usunąć na bok w obec swarów i kłótni, które się wcześnie wszczęły między teologami protestanckimi o różne pisma świętego pojmowanie. Wykwintny humanista i szlachcic, jak to na tytule każdéj swéj pracy zaznacza wyraźnie (kładąc przy swém nazwisku dodatek: baro Poloniae), uczuwał niesmak wobec sporów prowadzonych zazwyczaj w bardzo grubiańskim tonie. Dopiero

w ostatnich latach życia, szarpany nieustannie, zgorzknąwszy wśród prześladowań, nabrawszy wreszcie większéj w siebie ufności, wystąpił na pole polemicznych zapasów. Przedtém stojąc na wspólnym wszystkim protestantom gruncie, pragnął najmocniéj zgody pomiędzy teologami różnych odcieni, tolerowania się wzajemnego i wzajemnéj miłości, okazywał właściwą charakterowi polskiemu pojednawczość. Gdy umarł Luter (z którym się zresztą Łaski nigdy nie zetknął osobiście i względem którego zachował zawsze niechęć ze swego z Erazmem obcowania zaczerpaną), Łaski zachęcał i namawiał bliskich sobie teologów helweckich, żeby zmarłemu poświęcili pochwalne wspomnienie, z uznaniem jego zasług, choć Luter świeżo na nich gwałtownie nastawał; Erazma zaś chował nasz Łaski zawsze we wdzięcznéj pamięci nawet i wtedy, gdy inni protestanci przywykli się odzywać o wielkim humaniście jako odstępcy z lekceważeniem lub nienawiścią.

Wiernym téż w tém został długo uczniem Erazma, że mniéj dbał o stronę dogmatyczną. Miał jednak i co do nauki kościelnéj własne zdanie i przy niém, zwłaszcza późniéj, wytrwale i stale, nawet z uporem obstawał. W téj kwestyi, która była osią wszystkich sporów między protestantami, w nauce o sakramencie ołtarza, podzielał opinią najbardziéj racyonalistyczną zurychskiego reformatora, Zwinglego, który podobnie jak Łaski wyszedł z obozu humanistów. To go zbliżało do teologów helweckich; ale chociaż Kalwina cenił ze wszystkich najwyżéj, choć z nim w ciągłych i stałych zostawał stosunkach listownych, nie we wszystkiem podzielał jego naukę. Do polskiéj natury Łaskiego nie pasowała „straszliwa,“ jak ją nazwał sam Kalwin, nauka o predestynacyi; nauczał i Łaski wprawdzie, że tylko przez wiarę jedynie można być odkupionym, ale zarazem uważał, że tylko ten wieczystemu potępieniu ulega, kto słysząc „słowo Boże,“ mogąc się w prawdziwéj wierze oświecić i utwierdzić, uczynić tego zaniedba.

Cały nacisk natomiast kładł nasz Łaski, całą uwagę swoję zwracał na praktyczną stronę protestantyzmu, na reformę obyczajów i urządzeń kościelnych, na rząd kościelny i kościelną organizacyą. A tutaj stał zupełnie na gruncie reformatorów helweckich, w wyraźnem do niemieckich teologów przeciwieństwie. Jak Kalwin, żądał dla władzy kościelnéj, któraby z wyboru gminy wychodziła, samoistnego zakresu działania, niepodległości zupełnéj od władzy świeckiéj; przeciwnie władza świecka powinna była wspierać władzę kościelną i wykonywać jéj postanowienia. Bez tego nie chciał brać żadnéj odpowiedzialności na siebie, w tém żadnego nie znosił oporu, gotów raczéj sam ustąpić niżeli się nagiąć. Groził we Fryzyi,

w poczuciu swéj godności i siły, złożeniem swego urzędu i nawet złożył go istotnie, ale już wtedy takie tam zyskał uznanie, że się nagięto do jego żądań, byle urząd objął napowrót. Żądał Łaski od władzy kościelnéj najściślejszego nadzoru nad obyczajami, purytańskiéj ich czystości. Żądał również czystości obrzędów i ceremonii, usunięcia wszelkich, jak protestanci zwali, „naleciałości papizmu;“ nie znosił niczego, coby się wprost z Pisma św., jak on je pojmował, nie dało uzasadnić. Wszelkie odstępstwo od téj czystości pociągało za sobą wykluczenie z gminy wiernych (exkomunikacyą). Za pierwszy i najwyższy obowiązek władzy uważał, iżby „czystą religię“ szerzyła, podzielał prozelityzm kalwiński. Jak reformatorowie helweccy, był też i Łaski równocześnie teologiem i politykiem, sprawy jednego i drugiego rodzaju traktował łącznie, sam nawet czynnie w politycznych negocyacyach brał udział.

Człowiek takich przekonań — w których zresztą zapewne nie odrazu się ustalił, lecz je w sobie wyrabiał stopniowo, powoli — tam przedewszystkiem mógł działać skutecznie, gdzie znalazł zaufanie ze strony gminy a poparcie od władzy. Jedno i drugie umiał sobie zdobyć nasz Łaski we Fryzyi Wschodniéj, ale też za to i tu i potém w „kościele obcych“ w Londynie, złożył dowody niezwykłego talentu organizatorskiego. Jemu to zawdzięczał swój byt kościół protestancki we Fryzyi; Łaskiego było dziełem, że ten niewielki kraik, w którym protestantyzm szerzony dotąd bezładnie, dorywczo, sprowadził rozprzężenie wszystkich stosunków, upadek w wielu moralności, niebawem ze swoich obyczajów zasłynął i stał się po wszystkie odtąd czasy warownią protestantyzmu. Potrafił bowiem Łaski opanować panujące tu zamieszanie i wszystko w karby ścisłéj karności ująć. Dla nadzoru i orzekania kar kościelnych powstała najwyższa magistratura kościelna, do genewskiego konsystorza Kalwinowego podobna, w któréj obok ministrów kościelnych zasiedli także świeccy przez gminę wybrani. Nad obyczajami znowu samych ministrów i nad czystością głoszonéj przez nich nauki czuwał t. zw. coetus, zgromadzenie pastorów zbierające się co tygodnia, gdzie się wzajemnie pouczano w swych wątpliwościach i przestrzegano nawzajem. Wkrótce powstał przez Łaskiego przeważnie ułożony katechizm; ordynacya zaś policyjna ogłoszona przez hrabinę rejentkę, rządzącą w imieniu syna we Wschodniéj Fryzyi, nakazywała pojedyńczym gminom doglądać tego, aby wszystkie dzieci uczęszczały do szkoły i tam się uczyły pacierza, oraz polecała im mieć staranie o swoich ubogich.

Ład i porządek w kościele fryzyjskim musiał zwrócić uwagę. Kierownik tego kościoła zaczął się stawać osobistością głośną, któ-

réj porady pożądano, gdzie chodziło o zorganizowanie protestantyzmu. Kiedy elektor arcybiskup koloński zapragnął zaprowadzić reformacyą w swojém księstwie, obok innych znaczniejszych teologów i Łaskiego powołał, a nasz reformator bawił czas jakiś na dworze elektorskim i w sprawach tych jeździł na sejm wormacki. Po paru latach, jesienią 1548 r., wybrał się Łaski na czas dłuższy do Anglii, wezwany razem z innymi reformatorami niemieckiemi przez arcybiskupa kantuaryjskiego Cranmera, żeby pracować nad sprotestantyzowaniem zupełném kościoła angielskiego, który dotychczas był tylko schyzmatyckim.

Na pozór mogło się wydawać rzeczą dziwną, słabością ze strony Łaskiego, że właśnie w téj chwili opuszczał Fryzyą, kiedy największe niebezpieczeństwo zagroziło jego dziełu, kiedy cesarz nalegał, aby i tu zaprowadzono interim augsburskie. Ale Łaski jechał do Anglii nietylko jako reformator; jechał tam także i w politycznych celach, dla pracy nad tém, żeby zażegnać grożące protestantyzmowi w całych Niemczech to samo niebezpieczeństwo, z którem we Fryzyi sam już oddawna musiał walczyć.

Działalność bowiem jego reformatorska nie odbywała się bez przeszkód. Mniéj znaczyło, że miał wielu nieprzyjaciół w saméj Fryzyi, że niektórzy z ministrów raczéj z luteranizmem sympatyzując, przeciw Łaskiego kalwinistycznemu kierunkowi podnosili opozycyą, z któréj powodu złożeniem urzędu groził, a którą dopiero złamał, gdy go złożył istotnie. Nierównie większéj było wagi i większe Łaskiemu sprawiało trudności samo geograficzne Fryzyi położenie. Drobny ten kraik przylegał bezpośrednio do niderlandzkich dzierżaw cesarskich, do burgundzkiego dziedzictwa Karola V. To właśnie dla protestantów czyniło pozyskanie maleńkiéj Fryzyi rzeczą niezmiernie ważną, ale téż to i stwarzało dla Fryzyi niebezpieczeństwo. Bo rząd fryzyjski musiał się liczyć z przemożnym sąsiadem, musiał unikać, żeby się cesarzowi nie narazić. Bardzo być może, iż dla tego właśnie oddano naczelnictwo kościoła we Fryzyi Łaskiemu, chociaż był tu i obcy i nieznany, ponieważ się spodziewano, że na niego, którego brat umarł w usługach Ferdynanda, który sam miał na dworze brukselskim stosunki i przyjaciół, będzie rząd cesarski patrzał mniéj krzywem okiem, niż na którego bądź niemieckiego reformatora. Ale tymczasem do Fryzyi protestanckiéj chronili się prześladowani przez rząd cesarski protestanci, z Fryzyi szła propaganda protestantyzmu w kraje burgundzkie. Już teraz, jak potém za czasów Alby i powstania niderlandzkiego, sąsiedztwo Fryzyi było najwyższéj doniosłości dla stosunków religijnych w przyległych krajach cesarskich.

Wobec postępów protestantyzmu we Fryzyi upadał wszelki możliwy wzgląd na osobę Łaskiego; „dwór brabancki,“ jak on rząd królowéj Maryi nazywa, nie mógł i nie chciał znosić u drzwi własnych ogniska ciągłéj propagandy, przytułku dla własnych zbiegów. Łaski nawet uchodzących do Fryzyi anabaptystów nie traktował nazbyt srogo. Ucierał się wprawdzie z nimi literacko,—to najpierwszą jego drukiem ogłoszoną pracę wywołało, przeciwko Mennonowi,—ale tych, spokojniejszych, którzy się poddali karności kościelnéj, tolerował i pozostawiał w spokoju. A co ważniejsza: on zorganizował kościół we Fryzyi, on był niejako duszą jego; a jak w Genewie Kalwin siłę swą głównie czerpał z poparcia chroniących się tam emigrantów francuskich, tak emigranci niderlandzcy, o ile nie byli sekciarzami, wspierali najdzielniéj we Fryzyi Łaskiego. Z jego usunięciem, mniemano nie bez słuszności w Bruksélli, kościół we Fryzyi się rozprzęże i upadnie; więc jego oddalenia już wcześnie dopominał się rząd Brukselski od hrabiny rejentki. Przy stosunkach przyjaznych Zygmunta Starego z Karolem V, przy korespondencyi dworzan i urzędników polskich z cesarskimi, wiadomo było w Bruksélli, jak to Łaski, zanim we Fryzyi osiadł ostatecznie, składał w Krakowie przysięgę przed Gamratem i herezyi się wszelkiéj wypierał. Jako przeniewiercę téj przysiędze, jako burzyciela pokoju publicznego oskarżano go przed rejentką we Fryzyi, jako człowieka niespokojnego, którego żadną miarą znosić nie można. Daremnie się Łaski zasłaniał owym listem, który od Zygmunta już po osiedleniu się we Fryzyi otrzymał, daremnie rejentka stojąc po jego stronie zapewniała, że się bez niego obejść niepodobna: nalegania powtarzały się coraz natarczywiéj i coraz groźniéj. „Wiem — pisał Łaski z rezygnacyą przewidując, że rejentka będzie musiała w końcu uledz—że nie wprzód spoczną, aż mnie ztąd wypędzą“ (1).

Broniąc się, gotów wytrwać na miejscu do ostatka, dopókiby się tylko dało, musiał jednak nasz reformator zarazem oglądać się za innem schronieniem, zwłaszcza że potęga cesarza w Niemczech wzrastała coraz bardziéj, zanim nawet przyszło do ostatecznéj protestantów niemieckich katastrofy w wojnie szmalkaldzkiéj. Ofiarowywano mu taki przytułek, nęcący nawet bardzo, bo blisko ojczystego kraju, o którym nigdy nie zapominał, ku któremu z tęsknotą zwracając oko, zastrzegał sobie wyraźnie, że w każdéj chwili będzie mógł opuścić swoje we Fryzyi obowiązki, gdyby go do ojczyzny powołano. Ks. pruski Albrecht wkrótce potém, gdy Łaski osiadł we Fryzyi jako otwarty już protestant, zawiązał z nim stosunki

(1) Kuyper II, 581, 588, 594, 602.

i raz poraz to listownie, to nawet przez umyślnych posłańców, starał się go nakłonić, ażeby przybył do Prus i przy boku jego przebywał. Było to rzeczą całkiem naturalną. W Prusach, jak wiadomo, dawał ks. Albrecht przytułek zmuszonym opuścić Polskę protestantom, w swéj rezydencyi ustanawiał polskich kaznodziejów protestanckich, kazał wydawać po polsku książki szerzące naukę reformatorów, w swojéj nowéj akademii w Królewcu polaków robił profesorami; jedném słowem, chociaż powoli i ostrożnie, póki żył Zygmunt Stary, jednakże wszelkiemi sposobami starał się uczynić ze swego kięstwa ognisko propagandy protestanckiéj w Polsce. Więc łatwo pojąć, że w człowieku takim jak Łaski, nie jakimś nieznanym zbiegu, lecz członku jednéj z najmożniejszych już rodzin, pokoligaconym ze wszystkiem prawie, co w Polsce było najznaczniejszego, musiał upatrywać doskonalsze od każdego innego narzędzie dla pozyskania we wpływowych kołach posłuchu dla swojéj propagandy. A znowu Łaski bardzoby chętnie do Prus się przeniósł, bo tam by był bliżéj ojczyzny, bo ztamtąd, nie mogąc w samym kraju przebywać, mógłby jednak pracować nad pozyskaniem współrodaków dla tego, co za prawdę uważał.

Mimo obustronnych chęci, porozumienie jednak do skutku przyjść nie mogło. Łaski nie nadawał się na teologa nadwornego przy swoich wyobrażeniach o rządzie kościelnym. Pragnął się ubezpieczyć najprzód, że mu znaczny zakres samoistnego działania będzie pozostawiony, stawiał swoje warunki, określał bliżéj swoje przekonania religijne i swoją naukę. A znów w Prusiech było siedlisko najściślejszego, najciaśniejszego Luteranizmu, na dworze księcia panował bezwzględnie „Luteropapizm,“ jak go Łaski nazywa, sam książę hołdował mu najzupełniéj. Przesłane do Prus pisma teologiczne Łaskiego nie mogły więc usunąć skrupułów księcia, owszem wyraźnie kalwińskie stanowisko Łaskiego znalazło tam potępienie: rokowania się rozbiły nie przyniosłszy żadnego skutku.

Nie ustały jednakowoż stosunki między Łaskim a ks. pruskim. Łaski zawsze jeszcze miał nadzieję, że z czasem dla swéj nauki pozyskać zdoła ks. Albrechta. Kiedy Stanisław Łaski wybierając się w swoję wielką legacyę do Karola V, przedtém miał do ks. pruskiego się udać, nasz reformator zamierzał się zjechać w Prusiech na dworze księcia z tym bratem, który z nim nie zerwał jak reszta rodziny i już dawniéj przez jakiegoś krewniaka zasiłek pieniężny dość znaczny mu posyłał (1), który z nim następnie z Augsburga kore-

(1) Myli się Dalton, p. 276 mniemając, że Jan Łaski otrzymał coś ze spadku po Jarosławie. W cytowaném przez Daltona miejscu, Kuyper II, 593, mówi Łaski o pie-

spondował. A znów ks. pruski przedsięwziął skorzystać z usług Łaskiego, nie na polu kościelném wprawdzie, ani nie w Prusach, ale z jego usług dyplomatycznych po za Prusami w interesie i własnym i protestantyzmu w ogóle, kiedy się owa legacya Stanisława Łaskiego nie powiodła, kiedy z sejmu Augsburskiego nie przywiózł ani zniesienia, ani zawieszenia banicyi ks. Albrechta, kiedy i nad Prusami ciężkie od cesarza zawisło niebezpieczeństwo.

Z północnych Niemiec, gdzie najdłużéj podczas wojny smalkaldzkiéj stawiano zbrojny opór cesarzowi, wyszła też pierwsza myśl, aby znów zbrojnego oporu popróbować, gdy cesarz zwycięzki zaczął sam porządkować sprawy kościelne, gdy począł od książąt protestanckich wymagać, żeby w swych krajach zaprowadzili ułożone pod jego powagą interim. Ale wobec przemocy cesarza potrzeba było i wszystkim książętom protestanckim pomiędzy sobą się porozumieć i połączyć, i zapewnić sobie poparcie znaczniejszych potęg zagranicznych. Więc ks. Otto brunświcki słał (w maju 1548) tegoż samego hr. Mansfelda, który świeżo we Francyi prowadził jakieś negocyacye, do Prus, do ks. Albrechta, ażeby wciągnął młodego króla polskiego do mającego powstać przeciw potędze Habsburskiéj związku. Wiadomo było, że świeżo jeszcze za Zygmunta Starego na dworze polskim znaczne stronnictwo z królową Boną na czele zamyślało o zbliżeniu się z Francyą, że z Francyi proponowano Polsce połączenie rodzinne (małżeństwo królewny francuskiéj z Zygmuntem Augustem), że zwycięstwo cesarza wprzód nim nastąpiło, straszyło już rząd polski, a Zygmunt Stary jeszcze w ostatniéj chwili chciał wybuch wojny smalkaldzkiéj zażegnać, na pośrednika się narzucał, potém za uwięzionymi książętami się wstawiał. Wiadomo było, jak wielkie obawy w Polsce wzbudziła niepomyślna odprawa Stanisława Łaskiego przez cesarza. A znów młody król, Zygmunt August, ściślejsze z ks. pruskim niźli ojciec utrzymywał stosunki, zasięgał nieraz jego rady, zjeżdżał się z nim, a nawet o poprawie kościoła rozprawiał, na swoim zaś dworze słuchał chętnie kaznodziejów, którzy piorunowali na zepsucie wśród duchowieństwa. Ks. pruski Zygmunta Augusta uważał za sympatyzującego szczerze z protestantyzmem, niemal za zupełnego zwolennika reformacyi. Tak polityczne zatém jak religijne względy — sądzono — łatwo go skłonić powinny do połączenia się z nieprzyjaciółmi Karola V; na zjeździe w Torgawie (w październiku 1548 r.) konferował o pozyskaniu Polski z Maurycym Saskim Jan na Kostrzynie, margrabia

---

niądzach *posyłanych* mu przez brata, więc przez żyjącego wtedy t. j. Stanisława. Spadek po Jarosławie zabrały jego nieletnie dzieci.

brandeburski, który w tym celu przez Andrzeja z Górki kasztelana poznańskiego na Zygmunta Augusta zamierzał wpływać (1).

Naturalnie chodziło o to, żeby do akcyi przeciwko cesarzowi wciągnąć także jedyne większe państwo protestanckie, żeby z Anglii otrzymać jeśli już nie pomoc czynną, to przynajmniéj zasiłki pieniężne, żeby więc przeszkodzić wybuchowi wojny między Anglią a Francyą, na którą się z powodu zatargów w Szkocyi zanosiło, a któraby paraliżowała swobodę ruchów Francyi przeciw cesarzowi. Po to jechał niebawem hr. Mansfeld z Prus do Anglii, do takiéj misyi wzywał też ks. Albrecht Jana Łaskiego. I to było właśnie przyczyną, że nasz reformator chętnie skorzystał z zaproszenia Cranmera i opuszczał Fryzyą, mimo niebezpieczeństw grożących kościołowi, którym kierował. Polityk i mąż stanu, wyżéj musiał cenić przyszłość całego protestantyzmu od chwilowych interesów lokalnych.

Niezapominał oczywiście, że jest teologiem i reformatorem. Przebywając przez całą zimą 1548/9 przy boku prymasa Anglii, nie zaniedbał podniecać jego reformatorski zapał; podobno nie bez skutku wpływał na to, że kościół angielski w nauce i w obrzędach zbliżać się począł do kalwinizmu; w tym celu brał udział w różnych obradach, i tém zjednał sobie u wielu prałatów angielskich wielkie uznanie. Ale gdy z wiosną 1549 r. hr. Mansfeld Anglią opuszczał, śpieszył z nim razem i nasz Łaski z powrotem, zrazu wprawdzie do Fryzyi, ale wnet na Prusy, do ks. Albrechta, który właśnie w téj porze zjeżdżał się z wojewodą malborskim, Achacym Czemą, już jawnym protestantem i protestantów w Prusach królewskich przywódzcą. Czema, cieszący się zaufaniem Zygmunta Augusta i w ogóle mu bliski, popierał (jak Andrzej z Górki) myśl przymierza Polski z książętami protestanckimi, bo toby i do postępów protestantyzmu w saméj Polsce przyczynić się musiało. Z tą nadzieją, że Zygmunt August może teraz się za reformacyą oświadczy, pragnął i nasz Łaski, opatrzony w listy polecające Edwarda angielskiego, do Zygmunta Augusta się dostać, przekonać się go spodziewał o prawdzie swéj nauki, w trzechkrotnych listach pracę swoją „do służby kościelnéj wedle nauki Chrystusa“ mu ofiarowywał, a Wawrzyńca z Prasnysza, kaznodzieję królewskiego, w gorących słowach zaklinał, żeby wytrwał na swojem stanowisku, i dworu nieopuszczał, bo za sprawą ducha świętego znikną i zginą „widma Samuelowe,“ które dobréj sprawie stawiają przeszkody.

---

(1) Druffel, Akten und Briefe, I, 224; o wszystkich zaś tych zamiarach zob. Voigt, Fürstenbund w Raumera Hist. Taschenbuch z 1857 (3 Folge 8 Jahrgang).

Samuel to bowiem Maciejowski, biskup krakowski i w. kanclerz koronny, a przy boku jego, doradca jego i powiernik, niegdy Jana Łaskiego przyjaciel, Hozyusz, starali się na wszelki sposób nie dopuszczać, żeby Zygmunt August dał się zjednać dla politycznych i kościelnych planów przyjaciół reformacyi. Maciejowski zawsze najusilniéj przemawiał za utrzymaniem jak najlepszych stosunków z domem Habsburskim, opierał się wszystkiemu, coby przyjaźń nadwątlić mogło; a choć pragnął reformy w kościele, pragnął jéj przez sobór podobnie jak Karol V, protestantyzmu zaś i wszelkich z nim związków był wytrwałym, chociaż nie srogim, wrogiem. Już dawniéj starał się oddalić z dworu Wawrzyńca z Prasnysza, zwanego Discordia, jednego z owych kaznodziejów, którzy jeszcze w Wilnie wobec młodego króla zepsucie kościoła i duchowieństwa gromili w duchu protestantów. W obecnéj chwili zaś wpływ Maciejowskiego na króla wzrastał coraz bardziej; bo w téj chwili sprawa małżeństwa z Barbarą była dla Zygmunta Augusta rzeczą najważniejszą a w téj sprawie, jak wiadomo, Maciejowski i hetman Tarnowski, także obecnie zwolennik przymierza habsburskiego, stali po stronie króla, kiedy tymczasem Górka, gorący przeciwnéj polityki poplecznik, liczył się do najgłośniejszych nieprzyjaciół Barbary. Więc pod wpływem burz sejmowych przemógł kanclerz u króla; Zygmunt August zaniepokojony opozycyą, onieśmielony co do wszelkiéj akcyi na zewnątrz, zgodził się na to, że do króla rzymskiego Ferdynanda i do cesarza pojedzie poselstwo odnowić i wzmocnić dawne przymierza. Maciejowski przeparł także, że posłem wyznaczono Hozyusza nominowawszy go biskupem chełmińskim, nie zaś przyjaciela ks. Albrechta, Czemę, który się o to poselstwo najmocniéj ubiegał.

Tym sposobem upadły wszystkie nadzieje książąt protestanckich co do przymierza polskiego, upadły i zamysły pokoligacenia się ścisłego z rodziną brandeburską, wydania zamąż sióstr królewskich za ks. pruskiego i jego synowca, także protestanta margrabiego Albrechta na Kulmbachu, choć te zamysły popierała królowa Bona, choć sam król przez czas jakiś zdawał się do nich przychylać. Oczywiście i nadzieje Jana Łaskiego musiały upaść także. Zygmunt August myślał o koronacyi Barbary, nie mógł więc drażnić biskupów stosunkami z jawnym heretykiem: król mu zabronił przyjechać do Polski i przybyć do siebie (1). Zupełnie jednak zrażać sobie prote-

(1) Że Ł. jadąc do Prus miał właściwie na celu podróż do króla, okazują słowa jego listu, Kuyper II, 632: suscepti nuper... ad Poloniae regem itineris mei, a znów w innym liście mówi o tém, co król mu odpowiedział, ibid. 639; z tego wynika, że albo

stantów nie chciał Zygmunt August; jak zawsze potém, i teraz także starał się na obie strony dobre zachować stosunki i nikomu nie odbierał nadziei. W tajemnicy przed Maciejowskim, przez protestanta Bojanowskiego odpisywał Łaskiemu, ukazywał mu jakieś nieokreślone w przyszłości widoki; niebawem za wstawieniem się ks. Albrechta wydał mu na żądanie świadectwo, któreby go usprawiedliwiło we Fryzyi wobec oskarżeń rządu cesarskiego. Bo do Fryzyi wracał zawiedziony w swoich oczekiwaniach nasz reformator; w Prusiech niemógł pozostać, przekonawszy się na miejscu, że ks. Albrecht jak przedtém tak i teraz najściślejszego Luteranizmu się trzyma.

I we Fryzyi jednak nie miał Łaski teraz długo popasać. I polityczne i kościelne względy stawały temu na przeszkodzie. Na próżno tłómaczył się Łaski, że do Anglii i do Prus jeździł jedynie w celach kościelnych, napróżno się zasłaniał owém świadectwem Zygmunta Augusta. Na dworze cesarskim nie chciano temu wierzyć; a zresztą podczas ostatniéj nieobecności Łaskiego przyjęto we Fryzyi pod naciskiem cesarza interim i zaczęto je wprowadzać, a tymczasem powracający Łaski nie chciał mu się poddać żadną miarą. Więc rząd cesarski znowu coraz groźnéj domagał się od hrabiny rejentki wygnania dyplomaty, który nad przymierzem przeciwko cesarzowi pracował i teologa, który się cesarskiemu interim opierał. Na prośby rejentki, aby uwolnił ją od kłopotów i niebezpieczeństw, musiał Łaski ustąpić—pozornie na czas tylko—nie uwolniony od swych obowiązków przez gminę, lecz otrzymawszy od niéj dłuższy urlop. Udawał się najprzód do Bremy i Hamburga, gdzie sie gorliwie przyszłym związkiem przeciwko cesarzowi zajmowano, następnie tam, gdzie już raz znalazł schronienie, do Anglii, żeby i tam daléj w dwóch równocześnie pracować kierunkach, kościelnym i politycznym.

Ks. pruski i nadal pragnął korzystać z usług Łaskiego dyplomatycznych po za Prusami. Nie zupełnie jest jasném, jakiego rodzaju był polityczny zawód w Anglii naszego reformatora. Dr. Dalton nie zaniedbuje wprawdzie téj strony jego działalności, ale ją jednak trzyma trochę w cieniu; nie wiele też w ogóle materyału w tym względzie jeszcze zebrano. W archiwach angielskich prawdopodobnie, a napewno w archiwum królewieckiem, niejedno się jeszcze ukrywa, coby rzecz mogło lepiéj rozświecić (1). Dotychczas tyle

---

mu król zabronił przejeżdżać albo przynajmniéj odradził. Co o stosunkach na dworze polskim i o różnych wpływach na Z. A. powiedziano, polega na korespondencyi Hozyusza, Hosii Epp. I.

(1) Kuyper wydał wzięte z arch. królewiec. listy Ł. do ks. Albr. (czy wszystkie?), ale muszą tam być także listy księcia do Ł., nieznane dotąd.

tylko widoczna, że Łaski jako ajent upełnomocniony przez ks. pruskiego miał mu jakąś pomoc pieniężną wyjednać u rządu angielskiego; lecz nie wiadomo, czy to osiągnął, skoro po upadku lorda Somerseta mniéj okazywano w Anglii skłonności do popierania protestantów niemieckich; niewiadomo, czy i o ile mógł się przyłożyć do tego, że nowy protektor niebawem z Francyą się pojednał i tém rozwiązał Henrykowi II ręce do interwencyi w sprawach niemieckich. Bo, jak wiadomo, właśnie podczas trzechletniego pobytu Łaskiego w Anglii, ów związek protestanckich książąt niemieckich przyszedł istotnie do skutku, wystąpił w porozumieniu z Francyą przeciwko Karolowi V, obalił jego groźne stanowisko, a układem passawskim zapewnił uznanie protestantom niemieckim, których tylko jeszcze stanowisko prawne miał przyszły sejmy Rzeszy uporządkować i określić.

Nierównie dokładniéj jest znaną spółczesna działalność kościelna Łaskiego w Anglii. Na tém polu niebawem odegrał ważną rolę ważniejszą pewno, niźli którybądź z obcych reformatorów. Zewsząd teraz cisnęli się do Anglii, wszystkim dawał chętnie przytułek rząd Edwarda VI, gotów występować jako opiekun protestantów w całéj Europie. Pełno było tych zbiegów z Niemiec, z Francyi, z Włoch, nawet; wyjęto ich z pod juryzdykcyi biskupów angielskich, pozwolono się zorganizować w samoistną gminę kościelną, w tak zwany kościół obcych (ecclesia peregrinorum), na którego użytek oddano jeden z kościołów w Londynie. A na czele téj odrębnéj organizacyi stanął Łaski jako superintendent, zapewne dla tego, że znany już był lepiéj od innych reformatorów rządowi angielskiemu z czasu swojéj bytności poprzedniéj, więcéj jeszcze dla tego, że wśród zbiegów najwięcéj było pochodzących z krajów burgundzkich cesarza, z którymi się Łaski już we Fryzyi stykał, na których z Fryzyi wpływ wywierał, którym był znany i których posiadał zaufanie z dawniejszych czasów. Miał tu Łaski prawie swobodne pole działania, jak tylko tego mógł pragnąć: mógł, niekrępowany żadnemi tradycyami ani względami, stworzyć z kościoła obcych wzorową według pojęć protestantyzmu gminę chrześciańską, któraby dla kościoła anglikańskiego służyła za przykład, pokazywała mu cel, do jakiego mu dążyć należy. Ale zarazem nęcące to zadanie przedstawiało też i niemałe trudności; z jednéj strony trzeba było odpierać roszczenia biskupów angielskich, nie chcących uznać odrębności i autonomii tego „kościoła obcych,“ trzeba było toczyć uczone dysputy i dowodzić, że ta lub owa ceremonia, to lub owo urządzenie kościelne z pisma św. da się lepiéj uzasadnić niż inne; z drugiéj strony wśród tego zbiorowiska różnych żywiołów, tych zbiegów ze wszystkich krańców świa-

ta, wyrwanych z pośrodka stosunków, do których dotąd przywykli, przychodziło nieraz do sporów, do zatargów, które należało godzić, usuwać, a wszystkich trzymać w karbach ścisłéj karności kościelnéj.

Ze wszystkich prób wyszedł zwycięsko nasz reformator; pod jego kierunkiem rozwijał się i kwitnął istotnie „kościół obcych;“ ale kosztowało go to niezmiernie wiele trudu i pracy, nieustannie całą swą gorliwość musiał rozwijać. Wtedy téż powstały najliczniejsze pisma Łaskiego lub wydane zostały już dawniejsze: wyznanie wiary londyńskie, katechizm londyński, cała ordynacya kościelna (forma ac ratio), o sakramentach, list o sakramencie eucharystyi.

Trud i praca w służbie religii uznawanéj za prawdziwą była Łaskiego żywiołem. To téż pomimo ciężkich strat rodzinnych, pómimo że często na zdrowiu zapadał, pewno te trzy lata spędzone w Anglii do najszczęśliwszych w swojem życiu zaliczał. Skończyły się ze śmiercią króla Edwarda VI (w lipcu 1553), z nastaniem rządów Maryi po nieudałym zamachu Northumberlanda, żeby ją tronu pozbawić. Dla Anglii przyszedł czas reakcyi na korzyść katolicyzmu, a „kościół obcych,“ najradykalniejszy utwór protestantyzmu w Anglii, musiał paść w pierwszym rzędzie ofiarą téj reakcyi. Trzeba było niebawem z Anglii uchodzić: zbiegowie obcy zwracali się ku Danii w nadziei, że tam znajdą podobną gościnność, jakiéj im dotąd Edward udzielał. Ale luterska ortodoksya duchowieństwa duńskiego zgotowała wygnańcom gorzkie rozczarowanie. Daremnémi były zabiegi Łaskiego u króla Krystyana III: nawet niepozwolono wysiąść na ląd jego towarzyszom i zmuszono ich niezwłocznie, wśród zimy, opuścić duńskie wybrzeża. Nie lepsze spotkało ich przyjęcie w wielu miastach północno-niemieckich; tylko we Fryzyi, dokąd Łaski prosto z Danii przodem podążył, tylko w paru miastach nadreńskich, przytulono nareszcie zbiedzonych tylu prześladowaniami wygnańców.

Odkąd bowiem pokój passawski ubezpieczył egzystencyą protestantów niemieckich, odkąd stanom Rzeszy przyznano wolność wyznawania konfesyi Augsburskiéj, wybuchły z niebywałą dotychczas siłą dawniejsze spory między teologami protestanckimi, powstrzymywane dawniéj przez wspólne wszystkim niebezpieczeństwo. Kto jest wyznawcą konfesyi augsburskiéj, pytano wszędzie. Znaczna część teologów niemieckich najmocniéj starała się udowodnić, że kto nie uznaje we wszystkiem nauki Lutra, kto się od niéj w czembądź wyróżnia, nie może też za wyznawcę owéj konfesyi uchodzić, lecz się zalicza do wichrzycieli (Schwärmer) potępionych przez Lutra. Szczególniéj namiętnie występowano przeciwko tym, którzy sakrament eucharystyi tłómaczyli w myśl teologów helweckich, przeciwko, jak

pospolicie ich zwano, Sakramentaryuszom. Tych prawowierni Luteranie uważali za kacerzy; z niezmiernym zapałem, z ogromną erudycyą teologiczną, ale téż i nieszczędząc obelg i grubiaństw, dowodzono, że ich żaden książę u siebie nie powinien tolerować, że do nich się nie stosuje układ passawski. A głosy teologów miały wpływ na wielu, na większość rządów protestanckich. Ztąd to owe niegościnne przyjęcie wygnańców angielskich, to bezwzględne niedopuszczanie ich, żeby nierozszerzyli religijnéj zarazy.

Te napaści, które imiennie i przeciw Łaskiemu się zwracały, nie dały mu spokoju i we Fryzyi, gdzie dawne swoje napowrót objął stanowisko, ale dawnego na rejentkę nie odzyskał już wpływu. Z jednéj strony rejentka musiała się liczyć z opinią książąt protestanckich, nie chciała się narażać rządowi cesarskiemu, dla którego zawsze osoba naszego reformatora była nienawistną; z drugiéj strony i w Janie Łaskim zaszła tymczasem bardzo wyraźna zmiana. W Anglii dopiero uczynił w swym rozwoju wewnętrznym krok ostatni, wtedy się w swych wyobrażeniach teologicznych ustalił, sformułował ostatecznie swoję naukę, kiedy wydawał liczne pisma, a zwłaszcza kiedy układał wyznanie wiary londyńskie. Prześladowania doznane w Danii, w Niemczech północnych, tylko go utwierdziły w przekonaniu o prawdzie téj nauki; odtąd ani jednéj litery ze swéj formuły nie chce poświęcić, odtąd staje się surowszym, bezwzględniejszym, bardziéj upartym. Dawna pojednawczość jego nie zniknęła zupełnie, i teraz nie wszczyna nigdy polemiki, ażeby swych przeciwników protestanckich piętnować jako kacerzy; ale łatwiéj było mu być pojednawczym, gdy on sam na czele kościoła fryzyjskiego lub gminy obcych w Londynie rozstrzygał o prawowierności podległych jego pieczy, niżeli teraz, kiedy jego to w Niemczech od protestantów nieomal wszędzie zarzut kacerstwa spotyka. Czując się apostołem i męczennikiem protestantyzmu, zarzuty odpiera ostro, przemawia szorstko, jak tego słuchać nie przywykli książęta niemieccy. Gdy we Fryzyi nowy katechizm, Emdeński, układano, przeparł wbrew innym, że w nim znalazła wyraz jego własna nauka o sakramencie eucharystyi, która nawet Kalwinowi zdawała się nazbyt radykalną. Więc niedogodnego, kompromitującego ją reformatora pozbywała się wkrótce hrabina rejentka; zmuszając, uwolnionego od obowiązków superintendenta, do nowéj tułaczki (w kwietniu 1555), chciała mu przynajmniéj ją osłodzić i ułatwić. Ale w Łaskim odezwała się duma polskiego szlachcica; choć niepewny przyszłości, choć obarczony liczną rodziną w znacznéj części z zasiłku od współwyznawców musiał się utrzymywać, odrzucił ze wzgardą znaczne wsparcie pieniężne ofiarowane

pod obcem imieniem przez rejentkę, gdy się domyślił, zkąd pochodzi.

Usunięcie go z Fryzyi dotknęło Łaskiego tém boleśniéj, że wrogim mu teologom luterskim dawało pochop do nowych obelg. Do nazwy wichrzyciela przybyła nowa — włóczęgi (erro), który nigdzie miejsca zagrzać nie może, którego każdy radby najprędzéj się pozbyć. Ale chociaż ten zarzut dolegał mu niemało (widoczne to z usilności, z jaką w następnych swoich pismach nieraz stara się wytłumaczyć i usprawiedliwić swoje wędrówki) nie powstrzymał go jednak, że przez półtora roku dalszego w Niemczech pobytu nowe przedsiębrał podróże dla dobra swojéj i swoich spółwyznawców sprawy. Odkąd bowiem z Fryzyi do Frankfurtu (nad Menem) się oddalił, gdzie także znalazły przytułek rozbitki dawnego kościoła obcych w Londynie, odkąd i tu niebawem ścigać i ich i jego zaczęły zarzuty kacerstwa, sprzeczności z konfesyą augsburską, odtąd Łaskiego jedna myśl przedewszystkiem zaprząta: nie tylko chce rozwiać i zbić takie oskarżenia, ale chce im na przyszłość odjąć wszelką podstawę, chce sprowadzić koniecznie zgodę pomiędzy protestantami wszystkimi, chce przez rozmowę, t. zw. kollokwium, celniejszych reformatorów obustronnych położyć koniec wewnętrznéj między protestantami waśni. Projektu rozmowy, nadziei, że zgodę wydać musi, chwyta się namiętnie, rozpaczliwie, pomimo że inni reformatorowie mu bliscy przyjmują to bardzo obojętnie, pomimo że Kalwin gani jego „niepomiarkowaną“ usilność, że Bullinger stanowczo ją potępia. W tym celu, żeby dla swojéj myśli zyskać zwolenników, prowadzi na wszystkie strony korespondencye; jedzie na sejm do Spiry, aby jednać dla kollokwium elektora Palatynatu, ztąd do Stuttgardu ks. Wirtemberskiemu towarzyszy, aby traktować z Brenzem, jedną z największych powag między ścisłymi Luteranami. A choć wszystkie zabiegi pełzną na niczem, choć Brenz stanowczo oświadcza, że nauka Łaskiego o eucharystyi sprzeciwia się konfesyi augsburskiéj, Łaski się jeszcze z długo pieszczoną myślą rozstać nie może, o kollokwium i zgodzie marzy jeszcze i wtedy, kiedy Niemcy opuszczał. Od Kalwina, z którym poraz pierwszy (i jedyny) zetknął się teraz osobiście w Frankfurcie, śpieszył do Melanchtona, z którym również pierwszy raz i ostatni miał się spotkać w swéj podróży, w drodze do Polski.

To właśnie, że do Polski teraz nakoniec się udawał, to dla Łaskiego było także niemałym bodźcem do zabiegów o zgodę z reformatorami niemieckimi. Z Polski radzono mu, aby dla powodzenia swojéj przyszłéj tam działalności, dowiódł poprzednio, że należy do konfesyi augsburskiéj. Ale zarazem z Polski coraz bardziéj nagląco

dopominano się jego powrotu, bo się tam właśnie większe niż kiedykolwiek przedtem otwierało dla niego pole.

Kiedy Zygmunt Stary umierał, i w Polsce już reformacya liczyła sporo zwolenników (1). Mała wprawdzie tylko garstka przejęła się głębiéj nową nauką, ale niezmiernie rosła, zwłaszcza wśród szlachty, liczba tych, którzy reformę w kościele uważali za jeden z punktów kardynalnych upragnionéj reformy wewnętrznéj państwa. O reformie kościoła i religii, więcéj jeszcze o ograniczeniu juryzdykcyi duchownéj, rozprawiano w coraz szerszych kołach, lecz rozprawiano półgłosem, potajemnie. Jawnie wyznać się protestantem nikt nie śmiał. Nasz Łaski był długo jedynym tu wyjątkiem. Bo Zygmunt Stary przyjaciołom reformacyi nie pofolgował do końca, a juryzdykcyi duchownéj przestrzegał ostro.

Z objęciem rządów przez Zygmunta Augusta odrazu nastała zmiana. O czem dotąd mówiono pocichu, o to teraz wszczynano głośne rozprawy na wszystkie strony. Za słowami poszły niebawem czyny. Różnemi ekscesami (jak głośny protest w kościele przeciwko głoszonemu jubileuszowi, przybycie wyklętego do kościoła wśród nabożeństwa itp.) manifestowali się świeccy; księża zaś nowatorstwu religijnemu hołdujący zaczęli wprowadzać zmiany w obrzędach kościelnych, gdzie który miał kościół pod swym zarządem, a na przychylność kolatora mógł rachować. Zdarzył się nawet jeden wypadek wypędzenia zakonników i zaboru ich kościoła (w Pińczowie), a równocześnie ośmielono się zjechać w tém samém miejscu na synod i zaczęto organizować oddzielny kościół protestancki. Władza duchowna z odrętwienia zbudzona nie umiała sobie poradzić. Z nieufnością oglądało się duchowieństwo na nowego króla; wiedziano, że nowa-

---

(1) Zmuszony tu mówić (zresztą w możebnie najkrótszych słowach) o reformacyi w Polsce przed powrotem Ł. do kraju, żeby jego stanowisko i rolę po powrocie zrozumiéć, nadmieniam, że nie mamy dotychczas żadnéj dokładnéj historyi reformacyi w Polsce. O dawniejszych próbach takiéj historyi znajdzie czytelnik krótką wiadomość w przedmowie do mojego przed 12 laty ogłoszonego zarysu: „Powstanie i wzrost reformacyi w Polsce.“ Odtąd pomnożył się znakomicie wydany już materyał źródłowy ale jedna tylko ukazała się praca w tym przedmiocie, 1881, wykłady publiczne prof. Szujskiego „Odrodzenie i reformacya w Polsce,“ w których wielkiemi rysami kreśli autor obraz wieku i rzuca światło na prądy wstrząsające owoczesném społeczeństwem, czyniąc to w sposób często wyzywający do sprzeciwienia się, zawsze pouczający i świetny. Nie jest to jednak historya reformacyi. Niemiecka „Geschichte der Reformation in Polen“ przez Konieckiego (Wrocław 1872), jest tylko kompilacyą dosyć zręczną lecz powierzchowną, zabarwioną w silny sposób konfesyjnie po lutersku. Obecnie pracuje nad historyą reformacyi w Polsce młody historyk rosyjski dr. Lubowicz, a przy skrzętnych jego poszukiwaniach należy się po nim spodziewać rzeczy gruntownéj.

torów uzuchwala nadzieja w jego pobłażliwość dla reformacyi, a nie wiedziano, jak się zachowa istotnie.

Zygmunt August prawa duchowieństwa i juryzdykcyę duchowną uznał w zupełności. Biskupi poczęli pozywać i duchownych i świeckich, król kazał wykonywać wyroki. Cały ruch protestancki przycichł nagle odrazu; pozwani księża się rozbiegli. Zgnieść protestantów w Polsce niebyłoby trudno, trudniéj nierównie uciszyć powszechne żądanie reformy. To właśnie dawało siłę protestantom, to jednak było także i ich słabości źródłem. Łatwo im było opanować opinię publiczną; jak daleko zechcą pójść wszyscy za nimi, nigdy nie mogli wiedzieć. Na razie, potępienie kilku znaczniejszych osobistości w sądzie duchownym jako heretyków, wywołało formalną burzę na sejmie na juryzdykcyę duchowną. Musieli przystać biskupi na zawieszenie czasowe téj części swéj juryzdykcyi (o herezyę), byleby resztę jéj uratować.

Wszyscy chcieli położyć kres rozterce religijnéj, zatamować to źródło mnożących się nieustannie nieporządków. Nikt nie wiedział jak dojść do tego. Oddawna spodziewano się tego po soborze powszechnym, lecz właśnie teraz zajścia w Niemczech rozproszyły sobór trydencki. Czy nowy sobór przyjdzie do skutku, było niezmiernie wątpliwém. Więc coraz bardziéj zyskiwała grunt myśl soboru narodowego, lokalnego, na którym by się porozumiéć zdołano. Pragnęli go protestanci licząc, że na soborze takim zwyciężą; zresztą mieli natychmiast zyskać uznanie niektórych odmian kościelnych. Pragnęła go i ta wielka masa, co chciała zgody zwaśnionych, a nie wiedziała co czynić. Przystał i król, na sejmie 1555 r., chociaż protestowali biskupi niechcąc się w nic wdawać bez Rzymu. I król się do Rzymu odwoływał, zapraszał legata na ów sobór narodowy, aby z papieża wiedzą i przyzwoleniem się odbył. Z Rzymu wyczekiwało ratunku duchowieństwo polskie, śląc tam nieustannie swoje skargi i żale. Zjechał też niebawem nuncyusz Lippomano, nie po to jednak, żeby w soborze narodowym wziąść udział—ten pomysł papież odrzucał i potępiał—lecz żeby położyć tamę dalszemu krzewieniu się protestantyzmu, aby znaglić króla do bardziéj stanowczego oporu, aby zjednoczyć i zorganizować w tym celu duchowieństwo. Ale protestanci zastrzegłszy już na sejmie, że sobór ma przyjść do skutku koniecznie, z papieżem czy bez papieża, liczyli na pewno, że w sobór się zmienić musi ów sejm, już recesem piotrkowskim zapowiedziany (1). Na ten czas wzmocnić się więc chcieli nowemi znacz-

(1) Nieznany ten reces piotrkowski z 14 czerwca 1555, w którym król zapowiada sejm na św. Bartłomiej (24 sierpnia) roku następnego w jakim miejscu pogranicznèm z Litwą, znajduje się w Tekach Naruszewicza, w Arch. X, Czartor., tom 68.

niejszemi siłami z zagranicy, a tymczasem starali się zohydzić nuncyusza w oczach niezdecydowanych, nie przebierając w środkach. Paszkwile, pofałszowane listy jakoby przez Lippomana pisane z owemi srogiemi radami, które miał dawać królowi, a które dziś jeszcze można spotkać u protestanckich pisarzy (i u Daltona także), miały posłużyć do tego celu.

Cel osiągnięto w zupełności, o Lippomanie niedługo nikt prawie nie rzekł dobrego słowa; na tém jednak tylko nie można było poprzestać. Równocześnie z głośnym ruchem na sejmach odbywał się drugi o wiele cichszy wśród owych nielicznych ale ruchliwych protestantów, nierównie większéj na przyszłość doniosłości. Po zawieszeniu juryzdykcyi duchownéj rozproszeni ministrowie protestanccy poczęli wracać na dawne miejsca. Zaczęła teraz wzrastać ilość protestantów. Kto z jakiegobądź powodu skłócił się z kościołem katolickim, ten garnął się do protestantów nie myśląc nieraz wcale o reformie i poprawie obyczajów; dla wielu zrzucenie jarzma kościelnego miało być dopiero hasłem do zupełnéj wolności i swawoli. Nikt nie zaprzeczy, że byli wśród protestantów polskich ludzie cnotliwi i religijni, ale jak gdzieindziéj tak i u nas pod wpływem rozterki religijnéj obyczaje się rozprzęgały, a mnożyły się nadużycia i zbrodnie. Nie miał ich kto powściągnąć, bo nie było urządzonego rządu kościelnego wśród protestantów.

Boleli nad tém szczególniéj protestanccy duchowni, ministrowie przemyśliwali o tém, jakby jakąś karność kościelną wprowadzić. Brakło im jednak do tego należytéj powagi, nazbyt byli zależni od swych szlacheckich opiekunów. Z drugiéj znów strony nowicyusze ci w reformowaniu raz po raz znajdowali się w wątpliwościach, czém, w jaki sposób zastąpić odrzucone i potępiane obrzędy kościelne, jak się w mnóstwie wątpliwych wypadków zachować. Spisano wprawdzie na owym pierwszym synodzie jakąś reformacyę czy ordynacyę, wybraną z kolońskiéj, angielskiéj i trzeciéj, którą napisał na żądanie Stankar, ale ta łatanina nie wystarczała na wszystkie potrzeby. Każdy radził sobie jak mógł i jak potrafił, nastawało coraz większe zamieszanie. Temu koniecznie należało zapobiedz, jeśli protestantyzm polski miał nabrać siły, jeśli—jak tego pragnęli ożywieni kalwińskim prozelityzmem protestanci Małopolscy, najruchliwsi i innym przodujący—miał z czasem opanować całą Polskę, jeśli miał już na owym soborze narodowym poważnie wystąpić. Potrzeba było się zaopatrzyć w jakieś wzory, wprowadzić jednostajność, zapobiedz zgorszeniu. Jedni uciekali się po radę do powag zagranicznych, do słynnych i uznanych reformatorów. Inni mniemali, że pożądane wzory i bliżéj znaleść można. Przebywali już w Polsce od lat paru Bracia Czescy,

liczyli nawet sporo uczestników swéj jednoty i możnych opiekunów w Wielkopolsce; a Bracia Czescy posiadali doskonały rząd kościelny i ścisłą karność, celowali prostotą obyczajów, moralności przestrzegali wzorowéj. Z Braćmi Czeskimi poznali się bliżéj niektórzy z Małopolskich ministrów; za tych inicyatywą poczęto radzić, czyby łącząc się z nimi nie uzyskać od razu i gotowéj konfesyi i zupełnéj organizacyi. Porozumiewano się czas dłuższy; to co na sejmie 1555 r. uchwalono, wpłynęło na przyśpieszenie rezultatu: w sierpniu 1555 r. nastąpiło na zjeździe w Koźminku połączenie Braci Czeskich z Małopolskimi protestantami.

Zjednoczenie to wywołało wielką radość między protestantami za granicą. Wśród protestantów polskich jednak okazały się niebawem niemałe w tym względzie wątpliwości. Rzecz stała się dość pospiesznie i nagle; zobowiązano się przyjąć od Braci Czeskich wszystko, i konfesyą i ich urządzenia, nie wiedząc jeszcze dokładnie, co się przyjmuje. Stało się to za sprawą jednéj części ministrów małopolskich, bez spółudziału innych; ci więc już z góry poniekąd byli temu niechętni. Wydawało się téż wątpliwem, czy przyjęcie wszystkiego od Czechów nie skompromituje więcéj protestantyzmu w Polsce niźli mu dopomoże. Przecież ci Pikardowie, jak ich przezywano obelżywie, osławieni byli jako sekciarze, przecież ich z Czech wygnano, a protestanccy reformatorowie w Niemczech ledwo po różnych wyjaśnieniach zgodzili się ich uznać za prawdziwych ewangelików. A zresztą: czyż ci ludzie skromni, niskiego stanu, mogli się mierzyć z biskupami katolickimi, zaimponować rzymskiemu legatowi? Wielu sądziło, że nierównie stosowniéj sprowadzić do Polski ludzi głośnego imienia. Chociaż więc potwierdził nowy synod w Secyminie tę unią, choć wysłańcy Braci Czeskich zjechali i na następny synod do Pińczowa (w kwietniu i maju 1556 r.), tutaj w ich obecności, lecz bez poprzedniego o tém zawiadomienia ich, uchwalono zaprosić do Polski naszego Jana Łaskiego, a nawet samego Kalwina. Na synodzie tym znajdował się jeden z członków rady królewskiéj, którzy się zwykle dotąd uchylali od udziału w takich zebraniach, Jan Bonar, kasztelan biecki, ożeniony z siostrzenicą Łaskiego Tenczyńską. Jego wpływ był tu przeważającym, on wujowi swojéj małżonki do powrotu otwierał drogę.

Już zresztą bawił w Polsce, choć musiał się ukrywać, inny niegdy znaczny dostojnik w kościele katolickim, teraz pośrednik w ściślejszym związku z reformatorami szwajcarskimi, Lismanin, dawny prowincyał w Polsce Franciszkanów, spowiednik królowéj Bony. Niejasny jest jego stosunek do Zygmunta Augusta. Że ten, który pogodził Bonę z Barbarą musiał być miłym królowi, to nie podlega

wątpliwości. Ale jaki na niego wpływ wywierał, czy z woli króla i po co wyjeżdżał za granicę—to, mimo wszystko, co zwykle o tém bywa powtarzane, wymagałoby wyjaśnienia. Tyle pewna, że odkąd Lismanin w Szwajcaryi złamał śluby zakonne i pojął żonę, odtąd na Zygmunta Augusta spoglądał z pewną obawą. Ale kiedy posłyszał, co na sejmie 1555 r. stanęło, nie mógł już pohamować swojéj niecierpliwości. Wzywany przez niektórych polskich protestantów, dążył tam spiesznie wprzód zanim go formalnie zaproszono, opatrzony w listy Kalwina i celniejszych reformatorów szwajcarskich. Bo odkąd się głośniejszy ruch reformacyjny w Polsce rozpoczął, z ciekawością, z nadzieją, śledzono ten ruch i zagranicą. Kalwin już dawniéj odezwał się do Zygmunta Augusta, spółcześnie kiedy Łaski usiłował się dostać do niego, w początkach jego rządów. Nie otrzymawszy odpowiedzi, zamilkł potém na lat parę. Dopiero kiedy Lismanin się w Szwajcaryi pojawił, na jego żądanie i za jego zachętą, Kalwin znów i do króla i do całego szeregu wpływowych w Polsce osób, które wskazał mu Lismanin, napisał listy, po raz pierwszy dopiero wstępując w stosunki bezpośrednie z protestantami polskimi (pod koniec 1554 i w początku 1555 r.). Nikt mu nie został dłużnym odpowiedzi. I król po kilku miesiącach, po sejmie 1555 r., odpisał łaskawie (1), bardzo przyjaźnie, lecz w sposób nieokreślony. Więc teraz zabierał z sobą Lismanin o wiele większą paczkę listów Kalwina, z pochwałą tego co już zrobiono, z zachętą do dalszéj pracy.

Mniemał jednakże Kalwin i inni reformatorowie szwajcarscy, że sam Lismanin nie podoła trudnemu w Polsce dziełu, że potrzeba tam także bardziéj doświadczonego pracownika. Wszyscy oni wprzód jeszcze, nim Lismanin ruszył w drogę, usilnie nalegali na Łaskiego, aby i on spieszył niezwłocznie do ojczyzny, aby się tam „koniecznie wcisnął, jeżeli tylko jakąś możebną dla siebie szparę dostrzeże." A tymczasem Łaski się właśnie teraz ociągał i wezwaniom nie chciał uczynić zadość.

Nie dla tego, żeby odmawiał swoich usług rodakom. Owszem, pragnął tego oddawna najgoręcéj. Nie tylko z bratem Stanisławem, póki ten żył, jeszcze z Fryzyi utrzymywał stosunki; i któregoś ze swych krewniaków czas jakiś wtedy przy sobie chował, do Polski

(1) List Kalwina do Łaskiego mówiący o téj odpowiedzi, mylnie podano w Calvini Opp. XV, 2071 pod r. 1554; fizyczném było podówczas niepodobieństwem, żeby 26 grudnia miał Kalwin w Genewie odpowiedź na swój list do króla pisany 5 grudnia, treść téż listu do Ł. okazuje, że należy do r. 1555; bo jest odpowiedzią na ten list Ł. do K. z 19 września 1555, ibid. 2291, z którego wzięto zacytowane poniżéj słowa.

posyłał dowiadując się zapewne już wtedy, czy nie ma jakiego do powrotu sposobu. Widzieliśmy, jak mu się potém nie powiódł ów szturm formalny, który do Zygmunta Augusta przypuścił mnogiémi listami. Choć poniewoli skutkiem téj klęski na drugi koniec Europy na lat parę musiał się przenieść, i tam nie zapominał o kraju swym, i ztamtąd każdą chwytał sposobność, żeby i o nim nie zapominano w ojczyźnie. Kiedy z Anglii jakiś podróżnik wybierał się do Polski, Łaski dał mu list polecający do króla, chociaż czuł dobrze, że tém może mu więcéj zaszkodzić niźli pomódz. Uczynił to jednak nie tyle dla tego, żeby się przed królem pochwalić dobrem przyjęciem, które go w Anglii spotkało, jak raczéj po to, żeby królowi jako tegoż poddany „chociaż poniekąd odrzucony“ służby swoje na każde zawołanie zalecić. W jakim celu, do jakich posług,— o tém teraz po niezbyt dawném doświadczeniu przemilczał roztropnie; przed tym jednak najbliższym króla doradcą (Radziwiłłem), do którego głównie zwykli się byli zwracać protestanci, w gorących słowach zaprzeczał rozgłaszanym podobno w Polsce wieściom, że do kraju nie chciałby wrócić, gdyby go dla głoszenia ewangelii powołano, i oznajmiał o swéj do ojczyzny tęsknocie. Podobno z Anglii zamierzano ułatwić mu pobyt w Polsce, przynajmniéj przez czas jakiś podobno powstał projekt, żeby na sejm polski pojechał posłem od króla Edwarda. Rzecz nie przyszła do skutku (1); ale gdy polski poseł zjechał do Anglii, niezaniedbał Łaski wejść z nim natychmiast w stosunki. Jechać do Polski jednak nie zamierzał, dopóki by go nie powołano. Nawet gdy z Anglii musiał ustąpić, gdy w Danii doznał prześladowania, gdy w końcu Fryzyą opuścić przyszło, zawsze koniecznie powołania z Polski ciągle wyglądał. Kto tak jak on zadanie swoje pojmował, nie mógł się zjawić w Polsce z nienacka, nie proszony ani wzywany, nie mógł stanąć w jednym szeregu z wszystkimi samozwańczymi reformatorami. Jego charakter, jego dotychczasowa działalność, do innéj go we własném wyobrażeniu przeznaczały roli, do objęcia steru całego ruchu. Tylko przez decydujące czynniki chciał być do pracy zaproszonym formalnie, bo tylko wtedy mógłby należytą posiadać siłę i powagę. Oczekiwał wciąż jeszcze, że król się za reformacyą oświadczy, nie tracił nadziei, że jego przed innymi do jéj przeprowadzenia wybierze. Bardzo być może, iż swoją odpowiedzią (nieznaną dotąd)

---

(1) Niejasném jest, co o tém mówi Dalton, 509, cytując książkę, któréj nie mam pod ręką, lecz nie cytując, z jakiego to listu czy aktu w téj książce wziął swą wiadomość. W każdym razie jako obcy poseł nie mógłby Ł. brać udziału w naradach sejmu, jak to sobie D. wyobraża.

którą dał Zygmunt August Łaskiemu przed paru laty, sam król wzbudził w nim tę na przyszłość nadzieję. A nadto: Łaski przy swoich pojęciach o rządzie kościelnym i kościelnéj karności nie mógł pochwalić dorywczego, anarchicznego reformowania przez szlachtę. Z niechęcią patrzał na to jak „szlachta bez żadnego porządku rzecz prowadzi i chce żeby jéj było wolno wiele rzeczy, które nie przystały, tak iż grozi niebezpieczeństwo, aby nie nastało wielkie zamieszanie wszystkich stosunków.“ Stojąc więc po stronie reformatorów co do rzeczy, co do formy chciał trzymać z królem, byleby ten raz do reformacyi przystąpił; że się to stać niebawem może, nie wątpił jeszcze. I dla tego na wezwanie Kalwina i innych odpowiadał, że jeszcze nie czas na jego podróż do Polski, że jeszcze musi chwilę poczekać, aż się tam rzeczy wyjaśnią, aż dokładniejsze odbierze ztamtąd wiadomości.

Czekać bowiem z założonemi rękami nie zamierzał bynajmniéj. Usiłował przyspieszyć, wywołać nawet owo tak upragnione powołanie. Wydawał właśnie (1555 r.) całą ordynacyę kościoła obcych w Londynie głównie dla usprawiedliwienia się z zarzutów, które mu czyniono w Niemczech, ale także i z myślą o tém, że ta ordynacya za wzór dla polskich protestantów może posłużyć, że się królowi podoba. Jemu ją dedykował długim listem, w którym całą swoję przeszłość przechodził i odpiérał wszystkie swych wrogów oskarżenia. Tę swoję pracę słał do Polski przez umyślnego posłańca, w téj saméj chwili, kiedy wyjeżdżał tam Lismanin, dotąd—jak się zdaje—Łaskiemu wcale nieznany; słał nadto oddzielne listy do króla, do senatu i do rycerstwa. Naglił w nich, aby dłużéj nie zwlekano z reformą kościoła, a króla upominał, aby dzieło tak ważne całą swoją poparł powagą.

Oczekiwanie niecierpliwe na odpowiedź skracał sobie nasz reformator owemi staraniami o kollokwium, których niepomyślny skutek już znamy. Wrócił nakoniec posłaniec, w początku czerwca 1556 r., niezupełnie pomyślne przynosząc wieści. Od króla przywiózł list łaskawy, „pełen przychylności,“ taki sam, jaki Kalwin przed paru miesiącami otrzymał; ale w liście nie było tego jednego, czego Łaski tak utęskliwie wyglądał: nie było ani słówka o powołaniu go do kraju. Prawda, że za to Radziwiłł zapraszał i wzywał Łaskiego do powrotu, koniecznie na ten sejm w jesieni, który już rozpisano, na którym będzie o religii narada, na który się stawi legat papieski. Ale znów ostrzegał krajczy koronny, Myszkowski, tak samo jak Bonar ożeniony z siostrzenicą naszego reformatora, z Tenczyńską, także protestant przyjazdu wuja żony pragnący, żeby jednak wprzód nim przyjedzie dowiódł, że z konfesyą Augsburską jest w zgodzie.

Przywiózł wprawdzie ten sam posłaniec wezwanie od synodu pińczowskiego, przywiózł i zaproszenie od innych jeszcze osób. Łaski się zdecydował, że do Polski pojechać niebawem musi, ale się jeszcze wahał, kiedy ma to uczynić. Jeszcze myślał o układach z Luteranami, o kollokwium; posławszy do Polski po nowe wyjaśnienia drugiego posłańca, sądził, że może jeszcze całą zimę w Niemczech zostanie. Ciężko mu było z tém się oswoić, że bez króla poparcia i powagi musiałby w Polsce działać. Ostatecznie, jak się zdaje, wpłynął na niego Kalwin. Nim jeszcze wezwanie od synodu nadeszło, Kalwin tłómaczył znów Łaskiemu, że powołanie go przez szlachtę powinno mu wystarczyć; uważał że skoro król woli na dwóch stołkach siedzieć a ludzie pobożni dzieło już rozpoczęli w Polsce, przy milczącém poniekąd przyzwoleniu króla (*eo non invito*), Łaskiemu nie wolno dłużéj odkładać swojéj podróży.

Osobiste spotkanie się Kalwina z Łaskim zwalczyło w nim ostatnie skrupuły. Tylko jeszcze przed wyjazdem wypracował swoję i swojéj gminy apologią, „oczyszczenie“ (purgatio) z czynionych im przez Luteranów zarzutów, żeby podać to pismo radzie miejskiéj frankfurckiéj a następnie ogłosić drukiem. Wnet już jest w drodze do kraju, zajeżdża do Wittenbergi, gdzie go Melanchton mile wita (nie darmo ściśli Luteranie oskarżali Malanchtona o kryptokalwinizm); ztamtąd przez Wrocław staje 3 grudnia 1556 r. w granicach Polski, w 15 lat blisko od tego czasu, kiedy je raz ostatni opuścił.

I teraz jeszcze oglądał się na Zygmunta Augusta, bez jego wiedzy nie chciał nic rozpoczynać. Dopóki mu się nie opowie, dopóki mu nie wyłuszczy pobudek swego przyjazdu, dopóki go raz jeszcze nie wezwie, aby wyszedł nareszcie z długiego w sprawie religijnéj wahania, stroni Łaski od tłumniejszych zgromadzeń, nieomal się ukrywa u Bonara, w Rabsztynie najprzód, potém w Balicach. Potajemnie tylko w nocy przyjmował wysłańców Braci Czeskich, którzy w myśl połączenia Koźminieckiego właśnie do Małopolski, w połowie grudnia 1556, zjechali wizytować kościoły protestanckie. Dopiero gdy swój list do króla ukończył i wyprawił, ukazał się też na zebraniu kilkunastu małopolskich ministrów protestanckich w Iwanowicach w dniu Nowego Roku 1557, żeby się przedstawić spółtowarzyszom pracy i wśród nich złożyć Bogu dzięki za szczęśliwy powrót do kraju, za radość z ujrzenia „kościoła Chrystusowego“ w ojczyźnie (1).

---

(1) O tém pierwszém wystąpieniu Łaskiego w Polsce podaje Dalton dosłownie, 534, ustęp z protokółów synodów i zgromadzeń ministrów protestanckich w Małopolsce z 1550—1561, które mu się udało wynaleźć; ogłoszenie w całości tak ważnego nieznanego źródła do dziejów reformacyi byłoby niezmiernie pożądaném.

Czynił to Łaski po części także z ostrożności, ostrzeżony przez Bonara, że teraz właśnie trzeba bardzo postępować przezornie, żeby sobie Zygmunta Augusta nie narazić. Odkąd Lippoman bawił w Polsce, zagrzane przez niego duchowieństwo, w pierwszym szeregu Hozyusz, wytężyło wszystkie swe siły, żeby króla nakłonić do ostrzejszych przeciwko nowatorstwu kroków. W ostatnich bowiem miesiącach, po sejmie 1555 r., w nadziei zapowiedzianego soboru narodowego lub rozpraw o religii na przyszłym sejmie, istotnie wzrósł bardzo ruch między protestantami. Reformowano kościoły, „oczyszczano je z naleciałości papizmu“ nawet po królewszczyznach, o ile były w ręku przyjaciół reformacyi. Raz poraz odbywały się zjazdy i synody protestanckie, chociaż tylko król wyłącznie miał prawo jakiebądź zjazdy zwoływać. Upłynął termin dla przyszłego sejmu zakreślony recesem piotrkowskim. Król wciąż przebywał na Litwie, dokąd nie omieszkało duchowieństwo z Nuncyuszem słać coraz nowych skarg i żalów, podniecać podejrzliwość króla i jego zazdrość o władzę. I nie bez skutku. Dawał teraz posłuch temu, co mu już dawno ze strony katolickiéj powtarzano, że ruch reformacyjny przeciwko władzy królewskiéj z czasem się może zwrócić. Ztąd wyniknął dekret banicyi na Lismanina, który go spotkał na samym do kraju wstępie, ztąd wydany z kancelaryi królewskiéj zakaz tego synodu pińczowskiego, na którym Łaskiego powołać postanowiono. Bo król w téj chwili chciał spokoju na polu religijno-kościelném, zwracał całą uwagę na zawikłania inflanckie, zamierzał ukrócić pychę mistrza Zakonu w Inflantach i w tym celu chciał się zbroić. Każde głośniejsze poruszanie kwestyj spornych napełniało go obecnie największą niechęcią względem każdego, kto tego był sprawcą. Przyjeżdżał król z Litwy do Warszawy i powoływał senatorów radzić o tém, jakby dostać na wojnę pieniędzy. Wiedział, że bez sejmu nie będzie pieniędzy, ale chciał uniknąć takiego sejmu (1), na którymby wytoczono znów na stół i egzekucyą i unię i reformę, jak to reces piotrkowski zastrzegł. Stanęło, żeby próbować drogi pośredniéj: wszystko zostawić *in statu quo*, utrzymać reces piotrkowski w mocy, lecz jego wykonanie na czas późniejszy odłożyć. To się na sejmie warszawskim 1556/7 roku

---

(1) Między protestantami zagranicą chodziły nawet wieści (list Microniusa do Bullingera z 3 marca 1557, Calvini Opp. XVI, 2603), jakoby Zygmunt August myślał o zamachu stanu i chciał odbyć sejm bez posłów od szlachty, czemu tylko zapobiegło postanowienie szlachty, że nie posłucha uchwał takiego sejmu; wieści z pewnością bezpodstawne, świadczące tylko o obawie przed wpływem Lippomana na króla, może także ku zohydzeniu nuncyusza rozszerzane.

królowi udało zupełnie. Posłowie ziemscy po paru tygodniach sporów dali się udobruchać, gdy im król nowe uroczyste dał tego recesu potwierdzenie. Uchwalono podatki na możliwą wojnę inflancką. Status quo utrzymywał edykt warszawski: zabraniał wszelkich dalszych innowacyi, nie dopuszczał reformowania kościołów w dobrach królewskich, ale zatwierdzał milcząco dotychczasowe zabory kościołów przez protestantów, przyznawał szlachcie wolność wszelką trzymania kaznodziejów protestanckich sobie po domach. Tém się pocieszali protestanci, zawiedzeni w nadziejach co do sejmu; tamto zadowolniło biskupów, że aż ten edykt późniéj niby przeciwko protestantom wymierzony w zbiorze praw kościelnych pomieścili. Król cel swój osiągnął nateraz przez tę słomianą zgodę.

W czasie tego to sejmu przyjechał Łaski do Polski, w czasie też sejmu przyszła i wiadomość o jego przyjeździe i niebawem list jego do króla. Już dawno straszył katolików przyjazd naszego reformatora; jeszcze w marcu 1556 r. donosił Kromer Hozyuszowi, że podobno w drodze do Polski we Frankfurcie nad Odrą już się znajduje. A kiedy przybył istotnie, mniemali kanonicy krakowscy, że w zmowie z królem na zgubę kościoła to uczynił (1). Biskupi wraz z nuncyuszem natychmiast oblegli króla, aby Łaskiemu takie same zgotować przyjęcie jak Lismaninowi, aby jawnego heretyka wyrzucić z kraju. Król nie dał się zbić z zajętego w téj chwili stanowiska: żadnego wznowienia, żadnego niepokoju. Przybył Łaski, więc niech zostanie: banicya jego musiałaby wywołać wśród wszystkich protestantów wzburzenie, a tego właśnie teraz król unikał za jakąbądź cenę. Dlatego i banicyi Lismanina chociaż nie zniósł, ale jéj moc powstrzymał. Pozwolił król sobie odczytać list Łaskiego; odpisał mu nawet, ale krótko i sucho w sens edyktu warszawskiego: przyjmował król jego przyjazd do wiadomości, groził jednak, że go w swych krajach nie ścierpi, gdyby jakiebądź w sprawach kościelnych wprowadzał innowacye (2).

Bądź co bądź było to dla Łaskiego zwycięztwo, była to pośrednio aprobata jego przyjazdu przez króla. Że się uda usunąć zastrzeżenie o innowacyach, nie tracił jeszcze nadziei. W tym celu wkrótce wyruszał w drogę za królem na Litwę, pewny potężnego

---

(1) Kromer do Hozyusza 20 marca 1556, Kijewski kanon. krak. do Hozyusza 4 stycznia 1557; te i inne cytowane poniżéj listy do Hoz. z Ms. Bibl. Jagiel., Archiw Frauenbur. i ks. Czartor. będą wydane w 2 tomie Korespondencyi Hozyusza.

(2) List ten z 7 stycznia 57, pomieszczony w całości w liście Vergeria do Stan. Ostroroga (Gindely, Quellen z. Gesch. d. Böhm. Brüder 225), bardzo być może iż uprzedził oddanie listu Ł. do króla, datowanego z Balic 28 grudnia 1556.

poparcia przez Radziwiłła. Ztąd znowu wielka trwoga wśród katolików. Zawczasu ostrzegał Hozyusz któregoś z kapelanów królowéj; duchownych sekretarzy królewskich straszyło, że co król czyni, czyni tylko dla formy, że — kto wie — może się znosi potajemnie z Łaskim, który się w Wilnie podobno już ukrywa.

Obawy nie były bezpodstawne. Nie potajemnie przybył Łaski, bo to się sprzeciwiało całéj jego naturze. Zjawił się (w połowie marca 1557) głośno, ostentacyjnie z honorami przez Radziwiłła i innych możnych protestantów przyjmowany. Publicznie się królowi i królowéj przedstawił, w wymownych słowach wyłuszczył powody swego do kraju powrotu. Winszował królowi, że za jego panowania czystsza religia nastała, i do jéj szerzenia go wzywał. Stanowcze i pełne godności, lecz skromne jego wystąpienie, szczególniéj wobec królowéj, z którą o religii wcale nie mówił, zrobiło nawet na przeciwnikach bardzo korzystne wrażenie (1), król zaś słuchał go uważnie, z przychylnością. Dał wprawdzie ksiądz podkanclerzy Przerębski suchą odpowiedź urzędową w imieniu króla, że się religii swych przodków chce trzymać, a powoływać do kraju jedynie on sam ma prawo; ale za sprawą Radziwiłła, uprzedziwszy o tém Łaskiego, już po 2 dniach udzielił mu Zygmunt August prywatnie posłuchania. Z cierpliwością przyjął gromiące Łaskiego napomnienie za grzech, który popełnił, wypierając się przez tę publiczną odpowiedź „prawdziwego Chrystusa;“ wziął od niego spisany na prędce traktat o obowiązku monarchów, żeby niweczyć bałwochwalstwo a szerzyć prawdziwą wiarę; usprawiedliwiał się przed reformatorem wojną inflancką, po któréj się zajmie sprawą religii na sejmie; tymczasem przyrzekł Łaskiemu opiekę, uznał go swym sekretarzem i pozwolił mu prywatnie urządzać zbiory lub uczęszczać na nie do innych.

Tém częściowém tylko powodzeniem musiał się Łaski zadowolnić; zdaje się, że już w Wilnie po raz drugi się z królem osobiście nie zetknął i bodaj czy nie stracił długo żywionéj nadziei, że go przecież pozyska dla protestantyzmu. Ale z danego pozwolenia, ku oburzeniu i przerażeniu katolików, zrobił obszerny użytek. W domu Radziwiłła, przez niego wciąż nader gościnnie i wspaniale podejmowany, przez cały blisko miesiąc kazał i nauczał przy liczném nieraz zbiegowisku to po polsku, to po łacinie, nastając na ko-

---

(1) Widać to z listu Bonawentury Tomasza do Hoz. 1 kwietnia 57, tego właśnie kapelana królowy, którego H. przedtem ostrzegał; cf. list jego do H. 11 lutego 57, toż Karnkowskiego do Hoz. 8 marca 57. Prywatną audencyą opisuje towarzysz Łaskiego Utenhove ministrom zurychskim 6 czerwca 57, Calvini Opp. XVI, 2652.

ściół katolicki, na błędy jego nauki. A przykład Łaskiego podziałał tak zaraźliwie, zachęcająco, że i po jego wyjeździe nie ustały te nauki i kazania. Nawet w domach mieszczan wileńskich, bez żadnéj przeszkody gromadzono się na nabożeństwo, spółcześnie z nabożeństwem w katedrze. „Tu nie postoi nikt z panów, a mało kto z pospólstwa, tam spieszą tłumy; wszyscy idą za powagą tego, który więcéj znaczy, niż wszyscy biskupi“ (Radziwiłła), tak się niebawem żalili wszelkiego stopnia duchowni katoliccy na dworze wileńskim bawiący (1).

To samo działo się w drugiéj stolicy, w Krakowie. Tam pospieszył od króla wracając nasz Łaski; teraz nie ukrywał się wcale, lecz głośno rozpowiadał, że całkiem różną od publicznéj była prywatnie mu dana odpowiedź królewska. Jak w Wilnie u Radziwiłła, tak w Krakowie w domu Bonara znów kazał i nauczał nawet i w dni powszednie. I tu gromadziły się tłumy wszelkich stanów, że aż niebawem kapituła krakowska słała do króla ze skargą (2): „Łaski tu serca prostaczków zgubną doktryną swoją zaraża,“ trzeba koniecznie czem prędzéj go ztąd oddalić, z całego kraju wypędzić.

Nie tylko w samym Krakowie. Wkrótce słyszymy głosy: „Łaski w Pińczowie rolę papieża odgrywa,“ stanowi kapłanów, gromadzi zbory, organizuje protestantów. Tu, kędy najprzód w Polsce zaprowadzono nabożeństwo według obrządku kalwińskiego, było istotnie podówczas centrum protestantyzmu polskiego. Tutaj zawsze powracał Łaski, choć rzadko dłużéj na miejscu przebywał. Ani minister przy jakim pojedyńczym kościele, ani superintendent któréj prowincyi (byli superintendenci oddzielni), Łaski był duszą całego protestantyzmu w Małopolsce. Powagę miał u świeckich czy ministrów ogromną. Oprócz rodzinnych stosunków, oprócz przeszłości jego i doświadczenia, największy urok dawał mu związek z całym zachodnim protestantyzmem, poparcie pierwszych powag zagranicznych. Kalwin wymawiając się, że na owo wezwanie do Polski przybyć nie może, zaręczał, że to zbyteczne teraz, kiedy już mają Łaskiego; raz wraz w listach coraz liczniejszych wychwala jego cnoty, naukę i zasługi. Rolę też Łaskiego wśród protestantów małopolskich istotnie najwłaściwiéj można porównać ze stanowiskiem papieża. Wszystko się opierało o niego,—ale też za to na niego spadała główna odpowiedzialność i główny ciężar. Żeby mu wydołać, musiał wytężać star-

(1) X. Pikarski do Hoz. 4 kwiet. i 14 czerw., podkanclerzy Przerembski do Hoz. 4 listop. 57.

(2) Kapitula krak. do króla 4 czerwca 57 w Arch. kap. kr.

gane chorobą i pracą siły, musiał nieustanną i niestrudzoną rozwijać działalność. Nie wiele może się na kogo spuścić, chyba na tych doświadczonych towarzyszy (jak Niderlandczyk Utenhove, Fryzyjczyk Abel Sylvius), których przywiózł ze sobą; mniéj jeszcze ma się kim wyręczyć, skoro ci przybysze nie dosyć znają i język i stosunki polskie. Sam musi ordynować ministrów, sam w Pińczowie dogląda powstającéj szkoły, nadzoruje przekładu pisma św. na język polski zniewala do założenia drukarni w celach propagandy pism protestanckich. W Pińczowie lub okolicy gromadzi wokół siebie synody albo konferencye ministrów kościelnych, na nich się, nieraz osobiście, uciera z Aryanizmem, który coraz częściéj, coraz zuchwaléj zaczyna się odzywać w Małopolsce. Z Pińczowa przedsiębierze podróże nieraz dalekie, to do ludzi wpływowych a wahających się, żeby ich pozyskać, to do Wielkopolski, a nawet do Prus, żeby Luteranów przywieść do zjednoczenia ze swym kościołem. A kiedy wraca do Pińczowa, to tutaj lub gdzie w pobliżu przyjmuje znów wysłańców Braci Czeskich, prowadzi z nimi mozolne układy, żeby utwierdzić na prawdę połączenie Koźminieckie. Wśród tylu trudów umie znaleść chwilę spokojną na pracę literacką: na odpoczynek pisze traktaty polemiczne i zwalcza w tonie coraz ostrzejszym napaści bądź ścisłych Luteranów, bądź katolików jak Hozyusz prawowiernych.

W każdym kierunku przychodziło naszemu reformatorowi łamać się z trudnościami. Już organizacya wewnętrzna napotykała na przeszkody od szlachty; nie miano ochoty łożyć wiele na utrzymanie stałe ministrów przy zborach, na szkoły dla kształcenia przyszłych duchownych, na drukarnią i inne potrzeby. Nie jednego ze szlachty popchnęła ku protestantom chciwość, nadzieja, że się od opłat dla kościoła uwolni; nie wszyscy téż protestanci zaprzestali opłacać dziesięcinę księżom katolickim, nie ustała jeszcze juryzdykcya duchowna o takie sprawy, zawieszona jedynie co do spraw o herezyą. Nie chciano więc brać na siebie nowych ciężarów obok dawnych, o to się nieustanne wszczynały swary między ministrami a szlachtą. Zagodził je dopiéro synod we Włodzisławiu, we wrześniu 1558 r., dopiéro wtedy uchwalono „hojną kontrybucyą“ na potrzeby kościelne, ale postanowiono równocześnie, że dziesięcin na przyszłość „papistom“ dawać nie należy, że trzeba z takim wnioskiem na przyszłym sejmie wystąpić. Wtedy téż stanęło, żeby nie obarczać poddanych większémi niźli prawo dozwala ciężarami (tj. nie zmuszać ich do więcéj jak 2 dni robocizny z łanu); jedyny to, o ile wiem, wypadek, w którym się protestanci polscy dolą wieśniaków zajmowali. Wtedy téż zgromadzeni na synodzie znakomitsi z pomię-

dzy świeckich poddali się karności kościelnéj, za przykładem Bonara (1). Był to więc nie mały tryumf dla Łaskiego.

Przybywało współwyznawców protestantom w Małopolsce, Bonar już nie był jedynym senatorem w ich gronie. Ale nie udawało się pozyskać tych właśnie, na których zależało najwięcéj, na których przykład ze wszystkich stron się oglądano. Nieraz jeździł Łaski do starego hetmana Tarnowskiego, z którym go jakieś powinowactwo łączyło; dla spotkania się z nim zaniedbał nawet zjazdu z Braćmi Czeskimi; mimo namów i przekonywań, mimo usilnych, w końcu gromiących listów Kalwina, nie dał się hetman podbić. Tarnowski, jak tylu innych, potępiał wiele urządzeń kościelnych, obruszał się na zamierzony przyjazd kardynała legata, korespondował uprzejmie z Kalwinem i z innymi, a Łaskiego dobrze ugościł, dużo z nim rozprawiał, ale oświadczyć się stanowczo nie miał odwagi. Chciał zgody zwaśnionych, chciał reformy na soborze powszechnym, zwołanym nietylko przez papieża, lecz także przez monarchów; trwożył się jednak, że reformowanie w inny sposób, przemocą, sprowadzi zaburzenia i zgubę państwa (2). Stał jednóm słowem na stanowisku późniejszych t. zw. „polityków" francuskich; maksyma Kalwina: niechaj sto światów przepadnie, a trzeba słowo Boże szerzyć wszelkim sposobem, na Boga raczéj się oglądać niż na ludzi,—wcale mu nie trafiała do smaku.

I w zabiegach o zjednoczenie protestantów nie miał nasz reformator powodzenia. On, który już w Niemczech nad ich zgodą pracował, który przybywał po to do Polski, aby protestantów do zawładnięcia całym krajem zagrzać i poprowadzić, całkiem naturalnie i tu podnosił myśl unii z Luteranami, skoro z Braćmi Czeskimi już się w Koźminku połączono. Zaraz na pierwszym synodzie we Włodzisławiu wystąpił z tym projektem, w czerwcu 1557 r., i sam się jął wykonania gorliwie. Luteranie polscy nie byli liczni, lecz między nimi byli w Wielkopolsce ludzie możni i znakomici, Górka, bracia Ostrorogowie; z tych jeden, Stanisław kasztelan Międzyrzecki, był szwagrem Bonara i krajczego Myszkowskiego, ożeniony z trzecią Tęczyńską; ztąd nadzieja, że się wpływowi wuja żony chętnie podda. Po za Polską właściwą, w Prusach królewskich, rozpościerał się teraz Luteranizm potężnie, w Prusach książęcych panował już oddawna.

---

(1) Utenhove do ministrów zurychskich i genewskich 18 wrześ. 58, Calvini Opp. XVI, 2962.

(2) Nader ciekawą jest korespondencya T. z Kalwinem, szczególniéj list z 12 maja 59 (Calvini Opp. XVII, 3053) typowy poniekąd, pokazuje, co o reformie kościelnéj myśleli w Polsce ludzie poważni a oględni.

Zjednoczenie więc protestantów we wszystkich prowincyach państwa polskiego niezmiernie wzmogłoby ich siły. Na ks. Albrechta oglądali się wszyscy polscy nowatorowie, on sam nie przestał się losem protestantyzmu samej Polsce interesować, jego posłowie byli w Koźminku, gdy się Małopolanie z Braćmi Czeskimi jednali. To zdawało się zapowiadać i w ks. pruskim skłonność do zgody, budziło w Łaskim znowu nadzieję, że mu się teraz lepiéj uda, czego już przedtem bezskutecznie próbował. Już z Wilna, wprost od króla, do ks. Albrechta zamierzał się wybrać, wojna inflancka i zdrowie niesposobne kazały mu zamiar ten odłożyć. Teraz jechał z początkiem 1558 r., na Prusy przez Wielkopolskę. Ostroróg przyjął powinowatego z szacunkiem, ministrowie po jego dobrach nie zdawali się połączeniu opierać; dla wszystkich luteranów polskich decydującém jednakże było, jak się zachowa najważniejszy z nich, ks. pruski Tymczasem w Królewcu wnet się Łaski przekonał, że i teraz darmo się łudził. Sam książę możeby nie stawiał nieprzezwyciężonych trudności, chociaż zawczasu go z Wirtembergii Brenz przed Łaskim ostrzegał; z nadwornymi teologami księcia sprawa była z góry przegrana. I teraz żadną miarą nie chcieli uznać, że nauka Łaskiego o eucharystyi nie sprzeciwia się konfesyi augsburskiéj.

Zniechęcenie wskutek tego zawodu wyraźnie przebija w oziębłejszym o wiele tonie ostatniego listu, który pisał Łaski do ks. Albrechta (18 kwietnia 1558), kiedy od niego powracał. Pawda, on sam, Łaski, utrudniał sobie zadanie, bo ani na włos nie chciał odstąpić od swojéj formuły o sakramencie eucharystyi. A przecież nawet Kalwin dawniéj jeszcze w zaufaniu wypowiadał obawę, czy nazbyt ściśle przy niéj obstając nasz reformator zbyt wielu sobie nie narazi (1). Niebawem musiał się Kalwin znowu lękać, żeby Łaski Braci Czeskich tą zbytnią ścisłością nie odepchnął. Zamierzał go w tém upomnieć, skarżących się na Łaskiego uspakajał, że niekiedy „najlepszy ten człowiek bywa zanadto surowym."

Samo połączenie Koźminieckie z Braćmi Czeskimi pochwala Łaski, niebawem się jednak pokazało, że obie strony bardzo je odmiennie pojmują. Bracia Czescy mniemali, że skoro w Koźminku wszystko od nich przyjęto, teraz pozostaje tylko rzecz wykonać, a więc zastosować ich agendy kościelne, wszystkie obrzędy zaprowadzić tak jak się u nich praktykują, przedewszystkiém przetłómaczyć na język polski ich konfesyą, która odtąd stała się wspólném z nimi

(1) ...ne suam loquendi formam nimis precise urgendo homines morosos exasperet, K. do Vermigli 18 stycz. 55, Calvini Opp. XV 20 89; słowa zaś poniżéj cytowane są z listu K. do Bullingera 30 maja 57, ibid. XVII, 2640.

dla wszystkich protestantów małopolskich wyznaniem wiary. Dostarczyć ksiąg, wizytować kościoły małopolskie, pouczać we wszystkiem i pokazywać, jak co robić należy, byli gotowi; chcieli jednem słowem jako starsi i doświadczeńsi młodszych braci wprowadzać na drogę zbawienia, a ta rola przewodników przy całéj skromności Braci Czeskich uśmiechała się i pochlebiała im bardzo. W tym celu gotowi byli do znacznych ofiar; mimo swych szczupłych środków materyalnych przedsiębiorą częste podróże do Małopolski, ale też żądają, żeby takie ich stanowisko bezwzględnie uznano, żeby nic nie czyniono bez wiedzy i zdania naczelników ich jednoty ściśle zorganizowanéj; każde odmienne postępowanie uważają za wyłamywanie się z pod układu Koźminieckiego. A tymczasem tylko mała liczba ministrów małopolskich tak samo wyobrażała sobie to zjednoczenie, reszta zaś ministrów i zwłaszcza szlachty, przedewszystkiém zaś Łaski, pojmowali je zupełnie inaczéj. Wszyscy chcieli w niem trwać, chcieli brać wzory w niejedném od Braci Czeskich, co się okazało praktyczném, ale uważali, że zjednoczenie to bynajmniéj nie zmusza, żeby wszystko przyjmować ślepo, niewolniczo. Chciano jeszcze zasięgnąć rady i innych ludzi doświadczonych, dla tego przyzywano Lismanina, potém Łaskiego. Że zaś Łaski, skoro raz przybył, skoro się potajemnie z wysłańcami Braci Czeskich zetknął, skoro zwłaszcza rozpatrzył się w ich konfesyi i jej apologii, to wnet i zmiany w niejednym punkcie zażądał: to nie może zadziwić, bo było to wynikiem zasadniczo różnego stosunku do spraw najważniejszych Braci Czeskich z jednéj, a reformatorów tak jak Łaski odcienia kalwińskiego z drugiéj strony.

Bracia Czescy zrekrutowani prawie wyłącznie z niższych sfer społeczeństwa, pokorni i skromni, do prześladowania przywykli, pragnęli jednego tylko: żeby ich zostawiono w spokoju, żeby ich tolerowano; w sprawy publiczne nie zamierzali się mięszać, byleby za to państwo nawzajem o nich się troszczyć przestało i nie mięszało się w ich sprawy kościelne. Protestanci małopolscy z Łaskim na czele, prawie wyłącznie szlachta, do panowania dążąca, we wszystkiem brać udział przywykła, uważali za najwyższe swoje zadanie, żeby szerzyć „słowo Boże,“ w tym celu chcieli zawładnąć całém państwem. Bracia Czescy przeciwni wszelkiéj gwałtownéj propagandzie, wszelkiemu przymusowi, tylko słowem, nauką chcieli swą wiarę szerzyć, do swéj jednoty przyjmowali tylko takich, którzy się wprzód wewnętrznie z nimi złączyli; natomiast unikali wszelkiego stykania się w rzeczach kościelnych z tymi, którzy się jeszcze nie nawrócili do nich. Protestancka szlachta małopolska chciała tymczasem wzbraniać swym poddanym „bałwochwalstwa“ t. j. katoli-

cyzmu, za to też ministrowie w zabranych kościołach szafowali sakramentami i tym swym parafianom, o których dobrze wiedzieli, że do nich przychodzą z musu, że są katolikami; oświecić ich w nowéj wierze miano dopiéro potém.

I w rządzie kościelnym i w obrzędach oraz zwyczajach, a nawet w saméj nauce zachodziły znaczne różnice, nawet sprzeczności między Braćmi Czeskimi a protestantami małopolskimi. W jednocie Braci Czeskich cały rząd kościelny spoczywał li tylko w ręku starszych duchownych. Łaski oczywiście chciał mieć rząd kościelny takim, jaki we Fryzyi i w Anglii zaprowadził, jaki istniał w Genewie, złożony i z ministrów i ze świeckich. Bracia Czescy potępiając jaki bądź udział duchownych w sprawach świeckich nie chcieli dóbr kościelnych, przeciwni byli nawet dziesięcinom; ich duchowieństwo miało żyć z pracy rąk własnych lub z dobrowolnych datków od wiernych. Łaski i szlachta małopolska chcieli dobra kościelne na fundusz religijny zatrzymać, a praca ręczna była ministrom małopolskim wstrętną. Na znak pokory zachowali Bracia Czescy spowiedź uszną a posty dla umartwienia; pokora i umartwienie były to dla protestantów małopolskich zabytki papizmu, o których nie wie nic pismo św. A z jakąż dopiéro niechęcią, z jakiemże nawet oburzeniem, musieli czytać ministrowie małopolscy ten artykuł w konfesyi Braci Czeskich, który uznawał stan bezżenny za doskonalszy, zachwalał go i zalecał duchownym? ci ministrowie małopolscy, dawniejsi księża katoliccy, z których nieomal każdy pojęciem żony dał pierwszy dowód swojego protestantyzmu. Co musiał o tém myśléć Łaski, żyjący już w powtórném małżeństwie, który właśnie przez to małżeństwo najprzód wziął rozbrat z kościołem rzymskim? „O celibat się dwornie koźlili, iż to nic nie jest, a o małżeństwie wielkie zalecenie czynili,“ powiadają o małopolskich ministrach wysłańcy Braci Czeskich, którzy zjechali na synod do Pińczowa (1). Ten artykuł istotnie najtwardszą wywołał opozycyę, jego zmiany dopominano się koniecznie.

Nakoniec nauka o sakramencie eucharystyi, jak ją czytał w konfesyi Braci Czeskich, nie mogła zadowolnić Łaskiego. Ten artykuł brzmiał w słowach niemal Lutrowych; umyślnie go ułożono w ten sposób w 1535, żeby przychylną Lutra opinią uzyskać. Właśnie

---

(1) Łukaszewicz, Dzieje kościołów wyznania helweckiego w dawnéj Małopolsce, 158. Kwestye sporne między Braćmi Czes. a protest. małopol. o wiele dokładniéj niż z Gindely'ego, Gesch. d. Böhm. Brüder, można poznać z Łukaszewicza, który podaje dosłownie sprawozdania wysyłanych do MPolski Braci Czes. Dalton, który książki Łuk. nie znał, nie dosyć jasno je przedstawia.

ten punkt był osią sporów Łaskiego z Luteranami ścisłymi: mógłże taką naukę teraz uważać za swoją?

Zaraz po przybyciu Łaski się oświadczył za zjednoczeniem Koźminieckim, ale zarazem stanowczo żądał zmiany konfesyi Braci Czeskich; pod tym tylko warunkiem przyjmował ją jako powszechną, którą się wspólnie ogłosi i złoży uroczyście królowi. W przekładzie polskim téj konfessyi sam zmienił cały szereg artykułów i domagał się tych zmian aprobaty. W ten sposób swoję naukę narzucał wszystkim protestantom polskim.

Na to znów Bracia Czescy nie chcieli żadną miarą przystać. Samo zaproszenie Łaskiego do Polski dotknęło ich bardzo niemile. Że się to stało bez woli i wiedzy naczelników ich jednoty to uważają za wyłom zrobiony w układzie Koźminieckim. Przez to z góry względem Łaskiego niekorzystnie już uprzedzeni, na przybyłego spoglądają z nieufnością i zazdrością o ten wpływ i powagę, które on ma od pierwszéj chwili. Próbują zrazu go usunąć od układów między nimi a Małopolanami. W końcu się oswajają z tym faktem, że bez niego nic sprawić niepodobna, traktują więc z nim bezpośrednio; ale żądanie zmiany konfesyi, która wśród prześladowań stała się dla nich tém droższą, przyjmują jako zamach na całą ich jednotę. Boć u nich panuje ład i porządek, w Małopolsce zaś gorszy ich niejedno; mieliżby dobre swoje na nieznane, niedoświadczone, a więc na gorsze coś nowego zamienić? Toczą się ciągłe rokowania, powtarzają podróże i zjazdy; zawsze Bracia Czescy odmawiają wszelkiéj odmiany. A gdy nareszcie na zjazd w Lipniku na Morawie, jesienią 1558 r., wysłańcy małopolscy przywożą ową zmienioną konfesyę, to Bracia Czescy przyzwalają, żeby ją ogłoszono drukiem, ale tylko jako wyznanie wiary Małopolan; dla siebie samych nie przyjmują go i wtedy.

Wśród sporu odwoływano się ze stron obu do powag zagranicznych. Zasłaniali się Bracia Czescy uznaniem dawniejszém ich konfessyi przez Kalwina i teologów szwajcarskich, radością, jaką dla tychże było zjednoczenie Koźminieckie. Za to Łaski i najbliżsi mu posyłali to ich wyznanie do powtórnego przejrzenia i uzyskali w końcu istotnie oświadczenie z Genewy i Zurychu, że zmiany w niem są niezbędne. Jednego tylko znaleźli Bracia Czescy obrońcę wytrwałego: Vergeria, który ich poznał w Prusach i Polsce, dokąd go słali książęta protestanccy niemieccy dla celów propagandy polityczno-kościelnéj. Dawny biskup i nuncyusz, teraz dyplomata i reformator w usługach ks. Wirtemberskiego, stojący na pośredniem stanowisku między Kalwinem a Luteranami, ujął się gorliwie za

Braćmi Czeskimi wobec Łaskiego i mniemał, że więcéj zyska w Polsce protestantyzm, jeśli się na teraz przyjmie i uzna ich konfesyą, a dopiéro następnie powoli i stopniowo wprowadzi w niéj te zmiany i poprawki, które się okażą potrzebne. Vergerio się oburzał, że Łaski się przy swojem upiera; jego to musiał Kalwin uspokajać. Ułagodzić zupełnie go nie zdołał: Vergerio i nadal głośne rozwodził w Niemczech żale, że nasz refomator szkodzi swą bezwzględnością postępom protestantyzmu polskiego.

A jednak postępy te nie ustały. Nie powstrzymał ich spór z Braćmi Czeskimi, bo spór ten aż do zerwania nigdy się nie zaostrzył. Nuncyusz Lippomano wyjechał po sejmie warszawskim zrozpaczywszy o przyszłości katolicyzmu w Polce: „Niechaj Pan Bóg wszechmocny dopomoże waszym sprawom"—pisał w parę miesięcy późniéj do Hozyusza, 30 październ. 1557 r.—„bo że żadne ludzkie sposoby dopomódz im już nie mogą, tego się bardzo boję." Paweł IV zgromił króla o edykt warszawski, ale tymczasem nastało wielkie naprężenie między królem a Rzymem z powodu sprawy biskupa Chełmskiego, Uchańskiego. Nominował go, jak wiadomo, Zygmunt August biskupem kujawskim, w Rzymie odmawiano mu potwierdzenia jako podejrzanemu w wierze. Król był oburzony, że jego prawo nominowania doznało ubliżenia, dotknięty do żywego, że papież się mięsza w nie swoje sprawy tym zakazem do kapituły włocławskiéj aby nie dała Uchańskiemu objąć w posiadanie dóbr biskupich. Więc wprost przeciwny słał kapitule rozkaz królewski, aby się nie ważyła stawiać w tém przeszkody biskupowi; nawet pytał senatorów, czy on sam, król, nie byłby mocen bez papieża i pieczę dusz, funkcye duchowne biskupa, powierzyć Uchańskiemu. Spór się zaognił tak bardzo, że biskupi drżeli z obawy najgorszych skutków; prymas Dzierzgowski zaklinał Hozyusza (listem z 3 września 1557 r.) aby on, jedyny polski biskup, który ma zaufanie Rzymu, wyjednał tam potwierdzenie nominata królewskiego, który przecież powstrzymał świeżo hetmana Tarnowskiego i wojewodę krakowskiego Tenczyńskiego, że się nie połączyli z protestantami.

Oczywiście wielka ztąd radość wśród protestantów. Uchańskiego spodziewano się zwabić. Sam Kalwin pisał do niego, żeby, skoro raz poznał prawdę, krzewił ją téż gorliwie, nie stał bezczynnie wśród walczących. Nie wątpiono, że król teraz nie będzie wiele się troszczył o edykt warszawski, nie wahano się go przekraczać. W Książu, gdzie zmarła świeżo owdowiała wojewodzina Sandomierska Tenczyńska, siostra Łaskiego, Bonar, którego żonie przypadł Książ po matce, wygnał przemocą zakonników a kościół zreformował przy

wielkim aplauzie swych spółwyznawców, zapewne podniecony przez naszego Łaskiego, który wychwalał tę zasługę przed Kalwinem. Biskup krakowski Zebrzydowski chciał temu przeszkadzać, przez kanclerza w. kor. i kilku senatorów chciał poruszyć króla; ale Bonar założył apelacyą do króla i do sejmu, a Zygmunt August sprawę istotnie do sejmu odłożył.

Sejmu wyczekiwano niecierpliwie, bo na tym sejmie, według recesu piotrkowskiego z 1555 r., miano znów podjąć i egzekucyą i unią i sprawy religijne. Spodziewali się protestanci, że sejm zwali zupełnie juryzdykcyą duchowną, da szlachcie moc formalną reformowania kościołów po swoich dobrach. Król zamierzał teraz dotrzymać obietnicy danéj posłom ziemskim w Warszawie; rezultat wojny pozwolskiéj z Inflantami kazał mu się obawiać, czy się nie wznowi wkrótce walka z Iwanem Groźnym. Dla tego myślał o unii. „Postanowieniem jest króla—pisał kanclerz Ocieski do Hozyusza z Wilna 3 listopada 1557 r.—aby koniecznie sejm w Parczowie się odbył, i dość jawnie się o tém mówi, że tam przyzwani będą z zagranicy znakomici dysputatorowie strony przeciwnéj (t. j. protestanccy). To mnie też straszy bardzo, lękam się, aby ci zagraniczni nie wymiotli z siebie tak wiele jadu, że oręż zamiast ksiąg przeciw wnętrznościom Korony będziemy musieli zwrócić. Do czego tém większa będzie sposobność, że król chce sejm odprawić na wiosnę w mieście otwartem, a nawet, jak słyszę, w polu i nie daje się w żaden sposób nakłonić, żeby go zwołać do jakiego miasta warownego. Będzie też niedaleko zgromadzone wojsko litewskie pod pozorem wspólnego zjazdu, czyli—jak to zwą—unii.“ Rozprawy z protestantami uważał jednak kanclerz, gorliwy katolik, za rzecz tak nieuniknioną, że pisał w tym samym liście: „Niczego nie wyczekuję tak jak sejmu, bo ufam, że Przewielebność Wasza wypełnisz w rzeczy, co obiecujesz słowami i że przed całym światem dowiedziesz wybornéj swéj wiary w obronie kościoła Chrystusowego przeciwko zamachom odszczepieńców, którzy dla zwalczenia go wszelkiemi siłami się gotują.“

Biskupi nie mieli téj pewności, starali się sejm odwlec, słali po sukurs do Rzymu. Paweł IV jednego z kardynałów przeznaczał do Polski na legata, zachęcony zwłaszcza do tego przez Hozyusza. Bo biskup warmiński nie czekał sejmu. Zgodnie z jego życzeniem, na polecenie Lippomana, przyzwał go papież do swego boku, a Hozyusz tam się udał wiosną 1558 r.

Usunął się od możliwéj dysputy, nie usuwał się od walki na piśmie: Łaskiego nie spuścił z oka, nawet kiedy odjechał. Hozyusz na wszystkie kroki dawnego przyjaciela czujną zwracał baczność:

i na dwór i do wielu znaczniejszych osób słał listy ostrzegawcze. Za to znów dostarczali mu wszyscy wiadomości o Łaskim. Słał z Wilna uczonemu polemiście podkanclerzy Przerembski to pismo, które Łaski podał królowi; z Poznania przysyłał księgarz przywiezione z Niemiec protestanckie dzieło przeciw Łaskiemu. Hozyusz za ten dar najbardziéj był wdzięczny, prosił, aby mu sprowadzano wszystko, co się pisze w Niemczech na naszego reformatora (1). Bo, jak wiadomo, niezgoda protestantów, ich spory i waśni, najsilniejszą dawały broń do ręki uczonemu biskupowi; tém najchętniéj wojował, żeby wykazać, że tylko kościół rzymski może dać ów pokój, którego w Polsce tak wyglądały masy zachwiane w wierze.

W to też bił Hozyusz w swém piśmie „O wyraźném słowie Bożem," które powstało wśród przygotowań do podróży rzymskiéj, które posyłał królowi jako ostatnie przed swym wyjazdem upomnienie. Heretycy— wykładał — wciąż prawią o słowie Bożem, z pisma św. wszystko wywodzą, niem się jedynie chcą kierować. Ale każdy z nich inaczéj pismo św. tłómaczy, kłócą się i nienawidzą nawzajem, w jedném się tylko godzą: w nienawiści do kościoła Rzymskiego. A tymczasem te kłótnie, to najlepszy dowód, jak potrzeba powagi do wykładu pisma św. powołanéj, kościelnéj, bo nie każdy potrafi je zrozumiéć. Nie ustaną niezgody, nie powróci spokój upragniony, aż ostro i stanowczo stłumi się każde odstępstwo. Hozyusz do tego właśnie wzywał króla.

Pismo to nie było wymierzone przeciw samemu tylko Łaskiemu. Hozyusz zwykł w swoich polemikach, w tonie spokojnym, z lekceważeniem traktując przeciwników z góry, przeciwko wszystkim się równo zwracać. Ale wśród innych wspomniał kilkakroć Łaskiego pomiędzy tymi, którzy się nienawidzą o różny pisma św. wykład. Wkrótce po wyjeździe Hozyusza nadszedł do Małopolski spis błędów nauki Łaskiego ułożony w drastyczny sposób, w krótkie artykuły, według tego właśnie, jak się zdaje, pisma jakiegoś protestanta Erazma Alberusa, które Hozyuszowi z Poznania przysłano. Artykuły te nie ukazały się w druku, ale kursując po ludziach w rękopiśmie szkodziły bardzo naszemu reformatorowi u wszystkich wahających się i niezdecydowanych. Zasiadł więc spiesznie Łaski do napisania obrony. Do nich, do téj rzeszy niezdecydowanych, zwolenników zgody i pokoju, zwracał się przedewszystkiém, ich naczelnikowi Tarnowskiemu składał swoję „Krótką odpowiedź na artykuły

---

(1) Ks. Dąbrowski do Hoz. 21 maja 57, Dr. Stefan Micanus do Hoz. 23 maja 11 sierpnia 57.

zebrane z Albera przez Hozyusza tudzież na tegoż pisemko o tłumionem raczéj niż wyraźném słowie Bożem.“ Z obcą mu dawniéj gwałtownością, z ironią pełną nienawiści odpowiadał tu Łaski dawnemu przyjacielowi. Tę przyjaźń mu przypominał, dawne o reformie kościoła rozmowy; tém bardziéj się oburzał, że Hozyusz wiadomości swe o jego nauce czerpie nie z własnych jego utworów, ale od jego oszczerców. Oczywiście uzasadniał swoję naukę wśród ciągłych gorzkich przygryzek ojcu chodaczkowi (Caligula przezywano żartobliwie Hozyusza od młodości, widocznie mięszając rzymskie obuwie żołnierskie z tém odzieniem nogi, Hose, od którego on nosił nazwisko), który zpyszniał w biskupich fioletach, a większą jeszcze pychą i świętoszkostwem chce sobie na purpurę rzymską zarobić.

Dziełko Łaskiego wyszło w maju 1559 r. w Pinczowie, w drukarni, którą sam założył. Kiedy zaś dostało się do Rzymu do Hozyusza, i on teraz już wprost do Łaskiego przemówić postanowił. „O tłumionem słowie Bożem“ pisał jednak ze spokojem, tém jaskrawiéj odbijającym od gwałtowności przeciwnika. Zaniechał pracy, gdy go doszła wiadomość o śmierci Łaskiego. „Z widmami walczyć nie wypadało“—powiada (1)—może pomny młodości chcąc mu zostawić spokój w grobie. Dopiero po zgonie kardynała to jego pismo wydano.

Wprzód nim przeciwko Hozyuszowi, chwycił Łaski za pióro polemiczne przeciwko luterskim swym antagonistom. Za granicę, do Bazylei, słano do druku równocześnie i ułożone z natchnienia Łaskiego przez jego towarzysza Utenhova „Proste i wierne opowiadanie“ o podróży wygnańców Angielskich do Danii i własne Łaskiego pismo przeciwko Westphalowi. Oddawna odpowiedzieć zamyślał temu najzawziętszemu z pomiędzy swoich prześladowców, zawsze pracę odkładał przy swojéj do polemiki niechęci. Dopiero gdy w Polsce się przekonał, jak tutaj zarzuty Westphala i jego towarzyszy paraliżują działalność reformatorską, dopiero wtedy, w gorączkowém rozdrażnieniu wrócił do dawnego zamiaru. O rozdrażnieniu wysokiem świadczy już sam tytuł książeczki: „Odpowiedź na

---

(1) Hozyusz do biskupa naumburskiego Pfluga 21 paźdz. 1560, Cyprianus, Tabul. Eccl. Rom. 113. Ani Eichhorn autor biografii Hozyusza nie znał pism Łaskiego, ani Dalton nie zna pism Hozyusza; ztąd u obu niedokładnie przedstawiono stan rzeczy, zwłaszcza pomylona chronologia, bo egzemplarzowi biblioteki petersburskiéj rzadkiego pisma Ł. (wedle tego egzemplarza przedrukował je Kuyper) widocznie brakło ostatniéj kartki, na któréj stoi data: w Pińczowie 3 maja 1559 r. Ma tę kartkę exemp. bibliot. Jagielońskiéj.

gwałtowny oszczerstwami i kłamstwami napchany list człowieka szalonego Joachima Westphala" (i t. d.—tytuł jest długi); w takim tonie idzie rzecz cała. Nic dziwnego, że Kalwin nie pochwalał téj polemiki, odradzał ogłoszenie opowieści Utenhowowéj, żeby nie wznawiać dawnych rozterek. Wyszło w końcu jedno i drugie, ale się Łaski już tego niedoczekał; Kalwin zaś nie opatrzył książki przedmową, jak o to go upraszał.

Goryczy Łaskiego źródło płynęło z doznanych zawodów. Coraz wyraźniéj czuć musiał, że nie jest w Polsce tém, czém być chciał, czém zostać się spodziewał. Zamiast być apostołem, którego słuchają kornie wszyscy, był tylko—reformatorem, co prawda cenionym, szanowanym, lecz tylko jednym wśród wielu. Wyczekiwany sejm nowe przyniósł rozczarowanie. Zwlókł się 2 lata po warszawskim, jak chciało duchowieństwo, nie odbył się w Parczowie, jak się lękał Ocieski. Zebrano się wreszcie w Piotrkowie, z końcem 1558 r. Nie zjechał wprawdzie kardynał legat, ale nowy nuncyusz tu przybył dzielnie zagrzewając biskupów do oporu izbie poselskiéj. Posłowie się rzucili na duchowieństwo gwałtownie, zwłaszcza na juryzdykcyą duchowną, chcieli nawet rugować biskupów z senatu. Ale potężny zrazu zamach wnet się złamał i w inną zwrócił stronę; rzucono się do egzekucyi królewszczyzn, a o to się cały sejm rozbił i rozszedł bez uchwały. Pojednawczością, nową zwłoką, jakiemiś niejasnemi obietnicami odwrócili biskupi cios na nich wymierzony. Rozprawy o religii żadne nie miały miejsca, w nieokreślony sposób przyrzekano to na kiedy indziéj.

Z niechęcią mówiono w Pińczowie o tym sejmie, z żalem musiał i Łaski na jego rezultat patrzeć. Być może, iż sam pojechał wtedy do Piotrkowa; w każdym razie w tym czasie miał znów z Zygmuntem Augustem spotkanie. Król mu podobno przyobiecał, że jeszcze kiedy do dysputy z Hozyuszem będzie mógł stanąć; ale ta bytność Łaskiego u króla chyba pogrzebała już ostatnie nadzieje, że go kiedyś dla reformacyi pozyska (1).

---

(1) Tylko Dalton, 552, mówi według owych protokółów synodalnych o téj bytności Ł. u króla, z któréj zdawał on sprawę na synodzie pińczowskim 13 marca 59, ale nie jest jasném, kiedy i gdzie się Łaski z królem widział (sejm piotr. skończył się 10 lutego a potém król aż do czerwca bawił w Krakowie) ani téż, co z nim traktował. Dalton nie cytuje bowiem słów protokółu dosłownie, sam zaś popełnia tu właśnie mnóstwo błędów (że nuncyusz Lippoman drugi raz zjechał do Polski, że Scytowie i Tatarzy to dwa różne barbarzyńskie ludy i t. d.). Nie mógł wtedy król obiecywać Ł. rychłéj dysputy z Hoz. ani téż nie z powodu strachu przed Ł. Hozyusz do téj dysputy nie stanął (jak to sądzi Dalton, który H. ciągle zwie biskupem chełmińskim), skoro Hoz.

Zwłaszcza że jedność protestantów małopolskich się rwała, głośniejsze aniżeli przedtém w samym Pińczowie rozlegały się spory. Nieraz już trzeba było przestrzegać i pouczać wyrażających wątpliwości o Trójcy św.; nawet już wykluczeniem upartych z gminy wiernych musiano ratować prawowierność kalwińską. Raz poraz nowi występowali zwolennicy potępianéj nauki. Najgłośniejszym w obecnéj chwili był Stankar. Spalono jego pisma, synod uchwalił własne wyznanie wiary co do artykułu spornego, żeby wszelkim wątpliwościom zapobiedz; niedopuszczono Stankara do dysputy, któréj żądał; niepodobna było przeszkodzić, że publicznie w kościele szeroko wykładał swoje zapatrywania. I znajdował przyjaciół, pan samego Pińczowa Oleśnicki ku niemu się nakłaniał, straszyła obawa, że może już niedługo ztąd, ze swojego centrum, Kalwini będą musieli ustąpić.

Tak się téż, jak wiadomo, stało istotnie późniéj, ale na to Łaski na swoje szczęście już nie patrzył. I w téj walce stał on zawsze w pierwszym szeregu, toczył ją z niestrudzonym zapałem, ale ze słabnącemi coraz bardziéj siłami fizycznemi. Coraz to częściéj i coraz mocniéj podupadał na zdrowiu, a nie chciał się oszczędzać, pomimo przestróg przyjaciół. Nie upłynęło wiele nad 3 lata, odkąd stanął z powrotem w ojczyźnie, kiedy go zaskoczyła śmierć 8 stycznia 1560 r.

Cierpliwie znosząc boleści, z rezygnacyą wyglądał zgonu nasz reformator, dożywszy najpóźniejszego z trzech synowców prymasa wieku. I on nie starcem jeszcze kładł się do mogiły, niewiele nad 60 lat licząc, za to stérany przez zmienne losu koleje. Nim zamknął oczy na wieki, pobożnie, z ufnością w Panu wzywał jego imienia w tym języku niemieckim, w którym przywykł obcować z żoną, który mu się stał przez pół rodzinnym. Mimo ufności i rezygnacyi pewno jednak w przededniu śmierci nie był wolnym od dręczącego go niepokoju. Nie o własne zbawienie w życiu przyszłem: wiara silna dawała mu pewność wieczystego żywota. Ale trwożyć go musiał los tych, którzy pozostawali, przyszłość tego, co mu było tutaj najdroższém.

Zostawiał nasz reformator wdowę, drugą swą żonę, którą był pojął w Anglii (gdzie mu pierwsza żona umarła) jak się zdaje z pośród niemieckich członków swéj gminy; zresztą i o niéj nie wiemy nic, oprócz jéj imienia, Katarzyna. Zostawiał z dwóch swych mał-

---

wyjechawszy z Polski wiosną 1558 do Rzymu, dopiero w 6 lat potém powrócił. Jedyną téż wzmiankę o spodziewanéj dyspucie spotkałem wcześniéj, w owym już przywiedzionym liście Ocieskiego z 3 listopada 57.

żeństw wcale liczne potomstwo płci obojga, po części niedorosłe jeszcze. Jednéj dopiero córce zapewnił przyszłość, wydawszy ją niedawno za mąż ku oburzeniu duchowieństwa katolickiego za tego z ministrów protestanckich, Stanisława Lutomirskiego, który jak sam Łaski rodu szlacheckiego, nawet senatorskiego, jak on był dawniéj księdzem. Całą resztą rodzinę zostawiał na łasce losu. Zrzekł się niegdyś spadku po przodkach na korzyść braci, ale choć obu braci potomstwo żyło w dostatkach, na pomoc z téj strony nie było co rachować. Potomstwo Stanisława Łaskiego zostało wiernném katolicyzmowi, o protestanckich swych krewnych nie myślało się troszczyć. Jedynak starszego brata Jarosława, Olbracht, przystał wprawdzie, pewno za wpływem stryja, do protestantów, ale niedługo potém znów ich porzucił, a nigdy nie zwykł ponosić ofiar bezinteresownie. Spodziewał się niegdyś nasz Łaski żyć dostatnio chlebem duchownym. Skąpy i gorzki był ten chleb, odkąd się rzucił do reformowania kościoła. Nieraz się skarżył w ostatnich latach, że nie ma żadnego opatrzenia, nie ma stałego przytułku; pensya od Radziwiłła, zasiłki pewno od innych współwyznawców całém mu były utrzymaniem. To téż nad trumną reformatora obadwaj mówcy pogrzebowi, obcy z dalekich stron przybysze (1), gorąco polecali osieroconą rodzinę pamięci i względom swych słuchaczy; wymowne ich słowa zdają się właśnie świadczyć o tém, że zaleceń tych było bardzo potrzeba, a skutek ich wątpliwy. Istotnie, w parę lat po śmierci Łaskiego, wdowa jego nieomal w nędzy błagała litości i wsparcia u ks. pruskiego dla siebie i dla sierot.

Większy jeszcze niepokój mógł ogarniać Jana Łaskiego w przeddzień śmierci o to, co mu było droższém od rodziny, o przyszłość protestantyzmu w Polsce. Dostrzegał niewątpliwie oznaki, że protestantyzm w Polsce już się przesilać zaczyna, że nie dosięgnie nigdy celu, który on mu wskazywał. Rzeczywiście protestantyzm czyni potém jeszcze postępy, jeszcze się krzewi, jeszcze zdobywa na sejmie następnym zniesienie juryzdykcyi duchownéj; ale już utracił swój polot, już zachwiała się jego pewność zwycięstwa: niebawem na obronne zaczyna schodzić stanowisko. Długo pozostali protestanci w Polsce potężném stronnictwem, ale państwem nie zawładnęli nigdy: i jedno i drugie było w przeważnéj części skutkiem

---

(1) Piotr Statorius z Thionville, sprowadzony przez Lismanina, i Abel Sylvius z Fryzyi, zapewne towarzysz Łaskiego. Nie mogę pojąć, z jakiego powodu Dalton 562—3, który zdaje się, znał tę mowę, powiada, że to Jakób Sylvius, polak, miał ją po polsku, skoro tytuł właśnie inaczéj pokazuje. Była podobno i mowa polska Sarnickiego (D. każe mu po łacinie przemawiać), ale téj żaden egzemplarz nie jest dziś znany.

dzialalności Łaskiego. On dał protestantom polskim organizacyę, która wytworzyła ich siłę odporną, jego zabiegi przygotowały konsens Sandomierski; ale też i on uporem swym przeszkodził, że się nie zleli pomiędzy sobą jeszcze ściśléj; on aryanizmu nie zdołał wytrzebić w Małopolsce, aryanizm zaś rozsadził polski protestantyzm.

Jak stryj prymas przez 30 laty, i nasz Jan Łaski musiał umierać z przekonaniem, że tylko połowicznie osiągnął cel całego swego żywota; dziś jednak należy uznać: ani przedtem ani potem nie wydał protestantyzm polski reformatora téj miary i téj zasługi.

Wincenty Zakrzewski.

PRZEGLĄD DRAMATYCZNY.

Piękna, dramat w czterech aktach Wł. Okońskiego.

Pod koniec października przedstawiono w Teatrze Rozmaitości nowy dramat. Zainteresował on nadzwyczajnie, stał się przedmiotem ożywionych rozmów i sporów. Krytycy w ocenie jego podzielili się na dwa obozy: jedni wychwalali go bezwzględnie, usprawiedliwiając w nim wszystko; drudzy tak dalece pesymistycznie nań spoglądali, że mu, jako dramatowi, wszelkiéj odmówili wartości. Sam on posiadał i posiada siłę przyciągającą niemałą, tak że i w listopadzie kilkakrotnie był przedstawiany wobec licznéj publiczności.

Dramatem tym jest „Piękna“ Okońskiego. Kim jest Okoński, powiadać nie potrzeba; zarówno jego dramata, z których trzy już na scenie naszéj przedstawiono, jak i prace publicystyczne rozsławiły szeroko i pseudonim i właściwe nazwisko. Pisaliśmy o nim nieraz w „Ateneum'“ oceniając i jego działalność literacką wogóle i niektóre prace szczegółowe. Okoliczność ta pozwala nam przejść wprost do samego dramatu, który tak sprzeczne wywołał sądy.

„Piękna“ to żona profesora uniwersytetu, naturalisty. Wszystkie przymioty, jakie posiadać może, ulegają całkowitemu zaćmieniu wskutek obecności tego jednego, który objawia się w niéj w stopniu najwyższym. Ktokolwiek z mężczyzn ją zobaczy, stary czy młody, chłodny czy namiętny, uczony czy ograniczony, widzi w niéj ten jeden tylko przymiot a widząc poddaje się łatwo jego czarującemu wpływowi. Mąż, profesor naturalista, wybrał ją i kocha dla tego, że, jak powiada, mądrością kobiety jest jéj piękność; a cały szereg wielbicieli zdanie jego niewątpliwie podziela.

Czy ta „piękna“ nie ma rzeczywiście żadnéj innéj zalety prócz swéj piękności? Jest wykształconą i dowcipną, dowodzą tego wszystkie jéj słowa; ma dobre serce, jak się to okazuje w rozmowie

z siostrą męża Ireną; troskliwość macierzyńską względem córeczki objawia wprawdzie raz tylko, ale zapewne lubiła z nią przebywać, lubiła ją wychowywać, gdyż córeczka ta właśnie nauczyła ją, według własnego zapewnienia—cierpliwości.

A obok tych przymiotów dodatnich spostrzegamy w niéj usposobienie, które może ją do wielu zdrożności etycznych doprowadzić. Jest zalotną zarówno w giestach, spojrzeniach jak i słowach. „Gdy na ulicy ktoś nieznajomy mile na mnie spojrzy—mówi ona do Ireny—natychmiast dziękuję mu równie miłém spojrzeniem; nie dlatego, ażebym w tym względzie czuła niedostatek, ale dlatego, że lubię poruszać się między przyjaciółmi.“ Idzie jéj bardzo „o bezwyjątkową miłość wszystkiego i wszystkich tak dalece, że jeśliby cały świat ją pokochał, prócz jednego człowieka, wytężyłaby wszystkie siły, ażeby i jego pozyskać dla siebie.“

Czy jest to zalotność bezwiedna, zalotność kwiatu pociągającego oczy kształtem i barwą, upajającego zapachem? Przypuszczenie takie trudném jest do przyjęcia, bo trudném do zrozumienia. „Piękna“—to nie dziewczę naiwne i szczere, to mężatka i matka, doświadczona w stosunkach towarzyskich i umiejąca zapewne odróżnić zmysłową żądzę do uczucia idealnego. Zna ona potęgę uroku swych wdzięków i umie nią władać wybornie; komplementów i dwuznaczników tłómaczyć jéj nie trzeba. Kobiéta, która powiada: „tak nas natura stworzyła, że wszystkie pragniemy żyć piękne a umrzeć cnotliwe i dlatego wolimy, ażeby za życia chwalono naszę piękność niż cnotę, która właściwie jest przyjemnością naszych dzieci“—kobiéta taka naiwną być nie może. Zalotności więc jéj przyznać musimy świadomość zupełną, a fakt, że zalotność ta obraca się w sferze niewinnych stosunkowo podbojów salonowych, wyjaśnić sobie musimy chłodnym temperamentem Emilii, który pozwala jéj patrzéć na sprawy świata z wesołéj tylko strony, szukać wszędzie i we wszystkiém zabawy i cieszyć się niezamąconą pogodą umysłu. Cierpień nie doświadczyła, biedy nie zaznała; rodzice ją pieścili, mąż wszystkie jéj zachcianki spełniał; czuła się zadowoloną i szczęśliwą. Jéj zdaniem, „czas zbyt nas drogo kosztuje, ażebyśmy na tęsknotę godzinami tracić go mogły.“ Posiada tak „przezorne nerwy, że na smutek znieczulają się, a na przyjemność wrażliwieją.“ Poczytuje za niedorzeczność „zatrzymywać się myślą przy tém, co rani, a omijać to, co goi.“ Patrząc na człowieka, nie myśli o jego szkielecie ale o pokrywającém go ciele; troski i przykrości pomija, a szuka zadowolenia i rozkoszy.

I dzięki swemu szczęśliwemu usposobieniu, łatwo przyjemności te znajduje. Zaniedbała muzykę, ponieważ nikt zręczności jéj pal-

ców nie pochwalił, a gdy zaczęli powszechnie uwielbiać zręczność jéj nóg, polubiła taniec; trzyma się bowiem tego zdania, że kobiéty mają w tém tylko stałe upodobanie, co się w nich światu szczególniéj podoba. Bawi się wesoło i swobodnie, otoczona jest rojem wielbicieli, gotowych na jéj skinienie do wszelkich poświęceń Nie ma pragnień żadnych, bo zaledwie jakie w duszy jéj się zrodzi, natychmiast zostaje zaspokojoném.

Całkowitą z nią sprzeczność stanowi siostra męża Irena. To uosobiona brzydota. Matce usta krzywiły się, gdy ją całowała; ojciec pieszczot jéj nie znosił, siostry wzgardliwie ją upośledzały, ludzie ośmieszali, a brat naturalista brzydką pannę na wyprobowanie trucizny indyjskiéj—na równi z kotem—przeznaczał. Te wielkie i małe, ale ustawiczne upokorzenia i udręczenia wyrobiły w niéj usposobienie zgryźliwe, dręczące siebie i innych, nie dające ani chwili uspokojenia, ani odrobiny łagodnie uśmiechniętego szczęścia. Uczyła się i uczyła znakomicie, ale nauka ta na nic się jéj osobiście—w jé mniemaniu,—nie przydała, bo nie zjednywała jéj serc, a choćby jednego tylko. Pragnienia niezaspokojone dręczyły ją i denerwowały gorzéj aniżeli widome, zewnętrzne przykrości. Nauka będąc widocznie nabytkiem z zewnątrz wziętym a nie przyswojonym na treść własną duchową, nie przyprowadziła rozkołysanych fal wyobraźni i uczucia do pewnéj równowagi, ale zwiększała tylko okropność udręczeń przez świadome rozważanie ich przyczyny. Na chwilę zdawało się jéj, że raz przecie w życiu szczęśliwą nazwać się będzie mogła: Henryk Mścich, artysta-muzyk, pełen zapału i namiętnych porywów młodzieniec, natura z płomienną wyobraźnią, został jéj narzeczonym. Złudzenie atoli trwało chwilę tylko. Henryk poznawszy Emilią uległ czarowi, jaki wkoło siebie „piękna“ roztaczała i zapalił się idealném, czystém (jak sądził) dla niéj uczuciem, a dla Ireny zobojętniał. Zachowanie się Henryka przy pierwszéj wymówce, jego słowa, ułożenie walca dla „pięknéj,“ odegranie go dla niéj były-to ciosy, których Irena w takiém usposobieniu, w jakiém się znajdowała, znieść nie mogła; a gdy w namiętnym szale powiedział narzeczonéj, że dlatego pokochać jéj nie mógł, iż była brzydka, rozpacz jéj szczytu dosięgła. Ostatnim pchnięciem w jéj udręczone serce były słowa nauczyciela jéj niegdyś, 50-letniego powieściopisarza Zenona.

Człowiek ten miał dobre, szlachetne popędy, kochał kilka przynajmniéj osób, ale przypatrywanie się najróżnorodniejszym objawom życia ludzkiego, ich analiza szczegółowa, w celu zużytkowania materyału życiowego na utwory wyobraźni, na ich artystyczne opracowanie, zatarły w nim subtelność w odczuwaniu cierpień osób żywych, których serce drgało tuż przy nim. Sądził niekiedy, że z istotami

żywemi może tak postępować jak z tworami własnéj fantazyi. Jako zręczny sofista, umiał i lubił świetnym stylem wypowiadać najdziwniejsze paradoksy, zwłaszcza gdzie chodziło o ochronę miłości własnéj, a wypowiadał je ostro i bezwzględnie, mało dbając, czy one kogo śmiertelnie nie zranią. Z taką właśnie bezwzględnością wystąpił ze swoją teoryą o piękności i brzydocie wobec swojéj dawnéj uczennicy, którą, jak się zdaje, nauczył głównie szyderstwa i złośliwego dowcipu. Chcąc się usprawiedliwić przed Ireną, że i on został pięknością Emilii olśniony, zapomina o jéj okropném położeniu, o jéj rozpaczliwém rozdraźnieniu, i ratuje tylko własną dumę „niedorzecznemi słowami,“ jak je sam późniéj, dla pocieszenia Ireny, nazywa. „Gdyby natura była świadomą—powiada—tworzyłaby brzydotę tylko w złości; gdyby była miłosierną, nie stworzyłaby jéj nigdy, bo ulitowałaby się nad nieszczęśliwym losem oszpeconych nią istot; piękność jest nie tylko wartością, ale i prawem istnienia kobiéty.“

Łatwo zrozumiéć, jak te słowa musiały podziałać na nerwową naturę Ireny. „Więc ja nie mam nawet prawa istnienia?“—zapytuje gwałtownie, ale wnet pamięć o swéj brzydocie, która tyle chwil gorzkich w życiu jéj sprawiła, i teraz przychodzi w pomoc zmieszanemu sofiście, starającemu się napróżno zatrzéć wrażenie słów dopiéro co wyrzeczonych. Irena, w rozpaczy, nie szuka nawet środka obrony w tak zawsze nam usłużnéj miłości własnéj; wyznaje głośno, że jest brzydką: „Dziś już nie bronię się—powiada—téj strasznéj myśli, że na twarzy swojéj noszę przekleństwo natury, wyłączające mnie od udziału w najdroższych uczuciach. Tak jestem brzydka, że zdaje mi się, iż mniéj od innych ludzi gwiazd widzę, bo z odrazy przede mną do nieba się chowają. Jeśli dusze za karę z lepszych ciał w gorsze przechodzą, to moja w poprzedniéj postaci chyba ziemię rozbić chciała, kiedy ją taką brzydotą ukarano.“ Ta przesada wyrażeń wskazuje głęboko wzburzoną i oszalałą już niemal duszę; a gdy jeszcze jedno wrażenie do tego przepełnionego goryczą naczynia zapadło; gdy Irena posłyszała, jak w sąsiednim pokoju przedchwilowy jéj narzeczony grał w jéj pokoju walca, ułożonego i dedykowanego dla „pięknéj,“ porywa strzałę zatrutą, kaleczy się i umiera marząc o ukochanym i dając szyderczą przestrogę tym, co się zbiegli na wieść o zatruciu, ażeby nie ją, lecz Emilią ratowali.

Drugiém przeciwieństwem Ireny jest Teresa, córka bogatego garbarza. Ani piękna ani brzydka, w sentymenta się nie bawi, rozdraźnienia na widok zalecanek tego, którego na męża sobie wybrała, nie doznaje, a jeżeli nie chce dopuścić, ażeby ten przyszły mąż wysysał słodycz z kwiatów napotykanych po drodze, to głównie ze względu na to, żeby sobie apetytu nie popsuł. Do zapewnienia sobie

ręki tego człowieka bierze się praktycznie, z nieomylném wyrachowaniem i skupuje jego weksle, pomiędzy którémi są i fałszowane. Nie idzie jéj ani o moralne przymioty przyszłego, ani nawet o skłonienie jego serca dla siebie, idzie jéj tylko—jak sama powiada—o jego „kochane ciało,“ w które może kiedyś natchnąć zdoła trochę miłości. Śmiała, cyniczna nawet dąży do celu niezachwianie drogą pewną. Co ją do Ryszarda skłania, wyrozumować trudno. Zdaje się, że ambicya zostania wyszarzaną hrabiną nie łechce wyobraźni córki garbarza. To, że przed trzema laty pokochała młodego urwisa „sercem niedoświadczoném,“ teraz gdy doświadczenia nabyła i gdy się dokładnie dowiedziała, jakim łachmanem człowieka jest ten jéj niegdyś ukochany, mogłoby w niéj chyba obudzać chęć upokorzenia rozpustnego hrabicza. Atoli w sprawach serca niezawsze i nie na wszystkie natury oddziaływa rozumowanie. Popęd mimowolny, ślepe uczucie skłaniają ludzi do robienia rzeczy, które przed trybunałem logiki usprawiedliwićby się nie dały.

Hrabia Ryszard robi wszystko, ażeby Teresie dać uczuć, że tylko zmuszony finansowém położeniem odda jéj swą rękę. Zaniedbuje ją, upokarza, wreszcie bardzo jawnie okazuje swoje zapały dla „pięknéj.“ Jestto lampart salonowy z sumieniem zanikłém, z sercem wystygłém; krwi mu tylko trochę pozostało w żyłach i ta sprawia, że chwilami miewa pewne pożądania. Takiém pożądaniem jest chęć zdobycia względów pięknéj. I postępuje dla urzeczywistnia téj zachcianki jak jaki markiz z zeszłego stulecia. Choć goni ostatkami, choć się zadłuża po uszy, zakłada przecież ogród botaniczno-zoologiczny dla profesora-naturalisty, ażeby mógł mieć często sposobność widywania się z jego żoną. Pragnąc pozyskać „piękną,“ nie rujnuje się na uczucia, bo już jest bankrutem, nie przemawia językiem namiętności, bo krew w jego żyłach sączy się cienką niteczką; ale używa środka, który na pewne usposobienia działa najskuteczniéj, ciągle posługuje się słownikiem wyszukanego pochlebstwa. Emilia, co jak wiemy, wszyskie wytężyłaby siły, ażeby jednego nieprzyjaznego jéj człowieka pozyskać, dostaje pewnego zawrotu głowy od tego dymu komplementów, którego kręgami Ryszard przy każdém spotkaniu ją otacza. Zdaje się, że jest-to zawrót głowy, nic więcéj. Nie jest to jakaś świeżo obudzona namiętność, któraby w tym chłodnym temperamencie rewolucyą sprawiła, nie jest-to ciekawość poznania czegoś dotąd jéj niewiadomego; nie jest-to pragnienie odmiany wśrod jednostajności. Nieświadomością tego, co robi, tłómaczyć się nie może; kobiéta zamężna, która przyrzeka przyjść na schadzkę, wie niewątpliwie, po co idzie. Jest to więc chyba kaprys chwilowy, który się z równą łatwością przy pewnym wpływie zewnętrz-

nym rozwieje, jak powstał pod urokiem słów głaszczących miłość własną.

Rolę tego zewnętrznego wpływu bierze na siebie nieprzebrany w dyalektycznych figlach Zenon, który talent swój zużytkował tym razem na rzecz moralności i spokoju domowego. Dowiedziawszy się o naznaczonéj schadzce, zjawia się przed umówioną godziną w salonie Emilii i opowiada jéj treść powieści, którą zamierzył „pięknéj" dedykować. Może Zenon należał do staréj gwardyi romantycznéj, a może też jako praktyczny psycholog rozumiał potrzebę podziałania na nerwy, dość że w streszczeniu swego utworu dobiera jak najexcentryczniejszych wyrażeń, ażeby zwrócić uwagę słuchaczki. Powieść była dosłowném powtórzeniem tego, co około „pięknéj" się działo. Bohaterka jest tak uroczą „że chyba zapatrzone w nią planety wolniéj biegną i w drogach swoich błądzą, że nieraz przybite jéj spojrzeniem gwiazdy z miejsca się nie ruszają, że często olśnione jéj pięknością słońce z nieba w porę zejść zapomina." Naturalnie ulega najrozliczniejszym pokusom i sprawia wokoło siebie spustoszenia; młodzieniec pełen nadziei złamał życie w walce, jego narzeczona samobójczo je sobie skróciła itp. Tu nasz sofista-powieściopisarz, rozwija swoję teoryą piękności z innéj niż przed Ireną strony. Kobieta piękna, według téj teoryi, jeśli nie posiada wyjątkowych sił do oporu, stwarza około siebie bezwiednie warunki, których nieprzeparty fatalizm pcha ją i jéj wielbicieli do upadku. Dziś może ją powstrzymać jakaś przeszkoda, jutro obowiązek, pojutrze bojaźń, ale przyjdzie czas, w którym nic jéj nie powstrzyma.

Zenon trafił z opowiadaniem swojém na nader odpowiednią do przyjęcia morału chwilę w usposobieniu Emilii; mając pójść na schadzkę, czuła oczywiście pewną obawę i już była silnie podrażnioną; następnie służąca nastraszyła ją możliwością dostania szerzącéj się ospy a przerażenie, jakiego doznała, musiało pobudzić szereg myśli niebardzo harmonizujących z chęcią pójścia na schadzkę miłosną. Wtedy właśnie słyszy głośno wymówione te obawy, które ją pocichu dręczyły; słyszy jaskrawo i bez obsłonek odkryty widok na przyszłość zhańbioną. Zrzuca więc okrycie; i pozostaje w domu. Ryszard czekał napróżno.

Czy Zenon brał swoję teoryą o fatalizmie piękności naseryo? Jeżeli obok bujnéj wyobraźni i wielkich zdolności dyalektycznych posiadał i zdrowy rozsądek, to zarówno ten jak i wiele innych pomysłów swoich musiał poczytywać jedynie za środek, którym się w danym wypadku posługiwał dla wywołania pewnego skutku. Bo gdyby kobiéty poszły za jego radami, to ród ludzki w bardzo krótkim czasie zaginąćby musiał. Brzydkie, według jednego orzeczenia,

nie mają prawa bytu; piękne znów, według drugiego orzeczenia, muszą być niemoralne, tak że chcąc je od upadku zabezpieczyć, wypadałoby w kolebce je okaleczać i zeszpecać,—a wtedy byłyby brzydkiemi, które, jak wiemy, prawa bytu nie mają. Zenon potrafiłby może, jako utalentowany sofista, i z téj trudności logicznéj wybrnąć, ale gdyby go poproszono, ażeby szczerze i bez wykrętów wyznał prawdę, to jako człowiek z szlachetnémi popędami, żałowałby tak jak wobec Ireny „słów niedorzecznych," które albo w rozdrażnieniu, albo dla popisania się z dowcipem, albo wreszcie dla zatrzymania kobiéty na drodze cnoty okolicznościowo wygłosił.

Nie dotykam tu kwestyi, o ile sam autor solidaryzuje się z poglądami Zenona. Wolno przypuszczać, że na chwilę pociągnięty był urokiem paradoksu, ale po bliższéj rozwadze uznał, że, choć uroczy, jest paradoksem i wolał poprzestać na zaznaczeniu prawdy, któréj nikt nie zaprzeczy, że piękna narażona jest na mnóstwo pokus ze strony mężczyzn, ulegających przedewszystkiém i bezpośrednio urokowi formy zewnętrznéj. Myśl tę przeprowadził autor w sposób tak świeży, tak oryginalny; utwór swój oblał takim blaskiem dowcipu, że się nań patrzy jeżeli nie z zachwyceniem to w każdym razie z takiém zajęciem, jakie obudzają brylanty.

Nie chcę jednak przez to powiedziéć, że dramat jest bez zarzutu. Największym, według mnie, jest brak żywszego temperamentu w „pięknéj" i brak uczucia a choćby namiętności w Ryszardzie. Skutkiem tych obu braków stosunki tych dwojga ludzi najmniejszego nie budzą interesu; przysłuchujemy się tylko dowcipnym rozmowom, ale nie zajmujemy się ich duszą. Autor zbyt abstrakcyjnie pojął piękność, jako piękność zewnętrzną, nie uwydatniając a nawet naumyślnie zasłaniając stronę psychiczną. Wogóle mówiąc, rysunek postaci jest zanadto subtelny i potrzeba głębszego wpatrzenia się, ażeby pochwycić znamienne, odróżniające cechy osób w skład dramatu wchodzących, tak dalece pochłania je tło. Wszyscy są dowcipnémi frazeologami, wszyscy podobnych używają zwrotów, porównań, antytez, nawet figury poboczne takie jak Janusz, Gracyan. Na usprawiedliwienie swoje może autor przytoczyć dramat klasyczny, w którym także wszystkie osoby podniosłym przemawiają stylem, zawsze jednakowym, ale będzie to tylko uniewinnieniem a nie uprawnieniem. Z życiem rzeczywistém pozostanie taki sposób przedstawiania ludzi w zupełnéj niezgodzie. Drugi zarzut ciąży na niepotrzebnéj, pod względem dramatycznym, śmierci Ireny. Śmierć ta nic a nic w dramacie nie zmienia, tak jakby istotnie kot tylko został otruty. Dopiéro w opowiadaniu Zenona stanowi śmierć ta jeden z argumentów, za pomocą których powieściopisarz działa na wyobraźnią Emilii.

Takie ustosunkowanie przyczyny i skutku psychologicznie wytłómaczyć się nie da.

Budowa dramatu wogóle jest zręczna, niepodobna wszakże pochwalić częstych podsłuchiwań, wchodzenia na scenę bez należytego upowodowania; a szczególniéj nie można nazwać inaczéj jak sztuczką tego trzykrotnego pojawiania się profesora-naturalisty w przechadzce po ogrodzie na to, ażeby wypowiedziéć zdania, które z rozmową innych, nie biorących udziału w téj przechadzce, stanowią sprzeczność komiczną. Sprawia to efekt w teatrze, ale efekt-to naciągany.

Co do gry, była ona staranną. Tytułową rolę grała pani Lüdowa bez wielkiego wprawdzie odznaczenia, ale poprawnie; przesadziła może tylko w akcentowaniu chłodnego temperamentu, czém urok, jaki wywierać miała, uczyniła mało prawdopodobnym. Z roli Ryszarda wywiązał się p. Tatarkiewicz doskonale, widocznie był w swoim żywiole. Brzydką Irenę podjęła się przedstawić pani Wisnowska i gdyby nienaturalne i estetycznie niemiłe wyginanie się w akcie II, możnaby tę rolę za udatną poczytać. P. Kotarbiński jako Henryk z ruchów i z mowy, mianowicie w przeprawie z Ireną w akcie II wyglądał na strofowanego ucznia, który wobec słabego zwierzchnika wyzywającą przybiera minę. P. Rapacki (mąż „pięknéj“) najniepotrzebniéj zwracał się ku Irenie, gdy mówił o wynalezieniu brzydkiéj panny dla doświadczenia skutków trucizny.

P. Ch.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA

I WRAŻENIA LITERACKIE.

Jana Kachanowskiego Wszystkie Dzieła Polskie. We Lwowie. Księgarnia F. H. Richtera (H. Altenberg) 1882, drukiem F. A. Brockhausa w Lipsku. Biblioteki Klasyków Polskich, nakładem H. Altenberga, T. I, str. XI, 344 i 8; tom II, str. 298.

Na czele tego nowego wydania dzieł wieszcza czarnoleskiego znajdujemy ich *bibliografią*, ułożoną przez p. Władysława Bełzę.

Przypatrzmy się jéj bliżéj. Dla tych, którzy się zajmują Kochanowskim albo wogóle mają do czynienia z książkami 16-go w., dość przytoczyć kilka początkowych wierszów téj t. z. „bibliografii,“ aby mieć o niéj wyobrażenie:

1563. Satyr albo dziki mąż. W Krakowie.
1564. Satyr i zgoda. Kraków.
1564. Zgoda. Kraków u Wierzbięty.
1565. Zgoda. Kraków.

Nie ma tu zupełnych tytułów, formatu, objętości książki, sygnatury; wogóle książka nie jest bibliograficznie, naukowo *opisana*. Bibliografią trzeba koniecznie pisać umiejętnie, tutaj nie wolno się zasłaniać tém, że „to jest popularne wydanie,“ bo bibliografia ani za tysiąc lat popularną nie będzie.

Przejdźmy ten spis po kolei; bo jeżeli nie jest naukowym, to nie potrzebuje być błędnym.

Przyborowski zaczyna przegląd wydań od „Satyra“ i „Zgody,“ które należą według niego „do najpierwszych publikacyj Kochanowskiego.“ Przyłęcki zaczyna zaś od „Szachów,“ a po nich dopiero umieszcza „Zgodę,“ „Zuzanę“ i „Satyra.“ Właściwie napewno nie możemy powiedzieć, które z tych pism wyszły nasamprzód i w jakim porządku chronologicznym; wydania te bowiem wychodziły

jako broszury bez daty. Pierwszą książką *datowaną* jest „Zgoda," wyraźnie „w Krakowie 1564," mam pod ręką dwa druki (gockie) z biblioteki Ossolińskich na pozór *zupełnie jednakowe*, ale wprawniejsze oko widzi dwa różne przebicia; jedno z nich może podrobione, może jedno z Łazarzowéj, drugie z drukarni Wierzbięty. Zjawisko tego rodzaju pojawia się często w bibliografii Kochanowskiego, ale o nim nie wié p. Bełza, który przecież w zakładzie Ossolińskich mógł łatwo oba druki zobaczyć i w spisie swoim zaregestrować. Drugiego przebicia „Zgody" nie zna téż Przyborowski ani Przyłęcki. Estreicher podaje w bibliografii 15 i 16 w. dwa druki „Zgody" „*b. m. i r.*", a potém jakieś wydanie „w Krakowie 1565," o którem na inném miejscu w téměże dziele mówi, że jest bez daty. Wiadomości te Estreichera jak inne o drugiém wydaniu „Pieśni trzech" i o wydaniu „Trenów i epitaphium Hannie" „*b. m. i r.*", są bardzo podejrzane. *Inter parenthesim* jego spis *alfabetyczny* pism Kochanowskiego jest *niezupełny*, ale wydania tu umieszczone miał zdaje się pod ręką; w spisie *chronologicznym* dzieł 16 w. mamy o wiele więcéj, (może za wiele) wydań Kochanowskiego, ale wiadomości o nich są z drugiéj ręki czerpane, przynajmniéj *nie zawsze z pierwszéj*. Bełza dorzuca i tutaj przyczynek do nieporozumienia, notuje bowiem wydanie Zgody z 1564 r. w Krakowie u *Wierzbięty*. Ta drukarnia jest tylko *domysłem* Przyłęckiego (wyd. Turowskiego str. 200), ale na tytule ani przy końcu nie ma jéj wymienionéj, a potém wymienia Bełza drugie to wydanie „Zgody" pod rokiem 1565 w Krakowie; wiadomość— jakeśmy wspomnieli — bardzo podejrzana. Trzecie wydanie obejmujące zarazem „Satyra" i „Zgodę" zaregestrowane przez Bełzę pod r. 1564 jest również bardzo wątpliwe. Wiadomość o niém posiadamy w Piśmiennictwie (tom I, p. 489, uwaga 2) Maciejowskiego, który widział *obdarty* egzemplarz i bynajmniéj daty ścisłéj wydania nie wzmiankuje.

Tak więc z czterech pierwszych pozycyj w „bibliografii" Bełzy nie ma ani jednéj prawdziwéj i pewnéj.

Idźmy daléj. Pierwsze wydanie „Szachów" z drukarni Wierzbięty umieścił wydawca mylnie pod r. 1567, wyszło bowiem bez daty a wiadomość o *dwóch* przebiciach czy wydaniach „Szachów" z roku 1585 jest bardzo podejrzana, nie mniéj jak o dwóch przebiciach „Zuzany" (znanych z Przyłęckiego a znajdujących się w bibliotece Ossolińskich), które Bełza umieścił pod r. 1568 jako wyszłe z drukarni Wierzbięty. „Pieśń o Potopie" która wyszła według Estreichera b. m. i r. opatrzył Bełza datą 1577. Osobne wydanie Proporca nie jest znane, nawet Estreicher podejrzéwa to wydanie, które u Bełzy pod r. 1569 figuruje jako najpewniejsze w świecie. Znowu

cztery pozycye następujące bezpośrednio po tamtych, niedokładne i fałszywe.

Dla przekonania, że i dalsze wiadomości o wydaniach Kochanowskiego nie mają żadnéj wartości, przytoczę tu kilka pomyłek i błędów. Epithalamium na wesele Krzysztofa Radziwiłła wyszło w r. 1584 a nie, jak podaje Bełza, 1585 r. Egzemplarz ten mam pod ręką, zresztą data 1584 jest powszechnie przyjętą. W ogóle podawał Bełza wszystkim wydaniom bez miejsca i roku druku a nawet bez autora, miejsce, rok, drukarnię i autora, a tytuły pism Kochanowskiego tak są niedokładne, że trudno je rozpoznać. Np. Wtargnienie do Moskwy Krzysztofa Radziwiła Pol. Hetmana W. X. L. r. 1581 b. m. i r.— zatytułowane przez Bełzę „Wtargnienie Radziwiła w Moskiewski kraj" i umieszczone bez podstawy pod rokiem 1581 jest mylne, taki tytuł nosi zupełnie inne dzieło, wcale nie Kochanowskiego (cf Estreicher: Bibliografia 16 w., p. 61), który podobny tytuł dał swojéj „Jeździe do Moskwy." Dlaczego przy dwóch pierwszych wydaniach Psalmów z r. 1578 nie zaznaczono, że mamy regestr łaciński, kiedy przy trzeciém wydaniu z tegoż roku zanotowano, że się znajduje regestr polski? Wydania Psałterza są wprost fałszywie podane, a to dlatego, że wydawca nie uwzględnia końcowych dat druku, które są późniejsze od umieszczonych na tytule. Jest-to dość częsty objaw w bibliografii Kochanowskiego, że dzieło ma rok druku na tytule inny od końcowéj daty druku, jedynie obowiązującéj, kiedy mowa o roku wyjścia z druku. Data tytułowa oznacza czas, kiedy druk książki się rozpoczął; data końcowa, kiedy się ukończył.

Tak np. wiadomość o Psałterzu Kochanowskiego z 1610 roku, druk Piotrkowczyka, jest z gruntu mylną. Piotrkowczyk uzyskał przywiléj drukowania dzieł Kochanowskiego dopiero 1611, i w tym dopiero roku ukończono druk albo lepiéj wydano Psałterz. Wskutek takiéj niedokładności w oznaczeniu lat wydania naliczył Bełza 25 osobnych edycyj Psałterza (u Przyłęckiego 21, u Przyborowskiego 20); liczba-to fałszywa, dająca się tylko tém wytłómaczyć, że wydawca robi z jednego wydania dwa, np. z wydania zaczętego 1612, a skończonego 1614 w drukarni Piotrkowczyka, zrobił dwa osobne wydania z r. 1612 i 1614; że umieszcza wydanie z drukarni Łazarzowéj (Psałterza) pod r. 1610 nie istniejące wcale i t. p.

Jeżeli jakieś wydanie zawiera kilka utworów, to ich nie wymienia wydawca. Stąd nie ma w bibliografii Bełzy następujących pism: „Pan Zamchanus," dołączony do „Dryas Zamchana" 1578; „Orpheus Sarmaticus" dołączony do „Odprawy posłów greckich"

z r. 1578; „Foricoenia" umieszczone razem z „Elegiarum, libri III, 1584 r. i t. d.

Podając spis zbiorowych wydań, wymienił Bełza edycyą Bohomolca z 1768, która nie istnieje (jest tylko z r. 1767), a opuścił wydanie Tańskiéj w „Nowéj biblioteczce" 1838, w tomie II. Do przekładów pism Kochanowskiego dodać trzeba przekład i druk Liryków Kochanowskiego, dokonany przez Zubowskiego w Helikonkach.

Bibliografia Bełzy uzupełnia dotychczasowy spis wydań Kochanowskiego wiadomością o Ortografii polskiéj Kochanowskiego w Gramatyce łacińskiéj Ursyna, co podał Estreicher w bibliografii 16 w., z dodaniem najnowszych wydań od r. 1857 t. j. od czasu, kiedy sumiennie opisał Przyłęcki wszystkie pisma i wydania Kochanowskiego do r. 1857, o czém wiemy lepiéj z Bibliografii XIX wieku i z Przewodnika bibliograficznego.

A zatém rezultat naszéj recenzyi jest ujemny, ale odnosi się ona tylko do niespełna pięciu stronic spisu bibliograficznego wydań Kochanowskiego; nie tyczy się więc wcale samego wydawnictwa, które może być najlepsze.

Aby poznać metodę wydawcy, otwieramy ładnie drukowaną i oprawioną książkę nakładu Altenberga przypadkowo i dowolnie i trafiamy na najpiękniejszy utwór Kochanowskiego. Porównywamy to nowe wydanie z najpoprawniejszém wydaniem autora.

	T*h*reny wyd. 1583.	Treny wyd. lwowskie 1882.
I.	*o*ciec	*oj*ciec
	s łzami	*ze* łzami
	prózno	próżno
	w smutku	smutku
II.	t*o*lily	t*u*lily
	napot*y*m	na po t*e*m
	w ran*y*m lecie	w ran*e*m lecie
	widzieć *krajów*	widziec *kraj ów*
III.	zasm*ę*cony	zasm*u*cony
	za tobą gotować	*z* tobą gotować
V.	sad*ownik*	sad*nik ów*
	co wznió*zw*szy	wznio*sł*szy
	wielu łz*a*m	wiel*e* łz*o*m
VI.	okaz*owa*ła	okaz*a*ła
	j*e*chać	j*a*chać
	żalo*ści*we	żało*śli*we
	giezleczko*ć*	giezłeczk*o* i t. d.

Tyle wystarczy, aby dać poznać metodę wydawcy. Przedewszystkiém nie używa on tu, *jak wogólności* do swego wydania,

pierwszych edycyj wydanych za życia autora, ani nawet pierwszych zbiorowych wydań p. t. „Jan Kochanowski.“ O téj ostatniéj okoliczności można się przekonać z porównania nowego wydania np. Trenów z zestawieniem wydań Łazarzowych u Przyborowskiego (*Wiad.* 108 i 109). Powtóre modernizuje wydawca nie tylko pisownię ale nawet formy gramatyczne, jak z powyższego zestawienia widzieć można: zam. *o*ciec—o*j*ciec, ran*y*m lecie—ran*e*m lecie itp.; formy, które znane jako objawy późniejsze, są narzucone poecie 16 w. Natomiast czytamy tu: j*a*chać, prz*y*dzie i t. p., starożytne formy, których nawet w pierwszém wydaniu nie ma. W powyższém zestawieniu Trenów czytamy wyraźnie w wyd. 1583 j*e*chać, prz*y*jdzie i t. p. A więc wydawca nie obawia się podać szerszéj publiczności do zakosztowania coś z téj starożytnéj, spleśniałéj formy późniejszych zepsutych wydań; dlaczegoż nie zaczerpnął tych pięknych i prawdziwych form starożytnych u samego źródła? Wydawca lwowski zostawia np. czasem dawną formę locativu pluralis na êch np. Psalm LXXVIII: „I mieszkali w ich zam*ce*ch,“ ale nie znosi już formy dativu plural. rzeczowników żeńskich na „am“ np. łz*o*m dać upłynąć (wyd. lwowskie I, 110), zam. „łzam dać upłynąć.“ Zatrzymał dualis np. „*Obaśwa* swych tajemnic sobie się *zwierzała* i do pańskiego domu w miłości *chadzała*“ (Psalm 55, w. 27), albo „*ruszwa* różanéj zarze z jéj pokoja“ (Psalm 108, 4); *Niepragniewa* do śmierci bydź rozdzielon*a* (pieśń XX, ks. I), zostawił starożytne formy zaimka: ji, ja, je, np. „Zębami zgrzyta sprośnie przeciw *jemu*“ (dziś: niemu), ale na inném miejscu modernizuje je np. „Przypadłszy drugi poimał *go* z boku,“ ma być „przypadszy drugi poimał *ji* z boku“ (Szachy, w. 583). „Rogaty to sylogizm a trudno *ji* zbadać,“ a nie „rogaty to sylogizm a trudno *go* zbadać“ (Satyr, w. 176). „Konia prędko dosiadać i dobrze *jim* (nie „nim“) toczyć“ (Satyr, 402).

Jak wiadomo, była rozpowszechnioną u nas w 16 w. końcówka *ym* (względnie *im*), w locativie i instrumentalu l. p. tak w rodzaju męskim jak i nijakim. Pierwotne wydania Kochanowskiego mają też tę końcówkę na oba przypadki i oba rodzaje, końcówkę *em* znajdujemy jedynie na końcu wiersza, gdzie rym do tego poetę nakłaniał. Nowsi wydawcy a za nim Bełza zmieniają pisownię według fałszywéj reformy Kopczyńskiego, który zaprowadził różnicę między rodzajami a zniósł ją pomiędzy przypadkami. I téj zasady trzymają się nawet wtedy, kiedy rym Kochanowskiego wprost się temu sprzeciwia, np. Proporzec (wyd. lwow. str. 158):

Widać je przy wysokim wierzchu Prometo*wym*,
Widać je z drugiej strony przy morzu lodo*wem*.

Zatrzymują też starożytny sposób tworzenia przysłówków z rodzaju nijakiego przymiotników, np. a „ludzkie przygody *ludzkie* noś (synu),“ Tren 19, w. 155; albo w rymie:

Gdy w ostatek zboża zatnie
Krzywa kosa, już *ostatnie*. (Sobótka, Panna 6, w. 19).

Imperativus z końcówką samogłoskową zatrzymują, naprzykład:

....a już mię nie *wodzi*
Tam, gdzie Pegazów sławny zdrój wychodzi (Pieśń XIII, ks. III),

modernizują zaś bez przyczyny, ale nie systematycznie formy czasu przyszłego: bych, by, by i t. d. Np. Monomachia (wyd. lwowskie str. 44):

„Pozna*łbyś* był, jakiemuś żonę wziął mężowi.“

W pierwotnych wydaniach Łazarzowych „Pozna*łby* był“ (2 os. sing.), ale zaraz parę wierszy daléj (wyd. lwow. str. 45) tę starą formę zatrzymano:

Lecz za ty
Twe postępki godzien *by* (2 os. sing.) ostatniéj zapłaty.

Raz zostawiają starożytne formy przymiotników np. (ks. I, pieśń III, wyd. lwow. tom I, 165):

I będzie, jako po te lata *wszytki*
Ziemia dawała wszelakie użytki.

Drugi raz te same formy modernizują np. Ps. 42, 37 wyd. lwow. II, 59: „W *jedne* mię prawie kęsy rozdzierają“ — w wyd. Łazarzowych: „w jedny kęsy.“

Kochanowski używa na kilku miejscach małoruskich albo czeskich wyrazów, naturalnie w tonie żartobliwym; otóż nowsi wydawcy zachowują je tylko tam, gdzie muszą t. j. w rymie; we środku wiersza *zwykle* zmieniają, np. (Broda w. 78, wyd. lwow. I, 136)):

Jeśli na brodzie takiéj nie wyprawię sztuki,
Że na wieki poniesie pamięć mojéj *ruki*.

Ale we fraszkach ks. III, 74, wyd. lwow. 292, jedno ruskie słowo spolszczone bez potrzeby:

Ale się i dworstwo zmieni
Kiedy w pytlu *grosza neni* (zamiast *hrosza*).

Podobnież każdy wyraz zakrawający na coś czeskiego spolszczają. Psalm 75, w. 31, wyd. lwow. II, 106: Sam *prazna* kłopota

nie *„próżna.“* Psalm 110, w. 19, wyd. lwow. II, 161: Krwią płynącą będzie pił wodę *patokową* nie *„potokową.“*

Wogóle panuje w tych nowszych wydaniach — zacząwszy od Mostowskiego a skończywszy na ostatniém Bełzy—takie chaotyczne pomieszanie a przytém taka nieznajomość form gramatycznych i staropolskiego języka, że nie można ich absolutnie nawet do pobieżnego czytania użyć, ani nawet polecić szerszéj publiczności, któraby, przez to połowiczne i niesystematyczne modernizowanie wydawców, nabrała fałszywego wyobrażenia o duchu i organizmie języka staropolskiego.

Co się tycze ortografii, nie będę wytykał szczegółowo błędów; zauważę jedynie, że w dawnych wydaniach spotykamy często apostrofowany przyimek *do*, któremu nowsi wydawcy pełną formę przywracają, chociaż tym sposobem otrzymujemy w wierszu za wiele zgłosek albo téż forma gramatyczna musi uledz przeróbce, np. Psalm 43, w. 19 (wyd. lwow. II, 60) czytaj:

Tam d'ołtarza świętego
Pójdę przed pana mego.

Psalm 90, w. 34: „Kto trwa *d'osmidziesiąt*“ w wyd. lwow. II, 129 fałszywie *„do osmdziesiąt“* i t. p.

P. Bełza twierdzi, że „porządek w układzie pism Kochanowskiego został zachowany według edycyj z lat 1598 i 1629.“ Tymczasem całe jego wydanie jest właściwie *przedrukiem* edycyi Turowskiego z 1857. Aby tego dowieść, ograniczam się do wykazania kilkunastu dowolnych miejsc, które się *tylko* u Turowskiego, Breslauera i t. p. wydawców znajdują, a które się powtarzają i w najnowszém wydaniu. Form i błędów tych — które tu wyliczę — nie masz w żadném wydaniu Kochanowskiego, dokonaném w oficynie Wierzbięty, Łazarza, albo Piotrkowczyka, ani w poszczególnych wydaniach ani w zbiorowych, zatytułowanych „Jan Kochanowski.“ Mniejsza więc o to z *któréj ręki* je przedrukował Bełza, to pewna, że do swojego wydania nie używał żadnego wydania Kochanowskiego z 16 ani z 17 w. (a wydania późniejsze, zacząwszy od Bohomolca, nie mają żadnéj wartości).

Oto dowody:

	Wszystkie wyd. Łazarzowe i Piotrkowczyka mają:	Wyd. Turowskiego et consortes, za nim Breslauer, Altenberg-Bełza mają:
	Dedykacya	„Zuzanny:“
	Elżbiecie z Szydł*owca.*	Elżbiecie z Szydł*owa.*
Treny: II.	widzieć *krajów*	widzieć *kraj ów*
III.	*za* tobą gotować	*z* tobą gotować (brak 1 zgł. w wier.)
	ujź*rzę*	ujź*rę*

V. sad*ownik*	sad*nik ow*
co wzniózwszy	.. wzniósłszy (brak 1 zgł. w wierszu)

D z i e w o s ł ą b.

Takim pr*zy*miotom	prz*ed*miotom
przez niej	*bez* niej

M a r c i n o w a p o w i e ś ć z F r a s z e k.

*s*kładli	*k*ładli
przy ró*żéj*	przy ró*ży*

P r o p o r z e c a l b o h o ł d p r u s k i.

Na *to* pióro sposobić	na *te* pióro sposobić
ludzi (accus.) wiążą	ludzi*e* wiążą
niepow*scí*gniony	niepowściągniony

W r ó ż k i.

Przestawam na *twem*	Przestawam na *tem*

P r z e d m o w a d o O d p r a w y p o s ł ó w g r e c k i c h.

Nie wiem jako *to*	nie wiem jako ..
Barzobych *to* rad był	Bar*dz*obych .. rad był

S z a c h y.

Lub zle lub dobrze	*lecz* źle lub dobrze i t. d, i t. d.

W ostatniéj scenie „Odprawy posłów greckich," na początku mowy Rotmistrza, brak jednego wiersza; po słowach „wczora o południu" ma nastąpić „pięć galer ich przypadło na Trojańskie brzegi." Otóż ten wiersz opuścił jedynie Turowski et cons. za nim Bełza, a zgodność taka nie jest, jak wiadomo, przypadkowa. Motto fraszek:

Fraszki tym książkom dzieją, kto się puści na nie,
Uszczypliwym językiem za fraszk*i* nie stanie;

jest z tym błędem jedynie w téj ostatniéj kategoryi wydawców. (Ma być „za fraszk*ę*").

Nie chcę bez potrzeby mnożyć przykładów do rzeczy widocznéj. Zgodność tych ostatnich wydań— zacząwszy od Mostowskiego a skończywszy na Bełzie — potwierdza wspólny układ pism Kochanowskiego nie bez *oryginalnych* permutacyj, co tylko tém większe sprawia zamieszanie. (Porządek rzeczy wydań od Mostowskiego aż do Turowskiego zestawił Przyłęcki w swoim „Dodatku" str. 227 nst. Wprawniejsze oko spostrzeże odrazu całą zależność od nich układu Bełzy). O téj wspólności wydania lwowskiego z wydaniem à la Turowski przekonywa nas i ta okoliczność, że Bełza umieścił objaśnienia rzeczowe na dole tylko te, które znachodzimy w wydaniu Turowskiego et comp. Wprawdzie nie umieścił wszystkich objaśnień, byłoby to może za wiele dla „szerszéj publiczności," nawet nie zaw-

sze brzmią te objaśnienia tu i tam dosłownie, ale Bełza umie przecież objaśnienie Turowskiego swoimi słowami objaśnić. Np. Turowski objaśnia „w czasiech przyszłych“ (Odprawa posłów, editio princeps ma „przeszłych“), „które teraz przyszły,“ nie ma co mówić, objaśnienie trafiające kulą w płot. Otóż Bełza objaśnienie Turowskiego jaśniéj wyraża „w czasach obecnych!“ Tym sposobem musi czytelnik uwierzyć, że czas przeszły znaczy tyle, co czas teraźniejszy. Odmiany objaśnień Bełzy od Turowskiego różnią się zresztą tém, że Bełza je skraca, np. *Nierzkąc*, podaje Turowski, znaczy *Cóż dopiero*, ani myśleć, nie tylko. Bełza nie traci dużo słów: *nierzkąc* znaczy *cóż dopiero.* Wobec innych dość licznych objaśnień Turowskiego zachowuje poważne milczenie, za to dorzucił od siebie jednę rzeczywiście ciekawą notatkę na str. 290 o czytaniu na wspak fraszki p. t. „Raki.“

Od czasów ś. p. Bohomolca aż do ostatnich wydawców, musi każdy nowy wydawca choćby kilka nowych błędów i nieporozumień dorzucić, tym sposobem jest każdy następny wydawca o jeden stopień przynajmniéj od poprzedzającego gorszy.

Przypatrzmy się np. Fraszkom. Editio princeps z r. 1584 zawiera w dodatku do trzech ksiąg, 8 fraszek p. t. „Dobrym towarzyszom gwoli,“ które już w wydaniu z r. 1608 opuszczono. Bohomolec w swojém wydaniu „Rymów wszytkich Jana Kochanowskiego“ opuścił ze względów obyczajowych — oprócz cyklu „dobrym towarzyszom gwoli“—jeszcze kilkadziesiąt wolniejszych i wolnomyślniejszych fraszek. Z tak obciętemi połami przedrukował je Turowski, dodawszy przy końcu cykl „Dobrym towarzyszom gwoli“ dobrze wypunktowany, ale nie wspomniawszy naturalnie nic o tém, że opuścił kilkadziesiąt fraszek idąc za Bohomolcem, i że za przykładem Mostowskiego umieścił wiele na innéin miejscu między „Pieśniami.“ To zamieszanie powiększył Bełza, który z obciętych przez Bohomolca a przez Turowskiego przedrukowanych fraszek ks. III, powypuszczał jeszcze kilkanaście nowych fraszek. Tym sposobem schudły pierwotne fraszki do niepoznania. Ale nie koniec na tém. Wyjąwszy z I, II i III księgi fraszek dwanaście wolniejszych wierszyków, dodał je na początek cyklu 8 fraszek i utworzył nowy konglomerat z 20 fraszek, który ochrzcił starém mianem „Dobrym towarzyszom gwoli,“ naturalnie nie wspomniawszy ani słówkiem o téj operacyi, tak, że czytelnik zrazu nie może poznać starego cyklu „Dobrym towarzyszom gwoli.“ Za to na początku pierwszéj księgi dodano z przedmowy do „Pieśni“ (ks. II) jednę fraszkę p. t. „Na swoje pieśni.“ Bełza poszedł tu za Turowskim.

Różnica więc między fraszkami wydania Turowskiego a Bełzy jest tylko pozorna, a uzupełnienie punktowanych fraszek przez Bełzę jest właściwie zasługą warszawskiego wydawcy (Breslauera).

Nowsi wydawcy, zacząwszy od Bohomolca, opuszczają przedmowy poety i Januszowskiego (np. do Wróżek, foenomenów O Czechu i Lechu i t. d.). Wydawca lwowski opuścił jeszcze i tę przedmowę, którą przedrukował Turowski na str. 177, z czego mu jako popularnemu wydawcy zarzutu nie czynię.

W końcu wypada mi zaznaczyć, iż nie dopatrzyłem się w wydaniach Turowskiego et Comp. a zatém i w najnowszém wydaniu wiersza p. t. „Epithalanium Jana Kochanowskiego,“ umieszczonego we wszystkich zbiorach Łazarzowych i Piotrkowczyka p. t. „Jan Kochanowski“ między „Dziewosłębem“ a „Threnami.“ Brak téż u Bełzy wiersza p. t. „Cantio“ i t. d., zaczynającego się od słów: „Wszech mogący Niebà Ziemie Pànie || Co ty rozkażesz to sye wszystko stanie.“ Przyłęcki umieścił je w dodatku do wydania Turowskiego na str. 199, co przeoczył Bełza.

H. Biegeleisen.

= **X. Kitowicz. Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III.** *Wydanie nowe przejrzane, z przedmową Władysława Zawadzkiego.* 2 t. (str. VIII, 234, 239). *Lwów. Nakład Gubrynowicza i Schmidta. 1883* („Biblioteki polskiéj“ tom 32 i 33). — Dzieło ks. Jędrzeja Kitowicza należy do tych niezbyt licznych w literaturze naszéj utworów, które, obok swego doniosłego znaczenia dla nauki, mają téż pewien powab i dla szerszego koła czytelników, lubiących cokolwiek poważniejszą, ale nie ściśle naukową lekturę. Korzystało z niego wielu wtenczas jeszcze, gdy zostawało w rękopiśmie, częściowe urywki ogłaszane były w pismach peryodycznych; wydane po raz pierwszy w całości r. 1840 przez Edwarda hr. Raczyńskiego doznało nader przychylnego przyjęcia i wśród świata naukowego i wśród publiczności czytającéj. W dziesięć lat potém księgarnia Poplińskiego w Poznaniu podjęła nowe wydanie, ale poprzestała, z niewiadomych bliżéj powodów, na ogłoszeniu pierwszego tylko tomiku. Gdy się to wydawnictwo nie udało, w r. 1855 Wolff, księgarz petersburski swoje przyprowadził do skutku, dodawszy życiorys pióra K. W. Wójcickiego. Obecnie po latach 27 okazała się znowuż potrzeba przedruku, gdyż dawniejsze edycye wyczerpane zostały w zupełności. Nowe to wydanie odznacza się nader korzystnie od poprzednich bardzo pięknym papierem i drukiem wyraźnym; korekta dosyć jest staranna, jakkolwiek od błędów nie wolna; dostrzedz nawet moż-

na maleńkie opuszczenia (np. słowa *są* po wyrazie *drudzy* t. I, str. 91, drugi wiersz od dołu), ale w ogólności sprawia dobre wrażenie. Przedmowę, podającą charakterystykę dzieła, napisał p. Władysław Zawadzki. Twierdzi on na samym początku, że wydanie obecne jest czwartem z kolei; widocznie wciągnął w rachubę owę edycyą przez księgarnię Poplińskiego podjętą, któréj nie ukończono; tom pierwszy zawiera to tylko, co się mieści na 105 stronach tomu pierwszego edycyi obecnéj. Ocena wartości „Opisu obyczajów i zwyczajów,“ w któréj autor powołuje się między innemi i na Karola Sienkiewicza, wogóle jest trafną, choć może trochę zanadto optymistycznie zabarwiona.

= **Fryderyk Chopin.** *Życie, listy, dzieła. Przez Maurycego Karasowskiego.* 2 tomy. Warsz. Gebethner i Wolff. — Pierwsza-to dopiero tak pełna i tak interesująca zarazem biografia naszego mistrza tonów. Zarówno z zapewnienia autora jak i ze śladów jego działalności wiemy, iż jest to owoc dwudziestoletnich trudów podjętych w celu wyszukiwania i gromadzenia materyałów, odnoszących się do życia Szopena. Początkowo, ogłosiwszy artykuł „Młodość Chopina“ i jego listy w „Bibliotece Warszawskiéj,“ cały życiorys wydał p. K. w języku niemieckim, ponieważ, jak powiada, przekonał się iż Niemcy, którzy wysoko cenią dzieła muzyczne Szopena, o ich twórcy „nie tylko mało co wiedzieli, lecz nawet to co wiedzieli, niedokładne było, przekształcone, z prawdą niezgodne.“ Obecnie, po kilku latach upłynionych od czasu ogłoszenia życiorysu tego w języku niemieckim, autor pewne niedokładności sprostowawszy, dodawszy nieznane listy i wogóle opracowawszy swe dzieło na nowo, ogłosił je po polsku. Świetnego talentu opowiadacza autor wprawdzie nieposiada, umiejętnéj metody badania i tworzenia historycznego nie przyswoił sobie, ale pracując sumiennie i z zamiłowaniem, i mając pod ręką wyborny materyał w dość licznych listach Szopena, tak charakterystycznych i tak ciekawych, utworzył dzieło, które przedstawia nam szczegóły życia artysty najpełniéj i które stanowić może bardzo przyjemną lekturę. Są tu fakta potrzebujące jeszcze sprostowania, są niezapełnione luki zarówno pod względem biograficznym jak psychologicznym, lecz bądź-co-bądź mamy już cenny sam przez się zbiór materyałów, które dotychczas nigdy w takiéj pełni nie występowały, mamy próbę jego charakterystyki jako człowieka, jako nauczyciela i jako twórcy. Słowa Schumanna: „Szopen jest i pozostanie najśmielszą i najwspanialszą naturą poetycką czasów naszych“ stały się podstawą oceny twórczości Szopena, oceny przeprowadzonéj szczegółowo, a zaznacza-

jącéj łatwość, z jaką najcudowniejsze motywy same z duszy mu wypływały.

= **Charakteristik Trembecki's**. *Ein Beitrag zur slavischen Literaturgeschichte der zweiten Hälfte des achtzehnten Jahrhunderts. Inauguraldissertation zur Erlangung des philosophischen Doctorgrades an der Universität Leipzig vorgelegt von Heinrich Biegeleisen aus Touste.* Leipzig, 1882, str. 37. — W roku 1877 ogłosił p. Biegeleisen, jako student uniwersytetu lwowskiego, rozprawkę „O Stanisławie Trembeckim,“ która obok znacznych wad posiadała jeden ważny przymiot t. j. pilność i sumienność w gromadzeniu szczegółów bio- i biblio-graficznych. Obecnie po pięciu zgórą latach, przerobiwszy ją w niektórych punktach ogłosił po niemiecku i za jéj pośrednictwem osiągnął w uniwersytecie lipskim stopień doktora filozofii. Ponieważ główne rezultaty poszukiwań autora polegają na ustaleniu pewnych dat chronologicznych i kilku drobnych faktów z życia poety, trudno więc podawać streszczenie jego pracy. Przyznając jéj cechy rozwagi krytycznéj, staranności i sumienności, oddamy należną jéj pochwałę; zwrócimy natomiast uwagę, w interesie samego przedmiotu, na kilka szczegółów, które błędnémi nam się wydają. Napis: „Charakterystyka Trembeckiego“ nie odpowiada właściwéj a istotnéj treści rozprawy: jest-to raczéj życiorys i bibliografia utworów „autora Zofiówki“; próby odrysowania jego fizyonomii moralnéj i literackiéj znajdują się wprawdzie, ale nie zajmują pierwszorzędnego miejsca, pojawiają się okolicznościowo i niepewną kreślone są ręką. Gdyby p. B. pisał naprawdę charakterystykę a nie biografią, toby zapewne nie potrzebował umieszczać całkowitych listów i opowiadań, które możnaby było zawrzéć w paru wierszach, toby nie podnosił drobiazgów bio- i bibliograficznych, które znamiennemi nazwać się nie mogą. Co do rysów, tych szuka częścią w faktach, częścią (i to większą) w pismach autora. Otóż w komentowaniu tych pism niezawsze zgodzić się można z autorem. Według niego np. wiersz na ruinę jezuitów, wyrażający spółczucie dla upadłego zakonu, ma stanowić dowód wolteryanizmu Trembeckiego. Że Trembecki był wolteryaninem, to nie ulega wątpliwości, dowodów na to jest dosyć, ale trudno ich się doszukać w wierszu na ruinę jezuitów. P. B. twierdzi, iż Trembecki dlatego chwali zakon Lojoli, ażeby tém silniéj uderzyć na papieża. Dążność tę wysnuwa autor zapewne z tych czterech wierszy, w których poeta powiada, że uwierzył w nieomylność Klemensa, kiedy tenże obalił filary, na których się wspiera gmach świątyni,— ależ w nich niepodobna dopatrzyć czegoś innego prócz retorycznego zwrotu, dla wyrażenia myśli już w poprzednich wier-

szach przedstawionéj. Zresztą sam B. o kilka wierszy daléj cofa niejako wypowiedziane zdanie, gdy twierdzi, że Trembecki „chwali papieża Klemensa za to, że zniósł zakon.“ Z faktycznych pomyłek zanotujemy, że „Zabawy przyjemne i pożyteczne“ zaczęły wychodzić nie w 1769, lecz w 1770; data owa nie jest pomyłką druku, gdyż ją i w pracy polskiéj tegoż autora znajdujemy. Zarzut zrobiony wydaniu pism Trembeckiego przez Kicińskiego zwrócićby raczéj należało ku „Dziennikowi Wileńskiemu,“ gdzie utwory Trembeckiego nieznane z poprzedniéj edycyi po raz pierwszy w druku się ukazały. Wydanie Sanockie nie stanowi części składowéj „Biblioteki polskiéj“ i nie zostało przygotowane do druku przez Turowskiego, lecz jest częścią „Księgozbioru polskiego“ wydawanego przez księgarza Polaka po rozłączeniu się z Turowskim. Podane przez p. B. wydania wileńskie nie są przytaczane jedynie przez tych autorów, których p. B. cytuje, ale znajdują się także podane w bibliografii wieku XIX Estreichera, wraz z oznaczeniem formatu i liczby stronic. Nie wiem dlaczego opuścił p. B. w pracy niemieckiéj wydanie warszawskie z r. 1865, które zna i przytacza w swojéj rozprawie polskiéj. Zaznaczając różne wątpliwości co do wielu wierszów drukowanych zazwyczaj w zbiorze poezyi Trembeckiego, autor ani słówkiem nie wspomina o tém, że autorstwo „Listu do posłów powracających z Grodna 1793“ jest także zakwestyonowane; owszem przytacza ten wiersz jako niewątpliwie do Trembeckiego należący. Może nie wiadomo autorowi, że wiersz ten wydrukowano w „Dzienniku Wileńskim“ (r. 1820, t. III, str. 69—75) jako utwór Molskiego; a może wie, lecz miał powody skłaniające go do odmiennego zdania; w pracy atoli krytycznéj zaznaczenie faktu i wymienienie powodów było konieczne. W jednym wypadku sam p. B. jest z sobą w niezgodzie. Na str. 20—21 przytacza i rozbiera wiersz p. n. „Do moich współziomków“ jako niewątpliwy utwór Trembeckiego, zaznaczając jego wyższy polot i patryotyczny koloryt; a na str. 34 wyliczając poezye słusznie przez Bobrowicza usunięte ze zbioru utworów Trembeckiego, dodaje, że *może* i wiersz „do moich współziomków“ słusznie do téj kategoryi zaliczony został. Motywów tego zdania tak jak i poprzedniego nie podaje p. B., a przecież wiersz zbyt jest ważnym, a zwłaszcza zbyt wydatne w pracy p. B-a zajmuje miejsce, ażeby można było na takiéj lakonicznéj wzmiance poprzestać. Może zadługo zastanowiliśmy się nad usterkami rozprawy p. B-a; sądzimy jednak, że tém zajęciem się jéj szczegółami złożyliśmy dowód uznania dla niéj większy, aniżeli gdybyśmy na ogólnikach pochwalnych poprzestali.

= **Uwagi nad sprawozdaniem komisyi w sprawie reformy szkół średnich powołanéj przez Akademią umiejętności w Krakowie.** *Napisał Dr. Zygmunt Samolewicz. We Lwowie, 1882* (str. 86). — Sprawozdanie komisyi akademickiéj w kwestyi reformy szkół średnich w Galicyi słusznie zwraca na siebie uwagę pedagogów, tak ze względu na szczegółowość swoję jako też i ze względu na powagę, jaką Akademia umiejętności w kraju posiadać winna. Oto w krótkim przeciągu czasu zaznaczyć nam wypada drugi już głos nauczyciela sprawozdaniem powyższém wywołany. Drugi ten głos tém większe ma znaczenie, że wydaje się wyrazem niejednostkowéj tylko opinii, lecz pewnéj przynajmniéj grupy nauczycieli, a powtóre, że obejmuje uwagi krytyczne nie nad jednym tylko przedmiotem, ale nad całością pracy akademików. Niepodobna nam iść tutaj za przewodnictwem p. Samolewicza i szczegółowo wdawać się w ocenę obszernego sprawozdania; poprzestać musimy na zanotowaniu ostatecznego wyniku i podnieść parę szczegółów donioślejszych. Ostatecznym tedy wynikiem, wysnutym ze szczegółowego rozbioru, jest, że reforma gimnazyów przeprowadzona według zasad zawartych w Sprawozdaniu komisyi Akademickiéj, „chybiłaby (zdaniem p. Samolewicza) zupełnie celu i zawiodłaby oczekiwania kraju, że orzeczenia komisyi nie mogą być ostatniém, a nawet przedostatniém słowem w zamierzonéj reformie gimnazyów.“ Dotykając pojedyńczych punktów reformy, p. Samolewicz chętnie przyznaje słuszność wielu projektom komisyi, zaznaczając mianowicie znajomość rzeczy i pedagogiczną wytrawność kilku specyalnych referentów; ale najczęściéj widzi się zmuszonym do robienia poważnych zarzutów referentowi ogólnemu, który zamiast uogólniać wymagania specyalistów, częstokroć staje z niémi w stanowczéj sprzeczności. Tak się rzecz ma np. ze sprawą nauki języków klasycznych. „Czytając wnioski komisyi—powiada p. Samolewicz— i szczegółowy referat, doznaje się niezamierzonego zapewne wrażenia, jakoby referent starał się punkt za punktem wykazywać niepraktyczność i szkodliwość powziętych w pełnéj komisyi uchwał, jakoby ze stanowiska fachowego zakładał protest albo przynajmniéj zastrzeżenie przeciw nowościom i zmianom przez komisyą dokonanym.“ Z zakresu zasad ogólnych zasługuje na wzmiankę wskazanie wstecznego stanowiska, jakie zajęła komisya akademicka w sprawie dydaktyki. Zdaniem komisyi w szkołach galicyjskich małe korzystanie z nauki ma wynikać z przesadnego stosowania metody indukcyjnéj i z jednostronnego ćwiczenia rozumu z zupełném zaniedbaniem pamięci; reforma zatém przez komisyą proponowana, polega na tém, aby główną treść każdego przedmiotu uczeń, po

otrzymaném wyjaśnieniu w szkole, musiał przyswoić sobie mechanicznie to jest pamięciowo. Tak sformułowane żądanie znalazło słuszną odprawę w broszurze p. Samolewicza, który w replice swojéj kładzie nacisk na to, że nawet uczenie się na pamięć nie powinno być mechaniczném, owszem musi polegać na dokładném i wszechstronném zrozumieniu, inaczéj bowiem owa wiedza rzekoma, w pamięci przechowywana, będzie składem luźnych rozrzuconych szczegółów, które na rozwój ducha wpływu wywierać nie będą i po krótkim przeciągu czasu albo zupełnie wywietrzeją, albo martwym tylko pozostaną kapitalikiem.

= **Szkice Klina.** Część druga. Zeszyt II: **Po Europie. Wycieczka trzecia.** Zeszyt III: **Po Europie. Wycieczka czwarta i piąta.** 1882, str. 43—136. — Z pierwszym zeszytem części drugiéj Szkiców Klina zaznajomiliśmy w swoim czasie czytelników *Ateneum*, starając się w krótkich rysach nakreślić fizyonomią duchową autora. W dwu obecnie wydanych zeszytach mamy sposobność poznać ją z innéj strony t. j. w stosunku do pospolitych zdań ludzkich o różnych stronach Europy. Autor nie cierpi frazesów wytartych wyrażających konwencyonalny zachwyt nad tém, nad czém zwyczaj zachwycać się każe; to też chętnie dopatruje się złych stron we wszystkich zwiedzanych przez siebie okolicach i naturalnie znajduje je w ilości dostatecznéj dla usprawiedliwienia lub upozorowania sarkazmów. Klin chce się wystawić jako człowiek mało wrażliwy, nie umiejący zachwytu swego przelewać na papier, a nawet może i zachwycać się. Tak jednakże nie jest, umie on odczuwać, kocha np. i uwielbia Grecyą starożytną, lubi namiętnie słońce południa, lubi zastanawiać się i badać, lubi wspaniałe widoki przyrody. Ale istotnie w opisy szerokie wdawać się nie chce czy téż nie może. Gdy go w Irlandyi uderzyły bazaltowe skały, notuje tylko wrażenie i powiada: „Tylko się nie spodziewajcie, ażebym wam te rzeczy opisywał— nie potom tu przyjechał. Wyczerpujący opis znajdziecie sobie w naukowym podręczniku, a o podziw możecie się udać do pierwszego lepszego z poetów, jeżeli jest tylko pomiędzy nimi jakiś dość wykształcony, któregoby te bazalty o natchnienie przyprawiły... W myślach moich bazalty te zupełnie inne wrażenie wywołały... Mogę wam tylko co najwyżéj rezultat jego zanotować: naraz mi z pamięci wypadła i Anglia i cywilizacya i ludzkość cała—zostało tylko coś, czém on wielki duch jakiegoś mizernego pyłu, zwanego człowiekiem, próżno się sili owładnąć i pojąć. Trwało to tylko chwilę i w téj chwili krótkiéj leży cała wartość i pożytek téj mojéj podróży“ (str. 96). To do-

brze— mówi sobie czytelnik — autor odniósł jakąś korzyść, ale ja? Na samém wrażeniu czyjémkolwiek niewiele zależy, ale zależy coś na rozjaśnieniu przyczyny, która go wywołała, na roztoczeniu tego procesu psychologicznego, który się we wnętrzu odbywał albo téż zależy na silném, obrazowém odtworzeniu samego wrażenia tak, żeby czytelnik mógł je odczuć. W pierwszym razie korzyść byłaby natury refleksyjnéj, w drugim—artystycznéj. Jeżeli mi autor ani jednéj ani drugiéj nie daje, to cóż mi po jego wrażeniu, rzeczy tak ulotnéj i znikoméj!... Klin odbywa podróże swe forsownie, siedemset mil przebiega w ciągu sześciu tygodni (str. 129); męczy się oczywiście fizycznie i umysłowo, a skutkiem tego nie ma najmniejszéj ochoty do szczegółowego opisu swoich trudów; robi więc suche, krótkie notatki, których następnie wyobraźnią ożywić nie może, bo nie chce puszczać jéj wodzów, nie chce mówić nieprawdy. Jego opisy a raczéj sprawozdania nie odznaczają się ani w kierunku entuzyastycznym, ani sarkastycznym i dla zwykłego czytelnika nie przedstawiają zajęcia; mogą one wszakże przydać się psychologowi, gdyż o ile sądzić można, są wiernym wyrazem stanów duszy, w jakich podróżny się znajdował; nie sfałszował ich autor żadną prawie literacką przyprawą. Europa go znudziła; zaciekawia go jeszcze wschód, jak to powiedział na końcu piątéj wycieczki.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Polemika w dziennikach o wpływie oświaty na moralność.—Nasz wielki przemysł.—Przyczyny rozwoju produkcyi fabrycznéj.—Pierwszy alarm.—Potrzeba gruntownego badania.—Projekt techników.—Przyszły wiec techniczny.—Górnictwo krajowe.—Zjazd w 1883 r.—Prawo co do używania małoletnich robotników fabrycznych.—Jego znaczenie u nas.—Kroki przygotowawcze.—Przemysł domowy.—Uwagi z powodu ostatniego sprawozdania Muzeum rolnictwa i przemysłu.—Stosunki rolnicze i parcelacya.—Towarzystwo kredytowe ziemskie i ostatnia kodyfikacya.—Konkurs Macierzy Polskiéj.

Jeduém z ciekawszych zjawisk ostatnich tygodni na niwie dziennikarskiéj jest polemika, która się zawiązała około aforyzmu wypowiedzianego przez redaktora „Nowin," zbyt stanowczo zapewne i w zbyt dogmatyczném streszczeniu, że: „wpływ oświaty na moralność jest żaden." „Kuryer Codzienny," „Przegląd tygodniowy" i „Prawda" wystąpiły przeciwko temu twierdzeniu, inne pisma nie zwróciły dotąd uwagi na dyskusyą, a jednak kwestya to niezmiernie ważna, która każdego z nas żywo obchodzi. Polemika dotychczas nie rozwinęła się należycie, p. Głowacki wystąpił z całym szeregiem argumentów, liczb i cytat z dzieł mających powagę w nauce, przeciwnicy jego po części trzymają się jeszcze w sferze twierdzeń ogólnych: że oświata wpływa korzystnie na moralność.

Nie mamy zamiaru wyrokować tutaj stanowczo w kwestyi tak niezmiernie trudnéj do ostatecznego zdecydywania a wymagającéj wykładu obszernego, w kwestyi która zresztą zdaniem naszém, dzisiaj na podstawie faktów i cyfr statystycznych rozwiązaną być nie może, na mocy zaś rezonowania oderwanego podaje każdemu pole do nieskończonego bodaj argumentowania na korzyść upodobanéj sobie opinii.

Aforyzm p. Głowackiego w powtórnéj, poprawnéj redakcyi „wpływ dzisiejszéj oświaty na moralność jest tak mały, że nie daje

się ocenić nawet za pomocą statystyki“—zdaje się nam być bardzo bliskim prawdy, i niewahalibyśmy się zaznaczyć naszéj zgody na tak wyrażoną opinią szanownego autora, gdyby nie obawa o nieporozumienie. Statystyka zbiera cyfry jednostronne, brak pomiędzy nimi wskazówek na fakta, któreby dopiéro rzecz wyjaśnić mogły, brak wiadomości o dobrych uczynkach i ich stosunku do liczby ludzi oświeconych, a przecież zmniejszanie się przestępstw samo nie daje jeszcze pojęcia dokładnego o rozwijaniu się siły moralnéj wśród społeczeństwa. Głuchoniemy nie dopuści się potwarzy, bezwładność paralityczna powstrzyma chorego od brania udziału w bójkach, ślepy niezdoła chyba nikogo zastrzelić, ale taka negacyjna prawomyślność mało świadczy o ich moralności, podobnież więc niepiśmiennemu prostakowi trudno wkładać wieniec cnoty za to, że nie fałszuje podpisów na wekslach. Tymczasem p. Głowacki opiera się na cyfrach przestępstw bezwzględnie, a zestawia je w sposób który często niczego nie dowodzi.

Liczba umiejących czytać w kilkunastu departamentach francuskich, postawiona obok liczby przestępstw tam dokonanych; obliczenie stosunku procentowego ludzi zajmujących się pewnym rodzajem pracy ekonomicznéj do ogółu ludności i do ogółu przestępców—czyż dają prawo do ostatecznych wniosków o stosunkowéj moralności téj lub owéj klasy, o kwitnieniu cnoty lub występku w téj lub owéj stronie kraju? Nam się zdaje że nie. Rzemieślnik, kupiec żyją wśród otoczenia tak bardzo różnego aniżeli rolnik, rodzaj ich stosunków z ludźmi tak jest odmienny, okoliczności wśród których żyją i pracują wytwarzać mogą tyle powodów do rozbudzenia namiętności nieznanych spokojnym rolnikom, że porównanie procentu przestępstw w tych dwóch klasach ludzi, dla robienia wniosku o wpływie oświaty na moralność będzie, w statystyce nawet, działaniem nieprawidłowém, a cóż dopiéro podnoszenie tych cyfr jako argumentu w kwestyi filozofii społecznéj. Cytowany przez p. Głowackiego Spencer, nie zdaje się téż nam popierać jego opinii. Wszak Spencer mówi o „wychowaniu umysłowém i *moralném*“—nie zaś wyłącznie o szerzeniu oświaty, a chociaż twierdzi że: „ono nie może dzisiaj jeszcze uwolnić ludzkości od *wszystkich* nieszczęść“—jednakże „niezachwianéj wierze niektórych ludzi w zbawienne skutki tego wychowania“ przypisuje rozwój i postęp ludzkości. Nie moglibyśmy téż zgodzić się na ostateczne twierdzenie szanownego redaktora „Nowin“ że: „oświata i moralność narodu są to dwa fakta niezależne od siebie“—że „umoralnić ogółu za pomocą oświaty a tembardziéj szkoły nie można“—że pominiemy już mniéj potrzebne zestawienie „chustki do nosa“ z oświatą. Zapewne, bywają na świecie szkoły, które nie tyl-

ko moralności nie wdrażają w ucznia, ale nawet pierwszych początków oświaty przyswoić mu należycie nie są wstanie; co gorsza słychać że po wielkich miastach istnieją z wielką świadomością rzeczy uorganizowane szkoły rzezimieszków. Jeśli o pierwszych można powiedzieć, że nie umoralniają, o drugich—że szerzą niemoralność, będzież to naciąganym wnioskiem, że dobréj szkole przyznamy dodatni wpływ na rozwój moralności? Chociażby szkoła przyzwyczajała tylko do pracowitości, to już na tém moralność wygrać musi.

Mybyśmy powiedzieli, że nawet w rozumowaniu oddzielić moralności od oświaty nie podobna, a tém bardziéj w życiu ludzkiém muszą one koniecznie oddziaływać na siebie, a chociaż cnotliwych prostaczków wszędzie znaleść można—tak samo jak łotrów nawet uczonych, jednakże zjawiska te pozostaną zawsze tylko oderwanémi faktami, do wyprowadzenia ogólnego prawa psychologicznego lub socyologicznego bynajmniéj nie upoważniającémi. Psychologowie dzisiejsi odrzucają spółrzędne obok siebie istnienie różnych władz duszy, a podnoszą natomiast organiczną jedność ducha. Z tego zapatrując się na naszę kwestyą stanowiska, niepodobna byłoby wątpić o wpływie wzrostu oświaty na wzrost moralności. Nie przywiązując jednak do tego argumentu zbyt wielkiéj wagi, wolimy wesprzeć się na następném rozumowaniu. Do złych czynów prowadzi ta lub owa namiętność gdy nie znajduje odpowiedniéj przeciwwagi. Oświata rozwija w człowieku pierwiastek refleksyjny, który właśnie stanowi przeciwwagę namiętnościom. Dajmy na to że spotęgowanie rozwagi nie jest pod tym względem rękojmią stanowczo i absolutnie zabezpieczającą: niech tylko zmniejszy cyfrę szans złego a już moralność publiczna na tém wygra, choćby z dotychczasowego statystycznego punktu widzenia, opartego na liczbie dostrzeżonych uczynków karogodnych.

Zresztą, jeżeli filozofowie i publicyści, jeżeli wszyscy którzy szerszy pogląd na sprawy ludzkie sobie przyswoili wołają ciągle o więcéj światła, jeżeli p. Głowacki głos swój nieraz z tym chórem łączył i łączy dzisiaj jeszcze, pomimo rozpoczętéj polemiki, wszystkim im chodziło i chodzi o to, aby coraz więcéj ludzi oświeconych było w społeczeństwie. Boć to oświata zniosła torturę, złagodziła okrutny system kar, który wieki barbarzyńskie stworzyły, a łagodząc przez to obyczaje, dodatnio oddziałała na moralność. Oświata powtarzamy zrobiła to, bo uczucie moralne mas wcale się okrucieństwem tego rodzaju nie gorszyło, owszem poetyzowało je z epicznym spokojem w podaniach, pieśniach ludowych, które do dziś dnia są powtarzane. Oświata to daje nam malarzy, których natura lub przypadek rąk pozbawiły, oświacie zawdzięczamy to, że i głuchy Betho-

ven kombinuje tony wywołujące w nas zachwyt, a wszakże dość jest upowszechnioném zdanie, że sztuki piękne wywierają na nas wpływ etyczny. Wypadałoby więc i to mniemanie w niwecz obrócić, przed zaprzeczeniem wpływu oświaty na moralność.

Zapalony nawet fanatyk postępu nie nazwie zapewne oświatą umiejętności rozpoznawania liter, mechanicznego czytania lub „stawiania tytlów niezbyt śmiało.“ Jeżeli zaś wszyscy wołamy o mnożenie szkół elementarnych; to dla tego że one podają wielkiéj ilości ludzi pierwsze narzędzie do oświaty, a tym z pomiędzy nich, którzy poczują w sobie do niéj powołanie, ułatwiają przechodzenie na wyższe jéj szczeble i są przez to warsztatem łamiącym trudności, usuwającym przeszkody najważniejsze na drodze do oświecania się i doskonalenia moralnego zarazem. Nie można twierdzić że oświata wpływa tylko na wyćwiczenie umysłu, ona oddziaływać musi na wszystkie popędy człowieka, bo uczy go poznawać cele wyższe i rozróżniać prowadzące do nich drogi, rozbudza ona w człowieku popędy szlachetniejsze, do których z natury jest uzdolniony, ale które bez tego zwykle drzemią w nim w nieświadomości; zwiększa w społeczeństwie liczbę jednostek mających możność dokładniejszego zrozumienia swoich obowiązków, więc—chociaż może nie wpływać na zmniejszenie się liczby przestępstw, ale niezawodnie wpływa na mnożenie się uczynków dobrych.

Cyfry statystyczne wtedy tylko będą mogły stanowczo wyjaśnić wpływ oświaty na moralność, kiedy obok liczby ludzi oświeconych, obok liczby przestępstw w danym społeczeństwie, postawią także liczbę uczynków dobrych. Dotąd zbieraniem cyfr takich nikt się nie zajmował, dla tego też dowody czerpane ze statystyki nie zawsze wystarczają. Nie prędko jeszcze zapewne potrafią statystycy ująć w swe rubryki czyny ludzkie złe, dobre i obojętne, póki zaś tego nie dokażą, musimy się powstrzymać z ostateczném rozstrzyganiem kwestyi wpływu oświaty na moralność na podstawie samych czynów kryminalnych.

Dodajmy jeszcze jedno słowo wyjaśnienia. W całym powyższym wywodzie nie mieliśmy na myśli jakiejś moralności abstrakcyjnéj, saméj w sobie i saméj dla siebie, oderwanéj od świata, ascetycznéj. Samotny Robinson nie może być ani moralnym, ani niemoralnym. Mówiliśmy o moralności praktycznéj, a raczéj praktykującéj. Taka moralność jest czynnikiem użyteczności społecznéj, takimże czynnikiem jest oświata; gdy oba do jednego dążą celu, gdy oba potęgują się w czasie osiągniętemi poprzednio przez własną działalność owocami—niepodobna chyba twierdzić, że jeden drugiego nie wspomaga, nie wspiera.

W przeciągu ostatnich lat 15-tu, 20-tu, w kraju naszym fabryki wyrastały, jak grzyby po deszczu. Powstały całe oazy kolonij wyłącznie fabrycznych, rozrzucone w pasie granicznym Królestwa, przy znaczniejszych stacyach kolejowych, a przeważnie w gubernii piotrkowskiéj. Mamy więc dziś wielki przemysł, którego produkcya roczna wynosi już blizko 120 milionów rubli. Gdy do niedawna punkt ciężkości krajowego wytwórstwa spoczywał w rolnictwie wyłącznie, obecnie produkcya fabryczna stanowi $^1/_3$ część produkcyi rolniczéj.

Patrząc na tak szybkie postępy, mimowoli musimy zadać sobie pytanie, zkąd się bierze ten ożywiony ruch przemysłowy, jakie są jego podstawy? Czyżby ogólna skala dobrobytu w kraju tak znacznie się podniosła, a z nią i potrzeby ludności? Chcąc odpowiedziéć na te pytania musimy przypatrzyć się samemu przemysłowi.

Wielkie zakłady przemysłowe, przeważnie fabryki tkackie, najbardziéj wyróżniające się ogromem swéj produkcyi, powstały u nas w ostatnich czasach nie tyle wskutek warunków naturalnych, stałych, ile z powodu czasowo przyjaznych okoliczności. Depracyacya waluty, cła ochronne, nizki stan przemysłu w Cesarstwie, łatwy zbyt fabrykatów na rynkach rosyjskich—oto podstawy bytu naszych wielkich zakładów tkackich. Co będzie późniéj—nikt się nie pytał. A chociaż wielki przemysł, na naszym wyrosły gruncie, jest dziełem przeważnie kapitalistów obcokrajowych i śród nas jednak znajdował on gorliwych zwolenników.

Ruch przemysłowy, niczém nietamowany, rozwijał się daléj. Każde najsłabsze niepowodzenie waluty rosyjskiéj, każda zmiana w taryfie celnéj na korzyść zasady protekcyi, wprowadzenie opłat w złocie—wszystko pobudzająco wpływało na przemysł fabryczny, zdwajając energią jego rozwoju.

Przeciwko takiemu pochłanianiu sił wytwórczych kraju przez wielki przemysł, pierwsi zaprotestowali rolnicy. Liczne jednak ich głosy przebrzmiewały bez echa, bo fabrykanci znajdowali coraz to nowe „przyjazne okoliczności“ dla korzystnego lokowania swoich kapitałów.

Tak więc dziś posiadamy własny wielki przemysł, czysto okolicznościowy. Jest on już na tyle silny, że każde jego powodzenie lub niepowodzenie odbić się musi tak na całéj ekonomii kraju, jako też i na pojedyńczych gałęziach pracy. Czy powodzenie będzie długo trwałém i czy tak prędko nie potrzeba jeszcze spodziewać się przesilenia—jest to pytanie, na które w téj chwili odpowiedź byłaby niemożliwą. Kronikarski wszakże obowiązek zmusza nas do skonstatowania faktu, który dużo daje do myślenia.

Oto coraz częściéj ostatniemy czasy przychodzi nam spotykać się z alarmującemi pogłoskami. Jedną z nich rozdmuchały niedawno dzienniki niemieckie, z powodu odezwania się jakiegoś przemysłowca rosyjskiego na świeżo zamkniętym zjeździe przemysłowo-handlowym w Moskwie—o potrzebie ustanowienia granicy celnéj między Królestwem a Cesarstwem. Z małéj téj iskry powstał formalny popłoch. Zainteresowana mocno tą sprawą prasa niemiecka, proste zdanie indywidualne, ubrała w formę projektu poważnego. Skutków takiego postawienia kwestyi łatwo można było się domyślać. Fabryki krajowe cały swój byt opierają z jednéj strony na cle, z drugiéj na szerokim zbycie w Cesarstwie, zamknięcie więc jego granicy dla tutejszych wyrobów jest sprawą życia i śmierci wielkiego przemysłu.

Na szczęście, tym razem kaczkę dziennikarską wkrótce zabito. Chcąc bowiem zażegnać burzę, p. Józef Poznański, wice prezes zjazdu handlowego w Moskwie, zasięgnął odpowiednich informacyj i ogłosił w petersburskim „Kraju“ list uspakajający.

„Z powodu powtórzenia przez niektóre dzienniki rosyjskie i niemieckie—pisze w swéj odezwie p. I. P.—wieści, jakoby fabrykanci Cesarstwa wystąpili do rządu z projektem ustanowienia granicy celnéj między Królestwem a Cesarstwem, z oznaczeniem linii granicznéj wzdłuż rzeki Wisły, otrzymałem zapytania, czy rzeczywiście isinieje taki zamiar, wiadomo bowiem, że przemysł Królestwa, dzięki głównie taryfie celnéj i wskutek tego znacznemu zbytowi wyrobów do Cesarstwa, mógł dojść do obecnego stopnia rozwoju i bardzo więc naturalnie, że przemysłowcy zostali mocno zaniepokojeni powyższą wiadomością. Zebrawszy informacye w kompetentnych sferach rządowych, przyszedłem do przekonania, że cała powyższa pogłoska jest prostym wymysłem i pozbawiona wszelkiéj podstawy.“

Dziś dokładnie nie możemy zdać sobie sprawy o rozwoju fabryk krajowych, głównie zaś o tém, w jakim stosunku fabryki przetwarzają krajowy materyał surowy, a w jakim obcy. Wogóle o funkcyach wielkiego przemysłu nie posiadamy obfitych informacyi. Wiemy, że w Łodzi, Zgierzu i Tomaszowie istnieją olbrzymie zakłady, których produkcya sięga kilkudziesięciu milionów rubli, lecz nawet mało kto z nas widział na oczy wyroby z tych zakładów. Sukna i korty krajowe poznaliśmy bliżéj dopiéro na ostatniéj wystawie tkackiéj w Warszawie. A mówimy tu nie o przeciętnym, mniéj lub więcéj wykształconym czytelniku. W ogóle bowiem brak nam źródeł poważnych, statystyczno-sprawozdawczych, jakie są

niezbędne tak dla naukowego traktowania przedmiotu jak i dla praktycznego zapoznania się z nim.

Taki stan rzeczy nie powinienby trwać dłużéj. Wprawdzie zastosowanie środków zaradczych i zalecanie jakich bądź reform przekracza granicę naszéj kompetencyi, nie mniéj jednak zbadanie obecnego stanu jest ze wszech miar pożądaném. Raz dla tego, że z niego będziemy mogli wyciągnąć wskazówki o niezaspokojonych jeszcze potrzebach naszych przez krajowy przemysł, o tych niwach, które wymagają większéj i staranniejszéj uprawy, przez co odwróci się część sił wytwórczych i kapitałów w stronę właściwą, otwierającą nieznane jeszcze, a korzystne źródła eksploatacyi przyrodzonych bogactw kraju i przeróbki jego materyałów surowych. Powtóre zaś dla tego, że świadomość sytuacyi jest najlepszą rękojmią racyonalnego, ostrożnego postępowania. Od badań więc, jakie tu mamy na myśli, oczekiwać należy przedewszystkiém bardziéj normalnego podziału pracy przemysłowéj—one bowiem wskażą nam, jakie działy produkcyi fabrycznéj pozostają dotąd w zaniedbaniu, a jakie doszły już w swym rozwoju do stanu, grożącego ogólnym interesom ekonomicznym kraju, skutkiem przesadnéj nadprodukcyi, korzystnéj dotąd dzięki chwilowo przyjaznym okolicznościom.

Wobec tego, z prawdziwą przyjemnością witamy pomysł redakcyi „*Inżenieryi i budownictwa*", która zamierza zająć się opracowaniem sprawozdania o obecnym stanie przemysłu fabrycznego, jakowe ma być podstawą do obrad przyszłego wiecu techników polskich—w 1885 r. W istocie, jeżeli zjazdy techniczne mają praktycznie oddziaływać na stosunki ekonomiczne kraju, to przedewszystkiém należy udostępnić im materyał faktyczny, na jakim mogły-by oprzeć swoje wnioski i postulaty. W przeciwnym razie, wpływ ich będzie czysto teoretyczny.

Technicy nasi korzystając ze zjazdu w Krakowie, jeszcze w r. b., opracowali wniosek, dotyczący obznajomienia ogółu techników krajowych z materyałami surowémi naszego kraju. Ważna ta sprawa nie mogła być przeprowadzona dla braku czasu. Dziś więc, gdy do nowego wiecu pozostaje jeszcze przeszło dwa lata, słusznie organ warszawskich techników porusza żywotną myśl badań nad przemysłem.

Inicyatorowie projektu zamierzają rozesłać przy wszystkich czasopismach krajowych szemat, obejmujący na jednéj tablicy zestawienie materyałów surowych poszczególnych okolic, wraz z wykazaniem sposobów eksploatacyi tych materyałów. Tablica dzieli się na ośm rubryk następujących: 1) materyały surowe; 2) nazwa miejscowości i czy znajduje się jéj mapa geologiczna; 3) sposób zużytko-

wania materyałów surowych; 4) koszt założenia fabryki, dochód i produkcya roczna; 5) jaki jest wyrób sprowadzany, któryby mógł być w blizkości wyrabianym; 6) ilość wywożonego materyału surowego w dalsze okolice kraju i za granicę; 7) rodzaje wyrobów, jakie z tego materyału można osięgnąć, wreszcie 8) uwagi, bliżéj informujące o ilości i jakości materyału, oraz o łatwości eksploatacyi.

Na podstawie osiągniętych w ten sposób wiadomości, zostanie opracowany temat dla przyszłego wiecu techników: „wskazanie rodzaju i ilości fabryk, jakie w kraju są potrzebne, ażeby zapotrzebowanie wszelkich towarów mogło być zaspokojoném przez wyroby krajowe, bądź wskutek zwiększenia liczby istniejących fabryk, bądź przez założenie nowych, celem wprowadzenia do kraju tych gatunków przemysłu, dla których istnieją u nas materyały surowe.“

Czy projekt powyższy przyjdzie do skutku? Chcemy wierzyć, że tak będzie, chociaż naszém zdaniem w wykonaniu swém napotka on wiele trudności. Kto bowiem ma zapełnić szematy? Odbierze je masa osób—to prawda, czy jednak w téj masie znajdzie się potrzebna liczba nie tylko chętnych, ale i kompetentnych ludzi, którzyby umiejętnie wywiązali się z zadania? Fabrykanci zaś i właściciele zakładów przemysłowych, chociaż podjęta praca i dla nich będzie korzystną busolą, zazwyczaj niechętnie patrzą na tego rodzaju przedsięwzięcia, niesłusznie dopatrując w nich kontrolę swéj działalności. Pozostają więc technicy i tak zwani w języku gazeciarskim „ludzie dobréj woli.“

Jeżeli od przyszłego wiecu technicznego możemy się spodziewać istotnego wpływu na nasz przemysł fabryczny, to czegoś podobnego również mamy prawo żądać i od zjazdu polskich górników, jaki ma być otwarty w Warszawie w 1883 r. W liczbie surowych materyałów, bogactwa mineralne zajmują w królestwie miejsce pierwszorzędne. Obfite pokłady węgla kamiennego, którego zapas w jednéj tylko Dąbrowie starczy jeszcze na lat 400, bogate rudy żelazne, marmur, bursztyn, siarka, miedź, ołów i galman—wszystko to spoczywa w łonie ziemi, dotąd w bardzo słabym stopniu eksploatowane.

Budująca się obecnie kolej dąbrowsko-iwangrodzka bezwątpienia da nowy popęd do rozwoju naszego górnictwa. Jeżeli bowiem dziś kopalnie na południu królestwa nie rozwijają swéj działalności na szerszą skalę, jeżeli nie powstają nowe zakłady, — wszystko to można objaśnić brakiem środków komunikacyjnych. Nowa zaś droga żelazna owtorzy produkcyi górniczéj główne rynki zbytu, dotąd dla niéj niedostępne.

W tę właśnie stronę należy zwrócić nasze kapitały. Przemysł górniczy, jako oparty na wyzysku surowych materyałów krajowych, powinien zajmować wybitne stanowisko w naszéj produkcyi ogólnéj. Wysoka wartość tych materyałów zapewnia im zawsze chętnych nabywców, na co zwracamy uwagę kapitalistów, zarówno jak i na tę okoliczność, że przemysł górniczy nie dotknął jeszcze wielu miejscowości, obfitujących w materyały kopalne, lub dotknął je bardzo słabo.

Z główniejszych zakładów górniczych zasługuje dziś na uwagę: 45 kopalń węgla z produkcyą roczną przeszło 80 milj. pudów; 40 zakładów, wyrabiających żelazo, z produkcyą przeszło 1.300.000 pudów; 30 fabryk surowcu z produkcyą roczną 2 milionów pudów, i 2 zakłady stali z produkcyą 4 milj. pudów. Cyfry te wskazują jak wiele jeszcze pozostaje do zrobienia. Dwa zakłady produkują więcéj stali, niż 30 zakładów—surowcu, co chyba najlepszym jest dowodem słabego wyzysku rudy żelaznéj, pomimo silnego jéj zapotrzebowania.

Wobec takiego stanu rzeczy z jednéj strony, z drugiéj zaś wobec naturalnéj potrzeby rozwinięcia eksploatacyi materyałów mineralnych, zbyteczném byłoby podnosić w tém miejscu doniosłość zjazdów górniczych. Nie poruszając téż téj kwestyi, zwrócimy natomiast uwagę na sprawy najpilniejsze, jakie pragnęlibyśmy widziéć w programie zjazdu w 1883 r.

Okręg górniczy obejmuje południowo-zachodnią część Królestwa, które posiada wszelkie warunki po temu, ażeby z czasem stała się wielkiém ogniskiem przemysłu górniczego. Nie jest on jednolitym pod względem rodzaju zasobów mineralnych i właściwie tworzy dwa okręgi górnicze—zachodni i wschodni, wybitnie różniące się jeden do drugiego. W pierwszym bowiem spotykamy liczne kopalnie węgla, blizko z sobą sąsiadujące i równie liczną ludność roboczą, podczas gdy w drugim, wschodnim, przeciwnie, uderza nas różnorodność zakładów, porozrzucanych na całéj jego przestrzeni i znacznie mniejsza cyfra górników.

Ten odrębny charakter obu okręgów górniczych powinien być głównym przedmiotem rozpraw zjazdu, mającego na celu obmyślenie sposobów rozwoju produkcyi górniczéj i środków zabezpieczenia bytu ludności roboczéj. Sposoby te i środki muszą być odmienne w obu okręgach, właśnie wskutek ich cech odrębnych.

Co do pierwszego t. j. środków podniesienia górnictwa, zjazd przedewszystkiém ma do zbadania obecny stan kopalń i zakładów i dopiero na tém tle stosunków faktycznych, biorąc pod uwagę no-

we korzystne warunki komunikacyjne, będzie mógł wskazać sposoby, któreby najskuteczniéj doprowadziły do zamierzonego celu. Co do drugiego zaś, zjazd powinien wystąpić z inicyatywą w sprawie wzorowych urządzeń robotniczych, które zapewniłyby licznéj klasie górników pomoc w wypadkach losowych i bezpieczeństwo w pracy. Dziś bowiem rzadko gdzie kopalnie pochłaniają tak znaczny procent ofiar pośród ludności roboczéj jak u nas. Z ogłoszonéj niedawno w dziennikach statystyki, dowiadujemy się, że w 1879 r. na 5,330 robotników pracujących w jednych tylko kopalniach węgla kamiennego, ucierpiało *przy pracy* 33 górników, czyli 5.06 na 1,000, w 1880 r. ucierpiało 14 na 1,000, a w 1881 r. 4.9 na 1,000. Dla innych zakładów górniczych odnośnych cyfr nie posiadamy.

Na podstawie powyższych danych (wyłączając rok 1880, nienormalny skutkiem wyjątkowéj katastrofy, jaka dotknęła podówczas jednę z kopalń), przyjąć możemy, że średnio w królestwie zostaje poszkodowanych blisko 5 górników na 1,000 pracujących w kopalniach węgla.

Jak wysoki jest ten stosunek, poucza następujące zestawienie. Podług najświeższéj statystyki, wydanéj w r. b. przez Haushofera, na 1,000 robotników w kopalniach węgla, ulega wypadkom w Niemczech 1.89, w Belgii 2.8, w Anglii 4.5 górników. A więc wysoką cyfrą wypadków górujemy nad całą prawie Europą!

Tak w górnictwie, jak i w innych gałęziach naszéj pracy ekonomicznéj, błąkamy się niepewni każdego kroku. Np. nie wiemy dokładnie, ile kraj nasz posiada robotników górniczych? Liczba ich jednak musi być już dość znaczna, skoro same kopalnie węgla zatrudniają przeszło 6,000 górników. Wnosząc z téj jednéj cyfry, możnaby przypuszczać, że ogół zakładów górniczych w Królestwie posiłkuje się pracą co najmniéj 15,000 robotników, a cyfra ich w przyszłości wzrastać będzie.

Okoliczność tę zjazd górniczy powinien przewidziéć i obmyślając środki podniesienia produkcyi, powinien zarazem obmyślać sposoby przygotowania odpowiednich sił roboczych, w myśl nowych, zwiększonych potrzeb. Sądzimy bowiem, że kraj nasz jest w stanie dostarczyć kopalniom własnego robotnika, należy go tylko przygotować. W tym celu należy urządzić w okręgu górniczym kilka szkół specyalnych, których dotąd brak nam zupełnie. W szeregu przyczyn wysokiéj cyfry nieszczęśliwych wypadków w naszych kopalniach bezwątpienia nie ostatnie miejsce zajmuje brak wyrobienia fachowego w krajowym robotniku. To téż, nietylko ze względu na nowe potrzeby górnictwa, lecz i dla zabezpieczenia losu górników, szkoły, o jakich mówimy, są niezbędne.

Takim powinien być program obrad przyszłorocznego zjazdu górniczego. Czy on odpowie naszym oczekiwaniom, przyszłość pokaże.

Sprawa przemysłu fabrycznego roztrząsaną jest nietylko w artykułach dziennikarskich i na specyalnych wiecach, lecz także i w odnośnych sferach rządowych, z tą wszakże różnicą, że gdy pierwsze uderzają na nienormalny stosunek produkcyi fabrycznéj do produkcyi krajowéj wogóle, ostatnie tak daleko nie idą, poprzestając na wprowadzeniu reform i niezbędnych ulepszeń.

Mamy tu na myśli świeżo ogłoszone prawo o małoletnich robotnikach fabrycznych, które ma wejść w wykonanie z d. 13 maja 1883 r. Prawodawca umyślnie odroczył termin reformy, ażeby pozostawić władzy administracyjnéj czas do przygotowania dla niéj gruntu. Prawo to wpłynie zarówno na stosunki przemysłowe Królestwa, jak i Cesarstwa. W kraju naszym pracuje obecnie po fabrykach i większych zakładach z górą 100,000 robotników, w liczbie których dzieci, używane do robót pomocniczych, stanowią w przybliżeniu do 10 proc. Grunt więc do reformy jest, należy ją tylko przeprowadzić umiejętnie.

Za granicą prawa normujące pracę małoletnich robotników fabrycznych, zawsze pozostawały w związku z ich obowiązkowém nauczaniem. Czy to weźmiemy pod uwagę angielski *bil robotników* z 1869 r., czyli francuski *system demi-temps*, zainaugurowany w 1874 r. czy wreszcie prawodawstwo niemieckie, — wszędzie ograniczano liczbę godzin pracy małych robotników na korzyść ich nauczania. Reformie takiéj należy przyznać zupełną słuszność. Dzieci fabryczne—że pominiemy w téj chwili względy sanitarne—zawsze pracują pod okiem starszych. Jeżeli zamkniemy dla nich fabryki, a jednocześnie nie otworzymy szkół, cóż się stanie z masą wyrostków pozostawionych wyłącznie samym sobie? Odpowiedź łatwa: zamiast pożytecznych pracowników wyrosną z nich przyszli mieszkańcy domów więziennych.

Wyżéj podaliśmy cyfrę dzieci fabrycznych u nas na 10 proc. ogólnéj liczby robotników. W wielkich jednak zakładach stosunek ten jest znacznie wyższy. W takich np. olbrzymich fabrykach jak Szajblera w Łodzi, pracuje obecnie 37 proc. dzieci w wieku do lat 12-tu i 15 proc. w wieku do lat 15! Pozostają one przez cały dzień pod okiem starszych, którzy w każdéj chwili mogą zwracać uwagę na ich postępowanie. Wypuśćmy ich z fabryki i zostawmy w domu, a bezwątpienia zaczną grać w kości, rozpróżnują się, nabiorą złych nałogów. Właściwym więc punktem wyjścia wszelkich reform w sprawie młodych robotników fabrycznych jest *połączenie zakresu pracy z przymusem nauki.*

Wczytując się w ostatnie prawo, jakie w téj mierze ma u nas obowiązywać, widzimy, że i ono zmierza do podobnego połączenia dwóch zasad—chociaż bardzo niewyraźnie. Oto w art. 5 tego prawa czytamy rozporządzenie, ażeby dzieci fabryczne, które nie mają jeszcze świadectwa z ukończenia przynajmniéj jednoklasowéj szkoły ludowéj lub innego zakładu, swoim programem odpowiadajacego takiéj szkole, uczyły się w niéj co najmniéj przez 3 godziny dziennie. Przygotowawcze zaś roboty, jakie mają utorować drogę reformie, podjęte przez ministeryum finansów, przekonywają także, że władze przełożone na punkt ten szczególną zwracają uwagę. Ministeryum bowiem zbiera obecnie szczegółowe wiadomości o szkołach, istniejących przy zakładach fabrycznych lub w ich okolicy. Ponieważ w Cesarstwie i Królestwie obowiązkowego nauczania niema, kroki więc, o jakich tu mówimy, mają na celu możliwe pokonanie trudności, które mogłyby powstać po reformie, wskutek braku dostatecznéj liczby szkół elementarnych. Chociaż podobne zapełnienie luki w prawodawstwie krajowém nie jest rzeczą łatwą i nie zawsze jest skuteczne, sądzimy jednak, że gdy praktyka pierwszych lat stosowania nowego prawa ujawni jego wady i niedokładności, pożądana reforma szkolna stanie się potrzebą naturalną.

Przechodząc od tych ogólnych wniosków do szczegółów omawianego prawa, pozostaje nam jeszcze wykazać główne zasady właściwéj reformy, t. j. ograniczenia pracy małoletnich.

Odnośne przepisy zostały zawarte w czterech artykułach I-go rozdziału, których treść jest następująca. Dzieci do 12-go roku życia zupełnie nie mogą być używane do robót w fabrykach; dzieci zaś w wieku od 12—15 roku mogą pracować w zakładach, lecz nie dłużéj nad 8 godzin dziennie, nie licząc w to czasu przeznaczonego na śniadanie, obiad, wieczerzę, szkołę i odpoczynek. Nadto, robota téj kategoryi małoletnich nie może trwać bez przerwy dłużéj nad 4 godziny. Dzieci do 15-go roku życia nie mogą pracować w nocy, t. j. od godziny 9 wieczorem do 5 rano, a także w dni świąteczne i galowe. Wreszcie dzieci do 15 roku nie mogą być używane do takich robót, które z natury swéj są szkodliwe dla zdrowia, lub téż nie odpowiadają sile małoletnich.

Wspomnieliśmy poprzednio, że obecnie przygotowuje się grunt dla téj reformy. Ministeryum finansów rozesłało fabrykantom szematy, które wraz z odpowiedziami na postawione w nich pytania, mają być zwrócone przed nowym rokiem. W ten sposób ministeryum zbierze interesujący materyał do charakterystyki stosunków robotniczych.

Szematy, które nadeszły już i do naszych fabryk, zawierają między innemi następujące rubryki: ilu robotników pracuje w fabryce latem, ilu w zimie, a ilu przez rok cały; ile pracuje dzieci w wieku do 10-go roku życia, ile w wieku do 12 roku, a ile w wieku od 12—15 roku, bez różnicy płci; o której godzinie rano rozpoczyna się robota w fabryce, o której się kończy i z jakiemi przerwami jest połączona; czy robotnicy pracują w nocy i czy praca ta wymaga udziału małoletnich; w jaki sposób są wynagradzani małoletni; czy fabryka posiada własną szkołę, czy dzieci fabryczne uczęszczają do niéj; jeżeli fabryka nie posiada szkoły, to jak odległą od niéj jest szkoła najbliższa i z jakich funduszów się utrzymuje i t. d.

W téj chwili nie możemy przesądzać wpływu nowego prawa na stosunki fabryczne w kraju naszym, zdaje się jednak, że oprócz zabezpieczenia zdrowia małoletnich, pociągnie ono za sobą szersze skutki. Warunki, przyjazne rozwojowi wielkiego przemysłu, dotąd pozostały bez zmiany, nie można się więc spodziewać, ażeby prawo, ograniczające udział dzieci w pracy fabrycznéj, spowodowało redukcyą sił roboczych; przeciwnie, wywoła ono zwiększenie się liczby dorosłych robotników fabrycznych. Będzie to pierwszy jego skutek, prowadzący za sobą podniesienie skali wynagrodzenia, co bezwątpienia wpłynie na podrożenie fabrykatów.

Mówiąc o przemyśle fabrycznym, mimowoli przychodzi na myśl inna, wprost przeciwna gałęź produkcyi— przemysł domowy, przez włościan uprawiany. Czytając sprawozdania z olbrzymich postępów tego przemysłu w Cesarstwie, musimy przyznać, że u nas na tém polu nic prawie dotąd nie zrobiono. Wprawdzie koszyki, samodział, płótna i wyroby z drzewa posiadają już pewną i ustaloną renomę, wprawdzie niektóre okolice rozwijają coraz bardziéj produkcyą domową, lecz pomimo to nie możemy jeszcze powiedzieć, że dziś przemysł drobny wpływa na dobrobyt włościan, przyczyniając się do powiększenia ich dochodów.

Jest to sprawa niezmiernie ważna. Wzrost ludności pociąga za sobą podział gruntów, stanowiących własność włościańską, na coraz bardziéj drobne działy, których uprawa nie wymaga wielkiego zachodu. Małorolny gospodarz rozporządza czasem, jaki mu pozostaje od pracy około roli, może więc spożytkować go w kierunku przemysłowym. Zyskają na tém tak drobne gospodarstwa, jako też ogólna ekonomia kraju. W obecnych warunkach włościanin nasz traci nieprodukcyjnie masę dni roboczych, a kraj — masę sił wytwórczych.

Czyby się nie dało użyć téj siły na korzyść krajowego wytwórstwa? Sądzimy że wszelkie nawoływania prasy, jako niedochodzą-

ce zainteresowanych, nie wiele pomogą. Tu potrzeba wystąpić z inicyatywą praktyczną, a taką dać może tylko instytucya, posiadająca odpowiednie pełnomocnictwa. Wprawdzie nie obfitujemy w urządzenia publiczne, mające na celu ogólne sprawy ekonomiczne, w tym jednak razie szukać daleko nie potrzeba. Wszak istnieje z funduszów składkowych powstałe i funduszami temi utrzymywane Muzeum rolnictwa i przemysłu, które mogłoby sprawę tę wziąć pod opiekuńcze swoje skrzydła. Nie potrzebujemy wskazywać środków, jakie byłyby wstanie ożywić przemysł domowy. Muzeum, jako instytucya popierająca przemysł krajowy, sama je odnajdzie, skoro weźmie do serca potrzebę podniesienia téj sprawy. A że potrzeba ta jest i czuć ją dotkliwie, na to każdy posiada liczne dowody. Między innemi dość przytoczyć choćby ten, że śród włościan znajduje się obecnie 1,558,500 mieszkańców wsi, którzy dla braku dostatecznego uposażenia gruntownego, szukają sposobów zarobkowania bądź w miastach, bądź na folwarkach. Lecz cyfra ta bynajmniéj nie wyczerpuje całego zasobu sił, jakie możnaby spożytkować z korzyścią dla domowego przemysłu. Obejmuje ona tylko włościan, których grunta wynoszą mniéj niż 6 morgów, oraz tych, którzy wcale nie posiadając własności gruntowéj, tworzą klasę najemników. Do powyższego więc należy dodać wszystkich tych drobnych gospodarzy, których osady nie wyczerpują ich pracy i umożliwiają zajęcie się wytwórstwem przemysłowém. Liczba ich ustawicznie wzrasta, ponieważ mnożą się działy familijne pomiędzy włościanami, tak iż śmiało twierdzić można, że przeważna część gospodarstw drobnych przedstawia wdzięczny materyał do zaszczepienia na ich gruncie przemysłu domowego.

Warszawskie muzeum rolnictwa i przemysłu rozwija swoję działalność, lecz słuszność przyznać każe, że zbyt rutynicznie trzyma się drogi, na jaką raz weszło.

Ażeby nas nie posądzono, że rzucamy słowa na wiatr, zatrzymamy się w tem miejscu nad ostatniém sprawozdaniem Muzeum za rok 1881, które z niewiadomych przyczyn dopiero w październiku r. b. było gotowe. Sprawozdanie to zawiera *półtora arkusza pisma*, Muzeum bowiem nie uważa za potrzebne ogłaszać drukiem swoich roczników. W sprawozdaniu tém nie znajdujemy wiadomości o liczbie członków i sumie funduszów. Wprawdzie wiadomości te nie są konieczne, lecz ogłaszanie ich przypomniałoby publiczności o istnieniu muzeum, a wykazując możliwą jego użyteczność, zachęcało większą ilość osób do pieniężnego udziału w popieraniu instytucyi.

Fundusze muzeum powstają z kilku źródeł: 1) z jednorazowych i corocznych składek członków; 2) z opłaty za zwiedzanie Muzeum

i urządzanie przy niém wystaw czasowych. 3) z ofiar dobrowolnych na urządzenie i utrzymanie Muzeum; wreszcie 4) z opłaty za analizy chemiczne, dokonane w laboratoryum doświadczalnem, znajdującém się przy Muzeum, a także za czasowe umieszczanie w Muzeum okazów wynalazków, tak miejscowych, jak zagranicznych. (§ 4 ustawy.)

Dotąd mało kto zwiedzał zbiory muzealne, ponieważ jeszcze do zwiedzania tak dalece nic nie mamy: nie wielu też było wynalazców i przemysłowców, którzyby wystawiali okazy godne widzenia w lokalach muzeum, ponieważ dotąd odpowiedniego lokalu nie ma (dwa lata temu wynalazki p. Wierzbińskiego były eksponowane przez Muzeum, lecz w czasowo najętym lokalu w pałacu Brühlowskim podczas ówczesnej wystawy), to jednak z pozostałych źródeł Muzeum osiąga corok znaczne fundusze, które mogłoby podać w sprawozdaniu rocznem do wiadomości publicznéj, z korzyścią dla własnej sprawy.

Wiedząc teraz, czego w sprawozdaniu nie ma, spójrzmy z kolei na to, co w niem jest.

Otóż jest w niém kilka szczegółów o pracowni chemicznej, o stacyi oceny nasion, o salach rysunkowych i o wystawach zeszłorocznych, z inicyatywy Muzeum urządzonych. A na czele sprawozdania jest *treściwy* inwentarz zbiorów muzealnych, niezmiernie charakterystyczny: Muzeum rolnictwa i przemysłu „posiada w swych zbiorach 2394 okazów, z których 1566 należy do działu przemysłu, a 828 do działu rolnictwa; w bibliotece zaś znajduje się 598 dzieł w 793 tomach treści technicznej, przemysłowej i rolniczej.“ Jest to cały inwentarz muzeum.

O dotychczasowej działalności Muzeum świadczyć może najlepiej ta okoliczność, że szerszy ogół zna instytucyą jedynie z urządzanych przez nią wystaw. Tak zwane urządzenia pomocnicze, przy Muzeum istniejące, są dostępne dla szczupłego koła wtajemniczonych w ich egzystencyą. W ich liczbie stosunkowo najwięcej energii rozwija stacya oceny nasion, która *drukuje* swoje sprawozdania i ciekawsze spostrzeżenia podaje do wiadomości ogółu za pośrednictwem dzienników. Czuć też, że stacya stara się rozszerzyć swoję działalność, zachęca bowiem rolników do korzystania z jej pomocy, wskazuje na korzyść z oceny nasion, słowem rusza się i żyje. Wprawdzie wpływ jej jest jeszcze bardzo ograniczony, lecz to pochodzi nietyle z winy stacyi, ile z winy rolników, zbyt mało interesujących się pożyteczném tém urządzeniem. Przekonywa o tém następujące zestawienie. Stacya rozpoczęła swoję działalność z dniem 1 grudnia 1880 r. i od tego czasu do 1 września 1881 r. oznaczyła wartość użytkową 302 prób nasion. W tej liczbie olbrzymią wię-

kszość, bo aż 207 prób przesłały dla oceny stacyi składy nasion i cukrownie, i tylko 61 prób nadesłali ziemianie.

Najjaśniejszą jednak stroną w dotychczasowej działalności Muzeum są sale rysunkowe, w których bezpłatnie pobiera naukę rysunku młodzież rzemieślnicza płci obojga. W 1881 r. korzystało z tego urządzenia ogółem 111 mężczyzn i 98 kobiet! W liczbie pierwszych spotykamy 21 ślusarzy, 8 mechaników, 14 stolarzy, 6 tokarzy 2 cieśli, 4 rysowników (?), 2 brązowników, 20 jubilerów i rytowników 4 zegarmistrzów, 15 sztukatorów i modelatorów, 9 malarzy pokojowych, 2 pozłotników i drzeworytników. Z kobiet zaś najwięcéj uczęszczało do sal szwaczek, modniarek, drzeworytniczek, introligatorek i nauczycielek. Sale te powstały w połowie 1878 r., głównie dla młodzieży pracującej po fabrykach i warsztatach. Wzrost liczby pragnących korzystać z nauki rysunku spowodował, że wkrótce rozszerzono sale rysunkowe dzieląc je na dwa oddziały—techniczny i rysunku ręcznego. Sale te mogą przynieść wielki pożytek, wątpić też nie należy, że z czasem, gdy Muzeum już się pobuduje, otrzymają one odpowiednie co do światła i przestrzeni urządzenie, któreby odpowiadało wzrastającym potrzebom.

Tak sale rysunkowe, jakoteż i stacya oceny nasion, oraz laboratoryum chemiczne można uważać za urządzenia samodzielne. Powstały one z inicyatywy Muzeum, jego ustawą do życia powołane, lecz raz wprowadzone w ruch, rozwijają się daléj siłą własną. To też urządzenia te nie powinny zamykać całej kompetencyi Muzeum, jak to ma miejsce w obecnych warunkach, gdy oprócz wystaw, punkt ciężkości w czynnościach instytucyi spoczywa w trzech właśnie urządzeniach pomocniczych.

Co do wystaw, to te nie pochłaniają tak wiele czasu i środków, by nie pozostawiały nic dla innych celów. Przeciwnie, trwają one zaledwie kilka tygodni i zawsze przynoszą znaczny dochód. Możnaby więc pomyśléć choćby o odczytach publicznych. Nie myślimy bynajmniej obniżać wpływu wystaw; przeciwnie, są one bardzo skutecznym środkiem poznania krajowej produkcyi, ulepszenia jej i rozszerzenia zbytu. Lecz i w téj dziedzinie możnaby zaprowadzić pewne zmiany. Przedewszystkiem zaś życzyć należy, ażeby Muzeum podjęło się urządzenia szeregu wystaw rolniczo- przemysłowych na prowincyi.

Od pewnego czasu coraz częściej odzywają się głosy podobne pod adresem Muzeum. Wszystkie względy przemawiają za tém. Muzeum ma prawo, ustawą przyznane, urządzania wystaw, ma daléj prawo nagradzania wystawców medalami, wreszcie ma wprawę w tego rodzaju urządzeniach, dla tego też jemu najstosowniéj było

by wziąć na siebie w tej sprawie początkowanie i kierunek. Wszak wystawa lubelska, pomimo że zebrane zostały odpowiednie dla niéj fundusze, nie przychodzi do skutku. Taki los zapewne dotknie i projektowaną wystawę łomżyńską.

Dotąd w kraju wystaw podobnych nie było. Należy więc przełamać formalistykę administracyjną, wyjednać pozwolenie, wyszukać środki nakładowe i t. d. Wszystkie te przeszkody może byłyby łatwiéj usunięte, gdyby sprawę tę wzięło w swe ręce Muzeum. Nadałoby ono wystawom prowincyonalnym cechę poważną prawdziwych wystaw rolniczo-przemysłowych.

Muzeum rolnictwa i przemysłu tak ze względu na własną powagę, jak ze względu na cel, który sobie przy założeniu swém założyło, powinno przedewszystkiém jaknajenergiczniéj ukończyć zbyt powolnie prowadzone roboty budowlane, mieć własny dach i urządzić się. Wszak w naczelnym artykule ustawy powiedziano, że celem jego jest „podać przemysłowcom i gospodarzom wiejskim możność *naocznego badania* przedmiotów, mających związek z rodzajem ich zajęć, tudzież *zapoznawania się* z ulepszonémi narzędziami i sposobami produkcyi“. Czy dziś Muzeum jest w stanie odpowiedziéć temu przeznaczeniu? Nie — dziś bowiem nietylko że nie ma *co* badać i z *czém* zapoznawać się, lecz nawet nie ma *gdzie* prowadzić tych studyów praktycznych.

Po urządzeniu się zewnętrznem, Muzeum powinno niezwłocznie przystąpić do urządzenia wewnętrznego, ogłosić inwentarz swoich zbiorów, katalogi i pilniejszą niż dotąd zwrócić uwagę na skompletowanie tych zbiorów i biblioteki. Wówczas bowiem dopiero będzie mogło otworzyć swe urządzenia dla użytku publicznego w istotném tego słowa znaczeniu, a działalność jego będzie się ujawniać nietylko w urządzaniu wystaw, lecz i w stałém oddziaływaniu na przemysł i rolnictwo, w stałéj pomocy obu tym gałęziom produkcyj.

Posiadamy jednę tylko instytucyą dla spraw ekonomicznych, nic więc dziwnego, że pragniemy widziéć ją w całéj pełni rozwoju, że życzylibyśmy, aby wpływ jéj stawał się coraz donioślejszym, że oczekujemy od niéj wszechstronnéj działalności. Jesteśmy téż mocno przekonani, że gdyby Muzeum żywiéj zaczęło się krzątać, zyskałoby na wzroście członków i ogólném zainteresowaniu się jego losami. Wszak 25 rs. rocznéj składki nie jest znowu sumą tak wielką, by w niéj tylko należało szukać przyczyn słabego udziału rolników i przemysłowców w popieraniu tyle pożytecznéj instytucyi.

Wspominaliśmy wyżéj o potrzebie podniesienia u nas przemysłu domowego. Gdy na prywatną inicyatywę trudno w tym względzie oczekiwać, a o urzędowéj jakoś nie słychać, tylko Muzeum mogłoby

podjąć się téj pracy. Myśl to wcale nie fantastyczna, a przykład bliżkiéj Galicyi, z któréj tak często lubimy żartować, wskazuje ile na téj drodze dokonać dobrego można.

U nas drobna własność bardzo mało zwraca dotąd na siebie uwagę prasy i publiczności wykształconéj; dość powiedziéć, że nie przebrzmiał jeszcze spór teoretyczny, — co odpowiada bardziéj potrzebom rolnictwa—drobne czy wielkie gospodarstwa? Świeżym tego dowodem ostatnie artykuły *Gazety Rolniczéj* „o parcelacyi, jako programie społecznym". Na cóż się przyda spór podobny, jeżeli życie płynie daléj swoim trybem, a teorya odbiega od praktyki! Choćbyśmy tysiąc razy powtórzyli i zgodzili się na to, że parcelacya jest szkodliwa, że produkcya drobnych gospodarstw jest niższą od produkcyi wielkich majątków, — nie wstrzymamy wypadków, bo te, parte siłą głębszych przyczyn, niż argumenty teoretyczne, dążą właśnie do rozrostu mniejszéj własności. Zamiast więc coraz daléj zagłębiać się w teoryą i spory, należy uznać fakta i zastanowić się nad środkami, zdolnemi przyczynić się do uregulowania nowych stosunków. Dotąd bowiem stosunki te napotykały same trudności, dla pokonania których musiano się uciec do symulacyi i licznych sposobów obejścia zakazu.

Dla przykładu spójrzmy na stosunek Towarzystwa kredytowego ziemskiego do parcelacyi.

Nie wchodzimy w tém miejscu w rozstrzygnięcie pytania, czy parcelacya jest pożyteczną lub szkodliwą. Chociażby nawet złą być miała, jak tego chcą niektórzy, to wobec faktu niezaprzeczonego, że co rok znaczne obszary folwarczne idą na sprzedaż w podziale na drobne parcele, że własność włościańska powiększa się bezustannie kosztem własności większéj, każdy przyznać musi, że złe to jest konieczném, a jako takie zyskuje prawo obywatelstwa w szeregu objawów ekonomicznych i społecznych.

Towarzystwo kredytowe ziemskie inaczéj się na to zapatruje. Tak dotychczasowa praktyka, przez dyrekcyą przyjęta, jako też ostatnie zmiany w świeżo dokonanéj kodyfikacyi, przekonywają, że Tow. kr. z. wypowiedziało walkę parcelacyi pod pozorem obrony interesów instytucyi.

Towarzystwo wymaga, ażeby majątki nie były parcelowane bez jego wiadomości i zezwolenia. Praktyka jednak żądaniu temu częstokroć nie czyni zadość: dobra, pożyczką Towarzystwa obciążone, bywają sprzedawane bez udziału tegoż, Towarzystwo zaś chcąc nie chcąc, musi przyznać fakt dokonany. Musi przyznać, jeżeli nabywcy cząstkowi nie godzą się jednocześnie przeprowadzić pomiędzy sobą rozdziału hipoteki i pożyczki, lecz raty regularnie wnoszą; musi przyznać: jeżeli nabywcy żądają rozdziału, lecz niektórzy z nich, nie

odpowiadając warunkom wymaganym dla zakwalifikowania ich do pożyczki, odmówią wypłaty sum wypowiedzianych, a przyznać musi dla tego, że wszelka walka w obronie prawa byłaby tu bezskuteczną. Osiągnięta bowiem ze sprzedaży drobnych osad suma nie pokryje pretensyi. Jest to nowy dowód bezsilności prawa, sprzecznego z życiem i faktami.

Towarzystwo ma zupełną słuszność, broniąc interesów swoich. Lecz właśnie interesa te winny były wskazać, że nie utrudnianie stosunków, lecz ich opanowanie przez towarzystwo i regulacya, ułatwiająca układy parcelacyjne są w stanie usunąć dotychczasowe symulacye i ujawnić to, co dziś wobec prawa jest nielegalne i pokryte tajemnicą. Do takiego jednak wniosku nie przyszło towarzystwo, skoro w naczelnych artykułach tytułu pierwszego nowego projektu kodyfikacyi czytamy przepis, że „dobra jedną księgą hypoteczną objęte, lecz złożone z części, stanowiących oddzielne gospodarstwa, należące do różnych właścicieli, choćby tylko tytuł własności na jednego był uregulowany, z pożyczek towarzystwa korzystać nie mogą“. Bezwątpienia, przepis ten gwarantuje towarzystwu całość dóbr zastawionych do czasu umorzenia, lecz czy gwarancya ta będzie skuteczną w życiu? Nie chcemy przesądzać sprawy, lecz nam się zdaje, że pod względem zniewalających okoliczności znajdą się sposoby obejścia tej *dura lex*.

Ostatnia kodyfikacya przyniosła nam jeszcze jednę niespodziankę — ograniczenie kredytu dla drobnych gospodarstw. Nie jest ono wprowadzone do projektu, jako przepis wprost wypowiedziany, lecz pośrednio wypływa z podniesienia minimum pożyczki. Dotąd najniższą pożyczką był sturublowy list zastawny, odtąd minimum to ma wynosić 500 rs. Jeżeli projektowane minimum zostanie przyjęte, z kredytu Towarzystwa będą mogły korzystać gospodarstwa włościańskie i inne drobne, których obszar gruntowy będzie wynosił średnio 22 morgi. Mniejsze osady o tyle tylko będą mogły zaciągać pożyczki, o ile wartość ich szacunkowa zostanie podniesiona przez lepszy gatunek gleby lub łąki, do ich składu wchodzące.

Taksa stanowi jednę z ważniejszych reform w obecnéj ustawie towarzystwa. Dotąd stowarzyszeni korzystali z pożyczek nie przechodzących połowy szacunku dóbr. Szacunek ten obliczał się na podstawie czystego dochodu którego wyrazem miał być podatek ofiary przez pięć rozmnożony. Suma ztąd osiągnięta i skapitalizowana mnożnikiem 20, dawała domniemalny szacunek majątku. Taki sposób obliczeń zaprowadziły przepisy kolejno w 1825, 1838, 1852 i 1860 r. Ostatnia ustawa z 1869 r. przyjęła dwa rodzaje szacunku

normalny i taksowy; pierwszy z nich obliczał się na zasadzie podatku głównego i dodatkowego, rozmnożonego przez 80, drugi na podstawie taksy. Nowa kodyfikacya odrzuca wszelkie sposoby szacowania i przyjmuje jeden tylko—taksę, przeprowadzoną przez specyalne delegacye taksowe pod kierunkiem delegatów przysięgłych (13 art. projektu). Potrzeba téj zmiany już dawno czuć się dawała. Chociaż bowiem od 1825 r. towarzystwo kierowało się innemi zasadami przy obliczaniu szacunku dóbr, na które miała być zaciągnięta pożyczka, wszakże od najpierwszych chwil działalności towarzystwa, tak władze jego naczelne, jako téż ogół stowarzyszonych przyznawał, iż tylko taksa jest racyonalną zasadą podobnych obliczeń.

Obliczenie szacunku majątkowego przez taksę nie od razu nastąpi. Projekt kodyfikacyjny zastrzega, że wciągu pierwszych pięciu lat po zatwierdzeniu nowéj ustawy, pożyczka towarzystwa nie będzie mogła przewyższać 80 razy wziętego podatku gruntowego. Przepis ten czasowy ma na celu usunąć wszelkie złe następstwa, jakie mogły-by wyniknąć wskutek zbyt szybkiego przejścia od dawnego systemu obliczeń do nowego. Dopiéro więc po pięciu latach, gdy odpowiedni grunt do zupełnéj reformy zostanie zbadany, władza wyższa ostatecznie wyrzecze o dalszém trwaniu lub ustaniu powyższego ograniczenia.

Zestawiając w dalszym ciągu ustawę z 1869 r. oraz przepisy w rozwinięciu jéj wydane, z projektem nowéj kodyfikacyi, dostrzegamy jeszcze następujące zmiany w dotychczasowych rozporządzeniach, zasługujące na uwagę.

Przyjrzyjmy się im koleją artykułów i rozdziałów, w projekcie przyjętą.

Nowa ustawa utrwala zebranie ogólne, które w przepisach dawniejszych przewidziane nie były. Zebrania takie składają się z radców komitetu i radców dyrekcyi głównéj, oraz z prezesów obu tych władz i dyrekcyj szczegółowych.

Projekt nowéj ustawy nadaje prawo głosowania i wybieralności na radców tylko tym stowarzyszonym, na majątku których ciąży przynajmniéj 3.000 rs. pożyczki towarzystwa. Przepis ten wprowadza nierówność praw pomiędzy stowarzyszonymi. Z jakiéj racyi ci właściciele, którzy korzystają z drobnego kredytu, mają być wykluczeni z listy wyborców? Zdaje się, że głównym motywem tego ograniczenia był wzgląd na drobnych właścicieli, przeważnie włościan, których coraz więcéj przybywa towarzystwu w charakterze stowarzyszonych, między innemi skutkiem parcelacyi. Towarzystwo obawia się, ażeby nieoświeceni jego członkowie nie stali się narzędziem w ręku większych właścicieli przy zabiegach wyborczych. Obawa

ta płonna i nieuzasadniona. Nasza własność drobna nie może dać z pośród siebie kandydatów na posady radcowskie, nie zajmie też ich żaden włościanin. Jako wyborcy zaś nie odegrywają i odgrywać nie mogą wielkiéj roli, choćby dla téj prostéj przyczyny, że w nich zwykle nie biorą udziału. Wszak dotychczasowa historya wyborców stwierdziła, że do miasta dla odbycia elekcyi przybywają jedynie zamożniejsi obywatele. Czyż więc można przypuszczać, że osadnik kilkudziesięcio morgowy porzuci rolę i bez żadnego interesu narazi się dobrowolnie na kosztowną podróż do miasta. Wobec tego nie pojmujemy powyższego ograniczenia, bo chociaż ono nie pociągnie za sobą praktycznych rezultatów, słuszność jednak wymagała zrównać w ustawie większą własność z małą, przynajmniéj pod względem prawa głosowania.

Kodyfikacya wprowadza też przepisy, mające na celu ułatwienia przejścia do bezseryjności listów zastawnych towarzystwa, przyjmuje nowe środki do ich zabezpieczenia na wypadek zatraty lub przypadkowego zniszczenia, rozszera ulgi w rozkładzie rat dla stowarzyszonych, których dobra uległy niespodzianéj klęsce itd.

Potrzeby drobnéj własności w nowéj ustawie zupełnie uwzględnione nie zostały, z czego wnosić wypada, że towarzystwo chce pozostać instytucyą, wspierającą wyłącznie własność wielką. Wprawdzie taki był jéj cel pierwotny, taką była cała jéj dotychczasowa działalność, lecz uwzględnić należało znaczną zmianę w stosunkach ekonomicznych kraju, jaka datuje się od czasu ostatnich refom społecznych. Wszak początek w téj mierze dało już prawo z 1869 r. i późniejsze przepisy, wyraźnie dążące do rozszerzenia kredytu towarzystwa dla gospodarstw włościańskich.

Nie wiemy jakie będą losy projektu ostatniéj kodyfikacyi, która ma być jeszcze dyskutowana w ministeryum skarbu. Przypuszczać jednak należy, że w każdym wypadku—czy ustawa zostanie w całości przyjęta, czy też ulegnie modyfikacyi—tow. kr. ziem. pozostanie wierne swéj tradycyi. Większa własność zbyt chłodno jeszcze jest usposobiona względem drobnéj, zbyt lekceważy jéj interesa i nie czuje potrzeby solidarności, by śród przeważnéj liczby stowarzyszonych w gronie naszego ziemiaństwa, wyrobiła się odmienna, bardziéj postępowa, i więcéj zgodna z interesem publicznym opinia.

Obok powyższych spraw, mamy do zanotowania konkurs, ogłoszony przez radę wykonawczą Macierzy Polskiéj.

Konkurs to na trzy broszurki ludowe następujących tematów: 1) o wzajemnych obowiązkach w rodzinie, 2) o poszanowaniu własności, i 3) weterynarya ludowa.

Rada wykonawcza podaje szczegółowy program, podług którego mają być broszurki te napisane.

Tak pierwsza z nich, o wzajemnych obowiązkach w rodzinie (2—3 ark. druku cycerem) ma wskazać ludowi jakie są obowiązki i prawidłowe wzajemne stosunki członków rodziny do siebie. Dla uniknienia zbytniego moralizowania rzecz ta ma być ożywiona przykładami z życia spółczesnego.

W książeczce o poszanowaniu własności (2 ark. druku), autor ma rozwinąć w sposób odpowiedni pojęciom ludu teoryą własności, wskazać jéj prawa nietykalne i zgubne skutki ich pogwałcenia.

W trzeciéj wreszcie, o weterynaryi (4—6 ark. dr.) piszący specyalista wyłoży w sposób popularny anatomią zwierząt domowych i sposoby ich leczenia; nie powinien téż pominąć wskazówek, jakich trzymać się należy przy porodach bydła. W końcu autor ma dać krótką naukę obchodzenia się ze zrebcami i instrukcyą kucia koni.

Nagrodzeni autorowie otrzymają po 30 zł. r. za arkusz druku.

Termin konkursu upływa z ostatnim dniem stycznia 1883 r. Rękopisma mają być nadsyłane na ręce prezesa rady wykonawczéj, pr. Ant. Małeckiego (w gmachu Ossolińskich), z dołączeniem nazwisk autorów w kopertach zapieczętowanych.

Wydawca, **W. Spasowicz.**—Redaktor **Piotr Chmielowski.**



